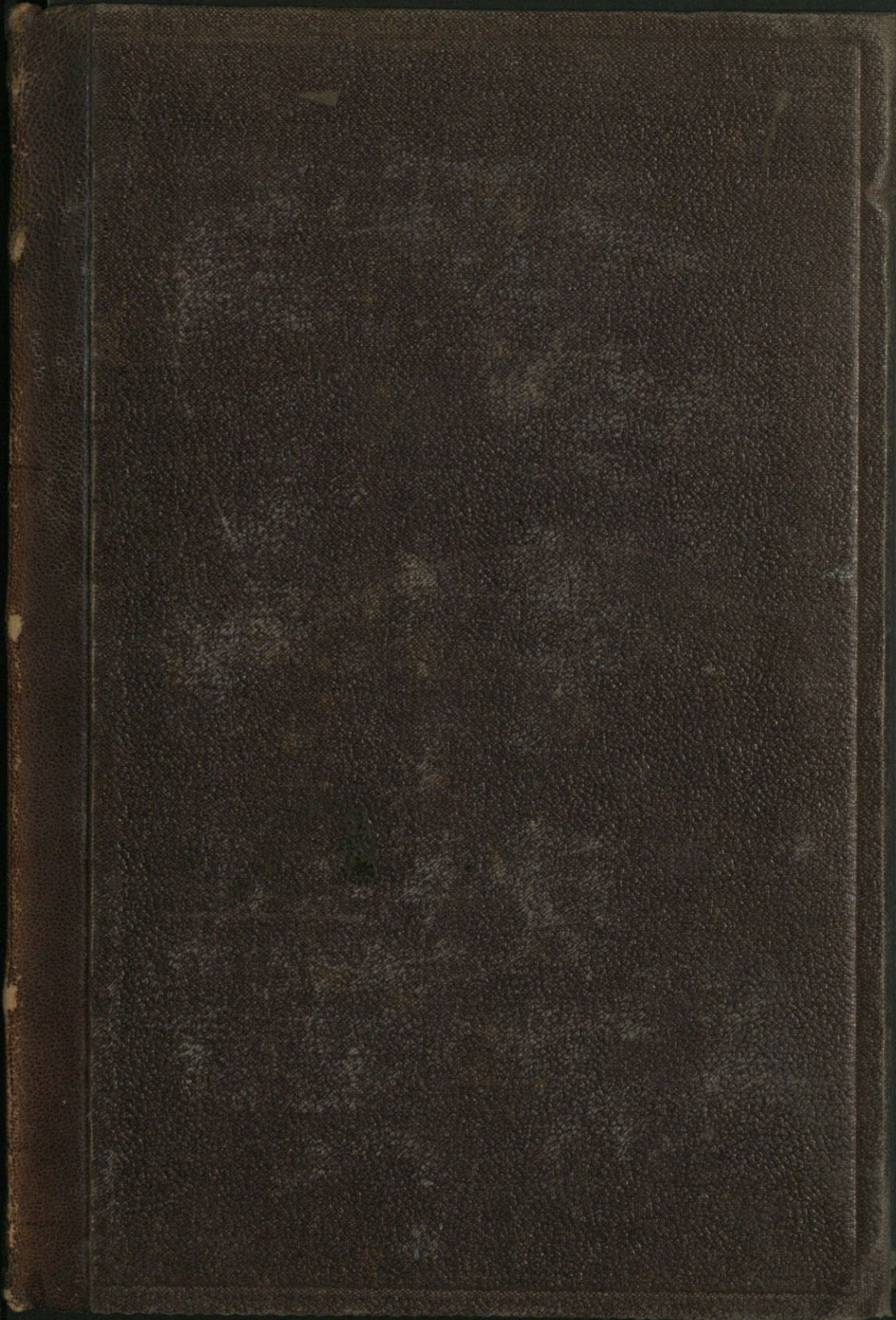


Grey Scale #13



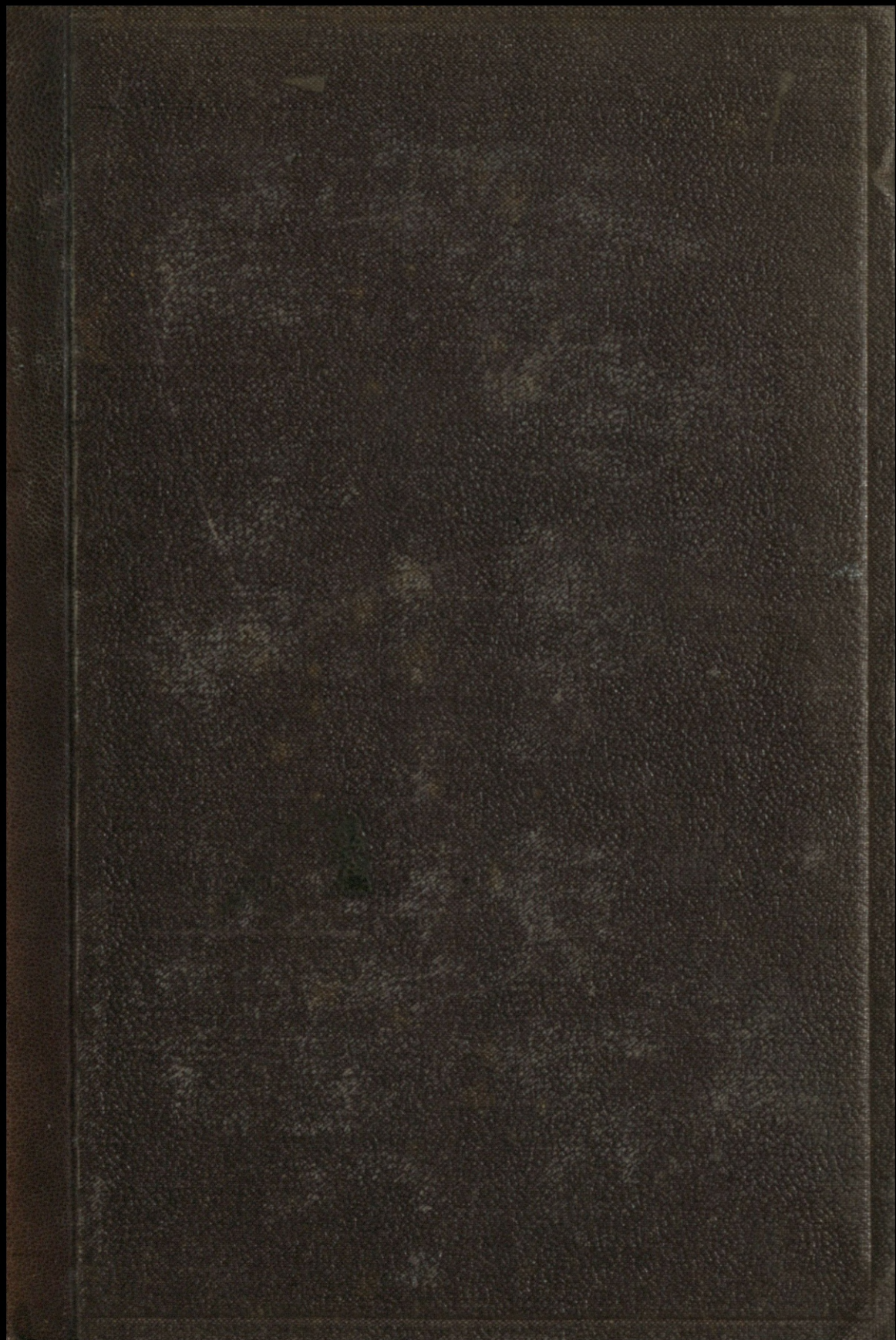
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black





Thiggobisv histoyemy
Yaulowdu Yanyoy.
Wamansa 1952.

HISTORIA
KONSULATU I CESARSTWA.

KAPITAŁ PO FRANCYJACH

WARSZAWA

WYDAWCA

WARSZAWA

HISTORIA

KONSULATU I CESARSTWA.

TOM VII

WARSZAWA,

Naczelny i drukarni S. ORSIELBRANDT-Księgarza i Typograf.

1858.

HISTORIA KONSULATU I CESARSTWA.

NAPISAŁ PO FRANCUZKU

A. THIERS

BYŁY PREZES RADY MINISTRÓW, CZŁONEK IZBY DEPUTOWANYCH
I AKADEMII FRANCUZKIĘJ.

Dzieło ozdobione rycinami.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

TOM VII.

WARSZAWA,

Nakładem i drukiem S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa.

—
1858.

9(44)

26604/2



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa d. 5 (17) Kwietnia 1858 r.

Starszy Cenzor, Sobieszczański.

IV KOT

WARSZAWA

1858

KSIEGA CZTERDZIESIĄTA PIĘRWSZA.

S O B Ó R.

Przyjście na świat króla Rzymskiego 20 Marca 1811. — Odroczenie obrzędu chrztu do miesiąca Czerwca. — Rozmaite okoliczności, które w tym czasie zasmucają Francję i tłumią wybuchy radości publicznej. — Podwojenie nieufności względem Rosyi, przyspieszenie uzbrojenia i surowość konskrypcji. — Kryzys handlowy i przemysłowy spowodowany mnogością wyrobów fabrycznych i zawikłaniem w prawach celnych. — Liczne bankructwa fabrykantów przędzy i tkanin bawełnianych, sukna, materij jedwabnych, rafinerji, i t. d. — Pomocze udzielone przez Napoleona handlowi i przemysłowi. — Do tych przyczyn przykrego położenia łączą się zamieszki religijne. — Usiłowania Papieża i części duchowieństwa dla zapobieżenia administracyi tymczasowej dycezyi. — Intrjgi p. kapitułach dla przeszkodzenia im udzielenia nowym prałatom charakteru wikariuszów kapitułnych. — Listy pasterskie Papieża do kapituł Paryża, Florencyi i Asti. — Przypadek odkrywający te listy. — Uwięzienie p. d'Astro: wygnanie gwałtowne p. Portali z łona Rady Stanu. — Surowość przeciw duchowieństwu, i poddanie się kapituł opornych. — Napoleon, widząc zagrażające niebezpieczeństwo odszczepienstwa, zamierza zwołanie soboru, i zebranie się jego naznacza w miesiącu Czerwcu, na dzień chrztu króla Rzymskiego. — Dalszy bieg interesów zagranicznych przed nastąpieniem chrztu i soboru. — Napoleon odbiera portfel interesów zagranicznych księciu Kadorskiemu i powierza go księciu Bassano. — Odjazd p. Lorystona dla zastąpienia w Petersburgu p. Kolekura. — Zwłoka naumyślna w jego podróży. — Rozmowy Cesarza Aleksandra z pp. Kolekurem i Lorystonem. — Cesarz Aleksander wiedząc, że uzbrojenia dotknęły Napoleona, wyjaśnia ich początek i obszerność, oraz stara się przekonać, że one nastąpiły później, a nie poprzedziły uzbrojenia Francyi. — Jego chęć szczerą pokoju, ale przytém niezmiennie postanowienie zatrzymania się względem blokady ładowej na środkach pierwiej przez niego przyjętych. — Napoleon z uczynionych przez Cesarza Aleksandra objaśnień wnosi, że wojna jest nieuchronną, ale nastąpi nie pierwiej jak za rok. — Obraca przeto więcj czasu na swe uzbrojenia i nadaje im większe rozmiary. — Robi wszelkie przygotowania dla rozpoczęcia wojny na wiosnę 1812 roku. — Zamiaty i kierunek jego dyplomacyi przy rozmaitych dworach Europejskich. — Stan dworu Wiedeńskiego od czasu małżeństwa z Maryją Ludwiką; polityka Cesarza Franciszka i p. Metternicha. — Prawdopodobieństwo przymierza z Austrją, jego warunki, stopień jego szczeroci. — Stan dworu Pruskiego. — Król Fryderyk Wilhelm, p. Hardenberg, ich niespokojność i ich polityka. — Danja i Szwecja. — Gorliwość Danji w popieraniu blokady ładowej. — Zła wiara Szwecyi. — Państwo to korzysta z pokoju udzielonego przez Francję dla stania się pośrednikiem handlu przemytniczego. — Skład towarów w Golenburgu, przeznaczony dla zastąpienia takiegoż składu na Heligolandzie. — Trudności odnoszące się do następstwa tronu. — Śmierć następcy tronu przysposobionego przez nowego króla Karola XIII, pozostawia ustępstwo wakuujące. — Liczne stronnictwa w Szwecji, i ich rozmaite widoki pod względem wyboru następcy tronu. — W swém zakłopo-

taniu, rozmaite stronnictwa jednoczą się nagle na korzyść księcia Ponte-Korwo (marszałka Bernadotte), spodziewając się t \acute{e} m pozyskać przychylność Francji. — Napoleon obcy wyhorowi, pozwala księciu Ponte-Korwo przyjąć go. — Zaledwo przybywszy do Szwecji, nowo wybrany, chcąc pochwilić ambicji swoich przyszłych poddanych, zamierza osiągnąć Norwegię, i podaje Napoleonowi propozycję ułatwienia mu jej zawojowania. — Napoleon, wierny Danji, odrzuca tę propozycję. — Usposobienie ogólne w Niemczech, w chwili kiedy zdaje się przysięgać wojna powszechna na północy. — Obok stawiania w gulowości swych armij i zawierania przymierzy, Napoleon zajmuje się czynnie sprawami wewnętrznymi. — Chrzczony króla Rzymskiego. — Wielkie uroczystości z tego powodu. — Przygotowania do soboru. — Pobudki, które skłoniły do zwołania raczej soboru narodowego niżeli powszechnego. — Kwestje mające być przedstawione na jego roztrzygnięcie. — Wszystkie je zamykają w jednej, to jest w kwestji potwierdzenia kanonicznego biskupów. — Przed zebraniem się soboru wystąpił trzech prałati do Sawony w celu porozumienia się z Pijusem VII i ażeby można było przedstawić sohorowi takie tylko wnioski, które przyjęte zostały przez stolicę ś. — Prałalami temi są Arcybiskup Turski (de Tours), Biskupi Nantski (de Nantes) i Trewski (de Trèves). — Podróż ich do Sawony. — Przyjęcie jakiego doznają od Papieża. — Pijus VII udziela pozwolenia pośredniego systematowi przedstawionemu co do potwierdzenia kanonicznego, a odracza urządzenie ogólne spraw kościoła do chwili, kiedy mu zwróconą zostanie jego wolność i jego rada. — Powrót trzech prałatów do Paryża. — Zebranie się soboru 17 Czerwca. — Usposobienia rozmaitych stronnictw składających sobór. — Ceremonjał, mowa przy otwarciu i przysięga wierności stolicy ś. — Prałaci wnet po sw \acute{e} m zebraniu się ożywni są wspóln \acute{e} m uczuciem politowania dla nieszczęść Pijusa VII i tajemnego wstrętu dla despotyzmu Napoleona. — Boj \acute{u} ż ich powstrzymuje. — Pierwsze posiedzenie soboru. — Projekt adresu w odpowiedzi na p $\acute{o$ stanie Cesarskie. — Trudności jego redagowania. — Na posiedzeniu, na którym roztrząsają ten adres, umyśli się zapalają i jeden z członków podaje wniosek udania się w komplecie do S \acute{e} klu dla domagania się uwolnienia Papieża. — Prezydujący wstrzymuje to poruszenie zawieszając posiedzenie. — Przyjęcie adresu po licznych poprawkach i odmówienie Napoleona przyjęcia go. — Rola pośredników przyjęta przez pp. Diuwożę, biskupa Nantskiego i Barsala arcybiskupa Turskiego. — Niezręczoność i pycha kardynała Feska. — Kwestja główna, to jest potwierdzenia kanonicznego, oddaną jest do rozpatrzenia kommissji. — Rozliczne zdania w łonie tej kommissji. — Pomimo usiłowań p. Diuwożę, większość członków skłania się przeciw prawomocności soboru. — Napoleon rozgniewany chce rozwiązać sobór. — Nakłaniają go do czekania ostatniego rezultatu. — P. Diuwożę skłania kommissję do przyjęcia za podstawę wniosków przyjętych przez Papieża w Sawonie. — Zdanie to przyjęte z początku, nie jest zatwierdzone ostatecznie jak z odwołaniem się na nowo do Papieża, które każe się domyślać nieprawomocności soboru. — Raport przedstawiony przez biskupa Turnejskiego, obudza burzliwą scenę w soborze i oznaki prawie buntownicze. — Napoleon rozwiązuje sobór i odsyła do Wessni biskupów Gandskiego, Tróaskiego i Turnejskiego. — Prałaci przestraszeni chcą wchodzić w układy. — Zbierają osobno ich zdania i gdy się przekonano o większości, zwołują znowu sobór na 5-go Sierpnia. — Zgromadzenie to wydaje dekret zgodny prawie z t \acute{e} m czego od niego żądano, ale z odwołaniem się do Papieża, które jednak nie pociągało za sobą nieprawomocności soboru. — Nowa deputacja kilku kardynałów i prałatów do Sawony, dla otrzymania przystąpienia Papieża do działań soboru. — Napoleon, znudzony tą kłótnią religijną, mierza t \acute{e} m do pozbycia się prałatów zgromadzonych w Paryżu, i do korzystania z deputacji wysłanej do Sawony dla otrzymania potwierdzenia dwudziestu siedmiu biskupów nominowanych a nie potwierdzonych. — Mając umysł całkiem zaprzątnięty zbliżając się wojną na Północy, nachlebia sobie, że zostawszy jeszcze raz zwyciężcą świat cały ulegnie jego przewadze. — Nowe objaśnienia z Rossją. — Rozmowa Napoleona z księciem Kutakinem, wieczorem 15 Sierpnia. — Rozmowa ta pozostawia m \acute{u} ż nadzieję pokoju i skłania Napoleona do czynniejszego jeszcze zajęcia się przygotowaniami. — Odprawienie czwartych i szóstych bataljonów. — Użycie sześćdziesięciu tysięcy opornych, których zmuszono do pełnienia służby. — Sposób nagięcia ich do karności wojskowej. — Skład czterech armij przeznaczonych na wojnę rosyjską i przygotowanie rezerwy dla Hiszpanji. — Podróż Napoleona do Hollandji i do prowincji Nadreńskich. — Plan obrony Hollandji. — Obecność Napoleona służy za pretekst do skupienia w jedno miejsce ciężkiej kawalerji i do wystania jej na Elbę. — Sztyfowanie ułanów. — Przegląd wojsk przeznaczonych na wojnę rosyjską. — Pobyt w Weselu w Kolonji i w miastach nadreńskich. — Sprawy rozliczne, któremi Napoleon zajmuje się w przejeździe. — Układ z Prusami. — Poseł francuzki odwołany ze Szokolmu. — Ciąg dalszy i koniec pozorny kłótni religijnej. — Przyjęcie przez Pijusa VII dekretu soboru, z pobudek nie zupełnie odpowiednich życzeniu Napoleona. — Ten ostatni przyjmuje przystąpienie Papieża, ale bez pobudek, i odsyła do swoich dycezij prałatów, którzy składali sobór. — Powrót jego do Paryża w Listopadzie i pilność jego w zafatwieniu wszystkich spraw wewnętrznych, ażeby nie pozostawić nic w zawieszeniu przed wyprawą rosyjską.



śród wypadków tak rozmaitych i tak powikłanych, których opisanie dopiero co czytaliśmy, Napoleon ujrzał urzeczywistnienie jednego z najgorętszych życzeń swoich: otrzymał on od Opatrzności dziedzica w prostej linii swojego rodu, syna, którego Francja pożądała, i którego on sam nie przestawał spodziewać się z pełną ufnością w swe losy.

19 marca 1811, około godziny 9-jej wieczorem, Cesarzowa Maryja-Ludwika, po szczęśliwój brzemienności, uczuła pierwsze boleści porodu. Biegły akuszer Diubó (Dubois) pospieszył do niój natychmiast, a za nim wielki lekarz owój epoki, p. Korwizar (Corvisart). Lubo młoda matka była doskonale zbudowaną, porodowi towarzyszyły okoliczności nie zupełnie zaspakajające, i p. Diubó nie mógł się ochronić od pewnej niespokojności, myśląc o odpowiedzialności, jaka ciążyła na nim. Napoleon, widząc z zwykłą jemu przenikliwością, że trwoga operatora może się stać niebezpieczną dla matki i dla dziecicia, starał się ulżyć mu ciężaru téj odpowiedzialności. Wyobrażaj sobie, rzekł do niego, że jesteś przy porodach kupców z ulicy ś. Djonizjusza; nie więcej tu zrobić nic możesz, a w każdym razie ratuj najprzód matkę. Zobowiązał p. Korwizara, żeby nie opuszczał p. Diubó, i sam nie przestawał okazywać najtkliwszych starań młodej Cesarzowój, oraz przyjaznemi słowy zachęcać ją do znoszenia wytrwale cierpień. Wreszcie nazajutrz rano, 20 Marca, to dziecic, któremu obiecane było tak wysokie przeznaczenie, a które potem znalazło tylko na swój drodze wygnanie i śmierć w kwiecie wieku, przyszło na świat bez żadnego z nieszczęśliwych wypadków, których się lękano. Napoleon wziął je na swe ręce z radością, z czułością i gdy się dowiedział, że to dziecic płci męskiej, doznał uczucia dumy, które zabłyśło na jego twarzy, jak gdyby Opatrzność udzieliła mu w téj okoliczności tak ważnej, nowój i wyraźniejszej oznaki swój opieki. Przedstawił nowonarodzonego swój rodzinie, swojemu dworowi i oddał go potém w ręce pani Monteskju (Montesquieu), mianowanój ochmistrzynią dzieci Francyi. Działa hotelu Inwalidów zaczęły wnet ogłaszać stolicy urodziny następcy, przeznaczonego do panowania nad większą częścią Europy. Zapowiedziane było pierwój jeszcze, że jeżeli nowonarodzone dziecic będzie płci męskiej, liczba strażów armatnich nie będzie dwadzieścia jeden, ale sto jeden. Ludność opuściwszy

domy i wybiegłszy na ulice, liczyła z największą skwapliwością rozlegające się strzały. Kiedy dwudziesty drugi strzał dał się słyszeć, uczuła ona tyle prawie radości, co w najpiękniejszych epokach panowania, i pomimo wielu przyczyn smutku, z których jedne już są znane, drugie wkrótce damy poznać, ludność ta szczęśliwą była, widząc ten zakład trwałości udzielony przez Opatrzność dynastji Napoleona. Jednakowoż, nie było to wylanie się radości i zapału pierwszych czasów, kiedy widziano jedynie w Napoleonie zbawcę społeczności, odnowiciela ołtarzów, sprawcę wielkości narodowej, niewyciężonego i mądrego wojownika, który walczył tylko dla otrzymania chlubnego i trwałego pokoju. Pospępane trwogi, zrodzone przez ten gienjusz nieznaający umiarkowania, oziębły przychylnie uczucia, nabawiły niespokojności i napełniły bojaźnią przezornych. Jednakowoż, oddano się jeszcze radości i odzyskano ufność w przeznaczenie wielkiego człowieka, któremu niebo zdawało się tak wyraźnie sprzyjać.

Wedle dekretu, który stanowił Rzym drugim miastem państwa, i na wzór dawnych zwyczajów giermańskich, gdzie książę przeznaczony do następstwa tronu, zwał się królem Rzymian, nim przyjął tytuł Cesarza, nowonarodzony książę nazwany został królem Rzymu, a chrzest jego, który się miał odbyć z równą uroczystością jak koronacja, naznaczony został na miesiąc czerwiec. W obecnej chwili, poprzesztano na obrzędzie chrześcijańskim ochrzczenia z wody, i dano tylko wiedzieć o tym szczęśliwym wypadku rozmaitym ciałom państwa, departamentom i wszystkim dworom europejskim.

Szczególne igrzysko losu! ten następca tak pożądany, tak uroczyste przyjmowany, przeznaczony do uwiecznienia Cesarstwa, przybywał właśnie w tej chwili, kiedy to ogromne Cesarstwo, skrycie podminowane ze wszystkich stron, zbliżało się do kresu swojego trwania! Mało umysłów wprawdzie umiało dostrzedz przyczyn głęboko ukrytych bliskiego jego upadku, ale tajemne trwogi przejęły massy, i uczucie bezpieczeństwa znikło w nich, chociaż uczucie uległości trwało jeszcze w całej swój mocy. Odgłos wielkiej wojny na Północy, wojny, której wszyscy instynktowie się lękali, zwłaszcza przed ukończeniem wojny hiszpańskiej, rozszedł się wszędzie i obudził powszechną niespokojność. Konskrypcja, następstwo tej nowej wojny, odbywała się z największą surowością; nadto, kryzys gwałtowny ciążył w tej chwili nad handlem i przemysłem, wreszcie kłótnia religijna zdawała się zajątrzać i rodziła obawę nowego odszczepieństwa. Takie to były rozliczne powody, które wpływały dość przeważnie na zamęcenie radości, pochodzącej z urodzin króla Rzymskiego.

Napoleon przeszedł jednym razem z uzbrojenia powolnego przeciw Rosyji do uzbrojenia pospiesznego, jak gdyby wojna miała się zacząć latem lub jesienią tegoż samego 1811 roku. W istocie, Rosja, która się ograniczała dotąd na szpaniu szańców nad brzegami Dźwiny i Dniepru, na przeprowadzeniu pewnej części wojsk z Finlandji do Litwy, niepodobnych wprawdzie do ukrycia, ale łatwych do usprawiedliwienia sposobem powierzchownym, Rosja dowiadując się ze wszystkich stron o rozwinięciu codzien obszerniejszém i szybszém przygotowań Napoleona, skłoniła się wreszcie do użycia najważniejszego środka, najbardziej przykrego dla niej, najwięcej znaczącego dla Europy, to jest, do osłabienia swojej armii dunajskiej, co miało zawiesić tak gorąco pożądane zdobycie Wołoszczyzny i Mołdawji. Na dziewięć dywizyj działających w Turcji, odwołała ona pięć z których trzy aż do Prutu, dwie aż do Dniepra. Wiadomość o tym ruchu wstecznym, udzielona przez naszych agentów dyplomatycznych, przebywających w prowincjach Naddunajskich, sprawiła na umyśle Napoleona wielkie wrażenie. W miejscu tego coby się miał ograniczyć widzeniem w podobnej czynności bojaźni, którą sprawiał, sam się przeląkł i sądził, że odkrywa w tém postępowaniu Rosji dowód zamiarów nie obrony, ale napaści. Był to błąd; lecz przywykły do nienawiści Europy, do zdrad, jaką ta nienawiść często sprowadzała, podejrzywał tajemny układ Rosji z jego nieprzyjaciółmi otwartymi lub sekretnymi, mianowicie z Anglikami, i sądził że to nie będzie zawczasie przygotowywać się do wojny na miesiące lipiec i sierpień bieżącego roku. Tym sposobem w miejscu zaradzenia złemu wstrzymując uzbrojenia i mogąc je znowu rozpocząć w razie gdyby nie otrzymał zadawalającego objaśnienia, pogorszył go powiększając i przyspieszając swe przygotowania, takim sposobem, że nie można było ich ani ukryć, ani usprawiedliwić.

Postanowił już był posłać nad Elbę czwarte bataljony, gdyż, jak powiedzieliśmy wyżej, pułki marszałka Dawu (Davout) liczyły tylko po trzy bataljony obecne w korpusie; postanowił wysłać je niezwłocznie i utworzyć szósty batalijon w tych pułkach, (gdyż piąty zostawał w zapasie), coby stanowiło dla nich pięć bataljonów zdatnych do służby czynnej. Marszałek Dawu tak pilnie się zajmował, odtąd jak zostawał na Północy, udzieleniem swojemu wojsku ćwiczeń teoretycznych, odpowiednich ćwiczeniom praktycznym, że łatwo było znaleźć pomiędzy niemi kadry szóstego, nawet siódmego bataljonu na pułk, w podoficerach umiejących czytać i pisać i którzy walczyli już w całej Europie. Dla przyspieszenia organizacji tych szóstych

bataljonów, Napoleon kazał wysłać kadry z nad brzegów Elby na spotkanie rekrutów odprawionych z nad brzegów Renu; wysłał nadto odzież, trzewiki, broń do Wezelu, Kolonji i Moguncji, ażeby żołnierze przechodząc tamtędy mogli się zaopatrzyć we wszystkie potrzeby. Spodziewał się tym sposobem uzupełnić pięć dywizyj francuzkich w korpusie marszałka Dawu, nie licząc szóstej dywizji, która miała być polską, utworzoną z wojska gdańskiego, które miano wkrótce powiększyć. Nakazał zakupienie koni, szczególnie w Niemczech, woląc raczej wyczerpać ten kraj niżeli Francję, ściągnął z ich leż kirassyjerów, szasserów, huzarów, przeznaczonych na wojnę rosyjską, i zalecił pułkownikom przygotować się do przyjęcia koni i ludzi, ażeby postawić swe pułki na stopie wojennej. Sądząc że nie będzie miał dosyć czasu do uzupełnienia pięciu a nawet czterech bataljonów w korpusie Nadreńskim, złożonym, jak powiedzieliśmy, z starych dywizyj, które służyły pod Lann'em i Masseną, i które rozmieszczone były w Hollandji i Belgji, kazał utworzyć w ich łonie bataljony wyborowe, w których mieli być pomieszczeni najlepsi żołnierze każdego pułku. Wydał też same rozkazy dla wojska włoskiego; zalecił połączenie i postawienie na stopie wojennej wszystkich korpusów staréj i młodéj gwardji, które nie były w Hiszpanji; napisał do wszystkich książąt ligi nadreńskiej o dostarczenie mu posiłków, i postawił się tym sposobem w możności wystawienia, na miesiąc lipiec i sierpień, 70,000 piechoty nad Elbą, 45,000 nad Renem, 40,000 w korpusie włoskim, więcéj 12,000 gwardji Cesarskiej (w ogóle 167,000 wybornej piechoty), nadto, 17 do 18,000 huzarów i szasserów, do 6,000 kawalerji gwardyjskiej (w ogóle 39 do 40,000 najpiękniejszej kawalerji), nakoniec do 24,000 artyllerji, mogącéj mieć z sobą 800 dział, nie licząc 100,000 Polaków, Sasów, Bawarczyków, Wirtemberczyków, Badeńczyków, Westfalczyków, co stanowiło więcéj 300,000 żołnierzy, zupełnie przygotowanych do rozpoczęcia wyprawy za dwa miesiące.

Napoleon odwołał z Hiszpanji marszałka Ney'a, któremu chciał powierzyć dowództwo części wojsk zebranych nad Renem. Resztę tych wojsk przezmaczył marszałkowi Udino (Oudinot), który się już był udał do Hollandji. Odwołał nadto z Hiszpanji generała Monbrę (Montbrun), którego czyny w Fuentes d'Onoro i w wielu innych spotkaniach wskazywały jako jednego z pierwszych generałów kawalerji owéj epoki.

Lękając się nagłéj napaści na Księstwo Warszawskie ze strony Rossjan, Napoleon zlecił królowi Saskiemu i księciu Poniatowskiemu

namiestnikowi króla Saskiego w Polsce, ażeby przenieśli całą artylleryję, wszelką amunicję, wszystkie zapasy wojenne, z miejsc bezbronnych lub słabo bronionych do fortec nad Wisłą, jakimi były Modlin, Toruń, Gdańsk, i z tego względu przytaczał jednemu i drugiemu przykład Bawarii, do której Austriacy zawsze wchodzili pierwój od Francuzów, ale z której musieli ustępować prawie natychmiast, nie mogąc zachwyćć żadnej części zasobów wojennych. Zalecił królowi Saskiemu trzymać w gotowości wojska saskie, ażeby mógł wysłać je rychło nad Wisłę obok wojsk księcia Poniatowskiego. Pierwsze i drugie miały zostawać pod dowództwem marszałka Dawu, który miał rozkaz, na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa, posunąć się nad Wisłę z 150,000 żołnierza, z których 100,000 Francuzów miały zająć stanowisko od Gdańska do Torunia, a 50,000 Sasów i Polaków od Torunia do Warszawy. Z takimi środkami można było odeprzeć wszelkie zaczepne działanie Rossjan, a nawet je uprzedeć.

Ażeby zapełnić swoje kadry, Napoleon zmuszony był przyspieszyć powołanie konskrypcji z 1811, zapowiedzianej od miesiąca stycznia. Ale nie przestał on na tym środku, chciał odzyskać zaległość konskrypcij uprzednich, składającą się najmniej z 60,000 opornych, którzy nie stanęli byli w szeregach. Konskrypcja nie weszła jeszcze była w nasze obyczaje, jak przenikła w nie później, a surowość, z jaką była naówczas dokonywana, smutny los żołnierzy powołanych, którzy przed dojściem wieku męzkiego szli ginąć w Hiszpanji, częścię z nędzy jak na polu bitwy, nie mogły usposobić ludności do poddania się jej z ochotą. W pewnych prowincjach, a szczególniej w zachodnich, środkowych i południowych, gdzie nie zbywało na waleczności, ale gdzie uległość władzy centralnej była mniej ugruntowaną, opierano się konskrypcji, i we wszystkich epokach znajdowały się tam massy opornych, którzy wzbraniłi się stawać na wezwanie prawa, lub opuszczali szeregi po stawieniu się. Przebiegali oni lasy, góry, wszędzie protegowani przez ludność, a niekiedy nawet stawili czoło żandarmom. Ludzie ci, nie będąc bynajmniej tchórzami lub niedołęźnemi, stanowili przeciwnie część najmężniejszą, najśmielszą, najbardziej awanturniczą ludności, i w miarę nawet swojej energii, najtrudniejszą do nagięcia pod jarzmo nowych praw. Był to ten sam rodzaj ludzi, którzy w Wandei dostarczali żołnierzy do powstania rojalistowskiego. Silniejsi charakterem, byli niemi takż wiekiem, gdyż większa część ich od wielu lat zostawała w tym stanie niekarności. Różnemi czasy zdołano przez amnestje, ścigania, wycieczki żandarmerji ująć, może ze 20,000 tych ludzi z liczby 80,000; ale zostawało jeszcze ich w rozma-

tych prowincjach Francji najmniej 60,000 i wiele zależało na tém, sprowadzić ich do wojska, tak z powodu ich przymiotów osobistych, jak dla oswobodzenia od nich kraju, z powodu ich sposobności do tworzenia nowój *szuanerji*, gdyż wszyscy oni prawie należeli do departamentów, w których się przechowały dawne zarody rojalizmu.

Napoleon, któremu nie zbywało na środkach, gdy szło o dopięcie celu, utworzył dziesięć do dwunastu kolumn ruchomych, złożonych z lekkiej kawalerji i piechoty, i wybranych pomiędzy najstarszemi wojskami, umieścił je pod rozkazami doświadczonych jenerałów, przyłączył do nich oddziały żandarmerji dla przewodniczenia im, i nakazał im ściąganie najczynniejsze opornych. Kolumny te upoważnione były do traktowania po wojskowemu prowincyj, które przebiegać miały, oraz do stawienia żołnierzy na załodze u rodzin, których dzieci nie stawiały się na wezwanie. Żołnierze ci mieli być trzymani na kwaterze, karmieni i opłacani przez rodziców żołnierzy opornych, dopóki ci nie oświadczyliby swój uległości. Stąd to poszło nazwisko *garnizerów*, którego się bardzo lękano w owym czasie. Jeśli się zastanowimy, że te kolumny skłonne były, ze składu swego, do uważania odmowy służby wojskowej za występki razem haniebny i zbrodniczy, skutkiem którego ciężary wojny musieli znosić wyłącznie starzy żołnierze, jeśli pomyślimy, że one za granicą przejęły obyczaj postępowania jako zdobywcy w kraju zwyciężonym, pojmiemy łatwo, że one musiały się dopuścić nie jednego nadużycia, chociaż były we własnej ojczyźnie, i że ich przechody, łącznie z nieprzyjemnością powołania do wojska z roku 1811, musiały w różnych prowincjach mieszkańców zasmuconych konskrypcją doprowadzać do rozpacz.

Prefekci, którzy mieli polecenie nadawać umysłom kierunek sprzyjający rządowi, byli zatrwożeni, a wielu z nich było strapiionych z powodu takowego środka. Jednakowoż, niektórzy z nich, chcąc gorliwość swą uczynić odpowiednią spotykanym trudnościom, dalej się jeszcze posunęli w wykonywaniu rozkazów wyższej władzy, i pobudzali, w miejscu wstrzymywania, kolumny zajęte ściąganiem opornych. Niektórzy jednak byli tak uczciwemi, że przekładali prośby na korzyść biednych rodziców, których gnębiono, a pomiędzy niemi p. Lezej-Marnezia, w departamencie niższego Renu, miał odwagę oparcia się całemi siłami jenerałowi przeznaczonemu do kierowania kolumnami w jego departamencie i napisania do ministra policji listów bardzo energicznych, przeznaczonych do okazania samemu Napoleonowi. Ale większa część tych wysokich urzędników, jęcząc potajemnie, przestawała, w miejscu cnotliwego wstawienia się, na tém, że

nie przydawała nic do surowości przepisanych środków i wolała raczej wykonywać odebrane rozkazy, niżeli zrzec się swoich urzędów.

Jeśli ludność wiejska miała swe przykrości, ludność też miast miała swoje. Przykry ten stan pochodził z ciężkiego bardzo kryzysu przemysłowego i handlowego. Opisałiśmy już wyżej środki razem zręczne i gwałtowne, które Napoleon obmyślił dla wzbronienia handlowi angielskiemu przystępu do łądu, albo dla otwarcia go mu za opłatą nadzwyczaj wysoką, na korzyść skarbu cesarskiego. Środki te otrzymały, jeśli nie zupełnie taki skutek, jakiego się po nich spodziewał Napoleon, to przynajmniej taki, jakiego słusznie po nich można było oczekiwać, zwłaszcza gdy dla dobrego powodzenia, należało iść wbrew interessom, upodobaniom, skłonnościom, nie tylko jednego narodu, ale prawie całego świata. Oprócz pewnej ilości kontrabandy wprowadzonej przez Szwedów, którzy tajemnie przewozili towary kolonialne z Gotenburga do Stralsundu, oprócz innej jeszcze wprowadzonej przez Stare Prusy, już to z powodu niedozoru, już ze złej woli; wreszcie oprócz niektórych jeszcze towarów wprowadzonych do Rossji pod banderą amerykańską, jedne i drugie, zmuszone przechodzić z Północy na Południe, pośród tysiąca niebezpieczeństw schwytania, ulegając ogromnym kosztom przewozu i opłacając wysokie cła; oprócz powiadam tych rzadkich wyjątków, żadna znaczna ilość cukru, kawy, bawełny, indygo, drzewa, towarów zagranicznych, nie mogła wyjść z Anglii i zmniejszyć zgubne nagromadzenie, jakie się utworzyło w Londynie. Położenie to, które już wyżej opisaliśmy, bardziej się jeszcze pogorszyło. Fabrykanci Manczesteru, Birminghamu i wszystkich miast rękodzielniczych Anglii, mijając jak zwykle cel przedstawiony ich chciwym pożądaniam, wyprodukowali trzy lub cztery razy więcej towarów, niżeli osady wszystkich narodów spożyłyby ich zdołały. Okręty wysłane z Liwerpolu zmuszone były odwieść do Europy część swego ładunku. Mała liczba ich, która potrafiła zbyć swoje, otrzymała w zamian artykuły kolonialne, które pozostawały niesprzedane w magazynach londyńskich, i spadały z ceny do tego stopnia, że koszta jak powiedzieliśmy, strzeżenia i pomieszczenia tych towarów, przenosiły znacznie ich wartość. Na ten to zastaw jednakże bank eskontował papiery fabrykantów, i udzielał ich wartość w biletach, których wzrastająca coraz liczba groziła co dzień bankructwem. W r. 1811, stan ten pogorszył się do tego stopnia, że Parlament angielski, z bojaźni ogólnego bankructwa, postanowił przynieść pomoc handlo-

wi pożyczką 6 milionów szterlingów (150 milionów franków), które miały być rozdane pomiędzy fabrykantów i kupców, najbardziej tą klęską dotkniętych. Położenie takie, podtrzymywane jeszcze czas jakiś, musiało się skończyć nieuchybnie albo na bankructwie finansowém i handlowém, albo na żądzy pokoju, której rząd nie mógłby się oprzeć.

Ale nie masz walki na tym świecie, jakkolwiek by ona prowadzona była bronią, w której bez szkody własnej można byłoby szkodzić drugiemu. Napoleon nie mógł odeprzeć do Anglii tyle płodów przyjemnych, pożytecznych lub potrzebnych narodom lądowym, nie przyczyniwszy dużo wstrząśnień, jakoż wywołał we Francyi i innych sąsiednich krajach kryzys handlowy i przemysłowy, również gwałtowny, lubo szczęściem mniej trwały, niżeli ten, co się dał uczuć Anglii. Oto jakim sposobem ten kryzys został sprowadzony.

Tkaniny bawełniane zastąpiwszy po większej części tkaniny konopne i lniane, nadewszystko od czasu kiedy zdołano wyrabiać je środkami mechanicznymi, stały się najobszerniejszym z przemysłów Europejskich. Rękodzielnicy francuzcy, mając do zaopatrzenia dawną i nową Francję, oraz prawie cały stały ląd, spodziewali się odbytów nadzwyczajnych, i stosowali swe przedsięwzięcia do tych przypuszczalnych odbytów. Spekulowali oni bez miary na zaopatrzenie wyłączne stałego lądu, jak Angliacy rachowali na osady angielskie, francuzkie, hollenderskie i hiszpańskie. W Alzacji, Flandrji, Normandji, warstatały do przędzenia, tkania i drukowania bawełny, rozmnożyły się z nadzwyczajną szybkością. Ponieważ korzyści były znaczne, przedsięwzięcia naturalnie odpowiednie były tym korzyściom, a nawet nieskończenie je przewyższyły. Przemysł bawełniany, pod wszystkimi swemi postaciami, nie był jedyny, co wziął podobne rozmiary; przemysł sukieniczny, licząc na wyłączenie sukien angielskich, na posiadanie wyłączne wełny hiszpańskiej, zapomniał także na wszelką miarę w rozciągłości danej jego fabrykacji. Przemysł stolarski rozwinął się też bardzo, gdyż meble francuzkie robione wtedy według wzorów starożytnych, były przedmiotem powszechnego zamiatowania, a przytém drzewo zagraniczne, będąc z liczby płodów, których przywóz był dozwolonym, przyczyniło się do taniości wyrobów. Dozwolenie wprowadzania skór, przyczyniło się też do rozwoju przemysłów, których skóry są materjałem. Drobnie sprzęty francuzkie, bardzo ozdobne, ale niższe pod względem dobroci stali od angielskich, korzystały także, równie jak inne przemysły, z wyłączenia Anglików. Znaczne

korzyści zachęciły i przyprowadziły te próby do nadzwyczajnych rozmiarów.

I nie tylko do fabrykacji tych rozmaitych wyrobów skierował się ów chwilowy popęd, ale też do wprowadzenia materiałów pierwszych, służących do ich tworzenia.

Biegano po wszystkich rynkach, gdzie wiedziano że się ma przedawać cukier, kawa, bawełna, indygo, drzewo, skóry; ubiegano się o najmniejszą ich ilość wprowadzoną na ląd stały, i spekulowano szalenie na te przedmioty. Papiery publiczne były zaniechane, ponieważ było ich nie wiele i prawie niezmiennych w swęj wartości, odtąd jak Napoleon utrzymywał rentę pięć za sto na 80 franków przez wpływ tajemny skarbu nadzwyczajnego. Akcje bankowe, jedyne papiery publiczne zajmujące miejsce obok rent na państwo, chwiały się pomiędzy 1,225 a 1275 franków, na dochód 50 do 60 franków, i nie przechodziły nigdy tych ostatecznych kresów. Nie było więc tam nic takiego, coby mogło zwabić spekulantów, gdyż im potrzeba wielkich nadziei zysku, nawet za cenę wielkich niebezpieczeństw straty, rzucili się przeto na towary kolonialne, posiadające te warunki w najwyższym stopniu. Spekulowano więc namiętnie na cukier, kawę, bawełnę, indygo; spieszono do Antwerpii, Moguncji, Frankfurtu, Medjolanu, gdzie rząd kazał przedawać towary przywiezione na wozach artylleryjskich, które przewoziły bomby i kule nad brzegi Elby, a zabierały stamtąd cukier i kawę. Drzewo nawet, o którym wiedziano, że nieodbicie potrzebném było dla Napoleona do licznych okrętów, które się budowały na wszystkich warstatach Cesarstwa, stało się przedmiotem niepomiarkowanego przekupstwa, a na ruchomym i niebezpiecznym gruncie tych spekulacji budowano świetne fortuny, ukazujące się i znikające kolejno przed oczyma zdziwionęj, odurzonęj i zazdrośnej publiczności.

W tak wielkim popędzie, roztropność była naturalnie cnotą najmniej zachowywaną, i spekulowano nie tylko nad potrzeby konsumpcji, ale także nad środki opłaty. Wówczas gdy przemysł wydawał więcej niżeli mógł sprzedać, przekupnie pierwszych materiałów starali się kupować ich daleko więcej, niżeli przemysł mógł ich użyć, a nieuchronném następstwem tego było, że cena tych przedmiotów podniosła się nadzwyczajnie. Dla opłacenia wszystkich tych nieroztropnych kupi, utworzono środki sztuczne kredytu. Tym sposobem jeden dom paryzki, zajmujący się handlem drzewa budowlowego i towarów kolonialnych, zaciągnął pożyczkę wynoszącą do półtora miliona franków miesięcznie na jeden dom amsterdamski, który mu użyczał swego

kredytu; ten ostatni zaciągnął pożyczkę na inne domy, a te znowu pó kolei dla odzyskania należności zaciągały na Paryż; utworzono tym sposobem źródła urojone, które w języku handlowym zowią *papierem obiegowym*. Policja szpiegując wszystko, ale nie rozumiejąc wszystkiego, sądziła że ukrywa się w tym wybiegu handlowym jakiś zamach stronnictwa, o czém pospieszyła uwiadomić Cesarza. Ten zaintrygowany z początku, uspokoił się później, dowiadując się od ministra skarbu o tajemnicy tego mniemanego spisku (1).

Nie zachowano więc ostrożności w sposobie używania tych zysków, niżeli w środkach ich nabycia. Nowo-wzbogaceni pospieszyli z chlubieniem się majątkiem tak prędko nabytym, i zaczęli kupować z kasy umorzenia hotele, zamki dawniej szlachty, które państwo odziedziczyło pod tytułem dóbr narodowych. Nie kupowano ich jak przedtém za niską cenę i assygnatami, ale za gotowe pieniądze, za wielkie pieniądze, i to bez skrupułu, gdyż dwadzieścia lat ubiegłych od czasu konfiskacji podało w niepamięć niesprawiedliwość państwa i nieszczęście dawnych posiadaczy. Tego to źródła sprzedaży dóbr Napoleon używał od czasu doczasu dla dokompletowania swojego budżetu, nadewszystko w krajach podbitych, i którego kassa umorzenia dostarczała mu, sprzedając w porę, potrochu, i z należytą ostrożnością dobra nieruchome, oddawane do jęj rozporządzenia. Znajdowali się w Paryżu fabrykanci słusznie z bogaceni przez swą pracę, spekulanci na towary kolonialne, z bogaceni mniej zaszczytnym sposobem, którzy posiadali najpiękniejsze dobra, i najlepiej zabezpieczone (2).

Ten wylew spekulacyj, nagłych fortun, niepomiarkowanych uciech, rozpoczął się już był przed kilką laty, wstrzymał się był na chwilę w roku 1809, skutkiem wojny z Austryją, rozpoczął się na nowo od pokoju wiedeńskiego, rozwinął się bez przeszkody i bez miary w ciągu roku 1810, i zakończył się wreszcie na początku 1811 klęską nieuchronną, która następuje zawsze po wybozczeniach przemysłowych i handlowych tęg natury.

Od niejakiego czasu utrzymywano się już tylko kredytami zmysłownemi, których wzajemnie sobie użyczano, nadewszystko pomiędzy

(1) Znalazłem całą korespondencję ministra policyi i ministra skarbu co do tego szczególniejszego faktu, który niepokoił czas długi władzę, nim ta potrafiła go sobie wyjaśnić.

(2) W korespondencji to takż ministra skarbu, rozbierającego dla Napoleona przyczyny większej części ówczesnych upadłości, znalazłem dowód tego faktu ciekawego i godnego uwagi.

Hamburgiem, Amszterdamem i Paryżem, kiedy ostatnia sprzedaż, wykonana w Antwerpji na rachunek rządu, i zależąca na towarach amerykańskich, ściągnęła wielką liczbę kupujących. Szło blisko o 60 milionów towarów do kupienia i opłacenia. Napoleon, postrzegając brak kapitałów, który się zaczął okazywać, udzielił terminów do opłaty; ale wszyscy postrzegli ten niedostatek, i nie potrzeba było więcej dla zrodzenia nieufności. W tymże samym czasie, znaczne domy w Bremie, Hamburgu, Lubece, które się zajmowały handlem, mniej lub więcej godziwym towarów kolonialnych, ściesznione najprzód blokadą lądową, później sparaliżowane całkiem przyłączeniem ich do Francji, upadały, lub zrzekały się dobrowolnie interesów. Ten zbieg okoliczności sprowadził wreszcie kryzys. Wielki dom w Lubece dał hasło upadłości. Najdawniejszy, najbardziej szanowany z domów Amszterdamskich, który, znęcony znacznymi korzyściami, dał się wciągnąć do użyczenia swego kredytu najrzykowniejszym kupcom paryzkim, poszedł za tém nieszczęśliwém hasłem, które wyszło z Lubeki. Domy paryzkie, co się utrzymywały ze źródeł, jakich im dostarczał ten dom hollenderski, ujrzały wnet sztuczność swego istnienia odkrytą przed oczyma wszystkich. Zaczęły się one uzalać, głośno narzekać, i zwróciły się, błagając o pomoc, do rządu. Napoleon, który znał dobrze, nie wydając się z tém, udział, jaki miał w tym kryzysie, i który nie chciał, ażeby urodziny następcy tronu, którego tak pożądanego, którego dopiero co otrzymano, i którego chrzciny miało obchodzić z taką uroczystością, połączony był z smutnymi wypadkami, pospieszył z oświadczeniem, że był gotowym przynieść pomoc domom zagrożonym. Chciał bardzo słusznie uczynić to prędko i bez rozgłosu, ażeby uczynić skutecznie. Nieszczęściem, przekonanie osobiste jego ministra skarbu, i dziwna próżność jednego z domów poratowanych, stanęły na przeszkodzie do uskutecznienia w całej rozciągłości jego zamiarów. P. Molljan przeciwny wybiegom nawet pożytecznym, zbijał w teorji zasadę pomocy udzielanych handlowi. Napoleon, pomimo jego dowodzeń, rozkazał mu przynieść pomoc pewnej liczbie domów. Ale minister mszcząc się swęj przegranej, zaprzeczał tym domom albo bezpieczeństwa załogu, jaki przedstawiały, albo możności ich wyratowania. Stąd wynikła znaczna strata czasu. Nadto, jeden z tych domów, chlubiąc się z dobrodziejstwa, z którego sam dobroczyńcą się nie chlubił, rozgłosił co rząd dla niego uczynił. Wtedy wszelka korzyść pomocy prędkich i tajemnych była straconą. Dowiedziano się, że się znajdowano w kryzysie, i oddano się zwykłej panicznej bojaźni. Wkrótce był to chaos domów upadających

jeden na drugi, i pociągających się wzajemnie w swym upadku. Napoleon, według swojego zwyczaju, nie będąc zatrwożony trudnościami, przyniósł publicznie wsparcie i to wielokrotnie głównym domom zagrożonym, pomimo wszystkiego co mu powiadał minister skarbu. Ale miał przyjemność wyratowania małej tylko liczby kupców i fabrykantów, których los go obchodził.

Domy spekulujące na cukrze, kawie, bawełnie, drzewie budowlowém, najpierw zostały dotknięte. Za nimi poszły te, które nie spekulowały na pierwsze materiały, ale które przędły, tkwały, malowały płócienna bawełniana nad potrzebę konsumpcji, i które żyły kredytem, udzielanym im przez pewnych bankierów. Skoro zabrakło tego kredytu, one upadły. Miasta Ruan, Lill, Sę-kantę, Miulhuz były jakby spustoszone niszczącą kłeską. Po przemyśle bawełnianym przyszła kolej na sukienniczy. Bogaty dom orleański, zajmujący się od lat stu handlem wełny, chciał nabyć wszystką tę, którą rząd zagarnął w Hiszpanji i przedawał z publicznego targu. Dom ten kupował bez miary, odprzedawał fabrykom, którzy fabrykowali bez miary także, używał im swego kredytu, ale nawzajem zaciągał u nich kredyt, tworząc masę papierów na ich odpowiedzialność, a które usłudni bankierowie eskontowali z lichwiarskim procentem. Ci bankierowie wstrzymali wypłaty, cała więc budowa runęła, i tym sposobem jeden dom na prowincji pozostał niewypłatnym na dwanaście milionów, summa bardzo znaczna dzisiaj, daleko znaczniejsza w owym czasie. Wyłączenie sukien francuzkich z Rossji, było nowym ciosem dla sukiennictwa. Przemysł rafinerji, który spekulował na cukrze, przemysł skór preparowanych, który spekulował na skórach wprowadzonych za pośrednictwem dozwoleń wyłącznych, były równie jak inne mocno dotkniętymi. Nakoniec przemysł materji jedwabnych, który wiele fabrykował, ale który nie popełnił tyle nadużyć, gdyż był przemysłem dawnym, doświadczonym, mniej odurzonym nowością i nadzwyczajnością zysków, otrzymał dotkliwy cios z powodu ostatnich rozporządzeń handlowych Rossji, oraz przez upadek domów hamburgskich, które w braku amerykańskich, służyły do wyprowadzania wyrobów lugduńskich. Ścieśnienie wszelkiego kredytu, połączywszy się z nagłym brakiem wywozu, sprawiło ogólne zawieszenie fabrykacji w Lugdunie.

Wkrótce masy robotników zostały bez roboty w Bretanji, Normandji, Pikardji, Flandrji, Lugduńskiem, Fore, hrabstwie Wenesse, w Langwedocji. W Lugdunie, na 14,000 warstatów, 7,000 przestało fabrykować. W Sę-kantę, w Lill, w Reims, w Amjan, trzy czwarte

przynajmniej rąk pozostały niezajętymi od połowy zimy, i przez całą wiosnę. Napoleon, bardzo zasmucony temi nagromadzonemi upadkami, a szczególnie temi cierpieniami ludowemi, chciał im zapobiedz jakimkolwiekby sposobem, lękając się skutku, jaki one mogły wyrzucić w chwili uroczystości, mających się odbywać z powodu urodzin syna. Odbywał narady po naradach, i dowiadywał się za późno, że są burze, przeciw którym gienjusz i wola człowieka, jakkolwiekby one były wielkimi, nie nie zdołają. Nie był to systemat wyłączenia tyczący się Anglików, który był przyczyną złego, gdyż zbytek produkcji zdarza się równie w krajach, gdzie handel jest zupełnie wolny, jak w tych, gdzie nim nie jest, a nawet w tamtych częściach. Ale jego kombinacje zawikłane przyczyniły się do szalonych spekulacji na pierwsze materiały: przywłaszczenie niepodległego Hamburga popchnęło tam do upadku wiele domów, nieodbitcie potrzebnych do obszerniej budowy kredytu lądowego w owiej epoce, jego ostatnie przedaże przyspieszyły kryzys, a pomoce jego, skutkiem osobistych przekonań jego ministra, były albo bardzo powolne, albo bardzo utrudnione. Nakoniec, jego słynna taryfa po 50 od sta przedłużała zło, gdyż fabrykanci, którzy zaczęli byli zbywać swe wyroby fabryczne, i którzy chcieliby rozpocząć na nowo pracować, nie śmieli tego czynić z powodu drogości pierwszych materiałów, pochodzącej z podwyższenia cła. Jakoż warstwy tkackie, przędzalnie, raffinerje, białoskórnie zostały całkiem zawieszono. Nie fabrykowano już mniej, ale nie fabrykowano całkiem.

Odpychając teorie pana Molljan, i odbywając częste narady z ministrami spraw wewnętrznych i finansów, z dyrektorem jeneralnym ceł i wielu światłemi fabrykantami lub bankierami, jak naprzykład pp. Terno (Ternaux) i Hottynge (Hottinguer), Napoleon obmyślił środek, który miał niejaki dobre skutki: było to uskutecznić pod wielkim sekretem i na własny koszt, ale pozornie na rachunek wielkich domów bankowych, kupie w Ruan, Sę-kantę, Lill, takim sposobem, żeby się zdawało, iż sprzedaż odbywała się naturalnym porządkiem. W Amjan, pożyczyl potajemnie fabrykantom, którzy nie przestawali fabrykować wyrobów wełnianych, summ wyrównujących zapłacie ich robotników. W Lugdunie, zamówił na kilka miljonów jedwabnych materij dla rezydencij cesarskich. Te pomoce nie mogły wprawdzie zastąpić rzeczywistego powrotu interesów, ale nie były bez wpływu, nadewszystko w Ruan, gdzie kupie nieznanego początku miały pozór kupi prawdziwych i zdawały się wskazywać, że ruch handlowy na nowo się odrodził. W każdym razie dozwalały one oczeki-

wać z mniejszą przykrością rzeczywistego odrodzenia ruchu handlowego.

Miasto szczególnie Paryż, którego lud żywy, skłonny do zapału, patrijotyczny, okazał się bardzo dbałym o chwałę tego panowania, i do którego wielu monarchów miało się udać na chrzest króla Rzymskiego, zwracało na siebie więcej niżeli jakiegokolwiek inne, troskliwą baczność Napoleona. Doznał już był że fabrykacje na korzyść wojsk odbywały się bardzo regularnie w Paryżu. Zalecił natychmiast wygotowanie wielkiej ilości jaszczyków, wozów artylleryjskich, uprząży, odzieży, bielizny, obuwia, kapeluszy, rękawiczek. Rozkazał jednocześnie rozpocząć wcześniej niżeli zwykle, i w obszerniejszych rozmiarach, prace każdoroczne około wielkich pomników swojego panowania.

Zresztą, to położenie, jakkolwiek przykre, było daleko znośniejsze niżeli Anglii. Czas musiał polepszyć ten stan rzeczy, usuwając nagromadzenie wyrobów fabrycznych, sprowadzając Amerykanów, którzy już gotowymi byli przybyć, i którzy mieli zastąpić Hamburgczyków i Rossjan na naszych rynkach, oraz dostarczyć nam bawełny i farb, których przemysł wiele potrzebował. Położenie Anglików, przeciwnie, w razie gdyby nie przestawano blokować ich handlu, nie dając im żadnego sprzymierzeńca na stałym lądzie, musiało stać się w krótkim czasie niepodobnym do zniesienia.

Jednakowoż w obecnej chwili, stan przemysłu i handlu francuzkiego był nadzwyczaj krytyczny. Napoleon przyjmował deputacje izb handlowych i w mowie swojej oryginalnej, poufatej, pełnej jędrności, miał do nich przemowę, której treść i główne wyrażenia chciał żeby co najwięcej były rozpowszechnione. Kolejno zapytując lub słuchając, mieszając słowa pochlebne z wyrzutami najdotkliwzszymi, przemawiał do tych deputacji prawie w następujących wyrazach: — Mam ucho otwarte na wszystko, co się mówi w waszych kantorach, i wiem rozmowy, jakie prowadzicie wśród waszych rodzin i pomiędzy sobą o mojej polityce, o moich prawach, o mojej osobie. On zna tylko swe rzemiosło żołnierskie, powtarzacie często, nie ma żadnego pojęcia o handlu, i nie ma nikogo około siebie, któryby go nauczył czego nie zna. Środki jego są nieroztropne i spowodowały terazniejszą naszą klęskę. Wy co to powiadacie, sami nie znacie się nic na handlu i przemyśle. Najprzód, przyczyną waszj klęski obecnej nie jestem ja, ale wy sami. Sądziłiscie że się można z bogacić w jednym dniu, jak to się trafia niekiedy na wojnie, wygrywając bitwę. Ale nie tak się dzieje w przemyśle: pracując to całe życie, postępując roztropnie,

przysługując do plodów pracy owoce oszczędności, można się stać bogatym. Lecz pomiędzy wami jedni chcieli spekulować na nagłe zmiany cen materiałów pierwotnych, i zawiedli się na tém często; w miejscu tego, co się sami mieli zbogacić, zbogacili innych. Inni chcieli fabrykować dziesięć łokci materji, kiedy nie mieli odbytu więcej jak na pięć łokci, i stracili tam gdzie mogliby zyskać. Czyż to moja wina, że chciwość zaślepiała wielu z was? Ale z cierpliwością można naprawić nawet własne swoje błędy, a pracując roztropniej można zyskać to, co się straciło. Popelniliście błędy tego roku, będziecie roztrośniejsi i szczęśliwsi na rok następny. Co do moich środków, cóż możecie wiedzieć, czy one są dobre czy złe? Zamknięci w waszych rękodzielniach, jedni z was nie znając nic więcej jak tylko to, co się odnosi do jedwabiu lub bawełny, drudzy co się odnosi do żelaza, drzewa, skór, nie obejmując ogółu przemysłów, nie znając obszernych stosunków państw pomiędzy sobą, możecież wiedzieć, czy środki, których używam przeciw Anglii są skuteczne lub szkodliwe? Spytajcie jednak tych z pomiędzy was, którzy potajemnie udawali się do Londynu dla zajmowania się tam kontrabandą, zapytajcie ich, co oni tam widzieli? Wiem co oni mówią, tak samo jak wiem co wy mówicie, gdyż jestem uwiadomiony o wszystkich waszych czynnościach, równie jak o wszystkich waszych rozmowach. Powrócili oni zdziwieni nędzą Anglii, przeładowaniem magazynów, spadaniem wzrastającym jej papierów, upadkiem jej handlu, i wielu z nich po swym powrocie wyrzekło o mnie i o moich środkach: „Ten szatan wielony może mieć zresztą słusność.“ I w istocie, mam słusność, i to prędzej, niżeli sobie obiecywać mogłem, gdyż Anglja przysłała do stanu prawie rozpaczego, daleko prędzej niżelim się tego spodziewał. Przesyciła ona swemi wyrobami osady hiszpańskie, swoje własne, wasze, nie wiedzieć na wiele lat. Niepodobna było za te wyroby zapłacić, albo jeżeli płacono, to cukrem, kawą, bawełną, których wartość zniszczyłem w jej ręku. Na ten cukier, tę bawełnę, tę kawę, kupcy biorą listy zastawne, które idą do banku i zamieniają się tam na papierową monetę. Rząd na opłacenie swych wojsk i swój marynarki, zaciąga takż w banku i przyczynia się do wypuszczania nowych assygnat. Cóż myślicie, że stanie się z tego wszystkiego po jakim czasie? Budowa ta musi runąć. Czy przyszlismy do tego? Nie. Oswobodziłem was z papierowej monety, i zaledwo pozostały niektóre renty dla ulokowania oszczędności małych kapitalistów. Europa dostarczyła mi w gotówce blisko tysiąca milionów kontrybucji wojennój; mam jeszcze 200 milionów w złocie i srebrze w moim skarbie

pobieram corocznie 900 milionów podatków dobrze rozdzielonych i które się opłacają w gotowiznie, a wy macie cały ład stały dla zbytu swoich towarów. Różnica przeto wielka zachodzi pomiędzy Anglją a nami. Prędzej czy później musi ona uleść. Pozostają jęj jeszcze niektóre drogi odbytu w Szwecji, w Prusiech i *dalej* (przymówka do Rosji), przez które wyroby angielskie nie przestają wciskać się do Europy. Ale bądźcie spokojni, zapobiegę temu. Są jeszcze kontrabandziści, ja potrafię z nimi zładzić. Ci którzy ujdą rąk moich celników, nie ujdą rąk moich żołnierzy, a będę ich ścigał wszędzie, wszędzie, rozumiecie.

Wymawiając te ostatnie wyrazy, Napoleon był groźnym w najwyższym stopniu, i cała nowa wojna przebijająca się w jego giestach, głosie, wzroku. Ciągnął dalej i mówił: — Ta wojna z Anglją jest długa i ciężka, wiem to. Ale cóż chcecie żebym począł? Jakich środków chcecie żebym się chwycił? Zapewne, ponieważ narzekacie tak że morze jest zamknięte, idzie wam o to, żeby ono było otwarte, żeby jedno państwo nie panowało ze szkodą wszystkich innych, i nie przywłaszczało sobie osad wszystkich narodów, albo nie rozciągało pewnego rodzaju tyranji na wszystkie bandery? Co do mnie, mam niezłomne w tym względzie postanowienie; nie opuszczę nigdy praw neutralnych, nie pozwolę nigdy brać górę zasadzie, że bandera nie pokrywa towaru, że neutralny obowiązany jest wchodzić do portów angielskich dla opłacania dani. Gdybym miał nizezerność znosić podobne teorje, nie moglibyście wkrótce wyjść z Ruan lub Hawru, inaczej, jak za paszportem angielskim. Moje dekreta z Berlina, z Medjolanu, będą prawami Cesarstwa, dopóki Anglją nie zrzecze się swoich szalonych uroszczeń. Amerykanie domagają się u mnie wolnego wstępu do naszych portów, dla dostarczania wam bawełny, a zabierania waszych materij jedwabnych, co będzie wielką ulgą dla was. Jestem gotów zgodzić się na to, ale pod warunkiem, że będą strzedz względem siebie zachowania zasad, jakich się trzymam, które są takż ich zasadami, które są zasadami wszystkich narodów nadmorskich, i w razie gdyby nie otrzymali od Anglji, że będzie szanowała te zasady względem nich, żeby wypowiedzieli jęj wojnę; inaczej, jakkolwiek moglibyście ich potrzebować, będę ich traktował jak Anglików, zamknę im moje porty, i każę napadać na ich okręty! Jakże inaczej mam postąpić? Bez wątpienia, gdybym mógł ukształcić admirałów, tak jak ukształciłem jenerałów, pobilibyśmy Anglików, i pokój porządny, nie taki tynkowany jak Amjański, kryjący w sobie tysiące nieubłaganych uraz, tysiące sprzecznych interessów, pokój gruntowny, zostałby przy-

wrócony. Nieszczęściem nie mogę być wszędzie. Nie mogąc pobić Anglików na morzu, biję ich na lądzie, ścigam wzdłuż brzegów starego lądu. Jednakowoż, nie wyrzekam się myśli zaatakowania ich na morzu, gdyż majtkowie nasi nie mniej są waleczni jak ich, a officerowie nasi morscy zrównają się z officerami marynarki angielskiej, skoro nabędą potrzebnej wprawy. Będę miał wkrótce sto okrętów od Tekselu do Wenecji; chcę ich mieć dwieście. Wprowadzę je gwałtem na morze; przegrają jedną, dwie batalje, wygrają trzecią, a przynajmniej czwartą, gdyż musi się wreszcie pojawić marynarz, który zapewni tryumf naszej banderze, a tymczasem będę trzymał mój miecz na piersiach każdego, coby chciał podać pomoc Anglikom. Muszą w końcu uleść, chociażby same piekło z nimi się sprzysięgło. Długo to się przeciągnie, nie przeczę temu, ale tymczasem zyskam na rozwinięciu waszego przemysłu, wydoskonalicie swe wyroby, zastąpicie na stałym lądzie tkaniny Anglii, jój drobne sprzęty, jój sukna. Zresztą jest to dość piękna perspektywa, zaopatrywać ląd stały. Świat się bezustannie zmienia; niema wieku, któryby był podobnym do drugiego. Dawniej, żeby być bogatym, trzeba było mieć osady, posiadać Indje, Amerykę, San-Domingo. Te czasy już mijają. Potrzeba być fabrykantem, zaopatrywać się samemu we wszystko, czego pierwój szukano u innych, wyrabiać swe płócienka, swój cukier, swe indygo. Jeżeli mi nie zabraknie czasu, będziecie to wszystko sami fabrykować, nie dla tego, żebym pogardzał osadami i zamorskimi spekulacjami, bynajmniej, ale przemysł rękodzielniczy ma też samą, jeżeli nie większą, ważność, i wówczas kiedy się staram wygrać sprawę mórz, przemysł francuzki tworzy się i rozwija. Można więc czekać w podobnym położeniu. Tym czasem, Bordo, Hamburg cierpią; ale jeżeli cierpią dzisiaj, będą opływać we wszystko w przyszłości, po przywróceniu swobody mórz. Wszystko ma swoje dobro i swoje zło. Potrzeba umieć cierpieć dla wielkiego celu, a w każdym razie, tego roku nie cierpieliście dla tego wielkiego celu, ale skutkiem swoich własnych błędów. Znam wasze interessa lepiej, niżeli wy znacie moje. Postępujcie roztropnie, loicznie, i nie sądzcie mnie pospiesznie, gdyż często kiedy oskarżacie mnie, samych siebie oskarżać powinniście. Nadto, czuвам nad waszemi interessami, i wszelką ulgę jaką podobna będzie wam przynieść, otrzymacie (1).

(1) Ta mowa, jak wiele innych, Napoleona, które na innych miejscach przytoczyliśmy, jest przywiedzioną tutaj, ma się rozumieć w treści, dla tego tylko, że jest autentyczną, i że mogliśmy wynaleźć jój znaczenie, jeśli nie same wyrażenia, a stąd

Takie były mowy, któremi Napoleon wprawiał w zatrudnienie, ujarzmił słuchających go przemysłowców, i którzy byli olśnieni, ale nie przekonani, lubo we wszystkim prawie miał słuszną przeciwko nim. Ale jest to przedmiot nieustannego podziwu, widzieć jak jesteśmy mądrzy, gdy idzie o danie rady drugim, a jak mało niemi jesteśmy, gdy potrzeba radzić samym sobie. Napoleon miał słuszną, kiedy mówił tym przemysłowcom, że cierpieli w skutek własnych błędów, że jedni z nich zanadto produkowali, drudzy zanadto spekulowali, że zmuszony był walczyć za swobodę morza, że dla odzyskania jej trzeba było pokonać Anglję, że dla pokonania Anglii należało ścieśnić ruch handlu, i że tym czasem przemysł Francji i stałego łądu wyradzały się z samego tegościeśnienia. Lecz zostawałby w wielkim zatrudnieniu, gdyby jeden z tych spekulantów na cukier lub bawełnę, zapytał u niego, spekulanta innego rodzaju, czy dla pokonania Anglii, nieodbitą dla niego było rzeczą zdobyć korony Neapolu, Hiszpanji, Portugalji i uposażyc niemi swoich braci; czy ta trudność ugruntowania swojej dynastji na tylu tronach nie zwiększyła nadzwyczajnie trudności tryumfowania nad uroszczeniami morskimi Anglii; czy z Burbonami, drżącymi i uległymi w Madrycie i Neapolu, nie otrzymałby tyleż wsparcia w swych zamiarach, co od swych braci na wół zbuntowanych; czy nie lepiej byłoby z żołnierzami francuzkimi, rozproszonemi w Neapolu, Kadyksie, Lizbonie, probować przebyć ciążną pomiedzy Kale i Duwr; czy, w każdym razie, przypuściwszy konieczność tych zdobyczy, nie należałoby zacząć od wepchnięcia w mo-

nosi na sobie cechę prawdy godnej pożądania i pewnej. Pomimo powagi starożytnych, którzy kładli mowy w usta swoich osób historycznych, i którym to się przebacza z powodu prawdopodobieństwa moralnego tych mów, nie sądzimy żeby podobny przykład mógł być przyjętym i naśladowanym przez nowożytnych. Starożytni, umieszczeni bliżej od nas początku rzeczy, nie oddzielali jeszcze całkiem historii od poezji. Rozdział ten uczyniony w nowszych czasach, nie można go i teraz zaniedbywać. Historji nie pozostaje teraz żadnej innej poezji, jak ta, która towarzyszy nieodstępnie ścisłej prawdzie. Można rozbiierać, streszczać mowę mianą w pewnym przedmiocie przez jaką osobę, ale pod warunkiem, że mowa ta istotnie była mianą, że znaczenie jej, ściśle biorąc, też same, a nawet forma, jeśli ją można było wynaleźć. Tak zawsze czynilem w tej historji, tak postąpiłem i teraz, co do mowy, o którą rzecz idzie. Mowa ta, miana do izb handlowych, była powtórzoną przez wiele dzienników niemieckich, objaśnioną przez wszystkie dyplomacje, posłaną do dworu Rosyjskiego, spisana przez policję, i chociaż rozproszoną w pamięci współczesnych, zachowaną jednak w taki sposób, że można było zebrać główne jej rysy. Nie wahamy się więc utrzymywać, że jest prawdziwą w swjej treści, a nawet prawdziwą w formie, co do większej części wyrażen użytych przez Napoleona w tej przemowie do przemysłowców.

rze lorda Wellingtona, przestając na blokadzie takiej jak Rossja ją wykonywała, w miejscu tego coby zmieniać nagle systemat, pozostawiać Anglików zwycięzcami na Półwyspie, ażeby szukać na Północy nowej wojny wątpliwego rezultatu, pod pozorem otrzymania w zachowaniu blokady stopnia ścisłości, którego potrzeby nieodbitęj całkowitem nie było, dla przyprowadzenia handlu angielskiego do ostateczności, i czy zmiana bezustanna planu, uciekanie się od jednego środka do drugiego, bez użycia w całej obszerności żadnego, a wszystko to przez niestałość, dumę, żądzę ujarznienia świata, czy to wszystko było sposobem prostym i pewnym zwalczania tyrańskiej ambicji Anglii?

Taki śmiałek, który wprawiłby bez wątpienia w wielki kłopot Napoleona, nie znalazł się bynajmniej i prawda nie była wypowiedzianą; ale zamilczec prawdę, jest to ukrywać zło nie powstrzymując go. Szerzone przezeń tajemne szkody tém są niebezpieczniejsze, że wychodzą jednym razem na jaw, i wtedy kiedy już nie czas zarządzić temu.

Do tych dwóch przyczyn przykrego położenia, które daliśmy poznać, konskrypcji i kryzysu handlowego, przyłączyła się jeszcze trzecia: były to zamieszki religijne, świeżo zajętym nowym wyskokiem żywej woli Napoleona.

Widzieliśmy wyżej, na jakim stopniu stały rzeczy z Papieżem, uwięzionym w Sawonie. Napoleon wysłał do niego kardynałów Spinę i Kazelli (Casselli), dla otrzymania od niego, za pośrednictwem przyjaznych układów, potwierdzenia kanonicznego nominowanych biskupów, co stanowiło główną trudność z kościołem, a potem dla zbadania go względem ułatwienia wszelkich nieporozumień pomiędzy Cesarstwem a Papieztwem. Napoleon chciał zawsze otrzymać zgodzenie się Pijusa VII, na zniesienie władzy świeckiej stolicy ś., na połączenie Rzymu z obrębem Cesarstwa, na ustanowienie papieztwa podległego nowym Cesarzom zachodnim, z rezydencją Papieża w Paryżu lub Awinionie, z posiadaniem pięknych pałaców, uposażeniem dwóch milionów franków, i wielu innemi jeszcze korzyściami, ale z pozostawieniem pod władzą Cesarza Francuzów, jak Kościół rossyjski pozostaje pod władzą Carów, a islamizm pod władzą Sułtanów. Pijus VII przyjął najprzód dość zimno dwóch kardynałów, złagodniał później względem nich, nie okazał się całkiem przeciwnym potwierdzeniu kanonicznemu biskupów nominowanych, ale zdawał się być mało usposobionym do udzielenia go w prędkim czasie, ażeby zachować środek skuteczny do zmuszenia Napoleona zajęcia się sprawami kościoła,

oraz zdawał się być zdecydowanym nie przyjąć korzyści materialnych, jakie mu ofiarowano, potrzebując tylko, jak mówił, dwóch rzeczy, katakumb za rezydencją i kilku wiernych kardynałów za poradników, obiecując, gdyby mu udzielono wolności, ubóstwa i rady, urządzić bez zwłoki wszystkie sprawy religijne, i nie nie poczynać dla wywołania buntu u ludu, na łonie którego poszedłby ukryć swe ogołocenie z władzy doczesnej.

Lubo powrócili nic nie otrzymawszy, dwaj kardynałowie byli tego przekonania, że Papież musi uleść, że dobrém z nim obchodzeniem się, użyczeniem mu rady, któraby mu pomagała w ułatwieniu interessów Kościoła, można byłoby go skłonić do zajmowania się znowu obowiązkami pasterskimi, bez wydalania się nawet z Sawony, z dobrowolném tam pozostaniem dla tego, że już tam zostawał, i ponieważ w tym rodzaju więzienia nie uświęcały nie swoim przyzwoleniem, wówczas gdy pozwalając przenieść się do Awinjonu lub Paryża, przyjmując uposażenia, uświęcałyby czynności cesarskie udziałem, jakim w nich brałyby. Z rozmów, jakie Papież miał później z p. de Szabrol (de Chabrol), prefektem Montenotte, można było wyciągnąć téż same wnioski, i Napoleon szukał sposobu pogodzić skłonności Papieża z swojemi własnymi widokami, gdy kilka wypadków nagle zaszłych, rozjątrzyły go do najwyższego stopnia i doprowadziły do najgwałtowniejszych kroków.

Czytelnik przypomina sobie zapewne środek wynaleziony dla administrowania témczasowego djecezji, w których znajdowali się prałaci nominowani, ale nie potwierdzeni. Nie mniej jak dwadzieścia siedm djecezji było w tym przypadku, a w ich liczbie znajdowały się stolice biskupie, takie jak Florencja, Malin, Paryż i t. d. Kapituły, jedne wolne, drugie zmuszone, nadały władzę wikarjuszów kapitulnych biskupom nominowanym, co dozwalało tym ostatnim rządzić przynajmniej jako administratorowie swemi nowemi djecezjami. Kardynał Mory (Maury), nominowany arcybiskup paryzki na miejscu kardynała Feska i niepotwierdzony jeszcze, administrował tym sposobem djecezję paryzką. Miał on tylko wiele nieprzyjemności do znoszenia ze strony kapituły, i jak powiedzieliśmy gdzieindziej, kiedy w pewnych obrzędach religijnych chciał, żeby niesiono przed nim krzyż, jako oznakę istotną godności biskupiej, niektórzy z kanoników uległych pozostawali, inni, z księdzem d'Astro (d'Astros) na czele, uciekali z obrażającą dowolnością.

Napoleon dawał słyszeć ryczenie lwa na każdą nową dowolność duchowieństwa, ale nie zaprzętał się tém długo, licząc na bliskie

ułatwienie za jednym razem wszystkich spraw kościelnych. Jednakowoż, wiadomości nadeszłe z Turynu, Florencji i Paryża, wyjawiały mu raz po raz intrygę prowadzoną skrycie przez księży i gorliwych nabożników, ażeby uczynić niepodobnym sposób tymczasowy administracji, obmyślony dla kościołów. Papież napisał potajemnie do rozmaitych kapituł dla zniewolenia ich do nieuznawania za wikariuszów kapitulnych, biskupów nominowanych a nie potwierdzonych. Zasadzał się na pewnych prawidłach kanonicznych dość naciąganych, i utrzymywał, że ten sposób administracji był przeciwnym prawom Kościoła rzymskiego, gdyż udzielał nowym prałatom posiadania przedwczesnego ich stolic. Do kapituły paryzkiej posłał zakaz formalny uznawania kardynała Mory za wikariusza kapitulnego, a do kardynała samego napisał list pełen goryczy, w którym wyrzucał mu jego niewdzięczność ku stolicy apostołskiej, która, mówił, przyjęła go w jego wygnaniu, uposażyła wielu beneficjami, a szczególnie biskupstwem Montefiascone (jak gdyby kardynał nie uczynił dla Kościoła tyleż przynajmniej co on dla niego), i zalecał mu, pod karą nieposłuszeństwa, rzec się administracji djecezji paryzkiej. Przez dziwną nieostrożność, te oba listy przesłane zostały do kapituły i kardynała na ręce ministra wyznań, z wielu innymi depezbami, odnoszącemi się do rozmaitych spraw szczegółowych, które Papież raczył jeszcze od czasu do czasu odprawiać. Minister otworzywszy te listy, był bardzo zdziwiony ich treścią, nie chciał nie wspominać kardynałowi, lękając się go zasmucić, i wręczył je Cesarzowi, którego łatwo pojąć rozjątrzenie, gdy postrzegł usiłowania uwięzionego Papieża, zmierzające do zniweczenia w jego ręku ostatniego środka administrowania wakujących djecezji. Zalecił sekret, i nakazał poszukiwania dla przekonania się, czy nie wysłane zostały inne listy, oprócz tych przez Papieża. W tymże samym czasie dochodziły do niego z Pjemontu i Toskany podobne zupełnie wiadomości. P. d'Osmon (d'Osmond), nominowany arcybiskup Florencji, będąc w drodze do swojej nowej djecezji, spotkał w Placencji deputację kapituły Florenckiej, której poruczono oświadczyć mu, że już się znajdował wikariusz kapitulny, że niepodobna było wybrać innego, i że otrzymano w tym względzie zalecenia z Szwajcaryi, którym postanowiono zadość uczynić. Ten nieszczęśliwy arcybiskup, równie roztropny jak bojaźliwy, pozostał w Placencji, dręczony okrutną niespokojnością. Księżna Eliza, siostra Napoleona, która rządziła swém księstwem ze zręcznym połączeniem łagodności ze stałością, została uwiadomiona o téj intrydze, przywołała do siebie głównego przywódzcę kapituły, oraz pewnego adwokata, który

bez wątpienia odkażemy tam wszystko, o czym chcemy wiedzieć.

służył za pośrednika Papieżowi; kazała wydać sobie korespondencję Pijusa VII, i przesłała wszystko Napoleonowi, nie uciekając się do żadnego surowszego środka. W Pjemencie, p. Dezan (Dejean) nominat biskup Asti, otrzymał podobne przyjęcie, z mniejszą jeszcze względnością, gdyż nie uprzedziwszy go, odmówiono mu wszelkiej władzy w jego nowój djecezji, i oświadczone, że niepodobna było powierzyć mu żadnego urzędu, nawet administratora tymczasowego. Książę Borgheze, gubernator Pjemontu, wysłał, równie jak siostra jego żony, dowody odnoszące się do tego szczególnego i śmiałego zajścia.

Napoleon, widząc ten zbieg wypadków podobnych, na miejscach tak od siebie oddalonych, odkrył w tém natychmiast systemat oporu, bardzo dobrze obmyślony, i którego rezultatem miało być, albo zmuszenie go do traktowania bezpośrednio z Papieżem, albo sprawienie prawdziwego odszczepieństwa. Gniew jego wybuchnął. Dowiedział się on prawie jednocześnie 29, 30, 31 Grudnia 1810, o tych rozmaitych faktach, które dopiero co przytoczyliśmy. Chciał koniecznie wstrzymać wszędzie obieg listów Papieża, a żeby tego dokazać, postanowił napęłnić trwogą tych, którzy oddawali te listy, którzy je odbierali, lub którzy jeszcze je posiadali. Nazajutrz, 1-go Stycznia (1811), miał przyjmować hołdy wielkich ciał państwa, szczególnie kapituły i duchowieństwa paryżkiego. Nie miewał on mów wcześniej przygotowanych na tego rodzaju uroczystościach, ale rozmawiał poufale to z jednymi, to z drugimi, według usposobienia chwilowego, nagradzając tych jaką pochlebną grzecznością, karząc tamtych słowami, w których potęga dowcipu łączyła się z potęgą tronu dla przygnębienia nieszczęśliwych, co ściągęli na siebie jego niełaskę. Jego nadzwyczajna przezorność, przenikliwa jak jego wzrok, zdawała się czytać w głębi dusz. Na czele kapituły paryżkiej znajdował się ksiądz d'Astro człowiek namiętny i nieroztropny, dzielający aż do fanatyzmu sposób myślenia duchowieństwa nieprzyjaznego Cesarstwu. Napoleon, wiedząc z kim ma do czynienia, przystąpił natychmiast do kwestij najtrudniejszych kłótni religijnej, i takim sposobem, żeby wywołać ze strony rozmawiającego z nim, jaką nieroztropność, coby mogła posłużyć do objaśnienia go. Udało się to mu zupełnie, i po usłyszeniu od księdza d'Astro tego czego żądał, oraz obszedłszy się z nim cierpko, wezwał, podczas samego przedstawienia, księcia Rovigo, obecnego w pałacu, i rzekł do niego: Albo się myślę, albo ten ksiądz ma u siebie listy Papieża. Przyaresztuj go przed wyjściem z Tuilllerjów, zdejmij z niego badania, rozkaż razem, ażeby przetrząsnięto jego papiery, a bez wątpienia odkryjemy tam wszystko, o czém chcemy wiedzieć.

Książę Rovigo, dla zmniejszenia popłochu, poprosił kardynała Mory, żeby mu przyprowadził księdza d'Astro do ministerstwa policji, i nakazał jednocześnie poszukiwanie w mieszkaniu tego duchownego. Książę Rovigo, który już był nabył wprawy potrzebnej do spełniania swych nowych obowiązków, udał badając księdza d'Astro, jak gdyby nie tajemnym mu było to o czém chciał wiedzieć, i otrzymał tym sposobem wyjawienie wszystkiego. Ksiądz d'Astro wyznał że otrzymał dwa listy pasterskie Papieża, jeden do kapituły, drugi do kardynała, utrzymywał jednakże, że nie komunikował ich jeszcze nikomu, ale przyznał się bardzo nieroztropnie, że mówił o nich krewnemu swemu p. Portali (Portalis), synowi byłego ministra wyznał i członkowi Cesarzowskiej rady państwa. W tymże samym czasie, ajenci wysłani do mieszkania księdza d'Astro znaleźli listy papieżkie, oraz wiele innych papierów, które wykryły całkiem zamach naówczas poszukiwany. Dowiedziano się, że znajdowała się w Paryżu mała rada księży rzymskich i francuzkich, mająca częste stosunki z Papieżem, umawiająca się z nim względem postępowania, jakiego miała się trzymać w każdej okoliczności i korrespondująca przez ludzi zaufanych, z Paryża do Lugdunu, z Lugdunu do Sawony.

Kiedy tym sposobem wszystko zostało odkryte, Napoleon, który chciał rzucić postrach, zaczął od pierwszej ofiary, a tą ofiarą był p. Portali. Ten syn głównego sprawy konkordatu, uległy Kościołowi, ale niemniej uległy Napoleonowi, sądził że pogodzi różne wymagania swego położenia, uwiadamiając p. Paskje (Pasquier), prefekta policji i swojego przyjaciela, że obiegał list pasterski Papieża nader godny pożałowania i nader zdolny do posiania niezgody pomiędzy Kościołem a państwem, którego należałoby wstrzymać rozpowszechnienie (1), lecz przestał na tém uwiadomieniu, i nie wydał swojego krewnego księdza d'Astro, gdyż jego obowiązki radcy stanu nie zmuszały go bynajmniej do stania się donosicielem własnej familji.

4-go Stycznia zebrała się rada stanu, i gdy na niej był obecny p. Portali, Napoleon zaczął od opowiadania wszystkiego co zaszło niedawno pomiędzy Papieżem a pewnemi kapitułami, przełożył zama-

(1) Przytaczam te szczegóły według dokumentów autentycznych, to jest, według listów Napoleona, ministra policji, księżnej Elizy, księcia Borghese, wreszcie ministra wyznań. Jestem więc zupełnie pewny faktów, które opisuję. Przy tej okoliczności muszę zrobić uwagę, że nie z powodu bulli wyklęcia, jak niektórzy twierdzą, ale z powodu listu pasterskiego papieża do kapituły paryzkiej, Napoleon wybuchnął gniewem, którego Pan Portali został ofiarą.

chy, jakie odkryto, i które, podług niego, miały na celu pobudzić poddanych do nieposłuszeństwa względem panującego, potem udając największą boleść, dodał, że co mu sprawiało największy smutek w tém zdarzeniu, to że pomiędzy winnymi znajdował człowieka, którego osypał dobrodziejstwami, syna dawnego ministra, kiedyś bardzo od niego kochanego, członka własnej jego rady, tutaj obecnego pana Portali. Potem zwracając nagle mowę do tego ostatniego, zapytał go wręcz, czy wiedział o liście pasterskim Papieża, czy wiedząc o nim, zachował to w sekrecie, czy to nie było prawdziwem przestępstwem, zdradą i czarną niewdzięcznością zarazem, i zapytując tym sposobem raz po raz pana Portali, nie dawał mu nawet czasu odpowiedzieć. Widzieliśmy już nadużycia gminu, wtedy zaś były czasy nadużyć władzy. P. Portali, urzędnik znakomity, którego energia nieszczęściem nie wyrównywała wysokiemu światłu, mógłby podnieść głowę i dać swojemu panu zadawalającą odpowiedź; ale zdołał tylko wyjąkać kilka słów przerywanych, i Napoleon, zapominając co był wieniem członkowi swojej rady, swojej radzie, samemu sobie, wyrzekł do niego piorunującym głosem: Wyjdz pan, wyjdz, niech go tu nie oglądam więcej. Radca stanu, traktowany z taką gwałtownością, podniósł się cały drżący, przeszedł ze łzami w oczach salę rady, i oddalił się prawie bez przytomności z pośród swoich zdumionych kolegów.

Lubo we wszystkich czasach złośliwość ludzka doznaje tajemnego zadowolenia na widok wyraźnej niefaski, nie było to uczucie, jakie się obudziło w tej okoliczności. Politowanie, godność obrażona przeważały w radzie stanu, która była obrażoną taką sceną, i która okazała co czuła, nie przez szemrania, ale zimną postawą. Nie masz potęgi, jakkolwiek ona byłaby wielką, której godziłoby się obrazić bezkarnie uczucie wewnętrzne zgromadzonych osób. Pod wpływem bojaźni, usta ich mogą milczeć, ale twarze mówią za nich. Napoleon poznając z samej postawy obecnych, że był nieprzyzwoitym i okrutnym, doznał niewypowiedzianego zakłopotania, z którego napróżno starał się wyjść, udając zbytek boleści, prawie śmiesznej, mówiąc iż bolał nad tém, że był zmuszony obejść się podobnym sposobem z synem człowieka, którego kochał, że władza. pociąga za sobą przykre obowiązki, że należało jednak wypełniać je, jakkolwiekby dużo one kosztować miały, i tysiące fraszek podobnego rodzaju, które nikogo nie wzruszyły. Dozwolono mu rzucać się w tej czczości, i oddalono się nie mówiąc. Najsrożej ukaranym po p. Portali był on sam.

Do tego wybuchu Napoleon chciał przydać środki skuteczniejsze, ażeby rzucić postrach na część nieprzyjazną duchowieństwa, i zapo-

biedz następstwom intryg, świeżo odkrytych. Kazał uwięzić p. d'Astro, aresztować lub oddalić z Paryża wielu księży, składających radę, której istnienie dopiero co odkryto. Zalecił swojemu szwagrowi księciu Borghese i swojej siostrze Elizie, przyaresztować kanoników znanych jako przywódców kapituł Asti i Florencji, wysłać ich do Fenestrelli, oświadczyć tym kapitułom, że jeżeli nie ulegną natychmiast i nie udziela niezwłocznie nowym prałatom charakteru wikariuszów kapitułnych, stolice biskupie będą zniesione, kanonje razem ze stolicami, a kanonicy oporni będą zamknięci w więzieniach państwa. Toż samo oświadczenie zrobione było kapitule paryżkiej.

Po tych gwałtownościach nastąpiły środki gorszej jeszcze natury, gdyż były napiętnowane charakterem zapalczego gniewu. Napoleon kazał rozłączyć Papieża ze wszystkimi temi, co go dotąd otaczali, wyjąwszy jednego czy dwóch służących przekupionych, pozostawić mu jednego tylko sekretarza, korzystać z chwili kiedy Papież będzie na przechadzce dla odjęcia mu wszelkich środków pisania, zabrać papiery i odesłać je do Paryża, dla ich rozpatrzenia, zmniejszyć do piętnastu lub dwudziestu tysięcy franków rozchody na utrzymanie Papieża, które zawsze było monarsze, i oświadczyć, że się mu wyraźnie zabrania pisać lub odbierać listy. Officer żandarmeryi wysłany został dla strzeżenia go we dnie i w nocy, oraz pilnowania najmniejszych jego poruszeń. Prefekt, p. de Szabrol, otrzymał rozkaz zastraszenia Pijusa VII, nie tylko ze względu na niego samego, ale ze względu na wszystkich tych, którychby odkryto współudział w zamachach, jakiby czyniono na przyszłość. Miał mu powiedzieć, że przez swe nieroztropne postępowanie narażał się na oddanie go pod sąd, na złożenie nawet przez sobór, i że narażał swych współuczestników na kary surowsze jeszcze.

Szczyściem wykonanie tych środków zapalczywych powierzone zostało człowiekowi pełnemu taktowi przyzwoitości. P. de Szabrol przemawiał do Papieża nie jako sługa groźny rozjątrzonej władzy, ale jako sługa zasmucony, który używał siły, jaką był uzbrojony, dla tego tylko, żeby udzielić swojemu znamienitemu więźniowi niektórych rad roztropności i umiarkowania. Nie mógł jednakże oszczędzić Papieżowi oddalenia otaczających go osób, zabrania jego papierów, i wielu innych ostrożności, równie upokarzających jak drobnostkowych. Papież, strwożony więcej niżeli przystało (i piszemy to ze smutkiem, gdyż dbali jesteśmy o godność takiej ofiary), uspokoił się wkrótce, słuchał z łagodnością p. de Szabrol, powiedział, że gdyby potrzebowano u niego papierów, wydałby je sam, i nie mianoby potrzeby uciekania

się do podstępu, to jest do zabierania ich wtedy, kiedy był na przechadzce, obiecał nie korrespondować więcej, nie przez wzgląd na niego samego, ale przez wzgląd na tych, którzy mogliby się stać ofiarami swego poświęcenia dla Kościoła, i dodał, że co do niego, starego, przygnębnego wypadkami, zostaje już u kresu swojego zawodu i omyli wkrótce swoich prześladowców, pozostawiając w ich ręku, w miejscu Papieża, martwe ciało.

P. de Szabrol pocieszał go, powtarzając mu przytém słowa umiarkowania pożyteczne i potrzebne, i przyczynił się nie mało do otrzymania złagodzenia rozkazów nadesłanych z Paryża. Materjalnie rozchody domu Papieża nie zostały bynajmniej zmniejszone.

Co do kapituł Florencji i Asti, oświadczyły one swą uległość z nędną skwapliwością. Kanonicy oporni, wyjawszy jednego czy dwóch, których wysłano do więzień państwa, padli do nóg władzy świeckiej, usprawiedliwiali się, płakali i bez żadnego zarzutu, powierzyli panu d'Osmon co do djecezji Florenckiej, panu Dezan co do djecezji Asti, prawie zupełną władzę nie tylko administratorów, ale prałatów potwierdzonych. W Paryżu, skwapliwość w oświadczeniu uległości była jeszcze większą. Złożono wszystko na nieroztropność pana d'Astro, rodzaju fanatyka, jak powiadano, który omal co nie zgubił djecezji. Kardynał Mory nie miał innej przykrości do zniesienia, jak być posłusznym podobnej władzy, i rozkazywać podobnym podwładnym! Djecezje Metz, d'E (d'Aix), i inne, w których zaszło zajście, oświadczyły takż swą uległość. Nie były to już dla Kościoła czasy gienjuszu i męczeństwa! Naczelnik jego, Pijus VII, pomimo niektórych uniesień, nieodłącznych od jego stanu cierpienia, był jedynie godnym jeszcze piękných wieków Kościoła rzymskiego!

Napoleon, skoro go usłuchano, uspokoił się. Postanowił jednakże położyć koniec temu oporowi, który niepokoił go nie przerażając, który nawet za mało go niepokoił, gdyż miał ważniejsze skutki, niżeli on wyobrażał sobie. Zatrzymał się więc na tej myśli, która już powielekroć przedstawiała się jego umysłowi, to jest zwołania soboru, którego pochlebiał sobie że będzie panem, i którego spodziewał się użyć albo dla zmuszenia Papieża do ustępstwa, albo dla obejścia się bez niego, stawiając na miejsce powagi naczelnika kościoła, wyższą powagę kościoła zgromadzonego. Utworzył już był kommissję kościelną, złożoną z kilku prałatów, i kilku księży, a pomiędzy innemi pana Emery, wielce szanowanego przełożonego kongregacji ś. Sulpicjusza. Zgromadził ją na nowo, zmieniawszy nieco jój skład, co było rzeczą

nieuchronną z powodu śmierci nie dawno zasłużej pana Emery, i odesłał do niej wszelkie kwestje, tyczące się projektowanego soboru. Miał-li on być powszechnym, czy prowincjonalnym? miał-li składać się ze wszystkich biskupów Chrześcijaństwa, czy tylko z biskupów cesarstwa, królestwa włoskiego i ligi nadreńskiej, co wyrównywało Chrześcijaństwu prawie całemu? jakie kwestje należało podać do jego rozwiązania, jakich postanowień od niego żądać, jakie formy zachować, w tym dziewiętnastym wieku, tak różnym od wieków, w których ostatnie sobory były zwoływane? Napoleon nalegał mocno, żeby pospieszano z roztrząśnieniem tych rozmaitych kwestij, zamierzając zgromadzić sobór na początku miesiąca Czerwca, w sam dzień chrztu króla rzymskiego.

Tymczasem do początku Czerwca, Napoleon miał ciągle uwagę zwróconą na sprawy północy, i zajmował się z równą czynnością tak dyplomacją, jak przygotowaniem wojennemi.

Pod względem dyplomacji zrobił on wtedy właśnie wybór, który miał wyrzucić wpływ dosyć zgubny na jego losy, to jest, pana Mare (Maret), księcia Bassano, na ministra spraw zagranicznych. Już jak widzieliśmy, oddalił on był od siebie jedyne dwie osoby, które wtedy mogły być jeszcze dojrzone, wpośród aureoli chwały, co go otaczała, to jest, pp. Fusze (Fouché) i Tallejranda. Jak powiedzieliśmy wyżej, miejsce pana Fusze zastąpił książę Rovigo, i wybór ten nie mógł być lepszym, skoro błąd oddalenia pana Fusze raz już został popełnionym. Na miejsce pana Tallejranda wezwał był pana de Szampani (de Champagny), księcia Kadorskiego (de Cadore), człowieka roztropnego i umiarkowanego, wypełniającego ściśle wolę Napoleona, ale nie dodającego nie do niej, i raczej łagodzącego ją przez umiarkowanie swojego charakteru. Książę Kadorski czynił w każdym przedmiocie wyborne zdania sprawy, ale mówił mało, a mówiąc mało nie wyprowadzał w pole dyplomatów zagranicznych. Napoleon skarżył się często księciu Kambasere (Cambacérés), że jego minister spraw zewnętrznych *nie umiał się tłumaczyć*, i ustąpił wreszcie naleganiom swojego sekretarza stanu, księcia Bassano, który pragnął bardzo zająć stanowisko ministra spraw zagranicznych, i być przedstawicielem wielkiego państwa w obec Europy. Napoleon skłonił się do tego wyboru właśnie w kwietniu 1811, to jest, w epoce kiedy sprawy europejskie się wikłały, i kiedy podobna nominacja mogła przynieść największe niedogodności.

Mówiliśmy już pierwój o księciu Bassano. Wielka rola, jaką powołany był później odegrać, wymaga żebyśmy o nim więcej coś po-

wiedzieli. Minister ten miał właśnie wszystko to, na czém zbywało księciu Kadorskiemu. O ile ten był skromnym, bojaźliwym nawet, o tyle tamten był nim mało. Zaczny człowiek, jak powiedzieliśmy, poświęcony Napoleonowi, ale tém poświęceniem się zgubném dla monarchów, którzy są jego przedmiotem, grzeszny, mający upodobanie i talent reprezentacji, mówiący dobrze, słuchający siebie mówiącego, próżny do zbytku blaskiem pożyczonym od swojego pana, był stworzonym do powiększenia wszystkich wad Napoleona, jeżeli można było powiększyć w czémkolwiek wielkość jego wad lub jego przymiótów. Kiedy imponujące rozkazy Napoleona przechodziły przez usta wachające się księcia Kadorskiego, traciły coś z swój gwałtowności; kiedy przechodziły przez usta powolne i szydercze pana Tallejranda, traciły coś ze swój powagi. Ten sposób komunikowania swych rozkazów, Napoleon nazywał niezręcznością u pierwszego, zdradą u drugiego. Szczęśliwa zdrada, która zdradzała tylko jego namiętności na korzyść jego dobra! Nie mógł on się lękać nic podobnego ze strony księcia Bassano, i był zapewnionym, że żaden z jego nieuchronnych wyroków nie będzie miarkowanym roztropną ostrożnością ministra. Najdumniejszy z panów dostawał za posługacza najmniej skromnego z ministrów, i to w chwili kiedy Europa przyprowadzona do ostateczności, potrzebowała więcej jak kiedy być oszczędzaną. Potrzeba dodać na usprawiedliwienie księcia Bassano, że uważał Napoleona nie tylko za największego z wodzów, ale za najmędrszego z polityków, że nie znajdował przeto nic prawie do zmienienia w jego pomysłach; dobra wiara, która bez jego winy czyniła go najniebezpieczniejszym z ministrów.

17 kwietnia Napoleon wezwał arcykanclerza Kambaseresa, którego się już radził rzadko, wyjąwszy w przedmiocie prawodawstwa, i wtedy słuchał go prawie zawsze, w przedmiocie religji, a wtedy nie słuchał go prawie nigdy, w przedmiocie osób, dla tego tylko, żeby przygotować go do swych nagłych rozkazów. Przełożył mu, co miał do zarzucenia księciu Kadorskiemu, lubo go szacował i kochał bardzo, oraz postanowienie swoje zastąpienia go przez księcia Bassano. Książę Kambasere wyrzekł kilka słów na korzyść księcia Kadorskiego, zamilkł o księciu Bassano, jakowe milczenie wystarczającym było dla Napoleona, który domyślał się wszystkiego, ale nie dbał o nic, i wziął pióro do zredagowania dekretu. Napoleon go podpisał, i porucił potem księciu Kambasere pójść z księciem Bassano do księcia Kadorskiego dla odebrania od tego ostatniego portfelu spraw zagranicznych. Książę Kambasere, razem z księciem Bassano, udali się do księcia Kadors-

skiego, zdziwili go niezmiernie przedmiotem swych odwiedzin, gdyż ten zacny człowiek nie domyślał się bynajmniej w czém nie podobał się swojemu panu, zresztą znaleźli u niego rezygnację spokojną i milczącą. Książę Kadorski oddał swój portfel księciu Bassano ze smutkiem tajonym ale widocznym, książę zaś Bassano przyjął go ze ślepą radością zadowolonej ambicji: pierwszy nie znając jak okropnego pozbywał się ciężaru, drugi w jakich straszliwych kłęskach będzie miał udział! Błoga i straszliwa tajemnica przeznaczenia, pośród której postępujemy, jakby śród obłoku!

Książę Kambasere dostrzegłszy smutek księcia Kadorskiego, uwiadomił o tém Napoleona, który zawsze pełen żalu, gdy szło o zasmucenie dawnych sług, udzielił pięknego wynagrodzenia swojemu ministrowi oddalonemu, naczynając go intendentem jeneralnym korony.

Napoleon szczęśliwszym był w wyborze swojego nowego posła do Petersburga. Dał on, jak wyżej powiedzieliśmy, za następcę księciu Wicencji, pana de Loryston (de Lauriston), jednego ze swych adiutantów, którego używał już z korzyścią do wielu poruczeń delikatnych, gdzie potrzeba było taktu, ostrożności, ducha obserwacji, znajomości administracyjnych i wojskowych. Pan de Loryston był człowiekiem prostym i rozsądnym, nie lubiącym się narażać swojemu panu, ale który wolał narażać się raczej mu, niżeli go oszukać. Żaden poseł nie był sposobniejszym od niego zbliżyć obu cesarzów rossyjskiego i francuskiego, gdyby mogli być zbliżeni, ostrożnie postępując z jednym i pozyskując jego zaufanie, przekonywając drugiego że wojna nie była nieuchronną i zależała jedynie od jego woli. Mało było wprawdzie nadziei pozyskania pożądanego skutku w tém poruczeniu, nadewszystko w obecném położeniu rzeczy, ale nie było wątpliwości, że się nie pogorszą one z winy pana de Loryston.

Napoleon, odtąd jak zaczął przyspieszać swe uzbrojenia, po otrzymaniu wiadomości o odwołaniu dywizij rossyjskich z Turcji, wiedział dobrze, że nie było już czasu ukrywania ich i polecił panu de Kolękur, ażeby w chwili swego odjazdu, panu Loryston zaś, ażeby w chwili swego przybycia, nie ukrywali już nic, owszem żeby wyznali wszystkie przygotowania, jakie czynił, żeby się nad niemi umyślnie rozszerzali, żeby tym sposobem przestraszyć Aleksandra, kiedy już nie można było go uspić. Ale przy tém upoważnił tak jednego jak drugiego do formalnego oświadczenia, że nie żądał wojny dla wojny, że jeżeli robił przygotowania do niej, to jedynie dla tego, że sądził, iż zamierzają rozpocząć ją z nim, że był przekonany, iż po ukończeniu spraw tureckich Rossja zbliży się do Anglii, choćby

dla tego tylko, żeby przywrócić swój handel z nią i korzystać samolubnie z tego, co winna była przymierzu francuzkiemu; że uczyniła to już w połowie przyjmując Amerykanów do swoich portów, że, według niego, przyjmować kontrabandzistów, było to prawie wypowiadać wojnę; że jeżeli można było przypuścić, iż miano urazę do niego za nędzotę taką jak sprawa oldenburska, można się u niego domagać wynagrodzenia, że je udzieli, jakkolwiek ono byłoby znaczném, ale że należało wreszcie mówić otwarcie, nie ukrywać niczego co miano sobie wzajemnie do wyrzucenia, żeby wziąć lub złożyć broń natychmiast, i nie ponosić kosztów na przygotowania bezpotrzebne. Wszystkie te rzeczy powtórzył sam księciu Kurakinowi i panu Czerniszewowi, z połączeniem grzeczności, wyniosłości, dobroduszości, których umiał bardzo dobrze używać w porę, i nalegał na p. Czerniszewa, żeby się udał dla powtórzenia ich do Petersburga. Jednakowoż, ponieważ nie chciał dawać objaśnień tak kategorycznych, dopóki uzbrojenia nie będą znacznie posunięte, zalecił panu de Loryston, wysyłając go z Paryża w Kwietniu, ażeby przybył nie pierwój jak w Maju do Petersburga, to jest w chwili, kiedy przygotowania najznacniejsze będą już tam znane. Sam też mówił otwarcie z pp. Kurakinem i Czerniszewem nie pierwój, jak na krótki czas przed tą epoką.

Ale wszelkie starania Napoleona zachowywania zręcznego stopniowania w swojej mowie były zbyteczne, gdyż cesarz Aleksander uwiadomiony był z dnia na dzień, i z dziwną dokładnością, co się czyni we Francji. Kilku Polaków oddanych Rossji, wielu Niemców, którzy nas nienawidzili namiętnie, wielu mieszkańców zrujnowanych Gdańska, Lubeki, Hamburga, pośpiesznie uwiadomiali go o wszystkich ruchach naszych wojsk. Wreszcie niegodziwy jeden urzędnik bióra wojennego, przekupiony przez p. Czerniszewa, wydał mu spis wszystkich wojsk. Dla tego, każdą razą kiedy p. de Kolękur usiłował zaprzeczać niektórym faktom, lub przynajmniej zmniejszać ich ważność, o których wiadomość codziennie przychodziła do Petersburga, cesarz Aleksander odpowiadał mu: „Niezaprzeczaj mi, jestem pewny tego co mówię. Widocznie pozostawiają cię w niewiadomości, i niepokładają już zaufania w tobie. Cała usilność, której dokładam dla oświecenia ciebie, i której podejmują się chętnie, gdyż szacuję ciebie i kocham, jest nadaremna. Cesarz Napoleon nie wierzy tobie, dla tego że mówisz mu prawdę; dowodzi on, że cię ująłem, że jesteś za mną a nie za nim; toż samo będzie z p. do Loryston, który jest również uczciwym człowiekiem, który będzie musiał powtórzyć też same rzeczy, a twój pan powie jeszcze, że p. Loryston jest ujęty.“

P. de Kolękur, o którym Napoleon mówił istotnie to wszystko, i na którego wielki wpływ wywierała ujmująca grzeczność Cesarza Aleksandra, ale nie do tego stopnia, żeby miał donosić swojemu monarche co innego jak samą prawdę, p. de Kolękur odpowiedział ze swej strony Cesarzowi Aleksandrowi, że istotnie uzbrajano się we Francji, ale że uzbrajano się dla tego, iż on sam się uzbrajał; napomknął mu przytém o szanecach, które sypano nad Dźwiną i Dnieprem, o cofaniu wojsk z Finlandji, jak równie téż z Turcji. Aleksander widząc, że działania jego sa odkryte, użył w tym razie zupełnej otwartości, która zresztą nie mogła mu już w niczém szkodzić, a potém rzeczą było niezaprzeczoną, że chwycił się tych pierwszych środków ostrożności nie pierwój jak po licznych ostrzeżeniach odebranych z Polski i Niemiec, i sam wreszcie życzył sobie, iżby wiadano, że przygotowany był do upornej walki. „Utrzymujesz że się uzbrajam, rzekł do p. de Kolękur, bynajmniej temu nie przeczę; uzbrajam się w istocie, jestem gotów, i znajdziecie mnie przygotowanym do dzielnej obrony. I cóżbyście myślili o mnie, gdybym był tak ograniczonym, tak zapominającym na me obowiązki, żebym pozostawił mój kraj wystawionym na wolę tak prędką, tak wymagającą i tak potężną waszego pana? Ale zacząłem się uzbrajać nie pierwój, aż nim wiadomości pewne, niewątpliwe, których źródła, ma się rozumieć, nie mogą ci wyjawić, nie uwiadomiły mnie, że postawiono Gdańsk w stanie obrony, że powiększono załogę tego miasta, że wojska marszałka Dawu pomnażały się i skupiały, że Polacy, Sasi, otrzymali rozkaz zostawania w gotowości; że kończono obwarowanie Modlina, że restaurowano Toruń, że zaopatrywano wreszcie w żywność wszystkie te twierdze. Po otrzymaniu tych wiadomości, oto co uczynilem... Wziąwszy wtedy za rękę p. de Kolękur, poprowadził go do oddalonego gabinetu, gdzie rozłożone były jego mappy, i dodał: Nakazałem roboty obronne nie przed, ale za moją granicą, na Dźwinie i Dnieprze, w Rydze, Dyneburgu, Bobrujsku, to jest, w odległości prawie równiej od Niemna, jak jest Strasburg od Paryża. Gdyby wasz pan fortyfikował Paryż, mógłżebym się na to skarżyć? I kiedy czyni swe przygotowania tak daleko na przedzie swych granic, nie mogąż ja uzbrajać się tak daleko z tyłu moich, nie będąc oskarżanym o wyzywanie? Nie ściągnąłem całych dywizij z Finlandji, ale odesłałem tylko do dywizij litewskich pułki, które od nich odłączone były na wojnę ze Szwedami; wysłałem do armji bataljony garnizonowe, i zmieniłem organizację moich wojsk zapasnych. Powiększam moją gwardję, o czém mi nie wspominasz, a co sam wyznaję, i staram się uczynić ją godną

gwardji Napoleona. Odwołałem wreszcie pięć moich dywizyj z Turcji, z czego bynajmniej nie czynię tajemnicy, i co stanowi przeciwnie jedno z zażeń przeciwko wam, gdyż przeszkadzacie mi tym sposobem zebrać owoce umówione naszego przymierza, owoce bardzo szczupłe, w porównaniu z waszemi zdobyczami; jedném słowem, nie chcę być napadniętym z nienacka. Nie mam tak dobrych generałów jak wy, a nadewszystko, nie jestem ja sam, ani generałem, ani administratorem takim jak Napoleon; ale mam dzielnych żołnierzy, mam poświęcający się naród, i umrzemy wszyscy z bronią w ręku raczej, niżeli dozwolimy sobie traktować jak Hollendrzy lub Hamburgczycy. Ale oświadczam wam, pod słowem honoru, że nie ja pierwszy wydam strzał armatni. Dozwolę wam przejść Niemen, nie przechodząc go sam. Wierz mi, nie oszukuję was, nie chcę wojny. Mój naród, chociaż obrażony postępowaniem waszego Cesarza ze mną, chociaż strwożony waszemi przywłaszczeniami, waszemi zamiarami względem Polski, nie chce również jak ja wojny, gdyż zna jęj niebezpieczeństwo, ale napadnięty nie ustąpi.“

Kiedy p. de Kolękur powiedział Cesarzowi, że bez wojny, są rzeczy, które mogą tyle ważyć co wojna, że zamiar tajemny zbliżenia się z Anglią po zawojowaniu prowincyj dunajskich, przywrócenia handlu rossyjskiego z nią, będzie uważany za równie niebezpieczny, jak strzały armatnie, Aleksander wytłómaczył się w tym przedmiocie, równie prędko jak w innych. Zbliżyć się z Anglią, rzekł, po ułatwieniu spraw tureckich, bynajmniej o tém nie myślę! Po wojnie z Turcją, po przyłączeniu Finlandji, Mołdawji, Wołoszczyzny do mojego państwa, będę uważał za skończony zawód wojenny i polityczny mojego panowania. Nie chcę już narażać się na nowe niebezpieczeństwa, chcę korzystać w pokoju z tego co nabędę, i zatrudniać się cywilizowaniem mojego państwa, w miejscu zajmowania się jego powiększeniem. Owoż, dla zbliżenia się z Anglią, potrzebaby mi było zerwać z Francją, i narażić się na nową z nią wojnę, którą uważam za najniebezpieczniejszą ze wszystkich! I w jakim że celu? żeby usłużyć Anglii, żeby przyjść w pomoc jęj teorjom morskim, które nie są mojemi? Byłoby to szaleństwem z mojej strony. Po ukończeniu wojny tureckiej, chcę zostawać w pokoju, wynagrodzony tém co posiadę sam, za to co wy posiadziecie, wynagrodzony bardzo niedostatecznie, mówią przeciwnicy polityki Tylżyckiej, ale dostatecznie w moich oczach. Pozostanę wiernym tęg polityce, pozostanę w wojnie z Anglią, będę miał dla nięj zamknięte me porty, w granicach jednakże, które dałem poznać i od których niepodobna mi odstąpić. Nie mogę, w isto-

cie, powiedziałem już to, i jeszcze powtarzam, zabronić wszelkiego handlu moim poddanym, ani powstrzymać ich od zamiany towarów z Amerykanami. Wchodzi wprawdzie tym sposobem nieco towarów angielskich do Rossji, ale wprowadzacie ich sami tyleż prawie przez wyłączone pozwolenia, a nadewszystko przez waszą taryfę, która dozwala im wstępu za opłatą 50-ciu procentów. Nie mogę ścieśniać siebie więcej, niżeli wy sami nie ścieśnacie siebie. Potrzebuję, trwając w przymierzu, którego wy nie staracie się uczynić popularnym w Rossji, nie uczynić nieznośnym moim ludom rodzaju poświęcenia się, którego wy nie podzielacie, i które wreszcie nie jest potrzebnem dla przyprowadzenia Anglii do ostateczności, do której wreszcie przyprowadzoną zostanie, jeżeli nie będziecie sami tworzyć im sprzymierzeńców na stałym lądzie. Potrzeba więc nam pozostać w tych granicach, bo, wyraźnie oświadczam, że chociażby wojna była u wrót moich, nie ustąpię w niczem, pod względem środków handlowych. Co do innych punktów, które nas różnią, wiem czego się mam trzymać. Polacy są bardzo burzliwi, bardzo niespokojni, głoszą otwarcie bliskie wskrzeszenie Polski, ale polegam na słowie Cesarza pod tym względem, chociaż nie zgodził się na układ, jakiego żądałem. Co do Oldenburga, potrzebuję czegoś, coby nie było fraszką, nie dla mojej familji, gdyż jestem dość bogaty, żeby ją wynagrodzić, ale dla godności mojej korony. I pod tym względem jeszcze spuszczałem się na Cesarza Napoleona. Powiedziałem już, i powtarzam jeszcze, że chociaż obrażony i wprawiony w kłopot tém co zaszło w księstwie Oldenburskiem, nie będę z tego powodu prowadził wojny.

Gdy p. Kołękur nalegał, żeby Cesarz Aleksander sam wskazał wynagrodzenie, jakiego żąda, nie chciał się znowu wytłómaczyć w tym względzie. — Gdzież chcecie, powiedział mu, żeby szukał wynagrodzenia? W Polsce? Napoleon powie, że żądam od niego części Księstwa Warszawskiego, i że to z powodu Polski prowadzę wojnę. Przeto, choćby ofiarował mi całe Księstwo, nie przyjmę go. Czy będę potrzebował tego wynagrodzenia w Niemczech? Powie księżetom Niemieckim, że dążę do ich wywłaszczenia. Nie mogę więc brać inicjatywy, ale polegam na nim. Zachowajmy pozory, a będę zadowolonym. Skarb mój dopełni wynagrodzenia, jeśli ono nie będzie wystarczającym.

Aleksander, w miarę jak zbliżał się odjazd pana de Kołękur, podwoił swe grzeczności dla tego ambasadora, i jakkolwiek był przebiegłym, widocznym było, że wykazał prawdziwe swe usposobienia

w poufnych z nim rozmowach. Wielkość Napoleona nie mogła mu się podobać, jednakże przestawał na pozyskaniu Finlandji, Mołdawji i Wołoszczyzny. Nie chciał, dla zbliżenia się z Anglią, narażać się na wojnę z Francją, której myśl sama przejmowała go dreszczem, ale nie chciał téż poświęcać ostatków swojego handlu, i z tego jedynie powodu zdolnym był do narażenia się na zerwanie. Naród jego, a przez naród rozumiemy przedewszystkiem szlachtę i wyższych officerów wojska, odgadując jego zamiary, lubo ich nie wyjawiał, i pochwalając go tą razą w zupełności, nie chcąc wojny więcej niżeli on, ale tyle co on, i pod temiż warunkami, nie czynił żadnych przechwałek, nie okazywał nawet żadnej zawziętości, i mówił głośno, jak jego Cesarz, ze skromnością połączoną ze szlachetną stałością, że wiedział jak ciężką była wojna z Francją, ale że gdyby posuniono się aż do gwałcenia jego niepodległości, będzie się bronił i potrafi umierać z bronią w ręku. Była już myśl rozszerzona we wszystkich stanach narodu, żeby uczynić tak jak Anglicy w Portugalji, cofać się w głąb Rossji, niszczyć wszystko cofając się, i jeżeli nie bronią rossyjską, to przynajmniej nędzą, wyniszczyć Francuzów. Zresztą, w mowie, w postawie nic nie było wyzywającym, i p. de Kolękur, równie jak Francuzi co go otaczali, przyjmowani wszędzie byli z podwojoną grzecznością.

Gdy wiadomość o przyjeździe na świat króla Rzymskiego przyszła do Peterburga przed przybyciem pana de Loryston, Cesarz Aleksander wysłał wszystkich magnatów swojego dworu złożyć powinszowanie ambasadorowi Francji, i postąpił w tym razie z równą otwartością jak serdecznością. P. de Kolękur chciał zakończyć swoją świetną, i potrzeba przyznać, bardzo użyteczną ambasadę (gdyż przyczyniła się ona do opóźnienia zerwania pomiędzy obu państwami), wspaniałym balem, danym z okazji urodzin króla Rzymskiego. Życzył sobie naturalnie, żeby Cesarz Aleksander był na nim obecnym, i ten, domyślając się jego chęci, wyrzekł do niego następujące słowa: Wiesz co, nie zapraszaj mię, bo będę zmuszony odmówić; nie mogę iść tańczyć do ciebie, kiedy dwakroć sto tysięcy Francuzów postępuje ku moim granicom. Podam się za chorego, żeby ci dać powód niezapraszania mnie, ale przyszlę do ciebie cały mój dwór, nawet moją rodzinę, bo chcę żeby twój bal był świetnym, taki jak powinien być ze względu na wypadek, jaki obchodzisz, i ze względu na urząd, który piastujesz. Twój następca przybywa, może przyniesie mi co zaspokajającego; wtedy, jeśli potrafimy się z sobą porozumieć, udzielię twojemu panu i tobie najwyraźniejszych oznak przyjaźni.

Istotnie wszystko się odbyło na tym balu jak Cesarz Aleksander zapowiedział, i wszystkie pozory były zachowane. P. de Loryston, bardzo niecierpliwie oczekiwany, przybył wreszcie 9 Maja 1811 r. do Petersburga. P. de Kołękur przedstawił go natychmiast Cesarzowi Aleksandrowi, który go przyjął z uprzejmą grzecznością i pochlebnym zaufaniem, wiedząc że pod względem usposobień przyjaznych i prawdomównych, nie traci nic na tej zmianie. Po kilku dniach poświęconych przyjęciom urzędowym pełnym świetności, Cesarz Aleksander, już to w obecności p. de Kołękur, już to sam na sam, ciągnął, że tak rzec można, badania z pana de Loryston, chcąc otrzymać od niego jakie zadawalające objaśnienie względem zamiarów Napoleona; ale nie dowiedział się niczego, czego by mu pierwój nie powiedział już był p. de Kołękur, lub czego by mu nie doniósł p. Czerniszew, który był świeżo powrócił z Paryża. Napoleon nie żądał bynajmniej zerwania, ale uzbrajał się dla tego, że się dowiedział o przybyciu na Litwę dywizji z Finlandji i z Turcji, że sypano szanice nad Dźwiną i Dnieprem, że zapowiadano mu wszędzie o wojnie, że lękał się, żeby nie wypowiedziano mu jój po ułatwieniu spraw tureckich, że przyjmowano Amerykanów do portów rossyjskich i t. d... Na te powtarzane zarzuty, Aleksander odpowiadał innemi zarzutami, i dowodził, że uzbrajał się bez wątpienia, ale jedynie dla tego, że się uzbrajał Napoleon: że nie myślał bynajmniej o rozpoczęciu nowój wojny po ułatwieniu spraw tureckich, że nie podniesie broni, jeżeli jój nie podniosą przeciwko niemu, że dawał słowo uczciwego człowieka i panującego, iż nie postąpi sobie inaczej; że przyjmował Amerykanów, gdyż nie mógł się obejść bez tego ostatka handlu, i że zobowiązawszy się w Tylżycie, nie do spełniania dekretów, wydanych w Berlinie lub Medjolanie, których nie znał, ale do zachowania praw neutralnych, zostawał wiernym temu zobowiązaniu, wierniejszym od Francji, pozwalając wstępu neutralnym do swoich portów; jednem słowem, że był gotów cofnąć uzbrojenia, jeśli za wspólną zgodą nastąpi wzajemne rozbrojenie.

Po powtórzeniu tych zarzutów panu de Loryston, jak je nie raz już powtarzał panu de Kołękur, pożegnał tego ostatniego, uściskał go nawet w swych objęciach, prosił go, żeby odkrył Napoleonowi całą prawdę, oraz pana de Loryston, który był obecnym, żeby ją powtórzył ze swój strony, i dodał ze smutkiem te znaczące wyrazy: „Ale nie uwierzą ci, równie jak panu de Kołękur... Powiedzą że cię zjednałem sobie, że cię ująłem, i że wpadłszy w moje sieci, stałeś się bardziej Rossjaninem niżeli Francuzem”...

P. de Kolękur odjechał do Paryża, a p. de Loryston, po przepędzeniu dni kilku w Petersburgu, napisał do ministerstwa francuzkiego, że jako uczciwy człowiek winien był prawdę swojemu panującemu, że miał postanowienie wypowiedzieć ją całkiem, że musiał tedy oświadczyć, iż Cesarz Aleksander, przygotowany w pewnej mierze, nie chciał jednakże wojny, że w żadnym razie nie rozpocznie jój pierwszy, że wypowie ją wtedy tylko, gdy wtargną do jego kraju; że co do Oldenburga, przyjmie to co mu dadzą, nawet Erfurt, jakkolwiek to wynagrodzenie byłoby mało znaczącym, i że z powodu miłości własnej Rossjan, ciężko obrażonej, należałoby znaleźć coś ważniejszego; że pod względem kwestji handlowej, nastąpi większa ściśłość w rozpatrzeniu papierów neutralnych, chociaż już użyta została pewna surowość względem nich, gdyż sto pięćdziesiąt statków angielskich zabranych zostało w jednym roku; ale że Rossja nie mogłaby się nigdy całkiem obejść bez neutralnych. Nie mogę, dodał pan de Loryston, widzieć, jak tylko to co widzę i nie mogę mówić, jak tylko to co widzę. Rzeczy są w takim stanie, jak je wyłożyłem, i jeżeli nie przestaniemy na tych jedynych, podobnych do otrzymania ustępstwach, będziemy mieli wojnę, będziemy ją mieli dla tego, że jój chcemy, i będzie ona ciężką, według tego co zauważałem tak tutaj jak po drodze. Pan Czerniszew został na nowo wysłany do Paryża dla powtórzenia w innych wyrazach, ale z temiż zapewnieniami, tychże samych zupełnie rzeczy, a również dla przedłużenia w biurze wojny pewnego rodzaju przekupstwa, którego on jeden posiadał tajemnicę w poselstwie rossyjskiem, i do którego rząd jego przywiązywał wielką wagę, gdyż otrzymywał tą drogą najważniejsze wiadomości, dotyczące się wszystkich przygotowań Francji.

Kiedy te nowe objaśnienia przybyły do Paryża, za powrotem pp. Czerniszewa i Kolękura, oraz za odebraniem listów od p. Lorystona, Napoleon wyprowadził z nich wnioski, nie że pokój był podobnym, jeśliby go chciał, ale że wojna odwlecze się na rok jeden, gdyż widocznie Rossjanie nie rozpoczną jój pierwsi, skoro nie rozpoczęli jój dotąd, po tém wszystkiem co uczynił dla zmaglenia ich do niej, wyraźnym takoz było, że ze swój strony mieli wiele przygotowań do ukończenia, i że chcieli pierwój skończyć wojnę z Turcją, nim rozpoczną drugą, a ponieważ Napoleon chciał rozpocząć tę nową kampanję na Północy z ogromnemi środkami, rad był, że jeszcze miał cały rok przed sobą, już to dla przygotowania swych wojsk, już to dla do kompletowania materjałów wojennych, które stanowiły, jak już powiedzieliśmy, najgłówniejszą trudność nadchodzącej wyprawy. Dla

czego jego pojęcie obecnego stanu rzeczy nie posunęło się dalej? dla czego nie zobaczył tego, że nie tylko podobna było odwlec zerwanie, ale go uniknąć? Przyczyna tego była ta sama, jaką przytoczyliśmy wyżej. Doświadczył już był tyle razy, że po pierwszej oziębłości, przychodzą z nim nieochoybnie do wojny, widział już tyle razy swoich tajemnych nieprzyjaciół, gotowych do połączenia się z pierwszym nieprzyjacielem, który ośmielił się zdjąć maskę; widział tak dobrze w Rossji nieprzyjaciela zwyciężonego, ale nie zgnębionego, z którym się połączą rozjątrzeni monarchowie europejscy, że był przekonany iż wcześniej lub później nastąpi zajście z nią, i w wojnie prawdopodobnej postrzegając natychmiast wojnę nieuchronną, do tego stopnia, że jego własna przezorność stawała się dlań sidłem, czytając głęboko w sercach innych, nie wpatrując się w swoje, nie widząc tego, że w szybkiem przejściu z oziębłości do otwartej kłótni, główną przyczyną był jego popędliwy charakter, nie postrzegając że od niego samego zależało rozerwać ten zgubny łańcuch, stając się na chwilę umiarkowanym, cierpliwym, pobłażającym dla innych, nie czyniąc żadnej z tych zbawiennych uwag, nie mając nikogo przy sobie, coby go skłonił do ich czynienia, nie przyjmując żadnych rad pożytecznych ani od swoich ministrów, ani od ciał państwa, rodzaju marnych cieni, przeznaczonych do przedstawiania narodu i nie śmiejących nawet wydać się z swemi okropnemi cierpieniami, pozostawiony całkiem sam sobie, postanowił po raz drugi, można powiedzieć, w Maju 1811, wojnę z Rossją, zamierzając jednakże odwlec ją na czas jakiś. Zawsze skory do zdecydowania się, porobił już od początku Maja stosowne rozporządzenia, i wydał swoje rozkazy wojskowe, swoje instrukcje dyplomatyczne, z zupełną pewnością, że wojna rossyjska rozpocznie się nie pierwój jak w 1812, ale że niechybnie nastąpi w tym czasie.

Nie mając nic skrytego dla marszałka Dawu, napisał do niego natychmiast, że okoliczności były mniej naglące (1), ale że nie porzucił żadnego z swoich przygotowań, tylko żeby w każdym razie, kiedy będzie jaka korzyść, albo pod względem oszczędności, albo pod względem dobrego wykonania, w ukończeniu jakiej rzeczy we dwa tygodnie w miejscu jednego, należy ją kończyć we dwa tygodnie; że jego zamiarem było, mieć armję północną w gotowości na początek 1812 roku, ale w rozmiarach daleko większych, niżeli był z początku

(1) Zamieszczam te fakta, mając przed oczyma listy Napoleona do marszałka Dawu, ministra wojny, oraz do króla Saskiego i księcia Poniatowskiego.

zamierzał. Nie szło już teraz o wystawienie 300,000 ludzi, chciał on ich połączyć 200,000, pod rozkazami marszałka Dawu na Wisle, mieć 200,000 pod własnymi rozkazami na Odrze, mieć rezerwę od 150,000 na Elbie i Renie, równą prawie siłę wewnątrz dla bezpieczeństwa państwa, i wysłać jeszcze nieco wojsk do Hiszpanji, w miejscu odwołania ich stamtąd. Napoleon cofnął odprawę czwartych i szóstych bataljonów marszałka Dawu, postanowił że się będą tworzyć w depo, dla tego że się tam lepiej uorganizują, zamierzył nawet utworzyć siódmy, ażeby mieć sześć w stanie czynnej służby; wstrzymał tworzenie bataljonów wyborowych nakazane w chwili pośpiechu dla pułków stojących w Hollandji i we Włoszech, i chciał nawet, żeby był utworzony czwarty i szósty bataljon dla każdego z tych pułków. Nie wstrzymując kupli koni, zwiększając nawet ich liczbę, rozkazał skupować je powolnie, ażeby czynić lepszy wybór, i przedsięwziął urządzenie swoich ogromnych wozów w obszerniejszych rozmiarach, i na wzór nowy, który opiszemy gdzieindziej. Korzystał także z czasu, który mu pozostawał, dla urządzenia inaczey i w większych rozmiarach wojska polskiego, oraz wysłał pieniądze do Warszawy, ażeby mieć w następnym roku, twierdze Torgau, Modlin i Toruń całkiem ukończone i uzbrojone. Jednym słowem, nie tylko że nie zmniejszał przygotowań, ale czyniąc je więcej powolnie i nadając im większe rozmiary, starał się uczynić je zupełniejszymi i obszerniejszemi.

Dyplomacja była prowadzona w tymże samym kierunku. Starano się zbadać Austrję, i otrzymano od niej odpowiedzi, mogące natchnąć ufnością, skoro tylko chciano trwać w swoim złudzeniu. P. Metternich stał na czele gabinetu Wiedeńskiego, od czasu wojny 1809 roku. Otwartą jego polityką był pokój z Francją: zakładając na tém swą ambicję, żeby z tego pokoju pozyskać dla swojego kraju jaki świetny rezultat, chciał żeby skutkiem jego był pewien rodzaj przymierza, na mocy którego możnaby było odzyskać Illirję, której z powodu Trjestu i morza Adrjatyckiego, Austrja najwięcej w téj chwili żałowała. Z tego to powodu pomysł małżeństwa Napoleona z Marją-Ludwiką przyjęty był z taką skwapliwością. Ale polityka ta znajdowała w Wiedniu nie jednego przeciwnika. Dwór, jak zwyczajnie, nie uważając się być związanym wolą ministerstwa, będąc posłusznym jak zawsze swoim namiętnościom, przyjmował Rossjan i w ogólności malkontentów, jakiemikolwiekby oni byli, z największą uprzejmością, używał wyrażen najmniey umiarkowanych względem Francji, i w chmu-

rach, które się podnosiły na Północy, zdawał się upatrywać nowe burze, wzywał ich całemi siłami, gdyż na dworach, równie jak na ulicach, malkontenci mają zwyczaj przywoływania burz. Z uprzejmością też sobie niezwykłą dwór wiedeński przyjmował znakomitych pisarzy. PP. Szlegel, Goethe, Wieland i inni jeszcze, zapraszani i przyjmowani byli w Wiedniu z wielkiem odznaczeniem. Jednym z sposobów skrytych, ale zresztą słuszych, zapowiadania że Niemcy muszą wkrótce powstać przeciwko Francji, było sławienie, wywyższanie tego, co nazywano gienjuszem giermańskim, głoszenie jego wyższości nad gienjuszem innych narodów, dodawanie naturalnie że on nie był zrodzony, żeby żyć upokorzonym, zwyciężonym, niewolniczym i zapowiadanie jego przebudzenia się świetnego i bliskiego. Pałac dużo kładzieł znakomitym pisarzom, których dopiero co wspomnieliśmy, towarzystwo wiedeńskie w tym duchu działało; i ta arystokracja bardziej wytworna niżeli dowcipna, pochlebiała ludziom utalentowanym skutkiem nienawidzenia Francji. Naród austriacki, znużony wojną, niedowierząc nieroztropnej swój arystokracji, życząc sobie bardzo pomszczenia się na Francuzach, ale nie mając wielkiej nadziei żeby to nastąpiło, naśladował swojego mądrego i skrytego monarchę, który wśród dworaków i ministrów, nie wydawał się z swoim zdaniem, dozwalał mówić dworakom, którzy mówili wedle jego serca, i działać ministrom, którzy działali według jego rozumu. Domyślano się w Wiedniu, że wojna wkrótce wybuchnie pomiędzy Francją a Rosją, i że potrzeba będzie wybierać; ale wiedzano już czego się trzymać (mówimy tu o rządzie), i jeśli nie podobna było pozostać neutralnym, postanowiono oświadczyć się za najmocniejszym, to jest za Napoleonem. Tym sposobem spodziewano się otrzymać wynagrodzenie odzyskaniem Illirji, postąpionoby w tym razie tak samo, jak Rosja postąpiła w 1809 z Austrią; naśladowanoby ją nawet zupełnie; zostawanoby sprzymierzeńcem Francji, ale sprzymierzeńcem mało działającym, i podobnie jak Rosja, staranoby się coś otrzymać podczas zawarcia pokoju, nie zdziaławszy nic podczas wojny. Te widoki wyrachowane ministra rządzącego, były widokami także cesarza, który będąc nieraz już opuszczonym przez swych sprzymierzeńców, sądził że ma prawo ratowania się jak może z rozbitcia się stariej Europy, co nie przeszkadzało mu bynajmniej kochać swoją córkę, cesarzową Francuzów, i zanosić modły do nieba, żeby była szczęśliwą. Ale będąc przedewszystkiem panującym kraju zwyciężonego, uszczupłego, wdychał do podniesienia go przez politykę, gdy wojna się nie powiodła przeciw jego straszliwemu zięciowi.

— **ud** Cesarz dozwalał więc myśleć dworowi jak się mu podobało, przestając na tém, że nie brał udziału w żadnym z jego oświadczeń, pisał listy najprzyjaźniejsze do swojej córki, chętnie dowiadywał się od niéj, że była zadowolona z swego losu, zachęcał swojego ministra do prowadzenia układów powoli i roztropnie z Francją, zgadzał się od razu pomagać téj ostatniéj w Turcji, gdyż szło o przeszkodzenie Rossjanom otrzymania prowincij dunajskich, i dozwalał, żeby jéj robiono nadzieję przymierza Austrii w razie nowych powikłań europejskich, pod warunkiem wszakże znacznych korzyści. Ale, podzielając do tego stopnia zamiary swojego zięcia, chciał żeby nie przedstawano doradzać mu pokoju, gdyż potrzeba to przyznać na jego pochwałę, ten mądry cesarz, widząc wojnę pociągającą za sobą tyle nieszczęść w tym wieku, wołał raczej pokój w obecnym stanie rzeczy, niżeli wojnę, mogącą mu powrócić coś z tego co utracił.

Z resztą p. Metternich dzielił całkiem tę politykę, ale działanie pociąga nas często dalej niżeli chcemy, skłaniał się więc na naszą stronę trochę więcej może niżeli cesarz, gdyż zmuszony, mieć codziennie swoją rękę w naszej, nie łatwo mu było mieć ją w połowie. Nie troszczcie się, mówił do pana Otto, oto wszystko co prawią na dworze. Kobiety są takiej natury: muszą one mówić, a mówią one według mody panującej. Dozwólmy im mówić, a róbmy co do nas należy. Wyjaśniał potem co rozumiał przez robienie tego co należy. Ten minister, jeden z największych pomiędzy temi, którzy kierowali polityką austriacką, oddany zbytkom i rokoszom świata, lubiący mówić, rozprawiać, nauczać, ale pod formą dogmatyczną kryjący głęboką przebiegłość, udający szczerość, posiadający ją często, i pomiędzy wielu znakomitemi przymiotami, mający ten, że w słowach tylko udzielał zadośćuczynienia namiętnościom, które go otaczały, ale powodując się tylko w rzeczywistości interesem swojego kraju dobrze zrozumianym, umysł wyższy, jedném słowem, powołany do wywierania w ciągu lat czterdziestu ogromnego wpływu na Europę; minister ten mówił do pana Otto, że szczególniejszém połączeniem otwartości, serdeczności, ufności w siebie: Dozwól mi działać, a wszystko pójdzie dobrze. Twój pan chce we wszystkiém bardzo prędko postępować. W Konstantynopolu popełnacie same błędy. Sądzicie, że Turcy są zwierzętami do popędzania kijem. Zwierzęta te stały się tak przebiegłemi jak wy. Widzą one spekulacje, których są przedmiotem ze strony wszystkich, a szczególnie z waszój. Wiedzą że wydaliście ich Rosjanom w roku 1807, że teraz chcecie ich pozyskać dla siebie, żeby użyć ich przeciwko tymże samym Rossjanom. Nienawidzą was, wiedzą o tém

i wszystko co im mówicie, uważane jest przez nich w znaczeniu przeciwném waszym chęciom. Stójcie zdala, bądźcie ostrożnemi w Konstantynopolu, a wyrwiemy z rąk Rossji bogatą zdobycz, którą nieroztropnie pozostawiliście w ich mocy. Miejeie ufność we mnie, a Turcy nie odstąpią Mołdawji i Wołoszczyzny. Ale zmiłujcie się, pokazujcie się o ile można najmniej. Wszelka rada pochodząca od was jest podejrzana w Konstantynopolu. — Przestrogi te, równie mądre jak głębokie, wyjawiały stan rzeczy nieszczęściem bardzo prawdziwy. kiedy rzecz szła o podobieństwo wojny z Rossją, p. Metternich doradzał bardzo pokój, mówiąc że jakkolwiek wielkim był cesarz Napoleon, fortuna mogła go zdradzić, gdyż zdradziła wielu innych wielkich ludzi, że wielkie prawdopodobieństwo powodzenia było po jego stronie; ale że lepiej było nie stawiać ciągle wszystkiego na kartę; że jeżeli szczęściem cesarz Napoleon podobnie myślał, on Metternich nie życzył niczego bardziej jak przyłożyć się do tego, służyć za pośrednika u Rossji, i że prawdopodobnie powiedzie się mu w tém; że co do Austrij, zmuszoną jest oszczędzać siebie bardzo, że potrzebowała niezmiernie odpoczynku, i że dla wciągnięcia jęj do pomagania Francji w tęg wojnie, która się przeciwiała skłonnościom narodu austriackiego, potrzeba było nagrody odpowiednej takiemu wysileniu, i zdolnej do zamknięcia ust wszystkim malkontentom obecnej polityki.

Te wyrazy i inne, zręcznie połączone z najwznioślejszemi teorjami wskazywały jasno, że kosztem jednej prowincji można było posiadać wojsko austriackie, jak kosztem Finlandji pozyskano przedtém wojsko rossyjskie. Ale p. Otto w Wiedniu, p. de Bassano w Paryżu mieli rozkaz tłómaczyć się równie niejasno jak p. Metternich, skoro rzecz toczyć się będzie o Illirją lub Polskę, i powiedzieć tylko, że wojna zwykle płodną jest w następstwa, że nie można było zawczasu robić podziału zdobyczy, ale że z Napoleonem sprzymierzeni, co mu byli użyteczni, nie stracili nigdy na tém.

W Prusiech polityka nie była tak wyrachowaną, była ona smutną i zniechęconą. P. Hardenberg, którego zawsze uważano za nieprzyjaciela Francji, prosił i otrzymał od Napoleona upoważnienie do zostania pierwszym ministrem króla pruskiego. Król sam prosił, żeby mu dozwolono wziąć go za ministra, mówiąc, że był człowiekiem rozumnym, jedynym może, którego mógł użyć korzystnie w obecnych okolicznościach, że z nim można było zaprowadzić nieuchronne reformy, i zapłacić Francji co się jęj należało. Napoleon nie uważając

już za nieprzyjaciela osobę, ubiegającą się tym sposobem o jego względy i powodowany szczególnie nadzieją być zapłaconym przez Prusy, zgodził się na wstąpienie pana Hardenberga do ministerstwa, i ten istotnie wprowadził niektóre środki podyktowane przez ducha liberalnego, jako to: zrównania podatków, pozostawienie prawa do pozyskania stopniów w wszystkim oficerom armji, co obraziło jednych, uradowało drugich, zadowoliło większą liczbę osób, i co p. Hardenberg przedstawił Napoleonowi jako naśladowanie francuzczyzny, stronnictwu zaś niemieckiemu jako jedną z tych reform, które miały przywiązać massy do rządu królewskiego, dostarczyć kiedyś środków finansowych i wojskowych do oswobodzenia Niemiec. P. Hardenberg i ministrowie pruscy obmyślili dla wojska środek, zamieniony później w systemat stały dla Prus, to jest, mieć dużo żołnierzy zdając się ich mieć mało. Czytelnik przypomina sobie zapewne, że artykuł tajemny traktatu tylicykiego zabronił Prusom mieć więcej jak 42,000 wojska pod chorągwiami, dla uchylenia się od tego artykułu, wybrano co było najlepszego w wojsku pruskiem i porobiono z tego kadry; potem umieszczono w tych kadrach o ile można było najwięcej ludzi, ucząc ich musztry co najprędzej i jak najlepiej, i odsyłając ich później do domów dla wezwania innych, których kształcono podobnymże sposobem. Rachowano tedy w razie potrzeby na 150,000 ludzi, w miejsce 42,000, liczbę oznaczoną traktatem. Zachowywano w depo pułkowym broń i odzież żołnierzy tymczasowie odesłanych do domów, i spodziewano się, że dzięki nienawiści, którą czuł naród pruski za poniesione przez niego klęski, żołnierze ci, trzymani zaledwo rok jeden pod chorągwiami, walczyć będą w razie potrzeby jak wojska najlepiej wyćwiczone. Przyszłość miała usprawiedliwić tę nadzieję. Serca w istocie były przepiętne w Prusiech niesłychaną nienawiścią ku Francji. Cała młodzież klas wyższych, cała młodzież klas średnich, szlachta i mieszczenie, księża i filozofowie, łączyli się w towarzystwa sekretne, które przyjmowały rozmaite nazwiska, *Ligi cnoty*, *Ligi niemieckiej*, towarzystwa, w których ślubowano kochać tylko Niemcy, żyć tylko dla nich, zapomnieć o wszelkiej różnicy klas, lub prowincyj, nie zachowywać różnicy między szlachtą a nie szlachtą, pomiędzy Sasami, Bawarczykami, Prusakami, Wirtemberczykami, Westfalczykami, wszelkie te różnice zatrzeć, widzieć w nich wszystkich tylko Niemców, rozmawiać tylko językiem niemieckim, nosić tylko tkaniny, płody własnej ziemi, ko chać, uprawiać, protegować tylko sztukę niemiecką, poświęcać wreszcie wszystkie swe zdolności samym tylko Niemcom. Tym sposobem egzaltowany patryjotyzm niemie-

cki ukrywał się w cieniu i tajemnicy, zadośćczyniąc w tym razie i potrzebie obecnego położenia i usposobieniu ducha niemieckiego. Król i p. Hardenberg, umieszczeni na tym wulkanie, doznawali okrutnych udręczeń. Król przez szkrupuł, jak cesarz austriacki przez roztropność, skłonny był do niezrywania z Napoleonem, gdyż zobowiązał się mu być przez najuroczystsze oświadczenia wierności, w nadziei wyratowania szczątków swojej monarchji; pan Hardenberg w położeniu prawie podobnym do położenia pana Metternicha, upatrywał z której strony mógłby znaleźć dla swojego kraju więcej korzyści. Stronictwo egzaltowane niemieckie rozgniewane na niego za zmianę pozorną jego postępowania, i za niejaką surowość względem towarzystw tajemnych, do której był zmuszony, gotowe było jednak mu przebaczyć pod warunkiem, że się stanie narzędziem zdrady całkiem patriotycznej, której nikt sobie w Berlinie za złe nie poczytywał. Zdrada ta zależała na tém, żeby pod pozorem groźnego położenia Europy uzbrajać się, i uzbrajać się bardzo czynnie, mówić o przymierzu z Napoleonem, ażeby nie przeciwiał się tym uzbrojeniom, ofiarować, obiecać, podpisać nawet to przymierze, jeśliby tego była potrzeba, potem za nadejściem chwili, posunąć się do Starych Prus z 150,000 żołnierza, i połączyć się z Rossjanami dla zgębienia Francuzów, wówczas kiedy całe Niemcy powstaną z tyłu ich. Nie roztrząsając prawności podobnej polityki, i przypuszczając, że wiele dozwolonem jest temu, co chce oswobodzić swój kraj, wiele było do zarzucenia tej polityce z punktu widzenia roztropności. Prusy w istocie mogły stracić na tej niebezpiecznej grze resztki swojej egzystencji. Król, p. Hardenberg i kilku jeszcze ludzi roztropnych lękało się tego i nazywało szalenstwem podobne postępowanie. Dla skłonienia ich do swych widoków, zapaleni członkowie stronnictwa niemieckiego rozsiewali tysiące trwożących pogłosek, i starali się wmówić im, że Napoleon miał zamiar zachwycić króla i monarchję samą nagłym wtargnięciem do Berlina, co było zupełnym fałszem, ale co mogło jednak nastąpić, w razie gdyby Prusy popełniły jaką nieroztropność, gdyż Napoleon odbierając ze swjej strony wiadomości również niepokojące, miał się na ostrożności, i rozkazał marszałkowi Dawu na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa wkroczyć do Berlina.

Ściągnięci tym sposobem straszniemi widmami, król i p. Hardenberg przyjęli w części plan, który im doradzano, bez zdrady jednakże, przeciwniej tak prawiłości jak roztropności króla. Postanowili uzbrajać się, i uzbrajali się istotnie za pomocą wybiegu, o którym mówiliśmy, i chociaż ściśle ograniczali się liczbą 42,000 gotowego wojska, mogli

zebrać go w krótkim czasie sto do sto dwudziestu tysięcy. Ale jeżeli mogli wykrętnie tłómaczyć się względem liczby istotnej wojska gotowego, niepodobna im było ukryć pewnych przygotowań, jak tych naprzykład, które czynione były w twierdzach pozostałych Prusom. Napoleon miał wprawdzie w swém ręku twierdze najważniejsze nad Odrą, Głogowę, Kiestrzyn, Szczecin, i prócz tego dwie największe nad Wisłą, Toruń i Gdańsk, ale król Fryderyk Wilhelm miał jeszcze w swém posiadaniu Wrocław, Niszę, Świdnicę, w górnym Szląsku, Spandau, przy ujściu Sprei do Hawelu, Grudziądz nad Wisłą, Kolberg na wybrzeżu pomorskiem, Piławę na Frysz-Hafie, nie licząc Królewca, stolicy starych Prus, rozwinął też wielką czynność w pracach około tych twierdz, szczególnie w Kolbergu i Grudziądzu. Używano przedewszystkiem do tych robót starych żołnierzy, których zachowanie było rzeczą ważną, i których miano tym sposobem pod ręką, oprócz 42,000, ludzi dozwolonych traktatami. Zamiarem króla i pana Hardenberga było, skoro niepodobna byłoby ukryć tych uzbrojeń, wyznaczyć otwarcie, przytoczyć powód do nich, którym był projekt przypisywany Napoleonowi rozpoczęcia wojny z Rossją zniesieniem resztek monarchji pruskiej, mówić jak ludzie powodowani rozpaczą i dać do wyboru Francji, albo przyjąć ich szczerę przymierze, pod warunkiem uroczystej gwarancji ich istnienia i powrotu różnych ziemnych posiadłości, albo mieć ich zawziętymi nieprzyjaciółmi, walczącymi aż do ostatniego człowieka w obronie swój niepodległości. Była to zresztą polityka najmniej niebezpieczna, lubo miała swe niedogodności; a co do propozycji przymierza, wyjaśnia się ona ze strony króla i Hardenberga mniemaniem powszechném wtedy w Europie, że chociaż walczyć z Napoleonem byłoby szaleństwem. Z takim sposobem myślenia, chociaż nienawidząc Napoleona, jako ciemnięcyela Niemiec, król i jego minister uznali za rzecz roztropniejszą wejść z nim w przymierze, naprawić pomagając mu położenie Prus, naprawić je raczej kosztem kogokolwiek bądź, nizeli narażać się na ostateczne zniszczenie.

Rzeczy przyszły do tego punktu, że należało otwarcie się rozmówić, gdyż jak z jednej tak z drugiej strony niepodobna było osłaniać się tajemnicą. Napoleon, istotnie, ostrzegany ze wszystkich stron, rozkazał marszałkowi Dawu mieć się na ostrożności, przygotować się do wysłania dywizji Frjan (Friant) nad Odrę, ażeby przeciąć królowi pruskiemu i jego wojsku odwrót ku Wiśle, ażeby zachwycić jego i większą część jego wojska za pierwszym podejrzanym krokiem z jego strony, i prócz tego zalecił temu marszałkowi trzymać w gotowo-

ści trzy małe parki obleźnicze dla wzięcia w kilku dniach Spandawy, Grudziądza, Kolberga i Wrocławia. Po wydaniu tych rozkazów, zalecił panu de Sę-Marsan, postłowi francuzkiemu w Berlinie, ażeby się stanowczo rozmówił z gabinetem berlińskim, ażeby żądał od niego w kształcie *ultimatum* rozbrojenia niezwłocznego i zupełnego, a jeżeli to *ultimatum* nie było przyjęte, żeby się oddalił oddając w ręce marszałka Dawu monarchję Fryderyka Wielkiego. Te szczegóły wystarczają dla okazania jaką ważność przyjmowały ze wszech stron wypadki.

Zaszły także i przygotowywały się wypadki nie mniej ważne w sąsiedztwie Prus, to jest w Danji i Szwecji. Danja, ulegająca jak reszta wybrzeża europejskiego prawom blokady lądowej, była wierną tym prawom o tyle o ile można było tego oczekiwać od państwa sprzymierzonego, broniącego sprawy innego państwa, bo chociaż Danja uważała sprawę neutralnych za swoją własną, w punkcie, do którego przyszły rzeczy, sprawa neutralnych nieszczęściem zniknęła w inną, to jest, w sprawie ambicji Napoleona. Danja, złożona z wysp, mająca część swoich posiadłości na innych wyspach pośród Oceanu, mogła żyć tylko z morza, i chociaż szło o morze w rozpoczętej kłótni, uważała za rzecz zbyt ciężką dla niej, pozbawioną go być całkiem obecnie, żeby go mieć kiedyś swobodnym. Ale prawość wrodzona rządu i kraju, pamięć na bombardowanie Kopenhagi, nienawiść ku Anglikom, odwaga panującego monarchy, jego surowość nawet, wszystko przyczyniało się do tego, żeby zrobić z Danji sprzymierzeńca najwerniejszego Francji w wielkiej sprawie blokady lądowej. Jednakowoż, chociaż duch publiczny był takowego usposobienia, przeniewierzenie się kilku pojedynczych osób, straty wielu innych, pociągnęły za sobą nie jedno uchybienie. Altona nadewszystko, leżąca w pobliżu Hamburga, służyła jeszcze do utrzymywania związków z Anglją. Kupcy Hamburgscy, stawszy się Francuzami pomimo swój woli, i jako tacy podlegający surowym prawom blokady, narażeni nadto na nieugiętą surowość marszałka Dawu, lękając się (co się zdarzało niekiedy), ażeby nie robiono rewizji ich ksiąg handlowych dla przekonania się czy nie utrzymywali stosunków z Anglją, pozostawiali tylko w Hamburgu swe rodziny, sami zaś mieli w Altonie swe kantory, swe księgi, swe rejestra korespondencji. Przepędzali dzień w Altonie dla zajmowania się swemi interesami, a wieczór w Hamburgu, dla przepędzania go w kole rodzinném. Używali nadewszystko poczty altonskiej dla swych korespondencji, nie śmiejąc powierzać ich poczcie Hamburgskiej, i chociaż król duński szczerze pomagał Napoleonowi,

nie mógł dozwolić, aby policja francuzka z swém przemyślném szpiegostwem miała wstęp do Danji. Marszałek Dawu czynił odezwy, ale napróżno. Gorliwość króla duńskiego nie mogła wyrównać jego gorliwości, chociaż charakterem swoim król ten był dosyć podobnym do znakomitego marszałka. Za pośrednictwem korsarzy i kontrabandy, którym sprzyjało wielce położenie kraju, Holsztyn przepełniony został towarami kolonialnymi, i Napoleon działając względem niego podobnie jak względem Hollandji, starał się wypróżnić jego składy, dozwalając towarom kolonialnym dwóch miesięcy dla wejścia do cesarstwa z opłatą 50 od sta. Wyrachowanie to miało pomyślny skutek, i przyniosło na tym jednym tylko punkcie 30 milionów dochodu. Składy Holsztynu się wypróżniły, i nie był on już magazynem płodów kolonialnych angielskich. Kontrabanda więc z tej strony była prawie przeciętą. Danja dostarczyła nam więc trzech tysięcy wybornych majtków dla floty Antweperskiej. Nie można więc było wymagać więcej od tego wyśmienitego ludu dla sprawy morskiej, gdy ta zresztą była połączoną z tylu interesami dla niego obcemi, skutkiem zdobyczej polityki Napoleona.

Jedna jeszcze pobudka, należy to wyznać, przyczyniała się do wierności Danji to jest, bojaźń Szwecji, i pod tym względem znajdowała ona nagrodę swego postępowania w wierności Napoleona dla niej. Szwecja straciwszy Finlandję więcej przez nieroztropność swego króla jak z braku sił, miała występłą myśl wynagrodzenia siebie kosztem słabszego, to jest odbierając Norwegię Danji. Napoleon pod tym względem okazał się nieugiętym. Ale dla zrozumienia tego nowego zawikłania europejskiego, potrzeba poznać ową rewolucję, która przed kilką miesiącami miała miejsce w Szwecji, kraju, który po Francji, był wtedy najpłodniejszy w rewolucje.

Widzieliśmy wyżej, jakim sposobem lud szwedzki sprzykrzywszy sobie szalone wybryki Gustawa IV., z którego winy stracił Finlandję, pozbył się przez rewolucję wojskową tego bezrozumnego monarchy. — Był to już trzeci monarcha w owym czasie dotknięty obłąkaniem umysłu. Każdy kraj zapobiegł wedle swoich instytucij temu osłabieniu władzy najwyższej. W Anglii umieszczono z poszanowaniem Jerzego III. pod opieką jego familij, skutkiem prostej narady parlamentu; w Szwecji zbuntowany korpus wojska odjął Gustawowi IV jego miecz i berto. Odtąd Gustaw IV błąkał się jak szaleńiec po Europie, będąc przedmiotem litości dla wszystkich narodów, i otrzymując zresztą wszędzie względy winne nieszczęściu, gdy tymczasem stryj jego ksiązę Sudermanji, zostawszy królem nie starając

się o to, panował w Sztokolmie tak mądrze, jak trudne okoliczności czasowe tego dozwalały. Na jego żądanie Napoleon zawarł pokój z Szwecją pod warunkiem, że wyda niezwłocznie wojnę Anglii, że zamknie swe porty handlowi angielskiemu, i że zastosuje się do wszystkich prawideł blokady lądowej. Tym sposobem, ażeby mieć pokój z Rossją, i z Francją, Szwecja zmuszoną była odstąpić pierwszej Finlandję, drugiej zaś poświęcić swój handel. Za tę cenę odzyskała Pomeranję szwedzką, którą w skutek dawnego przesądu narodowego wysoko sobie ceniła, upatrując w niej możność wystąpienia na ląd, jak gdyby nowy Gustaw Adolf lub nowy Karol XII, miał wysiąść tam dla zwyciężenia Wallensztejna lub Piotra Wielkiego. Za tę cenę jeszcze odzyskała swe stosunki handlowe z lądem; ale na cóż się jej zdało odzyskać je, gdy z nabyciem sposobności wprowadzenia towarów wszelkiego rodzaju na stały ląd Europy, traciła przez wojnę z Anglią możność otrzymywania ich? Zamiast być blokowaną od lądu, była tylko blokowaną od morza. Chory więc obrócił się tylko na drugą stronę na swém łożu boleści. Wprawdzie zmienił on swe położenie, rodzaj ulgi chwilowej, która zmniejsza cierpienie i skracza czas dla cierpiącego.

Szwecja wyszła z swego przykrego położenia, jak wychodzą słabi, to jest, oszukując. Wydała ona tylko pozornie wojnę Anglii; zamknęła jej swe porty, ale pozostawiając dla niej otworem główny z nich, najkorzystniej położony, gotenburski. Port ten, leżący w Kategacie, naprzeciw brzegów Wielkiej Brytanji, przy wejściu do głębokiej zatoki, łączył w sobie wiele dogodności dla dziwnego systemu kontrabandy, wymyślonego w owęj epoce. Do tój to zatoki gotenburskiej i wysep na niej rozsianych schroniła się kontrabanda angielska, odtąd jak opuściła wyspę Heligoland, z powodu zagrożenia wyprawą przygotowywaną przez marszałka Dawu. Flotta wojonna angielska pod rozkazami admirała Somare (Saumarez), miała swe stanowisko albo u wyspy Anholt, albo w rozmaitych przystaniach zatoki gotenburskiej. Pod ochroną bandery angielskiej, seciny statków handlowych wyładowały bez żadnego ukrywania się na brzegi Szwecji swe towary wszelkiego rodzaju, cukier, kawę, bawełnę, wyroby Birminghamu i Manczesteru. Towary te złożone tam do czasu, zamieniały się następnie na płody północy, jak naprzykład drzewo, żelazo, konopie, zboże pochodzące z Rossji, ze Szwecji, z Prus, z Niemiec, niekiedy takż na jedwab surowy z Włoch, i później rozwożone były po całym Bałtyku pod rozmaitemi banderami mianującemi się neutralnemi, a szczególnie pod banderą amerykańską. Małe eskadry

angielskie, złożone z fregat i okrętów 74ro działowych, towarzyszyły statkom poświęconym handlowi, przeprowadzały ich przez Balty, ażeby uniknąć Sundu, ochraniały ich od korsarzy francuzkich, duńskich, hollenderskich, i doprowadzały ich aż do okolic Stralsundu, Rygi, Rewla, Kronsztadtu. Sygnał umówiony, zależący na chorągiewce umieszczonej na wielkim maszcie tych statków, służył do ich rozpoznania, jak hasło w mieście zostającym pod bronią i odróżniał ich od tych, któreby się chciały wcisnąć pomiędzy nie. Pod tym względem Napoleon miał słuszność, kiedy mówił, że neutralni, nawet ci co używali prawnie bandery Stanów Zjednoczonych, byli współnikami Anglików. Ale głównym przytułkiem tego handlu na lądzie był port stralsundzki w Pomeranji szwedzkiej. Wprowadzone do tego portu jako towary szwedzkie, wyroby angielskie miały wolny wstęp do Niemiec od czasu pokoju zawartego pomiędzy Francją a Szwecją. Znaczny komissjoner tamtejszy wysłał jeden do tysiąca wozów tych towarów.

Takim to sposobem Szwedzi uchylali się od warunków pokoju z Francją. Posunęli oni swą troskliwość względem tego handlu, aż do rozstawienia w około Gottenburga kordonu kawalerji, który pod pretekstem zarazy nie dozwalał nikomu przystępu, oraz zobaczenia tysiąca paków kontrabandowych, rozłożonych pod namiotami, również jak wielkiej liczby oficerów angielskich, przybywających pożywać świeże jadalno i szukać rozrywki na lądzie po trudach długiego krążenia na morzu. Niektórym z agentów wysłanych przez marszałka Dawu udało się przemknąć przez kordon, nie osłaniający innej zarazy jak zarazę kontrabandy, i ci usłyszeli rozmawiających po rosyjsku i niemiecku, a szczególnie po angielsku, w tém obszerném targowisku, urządzoném na prędce przez ducha handlu przemysłowego.

Postępowanie to ukrywane przez czas jakiś, nie mogło być długo tajoném Napoleonowi. Nadto świeże powikłanie przydało jeszcze nowe szczególne wypadki do tego dziwnego położenia. Książę Sudermanji, stryj Gustawa IV. nie miał dzieci. Najprostszą było rzeczą przysposobić za następcę syna zdetronizowanego króla. Ale dworacy, składający stronnictwo usuniętego króla, niektórzy szczególnie z ich naczelników, potrafili stać się nienawistnemi dla Szwecji. Pomiedzy glówniejszemi liczone hrabiego Fersena, nazwisko znane już w naszej rewolucji, hrabinę Piper, wreszcie królowę, żonę byłego panującego króla, wykazującą na jaw namiętność mało odpowiednie nowemu jój położeniu. Nie było żadnej złej myśli, żadnego złowrogiego zamiaru, którego by nie przypisywano temu stronnictwu, a z powodu nienawiści,

której ono było przedmiotem, niepodobieństwem stało się przywrócić dziedzictwo tronu w rodzinie Wazów, obierając za przyszłego króla syna zdetronizowanego monarchy dziecięcia zresztą całkiem niewinnego za szaleństwa swego ojca. W tém trudném położeniu nowy król Karol XIII. przysposobił Duńczyka, księcia Augustenburskiego, szwagra króla duńskiego. Korona duńska była sama zagrożona brakiem dziedzica, gdyż król duński nie miał potomka w prostéj linii. Wielu ludzi roztropnych w Szwecji, widząc w Sztokolmie i Kopenhagdzie dwa trony przeznaczone do pozostania wkrótce wakującemi, widząc upadek stopniowy swojej ojczyzny zagrożonej od lądu przez Rosją, od morza przez Anglję, myśleli, że dla podźwignienia jęj należało powrócić do owego słynnego połączenia trzech królestw Skandynawskich, które pczostawiło wprawdzie przykre wspomnienie w przeszłości, ale które w przyszłości mogło jedynie zapewnić niepodległość i wielkość tych państw. Byli nadto tego zdania, że to połączenie trzech koron i przymierze Francji, zanadto odległéj żeby mogła mieć złe zamiary względem Szwecji, i bardzo dbałéj o niepodległość jęj lądową i morską, stanowiły prawdziwą politykę Szwecji. Polityka ta istotnie była najlepszą, tą, której Szwedzi powinni byli sobie życzyć, i tą także, którą Europa powinna była życzyć Szwedom. Niestety, lubo pewien instykt narodowy dopomagał w tym razie ludziom oświeconym, u wieśniaków, tworzących stan liberalny, związek kalmarski przywoływał na pamięć przykre wspomnienia, a wyobrażenie które miano o królu panującym duńskim, że był monarchą surowym i nieużytem, całkiem zajętem szczegółami wojskowemi, nie mogło wpłynąć na zmianę ich sposobu myślenia. Książę Sudermanji zostawszy królem szwedzkim, skłaniał się zupełnie do powyższej polityki, równie mądrej jak głębokiej, i zbliżał się do niej ławirując, że tak rzec można. Nie ośmielając się w istocie przysposobić za następcę samego króla duńskiego, przysposobił szwagra jego, przeznaczonego do wstąpienia później na tron Danji.

Książę Augustenburski, mający tym sposobem nosić kiedyś trzy korony Północy, nie miał nic w sobie dla ujęcia drugich, ale wszystko dla pozyskania ich szacunku. Był on zimnym, pilnym w sprawowaniu interessów, i troszczącym się o wszystko co się tyczyło armji. Nie mając jeszcze dość czasu dla pozyskania przychylności ludu szwedzkiego, zostającego jeszcze w niepewności względem niego, zginął on nagle, skutkiem nieprzewidzianego i nadzwyczajnego wypadku. Był on konno, zajęty przeglądem wojska, gdy jednym razem ujrano go spadającego i pozostającego bez ruchu. Pospieszono mu na ratunek,

znaleziono go bez życia. Nic nie wskazywało zbrodniczego zamachu, i rzeczą było jasną, że nieszczęście to było skutkiem przyczyny naturalnej. Ale lud szwedzki, przejęty jednym razem żywą sympatją dla tego księcia tak wczesnie zgasłego, wmówił sobie, że zbrodnia interesowana miała udział w śmierci księcia, którego on zaczął być kochać. Z gwałtownością zwykle towarzyszącą namiętnościom ludowym, szukano i wykazano winnych, nie mających zresztą najmniejszego udziału w tym wypadku: byli to jak mówiono, hrabia Fersen, hrabini Piper, królowa i całe stronnictwo dawniejszego dworu. Wydawano przeciw nim złowrogie groźby, które nieszczęściem nie były próżnemi. W kilka dni potem, hrabia Fersen, przewodnicząc, skutkiem zajmowanego przezeń u dworu urzędu, pogrzebowi zmarłego księcia, podniósł swoją obecnością okropną burzę. Napadnięty, oskoczony przez lud, był ciągnany po ulicach i zamordowany.

Cała Szwecja zadrzała na tę zbrodnię ludową, i uczuła więcej jeszcze niebezpieczeństwo swego położenia. Ludzie oświeceni, król Karol XIII na ich czele, w miarę jak stan rzeczy się pogorszał, skłaniali się więcej ku połączeniu trzech królestw, i umyślili posunąć się krokiem dalej w kierunku téj polityki, czy to przyspasabiając synowca króla Duńskiego, księcia Krystjana, przeznaczonego do następstwa po nim, czy to idąc prosto do celu, przysposobieniem samego króla Duńskiego. To pewna, że gdy szło o zmianę dynastji, najstosowniejsem było, dla ugruntowania wielkości i niepodległości państwa, połączyć trzy korony Szwecji, Norwegji i Danji. Wybrać króla Duńskiego byłoby rzeczą zanadto śmiałą, najprzód z powodu ustalonej o nim opinji nieużytości, potem z powodu dumy szwedzkiej, gdyż Szwecja życzyłaby narzucić swojego króla Danji lub Norwegji, i przyłączyć je, że tak rzec można, do siebie, ale nie chciałaby oddać się Danji, oddając się jój królowi, co stanowiło dawną i ciągłą trudność tego połączenia, gdyż każde z trzech państw zgadzało się na pochłonięcie dwóch innych, ale nie na połączenie się braterskie z nimi! Wybrać księcia Krystjana, przeznaczonego do wstąpienia później na tron duński, zdawało się być polityką roztropniejszą, i również skierowaną ku pożądanemu celowi. Można było jeszcze zostać nieco dalej od celu, przyspasabiając księcia Augustenburskiego, brata zmarłego księcia i mniej zbliżonego do tronu jak ksiązę Krystjan. Ale pośród tego starcia się wyobrażeń i uczuć, niektóre osoby, których liczba wzrastała codzień, zwróciły swe oczy w inną stronę. Wielu Szwedów, przychylnych dla Francji, skutkiem zamiętania w pomysłach rewolucji francuzkiej, oraz entuzjazmu wojskowego, i tego da-

wnego instynktu, który skłaniał zawsze Francję i Szwecję wzajemnie ku sobie, było tego zdania, żeby się zwrócić ku temu, który w Europie wznosił i wywracał trony, ku Napoleonowi. Doznawano dla niego w Szwecji coś podobnego do tego, co doznawano w Hiszpanji przed rewolucją bajońską, to jest niesłychanego uwielbienia, pociągu, zaufania w jego gienjuszku wojennym i cywilizującym. Wyjawszy jego blokadę lądową, wszystko się w nim podobało, i od téj przykrój blokady nawet spodziewano się albo w części uchylić, albo się całkiem uwolnić. Zwrócić się ku Cesarzowi Francuzów dla otrzymania jednego z jego krewnych, albo jednego z dowódców, było myślą popularniejszą jeszcze, niżeli połączenie w jedno trzech królestw Skandynawskich, i która odpowiadała nadewszystko wojownicemu gienjuszowi Szwedów.

Król panujący, skłaniając się ku systematowi połączenia trzech królestw, ale czując téż głęboko potrzebę oparcia się na Francji, wysłał zaufaną osobę do Napoleona, z listem, w którym powiadał, że dążnością jego było starać się o połączenie trzech koron, że to było w jego oczach najlepszą polityką, ale jednakże nie chciał poczynić bez poradzenia się wyroczni Europy, potężnego Cesarza Francuzów; że jeżeli ten pochwali takowy sposób myślenia, wybierze swojego następcę w rodzinie książąt duńskich, zbliżając się więcej lub mniej do celu, do którego dążył, wedle okoliczności, ale jeżeliby przeciwnie Napoleon chciał wyciągnąć opiekuńczą swą rękę Szwecji, i udzielić jej albo księcia swojej rodziny, albo jednego ze znakomitych wojowników, zostających pod jego rozkazami, Szwecja przyjmie go z uniesieniem. Wysłaniec tajemny króla miał polecenie nalegać, żeby Napoleon sam dał króla Szwedom.

Napoleon był więcej zakłopotany, niżeli uradowany z tego listu. Nie był on dość zadowolonym z systematu odnowczego koron, zależącego na wynoszeniu na trony opróżnione lub które sam czynił opróżnionemi, już to braci już szwagrów, a po braciach i szwagrach marszałków, żeby chcieć go trzymać się jeszcze, nadewszystko w takiem oddaleniu. Nie dawno był oświadczył, że trzeba było wielkim kosztem wspierać tych królów świeżo kreowanych, którzy pomimo to, że tyle kosztowali, opierali się tyle przynajmniej co dawniejsi królowie, gdyż zmuszeni byli stawiać się narzędziami oporu swych ludów, zwiększonego jeszcze obecnością dynastij obcych. Nie chciał więc ściągnąć na siebie nowych trudności tego rodzaju. Nadto, zatrwożył już był dość Europę utworzeniem departamentów francuzkich z Hamburga i Lubeki, ażeby jeszcze powiększać tę trwogę wyniesieniem na tron szwedzki księcia francuzkiego, który wkrótce możeby się stał nieprzy-

jacielem. Odzyskując całą swą trafność i głębokość sądu, skoro namiętności go nie obłąkiwały, wołał raczej widziéć trzy korony Północy wzmocnionemi przez swe połączenie przeciwko Rossji i Anglii, niżeli pozyskać dla siebie próżne zadość uczynienie miłości własnej, tworząc w Europie nową dynastję francuzką. Zresztą tak mało wiedziano jeszcze, który ksiączę francuzki mógłby być wezwanym na tron szwedzki, że wybór prawdopodobny nie wywierał żadnego wpływu na to chwalebne jego usposobienie.

Napoleon odpowiedział więc natychmiast, że nie miał ani księcia ani jenerała, dla ofiarowania Szwedom, że nie żądał w téj chwili niczego ani dla swéj rodziny, ani dla swych wodzów; że Europa zresztą mogłaby być tém obrażoną, i że polityka mająca na celu połączyć prędzej lub później trzy korony Północy, była w jego oczach najlepszą i najgodniejszą mądrego monarchy, który panował w Sztokholmie; że nie wymagał wreszcie od Szwecji nic innego, jak żeby zostawała wierną przymierzu z Francją, i pomagała jéj przeciw Anglii, wypełniając ściśle prawa blokady lądowej.

Po odebraniu téj odpowiedzi, król Karol XIII bez wahania się już mógł pójść za swą skłonnością. Nie ośmielając się jednakże całkiem zadość uczynić swéj chęci, postanowił przysposobić brata zmarłego księcia, księcia Augustenburskiego. Stronnictwo rewolucyjne i wojskowe, które zrzuciło z tronu Wazów, nie chcąc ani Wazy, ani króla Duńskiego, uważanego za nieużytego i absolutnego, skłoniło Karola XIII do tego wyboru, który zresztą był tylko powtórzeniem pierwszego przysposobienia. Ale nowy wypadek sparaliżował jeszcze raz ten wybór, już i tak z trudnością do skutku doprowadzony. Król Duński, Fryderyk VI, żądając także połączenia trzech koron, żądając nadewszystko widziéć spełnienie takowego połączenia na własnéj głowie, zabronił księciu Augustenburskiemu przyjęcia przysposobienia, którem został zaszczycony, i oświadczeniem publiczném, uczynioném w wyrazach szlachetnych i pełnych otwartości, domagał się w interesie, jak mówił, trzech ludów, przysposobienia samego siebie przez Karola XIII,

Połączenie tak śmiało przedstawione, a szczególnie w osobie króla Duńskiego, które obrażało nie tylko dumę Szwedzką, ale z powodu jego charakteru prawdziwego czy zmyślonego, przerażało licznych stronników nowych wyobrażeń, sprawiło pewien rodzaj ogólnego powstania, i wzburzenie umysłów stało się większém niżeli kiedy. W takowém położeniu rzeczy, które się przedłużało przez cały rok 1810-ty, opinja publiczna, zawsze chwiejąca się i niespokojna, zwró-

ciła się znowu ku Napoleonowi, nie mogąc przeniknąć wszakże jego zamiarów. Dla czego, mówiło wielu Szwedów, szczególnie pomiędzy wojskowemi, dla czego Napoleon nie chce wyciągnąć ku nam swęj potężnej ręki? Dla czego nie daje nam jednego z książąt lub jenerałów swoich? Czyż waleczny lud szwedzki nie zdaje się mu być godnym takiego losu?... Mówili nawet z pewnym rodzajem goryczy o ludziach zajmujących się handlem, którzy słuchając jedynie swojego interesu, lękali się z powodu smutnych następstw blokady lądowej, ściślejszych związków z Francją. Usposobienie to, zwiększając się codziennie przykrym stanem w jakim zostawano, stało się wkrótce ogólnem.

Mysząc i mówiąc w ten sposób, szukano księcia lub jenerała, którego Napoleon mógłby wskazać za następcę Szwedom. Był jeden z nich, marszałek Bernadotte, człowiek wojskowy i książe, połączony z familją cesarską przez swą żonę, siostrę królowej hiszpańskiej, który przebywał czas jakiś na granicy Szwecji, i zawiązał stosunki z wielu Szwedami. W epoce, kiedy się znajdował w tych stronach, miał sobie poruczonem zagrażać Szwecji wyprawą, mającą wystąpić z Jutlandji i pomagać Rossjanom w Finlandji; ale otrzymał potajemnie rozkaz nie działać bynajmniej. Chlubiąc się chętnie z zasług nie swoich, chciał pozyskać przychylnosc Szwedów za swą nieczynność, jak gdyby ona była dobrowolną, nie zaś nakazaną. Pochlebając wszędzie i wszystkim, wiedziony niepewnym instynktem ambicji, którą obudzały wszystkie trony opróżnione lub mogące być opróżnionemi, zjednał sobie przyjaciół pomiędzy szlachtą szwedzką, której skłonosci były wojskowe. Umiejąc kolejno pochlebiać drugim i chlubić się samemu, przywiązał do siebie pewną liczbę entuzjastów, którzy widzieli w nim doskonałego księcia. Dawniejszego więc jenerała Bernadotte zaczęli powtarzać niektórzy przywódcy stronnictw, jako krewnego lubionego przez Napoleona, jako wodza, który mu wyrządził wiele ważnych przysług, i który zjednałby dla Szwecji oprócz wielkiego blasku, całą zyczliwość Francji.

Ta myśl szybko się rozszerzyła, i robiono nowe starania dla otrzymania u wyroczeni milczącej odpowiedzi, której dać nie chciała. Ostatni wypadek, szczególny jak wszystkie te, które odznaczyły tę rewolucję dynastyczną, świeżo się wydarzył, i nie był téj natury, żeby mógł rozproszyć wątpliwości Szwedów. Nasz sprawujący interesa, p. Dezojje (Désaugiers), został usuniętym z swęj posady za to, że się wdał w rozmowę z pewnym znakomitym Szwedem, z której można było wnosić, że Francja skłaniała się do połączenia trzech królestw. Staranie to w wyparcieiu się myśli, która jednak była jęj myślą, dowo-

dziko do jakiego stopnia Francja uporną była w nieoświadczaniu swego sposobu myślenia. Czegoż więc ona żądała?

W tém przykrém położeniu, król postanowiwszy wreszcie podać wniosek do komitetu zgromadzonych stanów, przedstawił trzech kandydatów: księcia Augustenburskiego, króla Duńskiego i księcia Ponte-Korwo (Bernadotte). Komitet stanów, pod wpływem pana Adlersporre, naczelnika stronnictwa rewolucyjnego i wojskowego, które zdetronizowało Gustawa IV, przyjął jako postanowienie najroztropniejsze, najmniej niebezpieczne, chociaż powzięte wyraźnie w duchu dobrej polityki, przysposobienie księcia Augustenburskiego, brata zmarłego księcia. Kandydat ten miał jedenaście głosów, księżę zaś Ponte-Korwo jeden tylko. Tym sposobem spodziewano się przełamać opór, jaki król Duński stawiał przysposobieniu księcia Augustenburskiego.

Rzeczy były w tym stanie, gdy jednym razem przybył kupiec francuzki, przebywający długo w Gotenburgu, gdzie mu się nie powiodło w interesach handlowych, i który w téj chwili był wyborym ajentem do użycia przy elekcji. Wysłany przez księcia Ponte-Korwo z listami i pieniędzmi, miał poruczenie użyć wszelkich sprężyn dla wsparcia kandydata francuzkiego. W krótkim czasie pogłoski najdziwniejsze się rozeszły. Nie pokazując ani rozkazów, ani instrukcyj gabinetu francuzkiego, których nie miano, zaczęto rozgłaszać wszędzie, że potrzeba było mieć mało przenikliwości, żeby nie odkryć prawdziwój myśli Francji, myśli, którą ona zmuszoną była taić z powodów politycznych, łatwych do domyslenia się, ale myśli oczewistój, pewnej, której można było ufać, a która nie była inną, jak wyniesienie na tron szwedzki księcia Ponte-Korwo, tego znakomitego generała, tego mądrego doradcy, współuczestnika Napoleona w jego najświetniejszych wyprawach i największych czynach politycznych. Pytano się ze wszystkich stron, jakim sposobem można było mieć pojętność tak leniwą, żeby nie przeniknąć téj myśli, i nie widzieć powodu milczenia udanego, przymuszonego nawet, które Francja musiała zachować? Komedja ta, odegrana z wielką sztuką, zupełnie się powiodła. Nikt nie chciał uchodzić za głowę tępą, niezdolną do przeniknięcia głębokiój myśli Napoleona; wszyscy temu uwierzyli, do tego stopnia, że gdy w kilka godzin nowa myśl ta ogarnęła rząd i stany, król musiał cofnąć wniosek, który był uczynił, komitet wyborezy, zdanie jakie wyrzekł, i w ciągu jednéj nocy księżę Ponte-Korwo był przedstawiony i wybrany prawie jednomyślnie księciem następcą, dziedzicem korony szwedzkiej. Ten dziwny wypadek, który miał wynieść na tron jedyną z dyna-

stij Napoleońskich, która się utrzymała w Europie, dowiódł dwóch rzeczy, do jakiego stopnia opinja w Szwecji była silną, na korzyść dynastji początku francuzkiego, i jak mało potrzeba było czasu dla wydobycia na jaw téj opinji, kiedy ona była powszechną choć uciskaną, i na chwilę ukrywaną!

Ale wszystko miało być dziwaczném w téj rewolucji. Kiedy agent sekretny, sprawca téj nagłej zmiany wyborczej, opuścił był Paryż, Napoleon uwiadomiony o jego odjeździe, i domyślając się że nadużyje imienia Francji, poruczył ministrowi spraw zagranicznych wyprzeć się go (1), ale to wyparcie się przybyło za późno do Sztokolmu. Ksiązę wybrany dla tego żeby był sprzymierzeńcem Francji (zobaczemy wkrótce jaki to był sprzymierzeniec), został uznany za następcę tronu. Napoleon, dowiadując się o tym wyborze, uśmiechnął się z pewnym rodzajem goryczy, jak gdyby przenikał w głębie przyszłości. Zresztą mówił o tém z obojętnością, pokładając zupełną wiarę w swą siłę, i uważając niewdzięczność, którą przewidywał, za jedną z ozdób zawodu wielkiego człowieka. Przyjął z wyniosłością i łagodnością dawniejszego jenerała Bernadotte, który przybywał prosić o zgodzenie się, nieodbitcie potrzebne w Szwecji; powiedział mu, że był obcym jego wyniesieniu, gdyż polityka jego nie dozwalała mu mieszać się w to, ale że z przyjemnością widział w tém hołd oddany chwale wojsk francuzkich, że był nadto zupełnie zapewniony, iż marszałek Bernadotte, officer tych wojsk, nie zapomni nigdy co winien był swéj ojczyźnie, że w tém zaufaniu pochwalał wybór uczyniony przez Szwedów, i że chcąc żeby Francuz pokazał się za granicą sposobem odpowiednim godności Francji, rozkazał panu Molljan wyliczyć mu summę, którójby potrzebował (2). Po téj przemowie, Napoleon odprowadził nowowybranego z godnością ujmującą ale zimną aż do drzwi swego gabinetu.

Ksiązę Ponte-Korwo, który nie miał wtedy innéj myśli jak stanąć w Szwecji otoczony względami Napoleona, otrzymał miljon z rąk pana Molljan, i odjechał niebawem do Sztokolmu gdzie był przyjęty z uniesieniem. Zaczął się starać natychmiast pochwlebiać wszystkim stronnictwom, przyjmując na siebie z każdym

(1) Piszę to wedle listu wyparcia się, znajdującego się w archiwum spraw zagranicznych.

(2) P. Tallejran, świadek tego widzenia się, opowiadał mi sam nieraz szczegóły, które tu przytaczam.

z nich inną postawę, ze starym dworem udając sposob życia starego arystokraty wojska reńskiego, który chciał żeby go tytułowano *panem*, gdy gdzieindziej zwano siebie *obywatelem*; ze stronnictwem liberalném, sposób życia dawnego generała, wiernego rzeczypospolitój której kiedyś służył; wreszcie z tajnemi stronnikami Anglii, których pełną była klasa handlowa, dając poznać całą nienawiść, którą przechowywał w głębi serca przeciw Napoleonowi, sprawcy swojego losu.

Do czasu role te, tak sprzeczne z sobą, były możebne i musiały mieć powodzenie aż do chwili kiedy ustąpiły miejsca jednej tylko, to jest, roli nieubłaganego nieprzyjaciela Francji, roli ostatniej, której opłakania godne wypadki miały także zapewnić powodzenie, wówczas gdy zagrzmiała przeciw nam burza nienawiści powszechnej. Zaczynając od najpilniejszego, starając się natychmiast zadość uczynić w czémkolwiek dumie szwedzkiej, ksiązę następcę szwedzki, z skwapliwością nowego przybysza, umyślił uczynić posłowi francuzkiemu dziwną propozycję, która dowodziła, jakie wyobrażenie sobie tworzył o wierności politycznej.

Była to epoka, kiedy, jak powiedzieliśmy wyżej, Napoleon robił przygotowania, nie spiesząc się, do wyprawy rossyjskiej. Mówiono wszędzie o wielkiej wojnie na Północy. Pogłoski te ucichły wkrótce na chwilę przez odłożenie kroków nieprzyjacielskich na rok następny; ale wtedy rozpoczęły się właśnie na nowo. Ksiązę następcę szwedzki okazując w tém zdarzeniu przychylność udaną dla Francji, powiedział posłowi naszemu, że widział dobrze na co się zanosilo, że wkrótce wybuchnie wielka wojna, że miał w pamięci wojnę 1807 roku, że oddał w niej ważne usługi (co było rzeczą niezaprzeczoną, jak czytelnik musi pamiętać), że wojna ta będzie niebezpieczną i trudną; że Napoleonowi potrzeba będzie potężnych sprzymierzeńców, że wojsko szwedzkie wysłane do Finlandji, prawie pod sam Petersburg, mogłoby być wielką pomocą, ale że było mało prawdopodobieństwa, iżby zdołano odzyskać tę prowincję, że w Szwecji nie spodziewano się tego, że przeciwnie wszyscy uważali Norwegję jako wynagrodzenie stosowne, potrzebne i jedynie podobne za stratę Finlandji, a więc jeżeli Napoleon zechce natychmiast zapewnić Norwegję Szwecji, wszyscy Szwedzi będą u stóp jego, i rozporządzać niemi będzie według swojej woli. Nowy ksiązę następcę miał śmiałość dość nieprzyzwoitą, po ofiarowaniu swojej pomocy, grozić bezpośrednią swoją nieprzyjaźnią, skoro propozycja jego nie zostanie przyjętą, i starał się okazać, do jakiego stopnia mógłby szkodzić, okazawszy pierwój do

jakiego stopnia był zdolnym pomagać. Uczynił to nawet z brakiem wstydu, mającym w sobie coś oburzającego, gdyż przed kilku zaledwo dniami nosił mundur generała francuzkiego, który mu otworzył przystęp do tronu.

Posel francuzki zdziwiony, wzruszony tym widokiem ohydny, pospieszył jednakże, widząc ważność propozycji, napisać o tém do Paryża, ażeby Napoleon podyktował mu odpowiedź, jaką miał uczynić na podobne oświadczenie. Napoleon, musimy powiedzieć to na jego pochwałę, doznał wzruszenia gniewu, które miało wielkie następstwa, które powinno mu być zapewnić inny los, i któreby mu bez wątpienia go zapewniło, gdyby jego roztropność we wszystkich rzeczach wyrównywała jego prawości w tym razie. Dla odstąpienia Norwegii Szwedom, należało obedrzyć bezwstydnie swojego najwierniejszego sprzymierzeńca, Danję, która dręczona prawami blokady lądowej, znosiła je przecież z dziwną cierpliwością, i dostarczała nawet wybornych majtków naszym flotom. Zafumienił się z gniewu i ze wzgardy na taką propozycję, i napisał do swojego ministra spraw zagranicznych jeden z najpiękniejszych i największy zaszczyt mu przynoszących listów, jakie kiedykolwiek w swém życiu napisał. Głowa nowego króla następcy, mówił w nim, widział to dobrze, i nie dziwił się temu, była głową nieporządną, niespokojną, zapaloną. W miejscu badania kraju, do którego przybywał, ubiegania się w nim o pozyskanie szacunku przez postępowanie spokojne, godne, pracowite, książę starał się tylko pochlebiać jednemu, głaskać drugiego, i chciał nieroztropnie podnieść kwestje, z których mógłby wszezać się pożar; było to postępowanie godne pożalowania, któremu nie należało udzielać pomocy. Zdradzić Danję było dla Francji zbrodnią niepodobną, i którą było równie nieroztropnie jak nieprzyzwoicie jęj proponować. Całe to wyliczanie usług, jakie Szwecja mogłaby oddać Francji i zło, jakie mogłaby jęj wyrządzić, nie może ją bardzo obchodzić, gdyż ona nie zależała od żadnego nieprzyjaciela w świecie, a tém bardziej od jakiego bądź sprzymierzeńca. Książę zapominał się więc pozwalając sobie takiej mowy; szczęściem był to tylko książę następcy, a nie król, ani rząd, który się wyrażał tym sposobem. Można więc było nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Po tych uwagach, Napoleon zalecił panu Alkje (Alquier), naszemu posłowi, nie obrażać króla, ale dać mu tylko do zrozumienia, że błędził działając i mówiąc tak pospiesznie, szczególnie mówiąc tym tonem; nie dawać mu odpowiedzi w przedmiotach tak lekkomyślnie przez niego traktowanych, mó-

wieć z nim mało o interesach, gdyż zresztą był to tylko mianowany następca; zostawać wyłącznie w stosunkach z królem i ministrami, i mówić każdemu z nich, czy to głośno czy cicho, że Francja wymaga tylko od Szwecji zachowania traktatów, szczególnie ostatniego traktatu pokoju, haniebnie gwałconego w tej chwili, że wymagała nade wszystko zniesienia składu towarów w Gottenburgu, że w przeciwnym razie wojna się rozpocznie, i Pomeranja szwedzka, świeżo wrócona, stanie się jeszcze raz zakładem, który zachwycą dla zmuszenia Szwecji do dopełniania swych zobowiązań. Przez tegoż kurjera Napoleon zalecił Danji, nie mówiąc dla czego, żeby utrzymywała ciągle wiele wojska w Norwegji.

W taki sposób wychodziły na jaw usposobienia Europy przed dniem wielkiej i ostatniej walki, którą Napoleon miał z nią stoczyć. Była to zewnątrz uległość najzupełniejsza z nieubłaganą nienawiścią w głębi, a przynajmniej troska tam gdzie nie było nienawiści. I tak, nasi sprzymierzeńcy niemieccy: Bawarja, Wirtemberg, Saksonja, Baden, czyniły wszystko czego chcieliśmy, i przygotowywały swe posiłki, ale drżały potajemnie widząc nienawiści, jakie tlały w sercach ich poddanych, i oburzenie sprawione przez konskrypcję. Przywiązani do sprawy Napoleona skutkiem tak bojaźni jak interesu, często obrażeni jego wymaganiami, i jego mową, ale lękając się stracić prowincji, które otrzymali od niego, życzyli żeby się nie narażał na nowe niebezpieczeństwa, i z tego powodu lękali się nadzwyczajnie zbliżającej się wojny. Król Wirtemberski szczególnie, doznając mało skrupułów pod względem przymierzy, uważając za dobre te tylko, które powiększały jego dochody i jego terytorjum, niedoświadczając następnie żadnej zgryzoty że się oddał Napoleonowi, i łącząc z wielkim rozumem rzadką energję charakteru, do tego stopnia, że mówił zawsze co myślał wszechwładnemu protektorowi Ligi reńskiej, posłał mu kilka zarzutów pod względem przygotowań do nowej wojny, i wysłania oddziału Wirtemberczyków, których żądano na załogę do Gdańska. Napoleon odpisał mu natyc hmiast list długi i ciekawy, który wykazywał w zupełności dziwną fatalność, pod której wpływem spieszył on na nowe boje. W tym liście mówił mu, że nie szło mu o jeden pułk więcej lub mniej, ale o korzyść mieć w Gdańsku Niemców raczej aniżeli Francuzów, gdyż tamci obudzali tam mniej podejrzeń, że chcąc mieć Niemców, żądał ich ze wszystkich państw konfederacji; że niepodobniestwem dla niego było nie utrzymać stanowiska w Gdańsku, gdyż to było prawdziwą podstawą działań dla jego wyprawy na północy;

że wyprawy tej nie przedsiębrał z upodobania, przez fantazję młodego monarchy wojownika, starającego się o świetne rozpoczęcie swojego zawodu, że owszem wyprawa ta się mu niepodobała (co było istotną prawdą, i co czyni bardziej uderzającym szaleństwo jego ambicji), ale że uważał ją za nieuchronną; że jeżeliby nie wybuchła w 1811, nastąpiłaby w 1812, że najwięcej kiedy można było ją odwlec do roku, i że źle poprowadziłby interesa tak swoje własne jak konfederacji, gdyby się naraził na nagły napad ze strony nieprzyjaciela, dozwolewszy mu bezkarnie przygotowań; że ulegał przeto konieczności, nie swemu upodobaniu, i nalegał na dostarczenie mu dwóch bataljonów wirtemberskich, przeznaczonych do uzupełnienia załogi gdańskiej! Konieczność! taką, powiedzieliśmy, była myśl Napoleona, konieczność w istocie prawdziwa, przypuściwszy że koniecznością było dla niego, iżby mu posłuszne były bez odwłoki, bez miary, bez żadnego ograniczenia, wszystkie państwa Europy, tak blisko leżące jak oddalone, tak te, których pomoc potrzebną była do jego zamiarów, jak te których pomoc, chociaż szacowna, nie była odbicie potrzebną, była nawet zapewnioną w dostatecznej mierze, w takiej mierze, która tylko nie mogła zadowolić jego pychy! Taką była konieczność, co zmuszała go do tej wojny! Król wirtemberski, który miał dla Napoleona prawdziwą przychylność, otrzymawszy jego list ostatni i widząc bezpożyteczność robionych mu uwag, przestał opierać się. Mając umysł napełniony najsmutniejszymi przecuciami, wysłał swoje dwa bataljony.

Otrzymało wtedy niejaki wiadomości ze wschodu, i dowiedziano się jakim sposobem przyjęte zostały pierwsze oświadczenia uczynione w Konstantynopolu. Wybawiono Mołdawję i Wołoszczyznę, ale nie zdołano tak prędko zamienić Turków w sprzymierzeńców. Ci w istocie widząc Rossję zmuszoną do odwołania części swoich wojsk, obiecali nie ustępować niczego dla zawarcia z nią pokoju, ale nie dowierzając nam, jak to słusznie utrzymywał p. Metternich, nie chcieli służyć z naszej strony żadnej propozycji przymierza. Dalekiemi będąc od walczenia razem z nami, mieli mocne postanowienie nie walczyć przeciw nikomu, ani za nikim, w tém przekonaniu, że chciano ich użyć na chwilę, żeby ich potem opuścić. Dla tego też oczekiwali z niecierpliwością dnia, kiedy Rossja przyciśniona zbliżona od Napoleona, będzie zmuszoną do traktowania dla zawarcia z nią korzystnego pokoju, i nie uważali za korzystny tylko taki, coby im niekosztował żadnej części ich terytorjum. Rossja, uważając tę przyszłość za nadbliską, podała im propozycję pośrednią, to jest zachowania dla

siebie Bessarabji i Mołdawji, a wrócenia im Wołoszczyzny. Domagała się nadto niepodległości Serbji. Turcy widząc zbliżającą się chwilę, w której Rossja nie będzie mogła pozostawić ani części swych wojsk nad Dunajem, odrzucali wszystkie te warunki, i żądali czystego i prostego *status ante bellum*. Ale, równie chytry, jak oskarżali że są nimi ich nieprzyjaciele, ukrywali przed Francją swój gniew tajemny, udawali że wszystko zapomnieli, że są nawet gotowi wejść z nią w przymierze, pod warunkiem, że w dowód szczerego powrotu przyjaźni, wojska francuzkie przejdą natychmiast Wisłę. Póki to nie nastąpi, mówili, muszą powątpiewać o tak wielkim przewrocie politycznym, o którym im mówiono, lubo bynajmniej o tém nie wątpili. Staranność ich niezobowiązania się dalszego była tak wielką, że uchylali się nawet od przyjęcia oświadczeń Austrii, nie mniej byli ostróżnemi względem niej jak względem nas, i nie wahając się oświadczyli jej, że ona takż opuściła ich, kiedy widziała dla to siebie z korzyścią, że nie uważali przeto siebie za obowiązanych względem kogokolwiek bądź, i że jeżeli odnowi z nimi przymierze, to przez posłuszeństwo dla Napoleona, a nie przez przyjaźń dla nich. Był w tedy w ich mowie pewien rodzaj szyderstwa, który dowodził, równie jak reszta ich postępowania, że jeżeli stracili coś pod względem swojej dzikięj energii, której winni byli niegdyś swą wielkość, zyskiwali codziennie pod względem przebiegłości politycznej. Smutny postęp dla nich, stać się Grekami, Grekami takimi jakimi byli ci, na których zdobyli Konstantynopol w 1453!

P. Metternich nie posiadał więc u nich więcej wpływu, jak dyplomacja francuzka. Przeszkodzenie im oddania Mołdawji i Wołoszczyzny Rossjanom, było rezultatem osiągniętym; ale zmuszenie ich do waleczenia przeciwko Rossjanom, było rezultatem więcej jak nieprawdopodobnym.

Kiedy tym sposobem przygotowywał swe przymierza, równie jak swe wojska do wielkiej wojny na północy, odroczonej ale nieszczerściem nieuchronnej, Napoleon ze zwykłą swoją działalnością umysłu, starał się załatwić swe interesa wewnętrzne, ażeby nie zostawić żadnego zawikłania za sobą, gdy będzie zmuszony oddalić się na czas, którego trwanie trudno było przewidzieć. Miał on zamiar, jak to powieździeliśmy wyżej, zwołać Sobór, od którego oczekiwał ukończenia zatargów religijnych, na dzień chrztu króla rzymskiego. Zdawało mu się stosowném przyłączyć do wszystkich ciał państwa, zgromadzonych w około kolebki swojego syna, sam Kościół katolicki, i przezeń uświęcić tytuł króla rzymskiego, nadany dziedzicowi nowego cesar-

stwa. Czy to ten rodzaj zobowiązania był nie miłym dla biskupów zgromadzonych już powiększej części w Paryżu, czy to, że powód przywieziony był prawdziwym, oświadczyli oni, że większa ich część była za nadto podeszłego wieku, żeby mogła wytrzymać utrudzenie podwójnego obrzędu w jednym i tymże samym dniu, przeto zwołanie Soboru odłożoném zostało do niedzieli następującej po chrzcinach. Biskupi więc mogli tylko przytomnymi być na chrzcinach pojedynczo, a nie jako ciało przedstawiające Kościół.

Dzień 9ty czerwca został wybrany na odbycie obrzędu chrztu króla rzymskiego. Wszystko użytém było, ażeby ten obrzęd godnym był wielkości cesarstwa, i świetnego zawodu przeznaczonemu młodemu królowi. Ósmego czerwca wieczorem Napoleon przeniósł się z Sę-klu do Paryża, otoczony wspaniałym orszakiem, takim prawie, jaki się był okazał zdziwionym oczom Paryżanów w dzień obchodzenia jego ślubu w Luwrze. Rok zaledwie był upłynął, a już miał następcę tronu, i mógł powiedzieć z dumą, że Opatrzność udzielała jemu wszystkiego czego żądał, z punktualnością podległej władzy. Jednakże, niestety! nie była ona podległą, i miała wkrótce tego dowieść! Ale zdawało się, że go chciała osypać wszelkimi dobrami, jakby dla tego, żeby wina nadużycia była większą, i żeby wina ta pociągnęła za sobą straszliwszą karę. 8go tedy czerwca wieczorem przy był do Paryża w towarzystwie królów swojej rodziny, Józefa, który użył tego pretekstu dla usunięcia się od okropności wojny hiszpańskiej; Hieronima, który opuścił swe królestwo dla znajduwania się na téj uroczystości; księcia Wircburskiego, przysłanego przez cesarza austriackiego dla zastąpienia go przy chrzcinach jego wnuka. Napoleon bowiem miał tę delikatność, że prosił swego teścia, iżby był ojcem chrzestnym znamienitego dziecka, i cesarz Franciszek, prędko w zadość uczynieniu woli swojego straszliwego zięcia, przyjął na siebie obowiązek ojca chrzestnego, i polecił księciu Wircburskiemu dopełnienia za niego tego obowiązku. Cała ludność Paryża wybiegła na spotkanie pysznego orszaku, pocieszona już w części po cierpieniach handlowych tego roku przez powrót wyraźny czynności przemysłowej, i przez ogromne obstalunki listy cywilnej, oraz administracji wojennej. Z przyjemnością z resztą widziała ten nowy zakład trwałości, udzielony przez niebo téj niesłychanej wielkości, która nie tylko była wielkością jednego człowieka, ale wielkością Francji, i jeżeli były chwile, w których czuła żywą niechęć ku Napoleonowi, to były właśnie te, w których zdawał się tę wielkość narażać na niebezpieczeństwo. Dawała mu jeszcze oklaski, chociaż zapał nie był ten już co dawniej,

dawała oklaski, zawsze uniesiona i zachwycona kiedy go widziała, zawsze przejęta podziwieniem dla jego szczęścia i jego chwały, zawsze też mająca pociąg, jak wszelka ludność, do ruchu wielkich uroczystości. Paryż błyszczał tysiącami ogniów; wszystkie teatra stały otworem darmo dla naciskającego się tłumu; place publiczne okryte były darami ofiarowanemi ludowi paryzkiemu przez szczęśliwego ojca króla rzymskiego, i co nie mało przyczyniało się do zadowolenia powszechnego, odroczenie wojny do roku robiło nadzieję, że ona całkiem nie nastąpi. Pogłoski pokoju powiększyły radość tych pięknych uroczystości.

Nazajutrz 9go w niedzielę, Napoleon w towarzystwie swój żony i swój familji, powiódł syna do kościoła N. Panny, gdzie był koronowanym, i przedstawił go sługom ołtarza. Stu biskupów i dwudziestu kardynałów, senat, ciało prawodawcze, merowie większych miast, przedstawiciele Europy, zapełniali przybytek święty, gdzie cesarskie dziecię miało przyjąć sakrament chrztu. Kiedy arcybiskup skończył obrzęd i oddał króla rzymskiego ochmistrzyni dzieci Francji, pani de Montesku, ta oddała go Napoleonowi, który wzięwszy go na ręce i podniósłszy po nad swą głowę, przedstawił go tym sposobem świetnemu zebraniu z widoczném wzruszeniem, które stało się wkrótce powszechném. Widok ten wzruszył wszystkie serca. Co za głęboka tajemnica otaczająca życie ludzkie! Co za bolesne zdziwienie, gdyby po za tą widownią pomyślności i wielkości, można było ujrzeć jednym razem tyle rozwalin, tyle krwi i ognia, płomienie Moskwy, lody Berezyny, Lipsk, Fonteneblo, wyspę Elbę, ś. Helenę, i nakoniec śmierć tego znamienitego dziecięcia w ośmnastym roku, na wygnaniu, bez żadnej z koron nagromadzonych dzisiaj na jego głowie i tylu innych rewolucij jeszcze, mających podźwignąć jego familję pognebiwszy ją pierwój! Co za dobrodziejstwo Opatrzności że ukryło przed człowiekiem jego przyszłość! Ale jaki też szkopał dla jego roztropności, zmuszonej przeniknąć tę przyszłość i uchronić się od niej za pośrednictwem mądrości.

Opuściwszy katedrę pośród niezliczonego tłumu, Napoleon udał się do ratusza, gdzie uczta cesarska była przygotowana. Pod rządami absolutnemi, pochlebiają chętnie ludowi w pewnych okolicznościach, i miasto Paryż szczególnie otrzymywało od swych panów względy, które ich nie zobowiązywały do niczego. Pośród niego to Napoleon chciał obchodzić urodziny swojego syna, i pośród niego to przepędził ten dzień. Mieszkańcy Paryża, przypuszczeni do tej uroczystości, mogli go widzieć siedzącego u stołu, z koroną na głowie, otoczonego

królami swój rodziny i tłumem książąt zagranicznych, biesiadującego publicznie, jak dawni cesarze niemieccy, następcy cesarzów zachodu. Olsnieni tym świetnym widokiem, Paryżanie przyklaskiwali, pochlebając sobie jeszcze, że trwałość połączy się z wielkością i mądrość z chwałą! I dobrze robili że się radowali, bo te radości były już ostatnimi tego panowania! Niestety! począwszy od téj epoki, mamy opowiadać wciąż same tylko klęski.

Następnych dni uroczystości wszelkiego rodzaju następowały po téj uroczystości dnia pierwszego, gdyż w tym razie Napoleon chciał przedłużyć o ile można było, oznaki radości publicznej. Ale złowrogie przeznaczenie, które rozporządza życiem tak największych jak najmniejszych z pomiędzy śmiertelnych, i popycha ich bezustannie do celu przeznaczonego ich zawodowi, nie dało mu czasu odetchnąć długo. Najważniejsze sprawy były tam silnie powiązane jedne z drugimi, następowały bez przerwy po sobie, i nie cierpiąc żadnej zwłoki, ściągały na siebie jego uwagę. W niedzielę 9 Czerwca, odbył on chrzest swojego syna, w niedzielę 16 Czerwca, potrzeba było zwołać sobór.

Widzieliśmy na początku téj księgi pobudki, które skłoniły Napoleona do zwołania soboru. Kommissja duchowna, złożona z prałatów, kommissja świecka, złożona z osób piastujących wysokie urzędy, i mieszcząca w sobie pomiędzy innemi księcia Kambasere, roztrząsały i rozstrzygnęły następnie liczne i ważne kwestje, które zrodziło zebranie się podobnego zgromadzenia.

Najprzód szło o to, czy można było odbywać sobór bez przyzwolenia i obecności papieża? Historia Kościoła pod tym względem nie pozostawiała żadnej wątpliwości, ponieważ były sobory zwoływane przez cesarzów przeciwko papieżom, dla potępienia niegodnych pasterzy, i inne zwoływane przez papieżów przeciwko cesarzom uciśkającym Kościół. Zresztą, zdrowy rozsądek, który jest światłem najpewniejszym w materji religijnej, jak we wszystkich innych, dyktował w istocie, że kościół mając ratować samego siebie, i dokażawszy tego nieraz z rzadką przezornością, już to przeciw przeniewierczym papieżom, już przeciw cesarzom nadużywającym swój władzy, należało żeby się mógł ukonstytuować niezależnie od tych, których miał powstrzymać lub karać.

Czy należało odbywać sobór ekumeniczny, to jest, powszechny, czy tylko narodowy? Sobór powszechny miałby więcej powagi, odpowiadałby więcej polityce i wzniostej wyobraźni Napoleona. Ale chociaż Napoleon posiadał w swém państwie lub państwach sprzy-

mierzonych największą część chrześcijaństwa, pozostawało wielu prałatów, po za obrębem jego władzy, w Hiszpanji, Austrii, niektórych częściach Niemiec i Polski, ażeby można było bez nieprzyzwoitości obejść się bez nich lub bez ich zgody się. Ze wszelkiem prawdopodobieństwem nie przybyliby oni, protestowaliby przeciwko zwołaniu soboru, i osłabiliby od razu właściwość tego, coby się odbywał. Zwołując sobór wyłącznie narodowy, któryby mieścił w sobie biskupów cesarstwa francuzkiego, oraz Włoch i części Niemiec, mianoby zgromadzenie nader liczne, i wystarczające zupełnie dla rozwiązania kwestij, które należało rozstrzygnąć.

Jeżeliby należało rozstrzygnąć kwestję niezmiernie ważną władzy świeckiej papieżów, ich pobytu w Rzymie lub Awinjonie, z uposażeniem dwóch milionów i podległością nowemu cesarstwu zachodniemu, sobór ekumeniczny miałby jeden tylko prawo stanowić w tej mierze, a w każdym razie wątpliwą jest rzeczą, czy znalazłoby się zgromadzenie prałatów, jakkolwiek przejętych bojaźnią, którzyby potwierdzili odebranie dziedzictwa ś. Piotra, i zgodzili się na wykreślenie naczelnika Kościoła z listy panujących. Ale Napoleon dalekim był od poruszenia tych kwestij. W obecnym stanie rzeczy, czego mu było potrzeba? Oto zaopatrzyć opróżnione stolice biskupie, otrzymując potwierdzenie kanoniczne biskupów nominowanych przez niego. Odma-wiając to tego potwierdzenia, i nie pozwalając, w braku tego potwierdzenia, zastąpienia ich przez *wikaryuszów kapitulnych*, papież trzymał w pewnym sposobie na uwięzi Napoleona, i zatrzymywał całkiem bieg jego rządu. Jeżeli przeciwnie można było za pośrednictwem uchwały wydanej wbrew papieżowi, lub potwierdzonej przez niego, pozyskać potwierdzenie kanoniczne, i zapobiedz tym sposobem żeby się ono nie stało bronią w ręku Kościoła rzymskiego dla zawieszenia administracji djecezjij, Napoleon wychodził z przykrego położenia, gdyż nie chcąc nic przedsiębrać przeciwko dogmatom Kościoła, chcąc wszystko zostawić po dawnemu pod względem duchownym, sprzyjając nawet rozwojowi religji, nie mógł się obawiać odszczepieństwa. Spodziewał się, że sprawy religijne będąc wydobyte przez uregulowanie potwierdzenia kanonicznego z koleiny, w której uwięzły, że tak rzec można, papież uwięziony, widząc, że wszystko idzie i idzie dobrze bez jego przyłożenia się, bez jego zwierzchniczj władzy, skończy przyjęciem nowego stanu rzeczy, który mu przedstawionym zostanie.

Sposób nominowania i potwierdzania biskupów nie będąc jednolitym w rozmaitych krajach, a szczególnie zmieniając się z postępem

wieków, stanowił kwestję karność kościelną, którą sobór narodowy mógł rozstrzygnąć, rozumie się dla Francji i Włoch, i to rozstrzygnięcie wystarczyło Napoleonowi, gdyż papież byłby wtedy wyzutym z broni, której używał dla powstrzymania wszystkiego.

Z tych rozmaitych przyczyn zgodzono się, żeby utworzyć sobór, złożony z biskupów Włoch, Francji, Hollandji i części Niemiec, co stanowiłoby jedno z najliczniejszych i najokazalszych zgromadzeń, żeby zwołano go w Paryżu, na początku Czerwca, i żeby przedstawiono na jego rozstrzygnięcie ważne zajście, które się było wszczęło pomiędzy władzą świecką a Kościołem. Kwestja miała być przedstawiona w postaniu cesarskiem, prawie w następujących wyrazach:

Napoleon, obejmując rządy Francji, znalazł ołtarze obalone, sług tych ołtarzy wygnanych, podźwignął on pierwsze, przywołał drugich. Użył on swęj władzy na zwyciężenie wkorzenionych przesądów, wynikłych z długiej rewolucji i z całego wieku filozoficznego; powiodło mu się w tém, i wskrzeszona przez niego, religja katolicka na nowo zakwitła. Fakta liczne i oczéwiste dowodzą, że od jego wstąpienia na tron, nie dopuszczono się żadnego czynu przeciwnego wierze, wówczas kiedy użył wiele środków dla dobra religji i jej rozszerzenia. Tym czasem nieszczęsne poróżnienie zaszło pomiędzy papieżem a cesarzem.

Napoleon licząc Włochy w rzedzie swoich zdobyczy, chciał mocno się tam usadowić. Owoż, odtąd jak sprowadził papieża do Rzymu, co był uczynił nawet przed konkordatem, spotykał w monarsze świeckim państwa rzymskiego nieprzyjaciela otwartego lub skrytego, ale zawsze nieprzejednanego, który niczego nie zaniedbywał dla zachwiania potęgi Francuzów we Włoszech. Papież dawał schronienie wszystkim kardynałom nieprzyjaznym królowi Neapolitańskiemu, wszystkim zbójcom napadającym na granice neapolitańskie, i chciał zostawać w stosunkach z Anglikami, zaciętymi nieprzyjaciółmi Francji. Nie był to więc władzca duchowny, ale władzca świecki Rzymu, który dla kwestji interesu czysto materialnego, wszczął zatargi z władzcą świeckim cesarstwa francuzkiego. I jakieżże broni do tego użył? oto wyklęcia, które było albo bezsilne, a przeto narażające władzę duchowną na sponiewieranie, albo podkopujące wszelką władzę, i dążące tylko do popchnięcia znowu Francji i Europy w anarchję.

To oskarżenie było łatwe i musiało znaleźć odgłos, gdyż w duchowienstwie prawie całym, wyjąwszy część fanatyczną, bulla wyklę-

cia spotkała samych tylko niezadowolonych, a pomiędzy ludźmi oświeconemi wszystkich stanów, nie było nikogo, któryby nie był tego zdania, że papieżstwo użyło w tym razie środka, albo śmiesznego, jeżeli był bezskutecznym, albo występnego, jeśli był skutecznym, i godnego anarchistów 1793.

Pierwszy z tych przypadków nastąpił, mówiono dalej, i papież wtedy uciekł się do drugiego środka, to jest do odmówienia potwierdzenia kanonicznego nominowanym biskupom. Owoż, dla interesu świeckiego, dozwolił już ginąć urzędowi biskupiemu w Niemczech, do tego stopnia, że na dwadzieścia cztery stolic biskupich niemieckich, ośm tylko było zajętych, co musi podać wielką zręczność panującym, po większej części protestantom, zawładnięcia uposażeniem stolic. Miałżeby zamiar papież uczynić toż samo we Francji? Należało się tego lękać, gdyż było już dwadzieścia siedm stolic opróżnionych, na które cesarz mianował biskupów, ale których przyjęcia papież ze swęj strony odmówił, nie udzielając im potwierdzenia kanonicznego. Owoż, czy godziło się dopuścić, ażeby papież, dla obrony swoich korzyści doczesnych, narażał Kościół na niebezpieczeństwo, i przyczyniał się do upadku stanu duchownego?

Kościół winien był czuwać, żeby nic podobnego nie zaszło, i miał na to środek. Papież, odmawiając potwierdzenia, uchybił konkordatowi. W takim razie konkordat był traktatem zniesionym, i można było według woli powrócić do stanowiska dawniejszych czasów, kiedy papież nie potwierdzał biskupów, kiedy biskupi wybrani przez wiernych, potwierdzani i poświęceni byli przez metropolitę. Taką była kwestja, której cesarz nie chciał rozstrzygnąć sam jeden, ale którą przedstawiał zgromadzonemu Kościołowi, ażeby obmyślił środki do własnego zachowania, i wybawił się od niebezpieczeństwa, w które popadł cały prawie Kościół niemiecki.—

Po zgodzeniu się na formę soboru i kwestję, która miała mu być przedstawioną, główne osoby użyczające światła swojego Napoleonowi w rzeczach kościelnych, i udzielającemu swęj pomocy, prosiły go, żeby próbował jeszcze po raz ostatni porozumieć się z papieżem, żeby wysłał do niego dwóch lub trzech prałatów wielkiego znaczenia, dla oznajmienia mu zwołania soboru, i wezwania go, żeby ułatwił czynności tego soboru, przystając z góry na pewne postanowienia, które po jego przyzwoleniu, pozyskałyby wszystkich głosy. Tym sposobem uniknionoby grożącej burzy, i zapewnionoby Kościołowi pokój, bezpieczeństwo, pojednanie z władzą świecką, i koniec zasmucającego więzienia papieża.

Napoleon posyłał już był do Sawony kardynałów Spina i Kazelli, a mały skutek tego postannictwa skłaniał go do uważania za bezpożyteczną wszelkię próbę tego rodzaju. Sądził, że prałaci zgromadzeni w Paryżu i pod jego ręką, będą ulegli jego woli, że napiszą jak im podyktuje postanowienie, które poszła potem do Sawony, opatrzone powagą soboru, i że papież nie ośmieli się oprzeć się mu. Jednakże nalegano na niego z wielką usilnością, i wreszcie nakłoniono.

Pomiędzy duchownymi, których wzywał pomocy, było wielu wielkiego znaczenia, prawdziwój zasługi, i cale godnych być słuchanymi. Nie był to jego wuj, kardynał Fesk, który, umieszczony przez niego na czele duchowieństwa, postępował tam tak jak brat jego Ludwik w Hollandji, tylko nie z tak dobrą wiarą; nie był to kardynał Mory, dla którego cały Kościół, przez zazdrość i przez udaną surowość, okazywał się okrutnie niewdzięcznym, nie był to ksiądz de Pradt, wyniesiony na arcybiskupstwo Malińskie (de Malines), i jeden z tych, którym potwierdzenie zostało odmówione, prałat wielkiego rozumu, ale wielkię zapalczowości temperamentu, tworzącej z jego suknią rażącą sprzeczność, nadewszystko w wieku, w którym Kościół zastąpił gienjusz powagą; nie byli to takoz, ksiądz de Bulon, biskup Tróaski, p. de Broli (Broglie), biskup Gandawski, którzy będąc najsilniejszymi i najpożyteczniejszymi podporami Napoleona czasu koncordatu, przeszli z najgorliwszego współdziałania do gwałtownego rozjątrzenia, bardzo naturalnego, bardzo słusznego, ale nieroztropnego, byli nimi p. de Barral, arcybiskup Turski (de Tours), p. Diuwóazę, biskup Nantski (de Nantes), p. Mannéj, biskup Trewski (de Trèves), i kilku innych jeszcze.

P. de Barral był jednym z prałatów najszanowniejszych, najuczeńszych, najbieglejszych w znajomości podań Kościoła francuzkiego i najrzęczniejszych w sprawowaniu interesów. Był on ajentem jeneralnym duchowieństwa, i posiadał wielkie znaczenie. Co do p. Diuwóazę, biskupa Nantskiego, był on dawniej professorem w Sorbonie i jednym z najznakomitszych, łączył do głębokiej znajomości przedmiotów kościelnych wysoki rozum, doskonały takt, sztukę obchodzenia się z ludźmi, nakoniec znakomitą zdolność polityczną, zdolność, która stawała się codzien rzadszą pomiędzy naczelnikami Kościoła, i która nie zależy na sztuce pozyskiwania zaufania monarchów dla rządu nimi, ale na tym wyższym zdrowym rozsądku, który skłaniał Kościół do zastosowania się do ducha wieków, w których żył, i pomagał mu do przebycia ich zwycięzko. P. Mannéj (Mannay) wreszcie, biskup Trewski, niższy od tamtych, a nadto bardzo bojaźliwy,

był jednakże mądrym i uczonym człowiekiem, którego można było z korzyścią się radzić.

PP. de Barral, Diuwózę, Mannéj, nie starali się zawładnąć Napoleonem dla swych korzyści osobistych, gdyż p. Diuwózę, szczególnie, nie chcąc stracić żadnego środka przyczynienia się do dobra ogółu, ściągając na siebie podejrzenie ambicji, nie przyjął żadnych wyższych urzędów, które Napoleon mu kolejno ofiarował. Prałaci ci, oplakując charakter despotyczny Napoleona, który chciał umieścić Kościół w zależności od państwa, będąc głęboko zasmuconemi gwałtownościami, jakich się dopuszczał względem ojca świętego, byli jednakże tego zdania, że gdy posiadał taką potęgę, że gdy był przeznaczony bez wątplenia do ugruntowania nowej dynastji, gdy był przyjacielem Kościoła, chociaż mającym tylko wierzenia filozofa, uposażonym wszelkimi darami umysłu, i giętkim, gdy umiano się z nim obejść, należało starać się uspokajać go i kierować nim, w miejscu rozjątrzenia przez opozycję, której zamiary były łatwe do odgadnięcia, gdyż nie były religijne, tém bardziej liberalne, ale rojalistowskie. Kościół, ażeby panować, używał niekiedy intrygi, nie mógłże on, kiedy szło nie o panowanie, ale o istnienie, użyć roztropności, ażeby kierować człowiekiem gienjalnym i wszechwładnym? Wielu zresztą lękało się ujrzeć w Napoleonie nowego Henryka VIII, gotowego do popełnienia swojego narodu w pewien rodzaj niepodległości religijnej, któraby się skończyła na prawdziwym protestantyzmie. Napoleon często tém groził, i kiedy widziano prefektów francuzkich zarządzających w Hamburgu i Rzymie, arcyksiężniczkę wychodzącą za prostego officera artyllerii i wydającą na świat dziedzica jednego z największych tronów świata, możnaż było twierdzić, że jaka rzecz wtedy była niepodobną?

Takie były powody, które skłaniały tych prałatów do umiarkowanego postępowania z Napoleonem; chociaż oplakiwali despotyzm bezrozumny, który skłaniał go do zmienienia konstytucji ś. stolicy, i do postawienia Kościoła w podległości cesarzom, w jakiej mógł zostawać pod Konstantynem, ale w jakiej nie był już pod Karolem W. P. Emery, tak zaszczytnie znany przełożony ś. Salpicjusza, już nie żył. Był on nieprzyjacielem Napoleona jako rojalista, ale jednak był tego zdania, że obowiązkiem Kościoła była uległość względem cesarza, i zapewne podzielałby sposób myślenia panów de Barral i Diuwózę. W skutek ich nalegania, przy pomocy kardynała Feska i wielu prałatów zgromadzonych w Paryżu, Napoleon zgodził się na wysłanie do Sawony nowej deputacji, złożonej z panów de Barral, Diuwózę

i Mannéj, ażeby spróbować, przed otwarciem soboru, porozumieć się ugodliwie z Pijusem VII.

Ci trzej prałaci mieli przemawiać nie w imieniu cesarza, który domyślnie wiedział o tém posłannictwie, i zezwalał na nie, lubo nie nakazywał go, ale w imieniu gromady biskupów, zgr o madzonych już w Paryżu, i chcących przed zebraniem się w sobór porozumieć się z naczelnikiem Kościoła, ażeby działać, jeśli to podobnym było, zgodnie z nim. Ze trzydziestu biskupów, po naradzeniu się z sobą i z kardynałem Feskim, napisało listy do Ojca świętego, w których oświadczając się z uległością dla niego, oraz z chęcią utrzymania jedności katolickiej, błagali go, żeby wrócił pokój Kościołowi, zagrożonemu nowém odszczepienstwem przez potęgę człowieka, który go odnowił, i który sam jeszcze może go ratować.

Arcybiskup Turski, biskupi Nantski i Trewski, mieli wręczyć te listy papieżowi, a potem proponować mu, zawsze w imieniu duchowieństwa francuzkiego, najprzód udzielenia potwierdzenia kanonicznego dwudziestu siedmiu prałatom nominowanym przez cesarza, ażeby położyć koniec owdowieniu tak wielkiej liczby kościołów, i ukrócić zajścia, wynikłe z ustanowienia wikarjuszów kapitulnych; powtóre, dodania do konkordatu artykułu odnoszącego się do potwierdzenia kanonicznego. Nie było nikogo w duchowieństwie, któregooby nie uderzało nadużycie, jakieby papież mógł czynić z potwierdzenia kanonicznego, odmawiając go osobom, którym nie miał nic do zarzucenia ani pod względem obyczajów, ani pod względem nauki, ani też prawowierności, ale dla tego tylko, że chciał ukarać, wbrew postąpić, lub zmusić ich panującego, wstrzymując w jego państwie bieg interesów religijnych. Było ono wtedy bronią w jego rękę, służącą do zadowolenia urazy, lub dopięcia interesowanego celu. Trzej prałaci wysłani do Sawony mieli więc proponować artykuł, według którego papież byłby obowiązany udzielić potwierdzenia w przeciągu trzech miesięcy, jeśli nie miał żadnej słusznej przyczyny do zarzucenia przeciwko osobom wybranym. Po wyjściu trzech miesięcy, metropolita, albo w braku jego najstarszy prałat prowincji kościelnej, byłby upoważniony do udzielenia potwierdzenia kanonicznego.

Jeżeli co przeświadczyć nas może, do jakiego stopnia Kościół francuzki, tak gorliwy później w poświęcaniu ś. stolicy aż do swoich tradycij narodowych, nie stałym był w swoich opinjach, to zaiste to, co się działo naówczas. Nie byli to tylko umiarkowani duchowieństwa, skłonni do wchodzenia w układy z Napoleonem, którzy byli tego zdania, żeby zapobiedz nadużyciu, jakie papież mógłby uczynić

z potwierdzenia kanonicznego, i ograniczyć pod tym względem prerogatywy ś. stolicy, ale podzielali to zdanie najzawzięci nieprzyjaciele Napoleona, pałacy, którzy będąc zapalonemi rojalistami, mieli się narażać wkrótce na zamknięcie w Węsenn. Owoż, dość jest najprostszėj uwagi, żeby postrzedz całą słabość zasad, jaką taki błąd każe się domyślać w duchowieństwie owéj epoki.

Jeśli jest rozporządzenie zgodne z zdrowym rozsądkiem, z polityką, z prawami wzajemnemi Kościoła i państwa, to bezsprzecznie takie, które udziela prawa wyboru biskupów monarsze świeckiemu każdego kraju, potwierdzenie zaś takowego wyboru naczelnikowi Kościoła powszechnego, pod formą potwierdzenia kanonicznego. Władza taka jak biskupów musi w istocie pochodzić z dwóch źródeł, najprzód od panującego świeckiego, gdyż sam jeden on udzielać powinien władzy dostatecznej w obrębie swojego państwa, i sam jeden zresztą może sądzić o zasłudze poddanych w kraju, którym rządzi; a powtóre, od panującego duchownego, który musi brać w tém udział dla zapewnienia się że osoby mianowane zostają w zgodności z wiarą katolicką. Bez udziału piérwszój zwierzchności, państwo nie jest panem u siebie; bez udziału drugiej, jedność katolicka jest zagrożoną. Niezaprzeczoną jest prawdą, że papież może nadużyć potwierdzenia kanonicznego, jak panujący świecki może nadużyć téż nominacji. Jedno i drugie nadużycie może się zdarzyć, i zdarzało się w czasach nieszczęśliwych, z których jednak Kościół i państwo wyszły cało. Ale zerwanie podwójnego węzła, który przywiązuje pasterzy do naczelnika państwa i naczelnika Kościoła, byłoby obaleniem pięknego systematu, który w obrębie chrześcijaństwa dozwalał, ażeby istniały dwa rządy jeden obok drugiego, bez starcia się, bez zamieszania, bez wzajemnego przywłaszczania, rząd religijny obowiązany podnosić dusze ku niebu, i rząd cywilny, obowiązany naginać je do spełniania wszelkich obowiązków spółeczności politycznej.

Stronnicy opinii przeciwnój, wyznawanój w téj chwili przez Napoleona, który inaczej myślał w czasie zawarcia konkordatu, opierali się na dawnych podaniach, i przywoływali na pamięć piérwsze czasy Kościoła, w których papież nie potwierdzał biskupów, gdyż we Francji władza potwierdzania ich nie piérwój przyznana była stolicy ś. jak przez konkordat Franciszka I. z Leonem X. Na to można było odpowiedziéć, że jeżeli konkordat zawarty pomiędzy Leonem X. a Franciszkiem I. przyznał stolicy ś. władzę potwierdzania, przyznał takóż rządowi królewskiemu władzę nominowania, a jeżeli cofniemy się dalej jeszcze, nie spotykamy już ani naczelnika

państwa nominującego biskupów, ani papieża ich potwierdzającego. Znajdujemy prostotę czasów pierwotnych, to jest, wiernych wybierających swoich pasterzy, i metropolitę ich poświęcającego. Z postępowaniem wieków władze te zostały powoli przeniesione: władza wybierania kolejno przeniesioną została od zgromadzenia wiernych do kapituł, od kapituł do panujących, władza zaś potwierdzania wyboru w interesie religijnym przeniesioną została od prostego metropolity do tego, który był metropolitą metropolitów, to jest do papieża. Było to uczyniono na tém większą korzyść moralną i religijną, gdyż potrzeba przyznać, że za naszych dni wybór ludowy, zastosowany do nominowania biskupów, wywołałby dziwne następstwa. Nie można więc było cofnąć się tak do jednego jak do drugiego z tych podań; jeżeliby się cofniono do jednego, należałoby się cofnąć i do drugiego, a tym sposobem przywrócić wybór ludowy. Byłby to krok wsteczny, przeciwny postępowi czasów i samemu rozumowi.

Domagano się przeto dziwnego ustępstwa ze strony papieża, wymagając od niego zrzeczenia się potwierdzenia kanonicznego. Wprawdzie nie szło tu o zaprzeczenie mu go w zasadzie, ponieważ papież miał zostawione sobie trzy miesiące do potwierdzenia, i mógł odmówić potwierdzenia z przyczyny niesposobności. Ale któż miał być ostatecznym sędzią takowej przyczyny? oczywiście cesarz, w projekcie podawanym, gdyż jeżeliby nalegał, metropolita musiał wreszcie potwierdzić. A tym sposobem potwierdzenie wymykało się z rąk papieża. Ale w owym czasie wszystkie umysły były żywo dotknięte upadkiem Kościoła niemieckiego przez opróżnienie prawie wszystkich stolic, niebezpieczeństwem grożącym Kościołowi francuzkiemu opróżnieniem czwartej części stolic istniejących, i nakoniec widokiem Pijusa VII. czyniącego z potwierdzenia kanonicznego broń odporną w sprawie zapewne bardzo słuszną, ale zawsze broń tylko, i nikt nie był skłonny do zgodzenia się na to, żeby potwierdzenie mogło być czém inném, jak środkiem utrzymania jedności wiary, odsuwając prałatów niegodnych pod względem obyczajów, nauki lub prawowierności.

Co byłoby najroztropniejszém, to starać się otrzymać od papieża, od jego łagodności, jego rozsądku, potwierdzenie dwudziestu siedmiu prałatów nominowanych przez cesarza, domagać się tego u niego w interesie religji, i nie wymagać od niego żadnej ofiary zasady. W prawdzie stałby się on ogołoconym z broni w obecnej chwili, ale ogołoconym z broni niebezpiecznej, gdyż Napoleon uniosłszy się gniewem mógł strzaskać i tę broń, i wiele innych jeszcze,

i chwycić się względem Kościoła ostatecznych środków. Owóż, nie przewidywano wówczas ani Moskwy, ani Lipska, a zresztą nie w duchowienstwie to znajdowali się politycy dość przezorni, żeby przewidzieć te wielkie zmiany losu. Należało więc znać Pijusa VII do ustępstwa w czynie, a nie w zasadzie, pozostawiając czasowi i rozprawie działać na Napoleona, co do urządzenia ogólnego wszystkich spraw kościelnych.

Jakkolwiek bądź, prałaci, którzy poruczyli trzem wysłańcom mówić w ich imieniu, popierali artykuł dodatkowy konkordatu tyleż co sam Napoleon. Co do niego, przyrzekał utrzymanie konkordatu pod tym tylko warunkiem, a ponieważ ten wyraz *konkordat* był dla wszystkich pewnym rodzajem wyrazu magicznego, który oznaczał: przywrócenie ołtarzy, ustanie prześladowania księży, i tysiące innych dóbr szacownych, Napoleon mówiąc że konkordat będzie zniesiony, zdawał się zapowiadać pośrednio, że wszystkie gwarancje zapewnione religii, obrzędom, księżom będą zniesione za jednym razem, i że pod względem tych rzeczy da się widzieć to, co już widziano. Tak tedy spodziewał się wywołać i wywoływał wielki skutek, oświadczając że konkordat będzie zniesiony, w razie gdyby nowy artykuł, odnoszący się do potwierdzenia kanonicznego, nie został przyjęty.

Jeżeliby trzej wysłańcy znaleźli papieża lepiej usposobionym, niżeli zdawał się być dotąd, upoważnieni byli przez Napoleona rozprześcić powoli przedmiot z początku ograniczony swego posłannictwa, mówić ojcowi o położeniu stolicy, o pobycie przyszłym papieża i posunąć się nawet do podpisania z nim układu tymczasowego w tym przedmiocie. Zasady tego układu miały być następujące: Papież mógł według woli przebywać w Rzymie, Awinjonie lub Paryżu, w jednej z tych rezydencji albo we wszystkich trzech pokolei. Uposażenie znaczne zapewnione mu będzie na koszt cesarstwa. Papież będzie pobierał dwa miliony pensji, bez żadnego z rozchodów papieztwa, gdyż kardynałowie i wszyscy urzędnicy rządu duchownego zostaną bogato uposażeni ze skarbu cesarskiego. Papież będzie miał prawo przyjmować posłów wszystkich państw, i utrzymywać w nich swoich reprezentantów. Będzie zupełnie swobodnym co do zarządu spraw duchownych, i w tym względzie zależeć będzie jedynie od swęj własnej woli. Wszystko co może się przyczynić do pomyślności, świętości, rozszerzenia katolicyzmu, będzie albo utrzymane, albo rozszerzone, albo przywrócone. Missje zagraniczne będą odnowione z całym poparciem ze strony Francji. Ojcowie ziemi świętej będą prote-

gowani, i Łacinnicy zostaną przywrócenii do wszystkich prerogatyw swojego wyznania w Jerozolimie. Ale dla otrzymania tych hojnych darów, którym nie brakło nic więcej jak niepodległości, Napoleon kładł jeden warunek. Jeżeli papież wolałby rezydencję w Rzymie, wykonałby cesarzowi przysięgę, którą mu wykonywali wszyscy prałaci jego państwa, co oczywiście pociągało za sobą zrzeczenie się przez papieża dziedzictwa ś. Piotra, a gdyby ten warunek zdawał się być dla niego zanadto uciążliwym, i gdyby się zgodził mieszkać w Awinjonie, żeby obiecał tylko, że w niczem nie naruszy zasad zawartych w deklaracji 1682 roku.

Tak więc, jeśliby papież wolał powrócić do Rzymu, przysięga pociągająca za sobą zrzeczenie się państwa rzymskiego na rzecz cesarstwa; jeśliby wolał żyć swobodnym i hojnie uposażonym w Awinjonie, uznanie swobód gallikańskich, takie były warunki, których Napoleon wymagał dla wypuszczenia na wolność Pijusa VII i udzielenia mu posady hojnie uposażonej, ale podległej. Trzej wysłańcy byli opatrzeni tajemnie pełnomocnictwem potrzebnem dla podpisania układu na tych zasadach. Ale mieli ukrywać przed wszystkiemi, a szczególnie przed papieżem, że mieli to pełnomocnictwo, aż dopóki nie nabyliby pewności, że dokończą pomyślnie układów, tak pod względem potwierdzenia kanonicznego, jako też pod względem nowego przesiedlenia papieztwa.

Ponieważ zostawało niewiele już dni pomiędzy chwilą, w której Napoleon zgodził się na wysłanie tej deputacji, a terminem zwołania soboru, trzej prałaci wybrali się pospiesznie w drogę, gdyż nie było im dozwolone więcej jak dziesięć dni na spełnienie swego postanowienia w Sawonie.

Arcybiskup Turski (deBarral), biskupi Nantki (Diuwózę), i Trewski (Manéj), wyjechawszy bez zwłoki do Sawony, przybyli tam tak prędko, jak tego dozwalały środki, będące naówczas w użyciu. Papież, chociaż pełen rezygnacji z rzadką cierpliwością znosił więzienie, dość ciężkie od niejakiego czasu, (był bowiem bez papieru, bez piór, bez atramentu, bez sekretarza, i ciągle strzeżony przez oficera żandarmerji), czuł jednak ciężar swoich więzów, i chociaż lękał się tego co mu miano zapowiedzieć względem przedmiotu soboru, chociaż obawiał się naprzykład, jak tego były przykłady w wiekach poprzednich, ażeby Napoleon nie zwołał soboru dla stawienia go przed nim i sądzenia, doznał pewnego rodzaju ulgi dowiadując się, że trzej prałaci, posiadający zaufanie cesarza, przysłani zostali dla rozmówienia się z nim. Wiedział on jakiego znaczenia, jakiej zastugi byli ci lu-

dzie; wiedział także że byli przeciwni sposobowi myślenia stronnictwa zwanego we Francji *ultramontanami*, co znaczyło dla niego prawie tyle, co należeć do stronnictwa nieprzyjaznego; lecz to wszystko było rzeczą małej wagi w jego oczach. Główną rzeczą dla niego było, że byli wysłani dla odwiedzenia go, że mieli coś do powiedzenia jemu. Nieszczęśliwy papież był jak więzień, który doznaje wzruszenia ra dości słysząc otwierające się drzwi swojego więzienia, wtedy nawet kie dy się one nie otwierają, żeby mu wrócić wolność.

Pijus VII zostawał tylko w stosunkach z prefektem Montenotte, który się mu był podobał, jak powiedzieliśmy wyżej, z powodu okazywanego przez niego uszanowania, jego taktu, jego zupełnego umiarkowania. Dowiedziawszy się od p. de Szabrol o przybyciu i nazwisku trzech prałatów, zgodził się na udzielenie im natychmiast posłuchania. Doznał nawet pewnego rodzaju niecierpliwości, ażeby co najprędzej ich oglądać. Przedstawili się oni wszyscy trzej, z uszanowaniem na ustach, z czołem pochylonem, więcej pochylonem niżeli gdyby papież był w Rzymie na tronie cesarów, prosząc u niego prawie przebaczenia, że nie byli więźniami równie jak on, i przychodząc go błagać, żeby dopełnił miary swych cnót, przydając do swych dawniejszych ofiar inne ofiary nowe i nieuchronne, zrzekając się w interesie samej religji pewnych drogich dla niego prerogatyw. Ton, szlachetna mowa, głębokie uszanowanie tych zacnych prałatów wzruszyły mocno Pijusa VII, i wszystkie powaby jego charakteru ukazały się natychmiast pod wpływem przyjemności, jakiej do znawał, okazał się pełnym słodyczy, dobroci, prawie wesołości, skoro bliżej poznał się z nimi, a nadewszystko skoro się dowiedział, że zamiast zebrania się dla sądenia go, sobór chciał przeciwnie poro zumić się z nim względem sposobu położenia końca zamieszkom religijnym, i błagał go wcześniej o wynalezienie jakich środków pojednania się z tą potęgą, która przywróciła ołtarze, i która mogąc je obalić, szczęściem nie chciała tego, pod tym tylko warunkiem, żeby w obrębie władzy świeckiej nie doznawała żadnego oporu.

Po pierwszém posiedzeniu użytém na zobaczenie się, poznanie się, ocenienie siebie, papież i prałaci schodzili się codzień, a nawet powielekroć na dzień, lubo trzej posłannicy, chcąc zaoszczędzić słabe zdrowie Pijusa VII, używali największej ostrożności w domaganiu się nowych odwiedzin. Papież sam posyłał po nich, kiedy przez wzgląd na niego, nie śmieli sami przybyć. Biskup Faency, mianowany patryarchą Wenecji, i będący wtedy przejazdem w Sawonie udając się na sobór, zapytywał czy jego obecność nie będzie zbytęzną w tym rodzaju kongresu kościelnego; i zgodzono się z obu stron przypuścić go

doń, gdyż podobał się był papieżowi jako Włoch i Włoch bardzo dowcipny, a nie był także źle widziany przez trzech posłanników cesarskich, jako Włoch objawiający życzenia prędkiego uspokojenia Kościoła. Papież, który rozumiejąc dobrze po francuzku, nie chciał jednakże mówić inaczej jak po włosku, używał często biskupa Faency dla oddania swęj myśli i czuł się więcęj w dogodnym położeniu mając przy sobie ultramontana z urodzenia, wychowanego w jego sposobie myślenia, chociaż go w zupełności nie podzielał.

Papież zwróciwszy z łagodnością i godnością uwagę na haniebne więzienie, w jakie naczelnik Kościoła był wtrącony, na głębokie osamotnienie, w którém skazany był żyć, na pozbawienie go wszelkiej rady i odjęcie mu wszelkiego środka komunikowania się, do czego był doprowadzony, opowiedział swoim sposobem, jak mu się to często zdarzało, całą przychylnosć, jakiej doznawał niegdyś dla jenerała Bonapartego, naówczas wszechwładnego cesarza Francuzów, następnie trudny krok, jaki ośmielił się uczynić przybywając go koronować do Paryża, a potęm ukazując na otaczające go mury, wykazał bez żadnego uniesienia gniewu, dziwną sprzeczność pomiędzy wyświadczonemi usługami a nagrodą, która go za nie spotkała. To rzekłszy, przystąpił do szczegółów kwestij, do których traktowania w Sawonie reprezentanci soboru byli umocowani.

Co do potwierdzenia kanonicznego dwudziestu siedmiu prałatów nominowanych, zdawał się być skłonnym do ustąpienia, wyznając w pewnym sposobie, chociaż tego nie mówił, że jego odmowa zgodzenia się była raczej bronią użytą przeciw Napoleonowi, niżeli słusznym zarzutem w interesie wiary przeciwko zasłudze wyniesionych do tęj godności osób, ale zapytując przytęm, czy dobrze rozważywszy, nie było to także interesem wiary, niepodległość i wolność papieża, poszanowanie ś. stolicy, zachowanie dziedzictwa ś. Piotra, utrzymanie świeckiej władzy papieżów, i czy broń, która mu służyła do ochrony rzeczy tak wielkiej wagi, mogła być uważaną za źle i niewłaściwie użytą? — Jednakże był gotowym do ustąpienia, nawet co do pewnej kwestji tyzczącej się formy, i zgadzał się na potwierdzenie dwudziestu siedmiu prałatów, o których rzecz się toczyła, opuszczając w akcie imię Napoleona (na co ten ostatni się zgadzał), a razem nie przytaczając słów *motu proprio*, któreby nadały pozór mianowania ich przez samego papieża, w miejscu potwierdzenia tylko nominacji udzielonej przez władzę cesarską. W istocie, papież udzielił już był potwierdzenia kanonicznego w tęj formie *motu proprio* niektórym z dwudziestu siedmiu prałatów nominowanych, pomiędzy innymi ar-

cybiskupowi Malińskiemu (de Malines); ale Napoleon nie chciał go uznać za ważne, zezwalając na to, żeby jego władza nie była wspomnianą w bullach, ale też nie dopuszczając, żeby władza ta wyłączenie zastąpioną była przez papieża.

Względem tych rozmaitych punktów Pijus VII. był gotowym do położenia końca zawieszeniu rządu kościelnego we Francji, ażeby nie zarzucano mu więcéj że zawieszał go w interesie tyczącym się jego własnej osoby, ale względem artykułu dodatkowego do konkordatu, tyczącego się ograniczenia czasu, w którym potwierdzenie kanoniczne miało być udzielone, nie mógł się zdecydować do ustąpienia. Najprzód znajdował termin trzymiesięczny zanadto krótki; ale jakkolwiek długi byłby ten termin, powiadał, że skoro w ostatecznym wypadku, po upływnieniu terminu, potwierdzenie mogło być udzielone przez metropolitę, naczelnik Kościoła był ogołoconym i pozbawionym jednéj z najszacowniejszych swoich prerogatyw. Na to trzej prałaci odwołując się do ubiegłych wieków odpowiadali, że papież nie zawsze używał władzy potwierdzania biskupów; że jeśli termin trzymiesięczny zdawał się być za krótki, sześć miesięcy wystarczały dla wybadania sposobności osób nominowanych, pomówienia jój jeżeli było co do pomówienia, i do porozumienia się jedném słowem z władzą świecką względem wyboru, któryby musiał uledez zmianie; że nie należało wreszcie przypuszczać, iżby ta władza była tak bezrozumną, żeby się zajmowała mianowaniem biskupów niegodnych lub wątpliwéj wiary, jedynie dla przyjemności obsadzenia urzędów kościelnych ludźmi niegodnymi; że jeżeli nie przyznawano tych gwarancji za wystarczające, to dla tego, że chciano z potwierdzenia uczynić inny użytek, jak zapewnić dobry wybór osób, to jest, znaleźć w nim środek wywierania wpływu na władzę świecką, ażeby ją trzymać mniej lub więcéj w swojej podległości, owoż niema nikogo, dodawali oni, w żadném stronnictwie, coby gotów był przyznać, że prawo potwierdzania powinno się stać bronią w ręku papieżów. Co do tego punktu, nie należało liczyć na wsparcie jakiegokolwiek bądź cząstki duchowieństwa.

Nieszczęśliwy Pijus VII, obok wielkiego rozumu nie miał jednakże siły potrzebnej dla podniesienia się do wielkich zasad, na których opiera się podwójna inwestytura pasterzy przez władzę świecką i władzę duchowną, który zresztą, gdy mu mówiono, że potwierdzenie może stać się bronią w ręku papieżów, zdawał się upatrywać wyrzut w tym argumencie, gdyż w istocie wiele osób donosiło mu, że oskarżają go iż odmawianiem bull poświęca interes religji interesowi stolicy ś., Pijus VII nie wiedział co na to odpowiedzieć, przyznawał iż nie nale-

żało izby nadużywano w Rzymie prawa potwierdzenia, a pomimo to nie ustępował, gdyż szło o zrzeczenie się jednej z prerogatyw, któremi znalazł stolicę ś. uposażoną. Owoż, w jego oczach, przekazać stolicę ś. swoim następcom mniej bogatą w prerogatywy, niżeli ją znalazł, było słabością, nikczemnością, któremi za żadną cenę nie chciał splamić swój pamięci. Bardzo dbały o opinię publiczną, lękał się być oskarżonym przez Chrześcijaństwo o ustąpienie skutkiem bojaźni, albo znudzenia więzieniem. I kiedy przedstawiano mu, że mylił się względem sądu, jaki świat katolicki o nim wyda, jeśli ustąpi (co było istotną prawdą, gdyż wtedy katolicy nie byli tak rzymskimi, jak dzisiaj niemi być chcą), odpowiedział: Ale jakże chcecie żebym o tém mógł sądzić, będąc sam jeden, więziony, rozdzielony z całą moją radą, nie wiedzący na czyjém zdaniu mam się oprzeć dla powzięcia postanowień tak ważnych.... I na ten argument, równie prawdziwy jak bolesny, trzej prałaci, oburzeni jego niewolą, chociaż posłańcy Napoleona, nie wiedzieli ze swojej strony co odpowiedzieć, i milczeli ze łzami w oczach, albo radzili mu zasięgnąć rady kardynała, znajdującego się w pobliżu, kardynała Spiny, któremu jedynie mogli dozwolnić przystępu do papieża.

Kwestja względem miejsca przebywania papieżstwa w ogólności, była jeszcze trudniejszą do zagajenia. Proponować papieżowi potwierdzenie przez swą zgodę zniesienia władzy świeckiej stolicy ś., za cenę bogatego uposażenia i pięknych pałaców w stolicach cesarskich, było to proponować mu najsmutniejsze i najbardziej poniżające zrzeczenie się. Jednakże wiedział on o dekrete przyłączającym państwo rzymskie do cesarstwa, i należało przypuszczać upadek Napoleona, co bardzo mało umysłów przewidywało naówczas, ażeby nie uważać tego dekretu za nieodwołalny. Można więc było, i prałaci probowali tego, radzić mu przez roztropność i w interesie nawet stolicy ś. przyjąć wynagrodzenie, którego później może nie podobna byłoby otrzymać, wynagrodzenia z resztą połączonego z tylą korzyściami dla dobra i rozszerzenia wiary katolickiej. PP. de Barral i Diuwóazę, wyrażając swą szczerą boleść z powodu zamachów Napoleona, nalegali przytém bardzo, żeby papież, ulegając konieczności, starał się nie obrażać człowieka, który mógłby tak łatwo grać we Francji rolę Henryka VIII, króla angielskiego, oraz przekładali, że może byłoby roztropniej korzystać z wynagrodzenia, którego on uważał się obowiązany udzielić w chwili ogołocenia Kościoła, i o którym by później zapewne nie myślał, kiedy zniesienie władzy świeckiej byłoby tylko jedną z tych katastrof, do których świat przywykł był od lat dwudziestu; że

należało wreszcie mieć na względzie wszelkie pomoce, któreby otrzymano od niego dla utrzymania i rozszerzenia wiary, skoro się zadość uczyni jego niepomiarkowanej ambicji. Papież, wzruszony tonem i wyrazami, któremi podawano jemu te rady, dobrze je przyjął i rozprawił o nich z posłańcami Napoleona, jak z przyjaciółmi, przed którymi z ufnością się otwierał, a nie jak z posługaczami przeciwnika, przed którymi musiałby układać swą postawę i twarz. Przyznawał trudność zniewolenia Napoleona do cofnięcia swych postanowień; nie zaprzeczał trwałości prawdopodobnej jego cesarstwa, nie uważając go jednakże za niepożyte, gdyż okazywał niekiedy pod tym względem szczególniejsze powątpiewania, które były u tego papieża, równie pobożnego jak przenikliwego, czy to skutkiem natchnienia jego gorącej wiary, czy też pewnym światłem, które od czasu do czasu oświecało nagle jego umysł; ale po za obrębem wszystkich tych względów, że tak rzec można, światowych, okazywał za stanowiska sumienia i honoru wstręt nieprzewyciężony do przyzwolenia na to czego od niego żądano. Przeniesie stolicę papieżką do Paryża, zdawało się być dla niego hańbą do niezniesienia. Napoleon, mówił, chce zrobić z następcy apostołów swojego pierwszego jałmużnika, ale nigdy nie otrzyma odemnie tego poniżenia stolicyś. Sądzi, że zwycięży mię dla tego że mię trzyma w zamknięciu, ale się myli, jestem stary, i wkrótce nie będzie miał nic więcej w ręku swoim, jak martwe ciało biednego księdza, zmarłego w jego więzach.

Osieć w Awinjonie, zdawało się, z powodu dawniejszych wypadków, które spowodowały były pobyt papieżów w tém mieście w czasach prześladowania, być więcej odpowiednim papieżowi; ale uznać deklaracją z 1682, co było warunkiem przesiedlenia się do Awinjonu, było dla niego, chociaż mniej nienawistnym niżeli reszta, jeszcze rzeczą bardzo przykrą, tak on pełen był przesądów rzymskich. Powtarzał ciągle że Aleksander VIII. przed śmiercią, potępił propozycje Bossueta, i że uznać je, zobowiązać się do ich zachowania, byłoby uważanem za słabość spowodowaną jego więzieniem. Jednakże pomiędzy propozycjami Bossueta czynił różnicę, i gotów był przyjąć tę, która odmawiała papieżowi władzy obalania panujących świeckich rozwiązaniem poddanych od ich obowiązku posłuszeństwa. Lecz pełen był szkrupułów co się tyczyło innych, które stanowią, jak wiadomo, że Kościół nie ma bynajmniej rządu samowładnego, że ma swe prawa, któremi są kanony, że władza papieża, chociaż zwykle wyższa od wszelkiej innéj, napotyka jednak niekiedy władzę wyższą od swojej, to jest, Kościoła samego, kiedy ten jest zgromadzonym

w soborach ekumenicznych, czyli powszechnych. Zasady te, które są niczem więcej jak pięknym wyciągiem z historii kościelnej, uczynionych przez Bossiuetę, i które stawia Kościół na czele rządów regularnych i prawnych, w miejscu tego, żeby go poniżyć do rzędu despotycznych i arbitralnych, napełniały niespokojnością Pijusa VII, i wprawiały go w głębokie zadumanie. Nie przedsięwzię, mówił on nie przeciw tym zasadom, daję na to słowo uczciwości, a wiecie że jestem uczciwym człowiekiem; ale nie zmuszajcie mię uświęcać je zobowiązaniem się formalnem z mojej strony, gdyż wolę raczej pozostać w więzieniu, niżeli dopuścić się podobnej słabości. Co się tyczy powrotu do Rzymu, nawet przy ogołoceniu z władzy świeckiej, odpowiadałoby to najlepiej chęciom Pijusa VII. Powrócić do Rzymu, bez pieniędzy, bez dworu, bez żołnierzy, bez żadnego przepychu otaczającego panujących, zdawałoby mu się prawie wyrównywającym przywróceniu go na stolicę ś. Piotra. Ale powrócić do Rzymu za cenę przysięgi, któraby go czyniła poddanym Napoleona, i zmuszała go do uznania zaboru dziedzictwa ś. Piotra, było dla niego rzeczą bardziej niepodobną jeszcze, niżeli wszystko czego od niego żądano. Nie żądam żadnego uposażenia, mówił, nie potrzebuję go. Zaprzeczają papieżom ich władzy świeckiej: niech raczej posiegają na ich bogactwa; ale niech nie odbierają im nigdy Rzymu. Ztamtąd to oni powinni rządzić duszami i uświęcać je. Chcę zwrotu nie Watykanu, ale katakumb. Niech mi pozwolą wrócić z kilku starymi księżmi dla zasięgnięcia ich rady, a ztamtąd będę wypełniał moje obowiązki pasterskie, ulegając władzy cesarza, jak pierwsi apostołowie, i nie czyniąc nic dla wstrząśnienia lub obalenia tej władzy. Święty papież zapalał się, stawał się wymownym, ciskał ogień z swoich oczu łagodnych i żywych, na samą myśl znajdywania się w Rzymie, ogołoconym ze wszelkiego dochodu, jedzącym chleb jałmużny, i przewidującym, potrzeba to wyznać, pomimo szczerości jego pokory, że papież upokorzony będzie potężniejszym, niżeli siedzący na tronie ś. Piotra, że z głębi swoich katakumb będzie trzymał Napoleona na uwierzy, i może przeżyje jego kolosalne cesarstwo.

Chęci jego w tym względzie były widoczne, a nawet wyznawane z nieudanym zapałem. PP. de Barral, Diuwóazę i Mannéj wyprowadzili go pod tym względem ze wszelkiego złudzenia. Dali mu bez ogródki poznać, że Napoleon nie dozwoli mu nigdy powrócić jako monarcha zdetronizowany do stolicy, w której przedtem panował, chyba że powróci tam wynagrodzony i podległy; że należało się wyrzec owego chlubnego ubóstwa katakumb, równie pożądanego dla człowie-

ka ambitnego jak dla świętego i wybrać pomiędzy Sawoną, gdzie był więzionym i pozbawionym wykonywania swych obowiązków pasterskich, a Awinjonem, Paryżem lub Rzymem, miastami, w których będzie wolnym, ukoronowanym tjarą, w zupełnej możności wykonywania swęj władzy duchownęj, bogato uposażonym, ale poddanym, czy to wykona czy nie, przysięgę.

Rozprawy trwały kilka dni. PP. de Barral, Diuwóazą i Mannéj, potrafilo wreszcie znacznie złagodzić Pjusa VII, i co było rzeczą ważną w obec tego papieża sumiennego, bardzo dbałego o sąd, jaki wydadzą względem jego postępowania, działali na jego przekonanie, wykazując mu, że co się jego samego tyczyło, mógł przenosić uwięzienie nad najmniejsze ustępstwo, ale dla dobra Kościoła powinien był strzedz się zrzekać korzyści, które może się nigdy znowu nie nadarzą. Dali mu wreszcie do zrozumienia, że gdy już nadeszły ostatnie dni Maja, zmuszeni byli odjechać, żeby być obecnymi przy otwarciu soboru, zwołanego na początek Czerwca, i że należało żeby postanowił coś pewnego, a tém samém dostarczył im środka objaśnienia prałatów zgromadzonych względem jego ostatecznych zamiarów.

Wyliczywszy kwestje jedna po drugiej, i wymógłszy na nim powtórzenie swego zdania względem każdej z nich, przywiódłszy go do wyznania że się nie sprzeciwiał więcéj potwierdzeniu dwudziestu siedmiu prałatów nominowanych, że chcąc nawet za cenę wielkięj ofiary dać Kościołowi Francji dowód zaufania i przychylności, przyznawał, nie zrzekając się potwierdzenia kanonicznego, że należało zapobiedz nadużyciu w tym względzie papieżów źle poinformowanych lub źle usposobionych; po wydobyciu wreszcie z niego przyrzeczenia, że względem nowego przesiedlenia papieztwa, lepiej się nad tém zastanowi, ale wtedy tylko kiedy będzie wolnym i otoczonym swemi radcami naturalnemi i prawnemi, zapytali u niego, czyby nie chciał zezwolić na spisanie tych rozmaitych oświadczeń, że może ich nie podpisać, żeby one nie miały charakteru traktatu, ale które posłużą jeśli nie do wykazania jego woli papiezięj, któręj inaczej objawić nie może jak otoczony kardynałami, to przynajmniej jego usposobień osobistych, takim sposobem żeby nie można było nic do nich dodać, ani też ująć.

Naglony prośbami czterech prałatów, i zapowiedzeniem ich odjazdu, zgodził się na spisanie deklaracji, zawierającęj w treści artykuły, któreśmy wymienili: 1-ód, zgodzenie się, na ten raz, na potwierdzenie dwudziestu siedmiu prałatów nominowanych, bez wzmianko-

wania *motu proprio*; 2-re, zobowiązanie się ze strony stolicy świętej potwierdzenia na przyszłość, w przeciągu sześciu miesięcy, biskupów nominowanych przez świeckiego panującego, w braku jakowego potwierdzenia, metropolita będzie uważany jako upoważniony przez papieża do potwierdzenia ich w jego imieniu; 3-cie nakoniec, usposobienie, w którym zostaje papież, gdy będzie wolnym i otoczonym swemi kardynałami, do zawarcia układu względem ostatecznego przesiedlenia stolicy ś. Natura tych układów nie była nawet wzmiankowana.

Deklaracja ta, napisana w tak ogólnych wyrazach, w obec opinij panujących wówczas pod względem potwierdzenia kanonicznego, była pełną przyzwoitości i godności, oraz nie zawierała w sobie nic kompromitującego. Papież, udzieliwszy jej, rozłączył się z żalem z temi prałatami tak mądrymi, tak niegodnie spotwarzonymi przed nim przez część duchowieństwa, i udzielił im swego błogosławieństwa z głębokim rozrzewaniem. Opuścili oni Sawonę 20 Maja.

Jednakże Pjus VII był dręczony wewnątrz niespokojnością. Całą noc, która nastąpiła po ich odjeździe, przepędził w bezsenności. Drażliwy tyleż co sumienny, lękający się sądu opinii publicznej prawie tyle co sądu Boga samego, nie mając nikogo przy sobie dla uspokojenia go, skłonił się powoli, po nocy bezsennej przepędzonej, do wierzenia, że popełnił niegodną słabość, że całe chrześcijaństwo tak o tém sądzić będzie, że oskarży go, iż lękając się Napoleona, lub znudziwszy swém więzieniem, zaniedbał interesu wiary, i powziął tę bojaźń nie tyle co do dwóch pierwszych artykułów, jak co do ostatniego, tego przez który obowiązywał się, w danych okolicznościach, kiedy będzie wolnym i otoczonym radą, roztrząsnąć propozycje, które mogłyby mu być uczynione względem przesiedlenia papieżstwa. Lękał się dać przez to początek przyzwolenia na zniesienie władzy świeckiej stolicy ś. i na przyłączenie państwa rzymskiego do cesarstwa. Ta myśl wprawiła go w taki stan niespokojności i rozpacz, że kazał przywołać natychmiast prefekta, zapytał go wchodzącego czy prałaci opuścili już Sawonę, i gdy dowiedział się że wyjechali dnia poprzedniego wieczorem, prosił o wysłanie niezwłoczne kurjera dla wrócenia ich, lub zapowiedzenia im, jeżeliby nie chcieli wrócić, że deklaracja miała być uważaną za niebyłą, że została wymożoną na jego słabości, na jego znużeniu, na jego słabym zdrowiu, że był, jak mówił wprawiony w pewien stan upojenia przez nalegania, które mu czyniono, i że okrył się niesławą przez to ustępstwo; dodawał też:

Oto co znaczy pozbawić biednego księdza, starego, schorzałego, gotowego do poświęceń lecz nieudolnego, oto co znaczy pozbawić go rady, od której mógłby zasięgnąć światła! Narażają go tym sposobem na okrycie się niesławą... Mówiąc to, nieszczęśliwy papież, niesprawiedliwy względem samego siebie, spotwarzał wszelkimi sposobami siebie dla wytłómaczenia swojego czynu.

Dzień, światło, obecność przedmiotów rzeczywistych wywierają zbawienny wpływ na osoby strwożone gorączkowemi widziadłami nocy. Prefekt Montenotte, który pozyskał pewien wpływ na papieża przez spokojność, słodycz, roztropność swych rozmów, potrafił go uspokoić nieco, dowieść mu, że dwa pierwsze artykuły były wreszcie zgodne z tém, co zawsze myślał i zawsze mówił, co do trzeciego, że było to tylko obietnicą rozważenia, że nie zawierał w sobie nawet wskazówki rozstrzygnięcia, a nadewszystko żadnej wzmianki o sposobie jakiegokolwiek układu. Pomimo to, dla uspokojenia Pjusa VII względem tego ostatniego punktu, prefekt wysłał kurjera, ażeby powiadzić prałatom, że artykuł deklaracji, odnoszący się do tej ostatniej propozycji, powinien być wykreślonym, całkiem wykreślonym, że co do reszty, jeżeli tylko widzieć w tém będą nie traktat ani zobowiązanie się, ale projekt mający służyć za podstawę przyszłego układu, papież w całości to utrzymywał. To otrzymawszy, Pijus VII uspokoił się i napisał do kardynała Feska list, w którym oddając wielkie pochwały trzem prałatom, i upoważniając sobór do wierzenia temu co mieli powiedzieć, wyrażał te same prawie usposobienia, które daliśmy poznać.

Kiedy prałaci wysłani do Sawony wrócili do Paryża, Napoleon ukazał się dość zadowolonym z rezultatu ich postępowania, bo chociaż względem pobytu papieżów nie przystąpiono do zgody z Pijusem VII, to względem potwierdzenia kanonicznego, a szczególnie dwudziestu siedmiu prałatów nominowanych, otrzymano wszystko czego można było żądać, i rząd kościoła nie był już zagrożonym zawieszeniem jego czynności. Wszelka bojaźń odszczepieństwa była całkiem usunięta. Sobór, w istocie, pod względem potwierdzenia kanonicznego, musiał nieochybnie przyjąć rozstrzygnięcia, na jakie papież sam zezwalał; a co do pobytu papieżów należało oczekiwać zgody od czasu, konieczności, wszechwładności Napoleona, i bezsilności nieszczęśliwego Pjusa VII.

Biskupi prawie wszyscy się byli zjechali; liczono ich około stu, z których trzydziestu prawie z Włoch. Ci których brakowało już to

między Francuzami, już między Włochami, byli albo niedo-
żnymi starcami, niezdolnymi do odbycia wielkiej drogi, albo temi
z biskupów rzymskich, którzy odmówili przysięgi z powodu obalenia
rządu papieżkiego. Pomimo to, liczba zebranych prałatów była wy-
starczającą dla nadania soborowi całej świetności i powagi odpowie-
dniej, gdyż, z bardzo małemi wyjątkami, wszyscy co mogli przybyć,
przybyli.

Usposobienia biskupów były téj natury, że mogły omylić rząd,
i omylić ich samych względem rezultatu soboru. Chociaż przechowy-
wali w głębi serca pełną poszanowania litość dla nieszczęść Pijusa
VII, chociaż całkiem nie pochwalali zniesienia władzy świeckiej stoli-
cy ś., oraz pobudzani byli do niezadowolenia przez koterje pobożnych
rojalistów, pomiędzy którymi większa część ich zwykle żyła, strzegli
się jednakże wykazywania na jaw swoich uczuć, nadewszystko od
czasu wypadku, jaki spotkał kardynałów czarnych. Straszliwa opinia,
jaką posiadał książę Rovigo, napełniała ich bojaźnią do tego stopnia,
że wielu z nich zrobiło swój testament przed opuszczeniem swych
djecezij, i pożegnało się z swemi znakomitszemi wiernymi, jak gdyby
ich nigdy nie mieli oglądać. I najnieprzyjaźniejsi w ogólności byli naj-
uległjszemi, gdyż w przestrachu swoim, byli pewni, że Napoleon
tyleż prawie przenika skrytości serc ich co Bóg sam, nie będąc tak
łaskawym jak On. Umiarkowani, przywykli myśleć o Napoleonie
trochę lepiej, byli nieco mniej przerażeni; chcieliby oni byli uspokoić
zajście wynikłe pomiędzy cesarzem a papieżem, znaleźć do tego po-
średnią drogę, któraby ich obu zadowoliła, i wyjść tym sposobem
z kłopotu, wyratowawszy Kościół, oswobodziwszy papieża z więzienia,
i zadowoliwszy Napoleona. Jednakowoż, dość było jednej iskierki,
ażebym zamienił w płomień uczucia kryjące się w głębi serc, i sprawa-
dzić wybuch. Nikt się tego nie domyślał, i nikt w rządzie Napoleona
nie był zdolnym tego przewidzieć. P. Bigo de Preamene (Bigot de Préa-
meneu), minister uczciwy i łagodny, nie miał żadnego wyobrażenia
o zgromadzeniach obradujących i Napoleon sam, lubo przywykły do
domyślenia się wszystkiego o czém nie wiedział, sądził, wnosząc ze
swego ciała prawodawczego, że zładzi z swemi biskupami, równie jak
z swemi prawodawcami niemymi i uległymi. Nie troszczył się bardzo
o swe zatargi z papieżem, jak gdyby to były zatargi z jakim wielkim
księciem badęńskim, chociaż dokuczyla już mu była ta *kłótnia księ-
dzowska*, jak ją nazywał, która zanadto długą i uporczywą była dla je-
go żywego temperamentu. Jeden tylko książę Rovigo, chociaż nie znał
jeszcze z doświadczenia czém się mogło stać zgromadzenie obradu-

jące, ale bardzo ostrożny, pozyskawszy zręcznie ufność wielu prałatów, i wiedząc ile rojalisci paryżcy dokładali starań, żeby pozyskać dla siebie członków soboru, powziął niejake obawy, i zwierzył się z tém Napoleonowi. Ten mając zawsze na swe rozkazy Węsen, grenadjerów, szczęście swoje, i odurzony wreszcie wpływem, jaki wywarło na wszystkich urodzenie króla rzymskiego, wpływu, równającego się świetności jego największych zwycięstw, nieprzystępnym był bojaźni, jaką go chciano natchnąć.

Sobór, który się miał z początku zebrać w dzień chrzcina, nie zebrawszy się tego dnia z przyczyny prawdziwej czy téż zmyślonej niepodobieństwa dla starców znajduwania się na dwóch wielkich obrzędach jednego dnia, zgromadził się następnego tygodnia, w poniedziałek 17 Czerwca, w Kościele N. Panny. W skutek żywych nalegań kardynała Feska, który rościł prawo do przewodniczenia soborowi na moey zajmowanej przez niego stolicy (był arcybiskupem lugduńskim), zgodzono się w zebraniu przygotowawczém odbytém u niego, na udzielenie mu tego zaszczytu. Biskupi przyjęli to postanowienie nie przez wzgląd na jego charakter prymasa Galji, którego nie uznawali, ale dla rozpoczęcia działań soboru oddaniem należnej czci wujowi cesarza. Postanowili takóž że będą się trzymać ceremonjału przyjętego na soborze w Ambregu (Embrun), roku 1727, i że wykonają przysięgę na wierność stolicy ś., która od czasu soboru trydenckiego przepisana została wszelkiemu zgromadzeniu prałatów, czy to prowincjonalnemu, czy narodowemu, czy též powszechnemu.

17 Czerwca rano, kardynałowie, arcybiskupi, biskupi, w liczbie przeszło stu, udali się processjonalnie z pałacu arcybiskupiego do Kościoła N. Panny, zachowując ceremonjał używany w soborach. Chociaž Napoleon nie znając innego środka ostrożności przeciw swobodzie nad milczenie, surowo nakazał wyłączenie publiczności, a szczególnie dziennikarzy, wielka liczba ciekawych zgromadziła się przy wejściu, jedni dla podsłuchania czegokolwiek, drudzy dla przypatrzenia się temu wspianiałemu widowisku.

Odprawiono mszę z wielką okazałością, po skończeniu której, ksiądz de Bulon (de Boulogne), biskup Tróaski, któremu zlecono powiedzieć zwykłe kazanie przy otwarciu soborów, miał je długie i starannie wypracowane. W mowie swój wykazał dość dobrze równowagę pomiędzy władzą papieżką a cesarską, wyrażał się z poszanowaniem o obu tych władzach, o ważności ich zgody, nie z wielkością Bossiuetą kazałego w roku 1682, ale z pewnym blaskiem wymowy, która mocno zajęła przytomnych. Oświadczył wyraźnie, że podziela

zasady Bossueta, powiedział także, że w razie potrzeby Kościół powinien znaleźć w samym sobie środki ratowania się, co było zasadą cesarską, dążącą do obejścia się bez papieża, ale razem czynił wielkie oświadczenia poświęcenia się i przywiązania dla uwiecznionej Głowy Kościoła. Szczególniejszy symptomat uczuć napelniających wszystkie serca! To co mówił o zasadach 1682 roku, o potrzebie, w której może zostawać Kościół ratowania się sam przez się, przeszło jakby wyrażenie konwencjonalne, odpowiednie wymaganiom czasowym, a to co wyrzekł o poszanowaniu władzy papieżkiej, wywarło przeciwnie wrażenie głębokie. I dla tego mowa jego, chociaż przejrzała i poprawiona przez kardynała Feska, miała wszelki pozór manifestacji, potajemnie przeciwniej cesarzowi.

Wnet po kazaniu, kardynał Fesk, z infułą na głowie, wstąpiwszy na tron wzniesiony w tym celu, odczytał przysięgę przepisaną przez Pijusa IV: *Uznaję święty kościół katolicki i apostołski za matkę i panią wszystkich innych kościołów; obiecuję i przysięgam istotne posłuszeństwo biskupowi rzymskiemu, następcy ś. Piotra, księciu apostołów i namiestnikowi Jezusa Chrystusa.*

Słowa te, chociaż były tylko formułą przyjętą, wzruszyły głęboko obecnych, gdyż przysięgać posłuszeństwo papieżowi uwiecznionemu, o kilka kroków od pałacu cesarza, który go trzymał w więzieniu, mogło się wydać dziwnie zuchwałém. Zawsze się tak dzieje w zgromadzeniach: wszystko co nie wprost dotyka uczucia tajemnego, którego doznają, nadewszystko kiedy to uczucie jest przygnębioném, przejmuje ich drżeniem. Rozłączyli się wzruszeni, zdziwieni tém co czuli, i każdy człowiek doświadczony, coby ujrzał to zgromadzenie, przewidziałby bez wątpienia, że ono wymknie się tym, którzy chcieli niém kierować, rządowi i sobie samemu.

Napoleon uwiadomiony przez niektórych członków o sposobie, jakim rzeczy się odbyły, chciał odczytać kazanie ks. de Buloń, również jak wykonaną przysięgę, uskarżał się mocno, że ich pierwój nie znał, co dowodziło u niego i u jego ministrów nieuwagi ludzi nieobeznanych z postępowaniem zgromadzeń obradujących, wymawiał wszystkim niedbalstwo, którego sam się dopuścił, strofował szczególnie kardynała Feska, którego nie wielce szanował, i którego nie mógł cenić wysoko ani nauki, ani cnoty, ani powagi, i słuchał tylko p. Diu-wóazę, który mu wyjaśniał początek i znaczenie téj przysięgi, ustanowionój w 1564, wkrótce po soborze trydenckim, i służącój za odpowiedź protestantom, jako formuła uroczysta przystąpienia do jedności

z Kościołem rzymskim. Uspokojono go nareszcie okazując mu, że w chwili wydania postanowienia, mającego ująć coś z władzy stolicy ś., potrzeba było, żeby Kościół francuzki, czyniąc akt niepodległości, uczynił także akt wierności, ażeby nie uległ podejrzeniu, albo też nie był spotwarzonym, lub nadwerężonym w swój powadze moralnej.

Napoleon chociaż ułagodzony, był od tej chwili mniej ufny w rezultat soboru. Cheiał żeby kierunek zgromadzenia został powierzony osobom, na które mógłby liczyć, i postanowił dekretem, że ten kierunek obejmie biuro, złożone z prezydenta, trzech prałatów mianowanych przez sobór, i dwóch ministrów wyznań, pp. Bigo de Preamene i Bovara. Potwierdził tymże dekretem postanowienie, powierzające prezydencję kardynałowi Fesk.

Wygotowano także zdanie sprawy (messaż), zredagowane przez p. Donu (Daunou) w stylu równie literackim jak niepolitycznym, znacznie poprawione przez Napoleona, ale niedość jeszcze dla uczynienia go przyzwoitým, zdanie sprawy, w którym cała historia zajęcia z Rzymem była rozwlekła i cierpko wyłożoną, oraz kwestja do rozstrzygnięcia przedstawioną sposobem zanadto nakazującym. We czwartek 20, dekret regulujący sposób obradowania zgromadzenia i zdanie sprawy były złożone soborowi. Dwa dni, które upłynęły między poniedziałkiem i czwartkiem, przepędzone zostały na tajemnych zabiegach, daleko czynniejszych ze strony malkontentów, niżeli ze strony spółników rządu. Swoboda, kiedy występuje gdzie, znajduje zawsze władzę nieprzygotowaną, niezręczną, drażliwą dla tego że niezręczną, i sprawia jój tyleż przykrości co niespokojności. Wówczas miano tego na nowo doświadczyć, i gniewano się bezużytecznie na to, czemu nie potrafią zapobiedz.

Sobór miał więc ogólne posiedzenie 20-go. Dwaj ministrowie wysłani do kościoła N. Panny w powozach dworskich i eskortowani przez gwardję cesarską, przybyli tam z wielką okazałością, mając w ręku dekret o utworzeniu biura, i zdanie sprawy. Zajęli miejsca obok prezydenta, i odczytali najprzód dekret, każdy w swoim języku. Władza ta, która przypominała władzę, jaką cesarze rzymscy wywierali w pierwszych soborach, kiedy chrystjanizm nie ustanowił był jeszcze swojego rządu i nie traktował jako równy z równym z panami świata, sprawił wrażenie dość mocne, ale które okazało się tylko na twarzach. Dozwolono nowożytnemu cesarzowi potwierdzać prezydenta, którego wybrano, osadzać dwóch kommisarzy cesarskich po prawej i lewej stronie krzesła prezydentowskiego, i zaczęto rzucać

nazwiska do urny dla wybrania trzech prałatów, mających uzupełnić biuro. W zgromadzeniu należycie kierowanem, głosy rozdzieliłyby się na dwie połowy, jedną przedstawiającą opinię panującą, drugą przedstawiającą opinię przeciwną, co jest warunkiem nieodzownym, ażeby wszelkie połączenie osób zmierzało do celu, dla którego jest zwołane. Gdy zgromadzenie to nie było bynajmniej kierowanem, rozstrzelanie głosów było nadzwyczajne. Na sto członków obecnych, zaledwo trzydzieści głosów było za kandydatem, który ich miał najwięcej. Zostały one dane arcybiskupowi Rawenny, któremu się udało połączyć tę liczbę głosów dla tego, że chciano Włochom wyrządzić grzeczność, wzywając do biura jednego z ich prałatów. Po nim, p. Dawjo d'Aviau), arcybiskup Bordo, duchowny godzien szacunku, ale niezbyt oświecony, i nie starający się bynajmniej ukrywać oburzenia, jakie w nim obudzało uwięzienie Ojca ś., otrzymał dwadzieścia siedm głosów. Arcybiskup Turski (de Barral), biskup Nantski (Diuwóaze), jak jeden tak drngi dość znani przez swe zasługi, przez swą rolę pojednawczą, przez swe niedawne posłannictwo do Sawony, otrzymali każdy po dziewiętnaście. Ponieważ nie dostawało tylko jednego członka dla dokompletowania trzech nominacji, których miano dokonać, pozostawiono losowi wybór pomiędzy pp. de Barral i Diuwóaze, i ten ostatni zajął miejsce w biurze. Po utworzeniu biura, odczytano zdanie sprawy. Ton jego cierpki, wyniosły, zrobił nader przykre wrażenie. Wszystkie urazy do Kościoła przywiedzione były w tém zdaniu sprawy z nadzwyczajną goryczą, co się nie zgadzało z posłannictwem tchnącym pokojem do Sawony, które zdawało się być nakazanem w chęci przyjacielskiego układu, i z którego rząd zdawał się być nawet zadowolonym, ażeby usposobić na swą korzyść umysły. Rozłączyli się więc smutni i niespokojni.

Wybory soboru do biur były pierwszą złowrogą oznaką. W istocie, przez wybór to osób, zgromadzenia, nawet najostrożniejsze, zdradzają swe prawdziwe skłonności, gdyż mają tym sposobem korzyść objawienia swych opinij, nie narażając się na przykrość lub niebezpieczeństwo ich wyrażania. Owoż tutaj, pośród rozstrzelania wotów, pochodzącego z braku kierunku, jedyny członek soboru, który otrzymał prawdziwą większość po arcybiskupie Raweńskim, wybranym dla przyzwoitości, był arcybiskup Bordo, znany powszechnie jako naganiacz polityki religijnej rządu.

Okazał się drugi symptomat niemniej źle wróżący, i który po większej części przypisać należy wykrętom kardynała Feska, to jest,

położenie, w jakim postawieni zostali biskupi mianowani a nie potwierdzeni. Na dwudziestu siedmiu prałatów, którzy znajdowali się w tym przypadku, ośmnastu było, którym nie można było zarzucić zdolności piastowania urzędu biskupiego, chociaż można im było odmawiać prawa do niego. Byli to ci, którzy przeniesieni z jednej djecezy do drugiej, mogli być tylko zakwestjonowani co do władania swymi nowymi djecezjami, ale mieli niezaprzeczone prawo do rządzenia dawniejszemi. I tak, kardynał Mory, w oczach papieża, mógł nie być jeszcze arcybiskupem paryzkim, ale był bez zaprzeczenia biskupem Montefjaskone. Dziewięciu duchownych z liczby dwudziestu siedmiu, nie byli jeszcze zupełnie biskupami dla Kościoła, lubo byli takimi dla władzy, która ich mianowała. Ponieważ ich przywołano, niestósownem było odmawiać im głosu obradczego, nadewszystko gdy dawne sobory przedstawiały przykłady członków obradujących, nie będących biskupami. Na posiedzeniu przygotowawczem u kardynała Feska, kiedy kardynał Mory chciał wprowadzić jednego z biskupów nie potwierdzonych, p. de Bulon, autor kazania otwierającego obrady, zawołał, że obecność tych prałatów w ich djecezjach była już zgorszeniem, i że to zgorszenie będzie daleko większem jeszcze, będzie do niezniesienia w zgromadzeniu, gdzie mają stanąć o ich losie. To gwałtowne przemówienie, cierpiane u prezydenta soboru, u wuja cesarza, zasługiwało na niezwłoczną i stanowczą odpowiedź. Tym czasem wszyscy ukłonili się z pewnym rodzajem przyzwolenia na podobne wyrazy pana de Bulon, tak kardynał Mory jak kardynał Fesk, i *niepotwierdzeni*, jak ich nazywano, zostali wyłączeni bez oporu z posiedzeń przygotowawczych. Przy kréskowaniu dla obsadzenia biura, udzielono im głosu doradczego, ale wyraźnie zastrzegając, że to tylko na ten raz i że to nie daje prawa głosowania na przyszłość. Nikt nie śmiał opierać się zdaniu usuwającemu prałatów *niepotwierdzonych*. Stawało się widocznem, że jeżeli po za obrębem soboru drżano przed panem władającym cesarstwem, wewnątrz niego drżano więcej jeszcze, jeżeli to podobna, przed panem także dość już silnym, to jest, przed opinią publiczną, która potępiała despotyczną przemoc Napoleona w postępowaniu z stolicą ś., i potępiała jego przemoc, należy to wyznać więcej, niżeli jego doktryny teologiczne, ponieważ sam p. de Bulon zdawał się być skłonny do przypuszczenia ograniczeń potwierdzeniu kanonicznemu. Dawni rojaliści bez wątpienia, kryjąc się w cieniu, działali dla obudzenia publicznej opinji, ale opinja wyrobiona daje się prędko poznać: potrzeba ją podnieść, ażeby wyszła na jaw. Opinja zaś dobrowolna, prawdziwa, naturalna, stara się przeci-

wnie powściągać, wychodzi na jaw nieprzewidzianie i pomimo woli, jak namiętność, żałując tego że się oddała swemu uniesieniu. To właśnie dało się widzieć tutaj, i okazało się coraz wyraźniej jeszcze na każdym posiedzeniu tego szczególnego zgromadzenia.

Po tych posiedzeniach przygotowawczych, pewien rodzaj niespokojności okazał się wszędzie. Prałaci stronnicy rządu, a nie byli oni najliczniejszymi, chcieli żeby udzielono im więcej pomocy, i żeby nie opuszczano ich kolegów niepotwierdzonych. Skarżyli się oni że nie są wspierani ani przez kardynała Feska, ani przez ministra wyznań, z których jak jednemu tak drugiemu obcem było przewodniczenie zgromadzeniom, i którzy kolejno uginali się to przed cesarzem, to przed soborem. Prałaci, w większej liczbie, którzy nie będąc właściwie stronnikami rządu, życzyli zgody pomiędzy cesarzem a kościołem, przez zamiłowanie dobra, przez bojaźń starcia się, byli strapieni formą zdania sprawy. Zapewniono ich, i oni uwierzyli temu, że powrócono z Sawony w zgodzie z papieżem. Czy to było prawdą, czy fałszem? Nie wiedzieli co o tém myśleć wysłuchawszy zdanie sprawy tak cierpkie, tak surowe, można powiedzieć nawet, tak grubijańskie. Co znaczyło, naprzykład, to gwałtowne przemówienie z powodu bulli wyklęcia? Zgadzano się na to, że ta bulla była uchybieniem, gdyż nikt nie pochwalał usiłowania zachwiać władzy ustalonej, po krwawej rewolucji, której pamięć jeszcze była nie znikła. Ale papież, jeżeliby mu wolno było mówić, nie miałaby co takż do powiedzenia o napadnięciu na swój pałac, o uchwyceniu przez żandarmów jego świętej osoby, i trzymania jój w więzieniu, jakby zbrodniarza stanu? Pocóż wreszcie te skargi, jeżeli chciano porozumieć się i pogodzić? Czy była jaka nadzieja powodzenia w tym względzie?... czy też znikła całkiem?... Dla czego się nie wytłomaczono w tym przedmiocie? dla czego nie dano wiedzieć czy zostawano, lub nie, w zgodzie z stolicą s.?

Oto co powtarzali prałaci umiarkowani, stanowiący większość i żądający spokojnego końca wszystkim tym zamieszkom. Pomiędzy nimi, Włosi szczególnie byli niezmiernie zdumieni. Wyjechali oni od siebie z myślą, że wszędzie uwielbiano i kochano Napoleona, w Paryżu zaś, w stolicy Francji, znajdowali bez wątpienia, że go lękano się bardzo, ale widzieli też, że pomimo bojaźni, ludność paryzka, zawsze nieukrócona, sądziła, krytykowała swojego pana, ganiła go niekiedy z gwałtownością, i że daleką była od ulegania człowiekowi, któremu jednakże chciała, żeby cały świat ulegał. Ci biedni Włosi domagali się, żeby wyjaśniono im tę sprzeczność, i do niespokojności powszechniej łączyli największe zdziwienie.

Co do prałatów stanowczo nieprzyjaznych rządowi, równie nie-licznych, jak ci, którzy mu byli stanowczo przychylni, jedni zostawali pod wpływem szczerego oburzenia za zamachy dopełnione przeciw papieżowi, drudzy pod wpływem namiętności dawnego rojalizmu, który zaczynał się obudzać, dzięki uchybieniom władzy. Zresztą, jakikolwiek był powód ich nieprzyjaźni, byli bardzo zadowoleni z ducha, jaki się okazywał w soborze, chociaż strwożeni byli następstwami, jakie ten duch mógł wywołać, i szli za swoją skłonnością z zupełnym brakiem znajomości świata i ludzi, gdyż świętość nie jest zawsze roztropnością.

Nowa i ważna okoliczność zdarzała się dla soboru do wykazania usposobień, któremi był ożywiony. Było to zredagowanie adresu w odpowiedzi na zdanie sprawy cesarskie. Gdy rząd wyłożył fakta z swojego punktu widzenia, oraz kwestje, jakie te fakta wywoływały, sobór musiał ze swój strony wyłożyć jedne i drugie z punktu widzenia jemu właściwego. Stąd wynikała potrzeba adresu. Naturalnie zredagowanie jego musiało być powierzonym komissji. Komissja ta, utworzona w duchu panującym w soborze, składała się z kardynałów Spina i Kazelli, osób dość światłych, ale starających się jak wszyscy włoscy członkowie tego zgromadzenia do obejścia trudności raczej, niżeli do ich rozstrzygnięcia, z arcybiskupów Bordoskiego i Turskiego, pierwszego, jak powiedzieliśmy, uczciwego, ale zaślepionego namiętnością, drugiego p. de Barral, niedawno będącego z powrotem z Sawony, i już dobrze nam znanego; z biskupów Gandzkiego i Tróaskiego, pp. de Broli (de Broglie) i de Bulon, prałatów godnych szacunku, którzy obaj przeszli z wielkiego entuzjazmu dla pierwszego konsula do nieroztropnej nienawiści do cesarza; z biskupa Nantskiego, pana Diuwózę, którego nie mamy już potrzeby lepiej dać poznać; nakoniec z biskupów Komakjo (Comacchio) i Iwrei (Ivrée), Włochów, którzy starali się tylko ująć cało i zdrowo z tego niebezpiecznego położenia. Kommissja ta zebrała się u kardynała Feska, który miał jęj przewodniczyć.

Roztrząsano tam raczej wszystkie kwestje ogólne, wynikające z położenia rzeczy, niżeli kwestje szczególną potwierdzenia kanonicznego. Trudno było porozumieć się względem przedmiotów takich jak propozycje Bossiueta, nadewszystko w obec prałatów włoskich; względem bulli wyklęcia, którą ganiono powszechnie, nie chcąc jednakże głośno nagan tych powtarzać; względem stosunków stolicy s. z władzą świecką, w chwili, kiedy pan wszechwładny chciał odjąć papieżom ich władzę monarszą; względem prerogatyw papieztwa oraz

prawa, jakie mieć może, zrzeczenia się ich w takim lub innym przypadku. Ale w czém zachodziła zgoda, to w konieczności zbliżenia Napoleona z Pijusem VII.; uginając się jednak pod ręką potężniejszego z nich, przyznając nawet usługi oddane przezeń kościołowi, skłaniano się sercem (usposobienie przynoszące zaszczyt soborowi), ku temu, który był prześladowanym i więzionym. Treść projektu adresu ostrożna względem Napoleona, była pełna tklivości względem Pijusa VII. Wreszcie, po zrobieniu rozmaitych zmian w tekście, którego autorem był p. Diuwózę, przedstawiono go 26go czerwca zgromadzonemu soborowi.

Chociaż projekt, redagowany przez człowieka roztropnego, poprawiany potem przez wiele osób skłonności przeciwnych, pozbawionym był cierpkich wyrażen, mogących razić obie przeciwe strony, wywarł na prałatach podnieconych położeniem rzeczy, podnieconych połączeniem się w jedno wielkie ciało, toż samo wrażenie, jak w łonie kommissji. Włosi zostali obrażonemi zasadami Bossiuetą, za nadto otwarcie wyznawanemi; umiarkowani w ogólności niechętni byli z przywołania na pamięć téj bulli wyklęcia, tego wielkiego uchybienia papieża, które wprawiało w kłopot wszystkich, wyjąwszy stronników zawołanych rządu. Ci ostatni znajdowali, że prawa władzy świeckiej należało wyraźniej określić, że właściwość soboru należało jaśniej wyłożyć. Przeciwnicy zaś ich nie chcieli, żeby się rozszerzano nad tą ostatnią kwestją, i chcieli żeby przestano na wyrażeniach ogólnych, wspominając tylko o szczerzej woli położenia końca nieszczęściom kościoła.

Są to zwykłe niesnaski wszelkiego zgromadzenia obradującego, dopóki przez długie doświadczenie nie nabędzie wprawy i talentu rządzenia się. Nie mogło zostawać w tym przypadku zgromadzenie tak nowe, i przeznaczone do traktowania przedmiotów tak trudnych. Lecz okazywało się tam zjawisko, dziwne w oczach ludzi niedoświadczonych, bardzo zwyczajne w oczach ludzi przywykłych do rządu krajów swobodnych. Zaledwo ci prałaci, tak bojaźliwi w Paryżu, zgromadzili się na soborze, zostali jakby przekształceni: bojaźń ich opuściła; uczucie przeważające w większej ich liczbie zaczęło wychodzić na jaw, a tém uczuciem było głębokie politowanie, nad położeniem Pijusa VII, politowanie, które za pierwszym zdarzeniem mogło się zamienić w oburzenie! Jest to skutek wielkich zgromadzeń ludzi, że przytłumia uczucia pojedyncze, nadaje zaś popęd uczuciu ogólnemu, co je ożywia, uczuciu, które kolejno, stając się gwałtowném, jeżeli doznaje oporu, spokojnie panującym, jeżeli go

nie doznaje, pociąga częstokroć tych, którzy są niém przepełnieni, dalej nizeliby chcieli. To właśnie sprawia, że w zgromadzeniach obradujących potrzeba tyle charakteru, tyle zimnej krwi, żeby się rządzić samemu i rządzić innych, i że te zgromadzenia są wedle użytku, jaki z nich czynić umiemy, albo narzędziami tak pożytecznymi, albo też tak niebezpiecznymi.

Żaden z prałatów obecnych tym rozprawom nad adresem, nie domyślał się wzruszeń, jakich będzie doznawać, ani też postanowień, jakie będzie gotów przyjąć na tém posiedzeniu. Większa część członków soboru, przejęta bojaźnią, nim wstąpiła do sali obrad, zagrzana, ośmielona od chwili połączenia się, pochwałała z jednej, ganiła z drugiej strony, przerywała sobie wzajemnie mowę, jak osoby świeckie; jedni z nich chcieli wyrzucenia takiego wyrażenia, drudzy takiego; na jakowe wymagania p. Diuwóazę, przedstawiający projekt adresu, odpowiadał z wielką cierpliwością i umiarkowaniem, ażeby przyjść do jakiego rezultatu. Pięć godzin już trwało to zaburzenie, kiedy biskup Szambery, prałat powszechnie szanowany, brat generała w służbie cesarskiej p. Dessol (Dessoles), powstaje, i z oczyma ożywionemi naturą wniosku, jaki ma podać, powiada: że biskupi zgromadzeni na soborze, nie mogą obradować na nim jako członkowie Kościoła, wówczas kiedy głowa Kościoła powszechnego, czcigodny Pijus VII pozostaje w więzach. Proponuje więc soborowi udać się gromadnie do Sę-klu i prosić cesarza o oswobodzenie Pijusa VII, dodaje też, że po uczynieniu tego kroku, po otrzymaniu wolności papieża, można będzie rozstrzygnąć kwestje wniesione, i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa porozumieć się względem nich. Na te słowa wszystkie serca przejęte zostają wzruszeniem, pełném uszanowania politowaniem, a nawet zgryzotą, gdyż brakowało godności w tém obradowaniu toczoném pod sklepieniami katedry metropolitalnej, wówczas kiedy papież uwięziony nie miał ani jednego przyjaciela, przed którym mógłby się zwierzyć, nie miał nawet kawałka papieru dla napisania myśli, które miotają jego duszą. Większa część prałatów, nawet z najumiarkowańszych, powstała pomimowolnie wołając: „Tak, tak, do Sę-klu!“ Wszyscy ci starcy są przejęci entuzjazmem. Najostrożniejsi, postrzegając niebezpieczeństwo takiego kroku, chcieli i nie śmieli stawić porady roztrępnosci przeciw popędom szlachetności. Lękali się oni więcej jeszcze uczucia panującego w duszach wewnątrz soboru, nizeli potężnej władzy podbijającej wszystko zewnątrz. Kardynał Fesk, przełęczony, nie wiedząc co począć, radzi się bióra, nie może zasięgnąć żadnego światła u dwóch ministrów, których obecność

rozjątrza sobór, nie kierując nim, i idąc za zdaniem p. Diuwóazę, jedynie zdolnego do dania pożytecznej rady, zamyka posiedzenie, odraczając je na dzień następny. Postanowienie było roztropne, i zostało natychmiast wykonane; najprzezorniejsi z prałatów pospieszili opuścić swe krzesła, ażeby pociągnąć swym przykładem innych, i pozwalając najzagorzalszym domagać się, ażeby się nie rozłączano przed skończeniem obrad.

Pomimo milczenia dzienników, wpływ tego posiedzenia był wielkim w Paryżu. Żywa była radość pomiędzy nieprzyjaciółmi Napoleona, przedtém nie licznemi, a z jego winy coraz pomnażającemi się. Ludzie rozmaitych stronnictw tłoczyli się w około ojców soboru, poclebiali, zachęcali ich, ażeby posunęli się dalej jeszcze. Ale ci nieszczęśliwi biskupi, obcy wszelkiej polityce, lubo niektórzy z nich byli dawnymi stronnikami domu Burbonów, dziwili się sami temu na co się odważyli, i po wyjściu z kościoła N. Panny, uczuli odradzającą się trwogę, którą im sprawiał książę Rovigo. Ten ostatni w istocie nie zaniechał ostrzedz ich przez zaufanych prałatów, że należało iżby dobrze się zastanowili nad swém postępowaniem, gdyż on nie był człowiekiem, coby ich miał oszczędzać, i dozwolnić im odnawiać sceny rewolucyjne w odzieniu duchowném.

Ciało prawodawcze, zgromadzone w téj chwili, gdyż chciano, żeby ono było obecném przy chrzcinach, a korzystając przytém z jego zwołania dano mu budżet do zatwierdzenia, było zdziwione, zawstydzone i przejęte zazdrością. Ciało bez życia, bezczynne, opłacane, nie mające, żadnej kwestji ważnej do rozstrzygnięcia, wstydzilo się swojej nicości, i wielu z jego członków dało się słyszeć, że jeżeli się temu nie zapobieży, zjazd tych księży stanie się zjazdem jeneralnym stanów cesarstwa, i pociągnie za sobą Bóg wie jakie następstwa, ale że cesarz bez wątpienia przyłoży do tego swęj rękę, i że co do nich, byli gotowi uchwalić prawa, którychby potrzebowano dla położenia końca tym kłótniom, godnym dawniejszych czasów. Wyrażenie tych godnych politowania prawodawców nie były pozbawione prawdy. Sobór ten w istocie był podobnym do stanów jeneralnych, nadewszystko w jednéj rzeczy, to jest, że pierwsze zgromadzenie obywateli, zwołane pod tym panowaniem, wykazało na jaw jednym razem, z gwałtownością, której nie przewidywano, i której nie zdołano pówściągnąć uczucia, któremi wszystkie serca były przepełnione.

Napoleón, który pomimo swęj przezorności, nie spodziewał się takiego wybuchu, był zdziwiony, rozjątrzony, przechadzał się z niepokojnością po swym gabinecie, odzywał się z groźbami, ale nie-

chwycił się jeszcze ostatecznych środków, będąc powstrzymany przez pp. Diuwózę i de Barral, którzy obiecywali mu, że nastąpi pomyślny rezultat ze zwołania soboru, jeżeli tylko zechce użyć cierpliwości i umiarkowania.

Następnego dnia posiedzenie soboru było spokojne, wedle zwyczaju zgromadzeń, które, podobne w tém do osób pojedynczych, spokojne są nazajutrz po dniu przepędzonym w gwałtownych wzruszeniach, i pełne niespokojności nazajutrz po dniu spokojnie przepędzonym. PP. Diuwózę, de Barral, wszyscy ludzie roztropni, którzy lękali się gwałtownych kroków i którzy nie tracili jeszcze nadziei pomyślnego końca, rozeszli się pomiędzy szeregami świętego zgromadzenia, powtarzając, że skoro adres przyjętym zostanie, skoro udzielone zostaną zabezpieczenia władzy świeckiej przeciwko władzy papieżkiej, która miała także swe nadużycia, świadkiem czego bulla wyklęcia, skoro sobór okaże gotowość do zapobieżenia odmowie potwierdzenia kanonicznego, Napoleon, ubezpieczony, stanie się względniejszym i przywróci wolność papieżowi. Dzięki wielu objaśnieniom podobnego rodzaju udzielonym sam na sam, dzięki odrzuceniu w adresie nowych wyrażen, które mu odjęły wszelką barwę, adres ten przeszedł prawie jednomyślną zgodą wszystkich członków soboru, wyjąwszy Włochów, którzy nie mogli głosować z powodu propozycji 1682 r., lecz którzy nie wyjawili przeciwnego zdania, żeby okazać tém, że to z ich strony było tylko wstrzymaniem się od głosowania a nie opozycją.

Adres został więc przyjętym, po rozprawach i trudnościach, jakie dopiero co opisaliśmy. Napoleon, mocno urażony za poprawki jakim uległ, kazał oświadczyć, że nie przyjmie go, co zatrwożyło sobór nie powściągnając go, gdyż można rzucić trwogę w serca, któremi owładnęło jakie uczucie, ale nie można wygluzować tego uczucia, i ono wychodzi znowu, na jaw przy pierwszej danej zręczności.

W tych posiedzeniach prałaci niepotwierdzeni zostali ostatecznie poświęconemi, czyli raczej poświęcili się sami, zrzekając się prawa głosowania, którego nie mieli nadziei otrzymać. Ksiązę prymas, kanclerz Ligi Reńskiej, naczelnik Kościoła niemieckiego, z wielką trudnością został przyjęty do soboru, gdyż ci biskupi, mało obznajomieni z ludźmi i rzeczami swojego czasu, wyobrazili byli sobie, według tego co im opowiadano, że ten książę kościelny był filozofem iluminatem, niedowiarkiem. Nie mogli przypuścić, żeby szlachcic, ksiądz, który śmiał nazywać się przyjacielem Napoleona i Francji, mógł być czém inném. Jednakże słuchali z ciekawością i z niejaką korzyścią jego ubolewań nad stanem Kościoła niemieckiego, stanem, który był

najsilniejszym dowodem nadużycia potwierdzenia kanonicznego, kiedy w miejscu stania się rękojnią dobrego wyboru, staje się bronią do walczenia. Osadzili lepiej tego księcia po wysłuchaniu go, i przypuścili go do soboru z jednym z jego suffraganów.

Należało wreszcie przystąpić do wielkiej kwestji, dla której sobór był zwołanym, i p. Diuwóazę zapowiedział, że cesarz chce, iżby tą kwestją niezwłocznie się zajęto. To zgromadzenie w istocie niepokoiło Napoleona, i nie życzył sobie żeby ono pozostawało bezczynnem. Dodano do kommissji redagującej adres, biskupa Trewskiego, jednego z wysłańców do Sawony, oraz biskupa Turnejskiego, Alzatzczyka obyczajów wolnych i opinii gwałtownych, i poruczono im kwestję tak drażliwą potwierdzenia kanonicznego. Rząd oświadczył, że konkordat został zgwałcony w jego oczach odmówieniem potwierdzenia, które pozostawiało dwadzieścia siedm stolic biskupich wakującemi, że uważał ten traktat za nieobowiązujący, i że nie może go utrzymać w swój mocy, aż wtedy chyba, kiedy zostaną wprowadzone zmiany, zapobiegające powrotowi nadużyć, na które się skarżył. Do soboru należało obmyślić i uchwalić takowe zmiany.

Kommissja, złożona z dwunastu członków, zebrała się u kardynała Feska. Przystąpiła ona wreszcie do głównego przedmiotu. Trzeba się było wyrzec wszelkich wykrętów, i wytłómaczyć się względem ważnej kwestji, przedstawionej na rozstrzygnięcie zgromadzonych ojców. Jeśliby kto w téj chwili był samą mądrością uzbrojoną, co nieszczęściem rzadko się zdarza, musiałby zawyrokować, że zasada potwierdzenia kanonicznego powinna zostać nietkniętą, a razem, że papież powinien potwierdzić dwudziestu siedmiu prałatów nominowanych; gdyby jeszcze był on mądrością potężnie uzbrojoną, zapewne zmusiłby Napoleona do powrócenia Rzymu Pijusowi VII, albo do oddania mu przynajmniej Awinjonu, bez zobowiązań przeciwnych słusznym szkrupułom głowy kościoła; oddałby mu naprzykład Awinjon, jego kardynałów, jego rząd, odpowiednio uposażonych, nie wymagając od niego ustępstwa terytorjum rzymskiego, nie potrzebując uznania przez niego deklaracji z 1682, słusznej bez wątpienia, ale jednakże niedogodnej dla naczelnika Kościoła rzymskiego, i której przyjęcie w położeniu, w jakim się znajdował, byłoby dla niego nie nader zaszczytne. Papieztwo żyłoby tym sposobem w miejscu historycznym dla niego, swobodne i szanowane, a od Boga zależałaby przyszłość, jak to przystało jego potędze, a nie naszej. Było to wszystko, czego czasy dozwalały. Ale gdy nikt nie miał tyle mocy, żeby

dać przewagę temu rozwiązaniu pośredniemu, które można znaleźć prawie zawsze w każdej okoliczności, i które jest najczęściej najlepszym, spierano się z gwałtownością, bo każdy miał w swoim ręku ułamek prawdy.

Pierwszą rzeczą do zrobienia było przełożenie tego, co zostało umówione w Sawonie pomiędzy ojcem ś. a trzema prałotami, wysłanymi do niego, eo wreszcie zbliżało się bardzo do wniosków, uznanych przez nas za najstosowniejsze. P. de Barral uczynił to z wielką przywilożnością, z uszanowaniem dla papieża, połączoneń z największą sympatją i zupełną szczerością. Zakomunikował notę, na którą się zgodził Pijus VII, odrzuciwszy jednak ostatni artykuł, który stał się przedmiotem tylu szkrupułówn ze strony papieża. Nota ta zawierała już w sobie układ gotowy, i dla tego właśnie nieodpowiadała nieprzyjaznym usposobieniom kommissji. Zapytywano dla czego ta nota nie była podpisana; p. de Barral powiedział przyczynę, a kardynał Fesk odczytał list papieża, który nadawał tój nocie zupełną autentyczność. List, nota, wszystko było uchylone. Nie chciano widziéć w tym dokumencie niepodpisanym nic więcéj, jak dowód bez żadnej wagi, wyłudzony może podejsciem u papieża, wymuszony może na nim skutkiem więzienia, a zresztą początek tylko układu, a nie układ sam wyraźny i stanowczy. Wszystko więc zostawało do zrobienia, według członków kommissji, jak gdyby nie widziano się z papieżem.

Gdy rozwiązanie tak proste, do którego skłoniono Pijusa VII, zostało uchylone przez osoby mało usposobione do usunięcia spotykanych trudności, należało traktować przedmiot sam w sobie i pierwszym punktem do roztrząsniéćcia była właściwość soboru. P. Diu-wóazę dowiódł wtedy tój właściwości z równą jasnością jak siłą loiki. Oczéwistém było w istocie, że niewłaściwy co do kwestji dogmatu i karności ogólnej, o czém tylko Kościół powszechny ma prawo stanowić, sobór był zupełnie właściwym co do kwestji karności krajowej, która się tyczyła tylko Kościoła francuzkiego; a dowodem, że szło tu tylko o kwestję karności szczególnej było to, że sposób nominowania i potwierdzania był rozmaitym w rozmaitych krajach, i ustanawiał się przez układy szczególne pomiędzy rozmaitymi rządami a Kościołem. Słuchając tego rozumowania, biskup Gandawski (de Broli), biskup Turnejski (d'Hirn), areybiskup Bordoski (d'Awjo), tupali nogami z niecierpliwości, i żądali odpowiedziéć uczoneму professorowi Sorbony, którego nazywali swoim mistrzem w przedmiocie nauki kościelnej, a którego jednak wszyscy chcieli uczyć, jak ma myśleć w kwestji rozbieranéj. Trudność taka, według nich, nie mogła być rozstrzy-

gniętą bez papieża, nie inaczej jak zgodnie z nim, a sobór w takim razie był niewłaściwym dla rozstrzygnięcia jój sam jeden. Bez wątpienia życzyby należało, żeby tak było, odpowiedział p. Diuwózę, ale zachodził tu tylko przypadek ostatecznej potrzeby, i należało przypuścić że na takowy przypadek bardzo rzadki, każdy kościół miał w sobie środek ratowania się, należało przypuścić, że gdyby przez siłę jaką przeważną zostawano długie lata w rozdzieleniu z papieżem, gdyby przez długie lata nie było papieża, i stolica ś. Piotra była niezajętą, albo, jak się zdarzało, była zajęta przez niegodnego papieża, nieodzowną było rzeczą, żeby metropolita odzyskiwał prawo, które miał dawniej, potwierdzania biskupów. Kardynał Kazelli nawet wołał, że gdyby nie pozostał więcej jak jeden biskup na świecie, ten miałby prawo potwierdzania wszystkich innych. To przypuszczenie wprawiło w największy gniew arcybiskupa Bordo; dowodził, że ono było przeciwnem obietnicom Jezusa Chrystusa, który przyobiecwał wieczność swemu Kościołowi. Dla tegoż to żeby Kościół był wiecznym, odpowiadano mu, powinien mieć środek zachowania się, ulegając prawidłom zdrowego rozsądku i ratując się w razie konieczności. Umysł roztropne chciały, żeby odrzuciwszy te przypuszczenia urojone, umieszczono się w rzeczywistości i zastanowiono się, czy można w okoliczności obecnej, naprzykład, obejść się bez papieża dla potwierdzenia biskupów. I w istocie, wychodząc z prawdziwego założenia, to jest, w razie gdyby papież chciał upornie używać odmowy potwierdzenia jako bronii, niepodobnem było utrzymywać, że Kościół niema prawa zaradzić sobie samemu i uchylić się od nadużycia władzy, przeznaczonój zupełnie na inny użytek.

Ale należało wreszcie skończyć ze wszystkimi temi subtelnosciami, i wyraźnie objawić swe zdanie. Owoż, przy głosowaniu, trzy tylko głosy były za właściwością soboru, to jest, trzech prałatów wysyłanych do Sawony. Sam kardynał Kazelli, który zapatrywał się na tę kwestję z tegoż samego punktu co p. Diuwózę, nie śmiał głosować jak on, również kardynał Fesk, zawsze oszczędzający stronnictwo nieprzyjazne swojemu siostrzanowi, popełnił też samą słabość. Tym sposobem na dwanaście głosów, trzy tylko śmiały utrzymywać właściwość soboru. Żeby użyto téj właściwości z wielką ostrożnością, jedynie żeby mieć przewagę nad papieżem, żeby mieć przewagę nad samym Napoleonem, dla odjęcia jednemu jego szkrupułóm, drugiemu jego widzi się despotycznego, na to się można zgodzić; ale zaprzeczać właściwości soboru w kwestji karności szczególnój, było to cał-

kiem siebie rozbijać, i pozostawiać Napoleona i papieża w obec jeden drugiego, bez żadnej władzy pośredniczej dla ich zbliżenia.

Od tej chwili, cel zwołania soboru był chybiony, i narażano się na wszelkie niebezpieczeństwo gniewu Napoleona, który gotów był usunąć trudność bez pomocy papieża i soboru, to jest, użyć przemocy. Pospieszono do Sę-Klu dla uwiadomienia go o tém co zaszło. Był tém wielce rozjątrzony. Widok jego wuja, przybywającego ze swjej strony uwiadomić go o tém, i oplakiwać przed nim rezultat, któremu zapobiedz nie miał odwagi, wprawił go jeszcze w większe rozjątrzenie, które dał poznać w słowach pogardliwych i ubliżających. Kiedy kardynał starał się bronić kommissji przytaczając powody teologiczne, Napoleon przerwał mu mowę, zapytując go z pogardą, gdzie się nauczył tego o czém mówił, powiedział mu, że on żołnierz więcej o tém wiedział od niego, że zresztą większa część jego kolegów Kościoła francuzkiego nie była uczeńszą od niego, że chciał im wrócić ich znaczenie, powrócić Kościołowi gallikańskiemu wielkość, jaką miał za czasów Bossiuetta, ale że nie byli godni tego postannictwa, że *w miejscu być ksiądzami Kościoła byli tylko jego bedelami*, i że brał na siebie wydobyć ich z tego przykrego położenia; że uchwali prawo przez które postanowi, iżby każdy metropolita mógł potwierdzać biskupów nominowanych, że prawo to będzie natychmiast wykonywane w całym państwie, i że pokaże się czy Kościół nie może się ratować bez papieża. Wszystko to było zapewne możebnym, ale było to powracać do dawnej konstytucji cywilnej duchowienstwa, z której Napoleon tak szydził w swoim czasie, i której chlubnie położył koniec przez konkordat.

Tym czasem nadbiegł p. Diuwóazę, który ze swjej strony pospieszył dla uśmierzenia gniewu łatwego do przewidzenia, i dla zapobieżenia jego skutkom. Widok tego prałata złagodził rozjątrzenie Napoleona, w które go wprawiała prawie zawsze obecność kardynała Feska, i odzyskując swoją zimną krew, rzekł: Posłuchajmy p. Diuwóazę, ten przynajmniej wie, o czém mówi. P. Diuwóazę, ubolewając ze wszelką słusznością, że sobór rozbroił się zaprzeczając sam swojej właściwości, utrzymywał jednak, że nie należało tak działać, jak gdyby wszystko było stracone, i że przyjmując inną podstawę niżeli właściwość soboru, opierając się na samej nocie sawońskiej, podobnym było inną drogą przyjść do tegoż samego celu. Można było, według niego, zrobić postanowienie, przez które zostałyby zawarowane, na przykład, że stolice biskupie nie mają pozostać dłużej nad rok opróżnionemi, że sześć miesięcy będzie udzielonych władzy świe-

ckiej dla nominowania, a sześć miesięcy papieżowi dla potwierdzenia i że po upłynieniu tych sześciu miesięcy papież domyślnie przekaże metropolicie władzę potwierdzania osób wyniesionych do urzędu biskupiego. Można będzie nadto zakończyć tę uchwałę podziękowaniem papieżowi, że przez ten układ pochodzący od jego świątobliwości, położono koniec nieszczęściom Kościoła. P. Diuwózę dodał, że mu się zdawało niepodobieństwem, iżby kommissja nie chciała przyjąć rozwiązania, przyjętego przez samego papieża.

Napoleon zgodził się na zrobienie tej nowej próby, i na odłożenie do dnia następnego użycia swój najwyższej władzy, która w jego oczach była wystarczającą do rozstrzygnięcia wszystkiego, cobykolwiek miało nastąpić i cobykolwiek o tém miano mówić. PP. Fesk i Diuwózę oddalili się więc z poruczeniem przedstawienia tego nowego planu kommissji.

Kommissja według zwyczaju tego nieszczęśliwego soboru, wahająca się pomiędzy dwoma panami i dwoma bojaźniami, między Napoleonem, chcącym żeby go słuchano, i opinją, wymagającą żeby ją szanowano, kommissja oporna dniem przedtém, okazała się drżącą nazajutrz. Kardynał Fesk rozwodził się szeroko nad gniewem swojego siostrzana. P. Diuwózę nie ukrywał bynajmniej, że wranie, gdyby nie umiano sobie poradzić, narażonoby Kościół na wielkie niebezpieczeństwo; że bezwątpienia papież był godzien pożałowania, ale że należało go wydobyć z jego okropnego położenia, stawiając się pomiędzy nim a cesarzem; że miano podać zręczność do tego w nocie Sawońskiej, przyjętej przez niego; że należało ją tylko zamienić dekretem soboru na prawo państwa, podziękować później Pijusowi VII, że przez zgodzenie się udzielone temu rozwiązaniu wydobył Kościół z przepaści; że po załatwieniu tej części zatargów religijnych, inne zostaną załatwione pokolei, gdyż Napoleon zadowolony stanie się powolniejszym co do reszty, i bez wątpienia położy koniec uwięzieniu papieża. Słowa bardzo rozsądne P. Diuwózę skłoniły kommissję, że przyjęła jego zdanie, i deklaracja Sawońska została zamieniona w dekret soboru jednomyślnie, prócz dwóch głosów, to jest, arcybiskupa Bordo i biskupa Gandawskiego, zawsze bardzo upartych i gwałtownych.

Chociaż w zasadzie potwierdzenie powinno było należeć wyłącznie i wprost do stolicy ś., zrobiono co można było najroztropniejszego w położeniu obecném, ponieważ ukończono za zgodą papieża zajście jedno z najniebezpieczniejszych. Było więc prawdziwe zadowolenie z tego rezultatu pomiędzy ludźmi roztroptymi; było szcze-

gólnie wielkie zadowolenie na małym dworze kardynała Feska, bo chociaż ten kardynał chlubił się bezustannie z odwagi jaką okazywał w obec swego siostrzana, przyjaciele jego woleli niewidziéć go narażonego na dawanie tego dowodów. Znajdywano wygodniejszém używać razem z nim zaszczytów oporu i korzyści pokrewieństwa. Cieszyli się nawet za nadto z tego, gdyż ludzie przeciwnego stronnictwa, rojaliści lub nabożnisie, uwiadomieni o tym tryumfie, działali przez cały wieczór, przez całą noc, oskoczyli członków kommissji, nabawili ich trwogi, dowodzili im, że zniestawili siebie, że wydali Kościół jego tyranowi, że wszystko było stracone, i że potrzeba było, żeby odwołali swe postanowienie, wyjaśniając jego znaczenie na następném posiedzeniu. Ci pobożni intryganci odnieśli nakoniec zwycięztwo, i obiecano im, że po użyciu środków w tym dniu dla wyratowania się od Napoleona, będą się starać nazajutrz wyratować od niesławy.

W istocie, nazajutrz, kiedy kommissja zebrała się na nowo, okazała się całkiem odmienną. Nie bojaźń już Napoleona, ale bojaźń stronnictwa katolickiego była przeważającą. Kardynałowie Kazelli i Spina, ludzie rozsądni ale słabi, pierwsi odwołali swoje zdanie. Oświadczyli, że głosując dnia uprzedniego nie znali prawdziwego charakteru praw państwa, że dowiedzieli się później, iż one były nie odwołalne ze swéj natury, po utwierdzeniu ich przez senat, i że w takim razie, lubo zgadzali się na przyjęcie dekretu, ale obowiązani byli domagać się uprzedniego zgódzenia się papieża, co było powrotem do dawnéj kolei, to jest, niewłaściwości soboru. Biskup Turnejski, ten człowiek stronnictwa ostatecznego, którego obyczaje z opinjami tworzyły tak szczególną sprzeczność, nie zachował téj saméj ostrożności w swojém odwołaniu. Cofnął we wszystkich punktach zdanie swoje, które był oświadczył dniem przedtém, i zapowiedział, że nie zgadza się na dekret. Biskupi Komakjo i Iwrei, chwiejący się jak wszyscy księża Włoscy w téj sprawie, wytlómaczyli takóž swoje wota i cofnęli je. Pan de Buloi, wytrwalszy zwykle, cofnął takóž swoje, i tym sposobem nie pozostało nic z dzieła dnia uprzedniego. Nastąpiło wtedy dziwne zamieszanie, a w końcu, żeby wyjść z niego, przyjęto treść dekretu, zasadzającą się na bezspornéj nocie Sawońskiej, pod warunkiem że otrzyma zgodzenie się Ojca świętego i zostanie utwierdzone jego podpisem, którego brakowało powyższéj nocie. To dwuznaczne rozstrzygnięcie, nie ocalając w zasadzie potwierdzenia kanonicznego, które zbyt ścieśniało, nie usuwało żadnéj z trudności politycznych obecnej chwili, gdyż znosząc władzę soboru, czyniło wszystko zależném od powtórnego układu z papieżem, narażało tego ostatniego

na nowe niespokojności, na nowe szkrupuły, a wraże gdyby nie zdołał ich przewyciężyć, na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa.

Po otrzymaniu wreszcie choć tego wotum, kardynał Fesk nalegał usilnie na P. de Barrol, potem na P. Diuwózę, żeby przyjęli na siebie, jeden lub drugi, sprawozdanie przyjętego postanowienia. Ci panowie, których zdanie nie przemogło, nie chcieli się podjąć zredagowania sprawozdania, w czym popełnili błąd, gdyż mniej może zależało na przyjętych wnioskach, jak na wyrażeniach, którychby użyto w obec soboru. Wistocie, ponieważ jak jedni tak drudzy zgadzali się na ograniczenie potwierdzenia kanonicznego, z zastrzeżeniem odwołania się do papieża dla nadania ważności nowemu systematowi, najwięcej zależało tak Pijusowi VII jak Napoleonowi, na sposobie, w jakim rzecz ta przedstawiona zostanie, stosowniej więc było powierzyć to ludziom chcącym dobrą wiarą spokojnego rozwiązania trudności, niżeli nieprzyjaciołom, żądającym tylko zamieszania i rozterek. Ale PP. Diuwózę i de Barrol takż się rozgniewali. Namietności są udziałem wszystkich stanów, wszystkich zajęć, i po długich walkach, opanowują często serca najbardziej umiarkowane. Ci dwaj prałaci odpychali upornie posłannictwo, które im chciano powierzyć. Skutkiem ich odmowy, zwrócono się do gwałtownego biskupa Turnejskiego, który chętnie podjął się zredagowania, lubo nie umiał dobrze po francuzku, pana de Buloń zaś uproszono, żeby przyjął na siebie poprawę grammatyczną sprawozdania, której bez wątpienia ono miało potrzebować. Potrzeba było, żeby kardynał Fesk, obowiązany więcej niżeli ktokolwiek bądź inny przeszkadzać, ażeby rzeczy nie wzięły tego zgubnego kierunku, miał bardzo mało rozsądku, żeby się zgodzić na podobny wybór.

Ludzie egzaltowani, którzy chcieli tylko rozjątrzyć umysły, mieli się z czego cieszyć. Sprawozdawca umieścił w swoim wykładzie wszystkie opinie swojego stronnictwa; pan de Buloń odrzucił z niego to czego nie dozwalała jego zręczna retoryka, ale zostawił tam wszystko to, co powinna była uchylić roztropna polityka. Sprawozdanie miało być odczytanem w soborze 10go lipca.

Tajemnica była starannie zachowaną, jak to często ma miejsce w usilnych zabiegach stronnictw. Dziesiątego lipca sobór się zgromadził pełen ciekawości i widocznej niespokojności. Zaledwo odczytanie sprawozdania, uczynione z dziwną pronuncjacją, dokończone zostało, dało się widzieć nadzwyczajne wzburzenie w znamienitým zgromadzeniu. Zręczne zredagowanie mogłoby zaspokoić wszystkie opinie, udzielając każdej z nich stosownych ustapien, i zrobić to postanowienie

zdolnym do przyjęcia przez cesarza, które bezsprzecznie mogło być przyjętym przez część nieprzyjazną soboru, gdyż to postanowienie wychodziło od niej. Ale sprawozdanie uczynione wyłącznie dla stronnictwa, które podnieciło zadowolając jego chęci, pobudziło do gniewu stronnictwo przeciwne, które zostało niemi niezmiernie obrażone. Nie było pomiędzy wszystkimi temi pałatami człowieka zdolnego do poskromienia tego zgromadzenia rozjątrzonego i niezgodnego, do skupienia jego głosów na korzyść postanowienia mądrego, do skłonienia go wreszcie do rozumnego postępowania: był to więc zamęt przerywań, wyrzutów, oskarżeń wzajemnych. Stronnicy rządu dowodzili, że ogłaszać niewłaściwość soboru, było to znowu całą kwestję oddawać w ręce papieża, i że tym sposobem nigdy nie można będzie skończyć. Drudzy odpowiadali na to, że chociażby sobór był właściwym, czynności jego nie mogły się obejść bez potwierdzenia papieża, gdyż postanowienia soboru nabierały ważności tylko po zatwierdzeniu ich przez stolicę świętą. To wszechwładztwo papieża, utrzymywane przez niektórych, skłaniało innych do przywołania na pamięć użytku, jaki Pijus VII świeżo z niego uczynił, do przytoczenia buli wyklęcia, i do zarzucania mu ję jako zamachu, jako czynu anarchicznego, gdyż mówili, gdyby ona wywarła pożądany skutek, do czego by to wszystko doprowadziło?

Na te słowa arcybiskup Bordo wypada na środek zgromadzenia, trzymając w ręku księgę, zawierającą w sobie akta soboru Trydenckiego, otwartą właśnie na artykule udzielającym papieżowi władzy wyklęcia panujących, w razie targnięcia się ich na prawa Kościoła. Napróżno chcą powstrzymać tego starca chwiejącego się, ale upartego, dotkniętego głuchotą, słyszającego zaledwo co się do niego mówi, i słuchającego tylko samego siebie i swojej namiętności; wybiega on i rzuca na stół książkę wołając: utrzymujecie, że nie można wyklinać panujących, potępiajcie więc Kościół, który to postanowił. — Wpływ tych słów był niezmierny, na tych co je pochwalali, i na tych co lękali się następstw, gdyż było to prawie odnawiać wyklęcie, odnawiać je w obec Napoleona, o kilka kroków od jego pałacu, i pod jego potężną ręką!

Wtedy kardynał Fesk odzyskując nieco przytomności umysłu, oświadcza, że niepodobna jest obradować pośród stanu, w jakim się znajdują umysły, i odkłada na dzień następny wotum ostateczne względem toczącego się przedmiotu. Rozchodzą się więc, jedni nie zbyt radzi, drudzy mocno rozgniewani, wszyscy niespokojni i całkiem przerażeni, nie pojmując sami niepohamowanego uczucia, które nimi zawładnęło.

Chociaż nie było ani publiczności, ani trybuny, ani dzienników, tysiące odgłosów zaniósło już do Trjanonu, gdzie przebywał cesarz, wiadomość o tém posiedzeniu. Księżę Rovigo, arcybiskup Maliński, kardynał Fesk, tam się udali. Dowiadując się o tych szczegółach, zdawało się Napoleonowi, że widzi podnoszącą się przed sobą całą rewolucję. Czemuz nie widział tam tego, co było wprawdzie rewolucją, ale rewolucją w tém co miała najlepszego, to jest opinię publiczną, wychodzącą na jaw pomimo woli, bez samowiedzy, że tak rzecz można, i wyrzucającą mu nie to, że chciał oswobodzić państwo od przewagi Kościoła, ale że uciskał sumienia, a nadewszystko że męczył godnego poszanowania papieża, przedtém swojego przyjaciela, współuczestnika jego najpiękniejszych dzieł, że go ciągał z więzienia do więzienia jakby jakiego zbrodniarza stanu! Czemuz nie postrzegał tam téj uderzającej nauki, że nie mógł zgromadzić pewnej liczby ludzi, księży, starych, słabych, drżących, obcych wszelkim dążeniom politycznym, żeby ci połączywszy się nie byli przywiezieni do wybuchnięcia, do wyrzeczenia przeciw jego czynnościom energicznej nagany! Zapewne, były tam przesady, ciasne widoki, nędzne doktryny teologiczne, słabości wreszcie pomiędzy członkami tego soboru, ale uczucia ich były znaczne i dawały poznać ważny fakt, wolność odradzającą się bez chęci, bez wiedzy, i co większa, odradzającą się u starych księży, ofiar i nieprzyjaciół po większej części rewolucji francuzkiej, i niemających żadnego zamiaru wywołania jój bezrządu!

Napoleon widział w tém wszystkim tylko to co mógł widzieć despotyzm, potrzebę użycia siły dla powstrzymania nieprzyjemnych objawów, jak gdyby można było znieść zło, działając przeciw jego skutkom, a nie przeciw jego przyczynie. Napoleon obszedł się z swoim wujem bardzo cierpko, wyrzucał mu jego słabość, jego złudzenie, przywiódł go nawet do popełnienia wielkiej nieroztropności, to jest, do złożenia całej winy na biskupów Tróaskiego, Turnejskiego i Gandawskiego, którzy byli bardzo burzliwemi w kommissji, nieroztropności wreszcie popełnionej przez niego nie ze złym zamiarem, następnie kazał natychmiast wygotować dekret stanowiący rozwiązanie niezwłoczne soboru, oraz wydał rozkazy bardzo surowe dotyczące się osób, będących przywódcami opozycji. Biskup Turnejski (d'Hirn) za to, że zredagował sprawozdanie w najgorszym duchu, biskup Tróaski (de Bulon) że go źle poprawił, biskup Gandawski (de-Broli) że więcéj niżeli jakikolwiek inny członek wpływał na kommissję przez swoją wziętość, zostali uznani za najbardziej winnych i mających być pierwszymi ofiarami tego rodzaju buntu biskupiego. Arcybiskup Bordo

zasłużył takż na to odznaczenie; ale duchowny, świeżo mianowany na biskupstwo Metzkie i posiadający zaufanie rządu, P. Loran (Laurant), przytoczył na jego usprawiedliwienie głuchotę i ograniczoność tego prałata, i za jego roztropnem wstawieniem się przestano na trzech ofiarach. Z rozkazu Napoleona, ksiązę Rovigo aresztował ich w nocy, i odesłał do Węsenn, ma się rozumieć, bez sądu, nawet bez żadnego wyjaśnienia. Zostawionem było publiczności domyśleć się za co, a im nie pozostawało nic więcj jak uledz.

Nazajutrz dowiedziano się, chociaż bez wielkiego rozgłosu, z powodu braku wszelkiej jawności, że sobór był rozwiązany, i że trzej najznakomitsi prałaci zostali odesłani do Węsenn. Duchowieństwu nadewszystko najdotkliwiej dało się uczuć to gwałtowne postępowanie, ale nieszczęściem, potrzeba dodać, że ono było równie przestraszonem jak oburzonem. Stronnicy rządu, dla usprawiedliwienia tych surowości, powtarzali po cichu, z bojaźni żeby im nie zadano kłamstwa, że odkryto współdział w tajemnym spisku, który wywołał uwięzienie pana d'Astro, i wyłączenie z rady stanu pana Portali. Zresztą nie wiele miano trudności w dotrzymaniu placu większości soboru, gdyż członkowie jego drżeli prawie wszyscy, i starali się raczej usprawiedliwiać niżeli obwiniać. Rozdzieleni wreszcie jedni od drugich wyrokiem rozwiązania, nie mieli już siły, którą czerpali ze swego połączenia się, i zostawali pod wpływem swojej osobistej bojaźni. Po między najbardziej przestraszonymi i najbardziej skłonniemi do błagania o przebaczenie, byli Włosi, uważający to wszystko za spór bynajmniej się ich nie tycający, zachodzący pomiędzy Kościołem gallykańskim a Napoleonem, i nie życzący, po zachowaniu swych stolic nawet po więzieniu Sawońskiem doznać rozbicia w porcie, i to z powodu sprawy będącej czystą formą, jaką było potwierdzenie kanoniczne. Powtarzali oni, że prałaci francuzcy byli nieroztropni i szaleńcy, że oni Włosi w ogólności wstrzymywali się od rozstrzygnięcia tych kwestij, jako do nich nie należących, ale że gotowemi byli, jeśliby potrzebowano w czem ich przyzwolenia, udzielić go natychmiast bez żadnych zastrzeżeń. Kardynał Mory, który nie chciał być świadkiem nowych rewolucij, który miał serce przepęłnione wdzięcznością dla Napoleona i urazą do Kościoła tak niewdzięcznego względem niego, nie zaniechał donieść tych rozmów ministrowi wyznań, i samemu cesarzowi. Dziewiętnastu Włochów było gotowych do ustąpienia, a można było jeszcze liczyć na pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu prałatów francuzkich, mniej obojętnych jak Włosi na sposób rozstrzygnięcia tych kwestij, ale prawie również przestraszonych, i życzących

skończyć z tém jak się będzie podobało rządowi. — Bierzcie ich po jednym, mówił kardynał Mory, a prędzej z nimi zładzicie niżeli w gromadzie. — Wyrażając nawet swą myśl z właściwą mu rubaszną oryginalnością, dodał: *To wyborne wino, ale ono lepsze będzie w butelkach, niżeli w beczce.* — Korzystano z téj przestrogi, i wygotowano dekret prawie podobny do tego jaki uchwalony został w kommissji, który ograniczał do roku przeciąg czasu dla obsadzenia wakujących stolic, a w nim sześć miesięcy przeznaczonych było dla nominowania przez władzę świecką, sześć zaś dla potwierdzenia kanonicznego przez papieża, po upłynieniu których metropolita prowincji kościelnej mógł potwierdzać nominowane osoby. Dodano do tego dekretu zastrzeżenie nowego odwołania się do papieża, dla otrzymania jego potwierdzenia, ale z warunkiem domyslnym, całkiem przeciwnym wnioskowi biskupa Turnejskiego. Warunkiem tym było, że gdyby papież nie zgadzał się, sobór przyjąłby stanowisko niezależne, uchwaliłby nowy dekret, i posłałby go cesarzowi dla zamienienia w prawo państwa. Ułożono się nawet, że podczas, gdy deputacja uda się do Sawony dla otrzymania zgodzenia się Ojca świętego, w Paryżu zatrzymani będą główniejsi członkowie soboru, ażeby uchwalili drugie postanowienie w razie odmowy ze strony papieża. Po ułożeniu tego planu, wezwano do ministra wyznań jednego po drugim praelatów na których wiedzano że można liczyć. Dziewiętnastu biskupów Włoskich oświadczyło zgodzenie się ze skwapliwością; sześćdziesięciu sześciu biskupów francuzkich poszło za ich przykładem, co czyniło ośmdziesięciu pięciu zezwalających na sto sześciu członków zasiadających w soborze. Ci którzy, w liczbie około dwudziestu, nie oświadczyli swego zgodzenia się, nie wszyscy byli stanowczemi opponentami. Połowa ich czyniła raczej zastrzeżenia, niżeli zupełną odmowę.

Po osiągnięciu tego rezultatu, książę Kambasere, którego zawsze używano dla wyszukania sposobów pośrednich, wybiegów zręcznych i który nie mało się przyczynił do sprowadzenia tego spokojnego rozwiązania, poradził zgromadzić zn owu sobór, i przedstawić mu dekret, którego przyjęcie nie ulegało wtedy żadnej wątpliwości. Napoleon zgodził się na to, i nakazał dekretem nowe zwołanie na 5ty Sierpnia.

Jakoż 5go Sierpnia, sobór zgromadził się w miejscu zwyczajnem swych obrad. Nikt nie pytał się dla czego wprzód tak nagle się rozłączono, dla czego tak nagle znowu się zebrano, dla czego trzej członkowie jego zamiast być obecnemi, zostawali w Węsen; wysłuchano odczytanie dekretu, i zatwierdzono go prawie jednomyślnie.

Pozostawało otrzymać potwierdzenie papieża, nie dla tego, żeby uznawano sobór za niewłaściwy, ale że należało zastosować się do zwyczaju naturalnego i potrzebnego przedstawiania najwyższej głowie Kościoła postanowień wszelkiego zgromadzenia prałatów. Napoleon zgodził się na wysłanie deputacji z biskupów i arcybiskupów dla uproszenia zatwierdzenia u papieża, oraz na przyłączenie do nich kilku kardynałów dla zastąpienia przy Pijusie VII tej rady, której mówił ciągle, że był pozbawionym, skoro domagano się u niego jakiego stanowczego postanowienia. Wybrani na to kardynałowie byli: de Bajan, Frabrycjusz Ruffo, Roverella, Doria, Duniani. Przydano do nich jeszcze arcybiskupa Edessy, jałmużnika papieża. Prałatami zaś wyznaczonemi byli: arcybiskupi Turski, Maliński i Padewski; biskupi Nantski, Trewski, Ewre, Placencji, Feltru i Faency. Musieli oni wyjechać natychmiast, ażeby nie zatrzymywać długo swych kolegów bawiących w Paryżu dla uchwalenia nowego postanowienia wrazie odmowy ze strony papieża. Zresztą, nie przypuszczano takiej odmowy, nadewszystko mając na pamięci notę przywiezioną z Sawony przez PP. de Barrol, Diuwóazę i Mannej.

Napoleon przyjął to zakończenie soboru, najprzód że było to zakończenie, potem, że prawie osiągnął swój cel otrzymując ograniczenie bardzo znaczne potwierdzenia kanonicznego. Ale moralnie czuł on się zwyciężonym, gdyż opozycja tém więcej znacząca, że była pomimowolną i że tak rzecz można, drżąca, okazała się w duchowieństwie, i oświadczyła mu wyraźnie, że był ciemieźcą papieża; znalazła ona nadto tysiączne odgłosy w sercach! Pocieszał się on pochlebając sobie, że wkrótce przywiozą mu z Sawony, jeśli nie sam dekret, to przynajmniej potwierdzenie dwudziestu siedmiu prałatów nominowanych, co wystarczało dla uzupełnienia kościoła francuzkiego, i dla usunięcia trudności, które przeszkadzały jego administracji. A co się tyczyło zasady, spodziewał się potem obmyślić środki jak temu zapobiedz. Zresztą, w tej chwili wszystkie kwestje materjalne, moralne, polityczne, wojskowe sprowadzały się dla niego do jednej, to jest, wielkiej wojny na północy. Zostając po raz ostatni zwyciężcą, potłumiłby w Rossji, która jedna prawie, jeśli mu nie stawiała otwarcie czoła, to przynajmniej nie spełniała wszystkich jego chęci, wszelki rodzaj opozycji jawnej lub skrytej, którą spotykał jeszcze w Europie. Cóżby wówczas znaczyl ów biedny ksiądz więziony, który mu zaprzeczał posiadania Rzymu? Nie, albo prawie nie, i Kościół, jak to czynił już tyle razy, uznałby potęgę cesarza. Konkordat zawarty w Fonteneblo nawet po powrocie z Moskwy, dowodzi, że jeśli Napoleon

był częstokroć zaślepiony, to nie był nim najwięcej w tém zdarzeniu.

Kardynałowie i prałaci wyznaczeni udali się więc do Sawony, a on, znudzony tą *klótnią księdzowską*, jak ją nazywał, odtąd jak zaczął pogardzać konkordatem, swoim najpiękniejszym dziełem, zajął się znowu całkiem swojemi ważnemi sprawami politycznemi i wojskowemi.

Chociaż pozbawiona swobodnych dzienników, przynajmniej we Francji, publiczność europejska zajmowała się z ciekawą i niespokojną uwagą poróżnieniem już bardzo głośnym cesarza Napoleona z cesarzem Aleksandrem. Już to mówiono, że wojna była nieuchronną, i że wkrótce nastąpi, że Francuzi mieli przejść Wisłę, a Rossjanie Niemen, już to że spór był zagodzonym, i że każdy miał się cofnąć w głąb swojego kraju. Nadewszystko od czasu przybycia p. Kolenkura do Paryża, a p. Lorystona do Petersburga, spodziewano się, że pokój utrzymanym zostanie. Umysły roztropne wszelkich narodowości, nie mogąc wiedzieć jaki będzie wypadek nowej walki, pewni jednakże, że potoki krwi się poleją, niezmiernie życzyły pokoju, i cieszyły się ze wszystkiego co zapowiadało jego utrzymanie. Ale ruchy bezustanne wojsk od Renu ku Elbie nie mogły im dodać otuchy, i niszczyły dobry skutek pogłosek o pokoju, które zaczęły być krążyć od dwóch czy trzech miesięcy. Przyjaciele pokoju mieli bardzo powód troszczyć się, gdyż Napoleon postanowiwszy odroczyć wojnę, ale bynajmniej jej nie zaniechać, robił ciągłe przygotowania, zachowując tylko ostrożność ukrywania ich tak dalece, żeby nie spowodzić w 1811 zerwania, którego w swoich wyrachowaniach nie życzył wcześniej jak w 1812m. I tak np. wstrzymawszy najprzód wysłanie czwartych i szóstych bataljonów Marszałka Dawu, i zatrzymawszy ich w depo, zmienił później zamiar, będąc przekonanym, że nigdzie nie wyćwiczą się one lepiej jak pod tym instruktorem czujnym i surowym, wysłał je nad Elbę. Owoż, nie było to mniej jak trzydzieści dwa bataljony wysłane razem za Ren, co się nie mogło bynajmniej ukryć. Żeby zmniejszyć wrażenie uczynione z tego powodu, rozkazał cofnąć nazad dwa bataljony Westfalskie, które miały uzupełnić część niemiecką garnizonu gdańskiego, i zalecił żeby uczyniono bardzo głośnym to wsteczne poruszenie, a co do bataljonów francuzkich dążących ku Elbie, żeby mówiono, iż one tylko kończą pochód oddawna rozpoczęty. Mając w swém rozporządzeniu dzienniki francuskie i część dzienników niemieckich, mógł do jakiegoś czasu zwodzić pu-

bliczność, ale seciny agentów rossyjskich ze wszelkich narodowości musiały wykazać prawdę i nawet powiększyć istotę rzeczy.

Jakoż gabinet rossyjski nie dał się tém oszukać, i cesarz Aleksander powiedział panu de Loryston, że wprawdzie dwa bataljony niemieckie cofnięte zostały, ale że w tymże czasie więcej trzydziestu bataljonów francuskich postępowało do Wezelu na Hamburg. Jednakże, dodał cesarz Aleksander, nie chcę się dać wyprzedzić Napoleonowi pod względem oznak pokoju; cofnął on dwa bataljony, a ja myślę cofnąć całą dywizję. — Wistocie, zbliżył nieco ku Niższemu Dunajowi jedną z pięciu dywizyj, które był sprowadził przedtém nad Dniepr dla wprowadzenia ich do Polski. Potrzeba przyznać, że szczerość jego w tym razie nie była lepszą od szczerości Napoleona, gdyż zmniejszywszy za nadto swe siły przeciw Turkom, widział potrzebę powiększenia ich odwołaniem nad Dunaj jednej dywizji, którą był stamtąd oddalił.

Pan de Loryston, który lękał się bardzo nowej wojny na północy, i który widział ze smutkiem że gdy uzbrajano się tym sposobem jedni w odwet drugim, skończy się wkrótce na tém, że przyłożą sobie wzajemnie oręż do piersi, prosił, błagał cesarza Aleksandra, iżby się okazał roztropniejszym od Napoleona, i żeby chciał piérwszy udzielić objaśnień, które zwlekano udzielić sobie, czy to przez fałszywą miłość własną, czy też przez źle zrozumiane wyrachowanie. — Domagaj się więc Najjaśniejszy Panie, mówił do Cesarza Aleksandra, wynagrodzenia za Oldenburg, a nie wątpię że zostanie Mu udzielone. Poszlij kogo do Paryża dla przetożenia tam swoich zażaleń, a jestem przekonany, że zostanie tam przyjęty z zadowoleniem. Można będzie wtedy udzielić sobie w jawnych objaśnieniach i wiedzieć wreszcie za co ludy mają krew przelewać. — Tym usilnym prośbom Cesarz Aleksander stanowczo się opierał. Nie chciał, jak to już pierwej mówił, wymagać nie za Oldenburg, ani w Niemczech, ani w Polsce, gdyż w Niemczech nie zaniechanoby wystawić go jako zmierzającego do ukrzywdzenia książąt niemieckich, w Polsce zaś, Napoleon oskarżyłby go o staranie się rozszarpania Wielkiego Księstwa Warszawskiego i chlubiłby się tém przed Polakami. Cesarz Aleksander nie chciał też dawać po sobie pozorów, że był strwożonym, wysyłając domagać się pokoju w Tiuillerjach. Był zresztą najmocniej przekonany że go nie otrzyma, i lękał się nawet przyspieszyć wojnę objaśniając się wyraźnie względem pewnych przedmiotów, jak np. interesów handlowych. W istocie, jesliby nalegano na niego, miał postanowienie odpowiedzieć stanowczo, że nie zamknie swych portów tym,

których nazywał neutralnemi, a których Napoleon nazywał Anglikami, i lękał się żeby oświadczenie tak wyraźne nie spowodowało niezwłocznego zerwania. Wojna, którą Napoleon chciał odwlec do roku, zdawała się być dla niego także nieuchronną, ale wolał ją po pewnym czasie, niżeli natychmiast. Dla tego to zachowywał nadzwyczajną ostrożność, twierdząc ze szczerością że żądał pokoju, i w dowód, obiecując w razie gdyby się rozbrojono, rozbroić się natychmiast; dodając, że uraza jaką miał z powodu wyłączenia księcia Oldenburskiego nie stanowiła sprawy naglącej, że spodziewał się wynagrodzenia, ale nie będzie nalegać, ażeby otrzymać ją niezwłocznie, że potrafi czekać i że działając tym sposobem nie będzie w tym upatrywał powodu do wojny, gdyż nie waha się oświadczyć, że dla tej przyczyny nie będzie jej prowadził (1).

W tém położeniu delikatném i wielkiej wagi, należało użyć wiele starań, wiele ostrożności, żeby zapobiedz wojnie; ale dosyć było jednego nieroztropnego wyrazu żeby ją uczynić nieuchronną, może nawet niezwłoczną. Owoż, przy charakterze burzliwym Napoleona, nadewszystko przy jego śmiałości wyrażen, można się było lękać, żeby to słowo nie było wyrzeczoném.

Piętnastego Sierpnia 1811, w dniu jego imienin i wielkiego przyjęcia, był bal u dworu. Ponieważ znano go że był skorym do wypowiedzenia tego co miał na sercu, postępowano za nim, słuchano go dla podchwycenia jakiego słowa, mającego związek z ważną kwestją obecną. Był on w tym dniu rzeźwy, wesoły, skłonny do mówienia. Pyszna jego twarz była promieniejącą pogodą, bystrością, i potrafiłby on ściągnąć do siebie ludzi mniej ciekawych, mniej interesowanych do słuchania go, niżeli ci co go otaczali. Większa część zaproszonych była się już rozjechała: pozostali tylko przy nim posłowie rosyjski i austriacki (księżęta Kurakin i Szwarzenberg), posłowie hiszpański i neapolitański, oraz jeden czy dwóch tych pełnomocników małych dworów niemieckich, zawsze na podsłuchach, ażeby wiedzieć co przygotowują olbrzymy, którzy mają zwyczaj ich deptać (2). Otoczony

(1) Przytaczam to wszystko według dokumentów najautentyczniejszych, według listów pana Lorystona, Napoleona, Dawu, i t. d. Można więc uważać te szczegóły nie jako przypuszczenia, ale jako fakta pewności niezawodnej.

(2) Tu także piszę według dokumentów najpewniejszych. Nie wiele waży mowy wymyślone, a mniej jeszcze rozmowy domniemane, które są bardziej nieprawdopodobne niżeli mowy, gdyż są trudniejsze do schwycenia i do spisania. Ale rozmowa, którą tu umieszczam, równie jak dwie czy trzy inne Napoleona, które przytoczyłem, była spisana przez wielu świadków, przez posła Austriackiego, przez posła Wirtemberskiego, i powtórzona przez Napoleona panu Bassano, ażeby ją zakomunikował

temi osobami, przechadzając się po pokojach i rozmawiając o rozmaitych rzeczach, Napoleon powiedział do posła hiszpańskiego, że to była zła pora w jego kraju do działań wojennych, że nie przeto w obecnej chwili nie mogło tam prędko postępować, ale że jesienią przyspieszy bieg wypadków i czynniej działać będzie przeciwko Hiszpanom, Portugalczykom i Anglikom. Obracając się potem do księcia Kurakina, mówił o depeszy wymyślonej przez Anglików, depeszy bardzo dumnej, która jakoby miała być posłaną Rossji przez Francję, i powiedział, że ona nawet nie miała prawdopodobieństwa za sobą; na co książę Kurakin odpowiedział, że w samej rzeczy ona była nieprawdopodobną, gdyż nigdy on nie mógłby przyjąć podobnej. Napoleon uśmiechnął się zlekka na tę dumną odpowiedź księcia Kurakina, a potem jakby dla zemszczenia się trochę za nią, zwrócił rozmowę do wypadków w Turcji, o których w istocie wiele było do powiedzenia. Rossjanie, w ostatniej kampanji, zostali panami wszystkich twierdz Naddunajskich od Widdynu do morza Czarnego. W tym roku mniej byli szczęśliwymi, nie mogli przebyć Dunaju, i pod Ruszczukiem mieli rozprawę ze swą korzyścią, jak utrzymywali, a ze stratą, jak dowodzili Turcy, którzy wistocie w skutek tej batalji weszli do Ruszczuku. Widoczném było, że dywizje cofnięte wgłąb kraju były przyczyną tych niepomyślnych dla Rossji wypadków. Objasniając rzeczy ze swojego punktu widzenia, książę Kurakin starał się zmniejszyć niepowodzenia kampanji, i naturalnie wychwalał bardzo męstwo rosyjskiego żołnierza. Podczas tych objaśnień Napoleon patrzył na księcia Kurakina ze złośliwym uśmiechem i z pewnym zadowoleniem; widział jak ten dyplomatyk wikłał się w swych opowiadaniach i nie umiał się jasno wytłómaczyć. Tak, tak, rzekł do niego, żołnierze wasi są bardzo waleczni; my Francuzi chętnie to przyznajemy; ale wasi generałowie mniej warci są od żołnierzy. Niepodobna tego nie dostrzedz że obroty ich były niezręczne. Jest to wielka trudność mieć do bronienia linję tak długą jak Dunaju, od Widyndu do morza Czarnego. Zresztą, nie można bronić brzegu rzeki inaczej jak będąc w możności przenie-

wszystkim dworom. Te trzy wersje, z których żadna nie przeciwi się całkiem dwóm innym, lecz które się dopełniają przytoczeniem tego co druga opuściła, są dokumentami, których użyłem dla streszczenia, ma się rozumieć, tej ciekawej rozmowy. Forma jej tylko należy do mnie, i w tém nawet starałem się o ile można zachować właściwą barwę mowy Napoleona. Miałem do tego prawo jako historyk, gdyż wymaganiem sztuki jest zbierać co zasługuje na zbieranie, bo inaczej potrzebaby było tyle czasu na przeczytanie historii, ile zabrały czasu fakta, które opisuję. Należałoby strawić dwadzieścia lat na przeczytanie tego co trwało lat dwadzieścia.

sienia się na drugi brzeg, jak mając wielką liczbę mostów i szaniec mostowych, gdy prawdziwą sztuką bronięcia się jest sztuka umieć atakować. Wasi generałowie działali przeciwko wszelkim prawidłom. — Tu Napoleon, mówiąc o wojnie równie dobrze jak ją prowadził, rozprawił długo przed swemi słuchaczami uważnemi i zdziwionemi. Książę Kurakin chcąc usprawiedliwić generałów rosyjskich, rzekł że zbywało im na siłach, że musiano oddać część wojska z teatru wojny, a postrzegając niezręczność jaką popełniał, dodał że finanse państwa tego wymagały. Napoleon uśmiechnął się wnet na tę niezręczność rozmawiającego, i żartując dalej z niego z równym dowcipem jak przenikliwością: wasze finanse, rzecz do niego, zmusiły was do oddalenia części wojska z nad Dunaju. . . . jesteście pan tego pewnym?... Jeżeli tak jest wistocie, zrobiliście bardzo złą operację finansową. . . . W ogólności, wszystkie wojska, których utrzymanie jest uciążliwem, należy wysyłać na ziemię nieprzyjacielską. Ja sam tak zawsze robię, i moje finanse na tém nie tracą. . . . Potem nagle, nie porzucając tonu przyjaznego, z którym zaczął tę rozmowę, ale z popędliwością człowieka, który się nie może wstrzymać, Napoleon rzekł do księcia Kurakina: Bo widzisz, książę, czy mówimy tu na serjo? czy dyktujemy tu depesze? albo piszemy do dzienników? W takim razie zgodzę się na to, że wasi generałowie ciągle byli zwycięzcami, że zły stan waszych finansów zmusił was do cofnięcia części waszych wojsk, które się utrzymywały kosztem Turków, ażeby żyć kosztem skarbu rosyjskiego, przystanę na to wszystko; ale jeżeli mówimy otwarcie w obec trzech czy czterech jego kolegów, którzy wiedzą o wszystkiem, powiem mu, że byliście pobici, że straciliście linię Dunaju z własnej winy; że to nie tyle był błąd waszych generałów, chociaż ich obroty były złe, jak waszego rządu, który im odjął siły, jakich nieodbić potrzebowali, który cofnął pięć dywizyj z nad Dunaju do Dniepra, i to na co? żeby się uzbrajać przeciwko mnie, który jestem waszym sprzymierzeńcem, jak samimówicie; przeciwko mnie, który nie chciałem prowadzić z wami wojny, i nie chcę jej jeszcze prowadzić teraz. Popełniliście tam błędy po błędach. Jeśli co niepokoilo was z mojej strony, należało się objaśnić. W każdym razie, zamiast zwracania w inną stronę waszych sił, należało przeciwnie skupić je przeciw Turcji, zgnębić ją, wymódcz na nią pokój, a na otrzymanie równie korzystnego pokoju jakim był Finlandzki, dość było jednej kampanji, później zaś myślibyście o obwarowaniu się przeciwko mnie! Ale pod względem politycznym, wojennym, finansowym, uczyniliście wszystko nic do rzeczy, a to dla kogo?

Dla księcia Oldenburskiego, dla kilku kontrabandzistów.
 Dla takich to ludzi narażacie się na wojnę ze mną! A jednak, wiecie dobrze, mam sześćkroćstotysięcy ludzi do postawienia przeciwko wam, mam czterykroćstotysięcy w Hiszpanii, znam swe rzemiosło, dotąd nie zwyciężyliście mię, i da Bóg, spodziewam się nie zwyciężycie mię nigdy! Ale wolicie słuchać Anglików, którzy powiadają, że chcą z wami prowadzić wojnę, wolicie zasięgać rady kilku kontrabandzistów, których wasze urządzenia handlowe zbogacają, i zaczynacie się uzbrajać; muszę więc z mojej strony się uzbrajać, i oto jesteśmy znowu jeden w obec drugiego, gotowi rozpocząć walkę! Ja, jestem podejrzliwy jak człowiek przyrodzenia. uważam. Widzę, że się zwracają w moję stronę, niedowierzam, kładę rękę na broń. Potrzeba żeby to położenie miało wreszcie koniec. — Napoleon wyrażając się z wielką prędkością, nie zostawiając rozmawiającemu z nim czasu do odpowiedzi, i nie przestając przytém okazywać się życzliwym, nawet przyjaznym w sposobie wyrażenia się, dał tu nieco czasu księciu Kurakinowi do odezwania się. Ten, mający mało znajomości faktów, chociaż posiadał dość przebiegłości i wprawy w prowadzeniu ważnych interesów, nie myślał o tém, żeby przypomnieć Napoleonowi, że w ciągu przygotowań wojennych, Francja uprzedziła Rossję, ale wylał się z oświadczeniami przyjaźni i poświęcenia, dowodząc że zostawano na téjże saméj stopie co w Tylży, i jeżeli komu przystało się dziwić, to Rossji, która nie przestała być wierną przymierzu; że ona musiała mocno uczuć krzywdy zadane księciu Oldenburskiemu; że to był bliski krewny cesarza, do którego dwór rossyjski był bardzo przywiązany; że nie można było nic zrobić coby dotknęło boleśniej cesarza Aleksandra jak tknąć się posiadłości tego księcia; że nadto Rossja ograniczyła się w tym przedmiocie na wyrażeniu skarg, zastrzeżeń. Zastrzeżeń, odrzekł Napoleon, zastrzeżeń! więcej jak to, uczyniliście protestację formalną (co było prawdą), ogłosiliście mię przed Niemcami, przed Ligą Reńską za łupieżcę. Wasz książę Oldenburski, może nie wiecie o tém, często uchylał traktatom zawartym z wami i ze mną, gwałcił umowę wiążącą pomiędzy sobą członków Ligi Reńskiej; według dawnego prawa niemieckiego mógłbym go wezwać przed mój trybunał, pozbawić go wszelkich praw, i wywłaszczyć go tak, że przeciwko temu niebyście powiedzielić nie mogli. W miejscu tego uprzedziłem was, ofiarowałem mu wynagrodzenie. Mówiąc te słowa, Napoleon uśmiechał się, jak gdyby nie mówił tego na serjo, i zdawał

się przyznawać, że postąpił w tém za nadto nierozważnie. Potém dodał z pewnym rodzajem żalu i łagodności: przyznaję, że gdybym wiedział do jakiego stopnia obchodzi was książe Oldenburski, postąpiłbym inaczej, ale nie wiedziałem o wielkiem współczuciu, jakie macie dla tego księcia. Teraz co począć? Oddać, że wam posiadłości oldenburskie pełne moich celników, gdyż inaczej wam ich nie oddam? nie przyjmiecie ich.... I Napoleon wymówił te ostatnie słowa z przyciskiem, który dowodził, że Aleksander miał szłuszną, że nie chciał użyzyć mu téj broni przeciwko sobie.... Skądże więc, dodał, weźmiemy wynagrodzenie?.... Ale mniejsza oto, żądajcie, a będę starał się was zaspokoić.... Dla czego pozwoliliście odjechać P. Nesselrode w obecnej chwili? (Pan Nesselrode, główny zawiadowca spraw poselstwa, opuścił był wtedy właśnie Paryż). Potrzeba żeby wasz pan przysłał jego lub kogo innego, z pełnomocnictwem dla objaśnień, dla zawarcia układu, któryby uchylił wszystkie zażalenia tak wasze jak moje, bo inaczej będę przedłużał moje uzbrojenia, powołam zapewne wkrótce konskrypcję 1812. a wiecie, że nie mam zwyczaju dozwolić się pobić... Liczycie na sprzymierzeńców! Gdzież oni są? Czy Austrja, z którą prowadziliście wojnę w 1809, i od której, przy zawarciu pokoju, zabraliście prowincję? . . . I mówiąc te słowa Napoleon spozierał na księcia Szwarzenberga, który milczał i trzymał oczy w ziemię utkwione.... Czy Szwecja, w której zabraliście Finlandję? Czy Prusy, od których w Tyłżycie wzięliście część zdobyczy, będąc ich sprzymierzeńcami? . . . Mylicie się, nie będziecie mieli nikogo. Objasnijcie się przeto ze mną, i nie rozpoczynajmy wojny... Kończąc tę rozmowę, Napoleon uściśnął przyjaźnie za rękę księcia Kurakina, potém pożegnał gości zdziwionych jego bystrością, równie jak jego nieroztropną śmiałością, i oddalił się śmiejąc się wesoło z zakłopotania ambasadora rosyjskiego, który narzekał, wychodząc z Tuilleryjów, że mu bardzo duszno, że zbyt gorąco w salonach cesarza. Rozmowa ta przypominała te, jakie Napoleon miał z lordem Whitworth przed zerwaniem pokoju Amjańskiego, z P. Metternichem przed kampanją Wagramską, a chociaż nie miała ani gwałtowności piérwszej, ani powagi wyrachowanej drugiej, musiała dawać pole niebezpiecznym a przesadzonym pogłoskom, bardzo przykrym nade wszystko dla cesarza Aleksandra.

Nazajutrz, pochlebcy Napoleona, przywykli wielbić waleczne czyny jego języka, równie jak jego oręża, nie zaniechali opowiadać, że pobit ambasadora rosyjskiego; a nieprzyjaźni mu, przywykli uwłaczać najmniejszym jego czynnościom, skwapliwie powtarzali ze

swój strony, że postąpił wbrew wszelkiej przyzwoitości względem reprezentanta jednego z głównych mocarstw Europejskich. Książę Kurakin nie napisał nic podobnego do Petersburga, był on prostym i umiarkowanym w swoim sprawozdaniu; i cesarz Aleksander nie zwróciłby żadnej uwagi na tę nową zaczepkę swojego strasznego sprzymierzeńca, gdyby mnóstwo listów pisanych do Petersburga, już to z Paryża, już z Wiednia i Berlina, nie przekształciły dziwnie rozmowy 16go Sierpnia. Zaczepiony w pewnym sposobie w obec swojego narodu i w obec Europy, musiał się stać drażliwym, i czekać odtąd objaśnień w miejscu ich dawać samemu. — Chciałbym, mówił do pana de Loryston, nie zwracać uwagi na tę rozmowę, ale we wszystkich salonach petersburskich o niej mówią i ta nowa okoliczność utwierdza jeszcze mój naród w postanowieniu, ażeby nie wyzywając wojny, bronić swojej godności, swojej niepodległości aż do śmierci. Napoleon, zresztą, mówi tak wtedy tylko kiedy jest zdecydowanym do wojny; wówczas nie zachowuje żadnego pomiarkowania w mowie. Przypominam sobie jego rozmowę z lordem Whitworth w 1803, z panem Meternichem w 1809; muszę więc widzieć w tém wszystkiem co zaszło skazówkę bardzo złej wzdoby dla utrzymania pokoju.

Cesarz Aleksander, wskutku tych uwag, okazywał się bardzo smutnym; minister jego, pan Rumianców, którego egzystencja polityczna zależała od pokoju, był nim również, ale obaj powtarzali znowu, że nie rozpoczną piérwsi. Było jednakże widocznem, że nie wąpili o wojnie, najpóźniej na rok następny, że usposobienia cokolwiek przyjaźniejsze wynikłe z obecności i rozmów pana de Loryston w Petersburgu, całkiem się rozchwiały, i że użyją jesieni i zimy na czynniejsze jeszcze przygotowania do prowadzenia walki stanowczej i zaciętej.

Takież same prawie było usposobienie Napoleona, z tą różnicą, że czerpiąc w sobie samym pobudki do wojny, nie przestawał uważać jej za pewną i przygotowywać się do niej. Odesłał on był nad Elbę czwarte i szóste bataljony, co miało uczynić po pięć bataljonów w pułku, a ponieważ było szesnaście pułków marszałka Dawu, ogół więc tego korpusu miał wynosić 80 bataljonów najpiękniejszej piechoty. Przydawszy do nich szasserów korsykańskich i z nad rzeki Po, kilka oddziałów hiszpańskich i portugalskich, Napoleon spodziewał się podnieść do 90 bataljonów korpus Nadelbianski, i rozdzielić go na pięć dywizij równej siły. Wyborna dywizja polska, druga złożona ze starych żołnierzy miast Anzeatyckich obecnie rozpuszczonych,

trzecia złożona z Illiryjczyków, przyłączone do tamtych, miały stanowić ośm dywizji marszałka Dawu. Wielu officerów francuzkich, jednych którzy wystąpili ze służby obcej po przyłączeniu ich kraju do Francji, drudzy którzy wyszli ze szkoły generałów Frjana, Morana i Giudena, mieli się przyczynić do podniesienia ducha tych wojsk obcego pochodzenia. Napoleon spodziewał się, że pod żelazną prawicą marszałka Dawu i blisko ogniska patriotyzmu i honoru wojskowego roznieconego w jego armji, ci Hiszpanie, ci Portugalczycy, ci Illiryjczycy, ci Anzeatczycy, nabędą mężstwa właściwego rodowitym Francuzom.

Daléj od Elby, Napoleon, jak powiedzieliśmy, starał się utworzyć swoją drugą armję, zwaną korpusem Nadreńskim, z dwunastu pułków które walczyły pod Essling pod dowództwem Lanna i Masseny, i do których chciał przyłączyć wojsko hollenderskie. Miał zamiar doprowadzić te pułki do czterech a nawet do pięciu bataljonów wojennych, odtąd jak zaniechał bataljonów wyborowych, pewnym będąc, że ma jeszcze rok czasu do skończenia swoich przygotowań.

Tu miejsce jest wykazać, jak trudną do uwierzenia płodność pomysłów okazywał on w tworzeniu swoich środków, płodność, która jak wszystkie wielkie zdolności, posunięta do zbytku, skłaniała go niekiedy do tworzenia sztucznych zasobów, których słabość dała się aż nadto uczuć w następnej kampanji. Widzieliśmy, że do klasy 1811go, po wołanej w całości, chciał przyłączyć dodatek bardzo znaczny tak liczbą jak przymiotami ludzi, to jest, przywołaniem pod chorągwie opornych z lat przeszłych. Jedenaście czy dwanaście kolumn ruchomych przebiegając Francję w rozmaitych kierunkach, zmusiło pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tych opornych do uległości. Środek ten był surowy, ale skuteczny. Jednakowoż należało się lękać, żeby nie sprowadzono ich na to tylko, żeby widzieć ich dezercerujących znowu, skoro się dowiedzą że krewni ich pozbyli się *garnizerów*. Więzić ich, było to narażać na szwank ich zdrowie i przepelniać więzienia; odesłać ich do depo, było to im otworzyć drogę do ucieczki. Napoleon powziął myśl wyuczenia ich na wyspach otaczających Francję, i z których niepodobna im było ucieść. W tym celu utworzył na tych wyspach z dobrymi kadrami, pułki instruktoryjne, w których liczba żołnierzy była nieoznaczoną i mogła dochodzić do piętnastu tysięcy. Utworzył jeden taki pułk na wyspie Walcheren, drugi na wyspie Re, trzeci na Bell-il, nakoniec dwa na morzu Śródziemnym, z których jeden w Korsyce, drugi na wyspie Elbie.

Napoleon zwracał pilną uwagę na to wszystko, co się ich tyczyło, na broń, odzienie, instrukcję, wszystkiem się zajmował. Nakoniec wnosząc iż są już dostatecznie przygotowanemi, spróbował wysłać kilka tysięcy ludzi wziętych z pułku wyspy Walcheren, dla uzupełnienia czwartych i szóstych bataljonów marszałka Dawu. Zamiarem jego było, gdyby się ta próba udała, dostarczyć temu marszałkowi taką ich ilość, żeby przyprowadzić każdy z jego bataljonów do tysiąca ludzi.

Dla przeprowadzenia ich od ujścia Skaldy do brzegów Elby, Napoleon umyślił postać ich przez wyspy ciągnące się wzdłuż Hollandji, już to na barkach przez kanały, już pieszo przez zarośla Gieldrji i Fryzji, a skoro przybędą na ląd, dać im eskortę złożoną z kawalerji lekkiej marszałka Dawu, która nie była skłonna do oszczędzania dezertarów i razami pałasza przyspieszyłaby ich pochód.

Pierwsze transporta się powiodły. Na ogół transportowanych ludzi ubyla zaledwie szosta część przez dezercję. Ta szosta część dla powrócenia do Francji dniem przebiegała lasy, nocą drogi, przebywała rzeki jak mogła i znajdowała przytułek u Niemców, których nienawiść ku nam czyniła gościnnymi względem naszych zbiegłych żołnierzy. Pięć szóstych pozostała w szeregach składała się z ludzi silnych i dorosłych, których dobrém obchodzeniem się spodziewano się skłonić do pełnienia regularnie służby.

Marszałek Dawu, który umiał w potrzebie odstąpić od swęj zbytniej surowości, rozkazał żeby wprawiano ich do służby z łagodnością. Zastosowano się do tego rozkazu, i to wydało pożądaný skutek. Sprowadzono ich wtedy tysiącami ze wszystkich wysp Oceanu, wiodąc ich gromadami i szybkim pochodem, ażeby zapobiedz dezercji. Nieszczęściem, wielu z nich przyniosło z sobą gorączki Walcherenu, i zaraziło niemi innych. Jednakże obrana droga nie mogła być odpowiedną dla wszystkich, a szczególnie dla tych, którzy należeli do prowincij wschodnich. Tych ostatnich popędzano ku Renowi, potem wsadzono ich na barki, które ich przetransportowały do Wezelu, niedo tykając się ziemi. Ale ci także nabyli w przeprawie, skutkiem nagromadzenia i braku ruchu, rozmaitych bardzo niebezpiecznych chorób. Poprowadzono ich potem przez Westfalję często chorych, a zawsze opornych służbie wojskowej, która rozpoczynała się dla nich pod tak złą wróżbą. Z początku zajmowano się przyodziewaniem ich i uczeniem; potem wysyłano ich w odzieniu wieśniaczym, bez żadnej instrukcji,

licząc zawsze na marszałka Dawu, że przerobi tych ludzi, których pędzono i traktowano jak bydło, na żołnierzy.

Marszałek używał wszelkich starań do naprawienia w części tych uchybień (1), do pielęgnowania nieszczęśliwych, których mu nadsyłano, do uspakajania ich, opatrywania rzeczami potrzebnymi, do udzielania im ducha swoich starych szeregowców, do korzystania nawet ze skłonności awanturniczych, których nabyli w swém tułaczem życiu, do natchnienia ich zamiłowaniem życia obozowego, do usposobienia ich wreszcie do tego, iżby znajdowali w rycerskim i twardym zawodzie żołnierza przyjemność, której doznawali on i jego żołnierze. Ale ileż to sere było do poskromienia! Z Korsykańczyków, Toskańczyków, Lombardczyków, Illirjczyków, Hiszpanów, Portugalczyków, Hollendrów, Anzeateczyków zrobić Francuzów, a nawet z Francuzów porwanych z łona ich familij w nader młodym wieku uczynić żołnierzy silnych, karnych, wyłącznie przywiązanych do swój chorągwi, sprowadzić ich tym sposobem z nad brzegów Po, Arno, Renu, Rodanu, Żyrondy, Lóary, ażeby biwakowali, drżeli, umierali z głodu lub zimna nad brzegami Elby, Wisły lub Dniepra, co za trudne zadanie! i jakież niebezpieczeństwó dokazawszy tego przez lat dwadzieścia, nie dopiąć swego w chwili, kiedy wszystkie uczucia, wrodzone człowiekowi, dręczone bez miary, przywiedzione zostaną do rozpacz!

Aż do tego okropnego dnia wszystko miało pyszną powierzchowność, i ta machina wojskowa pod ręką marszałka Dawu nabyła groźnej postawy. Napoleon wysyłał mu jeden po drugim pułki konnicy dla opatrzenia ich w konie w Niemczech, i dla wyuczenia nowych rekrutów. Lękając się wyczerpać Francję z koni, gdyż potrzeba było iżby dostarczyła wielką ich liczbę do armji hiszpańskiej, postanowiono ściągnąć wszystkie te, jakie można byłoby dostać w północnej Europie. Rozkazał więc skupować konie dla konnicy lekkiej w Polsce i Austrii, dla konnicy zaś linjowej i ciężkiej, w Wirtembergu, Frankonji, Hanowerze. Wszędzie obiecał płacić gotowemi pieniędzmi, i zalecił skupienie od trzydziestu do czterdziestu tysięcy koni wszelkiej broni, jeśli można byłoby dostać. Wydał podobnież rozkazy co do koni pociągowych. Przepisał rozdzielenie całej kawalerji na dywizje, i wysłał jenerałów dla czuwania nad umundurowaniem i wyuczeniem ich oddziałów.

(1) Mówię tu nie według broszurek 1815, ale według korespondencji urzędowej agentów rządu.

Zapasy wojenne niemniej go zajmowały, jak organizacja wojsk. Zamiarem jego było, jak powiedzieliśmy, mieć w Gdańsku, oprócz żywności na utrzymanie garnizonu do dwudziestu tysięcy ludzi w ciągu roku, zaopatrzenie armji od czterech do pięććroć sto tysięcy ludzi takoz na rok jeden. Ażeby tego dopiąć, zalecił najprzód generałowi Rapp zwracać pilną uwagę na ruch zbożowy w tém mieście, które jest jedném z najogromniejszych składów zboża znanych w Europie, i być zawsze uwiadomionym o ilości zboża w magazynach, ażeby zawsze kupować w odpowiednią porę. Mając już teraz plan obmyślony, zalecił wrzście rozpocząć skupowanie, posunąć je aż do sześććroć lub siedmćroćstotysięcy centnarów pszenicy, do kilku milionów beczek owsa, oraz do skupienia takiej ilości siana, jakiej można byłoby dostać. Trzy kassy, jedna w Gdańsku, druga w Magdeburgu, trzecia w Moguncji, wiadome tylko jemu, żeby się nieprzyzwyczajono na nie liczyć, miały dostarczać potajemnie summ potrzebnych na te kupie.

Ale nie dosyć było mieć te zapasy żywności, należało wynaleść środki transportowania ich z sobą. Napoleon, jak widzieliśmy, zalecił urządzenie na nowo pewnej liczby bataljonów pociagowych, które mogły zaprzadz i prowadzić około 1500 wozów naładowanych sucharami. Myśląc ciągle nad przedmiotem, który go zajmował i wynajdując co chwila nowe kombinacje, obmyślił od roku przeszłego nowe środki transportu, wyborniejsze jeszcze i dogodniejsze, nizeli te jakie pierwój miał wprowadzić. Wozy zwyczajne, zaprzężone czterma końmi, prowadzone przez dwóch ludzi, były dobre dla transportowania chleba codziennego za oddziałami wojsk. Jeden taki wóz mógł zapewnić żywność dla jednego bataljonu na jeden dzień. Potrzeba było czego innego dla Napoleona, który chciał mieć z sobą na pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt dni żywności dla całej armji. Wpadł tedy na myśl wielkich wozów, zaprzężonych ośmią końmi, prowadzonych przez czterech lub nawet trzech ludzi i mogących dźwigać dziesięć razy większy ciężar od wozów zwyczajnych. Rezultat tedy był w dziesięcioro powiększony, a rozchód pociagu i prowadzenia był zaledwo podwójny. Jednakże po nowym namyśle, uważając ten wóz za ciężki na błota Polski i Litwy, Napoleon ograniczył się wozem zaprzężonym czterma końmi, prowadzonym przez dwóch ludzi, co pozostawiało po dawnemu organizację zwyczajną pociagu, a miało transportować cztery razy tyle co wóz zwyczajny, albo trzy razy, jeśli nie chciano się narażać na zbytnie przeładowanie. Zalecił natychmiast sporządzić wozy tego rodzaju we Francji, w Niemczech, we Włoszech, wszędzie gdzie przebywały zakłady pociagowe, ażeby oddziały wojsk

miały razem dawne jaszczyki dla transportowania chleba dziennego, i nowe wozy dla transportowania żywności na jeden lub dwa miesiące. Męcząc, że tak rzec można, umysł swój, żeby przewidzieć wszelkie możliwe wypadki, chciał jeszcze przydać do swego sprzętu wojennego wozy *a la kontuaz* (à la comtoise), oraz wozy zaprzężone wołami. Wozy *a la kontuaz* są, jak wiadomo, lekkie, potoczyste, ciągnięte przez jednego konia, przywykłego do postępowania za tym, co go poprzedza, takim sposobem że jeden człowiek może ich kilka prowadzić. Wozy z wołami są powolne, ale zwierzę je ciągnące wytrwałe i silne, wydobywa je z kolein najgłębszych, a podczas chwili odpoczynku przywiązane do koła, spożywa trawę będącą pod jego nogami, i tym sposobem wieczorem nie zadaje żadnego trudu, oddawszy we dnie największe usługi. Wreszcie samo ono może służyć za pokarm, lepiej niżeli koń, którym się karmi tylko w ostatecznej potrzebie. Z tych powodów, Napoleon, do ośmiu bataljonów pociągowych, które przeznaczył dla armji czynnej, postanowił dodać cztery bataljony *à la kontuaz*, i pięć bataljonów z wołami, sam oznaczając sposób urządzenia, który dozwalałby tym woźnicom przemieniać się w jednej chwili w żołnierzy, dla bronienia powierzonych im pociągów. Organizacja jednych miała się uskutecznić we Frasz-konte, drugich zaś w Lombardji, w Niemczech, w Polsce. Tym sposobem można się było spodziewać mieć w tychże samych pociągach chleb i mięso.

Napoleon wnosił, że te siedmnaście bataljonów prowadząc z sobą pięć do sześciu tysięcy wozów, zapewnią mu żywności na dwa miesiące i dwakroćtysięcy ludzi, albo na czterdzieści dni i trzykroć sto tysięcy ludzi. To mu aż nadto wystarczało, gdyż liczył że w Gdańsku odprawi swe zapasy żywności Wisłą, sprowadzi je wodą z Wisły do Fryszhaff, z Fryszhaff do Pregla, a z Pregla kanałami wewnętrznymi do Niemna. Wysłał nawet kilku officerów swęj marynarki dla zdjęcia tajemnie planu téj żeglugi. Przybywszy z pięćkroć lub sześćkroć sto tysiącami ludzi nad Niemen, miał wprowadzić najwięcej kiedy trzykroć sto tysięcy w granice Rossji, i mając wtedy według poprzedniego wyrachowania na czterdzieści dni żywności w pociągach, spodziewał się że z tém co znajdzie na miejscu, będzie miał sposób utrzymania się, gdyż pomimo swoich zamiarów niszczenia, Rossjanie może nie mieliby czasu zniszczyć wszystko. Niszczyć, jest to zajęcie bardzo łatwe, ale wymagające takż czasu, a przykład Portugalji nawet dowodził, że tego czasu może zabraknąć nieprzyjacielowi, najbardziej skłonnemu do nieoszczędzania niczego. Na tych to powodach i tych ogromnych przygotowaniach, Napoleon zaśadał swą nadzieję, że

potrafi wyżywić się w obszernych równinach Północy, które spodziewał się znaleźć już to puste, już zniszczone.

Ale te pięć czy sześć tysięcy wozów potrzebowały same ośm do dziesięciu tysięcy ludzi dla prowadzenia ich, ośmnaście do dwudziestu tysięcy koni lub wołów dla ciągnięcia ich, a jeśli dodamy do tego trzydzieści tysięcy koni artylerji, około ośmdziesięciu tysięcy konnicy, możemy powziąć wyobrażenie o przeszkodach do zwyciężenia pod względem wyżywienia ich, gdyż te zwierzęta, przeznaczone do żywienia armji, należało pierwój żywić same. Napoleon spodziewał się zapobiedz temu, nie rozpoczynając pierwój swych działań wojennych, jak wtedy kiedy trawa ukaże się na polach.

Wiedząc, że żołnierz przenosi daleko więcej chleb nad suchary i przekonawszy się że w zagotowaniu chleba trudność nie zachodzi w jego pieczeniu, ale w obróceniu ziarna na mąkę, zalecił zmłóć większą część zboża Gdańskiego, spakować mąkę stąd otrzymaną w barylki, zachowane do nowych wozów, i zaciągnąć wszędzie mularzy za pewną opłatą dla budowania pieców, w każdym z miejsc, gdzie się wojsko zatrzyma. Mularze ci mieli być wcieleni w oddziały robotników rozmaitych rzemiosł, których miał zabrać z sobą, jako to: piekarzy, cieśli, kowali, pontonjerów, i t. d.

Nakoniec, zaprzęgi mostowe, przedmiot niemniej ważny jego zajęć, otrzymały nowe udoskonalenie w tym drugim roku jego przygotowań. Przepisał urządzenie w Gdańsku dwóch zaprzęgów od stu łodzi każdy, mogących służyć do rzucenia dwóch mostów na rzekach najszerszych, i według zwyczaju pomieszczonych na wozach bez wosągów. Ponieważ drzewa rzadko brakuje, mianowicie w kraju gdzie miano prowadzić wojnę, żelastwo zaś i powrozy stanowią jedynie część trudną do nabycia, Napoleon kazał się zaopatrzyć w liny, kotwice, sznury, okucia wszelkiego rodzaju, i t. d. i uczynić z tego trzeci zaprzęg mostowy, nie zabierając tylko drzewa, którego się spodziewano dostać na miejscu. Chcąc takóże mieć mosty stałe, kazał przygotować w Gdańsku naczolki żelazne palów, okucia dla powiązania tych palów, baby dla ich wbijania, tak, żeby pontonjerowie zaopatrzeni byli we wszystko co potrzeba do rzucenia, oprócz mostów łodziowych, takóże mostów na krokwiach lub palach. Wszelki ten sprzęt miał postępować za armją na licznych wozach. Jenerał Eblé, który na Tagu, bez żadnych prawie zapasów, wykonał tyle cudów w tym rodzaju, postawiony był na czele oddziału pontonjerów.

Dwa tysiące koni było przeznaczonych do tego nowego zaprzęgu. *Z takimi środkami, pisał Napoleon, spożyjemy wszelkie przeszkody* (1).

Chociaż Napoleon powierzył marszałkowi Dawu organizację większej części wojska, uważając go za doskonałego organizatora, oraz za administratora uczciwego i surowego, nie przeznaczał dla niego ogólnego dowództwa, które naturalnie zachowywał dla samego siebie. Ale chciał, żeby w razie nagłego rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, miał on pod ręką na Elbie i Odrze armję od 150 tysięcy Francuzów i 50 tysięcy Polaków, gotowych do przeniesienia się szybkim pochodem nad Wisłę. Miał zamiar później, gdy się rozpoczną działania wojenne, oddzielić od nich część, która połączona z korpusem Nadreńskim, rozdzieloną zostałaby między marszałków Udino i Nej. Marszałek Udino miał zebrać w Münsterze pułki stojące w Hollandji, marszałek zaś Nej w Moguncji pułki stojące nad Renem. Zaleconém zostało jak jednemu tak drugiemu, żeby natychmiast udali się do swych korpusów, i rozpoczęli organizację swojej piechoty i artyllerii. Co do konnicy, miał każdy z nich otrzymać swą część wstąpiwszy do Niemiec, gdzie wszystkie wojska konne pierwój były wysłane dla zaopatrzenia się w konie. Oprócz tych sił już tak znacznych, sto tysięcy sprzymierzeńców wszelkich narodowości miało być rozdzielonych pomiędzy rozmaite korpusa armji. Jenerałowie francuzcy, naznaczeni dla dowodzenia temi sprzymierzonymi wojskami, otrzymali rozkaz udania się na miejsca zebrań się.

Napoleon zalecił księciu Eugienjuszowi być gotowym ku końcow następnej zimy do przejścia przez Alpy z armją Włoską. Jak widzieliśmy wyżej, w swém zaufaniu obecném, jakie pokładał w Austrii zgromadził był w Lombardji prawie wszystkie wojska Illiryjskie i Neapolitańskie. Wybrał w każdym z lepszych pułków, mających wszystkie po pięć bataljonów, trzy bataljony wyborowe, przeznaczone na wojnę rossyjską. Miał zamiar wystawić z nich wojsko od 40 tysięcy Francuzów, z dodaniem 20,000 Włochów, które pod księciem Eugienjuszem, miało przebyć Alpy w Marcu. Czwarte i piąte bataljony pozostawione w zapasie, z wielu całemi pulkami i wojskiem Neapolitańskiem Miurata, miały strzedz Włoch przeciwko Anglikom i mal-kontentom. Nowo-zaciężni z 1811, i oporni z wyspy Elby, wprawieni

(1) Nie mam potrzeby powtarzać, że szczegóły te, niedokładnie znane dotąd nigdzie nieopisane z należytą ścisłością, wyjątem zkorrespondencji samego Napoleona, godnego podziwu szczególnie przez ten rodzaj przezorności, oraz z korrespondencji, marszałka Dawu, jenerała Rapp, ministra wydziału wojny i jenerałów dowodzących pontonjerami i artyllerią.

w surową karność, mieli podczas zimy zapełniać kolejno czwarte i piąte bataljony, któreby się opróżniły przez skompletowanie trzech pierwszych. Napoleon wziął prócz tego z wojska Illiryjskiego i Włoskiego dziesięć czy dwanaście całych pułków, dla utworzenia rezerwy, która miała udać się do Hiszpanji dla zastąpienia miejsca gwardji cesarskiej i Polaków, którym rozkazano wystąpić w pochód do Rossji. Tym sposobem czyniąc przygotowania do wymierzenia silnego ciosu na Północy, Napoleon nie porzucił myśli wymierzenia podobnegoż na południu, dopinając, według swego zwyczaju, wszystkich celów od razu. Rokiem przedtém ta rezerwa nigdzie nie byłaby lepiej użytą jak w Hiszpanji, gdyż tam był teatr stanowczych wypadków; ale w obecnej chwili, gdy główny spór miał się toczyć na Północy, tam należało przenieść wszystkie swe siły, ograniczając się w Hiszpanji na energiczną obronę wzdłuż granic Starój-Kastylii i Andaluzji. Ale w swoim zapale, Napoleon, biorąc za rzeczywistość wszystko co tworzyła jego bogata wyobraźnia, sądził, że może ciskać jednocześnie pioruny w Kadyksie i Moskwie.

Wtedy gdy tworzył te rozległe pomysły, których wykonanie nieodwrotnie postanowione było na następną wiosnę, zamyslał odwiedzić osobiście kraj świeżo przyłączony do cesarstwa, kraj do którego wielką wagę przywiązywał, na którego usposobienie spodziewał się wyrzucić zbawienny wpływ swoją obecnością, i skąd mógł obejrzyć osobiście część swoich przygotowań wojennych, to jest, Hollandję. Powielekroć odkładał już zamierzoną tę podróż, a chciał koniecznie uskutecznić ją przed wielką wojną na Północy, nie życząc sobie ażeby kiedy będzie nad Dźwiną lub Dnieprem, Anglicy nabawili go jakiej znacznej niespokojności o Teksel lub Amszterdam, jak nabawili go takowej o Antwerpję podczas kampanji 1809.

Przyprowadzenie do skutku swoich pomysłów marynarskich było drugim powodem przedsięwzięcia téj podróży. Chcąc ciągle zajmować się wszystkiém razem, nie porzucił myśli powiększenia swéj floty, i oddawał się temu z taką troskliwością, jak gdyby nie myślał o wojnie zRossją. Nie chciał najprzód pozostawiać w pokoju Anglików, ażeby przeszkadzać im, nabawiając ich ciągłej niespokojności, zaniechania pilnowania swych brzegów, i cofnięcia stamtąd wojsk dla wysłania ich na półwysep. Postanowił dla tego trzymać ich ciągle w bojaźni wyprawy zawsze przygotowanej do Irlandji, Sycylii, nawet Egiptu, i spodziewał się tym sposobem, w razie mało prawdopodobieństwa mającym, ale możliwym, gdyby nie przyszło do wojny na Północy, być w możności przewiezienia tam na okrętach około sta tysięcy ludzi.

Odtąd jak Skalda była całkiem od niego zależną, urządził on inaczej swą flotyllę Bułońską. Pozostawiwszy w niej tylko najlepsze statki, nie mógł już na nie posadzić jak pierwój 150,000 ludzi, ale tylko 40,000. Ograniczając się na tej liczbie, odpłynięcie, przebycie kanału, przybicie do brzegów, było niezmiernie ułatwione. Miał nadto na Skaldzie 16 okrętów w Flessyndze, których liczba wkrótce miała być podniesioną do 22. Przydawszy do tego flotyllę brygów, korwet, fregat, wielkich szalup kanonjerskich, mógł liczyć na środkach przewiezienia 30,000 ludzi, oprócz eskadry wojennej sposobnej do zostawania na morzu i odbycia żeglugi dość długiej. Liczył nadto na 8 lub 10 okrętów w Tekselu, tak długo i tak daremnie żądanych u brata jego Ludwika, a gotowych już odtąd jak rządził Hollandją. Ta eskadra, eskortując flotyllę, mogła zabrać 20,000 ludzi. Znajdowało się jeszcze kilka fregat w Szerburgu, dwa okręty w Brescie, 4 w Lorjan, 7 w Roszfor, i temi siłami Napoleon spodziewał się, zręcznym ich połączeniem, zastąpić flotę Brestu. Zamierzał ich użyć dla wysłania nieco wojska na wyspy Żersej i Giernsej, któremi chciał zawładnąć. Nakoniec w Tulonie miał 18 okrętów, jakową liczbę, z pomocą Gienui i Neapolu, obiecywał sobie podnieść do 24, nie licząc w to wielu fregat, szkut, i lekkich statków nowego wynalazku. Tym sposobem przygotował na morzu Śródziemnym środki przewozu dla 40,000 ludzi, i mógł jeszcze rachować na przewiezienie około 30,000, używając pomocy pewnej liczby starych statków przewozowych. Wyprawa ta miała grozić kolejno Kadyksowi, Algierowi, Sycylii, Egiptowi. Wreszcie 3 okręty i kilka fregat były gotowe w Wenecji, i ciągnięte przez wielbłądy, miały wyjść z lagun dla odpłynięcia do Ankony. Za niemi miały udać się wkrótce dwa inne okręty i wiele fregat, tak że flota ta dostateczną byłaby do panowania na Adrjatyku.

Te zasoby, i tak już ogromne, Napoleon chciał powiększyć jeszcze w 1812 i 1813; spodziewał się dojść do 80 a nawet 100 okrętów, i zgromadzić tym sposobem środki przewozu dla 150,000 blisko ludzi. Miał już ich gotowych na przewiezienie około 100,000, i nie mówiąc już o wtargnięciu do Anglii, mógł rzucić kiedy 30,000 ludzi do Irlandji, 20,000 do Sycylii, 30,000 do Egypu, i nabawić wielkiej niespokojności Anglików. Mógł nadto odzyskać Przylądek Dobrzej Nadziei, stracony oddawna; wyspę Francuzką i Martynikę, stracone od niedawnego czasu. Jeśliby więc pokój lądowy ustalił się bez zawarcia pokoju morskiego, miał środki zadania wprost ciosu Anglii. Dla tych to przedmiotów tak rozmaitych i dla niektórych przygotowań do

wojny z Rossją, podróż na wybrzeża była dla niego nieodbitie potrzebna.

Wyjehawszy z Kompjen 19 Września, i zabawiwszy kolejno w Antwerpji i Flessyndze, obejrzał prace rozpoczęte dla zrobienia Skaldy nieprzystępną, zwrócił szczególnie uwagę na artylleryją wielkiego kalibru, nieodzownie potrzebną w tój pozycji, wsiadł na flotę w Flessyndze pod banderą admirała Missiessy, wyszedł z nią na morze, zaskoczony był burzą, zostawał trzydzieści sześć godzin na otwartém morzu, bez żadnych związków z lądem, i był bardzo zadowolony z obrotów i postawy marynarzy. Roztropny i zasłużony officer, który nimi dowodził, chociaż blokowany, korzystał z wód Skaldy, żeby często wchodzić i wychodzić, i żeby tym sposobem żeglując na tych miąłczyznach udzielić znacznego stopnia wprawy swym marynarzom. Napoleon rozdał wszystkim nagrody, oddał wielkie pochwały admirałowi, i pozostawił marynarkę tych stron równie zadowoloną jak zachęconą.

Ale ponieważ widok przedmiotów obudzał zawsze w jego głowie nowe pomysły, wynalazł sposoby bardzo skuteczne dla udoskonalenia jednych, dla poprawienia drugich rzeczy. Widzieliśmy jak wojsko jego zaczęło się urozmaicać żołnierzami wszelkich narodowości, Illiryjczykami, Toskańczykami, Rzymianami, Hiszpanami, Portugalczykami, Hollendrami, Anzeateczykami, i t. d.; toż samo działo się na jego flocie. Liczyła ona, oprócz rodowitych Francuzów, Hamburgczyków, Katalończyków, Gienueńczyków, Neapolitańczyków, Wenecjan, Dalmatów. Na pokładzie okrętów, miano nieco w podejrzeniu wierność tych majtków tak rozmaitego pochodzenia, i jeżeli dobrze służyli w portach, lękać się należało żeby na morzu nie mylili obrotów, ażeby się dać pojmać Anglikom, co było niewolą dla Francuzów, ale oswobodzeniem dla nich. W statkach wychodzących z portów odkryto powielekroć uszkodzenia w porządkach okrętowych, sprawione oczewiście w złym zamiarze, a stąd przypisywane niewierności ukrytój, która się mogła stać niebezpieczną. Napoleon powziął myśl umieszczenia na pokładzie każdego okrętu garnizon złożony z oddziału 150 ludzi piechoty, wszystko rodowitych Francuzów. Miał on, oprócz gwardji Cesarskiej i pułków cudzoziemskich, 130 pułków piechoty, jednych po pięć, drugich po sześć bataljonów. Postanowił tedy wziąć w bataljonach zapasowych najlepiej uorganizowanych oddział piechoty, dla umieszczenia go na pokładzie okrętów linjowych i pozostawienia go tam na ciągły pobyt. Liczba rzeczywista okrętów uzbrojonych wynosiła około 80, dość więc było dodać oddział żoł-

nierzy w 80-ciu z tych bataljonów zapasowych, żeby zapewnić próżnię, jaka się tam uczyni, i dla pozyskania siły bardzo użytecznej na flocie, czy to dla jej zabezpieczenia, czy dla pomocy w bitwie w razie spotkania się z nieprzyjacielem.

Napoleon, według swojego zwyczaju wykonywania natychmiast swych pomysłów raz powziętych, wydał niezwłocznie rozkazy potrzebne dla wysłania tych oddziałów garnizonowych do wszystkich portów morskich, gdzie eskadry były zebrane. Zawsze niecierpliwy w osiągnięciu rezultatów, nalegał bardzo w Antwerpii, ażeby budowa okrętów postępowała tam bez przerwy, i skoro jeden okręt puszczonej zostanie na morze, żeby drugi zastępował go na warsztacie. Zbywało na drzewie budowlaném. Obmyślił dla sprowadzenia go obszerny systemat transportów, z Hamburga do Amsterdamu, zapomocą małych statków przechodzących pomiędzy lądem a wyspami ciągnącemi się wzdłuż brzegów morza Północnego, od ujść Elby do Zujderzee. Nie przestał na tém. Lato bardzo suche, które się przyczyniło do zebrania wybornych win (tak nazwanych win *komety*), zaszkodziło bardzo zbiorowi zbóż. Wszędzie zapowiadano głód; cena zboża wzrastała co chwila. Napoleon cofnął pozwolenia udzielone dla wywozu zboża, i zalecił skupienie w Hamburgu pewnej jego ilości, która miała być przewiezioną na statkach do Francji, postępując wzdłuż brzegów, albo też płynąc rzekami i kanałami, a tam gdzie te rzeki i kanały nie łączą się z sobą, przebywając niewielkie przestrzenie lądem, dla dostania się, na przykład, z Elby do Wezeru, z Wezeru do Emsu, z Emsu do Zujderzee. Dwadzieścia tysięcy koni artylleryjskich i pociągowych, próżnujących aż do rozpoczęcia nieprzyjacielskich kroków z Rossją, były użyte do tych krótkich przepraw, odbywając tylko pół zwyczajnej drogi na dzień, ażeby nie wyczerpując sił zaprawiać ich do pracy.

Po obejrzeniu pułku Walchereńskiego, i przepisaniu rozmaitych środków odnoszących się do utrzymania zdrowia żołnierzy i ich umundurowania, Napoleon udał się do Hollandji i przybył do Amsterdamu. Naród hollenderski, bardzo strapiony stratą swojej niepodległości, spodziewał się jednakże znaleźć jakie wynagrodzenie w swém przyłączeniu do wielkiego Cesarstwa i w ożywczej administracji Napoleona. Na jakiś czas przedtém, z powodu konskrypcji, wykonano krwawe egzekucje we Wschodniej Fryzji; jednakże, czy to urok chwały, czy wpływ uroczystości na ludy najzimniejsze sprawił, że Hollendrzy przyjęli z okrzykami zwyciężęc, który ich pozbawił niepodległości, i którego nie lubili, jak wkrótce tego dowiedli. Przyjęcie było takie,

że Napoleon mógł się dać złudzić. Na widok tego kraju tak bogatego, tak dogodnie położonego mającego dla wielkich działań morskich, i tak dobrze go przyjmującego, utworzył tysiące kombinacji nowych, poczynił ułatwienia co do połowu ryb, zniósł rozmaite zawady przeszkadzające żegludze wewnętrznej na Zujderzee, i pozostawił go na chwilę pełnego nadziei i złudzeń.

Pomiędzy innymi pobudkami, które sprowadziły Napoleona do Hollandji, pomimo złej pory roku, obrona naszych nowych granic nie była jedną z najmniejszych. Z dziwną trafnością poglądu, która na sam widok mappy, wskazywała mu środki obrony lub napaści kraju, odkrył natychmiast najlepszy systemat obrony dla Hollandji. Postanowił najprzód, że z powodu niebezpieczeństw, które mogły zagrażać ze strony Anglików, wielki skład zapasów wojennych nie będzie ani w Teksel, ani w Ainszterdamie, ani nawet w Rotterdamie, ale w Antwerpji, i zalecił rozpocząć niezwłocznie przeniesienie do Antwerpji wszystkich zasobów arsenatów hollenderskich. Postanowił, że pierwsza linja obronna przechodzić będzie przez Wesel, Koewerden i Groningę, obejmując nie tylko Hollandję właściwie tak nazwaną, ale Geldrje, Over-Ysel i Fryzję, linję zresztą słabą, i mającą tylko wartość fortyfikacji przodowych. Naznaczył drugą silniejszą, wychodzącą od Renu pod Emmerich, idącą wzdłuż Yssel, przechodzącą przez Deventer i Zwolle, obejmującą Geldrje i połowę Zujderzee, zastępującą prawie całą Hollandję, wyjąwszy Fryzję. Ale postanowił, że prawdziwa linja obronna będzie ta, która opuszczając Ren, czyli Wahal, nie pierwój jak w Gorkum, rozciągnie się aż do Naarden na Zujderzee. Ta linja, w istocie, osłaniała część najbardziej hollenderską Hollandji, złożoną z gruntów żyznych, miast kwitnących, wszystkich położonych niżej wód, i mogących za pośrednictwem zalewów być zamienionemi w wyspy niedobite, połączone z Renem przez obszerne ramię Wahalu, takim sposobem, że nowa Francja, broniona przez wysmienitą linję Renu od Bazylei do Nimegi, miała od tego ostatniego punktu zamienić się na wyspy zupełnie nieprzystępne dla nieprzyjaciela, nawet dla nieprzyjaciela morskiego, za pośrednictwem pięknych fortyfikacji Tekselu, które tworzyłyby kraniec jój ostateczny i niezdobyty.

Wspierany w wykonaniu tych planów przez zdolnego jenerała inżynjerów Szasslu (Chasseloup), Napoleon rozkazał w samym Tekselu rozpoczęcie pysznych robót, których przedmiotem było osłonić ogromną flotę z jój magazynami, zapewnić jój wejście i wyjście czasu jakiegobądź wiatru, i zamknąć całkiem Zujderzee.

Po wydaniu tych rozkazów, udzielonych zawsze w przypuszczeniu ostatecznej i straszliwej walki, którą zawsze miał obecną w myśli, lubo nie był nią bynajmniej strwożony, udał się do Wesel, gdzie nakazał inne roboty dla zapewnienia obrony tego miasta, i udzielenia mu ważności administracyjnej, której nie posiadało. Chciał uczynić z niego Strasburg niższego Renu. Przedtém już rozkazał był przeprowadzić piękną drogę z Antwerpji do Amszterdamu; teraz umyślił przeprowadzić takąż z Wezelu do Hamburga, a razem korzystał z swjej obecności w tych miejscach dla zrobienia przeglądu dwóch pięknych dywizyj kirassjerów. Uskutecznił ten przegląd pomiędzy Düsseldorfem a Kolonją, zaopatrzył ich w to na czém im zbywało pod względem organizacji i umundurowania, i korzystał z ich przybycia nad Ren dla wysłania ich bez wielkiego rozgłosu nad Elbę. Był to sposób dogodny przesłania prawie niepostrzeżenie swjej ciężkiej kawalerji, której te dwie dywizje składały prawie połowę. Przy tój zręczności, zajął się formowaniem ułanów. Mógł już przekonać się w Polsce o użyteczności lancy. Postanowił korzystać z niej w nadchodzącej wojnie, i zamienić na pułki ułanów sześć pułków dragonów, jeden szasserów, i dwa kawalerji polskiej, co miało uczynić dziewięć pułków tój broni. Sprowadził z Polski instruktorów, wprawionych w swym kraju do władania lancą, i kazał rozdzielić ich pomiędzy nowe pułki. Po zwróceniu na te rozmaite przedmioty potrzebnej uwagi, udał się do Kolonji, i obmyślił tam rodzaj obrony, do jakiej to miasto było sposobnym.

Podczas gdy zajmował się mimochodem temi niezliczonymi szczegółami, musiał powziąć wiele postanowień odnoszących się do polityki zewnętrznej i wewnętrznej państwa. Dwór Pruski wielce niespokojny, jak widzieliśmy, z powodu zbliżającej się wojny, był miotany ciągłą obawą. Wiedział on dobrze, że terytorjum pruskie było konieczną drogą dla wojsk wojujących, a zatem że niepodobieństwem dla niego będzie pozostać neutralnym, nie będąc zaś w niczém obowiązany Rossji, która w 1807 zawarła pokój z uszczerbkiem Pruss, otrzymała nawet część ich posiadłości (obwód Białostocki), skłonny więc był do zawarcia przymierza z Napoleonem, pod warunkiem, żeby zabezpieczył resztę jego posiadłości, i wynagrodzenie w ziemi za okazane usługi. Nieszczęściem Napoleon był głuchym na te oświadczenia, ażeby nie wyjawić za nadto wczesnie swych zamiarów, a w pośród trwogi, którą dwór ten był przejęty, przypisywał on tę niepochopność zamiarowi zniesienia w dniu naznaczonym królestwa,

wojska, całej monarchji pruskiej. Ta myśl dotkliwa oblegała bezustannie króla, uzbierał się on ciągle, i w miejscu 42,000 żołnierza (liczby postanowionej traktatami), miał ich górą sto tysięcy, z których połowa była na urlopie, ale gotowa do stania pod chorągwiami, za pomocą urzędzenia, które uprzednio wyjaśniliśmy.

Jak to już powiedzieliśmy, plan dworu Pruskiego był, ażeby w chwili sposobnej zmusić Napoleona do wyraźnego oświadczenia się, i w razie gdyby odmówił przymierza, posunąć się za Wisłę ze 100 lub 150 tysiącami żołnierza, i przez Królewiec połączyć się z Rossjanami. Jakkolwiek skryte były przygotowania tego dworu, nie mogły się one ukryć przed okiem tak przenikliwym jak marszałka Dawu, obecnego na miejscu i bardzo czujnego. Nadto, P. Hardenberg, usiłując codziennie przywieść do wyraźniejszego wytłómaczenia się postą francuzkiego, P. de Sę-Marsan, i ażeby dopiąć tego, starając się okazać mu wszystkie środki, jakie Prussy mogłyby ofiarować sprzymierzeńcowi, którego sprawę uznalyby za swoją, posunął się aż do powiedzenia mu, że chociaż mają tylko pod bronią ze czterdzieści tysięcy ludzi, mogą w razie potrzeby, i to w krótkim czasie, mieć ich pod bronią sto pięćdziesiąt tysięcy. Wyrazy te, które się wymknęły pierwszemu ministrowi pruskiemu, były promieniem światła, i Napoleon rozkazał P. de Sę-Marsan udać się natychmiast do ministra i do króla, oświadczyć tak jednemu jak drugiemu, że jego oczy wreszcie się otworzyły względem zamiarów Pruss, że należało iżby niezwłocznie się rozbroiły, polegając na jego słowie honoru, że przypuści ich do swojego przymierza na warunkach dogodnych, skoro roztropność dozwoli wyraźniejszego wytłómaczenia się, albo żeby spodziewały się ujrzyć marszałka Dawu, idącego z stu tysiącami ludzi na Berlin, i wykreślenia z karty Europy ostatnich szczątków monarchji pruskiej. Skutkiem tego, rozkazy były wydane marszałkowi Dawu, ażeby posunął się bez zwłoki nad Odrę, żeby przeciął armji pruskiej drogę do Wisły, i zachwyił w razie potrzeby dwór sam w Poczdamie.

Napoleon miał także ważne kroki do przedsięwzięcia ze Szwecją. Opisaliśmy już sposób wybrania nowego następcy tronu. Książę ten nie mógł przebaczyć Napoleonowi, że nie usłuchał propozycji jego względem ustąpienia Norwegji. Przybywszy niedawno do Szwecji, będąc winien wybór swój okolicznościom chwilowym, a nade wszystko sławie wojsk francuzkich, nie mając w rzeczywistości żadnego stronnictwa, które byłoby do niego osobiście przywiązane, i mało zyskując na tém, że go widziano zbliżka, gdyż przekonywano

się wkrótce, że był próżnym, chełpliwym, hojnym w próżne obietnice, i mniej miał talentu wojskowego, niżeli rościł do tego pretensji, chciał zalecić się Szwedom świetnym nabytkiem, któryby pochlebiał ich dumie narodowej. Owoż, lubo strapieni utratą Finlandji, Szwedzi znali dobrze, że ta prowincja tak potrzebna Rossji będzie nieustannym przedmiotem ich pożądań i ich usiłowań, że przyjmując ostatecznie za przedział obu państw odnogę Botnicką ustalili się pewniejsza granica (wyjawszy wyspy Alandzkie, nieodbitie potrzebne dla bezpieczeństwa Sztokolmu, szczególnie podczas zimy), i że raczej w Norwegji należało szukać wynagrodzenia tego, co Szwecja straciła. Był to, jak widzieliśmy, powód, dla którego książę Bernadotte, w swój gorączkowej niespokojności, domagał się Norwegji a nie Finlandji u Napoleona. Owoż Napoleon mógł obiecać, a nawet dać Finlandję w razie wojny szczęśliwej z Rossją, ale popełniłby prawdziwą zdradę względem swojego wiernego sprzymierzeńca, Danji, żeby się wahał tylko względem Norwegji. Znaczące jego milczenie oświeciło księcia następcę, i ten od téj chwili zaczął tchnąć nienawiścią, której zaród przechowywał oddawna w głębi serca. Król panujący, osłabiony wiekiem i brakiem zdrowia, poruczył mu rządy państwa, przynajmniej w chwili obecnej. Bernadotte korzystał z tego dla głaskania stronnictwa rossyjskiego i stronnictwa angielskiego, nie zrywając jednakże pozornie ze stronnictwem francuzkiem, któremu był winien swe wyniesienie. Nie oświadczając się jeszcze wyraźnie przeciw Francji, powtarzał ciągle że był Szwedem przedewszystkiem, i gotowym wszystko poświęcić dla swój nowej ojczyzny; oraz że Szwecja nie należała do nikogo, i że będzie miała za sprzymierzeńców tych tylko, którzy będą przychylni i użyteczni jój sprawie. Kiedy tak wyrażał się publicznie, sprzyjał więcéj niżeli kiedy handlowi przemysłowemu, kazał mówić potajemnie Anglikom, że mogą nadal uczęszczać w okolice Gotenburga, pomimo pozornego wypowiedzenia wojny, i dawał do zrozumienia poselstwu rossyjskiemu, że bez wątpienia strata Finlandji obrażała dumę narodu Szwedzkiego, ale co było stracone to stracone, i że wynagrodzenie, którego żądano, było gdzieindziej. Utrzymał nadto w swój mocy rozkaz wydany marynarce szwedzkiej ścigania naszych korsarzy, i protegował otwarcie żołnierzy, którzy w Stralsundzie pokrzywdzili do krwi majtków francuzkich.

P. Alkje (Alquier) był wtedy naszym posłem w Sztokolmie, a że miał nieszczęście znajduwania się w Madrycie na krótki czas przed upadkiem Karola IV, i w Rzymie, w chwili porwania Pijusa VII,

oskarżano go bardzo niesłusznie, że jest wszędzie złowrózby po-
przednikiem zamysłów Napoleona. Wszystko co mu można było za-
rzucić było to, że łączył do istotnej prawości i niepospolitej przezor-
ności, sztywność niekiedy niebezpieczną w położeniach delikatnych.
Z nim to nowy następca tronu Szwedzkiego miał objaśnienia wzglę-
dem zażaleń ze strony Francji, i zawiązała się pomiędzy nimi rozmo-
wa, która mogłaby się wydać trudną do uwierzenia, gdyby P. Alkje,
który doniósł o niej Napoleonowi, nie był świadkiem godnym wszel-
kiego zaufania. Po bezużytecznych i niezupełnie szczerych objaśnie-
niach względem osady angielskiej pod Gotenburgiem, względem nie-
wykonania głównych warunków ostatniego traktatu i względem krwi
francuzkiej wylanéj w Stralsundzie, dawniejszy jenerał Bernadotte
zapytał zuchwale P. Alkje jakim sposobem to się działo, że ta Fran-
cja, której tyle usług wyświadczył, która miała tak wielkie obowiązki
dla niego, tak źle z nim postępowała, że w Konstantynopolu, Stral-
sundzie, a nawet w Sztokholmie, musiał znosić same przykrości od jej
agentów. — Na te szczególne słowa, P. Alkje, zaledwo wierząc swym
uszom, odpowiedział nowemu Szwedowi, który się skarżył na nie-
wdzięczność Francji, że jeżeli Francja miała dla niego obowiązki, to
wywiązała się z nich wynosząc go na tron Szwedzki.

Zapewne, jeżeliby podobna było w téj chwili przewidzieć przy-
szłość, należało oszczędzać tę dumę szaloną; ale łatwo pojąć oburze-
nie posła francuzkiego, gdyż są rzeczy, których, gdyby przyszło zginąć
w téj samej chwili, nie należy nigdy przenieść. Ciągnąc dalej tę roz-
mowę, nowo-kreowany książę rozszerzał się z dziwną chętnością
nad wszystkimi bitwami, w których miał udział, i dowodził nawet,
jak to zwykle czynił z swojemi dworakami, że to on wygrał batalję
pod Austerlitz, gdzie nie spalił nawet prochu z panewki, batalję pod
Friedland, na której nie był, nareszcie pod Wagram, gdzie uszedł
z pola razem ze swemi żołnierzami. Mówił potém, że mu niesprzy-
jano w Paryżu, że wiedział o tém dobrze, ale że go nie zepchną
z tronu; że miał w Szwedach naród pełen poświęcenia, przywiązany
do niego aż do śmierci; że niedawno jeszcze lud chciał wyłożyć ko-
nie w jego pojeździe i ciągnąć go sam, że omal co nie zemdłał ze
wzruszenia; że skoro się ukaże, żołnierze szwedzcy zostają przejęci
zapałem, że niedawno robił ich przegląd, że to byli ludzie potężnej
budowy, kolosy, że z nimi nie będzie miał potrzeby dać jednego
strzału z fuzji, że powie im tylko: *naprzód, marsz!* a zwałą z nóg ja-
kiegobądź nieprzyjaciela, i że pod jego rozkazami będą tém czém byli

Sasi pod Wagram, to jest, pierwszymi żołnierzami armji francuzkiej. Bernadotte, w stanie gorączkowej egzaltacji, zawołał wtedy, jak człowiek pomieszanych zmysłów, że był panującym kraju niepodległego, że go nie poniżą, że raczej umrze, niżeli ścierpi jakowe ponizienie.... I kiedy syn jego małoletni wszedł wtedy przypadkiem do gabinetu, wziął go na ręce mówiąc do niego: Nie prawdaż, mój synu, że ty będziesz jak twój ojciec, i że umrzesz raczej, niżeli się dasz poniżyć?... Potém nie wiedząc jak zakończyć tę śmieszłą scenę, życząc w głębi serca żeby ona pozostała w tajemnicy, posunął jednakże fanfaronadę do tego stopnia, że powiedział do P. Alkje: Proszę pana donieść Cesarzowi Napoleonowi o tém wszystkiem co tu widziałeś i słyszałeś. — Chcesz książę tego, odpowiedział mu P. Alkje, dobrze, stanie się wedle jego życzenia. I oddalił się nie mówiąc więcéj ani słowa. W ustach osoby tak mało szczeréj jak książę następcę, wyraży jego ostatnie miały znaczyć: Nie mów nic o tém co słyszałeś. — Ale P. Alkje, któryby większą oddał usługę swemu panującemu, żeby zamilczał o téj rozmowie, nie śmiał uchybić ścisłej powinności swojego powołania, i doniósł o wszystkiem do Paryża (1). Napoleon, który nie przewidywał wtedy okropnych kar, jakie Opatrzność miała na niego zesłać, który nie przewidywał, jak dla tém większego upokorzenia go, ciosy te z niskiego miejsca wymierzone na niego zostaną, uśmiechnął się z politowaniem czytając to złowrózbe opisanie, i odezwał się, że oddawna znał to serce dręczone zawiścią, że uważał je oddawna jako zdolne do najczarniejszych zrad, i nie chciał odpowiedzieć inaczej jak wyniosłą wzgardą na te śmieszne zapędy. Zalecił P. Alkje opuścić Sztokholm nie mówiąc ani słowa, bez pożegnania księcia następcy, i udać się samemu do Kopenhagi. Poruczył przytém P. de Kabr (de Cabre), sekretarzowi poselstwa, żeby przyjął na siebie interesa poselskie, żeby nie odwiedzał nigdy księcia następcy, żeby miał tylko stosunki z ministrami szwedzkimi, i to w interesach dotyczących się swego urzędu. Dał znać przytém posłowi szwedzkiemu w Paryżu, że jeżeli zadośćuczynienie nie będzie zrobione, nadewszystko w sprawie dotyczącej się Stralsundu, traktat pokoju ze Szwecją będzie uważany za nieistniejący, a stosunki przywrócone jak były za Gustawa IV, to jest, na stopie wojny. Było to zapowiadać wczesnie los oczekujący Pomeranję Szwedzką.

Napoleon podczas téj podróży wydał jeszcze rozkazy dotyczące się spraw religijnych.

(1) Piszę te wyrazy mając przed oczyma depeszę P. Alkje.

Deputacja kardynałów i biskupów wysłana do Sawory znalazła Pijusa VII, jak zwyczajnie, pełnego łagodności i życzliwości, i bez trudności przekonała go, że dekret soboru mógł być przyjętym. Nowy ten dekret, jeżeli sobie przypominamy, obowiązywał papieża do udzielenia nominowanym biskupom potwierdzenia kanonicznego w przeciągu sześciomiesięcznym, po upływie którego metropolita był upoważnionym do udzielania go. Chociaż te rozporządzenia nadweryżały widocznie zasadę potwierdzenia kanonicznego, o którą wtedy nikt się nie troszczył, bo każdy w obecnej chwili był mocno przeświadczony o nadużyciu, jakiego papież, nawet nieposzlakowanej uczciwości, mógł się w tej mierze dopuścić, wszyscy nalegali na Pijusa VII, żeby potwierdził dekret soboru. Co do wielkiej kwestji posiadłości rzymskich i przyszłego pobytu papieża, powiedziano mu, że skoro nagłca kwestja potwierdzenia kanonicznego ułatwioną zostanie, tamta będzie takż rozstrzygnięta i zapewne sposobem zadawalającym. Pijus VII, którego odwołanie się soboru do jego władzy wzruszyło bardzo, gdyż widział w tém uznaniu domyslnę praw stolicy świętej, ustąpił naleganiom deputacji, i przyjął nowy dekret, obiecał nawet potwierdzić niebawem dwudziestu siedmiu nowych prałatów. Tylko chciał zredagować swe postanowienie w języku swoim, języku rzymskim, mając na celu nie tyle ocalić zasadę potwierdzenia kanonicznego, jedynie tu narażoną na niebezpieczeństwo, co ustrzedz się wielkich i szlachetnych zasad Bossueta, które stanowią jednakże zaszczyt i godność kościoła francuzkiego, nie czyniąc żadnego uszczerbku powadze Kościoła powszechnego.

Po otrzymaniu tych rezultatów, kardynałowie i biskupi oddalili się pozostawiając papieża spokojniejszym i skłonniejszym do zawarcia zgody z cesarzem. Pochlebiali oni sobie przybywając do Paryża, że za ustępstwa, które otrzymali, wyjednają niejaką ulgę dla papieża i korzyści dla Kościoła.

Wiadomość o tém co zaszło w Sawonie udzieloną została Napoleonowi podczas jego podróży w Hollandji, i wielka sprawa kościelna była jedną z tych, o których musiał stanowić w drodze. Rzecz szczególna! kłótnia z papieżem mordowała go, nudziła, tyle prawie co wojna w Hiszpanji. Jak w jednej tak w drugiej spotykał tę uporność pochodzącą z natury rzeczy, przeciw której raz miecza są bezsilne, i na którą może tylko działać prawda i czas, to jest, rozum i wytrwałość. Owóż, lubił on wszystko co się daje przecinać, a nienawidział tego co może być rozwikłane. Zresztą, sądził, że wszystkie te kwestje trudne, niepokojące, odporne, które mu dolegały w obecnej chwili,

będzie mógł połączyć w jedną, którą przetnie jedném cięciem swojego straszliwego miecza, zwyciężając Rossję w nadchodzącej wojnie. Według niego, zostawszy zwycięzcą w ostatniej walce, pokona wszelki rodzaj oporu, czy to materyalnego czy moralnego, który mu świat stawit jeszcze; pokona opór interesowany handlu, opór patriotyczny Hiszpanów, opór marynarski Anglików, opór religijny duchowieństwa, i że tak rzec można, opór samego umysłu ludzkiego. Dla tego żądał, żeby go pozostawiono w pokoju, żeby go nie obciążano więcej temi tysiącnymi sprawami, które nie były wielką sprawą, to jest, wojną z Rossją, wyłącznie go zajmującą; i kiedy podczas jego objazdu Hollandji, depesze ministra wyznań przychodziły dla zwrócenia jego uwagi na nową postać kłótni religijnej, bywał tém niezmiernie rozjątrzony, i odpowiadał na nie wykrzykiem niecierpliwości raczój, niżeli jakim rozstrzygnięciem.

Przyjęcie dekretu soboru podobało się mu, lubo mniejszą już do tego wagę przywiązywał, niżeli wtedy kiedy biskupi byli zgromadzeni i burzący się. W lipcu, byłoby to zwycięztwo; w obecnej chwili, była to korzyść nieco przyémiona, jak wrażenie wywołane wypadkami soboru. Co mu podobało się więcej, to obietnica potwierdzenia dwudziestu siedmiu nowych biskupów, gdy z tym sposobem przywróconą by została przerwana administracja Kościoła. Ale list pasterski towarzyszący tym ustępstwom i wyłuszczający powody do nich, bardzo mu się nie podobał, gdyż był przeciwnym zasadom Bossiueta. Owoż, Napoleon, który nie lubił swobody tam gdzie mógł panować, lubił ją przeciwnie tam gdzie nie panował, co miało właśnie miejsce w sprawach Kościoła. Był więc zwolennikiem zagorzałym Bossiueta, zwolennikiem, który bez wątpienia równie by cieszył jak przerażał znakomitego prawodawcę kościoła francuzkiego. Skutkiem tego Napoleon postanowił zrobić wybór w tém co mu przysyłano z Sawony, przyjąć rozporządzenie listu papieżkiego, a odrzucić jego pobudki. Zalecił więc przedstawić do Rady Stanu dekret soboru potwierdzony przez papieża, ażeby następnie zajął miejsce w biuletynie praw. Co do samego listu, który zawierał w sobie zasady ultramontańskie, Napoleon rozkazał odesłać go do kommissji Rady Stanu, która roztrząsałaby powoli, bardzo powoli, zgodność tego listu z zasadami gallikańskimi, i trzymałaby tak długo rzeczy w zawieszeniu, jak tego wymagałaby potrzeba. Co do potwierdzenia dwudziestu siedmiu nowych prałatów, Napoleon zalecił wysłać natychmiast do Sawony dokumenta tyczące się każdego z nich, ażeby potwierdzenie to było żądane i otrzymane bez straty czasu. Nakoniec, pośpieszając

umorzyć całą tę sprawę, zalecił księciu Rovigo wysłać biskupów, którzy jeszcze bawili w Paryżu, oczekując na postanowienia papieża. Zostawali oni tam w istocie dla tego tylko, żeby obmyślić stosowne środki w razie niepotwierdzenia dekretu przez papieża. Skoro zaś Napoleon był zadowolony, nie mieli już więcej nic do czynienia, a gdy zima się zbliżała i wiek wielu z nich nie dozwalał odbywać drogi w złej porze roku, było rzeczą naturalną i bynajmniej nie ubliżającą odprawić ich do domów. Księżę Rovigo miał środki władzy, a nawet przekonania potrzebnego dla przyspieszenia ich wyjazdu, a zresztą umiał łączyć pewną dobroduszość z przestrachem, jakiego nabawiał, ażeby się uiszczyć ze swego poruczenia z jak największym zadowoleniem swojego pana i tych, których potrzeba było oddalić. Taka była wola Napoleona, który nie chciał za powrotem swym do Paryża znaleźć tam to co nazywał *zgrupowaniem nabożnisiów*.

Po wydaniu tych rozporządzeń, Napoleon przedłużał swoją drogę, skończył przegląd wojsk i zapasów wysyłanych z nad Renu nad Elbę, a potem udał się z powrotem do Paryża, gdzie przybył pierwszych dni Listopada. Inne wielkiej wagi interesa tam go czekały. Prussy, Szwecja odpowiedziały na jego wyniosłe odezwy. Prussy, wezwane do wstrzymania swych uzbrojeń, i mające do wyboru pomiędzy tém wstrzymaniem a pochodem niezwłocznym marszałka Dawu na Berlin, oświadczyły swą uległość. Zresztą, słowo uroczyste dane przez Napoleona ubezpieczyło króla pruskiego, i ten monarcha żądał tylko, ażeby przystąpiono niezwłocznie do ułożenia traktatu przymierza, który miał mu zapewnić jego posiadłości istniejące i powiększenie ich czasu zawarcia pokoju. Napoleon zgodził się na otwarcie tych układów, ale zalecił nie śpieszyć się z ich zagajaniem, ażeby Rossja, która uważała wojnę za pewną, nie była przekonaną, że ona wkrótce nastąpi.

Rozkaz przysłany panu Alkje przeniesienia się do Kopenhagi, przeraził księcia następcę Szwedzkiego, który na pozor tylko był dumnym. Zaczął rozpowiadać, że pan Alkje, przyzwyczajony do różnienia swego rządu ze wszystkimi gabinetami przy których zostawał, przedstawił w innej postaci rzeczy przez niego słyszane. Ale w tém co mówił księżę nie było najmniejszej prawdy, i pan Alkje przedstawił rzeczy jak były w istocie. Jednak, ten nowy Szwed, tak zachwycony swą nową ojczyzną, i który żądał, ażeby powtórzono wszystko Napoleonowi, był teraz bardzo nie rad z tego co mówił, gdyż skutkiem to nieroztropności, a nie przez zorności, postąpił sobie tak nieprzyzwoicie względem rodzinnego kraju. Król jeszcze panujący, nie chcąc pogor-

szyć bardziej stosunków z Francją, wziął znowu na siebie sprawowanie interesów, ale nienawiść księcia następcy, choć więcej ukryta, stała się jeszcze tém niebezpieczniejszą. Zaczął od téj chwili prowadzić skryte intrygi dla zbliżenia Anglii z Rossją i zagnalony wytłómaczyć się przed temi, którzy go mianowali następcą przez skłonność dla Francji, wywinął się mówiąc, że nieporozumienie, które opłakiwano, i które on téż opłakiwał, było skutkiem nieszczęścia przywiązanego do jego osoby, nieszczęścia, które był zmuszonym wyznać, to jest, że był przedmiotem niepomiarowanej zawiści ze strony Napoleona.

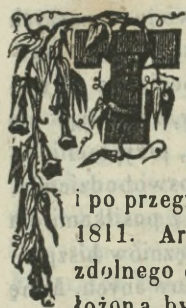
Łatwo pojąć z jaką pogardą Napoleon musiał przyjąć te przechwałki: zalecił na nowo wstrzymanie się zupełne od wszelkich stosunków z księciem następcą, i popieranie umiarkowane, ale wytrwałe wymagań Francji względem kontrabandy i przelewu krwi majtków francuzkich.

Powróciwszy do Paryża, Napoleon zalecił wyszukać starannie wszelkie sprawy administracyjne, jakiegokolwiek bądź natury, które mogłyby potrzebować załatwienia, ażeby nie zostawić żadnej w zawieszeniu, kiedy wiosną oddali się na wyprawę rossyjską, i począł załatwiać je wszystkie, nieprzestając zwracać najpilniejszej uwagi na swe przygotowania wojenne. Jego potężna organizacja mogła istotnie wystarczyć jak jednym tak drugim zajęciom. Nieszczęściem, jakkolwiek wielkim, jakkolwiek potężnym będzie gienjusz człowieka, jest coś większego nad niego, a tém jest świat, który się mu wymyka, gdy go chce objąć całkiem! Nim podążymy za Napoleonem ku przepaści, w którą się wkrótce miał rzucić, musimy skreślić ostatnie wypadki, które miały miejsce w Hiszpanji, i które, czy to uważane w samych sobie, czy we względzie ogółu interesów, były wielkiej wagi. Opisanie ich będzie przedmiotem następnój księgi.

KSIĘGA CZTERDZIESTA DRUGA.

TARRAGONA.

Dalszy ciąg wypadków na Półwyspie. — Powrót Józefa do Madrytu, i warunki pod którymi powraca. — Stan Hiszpanji, znuzenie umysłów, podobieństwo ich poskromienia udzielając niejakich zasiłków pieniężnych Józefowi, i dosyłając mu nowych wojsk. — Położenie krytyczne Badajozu po bitwie pod Albuera. — Pośpiech marszałka Marmon, następcy Masseny, do dania pomocy tej twierdzy. — Pochód tego marszałka, połączenie się jego z marszałkiem Sullem, i oswobodzenie Badajozu po odważnej obronie ze strony załogi. — Nastąpione w krótkim czasie rozłączenie się obu marszałków. — Marszałek Sult udaje się dla poskromienia band powstańców Andaluzyjskich, marszałek zaś Marmon staje z wojskiem nad Tagiem, skąd może według okoliczności podać pomoc albo Ciudad-Rodrigo albo Badajozowi. — Lord Wellington po niepowodzeniu swoim pod Badajoz, zmuszony chorobami udać się na leże letnie, ale z zamiarem napadnięcia na Badajoz lub Ciudad-Rodrigo, w razie chybnego poruszenia wojsk francuzkich. — Działania w Aragonji i Katalonji. — Jenerał Siusze (Suchet), któremu powierzony zarząd niższej Katalonji, i części sił tej prowincyi, przenosi się pod Tarragonę. — Pamiętne obłężenie i wzięcie tej ważnej twierdzy. — Jenerał Siusze wyniesiony do godności marszałka. — Odebranie Figjery, na chwilę zajętej przez Hiszpanów. — Gdy lord Wellington czyni przygotowania dla obłężenia Ciudad-Rodrigo, i zbliża się pod tę twierdzę, marszałek Marmon opuszcza brzegi Tagu we Wrześniu, i połączywszy się z jenerałem Dorsennem, który zastąpił miejsce marszałka Bessjera w Kastylii, idzie na Ciudad-Rodrigo i zaopatrjuje go w żywność. — Wielkie niebezpieczeństwo wojska angielskiego. — Dwaj jenerałowie francuzcy, ściślej z sobą połączeni, mogliby mu zadać okropną klęskę. — Koniec spokojny lata w Hiszpanji, i postanowienie powzięte przez Napoleona zdobycia Walencji przed zimą. — Wystąpienie marszałka Siusze 15 Września, i pochód jego przez królestwo Walencji. — Opór Sagontu, i próżne usiłowania zdobycia szturmem tej fortecy. — Jenerał Blake, chcąc dać pomoc Sagontowi, wydaje bitwę wojsku francuzkiemu. — Zwycięstwo pod Sagontem odniesione 25 Października 1811. — Poddanie się Sagontu. — Marszałek Siusze, chociaż zwycięzca, nie ma dość sił dla wzięcia Walencji, i żąda posiłków. — Napoleon każe zdać ku niemu wszystkim wojskom rozrządzalnym w Hiszpanji, pod dowództwem jenerałów Kaffarellego, Rella i Monbrena. — Otoczenie i wzięcie Walencji 9 Stycznia 1812 z pomocą dwóch dywizji, przyprowadzonych przez jenerała Rella. — Bezużyteczność poruszenia zaleconego jenerałowi Monbrę, i pochód tego ostatniego aż do Alikantu. — Lord Wellington korzystając ze skupienia około Walencji wszystkich sił rozporządzalnych Francuzów, pośpiesza opasać Ciudad-Rodrigo. — Zdobywa tę twierdzę 10 Stycznia 1812, nim marszałek Marmon zdolał jej dać pomoc. — Niesłuszne wyrzuty czynione marszałkowi Marmon. — W tymże czasie Napoleon, w miejsce posyłania nowych wojsk do Hiszpanji, odwołuje stamtąd swoją gwardję, Polaków, połowę dragonów, i pewną liczbę czwatylich bataljonów. — Sprawdza marszałka Marmon od Tagu nad Duro, wkładając na niego wyłącznie obowiązek bronienia północy Półwyspu przeciw Anglikom. — Korzystając z tych okoliczności, lord Wellington pośpiesza do Badajozu, i zdobywa tę twierdzę szturmem 7 Kwietnia 1812, pomimo bohaterskiej obrony ze strony załogi. — Z Ciudad-Rodrigo i Badajozem upadają dwa przedmurza granic Hiszpanji przeciw Anglikom. — Napoleon, gotując się do wyprawy rosyjskiej, mianuje wreszcie Józefa naczelnym dowódcą wszystkich wojsk na Półwyspie, pozostawiając mu siły niedostateczne i rozproszone. — Rys wypadków w Hiszpanji podczas lat 1810 i 1811, oraz pierwszych miesięcy roku 1812.



eraz pora jest wyłożyć jaki obrót wzięły sprawy Hiszpanji po bitwie wątpliwj pod Fuentes d'Onoro i po przegranej pod Albuera, jednj i drugiej stoczonej w Maju 1811. Armja portugalska, której odjęto jedyne go dowódcę zdolnego do przewodniczenia jej, znakomitego Massenę, rozpołożoną była około Salamanki w stanie nędzy, niezadowolenia, rozprzężenia trudnego do opisania. Marszałek Marmon, administrator roztrotny i pilny, po przybyciu swojem, gorliwie zajął się ulepszeniem tego stanu; ale ustąpienie z Portugalji, niepodobieństwo widoczne wyparcia Anglików z Półwyspu, powiększały zaufanie i śmiałość powstańców, czyniły prowincje północne bardziej niżeli kiedy nieuległemi, i zwiększały tym sposobem przykrość położenia tak naszych wojsk jak mieszkańców. Świeżo zaszły wypadek wyprowadził na jaw ten smutny stan rzeczy.

Dwudziestego piątego Maja, słynny Mina, następca swojego synowca, który był więzionym w Węsenn, potrafiwszy utworzyć bandę z trzech tysięcy ludzi, którą z wielką sztuką umiał przenosić kolejno z Nawarry do prowincij baskijskich, i z tych prowincij do Nawarry, napadł na konwoj złożony z tysiąca więźniów hiszpańskich, i z seciny wozów napełnionych rannymi Francuzami. Konwój ten udawał się do Francji pod zastoną 400 fizyljerów młodej gwardji i 150 ludzi, tak podoficerów jak żołnierzy, tworzących kadry 28 lekkiego i 75 linjowego pułku. Pułkownik Dentzel, dowodzący eskortą, przedstawiał niedostateczność jej jenerałowi Kaffarelli; lecz ten nie zważał na te przedstawienia, i konwój ruszył w drogę z Wittorji do Bajonny. Mina, zawsze dokładnie uwiadomiony, skrył się w lasach, na prawo i na lewo drogi Tołozańskiej, i kiedy kolumna więźniów i raniomych zajmująca przeszło milę, podniosła się na górę wznoszącą się po za Wittorję, i zapuściła się w wąwóz Salinas, rzucił się na nią jak jastrząb, pośpieszył najprzód uwolnić z więzów niewolników hiszpańskich, potem przy ich pomocy, począł nielitościwie mordować naszych rannych i chorych. Eskorta, podzielona na trzy oddziały, jeden będący na czele, drugi pośrodku, trzeci na końcu, oskoczona razem przez powstańców i przez więźniów, bohatérsko się broniła, ale nie mogła ani zatrzymać więźniów, ani ocalić rannych. Więcej 150 ludzi

eskorty przypłaciło życiem tę zgubną potyczkę, a wielu z naszych nieszczęśliwych rannych dobitych było na drodze ręką swojego nieprzyjaciela. Jeżeli cokolwiek mogło nam przynieść pociechę w tym strasliwym wypadku, to to że więźniowie hiszpańscy, znajdując się pomiędzy ogniem naszych żołnierzy a żołnierzy Miny, przypłacili po większej części życiem okrucieństwo swego dzikiego oswobodziciela.

Na odgłos wystrzałów, generał Kaffarelli nadbiegł z posiłkami dla napadnięcia ze swój strony na Minę; ale znalazł już więźniów hiszpańskich uwolnionych, naszych rannych i chorych pomordowanych, Minę w ucieczce. W miejscu obwiniania samego siebie, tylko siebie, obwiniał mężnych żołnierzy, którzy musieli stoczyć rozpaczliwą walkę i którzy, według niego, nie zrobili dostatecznych zwiadów. A jednakże generał Kaffarelli był uczciwym człowiekiem, godnym swojego znakomitego brata! Ale był to jeden z tysiąca przykładów, w jakim smutnym zamieszaniu znajdowały się naówczas wszystkie rzeczy w Hiszpanji!

W Madrycie, nieobecność króla, którego niespodziewano się już oglądać z powrotem, nędza urzędników, drogość żywności, zabieranej przez oddziały powstańców u wrót nawet stolicy, znużenie, niedostatek, rozpierzchnienie armji środkowej, przebiegającej ciągle od Gwadalaksary do Talawery, od Segowji do Toledu, i nie zdołającej zabezpieczyć komunikacji, napełniały zniechęceniem, rozpaczą nawet, sam punkt środkowy królestwa.

W Estremadurze i Andaluzji nie lepiej szły rzeczy. Po bitwie pod Albuera, stoczonej dla ocalenia Badajozu, marszałek Sult cofnął się do Llereny, i rozlokował się na pochyłości gór oddzielających Estremadurę od Andaluzji. Z tych wyżyn zagrażał Anglikom swą obecnością, udzielał nieszczęśliwym oblężonym wszelkiego wsparcia, jakiego mógł im tylko udzielić, oraz nalegał usilnie i słusznie, ażeby pośpieszono do niego z pomocą. Lubo nie usłuchał wezwania Masseny uprzedniego roku, należało teraz usłuchać jego własnego, i przybyć z pomocą, jeśli nie dla czego innego, to dla ocalenia mężnej załogi, broniącej Badajozu, a która, otoczona murami zrujnowanemi ogniem nieprzyjacielskim, poraziła powielekroć Anglików u stóp wylotów, przez które probowali wdrzeć się. Jeśliby pomoc żądana nie nadeszła, jeśliby wojsko portugalskie, zapominając swoich uraz, nie pośpieszyło prędko nad Gwadjanę, pomimo trudności, jakie upały stawały pochodowi wojska, Badajoz musiałoby uleść, i potężna armja Andaluzyjska, która wystąpiła z Madrytu upłynionego roku w liczbie ośmdziesięciu tysięcy ludzi, i znacznie zmniejszona, niestety! od tego

czasu, musiałyby stracić zdobycz, która była jedyną nagrodą jej trudów i jej odwagi.

W Andaluzji, położenie lubo mniej niebezpieczne, było jednak niemniej smutne. Oblężenie Kadyksu, które powinno było być jedynym zajęciem armji Andaluzyjskiej, wtedy kiedy zdobycie Badajozu, przedsięwzięte przez marszałka Sulta w celu uchylenia się od pochodu do Portugalji, było tylko rozdzieleniem sił i bezpożytecznym powiększeniem niebezpieczeństw, oblężenie Kadyksu nie czyniło postępów. Marszałek Wiktor, z trzech mając tylko dwie dywizje, mógł wyprowadzić w pole zaledwo dwanaście tysięcy żołnierza, i nie tylko że nie mógł odnosić żadnych korzyści, ale zaledwo mógł strzedz swoich linii. Pozostawał przed wyspą Leon z swoją flotyllą, którą utworzył, z swojemi wielkimi moździerzami, które odlał, bez majtków dla kierowania jedną, bez amunicji dla korzystania z drugich. Upokorzony i zniechęcony rolą, na którą go skazał marszałek Sult, żądał za jedyną nagrodę swoich usług w Hiszpanji, być z niej co najprędziej odwołanym. Powstańcy Rony niemniej byli uciążliwemi dla generała Sebastjani, zawsze zajętego utrzymaniem się w Grenadzie przeciwko Anglikom z jednej strony, przeciwko wojskom Murcji i Walencji z drugiej. Ten generał, będąc administratorem umiarkowanym i roztropnym, był obwiniony przez marszałka Sulta, jako nieumiejący rządzić prowincją Grenady, którą jednak lepiej rządził niżeli marszałek Andaluzją, i nalegał na odwołanie jego niemniej usilnie, jak ksiązę Belluny na swoje.

Jedna tylko prowincja, jak już powiedzieliśmy, jedna tylko armja przedstawiały widok zadawalający, to jest, prowincja i armja Arragońska, zostające pod zarządem generała Siusze. Generał ten był zdatnym, i niemniej téż szczęśliwym, gdyż są ludzie, u których pewien stopień zdolności zdaje się pociągać za sobą pewną miarę szczęścia. Przypomnijmy sobie że zdobył kolejno Lerydę, Mekinencę, Tortozę, nadto wprowadził porządek i dobrą administrację do swojej prowincji, która szczęśliwym takóž trafem, nie była plondrowaną przez wojska francuzkie, gdyż nie była im po drodze, ani zagrożaną przez Anglików, którzy na nią nie czyhali, tym sposobem znajdowała się prawie szczęśliwą pośród straszliwych wstrząśnień Hiszpanji, i kochała prawie swojego zwycięzcę, pośród wścieklej nienawiści obudzonej zewsząd przeciw Francuzom.

Na granicach to swojej prowincji generał Siusze spotykał tylko nie małe trudności. Z pogranicznych okręgów Walencji, Gwalaksary, Sorji, Nawarry, Katalonji, oddziały powstańców czyniły na niego

ciągłe napady. Willa-Kampa około Kalatajud, Empecinado od strony Gwadalaksary, Mina w Nawarze, i bandyci (mikielety) na granicach Katalonji, nie dawali dnia odpoczynku jego wojsku. Ale ten szczęśliwy generał dowodził officerami i żołnierzami godnymi siebie, i nie było żadnej małej utarczki z oddziałami powstańców, któraby nie była małym tryumfem.

W Katalonji przeciwnie wszystko było w zawichrzeniu. Bandyci, wspierani, pobudzani armją hiszpańską w Katalonji, mającą swój punkt oparcia w Tarragonie, gnębili tę prowincję. Nie było wawozu, przy którym nie czyhaliby na konwoje, dla napadnięcia na eskorty za nadto słabe, dla odebrania im więźniów, pomordowania w ich eku chorych i rannych, i zabrania żywności, którą obowiązane były wprowadzić do twierdz, a szczególnie do Barcelony. Wówczas kiedy bandyci czynili drogi wewnątrz kraju niepodobnemi do przebycia, floty angielskie czyniły również niebezpiecznemi drogi idące wzdłuż morza. Miasto Barcelona, gdzie potrzeba było karmić razem garnizon i mieszkańców, z trudnością mogło się wyżywić, chociaż armja cała, to jest, marszałka Makdonalda, przeznaczoną była na opatrzenie go w żywność, i chociaż z wielkiem niebezpieczeństwem przesyłano do niego pokilkakroć morzem żywność i amunicję. W ogólności, dostawała się do niego ledwo czwarta część tego co tam posyłano. Generał Morys-Matje (Maurice-Mathieu), który był jego gubernatorem, okazywał tyleż roztropności co stałości w utrzymywaniu się w tak trudnym położeniu, i w poskramianiu mieszkańców nie przyprowadzając ich do rozpacz. Zostawał on świeżo w wielkiem niebezpieczeństwie, którego szczęśliwie uniknął. Odkryto wewnątrz miasta spiszek uknowany przez nieprzyjaciół wewnętrznych, dla wydania go nieprzyjaciółom zewnętrznym. Generał był o tém w porę uwiadomiony, udał że o niczem nie wie, pozwolił powstańcom zbliżyć się z ufnością, potem, przebudziwszy się nagle z tego udanego spoczynku, dokonał na napastnikach zewnętrznych prawdziwej rzezi, a na spiskowych wewnętrznych wymierzył surową sprawiedliwość. Ten energiczny postępek, połączony z administracją prawą i porządną, sprawił że go szacowano i lękano się. Ale w raportach swoich donosił, że niepodobna było trzymać dłużej tak licznej ludności w tak ciasnym zamknięciu.

Wojsko katalońskie, znajdując w Tarragonie pewną podstawę działań, żywność, amunicję, pomoce wszelkiego rodzaju, dostarczane przez marynarkę angielską, a w potrzebie zapewniony przytułek, ośmielało się niekiedy posunąć się z nad brzegów morza, gdzie

leży Tarragona, aż do podnoża Pireneów, i z wielkiem podziwieniem wszystkich, potrafiło wprowadzić posiłki do ważnej fortecy Figiery, którą zdrada, jak widzieliśmy wyżej, wydarła z rąk naszych. Korzystając z chwili, kiedy Francuzi, pod jenerałem Baragie d'Ille (Baragney-d'Hilliers), nie mieli jeszcze dość czasu sprowadzić dostateczną ilość wojska pod tę twierdzę dla rozpoczęcia jej oblężenia, pan Kampo-Verde przebił się przez naszą słabą linię opasującą i wprowadził zasiłki w żywności i ludziach do fortecy, z wielką radością całej Katalonji.

Powiedzieliśmy już jakie było, pośród wszystkich tych niedogodności, położenie naszych officerów i żołnierzy, znoszących więcéj jeszcze cierpién, niżeli ich zadawali swoim nieprzyjaciołom, niekiedy dopuszczających się godnych pożałowania bezprawiów na widok okrucieństw dopełnionych na ich towarzyszach, ale zawsze najmniej nieludzkich z wojskowych wszelkich narodowości, którzy atakowali lub bronili Półwyspu Żołnierze, kiedy mogli sobie dostać nieco zboża lub jakie bydlatko na tych polach pozostawionych bez uprawy i wyludnionych, kiedy mogli sporządzić sobie jakie obuwie ze skóry zwierząt, które im służyły za pokarm, byli prawie zadowoleni. Officerowie przeciwnie, przyzwyczajeni i zmuszeni żyć inaczej dla utrzymania godności swojego stopnia, doznawali okropnych cierpién ciała i umysłu. Nie pobierając płacy, nie mieli nawet za co włożyć butów na nogi. Napoleon, udzielając na żołd 4 miliony miesięcznie, to jest, 48 miljonów na rok, i pozostawiając na koszt kraju zaopatrzyć wojsko w chleb, mięso, ryż, sądził że tém zaspokoi konieczne potrzeby. Ale żołd tam wymagał 165 miljonów za 1810 i 1811, to jest, zamiast 48, więcéj 80ciu miljonów na rok. Na rachunek summ zaległych przysłał 29 miljonów w 1810, 48 w 1811, to jest, 77 miljonów zamiast 165. Reszta dochodząca do 88 miljonów, albo pozostała nieopłaconą, albo wybraną została w kraju za pośrednictwem rządu wojennego. Co do 77 miljonów wysłanych przez Napoleona, część była zabraną w drodze, część została obróconą na zaopatrzenie nagłych potrzeb, albo na naprawy nieodbitie potrzebne w artyllerji, część wreszcie pozostała w pewnych zakładach. Wojsko andaluzyjskie prawie nie otrzymało; przebywało ono jednak w kraju bogatym, i gdyby marszałek Sult zarządzał tak jak jenerał Siusze, nie zbywałoby mu na niczém. Co do wojska portugalskiego, skazanego na prowadzenie wojny w kamienistych polach Portugalji lub Salamanki, pozbawione ono było najpotrzebniejszych rzeczy do życia. Officerowie mogli obudzać politowanie, i cierpieli prawie bez nadziei

wynagrodzenia, bo z jednej strony cesarz był daleko, z drugiej nie mieli żadnych praw do zasługi prócz klęsk, chociaż postępowanie ich było takie, że mogli otrzymać najświetniejsze zwycięstwa. Oto, po nadziejach powziętych w 1810, po dwóch latach nowych walk, po wysłaniu 200,000 posiłków od pokoju Wiedeńskiego, po poświęceniu tyłu żołnierzy i generałów, po nadwężeniu sławy tyłu znakomitości wojennych, jak Masseny, Neja, Żurdana, Ozero, Sulta, Wiktora, Sę-Syra, oto na jakim stopniu stały rzeczy w Hiszpanji!

Ta nieszczęsna kraina byłaż więc istotnie niepodobną do zwyciężenia, jak to jój przypisywała dawna tradycja, jak w swojej słusznej dumie ona sama chętnie to sobie przypisuje, jak o tém powszechnie zaczęto mniemać od czasu wielkiego najścia, dokonanego przez Napoleona? Wyśmienici sędziowie, mający w obrzydzeniu wojnę hiszpańską, którzy widzieli ją zbliżać, Sę-Syr, Żurdan, sam Józef nie sądzili tak, i byli przekonani, że można było wyjść zwycięzko z dostateczniejszymi środkami, z większą cierpliwością i lepszym porządkiem. Robiono wiele bez wątpienia, więcej niżeli potrzeba było dla przedmiotu, który nie był głównym przedmiotem polityki cesarskiej, ale wszędzie dla braku potrzebnych zasilków, wielkie użyte środki zostały bez skutku. Wojsko portugalskie dla braku czterdziestu tysięcy ludzi posiłków i kilku milionów dla umundurowania się i wyżywienia, wojsko andaluzyjskie dla braku dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, jako też majtków, amunicji i floty, która stała bezczynną w Tulonie, dwór Madrycki dla braku kilku milionów na opłacenie swoich urzędników i Hiszpanów zostających w jego służbie, wojska północne dla braku dwudziestu tysięcy ludzi i kilku milionów dla utworzenia magazynów, zostawały bezsilnymi i nieszczęśliwymi. Jednym słowem, blisko czterechkroć sto tysięcy ludzi zostawało bezużytecznymi dla braku sta tysięcy ludzi i sta milionów. We wszystkich rzeczach ofiary największe bez ostatniej, która ma je uzupełnić, pozostają bezowocne! Zapewne, przykro było ponosić takie ofiary dla Hiszpanji, ale dla czegoż się wdano w tę wojnę? I czyż nie warto było lepiej przeznaczyć na nią jeszcze sto tysięcy żołnierza, niżeli wystawiać ich pięćkroć sto tysięcy na wyprawę rosyjską?

Zapewne jeżeli te sto tysięcy ludzi, których jeszcze potrzebowano miały pozostać tak nieużytecznymi jak czterechkroć sto tysięcy, które wysłano dotąd, miano słuszność, że nie poświęcano więcej, ale łatwo było rozpoznać już w niektórych prowincjach oznaki znużenia, z którego można było korzystać. Uczucie, które pobudziło do powstania Hiszpanów, było gwałtowne, jednomyślne i zacne, jednakże po czterech

leciech wojny, na widok tyle krwi i rozwalin, niepodobieństwem było, żeby się nie zapytali siebie dla kogo i dla czego ponosili tyle nieszczęść? Wistocie, jak tylko nieco spokojności ustalało się gdziekolwiek, i pozostawało miejsca rozwadze, jak naprzykład w Saragossie, w Madrycie, w Sewilli, i w niektórych innych wielkich miastach, powtarzano sobie, że książęta dla których walczone byli mało godnemi poświęcenia, jakie im okazywano; że w tej świetnej i znamienitej rodzinie Burbonów, gałąź hiszpańska całkiem się była wyrodziła, i że zasługiwała iżby była pozostawioną niszczącej sile czasu, gdyż główny potomek Filipa V. poczciwy i ograniczony Karol IV, żył w Marsylji z księciem Pokoju i swoją żoną, równie niewolnik ich obojga będąc pozbawionym tronu, jak na tronie; syn jego starszy, więziony w Walanséj, domagał się codziennie u zwycięzcy, który go złupił, żeby mu dał za żonę księżniczkę z krwi Bonapartych, i lękając się być skompromitowanym przez tych, którzy probowali go uwolnić, donosił o nich sam policji cesarskiej; i nakoniec pomiędzy niemi wszystkimi, ani jednej odrośli, mężczyzny lub kobiety, coby myślała o podaniu ręki bohaterowskiemu narodowi, którego krew tak obficie lała się za nich! Kortezy madryckie, po ogłoszeniu niektórych zasad wprawdzie zbawiennych, ale przedwczesnych dla Hiszpanji, doszły tylko do pewnego rodzaju anarchji. Zostawały one w Kadyksie wewnątrz, wniegodzie i ciągłych kłótniach z Anglikami. O wszystkiém tém Hiszpanja wiedziała, i umiała o tém sądzić, skoro huk dział zamilkł na chwilę. Józef przeciwnie, był w oczach tych wszystkich, którzy mogli zbliżyć się do niego, monarchą łagodnym, oświeconym, przedstawicielem umiarkowanym rewolucji francuskiej, obiecującym i dającym niepłonną nadzieję rządu mądrego i prostującego nadużycia. Był to monarcha nowy, przywłaszczyciel, jeśli się podoba tak nazwać, narzucony przez drugiego przywłaszczyciela, ale nie był to tradycja historyczna w Hiszpanji, że kraj mógł być tylko odrodzonym przez dynastję obce? Filip V, nie przybyłże odmłodnić Hiszpanję? A Karol V sam, chociaż następca prawy, nie byłże księciem obcym, przynoszącym wysoką cywilizację Flandrii, Hiszpanom, gdzie nie pozostawało innego potomka po Ferdynandzie i Izabelli jak Joanna szalona? Nie możnaż było spodziewać się czego podobnego po Józefie? W Madrycie, gdzie był widziany zbliżka, zaczęto go wreszcie oceniać, i nabierać w nim zaufania. W Aragonji, gdzie miano jenerała Siusze reprezentantem nowego rządu, przyzwyczajono się z lepszej strony zapatrywać się na ten rząd, i powtarzać sobie, że gdyby nie wojna, lepszy on był sto razy od rządu inkwizycji, księcia Pokoju i królowej Marji Ludwiki.

Tylko wojna ciągła, nędza, pożary, fałszywa piezta, wyobrażenie ogólnie rozszerzone, że jeśli Napoleon nie zagałby nie całej Hiszpanji, zabierze przynajmniej prowincje nad Ebrem, obustrzałby najbardziej umiarkowanych Hiszpanów. Ale łatwo było postrzedz w Madrycie i około tego środkowego punktu, że gdyby Józef mógł opłacić swych urzędników, wypłacać żołd armji, karmić ją z swoich magazynów a nie kosztem kraju, utrzymać porządek i karność jak w Aragonji, odbierać od Napoleona i jenerałów oznaki poważania winne panującemu każdemu kraju, a tém bardziej winne królowi narodu tak dumnego jak hiszpański, gdyby nadewszystko można było rozpraszyc bojaźń, że część Hiszpanji nad Ebrem oderwaną zostanie, zdłubłaby powoli wymódrz na nich uległość. Raz przyprowadona do uległości stolica, gdzie się ta uległość ukazywała każdą razą, kiedy rzecz y brały lepszy obrót, uczyniłaby uległemi wielkie miasta, które już od czasu do czasu okazywały się takimi. Rzecz godna uwagi, żołnierze hiszpańscy, którzy w początkach dezertowali, kiedy ich zaciągano do służby Józefa, zaczęli czy to ze znużenia, czy z zawiści ku gieryllasom, być wier-nemi, skoro ich regularnie opłacano. Józef miał ich cztery do pięciu tysięcy, bardzo dobrze pełniących służbę, i zostających pod chorąg-wiami dopóki im opłacano żołd. Rzecz widoczna, że z pieniędzmi można było ich mieć dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy, tyle ileby chciano, i że staliby się wyborném wojskiem w szkole Francuzów. Gieryllasy nawet, prawdziwi bandyci, którzy pragnęli tylko rabunku, dawali się powoli przywabiać ponętą żołdu. Pewnej ich liczbie udzielono amnestję w Manszy, około Toledu, nad Gwadalaksarą, opłacano ich, i stali się uległemi, nawet przyjmowali służbę.

Bez wątpienia żadna z tych oznak pomyslnych nie dawała się postrzegać blisko punktów środkowych powstania, gdzie namiętności były energiczne i wytrwałe, gdzie Anglicy pobudzali i ozywiali uczucia nieprzyjazne Francji, gdzie nadzieje powodzenia utrzymywały się w całej swój sile, gdzie rabunek nadewszystko był zyskownym; ale po innych miejscach działo się inaczej, i chociaż położenie Francuzów było nader przykre na Półwyspie, rzeczą było niezaprzeczoną, że znużenie, bardzo wielkie w klasie bogatszej, niezmierne u włościan, brak celu rozsądnego, gdyż za taki nie można było poczytywać odzyskanie Burbonów Marsylji i Walansój, doprowadziłyby do uległości Hiszpanów, gdyby zrobiono ostatnie i potężne wysilenie, gdyby przedewszystkiém wyparto Anglików, gdyby użyto do tego istotnie potrzebnego dzieła sił odpowiednich, gdyby zdobyto Lizbonę i Kadyks, które mogły być zdobyte, gdyby starano się poskromić gieryllasów,

nie naśladować ich spustoszeń gdyby przydano, do sił istniejących siły, jakich wymagały te rozmaite przedmioty, gdyby nie tylko przydano te siły, ale żeby pokrywano koszta ich utrzymania, żeby oszczędzono tym sposobem krajowi głównych klęsk wojny, gdyby wreszcie dodano do tych środków zarząd wyższy, niepodobny zdaleka, to znaczy gdyby poświęcono Hiszpanji nie połowę, ale prawie całość zasobów cesarstwa, i gdyby cesarz sam stanął na czele, można było prawie być pewnym, że dokazanoby swego. Część tylko tego co przygotowywano dla wkroczenia do Rossji dostateczną była dla rozstrzygnięcia zwycięzko walki, którą rozpoczęto w Hiszpanji. I to właśnie, na co Napoleon nie mógł się zdecydować! — Hiszpanja, pisał do Józefa, pożarłaby mię, gdybym wszystkim wymaganiom zadość czynił! — Przekonanie dziwnie niedorzeczne, które miało wkrótce wydać opłakane owoce! Powiedzieliśmy już, że gdy Napoleon pobłądził przenosząc kwestję europejską do Hiszpanji, potrzeba było ją rozstrzygnąć tam gdzie ją umieścić, a nie starać się rozstrzygać jej gdzieindziej. Ponieważ los, sprzyjając mu jeszcze, nawet w jego błędach, jak gdyby mu chciał zostawić czasu do poprawienia ich, sprowadzał Anglików na ląd, Anglików niezwycięzonych na morzu, należało jakimkolwiekby kosztem zwyciężyć ich na lądzie, gdzie panowaliśmy, gdyż po ich zwyciężeniu świat musiałby się poddać. Ale mogąc ich osiągnąć naszym orężem i nie pobić, dozwolić owszem pobić się przez nich, było to dobrowolnie zrzekać się uroku naszej niezwyknięzności na lądzie, i dawać otuchę nieprzyjaciołom zwyciężenia nas, zagrzewać ich nawet do tego! Wyprzeć Anglików za pomocą wielkich wysiłen wojennych, poskromić Hiszpanów wytrwałością i łagodnością, było to podwójne zadanie do dopełnienia po zamachu Bajońskim, co musiałoby sprowadzić nie tylko załatwienie spraw hiszpańskich, ale spraw europejskich (o tyle przynajmniej o ile jakiegokolwiek rzeczy mogą być załatwione w wymaganiach zbytecznych); a uchylać się od dopełnienia tego zadania, zrażając się trudnościami, zrażając się nadewszystko przewłoką téj wojny, ażeby szukać w innych stronach rozstrzygnięcia najniebezpieczniejszego, z połową tylko swych sił, gdy druga połowa zostawała w Hiszpanji bez żadnego użytku, był to jeden z tych błędów, które napotykamy wszędzie w téj historii, na które musimy ciągle zwracać uwagę czytelnika, gdyż one tkwią w naszym umyśle z całą siłą i goryczą dręczącej zgryzoty.

Kiedy Józef, przywiedziony do rozpacz, opuścił Madryt, ażeby pójść prosić u Napoleona, albo innego zarządu spraw hiszpańskich, albo dozwoleń wrócenia do życia prywatnego, wielu zacnych ludzi

w Madrycie, Walladolid, Burgos, Wittorji, przystąpiło do niego i powiedziało mu: — Patrz co my cierpimy, i sądź sam, czy można nas przywieść do uległości podobnym zarządem! Jesteśmy rabowani, podpalani, często mordowani przez waszych żołnierzy i przez tych, którzy się mianują naszymi; nasze majątki, nasze życia są tym sposobem na łasce bandytów wszelkich narodowości. Nie spodziewamy się niczego po rządzie anarchicznym w Kadyksie, po rządzie zepsutym Ferdynanda, i gotowi będziemy zgodzić się na rząd, jaki dacie. Ale pozbawieni może na zawsze naszych osad, zagrożeni jeszcze jesteśmy stratą naszych prowincji nad Ebrem, i nie chcecie nam nawet uczynić zaszczytném przystąpienia ku wam! Pogardzają tobą samym, obrażają cię publicznie, w chwili kiedy starają się uczynić cię naszym królem: jakże chcecie, żebyśmy oświadczyli naszą uległość? Wasi urzędnicy, pogardzani przez generałów, umierający prawie z głodu, doprowadzeni są do żywienia się pokarmem żołnierza; jakimże sposobem mogą posiadać jakiegokolwiek znaczenie? Udajesz się do Paryża, odnieś nasze słowa cesarzowi. Twój odjazd tłómaczony jest podwójnym sposobem: przez waszych nieprzyjaciół, jako chwila, w której Hiszpanja ma być ogłoszoną prowincją francuską, podobnie jak Lubeka, Hamburg, Florencja i Rzym; przez waszych przyjaciół, nielicznych jeszcze, jako ucieczka do gienjuszu wyższego twojego brata, dla uwiadomienia go o tém czego nie wie, może nawet dla sprowadzenia go tutaj, i dla załatwienia wszystkiego jego obecnością. Staraj się, żeby to ostatnie przypuszczenie sprawdziło się. Pośpieszaj do Paryża, mów, odkryj prawdę, otrzymaj nowe posiłki, pozyskaj dla siebie więcej władzy, dla nas oświadczenie zapewniające całość naszych posiadłości, wyjednaj dla siebie środki utrzymania karności, to jest, możność opłacenia waszych i naszych wojsk, a bądźcie pewnymi, że jeżeli to kosztować będzie cokolwiek pieniędzy Francji, Hiszpanja odda wkrótce z lichwą zaliczenie z góry, jakie jej zrobicie. Chwila jest po temu, gdyż pomimo waszych pozornych niepowodzeń, pomimo chwilowych korzyści odniesionych przez waszych nieprzyjaciół, znużenie jest ogólne, może się ono zamienić albo w uległość, albo w rozpacz, rozpacz straszliwą dla tych, którzy ją wywołają. —

Słowa te, wyrzeczone przez usta zacne i godne wiary, powtórzone były przez Józefa w Paryżu, który przybywszy do Francji na chrzciny króla Rzymskiego, przebywał tam miesiące Maj, Czerwiec i Lipiec. Nieszczęściem Józef, lubo miał za sobą słuszność, miał swe słabości, które zasługiwały zapewne na przebaczenie, ale które odejmowały mu wpływ, jakiego potrzebował u Napoleona. Był on, jak powie-

dzieliśmy, dobrym, rozsądnym, uczciwym, ale niedołążnym, przyjacielem rozkoszy, zbytków i pochlebców (w czém monarchowie nowi i dawni nie różnią się z sobą), niezmiernie wysoko trzymający o swym talencie wojennym i zbyt dbały o swą władzę. Były to wprawdzie niewiele znaczące wady, ale kiedy zaczął dowodzić, że mu potrzeba pieniędzy, więcéj jeszcze niżeli żołnierzy francuskich, gdyż z Hiszpanami dobrze opłacanemi zawojowałby Hiszpanję i byłby tam uwielbiany; że przytém potrzeba mu takóž żołnierzy francuskich, szczególnie przeciw Anglikom; że mu potrzeba wreszcie władzy, a mianowicie naczelnego dowództwa nad wojskami, ażeby poskromić nadużycia i zjednać poważanie winne jego godności króla, rzeczy prawdziwe po większej części, ale podejrzone w jego ustach, bardzo źle to było przyjęte, do tego stopnia, że pośrednik stał się potrzebnym dla uniknienia przykrych scen pomiędzy obu braćmi. Książę Bertje (Berthier), jako szef sztabu głównego armji hiszpańskiej, wybrany został za takowego pośrednika, i nie można było znaleźć więcéj rozsądnego, więcéj ostrożnego w mowie, więcéj obeznanego ze wszystkim. Nieszczęściem, nie miał on tyle wpływu ile rozumu, i jeżeli był niezdolnym rozminąć się z prawdą, nie był zawsze dość śmiałym wypowiedzieć ją całkiem. Co większa, Napoleon był w téj chwili rozjątrzonem przeciw swym braciom. Niedawno przedtém, Ludwik rzucił mu był pod nogi koronę hollenderską; Hieronim, który był otrzymał Hanower w dodatku do Westfalji, pod warunkiem znoszenia pewnych ciężarów, nie dopełnił swoich zobowiązań, i był za to ukarany odjęciem części Hanoweru; Miurat dobry, ale lekkomyślny i niespokojny, podżegany przez swoją dowcipną i ambitną żonę, popadł w wielką niełaskę trwoniąc dużo pieniędzy i zaniedbując swoją marynarkę. Nadto, oskarżano go, że pod rozmaitemi pozorami wchodził w układy z Anglikami wzdłuż brzegów swojego królestwa. Napoleon był do tego stopnia za to rozgniewany, że posłał tajemne zlecenia generałowi Grenje, ażeby ten generał miał zawsze uwagę zwróconą na Neapol i był gotowym do wstąpienia tam z korpusem rezerwowym, którym dowodził. Nakoniec, widzieliśmy, jakie oburzenie obudzily w Napoleonie przeniewierzenia się kardynała Feska. Nieszczęśliwy Józef przybywał więc bardzo nie w porę dla wypowiedzania w okolicznościach obecnych prawd nieprzyjemnych. Napoleon kazał mu powiedzieć, że jeżeli chciał abdykować jak Ludwik, był panem swojej woli; że jego bracia mogli wszyscy opuścić trony przez niego dane, że niepotrzebował ich wcale, że nawet ten postępek z ich strony polepszyłby znacznie stan rzeczy w Europie, ale że póki tego nie

uczynią, nie tylko byli królami, ale jenerałami pod jego rozkazami, i że nie pozwoli, ażeby opuszczali swe stanowisko nie uprzedziwszy go, nie otrzymawszy na to jego zezwolenia; że jeżeli on, Józef, pojawi się w Bajonnie bez takowego uprzedniego zezwolenia, będzie aresztowanym. Były to pierwsze wybuchy złego humoru Napoleona. Po przejściu tych chwil, zdołano przystąpić, za pośrednictwem księcia Bertje, do objaśnień dokładniejszych i spokojniejszych. Józef przekładał, że należało najprzód, ażeby szanowano w nim brata Cesarza i króla hiszpańskiego, żeby nie dozwolono jenerałom obchodzenia się z nim, jak to czynili, z największą pogardą; że zresztą jenerałowie ci byli niezgodni pomiędzy sobą do tego stopnia, że poświęcali przez zawiść krew swych żołnierzy; że kiedy chciano powrócić mu godność przyzwoitą, przywrócić jedność w działaniach wojennych, zapobiedz nadużyciom i rabunkom, należało powierzyć mu naczelne dowództwo, chociażby miano dać mu za szefa sztabu głównego marszałka godnego zaufania, i udzielania mu z Paryża instrukcyj, do których by się w zupełności zastosował; że należało zostawiać w prowincjach tylko podrzędnych jenerałów uczciwych i zdolnych, że takich nie brakowało w armji francuzkiej, i częstokroć daleko wyższych od marszałków, pod któremi służyli; że niemniej nagłącą było rzeczą, jeżeli chciano przytłumić rozjątrzenie Hiszpanów, wyrzec się systematu zgubnego żywienia wojny wojną, że w miejscu starania się o wydobycie pieniędzy z Hiszpanji, należało najprzód posłać ich tam, że się później z nadatkiem by wróciło to co się zaliczy; że jeżeliby udzielono jemu, Józefowi, zasiłku w ilości trzech do czterech milionów na miesiąc, miałby urzędników dobrze opłacanych i wiernych, armję hiszpańską całkiem jemu oddaną, i lepszą niżeli Francuzi dla poskromienia band, że nawet miałby w swój służbie część band, gotowych do przejścia pod jego chorągwie, byle je tylko opłacano; że jeżeliby wolano zamienić to wsparcie na pożyczkę, opłaciliby ją najakuratniej za lat kilka, że za każdy milion postąpiony oddałby tysiąc żołnierzy wojsk francuzkich; że jeśli wolano raczej opłacać tych ostatnich, należało karmić ich z magazynów, użyć ich nadewszystko na wyparcie armji angielskiej, i wreszcie zapewnić Hiszpanję względem pozostawienia przy niej prowincij nad Ebrem, wtedy ujrzanoby wkrótce powracający w Madrycie i w okolicach stan spokoju i zadowolenia, który rozszerzyłby się powoli od stolicy do prowincij, i że niebawem Hiszpanja uległa wróciłaby Francji jój wojska i jój skarby, ustąpiłaby po raz drugi, na korzyść obu narodów, polityce Ludwika XIV; że przeciwnie, jeśliby upornie trzymano się systematu obecnego, Hi-

szpanja stanie się grobem wojsk Napoleona, hańbą jego polityki, może nawet zgubą jego wielkości, i upadkiem jego familji.

Wszystkie te twierdzenia były prawdziwe, wyjąwszy kilka błędów, które posłużyły za pretekst Napoleonowi do odmówienia wymagań najstuszniejszych. Że nadeszła chwila przyjazna dla poskromienia Hiszpanji wyczerpanej, że po wyparciu Anglików straciłaby ona nadzieję, i że skoro znużenie połączyłoby się ze straconą nadzieją, z przywróconą karnością, z ukróconym rabunkiem, byłaby ujarzmioną w dość krótkim czasie, dowodem tego było to co się działo w Aragonji, a nawet około Madrytu. Że z kilku milionami można było utworzyć administrację gorliwą, armję hiszpańską wierną i dobrą do utrzymania porządku wewnątrz, można było wnosić z tego co widziano w Madrycie; że nawet bez sprowadzania Napoleona, co było rzeczą trudną, można było zastąpić jego miejsce szefem głównego sztabu zdolnym i wytrwałym, takim naprzykład jak generał Siusze; że po udzieleniu mu władzy zupełnej nad wszystkimi generałami, oraz dostatecznej liczby wojsk i pieniędzy, mógł on zdobyć Kadyks i przywrócić pokój w Hiszpanji, jak potrafił wkrótce zdobyć Tarragonę i uspokoić Walencję; że zostawiając po za obrębem jego zarządu jedną tylko czynność, to jest wyparcia Anglików, należało powierzyć ją Massenie, że wypadało postawić pod jego rozkazami sto-tysięczną armję i dostateczne środki transportu, nie było w tém żadnej wątpliwości. Roztropny Siusze, energiczny Massena, porozumieliby się z sobą, i zdolności połączone ich obu położyłyby kres téj okropnej wojnie, która, źle prowadzona, miała się stać przepaścią, w której się zagrzebało wkrótce szczęście Napoleona i Francji. Ale był to błąd Józefa, że sądził, iż potrzeba było milionów pieniędzy a nie tysięcy żołnierzy, gdyż potrzeba było i jednego i drugiego: było to złudzenie jego sądzić, że mógł naczelnie dowodzić, i że mógł mieć tylko pochlebę za szefa głównego sztabu, gdyż należało mu cierpieć przy sobie prawdziwego wodza wojska, wodza takiego jak generał Siusze, posiadającego razem sztukę porządnego prowadzenia wojny i dobrego administrowania, a przytém politykę pojednawczą; należało mu wreszcie znosić drugiego Wandoma, to jest Massenę, prowadzącego wojnę z Anglikami dla ich wyparcia, gdy tymczasem Siusze prowadził ją z Hiszpanami nie dla wyparcia ich, ale dla ich poskromienia i uspokojenia.

Było więc wiele prawdy i trochę błędu w systemacie Józefa, i to było dostatecznym, żeby Napoleon zwrócił swe niełitościwe szy-

derstwa przeciwko uroszczeniom swojego brata (1); ażeby powtórzył to co już mówił nieraz, że Józef chciał koniecznie dowodzić armją, że sądził iż był generałem, że rozumiał, iż żeby być nim dość było nie być całkiem pozbawionym rozumu, wsiąść na koń i wydać kilka rozkazów; że to jednak nie mogło dziać się tym sposobem, że mogło to być udziałem wielu głupich generałów, zostających na czele wojsk na swoją hańbę i własną zgubę, ale że nie było właściwem generałem prawdziwie zdolnym do przewodniczenia wojskom; że żeby być wodzem, należało mieć rozległą i głęboką pojętność, przytém wielki charakter, wytrwałą pracowitość, uwagę ciągłą na najmniejsze szczegóły; że on, Napoleon, miał zawsze na stole spisy swych wojsk; że je najlepiej lubił czytać; że miał je pod ręką kiedy kładł się spać, i przebiegał je w nocy kiedy nie spał; że dzięki tym wrodzonym zdolnościom umysłu i charakteru, temu ciągłemu oddaniu się, temu wielkiemu doświadczeniu, mógł rozkazywać i być słuchanym, gdyż żołnierze jego mieli w nim zaufanie; ale co się tycze Józefa, Bóg nie stworzył go na generała; że był łagodnym i dowcipnym, ale niedołąnym; że mu potrzeba było zabaw a nie ciężkiej pracy; że ludzie odkrywali instynktowo te usposobienia, i że gdyby mu powierzył dowództwo wojsk francuskich, nikt by jego nie poczytywał za prawdziwego wodza; że widziano by zawsze za nim officera przydanego mu do rady, i że nikt nie byłby posłusznym, bo każdy śmiałyby się z króla generała; i zazdrościłby generałowi królowi, posiadającemu w rzeczywistości najwyższą władzę; że nie może mu przeto udzielić innego dowództwa jak nad armją środkową, którejby obręb działania rozciągał się na dwadzieścia lub trzydzieści mil około Madrytu; że co do pieniędzy, on sam ich nie miał, że bracia jego, panując nad krajami najbogatszymi w Europie, ciągle tylko u niego potrzebowali pieniędzy; że Hiszpanja miała ich dosyć dla dostarczenia całemu światu; że gdyby Józef umiał administrować znalazłby zasoby; że umiał się wyścierać pieniędzy dla obdarzania niemi swoich ulubieńców, dla budowania pałaców królewskich, i dla optacania zbytkowych rzeczy, nie-

(1) Nie umieszczam tu, równie jak zawsze, rozmów wymyślonych przezemnie. Napoleon miał z P. Roederer, kiedy ten powrócił z Madrytu, rozmowy pełne rozumu i gienjuszu, w których mówił obszerniej i dotkliwiej to co tu w części przytoczyliśmy. P. Roederer, który spisywał każdego dnia to co widział i słyszał, opisał i te rozmowy w czasie kiedy one były miane, i porównyując to jego dziennik, który mi był zakomunikowanym przez jego rodzinę, z listami Napoleona, mogłem przytoczyć myśli tego ostatniego. Pisano także prawie o wszystkich tém do P. Lafore, naszego posła w Madrycie.

potrzebnych w stanie jego interesów; że jeżeli Hiszpanja cierpiała, było to nieszczęście, na które niema lekarstwa; że żołnierze francuzcy takż cierpieli, i że wojna była wojną; że jeżeli Hiszpanie sprzykrzyli sobie cierpieć, niechby się poddali; że te uroszczenia Józefa do dobroci, do sztuki przywiązania do siebie ludów były śmieszne; że nadzieja jego dokazania z milionami tego, czego nie można było uczynić z krociami żołnierzy, była niemniej śmieszna; że gdyby mu posłano pieniądze a odebrano wojska, pieniądze te wkrótce byłyby zmarnowane, a on, Józef, ze swoim dworem odprowadzony ze wstydem do Bajonny przez kilka band uzbrojonych; że potrzeba było wiele żołnierzy, wiele dzielności, i postrachu nawet, dla przełamania oporu Hiszpanów, że postrach przyprowadzi do uległości, a skoro będzie uległość, dobra administracja, która się należy wszystkim ludom, nastąpi swoim porządkiem, że gdy Hiszpanja za pomocą tych środków uzna swojego nowego króla, wtedy Józef będzie miał czas pozyskania miłości swych ludów, jeżeli do tego jest tak zdolnym jak utrzymuje, i t. d.

Napoleon, uważając tylko ze śmiesznej strony żądania Józefa, nie odpowiadał na nie dobrą wiarą, gdyż był za nadto przenikliwym, żeby nie dojrzeć co było prawdziwego w tém co mu przekładano; ale nie mógł już zmienić systematu, ani udzielić wojnie hiszpańskiej, co uznał za konieczne poświęcić wojnie rossyjskiej. Chciał więc dalej utrzymywać tę wojnę hiszpańską prawie temż samymi środkami, spodziewając się, że wymagając wiele od ludzi, uczynią oni tyle co koń zmuszany do chodu, i dokażą więcej jak zwykle; że z mniejszemi zasobami mniej rychło dokażą swego, ale dokażą, i że w każdym razie, jeśliby nie okazali, on sam dokaże za wszystkich, i że zwycięztwa jego nad Dnieprem wynagrodzą niepowodzenia nad Tagiem: myśl zgubna, zrodzona w nim skutkiem oddalenia miejsc, na których miał działać, i z zaślepienia nieco dobrowolnego swém zbyt wielkim szczęściem!

W podobném usposobieniu, podróż Józefa, przedsięwzięta w celu nakłonienia Napoleona do przyjęcia innych środków w Hiszpanji, nie mogła przynieść żadnego rezultatu, i zaledwo sprowadzić zdołała niejakie ulepszenia, nie zmieniające w niczém istoty rzeczy. Po przejściu chwil niezadowolenia, Napoleon, który był tylko chwilowie nieużytym, który zresztą kochał swych braci, zgodził się na niektóre zmiany, tyczące się raezój formy, niżeli istotnego położenia. Józef był zawsze tylko pozostawiony przy dowództwie środkowej armji, ale miał rozciągać nad wszystkiemi prowincjami władzę cywilną, sądową

i polityczną. Zaleconém było generałom żeby go poważali jako króla, i jako panującego kraju, którego prowincje były czasowo zajęte z powodu wymagań wojny. Tylko, jeżeliby Józef miał ochotę, co było rzeczą wątpliwą, udać się do jednej z armij Półwyspu, naczelne dowództwo miało mu być niezwłocznie oddane. Nadto, przynając użyteczność powiększenia jego wpływu w prowincjach północnych, przez które przechodziła linja komunikacyjna z Francją, i gdzie było wielu mieszkańców zgnębionych klęskami wojny i skłonnych do poddania się, Napoleon dozwolił Józefowi oddać zarząd w miejscu marszałka Bessjera, księcia Istriji, marszałkowi Żurdan (Jourdan). Trudność tylko zachodziła w nakłonieniu tego ostatniego do powrotu do Hiszpanji i do przyjęcia posłannictwa od Napoleona, od którego nie był lubiony i którego nie lubił, oraz nie pochwalał jego niepomiarkowanego systemu we wszystkich rzeczach.

Co do pieniędzy, potrzeba było dla Józefa na opłacenie urzędników w stolicy i prowincjach środkowych, na rozchody jego domu i utrzymanie jego gwardji hiszpańskiej, cztery miliony na miesiąc, i to bez rozrzutności, nie pozostawało mu bowiem nic z papierów państwa, które miał w swém rozporządzeniu w początkach swego panowania, i których poświęcił część pewną, (zresztą nie zbyt znaczną) dla swych ulubieńców i jednej z rezydencji królewskich. Raz nawet zmuszony był sprzedać srebro swojej kaplicy dla opłacenia służby swojego domu. Na cztery miliony miesięcznie, których potrzebował, pobierał zaledwo jeden, pozostawszy tylko przy dochodach z miasta Madrytu, brakowało mu więc jeszcze trzech (1). Napoleon zezwolił na udzielenie mu wsparcia w ilości jednego miliona na miesiąc, i na odstąpienie mu czwartej części kontrybucij, nakładanych przez generałów we wszystkich prowincjach Hiszpanji. Zdawało się, że ta czwarta część powinna była wystarczyć dla dokompletowania czterech milionów, bez których Józef nie mógł się obejść. Ale można było przypuścić, żeby dowodzący generałowie, pozostawiając często swe wojska bez żołdu, i z największą trudnością zabezpieczając przejście kurjerowi, chcieli wypróżniać swe kassy i przesyłać miliony po drogach ciągle napastowanych? Generał Siusze jeden, ściśle biorąc, mógł to uczynić, lubo nie żałując wygod swoim żołnierzom, pozostałość od dochodów prowincji poświęcał na potrzeby kraju; jednakże mógł czwartą część udzielać Józefowi, jakoż zobaczymy, że w istocie

(1) Wszystko to wyjęte jest z korespondencji samego Józefa z księciem Bertje i P. de Lafore.

udzielał, ale on jeden tylko, bo zresztą żaden z generałów nie miał do tego ani chęci ani możności.

Jakkolwiekby, takie były pomoce pieniężne, które udzielono Józefowi. Co do ważnej kwestji całości terytorjum hiszpańskiego, Napoleon tłumaczył się w tej mierze bardzo dwuznacznie. Mówił Józefowi, że chciał mu wprawdzie pozostawić królestwo w całości, ale że dla zastraszenia Hiszpanów, należało w nich obudzić bojaźń stracenia kilku prowincji, jeżeliby nie przestawali opierać się, że zresztą Francja, jeżeliby wojna się przedłużyła i kosztowała dużo, musiałaby wreszcie żądać wynagrodzenia za swe ofiary. Radził mu nawet, nie tylko nie starać się ubezpieczać Hiszpanów, ale przeciwnie używać tej bojaźni jako środka, środka zaiste szczególnego na ludzi, którzy potrzebowali raczej być uspakajaniem niżeli trwożonemi. Nadto, nie chcąc mieć nowej jakiej sceny familijnej, podobnej do tej jaką król hollenderski odegrał abdykując koronę, Napoleon starał się złagodzić smutek Józefa, dodać mu odwagi, natchnąć nadzieją; mówił mu, że wysyłał silną rezerwę na Półwysep, że Siusze zdobywszy już Lerydę, Mekinencę, Tortozę, zdobędzie jeszcze Tarragonę, potem Walencję; że po dokonaniu tej zdobyczy, będzie można posunąć tę armję ku południowi; że wtedy armja Andaluzyjska będzie mogła wspierać armję Portugalską, obecnie zajętą swoją reorganizacją, i że obie, zwiększone rezerwą, która w tej chwili przebywała Pireneje, rozpoczną pod jesień kampanję przeciw Anglikom, zapewne szczęśliwszą niżeli uprzednią; że tym sposobem Półwysep zostanie wkrótce zawojowanym, że dowództwa wojskowe ustaną wtedy same przez się, że on, Józef, odzyska naówczas władzę królewską, którą będzie wykonywać całkiem niezależnie: dziwne i zgubne urojenia, któremi Napoleon łudził się zapewne, ale nie do tego stopnia jak mówił, gdyż w istocie Hiszpanja mało go obchodziła, i wszystko coby się złe powiodło na południu, miało otrzymać swe wynagrodzenie na północy.

Józef, chociaż obrzydził był już sobie tron, z którego oczy jego postrzegały same tylko straszliwe nędze, nie chciał jednakże także sceny familijnej, któraby zmusiła Napoleona do opuszczenia jeszcze jednego ze swoich braci, a jego samego do powrotu do życia prywatnego, którego lubił spokój, ale nie skromność, Józef przestał na tych próżnych obietnicach, i odjechał na powrót do Hiszpanji, mniej smutny bez wątpienia niżeli stamtąd przybył, ale też mało pocieszony obietnicami bardzo niepewnymi Napoleona.

Przejeżdżając przez Wittorję, Burgos, Walladolid, znalazł mieszkających nieszczęśliwszych jeszcze niżeli jakimi ich zostawił, nic

nie mógł powiedzieć im zaspakającego tak co do prowincji nad Ebrem, jak co do innych przedmiotów ich ciągłej obawy, mówił im to co jemu samemu powiedziano, dawał obietnice nie nieznaczące, a dla uniknięcia uprzykrzonych zapytań, pospieszył z przybyciem do Madrytu, gdzie znalazł wszystko w gorszym stanie niżeli przed wyjazdem. Jedyna rzeczywista korzyść, którą otrzymał w Paryżu, była obietnica przysyłania z Francji jednego miliona franków na miesiąc. Dwa z tych milionów były wypłacone. Jeden strwoniony został w Paryżu na koszt reprezentacji i podróży; drugi miał przybyć z konwojami wojskowemi i nie przybył; udzielenie mu czwartej części kontrybucji wybieranej przez generałów, było tylko urojeniem, przeto, po dawnemu, musiał przestać na dochodach Madrytu, które się co dzień zmniejszały. Jakoż dom królewski, gwardja hiszpańska, urzędnicy nie otrzymali ani jednego piastra podczas nieobecności Józefa. Na dobitkę, okropna susza, która zaszkoziła zbiorom w tym roku na całym lądzie, dała się uczuć w Hiszpanji jak i wszędzie, i chleb w Madrycie był tak drogi, że lud prosty musiał doznawać głodu. Józef więc na to tylko powrócił do swój stolicy, żeby być świadkiem najopłakaniejszego widoku. Napisał o swych zmartwieniach do Paryża w wyrażeniach bardziej przepelnionych goryczą, niżeli te jakich używał w korespondencji swojej przed podróżą. Ale Napoleon, zajęty całkiem przedmiotem, który w tej chwili pochłaniał wszystkie jego myśli, nie chciał o niczem wiedzieć, i rezerwa odwołana z Włoch, obecnie w pochodzie ku Pireneom, była jedynym wsparciem, które zamierzał udzielić Hiszpanji.

W takowym stanie rzeczy, najstosowniej było użyć tej rezerwy na wzmocnienie stanowiska Francuzów, i na utworzenie, łącząc ją z armją portugalską, massy zdolnej powstrzymać Anglików, zasłaniać od nich kolejno Badajoz lub Ciudad-Rodrigo, i przeszkadzać im do uczynienia jakiegokolwiek postępu na Półwyspie, nim Napoleon nie załatwi na północy wszelkich trudności, jakie obiecywał tam sobie załatwić. Zgubna wyprawa Andaluzyjska, której marszałek Sult zwyciężył sobie dla zatarcia pamięci wyprawy pod Oporto, a Józef dla rozszerzenia swój władzy królewskiej nad nowym krajem, co pozbawiła nas Kadyksu i Lizbony dla Badajozu, którego zdobycie nie było zupełnie stanowczem, dla której zaniedbaliśmy głównego przedmiotu tej wojny, rozpraszając bez żadnej potrzeby 80,000 żołnierza, mogących wystarczać na wyparcie Anglików, ta opłakana wyprawa powinna była nam służyć za naukę, i jeżeli już nie cofano się z Andaluzji do Manszy, co było zaiste najroztropniejszém, podówczas kiedy Napoleon

zagłębiał się na Północ, przynajmniej należało zatrzymać się na granicy zdobytego kraju, i silnie się tam obwarować. Jenerał Siusze mógłby zaatakować Aragonję, zdobyć nawet Tarragonę, skąd powstanie katalońskie czerpało swoje zasoby; marszałek Sult mógłby, bez zdobycia Kadyksu, strzedz Andaluzji; wojsko portugalskie wreszcie, wzmocnione posiłkami, które przybywały, mogłoby śledzić za wszystkimi ruchami lorda Wellingtona na Ciudad-Rodrigo lub Badajoz dla zapobieżenia im. Ale Napoleon nie tak rozumiał te rzeczy. Sądząc zawsze o nich zdaleka, przypuszczając zawsze, że są takimi jakimi podobało się mu je wyobrażać, sądząc, że Józef domagał się pieniędzy dla tego tylko żeby je trwonić, że jenerałowie jego żądali posiłków dla tego tylko, że przywykli ich żądać zawsze nad potrzebę, był przekonany, że udzielając część rezerwy jenerałowi Siusze, ten, po zdobyciu Tarragony, będzie w możności zdobyć Walencję, że po zdobyciu Walencji łatwo mu będzie posunąć się ku Grenadzie, że wtedy marszałek Sult, zabezpieczony z téj strony, będzie mógł posunąć się ku Estremadurze, i połączywszy się z wojskiem portugalskiem, wzmocnionem resztą rezerwy, będzie w stanie odeprzeć Anglików ku Lizbonie. Ponieważ Napoleon zamierzał odwołać gwardję i Polaków nie pierwój jak w ciągu zimy, wnosił, że gdy rezerwa przybędzie do Hiszpanji w końcu lata, będzie dość czasu przez jesień poprawić stan rzeczy w Hiszpanji, i zawojować cały Półwysep, prócz Portugalji, nim sam wyruszy na wyprawę rossyjską. Takie były nowe złudzenia, na których osnował plan działań na drugą połowę 1811 roku.

Ale nim rezerwa przybędzie do Hiszpanji, nim jenerał Siusze zdobędzie Tarragonę, marszałek Sult stojący w Llerena niedaleko Badajozu, żądał, żeby mu podano pomoc dla ocalenia téj twierdzy, która, pomimo swój bohaterskiej obrony, była bliską poddania się.

Marszałek Marmon, szlachetny towarzysz broni, i niecierpliwy zresztą odznaczenia się na czele armji portugalskiej, nie zaniedbywał niczego, żeby się przygotować na pośpieszenie dla oswobodzenia Badajozu. Lubo Napoleon zalecił mu, żeby niczego nie przedsiębrał, dopóki wojsko nie wypocznie, dopóki się nie umunduruje i nie zao- patrzy w konie, nie wahał się wyruszyć w drogę, jak tylko zadość uczynił najbardziej nagłym potrzebom swych żołnierzy. Wiedząc, że połączywszy się z marszałkiem Sultem będzie zawsze liczebnie dość silnym, dbał więcćj o jakość jak o ilość wojska, które zabierał z sobą. Doprowadził liczbę żołnierzy we wszystkich bataljonach do 700, umieszczając w najlepszych kadrach znajdujących się rzeczywiście na służbie, a pozostawiając kadry próżne w Salamance dla

zapełnienia ich, już to choremi powracającemi do zdrowia, już nowo-zacieżnemi przybywającemi z Francji. Zmniejszył tym sposobem swoją armję, która liczyła tylko 40,000 ludzi, po batalji pod Fuentes d'Onoro, do 30,000 blisko żołnierza, z których 3,000 było jazdy. Końmi, których się wystarał, zaprzął trzydzieści sześć armat. Było to mało, ale wszystko, co okoliczności dozwalały zgromadzić. Zniósł w swém wojsku podział na korpusy, dobry pod Napoleonem, który mógł powierzać korpusy wojska marszałkom, i być słuchanym przez tych wielkich dygnitarzy, ale przykry, niewygodny, trudny do kierowania dla prostego marszałka, nie mającego więcej nad trzydzieści tysięcy ludzi w swoim rozporządzeniu. Na to miejsce wprowadził podział na dywizje, powierzył te dywizje najlepszym jenerał-porucznikom, zatrzymał tylko jenerała Rejnje z dawnych dowódców korpusowych, ażeby mieć w potrzebie jenerała zdolnego zastąpić jego miejsce; oddalił prócz tego wszystkich officerów osłabionych lub źle usposobionych, i przywróciwszy nieco karności, oraz pokrzepiwszy siły fizyczne swego wojska przez miesiąc odpoczynku i dobrą strawę, postanowił zadość uczynić nagłym prósbom marszałka Sulta, i wykonać swe poruszenia na Estremadurę zstępując przez wąwóz Banos nad rzekę Tag, przebywając ją w Alvarez, i posuwając się przez Truksyllo nad Gwadjanę. Przewidując jaką trudność będzie miał wyżywić się w dolinie bardzo zubożonej Tagu, nade wszystko w miesiącu Czerwcu, żądał od jeneralnego sztabu Józefa, żeby mu przysłano Tagiem do Alvarez trzykroć lub czterokroć sto tysięcy porcij sucharów, oraz zaprząg mostowy, który wiedział, że znajduje się w Madrycie, ażeby nie być zatrzymanym w przeprawie przez rzekę.

Po przedsięwzięciu tych środków, rzucił się do podejścia dla oszukania Anglików, i zatrzymania ich pod Ciudad-Rodrigo, wtedy gdy wyruszy do Badajozu. W tym celu kazał przygotować nieco żywności, jak gdyby chciał jedynie zaopatrzyć w żywność Ciudad-Rodrigo, i wyruszył tam w istocie z swoją przednią strażą i częścią korpusu wojska, gdy tymczasem Rejnje zresztą armji składającą się z dwóch dywizji, przebywał wąwóz Banos, zstępował nad Tag, i za pośrednictwem materiału sprowadzonego z Madrytu, robił przygotowania do przebycia téj rzeki w Alvarez. Jenerał Spenser, pozostawiony pod Agueda z oddziałem wojsk angielskich i portugalskich podczas nieobecności lorda Wellingtona, który poprowadził był trzy dywizje pod mury Badajozu, nie był w możności stawić czoła armji francuskiej, i nie myślał nawet o tém. Cosnął się na widok przedniej

straży marszałka Marmon, który wtedy miał otwartą komunikację z Ciudad-Rodrigo, i mógł tam wprowadzić nieco żywności, którą miał z sobą. Po dokonaniu szczęśliwie téj czynności, marszałek wrócił prędko nazad, i połączył się z Rejnje nad Tagiem, nie zważając na zarzuty marszałka Bessjer, który uważał ten ruch armji portugalskiej za nadto wczesny, bardzo niebezpieczny dla północy Półwyspu, dopóki silny oddział korpusu rezerwowego nie wstąpił jeszcze do Kastylji. Marszałek Marmon jednak wytrwał w swoim postanowieniu, i przedłużał swój pochód ku Estremadurze.

Czas już był żeby się ukazał pod Badajoz, gdyż ta twierdza niechybnie by się poddała, gdyby nie pośpieszono na jój pomoc. Marszałek Sult chociaż się z nim był połączył generał Drué (Drouet) z 9 korpusem, który był otrzymał rozkaz udania się do Estremadury po bitwie pod Fuentes d'Onoro, marszałek Sult, licząc pomimo tego posiłku, nie więcej jak 25,000 żołnierzy pod bronią, nie ośmielał się stoczyć bitwę z wojskiem angielskim, liczącem najmniej 40,000 ludzi, od czasu przybycia lorda Wellingtona z trzema dywizjami. Nie mógł nawet dać znać nieszczęśliwym oblężonym, że wkrótce przybędą im w pomoc, tak byli ściśle blokowani; ale oni postanowiwszy umrzeć z bronią w ręku, nie dawali się zastraszyć ani groźbami szturm, ani samym szturmem, i niżli się poddać, postanowili raczej zagrzebać się pod rozwalinami twierdzy, pochłaniając tam razem z sobą co najwięcej Anglików. W istocie, nic w wojnie oblężniczej, tak płodnej u Francuzów w czyny godne podziwienia, nie przewyższa waleczności załogi Badajozu w miesiącach Kwietniu, Maju i Czerwcu 1811.

Wytrzymawszy pierwsze oblężenie od dnia 22 Kwietnia do dnia 16 Maja, epoki bitwy pod Albuera, i nie pozwalając przez ten czas silnym ogniem zbliżyć się nieprzyjacielowi, który stracił tysiąc ludzi nie potrafiwszy zrobić wyłomu; będąc potem znowu opasaną w skutku bitwy pod Albuera i niemogąc otrzymać ani jednego żołnierza, ani worka zboża, ta waleczna załoga, od 20 Maja była oblężoną przez wojsko liczące 40,000 żołnierza, i tą razą była silnie atakowana. Dowódzca bataljonu Lamar, który kierował robotami obronemi, odnowił i uzupełnił fortyfikacje warowni Pardaleras, obwarował ją przy wejściu, i nadto poprowadził galerje minowe przed czołami, które Francuzi obrali byli za punkt swojego ataku podczas zdobywania Badajozu.

Anglicy, uwiadomieni o tém, nie śmieli uderzyć z téj strony, lecz skierowali swe usiłowania na wschód naprzeciwko zamku, i na północ

przeciwko warowni Sę-krystowal (Sait Christoval), położonej, jak powiedzieliśmy, na prawym brzegu Gwadjany. Wody Rivillas, zatrzymane groblą, stały się potężnym środkiem obrony dla zamku. Niezszczęściem był on zbudowany na wystającym kawałku ziemi i miał swe boki odkryte na działanie artylerji angielskiej. Ta bijąc do niego bezustannie z dwudziestu armat, zburzyła całkiem jego wysokie wieże i pokrycia okopów; ale że ziemia w téj stronie była bardzo stężalą, okopy nie zostały rozwalone, a załoga oczyszczając podnóże wyłomów pod bezustannym gradem kartaczów i granatów, czyniła je nieprzystępnymi. Nadto, dowódzca Lamar wznosił okop wewnętrzny po za wyłomem, ustawił po bokach działa nabite kartaczami, gdy tym czasem jenerał Filippon (Philippon), postawiony w tém miejscu z oddziałem wybornego żołnierza, czekał na oblegających dla przyjęcia ich ostrzem swoich bagnetów. Widząc to Anglicy zmienili swój plan i obrócili całą swą wściekłość przeciw warowni Sę Krystowal, z drugiej strony Gwadjany. Atakując tę warownię ze strony bastjonu prawego, otworzyli tam dwa szerokie wyłomy, i postanowili rozpocząć szturm nie doprowadzwszy swych przykopów do brzegu rowu. Sto pięćdziesięciu ludzi piechoty i nieco żołnierzy z artyllerji i inżynjerji bronilo, pod dowództwem kapitana Szowę (Chauvin) z 88go pułku, zagrożonego bastjonu. Obleżeni, po oczyszczeniu, podobnie jak w zamku, z nieustraszoną odwagą podnóza swych murów pod ogniem nieprzyjacielskim, napełnili nadto dno rowu przeszkodami rozmaitego rodzaju, rozstawili linję bomb na wierzchu każdego wyłomu, wyrzucili po bokach wiele armat nabitých kartaczami, i umieścili z tyłu rząd grenadjerów, z których każdy opatrzony był trzema fuzjami. W nocy 6go Czerwca, siedmuset do ośmuset Anglików, wyszedłszy śmiało ze swych okopów, i przebiegłszy bez żadnej osłony kilkaset metrów, stanęli nad brzegiem rowu, zmuszeni byli wskoczyć weń, gdyż kontrskarpa nie była zrujnowaną, i próbowali potem wdrzeć się na wyłom. Ale przyjęci z frontu ogniem z karabinów, z boków ogniem z dział, widząc bomby toczące się pod ich nogi, nie dotrzymali placu przed tyłu przeszkodami, i cofnęli się pozostawiawszy trzystu ludzi zabitych lub ranionych w rowach warowni Sę-Krystowal.

Mężna załoga mając zaledwo pięciu czy sześciu ranionych była przejętą zapałem i żądała tylko nowego natarcia. Ludność, okropnie przerażona ogniem nieprzyjaciół, i sprzyjając już prawie Francuzom, których męstwo mogło jedynie ich zbawić od okropności szturmów, była przejętą uwielbieniem. Zawstydzeni i rozjątzeni, Anglicy zem-

ścili się osypując dni następnych nieszczęśliwe miasto pociskami palnemi, i starając się rozszerzyć ze znacznym zasiłkiem artylllerji wyłomy warowni Sę-Krystowal. W istocie, 9go Czerwca probowali na nowo, i z równą odwagą, wdrzyć się na dwa wyłomy. Dwieście ludzi z 21go pułku, pod dowództwem kapitana Żudju (Joudiou) i sierżanta artylllerji Brett (Brette), broniło ich, i przedsięwzięło środki dla uczynienia ich prawie nieprzystępnymi. Śród nocy Anglicy wybiegli z swoich okopów, przebyli rów i wdarli się na rozwaliny murów. Ale nasi grenadjerowie, obalając ich wystrzałami karabinów u stóp wyłomów, rzucili się potem na nich z bagnetami i sprawili w nich okropną rzeź. Kilkuset Anglików przypląciło jeszcze życiem tę niepomyślną próbę.

Nie było już niebezpieczeństwa, które zdołałoby zatrwożyć tę ozywioną mężstwem załogę. Nieszczęściem, zaczęło brakować jęj żywności, znużenie i niedostatek wyczerpały jęj siły, i zaczęto się lękać, żeby nie uległa, jeśli nie pod ciosami nieprzyjaciół, to pod naciskiem potrzeb. Ale zbliżenie się wojska posiłkowego, które nie mogło być jęj znaném, a o czém dobrze wiedział lord Wellington, zawsze dokładnie uwiadomiony o naszych ruchach, zmusiło go, 10go Czerwca, kiedy jenerał Rejnje był już nad Tagiem, do zdjęcia oblężenia i do oddalenia się od twierdzy. Jedna jeszcze przyczyna skłoniła go do tego kroku. Wyczerpano całą amunicję złożoną w Elwas, i należało bez straty czasu użyć wszelkich środków transportu dla sprowadzenia jęj z miejsca odległego o 26 mil, to jest, z Abrantes, głównego składu armji angielskiej.

Lord Wellington, zły niezmiernie że stracił bezpożytecznie dwa tysiące ludzi swego najlepszego wojska pod Badajoz, i że dwa razy odparty został z pod tęg twierdzy przez garstkę Francuzów, zdjął kolejno wszystkie swe obozy 13 i 14 Czerwca, cofnął się 17, nad Kaję (Caya), i oparł się o góry Portalegru, w stanowisku obronném dobrze wybraném, jak to zwykł był czynić w obec walecznych żołnierzy wojska francuskiego.

Mężna załoga widząc znikające jedne po drugich obozy nieprzyjaciela, domysliła się co się działo, i wkrótce dowiedziała się z uniesieniem radości, podzielanej przez ludność, że dzięki jęj mężstwu i posiłkom jęj przybywającym, wyszła zwycięzko z tego oblężenia podobnie jak z pierwszego. Wistocie, marszałek Marmon, po strawieniu kilku dni na przeprawie Tagu, z powodu niedostateczności środków przeprawy, gdyż zdołano przysłać z Madrytu część tylko

tego czego żądał, przebył góry Truksyllo, i 18go Czerwca wstąpił do Merydy. Tegoż samego dnia dokonał połączenia się z marszałkiem Sultem. Ten ostatni dziękował najuprzejmiej za pomoc mu udzieloną, w braku której musiałyby z niesławą patrzeć na odebranie mu Badajozu, jedynéj i pełnéj niebezpieczeństw zdobyczy w ciągu dwuletniéj wojny w Andaluzji.

Dwudziestego Czerwca, dwaj marszałkowie, licząc pięćdziesiąt kilka tysięcy wojska, weszli do Badajozu, winszowali bohaterskéj załodze, że tak mężnie broniła twierdzy powierzonéj jéj odwadze, rozdali jéj nagrody przez nią zasłużone, i posunęli swe przednie strażé aż blisko Anglików, którzy na widok połączonych wojsk zamknęli się starannie w swym obozie. Gdyby ta piękna armja, która wyjąwszy armję marszałka Dawu, nie miała równéj w Europie, gdyż była złożoną ze starych żołnierzy z pod Austerlitz, Jeny, Frydlandu, i przydała jeszcze do tych długich wypraw trzy lata straszliwych walk w Hiszpanji; gdyby ta piękna armja, nieszczęśliwa jedynie z winy swych wodzów, zostawała pod dowództwem jednego marszałka w miejscu dwóch, i żeby tym marszałkiem był Massena, nie zaniechałby pójść na spotkanie Anglików, i odwetować na lordzie Wellingtonie za tyle powodzeń, pozyskanych bezwątpienia skutkiem jego niezaprzeczonéj zasługi, ale téż i skutkiem błędów, oraz namiętności jego przeciwników. Ale marszałek Sult, rad że uniknął hańby patrzenia na upadek Badajozu, nie był skłonny do narażania się na nowe niebezpieczeństwa. Marszałek Marmon doznawał dla swego kolegi nieprzewycięzonéj nieufności (1), i nie wiele ochoty współnego z nim razem działania. Uważając zresztą za pewien rodzaj powodzenia pochód, który odbył, nie chciał uszkodzić temu powodzeniu narażając się na niebezpieczeństwo stanowczéj bitwy. Nie było wtedy w wojsku francuskiém jak tylko Massena, w którym na widok nieprzyjaciela zapalał się ów gorący patriotyzm wojskowy, który zapomina na siebie i myśli tylko o tém, jakby albo samemu zginąć, albo zgubić swego przeciwnika.

Dwaj marszałkowie popełnili więc błąd jeden z najważniejszych téj epoki, że pozostali w nieczynności z 50,000 żołnierza przed 40,000

(1) Pamiętniki rękopiśmienne marszałka Marmon, przeznaczone do wyjścia kiedys na świat (1), udziela w tym przedmiocie szczegółów, które nie uznajemy za potrzebne umieszczać tutaj.

(1) A które już wyszły w roku przeszłym.

nieprzyjaciela, pomiędzy któremi liczono 25,000 Anglików. Przepędzili oni kilka dni w pobliżu Badajozu, ażeby zaopatrzyć w zapasy tę twierdzę, wzmocnić jej załogę, poprawić wyłomy zrobione w jej murach, i napełnić jej magazyny całkiem wypróżnione. Marszałek Marmon, uważając nawet że nie dość czynnie zajmowano się ostatniem z tych zajęć w armji marszałka Sulta, kazał swoim pułkom zżąć zboże, które już było dojrzałe i złokować zebrane ziarno w magazynach Badajozu. Wielu mieszkańców tego miasta oddaliło się już było podczas pierwszego oblężenia. Przed drugim, wielu innych poszło za przykładem tamtych. Obawa trzeciego oblężenia zmusiła jeszcze do ucieczki pewną ich liczbę, tak że większa część miasta była pustą. Nie byłoby to żadnym złem, gdyby część pozostała nie była najbiedniejszą, najmniej sposobną do przeżywania się, i najtrudniejszą do utrzymania w karchach. Nadto, jeżeli trzecie oblężenie mogło nastąpić, to według wszelkiego prawdopodobieństwa nie tak prędko, i wzmocniona załoga miała czas użycia środków i przygotowania się do wytrzymania nowego napadu.

Dwaj marszałkowie zaledwo odkilku dni połączyli się byli z sobą, a już omal co zajście nie zaszło pomiędzy nimi. Oddawna już marszałek Sult był nieobecny w Andaluzji. Opuściwszy Sewillę dla wydania bitwy pod Albuera, uparł się potem, i słusznie, na pozostanie w pozycji pod Llereną, skąd potrafił dokonać skupienia sił w Estremadurze, chciał więc ściągnąć ostatecznie armję portugalską w zakres zwyczajny swoich działań, pozostawić ją na straży Badajozu, poruczyć jej tym sposobem część trudnych swoich zajęć, i poświęcić wreszcie wszystkie swe siły na oblężenie Kadyksu, tak nieszczęśliwie zaniechanego dla zdobycia Badajozu. Życzenie to było naturalne, ale uważając rzeczy z wyższego stanowiska ogółu działań, nie było rozsądnem, gdyż armja portugalska miała za konieczne miejsce pobytu Salamankę, za zdobycz do zachowania Ciudad-Rodrigo, za obowiązek istotny obronę przeciw Anglikom Starój Kastylji, która była podstawą działań dla wszystkich armij francuskich. Była ona jeszcze w obrębie swojego działania, lecz w ostatecznym zakresie tego obrębu, kiedy postępując za Anglikami z półnoey na południe, przybyła dla ocalenia od nich Badajozu; ale wymagać od niej żeby pozostawała ciągle w Estremadurze, było to chcieć żeby opuściła główny cel dla przydatkowego. W istocie, kiedy strzegłaby Badajozu i kiedy maszszątek Sult obległby wreszcie Kadyks, lord Wellington nie zaniechałby przybyć dla opanowania Ciudad-Rodrigo (co uczynił później, skutkiem błędu dość podobnego do tego jaki radzono popełnić w tej chwili),

i przeciąć potem posuwawszy się do Walladolid wszystkie komuni-kacje Francuzów. Potrzeba jeszcze dodać, że skazując armję portu-galską na pozostawanie pod Badajozem, zrobionoby ją równie bez-silną, jak była nią armja marszałka Sulta pod Llerena, i narażonoby ją na hańbę patrzenia na wzięcie Badajozu w jęj obecności. Zmniej-szona do trzydziestu tysięcy żołnierza, nie była ona w stanie nie po-cząć, i nie mogła mieć nadziei podniesienia téj liczby do czterdziestu lub czterdziestu pięciu tysięcy, jak powracając na północ, przedsię-biorąc środki dla przyłączenia wszystkich swoich chorych, rannych lub osłabionych trudami, których pozostawiła w Salamance. Nie było więc ani roztropném, ani słuszném wymagać od nięj, żeby ustaliła swój pobyt w Badajozie lub jego okolicach.

Marszałek Sult, naglony listami, które odbierał z Sewilli, przyby-wszy jednego poranku do głównej kwatery marszałka Marmon, dla udzielenia mu wiadomości o swém przykrém położeniu i o swych chęciach, obudził w nim wielkie podziwienie i zbytnie niedowie-rzanie. Pozostawić marszałka Marmon jednego w Badajozie, było to narażać go na niebezpieczeństwo zostania napadniętym przez więcéj jak czterdzięci tysięcy nieprzyjaciela, wówczas kiedyby miał niewię-céj jak 30,000 żołnierza na stawienie im czoła. Było to zadość czynić najgorętszym chęciom lorda Wellingtona, który czekał na Kaji, dopóki jeden z dwóch marszałków nie będzie opuszczony przez drugiego żeby go natychmiast zgnać. Marszałek Marmon, którego umysł był bardzo uprzedzonym względem charakteru swojego kolegi, upatrywał w téj propozycji, oprócz niesłychanej niewdzięczności, chęć zdradli-wą narażenia armji portugalskiej na klęskę, i powziął z powodu tego niesłusznego podejrzenia, głęboką do niego urazę. Powiększał on sobie bardzo winę swojego kolegi, i jak zdarza się często, przypi-sywał mu zamiary, których tamten wcale nie miał. Marszałek Sult nie myślał bynajmniej o narażenie na szwank armji portugalskiej, gdyż naraziłby sam siebie, ale chciał zdać na nią najtrudniejszą część swego obowiązku, cobykolwiek miało nastąpić, a potem zająć się ułatwieniem własnych swoich spraw. Marszałek Marmon odpowiedział mu z wielką goryczą, że jeżeli chciał oddalić się osobą swoją pozostawwszy w Badajozie całą armję andaluzyjską, nic nie było łatwiej-szego, gdyż pozostanie on, marszałek Marmon, dla dowodzenia obu armjami połączonemi, inaczej zaś oddali się natychmiast, i powróci nad Gwadjanę wtedy tylko kiedy będzie pewnym, że znajdzie tam siły dość znaczne, ażeby połączywszy się z niemi, mógł pobić Anglików. Powiedziawszy to marszałkowi Sult, napisał toż samo do niego

w wyrażeniach suchych i stanowczych, i zajął się przygotowaniami do ruszenia w pochód.

Ponieważ nie chcieli łącznie uderzyć na Anglików, dwaj marszałkowie nie mieli nic lepszego do zrobienia jak postawić Badajoz w stanie silnej obrony, potem udać się każdy w swoją stronę, dla zajęcia się należąciami do nich czynnościami. W istocie, obecność marszałka Sulta w Andaluzji była nieodbitnie potrzebną, i tylko wielka bitwa wygrana z Anglikami mogła go usprawiedliwić, że tam się nie znajdował. Północna strona Półwyspu wymagała także, żeby marszałek Marmon tam się zbliżył. Więc tedy marszałek Sult opuścił Badajoz 27 Czerwca, z główniejszą częścią swojej armji dla udania się do Sewilli; pozostawił tylko generała Drué d'Erlon (Drouet d'Erlon) z dwoma dywizjami i nieco jazdy, mającemi służyć za korpus obserwacyjny około Badajoz. Był to błąd, gdyż ten korpus, niepożyteczny w razie gdyby się Anglicy oddalili, niedostateczny zaś, gdyby pozostali, musiał być tylko narażony na szwank, jak to w istocie później nastąpiło, i daleko lepiej byłoby pozostawić w Badajozie załogę z dziesięciu tysięcy ludzi w miejscu pięciu, z zapasem żywności odpowiednim tej liczbie, a poprowadzić z sobą całą armję Andaluzyską. Badajoz mógłby lepiej się bronić, a marszałek Sult mógłby łatwiej spełnić gdzieindziej powierzoną mu czynność.

Jakkolwiek bądź, oddalił się z Badajozu do Sewilli, a marszałek Marmon wyruszył w drogę w górę Tagu. Anglicy, znużeni dwoma bezkorzystnymi oblężeniami, nie mając artylerji potrzebnej dla rozpoczęcia trzeciego, licząc w swoim wojsku wielu chorych, którzy nad brzegami Gwadjanj dostali febry Estremadurskiej, rozłożyli się obozem na Sierra-Portalegr, potrzebując także niejakiego odpoczynku. Pozostali oni tam na leże letnie, odpowiadające w tym gorącym klimacie temu co na Północy nazywają leżami zimowemi.

Marszałek Marmon, którego obowiązkiem było, jako naczelnego generała armji portugalskiej, opierać się zamiarom Anglików, najprzód tym, któreby miały na celu Północ, gdzie była nasza główna linja komunikacyjna, a potem tym, któreby przedsiębrali ku Południowi, wybrał z wielką roztropnością pozycję Tagu, pomiędzy Talawerą i Alkantarą, jako tę, z której mógł łatwiej zadość uczynić tym rozmaitym wymaganiom. W istocie, z nad brzegów Tagu mógł przybyć przez wążów Banos w cztery marsze do Salamanki, połączyć się tam z armją północną, i razem z nią podać pomoc Ciudad-Rodrigo. Z téjże saméj

pozycji mógł przez Truksyllo zstąpić w równie krótkim czasie w kierunku Merydy i Badajozu, połączyć się tam, jak to już pierwój był uczynił, z armją andaluzyską, i pośpieszyć tym sposobem kolejno, albo na pomoc Ciudad-Rodrigo, albo na pomoc Badajozu, dwóch wrót przez które Anglicy mogli dostać się z Portugalji do Hiszpanji. Po wzięciu tego postanowienia, obrał most Alwaraz za punkt środkowy komunikacji, których miał strzedz. Za główną kwaterę wybrał wieś Nawal-Moral, położoną między Tagiem i Tjetarem, i zasłonią temi dwoma rzekami. Rozpoczął od postawienia jak można w najobronniejszem stanie mostu Alwaraz, opatrzył go dwoma silnemi szanćami, a ponieważ wyżyna Estremadury ku wązowowi Mirabel przedstawiała pozycje panujące, skąd fortyfikacje Almaraz mogły być atakowane z korzyścią, wznosił kilka warowni na tych pozycjach, i pomieścił w nich niewielkie załogi. Na rzece Tjetar postawił również most i szaniec przedmostowy, takim sposobem, że mógł wystąpić z równą łatwością tak z jednej jak z drugiej strony przeciw nadciągającemu nieprzyjacielowi. Po użyciu tych ostrożności, postawił jedną z swoich dywizji w Alwaraz, i rozstawił swą lekką jazdę eszelonami na drodze do Truksyllo, dla przebiegania Estremadury, zbierania żywności i zasięgania wiadomości z Badajozu. Postawił drugą z swoich dywizji w Nawal-Moral dla strzeżenia swojej głównej kwatery; umieścił dwie w Plasencia, zawsze gotowe do przebycia gór i do ruszenia na Salamankę, a jedną w samym wązowie Baños, ażeby w każdym razie mogła wstąpić do Starój Kastylji. Wreszcie szóstą pozostawił z tyłu, ażeby broniła przeciw powstańcom bogatj prowincji Avila. Po tak roztrópnem i przezornem rozmieszczeniu swych sił, które mu dozwalało z równą szybkością wstąpić do Estremadury lub Kastylji, marszałek Marmon pospieszył przygotować swe magazyny, naprawić swój sprzęt artylleryjski, opatrzyć rannych i chorych pozostałych około Salamanki. Umieszczony na pograniczu armji środkowej, i znajdując się w sporze z nią względem odległości, do którj mógłby posunąć swe rekwizycje żywności, udał się do Madrytu, ażeby się porozumieć z Józefem, z którym się znał dobrze, i z którym przez fatalność właściwą Hiszpanji, miał dużo żwawych sprzeczek, chociaź obaj byli bardzo łagodnego temperamentu, i w gruncie jak najlepij jeden dla drugiego usposobieni.

Przypomnijmy sobie, że marszałek Bessjer lękał się bardzo skutku, jaki wyrze na prowincje północne oddalenie się armji portugaliskiej, i dokładał wszelkich starań, żeby przeszkodzić jój wyruszeniu. Anglicy, z swojej strony, powzięli nadzieję, że te prowincje powstaną

skoro armja portugalska z nich wystąpi. Te obawy i te nadzieje nie były uzasadnione, i pomimo podżegań rejencji Kadykskiej, Kastyllicykanie, oburzeni prawie tyle na gieryllasów co na Francuzów, pozostali spokojni. Wprawdzie bandy korzystały ze zrzeczności dla przedsięwzięcia kilku napadów. Markiezyto wpadł niespodzianie do Santander i rozszerzył w tej prowincji wielkie spustoszenia. Powstańcy Leonu niepokoili generała Sera (Seras). Marszałek Bessjer wyruszywszy przeciwko nim z kilku pułkami młodej gwardji, rozproszył ich. Lękając się, że nie potrafi strzedz razem Burgos, Walladolid, Salamankę, Leon, Astorgę, marszałek ten wysadził w powietrze fortyfikacje Astorgi, i odwołał generała Bonne (Bonnet) z Asturji. Od trzech lat generał Bonne utrzymywał się w tych niespokojnych prowincjach z równą energją jak zrzecznością, i powstrzymywał nawet Galicję, która nie śmiała się burzyć z bojaźni, żeby nie była wziętą z boku. Był to więc błąd odwołać go z Asturji, gdyż tym sposobem pozostawiono Asturyjczykom i Galicjanom wolność wkroczenia do Kastylji. Jednakże, pomimo tych przeszkód, marszałek był w stanie powściągać Kastylję, i był zresztą wzmocniony dywizją Suham, jedną z trzech, które składały korpus rezerwowy, obecnie w pochodzie ku granicom Hiszpanji.

Wypadki ważniejsze, i to bardzo chlubne dla naszych wojsk, chociaż bezużyteczne dla naszej potęgi, miały miejsce w Katalonji i Aragonji, w wojsku generała Siusze. Przypomnijmy sobie, z jaką trafnością i energją generał Siusze prowadził oblężenia Lerydy, Mekinenzy i Tortozy, których zdobycie, po opanowaniu Żyrony, dokonywało prawie podboju Aragonji i Katalonji. Jednakże pozostawała Tarragona, najważniejsza z twierdz w tych stronach, gdyż łączyła z własną siłą, która była znaczna, pomoc morza i floty angielskiej. Służyła ona, jak widzieliśmy, za wsparcie, schronienie, magazyn, arsenał niewyczerpany dla wojska powstańców katalońskich. Nieodzowną przeto było rzeczą obledz ją i zdobyć. Generał Siusze porobił w tym celu ogromne przygotowania. Zgromadził znaczne zapasy żywności w Lerydzie, i pyszny park ciężkiej artyllerii w Tortozie, z zaprzęgiem 1500 koni, zasób bardzo szacowny w Hiszpanji, nadewszystko w prowincjach wyniszczonych suszą, gdzie siano było rzadsze, niżeli gdzieindziej. Wszystkich tych rzeczy generał Siusze potrafił się wystarać bez zrujnowania kraju, dzięki spokojności jaką zapewnił swojej prowincji i systematowi kontrybucij regularnych, w miejsce wybierania ich zbrojną ręką.

Oprócz magazynów zbożowych przygotowanych w Aragonji i w części Katalonji, zostającej pod jego zarządem, zebrał trzody bydła i owiec, już to skupując woły za gotowe pędzenia u mieszkańców Pireneów, już zachowując starannie owce zabrane u powstańców Sorji i Kalatajud. Po przygotowaniu sprzętu wojennego, rozlokował swe wojska takim sposobem, żeby nie pozostawić Aragonji wystawionej na napaść nieprzyjaciela, gdy wyruszy do niższej Katalonji dla zdobycia Tarragony. Napoleon, oddzielając od Katalonji część krańcową tej prowincji dla przyłączenia jej do Aragonji i oddając ją pod zarząd generała Siusze, dał mu razem 16 do 17 tysięcy z armji katalońskiej, a na ich miejsce przyłączył do tej armji jedną z trzech dywizji korpusu rezerwowego. W tych 16 czy 17 tysiącach ludzi znajdował się 7-my pułk linjowy, służący z chwałą w Hiszpanji od lat kilku, 16-ty linjowy, jeden z pułków, które się okryły nieśmiertelną sławą w Essling pod dowództwem generała Molitora, i nakoniec Włosi generała Pino, oddział wybornych już żołnierzy, równie mężnych jak karnych. Z temi posiłkami, generał Siusze liczył około 40,000 żołnierza zostającego pod bronią. Pozostawił z nich 20,000 na strzeżenie Aragonji, a 20,000 przeznaczył na wielkie oblężenie, które miał przedsięwziąć. Korzyść, jaką można byłoby otrzymać z odzyskania Figiery nie odwróciła go od głównego przedmiotu, i wnosząc, że Napoleon obmyśli sposób odzyskania tej fortecy środkami wprost przysłanemi z Francji, wyruszył dwoma kolumnami pod Tarragonę. Jedna, pod dowództwem generała Harysp (Harispe), przybyła tam z Lerydy, druga pod generałem Habert'em, z Tortozy. Ta ostatnia eskortowała zaprząg oblężniczy. Obie one odparły nieprzyjaciela do fortyfikacji twierdzy. Tarragona przedstawiała, oprócz załogi prawie wyrównywającej w liczbie wojsku oblegającemu, położenie i fortyfikacje niezmiernie silne.

Tarragona, zbudowana na skale, z jednej strony oblana morzem Śródziemnym, z drugiej strumieniem Frankoli, który płynąc pod jej murami wpadał do morza, dzieliła się na miasto wyższe i miasto niższe. Miasto wyższe było otoczone starożytnymi murami rzymskimi i fortyfikacjami nowożytnymi wielkich rozmiarów. Miasto niższe, położone u podnóża wyższego, na gruncie płaskim skrapianym rzeczką Frankoli, nad brzegiem morza, otoczone było murem z bastjami, regularnie i silnie ufortyfikowane. Po nad amfiteatrem utworzonym przez oba miasta, wznosiła się warownia, nazwana Olivo, zbudowana na skale, panująca nad wszystkimi okolicami, i połączona z miastem za pośrednictwem wodociągu. Te trzy piętra fortyfikacji

opatrzone były w czterysta armat wielkiego kalibru. Ośnaście tysięcy ludzi wybornego wojska, z dzielnym gubernatorem, jenerałem Kontrera (Contreras) tworzyło jego załogę, której ludność fanatyczna i pełna poświęcenia gotową była pomagać ze wszystkich sił swoich. Flotta angielska mogła bezustannie odnawiać zapasy twierdzy, czyto pod względem amunicji, czy pod względem żywności, i wyręczać zabitych lub osłabionych innemi sprowadzonymi z Katalonji i Walencji. Nigdy więc oblężenie nie przedstawiało większych trudności.

Z jakiegokolwiek by strony rozpoczęto atak, znajdowano równe trudności do przewyciężenia. Na południe i na wschód, wzdłuż morza, napotymano urwistą pochyłość skał, ciąg lunet dobrze urządzonych, łączących mury obu miast z morzem, i prócz tego flotłę angielską. Przenosząc się na północ, miano przed sobą już nie pochyłość skał, gdyż z téj strony grunt twierdzy łączył się z górami Katalonji, i można było tam przybyć pod równią postępując wyżynami, ale ziemię kamienistą i suchą, oraz warownię Oliwo, która sama wymagała prawdziwego oblężenia. Wreszcie, zstępując od zachodu ku południowi, znajdowano się przed dwoma miastami zbudowanemi jedno nad drugim, przed dwoma rzędami fortyfikacji, pośród gruntu niskiego i błotnistego Frankoli, z ważną przeszkodą angielskich kanonjerskich łodzi na prawo. Wszystkie przystępy były więc bardzo trudne, z jakiegokolwiek by strony zbliżono się, i zmuszały do długiego oblężenia, które mogło być jeszcze niepokojone częstemi napadami Katalończyków i Walencjan, sprowadzanych i wspieranych przez Anglików.

Tyle trudności nie odstręczyło bynajmniej jenerała Siusze, który uważał Tarragonę za najpewniejszy zakład bezpieczeństwa Katalonji, i za klucz do Walencji. Dwaj jego główni jenerałowie, o których już mówiliśmy, dzielali jego zdanie, i gotowi byli pomagać mu wszelkimi siłami: byli to, jenerał inżynjerji Ronja (Rogniat), umysł nie zbyt logiczny, ale przezorny, wytrwały, głęboki w swojej sztuce, i jenerał artyllerji Wale (Valée), umysł trafny, przenikliwy, wzniosły, łączący z trafnym rzutem oka w czasie bitwy przezorność administracyjną, niezbędnie potrzebną dla officerów jego broni. Naradziwszy się z nimi, marszałek Siusze postanowił atakować twierdzę z dwóch stron razem, od południo-zachodu najprzód, to jest, od wybrzeży niskich Frankoli, ciągnących się u podnóża niższego miasta, które należało koniecznie zdobyć przed atakowaniem miasta wyższego, i od północy, to jest, od warowni Oliwo, którą należało wziąć takż, jeżeli chciano zdobyć cały ogół fortyfikacji.

Podczas gdy rozpoczynano prace przykopowe przed miastem niższem, dwa z najmniejszych pułków armji, 7-my i 16-ty linjowe, pod dowództwem młodego jenerała bardzo wielkich nadziei, Salma (Salme), przedsięwzięły attak na warownię Oliwo. Przeprowadzono rów przed tą fortecą w nocy z 21 na 22 Maja. Potrzeba było postępować po wyżynach suchych, po gruncie kamienistym, bez ochrony przeciw wilgoci w nocy, przeciw upałom we dnie, przeciw strzałom z warowni. Przed warownią był szaniec, przeszkadzający naszym robotom w przykopach, i który przeszedłszy w nasze ręce, stałby się dla nich pomocą. Żołnierze nasi rzucili się nań z bagnetem w rękę i zdobyli. Ale Hiszpanie, którzy się chlubili, że byli niewyciężonemi w obronie twierdzy, i po części mieli słuszność, pojawili się znowu w liczbie 800, wydając straszliwe wrzaski, i prowadzeni przez odważnych officerów, zatknęli chorągiew u samego podnóża szanca, który im należało zdobyć. Żołnierze 7-go i 16-go pułku położyli trupem tych mężnych officerów z ręcznej broni, a potem uderzając bagnetem na śmiałą kolumnę, którą chciała odebrać im ich zdobycz, odparli ją aż pod mury Oliwo.

Warownia ta była długą, ale wąską. Był to rząd bastjonów, zbudowanych na skale, z rowami wykopanemi również w skale, mający z tyłu mur zębaty, łączący się za pośrednictwem galerji podziemnej z twierdzą. Wewnątrz znajdował się szaniec wyższy od samej warowni, i mogący stawić powtórny opór zwyciężkiemu napaśnikowi. Hiszpanie mieli 1200 żołnierzy załogi i 50 dział wielkiego kalibru w tych silnych fortyfikacjach, a nadto, mogli otrzymywać posiłki z miasta, które samo mogło otrzymywać je bez końca przez otwartą komunikację z morzem.

Pracowano nad przykopami dni kilka pod ciągłym ogniem i ponosząc znaczne straty, gdyż każdego wieczora liczono 50 do 60 zabitych lub rannych w tych dwóch walecznych pułkach, które otrzymały zaszczyt oblegania téj warowni. Posuwano się w zygzak na wyżynie, łącząc się z Oliwo, i postępowano za pośrednictwem worków napełnionych ziemią, gdyż niepodobna było kopać w twardej skale, na której odbywano roboty. Nakoniec, chcąc skrócić te zabójcze przykopy, pospieszono ustawić baterję przykopową w niewielkiej odległości od warowni, i ta gotową już była przyjąć artylleryę 27-go wieczorem. Użycie koni było niepodobnem na tym gruncie, żołnierze więc zaprzęgli się pod armaty, i ciągnęli je pod gradem kartaczy, które obalały wielką ich liczbę, nie zmniejszając gorliwości innych. Nieprzyjaciel rozpoznawszy, lubo w nocy, co przedsiębrały te gromady, na któ-

re strzelał, chciał skuteczniej przeszkodzić ich zamiarom, i uczynił na nich nagłą wycieczkę. Młody i waleczny generał Salm, z rezerwą 7-go pułku, ruszył na Hiszpanów, i w chwili, kiedy wołał: *Naprzód!* obalony był przez jakiegoś Biskajczyka, i skonał w téjże samej chwili. Był on uwielbiany przez żołnierzy, i zasługiwał na to przez swą odwagę i rozum. Żołnierze chcieli się zań pomścić, uderzyli na Hiszpanów, których ścigali bagnietami aż do brzegu rowów Oliwo, i cofnęli się tylko przed mnóstwem kartaczy i przed widocznym niepodobieństwem szturm.

Tymczasem, działa 24-ro funtowe były postawione na baterji, i nazajutrz o świcie, ogień rozpoczął się na bastjon prawy, leżący naprzeciw naszego lewego skrzydła.

W odległości, do jakiej się dostano, skutki artylleryi były straszliwe tak z jednéj jak z drugiéj strony. W kilka godzin wyłom był otwarty, ale nieprzyjaciel zrujnował powielekroć nasze szzańce, i pośród rozrzuconych worków ziemi, odważny officer artylleryi, szef szwadronu Dioszan (Duchand), naprawiał bezustannie pod pociskami nieprzyjaciół uszkodzenia sprawione naszéj batterji. Nazajutrz 29-go robiono ciągle wyłom przez cały dzień, i postanowiono przypuścić szturm, nie zważając na rezultat otrzymany przez naszą artylleryję; gdyż dwa tygodnie już bawiono przed Tarragoną, i jeżeli jedna fortyfikacja miała kosztować tyle czasu i ludzi, należało zwątpić o zdobyciu samej twierdzy.

Chociaż ponieśli już byli znaczne straty, pułki 7-my i 16-ty linjowe nie chciały ustąpić innym zaszczytu zdobycia szturmem warowni, przed którą robiły przykopy. Kolumna 7-go pułku, złożona z 300 żołnierzy, pod dowództwem szefa bataljonu Mjok (Miocque), przeznaczoną została do rzucenia się wprost na wyłom; druga téjże samej siły, złożona z żołnierzy 16-go pułku, pod dowództwem Rewela, miała wyjść z lewej strony, uderzyć na prawy bok warowni, i próbować wpaść do niéj przez bramę. Generał Harisp był w pogotowiu wesprzeć te dwie kolumny swemi rezerwami. Całe wojsko otrzymało rozkaz być pod bronią, i udać attak ogólny.

Jakoś śród nocy znak dany i walka się rozpoczyna. W około obu miast, tyraljerowie nasi odkrywają ogień bardzo żywy, jak gdyby miano się rzucić na opasujące mury. Oblężeni niespokojni odpowiadają ze wszystkich swoich baterij, nie wiedząc na kogo strzelają. Flotta angielska łączy się z nimi, strzelając na los szczęścia wzdłuż brzegu. Hiszpanie, dla wyswiecenia niebezpieczeństwa, które im za-

graża, rzucają seciny rac, i łączą swoje wściekłe wrzaski do przedłużonych okrzyków naszych żołnierzy.

Podczas tego zgiełku, wyrachowanego z naszej strony, dwie kolumny obleźnicze występują z swoich przykopów, i przebywają sześćdziesiąt do osmdziesięciu kroków, niczém nie osłonieni, pod wystrzałami Oliwo. Przybywają oni nad brzeg rowu wykutego w skale, rzucają się weń, i podczas gdy kolumna dowódcy bataljonu Mjoka, opatrzona w drabiny, bieży wprost do wyłomu, który nie zupełnie jeszcze był przystępny, druga, to jest, dowódcy bataljonu Rewela, zwraca na lewo, ażeby natrzeć na warownię od bramy. W tej chwili tylko co weszło do niej tysiąc dwieście Hiszpanów, wysłanych z twierdzy na pomoc Oliwo, i brama warowni ledwo się była zamknęła za nimi. Kapitan inżynierów Popini (Popigny), na czele 30 saperów, uderza w bramę razami siekiery. Opiera się ona, porywa więc za drabinę, żeby przeleźć przez nią. Ale pada ugodzony kulą, i kona wymawiając imię swój matki. Dowódzca kolumny Rewel, korzystając z tego, że w tém miejscu, położoném naprzeciw twierdzy, nie masz rowu, przystawia drabiny do pochyłości muru. Saperzy i grenadierowie wstępują na mur, wskazują do warowni, i otwierają bramę kolumnie, która wchodzi ze spuszczonemi bagnetami. W téjże chwili, kolumna Mjoka, skierowana przeciw wyłomowi, i nie znajdując ją przystępną, przystawia także drabiny. Ponieważ te były za krótkie, sierżant podkopników Menje (Meunier) używa swoich silnych bark dla woltyżerów, którzy wstępując takim sposobem na mur, wpadają do warowni i łączą się z swojemi towarzyszami. Ale ponieważ ten środek był za nadto powolny i bardzo morderczy, część téjże saméj kolumny szuka innéj drogi do wkroczenia. Szczęściem, officer inżynierów Wakani (Vacani) odkrywa po lewém ręku wejście, to jest, koniec wodociągu, dostarczającego wodę warowni, i zamkniętego tylko palissadą. Wywraca ją za pomocą kilku saperów, i odkrywa tym sposobem nowe przejście dla naszych żołnierzy, niecierpliwych żeby się wdrzeć co prędzej. Dwie kolumny Rewela i Mjoka wtargnąwszy przez te rozmaite przejścia, rzucają się na Hiszpanów, którzy opuszczają warownię i cofają się do wewnętrznego szańcu. Ścigają ich wiodąc z nimi straszliwą walkę zapaśniczą, już to bagnetem, już razami karabinów. Hiszpanie, nie widząc prawie ratunku, bronią się z rozpaczą, a ponieważ są dwa razy liczniejszemi od nas, i pochyłość szańca dopomaga ich oporowi, bronią przeciwko nam Oliwo, czyniąc wątpliwém zwycięstwo. Ale mężny generał Harisp, omal coby nierozzerwany bombą, nadbiega z swą rezerwą. Pięćset Włochów, pod do-

wództwem szefów bataljonu Markonia i Sakkini, ożywiają swą obecnością zapał i zaufanie oblegających. Wszyscy razem wdzierają się na szaniec, i przejęci wściekłością, mordują upornych obrońców Oliwo. Jenerał Siusze i jego officerowie nadbiegają tymczasem, i ocalają jakie tysiąc ludzi; ale około dziewięciuset Hiszpanów poległo już było w téj morderczej walce. Okrzyki zwycięstwa uwiadamiają obleżonych i oblegających o téj ważnej zdobyczy.

Znaleziono w Oliwo z pięćdziesiąt armat z wielką ilością kartaży, i natychmiast zajęto się zwracaniem środków obronnych warowni przeciwko twierdzy, dla przeszkodzenia Hiszpanom do wzięcia jéj i dla zrobienia artyllerii użytecznej oblegającym, która przedtém była dla nich tak szkodliwą. Zabezpieczony względem rezultatu obleżenia powodzeniem jakie otrzymał, ale przestraszony stratami, które to powodzenie samo rokowało, jenerał Siusze chciał korzystać ze skutku moralnego wywartego na obie armje, dla skłonienia załogi do układów, i uczynił propozycję zawieszenia broni pod pozorem pogrzebania zabitych. Załoga, zdziwiona naszą odwagą, ale mało dbająca na stratę dwóch tysięcy ludzi, odpowiedziała wyrazami pogardy i gniewu na propozycje jenerała Siusze, pozostawało więc tylko liczyć na własne siły. Ponieważ pora roku czyniła ziemię twardą i trudną do kopania, a wyziewy szkodliwemi, musiano spalić trupy w miejscu ich pogrzebania. Nieszczęściem, lęzba ich była już znaczną.

Opanowawszy Oliwo, zaczęto robić przykopy przed miastem niższém. Roboty te zaczynały się od brzegów Frankoli, i miały się ciągnąć od zachodu na wschód, mając po lewym ręku Oliwo, które w miejscu osypywania nas strzałami, wymierzało je przeciw Hiszpanom, a po prawej morze, wymagające wiele ostrożności, z powodu flotty angielskiej. Wzniesiono przeto wzdłuż brzegu rząd redut, które uzbrojono bardzo ciężką artyllerią dla trzymania Anglików w oddaleniu i odpędzania ich szalup kanonjerskich. Rozpoczęto kopanie rowu o 130 sążni od muru, który w téj stronie tworzył część wystającą, sposobną do atakowania. Znajdywały się na nim w tém miejscu dwa bastjony, bardzo zbliżone jeden do drugiego, to jest, bastjon Kanoników po naszej lewej, i Ś. Karola po prawej stronie. Ten ostatni łączył się z murem portu i przystania. Ilość wystrzałów nie mogła więc być znaczną, gdyż one mogły tylko wychodzić z dwóch bastjonów, ku którym by się zbliżano. Wprawdzie powyżej i nieco z tyłu tych bastjonów znajdowała się warownia królewska, fortyfikacja bardzo wyniosła, a po prawém ręku, wzdłuż morza, znajdowała

się takż druga mała warownia, nosząca nazwisko Frankoli, gdyż była położoną przy ujściu téj rzeczki. Ta ostatnia fortyfikacja łączyła się z twierdzą murem opatrzonym bastjonami. Postanowiono, żeby posuwając ciągle przykopy ku dwom bastjonom Kanoników i Ś. Karola, skierować razem baterję wyłomową na warownię Frankoli, dla zdobycia jój szturmem.

Dwadzieścia pięć armat rozstawionych zostało na kilku baterjach, które strzelały razem na twierdżę i na warownię Frankoli, i w téj ostatniej, pomimo ognia bardzo silnego ze strony nieprzyjaciela, zrobiono wkrótce wyłom, przystępny dla naszych odważnych kolumn oblężniczych. Chociaż warownia ta miała eskarpę i kontreskarpę murowane, nadto rowy napełnione wodą, postanowiono zdobyć ją natychmiast, i zacny Sę-Syr-Niug' (Saint-Cyr Nugues), szef sztabu generała Siusze, prowadząc trzy małe kolumny piechoty, uderzył na nią w nocy z 7-go na 8-my Czerwca. Piechota nasza rzuciła się w rów, mając wody po piersi, i wdrapała się na wyłom pod ogniem bardzo silnym. Hiszpanie opierali się najprzód z swą zwykłą wytrwałością, ale ponieważ fortyfikacja połączoną była z miastem tylko za pomocą długiego i wąskiego przechodu idącego wzdłuż muru, lękali się zostać odciętymi i uciekli do twierdzy. Ścigano ich krzycząc: *do miasta! do miasta!* w nadziei zakończenia oblężenia jedném silném natarciem, ale musiano się wstrzymać przed ogniem straszliwym i przed fortyfikacjami tak potężnemi, że wszelki zamach był niepodobnym. Pułkownik Sę-Syr Niug' odprowadził swych żołnierzy do warowni Frankoli, śpiesznie potém umocnił się tam, przeniósł ziemie z parapetów ku stronie twierdzy, ażeby się zasłonić, i obrócił ku zatoce artylleryję, którą przed chwilą był zdobył.

Była to druga fortyfikacja wzięta szturmem; lecz było ich jeszcze więcéj do zdobycia podobnym sposobem. Pozostawała luneta, nazwana książęcą, przytykająca do muru, i zajmująca środek muru łączącego Frankoli z twierdzą. Zrobiono tam wyłom, i 16-go wzięto ją w skutek nowego szturmu, długiego i morderczego. Od téj chwili nie pozostawało innéj przeszkody pośredniej do przewycięzenia dla zbliżenia się do dwóch bastjonów Ś. Karola i Kanoników, które się przedstawiały oblegającym w kształcie głowy byka. Jeden po prawém ręku, to jest, Ś. Karola, opierał się, jak powiedzieliśmy, o morze, i zasłaniał mur portu; drugi po lewój, zasłaniał kąt utworzony stroną zachodnią muru z jego stroną północną. Powyżéj wznosiła się warownia królewska z czterma bastjonami. Jeżeli strzały nieprzyjaciela nie mogły obejmować znacznej przestrzeni w szérz, były

bardzo niebezpieczne z powodu wysokości, i ten atak wymagał poświęcenia dużo ludzi, już to dla zrobienia przykopów, już dla urządzenia baterji, już dla samego szturm, który miał spotkać bez wątpienia dzielny opór, gdyż od jego powodzenia zależał los miasta niższego i samego portu.

Jenerał Siusze życzył bardzo przyspieszyć oblężenie, gdyż, oprócz strat codziennych, które we dwadzieścia dni wynosiły już do 2500 ludzi, widział powiększające się trudności wewnątrz i zewnątrz twierdzy. Flotta angielska, eskortująca ogromny konwój, dostawiła załodze 2000 ludzi posiłków, oraz żywności i amunicji, a razem męznego dowódcę, jenerała Sarfield'a, któremu powierzono obronę miasta niższego. Wysadziła potem na ląd na drodze do Barcelony dywizję Walencjańską, złożoną z 6000 ludzi, która miała się połączyć z jenerałem Kampo-Werde, dowódcą armji katalońskiej. Ten na czele 15,000 żołnierza przebiegał okolice w nadziei albo zachwycenia naszych konwojów, albo rzucenia się na nasze okopy przez obrót umówiony z załogą i flotą.

Jenerał Harisp, postawiony z dwoma dywizjami, jedną francuzką i jedną włoską, na drodze do Barcelony, miał oko na napady, mogące pochodzić z tej strony. Jenerał Haber (Habert) umieszczony z jedną dywizją francuzką nad brzegami Frankoli, strzegł drogi prowadzącej do Tortozy, którą przybywały nasze konwoje artylleryjskie, oraz drogę do Reus, którą przybywały nasze transporta żywności. Reszta wojsk była przeznaczoną do robót oblężniczych. Ostrożności były więc przedsięwzięte przeciw napaści zewnętrznej i wewnętrznej, i jenerał Siusze liczył na waleczność swoich żołnierzy dla oparcia się jednocześnie nieprzyjacielowi wewnętrznemu i zewnętrznemu. Ale poczyt nasze, ustawione eszelonami na drodze naszych konwojów, miały codzień zawzięte walki do stoczenia przeciwko oddziałom Kampo-Verde, i ten chlubił się, że otrzymał znaczne posiłki, oraz że miał wkrótce otrzymać znaczniejsze jeszcze. Z narażeniem się na osłabienie swój linji obronnej od strony powstańców Teruelu i Kalatajud, zostających pod dowództwem Villa-Kampy, jenerał Siusze postanowił przyzwać do siebie jenerała Abbé z jedną brygadą. Ponieważ los całej okolicy zależał od oblężenia Tarragony, należało wszystko poświęcić dla tego najważniejszego przedmiotu.

Ożywiony podobnemi pobudkami, i wspierany poświęceniem się bez granic ze strony wojska, jenerał Siusze nie tracił napróżno ani jednego dnia, ani jednej godziny. Z jednej równoległej linji zrobiono przejście do drugiej, i urządzono rząd baterij, które obejmując

w swoim obszernym zakresie bastjony Kanoników i Ś. Karola, przeznaczone były do robienia wyłomów jak w jednym tak w drugim, a nawet w warowni królewskiej. Jenerał szturmem nagłym i natarczym chciał zdobyć niższe miasto i wszystkie jego fortyfikacje. Po dokonaniu tego, obiecywał sobie, że tak trudne zdobycie Tarragony będzie prawie uskutecznione.

Czterdzieści cztery działa ustawione na baterjach utrzymywały ogień, podczas gdy przedłużano roboty około przykopów, i spotykały dzielny odpór ze strony artyllerii twierdzy, która z téj strony była najmniej dwa razy liczniejszą od naszej. Stąd nasze szanse były prawie ciągle rozrzucane, a nasi mężni artylleryści nieustraszeni pośród rozwalin swoich baterij, odnawiali bezustannie swe szanse, często nawet strzelali bez żadnej osłony z zimną krwią i trafnością godną uwielbienia. Piechota okazywała w dopomaganiu im gorliwość godną ich poświęcenia.

18-go skończono trzecią równoległą linję. Zstąpiono podziemnymi chodnikami do rowów dwóch bastjonów, wywrócono kontreskarpę, rozszerzono potem wyjścia, przez które kolumny oblężnicze miały się rozbiedz w rowach, i stamtąd rzucić się na wyłomy. Rozpoczęto nawet, za pośrednictwem nowych baterij, rozszerzać wyłomy i zmniejszać ich pochylność.

21-go Czerwca rano, kiedy się ciesząco w Badajozie, że się uwolniono od połączonych sił dwóch marszałków, straszliwa scena miała się odbyć pod murami Tarragony. Na znak dany, wszystkie baterje tak dawniejsze jak nowe rozpoczęły ogień, a twierdza odpowiadała niemniej silnym ogniem. Najzaciętsza bitwa nie napełnia powietrza straszliwszym hukiem jak ten, który w podobnej chwili rozlega się przed twierdzą oblężoną. Najgłówniejsza z naszych baterij została rozrzuconą wybuchem magazynu prochowego. Pułkownik Rieczy (Ricci) był prawie zasypany ziemią, ale prędko wydobyty, kazał odnowić baterję i rozpocząć strzelanie. Piechota, z niecierpliwością czekająca chwili szturm, nalegała swém wołaniem na artyllerję, która starając się zadość uczynić jój chęciom podwajała usiłowań i poświęcenia.

Wieczorem trzy wyłomy zdawały się być przystępnymi, jeden w bastjonie Kanoników, drugi w bastjonie Ś. Karola, trzeci nad dwoma pierwszemi, w warowni Królewskiej. Jenerał Siusze i officerowie, dopomagający mu swemi radami, postanowili rozstrzygnąć rzecz całą szturmem ogólnym, i albo zginąć, albo zdobyć miasto niższe, po

którego wzięciu zdobycie wyższego byłoby zapewnione. Jenerał Sin-sze powierzył dowództwo szturmowi jenerałowi Palombini, będącemu na służbie w przykopach dnia tego, i oddał pod jego rozkazy 1500 grenadjerów i woltjerów z saperami opatrzonemi w drabiny. Jenerał Monmari (Montmarie), już to jako rezerwa, już dla opierania się wycieczkom z twierdzy, zostawał nieco na lewo z 5-tym lekkim i 16-tym linjowym pułkami. Dalej jeszcze na lewo, dwa bataljony 7-go linjowego wspierały tegoż jenerała Monmari. Umówiono się, że Oliwo wyrzuci gromadę pocisków na oba miasta, i że w stronie przeciwniej, jenerał Harisp zagrażać im będzie z całą swoją dywizją. Z drugiej strony, Hiszpanie postawili w mieście niższém jenerała Sar-field z wyborem wojska. Ponieważ obie strony były przejęte równą wściekłością, zaniechano zwyczaju wezwania do poddania się przed przypuszczeniem szturm.

Wieczorem o siódmej godzinie, nim jeszcze zmierzchno, trzy kolumny rzucają się jednocześnie na trzy wyłomy. Piérwsza, złożona z ludzi wyborowych 116-go, 117-go i 121-go pułków, pod rozkazami pułkownika inżynjerów Bujje (Bouvier), uderza na wyłom bastjonu Kanoników, i usiłuje zdobyć go pomimo Hiszpanów, którzy opierają się im już wystrzałami z bliska, już bagnietami. Po walce najzaciętszój, kolumna ta dostaje się aż do wierzchołka wyłomu, od-piera Hiszpanów, odpartą jest również przez nich, ale powraca do boju i utrzymuje się walcząc zawzięcie. Secina grenadjerów, wysła-na przeciw lunecie położonej na prawo, zdobywa tę fortyfikację, i bieży potém ku bastjonowi Kanoników dla wsparcia oddziału pułko-wnika Bujje. Tymczasem, druga kolumna, pod dowództwem szefa bataljonu polskiego Fondzelskiego, złożona z ludzi wyborowych 1-go i 5-go lekkiego, i 42-go linjowego pułku, rzuciwszy się na bastjon Ś. Karola, spotyka tam silny opór. Ale, wsparta trzecią kolumną, prowadzoną przez pułkownika Burżoa (Bourgeois), utrzymuje się na wyłomie, i w końcu opanowuje go. Dowódzca bataljonu Fondzelski ściga wtedy Hiszpanów przez miasto niższe, zdobywa zawały ulic i walczy od domu do domu, gdy tymczasem kolumna Burżoa, postę-pująca za nim, dąży na lewo, łączy się z kolumną Bujje i pomaga jej do zdobycia bastjonu Kanoników. Dzięki téj pomocy, bastjon ten jest wreszcie zdobytym, i dwa oddziały połączone uderzają na zamek królewski. Dostają się na wyłom i wpadają do niego. Hiszpanie bro-nią się tam do upadłego, i giną wszyscy z bronią w rękę.

Tymczasem jenerał Sarfield, nadbiegłszy z rezerwą, rzuca się z wściekłością na kolumnę Fondzelskiego, która już była zajęta poło-

wę niższego miasta. Kolumna ta, stosownie do rozkazów jakie otrzymała, chroni się wtedy do domów, i broni się tam upornie czekając nim pomoc nie nadejdzie. Szczęściem, pułkownik Rober 117-go pułku, z adjutantem głównodowodzącego generała, P. de Rini (de Rigny), przyprawdzającym rezerwę 5-go lekkiego, 42-go, 115-go i 121-go liniowych pułków, wspiera kolumnę Fondzelskiego, odiera żołnierzy Sarfielda, kładzie trupem lub wrzuca do morza część ich, odpycha innych aż do bram miasta niższego, i zatrzymuje się tylko pod murami miasta wyższego. Niektórzy z naszych żołnierzy giną tam skutkiem zbytcej śmiałości.

Szturm rozpoczęty o siódmj godzinie, skończył się o ósmj. Mieliśmy w naszj posiadaniu około stu armat, ogromną ilość amunicji, niewielu więźniów pozostałych przy życiu, ale wielu rannych i zabitych, bastjony Ś. Karola i Kanoników, warownię królewską, całe miasto niższe, port i baterje go opasujące. Nie tracąc czasu, zaczęto strzelać na eskadrę angielską, która wyszła natychmiast pod żagle, przywitawszy nas swemi wystrzałami. Po tjj upornej walce, zajęto się policzeniem strat. Mieliśmy do zwalczenia 5000 Hiszpanów. Położyliśmy ich trupem około 1300 ludzi, a wzięliśmy w niewolę zaledwo 200, najwięcej raniomych. Sami mieliśmy niezdatnych do boju 500 ludzi. Spalono 1400 ciał tak francuzkich jak hiszpańskich.

Przypuściliśmy już byli cztery szturmy mordercze, i nie był to ostatnim z tych, jakie nas miało kosztować oblężenie Tarragony, co było dowodem nadzwyczajnego męstwa tak w obronie jak w napadzie. Należało koniecznie dokonać oblężenia, gdyż flotta angielska, posunawszy się po raz drugi z południa ku północy brzegami Katalonji, dostarczyła generałowi Kampo-Werde nowego oddziału Hiszpanów, a przytjm dwutysięcznego korpusu Anglików. Pozostawało jeszcze najmniej dwanaście tysięcy żołnierza w mieście wyższj z ogromną artylleryją, i wycieczka z miasta, połączone z napadem zewnątrz, mogła nas zachwyć co chwila. W istocie, 24 go wielki ruch dał się widzieć w załodze, konni posłańcy ukazywali się ciągle w kierunku Barcelony. Głównodowodzący postawił generała Harisp, któremu chętnie powierzał najtrudniejsze działania, w przodzie Tarragony, na drodze do Barcelony, z dwoma dywizjami i całą kawalerją armji. Sam rozlokował się pomiędzy twierdzą, gdzie przyspieszano roboty przykopowe, a wojskiem generała Harisp, gotowym będąc do ruszenia na miejsce, w którj pomoc jego byłaby najpotrzebniejszą, i przepędził te ostatnie dni pomiędzy okopem a swoim obozem zewnątrznym.

Okop był prowadzony na pewnego rodzaju podniesionej płaszczyźnie, zlekka pochylonej, służącej za podstawę miastu wyższemu, i będącej na równi z dachami miasta niższego. Nasza pierwsza i jedyna linja równoległa obejmowała prawie cały front miasta wyższego, składający się w tej stronie z czterech bastjonów, i miała za główny cel ustawienie dwóch baterij wyłomowych, skierowanych przeciw bastjonowi Ś. Pawła, ostatniego z lewej strony. Bastjon ten zasłaniał kąt utworzony przez bok zachodni, na który mieliśmy skierować strzały, i przez bok północny, na który miano leżeć po drabinach. Przyspieszano bardzo roboty, ażeby zrobić prędko wyłom, gdyż nie spodziewano się, żeby ta załoga ożywiona mężstwem, poniósłszy cztery szturmy, chciała uniknąć ostatniego, który jednakże naraziłby ją na ostatnią zgubę. Gdy jeden z naszych parlamentarzy wystąpił z naszych okopów, powiewając białą chustką, otrzymał tylko obelgi za całą odpowiedź. Ponieważ jeden z dezertarów doniósł, że napaść zewnątrz miała nastąpić 29-go, głównodowodzący przygotował wszystko dla przypuszczenia ostatniego szturm 28-go Czerwca wieczorem. Przyspieszono wystawienie baterji wyłomowej, która była całkowicie uzbrojona w nocy z 27-go na 28-my, przyczem żołnierze pełni zapału zaprzęgali się do dział, które z największą trudnością zdolano wciągać po tym gruncie urwistym. 28-go Czerwca, który miał być ostatnim dniem tego pamiętnego oblężenia, odkryto ogień od świtu z pewnym rodzajem niespokojności, gdyż nagłą rzeczą było zrobić wyłom przystępny w tym samym dniu. Trzysta dobrych strzelców, postawionych na częściach wystających gruntu, dawali ognia do strzelnic nieprzyjaciela dla zdemontowania jego artyllerii, i Hiszpanie sami ukazując się śmiało na wyłomie, strzelali ze swjej strony na naszych kanonjerów. Nic nie mogło zachwiać odwagi tych ostatnich. Skoro jedni upadali, miejsce ich zastępowali drudzy, którzy z równemże poświęceniem przedłużali dzieło zniszczenia, nieodbitie potrzebne dla otworzenia nam murów Tarragony. Nakoniec ku południowi wyłom zdawał się znacznie rozszerzać i zniżyć w pewnym sposobie pod naszymi kulami, które zwiększając coraz ilość gruzów, czyniły pochyłość mniej stromą. Żołnierze nasi, zbiegłszy się z rozmaitych punktów, przypatrywali się chciwie temu widokowi, gdy tymczasem załoga hiszpańska, ze szczytu swych wałów, wyzywała nas okrzykami i obelgami.

O godzinie piątej wieczorem generał Siusze postanowił przypuścić szturm, ażeby uniknąć boju nocnego, jeżeli, jak powiadano, mieliśmy znaleźć wielką ulicę Rambla, przerywnąją w poprzek

wyższe miasto Tarragonę, przeciętą zawałami i obroną. Jenerał Haber (Habert), który zdobył miasto Lerydę, miał dowodzić szturmem. Tysiąc pięćset ludzi w dwóch oddziałach wziętych z kompanij wyborowych 1-go i 5-go lekkich, oraz 14-go, 42-go, 114-go, 115-go, 116-go, 117-go i 121-go linjowych pułków, nadto, z pierwszego pułku polskiego Nadwiślańskiego, zostało oddanych pod jego rozkazy. Druga kolumna, prawie téjże saméj siły, wybrana z pułków francuzkich i włoskich obecnych przy oblężeniu, była oddaną pod rozkazy jenerała Fikatje (Ficatier), i trzymana w rezerwie. Na lewo, z boku północnego czyniącego kąt z bokiem zachodnim, na który robiliśmy napad, jenerał Monmari miał, na czele 116-go i 117-go pułków, wedrzeć się za pomocą drabin przez bramę Różańca, bardzo blisko leżącą bastjonu, w którym zrobiono wyłom, i odpowiadającą końcowi ulicy Rambla. Po dokończeniu tych przygotowań o pół do szóstej, głównodowodzący daje znak, i pierwsza kolumna szybkim krokiem przebywa pewną przestrzeń odkrytą, bierze się nieco w bok dla uniknienia aloesów rosnących u stóp wałów, potem znowu dąży prostą drogą do wyłomu, i zaczyna wdzierać się nań pod gradem kul. Najodważniejsi żołnierze z pomiędzy Hiszpanów, uzbrojeni w karabiny, piki, siekiery, wydając wściekłe wrzaski, czekają oblegających na wierzchu wyłomu. Na tym gruncie ruchomym, wystawieni na bliskie strzały, na uderzenia pik i bagnatów, żołnierze nasi padają, podnoszą się, idą w zapasy, i jużto naprzód postępują, już cofają się pod podwójnym naciskiem, który z przodu ich odpycha, z tyłu wstrzymuje i pehnie naprzód. Na chwilę bliscy są ustąpienia przed patriotyczną wściekłością Hiszpanów, kiedy na nowy znak głównodowodzącego, druga kolumna się rzuca, prowadzona przez jenerała Haber, przez pułkownika Pepe, przez szefa bataljonu Czeroni, i przez wszystkich adjutantów jenerała Siusze, PP. de Sę Żozef, de Rini, d'Aramon, Moje, Deze, Rykar, Owřej. Do nich przyłącza się sierżant włoski, nazwiskiem Bjankini (Bianchini), który w nagrodę okazanych cudów waleczności przy zdobyciu Oliwo, na własną prośbę otrzymał zaszczyt iść na czele w ostatnim szturmie Tarragony. Ten posiłek nadaje nowy i silny popęd naszej pierwszej kolumnie, podnosi ją aż na wierzch wyłomu, i dostaje się tam razem z nią. Mężny Bjankini, otrzymawszy kilka ran, postępuje jeszcze kilka kroków i pada. Młody d'Aramon otrzymuje ranę w udo. Wreszcie przebijają się przez gromady obrońców, dostają się do miasta, i rozbiegają się jedni na prawo, drudzy na lewo, dla obejścia ulicami pobocznemi ulic przeciętych zawałami, szczególniej ulicy Rambla. Głównodowodzący wprowadza natychmiast

rezerwę generała Fikatje dla prowadzenia téj drugiej walki, która mogła być bardzo morderczą i niebezpieczną, gdyż załoga, mająca jeszcze dziesięć do dwunastu tysięcy ludzi, postanowiła bronić się do upadłego. Tymczasem, generał Monmari podstępnie pod bramę Różańca z 116-tym i 117-tym linjowemi pułkami, wyrwa palissadę drogi krytej, i rzuca się do rowu pod morderczym ogniem nieprzyjaciela. Chce przystawić drabiny do bramy, lecz znajduje ją zamurowaną i zawałoną. Sznur z węzłami, spuszczonej z jednej strzelnicy, i służący Hiszpanom do wstępowania, odkryty zostaje przez naszych wołyżerów, którzy chwytają zań i włączają jeden po drugim, gdy tymczasem dwa pułki zostające w rowie wystawione są na ogień z murów. Ale zaledwo niektórzy z naszych odważnych wołyżerów dostali się tym sposobem do twierdzy, Hiszpanie rzucają się tłumnie na nich dla ich wytępienia. Mają już uledek, gdy officer inżynierów Wakani, wszedłszy do miasta z oddziałem saperów za pierwszemi kolumnami, otwiera razami siekiery bramę Różańca, i daje wolny wstęp wojsku generała Monmari. Ten rzuca się wtedy wewnątrz miasta wyższego, i atakuje Ramblę z wojskami generałów Haber i Fikatje. Nasi żołnierze rozjątrzeni na nic już nie zważają, i mordują bagnetami wszystkich, co napotkają. Rozjuszeni na oddział nieprzyjacielski, uciekający do katedry, ścigają go aż do tego gmachu, do którego się wstępuje po sześćdziesięciu stopniach, wdzierają się temi stopniami pod gradem kul, wpadają do kościoła, i zabijają bez litości nieszczęśliwych, którzy tyłu z nich trupem położyli. Jednakże, znalazłszy w téj katedrze kilkuset rannych, zatrzymują się i zostawiają ich przy życiu. W téj chwili ośm tysięcy ludzi, pozostałych przy życiu z całej załogi, wyszedłszy przez bramę Barcelońską, starają się ocalić ucieczką na flotę. Opychają ich na generała Harisp, który zastępuje im drogę i zmusza do złożenia oręża. Od téj chwili, miasto wyższe, podobnie jak niższe, jak Frankoli i Oliwo, pozostaje w naszej mocy.

Takim był ten morderczy szturm, najzaciętszy może ze wszystkich jakie kiedykolwiek przypuszczano, przynajmniej do owéj epoki. Wyłomy były pokryte ciałami francuzkami, ale miasto zawałone było w daleko większej liczbie trupami hiszpańskimi. Bezład straszny panował w tych ulicach gorejących, gdzie od czasu do czasu niektórzy Hiszpanie zagorzali dawali się zabijać, żeby mieć przyjemność zamordowania jeszcze kilku Francuzów. Nasi żołnierze idąc za popędem uczucia wspólnego wszystkim wojskom, które wzięły szturmem

miasto, uważali Tarragonę za swoją własność, i rozbiegli się po domach, gdzie popełniali więcej szkody niżeli rabunku. Ale generał Siusze i oficerowie jego pospieszyli za nimi dla przełożenia im, że było to nadużycie haniebne i barbarzyńskie prawa wojny, i bez trudności ich stamtąd odwołali, zwłaszcza odtąd jak walka ustała, i wystrzały nie przejmowały ich wściekłością. Powoli przywrócono porządek, ugaszono pożary, i zaczęto obliczać zdobycze, równie jak straty. Zdobyto więcej 300 armat, niezmierną ilość karabinów, pocisków, amunicji wszelkiego rodzaju, ze dwadzieścia chorągwi, dziesięć tysięcy niewolnika, i na czele ich samego gubernatora Kontrera (Contreras), któremu generał Siusze okazywał wielkie poszanowanie, chociaż ostatni szturm był czynem bezpożytecznej rozpacz, którego można było oszczędzić tak wojsku hiszpańskiemu jak francuzkiemu. Ale należy szanować patriotyzm, jakkolwiek on byłby zapamiętałym. Oprócz dziesięciu tysięcy niewolnika, załoga straciła niemniej jak sześć do siedmiu tysięcy ludzi od żelaza i ognia. Ostatni ten szturm nadewszystko był jednym z najkrwawszych. Co do nas, straty były także bardzo znaczne. Mieliśmy ubytych z szeregów nie mniej jak 4,000 ludzi, z których tysiąc do tysiąca dwiestu zabitych, i tysiąc pięćset do tysiąca ośmiuset nieposobnych do wrócenia kiedykolwiek w szeregi, tak ciężko byli pokaleczeni. Straciliśmy około dwudziestu oficerów inżynjerji, gdyż ten korpus, godny uwielbienia we Francji, okazał tyleż odwagi co pojętności w tém pamiętném oblężeniu, które trwało prawie dwa miesiące, i podczas którego otworzyliśmy dziewięć wyłomów, dokonaliśmy cztery zstąpien w rowy, przypuściliśmy pięć szturmów, z których trzy, do Oliwo, do miasta niższego i miasta wyższego, mogą się pomieścić w rzędzie najzacieśszych, jakie kiedykolwiek widziano.

Wzięcie Tarragony było dziełem największej wagi: odejmowało ono powstaniu katalońskiemu jego główną pomoc, odłączało go od powstania walencjańskiego, i musiało wyrzucić na cały Półwysep wielki wpływ moralny, z którego możnaby było wyciągnąć wielkie korzyści, gdyby wszystko było gotowe naówczas dla zgębienia Hiszpanów za pomocą wielkiego skupienia sił. Niestety, nie tak się miały rzeczy, i przy zajęciu wyłącznym innem przedsięwzięciem, które zaprzętało w téj chwili umysł Napoleona, to wielkie oblężenie miało za jedyny rezultat otworenie nam drogi do Walencji. Generał Siusze miał rozkaz wysadzenia w powietrze Tarragony, gdyż Napoleon, i słusznie, chciał ograniczyć na jednej Tortozie twierdze zajmowane w téj części Hiszpanji, i zgadzał się na zachowanie Tortozy

z powodu tylko ująć Ebru. Ale Siusze przekonawszy się, razem z jenerałem Ronja (Rogniat), że ograniczywszy się zachowaniem wyższego miasta, można go było strzedz tysiącem ludzi, wysadził w powietrze tylko fortyfikacje niższego, zostawił w wyższym mieście załogę dobrze opatrzoną w amunicję i żywność, starał się uspokoić i przywołać na powrót mieszkańców, złożył swój park oblężniczy i amunicję w Tortozie, odesłał swoje główne oddziały na stanowiska, z których był je ściągnął, dla poskromienia band, które stały się bardzo zuchwałemi podczas oblężenia, i z brygadą piechoty pośpieszył w tropy za margrabią Kampo-Werde, dla rozbitcia jego korpusu, nim wsiądzie na okręty. Chociaż ścigał go z wielką szybkością, nie zdołał go dognać. Znalazł w Villa-nova z tysiąc rannych, pozostałych od oblężenia Tarragony, wysadzonych z okrętów na ten brzeg, i tworzących resztę załogi ośmnastu tysięcy ludzi, z których 10,000 było wziętych w niewolę, a 6 do 7 tysięcy zabitych. Poszedł potem drogą Barcelońską w ślad za margrabią Kampo-Werde. Ten doznawszy pewnego rodzaju buntu ze strony Walencjan, którzy chcieli być odesłani do domów, zmuszony był rozłączyć się z nimi, i posadzić ich w Mataro na flotę angielską. Jenerał Siusze, z jenerałem Moris-Matje, który wyszedł był z Barcelony, przybył do Mataro w chwili kiedy odpiynięcie tego oddziału uskuteczniało się. Puścił się tedy dalej w pogoń za Kampo-Werde i opasał słynny klasztor Mon-Serra, który wkrótce potem wojsko jego zdobyło z nadzwyczajną śmiałością. Wyświadczył tym sposobem wszelkie usługi jakie mógł armji Katalońskiej, zawsze zajętej blokadą Figjery i perjodycznym opatrywaniem w żywność Barcelony, potem powrócił do Saragossy dla uporządkowania spraw swojego zarządu. Znalazł tam buławę marszałkowską, słuszną nagrodę swych zasług; albowiem jeżeli pamiętne oblężenia dokonane w Aragonji i Katalonji, najpiękniejsze jakie kiedykolwiek wykonano od czasów Wobana, doprowadzone były do skutku po większej części za sprawą oficerów inżynjerji i mężnych żołnierzy armji Aragońskiej, były téż w znacznej części skutkiem wojennego talentu głównie-dowodzącego, i zręcznej biegłości jego administracji.

Miesiące lipiec, sierpień, a niekiedy i wrzesień, muszą być w Hiszpanji miesiącami zupełnej bezczynności. Anglicy zostawali, podczas tych gorących miesięcy, na jedném miejscu; nawet nasi żołnierze, zwinniejsi, więcéj przywykli do niedostatku, czuli jednakże potrzebę niejakiego odpoczynku po tylu bezustannych marszach, i sami nawet Hiszpanie doznawali w téj porze roku zmniejszenia swéj skłonności do przebiegania kraju, choćby tylko dla zebrania z pola. Jednakże

w Andaluzji, marszałek Sult swoim pobylem przymusowym w Llerenie pozostawił tyle spraw w zawieszeniu, że był zmuszony czynnie się zajmować przez te miesiące, zwykle poświęcone spoczynkowi. Dwie dywizje hiszpańskie, które pod jenerałem Blake przyczyniły się do wygranej pod Albuera, odłączyły się od wojska lorda Wellingtona dla niepokojenia Sewilli. Ale zamiast wprost iść do celu, który wart był takiego rozerwania sił, udały się one do hrabstwa Niebla, przy ujściu Gwadjany. Marszałek Sult kazał postępować za nimi jedną z swoich dywizji, a zresztą wojska udał się do Sewilli, dla ułatwienia spraw swojego zarządu. Znalazł powstańców gór Rondy, zawsze bardzo czynnych, zajętych obleganiem samego miasta Rondy, a powstańców Murcji, po zmuszeniu 4go korpusu do zamknięcia się w Grenadzie, ośmielających się posuwać aż do Baeza i Żaen, blisko wąwozów Karoliny, w pozycji, w której mogli przeciąć komunikację Andaluzji z Madrytem. Należało więc iść razem na Rondę, Żaen, Baezę i Grenadę, dla poskromienia zuchwałości tych rozmaitych oddziałów. Marszałek Sult, korzystając z odjazdu marszałka Wiktor i jenerała Sebastjani, zniósł rozdzielenie wojska na korpusy, niedogodne wszędzie, gdzie Napoleon osobiście się nie znajdował, pozostawił nie więcej jak dwanaście tysięcy ludzi przed Kadyksem, licząc w to razem artylerzystów i marynarzy, potem odwoławszy oddział, który był wysłał do hrabstwa Niebla, i którego obecność dostateczną była do zmuszenia dwóch dywizji jenerała Blake wsiąść na okręty, ruszył sam z tém co mógł zgromadzić wojskiem do królestwa Grenady.

Przodem wysłał jenerała Godino (Godinot), mającego z sobą oddział, składający się z trzech pięknych pułków piechoty 12go lekkiego, 55go i 58go linjowych, i 27go dragonów. Oddział ten miał wygnać powstańców z Żaen i Baeza, wówczas gdy korpus główny miał się udać wprost do Grenady. Powstańcy, chociaż w znacznej liczbie, nie mogli się utrzymać tą razą jak się nie utrzymywali zwykle w otwartém polu, i opuścili kolejno Żaen i Baeza, dla powrócenia do królestwa Murcji. Marszałek wszedł do Grenady, zgromadził tam część 4go korpusu, i 8go Sierpnia opuścił to miasto dla przedłużania swego pochodu. Powstańcy Murcji połączyli się tymczasem z jenerałami Blake i Ballesteros, którzy dostali się na okrętach angielskich od ujść Gwadjany do Alwerji, i obrali silne stanowisko pod Venta de Baul. Liczba ich razem wynosiła do 20,000 ludzi. Położenie urwiste i prawie nieprzystępne, jakie zajmowali, przedstawiało przeszkody trudne do pokonania, i straciliśmy tam z początku nieco ludzi w bezpożytecznych napadach. Ale jenerał Godino, który wyparł był

z Żaen powstańców Murcji i pędził ich przed sobą, posunął się dla obejścia tego stanowiska; a zaledwo ujrano go na lewém skrzydle marszałka Sulta, Hiszpanie cofnęli się w nieładzie do prowincji Murcji. Skoro zaczęli się raz cofać, nie oparli się nigdzie, i pozostawili po drodze wielu pojedynczych żołnierzy, których kawalerja generała Latur-Mobur zabrała w znacznej liczbie w niewolę, lub porąbała szablami. Prędkie i całkowite rozproszenie tego korpusu dawało nadzieję, nie już całkiem go nie widzieć, ale przynajmniej nie być od niego przez kilka miesięcy napastowanym. Marszałek Sult, pozostawwszy w Grenadzie część wojsk dawniejszego 4go korpusu, i wysławszy posiłki do Rondy, pod dowództwem generała Leval, powrócił do Sewilli, dla zajęcia się tam wreszcie oblężeniem Kadyksu, i zebraniem zapasów, na których zbywało jeszcze dla uskutecznienia tego oblężenia.

Ostatek miesiąca Sierpnia przeszedł w zupełnej prawie bezczynności. Marszałek Sult dawał odpoczynek swoim wojskom, które z 80,000 przez trudy i ogień zmniejszone zostały najwięcej kiedy do 40,000, i prowadził spór z Józefem o rozmaite oddziały, których wojsko środkowe dopominało się u wojska andaluzyjskiego; marszałek Marmon leżał obozem zawsze nad Tagiem pod Alwaraz, i kłócił się też z Józefem względem furazowania swojego wojska, które chciał posunąć aż do Toledu; Józef nie przestawał narzekać na niedostatek, żądając ażeby w braku czwartej części kontrybucij, mającej być płaconą przez generałów, a nigdy nie uiszczanej, Napoleon przysłał mu pieniędzy miljonem więcej na miesiąc, a za całą pociechę otrzymał, że jego przyjaciel Marszałek Żurdan (Jourdan) wrócony mu został jako szef głównego sztabu; marszałek Siusze będąc panem u siebie, i nie mając potrzeby spierania się z nikim, robił przygotowania w cichości na wyprawę do Walencji, którą Napoleon mu zalecił jako następstwo konieczne zdobycia Tarragony; wreszcie, generał Baragie d'Illje (Baraguej - d'Hilliers), któremu powierzono wyłącznie blokadę Figjery, odpartszy do tej fortecy Hiszpanów, którzy probowali ujsć stamtąd, zmusił ich do poddania się, i do odpokutowania tym sposobem za wzięcie podejściem tej pogranicznej twierdzy.

Podczas tych miesięcy przepędzonych w bezczynności, lord Wellington tworzył swe plany dla rozpoczęcia działań we Wrześniu, a zamiarem jego było nie co innego, jak zdobycie Ciudad-Rodrigo i Badajozu. W istocie, odtąd jak udało się mu oswobodzić Portugalję od Francuzów, nie miał nic lepszego do czynienia, jak zdobyć albo twierdzę Ciudad - Rodrigo, albo Badajoz, a nawet obie, gdyby się

udało, gdyż one były kluczem do Hiszpanji, jedna na północy, druga na południu. Zostawszy panem tych twierdz, przeszkadzał Francuzom opanowania Beiry lub Alentejo, i łatwoby mu było za pierwszą zęczością opanować Kastylję i Andaluzję. Zdobyć więc te twierdze, znaczyło zamknąć swe wrota, a trzymać zawsze otworem wrota przeciwnika. Miał jeszcze inną pobudkę do działania w ten sposób, to jest, żeby uczynić wreszcie cokolwiek, gdyż od sześciu miesięcy jak Portugalja była oddebrana, nie przydał żadnego znakomitego czynu do swych uprzednich dzieł. Wychwalano bardzo jego działania w Anglii, i słusznie, ale może już nazbyt, jak to się zwykle dzieje, kiedy komu nie oddają przez czas długi winnej sprawiedliwości. Opinia publiczna z swą zwykłą niestałością wynosi pod obłoki tego, na którego przedtém nie chciała nawet zwracać uwagi. Pozostawała zresztą opozycja, która po części dobrą wiarą, po części przez systematyczną walkę, była gotową powtarzać, że bez wątpienia zdołano obronić Portugalję przynajmniej na czas jakiś, ale że więcej nic nie dokażą, że prowadzono na Półwyspie wojnę kosztowną, bez żadnego prawdopodobnego rezultatu, bez rezultatu, któryby odpowiadał wielkiemu niebezpieczeństwu, na jakie się narażono, to jest, być kiedy wrzuconym do morza przez Francuzów. Nie potrzeba było długiej beczynności, długiego braku pocieszających wiadomości, ażeby wrócono do tego sposobu myślenia, który podzielało bardzo wielu rozsądnych ludzi; nie potrzeba było do tego nadewszystko wielu takich wypadków, jak ostatnie zdjęcie oblężenia Badajozu. Lord Wellington był więc zmuszony z wielu bardzo przyczyn, jednych wojskowych, drugich politycznych, odznaczyć się przez jaki czyn nowy, a mianowicie zdobyć Badajoz lub Ciudad-Rodrigo, dwie przeszkody, które mu czyniły niepodobnym wszelkie działania dalsze jakiegokolwiek wagi.

Ale nie było to łatwe zadanie, gdyż jeśliby się zwrócił ku Badajozowi, należało przypuszczać, że znalazłby tam jeszcze połączonych marszałka Sulta z marszałkiem Marmon; gdyby zaś uderzył na Ciudad-Rodrigo, mógłby tam znaleźć marszałka Marmon, ze wszelkiemi posiłkami, jakie można było ściągnąć z armji środkowej i północnej. W obu razach, narażał się na spotkanie sił dość znacznych, żeby się ośmielić w obec nich na rozpoczęcie wielkiego oblężenia, gdyż, według jego zwyczaju, nie chciał inaczej staczać walki jak na pewno, to jest, w pozycjach obronnych, prawie niezdobytch, i z wyższością liczebną, która przy dobrym wyborze miejsca czyniła rezultat o tyle pewnym, o ile on być może na wojnie. Jednakże, jeżeli był narażony

na spotkanie czy to na południu, czy na północy, skupienia sił przewyższającego armję, którą dowodził, lord Wellington miał także ze swej strony niezaprzeczone korzyści. Droga, którą sam był przepro-dził wewnątrz granic Portugalji, z północy na południe, droga, którą nie raz już przebiegał, i która szła z Guarda na Espinhal i Abraantes do Elwas, utrzymywaną była starannie, opatrzoną licznymi magazynami, oraz mostami na Mondego i Tagu. Szło tamtędy za nim sześć tysięcy mułów hiszpańskich obciążonych żywnością; rozkazywał tam jeden, nie zależał od nikogo, słuchano niezwłocznie każdego jego rozkazu, a rozkaz ten był zawsze trafnie wydany, bo posiadał niezmierną korzyść, której przypisywał sam część swojego powodzenia, to jest, że był zawsze dokładnie uwiadomionym przez Hiszpanów o wszystkich ruchach swoich przeciwników. Jenerałowie francuzcy, przeciwnie, byli niezależni jeden od drugiego, znajdowali się w znacznej od siebie odległości, niezgodni, ogołoceni ze wszystkiego, niewiadamiani o niczem, cudem jakimś znajdowali się połączeni raz jeden, w celu wspólnym, z zapasami potrzebnymi do działania nieco ważniejszego. Ażeby marszałek Sult otrzymał pomoc od marszałka Marmon, potrzeba było żeby ten, zapominając na urazę wojska portugalskiego, przybył pośpiesznie na jego pomoc, żeby chciał i mógł to uskutecznić, żeby przedewszystkiem miał most i zapasy żywności w Alwaraz. Ażeby marszałek mógł w porę podać pomoc Ciudad-Rodrigo, potrzeba było, ażeby dowódzca armji północnej chciał mu w tém dopomódz, żeby w tym celu zgodził się na zaprzestanie ści-gania band powstańców, żeby zgromadził dwanaście do piętnastu tysięcy ludzi na jeden punkt, żeby zaniedbał tym sposobem wiele innych, i żeby przygotował w tym zamiarze znaczne magazyny w Salamance; albo wreszcie żeby armja środkowa, która mogła zaledwo strzedz Toledo, Madrytu, Gwadalaksary, zaniechała jednego z tych stanowisk tak ważnych dla ocalenia stanowiska, którego straż nie była jój powierzona, i żeby wreszcie ci wszyscy jenerałowie, nie zazdroszcząc jeden drugiemu, poszli zgodnie na Ciudad-Rodrigo. A gdyby nawet chcieli i mogli to uczynić, potrzeba było żeby uwiadomieni byli w porę o ruchach nieprzyjaciela, które wymagały tego skupienia sił. Napoleon wprawdzie zalecił im żeby pomagali sobie wzajemnie, ale nie mogąc przewidzieć wszelkich przypadków, przepisał to im tylko sposobem ogólnym, a widzieliśmy już jak oni wypełniali rozkazy nawet najdokładniejsze, wydane na przypadek ściśle oznaczony i naglący. Nie było rzeczą niepodobną dla lorda Wellingtona, czyniąc przygotowania potajemnie, i ukrywając zręcznie swe ruchy, obrócić dwadzie-

ścia pięć do trzydziestu dni na dokonanie wielkiego oblężenia, nim Francuzi przybyliby na pomoc oblężonej twierdzy. W takich to widokach lord Wellington kreślił plany swych działań na jesień 1811, i na zimę z 1811 na 1812.

Ponieważ zaś żołnierze jego byli wtedy nieco odstręczeni oporem doznany w Badajozie, postanowił zmienić przedmiot swych zabiegów, i zwrócić swe usiłowania na Ciudad-Rodrigo. Zrobił zresztą tę trafną bardzo uwagę, że marszałek Marmon, idąc górami z Naval-Moral do Salamanki na pomoc Ciudad-Rodrigo, miał daleko mniej sposobności połączenia się z dostatecznymi siłami, niżeli zstępując w doliny Estremadury dla przyniesienia pomocy Badajozowi, gdyż w tym ostatnim razie był zawsze pewnym znaleźć tam marszałka Sultá, mającego w swém rozporządzeniu daleko więcej środków niżeli marszałek Bessjer w Kastylji, i wiedzionego własnym interesem największej wagi do obrony Badajozu. Wypadało więc lepiej próbować napadu na Ciudad-Rodrigo, niżeli na Badajoz: jedna tylko trudność zachodziła z téj strony, to jest, że nie miał parku oblężniczego, ani téż miejsca obronnego dla strzeżenia go, i dla tego to, lord Wellington nie mógł odżałować, że widział Almeidę w oczach jego zniszczoną przez Francuzów. Przeciwnie, dla napadu na Badajoz posiadał dwa obszerne składy obronne, najprzód Abrantes, gdzie marynarka angielska sprowadziła wodą ogromne zapasy, a potem Elwas, dokąd prowadziła z Abrantes piękna droga, i gdzie można było pomieścić bezpiecznie wszelki sprzęt potrzebny do wielkiego oblężenia.

Jednakże, nie dając się odstręczyć tą trudnością kazał sprowadzić potajemnie w okolice Ciudad-Rodrigo park ciężkiej artyllerii, przewożąc sztuka po sztuce, a potem miał ostrożność ukryć go po wielu wsiach. Sprowadził także kolejno wszystkie swe dywizje do wyższej Beiry, oprócz dywizji generała Hill, pozostawionej na obserwacji nad Gwadjaną, i rozłożył się obozem po za Agueda, pozostawiając partyzantowi Don Żiuljan staranie ogłodzenia Ciudad-Rodrige przez nieustanne wycieczki po sąsiednich okolicach.

Ku końcowi Sierpnia i na początku Września, marszałek Marmon, lepiej uwiadomiony tą razą niżeli zwykle o ruchach nieprzyjaciela, dowiedział się o zmianie miejsca przez armję angielską, a razem otrzymał wiadomość od generała Rejno (Reynaud), kommandanta Ciudad Rodrigo, że twierdza ta zostanie wkrótce przywiedziona do ostateczności, że załoga, otrzymująca już tylko połowę porcji, będzie miała mięsa tylko do 15go Września, a chleba tylko do 25go, i że po przejściu tego terminu zmuszoną będzie poddać się. Staranie opa-

trzenia w owym czasie w żywność twierdzy Ciudad-Rodrigo należało do armji Portugalskiej. Marszałek Marmon umówił się z jenerałem Dorsenn, który niedawno przedtém zastąpił był miejsce księcia Istrii powołanego do Paryża, ażeby ten jenerał nagotował wielki konwój żywności w okolicach Salamanki, i żeby wyruszył tam z częścią swych wojsk, marszałek zaś Marmon ze swój strony, żeby opuścić brzegi Tagu, przebył Gwadarramę przez wąwóz Banos lub Perales, i podstąpił pod Salamankę, dla przyłożenia się do zaopatrzenia w żywność Ciudad-Rodrigo, pomimo wszelkich niebezpieczeństw, jakie mu z tej strony mogły zagrażać.

Układ ten, bardzo dobrze obmyślony, został ściśle wykonany. Marszałek Marmon skupił swe dywizje i przeprowadził je kolejno przez Gwadarramę. Chciał poprowadzić je wszystkie sześć do Ciudad-Rodrigo, i miałby tym sposobem więcej trzydziestu tysięcy wojska, gdyż wcielił do swojego korpusu część swoich chorych i rannych. Ale potrzeba było do tego, żeby Józef przysłał mu dywizję armji środkowej, ażeby strzedz zapasów armji portugalskiej pomiędzy Tjetar i Tagiem, czego król nie mógł uczynić, chyba z wielkiem swém narażeniem, odkrywając stolicę ze strony Gwadalakşary i Manszy. Ponieważ Józef nie śmiał tego uczynić, marszałek Marmon był zmuszony pozostawić na Tagu, na strzeżenie swych mostów i swych składów, jedną całą dywizję, i wybrał na ten przedmiot tę, która była postawioną na drodze do Truksyllo dla obserwacji ze strony Estremadury. Przebył Gwadarramę z pięcią pozostałemi, i przybył na początku Września w okolice Salamanki z 26 tysiącami żołnierza. Ze swojej strony, jenerał Dorsenn ruszył na Astorga z 15 tysiącami wybornego wojska, złożonego z młodej gwardji i z jednej z dywizyj rezerwowych świeżo przybyłych na Półwysep. Kawalerja szczególniej była pyszną. Spotkał po drodze prawie równą liczbę powstańców galicyjskich pod dowództwem jenerała hiszpańskiego Abadia, poparł ich przed sobą aż do Willafranka, wziął w niewolę lub położył trupem pewną ich liczbę, a potem zwrócił na prawo ku Zamora i Salamance.

Dwudziestego Września, dwie armje północna i portugalska połączyły się z sobą. Były one jak jedna tak druga w bardzo dobrym stanie, pokrzepione odpoczynkiem, opatrzone w potrzebne zapasy, i liczące 6,000 najmniej najlepszej jazdy. Ogólna liczba żołnierzy obu wojsk wynosiła górą 40,000. Armja angielska, zwykle tak dokładnie zawiadomiona o wszystkiém, nie spodziewała się tak rychłego i wielkiego skupienia sił. Była ona prawie tak liczną jak wojsko francuzkie, ale trapioną chorobami, bynajmniej nie przygotowaną do bitwy, roz-

proszoną w leżach oddalonych od siebie, do tego stopnia, że dywizja lekka Krawfurda znajdowała się przed Aguadą, zajęta blokadą Ciudad, główna zaś armia daleko po za tą rzeką. Liczba ogólna żołnierzy lorda Wellingtona nie wynosiła więc więcej nad 25,000 rodowitych Anglików, reszta zaś składała się z Portugalczyków.

Jenerałowie francuzcy, gdyby się starali o wszystkiém być dobrze uwiadomionemi, powinni byli wiedzieć o tém i korzystać z tego dla zadania jenerałowi angielskiemu stanowczego ciosu, od którego zdołał dotąd uchronić się skutkiem swojego szczęścia i swój roztropności. Uwiadomieni czy nie, powinni byli myśleć o tém, że co chwila mogli spotkać armję angielską, połączoną lub rozproszoną, i że w pierwszym razie należało być gotowym do stawienia jój czoła, w drugim do zwalczenia jój.

A zatem powinnością ich było odbywać pochód tak jak gdyby co chwila mogli być narażeni na bitwę. Ale nie uczynili tego bynajmniej i nie zgodzili się nawet z sobą co do postanowienia wydania bitwy, gdyby potrzeba lub skład tylko okoliczności tego wymagały. Umówili się tylko, że jenerał Dorsenn, ruszywszy w prawo na Ciudad-Rodrigo, wprowadzi tam konwój, marszałek zaś Marmon, zwróciwszy się w lewo z swoją jazdą, wykona na Fuente Guinaldo i Espeja silny rekonesans. Ponieważ piechota armji portugalskiej jeszcze była nie przybyła, jenerał Dorsenn użył marszałkowi Marmon dywizij Tjebo (Thiébault), ażeby mógł jój użyć w potrzebie. Postępowano więc naprzód, nim cała armja była zgromadzoną i mogła stawić czoło nieprzyjacielowi, gdyby się ten ukazał. Wprawdzie mało było podobieństwa, ażeby Anglicy chcieli wydać bitwę, gdyż w téj chwili pozycja ich przed Aguadą była niedogodną; ale jakakolwiek była ich obecna pozycja, nie należało tak dalece zbliżać się do nich nie będąc samym w możności korzystania z przyjaznych okoliczności, i zapobieżenia nieprzyjaznym.

Postępowano więc na Ciudad-Rodrigo w rozprężeniu, że tak rzec można, i 23go Września z wielkiém zadowoleniem wprowadzono tam bez wystrzału znaczny konwój żywności. Po dokonaniu tego, jenerałowie francuzcy uskuteczнили byli wprawdzie główne swoje przedsięwzięcie, ale chcieli jeszcze dowiedzieć się, co się działo z armją angielską, i marszałek Marmon, zwróciwszy się na lewo, postanowił wykonać zamierzony rekonesans. Postąpiwszy naprzód z swoją kawalerją, którą dowodził jeszcze waleczny Monbrę, postrzegł dywizję lekką Krawfurda rozdzieloną na dwie brygady, bardzo oddalone od siebie, i w takim stanie, że można było je zniszczyć po

kolei, gdyby napadnięto na nie z silną awangardą. Nadto, lord Wellington, z wojskiem nie dość skupioném, pozbawiony jednej z swoich dywizyj, nie w wybranéj przez siebie pozycji, w jakiej zwykł był walczyć, zostałby bez wątpienia zwyciężony, gdyby pośpieszył na pomoc dwom brygadam Krawfurda, a raz zwyciężony, możeby całkiem został zniszczony.

Nieszczęściem, mając tylko jazdę, z nią uderzono na nieprzyjaciela. Jenerał Monbrę rzucił się na piechotę angielską z swą zwykłą dzielnością, rozbił ją, chociaż stała w dobrej pozycji, zabrał jej cztery działa, ale nie mógł ich zatrzymać, gdyż nie mając ani jednego bataljonu piechoty, nie mógł się oprzeć, skoro piechota nieprzyjacielska, na nowo uszykowana, uderzyła na niego. Marszałek Marmon, obecny téj utarcze, domagał się silnie, żeby mu przyszła w pomoc przeznaczona dla niego dywizja Tjebo; ale jenerał Dorsenn, człowiek niewyrozumiały i bardzo zajęty sobą, chociaż zresztą officer bardzo waleczny, ze złej woli czy z braku czasu, przybył z swą dywizją wtedy, kiedy ona już nie była potrzebną. Albowiem, kiedy się ona ukazała, dwie brygady angielskie, połączone z sobą i uszykowane, były zabezpieczone od wszelkiej napaści.

Nazajutrz cała piechota zostawała w linii bojowej, ale Anglicy byli w zupełnym odwrocie, i znacznie już byli oddalili się, żeby można było ich doścignąć, przynajmniej jednym marszem. Widoczném było że gdyby napadnięto na nich dniem przedtém w należyty porządku, można było ich rozbić zupełnie. Ścigać ich, dognać, pobić, było także jeszcze rzeczą możliwą, gdyby żołnierze mieli przy sobie na trzy lub cztery dni żywności. Ale gdy jej nie mieli, należało powracać nazad po otrzymaniu jedynéj korzyści, opatrzenia w żywność Ciudad-Rodrigo, i doznając ciężkiego żalu, że dozwolono ująć armji angielskiej wówczas kiedy można było ją rozbić. Brak zastanowienia u głównego z naszych dwóch jenerałów, brak pomocy ze strony drugiego, zapewniły szczęśliwemu Wellingtonowi jeszcze jedno powodzenie, wyratowały go z grożącego niebezpieczeństwa, i pozbawiły nas sposobności zniszczenia śmiertelnego nieprzyjaciela, sposobności, która nie raz nadaremno się zdarzała. Był to nowy dowód, prócz tysięcy innych, jak wielka niedogodność zachodziła z powodu braku jedności w dowództwie, i niepodobieństwa zastąpienia téj jedności władzą Napoleona, wykonywaną w odległości Paryża od Madrytu.

Napoleon, jak widzieliśmy, trwał w przekonaniu, że rezerwa świeżo przygotowana, będzie dostateczną na wymagania wojny hiszpańskiej, byle tylko użyto korzystnie jesieni i zimy, i że następnie

będzie mógł odwołać na wiosnę gwardję cesarską, chciał przeto żeby ważniejsze działania rozpoczęły się we Wrześniu. Pierwszém z tych działań było w jego oczach zajęcie Walencji, i dla tego właśnie że zdobycie Tarragony było utorowaniem drogi do tego zajęcia, przyjął z takim zadowoleniem i nagrodił tak świetnie, ostatni czyn jenerała Siusze. Zalecił więc temu marszałkowi, żeby ruszył w pochód najpóźniej 15go Września, obiecując mu, że skoro wyruszy, otrzyma znaczne posiłki z tyłu, już to ze strony jenerała Dekaeln, który zastąpił miejsce jenerała Makdonalda w Katalonji, i pozbył się był Figiery, już to ze strony jenerała Rell, dowodzącego w Nawarze, który miał otrzymać niebawem dwie dywizji rezerwowe. Po wzięciu Walencji, Napoleon spodziewał się, że marszałek Siusze rozciągnie obręb swoich działań do Grenady, że armja andaluzyjska będzie mogła wtedy prawie cała wyruszyć do Estremadury, że połowa téj armji połączywszy się z armją portugalską, zwiększoną przynajmniej do 50,000 ludzi przez wcielenie rananych, chorych i odkomenderowanych będzie mogła w liczbie 70,000 żołnierza wkroczyć do Alantejo, podczas gdy armja północna, wzmocniona dwoma dywizjami rezerwy, posunie się ze swój strony nad Tag drogą, którą szedł Massena, i połączy się z temi 70 tysiącami. Napoleon nie tracił nadziei, że wtedy Anglicy silniej zostaną poparci, i postawieni będą nad przepaścią, którą mieli za sobą, upierając się pozostawać w Lizbonie. Spodziewał się nawet, pomimo tak obszernych planów, że będzie mógł odwołać młodą gwardję, pod warunkiem jednakże zastąpienia jej miejsca przez czwarte bataljony jenerała Drue (Drouet), odprowadzone do Bajonny, i zapełnione tam nowo-zacieżnemi z 1811 i 1812 co miało wynagrodzić, przynajmniej pod względem liczby, odwołanie pułków gwardji. Wkrótce obaczemy ze skutków, czy ten wielki gienjusz mógł sam przez się, jakkolwiek był wielkim, nie być na miejscu obecnym i pomimo to zdrowo sądzić o rzeczach.

Marszałek Siusze nie mniej miał chęci jak Napoleon zdobyć Walencję. Ale z 40,000 żołnierzy zdolnych do boju, których rzeczywiście posiadał na 60,000 ludzi na papierze, stracił 4 do 5 tysięcy, tak przy oblężeniu Tarragony jak w działaniach następnych, a z 35 tysięcy pozostałych, potrzeba mu było odłączyć 12 do 13 tysięcy przynajmniej, dla strzeżenia Aragonji i niższej Katalonji. Mógł więc wyruszyć w pochód tytko z 22 lub 23 tysiącami ludzi, co było bardzo mało dla zdobycia Walencji. Podstąpił on był już pierwój aż pod bramy tego wielkiego miasta, i mógł sądzić o trudnościach przedsięwzięcia, gdyż po drodze należało wziąć Peniskolę, Oropezę, Sagont, potem zdobyć

szturmem Walencję samą, Walencję bronioną przez całą armję Walencjan, przez powstańców Murcji, a nawet przez wojsko generała Blake, składające się z dwóch dywizyj Zayas i Lardizabal, sprowadzonych z nad brzegów Albuery do Grenady uprzedniego miesiąca. Jednakże, pomimo wszystkich tych przeszkód, marszałek Siusze postanowił dopiąć swego, pozostawił jedną dywizję pomiędzy Leridą, Tarragoną i Tortozą, pod rozkazami generała Frer, dla strzeżenia niższej Katalonji, drugą nad Ebrem pod rozkazami generała Miusnje (Musnier) dla strzeżenia Aragonji, i ruszył z 22 tysiącami żołnierza do Walencji. Według swojego zwyczaju, zajął się z największą troskliwością uorganizowaniem z tyłu zapasów żywności i amunicji wojennej. Tortoza, przy ujściu Ebru, była głównym miejscem jego składów. Umieścił tam, po naprawieniu go, park oblężniczy, który służył do zdobycia Tarragony; pozakładał tam obszerne magazyny, które, czternaście wielkich statków pod silną eskortą, idąc i powracając bezustannie Ebrem z Mekinency do Tortozy, zaopatrywało w wysmienite zboża aragońskie. Stamtąd to miano brać amunicję wojenną i zapasy żywności udając się drogą idącą wzdłuż morza z Tortozy do Walencji. Co do mięsa, każdy pułk miał je transportować z sobą, prowadząc trzodę owiec.

Po dokonaniu tych przygotowań, marszałek Siusze wyruszył 15go Września 1811, do Walencji, idąc trzema kolumnami. Z główną z tych trzech, złożoną z dywizyj piechoty generała Haber, brygady generała Rober, jazdy i artyllerji, udał się wielką drogą z Tortozy do Walencji. Dywizja włoska Palombini ruszyła wprawo przez góry Morella do San-Mateo, dywizja francuzka Harisp bardziej jeszcze na prawo, przez Teruel. Miały one, po oczyszczeniu tych rozmaitych dróg, uskutecznić swe połączenie przed Murwiedo, przy wstępie do pięknej doliny, noszącej nazwanie Huerta de Valencia.

Wojsko nie napotkało nigdzie ważnej przeszkody, i rozpędziło z łatwością wszelkie oddziały plondrujące kraj. Kolumna główna idąca po wielkiej drodze z Tortozy, miała jedynnie większe trudności do przewyciężenia, to jest, warownie Peniskoli i Oropezy, panującej razem nad brzegami morza i drogą. Co do warowni Peniskoli, ponieważ ona leżała na kawałku ziemi wchodzącym w morze, i znajdowała się w niejakić odległości od drogi, ograniczono się na odparciu do jej murów załogi, która chciała bronić przejścia, i miniono ją, pozostawiając oddział dla strzeżenia drogi. Nie można było postąpić tak samo z Oropezą, która dosięgała swemi strzałami zatoki i drogi. Ażeby ominąć ją, zboczono z drogi na dwie czy trzy mile, co

przedstawiało wielkie trudności dla artylllerji polnej, a byłoby całkiem niepodobnem dla artylllerji oblężniczej. Ale ponieważ zostawiono tę ostatnią w Tortozie, z zamiarem sprowadzenia jej, gdy się opanuje równina Walencji, postanowiono przedłużyć pochód, z zamiarem wysłania potem kilku bataljonów pod Oropezę, dla otworzenia wielkiej drogi parkowi oblężniczemu.

Dwudziestego Września, trzy kolumny połączyły się z sobą w okolicach Kastelon de la Plana. 21go spotkały kilkuset Hiszpanów, broniących przejścia Minjares, strumienia spadającego z gór do morza. Dragoni rozproszyli ich, i 22go wojsko stanęło u wstępu do tej rozkosznej półkolistej równiny Walencji, otoczonej pięknymi górami, przetrzniętej pośrodku licznymi kanałami, usianej palmami, drzewami oliwnymi i pomarańczowemi, bogato uprawnej, i obmywanej z jednej strony iskrzącem się morzem, nad którego brzegiem wznosi się Walencja z swemi licznymi wieżami. Wstępując do niej od północy (jakoż wojsko postępowało z północy na południe), pierwszą przeszkodą, jaka się przedstawiała, było miasto Murwjedro, otwarte ze wszystkich stron, ale zbudowane u stóp skały, gdzie był dawniej starożytny Sagont, i gdzie jeszcze znajdowała się forteca, złożona z mieszaniny fortyfikacji rzymskich, arabskich i hiszpańskich. Trzy tysiące ludzi z żywnością i amunicją zajmowało tę fortecę, i niepodobna było pozostawić ich z tyłu idąc atakować Walencję, bronioną przez całą armję. Jenerał bowiem Blake szedł połączyć się z Walencjanami, na czele dwóch dywizyj Zayas i Lardizabal.

Dwudziestego pierwszego, marszałek Siusze zajął Murwjedro dywizją Haber, co nie było rzeczą trudną, chociaż załoga Sagontu wystąpiła z swego legowiska dla ratowania miasta położonego u jej stóp. Opanowano tedy Murwjedro, i pomimo silnego ognia z fortecy, usadowiono się w domach leżących naprzeciw jej, obwarowano je zawałami, strzelnicami, i zmuszono tym sposobem załogę do zamknięcia się w swém schronieniu; ale niepodobna było natrzeć tam na nią, gdyż była prawie nieprzystępna.

Po pilnem rozpatrzeniu tej fortecy, tak niedogodnej dla wojska, przekonano się że była niedostępna ze wszystkich stron, oprócz jednej to jest, zachodniej, gdzie się łączyła z górami opasującemi równinę Walencji. Z tej strony, pochyłość nie zbyt stroma prowadziła do przednich fortyfikacji. Fortyfikacje te składały się z wieży wysokiej i mocno zbudowanej, która zajmowała całą szerokość skały wązkiej i długiej, na której się wznosiła forteca, i która grubemi murami łączyła się z innymi wieżami, składającemi jej obwód. Zbliżyć się

za pośrednictwem podkopów regularnych na tym gruncie zupełnie nagim, składającym się z bardzo twardej skały, gdzie można się było tylko zakryć workami ziemi, i dokąd z największą trudnością przychodziłoby wciągnąć ciężką artylleryję, zdawało się być rzeczą za nadto długą i morderczą. Pokładano wielką ufność w wojsku, które przypuściło tyle trudnych szturmów, i postanowiono przyspieszyć napad za pomocą wdarcia się po drabinach. Dwudziestego ósmego Września, śród nocy, dwie kolumny od trzystu ludzi wyborowych, opatrzonych w drabiny, i wspierane rezerwami, zbliżyły się pod fortecę wybierając stronę, która zdawała się być najłatwiejszą do wdarcia się. Szczególniejszém zdarzeniem, załoga wybrała też samą noc dla zrobienia wycieczki. Odparto ją ze stratą, ale była już na czatach, i niepodobna było wtedy probować ją podejść. Nieszczęściem, kolumny oblężnicze były już w drodze, pełne zapłału trudnego do powstrzymania, a pośród zamieszania odpartej wycieczki, nie zdołano przesłać im wstecznego rozkazu. Pierwsza kolumna przystawiła swe drabiny i próbowała z nadzwyczajną śmiałością wdrapać się na szczyt murów. Ale drabiny nie były odpowiedniej wysokości, liczba ich była za małą, a nadto zamiar ten był wiadomy nieprzyjacielowi; stąd w każdym miejscu, gdzie przystawiono drabinę znajdowali się żołnierze przejści wściekłością, strzelający tuż zbliska, i obalający razami piki lub siekiery oblegających, dość śmiałych do włożenia na mury. Wdarcie się przeto za pomocą drabin było niepodobne. Druga kolumna chcąc upornie ponowić napad, była również odpartą, i to śmiałe przedsięwzięcie, obmyślane dla zaoszczędzenia czasu i krwi, kosztowało nam około trzystu ludzi, zabitych lub ranionych, bez odniesienia żadnej korzyści.

Zmartwiony bardzo tém niepowodzeniem, marszałek Siusze widział się zmuszonym powrócić do zwykłej drogi. Oblężenie całkowite zdawało się być nieuchronném dla zdobycia skały Sagontu. Zastanawiano się nad tém, czy nie lepiej było zamaskować tę przeszkodę pozostawiając pod tą fortecą oddział wojska i iść na Walencję. Ale marszałek pominąwszy już Peniskolę i Oropezę, nie śmiał pozostawiać z tyłu trzeciego warownego stanowiska, zamykającego w sobie załogę od trzech tysięcy ludzi, i chciał opanować je, nim posunie dalej swe działania.

Należało sprowadzić z Tortozy ciężką artylleryję oblężniczą, a w tym celu wziąć Oropezę, która tamowała całkiem przejście. Rozkazano przeto generałowi Komper (Compère) ruszyć z Neapolitańczykami w liczbie 1,500 ludzi na Oropezę, a konwojowi ciężkiej

artyllerii udać się tam z Tortozy. Pierwsze działa co przybędą, miały być użyte na otworzenie drogi wywracając mury Oropezy. Neapolitańczycy, pod kierunkiem inżynierów francuskich, rozpoczęli roboty przykopowe, i prowadzili je z wielką gorliwością i odwagą. Dziewiątego Października mogli ustawić baterję wyłomową, zaopatrzyć ją w kilka wielkich dział, i utorować sobie wstęp do wielkiej wieży Oropezy. Szcupła załoga, która ją broniła, nie chciała się narażać na niebezpieczeństwa szturmne, i poddała się 10go Października. Znalezione tam nieco amunicji, postawiono oddział wojska, i sprowadzono wtedy bez przeszkody aż do obozu pod Murwjedro, park ciężkiej artyllerii.

Jenerałowie Vale (Valée) i Ronja (Rogniat), powróciwszy do wojska, od którego oddalili się byli na czas jakiś za urlopem, nakreślili plan ataku przeciw fortecy Sagontu. Postanowili że atak ten zrobiony będzie od zachodu, to jest, od pochyłości łączącej skałę Sagontu z górami. Należało kopać rów w gruncie bardzo twardym, często w nagiej skale, używając do tego min, i postępować ku gromadzie murów i wież wysokich, które panowały zupełnie nad naszymi przykopami, tak że strzały skierowane z ich wierzchołka, czyniły nam codzieln niezdatnemi do boju od trzydziestu do czterdziestu ludzi. Nadto, potrzeba było wszystko nosić na taką wysokość, aż do ziemi dla napełnienia naszych worów, co przeszkadzało nam dawać naszym szanom potrzebną grubość, a stąd miały one tę niedogodność, że przedstawiały uchronę bardzo niedostateczną. Kiedy się zajmowano temi trudnemi robotami, dowódcy band plondrujących góry Teruel, Kalatajud, Kuenka, położone między prowincjami Aragonji i Walencji, stały się więcéj przedsiębiorczemi napadały na nasze stanowiska, zabierały nasze trzody, i nie można było zwlekać dalej wysłania kolumny z tyłu dla poskromienia ich śmiałości.

Chcąc co najprędzj usunąć przykrą zawadę, co je zatrzymywała, wojsko chciało żeby dozwolono mu szturm przypuścić. Dowódcy téż nie byli od tego, ale założenie baterij pod ciągłym ogniem Hiszpanów, kosztowało wiele trudów i strat znacznych, tak że nie można było rozpocząć wyłomu pierwej jak 17go Października. Nasza artyllerja, zręcznie kierowana, zrujnowała pierwsze odziania. Ale wewnątrz murów znajdowały się dawne roboty, twarde jak skała, a nad niemi Hiszpanie, ożywieni energją, którą zaledwo widzieliśmy u nich w Taragonie, pozostając na widoku pod ogniem baterji wyłomowej celowali do naszych kanonjerów, obalali ich jednego po drugim, i stawili tym sposobem przeszkodę naszym usiłowaniom.

Nakoniec 18go po południu, wyłom, chociaż przedstawiający jeszcze pochyłość dość trudną do przebycia, uznany został za przystępny i nakazano szturm. Hiszpanie stojąc na wyłomie i na szczycie wieży, w której go zrobiono, uzbrojeni byli w fuzje i siekiery, i wydawali wściekle wrzaski. Pułkownik Matis z 400 ludźmi, wybranymi z 5go lekkiego, 11go i 17go linjowych pułków, oraz z dywizji włoskiej, posunął się śmiało pod ogniem najsilniejszym. Pomimo odwagi oblegających, wyłom był tak stromy, strzały tak gęste, że żołnierze, którzy probowali wdrzeć się po gruzach, byli obaleni, i należało zaniechać przedsięwzięcia po nowój stracie 200 ludzi zabitych lub rannych. Tym sposobem ta nieszczęsna cytadella Sagontu, licząc pierwsze chybione natarcie, oraz straty poniesione podczas robót, kosztowała już nam 700 do 800 ludzi, bez żadnego rezultatu. Armja Walencjan, przypatrując się z pośrodku równiny temu widokowi, nabierała co chwila więcej otuchy, gdy widziała już spełzłe na niczém napady na Walencję marszałka Monséj w 1808, oraz jenerała Siusze w 1810, spodziewała się iż to samo nastąpi i z tą nową próbą.

Na tój to armji, tak pełnej zadowolenia, marszałek Siusze postanowił wyrzucić swą zemstę; rozbijając to ją zupełnie spodziewał się wynagrodzić niepowodzenia, jakiego doznał ze strony tak upornej załogi Sagontu. Liczył na to, że gdy potrafi zwyciężyć armję Walencjan w odkrytém polu, przejmie trwogą załogę Sagontu, a może opamięta razem Sagont i Walencję, skutkiem jedynie wpływu moralnego. Ale nie chciał dla spotkania armji nieprzyjacielskiej oddalać się bardzo od Sagontu, i zbliżać się nadto do Walencji, starał się więc odkryć pozycję, w którejby mógł na nią uderzyć, gdy jenerał Blake podał mu sam zrzecność, jakiej on tak gorąco pragnął.

Załoga Sagontu, lubo przyczyniała nam dużo strat, poniosła ich takoz sama nie mało; była ona u kresu swoich sił moralnych, żądała usilnie żeby podano jój pomoc, i domagała się jój kominikując się sygnałami z okrętami krążącymi wzdłuż brzegów. Jenerał Blake miał nie mniej jak 30,000 ludzi do postawienia na linii bojowój, pomiędzy któremi odznaczały się dwie dywizje Zayas i Lardizabal, najlepsze w Hiszpanji. Otrzymał przytém posiłki z Mureji, pod dowództwem jenerała Mahy, i oddział męznego partyzanta Willa-Kampa.

Posunął się więc ze środka równiny, oddalając się od Walencji i zbliżając się do Sagontu z postawą jenerała gotowego do wydania bitwy. Marszałek Siusze doznał z tego powodu nie małej radości,

i uczynił natychmiast przygotowania do walki. Dwa wojska znalazły się w obec siebie rano 25go Października.

Jenerał Blake postawił na swój prawej, po za wąwozem zwanym Pikador, i wzdłuż morza, dywizję Zayas, której flotylla hiszpańska miała dopomagać swym ogniem; we środku, dywizję Lardizabal, wspieraną przez całą jazdę hiszpańską pod rozkazami jenerała Karo; po lewej, dywizję walencjańską Mirand, dywizję partyzanta Willa-Kampa, i wreszcie, dalej na lewo, z zamiarem obejścia nas przez góry, oddział jenerała Mahy. Miał on, jak powiedzieliśmy, około 30 tysięcy żołnierzy, najlepszych jakich Hiszpanja mogła wtedy dostarczyć. Reszta pozostała dla straży Walencji.

Jenerał Siusze liczył tylko 17 do 18 tysięcy, zmuszony będąc pozostawić nieco wojska pod Sagontem; ale te 17 czy 18 tysięcy wewnątrzną wartością swoją wynagradzały aż nadto niższość liczebną. Na lewo i od morza, umieścił dywizję Haber naprzeciw dywizji Zayas; we środku postawił dywizję Harisp, dywizję włoską Palombini, 4-ty pułk huzarów, 13-ty kirassjerów, 24-ty dragonów, naprzeciw dywizji Lardizabal; na prawo wreszcie, przy wstępie do gór, pomieścił brygady Rober'a i Chłopickiego, oraz dragonów włoskich Napoleona dla stawienia czoła wojsku Mirandy, Willa-Kampy i Mahy, które zagrażały odcięciem nam drogi do Tortozy, jedynéj naszej linii odwrotu. Kompanje inżynjerów z piechotą neapolitańską, miały przedłużać rozwalanie wież Sagontu podczas saméj batalji.

Jakoż od samego świtu, wojska użyte do oblężenia rozpoczęły kanonadę, gdy tymczasem wojsko jenerała Blake, poruszywszy się na całej linii, szło przeciwko naszemu. Marszałek Siusze przebiegał w téj chwili pole bitwy ze szwadronem 4-go pułku huzarów, kiedy postrzegł po środku Hiszpanów Lardizabala postępujących w porządku i pewnym krokiem na pagórek mogący służyć za punkt oparcia dla całej naszej linii. Na ten widok zalecił dywizji Harisp udać się tam pospiesznie, a ponieważ Hiszpanie wyprzedzili byli nas znacznie, wypuścił na nich swoich huzarów dla powstrzymania ich chodu. Huzary, chociaż natarczywie się rzucili, odparci byli przez Hiszpanów, którzy wstąpili śmiało na pagórek i usadowili się na nim. Jenerał Harisp, przybywszy wtedy kiedy pagórek już był zajęty, nie zmitrzążył się tém bynajmniej. Ruszył nań na czele 7-go pułku linjowego ustawionego w kolumny bataljonami, i pozostawił w rezerwie 116-ty pułk linjowy z 3-cim Nadwiślańskim. Hiszpanie odkryli silny ogień, i wytrzymali natarcie z większą stałością niż zwykle. Ale 7-my linjowy rzucił się

na nich z bagnietami i rozbił. Dywizja Harisp rozwinęła się wtedy cała przed dywizją Lardizabala, która się zatrzymała, gdy tymczasem dwa skrzydła armji hiszpańskiej przyspieszyły kroku. Marszałek Siusze postanowił natychmiast korzystać z tego położenia dla przecięcia armji hiszpańskiej przez środek; kazał więc posunąć się naprzód dywizji Harisp, a wstrzymał przeciwnie poruszenie dywizji Haber na swój lewój, oraz brygad Rober'a i Chłopickiego na prawój stronie. Podczas gdy te rozkazy się wykonywały, dowódzca szwadronu artyllerji Duszan (Duchand), posunawszy z wielką śmiałością artyllerję dywizji Harisp naprzód, ażeby strzelać kartaczami na piechotę Lardizabala, napadnięty został przez całą kawalerję jenerała Karo. Huzary, którzy chcieli wstrzymać go, byli sami odparci, i kilkanaście naszych dział wpadło w ręce Hiszpanów, którzy, nie przywykli zabierać ich u nas, zaczęli wydawać okrzyki radości. W téjże samej chwili cała piechota Lardizabala szła przeciwko nam z największą ufnością. Ale 116-ty pułk, wysłany na jój spotkanie, wstrzymał swoją dzielnością kawalerję jenerała Karo; potem 13-ty pułk kirassjerów, pod rozkazami jenerała Bussar (Boussard) rzucił się popuściwszy cugli na piechotę hiszpańską, rozbił ją i zrąbał pałaszami. Od téj chwili środek nieprzyjaciela, przebity na wskrós, był zmuszony do cofania się. Nie tylko odzyskano artyllerję francuzką, ale zabrano część artyllerji hiszpańskiej, oraz wielką liczbę niewolnika, a nawet samego jenerała Karo.

Wkrótce dwa skrzydła armji, wstrzymane najprzód, później posunione przez marszałka Siusze, który lubo raniony w ramię, nie opuścił jednak pola bitwy, znajdowały się na jednej linji ze środkiem. Jenerał Haber znajdujący się naprzeciw dywizji Zayas poparł ją od pierwszego natarcia na wieś Puzol, odpędził ją potem na wyżyny Pinig, które zdobył bagnietem, gdy tymczasem pułkownik Delor, spajając lewe skrzydło ze środkiem, nacierał na czele 24-go pułku dragonów na resztki piechoty Lardizabala. Na prawo jenerałowie Rober i Chłopicki odparli wojsko jenerała Mały, któremu dragoni włoscy Napoleona zadali ostateczną porażkę przez silne natarcie.

Rozbici tym sposobem na wszystkich punktach, Hiszpanie cofnęli się w nieładzie, pozostawiając w naszych rękach 12 armat, 4700 niewolnika, z tysiąc zabitych i cztery chorągwie. Bitwa ta, uporniejsza niżeli zwykłe walki w otwartém polu z Hiszpanami, kosztowała nas około 700 ludzi, zabitemi lub rannemi. Najważniejszym rezultatem był upadek ducha w armji Walencjańskiej, naniesienie trwogi zało-

dze Sagontu, i zniszczenie zarozumiałej ufności, którą mieszkańcy Walencji pokładali w swych murach.

Marszałek, zebrawszy zdobycze tego dnia, wezwał do poddania się załogę Sagontu, której porażka wojska hiszpańskiego odejmowała wszelką nadzieję pomocy. Jakoż zgodziła się ona na kapitulację, i zdała się w niewolę w liczbie 2500 ludzi, z liczby 3000, którzy w początkach obrony, zajmowali fortecę. Ten pierwszy rezultat bitwy pod Sagontem sprawił nie małą radość marszałkowi Siusze, który ujrzał się tym sposobem panem równiny Walencji przez silny punkt oparcia, który tym sposobem nabył, i który prócz tego w mieście Murwjedro miał zabezpieczony przytułek dla swój artylleryi oblężniczej, dla swoich chorych i dla amunicji. Posiadając nadto na wielkiej drodze do Tortozy warownię Oropezę, która jedynie mogła tamować przejście, gdyż Peniskola mogła tylko działać ze strony morza, był zupełnie zabezpieczonym względem swój linii komunikacyjnej aż do Ebru.

Jednakże pragnął on bardzo pozbyć się co najprędzej swoich więźniów, którzy w liczbie siedmiu do ośmiu tysięcy, bardzo mu zawadzali; musiał nadto pośpieszać oswobodzić tył swój armji, gdyż bandy korzystały z jego nieobecności dla napadnięcia na całą linię granic Aragonji. Empecynado i Duran, zastąpiwszy miejsce Willakampy, zmusili do poddania się załogę Kalatajud; Mina wystąpiwszy z Nawarry, chociaż ścigany przez wiele kolumn, wziął w niewolę cały bataljon Włochów; a Katalończycy odzyskawszy Mon-Serra, utrudnili bardzo położenie dywizji Frer, której obowiązkiem było czuwać nad Lerydą, Tarragoną i Tortozą. Marszałek rozporządził różne poruszenia z tyłu armji, wysłał swoich więźniów pod eskortą silnej brygady ku Pireneom, i odprawiał kurjera po kurjerze do Paryża, dla uwiadomienia o położeniu, w jakim się znajdował, i o potrzebie otrzymania prędkiej pomocy.

Pozostawało mu jeszcze przejść Gwadalawjar, małą lecz bystrą rzekę, nad której brzegiem wznosiła się Walencja, opasać to obszerne miasto, zajmowane przez liczną armję, i które, oprócz swych dawnych murów, było jeszcze bronione nieprzerwaną linią szańców z ziemi, obsadzonych artylleryją, i tworzących ogromny obóz oszańcowany. Prócz tych środków obrony, wielka ilość porzniętych w różnym kierunku kanałów, szerokich i głębokich, pełnych bieżącej wody, przyczyniała się do zbogacenia Walencji podczas pokoju, a do zabezpieczenia jej podczas wojny. Były to przeszkody trudne do przewyciężenia, i przeciwko którym 17 tysięcy ludzi, które miał jeszcze mar-

szarek, po odesłaniu brygady, której poruczono eskortowanie więźniów, było siłą całkiem niedostateczną.

Czekając posiłków, o które prosił, i które mogły mu być nadesłane z Nawarry, marszałek użył miesiąca Listopada na ścieśnienie oblężenia Walencji, posuwając się nad brzegi Gwadalawjaru. Z lewej strony posunął dywizję Haber aż do Grao, portu Walencji, i rozkazał wznieść trzy reduty zamknięte, ażeby służyły za punkt oparcia tej dywizji. Opanował pośrodku przedmieście Serranos, pomimo silnego oporu ze strony Hiszpanów, którzy je bronili krok za krokiem. Przedmieście to oddzielone było od samego miasta Gwadalawjarem. Wdarło się za pomocą kosztów i min do trzech wielkich klasztorów, panujących nad niem, i od tej chwili miano je w swój mocy. Postępując w prawo wzdłuż Gwadalawjaru, opanowano wsie, które były na lewym brzegu rzeki, to jest, tym, który zajmowaliśmy, i obwarowano się tam. Utworzono tym sposobem długą linię okopów od morza aż w górę Walencji, i nie pozostawało nic więcej dla opasania całkiem miasta, jak przebyć Gwadalawjar w obec generała Blake, opanować kanały przerzynające równinę, i zamknąć wojsko posiłkowe w samym mieście. Marszałek odkładał tę sprawę, która nie była jeszcze ostatnią, gdyż należało potem zdobyć obóz oszańcowany i stare mury, do przybycia posiłków, które mu obiecano, i o których donoszono mu, że niebawem nadejdą.

Jakoż Napoleon, dowiadując się o bitwie pod Sagontem, uważał wszystkie sprawy w Hiszpanji skupione około Walencji, i los Półwyspu przywiązany w pewnym sposobie do zdobycia tego miasta. To pewna, że opanowanie tego miasta, które od kilku już lat opierało się wszelkim napadom z naszej strony, zwłaszcza po zdobyciu Tarragony, wywarłoby wielki wpływ moralny na Półwysep, prawie tak wielki jakiby wywołało zdobycie Kadyksu, mniejszy jednakże bez porównania od tego, jakiby nastąpił z zajęcia Lizbony, ponieważ ta ostatnia zdobycz pociągnęłaby za sobą zupełny upadek Anglików. Napoleon chciał przeto, ażeby wszystko uważane było za mniej ważne, prawie poświęcone temu głównemu przedmiotowi.

Depezą od 20 Listopada zalecił generałowi Rell (Reille) opuścić natychmiast Nawarrę, jakkolwiek naglącą było rzeczą stawić czoło Minie, i wkroczyć do Aragonji z dwoma dywizjami rezerwowemi, zostającymi pod jego rozkazami; generałowi Kaffarelli zastąpić miejsce w Nawarze generała Rell dla ścigania Miny z natarczywością; generałowi Dorsenn zastąpić w Biskai generała Kaffarelli; Józefowi ustąpić jednej dywizji dla wysłania jej do Kuenka; marszałkowi Mar-

mon, jakkolwiek oddalonemu od Walencji, wysłać pod rozkazami jenerała Monbrę jedną dywizję piechoty i jedną jazdy, które się miały połączyć w Kuenka z wysłaną przez Józefa; wreszcie marszałkowi Sult posunąć oddział aż do Murcji. Napisał do wszystkich, co było prawdą po części, że Anglicy mieli ogromną ilość chorych, 18,000 jak utrzymywał, że niesposobni byli nie przedsięwziąć, a więc, że można było bez niebezpieczeństwa ogołocić z wojsk Kastylję, Estremadurę i Andaluzję; że Walencja była istotnie jedynym punktem ważnym, że po zdobyciu Walencji, znaczna liczba wojsk pozostanie do rozporządzenia, i że można będzie później przenieść ze wschodu na zachód, dla działania przeważnie przeciw Anglikom, cały ogrom sił, który w tej chwili skupiano pod tym miastem.

Rozkazy te, wyrażone z nadzwyczajną dokładnością (1), i w formie bardzo nakazującej, wydane zresztą do dowódców, którzy, wyjątkowie, byli dość skłonni do udzielenia pomocy swym sąsiadom, zostały lepiej wykonane niż zwyczajnie, i przez pewien rodzaj fatalności przywiązanej do spraw hiszpańskich, pochopność ta w wypełnieniu rozkazów miała miejsce wtedy właśnie, kiedy była najmniej potrzebną, gdyż jenerał Rell sam jeden wystarczyłby do postawienia marszałka Siusze w możności wykonania swego przedsięwzięcia, a siły wojenne, które bezpotrzebnie przenoszono, miały być potrzebniejszymi gdzieindziej. Jakkolwiekby, jenerał Rell, który już wprowadził był dywizję Severoli do Aragonji dla powstrzymania band, wstąpił do niej sam z dywizją francuzką, i ruszył na czele tych dwóch dywizji do Walencji drogą na Teruel. Jenerał Kaffarelli zastąpił jego miejsce w Nawarze. Józef, którego obchodziło bardzo zdobycie Walencji, pozbawił się nie wahając jednej części wojska środkowego, i wysłał do Kuenka dywizję jenerała Darmaniac (Darmagnac). Marszałek Marmon, który przykrzył swoją nieczynnością nad Tagiem, i który życzyłby sam iść do Walencji, nie będąc upoważniony udać się tam osobiście, wysłał tam nie bez żalu jenerała Monbrę z dwoma dywizjami, jedną piechoty i jedną kawalerji. Marszałek Sult odpowiedział, że nie mógł bynajmniej z głębi Andaluzji przynieść pomoc marszałkowi Siusze w królestwie Walencji, i miał w tém słusność. Postąpił więc jak mu okoliczności nakazywały, i nie posłał ani jednego żołnierza.

(1) Piszę to mając przed oczyma listy samego Napoleona, które od roku stały się rzadszemi, gdyż poruczył był księciu Bertje korespondencję z Hiszpanją.

Szczęśliwy marszałek Siusze ujrzał przybywających po kolei więcej posiłków, niżeli ich żądał, i ku końcowi Grudnia dowiedział się, że generał Rell, officer równie zdolny jak energiczny, zbliżał się do Segorbji z dywizją włoską Seweroli, i z dywizją francuzką złożoną z najpiękniejszych pułków dawniejszej armji neapolitańskiej. Był to korpus od 14 do 15 tysięcy ludzi, z 40 armatami. Po zrobieniu osobście przeglądu tych wojsk w Segorbji 24 Grudnia, powrócił pod mury Walencji i postanowił przebyć niezwłocznie Gwadalawjar dla uzupełnienia opasania tego miasta, nim generał Blake zdołałby wyjść z niego, lub ściągnąć tam, w razie gdyby nie wyszedł, nową dywizję generała Freir (Freyre), o której mówiono, że miała się ukazać w okolicy. Naznaczył dzień 26 Grudnia na wykonanie tego zamiaru, co miało pozostawić generałowi Rell dość czasu zająć lewy brzeg rzeki, który miano opuścić, a nawet przynieść pomoc ku końcowi tego dzieła.

Jakoż 26-go Grudnia, gdy jedna część dywizji Haber zastąpiła przedmieście Serranos, reszta téj dywizji, zwróciwszy się na lewo, przechodziła rzekę przy jéj ujściu, rozwijała swe szyki około Walencji, którą opasywała od strony morza, i zajmowała stanowisko naprzeciw góry zwanéj Oliveto. W środku i nieco wyżej Walencji, Włosi dywizji Palombini, wszedłszy do wody po pas, przechodzili w bród Gwadalawjar, i pod najsilniejszym ogniem atakowali wieś Mislata, silnie obwarowaną, a nadewszystko bronioną przez kanał głęboki, trudniejszy do przebycia niżeli rzeka sama. Tento kanał mieszkańcy nazywali *Asekja de Favara*. Dla wsparcia tego zwrotu i opasania całkiem Walencji, generał Harisp z swoją dywizją, przebył Gwadalawjar powyżej wsi Manisse, punktu, skąd woda téj rzeki przeprowadzoną jest w tysiące kanałów, przerzynających równinę Walencji. Marszałek Siusze wyrachował, że generał Harisp uniknąwszy tym sposobem potrzeby przebywania kanałów, zdoła prędkiej obéjść Walencję, i uskutecznić opasanie jéj od południa.

Zwrot generała Harisp był nieco opóźniony oczekiwaniem przybycia generała Rell, gdyż nie chciał pozostawić bez pomocy nielicznych wojsk, mających strzedz lewego brzegu Gwadalawjaru. Bez téj pomocy bowiem generał Blake, którego miano blokować na prawym brzegu, mógł przejść na lewy brzeg, i rozbić słabe oddziały, któreby tam znalazł. Jak tylko ujrano czoło wojsk generała Rell, które przybywały całkiem wyniszczone trudami, generał Harisp posunął się naprzód, opanował Manisse, rzucił się z tyłu na Mislata, oswobodził Włochów, którzy prowadzili uporną walkę, ułatwił im zajęcie

bronionych pozeij, przeszedł potem na południe Walencji, i przy schyłku dnia dokonał opasania tego miasta. Podczas tego kołowego zwrotu około Walencji, generał Mahy na czele powstańców Murcji i partyzant Willa-Kampa z swoją dywizją cofnęli się na Ksukar i Al-sira, nie chcąc być zamkniętymi w Walencji, i wnosząc bardzo słusznie, że dosyć było generała Blake dla jej obrony, jeżeli mogła być obronioną, a za nadto wojsk do poddania się, jeżeli miała kapitulować. Główno dowodzący wysłał dragonów na ściganie wojsk cofających się, ale zdołano tylko zachwycić niewielu żołnierzy i przyspieszyć ucieczkę.

To przedsięwzięcie szczęśliwie dokonane kosztowało nas około 400 ludzi zabitych lub ranionych, i to najwięcej Włochów, gdyż nie spotkano silnego oporu gdzieindziej jak w Mislata. Uzupełniało to opasanie Walencji, i dawało nam możliwość, razem z twierdzą wzięcia w niewolę generała Blake, z 20,000 blisko żołnierza. Bez wątpienia, gdyby ludność miasta Walencji, która dochodziła do 60,000 dusz, mogąca liczyć na pomoc 20,000 żołnierzy wojska regularnego, mająca podostatkiem żywności, liczne i dobrze urządzone środki obrony, ożywioną jeszcze była temi uczuciami, które zagrzewały ją w 1808 i 1809 mogłaby się opierać długo, i zmusić nas do opłacenia drogo swojego poddania się. Ale ludzie egzaltowani i krwiożerczy, którzy pomordowali byli Francuzów w 1808, albo się byli uspokoiili, albo się rozproszyli, albo przejęci byli trwogą. Trzy lata wojny domowej i zagranicznej, dalekie wycieczki już to do Murcji, już do Katalonji, znużyły były tę ludność czynną i pełną zapału, i uśmierzyły jej namiętności. Walencja była w tym samym stanie co Saragossa, co wiele innych części Hiszpanji. Byle tylko rozbrojono tych, którzy chwycili się broni przez upodobanie i przywyknienie, albo którzy nie rzucali jej w widokach łupieży, reszta, znużona tyranją nieznośną wykonywaną kolejno przez wszystkie stronnictwa, gotową była poddać się zwycięzcy łaskawemu, uważanemu za uczciwego i przynoszącemu raczej spokój niżeli niewolę. Pamięć morderstw spełnionych na Francuzach w 1808, która mogłaby być powodem do opierania się do ostatka przeciw zwycięzcy nielitościwemu, była przeciwnie jedną więcej pobudką do jak najskorszego poddania się nieprzyjacielowi, którego znano łagodność, i którego nie należało zmuszać do okazania się surowszym, niżeli był w istocie.

Te uczucia działając nawet na armję generała Blake, nie dozwalały żeby z jakiegokolwiek bądź strony zrodziło się postanowienie zniszczenia raczej Walencji, jak zniszczono Saragossę, niżeli poddania

jój nieprzyjacielowi. Marszałek Siusze wiedział o tém usposobieniu umysłow, i chciał przyspieszyć jak można przeprowadzenie okopów, ażeby zmusić do poddania się, gdyż otrzymane przez niego skupienie sił było mu tylko chwilowie zapewnione. Postanowił przeto rozpocząć roboty na dwóch punktach obwodu, przedstawiających najwięcej sposobności do ataku. Pierwszych dni Stycznia 1812 pułkownik inżynjerów Hanri, który się odznaczył był we wszystkich pamiętnych oblężeniach Aragonji i Katalonji, poprowadził okop na południu miasta, przed częścią wystającą utworzoną przez linję fortyfikacji zewnętrznych, a na południo-zachód przed przedmieściem Ś. Wincentego. W kilka dni roboty były posunięte aż do podnóża szanców miejskich, ale zginął tam pułkownik Hanri, słusznie żałowany przez wojsko z powodu swój odwagi i swych talentów. Jenerał Blake nie widząc w około siebie nic przygotowanego do dzielnej obrony, opuścił linję szanców zewnętrznych i zamknął się w obwodzie murów.

Marszałek Siusze, rozpoznając dokładnie ten stan rzeczy, posunął się natychmiast pod mury twierdzy, i ustawił tam baterję z moździerzy dla przełamania reszty konającego oporu; ale jeżeli starał się przestraszyć ludność, dalekim był od chęci zniszczenia miasta, którego bogactwa miały stać się głównym zasobem dla jego wojska. Po rzuceniu kilku bomb, które sprawiły więcej strachu niżeli szkody, wezwał jenerała Blake do poddania się. Ten dał odpowiedź odmowną, ale dwuznaczną. Bombardowano więc dalej nie przerywając układów. Nakoniec 9 Stycznia 1812 wojsko jenerała Blake poddało się i złożyło broń, jako jeńcy wojenni, w liczbie 18,000 ludzi. Marszałek Siusze odbył wjazd tryumfalny do Walencji, będącej słuszną nagrodą jego planów mądrze obmyślanych i dzielnie wykonanych, przy pomocy sprzyjających okoliczności. Ludność przyjęła ze spokojnością, prawie z zadowoleniem wodza, którego dobry zarząd Aragonja wysławiała, i cieszyła się z końca okropnej wojny, która w braku przewidzenia przyszłości, zdawała się tylko przedstawiać korzyści jednym Anglikom, również nienawistnym Hiszpanom jak sami Francuzi.

Marszałek Siusze pospieszył wprowadzić do administracji królestwa Walencji tenże sam porządek, który już za jego staraniem panował w Aragonji, ażeby zapewnić nadal swojemu wojsku ten dobry byt, który dozwalał ciągnąć z niego tak ważne korzyści. Ludność tak w Walencji, jak w miastach sąsiednich, była gotową do wspierania jego usiłowań, i mógł sobie obiecywać uległość również zupełną, jak

to miało miejsce w Aragonji. Jednakże zachodziła potrzeba zatrzymania w mieście znacznej części wojska dla trzymania na wodzy części burzliwej ludności, która się schroniła w góry, i gotową była do korzystania z rozproszenia naszych sił, jako skutku koniecznego rozszerzenia posiadłości, dla poburzenia Mureji, Kuenki, Aragonji i niższej Katalonji. Tu wypadki nie zależały już od niego, ale od władzy wyższej, która jedynie była w możności wyciągnięcia z tego ostatniego powodzenia korzystnych następstw, jakich można było od niego oczekiwać.

Opanowanie Walencji, nastąpione po zdobyciu Tarragony, było bezsprzecznie czynem szczęśliwym i świetnym, sposobnym do wywarcia na Półwysep znacznego wpływu moralnego, ale pod pewnemi warunkami, to jest, żeby siły nie tylko nie były zmniejszone, ale zastosowane zostały do rozszerzenia naszych posiadłości; żeby pośpiech z jakim przeniesiono znaczną ich część na wschód, i który otwierał wolne pole Anglikom na zachodzie, był prędko wynagrodzonym; żeby nie dano tym ostatnim czasu korzystania z tego, ale przeciwnie, żeby użyto tej sposobności dla działania przeciwko nim z największą energją. Gdyby, w istocie, powiększono do tyła armję północną, żeby ona nie tylko mogła powstrzymać bandy, ale zasłonić Ciudad-Rodrigo gdyby powiększono dostatecznie armję portugalską, ażeby mogła opanować czy to Beirę, czy Alentejo, albo przynajmniej zatrzymać lorda Wellingtona, gdyby wreszcie wzmocniono dosyć armję andaluzyjską, ażeby mogła wziąć Kadyks, i dołączyć tę świetną zdobycz do zdobyczy takiej jaką była Walencja, wtedy połowa armji andaluzyjskiej, połączona z całą armją portugalską, i oddziałem armji północnej, mogła odepchnąć Anglików ku Lizbonie, i blokować ich w ich linjach, aż do chwili, w którejby zmuszono ich do poddania się. Niestety, niestety, trudno było dopełnić wszystkich tych warunków w obecnem położeniu, kiedy wszystkie ruchy zwracały się ku Wiśle, w miejscu tego co miałyby być skierowane nad brzegi Tagu. Napoleon wydał właśnie nagły rozkaz, żeby natychmiast po wzięciu Walencji, generał Rell powrócił do Aragonji z swemi dwoma dywizjami, dla pozostawienia generałowi Kaffarelli sposobności powrócenia do Kastylji, a gwardji cesarskiej powrotu do Francji. Jakoż, skoro wstąpiono do Walencji, generał Rell udał się z powrotem, a marszałek Siusze pozostawiony był własnym siłom, które wystarczały wprawdzie dla rządzenia spokojnie Walencją, ale niedostateczne były do działania opodal, do ciągnięcia nadewszystko działań aż do Murcji i Grenady. Korzystał

jednakże z wstecznego ruchu tamtych wojsk dla pozbycia się swoich więźniów, i odprawienia ich do Francji.

Napoleon, który miał zamiar z początku, po wzięciu Walencji, zwrócić na Anglików znaczną masę sił, i zostawić w tym celu swoją gwardję w Kastylji przypajmniej przez zimę, nie myślał już o tém, zagnalonym będąc, skutkiem pewnych okoliczności, o których wkrótce mówić będziemy, do zwrócenia swych wojsk ku Wiśle, postanowił przeto odwołać natychmiast swoją gwardję, Polaków, kadry pewnej liczby czwartych bataljonów, i część dragonów.

Jakoż istotnie, w ostatnich dniach Grudnia zapotrzebował swęj młodej gwardji u generała Dorsenn, co pociągało za sobą zmniejszenie wojska o dwanaście tysięcy ludzi; zapotrzebował u marszałka Siusze i marszałka Sulta pułków Nadwiślańskich, co stanowiło nowe zmniejszenie o siedm do ośmiu tysięcy Polaków, żołnierza wybornego, zmniejszenie niedogodne zwłaszcza dla marszałka Siusze, który pozostawał zaledwo z piętnastu tysiącami żołnierza w królestwie Walencji. Odwołał nadto czwarte bataljony, które składały 9-ty korpus, i które wszystkie prawie należały do pułków armji andaluzyjskiej. Rozkazał żeby żołnierze tych czwartych bataljonów byli pomieszczeni w trzech pierwszych, a kadry powróciły do Bajonny, gdzie miano utworzyć rezerwę zapelniając je nowo zaciężnemi. To pociągało za sobą także zmniejszenie bezpośrednie dwóch do trzech tysięcy ludzi, bardzo potrzebnych w armji z powodu swych przymiotów wojskowych. Wreszcie Napoleon odwołał dwanaście pułków dragonów, z dwudziestu czterech znajdujących się w Hiszpanji. Wprawdzie czynione to było z ostrożnością nadzwyczajną, gdyż bezpośrednio odwołane tylko były cztery pułki całe dragonów, a co do ośmiu innych, tych szwadrony miały być odsyłane kolejno, w miarę jakby traciły liczbę rzeczywistego żołnierza. I tak, miano zacząć od odesłania trzeciego szwadronu, pomieszczając co mu pozostawało ludzi w dwóch pierwszych, a wysyłając tylko sam kadr; potem robiono tak samo z drugim, i tak następnie, pozostawiając zawsze żołnierzy, a odsyłając tylko officerów i podofficerów. Takim sposobem nie wiele zmniejszano w Hiszpanji liczbę rzeczywistego żołnierza w jeździe; przekonano się bowiem z doświadczenia, że prawie niepodobna utrzymać tam w dobrym stanie dwudziestu czterech pułków jazdy, nadewszystko z powodu wielkiego potrzebowania koni, korzystniejszym więc było w interesie służby utrzymywać dwanaście pułków w komplecie, niżeli dwadzieścia cztery prawie zawsze niekompletnych, liczących

częstokroć zaledwo trzydzieści do czterdziestu ludzi mających konie, na szwadron.

Pomimo tych zręcznych kombinacji, nowe te rozporządzenia miały odjąć Hiszpanji więcej dwudziestu pięciu tysięcy żołnierza, i to najlepszego. Nie koniec jeszcze na tém: Napoleon, nie myśląc już o pochodzie wspólnym dwóch armij na Lizbonę, z których jedna poszłaby na Beirę, druga na Alentejo, ale zajętem będąc szczególnie obroną przeciw zaczepnemu działaniu Anglików w Kastylji, które groziłoby naszój linii komunikacyjnój, Napoleon w chwili właśnie kiedy brano Walencję, zmienił stanowisko marszałka Marmon, i odwołał go z nad brzegów Tagu nad brzegi Duro, po przebyciu pierwej Gwadarramy. Rozkazał mu opuścić Alwaraz, i stanąć na leżach w Salamance z sześciu dywizjami armji portugalskiej, do których dodał siódmą, to jest, jenerała Suham, będącą jedną z czterech rezerwowych. Dywizja Bonne miała tworzyć ósmą, ale pozostając aż do nowego rozkazu w Asturjach. Marszałek Marmon miał więc ich siedm w Kastylji. Jenerał Kaffarelli, powróciwszy z Nawarry, którą chwilo- wie zajmował podczas pochodu jenerała Rell na Walencję, zastąpił miejsce jenerała Dorsenn w dowództwie armją północną. Miał on otrzymać w miejsce gwardji jedną z czterech dywizji rezerwowych, i odebrał polecenie przesłania najmniej dwunastu tysięcy ludzi marszałkowi Marmon, w razie działania zaczepnego ze strony Anglików. Józef miał mu dostarczyć ich takż cztery tysiące z armji środkowej. Napoleon przypuszczając, że marszałek skutkiem tych kombinacji będzie miał pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy ludzi, porucił mu żeby stawiał czoło Anglikom, zastaniał od nich naszą linię komunikacyjną, równie jak Madryt, w razie gdyby Anglicy nań się zwrócili, jak to już byli uczynili w czasie bitwy pod Talavera. Wreszcie, ponieważ odwołanie gwardji spowodowało to nowe przeniesienie armji portugalskiej, przepisaniem zostało marszałkowi Marmon zastosować się niezwłocznie do instrukcyj jemu udzielonych.

Ale, w chwili kiedy odbierał te rozkazy (pierwszych dni Stycznia 1812), marszałek Marmon znajdował się w trudném położeniu dla ich wypełnienia, gdyż przy nadzwyczajnym pośpiechu jaki towarzyszył skupieniu sił pod Walencją, zaleconém mu było wysłać w tamtą stronę jenerała Monbrę z dwoma dywizjami, jedną piechoty, drugą jazdy. Owóż, jenerał Monbrę, w miejscu zatrzymania się w Kuenka, jak dywizja Darmaniak przystana przez Józefa, i oczekiwania nim go nie zapotrzebują, żeby iść dalej, postąpił całkiem inaczej. Korzystając z swój niezależności i pory roku, sprzyjającej wycieczkom po Hiszpanji, po-

sunął się aż do bram Alikantu, które, gotowe do otworzenia się przed marszałkiem Siusze, zamknięte zostały przed nim.

Jenerał Monbrę mógł popełnić błąd, błąd łatwy do przebaczenia przy jego charakterze, i nie zbyt ciężki w porównaniu jego wielkich zasług, ale czy winnym był czy nie, niemniej jednak znajdował się o osmdziesiąt do stu mil od Alwaraz, i kiedy z trzecią częścią wojska portugalskiego był tak daleko, trudno było marszałkowi Marmon opuścić Tag z dwoma drugimi częściami, i oddalić się bardziej jeszcze od swego głównego jenerała. Jednakże, marszałek Marmon, lubo był w stanie sądzić sam przez się o wartości rozkazów przez niego otrzymywanych, wykonywał je, gdyż był posłusznym, i mniej powodującym się, jak większa część jego kolegów, widokami osobistemi. Nadto, dowiedział się, że Anglicy, odparci od Ciudad-Rodrigo ku końcowi upłynionego miesiąca Września, gotowali się do nowego napadu na tę twierdzę, wyruszył więc dla przeniesienia swego stanowiska z nad brzegów Tagu nad brzegi Duro, i dla przeprowadzenia swojej głównej kwatery z Naval-Moral do Salamanki. Ażeby zapobiedz niedogodnościom tego szczególnego położenia, wysłał najprzód swe łożarety, swój sprzęt wojenny i dwie dywizje, pozostawił zaś dwie dywizje na Tagu dla podania ręki jenerałowi Monbrę. Posuwając nawet przezorność dalej niżeli się zwykło w podobnych razach czynić, przygotował w Salamance drugi zaprząg artyleryjski dla wojska, które pozostawiał nad Tagiem, ażeby mogło, w razie naglącej potrzeby, połączyć się z nim bliższą drogą, ale niepodobną do przebycia dla artyllerji. Wojsko to miało rozkaz porzucić w takim razie swe armaty, a przyprowadzić z sobą tylko zaprząg.

Łatwo spostrzedz jakie położenie razem szczególne i niebezpieczne sprowadził ten pośpiech wysyłania wszystkiego pod Walencję, również jak drugi znowu pośpiech przenoszenia wszystkiego do Kastylii, dla przygotowania odsyłki wojska przeznaczonego do Rossji. Potrzeba było, żeby Anglicy byli albo bardzo niedołęzni, albo źle uwiadomieni, żeby mieli opuścić taką zręczność, nie korzystając z niej. Lord Wellington, chociaż nie zbyt płodny w kombinacje zręczne i śmiałe, był jednak skorym do korzystania ze zręczności, jakie mu los przedstawiał. Nie tworzył on ich sam, ale umiał z nich korzystać, i w ogólności to jest dostateczném, gdyż te jakie fortuna przedstawia, są zawsze najpewniejsze, wtedy gdy tworząc je sami wystawiamy się zawsze na liczne klęski i niebezpieczeństwa.

Wyjaśniliśmy już jakim sposobem, zmuszony do przedsięwzięcia czegokolwiek, i nie mając nic lepszego do zrobienia jak zdobyć Ciu-

dad-Rodrigo lub Badajoz, lord Wellington stał na czatach po drodze wygodnej, gotowy rzucić się na jedną z tych dwóch twierdz, skoro byłby pewnym, że będzie miał dwadzieścia do dwudziestu pięciu dni czasu dla dokonania oblężenia. Owóż, skupienie wszystkich sił francuzkich pod Walencją, która wiedział, że stała się jedynym przedmiotem troskliwości dworu Madryckiego (1), było wypadkiem zapewniającym mu najmniej dwadzieścia dni czasu. Nim marszałek Marmon zostałby uwiadomiony, nim ten marszałek odwołałby generała Monbrę, i nim by mógł wyruszyć w pochód z całą swoją armją, nimby generał Kaffarelli powrócił z Nawarry dla wzmocnienia armji portugalskiej, i nim po połączeniu wszystkich tych sił stanęłoby czterdzieści tysięcy wojska pod murami Ciudad-Rodrigo, lord Wellington spodziewał się mieć dość czasu dla zaatakowania i zdobycia téj twierdzy. Dodajmy do tego, że miał wszystko w gotowości, że nie opuścił tamtych okolic od czasu zaopatrzenia w żywność tego miasta przez marszałka Marmon i generała Dorsenn, że użył tego czasu na leczenie swych chorych, na sprowadzenie w cichości swojego parku ciężkiej artylerji, że jedném słowem nie miał żadnych przygotowanych czynności do wykonania, i że nazajutrz po wyruszeniu w pochód mógł rozpocząć oblężenie, przedmiot dumnych swoich zabiegów. Postanowił więc zająć się tém nie tracąc ani chwili czasu.

Nim zadał nam ten cios na ukaranie naszych błędów, sprawił już nam niemałą klęskę porażką zadaną dywizji Żyrar (Girard) pod Arrojo del Molinos. Widzieliśmy już, że marszałek Sult pozostawił generała Drue w Merydzie dla strzeżenia Estremadury. Generał Drue nie dowodził już 9-tym korpusem, który rozwiązano i rozdzielono pomiędzy dywizje armji andaluzyjskiej, dowodził on 5-tym, pozbawionym dowódcy skutkiem powrotu marszałka Mortje do Francji. Marszałek Sult dozwolił mu rozciągnąć pobór kontrybucij aż do okolic miasta Kaser (Caceres), i generał Żyrar, umieszczony na czele jednéj z dywizyj tego korpusu, officer bardzo energiczny, ale nie zbyt ostrożny, podstąpił aż pod samo miasto Kaser, w kotlinie Tagu, gdy tymczasem korpus, do którego należał, znajdował się w Merydzie nad Gwadjaną. Było nieroztropnością wysyłać go tak daleko, a z jego strony było takżé rzeczą nieroztropną nie zachować się ostrożniej w pozycji tak niebezpiecznej. Generał angielski Hill znajdował się niedaleko stamtąd pod Port-Alegr. Otrzymawszy zalecenie od lorda Wellingtona,

(1) Tu takżé nie robię żadnych przypuszczeń, ale piszę według depeszy lorda Wellingtona.

żeby nie zostawać bezczynnym, chwycił się z pośpiechem zręczności, jaka się mu nadarzała, i była jedną z najlepszych, gdyż należało mu tylko posunąć się w cichości kotliną Tagu, dla przecięcia nieostrożnemu generałowi Żyrar jego linii komunikacji z Gwadjaną. Nie zaniechał on tego uczynić, i 27-go Października wieczorem podstąpił bardzo blisko tylnej straży generała Żyrar. Ostrzeżono tego ostatniego o niebezpieczeństwie, jakie mu zagrażało; ale z porywcznością nieprzezorniej odwagi, odpowiedział on generałowi Brisz (Briche), który go ostrzegął: *Pan wszędzie widzisz tylko Anglików!* — odpowiedź obelżywa i bynajmniej nie zasłużona ze strony mężnego generała, któremu była dana. Jednakże generał Żyrar uznając potrzebę zwrócenia się nazad, wysłał już przodem jedną z swoich dwóch brygad, a z drugą czekał 28-go rano pod Arrojo del Molinos alkada miasta Kaser, który miał wypłacić mu tysiąc uncij nałożonych na to miasto, gdy przekonał się, ale zapóźno, o niesłuszności swojej względem generała Brisz. Otoczony więcćj jak 10 tysiącami wojska, z których 6 tysięcy było Anglików, a 4 tysiące Portugalczyków, starał się okupić walecznością nieprzezorność swoją, i potrafił przedrzeć się, ale poświęcając bataljon tylnej straży, złożonej z rot wyborowych i mającej na czele officera, który się już był odznaczył pod Albuera, kapitana Wóarol (Voirol). Bataljon ten oskoczony ze wszystkich stron, bronił się z bohaterską walecznością, ale musiał uleść, i był cały wzięty w niewolę. Ta porażka kosztowała nas dwa tysiące ludzi, zabitych, ranionych lub wziętych w niewolę, i sprawiła Anglikom wielką radość, gdyż dostarczyła im ważnego faktu dla zapelnienia czémkolwiek długiej próżni letniej, i dla zaprzątnienia chlubnym opisem opinii publicznej w Anglii, która nie odbierała żadnych nowin od czasu odpartych szturmów Badajozu, i ostatniego zaopatrzenia w żywność przez Francuzów Ciudad-Rodrigo. Generał Żyrar był odesłany przez generała Drue do marszałka Sulta, a przez marszałka Sulta do Cesarza, ażeby zdać sprawę ze swego postępowania; ale naczelnicy jego, aby być sprawiedliwemi, oskarżając go o nieprzezorność, powinni byli siebie takż oskarżać o równyż przynajmniej brak przezorności.

Ale wkrótce miało nas spotkać gorsze jeszcze nieszczęście, zawsze skutkiem braku ostrożności, tak częstego w każdej wojnie, ale częstszego w hiszpańskiej niżeli w jakiejkolwiek inniej, z powodu nieskończonej różnaitości wypadków, a nadewszystko skutkiem zbytniego podziału władzy. Ciudad-Rodrigo, o którego oblężeniu, jak powiedzieliśmy, zamysłał lord Wellington podczas skupienia sił naszych pod Walencją, miało dać nam nowy i smutny tego przykład. Twier-

dza ta, położona pomiędzy armją północną a portugalską, pozosta-
wioną była na odpowiedzialność dwóch wodzów, czyli żadnego z nich,
to jest, marszałka Marmon i generała Dorsenn. Jednakowoż ten osta-
tni, któremu powierzone było staranie opatrywania w żywność załogi
Ciudad-Rodrigo, (a to dla zmniejszenia ciężarów wojska portugal-
skiego), powinien był szczególnie nią się zajmować. Ale, sposobny
bardzo do dowodzenia dywizją w otwartém polu, generał Dorsenn
nie znał się nic na obronie twierdz, i powierzył generałowi Barrje,
który nie więcej na tém znał się od niego, straż Ciudad-Rodrigo. Dał
mu 1800 ludzi dla zajmowania twierdzy, w której należałoby mieć
przynajmniej 5 tysięcy żołnierza, żeby bronić się skutecznie. Fran-
cuzi potrzebowali tylko dwudziestu czterech dni dla zdobycia jój,
przeciwko 6 tysiącom Hiszpanów, opatrzonym we wszystko, i równie
mężnym jak zagorzałym. Przez jakież przeciąg czasu mogło się utrzy-
mać 1800 Francuzów, nie mających żadnych zasobów, które mieli
Hiszpanie, i uważających siebie za poświęconych wcześniej przez nie-
dbalstwo swych dowódców? Generał Dorsenn nie troszczył się o to,
i przypominając sobie, że przed kilką miesiącami dostarczył żywności
Ciudad-Rodrigo w towarzystwie marszałka Marmon, nie myślał już
wcale o tém, albo mało co.

Jednakże generał Barrje, który się był rozpatrzył w położeniu
rzeczy, nie zaniechał, od końca Grudnia, uwiadamiać główno-dowo-
dzącego armją północną o ruchach nieprzyjaciela, które, lubo staran-
nie ukrywane, były niemniej bardzo widoczne, oraz oznajmiać mu,
że zapasy żywności kończą się w Lutym, że załoga jego była bardzo
niedostateczną, i że ulegnie wkrótce, jeżeli zostanie silnie zaattako-
wanym. Uwiadomienia te były przyjęte, podobnie jak ostrzeżenie
udzielone przez generała Brisz generałowi Żyrrar, to jest, uważane za
natręctwo oficerów, narzekających zawsze, i żądających więcej niżeli
podobna im udzielić. W każdym czasie, podrzędni dowódcy biorą
wzór z głównego wodza, a gdy Napoleon przez wyrachowanie czy
przez złudzenie obchodził się w podobny sposob ze swemi genera-
łami, lada wyższy dowódzca obchodził się podobnie z swemi pod-
władnemi.

Twierdza ta pozostawiona więc była samój sobie z 1800 ludźmi
załogi, zmniejszonemi do 1500 przez choroby, dezercję i utarczki co-
dziennie przeciw podjazdom hiszpańskim. Naprawiono wyłom przez
który Francuzi byli weszli, ale tylko kamieniami bez wapna, w braku
potrzebnych materjałów. Na wyniosłości zwanój wielki Tezo, skąd
rozpoczęły się podkopy marszałka Neja, wzniesiono redutę niewiel-

kich rozmiarów, oraz zajęto klasztory Ś. Franciszka i Ś. Krzyża, zewnętrznie murów leżące, najwięcej kiedy 200 ludźmi, co zmniejszyło załogę, mającą bronić samej twierdzy do 1300 ludzi.

Lord Wellington, sprowadziwszy tajemnie swój park oblężniczy aż do granicy, przebył ją 8-go Stycznia 1812 spodziewając się, że przed powrotem oddziału wysłanego do Walencji przez armję portugalską, do Nwarry przez armję północną, zdobędzie twierdzę, tak ogoloną ze środków obrony, jaką zdawała się być w téj chwili Ciudad-Rodrigo. Ażebymy być pewniejszym jęj zdobycia, postanowił przyspieszyć napad, który z powodu słabości załogi nie przedstawiał wielkiego niebezpieczeństwa.

Przeszedłszy 8-go Aguedę i opasałszy twierdzę, chciał tegoż samego nawet wieczora zdobyć lunetę wzniesioną na Wielkim Tezo. Uzbrojona trzema działami, strzeżona przez pięćdziesięciu ludzi, nie mogła ona stawić wielkiego oporu, jakoż, nieszczęśliwy oddział, co ją bronił, oskoczony nagle, wzięty został w niewolę lub poległ. Wnet potem, lord Wellington, który miał nie mniej jak 40 tysięcy żołnierza, rozpoczął roboty przykopowe z ogromną ilością rąk, i opasał swemi okopami całą twierdzę, od klasztoru Ś. Krzyża do klasztoru Ś. Franciszka. Idąc za przykładem Francuzów, postanowił zrobić otwór w murach, kędy oni byli przeszli, podkopy więc skierowane były w tę stronę. Ponieważ klasztory Ś. Krzyża i Ś. Franciszka leżały po bokach okopów angielskich, przedsięwzięto opanować je nagłym napadem. Nie było to rzeczą trudną, gdyż w jednym z nich nie było więcej nad pięćdziesięciu naszych żołnierzy, w drugim zaś nie więcej nad sto pięćdziesięciu. Lord Wellington zdobył klasztor Ś. Krzyża w nocy z 13-go na 14-ty, a pięćdziesięciu ludzi, co go broniło, nie mogąc się w nim utrzymać, cofnęło się po upornej walce. Jenerał Barrje zrobił wycieczkę dla odzyskania tego stanowiska, odzyskał go rzeczywiście, ale zmuszony był opuścić go na nowo przed mnóstwem oblegających. Klasztor Ś. Franciszka obchodził więcej nieprzyjaciela, gdyż niepokoił swemi wystrzałami lewą stronę okopów angielskich, z której lord Wellington chciał przedsięwziąć drugi atak. Sto pięćdziesięciu ludzi zajmujących ten klasztor, oskoczonych przemagającymi siłami i zagrożonych odcięciem od miasta, cofnęło się po zagwoźdzeniu swych armat. Większe doświadczenie w obronie twierdzy powinno było nauczyć jenerała Barrje, że chcieć zachować stanowiska oddzielne przy tak małej liczbie żołnierza, było to niepotrzebnie narażać ludzi na zgubę. Zresztą, gdyby nawet wiedział o tém, mało co więcej mógłby dokazać z siłami, jakie miał w swém rozporządze-

niu, potrzeba téż dodać, że zamykając się w twierdzy, i ograniczając się na obronie samych murów, nie przedłużyłby znacznie obrony.

Po zdobyciu zewnętrznych fortyfikacji, lord Wellington skierował dwadzieścia sześć armat na dawny wyłom, i w kilka godzin kamienie bez wapna runęły z nadzwyczajną szybkością. Szturm mógł być wtedy przypuszczonym. Oblężeni, podobnie jak w Badajozie, korzystając ze zwyczaju jaki mieli Anglicy robienia wyłomu nie zniszczywszy pierwój kontreskarpy, probowali z wielką odwagą oczyścić z gruzów podnoże murów. Ale będąc w małej liczbie, niedostatecznie zastoinieni kontreskarpą i pochyłością szanców, spędzeni wkrótce zostali wystrzałami nieprzyjaciela, i artyllerja angielska, nagromadzając gruzu u stóp wyłomu, wyrównała znowu spadzistość. Lord Wellington przekonał się w Badajozie, jak ciężko było brać szturmem twierdze bronione przez Francuzów, uważał więc że dla dopięcia swego zamiaru należało wykonać drugi atak, nie zmyślony ale rzeczywisty, a to dla rozdzielenia uwagi obleżonych, i zatrwożenia ich dwoma szturmami jednocześnie przypuszczanemi. Kazał więc urządzić nową baterję wyłomową na lewo swoich okopów, około klasztoru świętego Franciszka, i mając silną artyllerję w swém rozporządzeniu, mógł rzęsiście dawać ognia do murów. Artyllerja twierdzy, dobrze kierowana, przeszkadzała bardzo tym nowym robotom, ale nie mogła nie dokazać przeciwko wielkiej liczbie oblegających, i wkrótce, na tym drugim punkcie, wyłom, chociaż mniej szeroki, uznany został za przystępny.

Jenerał Barrje, postanowiwszy umrzeć z bronią w ręku, użył wszelkich zwykle używanych sposobów sztuki dla odparcia szturm. Kazał wznieść podwójny szaniec z tyłu wyłomów, umieścić po bokach działa nabite kartaczami, na wierzchu wyłomów ręczne bomby, a z tyłu postawił wybornych żołnierzy. Nie mając więcéj nad tysiąc ludzi, dla obrony, zmuszonym będąc strzedz dwóch wyłomów, i czuwać nad całym obwodem twierdzy, pozostawało mu w zapasie przeciwko kolumnie, któraby się wdarła wewnątrz murów, nie więcéj jak stu ludzi. Pomimo to, wezwany do poddania się przez jenerała angielskiego, odpowiedział jak człowiek honorowy, że umrze na wałach, a kapitulować nie będzie. Odpowiedź ta była chlubną, gdyż w stanie do jakiego był przyprowadzony, prawidła obrony twierdz, nawet uważając ze stanowiska honoru wojennego, dozwalały mu wejść w układy.

W nocy z 18-go na 19-ty Stycznia, lord Wellington wysłał dwie

kolumny szturmowe na mury, i umieścił rezerwy dla wspierania ich. Kolumna skierowana na wielki wyłom na prawo, przybiegłszy bez żadnej osłony aż nad brzeg rowu, rzuciła się weń, i starała się wdrzeć po gruzach murów, ale powielekroć wstrzymaną była kartaczami, granatami i strzałami karabinowemi zbliśka. Jenerał Barrje, znajdujący się w tém miejscu, gdyż ono najwięcej było zagrożone, mógł sobie pochlebiać na chwilę że odeprze napad. Sądząc z głośnych okrzyków przy małym wyłomie, że on był zdobyty, pośpieszył tam z swą rezerwą, ale przekonał się że to była fałszywa twoga i powrócił do wielkiego wyłomu. Druga tymczasem kolumna angielska, odparta od małego wyłomu, powróciła tam z większemi siłami, przemogła oddział wołyżerów broniący go, i wpadła do miasta. Tą razą jenerał Barrje, myśląc że to takoz była fałszywa twoga, nie nadbiegł w porę, i kolumna jego, broniąca wielkiego wyłomu, wzięta z boku, zmuszoną była złożyć broń. Załoga i jój dowódzca posunęli opór do ostateczności; można im było zarzucić nieco uchybień pod względem sztuki, a należy dodać, że gdyby nawet ich uniknęli, nie zdołaliby obronić twierdzy. Miasto, chociaż sprzymierzone, zostało zrabowane, gdyż lord Wellington zmuszony był dozwolić tego czynu barbarzyńskiego, z powodu usposobienia swojego wojska. Szanujemy bardzo naród angielski i jego waleczną armję; ale niech nam wolno będzie zrobić tę uwagę, że żołnierze francuzcy nie potrzebują podobnego bodźca.

Twierdza więc, opasana 8-go Stycznia, zdała się 18-go wieczorem to jest, opanowaną była po dziesięciu dniach. Podobny rezultat mógłby wydawać się nadzwyczajnym; ale nadwężony stan fortyfikacji, szczupłość załogi, wielka liczba oblegających, i musimy powiedzieć, hojność z jaką lord Wellington poświęcał ludzi, który tak troskliwie oszczędzał ich w odkrytym polu, wyjaśniają nam rychłe powodzenie tego obleżenia. Kosztowało ono mu niemniej jak 1,300 do 1,400 żołnierzy, poległych lub ranionych, oraz wielu znakomitych officerów, szczególnie mężnego i śmiałego Krawfurda, dowódcy lekkiej dywizji. Ponieważ Anglicy nie mają specjalnych wojsk inżynjerji, a inżynjerowie ich, chociaż bardzo pojętni, nie są zbyt biegli w głębokiej sztuce Wobana, przeto nader dorywczo robili przykopy, zaniedbywali urządzenia przystępu na brzegach rowu, pozostawiali w całości kontreskarpę, a potem przypuszczali szturm nie bacząc na stratę ludzi. Systemat ten chociaż nie udał się pod Badajoz, otrzymał pomyślniejszy skutek pod Ciudad-Rodrigo, z powodu wielu jednoczesnych ataków, co jednakże wymaga znacznej armji, poświęcenia

wielkiej liczby ludzi, zresztą wiele dzielności, a przytém wszystkiém może się nie udać, jeżeli załoga będzie liczną i determinowaną (1).

Jakiegokolwiek mogły być uchybienia pod względem technicznym, prędkie zdobycie Ciudad-Rodrigo było uderzeniem piorunu dla dowódców armij północnej i portugalskiej, oraz dla głównego sztabu w Madrycie. Ten ostatni musiał być najmniej zdziwionym, gdyż ganił skierowanie wszystkich sił rozporządzalnych ku Walencji, z którego lord Wellington umiał tak dobrze korzystać. Najbardziej zasmuconym był marszałek Marmon. W chwili kiedy się dowiedział o rozpoczęciu oblężenia Ciudad-Rodrigo, to jest, około 10-go Stycznia, zajęty był przenoszeniem się z nad brzegów Tagu nad brzegi Duro, licząc na obronę najmniej dni dwudziestu, spodziewał się połączyć tymczasem pięć swoich dywizyj, nawet sześć może z liczby siedmiu, i otrzymać jeszcze od armji północnej dwanaście do piętnastu tysięcy ludzi wojsk posiłkowych, co dozwoliłoby mu ruszyć z więcej jak czterdziestą tysiącami ludzi na pomoc oblężonej twierdzy. Ale niedbalstwo jenerała Dorsenn, któremu poruczono czuwać nad bezpieczeństwem Ciudad-Rodrigo, skróciło bardzo trwanie możliwego oporu, i należy dodać, że sam marszałek Marmon, odkładając do dni dwudziestu podanie pomocy twierdzy, chociaż nie przekroczył w tém wyrachowaniu granic zwyczajnej obrony, nie dość myślał o trafunkowych wypadkach zawodzących często najlepiej ugruntowane wyrachowania. Jednakże, lubo charakteru bardzo szlachetnego, marszałek Marmon zwałił całą winę na jenerała Barrje, nazywając go nędznikiem, nie umiejącym bronić powierzonego mu stanowiska; jenerał Dorsenn wytłómaczył się podobnymże sposobem, i jak zdarza się bardzo często, najwinniejsi złożyli winę na tego, który był nim najmniej, który nie był nim nawet zupełnie w tém zdarzeniu, gdyż stawić opór pomimo zagrożenia szturmem, przyjąć go, i poddać się tylko zwycięzcy oblegającemu, jest ostatnim kresem zobowiązań włożonych na komendantów twierdz.

Zresztą, łatwo pojąć rozpacz dowódców armij północnej i portugalskiej, gdyż stara Kastylja zostawała odtąd odstoniętą, i nasza linja komunikacyjna zostawała narażoną na napady armji silnej, której dotąd rzeczywiście jeszcze nie pobiliśmy, i która zaczynała się otrząsać ze swęj zwykłej ostrożności. Gdyby Anglicy mieli się posunąć aż

(1) Idziemy tu tylko za zdaniem samego lorda Wellingtona co do sposobu działania inżynjerów angielskich.

do Walladolid, do czegożby nam posłużyło zajęcie Walencji, Sewilli, Badajozu?

Marszałek Marmon, pełen czujności względem tego co się go wprost tyczyło, pojął niebezpieczeństwo tego położenia, i widząc stracone Ciudad-Rodrigo, pośpieszył wynagrodzić tę stratę przyprawieniem do stanu obronnego Salamanki, która stała się stolicą jego dowództwa, i która miała być później widownią krwawej bitwy. Rozwinął wiele działalności i pojętności w wyborze robót fortyfikacyjnych, użył trzech wielkich klasztorów, położonych w bliskości Salamanki, dla zastąpienia regularnych fortyfikacji, na których temu miastu zbywało, i założył tam pewien rodzaj obozu oszańcowanego, którego oddział determinowany mógł bronić dość długo. Zajął się potem utworzeniem magazynów i szpitalów, oraz rozpołożeniem jak najdogodniejszym swojego wojska, zajęcia, których zamiłowania, a po części talentu, nabył w szkole Napoleona.

Oddział generała Monbrę powrócił wreszcie, ale marszałek Marmon, chociaż miał w swém rozporządzeniu siedm pięknych dywizyj piechoty i dwie jazdy, nie był spokojnym zważając na obszerny zakres swoich działań. Mógł liczyć tylko na 44 tysiące piechoty, a potrzeba mu było niemniej jak 10 tysięcy na strzeżenie mostu Alwaraz na Tagu, wąwozów Rañol i Perales na Gwadarramie, Zamory na Duro, Leonu i Estorgi od strony Asturij. Pozostało mu więc tylko 34 tysiące piechoty zgromadzonej w jedno miejsce, a z dołączeniem jazdy i artyllerii, najwięcej kiedy 40 tysięcy ludzi zdolnych do boju. Owoż armja angielsko-portugalska mogła wtedy wyprowadzić w pole 60,000 ludzi, z których połowa była Anglików a połowa Portugalczyków, dobrych żołnierzy. Nie było rzeczą roztropną rozpoczynać walkę nawet z 50,000 żołnierza przeciwko podobnej armji, chyba żeby się miało wszystkich pod ręką, dobrze odzianych, dobrze uzbrojonych, dobrze nakarmionych, a nierozproszonych dla wielu usług przydatkowych, jak tego wymaga pobyt w kraju, gdzie cała ludność jest nieprzyjazną. Co do posiłków złożonych z 4,000 ludzi, mających być nadesłanemi z armji środkowej, marszałek Marmon uważał to słusznie za urojenie w ówczesném położeniu Madrytu. Nie liczył też więcej na 12,000 ludzi generała Kaffarelli, który zastąpił miejsce generała Dorsenn, i który w stanie północnych prowincij mógł znaleźć wiele pozornych przyczyn dla odroczenia, a nawet całkowitego odmówienia swojego kontyngensu. Nie spał więc spokojnie myśląc o wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwach, które się mogły zwaćić na niego. Była jeszcze inna część jego zarządu, która go niemniej

niepokoiła, to jest, obrona Badajozu. Tajemne przeczucie, które czyniło zaszczyt jego przenikliwości, mówiło mu, że lord Wellington mógł bardzo po nagłym zdobyciu Ciudad-Rodrigo, uderzyć na Badajoz, i zapytywał samego siebie jakim sposobem będzie mógł opuścić Kastylję, zostawić ją prawie odłonią i pośpieszyć na obronę Badajozu, o piętnaście najmniej marszów odległego od Salamanki. Zostając w tak przykrém położeniu, wysłał jednego z swych zaufanych adjutantów do Paryża dla przełożenia wszystkich tych niebezpieczeństw Napoleonowi, i dla powiedzenia mu, że jedynym sposobem w jego oczach zapobieżenia temu było połączenie w jednej osobie dowództwa armij północnej, środkowej i portugalskiej. Pewnym wtedy będąc spełnienia swych rozkazów i po należytem rozdzieleniu sił, mając zawsze pod swą ręką pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy żołnierza, sądził że będzie w stanie oprzeć się Anglikom. Chociaż to dowództwo było za nadto znaczne dla niego, i chociaż nie posiadał ani wziętości, ani zasług, które mogłyby usprawiedliwić podobne uroszczenie, jednakże to co proponował korzystniejszym było, niżeli obecne rozdzielenie sił, a może zapobiegłoby wielu nieszczęściom. W braku tego zjednoczenia dowództwa, marszałek Marmon prosił o pozwolenie służenia mu gdzieindziej.

Było to wielkie uchybienie w obec Napoleona, skłonnego do podejrzliwości z charakteru i przez długi zarząd ludźmi, wydać się z swemi uroszczeniami osobistemi, udzielając nawet pożytecznej rady. Napoleon lubił marszałka Marmon, którego miał przy sobie za adjutanta, i którego wysoko cenił przymioty przyjemne i świetne, ale skutkiem długiego spoufalenia, przywykł był traktować go lekko, i nie przywiązywał dość wagi do jego rad, powiadając że ambicja zawracała mu głowę, że nie był zdolnym do takiego dowództwa, że dla zadowolenia jego należało odebrać Józefowi dowództwo armij środkowej, co było niepodobieństwem; że marszałek z resztą mięszał się w to, co do niego nie należało; że Badajoz nie był już powierzonym jego pieczy; że do niego należało tylko strzedz północy Półwyspu przeciwko Anglikom; że nie żądano od niego więcej; że do armji andaluzyjskiej należało bronić Badajozu, i że ona aż nadto dostateczną będzie do tego, jeżeli Anglicy zaatakują tę twierdzę dwoma tylko dywizjami, to jest, korpusem generała Hill wzmocnionym, jeśliby zaś zaatakowali ją pięcią dywizjami, to jest, prawie całą swą armją, z lordem Wellingtonem na czele, wtedy zostawał dla armji portugalskiej środek pewny zmuszenia ich do odstąpienia, to jest, rzucić się na oddziały pozostawione wzdłuż Aguedy, wpaść do Koim-

bry, ruszyć nawet na Tomar, a w takim razie lord Wellington będzie zmuszony cofnąć się i rzec się Badajozu; że należało odtąd trzymać się tego sposobu działania, nie opuszczać straży Kastylji, a jeżeliby wypadła potrzeba podania pomocy armji andaluzyjskiej uczynić to posuwając się przez Beirę i lewym brzegiem Tagu aż do Koimbry, albo do Tomar, mającawsze na baczeniu, żeby zasłaniać naszą linię komunikacyjną z Pirenejami.

Pomysły te były trafne, jak wszystkie Napoleona tyjące się wojny, ale trafne sposobem bardzo ogólnym, i w zastosowaniu nie podobna było żeby nie utraciły cós ze swęj trafności, żeby się nie stały nawet zgubnemi, jeżeliby okoliczności, których Napoleon zdaleka nie mógł ocenić z należytą ścisłością, nie zgadzały się z przypuszczeniami, według których rozumował. Jeżeliby Badajoz, np. w miejscu pozostawania w stanie obrony przez dwa miesiące, mogło zaledwo utrzymać się przez jeden, dywersja zalecona na Tagu, jakkolwiek miała za sobą pozory pomyslnego skutku, nie mogła się stać pobudką stanowczą dla lorda Wellingtona do zdjęcia oblężenia, którego wkrótce mógł dokonać. Zresztą, należało żeby pochód na Tag był przedsięwzięty z siłami wystarczającemi, a do tego potrzeba było koniecznie, żeby armja północna i portugalska przynajmniej zostawały pod jednym dowódcą, jeżeli już nie można było armji środkowej oddać pod rozkazy tegoż dowódcy. Owoż, marszałek Marmon mógł więcej dokażać sam jeden, nizeli doznając przeszkód ze strony jenerała Kaffarelli, jakkolwiek ten ostatni był czło wiekiem ucziwym i pełnym poświęcenia. Tego właśnie Napoleon nieszczęściem nie chciał przypuścić.

Tajemne przecucie marszałka Marmon względem zamiarów lorda Wellingtona było aż nadto uzasadnione. Ten, osmielony prędkim zdobyciem Ciudad-Rodrigo, codziennie więcej przekonany, że armje francuzkie w swoich ruchach bez związku pozostawią mu czasu do dokonania oblężeń krótkich i nagłych, przygotował wszystko nazajutrz po wzięciu Ciudad-Rodrigo dla zrobienia na Badajoz gwałtownego napadu, z ogromnemi środkami, i z hojnęm poświęceniem krwi ludzkiej. Odprawiał już w tym zamiarze z Abrantes na Elwas wielkie zapasy wojenne, i wysłał kolejno wszystkie swe dywizje na Alentejo, pozostawszy swoją osobą w Koa, ażeby nie domyślono się jego zamiaru. Powiedło się mu w tém zupełnie, albowiem lubo domyślano się w Badajozie o czynionych przygotowaniach do oblężenia, nie spodziewano się połączenia całej armji angielskiej przed tą twierdzą i nie wiedziano o tém zupełnie w Kastylji i Andaluzji.

Żałoga Badajozu nie przestawała wzywać ratunku od marszałka Sulta, i domagać się od niego prędkiej pomocy. Marszałek rozumując jak po większej części ludzie zwykli rozumować, to jest, wnosząc że okoliczności, które się raz przytrafiły, przytrafią się i po raz drugi, nie zwracając bynajmniej uwagi na zasze zmiany, sądził że Badajoz, które pierwój już przez dwa miesiące prawie stawiało opór, zatrzyma nieprzyjaciela najmniej miesiąc, zwłaszcza po naprawieniu jego fortyfikacji, że przeto będzie miał dość czasu pośpieszenia na pomoc, że marszałek Marmon zresztą pośpieszy ze swój strony, i że nie należało lękać się bardzo tego zagrożenia nowém oblężeniem.

Jednakże powinien był zastanowić się nad tém, że pomoc oczekiwana zdaleka była rzeczą, na którą nieroztropnie było liczyć, że Anglicy byli bardzo niezręczni w swojém piérwszém oblężeniu Badajozu, ale że w drugiem mogą skuteczniej działać, i z większemi środkami, że należało więc postawić przynajmniej tę twierdzę w doskonałym stanie obrony. Owoż, załoga z 5,000 ludzi, zmniejszona do 4,400 na krótki czas przed oblężeniem, a do 4,000 w chwili opasania, była całkiem niedostateczną. Należało mieć 10,000 ludzi, z odpowiednim zapasem żywności i amunicji, dla odparcia tego nowego napadu Anglików. I stąd, np. nierównie byłoby korzystniej doprowadzić do téj liczby załogę Badajozu, niżeli pozostawiać w Estremadurze korpus jenerała Drue, który nie mógł tam nic innego zrobić jak cofnąć się za piérwszém ukazaniem się Anglików. Po odłączeniu od niego potrzebnej ilości żołnierza do Badajozu, należało ściągnąć resztę do głównej kwatery, a załoga, powiększona pięcią tysiącami żołnierza z pewną ilością jazdy, miałyby sposobność posunięcia swych wycieczek dalej, służyłaby za korpus obserwacyjny dla Estremadury lepiej niżeli korpus jenerała Drue, i stałaby się prawie niezwycięzoną w razie oblężenia. Nadto, mogłaby się sama zaopatrzyć w zapasy czy to drzewa, czy żywności. Owóż, przy końcu lutego, w miesiąc po wzięciu Ciudad-Rodrigo, kiedy projekt nowego oblężenia stał się widocznym, twierdza miała żywności zaledwo na dwa miesiące, doznawała braku prochu na przypadek długiego oblężenia, doznawała nadewszystko braku drzewa potrzebnego do robienia palissad i osłon, i nie przestawała domagać się tych przedmiotów, których była pozbawioną. Żywność nawet, w którą była opatrzoną zmuszoną była po części dostawać sama, zżynając zboże własnemi rękoma o trzy mile odległości. Wprawdzie fortyfikacje twierdzy były ulepszone, tak po prawej jak po lewej stronie Gwadjany. Na prawym brzegu, wyłomy fortecy Sę Krysto wal były naprawione, eskarpy pod-

niesione, rowy głębiej wydrążone w żywej skale. Na lewym brzegu, zamek postawiony był w stanie obronnym, podnóże skały, na której był zbudowanym, otoczone murem, luneta Pikuryna zasłaniająca go naprawiona, wylew Rivillas znacznie powiększony za pośrednictwem wielkiej grobli, wreszcie warownia Pardaleras całkiem zamknięta przy wejściu. Czoła od południo-zachodu, tworzące wydatność, były zawsze częścią najbardziej zagrożoną, ale miny podłożone zostały pod temi czołami, dla oddalenia od nich nieprzyjaciela. Nieszczęściem bra kowało drzewa dla opalisadowania rowów i dla ustawienia osłon; ale bohaterstwo załogi dozwalało jej obejść się bez nich, choć była wystawioną na pociski bomb i granatów. Nakoniec, jak powiedzieliśmy wyżej, nie było dostatecznej ilości prochu, a żywność która w Lutym wystarczyłaby jeszcze na dwa miesiące, nie mogła trwać tak długo w Marcu.

Taki był stan twierdzy kiedy Anglicy ukazali się pod jej murami 16-go Marca 1812, spodziewając się że jak w Ciudad-Rodrigo skończą oblężenie, nim skupienie naszych sił zdoła temu zapobiedz. Mieli oni armję najmniej od 50,000 ludzi, ogromne zapasy wojenne, i ponieważ nie byli bieglejszemi w sztuce oblężeń jak przed wzięciem Ciudad-Rodrigo, postanowili posunąć przykopy o tyle, o ile tego wymagałoby urządzenie baterij wylomowych, potem otworzyć razem wiele wylomów, i korzystać z swęj wyższości liczbowej dla przypuszczenia jednocześnie dwóch czy trzech szturmów, sposób kosztowny, ale skuteczny przeciw załodze, jakkolwiek mężnej, lecz nie dość licznęj.

Zaraz pierwszego dnia opasanie Badajozu było uskutecznione, i nie tracąc czasu Anglicy wybrali punkt ataku. Po nieszczęśliwęj próbie roku uprzedniego nie chcieli już robić napadu na twierdzę Sę-Krystował, ale skierowali swe usiłowania na brzeg lewy Gwardjany, to jest, na samą twierdzę. Atak ze strony południowo-zachodnięj, chociaż łatwiejszy, był takóž zaniechany, ale tą razą z bojaźni min podkopowych, przeprowadzonych w tęg części gruntu. Anglicy zwrócili się ku wschodowi przeciw zamkowi i przeciw czołom przyległym bramie Trinidad, pomimo wylewu Rivillas i pomimo lunety Pikuryny. Siedmnastego, nazajutrz po opasaniu, otworzyli przykopy przed lunetą Pikuryną, fortyfikacją niedokończoną, niewielkich rozmiarów, zamkniętą przy wejściu prostą palisadą, i która mogła być łatwo zdobytą szturmem. Owož, po wzięciu tęg lunety, łatwą było rzeczą urządzić tam baterję dla robienia wylomów w czołach, przeciw którym był skierowanym nowy ten atak. Dziewiętnastego oblężeńi

postanowili użyć środka zwykle używanego i bardzo skutecznego, kiedy załoga jest mężną i determinowaną, to jest, wycieczek, które rujnując roboty oblegających, przeszkadzały dokończeniu przykopów, i przedłużały tym sposobem obronę. Wycieczka, wykonana dzielnie, odparła Anglików od ich rowów, dozwoliła zarzucić część ich, ale jak zwykle się dzieje, pociągnęła za sobą powrót zaczepny nieprzyjaciela, i nasi żołnierze, zamiast cofnięcia się bez fałszywej dumy gdyż cel ich był dopięty, chcieli upornie stawić czoło, i mieli 20 ludzi zabitych, a 160 ranionych. Anglicy nie mniej stracili jak 300 ludzi. Było to niczem dla nich, którzy ich liczyli więcej 50,000, ale wiele znaczyło dla nas, którzy mieliśmy ich zaledwo 4,000 zdolnych do boju. Dla tego zaniechano tego środka, sposobnego do przedłużenia obrony, ale niebezpiecznego, kiedy załoga nie jest dość liczną.

Anglicy posuwając roboty z nadzwyczajną prędkością mogli już 25-go Marca robić wyłom w lunecie Pikurynie dwudziestu trzema działami, zrujnowali jej część wystającą i nadwierzeli boki. Wieczorem, niezwłocznie rzucili się na nią trzema silnymi kolumnami i rezerwami. Luneta ta bronioną była tylko przez 200 żołnierzy, zebranych z rozmaitych pułków. Nie można było, w stanie w jakim się znajdowała załoga, obsadzać ją większą liczbą ludzi, ale należało raczej wziąć żołnierzy należących do jednego bataljonu i gotowych działać tak jak zwykle działają ludzie znający się wzajemnie, kiedy walczą tuż obok siebie. Trzy kolumny nieprzyjacielskie rzuciły się w rów (gdyż Anglicy trzymali się swego systematu nieprowadzenia przykopów aż do samego brzegu rowu), jedna z nich posunęła się aż do pochyłości szanców, starała się wyrwać palisady dla wdarcia się przez wejście, ale cofnęła się przed gestami strzałami karabinowemi; druga chcąc się wedrzeć przez wyłom, była również odpartą; lecz trzecia przystawivszy drabiny ze strony najmniej strzeżonej, dostała się aż do parapetu, w chwili kiedy druga kolumna ponawiając natarcie wstępowała na część wystającą, w połowie zrujnowaną. Szczęśliwy garnizon, zmuszony stawić czoło dwóm wtargnięciom razem, nie mógł podoląć, i musiał wkrótce złożyć broń. Ośmdziesiąt trzech ludzi było zabitych lub ranionych, a ośmdziesiąt sześć było wziętych w niewolę. Nieprzyjaciel stracił około 350 ludzi.

Artyllerja nasza zwróciła natychmiast silny ogień na zwycięzców zostających w posiadaniu Pikuryny i uczyniła im pobyt tam bardzo niedogodny. Z wielką trudnością przychodziło im kopać ziemię dla zastonienia się od strony twierdzy, ale przy pomocy wielu robotników i środków materialnych, udało się im, poświęciwszy dużo ludzi,

utworzyć sobie bezpieczną uchronę w zdobytej fortyfikacji, poczem rozpoczęli ustawianie baterji wyłomowej przeciwko dwóm bastyonom odpowiadającym lunecie Pikurynie. Od tego czasu opuścili prawie wszystkie inne swoje baterje, których miejscowość była dość źle wybrana, i zajęli się wyłącznie nowemi, które będąc bardzo blisko muru obwodowego, mogły łatwo sięgać strzałami do podnóża jego. Artyllerja francuzka, wybornie kierowana, zadawała wielkie straty tak śmiało postępującemu nieprzyjacielowi, ale zaczęło jój brakować prochu, i załoga musiała zastąpić strzały armatnie, strzałami karabinowemi, które najlepsi strzelcy z każdego pułku wymierzali na kanonjerów angielskich. Jesliby załoga miała dość prochu i dość ludzi, mogłaby połączyć wielki ogień swój artyllერი z silną wycieczką przeciwko szańcom wzniesionym u wejścia Pikuryny. Pomysłna wycieczka na punkcie tak z blizonym mogłaby bez wątpienia zniszczyć wszelkie korzyści odniesione przez oblegającego, i postawiłaby go w tém samém położeniu, w jakim był na początku oblężenia. Ale należałoby skutecznie tę wycieczkę z 1,100 lub 1,200 ludźmi, poświęcić z nich może 300 lub 400, a załoga musiała oszczędzać swój proch i swoich ludzi na dzień najważniejszy i stanowczy szturm.

Chwila ta nie mogła być daleką, tak szybkie były postępy oblegających, których oblężeni nie byli w stanie powstrzymać. Jednakże załoga wytrwała już piętnaście dni, poświęciwszy wprawdzie 700 ludzi z czterech tysięcy, ale też nieprzyjaciel nie zdołał zrobić wyłomu w dwóch basztach, przez które postanowił wdrzeć się do forticy. Trzydziestego pierwszego potrafił ustawić kilka baterji z dwudziestą działami wielkiego kalibru, przeciwko dwóm basztom, które chciano rozwalić. Przeciagnał swe okopy na prawo i na lewo dla wzniesienia wielu innych baterij, w celu odpowiadania na artyllериę twierdzy, ostrzeliwania jój szańców i zrobienia trzech wyłomów. Wkrótce miał ustawione na pozycji pięćdziesiąt dwa działa wielkiego kalibru, i rozpoczął straszliwy ogień. Załoga, która zachowała była swą ammunieję na ostatnią chwilę, odpowiedziała nie mniej silnym ogniem. Zdemonstrowała wprawdzie wiele dział, ale Anglicy mając podostatkiem zasobów wojennych, i okazując wielką odwagę, zastępowali zdemontowane działa innemi, pośród rozwalonych swych szańców i pod gradem pocisków. Artylleryści nasi nie chcąc żeby ich przewyższono, a nawet im dorównano, zostawali w nadwężonych strzelnicach swych armat, i podwajali swe usiłowania pomimo kul, bomb i granatów. Załoga doszła do tego stanu egzaltacji, w którym nie zwraca

się bynajmniej uwagi na niebezpieczeństwa, i przysięgła umrzeć raczej niżeli oddać swą chorągiew, i pójść gnść na cuchnących pontonach, na których Anglja z uszczerbkiem stawy swęj cywilizacji, dozwalała ginąć naszym więźniom. Najbardziej nieszczęśliwymi w tęj zaciętej walce byli mieszkańcy, pozostali w mieście w liczbie najwięcej kiedy pięćiu tysięcy z liczby piętnastu, i to po większej części tuziemcy. Załoga karmiła ich tém co sama oszczędziła. Była ona tak ludzką, że szczątkami swojego mięsa i swych legumin przyrządzała im pożywienie, które niedozwalało im umrzeć z głodu. Ale nie mając ani kazamatów, ani osłon dla samej siebie, i umiejąc obejść się bez nich, nie mogła ochronić ich od kawałków pękających bomb, pośród których nieustraszenie przebywała. Dla tego tęż okropne jęki napełniały to miasto, i zakrzwiałały serca naszych żołnierzy, nieczułych na swe własne niebezpieczeństwa, ale pełnych litości dla nieszczęśliwych, których od piętnastu miesięcy przywykli byli uważać za współziomków.

Nakoniec chwila ostateczna nadeszła. Trzy szerokie wyłomy były zrobione w murach atakowanych bastjonów. Oblegający mając pierwej rozproszone swe ognie, skupił je potém na te dwa bastjony, potrafił zniżyć równię zalewu zniszczeniem części grobel, i uczynił wyłomy przystępnymi, nie zachowawszy jednak tēj ostrożności, co mu drogo kosztować miało, wywrócenia kontreskarpy, stosownie do prawideł zwyczajnych sztuki.

Lord Wellington uczynił ten zaszczyt załodze, że nie wezwał jēj bynajmniej do poddania się, gdyż wiedział że wszelka propozycja kapitulowania będzie odrzuconą. Jakoż, po zwołaniu na radę przez gubernatora wyższych officerów, postanowioném było jednozgodnie, i przy okrzykach wojska, że będą czekać szturmowi, i zginą raczej z bronią w ręku, niżeli się poddadzą. Natychmiast pospieszono na wyłomy, ażeby użyć wszelkich środków, które najbieglejsza sztuka może przedstawiać, dla powstrzymania determinowanego nieprzyjaciela. Biegły i odważny dowódzca inżynjerów wskazał i nakreślił roboty, które żołnierze wykonywali z zapałem. Kiedy połowa ich strzegła wałów, druga połowa, pracując w rowie, oczyszczała podnóże wyłomów, co było rzeczą nader niebezpieczną, ale możliwą, skoro nieprzyjaciel nie zajął brzegów rowu. Ludzie padali pod kartaczami i granatami, ale drudzy zastępowali ich miejsce dla usunięcia pochyłości utworzonej przez rozwaliny. Nieszczęściem, artyllerja angielska, przedłużając swe dzieło zniszczenia, odnawiała wkrótce te pochy-

łości. Najskuteczniejszym środkiem obrony był ten, jakiego oblężeni użyli na samych wałach, przeprowadzając drugi szaniec z tyłu wyłomów, ustawiając na przodzie kobylice, umieszczając po bokach baryłki z prochem i zawalając ulice prowadzące do atakowanych punktów. Ostatni i straszliwy środek był jeszcze przygotowany. Ponieważ nieprzyjaciel swoim zwyczajem nie posuwał przykopów aż do brzegu rowu, i nie zrujnował przeto kontreskarpy (która jest obmurowaniem rowu przeciwległym twierdzy), można było pracować według woli u podnóża tej kontreskarpy. Dowódca inżynierów Lamar umieścił tam długi szereg bomb nabitych i baryłek napełnionych palnymi materiałami, połączonych jedne z drugimi posypką prochu, którą odważny officer inżynierów Melhe (Mailhet), ukryty w rowie, miał podpalić w chwili szturm.

Po urządzeniu tym sposobem wszystkiego, gdy żołnierze wyborowi ustawieni zostali na szczycie wyłomów, każdy z trzema fuzjami, gdy działa nabite kartaczami wrychtowane zostały po bokach, a rezerwa jak można było najsilniejsza zostawała pod rozkazami gubernatora na głównym placu miasta, czekano szturm. Lord Wellington przygotował wszystko dla przypuszczenia go 6-go Kwietnia wieczorem, 21-go dnia poswojém przybyciu pod Badajoz. Ale postanowił przypuścić go z taką masą sił, żeby pomyślny skutek był prawie niewątpliwy, chociażby miał poświęcić dwa razy tyle ludzi, ile ich stracił w największych bitwach.

Jakoż 6-go Kwietnia, o godzinie 9-jej wieczorem, artylllerja oblegających rzuciła na twierdzę potoki ognia. Dwie dywizje, pod jenerałem Kolwill, poszły wprost na wyłomy, gdy tymczasem dywizja Pikton, z drabinami zwróciła się na prawo dla probowania wdarcia się do zamku miejscem, którego poznano słabość; dywizja zaś Lejt, wziąwszy się na lewo poszła probować wedrzeć się po drabinach stroną południowo-zachodnią, dotąd zaniebdaną przez Anglików. Tym sposobem około dwudziestu tysięcy ludzi szło do szturm, massa ogromna oblegających, rzadko używana dotąd w oblężeniach. Dwie kolumny prowadzone przez jenerała Kolwill przybyły nad brzeg rowu, wskoczyły weń, i pobiegły potem do wyłomów. Okrzyk ogólny naszych żołnierzy ogłosił ich pojawienie się; pozwolono im zbliżyć się, potem, kiedy zaczęli włązić na gruzy, ogień karabinowy zbliżka przywitał ich z przodu, kartacze sypnęły na nich z boków i kładły ich gromadami na wyłomie. Kiedy ogon kolumny chciał wesprzeć czoto, drugi cios był dla niego przygotowanym. Porucznik inżynierów Melhe, zstąpiwszy do rowu śród tego okropnego

zamięszania, i czekając z lontem w ręku chwili stosownej, zapalił wreszcie długi rząd bomb i baryłek z palnemi materjałami, ustawiony u podnóża kontreskarpy. Wtedy rozpoczął się z tytu kolumn oblegających i pod nogami tych, które ich wspierały, ciąg straszliwych wybuchów, które następując po sobie co sekunda, ciskały koleją kartacze, odłamki bomb, i potoki ponurego światła. Co moment to światło zabójcze wytryskiwało z ciemności, potem noc znowu zalegała, potem ogień wybuchał na nowo, i każdą razę rozszerzał śmierć pod tysiącznemi postaciami. Nieszczęściem, nieustraszony Melhe był sam ugodzony odłamkiem bomby. W końcu, dwie dywizje angielskie wysłane na trzy wyłomy, pomimo swojego męstwa, zaczęły ustępować przed gwałtownością oporu, i tracić swój popęd pod nieustannym ogniem, który go osypywał kulami i kartaczami. Już blisko trzech tysięcy Anglików poległo, i lord Wellington miał dać hasło do odwrotu, kiedy na innych punktach rzeczy wzięły inny obrót. Na prawo ataku generał Pikton, z rzadką odwagą przystawił drabiny do jednego z boków zamku. Hesseńczycy pozostawieni byli dla jego strzeżenia. Czy to skutkiem podejścia, czy zamięszania, czy zdrady dozwolili zająć ważne stanowisko, powierzone ich odwadze i prawości, a jeden officer angielski rzuciwszy się wnet ku bramom prowadzącym do miasta, pośpieszył zamknąć je, ażeby lepiej usadowić się w zamku, nim Francuzi tam nadbiegną. Gubernator Filippon, którego powielekroć już oszukano fałszywemi okrzykami trwogi, i który zachowywał swą rezerwę na ostateczne niebezpieczeństwo, nie chciał najprzód wierzyć uwiadomieniu o zajęciu zamku. Przekonany, ale zapóźno, o rzeczywistości faktu, posłał tam czterystu żołnierzy. Ci przyjęci morderczym ogniem, zostali wstrzymani przed pierwszą bramą. Rzucili się do drugiej, i czynili próżne usiłowania dla wyłamania jej. W chęci otworzenia wstępu do zamku i wyparcia stamtąd Anglików, pośpieszono wezwać część sił broniących czoł południowo-zachodnich, zaniechanych dotąd przez nieprzyjaciela, i zdających się być mało zagrożonemi. Ogołococono więc je z obrońców dla podwojenia usiłowań w odebraniu zamku. Wtedy dywizja Lejt, zamierzając napad z téj strony, znajdując wał opróżniony, i przystawiwszy mnóstwo drabin, zdołała, skutkiem niewielkiej wysokości muru, przebyć go. Wpadłszy wewnątrz, pobiegła wzdłuż wałów uderzyć z hoku na wojsko, broniące dotąd przeważnie trzech wyłomów. Na jój widok, oddział strzegący najbliższego czoła, rzucił się na nią z bagnetem w ręku, i powstrzymał. Ale wkrótce, wracając gromadnie dywizja ta odzyskała przewagę nad naszymi żołnierzami bardzo nielicznymi, i rozbiegła się ze wszystkich stron po mieście.

Wtedy straszne zamieszanie rozszerzyło się w szeregach bohaterskiej załogi, która nie przestawała jeszcze uporczywie bronić reszty Badajozu. Obróńcy wylotów, napadnięci z boku, zmuszeni byli poddać się lub ratować się ucieczką. Gubernator, dowódca inżynjerów, i główny sztab, zrobiwszy wszystko co od nich zależało, probowali, biegnąc ku mostu na Gwadjanie umknąć ze szczątkami załogi do warowni Se-Krystowal, ażeby się tam bronić jeszcze. Ale byli pozabijani lub wzięci w niewolę. Po tak walecznej obronie, nie pozostało im nic więcej jak poddać się zwycięzcy.

Nazajutrz zaprowadzeni byli do obozu lorda Wellingtona, który chociaż przyjął ich z grzecznością, nie chciał jednak słuchać ich wstawienia się na korzyść nieszczęśliwego miasta Badajoz. Nie do nas to zaiste należało prosić za Hiszpanami, i nie do Anglików karać ich za nasz opór; ale lord Wellington, przyjąwszy grzecznie naszych oficerów, oddał bez litości miasto Badajoz na rabunek. Trzeba było tego koniecznie wojsku, które szło tak mężnie do szturm! Oblężenie Badajozu kosztowało nas około 1500 poległych lub rannych, i 3 tysiące niewolnika; ale kosztowało téż lordowi Wellingtonowi więcej 6 tysięcy ludzi poległemi lub ranionemi, to jest, więcej niżeli którakolwiek z jego bitw. Szturm sam kosztował go 3 tysiące: smutne wynagrodzenie za nasze podwójne nieszczęście! Lord Wellington niemniej jednak dokazał swego; zamiar jego użycia kilkunastu dni, które nasze ruchy bez związku pozostawiały do jego rozporządzenia, dla zdobycia po kolei Ciudad-Rodrigo i Badajozu, był niemniej przyprowadzony do skutku! Ciudad-Rodrigo i Badajoz zostały nam więc wydarte, Portugalja została dla nas zamkniętą, a Hiszpanja była odtąd otwartą dla Anglików!

Marszałek Sult, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie Badajozu, o którym mu powielekroć donoszono, za późno opuścił linje Kadyksu, gdzie był zajęty rzucaniem z małym skutkiem bomb na zatokę, i udał się wreszcie w pochód dla przyniesienia pomocy oblężonej twierdzy. Prowadził z sobą dwadzieścia cztery tysiące ludzi, jedyne wojsko czynne, którym mógł rozporządzać, chcąc upornie zachować Grenadę i Sewillę, i nadbiegł do Llereny w nadziei znalezienia tam, jak przeszłego lata, marszałka Marmon z trzydziestu tysiącami żołnierza! Próżna nadzieja! Marszałek Marmon tam się nie znajdował! Nowa klęska w Badajoz przeraziła niezmiernie marszałka Sulta, gdyż jedyna zdobycz jego kampanji andaluzyjskiej wymykała się mu z rąk, a lord Wellington, jeżeliby chciał działać przez Estremadurę i Andaluzję, miał odtąd otwartą drogę.

Marszałek Marmon, ze swój strony, nie zostawał bezczynnym. Zostając w Staréj Kastylii skutkiem wyraźnych rozkazów Napoleona, przedsięwziął, dowiedziawszy się o ostateczności, do jakiej doprowadzone było miasto Badajoz, obrót, który mu był przepisany. Przebył Aguedę z pięcią dywizjami, nie mogąc poprowadzić z sobą więcej; rozproszył bandy plondrujące kraj, odparł oddziały wojska angielskiego strzegące granic Portugalji, zatrzymał się potem z bojaźni niedostatku żywności, a razem w przekonaniu, że to co czynił, było całkiem niepożytecznym. Jednakże obrót jego nie został zupełnie bez skutku, gdyż na wieść jego pojawienia się, lord Wellington, któryby może miał chęć rzucenia się na marszałka Sulta, o którym wiedział, że miał tylko dwadzieścia cztery tysiące ludzi, wstrzymał natychmiast swój pochód, i udał się znowu drogą na północ Portugalji.

Napoleon, widząc upadające jedna po drugiej dwie twierdze, które kosztowały tyle krwi i trudów, i które były głównymi przeszkodami, umieszczonemi na drodze Anglików, czy to na północy, czy na południu, był równie zmartwionym jak rozgniewanym, i miał urazę do wszystkich, do marszałka Sulta, który z 80 tysiącami żołnierza, nic, jak mówił, nie robił; do marszałka Marmon, który nie chciał w niczem zmienić rozkazów, wydanych o trzysta mil od teatru wojny. Wyrzuty te były nie zupełnie słuszne. Marszałek Sult, nie miał w téj chwili więcej jak 50 tysięcy ludzi zdolnych do boju, i nie mógłby oprzeć się skutecznie zamachom Anglików, inaczej jak poświęcając Grenadę. Jego prawdziwém uchybieniem było, że pozostawił bezużytecznie korpus generała Drue w Estremadurze, gdzie ten korpus nie mógł począć, i że nie przywołał go prosto do siebie, pozostawiając dziesięć tysięcy piechoty i nieco jazdy w Badajoz, z dostatecznym zapasem żywności i prochu. Badajoz tym sposobem trzymałoby się kilka miesięcy, i dałoby czasu do przyścia mu w pomoc. Co się tycze marszałka Marmon, rozkaz pozostania w Staréj Kastylii, nie wykraczania do Estremadury, i nie podawania innéj pomocy Badajozowi, jak tylko przez dywersję wykonaną do prowincji Beiry, był tak stanowczym, że żaden generał, jakkolwiek byłby śmiałym, nie odważyłby się wbrew jemu postąpić.

Stanowisko, jakie ten generał obrał był z początku, to jest w Alwaraz nad Tagiem, było jedynie odpowiednie, gdyż dozwoliłoby mu pośpieszyć kolejno czy to na pomoc Ciudad-Rodrigo, czy Badajozu. Jakoż, gdyby udzielono mu posiłku dwudziestu tysięcy ludzi, któreby pozostawił w Salamance, mógłby iść na Badajoz z trzydziestu tysiącami, które miał na Tagu, i łączącwszy się z armją andaluzyjską,

mając 55 tysięcy żołnierza, mógłby stawić czoło lordowi Wellingtonowi, i oswobodzić Badajoz. Jeśliby przeciwnie niebezpieczeństwo zagrozało z północy, mógłby przebyć Gwadarramę, i znalazłszy tam 20 tysięcy ludzi pozostawionych w Salamance, mógłby postawić jeszcze 50 tysięcy żołnierza przeciw lordowi Wellingtonowi pod murami Ciudad-Rodrigo, i obrócić w niwecz wszystkie jego zamachy. Odma-wiając mu posiłku dwudziestu tysięcy ludzi, i pozostawiając go w Starój Kastylii, Napoleon uczynił prawie nieuchronnym upadek Badajozu. Zapewne, że pomysł dywersji skierowanej z Salamanki na Beirę był trafnym, jak wszelki pomysł Napoleona w rzeczach wojennych musiał nim być, i rezultat tego dowiódł, gdyż zmusił lorda Wellingtona do posunięcia się na północ Portugalji nazajutrz po wzięciu Badajozu: ale to nastąpiło nazajutrz, nie dniem przedtem! Ten pomysł był trafnym, ale tej trafności ogólnej, która nie wystarcza w wykonaniu, gdyż bez ścisłej dokładności w wyrachowaniu odległości, czasu i siły, myśli najtrafniejsze mogą się stać albo urojonemi, albo szkodliwemi. Bez wątpienia, gdyby Badajoz zawierał w sobie dziesięć tysięcy ludzi załogi, prochu i żywności podostatkiem, gdyby książę Raguzy miał pięćdziesiąt tysięcy ludzi albo swoich, albo wziętych z armji generała Kaffarelli umieszczonej pod jego rozkazami, gdyby miał nadto magazyny zawsze zaopatrzone, i żeby w tym stanie rzeczy poszedł prosto na Koimbrę, lord Wellington bez wątpienia opuściłby po raz drugi swą zdobycz, i zaniechałby oblężenia Badajozu. Ale gdy Badajoz miało zaledwo czém się bronić, a książę Raguzy, ze środkami jakie miał w swém rozporządzeniu, mógł tylko wykonać próżną demonstrację, niepodobna było, ażeby to proste zagrożenie ze strony Beiry, mogło odwrócić od zamierzonego celu umysł tak zdrowo myślący, i tak wytrzymały w swém postanowieniu, jakim był lorda Wellingtona.

Tym sposobem w 1811, podobnie jak w 1810, wszystkie zamysły w Hiszpanji były w niwecz obrócone, wszystkie posiłki wysłane pozostały bezużytecznemi. Nim skreślimy wypadki smutniejsze jeszcze niżeli te, o których dopiéro co czytaliśmy, streścimy to co się działo na Półwyspie od dwóch lat. Widzieliśmy już w czterdziestej księdze téj historii, jakim sposobem nie udała się kampanja 1810; jakim sposobem w téj epoce, pomimo mądrej myśli użycia w Hiszpanji wszystkich swych sił rozrządzalnych, dla rozstrzygnięcia kwestji europejskiej, którą podobało mu się tam przenieść, jakim téż sposobem, pomimo mądrej myśli skierowania głównych swych usiłowań przeciwko Anglikom, Napoleon dał się odwieść od swojego celu skutkiem nale-

gań Józefa i marszałka Sulta, i zgodził się na zgubną wyprawę andaluzyjską, która spowodowała rozproszenie ośmdziesięciu tysięcy wojska najlepiej wyćwiczonego na Półwyspie; widzieliśmy jakim sposobem Massena, wysłany do Lizbony z 70 tysiącami żołnierza, zmniejszonymi do 50 tysięcy skutkiem miejscowych okoliczności, znalazł przed Torres-Vedras przeszkodę prawie nieprzebytą, którą jednakże mógłby przewyciężyć z pomocą dwudziestu pięciu tysięcy ludzi mogących przybyć z Andaluzji, oraz z podobnym posiłkiem coby przybył z Kastylii; jakim sposobem marszałek Sult nie mógł, ani chciał udzielić mu tej pomocy, jakim sposobem generał Drué również nie mógł tego zrobić, jakim sposobem Napoleon, popchnięty zgubną niestałością ku nowym zamiarom, odmówił mu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, któreby mogły naprawić wszystko, i jakim sposobem wreszcie kampanja, która miała zadać cios śmiertelny armji angielskiej, stała się nieszczęśliwą dla nas, i pochłonęła bezużytecznie 150 tysięcy ludzi wysłanych po pokoju Wiedeńskim! Te smutne opisy są zapewne obecne pamięci tych, którzy czytali tę historję! Opisy końca roku 1811 nie są ani mniej zasmucające, ani mniej znaczące, jakieśmy się mogli przekonać w tej księdze.

Ponieważ od połowy 1811 postanowił obrócić swój oręż i udać się sam na Północ, to jest, do Rossji, powinien był na Południu, to jest, w Hiszpanji, przestać na silnej obronie, dopóki by nie skończył sam wszystkiego pomiędzy Wisłą a Dnieprem, jeżeli zresztą mógł w tamtych stronach skończyć cokolwiek! Pozostawiając marszałka Siusze w Aragonji i Katalonji, bez udzielenia mu nowych sił, ale bez zobowiązania go do nowych zajęć, marszałek ten, nadewszystko po zdobyciu Tarragony, pozostałby spokojnym i wolnym od napaści panem tych prowincji; pozostawiając marszałka Sulta w Sewilli, marszałka Marmon na Tagu, nie zniewalając ich do żadnego przenoszenia sił ku Walencji, z rozkazem jak jednemu tak drugiemu pośpieszenia w razie niebezpieczeństwa ku Badajoz, jak to już byli raz uczynili z tak dobrym skutkiem; udzielając nadto marszałkowi Marmon władzy przywołania do siebie armji północnej, i użyczając mu wyłącznie największej części rezerwy, rzeczą jest prawdopodobną, że zapobieżonoby na czas długi zamachom Anglików na Badajoz i Ciudad-Rodrigo, i przyprowadzonoby lorda Wellingtona, może na rok, do nieczynności niedogodnej dla niego w obec wymagającej opinji jego kraju. Ale nie chcąc zrzekać się niczego, i obok przygotowań do obrzymiej wyprawy rosyjskiej, chcąc poprzeć silnie sprawy hiszpańskie, pochtebiając sobie, że je poprawi znacznie jesienią i zimą 1811, Napo-

leon nakazując wyprawę do Walencji, odnowił błąd, który popełnił był zezwalając na wyprawę andaluzyjską: zmusił marszałka Siusze do obszerniejszego działania bez wzmocnienia go, i wówczas kiedy na chwilę kazał zdążyć ku niemu wszystkim siłom rozrządzalnym, lord Wellington na czatach zdobył Ciudad-Rodrigo, i zamknął nam Beirę, otwierając sobie Kastylję. Marszałek Marmon pośpieszył wprawdzie do Ciudad-Rodrigo, ale zmuszony do przywołania swoich sił rozproszonych aż do okolic Alikantu, przybył za późno, i ta jedyna zdobycz kampanji portugalskiej została nam wydartą. Pozostawał Badajoz, zdobycz jedyna także kampanji andaluzyjskiej. Taż sama przyczyna spowodowała jego stratę. Napoleon zmuszony wcześniej, niżeli z początku był zamierzał, odwołać z Hiszpanji swoją gwardję, Polaków, dragonów, czwarte bataljony, i ściągając wszystko na północ Półwyspu, ażeby mógł wszystko ściągnąć na północ Europy, przeniósł marszałka Marmon z nad Tagu nad Duro, kazał mu tam pozostać, i odkrył tym sposobem Badajoz, który lord Wellington, zawsze na czatach, opanował podobnie jak Ciudad-Rodrigo, korzystając z próżni pozostawionej przed tą twierdzą, skutkiem naszych fałszywych obrotów. Tym sposobem dla wzięcia Walencji, która osłabiała nas zmuszając do rozszerzenia obrębu działań, stracono Badajoz i Ciudad-Rodrigo, jedyny owoc dwóch trudnych kampanji, jedyną ważną przeschodę, którą można było postawić zaczepnemu działaniu Anglików! Taki był, taki musiał być rezultat tego sposobu rozkazywania z daleka, rozkazywania myśląc o czém inném, i poświęcając każdemu przedmiotowi tylko połowę zasobów i uwagi, jakie musiały być użyte dla odniesienia pożądanego skutku.

Po tych wszystkich uchybieniach, oto jaki był stan rzeczy w Hiszpanji. Jenerał Siusze pozostawał w Walencji mając tyle tylko sił, ile potrzeba było na utrzymanie w posłuszeństwie kraju, ale bez żadnego środka działania w pewnej odległości; wojsko marszałka Sulta rozciągnięte w linję pośród Andaluzji, nie było dostateczne do opanowania Kadyksu, i w niemożności wydania bitwy Anglikom, gdyby ci, po wzięciu Badajozu, zwrócili się w tę stronę, co zresztą było rzeczą mało do prawdy podobną; nakoniec marszałek Marmon na północy, gdzie rzeczywiście Anglicy chcieli wymierzyć cios stanowczy, czy to na Madryt, czy na linję komunikacyjną wojsk francuzkich, marszałek Marmon, pozbawiony Ciudad-Rodrigo, mógłby, gdyby Józef, oraz jenerał Kaffarelli w porę podali mu pomoc, zebrać 40 tysięcy ludzi przeciwko lordowi Wellingtonowi, który ich miał 60 tysięcy. Oto jak stały rzeczy w Hiszpanji po wysłaniu do niej 150 tysięcy ludzi

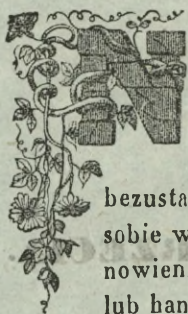
posiłków w 1810, 40 tysięcy ludzi dobrego wojska, i 20 tysięcy nowozaciężnych w 1811, oprócz górą czterechkroć sto tysięcy, które weszły do Półwyspu od 1808 do 1810! Z tych sześćkroć sto tysięcy ludzi, pozostawało tylko 300 tysięcy, które mogły dostarczyć najwięcej kiedy 170 tysięcy żołnierza zdanego do służby czynnej; potrzeba wreszcie dodać, że z tych 170 tysięcy żołnierzy, 40 tysięcy najwięcej, dobrze kierowanych, mogło zasłaniać Madryt i Walladolid, to jest, stolicę i naszą linię komunikacyjną!

Napoleon, w chwili oddalenia się z Paryża, poznawszy z długiego doświadczenia trudność wydawania trafnych rozkazów rozkazując z daleka, postanowił powierzyć Józefowi dowództwo wszystkich armij służących w Hiszpanji, nie przepisując mu jednakże jedyne go sposobu postępowania, które mogłoby ocalić wszystko, to jest, pozostawienia marszałka Siusze w Walencji, dla tego, że już tam był, ale przytém skupienia armji andaluzyjskiej nad Tagiem, oddania jój, oraz armji portugalskiej pod rozkazy jednego wodza, postawienia tych dwóch armij, przedstawiających razem siłę jednolitą 80 tysięcy ludzi, w pozycji dobrze wybranej, skąd mogłyby w razie niebezpieczeństwa posunąć się na Madryt lub Walladolid, według tego jaką drogę obrałiby Anglicy. Ale Napoleon przestał na daniu wszystkim rozkazu być posłusznymi Józefowi, nie wchodząc w to jakim sposobem marszałek Siusze, przyzwyczajony rządzić się sam u siebie, i rządzić się tam dobrze, jakim sposobem marszałek Sult, chcący panować wyłącznie w Andaluzji, jakim sposobem marszałek Marmon, który zostawał w ciągłym sporze z dworem Madryckim względem potrzeb armji portugalskiej, będą mogli lub chcieli zachować się w obec téj władzy Józefa, tak długo zaprzeczanój, wyszydzanój, ogołoconój z powagi przez samego Napoleona, i ogłoszonój w ostatniej chwili za pewien rodzaj ostatecznego lekarstwa, w którém należało pokładać ufność, na jaką ono dotąd nie zasługiwało. Marszałek Żurdan, wybrany za szefa głównego sztabu Józefa, napisał o tém położeniu rzeczy memoriał, pełen zdrowego rozsądku i słuszności, który wykazywał wszystkie niedogodności, jakie wskazaliśmy, i który był wysłany do Paryża. Nim opowiemy jakim sposobem odpowiedział nań Napoleon, oraz jak go usprawiedliwiły same wypadki, musimy się przenieść na północ, ku téj drugiej przepaści, w którą Napoleon, popchnięty swoim zapędnym gienjuszem, miał się pogrążyć z swém szczęściem, a co większa, z szczęściem Francji.

KSIEGA CZTERDZIESTA TRZECIA.

PRZEJŚCIE NIEMNA.

Dalszy ciąg wypadków na Północy. — Powodzenie Roszjan nad Dunajem usuwając wszelki pozor słabości z ich strony, skłania Cesarza Aleksandra do wystąpienia P. Nesselrode do Paryża, dla załatwienia po przyjacielsku sporu zachodzącego z Francją. — Na tę wiadomość, Napoleon nie życząc sobie tego posłannictwa pokoju, obchodzi się z księciem Kurakinem z nadzwyczajną oziębłością, i okazuje względem posłannictwa P. Nesselrode usposobienie, które zmusza Roszję do zaniechania go. — Ostatnie i ogromne przygotowania wojenne. — Wielkość i rozkład sił zgromadzonych przez Napoleona. — Wyruszenie wszystkich jego wojsk na jednej linii rozciągającej się od Alp do ujść Renu, i postępujących ku Wiśle. — Ostrożności jego dla przybycia nieznacznie aż nad Niemem, uprzedzając Roszjan w zajęciu Polski i starych Prus. — Rozkaz dany P. de Loryston traktowania zawsze o pokój, i wysłanie P. Czerniszewa dla przełożenia Cesarzowi Aleksandrowi, że idzie tylko o układy wsparte zbrojną demonstracją. — Przymierza polityczne Napoleona. — Traktaty wspólnego działania z Prusami i Austrią. — Układy dla zawarcia przymierza ze Szwecją i Portą. — Starania dla sprowadzenia wojny między Ameryką i Anglią, i prawdopodobieństwo dokazania tego. — Ostatnie rozporządzenia Napoleona przed opuszczeniem Paryża. — Położenie wewnętrzne Cesarstwa; g'ód, finanse, stan umysłów. — Położenie rzeczy w St. Petersburgu. — Przyjęcie przez Aleksandra posłannictwa P. Czerniszewa. — Oświecony względem zamiarów Napoleona ruchami armji francuzkiej, i traktatami przymierza zawarłemi z Prusami i Austrią, Cesarz Aleksander postanawia wyjechać do swojej głównej kwatery, utrzymując zawsze, że jest gotów prowadzić układy. — Dowiedziawszy się o tym wyjeździe Napoleon, rozkazuje nowe poruszenie swoim wojskom, wysyła P. de Narbonne do Wilna dla złagodzenia wrażenia, jakie ten ruch musiał wywołać, i opuszcza Paryż 9 Maja 1812, w towarzystwie Cesarzowej i całego dworu. — Przybycie Napoleona do Drezna. — Zgromadzenie się w tej stolicy prawie wszystkich panujących stałego lądu. — Zdumiewający widok poległi. — Napoleon, uwiadomiony, że książę Kurakin żądał swych paszportów, daje polecenie P. de Loryston użycia nowych wybiegów z Cesarzem Aleksandrem dla opóźnienia kroków nieprzyjacielskich. — Pafsyżne nadzieje co do Szwecji i Turcji. — Zamiary względem Polski. — Wystąpienie P. de Pradt jako posła francuzkiego do Warszawy. — Powrót P. de Narbonne do Drezna, po spełnieniu jego posłannictwa w Wilnie. — Rezultat tego posłannictwa. — Po upłynieniu miesiąca Maja, Napoleon opuszcza Drezno, i udaje się do swojej głównej kwatery. — Okropne cierpienia ludów przygnębionych przechodem naszych wojsk. — Napoleon w Toruniu. — Ogromny sprzęt wojenny i nadzwyczajne rozwinięcie głównych sztabów. — Środek Napoleona dla zaradzenia temu. — Przyjęcie uczynione przez niego marszałkowi Dawu i królowi Miurawowi. — Pobyt jego w Gdańsku. — Obszerny systemat żeglugi wewnętrznej dla przetransportowania większych zapasów wojennych wewnątrz Litwy. — Przybycie do Królewca. — Zerwanie ostateczne z Bernadottem, w skutek wiadomości otrzymanych ze Szwecji. — Oświadczenie wojny Roszji z powodów całkiem nieuzasadnionych. — Plan kampanii. — Przybycie nad brzegi Niemna. — Przejście tej rzeki 24 Czerwca. — Sprzeczność zamiarów Napoleona w 1810, z działaniami jego w 1812. — Smutne przeczenia! —



Napoleon i Aleksander pozostali przez miesiąc ostatni Listopad w postawie obserwacyjnej, uzbrajając się bezustannie jeden w odwet drugiemu; Aleksander nie życzył sobie wojny, owszem lękał się jęj, ale był w mocnym postanowieniu prowadzenia jęj raczej, niżeli poświęcenia godności lub handlu swojego narodu, a tymczasem nie zaniedbując niczego dla skończenia swęj walki z Turcją, czy to orężem, czy za pośrednictwem układów; Napoleon, ze swęj strony, lubo ścięśle mówiąc, nie życzył wojny, skłaniał się do prowadzenia jęj przez ambicję raczej niżeli przez upodobanie, i bardzo czynnie robił do nięj przygotowania, gdyż był nieszczęściem przekonany, że ona musi nastąpić prędzej czy później, co było rzeczą niewątpliwą, skoroby chciał żądać od Rossji podobnej uległości, jak ze strony Prus i Austrii. W tęm położeniu, powiedziawszy już wszystko sobie względem zajęcia posiadłości Oldenburskich, względem wpuszczania neutralnych do portów rossyjskich, względem rozpoczęcia uzbrojeń wzajemnych Francji i Rossji, i nie mając już nic do zakomunikowania sobie co do tych przedmiotów traktowanych aż do znudzenia, milczano i działano. Stawiono na stopie wojennej to jeden korpus, to drugi; wysyłano ten nad Dżwinę lub Dniepr, tamten nad Odrę lub Wisłę. Ale, działając tym sposobem, miano się wkrótce znaleźć jeden w obec drugiego, z mieczem na piersiach, gotowemi będąc do wzajemnych mordów. Wszyscy ludzie rozsądni i uczciwi w Rossji, Francji, Europie, jedni przez rozum i ludzkość, drudzy z pobudek zaszczytne interesowanych patriotyzmu, powtarzali sobie z boleścią, że gdy to milczenie i te czynne przygotowania potrważą jeszcze czas jakiś, potoki krwi poleją się od Renu do Wołgi. Najczynniejszy z tych, którzy doznawali tych szlachetnych uczuć, P. de Loryston, pisał ciągle do Paryża, że nie chciano wojny w Petersburgu, że prowadzić ją będą pomimo woli, ale z wielką zaciętością, a jednakże, pomimo to, gdyby Francja zgodziła się na oszczędzanie nieco drażliwości rossyjskiej, na ustąpienie czego jako wynagrodzenia księciu Oldenburskiemu, i na przestaniu na mniejszej cokolwiek surowości względem bandery angielskiej, może być pewną zachowania pokoju, cokolwiek by miało nastąpić w innych

częściach Europy. Nalegając tym sposobem, ściągnął wreszcie na siebie kilka wyrzutów Napoleona, wypowiedzianych zresztą bez goryczy, jak naprzykład ten: *Loryston daje się uludzić*, wyrzutów, do których P. Bassano dodał na swój rachunek kilka depezy pełnych zarozumiałości i zaślepienia. Zmartwiony, że nie był słuchanym w Paryżu, P. de Loryston chciał przynajmniej żeby go słuchano w Petersburgu, starał się okazać bezpożyteczność i niebezpieczeństwo nowej walki z Napoleonem (o czém bardzo dobrze tam byli przekonani), i powtarzając, że jeżeli dni kilka jeszcze potrwa to milczenie wymuszone i niestosowne, skończy się na tém, że jedni i drudzy staną nad brzegiem przepaści. Nalegał usilnie z godnością ucziwego przekonania, żeby wysłano do Paryża instrukcje księciu Kurakinowi, ażeby sprowadzić względem wszystkich punktów spornych, zadawałające wyjaśnienie, gdyż powtarzał bezustannie, nic z tego, co jest przyczyną poróżnienia dwóch mocarstw, nie zasługuje na prowadzenie wojny. Gabinety Berliński i Wiedeński działały w tymże samym duchu, jeden dobrą wiarą, drugi przez roztropność. Prusy widziały w tym nowym pożarze europejskim, w którym byłyby zmuszone wziąć udział, nowe niebezpieczeństwa, a mądry król Fryderyk Wilhelm nie był z tych ludzi, którzy myślą, że kiedy co dolega, potrzeba zmieniać położenie, choćby się miano narazić na większą dolegliwość. Zresztą obowiązek stania przy Napoleonie, gdyby wojna wybuchła, obrażało jego uczucie jako Niemca, które lubo poskramiane, niemniej przeto było szczeré. Życzył więc sobie gorąco pokoju, i przesłał do Petersburga usilne nalegania, ofiarował nawet swe pośrednictwo, jakowe kroki przyjęte były z pogardą przez Rossję, obrażoną, że Prusy nie trzymały jój strony. Austrja, chociaż przewidywała, że nowa walka Francji z Rossją dostarczy jój sposobności poprawienia swych interesów kosztem jednej lub drugiej, niemniej jednakże lękała się wojny, odtąd nadewszystko jak zobaczyła potrzebę być sprzymierzeńcem Francji, i nie przestawała z tego powodu doradzać pokoju w Petersburgu. Ofiarowała także swoje pośrednictwo, które było równie źle przyjęte jak pruskie. Rossja, zniecierpliwiona długimi naleganiami, które zdawały się przypuszczać, że pokój zależał od niej, odpowiedziała posłom tych dwóch mocarstw: Radzcie pokój drugim, gdy to was tyle obchodzi, radzcie go nadewszystko tym, którzy chcą wojny, i zmuszają mię pomimo woli do wydobycia oręża (1).

(1) Mówię to według samych depezy pruskich i austrjackich.

Słyszac ciągle powtarzających, że należy wytlómaczyć się ostatecznie przed rozpoczęciem wojny, że ksiązę Kurakin, zużyty długiem zostawianiem przy Napoleonie, będąc sposobniejszym do reprezentacji nizeli do prowadzenia interesów, nie był zdolnym do usmierzenia kłótni, zaczęto wreszcie w Petersburgu zwracać oczy na człowieka bardzo sposobnego przywrócić zgodę, gdyby ona mogła być przywróconą, P. Nesselrode, pierwszego sekretarza poselstwa w Paryżu, bardzo młodego wtedy, ale bardzo dobrze już uważanego, posiadającego umysł przebiegły, przezorny i roztropny, w którym Cesarz Aleksander pokładał od tej pory wielką ufność, którego Napoleon więcej sobie ważył nizeli księcia Kurakina, i będącego naówczas za urlopem w Petersburgu. Słyszano go mówiącego po powrocie z Paryża, że gdyby chciano, wszystko mogłoby się jeszcze ułatwić; że Napoleon nie był tak namiętnie lubiącym wojnę jak powszechnie sądzono, że z nim należało się wprost wytlómaczyć, mówić wyraźnie i stanowczo, i że postępując tym sposobem można byłoby otrzymać zadośćuczynienie, i przyjść do zaszczytnej zgody. Zaczęto więc myśleć o Panu Nesselrode, i miano chęć wysłać go do Paryża z instrukcjami i pełnomocnictwem do traktowania wszystkich kwestij świeżo wynikłych, i zawikłanych nie tyle skutkiem tego co powiedziano, jak skutkiem tego co zaniechano powiedzieć. P. Nesselrode uważał za wielki zaszczyt dla siebie otrzymać w tak młodym wieku tak wysokie posłannictwo, i był usposobionym użyć wszystkiego dla zapewnienia dobrego skutku. Niestety, to co mu przynosiło zaszczyt, obudzało cierpką zazdrość w Panu Rumiańcowie, bardzo dbałym jednakże o zapobieżenie wojnie, ale lękającym się postępow młodego dyplomaty i ufności, jaką Aleksander zdawał się w nim pokładać. Robił więc niektóre zarzuty temu posłannictwu, chociaż zresztą był gotów wiele poświęcić dla utrzymania pokoju, a nawet przymierza z Francją. Zarzut P. Rumiańcowa, który najwięcej obchodził Aleksandra z powodu drażliwości rossyjskiej był ten, że będzie się zdawać, jakby błagano o pokój przez wysłanie dyplomaty mającego szczególne posłannictwo zagajenia układów, nadewszystko kiedy Rossjanie nie byli pierwszymi sprawcami środków słusznie uważanych za wyzywające.

Jednakże wypadek szczęśliwy dla Rossji, zasły świeżo w Turcji, podał zręczność, z której postanowiono korzystać dla wysłania Pana Nesselrode do Paryża, nie ściągając na siebie pozoru słabości. Jenerał Kutuzow, któremu powierzono w tej chwili prowadzenie wojny, korzystał z niedbalstwa Turków, którzy zdobywszy Ruscuk pozosta-

wali bezczynnemi, ściągnął ich pod Nikopolis udając, że chce przejść Dunaj, potem przebył go pod Rusezukiem, napadł znienacka na obóz Wezyra, rozproszył część jego wojska, a trzymał resztę ściśle blokową na jednej z wysp rzeki. Powodzenie to, które powinno było zmusić Portę do wejścia w układy, sprawiło wielką radość w Petersburgu, dokąd wiadomość o tém przysłała w Listopadzie 1811. Natychmiast upoważniono generała Kutuzowa do zagajenia układów i uczynienia propozycji pokoju, zrzekając się pierwsiastkowych żądań rosyjskich. Jakoż, nie żądano już prowincij Naddunajskich, to jest, Bessarabji, Mołdawji i Wołoszczyzny, ale tylko Bessarabji i Mołdawji, téj ostatniej aż do Seretu, pewnego rodzaju niepodległości dla Wołoszczyzny i Serbji, niewielkiego okręgu na Kaukazie, przy ujściu Fazu, i summę dwudziestu milionów piasstrów, jako wynagrodzenie kosztów wojennych. Układy zaczęły się toczyć na téj zasadzie w Dziurdzewo, i zawieszenie broni na kilka miesięcy zawarte zostało. Co chwila spodziewano się w Petersburgu przybycia kurjera, z wiadomością o zawarciu pokoju.

Rezultat ten, był dość ważnym, i samo nabycie Finlandji i Bessarabji dodawało wiele blasku początkom panowania, które obiecywało jeszcze długie trwanie. Ale rezultat ten korzystniejszym był dla niego pod innym względem, to jest, że mógł wysłać dopiero p. Nesselrode do Paryża, nie będąc pomawianym w salonach petersburskich o ściąganie na siebie pozorów słabości. Będąc panem wszystkich swoich sił z końcem wojny na Dunaju, zdawał się tyleż udzielać pokoju co go otrzymywać, nie licząc w to, że posiadał środki otrzymania go jeszcze korzystniejszego.

Przygotowano więc instrukcje panu Nesselrode, Aleksander zajął się sam ich zredagowaniem, i upoważnił pana de Loryston do uwiadomienia o bliskim odjeździe nowego pełnomocnika. Udzielono wyższego stopnia panu Nesselrode w dyplomacji rosyjskiej, ażeby przedstawił się opatrzony wszelkimi oznakami ufności Cesarza. Oczekiwano niecierpliwie ostatniego kurjera z nad brzegów Dunaju, dla wysłania p. Nesselrode w tę samą chwilę, kiedy koniec wojny tureckiej będzie wiadomym, ażeby wchodząc w układy mieć razem więcej godności i więcej siły.

Uwiadomiono o tych usposobieniach rozmaite dwory stałego ładu, a szczególnie Pruski i Austrjacki. P. de Loryston napisał o tém do Paryża z widocznym zadowoleniem dobrego obywatela, bardziej rad z tego, że dobrze uczynił, niżeli pewien zyskania pochwały swo-

jego dworu, gdyż widocznym było ze sposobu jakim się wyrażał, że wątpił bardzo, iżby się podobał swojemu dworowi praeując z taką gorliwością nad utrzymaniem pokoju.

Wiadomość o wyjeździe p. Nesselrode, rozgłaszana już powielekroć, została jednakże z pewnością potwierdzoną w Paryżu nie pierwój jak w połowie Grudnia. Pomieszała ona szyki Napoleonowi, i nie podobała się mu z wielu powodów. Uwiadomionym on już był o klęsce Turków, którzy, jak mówił, *poczynali sobie jak bydło*, i uważał koniec wojny tureckiej za początek wojny z Francją. Jakoż przypuszczał on zawsze, że Rossjanie oczekiwali tylko téj zręczności dla zwrócenia się przeciwko niemu i pozostawienia mu do wyboru albo warunków niepodobnych do przyjęcia albo wojny, jakowy wybór wcześniej już był zrobiony przez niego. Wiadomość o wyjeździe pana Nesselrode nie pozostawiała mu pod tym względem żadnej wątpliwości. Wnosił stąd, że Rossja uważała wojnę turecką prawie za ukończoną, i że pośpieszała korzystać z tego, ażeby mu podyktować warunki. Dostatecznym to było do rozjątrzenia go w najwyższym stopniu, i do przyprowadzenia go nawet do wybuchu, jak do tego był bardzo skłonny, gdyby nie powziął był obszernego planu, wymagającego z jego strony jak największej skrytości. Chciał on, oświadczając się zawsze z chęcią pokoju, powtarzając, że uzbierał się tylko przez samą ostrożność, przybyć kolejno nad Odrę, potem nad Wisłę, nim Rossjanie przebyliby Niemen, ażeby ocalić ogromne zapasy zboża i furazu, które się znajdowały w Polsce i Starych Prusach, zapasy, których Rossjanie nie zaniechaliby zniszczyć, gdyby zostawiono im na to czasu, gdyż chlubili się, iż są gotowi uczynić z swych prowincij pustynię, jak Anglicy uczynili to w Portugalji. Owóż, im dalej zaczęłyby się ta pustynia, tém mniejszą byłaby massa tego, co należało mieć z sobą. Dla tego Napoleon, usadowiwszy się w Gdańsku, chciał nadto zapewnić sobie żeglugę na Frysz-hassie za pośrednictwem układów z Prusami, ażeby przejść wodą z Gdańska do Królewca, potem z Królewca do Tylżytu. Od Niemna tylko zamysłał użyć transportów lądowych, i tusząc sobie, że będzie mógł zabrać z sobą żywności aż na odległość dwiestu mil, spodziewał się, iż posunie się tak daleko, iż zdoła zanurzyć żelazo w samo serce Rossji. Cały ten plan byłby zniszczonym, gdyby Rossjanie uprzedzili go, i napadłszy nagle na Stare Prusy i Polskę, uczynili z nich pustynię, popalili magazyny i zabrali trzody uprowadzając je z sobą. Należało więc powoli, bez rozgłosu, bez zerwania, przybyć nad Wisłę, potem nad Pregel pierwój od nie-

przyjaciela; należało także, co niemniej ważnym było, opóźnić kroki nieprzyjacielskie aż do lata 1812, gdyż ogromne transporty, które Napoleon przygotował, wymagały zgromadzenia i utrzymania znacznej ilości koni. Owóż, gdyby użyto sił ich na przewózkę tego co miało im służyć za pokarm, nie warto ich było zabierać z sobą, gdyż nie pozostawałoby nic dla ludzi. Gdyby w istocie sześć tysięcy zaprzężonych wozów miało transportować owies a nie żyto, bezpożyteczną było rzeczą ciągnąć z sobą tak ogromne zapasy. Żeby być wolnym od tego, należało rozpocząć wojnę nie pierwój jak w Czerwcu. Ziemia okrywała się wtedy na północy trawą i runią, a dając to do spożycia koniom jazdy, artylleryjskim i pociągowym, których liczba wynosiła już górą sto tysięcy, a miała dojść wkrótce do sto pięćdziesięciu tysięcy, można było być pewnym przeżywania ich wszystkich na gruncie nieprzyjacielskim. Nadto potrzeba było bydła dla karmienia ludzi, a pięknej pory roku dla karmienia tego bydła. Napróżno Rossjanie paliłoby swe pola, nie zdołaliby spalić trawy. Dodajmy jeszcze, że mając do ukończenia ogromne przygotowania, chociaż zajmował się nimi już od dwóch lat, Napoleon wiedział z doświadczenia, że dwa miesiące czasu w takich okolicznościach były rzeczą ważną; że gdy Rossjanie za broń mieli niszczenie, on zaś tworzenie środków, czas nie był żywiołem koniecznym dla nich, nieuchronnie zaś potrzebnym dla niego.

Z tych ważnych powodów, należało przemknąć się w pewien sposób aż do Wisły, i posunąć się nie tylko naprzód, ale zyskać czas, nie sprowadzając zerwania. Dla dopięcia tego celu nie było nic lepszego jak ten stan kłótni skrytej, niewyraźnej, w której bezustannie powtarzano sobie: Wy się uzbrajacie.... I wy także.... To wy poczuliście pierwsi.... Nie, to nie my, to wy.... My nie chcemy wojny.... My także jej nie chcemy.... i inne podobne wyrażenia, mało znaczące na pozór, ale bardzo wyrachowane ze strony tego, który temi nudnemi zarzutami zajmował całe miesiące, zyskiwał czas od Grudnia do Stycznia, od Stycznia do Lutego, i spodziewał się pozyskać go jeszcze do Czerwca 1812. Owóż, rozmówienie się wyraźne i kateryczne położyłoby koniec temu położeniu tak korzystnemu dla zamiarów Napoleona, i przybycie pana Nesselrode, sprowadzając to rozmówienie się, bardzo mu było nie na rękę (1). Jakiéjkolwiek użyłby zręczności,

(1) W materji tak ważnej, niemniej zresztą jak w każdej innéj, nie chejałbym tu nic podawać z własnego domysłu. Ale listy najdokładniejsze Napoleona do trzech czy

jakiéjkolwiek władzy zdołałby użyć nad sobą, niepodobna było, żeby człowiek tak przenikliwy jak p. Nesselrode, nie zmusił go do ostatecznego wytlómaczenia się, do rozstrzygnięcia przez *tak* lub *nie*, poczem nie pozostawałoby nic więcej jak iść natychmiast jedni przeciw drugim. Owóż, wiele jemu na tém zależało, żeby Francuzi przybyli nad Pregiel, Rossjanie zaś nad Niemen, nie objawiając sobie wojny i powtarzając ciągle, że należało udzielić sobie wzajemnych objaśnień, nie udzielając ich nigdy.

Postanowił więc wydać natychmiast swoje ostatnie rozkazy wojenne, a razem użył najprzyzwoitszego środka dla przeszkodzenia panu Nesselrode przybyć do Paryża, unikając przytém obrażenia Rossji, i zniewolenia jój do niezwłocznego zerwania. Widywał się często z księciem Kurakinem; wiedział, że wieść o bliskim wysłaniu pana Nesselrode do Paryża już się była rozeszła po całej Europie, a jednak nie wspomniął o tém ani słowa księciu, jakowe milczenie byłoby trudne do wytłómaczenia, gdyby nie kazało się domyślać, że nie pochwałał zamierzonego posłannictwa. Nie przestał na tém: rozmawiając o tém z postem pruskim, o którym wiedział, że nie zaniecha donieść wszystkiego do Berlina, skąd chęć stania się użytecznymi w sprawie pokoju nie omieszkałaby zakommunikować tego do Petersburga, nie powiedział właściwie nic coby mogło zdradzać zamiar jego nieprzyjęcia pana Nesselrode, ale okazał się zimnym, mało mównym, prawie zagniewanym, zdawał się naganiać rozgłos nadany temu rodzajowi nadzwyczajnego poselstwa, gdyż, według niego, było to zadrasnąć miłość własną obu mocarstw, uczynić je trudniejszymi, ostrożniejszymi w udzielaniu wzajemnych ustępstw. Do téj pośredniej nagany posłannictwa pana Nesselrode, dołączył, w okoliczności dość ważnej, wyraźną oziębłość dla poselstwa rosyjskiego. Na nowy rok, w dzień przeznaczony na uroczyste przyjęcia, zaledwo przemówił słowo do księcia Kurakina, który, bardzo zważający na małe rzeczy, nie zaniechał tego zauważać, i wniósł z tego, że posłannictwo pana Nesselrode, albo przybywając za późno, albo źle uważane, nie miało nadziei otrzymania pożądanego skutku. Co było ważniejszym jeszcze, to rozszerzona pogłoska o rozkazach wydanych przez Napoleona, pogłoska zawsze dostateczna, jakkolwiek byłaby mało znaczącą, do zwrócenia uwagi ambassadora, chociażby zwykle mało co wiedzą-

cztyrech osób, posiadających jego zaufanie, do księcia Eugienjusza, marszałka Dawu, P. de Sessak, samego P. de Loryston, nie pozostawiają żadnej wątpliwości o rzeczywistości tego wyrachowania. Przywiedziemy później dowody materjalne i niezbite.

cego. Napoleon zalecił był największą tajemnicę, ale tylu ludzi musiało być przypuszczonych do tajemnicy, niektóre z jego rozkazów były tak trudne do ukrycia ze swój natury i swój ważności, że tajemnica podobna dla ogółu publiczności, nie była taką dla dyplomacji. Jakoż z rozmaitych źródeł książę Kurakin potrafił dowiedzieć się o wszystkich rozkazach Napoleona, a z nich można było wnosić o jego niezmienném postanowieniu rozpoczęcia w krótkim czasie nieprzyjacielskich kroków.

Najprzód zalecił był panu de Sessak (de Cessac), który został ministrem wojny, przygotować uchwałę senatu dla powołania konskrypcji 1812, jakowy środek był w istocie wiele znaczący, gdyż po przyjęciu przez kadry całej konskrypcji 1811, były one dostatecznie zapełnione dla uzbrojeń mających na celu samą ostrożność. Napoleon zażądał potem od rządów niemieckich dostarczenia zupełnego kontyngensu, i to nie tylko od główniejszych z pomiędzy nich, jako to: Bawarii, Saksonji lub Wirtembergu, sposobnych do zachowania tajemnicy, ale od wszystkich drobnych książąt, od których nie można było tego wymagać, żeby wieść o tém się nie rozeszła. Napisał cyframi do marszałków Siusze i Sulta, żeby mu przysłali natychmiast pułki zwane Nadwiślańskimi, pułki wyborne, których miał zamiar użyć w Polsce. Wydał rozkazy dla odesłania niezwłocznie młodej gwardji, leżącej obozem w Kastylji, oraz dragonów, którzy mieli powracać do Francji jeden szwadron po drugim. To wyjaśnia nam, jakim sposobem w Hiszpanji, skupiwszy najprzód wszystkie swe siły pod Walencją, z zamiarem wysłania ich potem do Portugalji, zgromadził wszystkie wojska rozrządzone na granicy Kastylji, zamiast zgromadzenia ich na granicy Portugalji, tak, że Anglicy skorzystawszy pierwój z ruchu ku Walencji dla opanowania Ciudad-Rodrigo, skorzystali potem z ruchu ku Kastylji dla opanowania Badajozu.

Oprócz tych rozporządzeń, Napoleon wysłał ku Renowi, nie oddziały gwardji, które były w samym Paryżu, coby zrobiło zbyt wielkie wrażenie, ale oddziały stojące w okolicach, takie naprzykład, jak pułki gwardji hollenderskiej. Nakazał znowu pośpieszać z kupłą koni w Niemczech, która nie tak prędko jak on chciał odhywała się, i wysłał w pochód bataliony zaprzęgowe, których organizacja była ukończoną, oraz dał im nieść wódkę, trzewiki, i w ogólności wszystkie przedmioty służące do umundurowania. Wreszcie wysłał pierwszy rozkaz wystąpienia armji włoskiej. Armja ta mając przebyć Lombarcję, Tyrol, Bawarję, Saksonję, ażeby stanąć na jednej linji nad Wisłą

z armją marszałka Dawu, powinna była wystąpić najmniej miesiącem pierwój od innych, jeżeli chciano żeby się nie opóźniła. Jednakże, ponieważ ze wszystkich środków, które miał przedsięwziąć, ten był najwięcej uderzającym, gdyż nie można było ruszać z miejsca armji włoskiej, kazać opuszczać jej swe leże, nie mając pewnego zamiaru prowadzenia wojny; starał się najbardziej utrzymać to w sekrecie i napisał wprost do księcia Eugienjusza, unikając komunikowania się z nim za pośrednictwem biur. Zalecił temu księciu rozstawić swe dywizje w Breszja, Weronie i Tryjeście w połowie stycznia, ażeby były gotowe do wystąpienia w pochód ku końcowi tego miesiąca, ze wszystkimi swemi zapasami wojennymi. Chociaż żądał wysłania ich w styczniu, nie liczył na wcześniejsze wysłanie jak w lutym, wiedząc z długiego doświadczenia, że nie było to nazbyt wiele dać miesiąc czasu na nieuchronną przewłokę. Miał zamiar odprawić wojsko włoskie ku końcowi lutego, poruszyć zaś wojsko marszałka Dawu w ciągu marca, z warunkiem wysłania ich wcześniej nad Wisłę, w razie gdyby wiadomość o ruchach armji włoskiej sprowadziła Rossjan nad Niemen. W przeciwnym razie zamierzał posuwać powoli swe kolumny nad Wisłę, gdzie nie życzył je mieć wcześniej jak w połowie kwietnia, przenieść je potem w połowie maja nad Pregiel, a w połowie czerwca nad Niemen. Przeznaczając tym sposobem trzy miesiące na przeniesienie ich od Elby nad Niemen, ludzie i konie przybyłyby nie będąc znużone, i stanęłyby na widowni wojny w komplecie tak co do liczby jak co do zapasów.

Ze wszystkich tych środków, poselstwo rosyjskie nie wiedziało tylko o wyruszeniu armji włoskiej, jaką tajemnicę posiadał jedynie książę Eugienjusz, oraz o odwołaniu Polaków z Hiszpanji, o czém wysłane były cyfrowane depesze do marszałków Sulta i Siusze. Ale wiedziało ono o wszystkich innych, i to dostatecznym było do rozproszenia ostatnich wątpliwości, jeśli mogły pozostać jeszcze jakie względem postanowienia rozpoczęcia wojny w bieżącym 1812 roku. Jakoż książę Kurakin był o tém zapewniony już od pierwszych dni stycznia. Mileczenie widocznie naumyślne z nim względem posłannictwa p. Nesselrode, oziębłość całkiem niezwykła, jaką mu okazywano, i która zostawała w zupełnej sprzeczności z uprzejmością, jakowej zwykle był przedmiotem, wreszcie wszystkie rozporządzenia, o których można się było dowiedzieć nawet z pogłosek publicznych, odpowiadały najwyraźniejszemu oświadczeniu. Jakoż książę Kurakin wysłał 13 stycznia nadzwyczajnego kurjera, dla uwiadomienia swego dworu o wszystkiém czego się dowiedział i co sam zauważał,

oraz objawienia mu, że według jego zdania wojna była postanowioną, i że należało natychmiast przygotować się do jej prowadzenia. Żądał nawet rozkazów w razach ostatecznych, gdyby naprzykład był zmuszony opuścić Paryż. Może być że jego wielka drażliwość na oziębłość dworu przyczyniła się do wzmocnienia jego przekonań, ale jeżeli osobista jego niechęć skłoniła go do wyrzeczenia, że wojna była postanowiona, niechęć ta posłużyła tylko do oświecenia go, gdyż w istocie rzeczą było najprawdziwszą, że w tej chwili była ona nieodmiennie postanowioną.

Kiedy depesze księcia Kurakina przybyły do Petersburga, pozostawano tam jeszcze w zamiarze wysłania p. Nesselrode do Paryża, i oczekiwano tylko na okoliczność stanowczą przybycia kurjera z Konstantynopola dla nakazania mu odjazdu. Nieszczęściem kurjer ten nie przybywał, i pan Rumiancow korzystał z tego opóźnienia przez zadróż ku młodemu dyplomacie. Kurjer księcia Kurakina wysłany 13 stycznia, przybył do Petersburga 27go, i sprawił tam największe wrażenie. Czytając depesze, które przywoził z sobą, podzielano sposób myślenia pośła, i, podobnie jak on, nie wątpiono już o wojnie. Skłonniemi już tam byli do wierzenia, że kryzys obecny na tém się skończy, i postanowiono raczej narazić się na wszelkie ostateczności, niżeli za przykładem Prus i Austrii ulegać wszelkim chęciom Napoleona, oraz poświęcić ostatki swojego handlu. Jednakże pomiędzy przewidzeniem wypadku a wypadkiem samym zachodzi zawsze różnica, którą ludzie bardzo dobrze pojmują, przeto zrobiło to wielkie wrażenie w Petersburgu, do tego stopnia, że p. de Loryston mógł bez przesady powiedzieć, iż wszyscy zostawali tém przerażeni. Było wtedy, wedle panującej w Europie opinji, tak wielkiem niebezpieczeństwem chcieć mierzyć się z Napoleonem, z jego gienjuszem, z jego walecznym wojskiem; były to tak straszne wspomnienia, owe wspomnienia bitw pod Austerlitz, Jeną, Ejlau, Frydlandem, że nawet pomimo najszlachetniejszych uczuć patriotyzmu, lub gorącej nienawiści arystokracji europejskiej przeciwko nam, doznawano pewnego rodzaju trwogi na myśl rozpoczęcia walki, która zawsze tak nieszczęśliwy miała koniec. Tą razą, zresztą, gdyby los był przeciwnym, mogło się stać, że ugruntowanoby na zawsze potęgę, którą chciano obalić, i że narażonoby Rossję na zstąpienie do drugiego rzędu państw, do którego już Austrija i Prusy były zstąpiły, czego bardzo się obawiano. Opatrzność, która strzeże tak dobrze swoich tajemnic, nie wykazała wtedy jeszcze co ma się stać, i Rossjanie nie wiedzieli, że byli u progu swój wielkości, tak jak Napoleon nie wiedział, że zbli-

żała się chwila jego upadku! Jednakże z tych tajemnic Opatrzności wychodzi zawsze coś na jaw dla gienjuszu, niekiedy nawet dla namiętności.

Namiętność, która tak często zaślepia, a tak rzadko oświeca, odkryła tą razą część prawdy Rossjanom. Mówili sobie, że Napoleon odniósł wprawdzie przewagę nad ich wojskami w 1807, ale omal co nie ugrzązł w ich błotach, lub nie zginął z głodu i zimna pośród ich mrozów. Klęska Karola XII przychodziła im na pamięć. Świeża porażka Masseny w Portugalji, którą zadano mu rozszerzając spustoszenie, i chlubiono się z tém przed całą Europą z pewnym rodzajem chępliwości, również ich zajmowała, i powtarzali prawie wszędzie, że bez palenia cudzych pól jak Anglicy, paląc swe własne pola, postawią Napoleona w położeniu okropniejszym jeszcze niżeli Masseny. Jakoż we wszystkich szeregach armji rossyjskiej słyszano mówiących, że należy wszystko palić, wszystko niszczyć, cofnąć się potem w głąb Rossji nie wydając bitwy, że wtedy da się widzieć co pocnie straszliwy cesarz Francuzów w równinach spustoszonych, ogołoconych ze zboża dla swoich żołnierzy, z trawy dla swoich koni, że, nowy Faraon, będzie musiał zginąć śród obszarów czczości, jak tamten śród obszarów wod. Plan ten unikania ważnych potyczek, i cofania się pustosząc, rodził się w głowach wszystkich, i w tej ważnej okoliczności, każdy, że tak rzec można, był jenerałem.

Pomiędzy officerami cesarza Aleksandra były charaktery zapalczywsze od innych, które radziły mu posunąć pustynię naprzód, i dla tego nie czekać Napoleona nad Niemnem, nie zostawić mu tym sposobem bogatych magazynów w Polsce i starych Prusach, ale opanować natychmiast prowincje, jedne należące do Polski, drugie do Prus, których słabość czyniła sprzymierzeńcem Napoleona, zając je na kilka dni tylko, poniszczyć tam wszystko, i wnet potem z nich ustąpić.

Aleksander, myśląc pod tym względem tak samo jak wszyscy żołnierze i officerowie jego armji, był wprawdzie tego zdania, żeby postawić między sobą i Napoleonem przestrzeń i zniszczenie, unikać bitwy i zagłębić się wewnątrz Rossji, z tém żeby się zatrzymać i walczyć wtedy tylko kiedy Francuzi wyniszczeni będą trudami i głodem; ale nie podzielał zdania tych którzy uważali za rzecz potrzebną opanować natychmiast dla ich zniszczenia Stare Prusy i Polskę. Rozpocząć kroki zaczepne, posunąć się naprzód, było to dawać sposobność wielkiemu wojownikowi zwyciężyć w kraju, w którymby go

chciano uprzedzić, było to podzielać z nim winę napaści, przynajmniej w oczach ludów, a Aleksander, nimby zażądał od swojego narodu ostatnich ofiar, chciał żeby świat cały był przekonany, iż nie był napastnikiem. Wreszcie była jeszcze jedna przyczyna, której Aleksander nie wypowiadał wyraźnie, ale która silnie działała na niego, to jest, że dopóki zaszczytny pokój był podobnym, chciał go zachować, a nie narażać się nieroztropnie na zerwanie go przez rozpoczęcie pierwszych kroków. P. Rumiancow ze swój strony, którego polityka zasadzała się na przymierzu francuzkiem, i który skutkiem wojny miał stracić podstawę swojego systematu i istotny powód swojej obecności w radzie państwa, pochlebiał sobie jeszcze, że kiedy Napoleon stanie nad Wisłą, a Aleksander nad Niemnem, będzie można zagać pewien rodzaj układów zbrojnych, i że przed rozpoczęciem straszliwej walki, obie strony może będą skłonniejsze do zgody; że Napoleon sam, widząc z bliska trudności tej dalekiej wojny, będzie mniej wymagającym, i że skończą wreszcie na porozumieniu się w ostatniej chwili, za pośrednictwem ugody, która ocali honor wszystkich: była to słaba nadzieja zaiste, ale p. Rumiancow i Aleksander nie chcieli się jęj całkiem zrzekać.

W takim usposobieniu, Aleksander, z swoim ministrem i kilku generałami, posiadającemi jego zaufanie, nakreślił plan wojny, którego się miano trzymać. Postanowionem zostało, że będą dwie znaczne armje, postawione już na stopie wojennój, jedna nad Dźwiną, druga nad Dnieprem, dwoma rzekami, które poczynając się o kilka mil jedna od drugiej, płyną jedna ku Rydze i Bałtykowi, druga ku Odessie i morzu Czarnemu, i tworzą tym sposobem wielką linję poprzeczną od północo-zachodu na południo-wschód, stanowiąc, że tak rzec można, granicę wewnętrzną wielkiego państwa rosyjskiego. Te dwie armje, mając swe przednie strażę nad Niemnem, cofałyby się ku jednemu punktowi za zbliżeniem się nieprzyjaciela, stanowiącby masę jednolitą najmniej z 250 tysięcy żołnierza, do której miano jeszcze wkrótce dodać rezerwy w liczbie stu tysięcy ludzi. Trzecia armja, od czterdziestu tysięcy ludzi stałaby na obserwacji nad granicą austriacką, łączyłaby się z armją Dunajską, złożoną z 60 tysięcy, i te dwie armje, w razie ukończenia wojny tureckiej, udałyby się na teatr wojny i powiększyłyby do 450 tysięcy ludzi całkowitą masę wojsk rosyjskich.

Te środki, niezależnie od klimatu, wielkich odległości i zamierzonych spustoszeń, były już dość znaczne i napełniały ufnością Ros-

sjan. Ale inne jeszcze pobudki przyczyniały się do powiększenia tój ufności. Rossjanie byli przekonani, że w tój walce opinja będzie grać ważną rolę, i że ci, którzy potrafią przeciągnąć ją na swą stronę, będą mieli nie małą korzyść. Wiedzieli, że Francja sama, chociaż skazana na milczenie, nie pochwałała tych bezustannych wojen, w których przelewano krew jój potokami dla przedmiotów, których nie pojmowała więcęj odtąd jak granice jój nie tylko dosięgły, ale przekroczyły Alpy, Ren i Pireneje. Wiedzieli, że po nadzwyczajnym entuzjazmie dla osoby Napoleona, skryta nienawiść zaczęła rodzić się przeciwko niemu i mogła wybuchnąć przy piérwszém niepowodzeniu; że w Niemczech ta nienawiść była, nie już skrytą i bojaźliwą, ale wściekłą i publiczną, gwałtowniejszą nawet niżeli w Hiszpanji, gdzie wyczerpanie sił uśmierzyło ją cokolwiek; że w państwach sprzymierzonych, jak naprzykład w Bawarji, Wirtembergu, Saksonji, ludy miały urazę do swych monarchów, że ich poświęcali obcemu panu, jedynie w celu rozszerzenia granic, i że konskrypeja u nich stała się najbardziej nienawistną z ustanowień; że w Prusiech, oprócz wszelkich nieszczęść pochodzących z ciągłych wojen, byli niepokieszeni po stracie swój wielkości; że w Austrii, gdzie uspokoiono się nieco od czasu pokoju i małżeństwa, dwór czuł więkzy niżeli kiedy wstręt do Francji, że żałowano tam bardzo Włoch a szczególniej Illirji; że nakoniec na północy, w Polsce nawet, były cierpienia, które zmniejszały znacznie entuzjazm dla Napoleona, i jednały stronników sposobowi myślenia niektórych panów polskich, którzy byli tego zdania, że należało starać się o wskreszenie Polski nie przez Francją ale przez Rossją, umieszczając koronę Jagiellonów na głowie Aleksandra, lub którego z książąt jego rodziny. I w istocie, nieszczęśliwa Polska, nie mająca innych bogactw jak swoje zboże, swoje drzewo, swe konopie, które nie mogły wychodzić z portu Gdańskiego od czasu blokady lądowej, doznawała wielkich cierpień; że szlachta w niej była zrujnowaną, lud przygnębiony podatkami, a Gdańsk, z bogatego miasta handlowego zamieniony na twierdzę wojenną, doprowadzony był do ostatniej nędzy. Jenerał Rapp, zręczny dworak, ale serce wyborne, był tak wzruszonym widokiem tych nieszczęść, że ośmielił się przełożyć o tém marszałkowi Dawu, powiadając, że gdyby armja francuzka doznała jednego niepowodzenia, ogólne powstanie rozszerzy się od Renu aż do Niemna. Sam nawet zimny i surowy Dawu, zwracając mało uwagi na cierpienia, które sam piérwszy z swemi żołnierzami podzielał, zachowując względem spraw publicznych milczenie, które nakazywał innym, przesłał jednakże Napoleonowi listy, pisane do niego przez je-

nerała Rapp, dołączając do nich te godne uwagi słowa: „Przypominam w istocie, Najjaśniejszy Panie, że w 1809, bez cudów, które Wasza Cesarska Mość dokazywałaś w Ratysbonie, położenie nasze w Niemczech byłoby bardzo przykrém.“

Były to prawdy bardzo smutne dla nas, które obok poczucia swych sił rzeczywistych, udzielały Rossjanom odwagi rozpoczęcia straszliwej walki. Powtarzali sobie, że wojna ta przedstawiała wprawdzie wielkie niebezpieczeństwa, ale też z drugiej strony rokowała nie małe nadzieje; że jeżeli Napoleon, podobnie jak Karol XII, napotka w Rossji drugą Puławę, całe Niemcy powstaną z tytu, że monarchowie sprzymierzeni zmuszeni zostaną przez swe ludy do zerwania przymierza; że Polska sama przystanie na myśl odnowienia swój egzystencji inszym sposobem niżeli prawicą Napoleona, i że Francja, postradawszy tyle krwi, znużona ofiarami, które jej kosztowała ambicja bez granic i bez odpowiedniego przedmiotu, nie będzie czynić wysiłen, do których okazała się zdolną w innym czasie, dla utrzymania swój wielkości.

Te pobudki utwierdzały Aleksandra w postanowieniu przypisania całej winy Napoleonowi, oczyszczenia się samemu ze wszelkiego zarzutu, nierozpoczynania zaczepnych kroków, pilnowania brzegów Niemna nie przebywając go, i w postawie groźnej, ale spokojnej, oczekiwania nieprzyjaciela, a nieszukania go samemu. To postępowanie zdawało się mu ze wszechmiar najlepszym, tak pod względem wojennym jak politycznym, nie licząc tego, że działając tym sposobem pozostawiano jeszcze jakąś nadzieję pokoju, gdyż zawsze jeszcze mogło nastąpić, że w ostatniej chwili pomyślnie układy wytrąciłyby broń z ręki obu współzawodników. Systemat ten był posunięty do tego stopnia, że pozostawiono nieprzyjacielowi rozpoczęcie wszystkich działań widocznie wyzywających, jako na przykład odprawienia gwardji cesarskiej, i wyjazdu samego Cesarza do wojska. Dla tego postanowiono nie wysyłać gwardji cesarskiej rossyjskiej z Petersburga piérwój, nimby gwardja cesarska francuzka nie wyruszyła z Paryża, i Aleksander sam postanowił nie opuszczać stolicy piérwój, aż nim Napoleon nie opuści swojój. Zobaczemy późnij że co do tego tylko punktu nie dotrwał w swoim systemacie do końca.

Dyplomacja była prowadzoną w tymże samym duchu. Widocznie nie było się czego spodziewać ani po Prusach, ani po Austrii. Wszystko co można było otrzymać od tych mocarstw, to neutralność, jeżeliby tylko Napoleon pozwolił na to; ale co do współdziałania z ich

strony, o tém nie podobna było myśleć. Jednakże były przymierza, które ofiarowano z gorliwością, prawie z natręctwem, było to przymierze Anglii, i, ktoby się tego spodziewał? przymierze Szwecji. Przymierze z Anglią było naturalne, słuszne, i można powiedzieć nieuchronne za pierwszym wystrzałem armatnim pomiędzy Francją a Rossją. Gabinet angielski, niecierpliwie pragnąc zawarcia go, użył zřeczności objawionego żądania siarki przez Rossją od handlu neutralnego, ażeby wysłać do Rygi dwanaście statków obładowanych prochem. Potém wysłał do Szwecji ajenta, pana Tornton, który skoroby miał nadzieję że zostanie przyjętym, miał się udać do pierwszego portu rossyjskiego, stojącego dlań otworem. Tymczasem, p. Tornton miał probować w Sztokolmie porozumiéć się z poselstwem rossyjskiém, używając pośrednictwa gabinetu szwedzkiego, ażeby propozycje jego zostały przyjęte.

Nic nie było naturalniejszego, powtarzamy to, jak ta niecierpliwosc gabinetu angielskiego, może tylko była za nadto skwapliwą, i występując na jaw za nadto wczesnie, narażała się na zbliżenie, jeżeli to zbliżenie podobném być mogło, tych, których chciała na zawsze rozłączyć. Ale Szwecja, czyli dokładniej mówiąc, książę, który winien był Francji że wstąpił na stopnie tronu szwedzkiego, zajmował się gorliwie szukaniem nam nieprzyjaciół, robieniem przymierzy przeciwko nam! to właśnie, co powinno zadziwiać, oburzać nawet wszelkie serce uczciwe, a jednak to dało się widziéć w téj chwili i to miało stanowić część najwybitniejszą nadzwyczajnego obrazu, przedstawiającego się wtedy oczom świata.

Książę Bernadotte, wybrany następcą tronu szwedzkiego, widzieliśmy jakim sposobem, z jakiego powodu, w jakim zamiarze, wystąpił ostatecznie jako nieprzyjaciół najczynniejszy i najnniej ukryty Napoleona! Odmówienie Norwegji, czyn tak uczciwy polityki, która niebyła taką zawsze, milczenie pogardliwe zalecone poselstwu francuzkiemu, obudziły w jego sercu dawną nienawiść, którą żywił przeciw Napoleonowi, i ta nienawiść, ktoby się tego spodziewał? pochodziła z zazdrości. Zazdrośny z natury, śmiał zazdrościć temu, który nie mógł być nigdy dla niego przedmiotem zazdrości, o tyle wyższość chwały i położenia jenerała Bonaparte czyniła niepodobném wszelkie porównanie między nim a jenerałem Bernadotte. Żeby przedmiotem zazdrości tego ostatniego był Moro, Massena, Lann, Dawu, chociaż tysiąc razy wyżsi od niego, dałoby się to jeszcze pojąć; ale Napoleon, potrzeba było na to szalu zazdrości w małym sercu i ciasnej głowie! Mając powierzoną, jak powiedzieliśmy, do czasu rejencję, skutkiem

słabego zdrowia panującego króla, pozbawiony potem tej roli, dla tego, że król lękał się zbyt wielkiego nadwężenia stosunków z Francją, ale pozostając tajemnie główną sprężyną działań, zwrócił oczy nagle ku partjom, które go bynajmniej nie wezwały na tron, to jest ku partji angielskiej, złożonej z kupców i właścicieli żyjących z kontrabandy, oraz ku partji arystokratów, nienawidzących Francji i rewolucji, mówiąc im tak skrycie jak głośno, wedle okoliczności, i prawie zawsze z dziwną nieroztropnością, że nie uważał siebie za niewolnika Napoleona, że był Szwedem a nie Francuzem, że jeżeli podobało się Francji niszczyć Szwecję pozbawiając ją handlu, on na to nie pozwoli, i że przedewszystkiem miał na względzie pomyślność swojej nowej ojczyzny. Co się tycze tych, którzy go wybrali, i którzy składali się z przyjaciół Francji namiętnie przywiązanych do zasad rewolucji 1789, do dawniej wielkości szwedzkiej, do chwały oręża, co ich skłoniło do wybrania jenerała francuzkiego, mówił im o honorze, o ojczyźnie, o mężwie wojenném, i nieodkrywając im ani gdzie, ani jak, obiecywał poprowadzić ich do zwycięstwa, i odnowić wielkość Szwecji. Pochlebając tym sposobem wszystkim stronnictwom ze strony, która ich obchodziła, starał zbliżyć się z poselstwami angielskiem i rossyjskiem, piérwszém przebywającym w Sztokolmie potajemnie, drugim publicznie, powtarzając każdemu z nich to, co się mu najlepiej mogło podobać. Mówił téż jak jednemu z nich tak drugiemu, że był gotów zrzucić z siebie jarzmo Francji, że skoro główne mocarstwa skłonią się do dania hasła, pójdzie za niem, że znał stronę słabą gienjuszu i potęgi Napoleona, i nauczy sekretu pobicia go; że już to wiele znaczyło, iż brakowało jenerała Bernadotte w wojsku francuzkiem, i że gdyby Anglja i Rossja chciały porozumieć się ze Szwecją, mógłby być dla nich wielką pomocą; że skoro Napoleon zajdzie w głąb Polski, gdzie zaledwo nie zginął w 1807 i zginąłby tam niezawodnie bez usług wyświadczonych przez jenerała Bernadotte, będzie mógł on, książę następcy szwedzki, wystąpić na ląd z trzydziestą tysiącami Szwedów, a nawet z pięćdziesięcią, skoroby mu udzielono zasiłków pieniężnych, i że pobudziłyby do powstania całe Niemcy z tyłu armji francuzkiej. Za nagrodę tego współnictwa, żądał nie Finlandji, o której wiedział że jest potrzebną Rossji, ale Norwegji, którą nieroztropném było pozostawić Danji, stałemu sprzymierzeńcowi Napoleona, zdradzającemu sprawę Europy.

Te zwierzenia czynione Anglji i Rossji bez najmniejszej rozważki, obudziły pewien rodzaj nieufności, do tyła były zadziwiającemi i je-

dnąły mało szacunku dla osoby księcia. Udzielone nawet królowi pruskiemu w tajemnej rozmowie z jego posłem, oburzyły tego uczciwego monarchę, który nie ośmielił się denuncjować nam tego niewiernego dziecka Francji, ale ostrzegł nas dość wyraźnie, żeby mieć go na oku. Co do mocarstw, albo już będących w wojnie z nami, jak Anglja, albo gotowych do rozpoczęcia jej jak Rossja, oszczędzały one nieprzyjaciela Napoleona, z którego mogły korzystać, ale nie ufały mu. Ażeby się lepiej zasłużyć jak jednej tak drugiej, nowy książę szwedzki oświadczył gotowość użycia dawnego wpływu szwedzkiego w Turcji, dla ułatwienia zawarcia pokoju pomiędzy Turkami a Rossjanami; rozpoczął nawet układy w tym celu tak w Petersburgu, jak w Konstantynopolu. Tym sposobem ta osoba tak nowa na scenie świata, ten nieprzyjaciel tak mało spodziewany Francji, ofiarował się zbliżyć Anglję z Rossją, Rossję z Portą, chcąc koniecznie być węzłem wszystkich tych związków, mieczem wszystkich tych koalicji.

Aleksander, trzymając się swego systematu ostrożności, który miał na celu, jak powiedzieliśmy, ściągnięcia całej odpowiedzialności na swego przeciwnika, i zostawiania wolnym od wszelkiego zobowiązania, ażeby mógł aż do ostatniej chwili zawrzeć pokój, nie chciał się dać powodować ani niecierpliwym naleganiom Anglji, ani intrygom Szwecji, której nawrócenie było zanadto prędkiem, żeby można było ufać. Zrobił on uwagę bardzo naturalną i bardzo prostą, to jest, że po dokonaniem raz zerwania z Francją, pokój z Anglją będzie dziełem jednej godziny, że warunki jego będą takie jakie sam zechce, że gdy przygotowania jego skończone były od roku, przygotowania zaś Anglji od lat dziesięciu, zwłoka dwóch lub trzech miesięcy w zbliżeniu, nie może przynieść szkody w urzędzeniu środków, a może ono nastąpić tylko w czasie samej wojny; że nie było więc czego się spieszyć, i że nieby niezyskano na tém, żeby zaczęto działać cokolwiek wcześniej, zerwanoby tylko ostatecznie z Napoleonem i postradanoby wszelką nadzieję pokoju. Z tych więc powodów, Aleksander nie przyjął okrętów naładowanych prochem, zmusił je do opuszczenia wód Ryskich grożąc wystrzałami, gdyby się nie oddaliły, oraz kazał uwiadomić p. Tornton, że jeszcze nie był czas stawienia się mu w Petersburgu. Co do Szwecji, ponieważ był mniej pewnym jej współdziału, gdyż to mocarstwo, w swęj zmiennęj polityce, jak opuściło Napoleona za odrzucenie żądań, mogło opuścić Rossję za nieprzyjęcie propozycji, Aleksander postanowił słuchać jego szczególnych projektów, zdawał się zwracać na nie baczną uwagę i zastanawiać się nad niemi z rozmy-

słem jakiego wymagała ich ważność. Aleksander posłał w darze wspinała futra księciu Bernadotte, i okazywał mu największe względy. Co się tycze Turcji, która upornie odrzucała podawane przez Rossję warunki pokoju, która nie chciała za żadną cenę odstąpić Mołdawji do Seretu, która téż nie chciała zgodzić się na protektorat Rossjan nad Mołdawją i Serbją, która niemniej wzbraniała się ustąpić najmniejszego kawałka ziemi wzdłuż Kaukazu, odmawiała téż płacić kosztów wojennych, w tém przekonaniu, że gdy będzie opierać się jeszcze czas jakiś, Rossja nagłona orężem Francji, będzie zmuszona wyrzec się wszystkich swoich pretensij, Aleksander zmienił jeszcze raz podawane warunki, zrzekał się protektoratu Serbji i Wołoszczyzny, kawałka ziemi żadanego na Kaukazie, wynagrodzenia kosztów wojny, ale nalegał na odstąpienie mu całej Bessarabji, oraz Mołdawji do Seretu, i spodziewał się że otrzyma pokój pod temi nowemi warunkami, co mu miało zapewnić wolne rozporządzenie swoich sił przeciwko Francji.

Takie były plany Rossji, plany, jak widzimy, bardzo dobrze obmyślane, a nadewszystko bardzo dobrze zastosowane do jój położenia. W obecnym stanie rzeczy, nie można już było myśleć o wysłaniu p. Nesselrode do Paryża, gdyż daremną było rzeczą okazywać, jak gdyby proszono o pokój, wtedy gdy nie spodziewano się go otrzymać. Tym sposobem projekt tego posłannictwa był zaniechany z wielkiem zadowoleniem p. Rumiancowa. Aleksander udzielił wiadomości o tém nowém postanowieniu p. de Loryston z boleścią, której bynajmniej nie ukrywał; powiedział mu, że kurjer wysłany z Paryża 13 stycznia nie pozostawiał już żadnej nadziei zachowania pokoju, że doznawał stąd wielkiego smutku, gdyż nie przestawał szczerze go żądać, że dla utrzymania go postanowił trzymać się warunków traktatu Tylżyckiego, to jest, pozostawania w wojnie z Anglją, zgodzenia się nawet na wyłączenie księcia Oldenburskiego, z tém żeby Francja naznaczyła wynagrodzenie według swojej woli, i dozwoleń egzystencji Wielkiego Księstwa Warszawskiego. Powiedział jeszcze, że co do blokady lądowej, był zawsze gotów brać w niej udział zamykając swe porty banderze angielskiej, i ścigając tę banderę pod wszelkimi nazwiskami, jakieby na siebie przybierała; ale że posunąć tę troskliwość aż do wyłączenia całkiem handlu amerykańskiego było dla niego niepodobieństwem, gdyż byłoby to doprowadzić swój kraj do stanu nędzy w jakim zostawała Polska; że Amerykanie, których przyjmował, mieli wprawdzie związki z Anglikami, że on wiedział o tém,

ale że był pewnym ich narodowości, że nie przyjmował ich, skoro zachodziła najmniejsza w tém wątpliwość, że jeżeliby nie chciał ich wpuszczać dla tego, że mieli związki z Anglikami, musiałby nie wpuszczać żadnego z ich okrętów, co byłoby rzeczą rujną dla Rossji, i co zresztą mogło być tylko obowiązującym na mocy dekretów, wydanych w Berlinie i Medjolanie, bez jego współdziału; że to wszystko powtarzał już po sto razy, że powtarzał to po raz ostatni, ale że żadna potęga w świecie nie zmusi go do przekroczenia granic, jakie sam zakresił, i których się myśli nadal trzymać; że będzie prowadzić wojnę lat dziesięć, jeśli tego potrzeba będzie, że cofnie się w głąb Syberji raczej, niżeli zgodzi się na poniżenie, w jakim zostawały Austria i Prusy; że Napoleon, wywołując to zerwanie, źle pojmuwał prawdziwy swój interes, że Anglja przyprowadzoną prawie już była do ostateczności, że trzymając ciągle ład dla niej zamknięty jak dotąd, i zwracając przeciw lordowi Wellingtonowi siły przygotowane na Rossję, miały pokój za rok jeden, że działając inaczej, Napoleon narażał się na wypadki nieprzewidziane, nie wyrachowane, i przywracał Anglji nadzieję powodzenia, którą ona była postradała. Aleksander dodał, że co do niego, nie odstąpi planu jaki sobie nakreślił, że jego wojsko pozostanie nad Niemnem, i nie przebędzie go pierwsze; że chciał iżby jego naród i świat cały byli świadkami, że nie był napastnikiem, że posuwał nawet pod tym względem szkrupuł do tego stopnia, iż nie chciał słuchać ani jednej propozycji Anglji, że nie przyjął jej prochu, że nie przyjmie również p. Tornton, gdyby ten przybył do Rossji, że daje na to słowo honoru człowieka i panującego. Cesarz powiedział wreszcie, że w tym stanie rzeczy wysłanie p. Nesselrode było niepodobnem, że tego wzbraniała mu jego godność, również jak zdrowy rozsądek, gdyż to posłannictwo na nic się nie przyda. Kiedy p. Loryston nalegał, i utrzymywał, że p. Nesselrode bardzo dobrze przyjęty będzie w Paryżu, Aleksander powtórzył mu wtedy to co powiedzieliśmy o milczeniu znaczącem Napoleona względem księcia Kurakina, okazywanęj właśnie od czasu odebrania tej wiadomości, i zakończył wreszcie oświadczeniem, iż wiedział inną drogą, że Napoleon nie pochwalał tego kroku. Drogą to, o której Aleksander wspominał nie wymieniając jej, były Prusy, które w bardzo chwalebnym zamiarze, sądząc że się przyłożą do utrzymania pokoju, uwiadomiły o uwagach Napoleona względem nieprzyzwoitości dania za nadto rozgłosu podróży p. Nesselrode. Tym sposobem to państwo, w uczciwej chęci utrzymania pokoju, zaszkodziło tej sprawie, w miejscu dopomożenia jej.

Cesarz Aleksander wyrażając się tym sposobem, zdawał się być więcej niżeli kiedykolwiek wzruszonym, ale również determinowanym jak wzruszonym, i mówił widocznie jako człowiek, który niełękął się okazywać swego smutku z powodu wojny, gdyż postanowił prowadzić ją i prowadzić do upadłego. Pozostawił pana Loryston również strapionego jak sam nim był, gdyż ten zaeny obywatel widział wojnę z pewnym rodzajem rozpachy, przewidując wszystko co może z niej nastąpić. Zresztą, Aleksander obchodził się z nim po przyjacielsku i okazywał mu największe względy. Tylko, w odwet za oziębłość jakiej doznał księżę Kurakin, wzywano go nie tak często obiadować do dworu i do grona familji cesarskiej. Ale wszędzie gdzie go spotykano uprzejmość była tąż samą. Przykład dany przez Aleksandra towarzystwu petersburskiemu, znalazł naśladowców. Pan Loryston spotykał wszędzie największą uprzejmość, grzeczność pełną umiarkowania, spokojną determinację bez chępliwości, jedném słowem, smutek bez słabości. Widział ze wszystkich stron tylko ludzi lękających się wprawdzie wojny, ale determinowanych na przyjęcie jęj raczej, niżeli cofnięcie się za granice zakreślone przez ich cesarza. Francuzi nie doznawali nigdzie ani krzywd, ani złego obejścia się. Czekano w pewnym rodzaju spokoju chwili oddania się szatowi patryotyzmu i nienawiści.

Pan Loryston, który otrzymał od 25 stycznia do 3 lutego wszystkie te zwierzania się, jakie przytoczyliśmy, zakommunikował je swojemu dworowi przez kurjera, wysłanego 3 lutego, z skrupulatną dokładnością i dodał do tego opis równie prawdziwy jak zajmujący stanu umysłów w Petersburgu. Kurjer jego przybył między 15 a 17 lutego do Paryża. Poprzedzili go zresztą inni, którzy donôsili o takimże samym prawie stanie rzeczy, i przez których napomykano było o tém, co przez ostatniego z pewnością już donoszono, że pan Nesselrode nie przybędzie.

Napoleon, otrzymując zapewnienie że pan Nesselrode nie przybędzie do Paryża, był zadowolonym, ale znajdował jednakże Rossję nadto determinowaną, i chociaż zdawała się mu być załęknioną, żeby się miała odważyć na kroki zaczepne, lękał się zawsze ażeby umysły zapalczywe nie zachęciły jęj do przebycia Niemna i do uprzedzenia Francuzów w zajęciu Królewca i Gdańska. Zatem, uważał za rzecz stosowną pozawierać przymierza i nakazać ostatecznie wyruszyć swym wojskom, ażeby nie przybyć ostatniemu nad Wisłę, oraz starał się połączyć te stanowcze działania z pewnemi krokami politycznemi tęj natury, że mogłyby uspić czujność gabinetu petersburskiego, udzielając mu niejakięj nadziei pokoju.

Dotąd Napoleon nie chciał zawierać swych przymierzy z bojaźni nabawienia zbyt trwogi Rossji, i pozostawiał szczególnie w oczekiwaniu nieszczęśliwe Prusy, które lękały się zawsze, ażeby ta długa zwłoka nie ukrywała w sobie szkaradnego podstępu. Przypomnijmy sobie, że Napoleon z wyniosłością żądał od nich przerwania uzbrojeń, grożąc zajęciem Berlina, Spandawy, Grudziądza, Kołobrzega, zachwyceniem króla, wojska, wszystkiego co pozostawało z monarchji Fryderyka Wielkiego, jeżeliby nie położyły końca swoim przygotowaniom, i dając im przeciwnie słowo, że skoro zadość uczynią tym wymaganiami, zawrze z niemi traktat przymierza, którego pierwszy artykuł zastrzeże całość terytorjum pruskiego. Od miesiąca października ostatniego trzymał je w zawieszeniu pod rozmaitemi pozorami, a wreszcie powiedział im prawdziwy powód swój zwłoki, którego nie miał przyczyny tać. Za nadejściem miesiąca lutego, kiedy rzeczy przysły do tego punktu, że nie można było dalej odwlekać, postanowił zamiar swój przyprowadzić do skutku, i sprawił nie małą radość tak królowi jak panu Hardenberg, oświadczając im, że gotów podpisać traktat przymierza. Król pruski, którego Rossja tak pobudzała do wojny w r. 1805, a później całkiem opuściła w 1807, nie poczytywał się być obowiązany względem nikogo prócz swego kraju i swój korony, przekonany zresztą jak wszyscy, że Napoleon i tą razą będzie zwycięzcą, żądał być jego sprzymierzeńcem, nie mogąc pozostać neutralnym. Polityką jego w tej chwili było, żeby mając dać kontyngens Napoleonowi, dać go jak można najsilniejszy, ażeby przy zawarciu pokoju można było otrzymać tém większą nagrodę, czy to w odebraniu napowrót miejsc obronnych, czy w zmniejszeniu kontrybucji wojennej, czy w rozszerzeniu granic. Ofiarował aż do stu tysięcy żołnierza, jeżeliby chciano, żołnierza dobrze wyćwiczonego, pod dowództwem czcigodnego generała Grawert, i gotowych wiernie służyć, skoroby w przymierzu francuzkiem widzieli pewność podźwignienia swój ojczyzny. W nagrodę za tę pomoc, król pruski żądał powrotu jednéj z twierdz nad Odrą, pozostałych jako zastaw w rękę Napoleona, na przykład Głogowy, która nie będąc jak Kiestryn lub Szczecin po drodze wojsk, mniej ważną była dla Francji, nadto uwolnienia od opłaty 50 czy 60 milionów, które skarb pruski winien był skarbowi francuzkiemu, i nakoniec, przy zawarciu pokoju rozszerzenia granic odpowiedniego usługom, któreby armja pruska wyświadczyła. Król Fryderyk Wilhelm życzył sobie wreszcie, żeby uznano neutralność jakiejś prowincji, mianowicie Szląska, gdzieby on i dwór jego mógł się schronić, zdala od wrzawy wojennej, gdyż Berlin położony na drodze

przechodu wszystkich wojsk europejskich, miał się stać wkrótce miastem wojennym.

Polityka Napoleona była całkiem inną, nie chciał on ani zniszczyć Prus, ani ich podnieść. Dostę było dla niego, żeby znalazł ją uległą i rozbrojoną na swęj drodze, a nie ufał dostę żołnierzom pruskim, żeby dozwoić uzbroić ich w znacznej liczbie. Nie miał on, właściwie mówiąc, w podejrzeniu ich waleczności, ale wyobrażał sobie słusznie, że w dniu nieszczęśliwym dla swego oręza, wszyscy oni porwani będą potokiem ducha giermańskiego. Nie chciał więc żeby Prusy miały więcej żołnierzy, niżeli powinny były mieć według istniejących traktatów (42 tysiące), żeby ponosiły zbyt znaczne wydatki, i szukały w tém wymówki dla niewypełnienia swych zobowiązań pieniężnych względem Francji. Z tych powodów odrzucił wręcz ich propozycje, powiadając że 20 tysięcy Prusaków będzie mu wystarczające, że nie żołnierzy potrzebował dla zwyciężenia Rossji, ale żywności, i koni dla przewożenia jęj. Odmówił przeto zmniejszenia kontrybucji Prus, z powodu że nie będą musiały ponosić większych wydatków, i zgodził się tylko na wzięcie koni, wołów, zboża, na rachunek części summ, które mu jeszcze winne były. Odmówił również wrócenia Głogowy, gdyż twierdziła ta, jak mówił, była na linii operacyjnej, a zresztą, po zawarciu przymierza, wszystko miało być wspólnem pomiędzy Prusami a Francją, i król nie miał czego żałować któręjkolwiek bądź z swoich fortec. Co do żądania zneutralizowania Szląska, odpowiedział bardzo słusznie, że gotów był zezwolić na nie, ale że dla zapewnienia tęj neutralności, nie dostę było Francji, i należało ją otrzymać nadewszystko od Rossji. Co się tyczy całości terytorjum istniejącego Prus i powiększenia granic przy zawarciu pokoju, bez żadnej trudności przybiecał to uczynić.

Prusy, w stanie do jakiego doszły, nie mogły czynić żadnych przeciw temu zarzutów, zatem traktatem 24 lutego zgodzono się na następane warunki. Prusy obowiązywały się dostarczyć 20 tysięcy ludzi, mających zostawać bezpośrednio pod dowództwem jenerała pruskiego, ale w zależności od dowódcy korpusu francuzkiego, do którego mieli należeć. 22 tysiące ludzi pozostających w Prusiech, miało być rozdzielonych następnym sposobem: 4 tysiące w Kołobrzegu, 3 tysiące w Grudziądzu, w twierdzach, które król pruski zachowywał sobie wyłącznie, 2 tysiące w Poczdamie dla strzeżenia rezydencji królewskiej, reszta w Szląsku. Wyjąwszy w Kołobrzegu i Grudziądzu, we wszystkich miastach warownych lub nie, miały być tylko milicje mieszczkańskie. Kontrybucja wojenna, którą Prusy winne jeszcze były

Francji, oznaczoną została ostatecznie na 48 milionów, z których 26 milionów miały się opłacić listami zastawnymi już wydanymi, 14 zapasami wojennymi, a 8 gotówką; te ostatnie miały się wypłacić przy końcu obecnej wojny. Co do 14-tu milionów opłacalnych w naturze, miano dostarczyć 15,000 koni, 44,000 wołów, i znaczną ilość pszenicy, owsa i furazu. Umówiono się, żeby te dostawy zgromadzone były nad Wisłą i nad Odrą.

Pod temi warunkami, Napoleon zapewniał Prusom ich obecne terytorjum, i w razie pomyślniej wojny przeciw Rossji, obiecał im rozszerzenie granic jako wynagrodzenie poniesionych poprzednio przez nie strat. Pomimo urazy jaką Prusacy mieli do Francji, traktat ten zasługiwał na pochwałę ludzi rozsądnych, gdyż król pruski nie będąc niczem obowiązany Rossji, miał słuszną, że szukał swego bezpieczeństwa tam, gdzie go spodziewał się znaleźć. Co do Napoleona, gdy ten nie myślał trzymać się polityki, niowczesnej już wtedy, odnowienia Prus wielkich i silnych, które otrzymawszy wszystko od niego, pozostałyby dlań wiernymi, najstosowniej było postąpić jak on wtedy postąpił, to jest, rozbroić je, rozproszyć część ich żołnierzy, uprowadzić drugą część z sobą, a żeby nie zostawali z tyłu armji francuzkiej, wreszcie obrócić na swój użytek ich zboże, ich bydło i ich konie.

Z Austrią położenie rzeczy było całkiem odmienne. Austria nie lękała się o swoje egzystencję, nie miała żadnej potrzeby zostawania w przymierzu z Napoleonem, gdyż nie tylko nie była jak Prusy pod naciskiem czterechkroć sto tysięcy Francuzów, ale miała drogę otwartą do Włoch po wystąpieniu ztamtąd księcia Eugienjusza. Chętnieby więc uniknęła przymierza francuzkiego, pozostała widzem walki, i otrzymała później jaką korzyść od zwycięzcy kosztem zwyciężonego. Więcej ona skłonna była do wierzenia, że Napoleon pozostanie zwycięzcą i ztąd wносиła, że będzie miała więcej do zyskania trzymając z nim niżeli z cesarzem Aleksandrem, ale dla większego bezpieczeństwa wołałaby nie wchodzić w związki przymierza z żadnym z nich i oszczędzić tym sposobem przykrego dla siebie wyznania w Petersburgu, że łączy się z Francją przeciwko Rossji. Lecz nie było sposobu uchylić się przed żelazną prawicą Napoleona. Trzeba było z nim oświadczyć się za lub przeciw, a zresztą gdy zwycięstwo jego było prawdopodobniejszem niżeli Aleksandra, była ta korzyść oświadczać się za nim, że może zdołanoby odzyskać Illirję, to jest, Tryjest, która ze wszystkich strat najdokliwszą była dla Austrii. Naostatek, po wydaniu swój córki za Napoleona, przymierze francuzkie było dla cesarza austriackiego bardzo naturalne i łatwo dające się usprawiedliwić.

Dwór wiedeński zgodził się przeto na traktat przymierza z Francją, ale wymagając największej tajemnicy i żądając ażeby ten traktat był jak można najpóźniej wiadomy, gdyż, jak mówił pan Metternich, w Austrii cesarz tylko i on byli stronnikami tego przymierza, i jeżeliby rozgłoszono zanadto wczesnie te układy, mogłyby zająć nieprzewidywane przeszkody. Zresztą, lepiej było podejść z nienacka Rossję, wprowadzając nagle na Wołyń korpus wojska, któregooby się bynajmniej nie spodziewała. Korpus ten miał zostawać w gotowości w Galicji, gdzie się zgromadzał już pod pozorem trzymania na granicy wojska obserwacyjnego. Nie tracono więc nic, a przeciwnie, zyskiwano wiele na tajemnicy.

Napoleon zgodził się na to, gdyż dosyć mu było na tém, że mógł liczyć na Austrię, a mało go obchodziło w jakim czasie przymierze z nią będzie powszechnie wiadomém. Podzielał nawet chęć trzymania w tajemnicy tego przymierza, pozostając ciągle w zamiarze przeprowadzenia Rossjan do ostateczności jak można najpóźniej.

Zgodzono się więc osobnym traktatem, podpisanym 16 marca, że Francja i Austrija zabezpieczyły sobie wzajemnie całość swoich państw obecnie istniejących, że na teraźniejszą wojnę Austrija dostarczy korpus od 30 tysięcy ludzi, który się miał udać do Lwowa 15 maja pod warunkiem, że w tym czasie armja francuzka, przez swe poruszenie zaczepne, ściągnie ku sobie siły rossyjskie, że korpus ten, pod dowództwem jenerała austriackiego (księcia Szwarzenberga) będzie zostawać bezpośrednio pod rozkazami Napoleona; że wreszcie, Francja, w nagrodę udzielonej przez Austriję pomocy, odstąpi jej Illirję, a w każdym razie jeżeli wojna wypadnie pomyślnie, postąpi z cesarzem Franciszkiem, przy nowym podziale krajów, stosownie do przyjaźni, która powinna łączyć zięcia z teściem.

Traktat ten, jak widzimy, obowiązywał Austrię do słabiej tylko pomocy, i pozostawiał mu sposobność łatwego wytlómaczenia się w Petersburgu, że zawarła przymierze tylko dla formy, i żeby uniknąć z Francją wojny, do której nie była przygotowana. Miała zresztą prawo dodać, że działając tym sposobem, postępowała tak samo jak Rossja postąpiła z nią w r. 1809.

Co się tycze Napoleona, otrzymał od Austrii to co mógł od niej otrzymać, zmuszając ją do formalnego zobowiązania się, które czyniło zdradę jeżeli nie możliwą to nieprawdopodobną, i przyzywając do działania nie wielką liczbę żołnierzy austriackich, gdyż byli to pomocnicy bardzo niedołążni, zdolni w pewnych razach stać się bardzo czynnymi nieprzyjaciołmi. Razem téż przedstawił oczom Austrjaków

powabną nadzieję, która mogła prawie uczynić ich szczeremi, to jest nadzieję odzyskania Illirji.

Po zawarciu tych traktatów przymierza, względem których zgodzono się czterema czy pięcią tygodniami przed ich podpisaniem, Napoleon zajął się ostatecznie odprawieniem swych wojsk w pochód. Zalecił już był armji włoskiej zgromadzić się u podnóża Alp, a marszałkowi Dawu gotowym być zawsze pospieszenia nad Wisłę, gdyby Rossjanie, przeciwko wszelkiemu prawdopodobieństwu, przeszli pierwsi Niemen. Gdy już wszystko było przygotowanem, rozkazał wyruszyć wojskom, ale takim sposobem, żeby nie pierwój stanąć nad Niemnem jak w miesiącu maju. Oto jakim sposobem rozdzielił swoje liczną armję, największą jaką kiedykolwiek widziano od czasów kiedy zdobywcy barbarzyńscy prowadzili z sobą całe ludy, największą bez wątpienia ze wszystkich wojsk regularnych, które kiedykolwiek istniały, gdyż było to najliczniejsze zebranie znane dotąd żołnierzy dzielnych, karnych, wyćwiczonych, bez tego tłumu kobiet, dzieci, sług, które tworzyły niegdyś trzy czwarte części armij zaboreznych. Wykażemy tutaj liczby dokładne, wyjęte ze spisów szczególnych Napoleona, daleko dokładniejszych, niżeli te, które utrzymywało ministerstwo wojny.

Chociaż Napoleon poruczył był marszałkowi Dawu, z powodu specjalnych jego zdolności, uorganizowanie większej części armji, oddał pod jego dowództwo tyle tylko wojska, ile należało mu uorganizować, zostawiając sobie rozporządzenie wielkimi massami. Chciał tylko żeby marszałek, będąc najwięcej zbliżonym do teatru wojny, najprędzej mogącym działać w razie gdyby Rossjanie przebyli Niemen, miał siły wystarczające dla wstrzymania ich. Powierzył mu więc pięć dywizij, nie mających równych sobie; były to trzy stare dywizje generałów Moran, Frjan i Giudę, które zamieniono na pięć, powiększając każdy pułk z trzech na pięć bataljonów wojennych. Dodano do nich dla ich skompletowania pewną ilość bataljonów badenских, hiszpańskich, hollenderskich, anzeatyckich, pomieszczając je w wyborne kadry. Dwaj generałowie pierwszego rzędu, Kompan (Compans) i Deze (Desaix), mieli dowodzić dwoma nowemi dywizjami. Jedna dywizja polska, ta która się znajdowała w Gdańsku, ale nie stanowiła części załogi, tworzyła szóstą dywizję. Złożoną ona była z wybornych żołnierzy, którzy się byli odznaczyli w kampanji 1809 przeciwko Austryjakom.

Napoleon zachował dawny podział swojej jazdy na lekką, przeznaczoną na rekonesanse, i na rezerwową, przeznaczoną do ataków

na linii bojowej. Ta ostatnia składała się także z pewnej ilości jazdy lekkiej, ale szczególnie z ciężkiej i średniej, to jest, kirassjerów, ułanów i dragonów. Ta rezerwa była podzieloną, z powodu znacznej swej liczby, na cztery korpusy. Pierwszy, zamykający w sobie pięć pułków jazdy lekkiej i dwie dywizje kirassjerów, był przyłączony do armji marszałka Dawu. Marszałek ten więc miał około 82 tysięcy piechoty i artyllerii, 3,500 jazdy lekkiej, wyłącznie należącej do jego korpusu i 11 do 12 tysięcy jazdy rezerwowej, to jest 96 do 97 tysięcy najpiękniejszego wojska, jakie istniało w Europie. Miały one nosić tytuł pierwszego korpusu. Główna kwatera ich była w Hamburgu.

Napoleon powierzył nadto marszałkowi Dawu dywizję pruską od 16 do 17 tysięcy ludzi, zostającą pod bezpośredniem dowództwem jenerała Grawert, co stanowiło około 114 tysięcy żołnierzy, będących pod rozkazami tego marszałka.

Napoleon poruczył marszałkowi Udino 2-gi korpus, składający się z dywizyj kwaterujących w Hollandji, oraz z reszty wojsk uorganizowanych przez marszałka Dawu, i nie mających zostawać pod jego rozkazami. Były to dwie dywizje francuzkie Legran i Werdje, utworzone z części dawnych dywizyj Masseny i Lann'a, oraz z pięknej dywizji szwajcarskiej, do których dodano kilka bataljonów Kroatów i Hollendrów. Z jazdą lekką, artyllerią i dywizją kirassjerów wziętą z jazdy rezerwowej, korpus ten wynosił około 40 tysięcy ludzi, wybornego także wojska. Główna kwatera jego była w Münster. Trzy czy cztery tysiące Prusaków, reszta dwudziestu tysięcy dostarczonych przez Prusy, i przyłączonych do 2-go korpusu, strzegło Piławy, Nerrungu, i wszystkich miejsc obronnych zamykających Frysz-haff.

Napoleon, pod nazwaniem 3-go korpusu, powierzył marszałkowi Nej, z którego dzielności chciał nadewszystko korzystać w obecnej kampanji, resztę dawnych wojsk Lann'a i Masseny, stanowiących dwie piękne dywizje francuzkie pod rozkazami jenerałów Ledriu i Razu. Przyłączył do nich Wirtemberczyków, którzy służyli już byli pod marszałkiem Nejem, co stanowiło całość 39 tysięcy piechoty, artyllerii i lekkiej jazdy. Napoleon, mając zamiar użyć marszałka Neja do działań stanowczych, oddał też pod jego rozporządzenie cały korpus jazdy rezerwowej, to jest, drugi, liczący w sobie około 10 tysięcy jazdy, powiększłej części kirassjerów. Główna kwatera marszałka Neja naznaczoną była w Moguneji.

Armja księcia Eugienjusza otrzymała nazwanie 4-go korpusu. Składała się ona z dwóch dywizyj piechoty francuzkiej, zamykających

w sobie co było najlepszego w dawniej armji włoskiej, z dywizji włoskiej, która stała się wyborną, i z gwardji królewskiej. Ogół mógł wynosić około 45 tysięcy żołnierzy wszelkiej broni, których książe Eugienjusz był naturalnie wodzem, mając generała Żiuno (Junot) za głównego po sobie dowódcę.

Napoleon udzielił armji polskiej nazwanie 5-go korpusu. Widzieliśmy już że jedna dywizja polska, na żołdzie francuzkim, oddaną została pod rozkazy marszałka Dawu. Dwie inne dywizje, z których jedna szczególnie złożona z pułków nadwiślańskich, zostawały także na żołdzie Francji, i miały być przyłączone do wojsk francuzkich. Książe Poniatowski miał wyłącznie pod swemi rozkami wojsko polskie właściwie tak nazwane, które było na żołdzie Wielkiego Księstwa Warszawskiego i odbyło już pod jego dowództwem kampanję 1809, kampanję równie zaszczytną dla żołnierzy, jak dla głównodowodzącego. Ten piąty korpus, mający około 36 tysięcy żołnierza wszelkiej broni, miał swą główną kwaterę w Warszawie. Bawarczycy w liczbie 25 tysięcy ludzi, służący od 1805 razem z Francuzami, otrzymali nazwanie 6-go korpusu, i oddani zostali pod rozkazy generała Sę-Syr (Saint-Cyr), któremu Napoleon wrócił swe względy z powodu jego zasługi, i pomimo nieuległości charakteru często niedogodnej. Punktem zebrania Bawarczyków był Bareuth, gdzie mieli się połączyć z armją włoską i walczyć obok niej. Napoleon starając się wynagrodzić rozmaitość narodowości przez stosunki prywatne, postanowił połączyć Bawarczyków z Włochami, z powodu związków, nie tylko pokrewieństwa, ale też przyjaźni, łączących księcia Eugienjusza z dworem Bawarskim.

Sasi, w liczbie 17 tysięcy, wyborni żołnierze także, i ze wszystkich Niemców najmniej nieprzyjaźni Francji, gdyż ona oddała Polskę ich królowi, umieszczeni zostali pod rozkazami generała Renje (Reynier), uczonego officera, bardzo sposobnego do rozkazywania Niemcom, i znanego już przez swe zasługi tak w Hiszpanji jak gdzieindziej. Otrzymali oni nazwanie 7-go korpusu, i mieli działać naturalnie łącznie z Polakami. Rozkazano im zgromadzać się w Głogowie nad Odrą, i udać się ztamtąd jak można najprędzej do Kalisza, ażeby pospieszyć nad Wisłę, skoroby Polacy zapotrzebowali ich pomocy.

Nakoniec Westfalczycy, wyćwiczeni porządnie przez króla Hieronima, ale liczący pomiędzy sobą wielu Hesseńczyków, żołnierzy bardziej mężnych niżeli przywiązanych do swojego nowego panującego, tworzyli 8-my korpus, i mieli się zgromadzić w okolicach Magdeburga w liczbie 18 tysięcy ludzi.

Pozostające jeszcze dwa doskonałe oddziały, były jazda rezerwowa i gwardja cesarska. Z czterech korpusów składających jazdę rezerwową jeden przyłączonym był do korpusu marszałka Dawu, drugi do korpusu marszałka Neja, nadto dywizja kirassjerów była tymczasowo przyłączoną do korpusu marszałka Udino. Napoleon miał je przywołać do siebie według okoliczności i według miejsc, żeby mieć je wszystkie w razie potrzeby pod ręką. Część najwyborniejsza jazdy, nie przyłączona jeszcze do żadnego korpusu armji, liczyła w sobie 15 tysięcy przepysznych jeźdźców, połączonych témczasowo z gwardją cesarską. Co do téj ostatniej, stała się ona prawdziwą armją, mającą w sobie nie mniej jak 47 tysięcy żołnierza, pomiędzy któremi liczono 6 tysięcy jeźdźców wyborowych i kilka tysięcy artyllerzystów z 200 rezerwowemi armatami. Była ona także podzieloną na dwa korpusy, jeden młodej gwardji, zawierający w sobie tyraljerów i wołtyżerów, drugi staréj gwardji, zawierający w sobie strzelców i grenadierów pieszych, kawalerję, rezerwę artyllerji i pułki nadwiślańskie, ożywione uczuciami, które ich czyniły godnemi słuzenia w gwardji cesarskiej.

Pierwszy korpus gwardji zostawał pod rozkazami marszałka Mortje, drugi pod rozkazami starego marszałka Lefebwr. Nie można było dać zastużeńszych wodzów waleczniejszym żołnierzom. Gwardja nie miała naznaczonego żadnego punktu do zebrania się, dopóki kwatery jeneralna nie była gdziekolwiek obraną. Témczasowo wychodziła ona potajemnie z Paryża lub okolic, pułk za pułkiem, dążąc w dwóch kierunkach, Berlina i Drezna. Skoro cesarz stanąłby na czele armji, miała się ona cała zgromadzić w około niego. Potrzeba jeszcze dodać do téj długiej listy wielki park inżynjerski, zawierający w sobie saperów, minjerów, pontonjerów, i robotników wszelkiego rodzaju, wielki park artyllerji, mieszczący w sobie wszystkie zapasy téj broni, nakoniec pociąg zaprzęgowy, mieszczący w sobie wszystkie wozy, co stanowiło jeszcze masę 18 tysięcy ludzi, prowadzących z sobą ogromną ilość koni.

Taką była armja czynna jedynie, ta która miała przebyć Niemen, i wkroczyć wewnątrz Rossji. Nie licząc chorych i odkomenderowanych, których jak zobaczymy wkrótce, znaczna była liczba, oraz Austrjaków, którzy zostawali daleko od teatru wojny, ta armja czynna, licząc tylko ludzi rzeczywiście zostających pod chorągwiami, stanowiła ogromną masę 423 tysiące żołnierzy, wszystko silnych i doskonale wyćwiczonych, z których 300 tysięcy piechoty, 70 tysięcy konnicy, 30 tysięcy artyllerji, mających z sobą tysiąc dział polowych, sześć zaprzęgów mostowych i na miesiąc żywności transportowanęj

na wozach. Zamiast na miesiąc, mieli wkrótce posiadać żywności na dwa miesiące, gdyby tylko rozkazy Napoleona w porę wykonanemi zostały.

Wyobraźnia nasza zdziwioną zostaje, gdy się zastanowimy, że to są liczby rzeczywiste, z wyłączeniem nie zostających w czynnej służbie, nie zaś liczby wymyślone, jak te, które podaje większa część historyków starożytnych i nowożytnych, mówiących prawie zawsze według pogłosek ludowych, prawie nigdy według dokumentów urzędowych, i nie zwracających zresztą uwagi na liczbę chorych, odkomenderowanych, dezertarów. Jednakże nie są to jeszcze wszystkie siły, które Napoleon przygotował do olbrzymiej walki, po której spodziewał się słusznie albo być panem prawdziwym świata, albo największym ze zwyciężonych wszystkich wieków. Wiedząc o nieprzełaganych nieprzyjaciółach, jakimi droga jego, że tak rzec można, usiana była od Renu do Niemna, pozostawił z tyłu potężną armję rezerwową, której następne były siły, rozmaite narodowości i rozpołożenie (1).

Napoleon, używając z wielkim taktem wszystkich porządných oficerów powracających z Hiszpanji, a którzy nie mogli zgodzić się z temi, co kierowali działaniami wojennemi w tym kraju, wybrał marszałka Wiktor (Victor), księcia Belluny, za kommandanta Berlina, jak skoro wojsko czynne minęłoby tę stolicę. Postanowił oddać pod jego rozkazy dywizję francuzką, 12-tą, złożoną z dwóch pięknych pułków lekkich i wielu czwartych bataljonów, pod dowództwem generała Partuno (Partouneaux), wojsk Bergu i Badenu, nowęj dywizji polskiej i nadto części załóg marszałków Dawu i Udino, którym powierzona była straż ważnej fortecy Magdeburga. Ogół, wynoszący 38 do 39 tysięcy ludzi, tworzył 9-ty korpus, pozostawiony na straży Niemiec od Elby do Odry.

Było jeszcze w osobnych oddziałach po twierdzach, jak np. w Szczecinie, Kiestrzynie, Głogowie, Erfurcie, z 10 tysięcy ludzi. W Hanowerze urządzony był ogromny zakład zapasowy dla jazdy, gdzie miało być za opatrzonych w konie niemieckie 9 tysięcy kawalerzystów, mających przybyć piechotą z Francji. Napoleon postanowił

(1) Nie mam potrzeby powtarzać, że piszę to, mając przed sobą spisy szczególné Cesarza, daleko dokładniejsze niżeli spisy ministra wojny, gdyż były sprawdzane na miejscu, i utworzone za pośrednictwem appelów czynionych w korpusach czasu każdej kampanji, spisy, których nie radzono się, odkąd wyszły z rąk Napoleona i złożone zostały w archiwach.

że część czwartych bataljonów sprowadzonych z Hiszpanji, i niektóre szósty bataljony należące do pułków mających ich po sześć, miały tworzyć korpus rezerwowy pod dowództwem marszałka Ożero (Augereau), i liczący obecnie do 37 tysięcy ludzi. Wreszcie, posunął przeczorność aż do wysłania z zakładów zapasowych 15 do 18 tysięcy nowozaciężnych, którzy mieli wynagradzać straty poniesione w pierwszych pochodach i jak we wszystkich wojnach uprzednich, zostawać przy swych korpusach jako bataljony tymczasowe. Nakoniec, była jeszcze dywizja drobnych ksiąząt niemieckich, licząca w sobie 5 tysięcy ludzi, i dywizja duńska od 10 tysięcy, którą Danja, będąca powodem, że ściągnęliśmy na siebie nieprzyjaźń Szwecji, obowiązała się nam dostarczyć, w razie gdyby książę Bernadotte wykonał swój zamiar wystąpienia z tyłu armji francuzkiej. Dywizja ta była zgromadzoną na granicach Holsztynu.

Te rozmaite oddziały stanowiły nową masę 130 tysięcy żołnierzy, przeznaczoną do utrzymania ciągle w komplecie armji czynnej; mogącą w razie niebezpieczeństwa dostarczyć najmniej 50 do 60 tysięcy wojska zostającego w massie i dobrze wyćwiczonego, dla oparcia się czy to Anglikom, gdyby ci dotrzymali tą razą słowa swoim sprzymierzeńcom, czy też Szwedom, gdyby ich nowy następcą tronu chciał przyprowadzić do skutku swe groźby.

Dodawszy do armji czynnej 423 tysięcy ludzi tę armję rezerwową od 130 tysięcy, oraz niektóre oddziały rozproszone w rozmaitych małych stanowiskach w liczbie 12 tysięcy i chorych, skutkiem po części służby zimową porą, której wymagało ścisłe utrzymanie blokady lądowej, a których liczba dochodziła obecnie do 40 tysięcy, będziemy mieli ogromną masę sześć kroć sto tysięcy żołnierza, która wystąpiła do tej straszliwej walki. Liczyła ona w sobie 85 tysięcy kawalerzystów opatrzonych w konie, 40 tysięcy artyllerzystów, 20 tysięcy woźnic, 145 tysięcy koni do siodła i do pociągu. Jakich wysień gienjuszu administracyjnego potrzeba było dla użycia tylu ludzi na usługę jednej sprawy, jeżeli nadewszystko zastanowimy się, że pozostawało jeszcze 150 tysięcy żołnierza we Francji w zakładach zapasowych, 50 tysięcy we Włoszech, 300 tysięcy w Hiszpanji, co stanowiło w ogóle milion sto tysięcy górą żołnierzy, zostających pod rozkazami jednego wodza! Ale przytém jakie niebezpieczeństwo, żeby ta ogromna machina, tak sztucznie zbudowana, nie rozprysła się nagle, gdyby jaka klęska lub wypadek fizyczny zadał jej silny cios! Wtedy, jak te przyrzady potężne, cuda nauki nowożytniej, które pędzą z niepohamowaną siłą, dopóki ich sprężyny są w należywym porządku, ale skoro ten porządek

przerwany zostanie na chwilę, wpadają w rozstrój, któremu żadna ręka ludzka zapobiedz nie zdoła, ogrom ten mógł się rozkruszyć z wielkim hukiem, i pokryć ziemię swemi szczątkami. I ileż powodów do téj obawy, skoro się zastanowimy nad częściami składowemi téj ogromnej maszyny wojennej! 370 tysięcy Francuzów, 50 tysięcy Polaków, 20 tysięcy Włochów, 10 tysięcy Szwajcarów, co stanowiło 450 tysięcy żołnierza, na którego można było liczyć, nie nadużywając jednak zbyt wiele jego sił fizycznych i moralnych; wreszcie 150 tysięcy Prusaków, Bawarczyków, Sasów, Wirtemberczyków, Westfalczyków, Hollendrów, Kroatów, Hiszpanów i Portugalczyków, po większej części nienawidzących nas, pomieszanych wprawdzie z naszymi żołnierzami z nadzwyczajną zręcznością, takim sposobem, że mogli być niejako porwani potokiem dobrej woli ogólnej, takim było to trudne do uwierzenia skupienie sił, które należało podziwiać jako cud sztuki, ale podziwiać ze drżeniem, gdyż, oprócz składu jego tak różnorodnego, ta masa posuwała się od Renu nad Niemen po ziemi przepętnionej nienawiścią, prowadziła z sobą niezmiernie zapasy wojenne i mnóstwo zwierząt, pomiędzy którymi najmniejsze zamieszanie mogło spowodować okropny bezład, któremu nie zdołałby zapobiedz sam gienjusz, który utworzył tę zadziwiającą całość. Napoleon był więc u kresu albo największego tryumfu swéj sztuki, albo zawodu téj sztuki posuniętej do ostatecznych granic, u kresu albo powszechnego panowania albo klęski straszliwej, bez przykładu w historii! I nieszczęściem, nie mógł on mieć za wymówkę nienawiści patriotycznej i dziedzicznej, która pożerała serce Annibala, gdyż uczucie powodujące nim, nie było inném, jak duma bez granic, większa od téj, jaka kiedykolwiek zrodziła się w sercu ulubieńca fortuny.

Pierwszém jego staraniem miało być sprowadzenie z Hiszpanji, z Włoch, z Francji, z Niemiec południowych aż do granic Polski tego mnóstwa ludzi, prowadzenia ich w porządku, z ostrożnością, ażeby nie wycieńczyć ich zbyt wielkimi trudami, nie pokryć dróg chorem i przystałemi, a nadewszystko żeby nie sprawić wielkiego wrażenia na Rossjanach, i nie doprowadzić ich do zajęcia Polski i Starych Prus. Napoleon użył w tym celu całej swéj chytrósci i zręczności.

Powiedzieliśmy już o jego zamiarze wykonania całego swego poruszenia pod osłoną marszałka Dawu, który będąc prawie na miejscu, gdyż znajdował się pomiędzy Elbą a Odrą, miał tylko do zrobienia 8 lub 9 marszów dla przeniesienia się nad Wisłę, z niemałemi siłami 150 tysięcy żołnierza, i zostawania tam w gotowości wstrzymania Rossjan w razie potrzeby. Z tyłu to jego wszystkie korpusy miały się

posuwać kolejno dla zajęcia stanowiska nad Wisłą. Napoleon wysłał już był, jak widzieliśmy, rozkazy potrzebne do armji włoskiej, która miała największą przestrzeń do przebycia, ażeby się połączyła z wojskami zgromadzonymi w Niemczech. Kiedy pierwszy ruch tój armji naznaczony na koniec lutego, zostałby wiadomym, Napoleon zamierzał wysłać pierwszych dni marca marszałka Dawu nad Odrę, Sasów trochę dalej aż do Kalisza, ażeby mogli prędzej połączyć się z Polakami, posunąć jednocześnie w drugiej linji marszałka Udino na Berlin, Hieronima na Głogowę, Neja na Erfurt, a potem rozkazać zatrzymać się aż do końca marca, ażeby dać czasu pozostałym ostatekom tych korpusów, a szczególniej niezliczonym ich zaprzęgom, połączyć się głównymi siłami. 1-go kwietnia, Napoleon chciał żeby te wojska znowu wyruszyły, żeby Dawu stanął nad Wisłą, pomiędzy Toruniem a Marjenburgiem, Sasi połączyli się z Polakami pod Warszawą, Westfalczycy Hieronima stanęli w Poznaniu, następnie żeby się zatrzymali nad Odrą i zawsze w drugiej linji, Udino w Szczecinie, Nej w Frankfurcie, książe Eugienjusz z Włochami i Bawarczykami w Głogowie. Gwardja i parki były przeznaczone do utworzenia trzeciej linji pomiędzy Dreznem a Berlinem. Po przybyciu na te rozmaite punkta, miano się zatrzymać znowu do 15 kwietnia, potem wyruszyć 15, Dawu miał pozostać swą osobą w Gdańsku na dolnej Wiśle dla dokończenia tam przygotowania zapasów wojennych, druga i trzecia linje miały się posunąć nad Wisłę, i zatrzymać się tam w następnym porządku: Prusacy jako przednia straż, pomiędzy Elblągiem, Piławą i Królewcem (co nie mogło wywołać żadnego zarzutu ze strony Rossjan, gdyż Prusacy byli tam u siebie), wojska marszałka Dawu z tyłu, pomiędzy Marjenburgiem i Marjenwerder, korpus Udino w Gdańsku, Neja w Toruniu, księcia Eugienjusza w Płocku, Polacy, Sasi, Westfalczycy w Warszawie, gwardja w Poznaniu. Napoleon chciał żeby pozostano w tój pozycji przez większą część maja, i zajmowano się zebraniem żołnierzy i zapasów pozostałych w drodze, rzuceniem mostów na rozmaitych ramionach Wisły, urządzeniem żeglugi na Fryszhassie, przygotowaniem licznych zaprzęgów za pomocą koni i wołów pruskich, dopełnianiem magazynów przedmiotami dostarczanymi przez Prusy, dokończeniem remonty kawalerji takż koni pruskimi. Nakoniec, po nadejściu miesiąca czerwca, gdy pola okryją się już wysoką trawą, wojska miały się zgromadzić pomiędzy Królewcem a Grodnem i przebyć Niemen między 15 a 20 czerwca.

Rozkazy Napoleona wydane były stosownie do tego planu. Książę Eugienjusz otrzymał rozkaz przebycia Tyrolu z najmniejszym jak można rozgłosem, i tak szybko, żeby stanąć w Ratysbonie pierwszych dni marca. Jenerałom bawarskim zalecono być gotowemi do połączenia się z księciem Eugienjuszem w tém miejscu i w tymże czasie; Nej, Hieronim, Udino, otrzymali rozkaz stanąć niezwłocznie w linii ze skrzydłem prawém, przybywajícím z Włoch. Kiedy te rozmaite poruszenia wyjdą na jaw, marszałek Dawu miał polecenie wystania nagle dywizji Frjan do Pomeranji Szwedzkiej dla ukarania Szwecji za jej postępowanie, posunięcia drugich swych dywizji nad Odrą ze Szczecina do Kiestrzyna, zajęcia Prusakami Piławy i punktów osłaniających żeglugę na Frysz-haffie, połączenia się za pośrednictwem kawalerji z Polakami od strony Warszawy, i w razie gdyby Rossjanie, przeciwko wszelkiemu prawdopodobieństwu, rozpoczęli kroki zaczepne, nie zatrzymywać się, iść prosto na nich, i odeprzeć ich za Niemen. Jakkolwiek Rossjanie mogli być przygotowani, marszałek Dawu z 150 tysiącami żołnierza, które miał w swém rozporządzeniu, był w stanie niedopuszczenia im zniszczenia bogatych żniw Polski i Starych Prus.

Po urządzeniu tego wszystkiego, Napoleon chciał do środków wojennych przydać środki dyplomatyczne dla przeszkodzenia Rossjanom rozpoczęcia nagle kroków zaczepnych. Już przez swą oziębłość, przez swe wyrachowane milczenie uniknął był postannictwa Pana Nesselrode. Mógł nawet lękać się że zanadto mu się w tém powiodło, gdyż czyniąc wojnę tém pewniejszą, mógł sprawić że cesarz Aleksander odstąpiłby swego systematu zwlekania. Ażeby zapobiedz temu niebezpieczeństwu, wysłał do P. Loryston przez kurjera pewnego, depezę bardzo szczegółową, i z tego powodu bardzo sekretną, w której odkrywał cały swój plan, opisywał z największą dokładnością pochód księcia Eugienjusza, potem marszałka Dawu i wszystkich innych korpusów francuzkich, oraz oświadczał, że celem wszystkich tych ruchów było stanąć nad Wisłą, zatrzymać się tam, posunąć się potem aż do Elbląga i Królewca dla ocalenia od Rossjan bogatych magazynów Polski i Starych Prus. Powiadał w niej, że dla dopięcia tego, należało za jakąbądź cenę zyskać na czasie i przeszkodzić żeby Rossjanie, mocno zagrożeni, nie pospieszyli zniszczyć kraju, z którego chciano ściągnąć część swoich zapasów; że w tym celu należało, skoro ruch armji włoskiej, najpierwéj rozpoczęty, będzie wiadomy, za-

przezyć mu całkiem, przyznając się tylko do pochodu pewnej liczby nowo-zaciężnych Toskańczyków i Piemontczyków wysłanych po tę stronę Alp dla połączenia się z swemi korpusami w Niemczech; następnie, kiedy niepodobna będzie temu zaprzeczać, należało wyznaczyć nowe skupienie armji francuzkiej nad Odrą, ale przytém utrzymywać, że to skupienie nie pociągało za sobą koniecznie wojny, równie jak skupienie Rossjan nad Dźwiną i Dnieprem; że posuwając się do Odry, armja francuzka daleką była od wykonania poruszenia odpowiedniego temu, jakie wykonała armja rossyjska, że godność cesarza Napoleona nie dozwalała mu dać się uprzedzić cesarzowi Aleksandrowi, że gdyby nawet zdarzyło się, iż armja francuzka posunęłaby się cokolwiek za Odrę, byłoby to jedynie dla zajęcia pozycji zupełnie odpowiedniej téj, jaką zajmowała armja rossyjska; że zamiarem istotnym Napoleona było zawsze prowadzenie układów, nie zaś toczenie wojny, ale że chciał prowadząc układy, zachować postawę odpowiednią swojej potędze.

W téj depeszy zalecano takż panu Loryston wyrażać się sposobem udzielającym pewnej otuchy, powtarzać Rossjanom, że miano na myśli prowadzenie zbrojnych układów, nie zaś koniecznie wojny, dopominania się nawet, jak gdyby tego załowano, o wysłanie P. Nesselrode, i nalegania żeby projekt ten został przyprowadzonym do skutku, zgadzanie się nawet, gdyby umysły były bardzo wzburzone w Petersburgu, na widzenie się obu cesarzów na Wiśle, starając się jednakże użyć tego środka tylko w ostatniej konieczności, gdyż nie bardzo życzono sobie w Paryżu takowej schadzki, a chciano tylko zyskać na czasie, ażeby przybyć nad Niemen pierwój nimby Rossjanie go przebyli. Nakoniec, dla zapobieżenia przedczesnym krokom nieprzyjacielskim, należało się zobowiązać do zatrzymania armji francuzkiej nad Wisłą, upoważniano p. Loryston do przyjęcia na siebie tego zobowiązania, ale tylko w roli dyplomatycznej, jakby z chęci żarliwej pokoju, przekraczał granice swoich instrukcyj; a gdyby, pomimo wszystkich tych wybiegów, nie zdołano zapobiedz przejściu Niemna, pan Loryston miał wypowiedzieć natychmiast wojnę, wojnę niezwłoczną, żądać swoich paszportów, i obowiązać poselstwa dworów sprzymierzonych do żądania takż swoich. Ale zaleconém było wyraźnie panu Loryston użyć wszelkich środków dla uniknienia tak rychłego zerwania i tak przeciwnego zamiarom cesarza.

Można było liczyć na gorliwość pana Loryston w uniknieniu tego zerwania, chociaż wyznawano przed nim otwarcie, że jedynym rezultatem jego usiłowań będzie odroczenie takowego. Ale chcąc szczerze

zapobiedz mu, uważałby się za szczęśliwego, gdyby zdołał przynajmniej odroczyć to zerwanie. Pomimo to wszakże, wątpiąc o dopięciu swojego celu, Napoleon postanowił użyć jeszcze innego środka dla działania bezpośrednio na cesarza Aleksandra. Miał wtedy przy sobie p. Czerniszewa, używanego przez dwór petersburgski do częstych poruczeń do Paryża, mającego na dworze francuzkim liczne stosunki, przebywającego tam z upodobaniem i umiejącego się podobać, nadużywającego nawet swobody, której mu dozwolono. Zaczynano go mieć w podejrzeniu, ale nie była to chwila dla wykrycia tego na jaw. Napoleon umyslił więc wysłać pana Czerniszewa do Petersburga, dla przełożenia cesarzowi Aleksandrowi jego zamiarów tchnących pokojem, dla powiedzenia mu, że on, Napoleon nie wiedział czego od niego chciano, że uzbierał się dla tego tylko że się uzbrajano, że żądał jedynie wypełnienia warunków traktatu tylżyckiego, i że jeśli zamiast rozlewu krwi wolano wytłómaczyć się wzajemnie, był gotów przystąpić raczej do układów niżeli do wojny.

Dla przedsięwzięcia tego kroku, tak mało odpowiedniego postawie, jaką przyjął względem Rossji, Napoleon użył dość stosownego pretekstu. W ostatnich rozmowach z p. Loryston, cesarz Aleksander i Kanclerz Rumiańców, uważając wojnę za nieuchronną, i starając się odkryć jaką pobudkę Napoleon miał do żądania jej, powiedzieli, że to Polska bez wątpienia była przyczyną tej nowej kłótni; że to widocznie było przyczyną, że odmówił podpisania umowy projektowanej w 1810 r. P. Loryston donosząc o wszystkim z największą dokładnością, nie zaniechał w swoich ostatnich depeszach donieść o tym domysle cesarza Aleksandra i jego ministra. To było dosyć dla podania Napoleonowi zręczności do zrobienia tego kroku, gdyż wypadło mu zaprzeczyć się prędko zamiaru, jaki mu przypisywano.

Przebywał wtedy w pałacu Elizejskim, który wybrał był sobie na rezydencję, lubo ten pałac, niezamieszkanym oddawna, był zimnym i wilgotnym. Nabył tam dość silnej niemocy, i mógł zaledwo mówić. Jednakże rozmawiał długo z p. Czerniszewem, tonem dobroduszości i uprzejmości, którego umiał w porę użyć i zawsze z wielkim skutkiem. Powiedział mu, że według ostatnich wiadomości nadesłanych z Petersburga, widział że miano względem jego zamiarów myśli zupełnie fałszywe, którym przypisywano jego przygotowania wojenne; że był to błąd, że nie myślał bynajmniej o Polsce, że nie miał względem możliwości takiego przedsięwzięcia, ani żadnego złudzenia, ani myśli ukrytej; że gdyby istotnie o tém myślał, starałby się tego dokazać w 1807 i 1809, i że gdy wtedy nie próbował tego skutecz-

nić, to dla tego, że uważał, iż nie powinien tego czynić; że jeżeli w 1810 nie chciał przystać na umowę, której cesarz Aleksander wymagał, to dla tego, że forma zobowiązania, której od niego wymagano, była ubliżającą, a nie dla tego bynajmniej, że miał w myśli przyprowadzić rzecz tę do skutku; że chodziło mu bardzo o to, iżby dwór petersburski nie mylił się w tym względzie, i żeby nie tworzył sobie urojonych widziadeł; że jedyną przyczyną jego uzbrojeń było, że widział Rossję zmieniającą w tej chwili sprzymierzeńców, i że z obozu francuzkiego przechodziła do angielskiego, że przechodziła tam całkowicie; że rozgłos uczyniony w przedmiocie Księstwa Oldenburskiego, ukaz 31 grudnia 1810 r. odnoszący się do rękodzieł, wpuszczenie do portów rossyjskich bandery amerykańskiej, nakoniec uzbrojenia Rossji, posunione aż do cofnięcia swych wojsk z Turcji i narażenia się tam na przegranę, były dla niego oznakami przekonywającemi go o zmianie zupełnej usposobień ze strony cesarza Aleksandra, i że wtedy musiał przedsięwziąć odpowiednie środki i rozpocząć uzbrojenia, których Europa była świadkiem, że zresztą można jeszcze było zapobiedz wszystkiemu; że w Tylżycie pokój był zawartym, skoro cesarz Aleksander powiedział mu, że nienawidził Anglików, że po tém oświadczeniu z jego strony wszystko stało się łatwem, i że nie stawiano oporu niczemu czego żądał; że położenie rzeczy było jeszcze zupełnie też same; że pokój i wojna zależały od prawdziwych usposobień Cesarza rossyjskiego; że jeżeli chciał zbliżyć się do Anglii, należało się przygotować do wojny niezwłocznej; że jeżeli przeciwnie chciał pozostać z nią na stopie nieprzyjacielskiej, zamknąć jej swe porty, dopomódz Napoleonowi do zgnębienia jej przez zakazanie wszelkiego handlu, należało się tylko wzajemnie objaśnić, i że pokój nie tylko będzie ocalonym, ale przywróconą zostanie najściślejsza przyjaźń.

Wówczas kiedy Napoleon powtarzał swe wieczne zarzuty względem odnowienia stosunków handlowych z Anglią, pan Czerniszew powtarzał zarzuty rossyjskie, i z obu stron nie zdołano porozumieć się. Ale Napoleon starał się wmówić panu Czerniszew, że wojna nie była nieuchronną, że nie była z jego strony nieodzownie postanowioną, i że objaśnienie się wzajemne obu monarchów pod bronią, jednego nad Niemnem, drugiego nad Wisłą, będzie mogło wszystko ułatwić. Nie potrzeba mu było więcej, gdyż dopóki Rossja zachowywałaby nadzieję ocalenia pokoju, dopóty wstrzymałaby się od wszelkiej napaści, i nie przeszłaby Niemna, nawet gdyby Francuzi stanęli nad Wisłą. Napoleon zrobił w istocie wielkie wrażenie na umyśle p. Czer-

niszewa, i przekonałby go nawet zupełnie, gdyby ten nie otrzymał był kilku godzinami przedtém z biura wojennego dowodów niewątpliwych o przyspieszaniu naszych przygotowań, przygotowań tak obszernych i tak nagłych, że niepodobna było pogodzić ich z myślą prostéj demonstracji wojennéj, przeznaczonej na poparcie układów.

Jednakże pan Czerniszew odjechał mniej przeświadczony o pewności wojny, niżeli jak był nim przed tą rozmową, i powiózł z sobą list cesarza Napoleona do cesarza Aleksandra, list grzeczny, przyjacielski, ale wyniosły, upraszający Aleksandra, żeby wierzył wszystkiemu co mu powie w jego imieniu p. Czerniszew, i powtarzający mu, że jakkolwiek rzeczy były daleko posunięte z jednej i z drugiejs strony we względzie przygotowań wojennych, wszystko jeszcze, gdyby tylko chciano, mogło się zakończyć sposobem przyjacielskim.

Tegoż samego dnia p. Bassano wysłał do p. Loryston nową depezę, która objawiała całkiem odmienne zamiary Napoleona: „Powinnością Pana, pisał do niego, jest okazywać ciągle usposobienia tchnące pokojem. Cesarz potrzebuje ażeby jego wojska mogły posunąć się nad Wisłę, wypocząć tam, urządzić się, wzmocnić, utworzyć szanse mostowe, wreszcie zapewnić sobie wszelkie korzyści i przygotować się do kroków zaczepnych.

„Cesarz dobrze się obszedł z pułkownikiem Czerniszewem, ale niech panu będzie wiadomo, że ten officer użył swojego czasu w Paryżu na odkrywanie naszych planów od urzędników. Cesarz wiedział o tém, i dozwolił mu to czynić, J. C. Mość była zadowoloną, że on dowiedział się o wszystkiém. Przygotowania J. C. Mości są istotnie ogromne, i nic on na tém nie traci, że będą znane.

„Cesarz Aleksander pokaże zapewne panu list, który J. C. Mość pisała do niego, i który jest bardzo prostym....

„Cesarz nie życzy sobie widzenia się. Mało go téż obchodzą układy, któreby się nie toczyły w Paryżu. Nie pokłada on żadnego zaufania w jakichkolwiek układach, chyba że 450 tysięcy ludzi, które J. C. Mość wyprawiła w pochód (mowa tu tylko o armji czynnéj), i ogromne ich zapasy wojenne zagnęły gabinet petersburski do dojrzałéj rozważki, zmuszą go do trzymania się systematu przyjętego w Tylżycie. Jedynym twoim celem panie hrabio, ma być, zyskać na czasie. Już czoło armji włoskiej jest w Monachjum, i poruszenie ogólne wojsk nakazane. Utrzymuj pan w każdéj okoliczności, że jeżeli wojna nastąpi, to sama Rossja będzie temu winną, że sprawy Polski nie mają żadnego wpływu na postanowienie J. C. Mości, że ona ma tylko na

celu odnowienie systematu, od którego Rossja przez swe uzbrojenia i przedsięwzięte kroki daje dostatecznie poznać, że chce odstąpić."

Depesza ta wyrażała prawdziwą myśl cesarza, myśl panowania powszechnego i nieograniczonego, szczególniej względem Rossji, którą chciał utrzymać w stanie, w jakim zostawała od bitwy pod Frydlandem, w jakim zgadzała się nawet zostawać, gdyż pozwalała mu czynić w Europie co się mu podobało, ale którego nie chciała uczynić zbyt widocznym, ani téż pod względem handlu tak szkodliwym, jak on tego wymagał. W istocie można było przestać na takowej uległości ze strony państwa, które było wtedy pierwszym na stałym lądzie po Francji, a bez wątpienia równem Anglii w Europie.

Napoleon przeniósł się następnie do Sę-Klu z całym swym dworem, chociaż pora roku była jeszcze chłodną, ponieważ było to przy końcu marca, przeniósł się tam z powodu, który pośród jego potęgi, musi się wydawać dziwnym: to jest dla uniknięcia szemrań ludu, na które nie był jeszcze osobiście narażony, ale które dawały się słyszeć zewsząd, i które zagrażały nawet wybuchnięciem w jego przytomności. Oddawna już ta śmiałość w uskarżaniu się nie była zwyczajną ludowi paryżkiemu i wykazywała ona wielkość jego cierpień, pochodzącą z wielu przyczyn, z głodu, konskrypcji, tworzenia gwardji narodowej, wojny wreszcie, sprawiającej lub powiększającej wszystkie te nieszczęścia.

Okropna susza, która trwała przez całe lato 1811 i połączoneą była w wielu okolicach z silnemi burzami, zniszczyła była zboża prawie w całej Europie, udzielając z resztą wybornych win, znanych pod imieniem *win komety*. Żniwa były złe nawet w Polsce, nie sprowadzając tam jednakże głodu, który zbiory dawniejsze i nieprzedane czyniły niepodobnym, ale nie zmniejszając nędzy pochodzącej z braku odbytu. W Niemczech, Francji, Włoszech, Hiszpanji, Anglii, niedostatek zboża był nadzwyczajny. We Francji, cena zboża podniosła się do 50-ciu, 60-ciu, 70-ciu franków za hektolitr, cena wyższa od téj, jaką dzisiaj téż same cyfry przedstawiają. Cena ta była dla ludu nieprzystępną, i w wielu miejscowościach tamował on handel, zatrzymywał wozy, napadał na rynki, groził skupniom, i ze swém zwykłym zaślepieniem postępował tym sposobem wbrew własnemu swemu interesowi, gdyż towar się ukrywał, nie ukazywał się na rynku, i podnosił się w cenie, nie tylko w miarę swój rzeczywistej rzadkości, ale téż w miarę swój rzadkości pozornej.

Napoleon, nieprzyjaciel przedtém zasad rewolucyjnych (a rozumiemy pod tém nazwaniem nie czyste i szlachetne zasady 1789 r., ale

szalone opinie zrodzone z egzaltacji namiętności ludowych), Napoleon, nieprzyjaciel niegdyś tych zasad, powracał do nich powoli, przekraczając we wszystkiem granice zdrowego rozsądku. Będąc nieprzyjacielem królobójstwa, widzieliśmy go, jak w chwili gniewu kazał rozstrzelać księcia d'Enghien; przyganiając z goryczą konstytucji cywilnej i duchowienstwa, trzymał Papieża uwięzionego w Sawonnie; ganiąc z surowością gwałtowności dyrektorjatu, miał w tej chwili więzienia przepełnione uwięzionemi za sprawę religijną; pogardzając polityką rewolucyjną, która wszędzie wzniecała wojnę, zostawał w wojnie z Europą dla umieszczenia swych braci na kilku z trónów zachodu; wreszcie, wyszydzając zasady administracyjne 1793-go, jak naprzykład *maximum*, i surowe środki handlowe względem Ameryki, zaprowadził był w całej Europie, przez swe ustawy dotyczące się towarów kolonialnych, systemat handlu najdziwniejszy i najgwałtowniejszy, jaki można sobie wystawić. Pod tym ostatnim względem przynajmniej, wojna wydana przez niego handlowi angielskiemu, która pociągnęła za sobą ważne skutki, mogła mu służyć za wymówkę. Ale co się tyczy zboża, chcąc co najprędzej uniknąć szemrań ludowych, oswobodzić swą politykę od zarzutu, że się przyczyniła do podrożenia artykułów żywności, pochlebić jednem słowem *massom*, które już z tylu rozlicznych powodów cierpiały, utworzył radę dla zaopatrzenia ludu w żywność, złożoną z ministra spraw wewnętrznych, dyrektora jeneralnego żywności, radców stanu Real i Diubóá, prefektów Sekwany i Poliejji, wreszcie arcykanclerza, i utrzymywał tam zasady niegodne jego wysokiego rozumu, chciał koniecznie oznaczyć taryfą cenę zboża i zmieniać tę cenę według woli administracji wojennych. Zasadzał się on na tym fakcie, że właściciele i dzierżawcy korzystali z potrzeb ludu dla podwyższenia nad miarę ceny zboża, co było rzeczą prawdziwą i godną pożałowania, ale czemu nie można było zapobiedz, ani też zaradzić taryfą arbitralną, gdyż właściciele zboża, nie będąc dostatecznie opłacanemi, przestaliby zaopatrywać rynków, chowaliby u siebie zboże, które sprzedawaliby za cenę jeszcze wyższą, obudziłiby tém u ludu chęć rabunku, i wywołaliby tym sposobem większe nieporządki, niżeli te, jakim chciano zapobiedz.

Książę arcykanclerz Kambasere opierał się fałszywym teorjom Napoleona, i nie dozwalał mu dotąd iść za pierwszym jego popędem. Ale nie mógł długo działać skutecznie w tej mierze, szczególnieję względem zaopatrzenia w żywność Paryża. Lud stolicy liczniejszy, straszniejszy od każdego innego, zostający bliżej ucha panujących, ma przywilęję wzruszania i zajmowania ich więcej. Napoleon obrócił

wiele lat i wiele milionów na utworzenie w Paryżu zapasu zboża i mąki w ilości 500 tysięcy centnarów, który winą administracji wewnętrznej zmniejszył się do 300 tysięcy, kiedy zajęty innemi rzeczami, przestał tę mieć na pilnej uwadze. Nie można więc było spowodować zniżenia cen, zasilając rynki stolicy zbożem skupioném przez rząd. Więcej jeszcze niżeli ziarna brakowało mąki. Zamiast 30 tysięcy worów mąki, które postanowiono mieć w zapasie, ażeby wysyłać codzień na rynek dostateczną jej ilość, nie miano więcej jak 15 tysięcy, a tego nie dość było dla utrzymania ceny wora mąki od 70 do 72 franków, która podnosiła się ciągle aż do 120 franków. Chcąc zapobiedz podnoszeniu się ceny, potrzeba było zaopatrywać w mąkę cały Paryż, który spożywał 1500 worów na dzień, ażeby tego dokazać, należało nie tylko wyczerpać zapasy w ziarnie, ale użyć środków nadzwyczajnych dla zmielenia go. Napoleon mało się troszcząc o środki, kiedy szło o zaspokojenie głodu ludności paryzkiej i zapobieżenia, żeby nie przypisywał swych cierpień wojnie, zarekwirował wszystkie młyny okoliczne, kazał mląć w nich mąkę, i zakazał kupli zboża w około stolicy dla Nantu i innych miast. Nie mogąc, nawet temi gwałtownemi środkami, zapobiedz podnoszeniu się cen, które podnosiły się w miarę jak tamowano handel, naznaczył opłatę pewną piekarzom dla wynagrodzenia ich za różnicę pomiędzy ceną, za którą zmuszał ich sprzedawać chleb, a ceną rzeczywistą, którą ten chleb ich kosztował. Rozdawano jeszcze z jego rozkazu, i to było rzeczą słuszną, zupy darmo, zawsze żeby przywieść do milczenia, kosztem reszty Francji, ten lud paryzki, tak blisko będący swojego pana i tak trzymający go ciągle w obawie. Jednakże Napoleon odzywał się z tém że nie przestanie na tych środkach, i że naznaczy taryfę na zboże, jeżeli drogość zwiększać się będzie. Owoż dość było takiej groźby dla powiększenia zła, oddalając ostatecznie współdziałanie handlu.

Tworzenie oddziałów gwardji narodowej było drugą przyczyną cierpień i szemrań. Trudno temu uwierzyć, co jednakże jest niezaprzeczoną prawdą, że Napoleon pewien swój potęgi, do tego stopnia, że wyzywał znowu, bez żadnej potrzeby, Europę do walki, napastowany był razem przez myśl niepewną, niejasną, ale bezustanną groźącego mu niebezpieczeństwa, i ztąd, ostrożności jego pod względem obwarowań zasadały się całkiem na przypuszczeniu wtargnięcia nieprzyjaciela na ziemię francuzką, co było dowodem oplakaniej walki, którą namiętności toczyły w jego duszy. Gienjusz oświecał go od czasu do czasu, ale namiętność powodowała nim zwykle i dla tego postępował ciągle ku zgubnemu kresowi, będąc niepokojony czasem

wewnątrz, ale nigdy wstrzymany. W tém usposobieniu umysłu, myślał że niedość było pewnej liczby czwartych bataljonów, które powróciły uszkodzone z Hiszpanji, skompletowane we Francji częścią konskrypcji 1812 r. i przeznaczone do utworzenia pomiędzy Renem a Elbą silnej rezerwy; że niedość było 130 piątych bataljonów, tworzących, jak widzieliśmy, bataljony zapasowe, zapełnione nowo zaciężnemi 1811 i 1812 i tworzącemi wewnątrz państwa drugą rezerwę bardzo silną, chciał jeszcze dodać do nich 120 tysięcy ludzi dorosłych, powołanych pod tytułem pierwszego zaciągu gwardji narodowej, uorganizowanych w oddziały zwane *kohortami*, i wziętych z konskrypcji 1809, 1810, 1811 i 1812 w ilości 30 tysięcy ludzi z każdej. Dla przekonania ich, że byli niczem więcej jak gwardją narodową, obiecano im że nie przestąpią granic swoich departamentów, ale oni nie chcieli temu bynajmniej wierzyć i uważali siebie prosto za nowozaciężnych z czterech lat poprzedzających, wolnych według prawa od wszelkich obowiązków; a jednakże powołanych na nowo, ażeby być wysłanemi do *rzeźnicy* jak mówiono wtedy. I dla tego ten ostatni środek, którego użyteczność, lubo nie przez wszystkich pojmowana, była nie-szczęściem istotną, i dowodziła na jakie niebezpieczeństwo Napoleon naraził swoje i naszą egzystencję, sprawił ogólne rozjątzenie w Metz, Lill, Renn, Tuluzie i wielu innych wielkich miastach państwa. We wszystkich prawie miastach były prawdziwe buntury. W Paryżu nawet, młodzi uczniowie szkół, ożywieni zwykle uczuciami wojowniczymi, ale wyrażając tą razą tętnące pokojem usposobienia narodu z żywością właściwą swojemu wiekowi, wydawali na kursach publicznych okrzyki buntownicze przeciwko nowym zaciągom, i wygnali z gwałtownością agentów policyjnych, mianując ich ohydny tytułem *szpiegów*.

Zwiększając jeszcze liczbę tych cierpień wszelkiego rodzaju, Napoleon zaprowadził znowu w departamentach kolumny ruchome, dla wykonania praw konskrypcji. Ilość opornych, zmniejszona w roku poprzedzającym z 60-ciu na 20 tysięcy, powiększyła się potem do 40 lub 50 tysięcy, skutkiem licznych wezwań, czynionych w ostatnich czasach. Szło tedy o zmniejszenie ich raz jeszcze, i pozyskanie jakich 20 tysięcy ludzi dla zapełnienia kadrów w pułkach zostających na wyspach. Musiały ztąd wyniknąć nowe uciemżenia, nowe narzekania, nowe przyczyny rozjątzenia. Żołnierze składający kolumny ruchome, obierali, jak powiedzieliśmy uprzednio, mieszkanie u rodzin opornych, wymagali żeby ich tam karmiono i opłacano do wysokości kilku franków na dzień, i tym sposobem przyprowadzali ich często do osta-

tniej nędzy. Były departamenta, w których wyciśniono tym sposobem do 60, 80, a nawet do 100 tysięcy franków z rodzin najbiedniejszych. Niektórzy prefekci czynili reklamacje, ale większa część ich milczała, i dozwalała wykonywać prawa cokolwiekby miało nastąpić. Jeżeli we Francji, której wielkość wynagradzała przynajmniej podobne udręczenia, dawały się one żywo uczuć, w krajach świeżo przyłączonych, które musiały w tém widzieć tylko środek uwiecznienia ich niewoli, musiały one wywoływać najgorsze skutki. W Hadze, Rotterdamie, Amszterdamie, wynikły zamieszki z powodu konskrypcji. We wschodniej Fryzji napadnięto i zmuszono do ucieczki prefekta kierującego osobiście robieniem zaciągów. Gdy książę Lebrę (Lebrun), gubernator Hollandji, wstawił się za winnemi, naraził się na surowe upomnienie za swą słabość. Napoleon chciał, żeby kilku tych nieszczęśliwych, rozstrzelanych publicznie, służyło za naukę dla tych, którzyby ich chcieli naśladować; smutna nauka, która uczyła ich uledz na chwilę, żeby się potem rzucić na nas, kiedy będziemy mieli całą Europę na karku!

W departamentach anzeatyckich, wstręt do zaciągu żołnierzy i majtków był jeszcze większy, bo jeżeli Hollandja mogła oczekiwać pewnych korzyści od połączenia swego z cesarstwem, dla miast Bremenu, Hamburga, Lubeki, które były portami naturalnemi Niemiec, zupełnie niedogodnym było należeć do Francji, interesa ich przeto niemniej jak ich uczucia, wiele na tém cierpiały. Przestraszono ich wprawdzie, ale nie uśmierzono, rozstrzelaniem biednego właściciela barki, który przewoził podróżnych do Heligolandu. Miasto Hamburg pokrywało się w nocy krzywdzącemi paszkwilami, które policja z wielką trudnością usuwała z przed oczu. Ludność cała dopomagała, jak powiedzieliśmy, dezercji nie tylko Niemców, Włochów, Hiszpanów, będących w naszej służbie, ale samych Francuzów, i obchodziła się z nimi jak z przyjaciółmi, skoro opuszczali szeregi. Kryła ich w dzień, przewoziła w nocy, dopomagała im do przebywania rzek, i karmiła ich darmo, żeby ułatwić im powrót do ojczyzny.

Pułki anzeatyckie, złożone z starych żołnierzy na służbie Hamburga, Bremenu, Lubeki, pomiędzy któremi umieszczono pewną liczbę żołnierzy francuzkich, buntowały się częstkowo. Niektóre oddziały tych pułków, użyte do strzeżenia odleglejszych wybrzeży morza północnego, dopuściły się gwałtownych kroków ze swemi oficerami, zabrały barki rybaków, i uciekły na wyspę Heligoland; ztąd wynikła potrzeba wysłania najwięcej podejrzanego z tych trzech pułków, 129go, wewnątrz kraju, i umieszczenia go pośród wojsk pewnych, pod roz-

kazami marszałka Dawu. Nie lepiej trzymano o wojsku hollenderskiem, oraz o wojsku westfalskiem, chociaż to ostatnie było przedmiotem ciągłych starań ze strony króla Hieronima. W Brunswiku, mieście ludnym, żałującym swojego dawniejszego księcia, było zaburzenie, w którym wielu z naszych żołnierzy zostało poranionych. Król Hieronim wstawiał się za winnymi, ażeby ukarani byli z mniejszą surowością, na co Napoleon odpowiedział rozkazem dziennym, na mocy którego wszelkie przestępstwo popełnione przeciwko wojsku francuzkiemu, miało być sądzone natychmiast przez kommissje wojskowe, złożone jedynie z officerów francuzkich (1).

Jeżeli z północy cesarstwa przejdziemy na południe, naprzykład, do Włoch, usposobienie umysłów nie było tam lepszem. Brak wolności politycznej, mało niepodległości narodowej, jarzmo mniej nienawistne niżeli Austrjaków, ale ciężkie swoim sposobem, konskrypcja, wojny bezustanne, pozbawienie wszelkiego handlu, kłótnia z kościołem, zrobiły wreszcie Włochów nieprzyjaciołmi Francji, którzy z początku oddali się jęj byli z największym zapalem. Wprawdzie w Lombardji, gdzie rząd księcia Eugienjusza był łagodny, sprawiedliwy, regularny, gdzie zastąpił wreszcie miejsce bardzo przykrego rządu austrjackiego, było dość spokojnie; w Piemencie takoz (z wyjątkiem Gienui, która żądała wolnego handlu), zaczynano przyzwyczajając się do Francji, i przebaczano jęj więcej niżeli gdzieindziej, że była tak wojowniczą, ale w Toskanji, gdzie wojnę miano w obrzydzeniu, gdzie zostawano dawniej pod rządem włoskim, łagodnym, mądrym i filozoficznym, gdzie zaczął być panować duch Włoch południowych, gdzie lud był niepocieszony po stracie papieżstwa, gdzie wstręt do władców zaalpejskich był równie silny jak w Kalabrji, nienawiść była nie zbyt ukrywaną i tam, jak wreszcie cesarstwa, niepowodzenie mogło obudzić ogólne powstanie. Dość było, dla wywołania go, najmniejszego oddziału wojsk angielskich.

Uczucia te, rozszerzone w tylu rozmaitych krajach, nie odbijały się wprawdzie w zwierciadle pism perjodycznych, które powiększając przedmioty zmuszają widzieć je tych, którzy chcieliby je ukryć przed sobą; każdy doznawał ich w sobie, ale dowiadując się od handlarzy lub podróżników, że w tęg lub tamtęg prowincji doświadczano tych samych cierpień, utwierdzano się w swęj nienawiści, i burza nieznanie wzmagala się. Napoleon miał zapewne rozum zanadto otwarty

(1) Wszystko co poprzedza wyjęliśmy z korespondencji marszałka Dawu i raportów policyjnych księcia Revigo.

żeby nie rozpoznać tego stanu rzeczy, ale dalekim będąc od wniosko-
wania ztąd, że należało się strzedz pogorszyć go przez nową wojnę,
nie rozumując tak jak po powrocie z kampanji wagramskiej, kiedy
myślał na chwilę o uspokojeniu Europy, udzielając jęj pokoju, wno-
sił ztąd, że należało przyspieszyć wojnę rossyjską, ażeby potłumić
prędko w 1812 podobnie jak w 1809 powstanie gotowe do wybuchnię-
cia. Po wywalczeniu pokoju i panowania powszechnego, miał później
zająć się złagodzeniem swego rządu, i uczynieniem go dogodnym dla
ludów po zrobieniu go tak sławnym. Rozumował więc tak jak pewne
serca pogrążone w nałogu występny, które czując potrzebę porzuce-
nia go, życząc tego szczerze, odkładają poprawę od dnia do dnia, tak
że życie dla nich się kończy nim znajdują czas do poprawy. Napoleon
czułym był tylko na narzekania Paryżan, na wołania głodnego ludu,
dochodzące do jego uszu, i z tego to powodu przybył do Sę-Klu szukać
wiosny miesiącem wcześniej.

Pomimo powiększającej się w około niego niczemności i uwiel-
biającej go z tém większą pokorą im błędy stawały się większemi,
widział po pewnym przymusie na twarzach, po pewnym milczeniu, że
lękano się nowęj wojny, ku której zdawał się spieszyć, i doznawał
niecierpliwości, że tak rzec można, z powodu zarzutów, których mu
nie czyniono, ale o których się domyślał, gdyż je czynił samemu sobie,
i odpowiadał na nie często przemawiając do osób, które nie odzywały
się z tém bynajmniej, które nie myślały nawet o robieniu tych zarzu-
tów, albo które, gdyby o tém myślały, nie śmiałyby nigdy wydać się
z tém przed nim. Jednakże pomiędzy osobami ważniejszemi była je-
dna, arcykanclerz Kambasere, z którym oddawna, jak o tém już pier-
węj wspomnieliśmy, rozmawiał tylko o sprawach wewnętrznych,
względem których chętnie się go radził, ale unikał rozmawiania z nim
o sprawach zewnętrznych, gdyż w tym przedmiocie, nie pogardzając
jego zdaniem, wiedział że ono jest przeciwném jego sposobowi my-
ślenia. Miał wszelako z nim dwie czy trzy rozmowy tyjące się nad-
chodzącej wojny z Rossją, i arcykanclerz, pomimo swęj lęklivosti,
która nie dochodziła aż do oszukiwania i zdradzania swojego pana,
którego kochał szczerze, usiłował odwieść go od tego przedsięwzię-
cia, i znalazł go raczej nieodmiennie zdecydowanym, niżeli prawdzi-
wie przeświadczonym, i popychanym, że tak rzec można, nieodbitą
koniecznością. Napoleon powtórzył mu, co powtarzał każdemu, że
jakkolwiekby chciano sobie postąpić, należało prędej czy później
przyjść jeszcze raz do walki z Rossją, że chociaż ona była pobitą, ale

nie zgębioną, że należało zadać jój nowy cios, żeby ją uczynić uległą; że ponieważ wypadło to uczynić, im prędzėj tém będzie lepiėj; że jego władze osobiste były nienadwerężone, wojska jego wyborne, i że wołał raczėj przyjąć na siebie tę twardą powinność teraz, kiedy był jeszcze młodym, niżeli kiedy będzie starym i osłabionym, że tém bardziej wołał podjąć się jój sam, niżeli pozostawić ją swemu następcy, który był jeszcze dzieckiem, i który zapewne nie będzie posiadać jego talentów; że kość była rzuconą, że uczyni to co sądzi iż powinien był uczynić, a Bóg o reszcie stanowić będzie. Co do samego z resztą przedsięwzięcia, Napoleon znał jego trudności, i oświadczał sam, że nie należało w tej wojnie postępować porywco, spieszyć się w prowadzeniu jój, jak w tylu innych wyprawach, które tak szybko dokonał; że dwie kampanje najmniej potrzebne były do jój ukończenia; że myłono się, jeżeli sądzono, że od razu myśli zapuścić się w te równiny dzikie, zapewne zniszczone, i narazić się tam na głód i zimno; że pierwszego roku posunie się najwięcej kiedy do Dżwiny i Dniepra, że zajmie się najprzód ustaleniem się tam, wzmocnieniem się, utworzeniem ogromnych magazynów, i że czekać będzie następnego roku dla posunięcia się dalej i zadania Rossji śmiertelnego ciosu.

Wątpiąc bardzo, żeby miał potrzebną do tego cierpliwość, książę Kambasere, wykazawszy najprzód trudności téj wojny, mówił mu o usposobieniu Niemiec, o których zewsząd dochodziły zatrważające wieści, i o niemożności polegania na drobnych książętach niemieckich jego sprzymierzeńcach, na szczerości Austrii, i na mocy króla pruskiego do spełnienia swych zobowiązań. Napoleon uważał za urojone obawy, które objawiał jego mądry doradca. Powiedział mu, że drobni książęta niemieccy pozyskali ziemie, które mogli tylko zachować przy pomocy jego, i że to dostatecznym było dla zatrzymania ich w jego przymierzu; że Austrija, dla odzyskania Illirji, była gotową przystać na wszystko, czegoby wymagał od niej; że Prusy, drżące i uległe, będą wiernemi z bojaźni straszliwój kary, czekającój ich za zdradę; że w każdym razie przedsięwziął środki ostrożności, i że silna armja postawiona nad Elbą, zapobieży skutkom zléj woli, otwartój lub tajemnej, chcącój mu szkodzić z tyłu.

Oczewiście Napoleon uważał się za obowiązanego względem siebie, względem świata, do wytrwania w swém zgubnym przedsięwzięciu, cokolwiekby miało nastąpić, i gdy jaka wątpliwość oblegała jego umysł, cofał się myślą ku nadzwyczajnym wypadkom swojego życia, ku nadziei panowania powszechnego, które te wypadki zdawały

się mu zapewniać. Darmo więc było nań nalegać, i pośród instytucij owoczesnych, nie pozostawało nic więcej jak schylić głowę, z boleścią, jeżeli kochano Napoleona, z rozpaczą jeżeli kochano Francję.

Nie zważając bynajmniej na ten małożnaczący opór, Napoleon pospieszał z przyłożeniem ostatniej ręki do swojego dzieła, ażeby być gotowym opuścić Paryż za pierwszym poruszeniem Rossjan. Oprócz swych zaprzęgów, które się nieco opóźniły, wszystko postępowało według jego woli, i mógł liczyć na to, że przed nastaniem maja, a najdalej czerwca, wszystko będzie gotowem do rozpoczęcia straszliwej walki. Finanse jego były w stanie, przynajmniej do pewnego czasu, pokryć jego ogromne wydatki. Budżet jego, zamykający się systematycznie w summie 740 do 770 milionów (860 do 890, z wydatkami poboru), podniósł się nagle do 950 blisko milionów (tysiąc siedmdziesiąt milionów z wydatkami poboru). To powiększenie pochodziło po części z przyłączenia państwa rzymskiego, Illirji, Hollandji i departamentów anzeatyckich. Państwo rzymskie powiększyło dochody jego o 12 milionów, Illirja o 11, Hollandja o 55, departamenta anzeatyckie o 20, co tworzyło w ogóle summę około stu milionów, gdy tymczasem wydatki nie powiększyły się w odpowiedniej ilości. Jakoż dzięki połączeniu wszystkich tych administracij z francuzką, hojnie już opłacaną, wiele rozchodów było zniesionych lub zmniejszonych. Hollandja tylko kosztowała więcej niżeli przynosiła dochodu, z powodu swojego długu, który pochłaniał 31 milionów z 55 stanowiących jej dochód.

Do stu milionów blisko, które dopiero wyliczyliśmy, dodać należy powiększenie dochodu z ceł, stanowiące summę około 60 milionów, a pochodzące ze słynnej taryfy miesiąca sierpnia 1810 pozwalającej wprowadzania towarów kolonialnych za opłatą 50 od sta. Budżet tym sposobem mógł podnieść się o 160 milionów dochodu, a jednakowoż okazywał się w nim deficyt. Nie pochodziło to z rozchodów krajów przyłączonych, gdyż te wydatki, jak dopiero co widzieliśmy, niewyrównywały nowemu dochodowi, ale przyczyną tego była wojna. Dwa ministerstwa, wojskowości i zapasów wojennych, które wydały w 1810, pierwszy 250 milionów, drugi 150, razem 400, potrzebowały w 1811 około 480 milionów, a wkrótce potem miały potrzebować około 500. Marynarka, kosztująca przedtém 140 milionów, miała kosztować 170, od czasu przyłączenia marynarki hollenderskiej i anzeatyckiej. Tym sposobem nowo otrzymane zasoby były pochłonięte z naddatkiem przez rozchody administracji wojskowej. Wprawdzie do powiększenia dochodów 160 milionami, którego wykazali-

śmy początek i szczegóły, dodać należy nowy zasób, całkiem przypadkowy i pochodzący również z cel. Widzieliśmy że skonfiskowano wiele towarów kolonialnych, wprowadzonych kontrabandą, że zabrano i przedano na korzyść skarbu znaczną liczbę statków amerykańskich i tureckich, oskarżonych o postąpienie wbrew dekretem berlińskiemu i medjołańskiemu, oraz znaczną ilość wełny należącej do wielkich rodzin hiszpańskich wywołanych z kraju; widzieliśmy wreszcie, że dozwolono wprowadzić do Francji, za opłatą 50 od sta, wielką masę towarów kolonialnych, znajdującą się w Hollandji i Holsztynie, przed ostatnimi prawami blokady lądowej. Dochody pochodzące z tych rozmaitych źródeł połączone były pod jednym nazwaniem *dochodów nadzwyczajnych z cel*, i dochodziły do 150 milionów jednorazowie wybranych. Miały one zastąpić miejsce kapitałów, których dostarcza kredyt, tam gdzie on egzystuje. Napoleon z téj summy poświęcił około 90 milionów na opłacenie zaległości pozostałych ze wszystkich przeszłych budżetów, i nie miał przeto żadnych długów, co nadawało ruchowi kass wielką łatwość, bardzo potrzebną w chwili, kiedy należało wyprawiać tak ogromną ilość ludzi i zapasów. Pozostawało mu więc jeszcze ze sześćdziesiąt milionów, nadto dobra przybyłe z zaborów, które po odtrąceniu wszystkich udzielonych uposażeń, i wszystkich summ wydanych na roboty publiczne, stanowiły jeszcze wartość około 340 milionów, policzając w to korzyści otrzymane z wojny austrjackiej. Powiedzieliśmy już wyżej, że z tych 340 milionów, pożyczyl 84 skarbowi podczas zniszczenia obligacji poborców jeneralnych; miał w schowaniu gotówką 85 milionów, których większa część złożoną była w sklepach Tiuillerjów, 38 w wartościach łatwego zbytu, i nakoniec 132 miliony w listach zastawnych Westfalji, Saksonji, Bawarji, Prus i Austrii. Nie można było liczyć na te ostatnie summy, chyba w razie zwycięstwa; co do tych, które dawniej były pożyczane skarbowi, nie mogły one być żadnym zasobem. Pozostawało więc pewnych i mogących niezwłocznie być użytymi, 85 milionów gotówką, 38 w przedmiotach posiadających rzeczywistą wartość, to jest 123 miliony, albo około 180, licząc w to 60 milionów, zostających jeszcze w kassie nadzwyczajnej administracji cel. Z budżetem dochodów, który dozwalał udzielić 500 milionów dwom ministerstwom wojny, a 170 ministerstwu marynarki, mając summe 180 milionów gotówką w kassie zapasowej, bez długu uznanego prawie żadnego, i po zaspokojeniu zupełném wszelkiej zaległości, można się było uważać za dostatecznie zaopatrzonego, zwłaszcza gdy wojna, którą Napoleon wnosił, że będzie szczęśliwą, miała żywić

wojnę. Tym sposobem mógł regularnie opłacać siłę, która z nowym powołaniem części gwardji narodowej, wynosiła górą milion dwa-kroć sto tysięcy żołnierzy, z których 900 tysięcy Francuzów. A jeśliby chciano wiedzieć, jakim sposobem 500 milionami mógł utrzymać 900 tysięcy żołnierzy, należy sobie przypomnieć, że było ich 300 tysięcy na półwyspie, które nie kosztowały więcej jak 40 milionów skarbowi, gdyż Hiszpanja dostarczała reszty, już to w kontrybucjach wojennych, już w przedmiotach zrabowanych (1); że miał jeszcze pewną ilość żołnierzy w Illirji (2) i Niemczech, którzy utrzymywali się po części kosztem kraju, jak naprzykład wojsko przebywające w Westfalji; że wreszcie wydatki i wartości owoczesne były bardzo różne od terażniejszych. Takie były zasoby finansowe Napoleona, zupełnie odpowiednie jego zasobom wojennym, ale jedne i drugie zagrożone zawsze nadużyciem, jakie był skłonny z nich uczynić.

Urządzając tym sposobem ostatecznie swe sprawy wewnętrzne, Napoleon zajmował się także bardzo sprawami zewnętrznymi, oprócz rossyjskich, które się miały załatwić orężem. Najgłówniejszą ze wszystkich był związek jaki w tej chwili miał zawrzeć z Ameryką przeciwko Anglii. Nic nadto nie było ważniejszego, i nie dowodziło do jakiego stopnia był winnym, że szukał w wojnie na północy środków zgębienia nieprzyjaciół, których był sobie porobił. Pomimo korzyści odniesionych przez lorda Wellingtona w Hiszpanji, położenie wewnętrzne Anglii jeszcze się było pogorszyło. Moneta papierowa spadła o 18 procentów, towary kolonialne staniały do tego stopnia, że cukier, naprzykład, który się sprzedawał po 6 franków funt w Paryżu, płać się zaledwo 6 do 7 soldów (sous) w Londynie. Tamiza pokryta była okrętami naładowanymi, które zamienione zostały w magazyny. Liczba upadłości w Londynie podniosła się od sześciu set lub siedmiu set rocznie, do dwóch tysięcy. Bilety bankowe uległy nowemu zniżeniu, i skutkiem tego wszystkiego, rękodzielnie, przedtém w pomyślnym stanie, zaczęły przychodzić do upadku. Robotnikom brakowało

(1) W 1810 i 1811 r. wojsko hiszpańskie kosztowało, w wydatkach mogących się oznaczyć 165 milionów, z których Hiszpanja zapłaciła w kontrybucjach 88 milionów, a skarb francuzki 77. Hiszpanja nadto dostarczyła wszystkiego co wziętém było w naturze na miejscu, i wszystkie kontrybucje potajemne, na korzyść tych, co je nakładali. Taki jest rezultat wykazu bardzo pracowicie zrobionego przez ministra skarbu i przedstawionego Napoleonowi.

(2) Powiadamy Illirję a nie Włochy, gdyż wojsko zostające we Włoszech było całkiem opłacane przez skarb francuzki, przy pomocy poboru rocznego 30 milionów, które skarb otrzymywał z Królestwa Włoskiego, i które były umieszczone na budżecie cesarstwa.

pracy, i nadmiar nieszczęścia, głód zaczął się srożyć w Anglii tyleż prawie co we Francji, a lud miał mniej środków do kupienia chleba, wówczas właśnie kiedy chleb ten stawał się droższym. We wszystkich prawie prowincjach tłumy zgłodniałe przebiegały wsie i niszczyły warsztaty. Wstępnym więc, jaki Napoleon zarzucał Rosji, że otworzyła handlowi angielskiemu, nie wpłynął znacznie na zmianę położenia Anglii, a cóżby się stało, gdyby przedłużając jeszcze czas jakiś ten stan rzeczy, zwrócono przeciwko lordowi Wellingtonowi część sił, które miano zagrzebać w śniegach północy?

Gabinet angielski miał jeszcze zwiększyć ten ogrom nieszczęść, swoim nedorzecznym postępowaniem z Ameryką. Jeżeli wyłączymy osady hiszpańskie, francuzkie i hollenderskie, nie przedstawiające prawie żadnego odbytu, z powodu nagromadzenia tam towarów, Ameryka północna była jedynym wielkim krajem, który pozostał przystępnym dla handlu angielskiego. Anglja wysyłała tam za 200 do 250 milionów swoich płodów, i otrzymywała ztamąd towary równiej prawie wartości. Był to w ówczesnym stanie rzeczy, dla jęj marynarki i przemysłu, handel bardzo korzystny, nie licząc tego, że pomiędzy płodami, któremi opłacała Amerykę, było wiele towarów kolonialnych, które Amerykanie, jakimkolwiekby sposobem, potrafiali zawsze wprowadzać na ląd, pomimo ścisłej blokady. Anglja więc powinna była dbać bardzo o utrzymanie dobrych stosunków z Ameryką. Pomimo to jednakże, postępowała z nią jak Napoleon postępował z państwami stałego ładu, powodując się jak on namiętnością i pychą systematu. Jęj słynne rozporządzenie Rady, na które Napoleon odpowiedział niemniej słynnemi dekretemi z Berlina i Medjolanu, było przyczyną kłótni, która bliską była zamienienia się na wojnę otwartą.

Przypomnijmy tu sobie jeszcze, że przez rozporządzenia Rady, Anglja najprzód zablokowała (za pośrednictwem blokady na papierze), wszystkie brzegi cesarstwa francuzkiego i jego sprzymierzeńców, potem wymagała, żeby każdy statek, chcąc dostać się tam, brał pierwój za opłatą na Tamizie pozwolenie żeglowania, na co Napoleon odpowiedział, oświadczając wynarodowionym i podlegającym konfiskacie wszelki statek, który uległby podobnej dyktaturze. Widzieliśmy że Amerykanie dla oswobodzenia swych statków od tęj podwójnej gwałtowności wzbronili najprzód, prawem *embargo*, zwiedzania brzegów europejskich, potem ograniczyli ten zakaz do brzegów Francji i Anglji, dodając, że środek ten odwołanym będzie względem tego z dwóch państw, które się wyrzeczę swojego systematu ograniczeń.

Napoleon postępując w tym razie ze zręcznym umiarkowaniem, uchylał, co do Amerykanów, swoje dekreta wydane w Berlinie i Medjolanie, i działał, jak mówił, tym sposobem w nadziei ujrzenia Amerykanów broniących wreszcie swojej bandery, przeciwko tym co ją znieważali. W odpowiedź na ten roztropny postęp, Amerykanie uchylili zaprzeczenie względem Francji, zatrzymali ono względem Anglii, i zostawiali w tym przedmiocie w otwartej z nią kłótni.

Gdyby Anglja powodowała się rozsądkiem, powinna była wprost i niezwłocznie naśladować postępowanie Napoleona, odwołać rozporządzenia swęj Rady, i dozwolić Amerykanom zostawać w związkach z Francją. Korzyść jakaby ztąd wynikła dla nas, nie wyrównywałaby bez wątpienia korzyści, jakaby ztąd odnieśli Anglicy. Kupowalibyśmy bez wątpienia tanięć cukier i kawę, a co ważniejsza, indygo i bawełnę, tak potrzebne dla naszych fabryk, ale część cukru, kawy, bawełny, wprowadzana do Francji, pochodziłaby z osad angielskich. Owoż, jeżeli wysoka cena towarów kolonialnych była dla Francji uciążliwą, brak odbytu ich był dla Anglików kłeską. Anglja przeto zyskałaby więcej niżeli Francja na dopuszczeniu Amerykanom wolnego krążenia; ale gdy chęć panowania na morzu posuwała się aż do szaleństwa u ministrów angielskich, jak chęć panowania na lądzie u Napoleona, Anglja w niewielu punktach tylko zmieniła swe rozporządzenia Rady, w miejscu całkowitego ich uchylecia. I tak, przestała ona wymagać od Amerykanów, ażeby składali opłatę na wybrzeżach Tamizy, ale ogłosiła za blokowane porty cesarstwa francuzkiego, od ujść Emsu do granic Portugalji, od Tulonu do Orbitello. Było to zawsze przypuszczenie urojonęj blokady, czyli *blokady na papierze*, zależącej na chęci zamknięcia brzegów i portów, które niepodobieństwem było blokować w samęj istocie siłami rzeczywistemi.

Amerykanie odpowiedzieli, że nie było to przywróceniem prawa wspólnego neutralnych, gdyż to prawo uchylało całkiem blokadę urojoną, oraz oświadczyli, że gdy Anglja trwała w utrzymaniu części swych rozporządzeń Rady, oni trwali w utrzymaniu względem nięj swojego prawa *non-intercourse*, chociaż uchylili to prawo względem Francji. Ministrowie angielscy odpowiadali nędznemi zarzutami na słuszne zażalenia Amerykanów. Dowodzili oni, że Francuzi nie wyrzekli się istotnie dekretów wydanych w Berlinie i Medjolanie; że uchylene ich nie było rzeczywiste co do formy, że zresztą zatrzymano jeszcze wiele statków amerykańskich przy wstępie do portów francuzkich, co było rzeczą prawdziwą i nieuchronną, gdyż Anglja zapro-

wadziła u siebie fabrykę fałszywych papierów, która nakazywała zachowanie wielkiej ostrożności; że nakoniec Amerykanie nie wymagali od Francji pozwolenia wprowadzania do niej płodów przemysłu angielskiego, co było rzeczą śmieszną, gdyż Amerykanie mogli słuszenie żądać, żeby pod ich banderą szanowano własność angielską, ale nie mogli wymagać, żeby Francja wpuszczała do siebie płody angielskie, którym systemat jej handlowy bronił przystępu. Te zarzuty więc były nieuzasadnione, i Amerykanie uważali je za takie. Ostatnia wina Anglii, niezmiernie ważna i ponawiana codziennie z równą zuchwałością jak gwałtownością, czyniła nieuchronną wojnę z Ameryką. Pod pozorem że wielu jej majtków, dla uchylenia się od ciężarów służby wojskowej, emigrowało do Ameryki, kazała rewidować okręty amerykańskie, co zawsze jest dozwolone okrętom wojennym, kiedy rewizja ogranicza się na zapewnieniu się o rzeczywistości bandery, ale nigdy inaczej, i korzystała z tej sposobności dla zabierania wszystkich majtków mówiących po angielsku. A że oba narody mówią tymże samym językiem, marynarka angielska zabierała tyle prawie majtków amerykańskich co angielskich, i tym sposobem wykonywała przymusowy zaciąg majtków, nie tylko z poddanych angielskich, ale i z poddanych cudzoziemskich, nadużywając tożsamości języka, pochodzącej z jednostajnego pochodzenia. Powielekroć opór statków amerykańskich spowodził zajścia na morzu, które znalazły rozgłos w całej Ameryce. Dla tego też rozjątrzenie było posunione do najwyższego stopnia, i umysły przewidujące uważały wojnę za nieuchronną.

Oppozycja angielska miała w tym razie powód do licznych i słusznych zarzutów przeciw gabinetowi, i jeden z największych mówców Anglii, lord Brougham, zostając jeszcze w całym blasku młodości i talentu, osypał niemi ministrów, okazując, do jakiego stopnia systemat ich morski stał się nieroztropnym. W istocie, wówczas gdy upornie utrzymać chcieli swe rozporządzenia Rady względem Amerykanów, pod pozorem przeszkodzenia związkom z Francją, dozwolali przez systemat wyłączeń, znacznej ilości małych bander, szwedzkiej, norweskiej, pruskiej, zostawać w związkach z Francją, w ten sposób, że marynarka handlowa angielska zastąpioną została przez drobnych neutralnych, którym dozwalała przez wyłączenia tego co zabraniała wielkim neutralnym, to jest Amerykanom, którzy mogli wzywać na swą korzyść prawa narodów. Nadto, przyzwyczajenie ukrywania swego pochodzenia, wprowadzone przez systemat wyłącznych dozwoleń, dało początek wielu wybiegom i rozszerzyło pomiędzy handlującymi nie moralny sposób postępowania, który stawał się istotnie zatrważającym.

Bez wątpienia, opozycja przesadzała, jak często się zdarza, winy rządu, albo nie wykazywała ich zawsze z należytą trafnością; ale napadała na nie ze słuszną gwałtownością. Wyraziłaby ona ścisłą i zupełną prawdę, gdyby powiedziała, że interesem Anglii było otworzyć sobie wstęp do portów całego świata, wówczas, gdy interesem Napoleona było wszystkie je pozamykać; że udzielając Francji cukru, kawy, bawełny po niższej cenie, Anglija przynosiła jej daleko mniej korzyści, niżeli sobie samą, znajdując odbyć za granicą dla nagromadzonych swoich towarów. Kiedy więc wszystko otworzyć było jej interesem, a wszystko zamknąć było interesem Napoleona, było to postępowanie nadzwyczaj nieroztropne upierać się w utrzymaniu rozporządzeń swój rady, przygotowywać tym sposobem wielki dla siebie uszczerbek przez zerwanie stosunków z Ameryką, a co większa, narażać się na zbyt niebezpieczną wojnę, gdyby do téj wojny przyłączył się nowy tryumf Napoleona na równinach północy.

Miasto Londyn, rozgniewane do najwyższego stopnia, podało petycję do księcia Galji, będącego od roku rejentem, domagając się usunięcia ministrów, i większa część kupiectwa poparła swem oświadczeniem tę śmiałą petycję. Księżę Galji, którego władzy przepisano granice rozciągając ją na rok jeden, tylko co był wstąpił w pełne używanie swoich prerogatyw królewskich i wszystko zapowiadało, że zatrzyma je ostatecznie, gdyż zdrowie ojca jego Jerzego III nie pozostawiało żadnej nadziei polepszenia. Chociaż był przywykły do dawniejszych ministrów swojego ojca, i w połowie poróżniony z mężami stanu, których przeznaczył był z początku za swoich ministrów, chciał jednakże połączyć jednych i drugich w ministerstwie *koalicyjnym*, ażeby udzielić niejakiego zadosyć uczynienia opinii publicznej, mocno rozjątrzonej. Niestety margrabia Welleslej, brat lorda Wellingtona, i minister spraw zagranicznych, wystąpił był świeżo z gabinetu, bez żadnego wyraźnego powodu, jedynie dla tego, że nie mógł się zgodzić dłużej z charakterem ograniczonym i gwałtownym p. Persewal, będącym prawdziwą przesadą charakteru p. Pitt, posiadającym wszystkie jego wady, bez żadnego z jego przymiotów. Było więc rzeczą mało prawdopodobną, ażeby gdy margrabia Welleslej, głowa otwarta, charakter łatwy w pożyciu, równie jak wzniosły, należący do tego samego stronnictwa co p. Persewal, nie mógł zgodzić się z tym ministrem, ludzie tacy jak Grenwill i Grej, naczelnicy partji przeciwniej, obaj mało dający się powodować, pełni dumy pochodzącej z ważnego stanowiska i mocno wkorzenionych opinij, mogli zostawać z nim w jednym ministerstwie. Nadto, ważna kwestja eman-

cypacji irlandzkiej rozdzielała ich zupełnie. Irlandja była ze wszystkich części Anglii najniezszczęśliwszą. Stan jęj cierpienia wymagał, ażeby przez ostrożność, znajdowało się tam wojsko, któreby daleko korzystniej mogło być użyte w Portugalji. Opozycja, nie ugięta co do tego punktu, utrzymywała namiętnie, że jedynym środkiem uspokojenia Irlandji i uczynienia rozporządzałném wojska przeznaczonęgo do jęj strzeżenia, było emancypować ją, to jest, przypuścić do równości praw z innymi częściami Królestw połączonych; i chociaż książę rejent pozostawiał tę kwestję nierozstrzygnięta, lord Grenwill i lord Grej odrzucili z wyniosłością propozycję jego w tym względie. Żaden więc układ nie był podobnym. Ale położenie było tak natężone, że najmniejsze niepowodzenie zewnątrz mogło sprowadzić upadek polityki wojny. Tym sposobem, pomimo wszystkich korzyści odniesionych przez Anglików w Hiszpanji i wszystkich zawodów, jakie nas tam spotkały, Napoleon zwracając swe siły ku tęg stronie, zamiast upornie popychania ich ku przepaści północy, mógł jeszcze skłonić politykę angielską do pokoju. Dość było zadać jęj jedną klęskę i do tego zręczność jaka się nadarzała w uprzednim roku, nie była jeszcze minęła, do tyła Anglja zdawała się pospiesznie wynagradzać błędy Napoleona swojemi! Szczególny to widok, widok tego świata! Jest to zwyczajnie nagromadzenie błędów, w którym upada ten co ich najwięcej popełnił! I te błędy popełniane są często przez rządy najzdolniejsze, skoro namiętność zawładnie nimi, gdyż rozum na nic się nie zda, gdzie namiętność panuje.

Chociaż zamykał oczy na ten stan rzeczy, Napoleon pojął jednak, że gdy Anglja zadawała ciągle wszelkiego rodzaju przykrości Amerykanom, należało zbliżyć się do nich postępowaniem całkiem przeciwném. Trochę więcej przesładowania z jednej strony, trochę więcej ustępstwa z drugiej strony, a Ameryka znajdowałaby się w wojnie z Anglja, co było rezultatem niezmiernie ważnym. Cała trudność zależała na udzieleniu Amerykanom swobód handlowych, jakich oni wymagali, nie sprowadzając jednakże osłabienia blokady lądowej. Żeby zapobiedz tęg niedogodności, Napoleon chciał z początku dozwolnić im handlu tylko na mocy wyłącznych pozwoleń, wydawanych kupcom, których mógłby być pewnym. Ale gdy wyłączne dozwolenia były dla nich bardzo niedogodne, zaniechał tego, i naznaczył natomiast porty Ameryki, z których mogli wychodzić, i porty Francji, do których mogli wchodzić. Spodziewał się, że skupiając nadzór w małej liczbie punktów, potrafi zapobiedz defraudacji. Wreszcie, dla zaprotegowania Lugdunu i Bordo, chciał żeby statki amerykańskie

obowiązane były zabierać z Francji pewną ilość materij jedwabnych i win. Te ograniczenia niezmiernie się nie podobały w Ameryce, i ze wszystkich stron pisano, że należało coś innego wprowadzić, żeby nastąpiło zerwanie pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Anglią, oraz żeby Stany weszły ostatecznie w związek z Francją. P. Kollę de Sussy (Collin de Sussy), nowy minister handlu, obmyślił systemat, który zadostę czyniąc żądaniom Amerykanów, mógłby zapobiedz niedogodnościom wolnego ich wstępu do naszych portów; zaproponował znieść wszelkie ograniczenia, na jakie się skarżyli, i dozwolić im wolnego wstępu, nie wpuszczając tylko cukru i kawy, których nie można było wskazać pochodzenia, i które prawie wyłącznie były angielskimi, ale za to przyjmować bawełnę, której pochodzenie łatwo mogło być udowodnionem, równie jak drzewo, tytuń i inne przedmioty, których potrzebowaliśmy, i które bez zaprzeczenia pochodziły z Ameryki. Napoleon zawsze podejrzliwy i skłonny do ustąpienia mało, żeby wiele pozyskać, nie przyjął odrazu propozycij pana de Sussy, ale zmniejszył w pewnej mierze niedogodności, na jakie się skarżyli Amerykanie, i wysłał p. Serriurje do Filadelfji, żeby obiecać im najswobodniejszy wstęp do Francji, skoroby zerwali ostatecznie z Anglią. Spodziewał się więc, i ze skutków okazało się, że się nie omylił, że za kilka miesięcy otrzyma przymierze Ameryki przeciwko Anglii.

Nie ograniczył na tém działań swój dyplomacji w widoku nowój wojny. Chociaż bardzo rozgniewany przeciwko Szwecji, za zbliżeniem się stanowczój chwili, nie wzbraniał się wysłuchać niektórych napomnień, pochodzących zapewne ze Sztokolmu, a udzielonych przez żonę księcia Bernadotte, siostrę królowej hiszpańskiej. Ta księżna strapioną była z powodu zerwania mającego nastąpić pomiędzy Szwecją a Francją, i aż do tego czasu nie chciała opuszczać Paryża. Zdawano się napomykać, że p. Alkje źle sobie postąpił, że nie umiał ochraniać drażliwości księcia następcy, że ten książę niczego bardziej nie chciał, jak przymierza z Francją, gdyby mu przedstawiono warunki pewne i zaszczytne; że jego ustępstwa co do handlu przemysłowego miały za jedyny powód zły stan finansów szwedzkich; że ten handel przynosił dochody z ceł, z których utrzymywano się w Sztokolmie, i że jeżeli Francja życzyłaby żeby Szwecja miała wojsko na stopie wojennój, potrzeba żeby udzieliła jej pomocy pieniężnej; że pod tym warunkiem książę zamknąłby swe porty Anglikom, i dostarczyłby wojska Francji przeciwko Rossji. Napoleon wątpił bardzo o szczerości tych oświadczeń, ale mogło się stać, że Bernadotte, któ-

rego propozycje przyjęte były z ostrożnością przez Rossję i Anglję, (o czém wiedziano w Paryżu), nakłonił się do powrócenia ku Francji, a nie należało odpychać takiego sprzymierzeńca, gdyż armja szwedzka wkraczając do Finlandji, wówczas kiedy armja francuzka wtargnęła-by do Litwy, zrobiłaby bardzo użyteczną dywersję. Zaproponował więc za pośrednictwem księżnej księciu Bernadotte, żeby się połączył z Francją, żeby wysłał trzydzieści do czterdziestu tysięcy ludzi do Finlandji, i obiecał mu nawzajem nie wchodzić w żadne układy z Cesarzem Aleksandrem nim się ten nie zgodzi na wrócenie téj prowincji Szwedom. W miejscu zasilku pieniężnego, którego nie mógł udzielić, Napoleon zgadzał się na dozwole nie wprowadzenia przez Stralsund i przedania za 20 milionów towarów kolonialnych, których wartość miała być niezwłocznie opłaconą przez kupiectwo. Pośrednik wskazany przez księżnę następczynię, był umocowany wyjechać natychmiast dla przedstawienia tych warunków w Sztokholmie.

Zajmując się temi rozlicznemi przedmiotami, Napoleon śledził razem okiem pochód swoich wojsk. Miesiąc marzec 1812 r. był już upłynął i wszystko dotąd działo się wedle jego życzenia. Pomeranja Szwedzka zajęta została przez jedną z dywizji marszałka Dawu, dywizję generała Frjan, i ta zabrawszy wszystko co pozostawało z kontrabandy nagromadzonej przez Szwedów, udała się do Szczecina nad Odrą. Dywizja Giudę posunęła się dalej, i zajęła stanowisko w Starogrodzie (Stargard), mając przed sobą kawalerję generała Briujer na drodze do Gdańska. Dywizja Deze stanęła w Kiestrzynie nad Odrą, mając swoją jazdę lekką w Landsbergu, na drodze do Torunia. Marszałek Dawu, z dywizjami Moran i Kompan, z kirassjerami przyłączonemi do jego korpusu, zbliżył się do Odry, i był gotowym przebyć tę rzekę za daniem pierwszego hasła. Wojsko jego szło w porządku, powoli, zachowując ścisłą karność, i opatrowane we wszystko przez rząd pruski, który pośpieszał, na widok tych straszliwych zastępów, wypełniać zobowiązania, jakie był zawarł z ich władcą. Marszałek Udino, zgromadziwszy swe wojsko w Münster, rozstawił je eszelonami po drodze do Berlina; marszałek Nej udał się z Moguncji do Erfurtu, a z Erfurtu do Torgau nad Elbą. Sasi przeprawili się przez Odrę. Vice-król włoski przebywszy Alpy z swą armją, przeszedł przez Bawarję, połączył się z Bawarczykami i doszedł prawie do Odry. Officerowie wszelkich stopni, stosując się do rozkazów cesarza, odbywali drogę na czele swoich żołnierzy, utrzymując karność pomiędzy nimi, powstrzymując ich język o ile mogli, ale nie mogąc tego za-

wsze dokazać. W korpusach marszałka Neja i księcia Eugienjusza pełniły się największe naduzycia, czy to dla tego, że mając do przebycia większą przestrzeń, narażeni byli na większy niedostatek, któremu starali się zapobiedz kosztem krajów, jakie przebywali, czy to że droga im wyznaczona była mniej przygotowaną do ich przyjęcia. Zresztą miejsca odpoczynków były wszędzie urządzone, tym sposobem pozostali w drodze mieli czas połączyć się z swemi korpusami i wojska mogły iść całemi massami. Długi szereg wozów, któremu podobnego nigdy dotąd nie widziano, oznaczał ślady kolumn długo po ich przejściu.

Dotąd nie słyszano żadnej wzmianki o Niemnie, i żadna pogłoska nie dawała znać, żeby to ogromne rozwinięcie sił, odtąd widoczne wszystkim, miało wywołać ze strony Rossjan kroki zaczepne. Zatem Napoleon, stosownie do swojego planu, zalecił nowe poruszenie swoim wojskom pierwszych dni kwietnia, ażeby posunąć je od Odry nad Wisłę, z zamiarem udzielenia im tam nowego odpoczynku, i oczekiwania tam na trzy rzeczy, na które cierpliwie postanowił czekać w ciągu tego olbrzymiego pochodu, to jest, przyłączenia się pozostałych żołnierzy, przybycia zaprzęgów i wzrostu trawy. (1)

Rozkazał marszałkowi Dawu posunąć się nad Wisłę z swemi pięcią dywizjami i całą jazdą, marszałkowi Udino wstąpić do Berlina z największą okazałością wojenną, zatrzymać się tam czas jakiś i dążyć potem nad Odrę; marszałkowi Nej przebyć Elbę w Torgau i udać się do Frankfurtu nad Odrą, Sasom i Westfalczykom zająć stanowisko w Kaliszu, Bawarczykom i armji włoskiej zdążyć do Głogowy, gwardji nakoniec, stanąć eszelonami na drodze do Poznania. Wojska po odbyciu pięcio lub sześć-dniowego pochodu, miały odpoczywać przez tyleż prawie dni. Marszałek Dawu, który miał polecenie zajmować się uorganizowaniem wszystkiego, miał dawać bezustannie do zmelcia zboże gdańskie, kazać pakować mąkę w baryłki, przysto-

(1) Autorowie niedokładnie rzecz wiedzący, wnosząc ze skutków kampanji, że działania zanadto późno się rozpoczęły, przypisali innym przyczynom, niżeli rzeczywistym, powolność ruchów Napoleona. Utrzymywali naprzykład, że sprawy wewnętrzne, a szerególniej głód, zatrzymywały Napoleona w Paryżu i spowodowały tym sposobem, opóźniając otwarcie kampanji, klęski 1812 r. Jest to zupełny błąd. Napoleon doświadczywszy jak pochody długie niszczyły i dziesiątkowały jego wojska, chciał przebyć powoli przestrzeń od Renu do Wisły, dokończyć urządzenia swoich wozów, a nadewszystko znaleźć na ziemi pokarm dla 150 tysięcy koni, które prowadził z sobą. Jego korespondencja i jego rozkazy nie pozostawiają pod tym względem żadnej wątpliwości. Co do głodu, temu w niczem nie mógł zaradzić, i on nie wywierał żadnego wpływu na jego postanowienia wojenne.

wywać pospiesznie żeglugę na Fryszhaffie i Preglu, urządzić mosty na Wiśle, utworzyć w Toruniu i Elblągu z liwerunków pruskich magazyny podobne do tych, jakie były w Gdańsku, osadzić dobrze Piławę i kraniec Nerungu, a nadewszystko czuwać nad poruszeniami Rossjan. Zamiarem Napoleona było, ażeby w razie, gdyby Rossjanie przeszli Niemen i chcieli działać zaczepnie, wystać przeciw nim marszałka Dawu z 150 tysiącami żołnierza, oraz króla Hieronima z 80 tysiącami. Jeżeliby zaś Rossjanie nie postępowali naprzód, miano się zachować spokojnie, nie posyłać przednich straży francuzkich dalej jak do Elbląga, za Elblągiem zaś używać samych tylko Prusaków, którzy od Gdańska do Królewca byli jeszcze u siebie. Napoleon urządził wszystko, ażeby wyruszyć samemu za nadejściem stosownej pory, i przybyć do swój przedniej straży z szybkością kurjera. Zresztą, skoro marszałek Dawu stanąłby nad Wisłą, Napoleon nie miał się czego lękać przyspieszonego pochodu Rossjan, i pozostawało mu tylko jedno do życzenia, opóźnić kroki nieprzyjacielskie aż do wzrostu trawy.

Żeby tém pewniej dopiąć tego celu, wysłał nowego kurjera do p. Loryston, ażeby uwiadomić go o tém nowém poruszeniu, i podyktować mu jak miał się tłómaczyć co do téj okoliczności. Rozkazano mu mówić, że cesarz Francuzów dowiedziawszy się o pochodzie wojsk rossyjskich ku Dźwinie i Dnieprowi (co było czystym wymysłem, gdyż nie otrzymano żadnej wiadomości pod tym względem), postanowił stanąć nad Wisłą, z bojaźni, żeby Rossjanie nie wtargnęli do Wielkiego Księstwa, ale że zawsze miał zamiar prowadzenia układów pod bronią, spotkania się nawet z Cesarzem Aleksandrem pomiędzy Wisłą a Niemnem, i ułatwienia wszystkiego, jeśli to podobna będzie, w przyjacielskiej rozmowie, jak w Tylżycie lub Erfurcie. Ażeby uczynić podobniejszemi do prawdy te usposobienia, p. Loryston upoważniony był oświadczyć, że wojska francuzkie nie posuną się za Wisłę, i jeżeli mundury francuzkie dadzą się widzieć po za tą rzeką, może aż do Elbląga, to tylko będą przednie straże lekkiej jazdy, obowiązane jak zwykle, do czuwania nad bezpieczeństwem wielkiej armji.

To wszystko, co jak wyżej powiedzieliśmy, działo się we Francji, czyniło wrażenie wielkie w Petersburgu. Obecność pana Czerniszewa, który przybył 10 marca z listem przyjacielskim Napoleona, ale z wrażeniami osobistemi całkiem przeciwnemi, gdyż spotkał po drodze massy ogromne wojska, nie mogła złagodzić skutków wrażenia, jakie sprawiły wiadomości dochodzące ze wszystkich stron stałego lądu. Poruszenie marszałka Dawu nad Odrę i dalej, wtargnięcie do Pomeranji Szwedzkiej, zapotrzebowanie kontyngensów nie-

mieckich, przebycie Alp przez armję włoską, zawarcie traktatów przymierza z Prusami i Austryją, rozproszyły do reszty ostatnie wątpliwości Aleksandra, i wprawiły tak jego jak i cały dwór w głęboki smutek, gdyż nie wątpiono już że walka będzie straszliwą, a w razie jeśliby była niepomyślną, że wielkość Rossji dozna znacznego uszczerbku, podobnego do tego, jakiego doznała wielkość Prus i Austrii. Nadewszystko wiadomość o dwóch traktatach podpisanych przez Prusy i Austryję, odkryła Cesarzowi Aleksandrowi i kanclerzowi Rumiancow bliskość grożącego niebezpieczeństwa. Cesarz Aleksander uwiadomiony dość dokładnie o czynnościach dyplomacji francuzkiej, skutkiem przeniewierzeń, których źródło, pomimo wielu poszukiwań, pozostało niewiadomém, wiedział że Napoleon pozostawiał długo w oczekiwaniu Prusy co do traktatu przymierza, ażeby nie obudzić podejrzania Rossji. Ponieważ skłonił się do zawarcia tego traktatu, widoczném było, że miał już pewne postanowienie, i że nie go nie powstrzyma od uskutecznienia raz powziętego planu. Skrytość dworu wiedeńskiego co do przyjętych zobowiązań, nie mogła oszukać Aleksandra, doskonale wiedzącego o wszystkich układach europejskich, i była tylko śmieszną w oczach tych, którzy byli świadkami zakłopotania, w jakiém zostawał p. Sę Żiuljan (de Saint-Julien), poseł austriacki w Petersburgu. Ten w istocie unikał wszystkich, żeby nie być zmuszonym przyznać się do nowych związków zawartych przez dwór jego, albo żeby nie być zawstydzonym, gdyby chciał przeczyć temu. Co do Prus, te nie tyle odważne w kłamstwie, przyznały się do wszystkiego. Powiedzieliśmy już, że wysłały one p. Knesebek do Petersburga, dla przełożenia Cesarzowi Aleksandrowi smutnej konieczności, w jakiej się znajdowały, wzięcia udziału w wojnie, i zostawania w ciągu jój prowadzenia na stronie Francji. P. Knesebek, czy to upoważniony przez króla, czy powodując się uczuciem swój narodowości, posunął dalej jeszcze swe zwierzenia. Powiedział, że król działał pomimo swój woli, że sprzyjał całkiem Rossjanom, i że nie tracił nadziei, iż wkrótce będzie się mógł połączyć z nimi, że ten wypadek był nawet nieuchronnym, jeśli tylko zręcznie postępować będą, i w tym przedmiocie udzielił rad bardzo roztropnych, bardzo zgubnych dla nas, bardzo korzystnych dla Cesarza rossyjskiego, pośród opinij wszelkiego rodzaju, wywołanych w około niego ważnością zdarzeń. Radził mu, żeby się nie narażał na pierwszy impet Napoleona, żeby się przeciwnie cofał, żeby ściągnął Francuzów wewnątrz Rossji, i napadał na nich wtedy tylko, kiedy będą wyniszczeni trudami i głodem. Obiecał, że w takim razie całe Niemcy połączą się z Rossja-

nami, ażeby dokonać zguby śmiałego zdobywcy, który gnębił Europę od lat dwunastu.

Czy to było prostém przewidzeniem p. Knesebeka, które zamienił na rady pod wpływem li tylko natchnienia swych uczuć narodowych, bez żadnego rozkazu ze strony swojego pana, czy też był upoważnionym do posunięcia tak daleko usprawiedliwień Fryderyka Wilhelma przed Aleksandrem, trudno teraz wiedzieć z pewnością, chociaż mamy wyznanie samego p. Knesebek, który uczynił może siebie winniejszym niżeli był w istocie, ażeby się okazać przezorniejszym i większym patriotą niżeli był w istocie. Jakkolwiekby, ucisk w jakim zostawały Prusy w owéj epoce, może służyć za wymówkę wielu rzeczom; jednakże żałowalibyśmy, gdyby p. Knesebek był upoważnionym do mówienia podobnych rzeczy, żałowalibyśmy dla godności króla, który był bardzo uczciwym człowiekiem. Cesarz Aleksander przyjął z pobłażaniem usprawiedliwienie się Fryderyka Wilhelma, z wielką uwagą zdrowe rady jego posłańca, powiedział mu że ubolewał nad postanowieniem Prus, ale że broniąc sprawy Niemiec tyleż co sprawy Rosji, nie tracił nadziei, że będzie miał wkrótce pruskich żołnierzy z sobą. Był mniej pobłażającym dla p. Se-Żiuljan. Ten ukrywając się czas długi, nie mógł wreszcie uniknąć spotkania się z Cesarzem Aleksandrem. Zaprzeczał z początku traktatowi przymierza, i to jak zdaje się nie bez pewnej słuszności, gdyż gabinet jego, ażeby tém lepiej oszukać, oszukał jego samego, pozostawiając go w niewiadomości. Nie wiedział nawet tego o czém się dowiedział z niektórych zwierzeń się p. Lorystona, który powiedział mu więcej niżeli ten chciał się dowiedzieć. Starał się więc podać w wątpliwość istnienie świeżo zawartego traktatu pomiędzy Austrią a Francją, z tego powodu że nic mu o tém nie donoszono z Wiednia, ale Aleksander przerwał mu natychmiast: Nie zaprzeczaj, rzekł do niego, wiem o wszystkiém; pośrednicy pewni, którzy mnie nigdy nie wprowadzili w błąd, przysłali mi kopję traktatu, który dwór pański podpisał; potém pokazując ją p. Se-Żiuljan zawstydzonemu, dodał że był niezmiernie zdziwionym tém postępowaniem ze strony Austrii, i że uważał to za prawdziwe odstępienie sprawy europejskiej; że nie on tylko sam był interesowanym w téj walce, ale wszyscy monarchowie, którzy chcieli zachować cię niepodległości; że dopóki widział w przymierzu Francji same tylko drobne państwa niemieckie, zostające pod ręką Napoleona, a nawet Prusy, pozbawione wszystkich swoich sił, nie doznawał ani podziwienia, ani zniechęcenia, ale że przystąpienie Austrii do tego rodzaju ligi mięszało mu szyki, i zdolne było zachwiać

najmocniejsze jego postanowienie; że nie mógł sam jeden bronić Europy, że ponieważ opuszczano go, pójdzie za przykładem ogólnym i wejdzie w układy z Napoleonem; że wreszcie miał mniej do stracenia niżeli inni w téj uległości powszechnéj, że znajdował się daleko od Francji, że Napoleon nie wymagał od niego nic ważnego, że ucierpi na tém tylko jego miłość własna, i że po przejściu tych cierpień będzie spokojnym, niepodległym jeszcze w swoim oddaleniu, ale że ci, co go opuszczali, będą niewolnikami. Cesarz Aleksander, wymawiając te słowa był wzruszonym i rozgniewanym, i pan Sę-Żiuljan, który należał do licznej koterji arystokratycznej, rozproszonej po całej Europie i ożywionej głęboką nienawiścią ku Francji, potrafił tylko usprawiedliwiać się swą niewiadomością i obiecał, że za dni kilka udzieli zadawalających objaśnień. Objasnienia te były łatwe do przewidzenia, to jest, że przymierze z Napoleonem nie było dobrowolne, że musiano je zawrzść, i że w téj nowéj wojnie wojsko rossyjskie nie poniesie wielkiej szkody od Austrjaków (1).

Cesarz Aleksander nie miał więc żadnej wątpliwości względem ostatecznego wypadku tego położenia rzeczy, i uważał układ przyjacielski za całkiem niepodobny. Postanowił jednakże, zgodnie z p. Rumiancowem, który pozostawał stale przywiązany do polityki Tylżyckiej, nie przedsiębrać zaczepnych kroków, i tym sposobem pozostawić jeszcze jakąś nadzieję pokoju, gdyby przeciw wszelkiemu prawdopodobieństwu, Napoleon uzbrajał się tylko dla prowadzenia układów pod bronią. Miał zamiar trzymać swe przednie straże nad Niemnem, nie przechodząc téj rzeki, nie dochodząc nawet do Memla, gdzie brzeg prawy należał po części do Prus, i szanować tym sposobem szkrupulatnie terytorjum sprzymierzeńców Napoleona. Niektóre umysły zapaleczone, szczególnie między emigrantami niemieckimi w służbie rossyjskiej, starali się skłonić Cesarza Aleksandra do posunięcia się naprzód, i radzili mu zająć nie tylko Stare Prusy ale Wielkie Księstwo, zawsze w zamiarze powiększenia pustyni, którą chciano utworzyć po drodze Napoleona. Cesarz nie zgodził się na to, i w tém podzielał zdanie swéj familji, swojego dworu i swojego narodu, bo jeżeli nie chciano uleść przewadze Napoleona, nie żądano takóž przyspieszenia wojny z tym potężnym przeciwnikiem. Postanowił więc czekać jeszcze, nimby opuścił Petersburg osobiście, jakiej czynności nie bardzićj stanowczéj, ale wyraźniej zaczepnéj, niżeli po-

(1) Piszę to według depezy samego p. Sę-Żiuljan, która się dostała w ręce rządu francuzkiego i napisana była ze smutkiem, dowodzącym jej autentyczności.

chód Francuzów ku Wiśle. Miał jeszcze z p. Lorystonem rozmowy, w których nie ukrywał żadnego z swoich uczuć, wśród których nawet utonił żgę mówiąc o wojnie, którą uważał za nieuchronną, i o przymusie, który mu chciano zadawać, wbrew traktatowi tylicyckiemu, nie czyniącemu żadnej wzmianki, ażeby się rzekł wszelkiego handlu z neutralnemi. Powtarzał że dekreta Medjolanu i Berlina nie dotyczyły się go, gdyż były wydane bez poradzenia się jego; że obowiązany był tylko do utrzymania stanu wojny z Anglią, do zamknięcia jej swych portów, że wypełniał to zobowiązanie lepiej niżeli Napoleon z swym systematem wyłączeń, i że wymagać od niego więcej, było to wymagać rzeczy niepodobnych, zmuszać go do wojny, której nie rozpocznie dobrowolnie, jak to można było widzieć z jego sposobu postępowania, ale że skoro raz zmuszony będzie wyjąć miecz, będzie walczyć do upadłego.

Mając ciągle umysł zaprzątnięty wiadomościami przychodzącemi z nad granicy, którą wnosił że Francuzi lada moment przejdą, chciał się dowiedzieć od p. Lorystona, czy nie miał przypadkiem udzielonej sobie władzy wstrzymania ruchów wojsk francuzkich. Pan Loryston, który był upoważniony do zobowiązania się w tym względzie tylko dla zapobieżenia przejściu Niemna przez Rossjan, nie wytłómaczył się jasno, ale odpowiedział, że się podejmie wysłać kurjera do przednich straży francuzkich, dla sprobowania wstrzymania ich pochodu, jeśli podane warunki zasługiwać będą na to, żeby były przesłane do Paryża. Cesarz Aleksander wnosząc z niepewnych wyrażen użytych przez p. Lorystona, że ten nie miał udzielonego sobie zbyt obszernego pełnomocnictwa, odrzekł na to, że uważał za rzecz bardzo naturalną, że Napoleon, którego plany były zawsze tak głęboko wyrachowane, nie udzielił swemu ambassodorowi władzy wstrzymania ruchów swoich wojsk; dał poznać przytém, że nie myślał użyć tego ostatecznego środka. Pan Loryston upraszał go bardzo, ażeby jeśli nie wysyłał już p. Nesselrode, odpowiedział przynajmniej na list Napoleona przesłany za pośrednictwem p. Czerniszewa, żeby wysłał kogo z instrukcjami, pełnomocnictwem i listem, który w każdym razie wypadało mu napisać, gdyż Napoleon pierwszy napisał do niego. Cesarz Aleksander uważając jakby za natręctwo tę prośbę, której chętnie zadość by uczynił, gdyby widział w tém środek utrzymania pokoju, odpowiedział że bez wątpienia poszle kogo, ale że ten krok na nic się nie przyda, że nie ma żadnej nadziei przywrócenia zgody, gdyż zapewne nie dla prowadzenia to układów Napoleon poruszył tak ogromne massy żołnierzy i posunął je tak daleko.

Jakoż, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, Cesarz Aleksander napisał list do Napoleona, w odpowiedź na ten, który mu został wręczony przez P. Czerniszewa, list smutny, bez żadnej cierpkości, ale dumny, w którym mówił, że zawsze chciał skończyć ugodliwym sposobem, i że świat będzie kiedyś wiedział co uczynił, ażeby tego dopiąć; że wysłał księciu Kurakinowi pełnomocnictwo do prowadzenia układów, pełnomocnictwo, które zresztą ten ambassador posiadał już przedtém, i że życzył bardzo, ażeby na nowo przyjętych podstawach można było przyjść do spokojnego załatwienia tego sporu. P. Serdobinowi poruczoném było wręczenie tego listu. Warunki, jakie on miał zakomunikować księciu Kurakinowi były téj natury, że można było z nich wnieść, iż nie miano już żadnej nadziei utrzymania pokoju i chciano tylko ocalić swą godność. Cesarz Aleksander był gotowym, mówił on, wejść w układy i wziąć za Oldenburg wynagrodzenie, jakie by mu dano; wprowadzić do ukazu wydanego w grudniu 1810, na który przemysł francuski się skarżył, taką zmianę, która mogłaby się pogodzić z interesem Rossji, rozpatrzeć nawet czy systemat handlowy obmyślony przez Napoleona mógł być przyjętym w Rossji, pod warunkiem żeby nie wymagano zupełnego wyłączenia neutralnych, nadewszystko Amerykanów, i żeby obiecano ustąpić ze Starych Prus, Księstwa Warszawskiego i Pomeranji Szwedzkiej. W takim razie Cesarz Aleksander obowiązywał się rozbroić się natychmiast, i ułatwić spokojnie i po przyjacielsku wszystkie punkta sporne.

Mówić Napoleonowi o ruchu wstecznym było rzeczą, której by się zapewne nie podjęto, gdyby sądzono, że chciał istotnie prowadzić układy w Paryżu. Ale Cesarz Aleksander i p. Rumiańców nie mieli już żadnej nadziei, i jeżeli wystąpił p. Serdobina, to na usilne nalegania p. Lorystona, który sam będąc bez iskiej nadziei, próbował tego ostatniego kroku dla ocalenia pokoju. P. Serdobin wyjechał 8 Kwietnia, w miesiąc prawie po przybyciu p. Czerniszewa do Petersburga. Cesarz Aleksander przepędził kilka dni jeszcze w niespokojności, i w tym przeciągu czasu towarzystwo rossyjskie, które pojmoowało jego uczucia i z uszanowaniem starało się zastosować do nich, unikało starannie wyzywania Francuzów, obrażania ich w czémkolwiek bądź, nie występowało z przechwałkami, ani też pokazywało po sobie bojaźni, ale dawało poznać postanowienie pełne smutku i stałości.

Nie przyjęto jeszcze żadnych zobowiązań z Anglią, w mocném postanowieniu zostawiana swobodnie i nie przedsiębrania żadnego kroku, który mógłby uczynić wojnę nieuchronną. Ale za pośrednictwem Szwecji zaczęto porozumiewać się, co miało przygotować zbliżenie

na ową porę, kiedyby nie miano potrzeby zachowywać żadnych środków ostrożności. Gdy ta pora nadeszła, czyli raczej była bliską nadojścia, gdy Napoleon nie wahał się zawrzeć swych przymierzy z Prusami i Austrią, Cesarz Aleksander wysłał P. Suchtelena do Sztokolmu, ażeby się tam rozmówić z agentem angielskim wysłanym do tej stolicy, P. Thornton, i umówić się z nim nie tylko względem warunków pokoju z Anglią, ale też względem warunków przymierza zaczepnego i obronnego, dla prowadzenia wojny zaciętąj przeciw Francji.

Należało, używając Szwecji za pośrednika, porozumieć się wreszcie z nią względem tego co się jój samėj tyczyło, i wybrać pomiędzy ścisłym z nią przymierzem, a otwartą nieprz yżnią, do tyła książe Bernadotte, który nie piastując godności królewskiejj posiadał jój władzę, stał się naglącym, ażeby otrzymać odpowiedź na swe propozycje. Rossja wahała się długo wchodzić w zobowiązania z dworem Sztokolmskim, raz dla tego że nie chciała być jeszcze związaną, potém że uważała za rzecz niesłuszną złupienie Danji na korzyść Szwecji, wreszcie dla tego, że nie pokładała ufności w charakterze nowego księcia następcy, gdyż, czy to zostając wiernym czy wiarołomnym względem swojej dawnej ojczyzny, zasługiwał zarówno, ażeby mu niedowierzano. Jednakże pobuđki te musiały ustąpić przed naglącą potrzebą. Nie było już co zachowywać ostrożności: Danja nie mogła być na pierwszym względzie, gdy szło dla państwa rossyjskiego o to, czy być lub nie być, a co do stosunków rzeczywistych Bernadottego z Francją, zajęcie Pomeranji Szwedzkiejj przez wojsko Marszałka Dawu wykazało jakimi one były w istocie. Dla tego więc 5 Kwietnia (24 Marca u Rossjan), Cesarz Aleksander zawarł traktat z dworem Sztokolmskim, przez który przyznawał mu przedmiot pożądaný jego życzeń, to jest, Norwegję. Przez ten traktat przymierza, mający pozostawać w sekrecie, dwa państwa zabezpieczały sobie wzajemnie obecne swe posiadłości, to jest, że Szwecja zabezpieczała Finlandję Rossji. Nawzajem Rossja obiecywała Szwecji dopomódz jój do zawojowania Norwegji w czasie obecnym, i pomagać również do zachowania jój w przyszłości. Dla skutecznienia tych wspólnych zamiarów, Szwecja miała zgromadzić wojsko od 30 tysięcy żołnierza, a Rossja udzielić jój ze swėj strony 20 tysięcy; książe następcę miał dowodzić tą pięćdziesięcio-tysięczną armją, opanować najprzód Norwegję, a po dokonaniu tój czynności, którą uważano za bardzo łatwą, wkroczyć na jakimkolwiek punkcie do Niemiec, dla uderzenia na armję francuzką z boku. Nie było wyraźnie powiedziano, ale należało się domyślać, że wsparcie pieniężne i wojsko posiłkowe angielskie miało dopomódz do tój silnéj dywersji. Co do

Danji, miano wyrządzić jęj tę grzeczność, że uwiadomionoby ją o tém co postanowiono i radzonoby jęj zgodzić się na to, za pośrednictwem wynagrodzenia w Niemczech, którego nie oznaczano, ale które przyszła wojna miała nieochybnie nastęrczyć. Gdyby Danja nie zgodziła się na propozycję uczynioną jęj w podobnych wyrażeniach, miano niezwłocznie wypowiedzić jęj wojnę; a ponieważ można było wątpić o wpływie, jaki podobny traktat wyrze na opinię Europejską, może nawet na opinię samęj Szwecji, która była szlachetnie myślącą i przyjazną Francji, postanowiono, nie pisząc tego, w traktacie, że gabinet Szwedzki zacznie nie od oświadczenia swego przymierza z Rossją, ale od neutralności, względem państw wojujących; z neutralności przejdzie potem do stanu wojny z Francją.

Kwestją najważniejszą dla Cesarza Aleksandra, był jego pokój z Turkami. Skutkiem uporu, z jakim wymagano części ich posiadłości, Turcy zerwali układy i rozpoczęli nieprzyjacielskie kroki. Pewność wojny bliżkiej Francji z Rossją, była dla nich stanowczą pobudką do nieustępowania. Jednakże trwali w uporze swoim niewchodzenia z nami w przymierze, gdyż nie zapomniano tam jeszcze układów Tylżyckich, chociaż nowa polityka Francji mogła ich wtęj mierze ubezpieczyć. Chcieli korzystać ze zrzęčnosti, ażeby wyjść nieposzkodowanemi z tęg wojny, nie mieszając się do kłótni mającęg zająć między mocarstwami, które niebacznie w równym stopniu wtędy nienawidzili. Nie nie mogło być nieszczęśliwszego dla Rossji, jak przedłużenie wojny z Turcją, gdyż oprócz 60 tysięcy żołnierzy zostających pod chorągwiami, co nie mniej jak 100 tysięcy wojska liczebnego mogło stanowić, musiała ona utrzymywać drugą armję z 40 tysięcy, pod dowództwem jenerała Tormasowa, dla połączenia swych sił na Dunaju z siłami nad Dżwiną i Dnieprem. Odzyskać wolność rozporządzania temi dwóma armjami było rzeczą niezmiernie ważną, jakikolwiek plan kampanji by przyjęto. Głowy burzyły się w około Cesarza Aleksandra, tak pomiędzy jenerałami rossyjskiemi, jak pomiędzy officerami niemieckimi, którzy szukali ucieczki na jego dworze przed wpływem Napoleona. Zamiłowani w urojeniach utrzymywali że można było z stu tysiącami Rossjan, zajętych wojną z Turkami, opanować Illirję i Włochy, pociągnąć za sobą Austrię, i przygotować może upadek Cesarstwa francuskiego, w odwet za napaść wymierzoną przez Napoleona na Rossję. Rezultat ten był prawie pewnym w ich oczach, gdyby podpisano prędko pokój z Turkami, i gdyby zbliżono się z nimi aż do zawarcia przymierza. Ludzie praktyczniejsi byli tego przekonania, że nie dążąc do tak ogromnych

rezultatów, sto tysięcy żołnierzy przeprowadzonych z nad Dunaju nad Wisłę, i które uderzyłyby z boku na Francuzów, dostatecznymi byłyby do dania innego obrótu wojnie. Cesarz Aleksander, który zajmując się ciągle kombinacjami wojennymi nabył wreszcie wyobrażeń dokładnych w tym względzie, podzielał to ostatnie zdanie. Miał przy sobie człowieka, którego sposób myślenia prawie liberalny, umysł świetny i żywy, bardzo się mu podobały, i od którego oczekiwał ważnych usług, był to Admirał Czyczagów. Zwrócił tedy oczy na niego dla powierzenia mu ważnego posłannictwa na Wschodzie, i wybór ten był bardzo trafny, gdyż admirał był sposobnym w istocie do roli, którą miał odegrać w tym kraju. Cesarz Aleksander powierzył mu dowództwo bezpośrednie armji Dunajskiej, oraz w pewnym przypadku dowództwo armji generała Tormasowa, będącej podówczas na Wołyniu, dał mu moc zawarcia pokoju lub prowadzenia wojny w Turcji, upoważnił go do odstąpienia części wymagań rosyjskich, przestania naprzykład na Besarabji, biorąc za granicę Prut zamiast Seretu, zawarcia pod tym warunkiem nie tylko pokoju, ale przy mierza z Turkami, zerwania zaś z nimi, gdy się nie zechcą zastosować do polityki rosyjskiej, nagłego napadnięcia na nich dla wywarcia przez silny atak, czegooby nie można było otrzymać przez układy, opanowania może Konstantynopola, i powrócenia potem z Turkami lub bez nich, dla rzucenia się albo na cesarstwo francuskie przez Lajbach, albo na armję francuską, przez Lwów i Warszawę. Świetna wyobraźnia równie jak odwaga admirała odpowiadały tym rolom tak rozmaitym i tak ryzykownym.

Pośród tych postanowień, które wiadomości przychodzące co chwila przerywały lub przyspieszały, niespokojność co raz bardziej wzrastała w Petersburgu, gdy nagle przybył tam urzędnik poselstwa rosyjskiego, p. Diwow, wysłany z Paryża przez księcia Kurakina który spodtknął za Elblągiem wojsko Marszałka Dawu. Nie była to wiązka papierów, które mu zlecono oddać, jakkolwiek było to rzeczą kłopotliwą, ale fakt, o którym przywoził wiadomość i którego był naocznym świadkiem, sprawił w Petersburgu wielkie wrażenie. Dawniejsi i zapaleni stronnicy wojny, równie jak późniejsi i umiarkowani, utrzymywali, że Cesarz Aleksander nie mógł dalej odkładać wyjazdu do swojej głównej kwatery, że zaledwo przybędzie tam na czas nim Francuzi przejdą Niemien, że obecność jego nawet była tam potrzebną dla zapobieżenia nierozważnym krokom, gdyż generałowie rosyjscy byli tak rozjątrzeni w armji Litewskiej, że zdolni byli popełnić jaką nieroztropność, co odjęłoby ostatnią nadzieję pokoju, jeśliby jeszcze jaka pozostawała. P.

Rumiancow chciał oprzeć się temu wyjazdowi, gdyż dozwolić wyjechać Cesarzowi Aleksandrowi z Petersburga, było to zmusić Napoleona do wyjechania z Paryża, i uczynić walkę nieuchronną. Ale nie mógł tego dokazać pośród ogólnego wzburzenia, i wyjazd Cesarza Aleksandra do głównej kwatery był niezwłocznie postanowiony. Co najwięcej przyczyniło się do przyspieszenia tego kroku, to chęć zadowolenia tém uczucia publicznego, a razem chęć zapobieżenia, ażeby generałowie nie zniszczyli ostatniej nadziei pokoju przez jaki nierozważny postępek. Cesarz Aleksander nie miał czasu widzieć się z panem Lorystonem, ale kazał mu oświadczyć największy szacunek dla jego szlachetnego postępowania, i powtórzyć zapewnienie, że nie opuszczał swęj stolicy dla rozpoczęcia wojny, lecz przeciwnie dla jęj opóźnienia, jeśli to podobna było, utrzymując po raz ostatni, że nawet w swojej głównej kwaterze będzie gotów do prowadzenia układów na podstawach najsprawiedliwszych i najumiarkowańszych.

21 kwietnia rano udał się do soboru Kazańskiego dla wysłuchania mszy ś. z swoją rodziną, potem odjechał otoczony liczną ludnością wzruszoną tak własnymi swemi uczuciami, jak temi które postrzegało na twarzy swego Monarchy. Otaczając jego powóz żegnała go głośnie *ura!* i przeprowadzała za miasto tak jego, jak towarzyszące mu najznakomitsze osoby jego rządu i dworu. Pomiędzy niemi był minister spraw wewnętrznych książę Koczubej, minister policji Bałaszow, wielki marszałek Tołstoj, p. Nesselrode, generał Pfuhl, niemiec udzielający Cesarzowi nauki wojny, i nakoniec szwed emigrant, biorący wielki udział w sprawach owoczesnych, hrabia Armsfeld. P. Rumiancow miał w kilka dni później połączyć się z orszakiem cesarskim, dla prowadzenia układów, jeśli się zdarzyła tego potrzeba. Cesarz, po drodze do Wilna, zatrzymał się w majątności księcia Zubowa, gdzie miał także przybyć generał Benningsen, który kiedyś z sławą dowodził wojskiem rosyjskiem. W chwili swojego odjazdu Cesarz otrzymał dość pocieszającą wiadomość. Austrija uwiadomiła go, że nie powinien był się trwożyć z powodu zawarcia przez nią traktatu przymierza z Francją, że nie mogła w tym razie działać inaczej, ale że trzydzieści tysięcy Austryaków wysłanych na granicę Gallicji będą tam raczej obserwującymi niżeli działającymi, i że Rossja, jeżeli nie przedsięweźmie nie przeciw Austrii, nie będzie się miała czego lękać tych 30 tysięcy żołnierza (1). Cesarz Aleksander, który zresztą spodziewał się że to na-

(1) Nie przytaczam nigdy faktów nie będąc ich pewnym, i zachowuję tém więcej tę ostrożność, im te fakta są ważniejsze. Udało się mi dostać korespondencję bardzo

stąpi, pospieszał w swęj podróży do Wilna. P. Loryston pozostał jeden w Petersburgu, otoczony względami, ale razem milczeniem, i oczekujący, ażeby dwór jego wydobył go z tego fałszywego położenia, dając mu rozkaz do wyjazdu.

Napoleon czekał tylko na chwilę, kiedy Cesarz Aleksander opuścił Petersburg, żeby samemu opuścić Paryż. P. Loryston oznajmił mu o przygotowaniach do wyjazdu przed samym wyjazdem, i dla tego mógł wydać stosowne rozporządzenia. Najgłówniejsze zależało na przepisaniu trzeciego poruszenia swym wojskom, dla posunięcia ich ostatecznie na linję Wisły, gdzie miały zostawać przez cały miesiąc Maj. Marszałek Dawu znajdował się już nad Wisłą, i przebył ją nawet dla posunięcia się aż do Elbląga. Napoleon zalecił mu ażeby obok wyłącznego zajmowania się zasobami wojennymi i żegluga, zgromadził swe wojsko pomiędzy Marjenwerder, Marjenburgiem a Elblągiem, mając zawsze Prusaków w przedniej straży aż do Niemna. Rozkazał Marszałkowi Udino zgromadzić swój korpus w samym Gdańsku dla utworzenia lewego skrzydła Marszałka Dawu, Nejoini stanąć w Toruniu dla utworzenia prawego skrzydła, księciu Eugienjuszowi posunąć się do Płocka nad Wisłą z Bawarczykami i Włochami, Królowi Hieronimowi zgromadzić w Warszawie Polaków, Sasów, Westfalczyków, gwardji zatrzymać się w Poznaniu, Austryjkom być gotowemi do wystąpienia z Galicji na Wołyń. W tém nowém stanowisku, armja miała zajmować linję Wisły, od Czech do Baltyku, i przedstawiać tam ogromną masę pięć kroć sto tysięcy ludzi, oprócz wojsk zapasowych, mając zawsze Prusaków w przedniej straży na granicy rossyjskiej, którym nie można było zarzucić żadnego działania zaczepnego, gdyż byli tam u siebie. Można było tym sposobem czekać bezpiecznie wzrostu roślinności na północy, gdyż za pierwszym poruszeniem Rossjan zostawanoby w gotowości dla zastąpienia im drogi, nimby mieli czas popełnić jakiegokolwiek spustoszenie.

Chociaż nie było się czego lękać, żeby oni pierwsi rozpoczęli kroki nieprzyjacielskie, Napoleon, mając na pamięci rok 1807, przypominając

szczegółową i bardzo ciekawą pomiędzy Cesarzem Aleksandrem a Admirałem Czyczagowem w ciągu 1812 roku. Admirał Czyczagow posiadał zupełne zaufanie swego Monarchy i zasługiwał na nie. Znalazłem w tej korespondencji z nim dowód faktu, który tu przytaczam, a nadto wskazówkę jasną i dokładną uczuć, jakie przypisuję w mojem opowiadaniu tak Cesarzowi Aleksandrowi, jak jego dworowi. Powinnością moja jest dodać, że nie winienem bynajmniej zakomunikowania tych listów, tak ważnych dla historji, rodzinie Admirała, posiadającej te papiery i zamieszkałej we Francji.

sobie, że nie mógł nigdy działać skutecznie w tych stronach przed miesiącem Czerwcem, chciał zapewnić jeszcze sobie przedłużenie czasu przez cały miesiąc maj, i uciekł się, dla dopięcia tego, do nowych wybiegów, wybiegów, które miały stać się dla niego zgubnymi, jak gdyby Opatrzność, postanowiwszy ukarać go za jego nieroztropność polityczną zawodząc jego roztropność wojskową, popychała go sama do wszystkiego co miało go zgubić, gdyż opóźnienie to właśnie działań miało być jedną z głównych przyczyn klęsk tej wojny. Napoleon lękając się żeby Cesarz Aleksander, nie mając już przy sobie pana Lorystona nie rozpoczął wreszcie kroków zaczepnych, postanowił wysłać do niego nowego posłańca, który powtórzyłby mu to samo co p. Loryston nie raz już mu mówił, jeżeli nie innymi wyrazami, to innymi usty. Napoleon miał pod ręką osobę najsposobniejszą do tej roli; był to p. Narbonn, (de Narbonne) który wstąpił był do jego służby w 1809, jako gubernator Raabu, używany był potem za posła do Bawarii a obecnie odprawował poselstwo w Berlinie, gdzie nieszczęśliwy Król Pruski miał wiele rzeczy do zniesienia, niszczone bowiem do szczytu jego posiadłości, przeprowadzając przez nie kilkakroć setki tysięcy żołnierzy. Napoleon zalecił więc p. Narbonn udać się do głównej kwatery Cesarza Aleksandra dla powitania tego monarchy, i unikając rozpraw obcych jego posłannictwu, oświadczyć mu chęć, nawet nadzieję zbrojnych układów, któreby miały miejsce na Niemnie pomiędzy dwoma monarchami, i doprowadziłyby bez wątpienia nie do wojny, ale do odnowienia przymierza pomiędzy dwoma państwami. P. Narbonn miał dać za pobudkę swojego posłannictwa chęć zapobieżenia lub naprawienia błędów generałów, którzy przez niecierpliwość lub nierozwagę, mogliby się dopuścić jakich kroków zaczepnych bez polecenia swego rządu. Gdyby Rosjanie byli w tym przypadku, p. Narbonn powinien był okazać największe pobłażanie, i gdyby, na przykład, w chęci bardzo naturalnej strzeżenia brzegów Niemna, jak my strzeżliśmy Wisły, zajęli jaką część terytorjum pruskiego w okolicach Niemna leżących po prawej stronie tej rzeki, miał uważać to postępowanie z ich strony jako ostrożność wojenną łatwo dającą się wytłómaczyć, oświadczyć gotowość porozumienia się ugodliwym sposobem, i utrzymywać Cesarza Aleksandra przez dwadzieścia lub trzydzieści dni w myśli i podobieństwie układów, których wypadkiem byłoby zawarcie pokoju. Poruczono mu nadto uwiadomić go o następnej okoliczności dyplomatycznej.

Napoleon nie rozpoczynał nigdy żadnej z swoich wielkich wojen, nie posławszy pierwój Anglii pewnego rodzaju wezwania do pokoju.

Umyslił postąpić tak samo i tą razą, posłał list do księcia rejeta przez marynarkę Bulońską, i ofiarował mu pokój na następnych warunkach: Francja i Anglia zachowają to co nabyły do tego czasu, oprócz niektórych wzajemnych ustępstw czy to we Włoszech, czy w Hiszpanji. We Włoszech Miurat zatrzyma Neapol a zrzecze się Sycylii, która zostanie w posiadaniu Burbonów Neapolitańskich. Na półwyspie, Józef zatrzyma Hiszpanją, a pozostawi Portugalję domowi Braganckiemu. Był to, jeżeli przypominamy sobie, pokój proponowany przez p. Labuszer margrabiemu Welleslej. Nie było wielkiej nadziei, żeby propozycja ta była nawet słuchaną, ale było to oświadczenie pokoju, które mogło wyrzucić pewien skutek moralny dniem przed najstraszliwszą wojną w historii, oraz mogło dostarczyć materji do nowych rozmów z Cesarzem Aleksandrem. Panu Narbonn było szczególnie poruczone udzielić o tém wiadomości temu Monarsze, i dać mu ten nowy dowód usposobień przyjaznych i tchnących pokojem potężnego cesarza Francuzów.

Polecając Panu Narbonn tłumaczyć się tym sposobem, Napoleon zresztą odkrył przed nim samym całą prawdę, ażeby tém lepiej dopełnić swego posłannictwa. Oświadczył mu, że nie szło tu o zachowanie pokoju, którego nie chciano, ale o zyskanie na czasie, żeby opóźnić miesiącem działania wojenne, oraz zalecił mu, jak był dobrym wojskowym i dobrym postrzegaczem, ażeby przypatrzył się wszystkiemu w około siebie, ludziom i rzeczom, żołnierzom, jenerałom i dyplomatom, iżby główny sztab armji francuskiej mógł wyciągnąć jaką korzyść z tych wiadomości otrzymanych o głównej kwaterze rossyjskiej. P. Narbonn otrzymał rozkaz opuszczenia Berlina wnet po otrzymaniu listu. Powinien był wyruszyć w podróż do Wilna pierwszych dni maja.

Po zrobieniu tych ostatnich rozporządzeń, Napoleon postanowił sam wyjechać. Zamiarem jego opuszczając Paryż, było udać się do Drezna, zabawić tam dwa lub trzy tygodnie, nimby stanął na czele swych wojsk, utrzymywać tam dwór wspaniały, i wystawić na widok potęgę, któremu równiej świat może nie widział, nawet za czasów Karola Wielkiego, Cezara i Aleksandra. Cesarz Austriacki prosił o pozwolenie przybycia tam, dla widzenia się z córką, i dla przygotowania samemu trudnej roli, którą miał odegrać pomiędzy Francją a Rossją. Krol pruski wyraził takż swą chęć znajdywania się tam, dla odezwania się na korzyść swego ludu, który krocie żołnierzy w przechodzie swym niszczyły. Kiedy tacy panujący żądali widzenia się z nim, rozma-

wiania, błagania przyszłego zwycięzcy świata, nie mamy potrzeby mówić jak wielu innych ubiegało się o ten zaszczyt. Współ ubieganie się o to było ogólne, i Napoleon, który chciał zadać cios swojemu przeciwnikowi przez rozwinięcie swęj potęgi politycznej, równie jak swęj potęgi wojskowej, zadość uczynił wszystkim tym prośbom, i nazaczył całej Europie pewien rodzaj zjazdu w Dreźnie. Cesarzowa i jęj dwór miały mu towarzyszyć.

W chwili wyjazdu, skłonił się, pomimo nalegań księcia arcykanclerza, do rozporządzenia środka administracyjnego jednego z najgwałtowniejszych, który oprócz gilotyny, szczęściem równie przeciwnęj jego sercu jak jego umysłowi, czyniło rząd jego równym wszystkim rządóm rewolucyjnym, które go poprzedziły. Środkiem tym było otaksowanie zboża. Głód nie przestawał się srożyć. Zboże przedawało się po 60, do 70 franków hektolitr, cena bardzo wysoka dzisiaj, a daleko wyższa w owym czasie. Ludność skarżyła się na głód, wydając skargi bardzo słuszne i nie zważając na nie, oraz obwiniła o robienie zapasów dzierżawców i handlarzy. Dotąd Napoleon ograniczał się dostarczaniem na rynki miasta zboża pozostającego w zapasie, co nie będąc samo przez się żadnym czynem gwałtownym, było jednakże pewnym rodzajem usunięcia dobroczynnego działania handlu, stawiając się na jego miejsce. Ale gdy ten środek okazał się niedostatecznym dla utrzymania w jednęj mierze cen nawet w Paryżu, gdzie dostarczano na rynki zboże zapasowe, Napoleon nie mógł się oprzeć chęci zapobieżenia gwałtem tęj zbytecznej drożyznie, i sądząc że może postępować z handlem jak postępował z Europą, wpływem swęj wszechmocnej woli, postanowił kilka dekretami, wydanemi piérwszych dni maja, że prefekci nie tylko będą mieli władzę naznaczać cenę na zboże wedle okoliczności miejscowych, ale sprowadzać je siłą na rynek. Tym sposobem, dniem przed wydaleniem się swojęm na wojnę nieroztropną, zamierzył gwałt zadać temu, co nigdy nie podlegało gwałtowi, to jest, handlowi, naznaczając ceny samowolne. Był to jakby dowód miłości, który chciał dać ludowi francuskiemu, którego tysiące dzieci prowadził na śmierć, smutny dowód, będący tylko próżnem i zgubnem pochlebstwem, dla usmierzenia szemrań, sprawionych przez głód i konskrypcję a dochodzących aż do niego. 9 maja powierzwszy swą władzę osobistą arcykanclerzowi Kambasere i zaleciwszy żeby używał jęj nie z wiernością, gdyż o tém nie wątpił, ale z energją, o czém był mniej zapewnionym; zostawiwszy mu dla strzeżenia swęj żony, swego syna i środkowego punktu cesarstwa kilkuset starych żołnierzy gwardji cesarskiej, nie sposobnych do żadnej służby

czynnej, powtórzywszy nie tylko księciu Kambasere, ale wszystkim, którzy mieli zręczność rozmawiania z nim, że nie narażał się na żadne niebezpieczeństwo w tej wojnie, że będzie działał z powolnością, z umiarkowaniem, i że skuteczni we dwóch kampanjach, nawet we trzech, jeśli tego potrzeba będzie, co nie będzie uważał za roztropne skończyć w jednej; powtórzywszy im pokilkakrotnie te zapewnienia bez uspokojenia ich całkiem, wyjechał do Drezna z Cesarzową, otoczony nie już miłością ludów, ale ich uwielbieniem, ich bojaźnią, ich uległością: zgubny odjazd, któremu żaden opór ani ludzi, ani instytucij nie mógł przeszkodzić, gdyż co do ludzi, żaden nie miał tego wpływu, żeby mógł być słuchanym, żaden nawet nie śmiałby tego próbować; co do instytucij, nie było wtedy innych jak jego wola, ta co go popychała nad Niemen i do Moskwy!

Napoleon wysłał przed sobą księcia Bertje dla załatwienia jego spraw wojskowych, a pozostawił za sobą księcia Bassano dla załatwienia niektórych spraw dyplomatycznych, które wymagały jeszcze niejakiemu zajęcia. Postępował w towarzystwie swojego dworu wojskowego i cywilnego, z przepychem, którego żaden z panujących nie przewyższył, nie będąc mniej prostym co do swjej osoby, mniej przystępnym, jak przystało na człowieka nadzwyczajnego, który nie lękał się nigdy ukazywać się przed innemi ludźmi, będąc również pewnym działania na nich przez urok swojego gienjuszu, jak przez okazałość nieporównaną, którą był otoczony.

Przybywszy 11 do Moguncji, obrócił dzień następny na zwiedzanie fortyfikacij twierdzy, na wydawanie rozkazów, i rozpoczął dawać posłuchanie panującym, w którym miała wziąć udział, po kolei, większa część monarchów Europy. Przyjmował w Moguncji wielkiego księcia i wielką księżnę Hessen-Darmstadt, oraz księcia Anhalt-Koethen. 13 dwór cesarski przebył Ren, zatrzymał się na chwilę w Aszaffenburgu, u księcia Prymasa, zawsze szczerze uwielbiającego gieniusz Napoleona, a więcéj może jego potęgę, spotkał potém tegoż samego dnia króla Wirtemberskiego, tego dumnego monarchę, który przez swój charakter nieugięty, swój umysł przenikliwy, zjednał więcéj względów u Napoleona, niżeli go mogli otrzymać najwięksi monarchowie, i który wyrządzał mu grzeczność spotkania go na drodze, ale nie posunął pochlebstwa aż do assistowania mu do Drezna. Dwór Cesarski przepędził noc w Würtzburgu u wielkiego księcia Würtzburckiego, dawniejszego wielkiego księcia Toskańskiego, stryja cesarzowej, wysmienitego księcia, zachowującego

dla cesarza Napoleona przyjaźń, jaką powziął we Włoszech dla generała Bonapartego, przyjaźń szczerą chociaż interesowaną. Nazajutrz 14 Napoleon nocował w Bareuth, 15 w Plauen, przebywając Niemcy pośród niesłychanego natłoku ludności niemieckiej, u której ciekawość większą była od nienawiści. Jakoż nigdy władca, którego ona nienawidziła, nie zdawał się być otoczonym tak wielkim urokiem. Mówiono z pewnego rodzaju zadziwieniem i przestachem o sześciu kroć sto tysięcy żołnierzy, spieszących na jego zawołanie ze wszystkich stron Europy; przypisywano mu zamiary bardziej jeszcze nadzwyczajne, niżeli jakie miał; mówiono że dążył przez Rossję do Indji; rozszerzano tym sposobem tysiące bajek, daleko nieroztropniejszych niżeli były jego istotne zamysły, i wierzoło prawie w ich wykonanie, do tyła jego ciągle powodzenia odejmowały nadzieję spełnienia życzeń tyczących się jego osoby. Ogromne stosy drzewa były przygotowane po drogach, które po nadejściu nocy zapalano, dla oświecenia jego drogi; takim sposobem uczucie ciekawości wywoływało prawie też same oznaki co miłość i radość. 16 rano poczciwy król Saski z małżonką pospieszył aż do Frejberga na spotkanie swego potężnego sprzymierzeńca, i wieczorem razem z nim wrócił do swęj stolicy.

Nazajutrz 17 Napoleon przyjmował rano urzędników swojej korony, oraz korony Saskiej, potem książąt Niemieckich, którzy go poprzedzili lub przyjechali za nim do Drezna. Okazał się im grzecznym, ale dumnym, i musiał się im wydać upojonym swą potęgą, więcej aniżeli był nim rzeczywiście, gdyż za zbliżeniem się do niebezpieczeństwa, pewne światelka oświecały chwilowo głębie jego umysłu, i szedł na tę nową walkę nie tyle z własnego przeświadczenia, jak pociągnięty pędem wojen, któremu się dał unieść. Ale wątpliwości jego były krótkotrwałe, i przerywały zaledwo niezmierną ufność, jaką czerpał w ciągłym swem powodzeniu, w ogromie swych sił, i w samowiedzy swojego gienjuszu. Greczny z książętami niemieckimi, okazywał się całkiem przyjacielskim tylko z poczciwym królem Saskim, którego lubił i od którego był lubiony, którego wyrwał z życia prostego i prawego dla rzucenia go w odmet swych własnych wydarzeń, i którego bardziej jeszcze sobie ujął, oddając mu pod tytułem wielkiego księstwa Warszawskiego, królestwo Polskie, jedną z dawnych wielkości jego familji. Ten wysmienity król był uradowanym, chlubnym z swego znamienitego gościa, i pokazywał go z dumą swoim poddanym, którzy zapominali prawie swoich uczuć niemieckich na widok świetności udzielonych i przyobiecanych familji panującej Saskiej.

Napoleon oczekiwał w Dreźnie swojego teścia cesarza Austriackiego i cesarzowej swojej teści, pochodzącej po kądzieli z domu Modęńskiego, zaślubionej trzeciemi ślubu przez cesarza Franciszka II, małżonki Marii Ludwicy, monarchini obdarzonej wielą wdziękami, ale próżną, dumną i nie lubiącą wystawy, której chciało, żeby była świadkiem. Udając się do Drezn, za dość czynił tylko polityce swojego męża, i swój własnej ciekawości.

Cesarz i cesarzowa Austriacy przybyli do Drezn w dzień po przybyciu tam Napoleona i Marii Ludwicy, pozostawiając im tyle czasu, ile potrzeba było na rozlokowanie się w pałacu króla Saskiego. Cesarz Franciszek, który kochał swą córkę, i który niezapominając polityki swego domu, rad był że widział tę córkę szczęśliwą, otoczoną chwałą i troskliwością swojego małżonka, uściskał ją z żywą radością. Otworzył prawie z szczerą przychylnością ramiona swojemu zięciowi, i żył w Dreźnie w pewnego rodzaju niekonsekwencji, szczerzej i częściej niżeli sobie wyobrażamy, doznając już to radości że widział swą córkę tak wielką, już smutku, że widział Austrię tak uszczuploną, doświadczać tym sposobem uczuć tak rozmaitych i nie starając się zdać z nich sobie rachunku, obiecując Napoleonowi swą pomoc, uwiadomiwszy pierwój Cesarza Aleksandra że ta pomoc będzie nie nieznaczącą, powtarzając sobie, że rozważywszy wszystko uczynił jak mógł najlepiej zabezpieczając siebie razem na wypadek powodzenia jak jednego tak drugiego przeciwnika, spodziewając się jednak że więcej powodzenia Napoleona, i usposabiając się do korzystania z nich przez warunki swojego traktatu przymierza. Dusze w ogólności są tak słabe i umysły tak wahające się, że wielu ludzi, nawet uczciwych, żyje bez zgryzoty wśród podobnych zdrad, usprawiedliwiając się we własnych oczach koniecznością położenia fałszywego, często nawet nie starając się usprawiedliwić, i umiejąc bardzo dobrze unikać przez brak rozważa wyrzutów swojego sumienia.

Cesarz Franciszek przygotował swój córce szczególniejszy prezent, który malował doskonale duch dworu austriackiego. Jeden z tych biednych erudyków, jakich (należy się spodziewać) nie ma już we Francji, i jacy wtedy zdarzali się jeszcze we Włoszech, jeden z tych uczonych, co znajdują jencalogją dla każdego co je ceni i opłaca, odkrył, że w średnich wiekach Bonapartowie panowali w Trewizie. Cesarz Franciszek, rozkazawszy porobić stosowne poszukiwania, przedstawił z radością rezultat ich swojej córce i swojemu zięciowi. Ten ostatni śmiał się z tego szczerze, a może postanowił sobie korzystać w danym razie; Marja Ludwika dodała tę zabawkę do swjej nieporówna-

nej wielkości i dworacy mogli powtarzać, że ta familja była przeznaczoną od wieków do panowania nad ludźmi.

Cesarzowa austriacka, której Napoleon dawał oznaki największego uszanowania, uszczęśliwiona jego uprzejmością, zazdroszcząca niekiedy przepychowi otaczającemu jęj pasierbicę, ale pocieszona tysiącami prezentów, które otrzymywała codziennie, okazywała się przychylniejszą dla Napoleona, pozostawiając zwykłe swe oczernienia na czas powrotu do Wiednia. Napoleon, który nie ustąpiłby kroku żadnemu monarsze świata, ustąpił go tą razą swojemu teściowi z synowskiem uszanowaniem, i nie przestawał dawać ręki swojej macoszce z największą uprzejmością, tak że cesarz Franciszek był zachwycony rolą, jaką odegrywał w Dreźnie, jak gdyby dom austriacki odzyskał coś przez tę uprzejmość z tego co utracił.

Pierwszego dnia znajdowano się na wspianalęj uczcie u króla Saskiego, ale następnych dni Napoleon sam, którego sprzęt domowy przywieziony został do Drezn, przyjmował u siebie licznych panujących co wyjechali na jego spotkanie, nawet króla Saskiego, który w swojej własnej stolicy zdawał się raczej przyjmować gościnność, niżeli jęj udzielać. Tłum niezmierny napełniał Drezn, chociaż Napoleon usunął, wysyłając do Poznania, wszystko co było wyłącznie wojskowem, aż do swojego szwagra Miurata, aż do swojego brata Hieronima, którzy musieli się znajdować w swych głównych kwaterach. Pomimo tęg ostrożności, napływ książąt, ich wielkich urzędników, ich ministrów, był nadzwyczajny. Skoro Napoleon wyjeżdżał konno lub powozem, tłumy gromadziły się dla widzenia go, tak że potrzeba było, iżby grenadierowie sascy, którzy sami tylko wtedy go otaczali, rozpędzali go bezustannie dla zapobieżenia nieszczęśliwym przypadkom. Wewnątrz apartamentów cesarskich nacisk był niemniej wielki. Spieszono na spotkanie jego, skoro się ukazał; popychano się, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, otrzymać słowo, spojrzenie; potem spostrzegając, że z wielkiej niecierpliwości potracono osobę wysokiego znaczenia, pierwszego ministra, króla może, cofano się z uszanowaniem, wymawiano się, i zaczynało znowu spieszyć za przedmiotem wszystkich tych zabiegów. Najznakomitsze osoby polityczne nie były mniej skoremi do znajdowania się na jego drodze, gdyż do chęci pokazania się obok niego, otrzymania zaszczytu rozmawiania z nim, łączyła się ciekawość, chęć odkrycia niektórych jego zamiarów ze sposobu jego tłumaczenia się, chociaż po oddaleniu się z tego zgiełku, kiedy rozumiano że zostawano w bezpieczeństwie od uszu ciekawych, od ust niewiernych, zapytywano siebie, czy ta zaślepiająca scena nie

była bliską tragicznego rozwiązania, czy w odległościach, w mrozach, na które zdobywca miał się narazić, nie będzie jakiej nadziei pozbycia się nienawidzonego potajemnie jarzma, chociaż publicznie uwielbianego. Ale nacieszywszy się na osobności temi nadziejami, powracano wkrótce do bojaźni, uległości, przypominając sobie ciągłe szczęście Napoleona, wrócono mu wtedy, nadewszystko publicznie, same zwycięstwa, ogłaszano go niezwykłym, przypisywano Cesarzowi rosyjskiemu nieroztropność, i jeżeli nie powiadano tych rzeczy Napoleonowi, do którego przystęp, pomimo jego uprzejmości, był trudny, powtarzano to p. Bassano, który świeżo był przybył do Drezna, i którego próżność połykała z rozkoszą kadzidła, w których pycha Napoleona nie znajdowała przyjemności. Lecz te wszystkie wspamiętałe reprezentacje były zasłoną rzuconą na bezustanną działalność polityczną i wojenną. Tysiące kurjerów assistujących Napoleonowi rozwoziło jego niezliczone rozkazy, które wydawał w nocy, jeśli ich nie mógł wygotować we dnie.

Miał szczególnież z królem Pruskim, wezwanym na to zebranie i jeszcze nie przybyłym, kwestje dość ważne i dość delikatne do załatwienia. Narzekania ludów niemieckich z powodu przejścia wojsk, stały się ogólnemi i gwałtownemi. Napoleon liczył, dla karmienia swych armij podczas pochodu, na zboże, które Prusy obowiązały się dostarczyć za cenę umówioną. Ale nie chcąc objawić kierunku ruchów, nie powiedział zawczasu jakimi drogami przechodzić będą jego wojska, musiały więc one tam kędy przechodziły spożywać żywność ludności. Żołnierze marszałka Dawu, zawsze wcześniej należycie zaopatrzeni, oraz żołnierze marszałka Udino, którzy byli zaledwo wyszli z rąk marszałka Dawu, wyrządzali mniej złego, gdyż doznawali mniej potrzeb. Ale żołnierze marszałka Neja i księcia Eugienjusza, przychodząc z daleka, ucierpiawszy dużo i licząc w swoich szeregach wielu Niemców, bardzo źle się sprawowali. Wirtemberczycy w korpusie Marszałka Neja, Bawarczycy w korpusie księcia Eugienjusza, obudzili krzyki boleści na swój drodze, mało dbając o ściąganie na siebie nagany, która miała więcej tyczyć się Francuzów niżeli ich. Ważniejsza jeszcze okoliczność była zaszała. Napoleon, chociaż miał na Odrze Szczecin, Kiestryn, Głogowę, a na Elbie Magdeburg i Hamburg, chciał mieć wstęp do Spandawy, nadewszystko z powodu Berlina, od którego ta forteca leży w niewielkiej odległości. Potrzeba mu było takż Piławy, która była kluczem do Fryshaffu, tego pięknego morza wewnętrznego, za pośrednictwem którego można było dojść wodą z Gdańska do Królewca, nie lękając się spotkać Anglików. Zaledwo

uczyniono wzmiankę o tych twierdzach w traktacie przymierza, powiedziano tylko że Prusy będą tam miały samych wysłużonych żołnierzy, a Francuzi będą mogli tam złożyć swe zasoby wojenne. Korzystano z tych podstępnych punktów umowy dla opanowania Spandawy i Piławy. Wprowadzono tam najprzód z zasobem wojennym artyllerzystów francuzkich dla pilnowania go, a wkrótce bataljony piechoty. To zrobiło wielkie wrażenie w Berlinie, i p. Narbonn, który zajmował się temi sprawami przed wyjazdem swoim do Wilna, pomimo swój zręczności, nie zdołał uspokoić w tej mierze króla Pruskiego i p. Hardenberga. Obaj oni zaczęli doznawać dawniejszej obawy. Król chciał widzieć się koniecznie z Napoleonem, ale będąc zawsze smutnym od czasu poniesionych klęsk, nienawidząc zabaw i okazałości, sądząc że widzi w oczach każdego obrażającą dla siebie litość, czując niedogodność swego położenia u siebie, tém bardziej u innych, życzyłby raczej przyjmować Napoleona w Poczdamie, nizeli pośród okazałości Drezna, pójść przedstawiać mu swe obawy, swe smutki, swe naglące potrzeby. Jednakże chcąc rozmówić się z nim gdziekolwiekbądź, dla zapewnienia się o jego zamiarach, dla uwiadomienia go o narzekaniu ludów, był gotów udać się do Drezna, jeżeliby tego koniecznie potrzeba było, i wysłał p. Hatzfeld do Napoleona dla pomówienia z nim w tym przedmiocie. P. Hatzfeld był to ten sam magnat pruski, którego Napoleon tylko co nie kazał rozstrzelać w 1806 a który później zostawał u niego w wielkich łaskach (co dowodzi, niezależnie od przyczyn wyższego rzędu, że nie należy się spieszyć z rozstrzeliwaniem ludzi), i który teraz przybywał przełożyć Napoleonowi życzenia swego monarchy.

Napoleon przyjął go dobrze, i uspokoił go o ile mógł; ale nie życząc sobie słyszeć zanadto zbliżka narzekania Prusaków, ani też tracić czasu zbaczając znacznie z drogi, chcąc nadewszystko uzupełnić obecnością króla Pruskiego wielkie widowisko, jakie dawał w Dreźnie, kazał powiedzieć królowi, że Poczdam nie był na jego drodze, że niepodobna mu było przejeżdżać tamtędy, i że życzył sobie bardzo rozmówić się z królem w Dreźnie. Życzenie to było rozkazem, który natychmiast przesłany został królowi Fryderykowi Wilhelmowi.

P. Bassano, przybywając do Drezna, przywiózł tam z sobą inne sprawy niemniej ważne, najprzód odpowiedź Anglii na ostatnią propozycję pokoju ze strony Francji, potem opis postępków bardzo szczególnego i całkiem nieprzewidzianego księcia Kurakina. Ministerstwo angielskie przyjęło z mniejszą wyniosłością jak zwykle tę nową propozycję pokoju, przyjęło go jako gabinet znudzony walką, ale po dłu-

giem doświadczeniu niedowierzający. Przyznanie Sycylii domowi Burbońskiemu, Portugalji domowi Braganckiemu, mogłoby go zaspokoić, pomimo wszelkich innych zmian poczynionych w Europie, gdyby dodano do tych ustępstw powrót korony hiszpańskiej Ferdynandowi VII, nie dla tego żeby rząd angielski dbał bardzo o więźnia w Walansej, ale że publiczność londyńska przejęta zapalem dla Hiszpanów, nie chciała ich opuścić. Był więc początek zbliżenia się w żądaniach obu państw, ale oprócz przeszkody zawsze istniejącej i zawsze niepokonanej co się tyczy korony hiszpańskiej, gabinet angielski zdawał się nie wierzyć, że propozycja była na serio robioną, chociaż przyjmował ją grzeczniej niżeli zwykle.

Ta odpowiedź zresztą Anglii na nasze propozycje nie miała więcej wagi niżli same propozycje, ale ostatni postępek księcia Kurakina zrobił większe wrażenie na Napoleona. Ciągłe zajęty staraniem opóźnienia kroków nieprzyjacielskich do miesiąca czerwca, ażeby pozostawić dość czasu dla wzrostu trawy i dania odpoczynku swym wojskom dni ze dwudziestu nad Wisłą, nie przestał lękać się pomimo wszystkich tych ostrożności, nagłego rozpoczęcia nieprzyjacielskich kroków ze strony Rossjan. Owoż, postępek księcia Kurakina był tej natury, że utwierdzał go w jego obawach. Ten książę lubiący przepych i łagodnego charakteru, bardzo przywiązany do pokoju i pracujący bezustannie nad jego utrzymaniem, żądał jednakże dniem przed wyjazdem księcia Bassano wydania mu paszportów. Powody, które go przywiodły do tego kroku, a które wtedy dość trudne były do odkrycia, były nie inne jak następne. Najprzód odmawiano mu oddania służącego ambasady, zamięszanego w sprawie urzędnika ministerstwa wojny; urzędnik ten był sądzony, przekonany o winie i rozstrzelany; służący zostawał pod aresztem, potem, nie przystąpiono do roztrząśnienia propozycji przywiezionych przez p. Serdobina, gdyż nie chciało się wytłómaczyć, oraz dla tego, że warunek cofnięcia się aż do Odry nie mógł być żadną miarą przyjętym. Książę Kurakin, drażliwy, chociaż dosyć skłonny do zgody, uważał tę odmowę i to milczenie za pogardę tyzczącą się jego osobiście, sądząc że w stanie, do jakiego doszły rzeczy, narażonym będzie w Paryżu na upokorzenie coraz większe, żądał, bez rozkazu swojego rządu, wydania swoich paszportów. Książę Bassano starał się okazać mu całe niebezpieczeństwo podobnego kroku, objaśniał mu odmowę wydania potrzebowanego przezeń służącego naturą obwinień ciążących na tym służącym, odmowę zaś prowadzenia układów na podstawach przywiezionych przez p. Serdobina niepodobieństwem przyjęcia propozycji ruchu wstecznego

i tym sposobem potrafił skłonić go do cofnięcia lub zawieszenia żądania swych paszportów. Ale pozostawał sam fakt tego żądania trudnego do wyjaśnienia, a Napoleon tak wielką uwagę przywiązywał do swojego planu, że najmniejsza wątpliwość względem wykonania tego planu napełniała go niespokojnością. Wojskajego odpoczywały nad Wisłą od pierwszych dni maja. Trwał w swoim przedsięwzięciu pozostawienia ich tam aż do początku czerwca, po tem obróceniu dwóch tygodni na przeniesienie ich nad Niemen, i rozpoczęciu tym sposobem kroków nieprzyjacielskich w połowie czerwca. Lękając się ażeby Cesarz Aleksander nie był mało powściąganym od czasu jak nie miał przy sobie pana Lorystona, nie licząc wiele na wpływ p. Narbonne, obmyślił nawet po wszystkich uczynionych już przez siebie rozporządzeniach, nowy środek dla zapobieżenia niebezpieczeństwu, którego się lękał. P. Loryston pozostał w Petersburgu, jak p. Kurakin w Paryżu, po wyjeździe obu cesarzów. P. Loryston, chociaż doznający zawsze zwykłej uprzejmości, nie widywał się z nikim, spotykał się niekiedy z p. Soltykowem, spełniającym obowiązki ministra spraw zewnętrznych w nieobecności kanclerza, ale spotykał go, żeby mu nic nie powiedzieć, i nic od niego nie posłyszć. Napoleon wysłał 20 maja rozkaz, ażeby żądał paszportu dla wyjechania natychmiast do Wilna, dla widzenia się z cesarzem Rossyjskim w ważnym interesie, który mógł tylko zakommunikować jemu samemu lub kanclerzowi; po przybyciu do Wilna, żeby widział się z Cesarzem Aleksandrem i p. Rumiancowem; żeby uwiadomił ich o żądaniu paszportów przez księcia Kurakina, żeby się użalał bardzo na ten krok tak nagle nieprzyjazny, żeby się użalał również na warunek przywieziony przez p. Serdobina, a zależący na wymaganii, ażeby przed przystąpieniem do układów oczyszczono Stare Prusy (skarga ta była nieuzasadnioną, gdyż oczyszczenie powinno było nastąpić po układach, a nie poprzedzić je); żeby oświadczył, że w żadnej epoce, po bitwach pod Austerlitz, pod Friedland, Napoleon nie narzucał Cesarzowi warunku tak ubliżającego jego godności, żeby się zapytał wreszcie, czy stanowczo chcą wojny, czy chcą ją uczynić nieuchronną i zawziętą, obrażając honor przeciwnika, który nie liczył słabości pomiędzy swojemi wadami, ani pokory pomiędzy swemi przymiotami. Jeśliby pan Loryston nie otrzymał pozwolenia widzenia się z Cesarzem Aleksandrem, co byłoby zbyt surowością, gdyż ambasador może zawsze rościć prawo przedstawienia się panującemu, przy którym jest akredytowanym, miał żądać swoich paszportów. Ale te nowe żądania przesłane do Wilna, mające wywołać odpowiedzi z Wilna do Petersburga, zabrały-

by zawsze nieco czasu, a ponieważ szło tylko o pozyskanie piętnastu do dwudziestu dni czasu, można się było spodziewać, że cel ten dopiętym zostanie. P. Loryston, jeśliby otrzymał pozwolenie udania się do Wilna, miał obserwować wszystko wprawni oczyma wojskowego, wysyłać nawet każdego dnia dobranych kurjerów do głównej kwatery francuzkiej, gdyż, dodawał Napoleon, w tej chwili rozpoczęcia nieprzyjacielskich kroków, kiedy wszystkie komunikacje stawały się trudniejszymi, niżeli w wojnie samej, roztropny kurjer przebywający przednie strażę, jest najlepszym ze szpiegów.

Inne jeszcze sprawy ściągały na siebie uwagę Napoleona, pośród uroczystości w Dreźnie. Jakoż Szwecja, Turcja, miały czém zaprzętnąć jego uwagę. Otrzymano ze Sztokolmu nowe wiadomości, które zdawały się pochodzić od księcia następcy; były one tej natury, iż można było przypuszczać że książę ten da się nakłonić do zgody, i Napoleon, który nie wyobrażał sobie do jakiego stopnia nienawiść opanowała to serce, do jakiego stopnia ambicja Szwedów zwróciła się od Finlandji do Norwegji i który zresztą nie wiedział o tajemnym traktacie, zawartym 5 kwietnia, powziął znowu niejaką nadzieję zrobienia dywersji z boku Rossjanom za pośrednictwem trzydziestu lub czterdziestu tysięcy Szwedów. Dla tego oczekiwał z niecierpliwością na p. Synjel, którego przybycie powielekroć już zapowiadano, ale który jeszcze nie przybywał.

Wiadomości z Turcji zdawały się także obiecywać dywersję równie ważną. Napoleon wiedział jeszcze tylko o wypadkach, które spowodowały wysłanie admirała Czyczagowa nad niższy Dunaj, to jest, o odmowie Turków wejścia w układy i odnowienie z ich strony nieprzyjacielskich kroków z Rossjanami. Nadto, Turcy sądząc, że są oszukiwani przez wszystkich, i chcąc wszystkich nawzajem oszukiwać, nie wydawali się z tém, że odmawiając Mołdawji i Wołoszczyzny, byli gotowemi dla otrzymania pokoju poświęcić Bessarabję, i ażeby zachęcić Francuzów do rozpoczęcia niezwłocznie kampanji, obiecywali im swe przymierze, którego nie mieli nigdy zamiaru zawrzeć. Napoleon, który, opuszczając Paryż, mianował swoim ambasadorem w Konstantynopolu generała Andreossy, człowieka uczonego i powszechnie poważanego, wysłał mu naglące instrukcje dla zawarcia ostatecznie przymierza z Turkami, i oświadczenia im, że równo z przybyciem tych nowych instrukcyj, kroki nieprzyjacielskie będą rozpoczęte. Miał więc nadzieję, że prowadząc już z sobą Prusaków i Austrjaków przeciwko Rossjanom, potrafi także rzucić na ich boki z jednej strony Szwedów, z drugiej Turków.

Pozostawała do załatwienia, przed zapuszczeniem się w głąb krain północnych, Polska. Zdrowy rozsądek Napoleona wskazywał mu, że nie wiele może liczyć na poświęcenie się całego narodu. Wyższa szlachta była niezgodną, drobniejsza zrujnowaną, lud zajęty całkiem ciężką walką z nędzą; nikt wreszcie nie był do tyła przeświadczony o pomyslnym skutku tego przedsięwzięcia, żeby się mu oddać ciałem i duszą. Należy jeszcze dodać, że blokada lądowa, uciążliwa nadewszystko dla Polaków, nie mogła u nich zjednać wiele przychylności dla Francji, a całkiem odstręczyła od niej żydów, którzy w ciągu wojny mogli być bardzo użytecznymi z powodu swych zasobów handlowych. Zapał znajdował się prawie wyłącznie w wojsku, którego część walczyła z nami we Włoszech, w Niemczech, w Hiszpanji, którego druga część, sformowana przez księcia Poniatowskiego, ale która wyszła także z naszej szkoły, odznaczyła się w roku 1809, w obronie Wielkiego Księstwa. Korpus zostający pod dowództwem księcia Poniatowskiego liczył w sobie około 36 tysięcy żołnierza. Prócz tego, 9 do 10 tysięcy Polaków połączono w jedną dywizję, która pod dowództwem generała Grandżan, służyła w korpusie marszałka Dawu; i równą prawie liczbę w drugą dywizję, która pod dowództwem generała Żywar, służyła w korpusie rezerwowym marszałka Wiktora. Wreszcie, przybywały z Hiszpanji, 3 pułki, które Napoleon chciał umieścić w swojej gwardji. Stanowiło to, z niektórymi załogami rozrzuconymi w Gdańsku, Modlinie, Warszawie, z kilką pułkami ułanów polskich, ogólną liczbę 70,000 żołnierza. Napoleon liczył więc tylko na podobieństwo powiększenia armji polskiej do 150,000 może nawet do 200,000, z tym jednakże warunkiem, żeby przyjął na siebie koszt jej uorganizowania, gdyż Polska zrujnowana, nie była w stanie ich pokryć. Potrzeba było na to wydać pięćdziesiąt, może nawet sto milionów, zgromadzić w jeden korpus wszystkich żołnierzy polskich, zamiast trzymania ich rozproszonych w ogromie armji francuzkiej, i użyć całej kampanji na wcielenie do tego korpusu 120,000 rekrutów, zaciągniętych od Wisły do Niemna. Ale było rzeczą małoprawdopodobną, żeby Napoleon chciał, przybywając z tak daleka, ograniczyć się na roli instruktora Polaków, a nadewszystko wydać na ten cel tak znaczną część swych zaoszczędzonych dochodów. Nie mając ogromnych zasobów kredytu, zapewniając tylko sobie środki finansowe przez utrzymanie porządku, mając tak liczne armje do przekarmienia, stał się prawie skąpym. Widzieliśmy jak odmówił bratu Józefowi summ, które niezmiernie ułatwiłyby uspokojenie Hiszpanji, jak się przemówił cierpko z Miuratem, z Hieronimem, z Ludwikiem,

z powodu uregulowania rachunków, których ważność nie zdawała się zasługiwać na to; i można powiedzieć, że był równie hojnym w rozlewaniu krwi swych ludów, jak oszczędnym co do ich pieniędzy, wiedząc, że one przywiązane są prawie tyle do swych pieniędzy co do swego życia.

Nie licząc tedy wiele na Polaków, spodziewał się jednakże, że otrzyma od nich przynajmniej żołnierzy i pieniędzy. W tym celu postanowił wybrać człowieka znakomitego, dla wystania go do Warszawy z tytułem ambassadora, któryby kierował działaniami Polaków, pobudzał ich do zwołania sejmu walnego i sejmików, do podwojenia, potrojenia armji księcia Poniatowskiego. Ambassador ten, równie ostrożny jak śmiały, powinien był zdolnym być do wywarcia wielkiego wpływu, i samém nazwiskiem swoim wskazywać ważność przedsięwzięcia, do którego był użyty. Dla spełnienia tego trudnego posłannictwa, Napoleon miał z początku na myśli pana Tallejranda, i chociaż ten człowiek niedbały i szyderyczy miał mało zapалу do takiej roli, był bardzo trafnie wybrany, gdyż oprócz tego że w swoim życiu był wszystkiem, posiadał sztukę pochlebiania namiętnościom, zręczność niemi kierowania, wielkość osobistą, które go czyniły bardzo zdolnym do spełnienia tego poruczenia. Prócz tych zdolności, posiadał jeszcze tę korzyść, która nie była do pogardzenia, że był powiernikiem, ulubieńcem aż do przeniewierstwa dworu wiedeńskiego, a ztąd mniej niżeli kto inny nabawiłby niepokojności ten dwór w spełnieniu poruczenia, które było drażliwem. Ale z tej właśnie przyczyny projekt ten nie przyszedł do skutku, gdyż, z pewnym rodzajem niecierpliwości nie zbyt godnym jego, dopuścił się w tym przedmiocie w Wiedniu, czy to dla nabrania większej wagi w oczach tamtejszego dworu, czy dla przypodobania się mu, pewnych nieostrożnych mów, które niepodobały się niezmiernie Napoleonowi, obudziły w nim nowe podejrzenia, i skłoniły go tym sposobem do zaniechania pożytecznego narzędzia. Przestał więc myśleć o p. Tallejrandzie, i po przybyciu do Drezna, szukając w koło siebie kogoby miał wysłać do Warszawy, wybrał wreszcie jednego arcybiskupa, gdyż ksiądz był dość odpowiednim dla Polski. Był nim arcybiskup Małiński (de Malines) p. de Pradt. Trudno było wybrać człowieka, któryby miał więcej rozumu, a mniej taktu w postępowaniu. Bez związku w myślach, bez sztuki obchodzenia się z rozmaitemi stronnictwami, bez żadnej z wiadomości administracyjnych, zdolny tylko do dowcipnych

słówek, prócz tego dość bojaźliwy, mógł tylko przydać do zamieszania ogólnego, zamieszanie własnego swego umysłu. Ale Napoleon, bardzo ograniczony w wyborze osób do użycia w takim kraju jak Polska, znajdując pod swą ręką pana de Pradt, który był przy nim wielkim jałmużnikiem, kazał nagle przywołać do siebie tego prałata, zapowiedział mu jego posłannictwo, wskazał mu onego chód i cel krótko i nakazująco, a zresztą z zupełną szczerością. Ruszaj, księżę arcybiskupie, rzekł w końcu do niego, ruszaj natychmiast, nie żałuj pieniędzy, nie narażając mię na kłótnię z Austrią, a pojdziesz należycie i spełnisz swe posłannictwo. To powiedziawszy, pożegnał arcybiskupa, nie dawszy mu czasu zrobić jakiegokolwiek zarzutu, którego wreszcie ten nie myślał robić, chociaż się z tém później chlubił. Arcybiskup usłuchał, razem przestraszony i olśniony swoim poruczeniem, gdyż miał ambicję zostawania w swoim czasie jednym z tych wielkich polityków, których duchowieństwo dostarczyło niegdyś tak zadziwiające wzory; ale nie miał on ani cierpliwości, ani odwagi roli, której się podejmował, i zaledwo ją rozpoczął, miał już do niej wstąpić i czuł pewną obawę. Naznaczono mu wysoką pensję, i kazano wyruszyć natychmiast w drogę do Warszawy. Naznaczenie jego było tak nagłym, że nie miał w swém rozporządzeniu żadnej z rzeczy, których potrzebował dla nadania blasku swojej ambassadzie; pożyczzył więc pieniędzy, służących, sekretarzy i udał się do miejsca swego przeznaczenia.

Napoleon poświęcił już był parę tygodni na te rozmaite zajęcia, i gotował się do odjazdu, kiedy król pruski, pośpieszywszy z wybraniem się w drogę, przybył do Drezna, dla uzupełnienia tam liczby ukoronowanych osób. Przyjechał on 26 maja i był przyjętym ze względami, na które zasługiwał jego charakter, godny szacunku, oraz jego stopień, wysoki jeszcze pomiędzy monarchami, pomimo nieszczęść Prus.

Napoleon mówił mu otwarcie o swoich projektach, do których zniszczenie Królestwa Pruskiego bynajmniej nie wchodziło, jakkolwiek mówiono o tém w Berlinie i w całych Niemczech, zniszczenie, które jednak mogło urzeczywistnić się natychmiast, skoroby miał powód niedowierzać potędze, której terytorjum było nieuchronną podstawą jego działań. Potrafił ubezpieczyć w tym względzie Fryderyka Wilhelma i jego kanclerza, p. Hardenberga, przekonać ich, że zajęcie Spandawy i Piławy, było skutkiem nie tajemnej myśli, ale ostrożności bardzo naturalnej, skoro się zapuszczano tak daleko, gdzie się miano znajdować pośród ludności najnieprzyjaźniejszej; tłómaczył się z nie-

szczyć zadawanych poddanym króla, przytaczając za wymówkę nagłość i nieuchronność potrzeb, i zgodził się na wniesienie w rachunek otwarty z Prusami wszystkich dostarczeń wyciśnionych na mieszkańcach przez korpusy będące w pochodzie; przyobiecał wreszcie królowi i jego ministrowi hojne wynagrodzenie terytorjalne, w razie jeżeli wojna będzie pomyslną. Jednakże, pomimo jasności swój mowy, pełnej tak otwartości jak wyniosłości, nie potrafił udzielić ani królowi ani ministrowi tego bezpieczeństwa zupełnego, którego potrzebowali, żeby stać się szczeremi, i którego zresztą nie mógł udzielić zdobywca tak szybko działający i tak zmienny w swych zamiarach, który od swojego ukazania się na świat, nadawał co rok odmienną postać lądowi europejskiemu. Jednakże król Fryderyk Wilhelm, który miał zamiar z początku oddalić się do Szląska, ażeby nie zostawać w Poczdamie pod wystrzałami armat Spandawy, lub w Berlinie pod władzą gubernatora francuzkiego, zgodził się nie opuszczać swój królewskiej rezydencji, ażeby okazać swemu sprzymierzeńcowi zaufanie, które mogłoby wyrzucić wpływ zbawienny na umysł ludów. Król przedstawił swojego syna Napoleonowi, prosił o przyjęcie go za jednego z adjutantów, i okazywał się mniej smutnym niżeli zwykle, chociaż odbierał w tém liczniem zgromadzeniu książąt, mniej względów, niżeli na nie zasługiwał, i niżeli mu ich okazywał sam Napoleon. Ludzie, czy to na wyższym, czy na niższym stopniu, są nie zbyt wspinałomyślni dla nieszczęścia, i lubią tylko potęgę, chwałę i światłość. Nieszczęście rozdzierające wrzusza ich jako widowisko; nieszczęście smutne i tajone znajduje ich zimniemi, niedbającemi, skoremi do unikania go. To właśnie miało miejsce tutaj; i nie jeden z tych książąt, który się sprzedał Napoleonowi za kawał ziemi, znajdował złem, że dla ocalenia resztki swój korony Fryderyk Wilhelm wszedł w przymierze z Francją. Jednakowoż zachowywano się ostrożnie, gdyż zostawano w obec straszliwego pana, który nie dozwoliłby żadnego nieprzyzwoitego kroku w swój obecności. Przystawano tylko na zaniedbywaniu nieszczęścia i ofiarowano fortunie, pośród zgietku niesłychanego przyjeżdżających i odjeżdżających, ucztę i bicia czołem, którym, dla uzupełnienia téj dziwnej sceny, nie brakowało ani życzeń tajemnych przeciwko temu, który był przedmiotem tych nadskakiwań, ani cichych poszeptów, bardzo tajemnych także, o niebezpieczeństwach, na które wkrótce miał się narazić.

Miesiąc maj miał się ku schyłkowi, pora działań wojennych nadchodziła, wypadało więc położyć koniec téj reprezentacji, która niepotrzebnieby się przedłużyła, skoro wpływ polityczny, jakiego po niej

oczekiwano, został osiągnięty. Zresztą, p. Narbonn już był powrócić z Wilna, dopełniwszy swego posłannictwa, które mu poruczono przy Cesarzu Aleksandrze. Przynosił on z sobą to przekonanie, że wojna była nieuchronną, chyba gdyby się wyrzeczono wymagań, które roszczono pod względem kwestji handlowej, i gdyby obiecano oczyścić posiadłości pruskie w bardzo krótkim czasie. Utrzymywał, że Cesarz Aleksander smutny, ale determinowany, będzie toczyć uporną walkę, cofać się raczej, gdy tego potrzeba będzie, w głąb' swojego państwa, niżeli zawrze pokój niewolniczy, jaki zawierali dotąd monarchowie europejscy, że należało przeto oczekiwać wojny ciężkiej, zapewne długiej, i bez wątpienia bardzo krwawej. Zresztą utrzymywał, że Cesarz Aleksander nie rozpocznie pierwszy kroków nieprzyjacielskich. Chociaż Napoleon, za zbliżeniem się trudności, widział lepiej ich wielkość, nie było takiego w wiadomościach p. Narbonn, coby mogło go zachwiać. Był jeszcze w tój chwili pełen nadziei pod względem Porty i Szwecji; odjeżdżał zadowolony uległością panujących niemieckich, a szczególnie dwóh głównych pomiędzy nimi, Cesarza austriackiego i Króla pruskiego. Oszukany, pomimo swój głębokiej przezorności, uszanowaniem pozorném wszystkich tych panujących, wielkich i małych, oświadczeniami ich przychylności, napływem samego ludu, który wiedziony ciekawością, zbiegał się na jego drodze, sądził że wszystko pozostanie mu uległóm na stałym lądzie, i że siły połączone Europy dopomogą mu w jego zamiarach. Jedna rzecz tylko go zadziwiała, nie nabawiając go jednakże niespokojności, to jest, determinacja Cesarza Aleksandra, którego nie spodziewał się znaleźć tak wytrwałym i niezachwianym, jak mu opisywano; ale pochlebiał sobie że przełamie jego opór jakim wielkim ciosem, wymierzonym na armję rossyjską. Nadto, że wszystkiego tego, o czém mu donosił p. Narbonn, jedna rzecz tylko zajęła go prawdziwie, to jest, oświadczenie powtórzone przez Cesarza Aleksandra, że nie będzie napastnikiem i dozwoli przejść swoję granicę, nim sam nie zacznie działać. To oświadczenie udzielało Napoleonowi zupełnego bezpieczeństwa co do ukończenia spokojnie swoich ruchów przygotowawczych, i był wtedy zapewniony, że będzie miał czas potrzebny na przebycie przestrzeni od Wisły do Niemna. Ale uważał przytém że chwila odjazdu nadeszła, gdyż potrzeba mu było od 1 do 15 czerwca przeprowadzić swą armję z nad Wisły do Niemna, nadewszystko chcąc iść bez pośpiechu. Postanowił więc opuścić Drezno 29 maja, ażeby się udać przez Poznań, Toruń, Gdańsk, Królewiec, nad Niemen. Okazawszy teściowi swemu uprzejmość całkiem synowską, teści swojój wyszu-

kaną grzeczność, obdarzywszy ją wspaniałemi podarunkami, i przywiódłszy nieraz znaną nieżyczliwość téj monarchini do niekonsekwencji, po okazaniu największych względów królowi pruskiemu, najszczerzej przyjaźni swemu gospodarzowi, królowi saskiemu, i grzeczności dumnej ale uprzejmej swoim królewskim gościom, uściśnięt cesarzową ze wzruszeniem, i pozostawił ją więcéj zasmuconą, aniżeli by należało się spodziewać po małżonce, którą polityka wybrała, ale która prędko ujętą została osobą, potęgą i nadzwyczajną dobrocią dla niej swego pełnego chwały małżonka. Umówiono się że się ona uda do Pragi, na łono swéj rodziny, zapomnieć tam pośród uroczystości, hołdów, wspomnień dzieciennego wieku, tego rozłączenia, które było pierwszym, i którego zdawało się wtedy, że nie będzie mogła długo przenieść.

Napoleon, po tych pożegnaniach, pozostawiając cesarzowej cały przepych, biorąc tylko z sobą sprzęt wojskowy, w towarzystwie pp. Kolękur, Bertje, Diuroka, a pozostawiwszy w Dreźnie dla ukoniecznienia tam niektórych spraw, pp. Bassano i Dariu, odjechał do Poznania 29 maja, rozszerzywszy pogłoskę, że się ma udać do Warszawy, chociaż bynajmniej nie miał tego zamiaru. Jakoż chciał on okazać nieprzyjacielowi, że jego pierwsze usiłowania zwrócą się na Wołyń, wówczas kiedy miał zamiar skierować je w kierunku zupełnie przeciwnym.

Przybywszy do Głogowy, później do Poznania, znalazł wszędzie świeże ślady cierpień, które wojska jego zadały ludności. Mało dbając o te, których doznali Prusacy, okazał się mniej obojętnym na te, którym podlegali Polacy. W Toruniu oburzony był sam nadużyciami, jakie popełnili tam Wirtemberczycy, Bawarczyey i w ogólności Niemcy, którzy będąc mniej bezinteresownemi od Francuzów, zrabowali, spustoszyli bez litości całe Księstwo Poznańskie. Napoleon wymawiał to z goryczą marszałkowi Nej, który miał Wirtemberczyków w swoim korpusie, księciu Eugenjuszowi, który miał w swoim Bawarczyków, obszedł się bardzo surowo z księciem, dziedzicznym wirtemberskim, który dowodził swém własnym wojskiem, i narzekał, że ściagną na niego nową wojnę portugalską, jeśli wojsko będzie tak niszczyć kraje, przez które przechodzi. Cóż będzie, gdy się znajdą w krainach zniszczonych już przez nieprzyjaciela?

Chociaż było może cokolwiek do zarzucenia postępowaniu wodzów, którzy ściagnęli na siebie te wymówki, ale mogli oni przytoczyć na swe usprawiedliwienie długość drogi, którą musieli odbywać, i do przebycia której, czas wyznaczony, chociaż bardzo długi, zaledwo

wystarczał. Książę Eugienjusz, przybywając z Werony z Francuzami i Włochami, z Augsburga z Bawarczykami, marszałek Nej przybywając z Moguncji, z większą częścią swych wojsk, znajdowali wielką trudność w zadość uczynieniu potrzebom swych żołnierzy, i nie mogli im zadość uczynić, jak żyjąc kosztem kraju, który przebywali. Trudność ich położenia zwiększoną jeszcze była liczna artylleryją, którą Napoleon kazał im zabrać z sobą, a nadewszystko przez mnóstwo wozów, użytych do przewożenia żywności. Rodzaj wozów wprowadzony dla zastąpienia miejsca dawniejszych jaszczków piechoty, uznany został za nadto ciężki na równiny błotniste Litwy, i dla tego przenoszono nad nie, lekkie wozy, zwane *à la contouase*. Porzucano więc pierwsze dla zastąpienia ich drugimi, o tyle przynajmniej o ile dało się to uczynić. Marszałek Dawu zajmując się wszystkiem, kazał sporządzić znaczną ilość tych wozów *à la contouase*. Tam gdzie ich niedostawało musiał użyć, za opłatą, wozów krajowych. Doznano jeszcze wiele innych zawodów. Woły, któremi probowano zastąpić konie, okazały się w praktyce nie tak dogodnymi jak pierwój rozumiano. Trudno było ich kuć, trudno było niemi kierować, wpadały one skutkiem wielkiego nagromadzenia w niebezpieczne choroby, i stawały się tym sposobem, gdy się chciało niemi żywić, bardzo niezdrowym pokarmem. Nakoniec, bataljony pociągowe, oddzielny gatunek wojska, obowiązany do służby trudnej i niebezpiecznej w krajach, które miano przebywać, były zapełnione nowo-zaciężnemi, zaledwo wywieszonemi i którzy nie mieli jeszcze potrzebnej do tego wprawy. Okazało się już więc wiele zawodów, tak co do wartosci, jak co do obszerności środków obmyślonych przez Napoleona dla przewyciężenia nie małej przeszkody znacznych odległości. Mnóstwo powozów opóźnionych, jednych przybywających z Włoch, drugich z nad brzegów Renu, zapełniały drogi Niemiec, tworzyły na nich głębokie koleiny, albo pokrywały je ciałami koni zanadto w młodych latach użytych do pracy zbyt ciężkiej. Zastępowano ich miejsce końmi wieśniaków, które opłacano bonami na Prusy. Zresztą spodziewano się że nad brzegami Niemna odpoczynek dni kilku dozwoli temu długiemu szeregowi wozów nadsięgnąć, i rozpocząć za wojskiem dostawę żywności, do której były przeznaczone. Szczęściem, piękna żegluga na Frysz-haffie, urządzona przez marszałka Dawu, wystarczała do transportu magazynów ogólnych wojska do Niemna, gdyż żadna siła żyjąca nie zdołałaby transportować ich lądem do tego miejsca.

1807. Miasto Toruń, do którego Napoleon przybył 2 czerwca, po użyciu czterech dni na zwiedzenie Głogowy, Poznania i punktów pośre-

dnich, przedstawiało zgiełk niesłychany. Młodzież najwykwintniejsza owego czasu, należąca do nowój i starój szlachty, chciała odbywać tę kampanję, której niebezpieczeństwa tylko ludzie najroztropniejsi przewidywali, ale która, wykonana pod oczyma Cesarza, z ogromnemi środkami, obiecywała umysłom lekkomyślnym najświetniejsze powodzenie i najznakomitsze nagrody. Według tój płochėj młodzieży, udawano się na pewne zwycięstwa. Dla tych cudnych podróży zaopatrzone się w bogate powozy, a liczba podróżników była wielką. Jakoż, oprócz głównego sztabu Cesarza, generał majora Bertje, króla Miurata, księcia Eugenjusza, króla Hieronima, marszałków Dawu, Neja, Udino, i t. d. byli jeszcze adjutanci adjutantów, gdyż oficerowie Cesarza mieli jeszcze oficerów pod swemi rozkazami. Główna kwatera sama będąc przeznaczoną na skupienie w jedno miejsce pewnej ilości służby pod ręką Napoleona, zawierała w sobie kilka tysięcy ludzi, kilka tysięcy koni i ogromną ilość powozów. Rozmaitość narodów i języków powiększała to zamieszanie, gdyż mówiono razem po francuzku, po niemiecku, po włosku, po hiszpańsku, po portugalsku, do mieszkańców, którzy mówili tylko po polsku. Tym sposobem posunięty był do zbyt wysokiego stopnia ten systemat wojskowy i okazał się monarchiczny, który gromadził około Napoleona tyle osób, i to w chwili, kiedy należało się wybrać z jak najmniejszą ilością zapasów. Napoleon był ogłuszony i rozgniewany zgiełkiem Toruńskim, oraz zatrwożony przeszkodami, jakie zamiłowanie zbytku w jednych, przezorność u drugich, miały nagromadzić na jego drodze. Wydał surowe rozkazy dla zmniejszenia o ile można ciężarów, któremi zdawało się że naumyślnie chciano siebie obciążyć. Poczynił rozmaite rozporządzenia co do liczby wozów, jakie każdy według swojego stopnia, król, książę lub marszałek, mógł z sobą zabrać, rozdzielił swoją główną kwaterę na wielką i małą główną kwaterę, jedną cięższą, która miała postępować w pewnej odległości za ruchomą widownią działań wojennych, a drugą lżejszą, złożoną z pewnej liczby oficerów i niektórych przedmiotów nieodbitie potrzebnych, przeznaczoną do towarzyszenia mu wszędzie, i do nocowania z nim razem w pobliżu nieprzyjaciela. Ograniczył także główne sztaby książąt i królów, służących pod jego rozkazami, oraz zmusił do powrotu gromadę dyplomatów, których Monarchowie sprzymierzeni wybrali z pomiędzy najrzęczniejszych ich powołań, i wysłali za wielką armją, ażeby być uwiadomionemi o wszystkich jej ruchach. Napoleon starał się usunąć tych świadków, równie niedogodnych z powodu ich ciekawości, jak z powodu swych przyborów i zabronił im, żeby się nie zbliżali więcej jak o dwadzieścia mil do głównej kwatery.

Po przedsięwzięciu tych surowych środków, bardzo potrzebnych, ale które wkrótce okazały się bezużytecznymi co do sztabów głównych, zajął się ograniczeniem do potrzeb koniecznych transportów armji. Chcąc prowadzić za sobą tylko żywność nieodbicie potrzebną dla ludzi i koni, postanowił puścić na paszę wszystkie konie pociągowe, wszystkie wozy przeznaczył do wiezienia chleba lub mąki, naznaczył każdemu korpusowi pewną oznaczoną ilość wozów, i nadto pewną ilość bydła, która miała służyć za pokarm na każdym noclegu. Tym sposobem spodziewał się, że żołnierze nie będą się rozbiegać wieczorem dla szukania żywności, i że wszyscy będą iść w kupie pod chorągwiami. Naznaczył na 6 czerwca ogólne wyruszenie wojska od Wisły nad Niemen. Król Hieronim, tworząc prawe skrzydło, miał z Sasami pod jenerałem Renje, z Polakami pod księciem Poniatowskim, i z Westfalezykami pod bezpośrednim swoim dowództwem, posunąć się przez Pułtusk, Ostrołękę, Goniądz, na Grodno. Renje jeden, oddalając się nieco od tego kierunku zwrotem na prawo, miał pójść w górę Bugu dla podania ręki Austriakom. Wice-Król Eugenjusz, tworząc środek z Bawarczykami pod marszałkiem Sę-Syr, z armją Włoską pod swojemi bezpośrednimi rozkazami, powinien był wyruszyć 6 z Soldau, dokąd się był udał opuściwszy Płock, przejść przez Ortelsburg, Rastenburg, Olecko, i dostać się do Niemna w okolicach Prenn, przebywając tym sposobem najposepniejsze prowincje Polski. Marszałkowie Nej, Udino, Dawu, oraz gwardja, składając lewe skrzydło armji i jej najważniejszą masę, miały ruszyć drogami starych Prus, postępować równolegle, ale różnemi drogami, ażeby nie czynić sobie wzajemnie przeszkody, i stanąć nad Niemnem od Tylżytu do Kowna. Nej przechodząc przez Osterode, Szyppenbeil, Gierdanny; Udino przez Marienwerder, Liepstadt, Ejlau, Vehlau; Dawu przez Elbląg, Brunsberg, Tapiau. Gwardja i parki miały rozkaz pozostawać z tyłu, i w pewnej odległości, ażeby uniknąć natłoku. Napoleon, ze zwykłą głębokością kombinacji, wyrachował, że Marszałek Dawu, zostając najbardziej na lewo, znajdować się będzie, skutkiem załamania, jakie Wisła tworzy ku północy za Brombergiem, najbliżej Królewca, oraz w możności stawienia czoła nieprzyjacielowi z 90 tysiącami żołnierza, jeśliby przeciw wszelkiemu prawdopodobieństwu Rossjanie rozpoczęli zaczepne kroki. Spodziewał się że od 15 do 16 czerwca wszystkie jego korpusy staną na linii wzdłuż Niemna, i że po trzech lub czterech dniach wypoczynku, będą mogły, około 20 wejść w działanie. Po wydaniu tych ostatnich rozkazów i będąc świadkiem

wyruszenia pięknego wojska marszałka Neja, obejrzawszy w Marienwerder wojsko marszałka Udlna, które było niemniej pięknem, udał się przez Marjenburg do Gdańska, gdzie oprócz wielu przedmiotów do obejrzenia, miał się zobaczyć z swemi podkomendnymi marszałkiem Dawu i Miuratem, z którymi, jak z jednym tak z drugim, nie widział się był od dwóch czy trzech lat.

W Marjenburgu, nad Wisłą, Napoleon spotkał się z marszkiem Dawu, w chwili kiedy ten marszałek odjeżdżał do Królewca, żeby stanąć na czele ruszającego wojska. Przyjęcie, jakie mu uczynił, nie było odpowiednie dawnemu zaufaniu, jakie Napoleon pokładał zawsze w wielkich talentach i gruntownym charakterze znakomitego marszałka. Należy nam tu wyjaśnić przyczyny tego zubożenia.

Marszałek Dawu miał powierzony sobie dotąd obszerny zakres działania. Oprócz blokady wszystkich brzegów północnych, poruczonej tak jego uczciwości jak surowości, miał jeszcze powierzoną sobie organizację armji, z czego się wywiązał z wielkim talentem, który w tej epoce, oprócz samego Napoleona, właściwym był tylko w takim stopniu jemu i marszałkowi Siusze. Miał on aż do trzechkroćsto tysięcy ludzi razem pod swojemi rozkazami, i dzięki wybornym kadrom, oraz ciągłej pilności, uczynił z nich nie żołnierzy zahartowanych, umiających maszerować, dostawać sobie żywności i walczyć, ale rekrutów dobrze wyćwiczonych, odbywających manewra z dokładnością, i śmiałych, jak zwykle niemi są młodzi ludzie. Co do własnego jego korpusu, złożonego po większej części z najstarszych żołnierzy Europy, rozdzielonego na ówczas na pięć dywizyj, a z artyllerią i konnicą przedstawiającego armję około 90 tysięcy ludzi, nigdy nie piękniejszego nie widziano na świecie. Zaopatrzony on był we wszystko pod względem umundurowania, uzbrojenia, pożywienia, ażeby mógł iść na kończyny Europy. Oprócz ammunycji wojennej i swych narzędzi obozowych, wojska 1go korpusu niosły na plecach na dzień się dni żywności, a ponieważ często żołnierze rzucają swe zapasy żywności na drodze woląc raczej oczekiwać pożywienia od przypadku, niżeli nieść go na własnych plecach, każdy żołnierz powinien był każdego wieczora okazać swą żywność, równie jak swą broń. Oprócz tych dziesięciu dni żywności w tłumokach żołnierzy, konwoje miały ich jeszcze z sobą na piętnaście dni, a chociaż odebrano do gwardji Cesarskiej część środków transportu, przygotowanych dla 1go korpusu, przezorność marszałka niezwłocznie zaradziła temu. Wreszcie, stado wołów, poruczone żołnierzom wprawionym do tej służby, dostarczało

pułkom ruchomego zapasu mięsnego pokarmu. Taką była organizacja, którą marszałek Dawu wprowadził do swojego korpusu. Zgromadził nadto ogromny sprzęt wojenny na 600 tysięcy ludzi, składający się z 1800 dział z amunicją na dwa lata, z sześciu zaprzęgów mostowych, dwóch parków oblężniczych, liczne parku inżynjerji, i ogromnych magazynów w Gdańsku, Elblągu i Brunsbergu.

Marszałek Dawu wykonał wszystkie te rzeczy na wielką skalę, równie jak inne podobnego rodzaju, wedle rozkazów Napoleona, ale zmieniając je w razie potrzeby, według swojego własnego doświadczenia, według okoliczności miejscowych, i nie lękając się dopełnić lub poprawić rozporządzenia swojego pana. Czy działając tym sposobem podoba się lub nie, czy zazdrośni nie spotwarzają jego działalności bezustannej i cokolwiek imponującej, marszałek Dawu nie myślał o tém. Nieszczęściem miał on przy Napoleonie nieprzyjaciela tajemnego i niebezpiecznego, był nim szef sztabu głównego Bertje. Ten niepocieszonym był że w roku 1809 oskarżano go że naraził na szwank armję, wówczas gdy przypisywano marszałkowi Dawu zasługę ocalenia jej; nadto zazdrościł temu marszałkowi talentów, które miały jakieś pokrewieństwo z jego talentami, gdyż Dawu, oprócz tego że był wybornym jenerałem na polu bitwy, mógł być dla Napoleona doskonałym szefem sztabu, gdyby był mniej szorstkim. Z tych pobudek, nie zbyt godnych jego, książę Bertje, stawszy się z wiekiem zgryźliwym i podejrzliwym, powiększał przed Napoleonem najmniejszy opór, jaki marszałek Dawu stawiał jego rozkazom, i jeżeli trafiał się jaki szczegół nieodpowiadający ogólnemu planowi obmyślanemu zdala przez niego, co musiało zdarzać się często, stawał się on powodem surowego listu do marszałka. Napoleon, urażony już ubieganiem się o królestwo w Portugalji, a więcej jeszcze ubieganiem się uwięzionem powroźdzeniem o tron Szwedzki, znajdując że jego podkomendni stawali się za nadto ambitnemi w jego szkole, miał do marszałka Dawu urazę, który bynajmniej nie wiedział o tém i nie troszczył się o to. Ten marszałek, szlachcic z urodzenia, doznał pewnego rodzaju zdziwienia, kiedy go uczyniono księciem d'Eckmühl, i widział tylko w tej pożyczonej wielkości dochód chwilowy, który mądrze oszczędzany przez jego roztropną małżonkę, mógł zapewnić być niezależny jego dzieciom. Żyjąc ciągle w równinach północy, posród swoich żołnierzy, do tego stopnia że w przeciągu dziesięciu lat nie przepędził trzech miesięcy w Paryżu; zajęty wyłącznie swoim powołaniem, milezący, surowy dla siebie, równie jak dla innych, był z małej liczby jego towarzyszy broni, którzy nie byli upojonemi darami fortuny. Napoleon,

nie wchodząc bardzo w istotę rzeczy, spotykając wszędzie nad brzegami Wisły ślady głębokiego posłuszeństwa dla marszałka Dawu, ogrom rzeczy wprawiany w ruch jego wolą, i nazwisko jego w ustach każdego, był nie zazdrośnym (bo komuż mógł on zazdrościć?), ale znudzonym tém znaczeniem, które sam utworzył, słuchał chętnie tych, którzy jak Bertje powtarzali, że ten marszałek wszystko robił, rozporządzał wszystkiém, przemawiał wszędzie tonem pana, nim nie przemówi tonem monarchy, oraz nadstawiał ucha tym, którzy uważali za ambicję jego czynną wolę, za pychę jego poważną surowość, za ukrytą myśl niebezpieczną jego zwykłe milczenie. Przyjął marszałka oziębło, i w wielu zdarzeniach przypisał mu winę w obec księcia Bertje. Marszałek nie zwracał na to uwagi, oswojonym będąc z nagłą zmianą humoru Napoleona, przypisując częstsze jęj pojawianie się drażliwości wzrastającej z wiekiem, z trudami i troskami i pośpieszył do Królewca, ażeby wszystko przygotować na przejście wojska, oraz przewyciężyć trudności przedsięwzięcia, które sądząc swoim zdrowym rozumem nazwałby szaloném, gdyby jego silna natura nie była nagięta do najzupełniejszego posłuszeństwa. Jednakże nie zostawał już w tych łaskach co pierwój. Tym sposobem, Lann już nie żył, Massena zostawał w zupełnej niełasce, Dawu zaczynał być w niełasce! Tak tedy Napoleon, zmienny względem swoich dowódców, jak fortuna wkrótce miała być nią względem niego, uprzedzał co do nich dziwactwa tej zmiennój bogini, zasiewał trupami i niełaskami tę nieszczęsną drogę, która go miała wkrótce doprowadzić do strasznego upadku.

Napoleon przybywszy 7 czerwca do Gdańska, znalazł tam drugiego z swych podkomendnych, Miurata, mniej zadowolonego tém że został królem, niżeli Dawu że pozostał prostym dowódcą wojska. Monarcha ten, jak to już nieraz mieliśmy zręczność powiedzieć, dobry ale lekkomyślny, sposobny do stania się niewiernym przez próżność, ambicję, złą radę a zawsze najświetniejszy z rycerzy, najodważniejszy z bohaterów, obudził takie niedowierzenie w Napoleonie, za niektóre związki marynarskie z Anglikami, że generał Grenje, jak widzieliśmy, otrzymał rozkaz być gotowym do wyruszenia na Neapol. Napoleon, który lękał się w Miuracie tylko lekkomyślności, przyzwał go do swego wojska, najprzód żeby mieć pod swemi rozkazami najlepszego generała jazdy w owym czasie, a potém żeby mieć zawsze pod ręką krewnego, który blisko niego pozostawałby zawsze uległym i poświęconym, a zdala od niego narażonym na niebezpieczeństwa wszelkich poszeptów. Na piérwszy objaw tej woli, Miurat pośpieszył przybyć do

główniej kwatery, ażeby służyć pod rozkazami swojego szwagra, i objąć na nowo swe zwyczajne dowództwo, to jest, rezerwy kawalerji. Dla uniknienia płochości jego wyrażen, Napoleon nie chciał ażeby przybył do Drezna, i naznaczył mu pobyt nad Wisłą. Miurat, strudzony, chory, zatrzymał się w Berlinie, gdzie był wynagrodzony za surowość swego zwierzchniego pana nadskakiwaniem dworu Pruskiego. Napoleon zobaczywszy go w Gdańsku, bladego, mizernego, nie mającego swój zwykłej okazałej postawy, zapytał go nagle co mu było, i czy nie rad był z tego że został królem. Ależ, Najjaśniejszy Panie, odpowiedział Miurat, ja nim wcale nie jestem. Nie zrobiłem was królami, ciebie i twoich braci, odrzekł surowo Napoleon, ażebyście panowali według swojego sposobu myślenia, ale według mojego, żebyście postępowali zgodnie z moją polityką, i pozostali Francuzami na tronach obcych. Po tych słowach, Napoleon zwyciężony dobroduszością Miurata, i będąc surowym tylko w chwilach złego humoru, wrócił z nim do téj poufalości, zmiennéj według stanu jego umysłu, ale powabnej i ujmującej, w której podkomendni jego z nim się zwykle znajdowali. Spotkał się także w Gdańsku z gubernatorem Rapp, który się mu nie podobał z powodu podania kilku otwartych zdań względem stanu Polski, oraz niektórych podejrzanych ułatwień udzielonych handlowi Gdańskiemu, ale przebaczał mu mając wzgląd na jego wielkie męstwo, i na jego charakter szczéry i oryginalny. Przepędził tam kilka dni z jenerałami Bertje, Miurat, Kolękur, Diurok, Rapp, zajęty obejrzeniem fortyfikacij twierdzy, która miała grać tak ważną rolę w téj wojnie, zwiedzaniem magazynów i mostów na Wiśle, poprawiając, dopełniając wszystko co było zrobiono, z tym nieporównanym rzutem oka, gdy sam był świadkiem położenia rzeczy, potem, kiedy upały, nadzwyczajne w téj porze i w téj szerokości, zmuszały go do powrócenia do swego mieszkania, rozmawiając poufale z swemi towarzyszami broni, i okazując się bardziej niżeli był w istocie przekonany o użyteczności wojny, której oni zdawali się bardzo lękać. Z Gdańska udał się do Elbląga, z Elbląga do Królewca, gdzie przybył 12 czerwca, dla zajęcia się środkami żeglugi wewnętrznej, która miała dostawić jego ogromne zapasy żywności ze składów Gdańskich wewnątrz prowincij rosyjskich.

Marszałek Dawu, stosownie do jego rozkazów, przygotował już był tę żegluge. Napoleon wydoskonalił jeszcze i urządził sam ostatnie przygotowania. Dość jest dla zrozumienia jéj użyteczności rzucić okiem na topografję tych krain. Wisła, jak wszystkie wielkie rzeki, widłowata przy swém ujściu skutkiem nasepów, łamiących i rozdzie-

lajających jój bieg, wysyła jedno z swych ramion ku Gdańskowi, drugie ku Elblągowi. To ostatnie wpada w obszerną i miłąką zatokę zwaną Frysz-haffem, którą wązki pas ziemi oddziela od Bałtyku, z otworem tylko pod Piławą, i przyjmującą w siebie Pregiel pod Królewcem. Partje statków idące z Gdańska, płynąc dwoma ramionami Wisły, dostając się potem do Frysz-haffu, mogą przybyć wodą do Królewca. Była to pierwsza komunikacja wodna, już dosyć znaczna. Z Królewca miano iść w górę Pregla aż do Tapiau. Z Tapiau do Labiau, rzeka Dejma mogła dozwolnić przejścia mniejszym statkom, i wprowadzić ich do drugiej zatoki, Kurysz-haff, rozciągającej się aż do Memla. Kanał Fryderyka udzielał łatwości osiągnięcia Niemna krótszą drogą, i dostania się nań w samym Tylżycie. Potem należało płynąć w górę Niemna do Kowna, a w Kownie dostać się na Wilję. Rzeka ta, żeglowna aż do Wilna, dozwalała przebyć wodą, to jest, środkiem transportu dostępnym dla wszystkich ciężarów, przestrzeń około dwiestu mil. Pułkownik Bast, ten officer marynarzy gwardji, który się już był odznaczył pod Bajlen i na Dunaju, równie odważny na lądzie jak na morzu, i obdarzony prócz tego niez mordowaną działalnością, otrzymał poruczenie kierowania tą żeglugą, która poczynając się w Gdańsku, przebywając Wisłę, Frysz-haff, Pregiel, Dejme, Kurysz-haff, Niemen, Wilję, kończyła się aż w samym Wilnie. Miał on zgromadzić statki, zastosować je do każdego biegu wody, unikać o ile możności przeladowań ze statku na statek, urządzić wreszcie środki ciągnięcia dla zastąpienia miejsca żagłów, w oddaleniu od morza, czy to za pomocą koni, czy za pomocą rozstawionych ludzi z krajowców, odpowiednio wynagrodzonych. Powierzono mu także obronę Frysz-haffu i Kurysz-haffu, i dano mu na ten użytek dwa bataljony marynarzy gwardji Cesarskiej, które miały zająć te obszerne laguny szalupami kanonjerskimi silnie uzbrojonemi.

Napoleon zwrócił potem pilną uwagę na twierdze Gdańska, Piławy, Królewca. Znajdowali się w nich Sasi, Polacy, równie pewni jak Francuzi, Badończycy mniej pewni, artyllerzyści zaś i marynarze wyłącznie francuzcy. W Gdańsku znajdowały się oddziały zapasowe gwardji i marszałka Dawu. Można było za pomocą jednych i drugich utworzyć, niezależnie od wojsk pozostawionych w fortyfikacjach, dywizję ruchomą od 8 tysięcy ludzi w Gdańsku, od 6 tysięcy ludzi w Królewcu, które, komunikując się za pośrednictwem jazdy, byłyby zawsze w stanie połączyć się w porę w razie nagłego napadu. Napoleon przekonawszy się własnymi oczyma o wykonaniu swych

rozkazów, zalecił niezwłoczne wystanie pierwszej partji, składającej się z 20 tysięcy centnarów mąki, 2 tysięcy centnarów ryżu, 500 tysięcy porcji sucharów, i cały sprzęt sześciu zaprzęgów mostowych, których skład na inném miejscu opisaliśmy, i których główny kierunek powierzony był znamienitemu generałowi Eble. Druga partja miała zawierać w sobie też samą ilość mąki, ryżu i sucharów, nadto owies i amunicję artylleryjską. Następne miały się składać z mąki, rzadko ze zboża w ziarnie, często z odzienia, oraz jednego z dwóch zaprzęgów obłężniczych, tego który był przeznaczony dla obłężenia Rygi.

Kiedy te partje wysłane zostały nad Pregiel i Niemen, Napoleon zajął się urządzeniem lazaretów, i kazał założyć jeden na dwadzieścia tysięcy chorych, pomiędzy Królewcem, Brunsbergiem i Elblągiem. Obróciwszy na te rozmaite przedmioty pierwszą połowę czerwca, gotował się rozpocząć wreszcie tę grozną i sławną kampanję, którą należało poprzedzić pewnemi formalnościami dyplomatycznymi. Poświęcił im tedy kilka chwil przed udaniem się nad brzegi Niemna.

Książę Bassano doznał go w drodze, i przywiózł mu wiadomości ze Szwecji, napróżno oczekiwane w Dreźnie. Nazajutrz po wyjeździe Napoleona z tej stolicy, p. Synjel przybył ze Sztokolmu, z listem księcia następcy. Ten chytry książę wysłał podwójne pismo, jedne urzędowe za pośrednictwem posłów akkredytowanych Szwecji i przeznaczone dla wszystkich dworów, drugie mające pozostawać w największej tajemnicy, i powierzone ze wszelką ostrożnością panu Synjel, w odpowiedzi na propozycje, do których pierwszą myśl podała księżna następczyni. Pismo urzędowe zimne, wyniosłe, oświadczało zamiar pozostania neutralnym pomiędzy mocarstwami wojującemi, co już było nadwerżeniem układów zawartych z Francją przez ostatni traktat pokoju. Głosiło ono, że prawdziwemi nieprzyjaciółmi Szwecji byli ci, którzy zagrażali niepodległości północy Europy, że pod tym względem Rossja była w tej chwili więcej zagrożoną niżeli grożąca, że to był powód dla którego, nie idąc jój w pomoc, nie oświadczano się przeciwko niój; że nadto ofiarowano swe pośrednictwo, oświadczając nadzieję że Rossja przyjmie to pośrednictwo, skoro Francja szczerze będzie życzyła pokoju. Ta pretensja księcia następcy służenia za pośrednika pomiędzy dwoma mocarzami takimi jak Napoleon i Cesarz Aleksander, była tylko śmieszna, ale była ona koniecznym następstwem zobowiązań przyjętych względem Rossji, skutkiem traktatu 5 kwietnia. Co do pisma sekretnego, Bernadotte, równie niewierny swojemu nowemu sprzymierzeńcowi jak swojej dawniejszej ojczyźnie, powtarzał w niém, że nie potrzebował Finlandji, która, będąc ciągle

zagrożoną przez Rossję, narażałaby Szwecję na ciągłą walkę z tém mocarstwem; że wynagrodzeniem najstosowniejszém za Finlandję, była Norwegja, prowincja przeznaczona ze swego położenia żeby być Szwedzką, nie dotykająca nawet Danji, od której oddzieloną była morzem, tworząca przeciwnie jedną całość ze Szwecją, i stanowiąca, że tak rzec można, jój połowę; że ona była szacownym nabytkiem do pozyskania dla niego, Bernadottego, przy jego wstąpieniu na tron; że mianoby w Pomeranji szwedzkiej wynagrodzenie gotowe dla ofiarowania Danji, której zresztą potęga nie była tak wielką, żeby się miano troszczyć bardzo o jój przyzwolenie; że wreszcie, co do posiłków pieniężnych, Szwecja nie mogła się obejść bez nich dla postawienia swój armji na stopie wojennój; że dozwole nie wprowadzania towarów kolonialnych na ląd stały, wyrachowane na sumę dwudziestu milionów, było urojeniem, gdyż Anglicy nie zaniechaliby odkryć powodów takowego dozwole nia, i zapobiegliby temu natychmiast. Pod warunkiem tedy przyłączenia Norwegji do Szwecji i udzielenia wsparcia pieniężnego w ilości dwudziestu milionów, książę następcę Szwedzki oświadczał gotowość zawarcia traktatu z Francją, bez wątpienia ze zgwałceniem tego, który podpisał w kwietniu z Rossją.

Napoleon czytając to pismo, przywiezione przez księcia Bassano, wpadł w gniew gwałtowny. Uspokoiwszy się po tym piérwszym wybuchu, nie chciał jednakże dać żadnej odpowiedzi panu Synjel; który udał się do wód Czeskich dla oczekiwania tam postanowienia gabinetu francuskiego.

To postanowienie, bardzo uczciwe i prawie wymuszone niepodobieństwem nakłonicnia Danji do odstąpienia Norwegji, było jednakże godne pożałowania, gdyż trzydzieści lub czterdzieści tysięcy Szwedów, zagrożających Petersburgowi, zamiast zagrożania Hamburgowi, mogły dać inny obrót téj wojnie. Być może, że ofiarując Danji odpowiednie wynagrodzenie, chociażby przyszło oddać jój nie tylko Pomeranje Szwedzką, ale departamenta anzeatyckie, zdołanoby skłonić ją do zadość uczynienia chęci Bernadottego; ale rozjątrzenie, zaufanie we własnych środkach, nie dozwołyły Napoleonowi nawet myśleć o tém.

Drugim interesem dyplomatycznym do załatwienia, było ogłoszenie manifestu przed rozpoczęciem wojny. Wówczas niemu położeniu rzeczy nie szło już o to, czy Rossja rozpocznie lub nie kroki zaczepne. Zbliżono się już do Niemna z 400 tysiącami żołnierza, nie licząc 200 tysięcy pozostawionych w rezerwie, nie miano się więc czego troszczyć, jak ona sobie postąpi. Nie szło już o uspienie Cesarza Aleksandra, ale o zwalenie na niego całej winy téj wojny. P. Loryston,

któremu zalecono prosić o dozwole nie udania się do Wilna, ażeby wstrzymać Cesarza Aleksandra jeszcze dni kilkanaście, nie mógł tak prędko nadesłać swęj odpowiedzi. Gdyby naprzykład wiedziano, że jego prośba udania się do Cesarza Aleksandra, została odrzuconą, byłby to wyborny pretekst do zalecenia mu, żeby żądał swych paszportów; ale nie wiedziano jeszcze o tém. Jednakże potrzebowano powodu, gdyż nadszedł już dzień 16 czerwca, a należało przebyć Niemien pomiędzy 20 a 25, przyzwoitość więc wymagała, żeby znaleźć przyczynę niezwłocznego zerwania. Napoleon, płodny w wybiegi, wymyślił powód, nie bardzo gruntowny, ale słuszny na pozór, tak dalece że zdołał omylić wielu historyków, to jest, że Rossja wymagając oczyszczenia Prus, jako warunku przedwstępnego do układów, chciała rzeczy niepodobnej, ubliżając w tém honorowi Francji. Owoż, zachodziła w tém zupełna niedokładność. Rossja wymagała oczyszczenia Prus, nie jako warunku przedwstępnego, ale jako następstwa koniecznego wszelkich układów, któreby się rozpoczęły względem rozmaitych punktów spornych. Zaniechano uczynić tego rozróżnienia, i postanowiono utrzymywać, że warunek przedugodny, dążący do cofnięcia Napoleona od Niemna nad Wisłę, nawet nad Elbę, był obrazą dla Francji, której znieść nie mogła; że ten warunek, który starano się jakoby zachować w sekrecie, ażeby nie być zmuszonym do niezwłocznego zerwania, stał się głośnym, że zaczął być powszechnie wiadomym, że więc obraza ta, przestając być tajemną, nie mogła być dłużej cierpianą, i musiała pociągnąć za sobą wojnę. Że z tą obrazą łączył się, jak powiadano, pewien rodzaj ponawianego wyzwania ze strony księcia Kurakina, który żądał swoich paszportów od księcia Bassano dniem przed jego wyjazdem, i potém jeszcze usilnie się ich domagał. Należy przyznać, że ten warunek oczyszczenia terytorjum pruskiego, znany zaledwo kilku osobom dobrze rzeczy świadomym, i uważany w tém znaczeniu, że oczyszczenie to miało nastąpić nie pierwěj, jak po przystąpieniu wzajemném do układów, że żądanie paszportów przez księcia Kurakina, cofnione najprzód, potém odnowione, kiedy ujrzał się sam w Paryżu, bez stosunków z którymkolwiek z ministrów, nie stanowiły jeszcze tych krzywd nieznosnych, dla których naród obowiązany krew swą przelewać, i że w każdym razie Napoleon tak często nadwierał prawa innych, że mógł być cokolwiek więcéj pobłażającym na nadwerczenie swoich. Ale potrzeba było powodu słusznego na pozór, i Napoleon przytoczył ten, w braku lepszego. A zatem zalecono p. Loryston, żeby

żądał niezwłocznie paszportów, pod pozorem, że gdy żądanie oczyszczenia przez nas Prus stało się powszechnie znanem, obraza nie mogła być dłużej znoszona, a w przypuszczeniu, że p. Loryston mógł się już udać do Wilna (co uchyla zupełnie niedorzeczność twierdzenia, jakoby odmowa przyjęcia go w Wilnie była przyczyną zerwania), dano mu polecenie nie przedstawiać żądania swego o paszporty przed 22, Napoleon bowiem miał przebyć Niemen 22 lub 23. Ostrzegano go również, że depesza, którą wysyłało do niego 16 z Królewca była antydatowaną, że położono na nią datę 12 i to z Torunia, ażeby po wręczeniu jej Rossjanom, wnosili z niej, że Napoleon znajdował się jeszcze daleko, i mniej przygotowany do rozpoczęcia kampanji, niżeli był nim w istocie. Kurjer więc wysłany był z Królewca do p. Loryston z rozkazami i instrukcjami, jakie przytoczyliśmy wyżej (1).

Po dokonaniu tej formalności dyplomatycznej, Napoleon, uważając, że nie ma już nic do powiedzenia, postanowił opuścić Królewca i udać się do Wilna. (1) Pan Fen (Fain) w *Manuskrypcie* swoim z 1812 polegając jedynie na objaśnieniach księcia Bassano, od którego głównie czerpał podawane przez siebie szczegóły i nie znając wiele depeszy, które mu nie zostały zakomunikowane, jest z liczby historyków, którzy starali się przedstawić Napoleona jako zmuszonego do prowadzenia tej wojny, po wyczerpaniu wszystkich środków uniknięcia jej. W jego oczach posłannictwa udzielone kolejno p. Narbonne i p. Loryston nie miały innego celu jak zapobiedz zerwaniu z Rossją, a jednakże sama treść owych depeszy dowodzi niezbicie, że one miały za jedyny cel zyskać na czasie, w widokach zupełnie wojennych. Co do warunku oczyszczenia Prus i twierdz nad Odrą, uważa to za obrazę, wówczas kiedy żądano zapewnienia tylko tego oczyszczenia, po ukończeniu układów wedle chęci stron. Co się tyczy twierdz nad Odrą, żądano od Napoleona ich wrócenia nie pierwój jak po opłaceniu przez Prusy kontrybucji wojennej, wedle konwencji zawartej 17 września 1808. Nakoniec, według pana Fen postanowienie zerwania nastąpiło w Gumbinie 19, w dniu, kiedy p. Prewo, sekretarz poselstwa francuzkiego, przybył z Petersburga z wiadomościem odmowy na prośbę p. Loryston udania się do Wilna, wówczas kiedy postanowienie, już bardzo dawne, było ostatecznie wyrażone 16 w Królewcu, chociaż datowane 12, przez uznane sfałszowanie daty. Dodamy jeszcze, że są historycy, równie prostoduszni w swój nienawiści, jak p. Fen w swoim ubóstwianiu, którzy dowodzą, że przyjmując p. Prewo 19, Napoleon wpadł w gniew zapalczywy, i nie mogąc tego przenieść, zerwał ostatecznie i przebył Niemen. Owoż, dokumenta autentyczne dotąd istniejące, okazują mylność wszystkich tych opisów, które dyktowała miłość lub nienawiść, odnosząc na 16 postanowienie zerwania, to jest, na dzień, w którym wedle wyrachowań Napoleona, nadeszła pora rozpoczęcia działań. Napoleon nie czynił żadnych starań dla utrzymania pokoju, gdyż chciał wojny, chociaż za jej zbliżeniem się pojmował więcej jej niebezpieczeństwo, i chciał niby prowadzić układy dla tego tylko, żeby przybyć bez przeszkody nad Niemen. Starając się wystawiać go jako ofiarę, czynią go śmiesznym, gdyż odejmują lwu jego grzywę i pazury, robiąc z niego baranka. Odejmują mu tym sposobem jego siłę, nie dając mu łagodności, której nie miał, i robią z jego wielkiej i oryginalnej postaci głupią karykaturę.

żając że nadeszła chwila działania, wyjechał nazajutrz z Królewca, dla dognania swych wojsk nad Preglem, zrobienia ich przeglądu, i zapewnienia się ostatecznie, czy miały wszystko co potrzeba, dla rozpoczęcia kampanji. Chciał on, żeby w początkach działań wojennych, miały one żywności tylko na dziesięć dni, spodziewając się wykonać w tych dziesięciu dniach stanowcze obroty, i lękając się doznawać jakich przeszkód w swoich ruchach z powodu braku żywności, co nie zdarzało się nigdy we Włoszech i Niemczech, gdzie spotykano zawsze obszerne wsie do niszczenia, ale co mogło bardzo łatwo zdarzyć się na Litwie, gdzie spotykano po większej części same błota i lasy. Mając tedy żywności na dziesięć dni, spodziewał się jak pod Ulm w 1805, pod Jeną w 1806, pod Ratusboną w 1809, wymierzyć jeden z tych straszliwych ciosów, które zaraz na początku działań, gnębiły jego nieprzyjaciół i napępniały trwogą na resztę kampanji. Pierwsze partje wodą dostawiły żywności aż do Tapiau nad Preglem; należało ztamtąd lądową drogą przewieźć je przynajmniej do Gumbina, miejsca dość bliskiego od tego, gdzie miano przebyć Niemen. Od tego miejsca żywność na dni dziesięć powinna była wystarczyć aż do środka Litwy. Ażeby to przyprowadzić do skutku, Napoleon udał się do Insterburga, dokąd przybył 17 czerwca wieczorem.

Plan ogólny pierwszych jego działań był ostatecznie ułożony w jego głowie i według niego, w Kownie chciał przebyć Niemen. Pomysły jego w tym względzie tak jak zawsze, były rozległe i głębokie, gdyż jeśli mógł mieć równych sobie jako taktyk na polu bitwy, nie miał ani wyższych, ani równych sobie w kierunku ogólnym działań wojennych. Dla zrozumienia jego pobudek, potrzeba rzucić okiem na obszerne krainy, które miały być widownią tej straszliwej wojny, największej bez wątpienia i najtragiczniejszej ze wszystkich, jakie kiedykolwiek miały miejsce.

Niezmierzone równiny, które od morza Bałtyckiego rozciągają się aż do mórz Czarnego i Kaspjskiego, przerzniete są z jednej strony przez Odrę, Wisłę, Pregiel, Niemen, Dźwinę, rzeki płynące od zachodu, z drugiej strony przez Dniestr, Dniepr (czyli Borystenes), Don, Wołgę, rzeki płynące od wschodu, i skrapiające, jak wiadomo, posiadłości Starych Prus, dawniej Polski i Rossji. Na tém to polu tak obszerném, Napoleon, który ze wszystkich znanych dotąd wojowników objął największe przestrzenie, gdyż od zachodu na wschód przeszedł z Kadyksu do Moskwy, od południa na północ, począwszy od Jordanu do źródeł Wołgi, na tém to polu, miał do zwyciężenia, siłą swojego gienjuszu, największą z trudności, jakie przedstawia wojna, to jest,

odległości, nadewszystko kiedy one nie są ani zaludnione, ani uprawne. Części niższe, i że tak rzec można, ujścia Odry, Wisły, Pregla, Niemna, tworzą obszary pęsepne, ale nadzwyczaj żyzne Starych Prus. Postępując w górę tych rzek, i idąc od zachodu na wschód, napotykają się krainy więcej piaszczyste, mniej pokryte ziemią roślinną, gdzie się znajduje mniej uprawy materialnej i moralnej, mniej mieszkań, więcej lasów i błót, gdzie się dają postrzegać zamiast miast licznych, czystych, bogatych i protestanckich, wsie katolickie brudne, skupione po większej części około dworów zamieszkałych przez szlachtę waleczną i próżniaczą, oraz mnóstwo żydów gromadzących się wszędzie, gdzie mogą korzystać z lenistwa i ciemnoty ludów w połowie barbarzyńskich (1). Im dalej posuwamy się, dążąc ku wschodowi, ku źródłom Wisły, Narwy, Niemna, Dźwiny, tém bardziej odkrywamy cechy, jakie dopiero co opisaliśmy. Przybywszy do źródeł Wisły i jej przytoków, oraz do źródeł i przytoków Niemna i Dźwiny, ażeby przejść na drugą stronę tej płaszczyny, to jest, do źródeł Dniestru i Dniepra, spotykamy grunt, którego pochyłość niepewna, nie przedstawiając żadnego ścieku wodom, okrytą jest błotami i ponuremi lasami, jest to dawna Polska, Litwa, sam środek tych krain wilgotnych, lesistych, które przebywać potrzeba po długim rzędzie mostów, postawionych nie tylko na rzekach, ale na błotach, i gdzie drogi, w braku kamienia, na którym zbywa, wymoszczone są faszynami i bierwionami. Postępując zawsze na wschód przez tę krainę, przybywamy do źródeł Dźwiny i Dniepra, które odległe są od siebie na jakie mil dwadzieścia, i znajdujemy się w pewnym rodzaju otworu, rozciągającego się od Witebska do Smoleńska, przez który wychodzimy z dawniej Polski dla przejścia do Rossji. Tu wody mają więcej ścieków, błota i lasy nikną, i widzimy rozciągające się przed sobą równiny Stariej Rossji, pośród których wznosi się Moskwa, Moskwa Święta, jak ją nazywają rodowici Rossjanie.

Swoim rzutem oka niezrównanym, Napoleon postrzegł od razu, że pochód jego, jako przybywającego z zachodu, powinien był skierować się ku temu otworowi, położonemu pomiędzy źródłami Dźwiny i Dniepra, między Witebskiem i Smoleńskiem. Są to, że tak rzec można, wrota wschodu, i tamto istotnie niegdyś Polacy i Rossjanie, w swych kolejnych zwycięztwach i porażkach, zatrzymali się niejako z obu stron, gdyż Dźwina z jednej strony, Dniepr z drugiej, tworzyły

(1) Pięknie P. Thiers maluje kraj nasz, ale potrzeba mu przebaczyć, gdyż nigdy sam w nim niebył, a opis swój tworzył z opowiadania tych, którzy przychodzili go plondrować i ujarzmiać.

granicę pomiędzy Rossją a dawną Polską, przed rozbiorem tego ostatniego kraju.

Ale przed dójściem do tych wrót, należało przebyć pierwój Stare Prusy, i tę część świeżo przywróconą Polski, która otrzymała nazwanie Wielkiego Księstwa Warszawskiego. Granica oddzielająca Wielkie Księstwo i Stare Prusy od posiadłości rosyjskich była następną :

Bieg wyższy Bugu, i bieg wyższy takój Narewu, będących jak jeden tak drugi przytokami Wisły, tworzyły w swych rozlicznych załamaniach pierwszą część linii granicznej Wielkiego Księstwa, od strony Rossji. Ta linja graniczna, idąc już to Bugiem już Narewem, od Brześcia Litewskiego do samego prawie Grodna, dosięgała Niemna w samym Grodnie, szła wzdłuż téj rzeki w górę do Kowna, oddzielając tym sposobem Polskę, właściwie tak nazwaną, od Litwy. W Kownie, Niemen biorąc ostatecznie swój kierunek ku zachodowi, i płynąc ku Tylżytwi, oddzielał nie już Polskę, ale Stare Prusy od Rossji. Linja graniczna do przebycia szła więc na północ Brześcia do Grodna, idąc kolejno biegiem Bugu lub Narewu, potem szła jeszcze na północ od Grodna do Kowna, wzdłuż Niemna, i nakoniec zwracając nagle ku zachodowi niedaleko Kowna, dosięgała Tylżytu, idąc ciągle dalej od tego punktu biegiem Niemna. Tworzyła więc w swoim krańcu północnym załamanie pod Kownem. Tam to Napoleon postanowił przebyć Niemen, dla odzyskania, przenosząc się jednym pędem nad Dźwinę i Dniepr, reszty dawnój Polski, w jakimém miejscu, według okoliczności, albo mógł się zatrzymać, albo wyruszyć stamtąd dla przebycia wrót Starój Rossji i zagłębienia się w jój przestronne równiny.

Następne były powody skłaniające go do tego. Cztery były drogi prowadzące do Rossji : jedna na południu, w kierunku ku wschodowi, przez prowincje południowe państwa rosyjskiego, przechodząca przez Bug w Brześciu, idąca prawym brzegiem Prypeci, aż do połączenia się jój z Dnieprem powyżej Kijowa, przerzynająca zatém Wołyń, dawną prowincję polską, a z Kijowa dążąca na północ ku Moskwie, przez najpiękniejsze prowincje państwa; druga, idąca takój od zachodu, dążyła na północ-wschód przez Grodno, Mińsk, Smoleńsk, środkiem Litwy, przechodziła przez otwór oddzielający Dniepr od Dźwiny, dążąc potem ku Moskwie w linii najprostszój; trzecia, równoległa do poprzedniej, ale położona nieco wyżej, szła przez Kowno, Wilno, ku otworowi między Dnieprem i Dźwiną, wchodziła do Starój Rossji przez Witebsk, zamiast przejścia tam przez Smoleńsk, i dążyła również do Moskwy; czwarta nakoniec, idąc prosto na północ, przez

provincje północne państwa rosyjskiego, przez Tylży, Mitawę, Rygę, Narwę, dążyła do Petersburga.

Z tych czterech dróg, droga południowa przez Brześć i Kijów, oraz północna przez Tylży i Rygę, miały niedogodności stron krańcowych, i nie mogły być wybrane przez człowieka z tak trafnym sądem, jakim był Napoleon pod względem wielkich działań wojennych. Jedna i druga narażały napastnika na groźny obrót ze strony Rossjan, którzy, przebywając na Litwie, mogli przez Kobryń, Pińsk lub Mozyr, uderzyć w massie z boku na armję idącą na Kijów, albo przez Witebsk i Połock, na armję idącą do Petersburga. Każda z tych dróg krańcowych miała prócz tego swe niedogodności szczególne. Ta co przeryzując prowincje południowe, przechodziła Gallieję i Wołyń, szła wprawdzie przez piękne kraje, ale pozostawiała armję francuzką w zupełnej zależności od Austrii, a byłoby to narażać to mocarstwo na niebezpieczną pokusę, chcieć zupełnie oddawać się w jej ręce. Droga idąca na północ przechodziła przez prowincje pokryte błotami i zaroślami, w klimacie najostrejszym Rossji, i przez okolice, które niedostarczyłyby najmniejszej części żywności dla wojsk.

Nie można więc było myśleć o żadnej z tych obu dróg. Należało wybierać pomiędzy drogami pośrednimi, idącemi jak jedna tak druga na północo-wschód, i obie do Moskwy, dozwalającemi takż poходу na Petersburg przez zwrócenie na północ, oraz przechodzącemi przez otwór, oddzielający źródła Dźwiny od źródeł Dniepra, jedna na Grodno, Mińsk i Smoleńsk, druga na Kowno, Wilno i Witebsk.

Po dokładnem rozważeniu obu tych dróg, Napoleon dał pierwszeństwo ostatniej. Pierwsza, od Grodna do Mińska, chociaż krótsza, szła wzdłuż części najbłotnistszój kraju, znanėj pod imieniem *błot pińskich*, i można było, skutkiem dzielnego natarcia nieprzyjaciela, być w nie zapędzonym bez możności wyjścia. Droga, eokolwiek mniej prosta, idąca z Kowna do Wilna, stolicy Litwy, a z Wilna do Witebska, chociaż przechodząca przez strony nieżyźne, jak były niemi wszystkie te, które należało przebywać, nie przedstawiała tój niedogodności co poprzednia, i nadto, co musiało skłonić ostatecznie do przeniesienia jej, zapewniała środek nieomylny rozdzielenia sił nieprzyjacielskich na dwie połowy, które nie zdołałyby się może połączyć aż do końca kampanji.

Rozdzielenie sił rosyjskich, takie jak można było przewidywać, było w istocie tój natury, że utwierdzało Napoleona w myśli jaką powziął od czasu otrzymania pierwszych wiadomości o armji nieprzyjacielskiej.

Rossjanie, chociaż mieli swe forpoczty na samej swojej granicy nad wyższym biegiem Bugu i Narewu, oraz wzdłuż Niemna, uważali jednakże za linię prawdziwie obronną tylko Dźwinę i Dniepr. Te rzeki, jak powiedzieliśmy, poczynają się o jakie mil dwadzieścia jedna od drugiej, i płyną, Dźwina ku Bałtykowi, Dniepr ku morzu Czarnemu, oraz przedstawiają, oprócz otworu istniejącego pomiędzy Witebskiem a Smoleńskiem, linię ciągłą ogromnej długości, idącą z północo-zachodu na południo-wschód, i przerywaną całe państwo od Rygi do Nikołajewa. Od czasu rozpoczęcia ściągania swych sił, Rossjanie utworzyli naturalnie dwa główne zbiegowiska, jedno nad Dźwiną, od Witebska do Dyneburga, drugie nad Dnieprem, od Smoleńska do Rohaczewa, i te zbiegowiska zamieniły się powoli na dwie armje, które posunęły się były, pierwsza do Wilna, druga do Mińska, z zamiarem połączenia się później, lub działania oddzielnie, według okoliczności. Ale obiedwie miały za podstawę wielką linię, którą dopiero co opisaliśmy. Pierwsza z tych armji, pod dowództwem generała Barklaj de Tolly, umieszczona na Dźwinie, z główną kwaterą w Wilnie i forpocztami w Kownie nad Niemnem, miała przyjmować rezerwy z północy cesarstwa. Druga, pod dowództwem księcia Bagracjona, umieszczona nad Dnieprem, z główną kwaterą w Mińsku i forpocztami w Grodnie nad Niemnem, miała przyjmować rezerwy ze środka państwa, i komunikować się za pośrednictwem armji generała Tormasowa z armją turecką. Takie było rozdzielenie sił rosyjskich, nim w Wilnie przyjęto ostatecznie plan kampanji. To rozdzielenie, pod względem położenia miejscowego, było naturalne, i nie było jeszcze omyłką, jeśliby umiano zdecydować się w porę, w obec nieprzyjaciela tak szybko działającego, z którym miano do czynienia.

Napoleon, który prócz innych zdolności właściwych geniuszowi wojennemu, posiadał w najwyższym stopniu zdolność przenikania myśli nieprzyjaciela, odgadł łatwo to rozdzielenie sił rosyjskich. Z wiadomości zawsze niedokładnych, często sprzecznych, udzielonych mu przez szpiegów, postrzegł wyraźnie że jest jedna armja Naddźwińska, druga Naddnieprska, pierwsza która miała posuwać się w kierunku Mińska i Grodna, i mogąca zawierać w sobie około 150 tysięcy ludzi, pod dowództwem Barklaj de Tolly, druga, mająca iść w kierunku Mińska i Grodna, i mogąca liczyć w sobie 100 tysięcy ludzi, pod dowództwem księcia Bagracjona. Liczba mało go obchodziła, gdyż w pierwszej tylko linii prowadził z sobą 400 tysięcy żołnierza, i rozpołożenie tylko sił nieprzyjacielskich zwracało na siebie jego uwagę.

Natychmiast więc utworzył swój plan. Niemen, jak powiedzieliśmy wyżej, płynie na północ Grodna do Kowna, potem zwracając się nagle, dąży na zachód z Kowna do Tylżytu. Napoleon, posunąwszy się na Kowno, w sam środek kąta utworzonego przez Niemen, postanowił przebyć Niemen w samym Kownie, na czele dwóch kroć sto tysięcy ludzi, pójść na Wilno, z tą przeważną szybkością, która odznaczała początek wszystkich jego działań, i tam stanąwszy pomiędzy armją Barklaj de Tollego czyli Naddźwińską, i armją Bagracjona czyli Nad-dnieprską, był pewnym że oddzieli jedną od drugiej na resztę kampanji. Mógł nawet, jeśliby chciał, posunąć się tym sposobem aż do Moskwy, mając po swój lewój i prawój stronie tylko szczątki rozdzielone potęgi rossyjskiej.

Oprócz tój głównej korzyści, podobny sposób działania przedstawiał korzyści podrzędne, ale zawsze bardzo ważne. Zapuszczając się w środek tego kąta Niemna, którego wierzchołek był w Kownie, zostawano osłoniętym na skrzydłach przez dwa boki trójkąta. Potem, przebywszy tę rzekę w Kownie i posuwając się do Wilna, znajdowano z Kowna do Wilna Wilję rzekę żeglowną, która stawiała się tym sposobem szacowném przedłużeniem naszej komunikacji wodnej. Nakoniec w Wilnie samém, zadawano wchodząc do niego pierwszy cios.

Po nakreśleniu tego planu, godnego jego gienjuszu, Napoleon zajął się niezwłocznie przyprowadzeniem go do skutku. Postanowił więc zgromadzić pod swą ręką, dla wtargnięcia przez Kowno, korpusy marszałków Dawu, Udino, Neja, gwardję cesarską, i oprócz tego dwa z czterech korpusów rezerwy kawalerji. Była to massa około 200 tysięcy ludzi, po odtrąceniu niektórych ubytków, sprawionych długością pochodu. Kiedy z tą przeważną massą, zawierającą w sobie to co miał najlepszego, Napoleon dążyłby przez Kowno do Wilna, marszałek Makdonald, z którego nie był rad w Katalonji, ale na którego liczył wiele w tój wielkiej wojnie, miał po lewém jego ręku przejść Niemen w Tylżycie, opanować oba brzegi tój rzeki, odeprzeć kozaków, i zapewnić swobodną żeglugę dla naszych konwojów. Napoleon utworzył dla niego korpus blisko z 30 tysięcy ludzi, składający się z dywizji polskiej Grandżan i z kontyngienu pruskiego, zmniejszonego do 16 czy 17 tysięcy ludzi, z powodu garnizonów zostawionych w Piławie i innych stanowiskach. Celem dalszych działań marszałka Makdonalda miała być Kurlandja. Po prawém ręku, Napoleon przygotował drugie przejście przez Niemen, i porucił je księciu Eugeniujszowi. Książę ten, który tworzył niedawno w Płocku ogólny środek armji, i który obecnie miał tworzyć prawe jój skrzydło, miał przebyć

Niemen poniżej Kowna, w miejscu zwaném Preny, z wojskiem francuzkiem i włoskiem, które wyruszyło z Werony, z gwardją królewską włoską, z Bawarczykami, i trzecim korpusem kawalerji rezerwowój, pod dowództwem jenerała Gruszy (Grouchy), (około 80 tysięcy ludzi). Więcej jeszcze na prawo i na południe, to jest, w Grodnie, król Hieronim miał przebyć Niemen z Polakami, Sasami, Westfalczykami i 4-tym korpusem kawalerji rezerwowój, dowodzonej przez jenerała Latur-Mobur (Latour-Moubourg). To ostatnie prawe skrzydło zawierało w sobie około 70 tysięcy ludzi zdatnych do boju, dopełniających z parkami więcej 400 tysięcy żołnierza, ciągnących za sobą tysiąc dział obficie zaopatrzonych, nie licząc rezerwy od 140 do 150 tysięcy ludzi pozostawionój z tyłu, która z 60 tysięcy chorych powiększėj części zbyt ciężko, dopełniała ogólnej liczby 600 do 610 tysięcy żołnierzy, o którój wyżej wspomnieliśmy. Należy zwrócić uwagę na to, że liczba chorych powiększyła się już od 40 do 60 tysięcy, skutkiem marszów od Elby do Odry, od Odry do Wisły, od Wisły do Niemna. 30 tysięcy Austrjaków, które wyruszyły z Galicji w kierunku na Brześć, nie weszły w rachubę tój kolosalnej armji, i policzywszy ich, będzie około 40 tysięcy żołnierzy użytych przeciw Rossji, krucjaty przedsięwziętėj nieszczęściem w epoce, kiedy te narody czulsze na zło obecne, wołałyby połączyć swe siły przeciwko Francji, niżeli iść z nią przeciwko Rossji.

Napoleon zalecił swojemu bratu Hieronimowi, ażeby w razie gdyby dowiedział się, że książę Bagracjon szedł w górę prawym brzegiem Niemna z Grodna do Kowna, naśladował ten ruch, idąc lewym brzegiem, i zbliżył się tym sposobem do księcia Eugienjusza, wówczas gdy ten ostatni zbliżyłby się do armji głównej. Przeciwnie zaś, gdyby książę Bagracjon, wezwawszy do siebie korpus Tormasowa, będący na Wołyniu, wykonał ruch przeciwny, ażeby się rzucić na Warszawę i Austrjaków, należało korzystać z tój pomyślnėj zrzeczności, nie przeszkadzać mu, uwiadomić o tém Austrjaków, żeby się cofnęli na Warszawę i Modlin, a potem, kiedy książę Bagracjon posunąłby się tak daleko z naszej prawej strony z tyłu, że nie mógłby się cofnąć, uderzyć na niego i wziąć w niewolę cały jego korpus, jak wzięty był siedmią laty przedtém Mack z swoim korpusem pod Ulm.

Po wydaniu rozkazów, zawierających w sobie ze wszystkiemi szczegółami te rozliczne rozporządzenia, Napoleon opuścił Królewiec 17-go i udał się kolejno do Vehlau, Insterburga, Gumbina, na Preglu, rzece płynącėj równolegle do Niemna, ale o kilka mil od niego, i nad brzegami którój wszystkie nasze korpusy stanęły rzędem dla przyjęcia

swęj żywności. Zrobił tam ich przegląd, i znalazł korpus Dawu zupełnie w dobrym stanie i zaopatrzone w zapasy; korpus Udino nieco strudzony marszem i głodem, gdyż szedł przez kraje mniej bogate i ze środkami transportu nie tak dobrze urządzonemi, korpus Neja w tymże samym stanie, z tychże samych powodów. Gwardja, dobrze zaopatrzona, miała postawę odpowiadającą jej dobremu bytowi i jej karności. 22 tysiące jazdy generałów Nansuty i Monbrę, z których połowa była kirassjerów, rozwijało pod dowództwem Miurata swe pyszne szwadrony, i okazywało nadzwyczajny zapał. Składały one połowę tylko konnicy, należącęj do armji głównej, którą Napoleon osobiście dowodził, gdyż taka sama prawie jej liczba rozrzuconą była po korpusach Dawu, Udino i Neja. Napoleon pośpieszył, za pomocą wozów już przybyłych, sprowadzić z Vehlau do Gumbina tyle racij, ażeby każdy żołnierz mógł zabrać z sobą przynajmniej na sześć dni żywności, zamiast na dziesięć, jak zamierzał z początku, dla swych pierwotnych działań. Wysłał przodem rezerwę kawalerji pod dowództwem Miurata, rezerwę artyllerji, zaprzęgi mostowe, i rozkazał marszałkowi Dawu eskortować je ze swoim korpusem na Wilkowiszki, ażeby być 22 go lub 23-go pod Kownem.

Kiedy znajdował się w Gumbinie, sekretarz poselstwa, p. Prewo, przybył donieść mu, że generał Loryston nie otrzymał pozwolenia przybycia do Wilna, co stanowiłoby, gdyby wiadano o tém kilką dniami przed tém, powód bardzo ważny do wypowiedzenia wojny. Ale już było po czasie, i generał Loryston miał zresztą wystarczające pobudki, z powodu ważności podobnej polemiki, na naleganie o wydanie mu paszportów. (1). Napoleon, nie zwracając uwagi na wiadomość, która nie miała dla niego nic zajmującego, gdyż nie przywiązywał żadnej wagi do tego, czy p. Loryston przybędzie lub nie do Wilna, opuścił Gumbin 21 i przybył 22 do Wilkowiszek, będąc przedzielonym od Kowna i Niemna tylko wielką puszczą wilkowiską. Chwila stanowcza nadeszła więc dla niego, i był nad brzegiem tej rzeki, która, można powiedzieć, była Rubikonem jego pomyślności! Wszystkie jego korpusy znajdowały się nad brzegiem Niemna, nie mógł już więc wahać się przebyć go.

Wiadomości od krańca jego lewego skrzydła do krańca prawego były jednostajne, i donosiły o zupełnym braku ruchu ze strony Ros-

(1) Szczegół ten dowodzi, jak niedokładnemi są twierdzenia pochlebców i nieprzyjaciół Napoleona, którzy przypisują powrótowi p. Prewo postanowienie rozpoczęcia wojny. Dąty same usuwają te śmieszne wymysły, tak eżci bałwochwalczej, jak nienawiści.

sjan. Tak więc jego zamiary nieszczęściem przychodziły do skutku, jak gdyby tém łatwiej wciągnąć go w matnię, którą fortuna na niego zastawiła. Na lewém swém skrzydle, zalecił marszałkowi Makdonaldowi przebyć niezwłocznie Niemen w Tylżycie; na prawém, księciu Eugenjuszowi zbliżyć się do Pren, ażeby przebyć tę rzekę jak można najprędzej, królowi zaś Hieronimowi, żeby stanął w Grodnie 30-go najdalej. Doniósł o tém co miało nastąpić księciu de Bellin do Berlina, ażeby ten marszałek uzbroił Spandawę i miał się na ostrożności, gdyż pierwsze wystrzały miały się rozleźć, wielkie wypadki miały nastąpić, i należało mieć na Niemców oczy otwarte i rękę gotową.

23-go czerwca, odbywszy nocleg pośród lasu wilkowskiego, w małym solwarku, i otoczonym będąc 200 tysiącami żołnierza, Napoleon wystąpił z lasu z tą pyszną armją, i stanął w szeregach powyżej Kowna, nad rzeką, którą należało przebyć. Brzeg, który zajmowaliśmy, panował wszędzie nad brzegiem przeciwnym, pogoda była piękna, i widać było Niemen, płynący z naszej prawej ku lewej ręce, jak się toczył spokojnie ku zachodowi. Nic nie zapowiadało obecności nieprzyjaciela: prócz kilku gromad kozaków, którzy uwijali się wzdłuż brzegów rzeki, i kilku stodół spalonych, których dym wznosił się w powietrze. Jenerał Haxo, po dokładnym rekonesansie, odkrył o półtorej mili powyżej Kowna, blisko majątności zwanój Poniemunie, miejsce, gdzie Niemen, tworząc znaczne załamanie, przedstawiał wielką łatwość do przebycia. Dzięki temu półkołowemu obrotowi rzeki około przeciwnego brzegu, brzeg ten przedstawiał się nam jako równina otoczona ze wszech stron naszymi wojskami, na którą narychtowane były nasze działa, i przedstawiająca punkt najdogodniejszy do wystąpienia na brzeg pod osłoną pięciu do sześciuset armat. Napoleon, zarzuciwszy na siebie płaszcz jednego z ułanów polskich, udał się przy wystrzałach z pistoletów pewnej liczby tyraljerów konnicy, rozpoznać położenie miejsca w towarzystwie jenerała Haxo i znalazłszy to położenie równie dogodnym, jak utrzymywał ten jenerał, rozkazał zarzucić mosty téjże samój nocy (1). Jenerał Eble, który sprowadził na to miejsce partje swych łodzi, otrzymał rozkaz zarzucenia trzech mostów, z pomocą dywizji Moran, piérwszój marszałka Dawu.

(1) Zaprzeczano temu faktowi przeobrażenia się Napoleona, ale jest on autentyczny, i stwierdzony zresztą biuletynem przejścia, napisanym przez samego Napoleona, i w którym nie popełniłby kłamstwa w okoliczności tak małej wagi, otoczonym będąc tylą świadkami naoczniemi.

Jakoż o godzinie jedenastej wieczorem, 23 czerwca 1812, woltżerowie dywizji Moran wskoczyli do kilku łodzi, przepłynęli Niemen szeroki w tém miejscu na sześćdziesiąt do osmdziesięciu sążni, opanowali bez wystrzału brzeg prawy i pomogli pontonjerom przymocować liny, do których miały być przywiązane łodzie. Przy schyłku nocy, trzy mosty położone o sto sążni jeden od drugiego, były gotowe i jazda lekka mogła przejść na drugi brzeg.

24-go czerwca rano, to jest, jak w tym kraju i w téj porze roku o trzeciej może godzinie, słońce weszło na pogodném niebie i oświeciło swemi promieniami wspaniałą widok. Odczytano wojskom, które były pełne zapału, odezwę krótką i energiczną.

Gdy ta odezwa z okrzykami zadowolenia odczytaną została, wojska zstąpiły z wyżyn, tworząc trzy długie kolumny, które kolejno znikły i ukazywały się zagłębiając się w wąwozy idące ku rzece. Wszystkie działa dwunasto-funtowe, ustawione w półkole na wzgórzach, panowały nad równiną, na którą miała wstąpić armja, co było zresztą zbyt cennym, gdyż nieprzyjaciel nie ukazywał się nigdzie. Napoleon, wyszedłszy z swego namiotu i otoczony swemi officerami, przypatrywał się przez lunetę widokowi tych ogromnych sił, gdyż jeżeli rzadko dało się widzieć dwa kroć sto tysięcy ludzi działających razem w wojnie, rzadziej jeszcze widziano zgromadzonych ich na jednym punkcie, i z takim przepychem, a jednakże prawie w téjże samej chwili, i o kilka mil ztamtąd dwa kroć sto tysięcy drugie przebywało Niemen!

Piechota marszałka Dawu, poprzedzona lekką kawalerją, ruszyła pierwsza ku rzece, i każda dywizja przechodząc po kolei na brzeg przeciwny, formowała się w szereg bojowy na równinie, piechota w kolumnach ściśnionych, artyllerja w przerwach piechoty, konica lekka na przedzie, ciężka kawalerja z tyłu. Korpusy marszałków Udino i Nej przechodziły następnie, gwardja za niemi, parki po gwardji. W kilka godzin brzeg prawy pokryty został tém pyszném wojskiem, które, zstępując z wyżyn lewego brzegu, przebywając w długich linjach trzy mosty, zdawały się płynąć jak trzy potoki niewyczerpane na tę zaokrągloną równinę, którą zapelniali już swemi ściśnionemi falami. Promienie słońca odbijały się od bagnatów i kaszkietów; wojska podziwiające siebie samych i swego wodza, wydawały bezustanne okrzyki: Niech żyje Cesarz! Nie od nich to należało oczekiwać i żądać zimnego rozumu, któryby mógł ocenić to bajeczne przedsięwzięcie i zapobiedz mu. Marzyły one tylko o tryumfach i dalekich pochodach, gdyż były w tém przekonaniu, że wyprawa rossyjska miała się skończyć w In-

djach. Mówiono często o burzy nagłej, która wtedy jakby złowroga wyrocznia, miała udzielić nadaremnej przestrogi; nie było jój bynajmniej, pogoda, niestety! nie przestała być piękną (1), i Napoleon, którego nie ostrzegała opinja publiczna, nie miał nawet ostrzeżeń zabobonu.

Przypatrzwszy się przez kilka godzin temu nadzwyczajnemu widokowi, z radością upajającą ale jałową, Napoleon wsiadłszy na koń, opuścił wzgórze, gdzie były rozbite jego namioty, ruszył takż ku brzegowi Niemna, przebył jeden z mostów, i zwracając nagle na lewo, poprzedzony kilką szwadronami, pospieszył do Kowna. Nasza lekka konnica wstąpiła tam bez przeszkody, w ślad za kozakami, którzy pospiesznie przebyli Wilję, rzekę żeglowną, jak powiedzieliśmy, płynącą przez Wilno do Kowna, i wpadającą tam do Niemna, przebiegłszy około czterdziestu mil bardzo krętym biegiem. Napoleon, mając z sobą ułanów polskich gwardji, chciał być natychmiast panem obu brzegów Wilji, ażeby postawić mosty i być w możności ścigania arjergardy rossyjskiej. Uprzedzając jego chęci, ułani polsey rzucili się do rzeki, ścisnąwszy swe szeregi i płynąc całemi siłami swych koni. Ale przybywszy w sam środek prądu, zwyciężeni jego gwałtownością, zaczęli się rozłączać i dawać się unosić wodzie. Pospieszono na ich ratunek w łodziach i zdołano wielu z nich wyratować. Nieszczęściem, dwudziestu czy trzydziestu z nich, przypląciło życiem ten czyn zagrzałego posłuszeństwa. Komunikacja została niezwłocznie przywróconą pomiędzy obu brzegami Wilji, i można było odtąd postępować w górę jój biegu obu brzegami aż do Wilna. Napoleon pozostał na noc w Kownie, rozkazawszy marszałkowi Dawu rozstawić eszelonami swą przednią straż po drodze do Wilna.

Tak tedy kość była rzucona! Napoleon szedł w głąb Rossji na czele czterech kroć stu tysięcy żołnierzy, i mając ich jeszcze za sobą dwa kroć sto tysięcy! Podziwiamy skłonność nieprzewycięzoną charakterów! Ten sam człowiek dwoma laty przed tém, powróciwszy z Austrii, nauczony doświadczeniem pod Essling, myślał o wróceniu pokoju światu i swemu państwu, o nadaniu swemu tronowi trwałości sukcesyjnej, swemu charakterowi pozor zasmakowania w życiu rodzinném, i w téj myśli wszedł w związki familijne z Austriją, z dwo-rem najstarszym, najbardziej wytrwałym w swych zamiarach. Chciał

(1) Burza istotnie miała miejsce, ale dalej i w kilka dni później. Wojsko to wło-
skie wystawione było na nią w przechodzie swoim przez Niemn pod Prenami.

uśmierzyć nienawiści, ustąpić z Niemiec i przenieść do Hiszpanji wszystkie swe siły, ażeby zmusić tam Anglję do pokoju, a z Anglją świat cały, który czekał tylko jęj hasła, ażeby uledz. Takie były jego myśli w 1810 i starając się w dobrej wierze urzeczywistnić je, obmyśla blokadę lądową, która miała zmusić Anglję do pokoju, skutkiem cierpień handlowych, zmusić Hollandję do przyjęcia tego systematu, a gdy ta się opiera, odbiera ją własnemu bratu, przyłącza do swojego państwa, i daje Europie, którą chciał uspokoić, oburzający przykład wielkiego królestwa, przyłączonego do Francji na mocy prostego dekretu. Potém, znajdując systemat blokady niezupełnym, zabiera dla uzupełnienia go miasta anzeatyczne, Bremen, Hamburg, Lubekę, a jak gdyby lew nie mógł pozostawać w pokoju jak tylko pożerając coraz nową zdobycz, przydaje do tamtych jeszcze Walezję, Florencję, Rzym i dziwi się, że takowe zamachy mogły kogo razić. Tym czasem wysłał przeciwko Lizbonie swojego głównego dowódcę Massenę, ażeby tam zadać armji angielskiej cios stanowczy, i wnosząc z oburzenia stałego lądu, że należało mieć siły przeważne na północy, tworzy wielkie zebranie wojsk nad Elbą, poświęca odtąd Hiszpanji niedostateczne siły, pozostawiając Massenę bez pomocy, naraża go na uszczerbek jego chwały, dozwała że z miejsca nieznanego dotąd, Torra-Vedras, powstaje nadzieja dla Europy zniecierpliwionj, i wznosi się wódz zgubny dla niego i dla nas, potém nie mogąc znieść żeby Rossja ośmielona swą odległością, stawiała jakie przeszkody jego zamiarom, zwraca nagle swe myśli, swe siły, swój gienjusz na północ, ażeby skończyć tam wojnę jednym z tych wielkich ciosów, z którymi oswoił świat, a bardziej jeszcze swą duszę, opuszczając tym sposobem rzecz pewną, którą mógł osiągnąć na Tagu, dla rzeczy niepewnej, za którą szedł uganiać się pomiędzy Dnieprem a Dźwiną! Oto co się stało z zamiarami tego Cezara, marzącego czas jakiś, że zostanie Augustem! I oto w tęg chwili dążył on na północ, zostawiając po za sobą Francję wyczerpaną i mającą w obrzydzeniu chwałę krwią zbroszoną, dusze pobożne zranione jego tyranją religijną, dusze niepodległe jego tyranją polityczną, Europę wreszcie oburzoną jarzmem obcém, które dźwigać musiała, i prowadził z sobą armję, w której tworzyła się potajemnie większa część podobnych uczuć, w której rozmawiano wszystkimi językami, i której węzłem łączącym był tylko jego gienjusz i jego pomysłność dotąd niezmienna! Co się stanie w takiej odległości z tą armją tak sztucznie utworzoną z sześciu kroć stu tysięcy żołnierzy wszelkich narodowości, idącą za przewodnictwem jednę gwiazdy, gdy ta gwiazda im przewodnicząca nagle zgaśnie? Świat, na nie-

KSIĘGA CZTERDZIESTA CZWARTA.

MOSKWA.

Napoleon robi przygotowania do pochodu na Wilno. — Rozporządzenia jego w Kownie dla zapewnienia posiadłości tego miasta i przeprowadzenia linii komunikacyjnej wodą. — Ruchy rozmaitych korpusów wojska francuzkiego. — Gdy się zbliżono do Wilna, przybywa do głównej kwatery p. Bałasow, wysłany przez Cesarza Aleksandra dla ostatecznej próby wejścia w układy. — Pobudki, które skłoniły do tego kroku. — Cesarz Aleksander i jego sztab. — Opinia panująca w Rosji względem sposobu prowadzenia tej wojny. — Systemat cofania się wewnątrz kraju, przedstawiony przez generała Pfuhl. — Zdania generałów Barklaj de Tollego i Bagracjona względem tego systematu. — Dowiedziawszy się o zblizaniu się Francuzów, Cesarz Aleksander skłania się do cofnięcia się nad Dźwinę do obozu pod Dryssą, i do wystąpienia księcia Bagracjona z drugą armją rossyjską nad Dniepr. — Wejście Francuzów do Wilna. — Burze letnie podczas pochodu wojska do Wilna. — Pierwsze kalusze. — Wielu żołnierzy zaraz od początku kampanji nabiera przywyknienia do rabunku. — Trudność pochodów i zaopatrzenia się w żywność, skłania Napoleona do przedłużenia pobytu w Wilnie. — Niedogodności tego pobytu. — Wówczas gdy Napoleon zatrzymuje się dla zebrania żołnierzy rozpięrzonych i udzielenia swym konwojom czasu do przybycia, wysyła marszałka Dawu na prawo, dla ścigania księcia Bagracjona, oddzielnego od głównej armji rossyjskiej. — Uorganizowanie rządu litewskiego. — Tworzenie magazynów, budowanie pieców, ustanowienie policji po drogach. — Władzenie się Napoleona z p. Bałasowem. — Działania marszałka Dawu na prawem skrzydle Napoleona. — Niebezpieczeństwo, na jakie narażonych zostaje wiele kolumn rossyjskich, oddzielonych od głównego korpusu swej armji. — Kolumna generała Dochturowa zdołała się wycofać, inne odepchnięte aż do armji księcia Bagracjona. — Pochód śmiały marszałka Dawu na Mińsk. — Postrzegłszy że zostaje w obec wojska Bagracjona, dwa lub trzy razy liczniejszego od jego korpusu, marszałek ten żąda posiłków. — Napoleon, który zamierza uderzyć na Barklaj de Tollego z największą częścią swych sił, odmawia marszałkowi Dawu potrzebnej pomocy, i chce zastąpić ją przyspieszeniem połączenia króla Hieronima z tym marszałkiem. — Pochód króla Hieronima z Grodna na Nieświż. — Zwłoka pomimowolna z jego strony. — Napoleon rozgniewany, umieszcza go pod rozkazami marszałka Dawu. — Król Hieronim obrażony opuszcza wojsko. — Strata kilkunastu dni, podczas których Bagracjon uskutecznia swój odwrót. — Marszałek Dawu spieszy za nim w pogoń. — Policzka pod Mohilewem. — Bagracjon cofa się za Dniepr. — Zajęcia Napoleona podczas tych ruchów marszałka Dawu. — Po uorganizowaniu środków wyżywienia się, i pozostawieniu w Wilnie większej części swoich zaprzęgów artyleryji i zapasów żywności, robi przygotowania do wyruszenia przeciw głównej armji rossyjskiej pod Barklaj de Tollim. — Odjazd Napoleona do Głębokiego. — Piękny plan zaliczący na wystąpienie Dawu i Hieronima przeciw Bagracjonowi, i wystąpieniu przeciw Barklaj de Tollimu ruchem z lewa na prawo, ażeby wyminąć Rossjan i wziąć im tył. — Pochód wszystkich korpusów armji francuzkiej defilujących przed obozem pod Dryssą dla udania się na Połock i Witebsk. — Rossjanie w obozie pod Dryssą. — Opór ich głównego sztabu przeciw planowi przypisywanemu generałowi Pfuhl i wydalenie się z obozu Cesarza Aleksandra. — Udanie się jego do Moskwy. — Barklaj de Tollim opuszcza obóz pod Dryssą i zwraca się na Witebsk, idąc po za Dźwinę, w zamiarze połączenia się z Bagracjonem. — Napoleon stara się uprzędzić go do Witebska. — Szereg walk pomyślnych przed Ostro-

wnem i za niem. — Świetna waleczność wojsk francuzkich i rossyjskich. — Na chwilę spodziewają się bitwy, ale Rossjanie uchylają się od niej dla zajęcia stanowiska pomiędzy Witebskiem a Smoleńskiem i połączenia się z księciem Bagracjonem. — Znużenie wojsk z powodu zbyt licznych upałów, nowa strata ludzi i koni. — Napoleon, uciekający w Smoleńsk, i straciwszy nadzieję przeszkodzenia połączeniu Bagracjona z Barklaj de Tollim, skłania się do nowego wypoczynku na dni piętnaście dla zebrania żołnierzy pozostałych po drodze, sprowadzenia swych konwojów artylerji, i oczekiwania przejścia upałów. — Pobył jego w Witebsku. — Rozłożenie wojsk około tego miasta. — Starania jego lyczące się armji, zmniejszonej już od czterech kroc stu tysięcy do 256 tysięcy, od czasu przejścia Niemca. — Działania na lewem skrzydle. — Marszałkowie Makdonald i Udino, obowiązani działać nad Dźwiną, mają, jeden blokować Rygę, drugi wziąć Połock. — Korzyści odniesione 29 lipca i 1 sierpnia przez marszałka Udino nad hrabią Wittgenstejnem. — Napoleon, dla udzielenia nieco wypoczynku Bawarcykom napastowanym przez krwawą biegunkę, i dla wzmocnienia marszałka Udino, posyła ich do Połocka. — Działania na prawem skrzydle. — Napoleon po złączeniu się z nim marszałka Dawu i części wojsk księcia Hieronima, poleca generałowi Renje z Sasami, i księciu Szwarzenbergowi z Austrjakami, strzedz biegu niższego Dniepra i stawić czoło generałowi rossyjskiemu Tormasow, zajmującemu Wołyn z 40 tysiącami żołnierza. — Porobiwszy też rozporządzenia i dawszy nieco odpoczynku swym żołnierzom, Napoleon rozpoczyna działania zaczepne przeciwko wielkiej armji rossyjskiej, składającej się oddział z wojsk połączonych Barklaj de Tolliego i Bagracjona. — Piękny pochód z lewa na prawo, w obec armji nieprzyjacielskiej, dla przejścia Dniepru poniżej Smoleńska, zachwycenia tego miasta, zajęcia tyłu Rossjanom i przyparcia ich do Dźwiny. — Kiedy Napoleon działał tym sposobem przeciw Rossjanom, ci zamysłają o rozpoczęciu zaczepnych kroków. — Strwożeni ruchami Napoleona, i lekając się o Smoleńsk, odstępują ku temu miastu dla ocalenia go. — Pochód Francuzów na Smoleńsk. — Pomysłna potyczka pod Krańcem. — Przybycie Francuzów pod Smoleńsk. — Ogromny zbiór wojsk przed tym nieszczęśliwym miastem. — Atakowanie i wzięcie Smoleńska przez Neja i Dawu. — Cofanie się Rossjan na Dorohobuż. — Spotkanie się marszałka Neja z częścią tylnych straży rossyjskiej. — Krwawa bitwa pod Walułynem. — Śmierć generała Giudę. — Smutek Napoleona z powodu nieudania się jednego po drugim najpiękniejszych jego pomysłów. — Trudności jakie przedstawia miejscowość, i niesprzyjające okoliczności w tej kampanji. — Wielka kwestja do rozstrzygnięcia, czy należy się zatrzymać w Smoleńsku dla przezimowania na Litwie, czy też iść naprzód dla zapobieżenia niebezpieczeństwom politycznym, któreby się mogły zrodzić z przedłużenia wojny. — Przyczyny za i przeciw. — Kiedy się namyśla, Napoleon dowiaduje się że generał Se-Sir, zastąpiwszy miejsce marszałka Udino rannego, odniósł 18 sierpnia zwycięstwo nad armją Wittgenstejną pod Połockiem: że generałowie Szwarzenberg i Renje, po rozmaitych kolejach, odnieśli pod Horodeczną 12 sierpnia, drugie zwycięstwo nad armją wołyńską; że marszałek Dawu i Miurat, ścigając wielką armję rossyjską, znaleźli tę armję na pozycji za Dorohobużem, gotową, jak zdawało się do wydania bitwy. — Po otrzymaniu tej ostatniej wiadomości, Napoleon wyrusza ze Smoleńska z resztą armji, ażeby wszystko zakończyć wielką bitwą. — Przybycie jego do Dorohobuża. — Cofanie się armji rossyjskiej, której wodzowie wahają się, czy mają wydać bitwę, czy też cofać się niszcząc wszystko na swój drodze. — Pochód ich na Wiaznę. — Napoleon wnosząc że wydadzą wreszcie bitwę, i spodziewając się rozstrzygnąć los wojny w jednym dniu, rusza na ich ściganie, i rozstrzyga tym sposobem ważną kwestję, która trzymała w zawieszaniu jego umysł. — Rozkazy wydane na skrzydła i do wojsk z tyłu zostających na czas kiedy wyruszy w pochód. — Główny korpus pod dowództwem marszałka Wiktora, sprowadzony z Berlina do Wilna, dla osłonięcia tyłu armji; 11ły pod marszałkiem Ożero, powołany do zamieszczenia gogo w Berlinie. — Pochód wielkiej armji na Wiaznę. — Widok Rossji. — Liczne pożary wszczęte ręką Rossjan na całej drodze ze Smoleńska do Moskwy. — Podniesienie ducha publicznego w Rossji, i niezadowolenie tak w armji jak w narodzie z powodu planu zależącego na cofaniu się i niszczeniu wszystkiego przed Francuzami. — Niepopularność Barklaj de Tolliego, i wysłanie starego generała Kutuzowa dla zastąpienia jego miejsca. — Charakter Kutuzowa i jego przybycie do armji. — Chociaż przychyłający się do systemu obronnego, skłania się stoczyc bitwę pod Moskwą. — Wylhanie pola bitwy pod Borodinem na brzegu rzeki Moskwy. — Pochód armji francuzkiej z Wiazny na Gżack. — Z powodu kilku dni niepogodnych Napoleon waha się czy ma się cofnąć, czy ścigać armję rossyjską. — Powrót pogody skłania go, pomimo zdania główniejszych wodzów armji, do przedłużenia swego pochodu w głąb Rossji. — Przybycie 5 września na obszerzą równinę Borodino. — Wzięcie reduty Swardino 5 września wieczorem. — Odpoczynek 6 września. — Przygotowania do wielkiej bitwy. — Projekt marszałka Dawu obciążenia armji rossyjskiej z lewego jej skrzydła. — Przyczyny, które skłoniły do odrzucenia tego projektu. — Plan ataku z czoła, zależącego na zdobyciu szturmem redukt, o które Rossjanie się opierają. — Duch wojenny Francuzów, duch religijny Rossjan. — Pamiętna bitwa nad rzeką Moskwą, stoczona 7 września 1812. — Okropny widok. — Dla czego bitwa ta nie była stanowczą? — Rossjanie cofają się na Moskwę. — Francuzi ich ścigają. — Rada wojenna złożona przez generałów rossyjskich dla zdecydowania czy mają stoczyć nową bitwę, czy też oddać Moskwę Francuzom. — Kutuzow skłania się

do opuszczenia Moskwy, przebywa miasto i cofa się po drodze do Kazania. — Przybycie Francuzów pod Moskwę. — Pyszny widok tej stolicy, i uniesienie naszych żołnierzy na widok jej z wyżyn Worobjewo. — Wejście do Moskwy 14 września. — Milczenie i samotność. — Ukazywanie się miejscami ognia w nocy z 15 na 16. — Straszliwy pożar tej stolicy. — Napoleon zmuszony ustąpić z Kremlu i schronić się do zamka Petrowskoje. — Boleść, jaką mu sprawia pożar Moskwy. — Widzi w tym postanowienie pełne rozpaczy, wyłączające wszelką myśl pokoju. — Po pięciu dniach pożar zostaje uśmierzony. — Widok Moskwy po pożarze. — Cztery piąte miasta zniszczone. — Ogromna ilość żywności znalezionej w sklepach i utworzenie magazynów dla armii. — Myśli miotające duszę Napoleona w Moskwie. — Poznaje niebezpieczeństwo zatrzymania się w niej, i chciałby przez pochod ukośny na północ, połączyć się z marszałkami Wiktorem, Se-Sir i Makdonaldem, przed Dźwina, ażeby tym sposobem rozstrzygnąć podwójne zadanie zbliżenia się do Polski i zagrożenia Petersburgowi. — Złe przyjęcie, jakie ten głęboki pomysł otrzymuje ze strony jego dowódców, i zarzuty oparte na stanie wojska, zmniejszonego do stu tysięcy. — Podczas kiedy Napoleon waha się, postrzega że armia rosyjska wycofała się, i zajęła pozycję po prawej jego stronie, na drodze wiodącej do Kaługi. — Miurat wysłany dla ścigania jej. — Rossjanie zatrzymują się w Tarutino. — Napoleon widząc się w niedogodnym położeniu, wysyła generała Loryston do Kutuzowa dla zagajenia układów. — Przebiegłość Kutuzowa udającego że przyjmuje te propozycje, i zawarcie ustnego zawieszenia broni.



dy Niemen przebyty został 24 czerwca bez żadnego oporu ze strony Rossjan, wszystko zapowiadało że pobudki, które skłoniły ich do cofnięcia się z okolic Kowna, skłonią ich także do cofnięcia się z innych punktów granicy. Nie wątpiąc że na lewém skrzydle marszałek Makdonald, mający przebyć Niemen blisko Tylżytu, a na prawém książe Eugienjusz, mający przebyć go w okolicach Pren, znajdą też samą łatwość w przeprawie, Napoleon myślał teraz o wyruszeniu na Wilno, dla zajęcia tej stolicy Litwy i dla umieszczenia się pomiędzy dwoma wojskami nieprzyjacielskiemi takim sposobem, żeby nie dozwolić im się połączyć. Jednakże, przed opuszczeniem Kowna, podczas gdy korpusy jego postępowałyby drogą do Wilna, chciał zająć się ułatwieniem niektórych spraw, które jego rzadka przezorność nie zaniedbywała nigdy. Zapewnić swoją linię komunikacyjną, wówczas kiedy będzie postępować naprzód, było zawsze pierwszym jego zajęciem, a wtedy musiał o tém tém bardziej myśleć, że miał się zapuścić w tak odległe krainy, będąc otoczonym od jazdy nieprzyjacielskiej, najbardziej uprzykrzonej w całym świecie.

Najprzód kazał zdjąć mosty rzucone powyżej Kowna, umieścić łodzie na wozach i odprawić cały zaprząg za wojskiem marszałka Dawu. Polecił niezmordowanemu generałowi Eble zbudować w samém Kownie most na palach, dla zapewnienia w każdym czasie przeprawy przez Niemen. Rozkazał mu także wystawić podobnyż na Wilji,

ażeby zapewnić komunikację wojska we wszystkich kierunkach. W okolicach tych znajdował się dostateczny zapas drzewa, a co do innych materiałów potrzebnych do stawienia mostów, jako to: żelazstwa, powrozów i narzędzi, powinniśmy pamiętać, że obficie zaopatrzył w nie korpus inżynierów. Napoleon zajął się potem otoczeniem miasta Kowna fortyfikacjami, ażeby oddziały nieprzyjacielskie nie mogły tam wpaść i żeby ogromny zapas materiałów, który tam miano zostawić, znajdował się w zupełnym bezpieczeństwie. Po tych przedmiotach, lazarety dla przyjęcia rannych i chorych, piekarnie dla pieczenia chleba, magazyny dla złożenia zapasów rozmaitego rodzaju, a nadewszystko przygotowanie łodzi sposobnych do żeglowania w górę Wilji aż do Wilna, pochłaniały całą jego uwagę, i wydał stosowne rozkazy, ażeby za pośrednictwem jednego tylko przeładowania, konwoje przybyłe z Gdańska przez Wisłę, Fryszhaff, Pregiel, Dejmę, kanał Fryderyka, Niemen, mogły iść w górę od Kowna do Wilna. Nieszczęściem, Wilja mniej głęboka niż Niemen, a nadto bardzo kręta, przedstawiała środek transportu, prawie równie trudny jak lądem. Nie mniej liczono jak dwadzieścia dni czasu na przebycie Wilji od Kowna do Wilna, to jest tyle prawie ile potrzeba było na przebycie z Gdańska do Kowna. Jednakże Napoleon rozkazał zrobić próbę tej żeglugi, i jeśli by ta się nie udała, uorganizować inne środki transportu.

Zajmując się temi czynnościami ze zwykłą sobie działalnością, Napoleon wyprawił swe wojska w pochód. Wiadomości zebrane o położeniu nieprzyjaciela, ciemne dla każdego innego niż dla Napoleona, wskazywały, że armja Barklaj de Tollego utworzyła jakby półkole około Wilna i łączyła się przez kordon kozaków z armją księcia Bagracjona, która była daleko niżej po prawej stronie naszej, w okolicach Grodna. Oto jakim sposobem, według zebranych wiadomości armja generała Barklaj de Tollego rozpołożoną była w około nas, szczególnież naprzeciwko głównej masy naszych sił. Mówiono, że pomiędzy Tylżytem a Kownem, ku Rosieniom, to jest, po naszym lewem rękę, znajdował się korpus Wittgensztejna, w którym rachowano dwadzieścia kilka tysięcy żołnierza (było w nim 24 tysiące); że w Wilkomierzu znajdował się drugi, to jest, Bagowuta, mniej silny (było w nim 19 tysięcy ludzi licząc w to korpus jazdy Uwarowa); że w Wilnie samem stała gwardja Cesarska z rezerwami (było w niej 24 tysiące żołnierza, licząc w to ciężką jazdę generała Korffa); że naprzeciw nas na drodze do Wilna, ale trochę na prawo względem nas, rozpołożone były inne wojska, których liczba była niewiadomą, ale nie musiała być mniejszą od tej jaką zawierały w sobie oddziały wyżej wymienione. Był to kor-

pus Tuczkowa, stojący w Nowych Trokach z blisko 19 tysiącami żołnierza, korpus Szuwałowa, stojący w Olkienikach z 14 tysiącami, i nakoniec dalej na prawo korpus Dochturowa, stojący w Lidzie z 20 tysiącami żołnierza, i połączony przez 8 tysięcy kozaków Płatowa z armją księcia Bagracjona. To rozdzielenie 130 tysięcy ludzi Barklaj de Tollego nie dokładnie było znaném, ale rozpołożenie jój w półkole około Wilna, w massie większój po naszym lewém rękü i z czoła, w mniejszój po prawém rękü, oraz związek jój przez kozaków z Bagracjonem, dawał się dość wyraźnie postrzegać, ażeby Napoleon mógł rozkazać pochód swojój armji na Wilno z dostateczną znajomością rzeczy.

Marszałek Makdonald, na krańcu naszego lewego skrzydła, przebył bez trudności Niemen w Tylżycie. Miał on z sobą 11 tysięcy Polaków, 17 tysięcy Prusaków, i otrzymał rozkaz posuwania się na Rosienie, bez pośpiechu, tak żeby mógł osłaniać żeglugę na Niemnie, i opanować kolejno Kurlandję, w miarę jak Rossjanie cofaliby się nad Dźwinę. Napoleon wysłał korpus marszałka Udino, liczący około 36 tysięcy żołnierza, na Janowo, i zalecił mu przejść Wilję dla udania się na Witkomiérz. Można było wnosić, że ten korpus spotka armję Wittgensztejna, która cofając się z Rosień musiała przechodzić przez Witkomiérz. Napoleon wzmocnił go dywizją kirassjerów, oddzieloną od księcia Eugienjusza, i należąca do 3 korpusu jazdy rezerwowój. Wysłał takż za Wilję korpus Neja, liczący w sobie również 36 tysięcy żołnierza, ale ten przebył tę rzekę bliżej Wilna. Udino i Nej, idąc równolegle i bardzo blisko jeden od drugiego, byli dość silnemi żeby stawić czoło jakiegokolwiek bądź siły nieprzyjacielowi, i w razie gdyby, przeciw wszelkiemu prawdopodobieństwu, spotkali główną armję rosyjską, opierać się tyle czasu, ile potrzeba go było na podanie im pomocy. Nie mieli więc czego lękać się Wittgensztejna i Bagowuta, czy to rozdzielonych czy połączonych z sobą, i mogli nawet zadać im cios stanowczy, przedsięwziąwszy zobopólnie skuteczne środki działania.

Po przyjęciu tych środków ostrożności, prawie zbytucznych, na swém lewém skrzydle, Napoleon postanowił iść prosto na Wilno, z 20 tysiącami jazdy Miurata, z 70 tysiącami piechoty marszałka Dawu, i 36 tysiącami wypróbowanego żołnierza gwardji. Mając więc bezpośrednio pod swą ręką najmniej 120 tysięcy ludzi zdatnych do boju, był pewnym przewycięzenia wszelkiego oporu, i przecinając linję rosyjską pod Wilnem, oddzielenia całkiem Barklaj de Tollego od Bagracjona.

Co do wojsk nieprzyjacielskich zostających po prawej jego stronie, i które, lubo nie można było tego wiedzieć z dokładnością znajdowały się pomiędzy Nowemi Trokami i Lidą, i tworzyły lewe skrzydło Barklaj de Tollego, nie można było liczyć im więcej jak 40 tysięcy żołnierza; owoż, książę Eugienjusz, który czynił przygotowania dla przebycia Niemna w Prenach z 80 tysiącami, mógł im stawić czoło, gdyby przeciw wyraźnemu planowi Rossjan chcieli działać zaczepnie.

Te rozporządzenia, poczynione nazajutrz po przejściu Niemna, wykonywały się podczas kiedy Napoleon, zostając w Kownie, poświęcał się rozmaitym zajęciom, które wyżej wskazaliśmy. Własną osobą swoją miał pospieszyć wtedy tylko, kiedy forpoczty jego doniosłyby o obecności nieprzyjaciela. Zresztą, z walecznym Miuratem w przedniej straży, z dzielnym Dawu w środkowym korpusie, nie miał się czego lękać niepomysłnego wypadku. 25 Miurat i Dawu posunęli się, jeden na czele jazdy, drugi na czele piechoty, do Żyźmor, przebywszy pozycję niedogodną, gdzie armja rossyjska z łatwością mogłaby ich powstrzymać. Jakoż postępowali po pochyłościach wzgórz pokrytych lasem, oddzielających łożysko Wilji od Niemna, ścięśnieni pomiędzy temi wzgórzami i urwistemi brzegami Niemna, i nie mający w razie napadu znacznej przestrzeni do rozwinięcia się. 25 wieczorem, nocowali w Żyźmorach, w okolicy dogodniejszej, gdyż kąt utworzony przez Wilję i Niemen, był tu daleko więcej rozwarty. Nazajutrz 26 mieli nocleg na drodze do Jewia, i spotykali tylko na swój drodze kozaków, uciekających za ich zbliżeniem się, i podpalających stodoły i dwory, kiedy mieli czas potemu. Niebo było ciągle czyste i wypogodzone, ale wsie stawały się coraz odleglejsze jedne od drugich, a zasoby stawały się rzadszemi. Żołnierzom marszałka Dawu, niosącym swój chleb na plecach, i mającym za sobą trzodę bydła, nie zbywało na niczem, ale byli oni nieco znużeni długością pochodów, i pozostawiali z młodych żołnierzy, szczególnie z Illiryńczyków i Hollandrów, nieco opóźniających się po drodze. Konie nadewszystko wiele ucierpiały, i każdego wieczora, w braku owsa, trzeba ich było puszczać na pola, dla spożywania zielonego zboża, które chętnie jedli, ale które ich nie karmiło. Artyllerja rezerwowa, składająca się z dział dwunastofuntowych, i zaprzęgi wiozące amunicję i żywność, pozostały z tyłu. Jazda Miurata, którą nieszczęściem mało oszczędzał, wyruszając z nią w pochód bardzo rano, i rozsyłając ją galopem w różnych kierunkach, była już bardzo znużoną. Staranny i surowy Dawu niepochwalał tej nieprzezorności, i chociaż mało mówiący, wydawał

się z tém co myślał. Nie mogło to posłużyć do zbliżenia obu wodzów naszej przedniej straży, już i tak bardzo różniących się z sobą co do usposobień i charakteru.

27 stanęli w Jewiu, które jest tylko o dzień drogi od Wilna, i Miurat, żeby mógł wejść nazajutrz wcześniej do tego miasta, udał się na Rykonty, o trzy czy cztery mile za Jewiem.

Nie było już w Wilnie ani dworu Cesarza rossyjskiego, ani jego armji. Przejście Niemna rozpoczęte 24 rano było wiadome w Wilnie tegoż dnia wieczorem, podczas kiedy Cesarz Aleksander znajdował się na balu wydanym przez generała Benningsena.

Ta wiadomość, przyniesiona przez służącego Hr. Rumiańcowa, napełniła wszystkich niespokojnością. Chcąc zasięgnąć zdań jak najrozmaitszych, Cesarz Aleksander otoczył się wielą osobami, różniącemi się całkiem charakterem, stopniem i narodowością. Oprócz generała Barklaj de Tollego, który nie wydawał rozkazów jako głównodowodzący armją, ale jako minister wojny, Cesarz Aleksander miał przy sobie generała Benningsena, Wielkiego Księcia Konstantego, byłego ministra wojny Arakczejewa, ministrów policji i spraw wewnętrznych p. p. Bałaszowa i Koczubeja, księcia Wołkońskiego. Ten ostatni spełniał przy osobie Cesarza obowiązki szefa głównego sztabu. Do tych Rossjan, ożywionych po większej części wielkim entuzjazmem, przyłączyło się wielu cudzoziemców wszelkiej narodowości, szukających przy Cesarzu Aleksandrze ucieczki od prześladowania Napoleona, albo tylko unikających jego wpływu i chwały, których zniesć nie mogli. Pomiędzy niemi znajdował się officer inżynjerów, nazwiskiem Miszo (Michaux), rodem Pjemontczyk, znający mało taktykę wojenną, ale posiadający gruntownie swoje naukę, i bardzo dobrze uważany przez Cesarza Aleksandra; nadto Szwed jeden, hrabia Armfeld, który skutkiem wypadków politycznych, w swoim kraju zmuszony był szukać schronienia w Rossji, człowiek rozumny, ale dość źle uważany; Włoch Pauluczcy (Paulucci), posiadający wiele wyobraźni, wielu Niemców, szczególnie baron Sztejn, którego Napoleon usunął z ministerstwa w Prusiech, który był w Niemczech bożyszczem wszystkich nieprzyjaciół Francji, i który obok dziwnej mieszaniny ducha liberalnego i arystokratycznego pełen był gorącego patriotyzmu; officer głównego sztabu, pełen nauki, pojętny, czynny, lubiący grać ważną rolę, pułkownik Volzogen; nakoniec Prusak, więcej uczony nizeli wojskowy, generał Pfuhl, wywierający na umysł Cesarza Aleksandra dość wielki wpływ, nienawidzony z tego powodu przez wszystkich dworaków, mający siebie za głębokiego a będący tylko systematycznym, uważany przez niektórych swoich

zwolenników za gienjusz niepospolity, ale od większej liczby osób za umysł dziwaczny, nietowarzyski, niezdolny do wyrządzenia najmniejszej usługi.

Pośród to tych doradców Cesarz Aleksander, mający więcej rozumu od każdego z nich, zostawał od kilku miesięcy, kiedy odgłos dział Napoleona położył koniec jego niepewności, i zmusił go do przyjęcia planu kampanji.

Pomiędzy temi rozmaitemi osobami dwa pomysły szczególnie były przedmiotem żwawego sporu. Ludzie charakteru zapalczego, chcieli żeby nie czekano Napoleona, przeciwnie żeby go uprzedzono, żeby napađnięto na Stare Prusy i Polskę, żeby zniszczono te kraje, sprzymierzone lub działające spólnie z Francją, żeby starano się nawet poburzyć Niemcy, podając im wczesnie rękę, z warunkiem, jeśliby tego potrzeba było, cofnienia się potem, powiększywszy na dwieście mil pustynię, w której spodziewano się że Napoleon grób swój znajdzie. Ludzie spokojniejsi i roztrośniejsi uważali ten projekt za niebezpieczny, i utrzymywali bardzo słusznie, że iść na spotkanie Napoleona, było to mu skrócić drogę, oszczędzić mu następnie największej z przeszkód téj wojny, to jest, przeszkody wielkich odległości, przedstawiać mu prawie na jego ziemi, przy wszelkiej łatwości ściągnięcia zasobów, to czego najwięcej pragnął, to jest, bitwy takiej jak pod Austerlitz lub Frydland, bitwy, którą by wygrał niezawodnie, i po której spór zostałby rozstrzygniętym, albo przynajmniej zapewnioną by mu została przewaga na cały dalszy ciąg wojny. Utrzymywali jeszcze, że zamiast zmniejszania przeszkody znacznych odległości, należało powiększyć ją cofając się przed Napoleonem, odstępując mu ziemi tyle, ile chciałby jej opanować, potem kiedy się posunie bardzo daleko i zostawać będzie w głębi Rossji, osłabiony strudzeniem i głodem, napaść na niego, zgromić go, i odeprzeć w połowie zniszczonego na granice rossyjskie. Ten plan przedstawiał niedogodność oddania na rabunek, nie już Polski albo Starych Prus, ale samej Rossji. Jednakże pewność prawie wygranej była pobudką tak ważną, że żaden wzgląd na interes materialny nie mógł dać nad nią przewagi.

Te narady, rozpoczęte w Petersburgu, ciągnęły się jeszcze w Wilnie, gdy tym czasem wiadomość o przejściu Niemna przerwała bal generała Benningsena. Cesarz Aleksander miał umysł za nadto przezorny, żeby się miał wahać na chwilę w podobnym razie. Zmusić Napoleona do odbycia w klimacie rossyjskim takiej kampanji, jaką Massena musiał odbyć w Portugalji w klimacie tamtejszym, było taktyką przedstawiającą zanadto wiele korzyści, żeby myślał chwycić

się innéj. Nadto, do przyjęcia jéj miał pobudkę stanowczą, to jest, polityczną. Starając się ciągle o pozyskanie na swą korzyść opinii Rossji, Europy, a nawet Francji, ażeby pogorszyć położenie moralne Napoleona względem ludów, strzegł się pilnie okazywać się wyzywającym, i skutkiem tego systematu postanowił czekać nieprzyjaciela, nie idąc go sam szukać. Z tém się zawsze odzywał, i to miał na względzie trzymając się ciągle po za Niemnem, swoją granicą naturalną, do tego stopnia, że nie bronił nawet przejścia przezeń.

Sposób ten postępowania był bardzo prosty, i dyktował go sam zdrowy rozum. Ale chciano na téj podstawie zbudować cały systemat, i generał Pfuhl, twórca tego systematu, był jego obrońcą przed Cesarzem Aleksandrem.

W każdéj epoce, kiedy jaki człowiek wyższy, powodując się nie jaką teorią, ale okolicznościami, wykonywa wielkie rzeczy, umysły naśladowcze idą jego śladami, i tworzą systemata zamiast wielkich rzeczy, które prawdziwy gienjusz dokonał naturalnym sposobem. W ósmnastym wieku wszyscy chcieli robić obróty wojskowe na sposób Fryderyka, i od bitwy pod Leuthen budowali systemata na szyku ukośnym, któremu przypisywano wszystkie zwycięstwa monarchy pruskiego. Od roku 1800, i kampanji generała Bonaparte, który umiał, z taką sztuką manewrować na skrzydła i komunikacje swoich przeciwników, nie mówiono o niczém więcéj jak o obejściu nieprzyjaciela. W 1810, człowiek rozsądny i z charakterem, lord Wellington, przy pomocy okoliczności i rzadkiego szczęścia, odbył świetną kampanję w Portugalji, i w Europie o tém tylko mówiono, żeby działać podobnie jak on. Cofać się niszczyć wszystko, schronić się potem do obozu niezdobyczego, czekać tam osłabienia nieprzyjaciela, który nierozważnie za daleko się posunął, spotkać się wreszcie z tym nieprzyjacielem, napaść na niego, zgromić, stało się dla niektórych umysłów, od czasu bitwy pod Torres-Vedras, całą treścią sztuki wojennéj. Ten to systemat generał Pfuhl chciał zastosować do terazniejszój kampanji i Cesarz Aleksander dał mu do zredagowania cały plan wojny.

Jenerał Pfuhl rozpatrzywszy dokładnie mapę Rossji, postrzegł tam to co każdy może postrzedz na pierwszy rzut oka, długą linię poprzeczną Dźwiny i Dniepru, które, łącznie z sobą, tworzą z północozachodu na południo-wschód długą i piękną linię obrony wewnętrznej. Chciał więc żeby armje rossyjskie cofnęły się za tę linię, utworzyły tam pewien rodzaj Torres-Vedras niezdobyczego, i postąpiły tam podobnie jak wojsko angielskie i hiszpańskie w Portugalji. Rozpatrując pilnie mapę Rossji postrzegł nad Dźwiną około Dryssy miej-

sce, które zdawało mu się być stosowném do założenia tam obozu oszańcowanego, zaproponował więc założyć w tém miejscu obóz, i Cesarz Aleksander przyjąwszy tę propozycję, wysłał inżynjera Miszo na miejsce dla wytknięcia i wykonania robót. Officer głównego sztabu Volzogen, pewien rodzaj tłumacza jenerała Pfuhl, udawał się ciągle tam inazad dla zastosowania pomysłów swojego mistrza na gruncie. Wreszcie, prócz utworzenia tego obozu pod Dryssą, jenerał Pfuhl wskazał jeszcze jakim sposobem miały być rozdzielone siły rossyjskie stosownie do systematu, który był utworzył z działań lorda Wellingtona w Portugalji. Potrzebował więc dwóch armij, jednej głównej, drugiej pomocniczej; jednej nad Dźwiną, występującej wprost przeciw Francuzom, ściągającej ich za sobą, i mającej się zamknąć w obozie pod Dryssą, drugiej nad Dnieprem, cofającej się także przed Francuzami, ale przeznaczonój do napadnięcia na nich z boku i z tyłu, po rozpoczęciu przeciw nim zaczepnych kroków. Na mocy to tego planu utworzone były dwie armje, Barklaj de Tollego i Bagrajona.

Był to zapewne trafny pomysł, któremu Cesarz Aleksander winien był późniój odniesienie wielkich korzyści, cofać się przed Francuzami, i ściągnąć ich w głąb Rossji, a pomysł ten był znanym całej Europie. Ale na co ten obóz oszańcowany, a nadewszystko na co tak blisko granicy? To każdy mógł sobie pomyśleć, po prostém rozpatrzeniu planu jenerała Pfuhl, planu, który jak widzieliśmy, był niczém więcej, jak naśladowaniem systematyczném wojny portugalskiej. Jeżeli lord Wellington chciał mieć obóz oszańcowany, to dla tego że potrzeba było izby się prędko zatrzymał, bo inaczej byłby wrzuconym do Oceanu. Obozem oszańcowanym dla Rossji była przestrzeń, która dla nich kończyła się nad brzegami morza lodowatego. A potém, umieszczając punkt oparcia nad Dźwiną, było to chcieć wstrzymać Francuzów na samym początku ich napaści, kiedy posiadali jeszcze cały swój zapas i wszystkie swe zasoby, jak zresztą następstwa tego dowiodły, i narażać się na koleje szturm. Wreszcie, przypuszczając, że można było działać korzystnie na boki nieprzyjaciela, zawsze to było wielkiem niebezpieczeństwem rozdzielać z samego początku masę główną sił rossyjskich, która zaledwo była dostateczną do prowadzenia kampanji, i daleko byłoby roztropniój pozostawić wojskom powracającym z Turcji rolę téj armji bocznej, mającej niepokoić Francuzów, a może nawet przeciąć im odwrót.

Cesarz Aleksander nie chciał żeby ten plan był dyskutowany; zachowywał go starannie dla siebie i zalecił tylko robienie najważniej-

szych przygotowań. Tym czasem posunął się, jak widzieliśmy, w dwóch massach, jedną opartą o Dźwinę, drugą o Dniepr, pierwszą w kierunku Wilna, drugą w kierunku Mińska.

Dotąd nie było nic do zarzucenia, gdyż naturalną było rzeczą, żeby dwa główne zbiegowiska Rossjan tworzyły się za temi dwoma rzekami. Ale ludzie roztropni w głównym sztabie Cesarza Rossyjskiego byli tego zdania, że należało połączyć obie armje, wystąpić potem w jednej massie przeciw Francuzom, z tém jednakże żeby im nie wydawać bitwy, cofać się za ich zbliżeniem się, i czekać, przed napaściem na nich, dopóki nie będą strudzeni, pozbawieni żywności i tak daleko w głębi Rossji, że nie mogliby łatwo się cofnąć. Było to zdanie szczególnie jenerała Barklaj de Tollego, człowieka zimnego, wytrwałego, pełnego nauki, pochodzącego z familji szkockiej osiadłej w Kurlandji. Ale, jak powiedzieliśmy, zdanie to nie było podzielane przez wszystkich. Ludzie nienawidzący Francji, jój rewolucji, już to Rossjanie, już Szwedzi, Niemcy lub Włosi, nie chcieli żeby robiono Francuzom zaszczyt cofania się przed nimi, i utrzymywali że należało działać zaczepnie, napaść na Prusy i Polskę, ażeby zniszczyć co największemu krajowi po drodze Francuzów, i poburzyć Niemcy, które wzdychały do swego oswobodzenia. To ostatnie zdanie panowało nadewszystko w głównej kwaterze księcia Bagracjona. Ten książę, mężny, znający taktykę, któremu powierzono zresztą, w razie gdyby rozpoczęto zaczepne kroki, opanować Polskę, chciałby iść naprzód i rzucić się na Francuzów. Zazdroszcząc Barklaj de Tollemu, sprzyjał szerszącym się około niego deklamacjom przeciwko cudzoziemcom.

Cesarz Aleksander posunął się tedy z swojemi dwoma armjami, nie oświadczając się jeszcze wyraźnie za żadnym planem, uważając potajemnie plan jenerała Pfuhl za jedyny środek zbawienia państwa, ale wahając się z tém się wydać, i zachowując sobie wykonywać go kolejno, w miarę jak okoliczności tego będą wymagać. Dla tego nie chciał mianować głównodowodzącego, co znaczyłoby ogłosić jakiś systemat, i polecił jenerałowi Barklaj de Tollemu, ażeby wydawał rozkazy jako minister wojny. Nagłe zjawienie się Napoleona za Niemnem zmusiło go do położenia końca tym wahaniom i do przyjęcia jakiegoś pewnego planu.

Zamiarem Cesarza Aleksandra było zwołać natychmiast radę wojenną, przywołać do niej swoich doradców rozmaitych narodowości, przedstawić jój plan jenerała Pfuhl, nie przez samego tego jenerała, który nie mógł cierpieć żadnego sprzeciwienia, ale przez pułkownika

Volzogen, jego zwykłego pośrednika, człowieka światłego i giętkiego, potem domagać się od każdego z obecnych wyjawienia swojego zdania. Ale pułkownik Volzogen dał mu do zrozumienia, że tym sposobem wpadną w nowy chaos, i że należało raczej wybrać wprost głównodowodzącego, któremu powierzony by został do wykonania plan uznany za najlepszy. Do tej roli najspodobniejszym zdawał się być Barklaj de Tolli przez swą uległość, swoje talenta praktyczne i swój charakter ministra wojny. Zresztą, zbliżenie się nieprzyjaciela z masą przeważną około 200 tysięcy żołnierza, gdy miano zaledwo 130 tysięcy do postawienia przeciwko niemu, usmierzyło bardzo zapęd stronników zaczepnego działania, i większa część doradców myślała tylko o oddaleniu się z głównej kwatery, żeby nie wpaść w ręce Napoleona, który pewno nie myślałby ich oszczędzać. Nie było więc w obecnej chwili lękać się czego bardzo ruchu wstecznego, który stał się nieuchronnym. Zatem Cesarz Aleksander, przychyłając się do zdania pułkownika Volzogen, który zresztą mógł być jedynie przyjętym w obecnym stanie rzeczy, powierzył generałowi Barklaj de Tollemu, nie w charakterze głównodowodzącego, ale w charakterze ministra wojny, uskutecznienie odwrotu armji głównej nad Dźwinę, w kierunku obozu pod Dryssą. Po wydaniu tych rozporządzeń, oddalił się drogą prowadzącą przez Świenciany i Widze do Dryssy.

Nie było to rzeczą łatwą uskutecznić w obec Napoleona, szybkiego zwykle jak piorun, odwrót sześciu korpusów rosyjskich, rozstawionych około Wilna, i składających armję główną.

Jak powiedzieliśmy wyżej, pierwszy z tych korpusów, pod dowództwem hrabiego Wittgensztejna, był w Rosieniach, gdzie tworzył krańcowe prawe skrzydło Rossjan, naprzeciw krańcowego lewego Francuzów. Drugi pod generałem Baggowutem, był w Janowie, trzeci złożony z gwardji rosyjskiej i rezerwy, w Wilnie; czwarty, pod generałem Tuczkowem, pomiędzy Kownem i Wilnem, w Nowych Trokach. Dla tych czterech korpusów odwrót był łatwym, gdyż należało im tylko cofać się wprost nad Dźwinę, bez narażenia się na znalezienie Francuzów na swój drodze. Nie było też więc trudności dla ciężkiej jazdy, rozdzielonej na dwa korpusy rezerwowe pod dowództwem generałów Uwarowa i Korffa, i umieszczonej z tyłu. Ale piąty korpus pod dowództwem generała Szuwałowa, i szósty generała Dochturowa, stojące, jeden w Olkienikach, drugi w Lidzie, i tworzące kraniec lewy półkola, które Rossjanie opisywali około Wilna, mogli przed dostaniem się na drogę wiodącą do Święcian, być zatrzymane-

mi przez Francuzów, którzy byli już w pochodzie na Wilno. Co do hetmana Płatowa, dopełniającego ośmiu tysiącami kozaków 130 tysięcy żołnierza armji Naddźwińskiej, był on blisko Grodna, i nie miano się czego troszczyć o jeźdźców tak rączych jak jego.

Jenerał Barklaj de Tolli pospieszył wydać wszystkim swoim korpusom rozkaz cofania się nad Dźwinę, w kierunku obozu pod Dryssa i zalecił dwóm które były najgorzej umieszczone, skutecznie natychmiast ruch odwrotowy, okalając Wilno, i trzymając się podczas przechodu jak najdalej od tego miasta, ażeby nie spotkać się z Francuzami. Co do niego samego, mało już dbając o to co powiedzą doradcy, którzy oddalili się z takim pośpiechem, umyślnie pozostał w swojej tylniej straży, i cofał się powoli z nią razem, staczając ciągle małe utarczki. Rozkaz wysłany został do księcia Bagracjona, w imieniu samego Cesarza, ażeby się skierował ku Dnieprowi, postępując o ile można w kierunku Mińska, żeby się połączyć w razie potrzeby z armją główną. Hetman Płatow, mający ciągle obowiązek łączenia pomiędzy sobą dwóch armij Barklaj de Tollego i Bagracjona, otrzymał rozkaz niepokojenia Francuzów, napadając na ich boki i tyły.

Przed opuszczeniem Wilna, Cesarz Aleksander, chociaż uważał już odtąd wojnę za nieuchronną i chociaż miał mocne postanowienie prowadzić ją z całą energją, chciał spróbować ostatniego kroku, który nie mógł wstrzymać działań wojennych, ale musiał całą odpowiedzialność zwalić na Napoleona. Uważając z wiadomości otrzymanych z Petersburga, że jenerał Loryston z tego powodu żądał wydania swych paszportów, że książę Kurakin żądał przedtém wydania swoich, oraz z powodu mniemanego warunku narzuconego Francuzom oczyszczenia Prus, chciał nadewszystko odpowiedzieć na te dwa zarzuty takim sposobem, żeby cała wina pozostała na stronie przeciwnika. Kazał więc przywołać pana Bałaszowa, ministra policji, przybyłego z nim do Wilna, człowieka rozumnego i z pewnym taktem, i polecił mu uwiadomić osobiście Napoleona jak dalece dziwił się temu nagłemu zerwaniu, którego nie poprzedziło żadne oświadczenie wojny, o ile znajdował nieuzasadnionym powód żądania paszportów przez księcia Kurakina, kiedy wiadziano że ten książę nie był upoważnionym do tego; o ile wreszcie mniemany warunek oczyszczenia Prus był takż mało znaczącym zarzutem, gdyż był przedstawiony nie jako zadość uczynienie uprzednie przed rozpoczęciem układów, ale tylko jako następstwo przyobiecanie i pewne wszelkiego spokojnego załatwienia sporu. Cesarz Aleksander upoważnił nawet p. Bałaszowa do

oświadczenia że to oczyszczenie tak dalece nie było warunkiem koniecznym, że gdyby Francuzi chcieli zatrzymać się nad Niemnem, zgadzał się na rozpoczęcie układów natychmiast na zasadach wskazanych w rozmaitych podawanych obustronnie propozycjach. Po wydaniu tych rozkazów, Cesarz Aleksander odjechał 26 czerwca, wydawszy do swojego ludu ognistą proklamację, w której zobowiązywał się jak najuroczyściej nie wchodzić w żadne układy z nieprzyjacielem, dopóki ten będzie zostawać na ziemi rosyjskiej.

Kiedy Cesarz Aleksander się oddalał, p. Bałaszow tymczasem spieszył na spotkanie armji francuzkiej i znalazł ją na drodze do Wilna. Doznał najprzód niejakię trudności w udowodnieniu że był adjutantem Cesarza Aleksandra, potem w tym charakterze przedstawiony został Miuratowi, który cały w złocie, z kitą piór u kapelusza, galopował pośród swoich licznych szwadronów.

Miurat według swojego zwyczaju, łagodny, uprzejmy, ale nieostrożny w mowie, przyjął bardzo grzecznie p. Bałaszowa, okazał przed nim swe niezadowolenie z téj nowęj wojny, oświadczył że bardzo niechętnie porzucił swe piękne Królestwo Neapolitańskie, chciał wreszcie okazać się narzędziem rozumnem pana niedość wyrozumiałego, i dodał do tych nieroztropnych wyrażenń tysiące grzeczności, do których posiadał talent wrodzony, pomimo zaniedbanego nieco wychowania. Odesłał potem p. Bałaszowa do forpoczt piechoty, która postępowała za forpocztami kawalerji. Pan Bałaszow znalazł tam zupełnie inne przyjęcie. Przedstawiony marszałkowi Dawu, przyjęty został zimno, z ostrożnością i w milczeniu. Wyrzisiwszy swą chęć być odesłanym niezwłocznie do Napoleona, nie mógł otrzymać na to zezwolenia. Marszałek odwołał się do odebranych przez niego rozkazów, i zatrzymał go poniekąd jako więźnia do czasu otrzymania odpowiedzi z głównej kwatery. Ku schyłkowi dnia zaprosił go na obiad, i posadził u stołu, który się składał z drzwi wyjętych z zawias i położonych na beczkach i zastawiony był potrawami bardzo prostemi, wymawiał się przed nim za tę gościnność całkiem wojskową, i nie wyrzekł do niego ani słowa odnoszącego się do spraw wojny lub polityki. Nazajutrz rano, otrzymawszy rozkaz zatrzymania p. Bałaszowa aż do przybycia do Wilna, gdzie miał być przyjęty przez Cesarza, marszałek Dawu oddał do jego rozporządzenia swój namiot, oraz sprzęty, które wtedy właśnie przywieziono, umieścił przy nim dla straży oficera, równie milczącego jak on sam, i wsiadł na koń, ażeby stanąć na czele swych wojsk. Pan Bałaszow musiał więc czekać wejścia Francuzów do Wilna dla rozmówienia się z Napoleonem.

Tegoż samego rana, 28 go, jazda jenerała Briujer (Bruyère) przybyła do bram Wilna, zstąpiwszy ze wzgórzy ciągnących się nad Wilją. Spotkała tam znaczny oddział jazdy rossyjskiej, wsparty przez piechotę i przez kilka dział artyllierji konnej. Starcie się było dość żwawe, ale ta tylna straż nieprzyjacielska, po kilkochwilowym oporze, cofnęła się przez Wilno, spaliwszy mosty na Wilji i podłożywszy ogień pod magazyny żywności i furaju, znajdujące się w tém mieście. Marszałek Dawu, postępujący o milę odległości za jazdą Miurata, wszedł do Wilna razem z nią. Litwini przyjęli uprzemie Francuzów i pospieszili w daniu im pomocy do odbudowania mostu na Wilji. Za pośrednictwem kilku łodzi krajowych, ułatwiono przeprawę przez rzekę, nie zbyt szeroką w tém miejscu, i udano się w pogoń za Rossjanami, którzy cofali się szybko, ale bez nieporządku.

Tym sposobem stolica Litwy została opanowaną prawie bez wystrzału, i po czterech dniach tylko od rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich. Napoleon opuściwszy dnia poprzedniego Kowno, przyjechał o południu do Wilna, pośród licznego zbiegowiska mieszkańców. Panowie litewscy, stronnicy Rossjan pouciekali; ci zaś, którzy nimi nie byli, oczekiwali przybycia naszego. Z pomiędzy tych ostatnich, jedni przybyli dobrowolnie, drudzy, skoro zostali wezwani.

Pierwszą usługą, którą nam mieli wyświadczyć, było zmelcie zboża, zbudowanie pieców i upieczenie chleba dla naszych żołnierzy, którzy przybywali zgłodniałi, nie z braku mięsa, którego mieli podostatkiem, ale z braku chleba, na którym im ciągle zbywało. Zboża w ziarnie było dosyć; ale Rossjanie starali się nadewszystko poniszczyć zapasy mąki i owsa, oraz popsuć młyny, przewidując, że pomimo obfitości zboża, nie można będzie mieć natychmiast chleba, bez owsa zaś nie będziemy mogli zachować długo znacznej ilości koni postępujących za armją. Owoż, miasto Wilno, zawierając w sobie ludności około dwudziestu pięciu tysięcy dusz, nie mogło pod względem przygotowania chleba przedstawiać tych samych zasobów co Berlin lub Warszawa. Napoleon rozkazał użyć natychmiast do zbudowania pieców mularzy, których marszałek Dawu miał z sobą, oraz tych, którzy znajdowali się przy gwardji. Użyto tym czasem pieców znajdujących się w mieście, i które wystarczały zaledwo do wypieczenia trzydziestu tysięcy porcji na dzień. Potrzeba zaś było ich sto tysięcy natychmiast i dwakroć sto tysięcy za dni kilka.

Podczas kiedy Napoleon zajmował się temi rozmaitemi czynnościami, korpusy armji wykonywały ruchy im przepisane, bez żadnych niepomysłnych wypadków, prócz tych, których lękać się należało z po-

wodu znużenia i niepogody. Marszałek Nej, jak widzieliśmy, miał przebyć Wilję bliżej Wilna, niżeli marszałek Udino, to jest, w okolicach Rykont, i szedł w kierunku Malat, postrzegając zdaleka korpus Bagowuta, który był przedtém w Witkomiérzu, ale za rozpoczęciem odwrotu korpusów rosyjskich opuścił to miasteczko dla skierowania się na Święciany i Drysę. Z resztą marszałek Nej miał tylko utarczki z tylną strażą Bagowuta, złożoną z Kozaków, którzy starali się wszystko palić, ale nie zawsze mieli na to czasu, i szczęściem pozostawiali nam jeszcze nieco zasobów do życia. Marszałek Udino, przebywszy Wilję niżej, to jest, w Janowie, na drodze do Witkomiérza, nie znalazł już tam Bagowuta, który tylko co był stamtąd wystąpił, ale Wittgensztejn, który z Rosień zwrócił się na Witkomiérz. Ten ostatni znajdował się na pozycji w Dziewałtowie, 28 rano, wtedy właśnie kiedy główna armja francuzka wchodziła do Wilna. Wittgensztejn miał 24 tysiące żołnierza, wiele jazdy, przytém posiadał dość energii, żeby się nie cofać bojaźliwie przed nami. Dokonywał powoli w obec marszałka Udino swojego odwrotu z 20 tysiącami piechoty, osłonięj liczną artylleryją i wyborną jazdą. Wittgensztejn spotkał w marszałku Udino przeciwnika, którego nie łatwo było zastraszyć. Marszałek, mając tylko pod ręką lekką swoją jazdę, swoją konną artylleryję, dywizję piechoty Werdje i kirassjerów Dumerka, nie wahał się uderzyć na Rossjan. Natarłszy dzielnie na ich jazdę, i zmusiwszy ją do ukrycia się za linję piechoty, napadł na tę ostatnią z dywizją Werdje, zmusił ją do cofnięcia się, i położył trupem albo wziął w niewolę około czterech set ludzi. Nie miał nawet czasu użycia swoich kirassjerów, a tém bardziej dywizij Legran i Merl, które pośpiesznie nadciągały. Utarczka ta kosztowała mu ze sto ludzi zabitemi i ranionemi. Rossjanie pośpiesznie oddalili się z pola bitwy.

Wojska nasze, tak w korpusie marszałka Udino, jak w korpusie marszałka Neja, były bardzo znużone, tak pochodami, które odbyły aż do Niemna, jak temi, których dokonały po jego przebyciu. Zbywało im na chlebie, soli i mocnych napojach, a zaczęli przykrzyć mięsem bez soli, które jedli z małą ilością mąki rozprowadzonej w wodzie. Konie były bardzo osłabione z braku owsa, chociaż pogoda jeszcze służyła. Wielka liczba żołnierzy pozostająca z tyłu była zbłąkana, szukała drogi, i nie znajdowała nikogo u kogo mogłaby się o niej rozpytać, gdyż okolice były Nieludne, a mała liczba mieszkańców w nich znajdująca się mówiła tylko po polsku. Ogromna ilość wozów, już to artylleryjskich, już z bagażami, przedłużała i zatrudniała pochód tylnej części armji.

Takie było położenie rzeczy na naszym lewém skrzydle, po drugiej stronie Wilji. Podobneż prawie było w środku naszej armji na drodze prosto wiodącej z Kowna do Wilna, którą ostatnie dywizje marszałka Dawu przebywały w tej chwili, mając za sobą gwardję Cesarstką. Na prawém skrzydle, w korpusie księcia Eugienjusza, wszystko się opóźniało, tak czoło jak tylna straż. Książę Eugienjusz mając do przebycia nie już Stare Prusy, jak marszałkowie Dawu, Udino i Nej ale Polskę, przebył z trudnością, po wielu trudach i stratach, jałowe i ruchome piaski tych okolic, i przybył nad Niemen ledwo w tym dniu, kiedy główna armja wchodziła do Wilna. Przeprawiwszy się przez Niemen w Prenach, książę ten udał się drogą na Nowe Troki i Olkieniki, punkta zajęte przez korpusy Tuczkowa i Szuwałowa, zawierające w sobie w ogóle więcej 34 tysięcy ludzi, a więc nie bardzo zdolne stawić czoła 80 tysiącom żołnierza armji Włoskiej. Nie były to więc przeszkody pochodzące z obecności nieprzyjaciela, których mógł lękać się książę Eugienjusz, miejscowość tylko sama mogła mu stawić podobne przeszkody. Pochód jego miał się odbyć od 28 do 30 czerwca.

Dotąd, oprócz kilku burz krótkotrwałych, niebo było pogodne, upały dość silne lubo jeszcze nie zbyt przykre, jak niemi są często w tych północnych stronach, kolejno pozbawionych słońca zimą, lub wystawionych na jego ciągłą obecność w lecie. Jednakże Polska, która miała tak smutną powierzchowność zimą 1807, przedstawiała się teraz naszym oczom zieleniejącą, okrytą przestronnemi lasami, dość piękną z pozoru, ale pozbawioną tej prawdziwej wesołości, którą człowiek rozszerza w naturze przez swą obecność i swą pracę. Drogi, chociaż nie bite, nie były jeszcze dość trudne do przebycia, gdyż słońce je wysuszyło.

Jednym razem, wieczorem 28 ten stan atmosfery nagle się zmienił. Niebo okryło się chmurami, i ciąg straszliwych burz ogarnął Polskę prawie całą. Potoki dżdżu zalały ziemię i rozmiękły ją pod nogami ludzi i koni. Na dobitkę, temperatura zmieniła się równie jak widok nieba, i stała się jednym razem równie chłodną jak wilgotną. W ciągu trzech dni, od 29 czerwca do 1 lipca, słońce była okropna, i biwakowanie stało się niezmiernie utrudnioném, gdyż trzeba było noclegować prawie na błocie. Wielu ludzi młodych dotkniętych zostało krwawą biegunką, co pochodziło nie tylko z prędkiej zmiany temperatury, ale także z pokarmu złożonego prawie wyłącznie z mięsa, i to często z wieprzowiny. Część dywizji marszałka Dawu, która jeszcze 29 była w pochodzie do Wilna, cała gwardja, która za niemi postępowała, musiała noclegować pod gołym niebem; gdyż zaledwo

miano gdzie pomieścić sztaby. Wojska marszałków Neja i Udino, po lewej stronie Wilji, nie cieszyły się lepszą pogodą, ale cierpiały cokolwiek mniej, gdyż strona, którą przechodziły, nie była zwiedzana ani przez Rossjan, ani przez Francuzów. Na prawo, cierpienia korpusu księcia Eugienjusza, który w tej chwili przebywał Niemen, były większe jeszcze. Most rzucony był 29 wieczorem, i jedna dywizja już była przebyła Niemen, kiedy burza gwałtowna, ulewna, pomieszana z wiatrem, gradem i piorunami, podobna do burz zwrótnikowych, unosząca namioty, zmuszająca kawalerzystów do zsiadania z koni, a pieszych żołnierzy do przyciskania się jeden do drugiego, napełniła wszystkich pewnym rodzajem trwogi. Niepodobna nawet było kłaść się na ziemi podczas takiej ulewy. Przechód przez rzekę był wstrzymany, i połowa wojska, przez ciąg czterdziestu ośmiu godzin została po jednej stronie rzeki, a druga połowa po drugiej. Bawarczycy nadewszystko, którzy wielki pochód odbyli i dużo spożywali wieprzowiny, dostali z tej przyczyny zarodku krwawej biegunki, która dla nich wkrótce stała się zgonną.

Przebyto jednakże Niemen, i postępowano drogą na Nowe Troki, ale w pewnym rodzaju nieporządku, sprawionego tém nagłym zjawieniem się niepogody. Napoleon ściągnął konie, równie jak rekrutów tysiącami, ze Szwecji, Włoch, Niemiec, nie bacząc na ich wiek. Uczynił wprawdzie w tym względzie kilka roztropnych rozporządzeń, ale ilość wymagana nie dozwoliła zastosować się do nich. Konie te, bardzo młode i bez poprzedniej wprawy, zaprzężone do ogromnych wozów, zmuszone ciągnąć je przez piaszczyste okolice Polski, karmione zielonem zbożem zamiast ziarna, były bardzo osłabione przybywając nad brzegi Niemna. Noce dżdżyste i chłodne 29 i 30 czerwca wygubiły tysiące ich, szczególnie w korpusie księcia Eugienjusza. We dwa dni drogi pokryte zostały końmi upadłymi i wozami porzuconymi. Gdyby żołnierze i officerowie zostający przy pociągach mieli więcej doświadczenia, mogliby zapobiedz złemu, przynajmniej w części, gromadząc w parki po bokach drogi wozy pozbawione koni, pozostawiając oddziały dla ich pilnowania, i zaprzęgając pozostałymi końmi wozy, które należało wysłać przodem. Mała część z pomiędzy nich postąpiła tym sposobem, drudzy zaś pozostawili wozy na pastwę pozostałym z tyłu zgłodniałym żołnierzom. W korpusie księcia Eugienjusza, gdzie było wielu Włochów i Bawarczyków, bezład był nadzwyczaj wielki. Bezład ten rozszerzył się także w tylną straż marszałka Dawu, pomiędzy Hollendrami, Anzeatczykami, Hiszpanami Igo korpusu. Cudzo-

ziemcy ci, mało dbający o honor armji francuzkiej, mało przywiązani do sprawy, która nie była ich własną, byli pierwszymi do opuszczenia chorągwi i do korzystania z pozycji tych okolic pokrytych gęstemi lasami dla dezertowania lub zajęcia się rabunkiem. Pomiedzy samymi nawet francuzkami żołnierzami było nieco rozprężenia, ale to tylko pomiedzy dawniejszymi opornymi, ujętymi przez kolumny ruchome i sprowadzonymi gwałtem pod chorągwie. Od Niemna do Wilna, dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy Bawarczyków, Wirtemberczyków, Włochów, Anzeatczyków, Hiszpanów, Francuzów, uszło z pod chorągwi, rabując opuszczone wozy, a po wozach dwory panów litewskich. Ubytek w prawdzie nie był zatrważający, i na 400 tysięcy żołnierzy, którzy przebyli Niemen, 25 lub 30 tysięcy morderców nie było zatrważającym zmniejszeniem naszych sił, gdyby zło na tém się zatrzymało, ale mogło ono stać się zarazliwem, nadewszystko zaś strata 7 do 8 tysięcy koni, poniesiona we czterech dniach, była trudną do wynagrodzenia. Książę Eugienjusz, w którego wojsku to zło szerzyło się z największą gwałtownością, przybywszy do nowych Trok, po drodze do Wilna, uwiadomił o tém Cesarza, chociaż nie lubił go zasmucać. Inni dowódcy przestali też same wiadomości i odkryli przed nim oznaki zatrważające we wszystkich korpusach armji.

Napoleon nie był człowiekiem, coby się miał przestraszyć podobnymi wypadkami, przy samém rozpoczęciu kampanji, dla której przedsięwziął tyle środków ostrożności. Widział z resztą coś podobnego, choć w daleko mniejszych rozmiarach, w 1807 i potrafił temu zapobiedz. Nie wątpił że zapobieży także obecnym trudnościom, których się spodziewał, które uważał za całkiem miejscowe, a które nie szczęściem zależały od przyczyn ogólnych. Armja nie ściągnęła na siebie tego zła, którem była dotkniętą, na równinach Polski; ale przyniosła ich zaród z sobą. Żołnierze Masseny w Portugalji opuszczali chorągwie dla dostania żywności, ale powracali wieczorem, gdyż byli Francuzami i starymi żołnierzami. W armji wprowadzonej do Rossji, gdyby się znajdowali sami tylko rodowici Francuzi i starzy żołnierze, liczba opuszczających szeregi, byłaby bez wątpienia o połowę mniejszą.

Napoleon widział łatwy środek zaradzenia tej niedogodności, która go niezbyt zatrząsała, w zatrzymaniu się w Wilnie na parę tygodni. Podczas tego odpoczynku spodziewał się że nadciągną tyły kolumn, a nadewszystko pozostałe wozy z bagażami. Długi szereg jego konwojów nie ciągnął się tylko z Wilna do Niemna, ale z Niemna do Wisły, z Wisły do Elby. Korpusy nie otrzymały jeszcze połowy zaprzęgów, które były dla nich przeznaczone. Ciężkie wozy, przyrzą-

dzione na nowy sposób, pozostały po większej części w drodze, ale lżejsze zdawało się że powinny były przybyć. Przez zatrzymanie się kilkunastu dni w Wilnie, miano pewność że one nadciągną, a co do cięższych, których przybycia spodziewano się później, pozostawionoby je z tyłu armji, gdzie mogłyby służyć na wieloraki użytek.

Nie brakło więc zajęć pożytecznych dla użycia korzystnie piętnastu dni, które miano przepędzić w Wilnie. Ale przez ten czas, piękny plan Napoleona, zależący na rozdzieleniu po połowie linii rosyjskiej, nie stałbyż się niepodobnym do wykonania? Barkłaj de Tolli i Bagracjon cofając się, jeden nad Dźwinę drugi nad Dniepr, nie znaleźlibyż wtedy środka połączyć się po za temi dwoma rzekami? Nie opuszczonożby, co jeszcze ważniejszem było, zrzecności dośięgnięcia ich i pokonania, nimby zdołali uskutecznić swój zamiar odwrótu, bez pewnego oznaczonego kresu, w głąb Rossji? I czy nie należało zastanowić się nad tém, że wypadalo raczej, zamiast zatrzymania się w Wilnie dla zebrania swych kolumn i konwojów, uczynić to w samym Kownie, nim przebyto Niemen, dopóki wojska rosyjskie nieruchome i mające pozostać takimi do czasu naszego wkroczenia w ich granice, nie otrzymały po naszym nagłym pojawieniu się rozkazu cofania się co najspieszniej nad Dźwinę i Dniepr? Ale teraz, kiedy postąpiono sobie inaczej; i kiedy rozpoczęto działać może piętnastą dniami za wcześniej, nie należałoż raczej posuwać dalej lekkomyślnie, przedsięwzięcia lekkomyślnie rozpoczętego, iść z doborem wojska naprzód, napaść na Rosjan, i otrzymać rezultat stanowczy, nimby mieli czas zagłębienia się wewnątrz swego kraju? Kwestje te ważne, trudne do rozstrzygnięcia po nastąłych wypadkach, zdawały się naówczas mało niepokoić Napoleona, gdyż zatrzymując się w Wilnie dla ściągnięcia pozostałych na drodze żołnierzy, dla urządzenia dobrej policji z tyłu armji, dla uorganizowania swoich konwojów, i utworzenia rządu na Litwie, nie myślał wcale zrzec się swojego zamiaru stanąć pomiędzy dwoma głównemi armjami rosyjskiemi, ażeby oddzielić jedną od drugiej na resztę kampanji. Jakoż okoliczności zdawały się sprzyjać do pewnego stopnia urzeczywistnieniu całego tego planu.

Zaledwo przybył do Wilna, to jest, nazajutrz 29 czerwca, przyszło uwiadomienie od jazdy lekkiej, że wiele wojsk rosyjskich było w pochodzie w okolicach Wilna, i okrążało to miasto z naszej prawej strony ku lewej, bez wątpienia dla połączenia się z Barkłaj de Tollim nad Dźwiną. Niepodobna było wiedzieć, czy to były jakie osobne dywizje, nie mogące się dotąd połączyć z Barkłaj de Tollim, czy też czoło armji Bagracjona dążące utworzyć nad Dźwiną jedną masę z wojskiem

głównem? Ale w każdym razie były to wojska, które można było przejąć, a nadto, jeśli się znajdowano w obec samego Bagracjona, mianoby bez wątpienia do czynienia tylko z przednią strażą jego armji, gdyż ta musiała przebywać w kierunku północnym całą przestrzeń od Grodna do Wilna, i mianoby dość czasu dla przecięcia jej drogi. Napoleon postanowił przeto, podczas gdy się zatrzyma z lewej strony przed Barklaj de Tollim, posunąć się szybko z prawej strony, dla przecięcia drogi, którą miał iść Bagracjon, otoczyć go, jeśli to podobna będzie, albo przyprzeć go przynajmniej do błot Pińskich, i sparaliżować go tym sposobem na resztę kampanji.

Co powiedzieliśmy już w tej historii o teatrze wojny, wykazuje dostatecznie ruchy, które Napoleon miał do wykonania dla dopięcia celu, jaki sobie zamierzał. Od Renu do Niemna, Napoleon prawie ciągle szedł ku północo-wschodowi. Po przejściu Niemna zwrócił się na wschód, i odtąd przez cały ciąg tej nadzwyczajnej kampanji miał iść ciągle na wschód aż do Moskwy. Po przebyciu Niemna, i posunięciu się w górę Wilji do Wilna, miał spotkać wielkie linje poprzeczne, o których wspomnieliśmy, to jest, utworzone przez Dźwinę i Dniepr, i pozostawało mu naturalnie dążyć ku otwartej przestrzeni, którą te rzeki pozostawiają przy swém źródle pomiędzy Witebskiem a Smoleńskiem. W tym ruchu, lewe jego skrzydło znajdowało się naprzeciw Dźwiny, ku której dążył Barklaj de Tolli, prawe zaś naprzeciw Dniepra, gdzie Bagracjon zamierzał się cofnąć. Chcąc razem zwolnić kroku, żeby ściągnąć to co pozostało na drodze, i doganiać żwawo Bagracjona, żeby go oddzielić od Barklaj de Tollego, musiał zatrzymać się swém lewem skrzydłem, które miało niewiele drogi do zrobienia dla doścignięcia Dźwiny, wówczas gdy prawem starałby się, szybko idąc, wyprzedzić Bagracjona na Dnieprze. Rozporządzenia jego były wybornie obmyślane w tym podwójnym celu.

Makdonald, wysłany najprzód drogą do Rosień, otrzymał rozkaz oparcia się na prawo o Poniewież, dla zbliżenia się do marszałka Udino; ten zaś skierowania się również na prawo, pomiędzy Awantą i Widzami, dla zbliżenia się do Neja, a Nej zostawania pod Święcianami, blisko Miurata, który, z całą swoją jazdą miał przez Głębokie iść w ślady za armją rossyjską, będącą w odwrocie ku Dźwinie. Makdonald, Udino, Nej, Miurat, którzy powinni byli tworzyć masę od 120 tysięcy ludzi, a od ostatniego pochodu liczyli zaledwo 107 lub 108 tysięcy, mieli rozkaz zostawania na straży dla osłonięcia działań reszty armji, ściągnięcia żołnierzy pozostałych w drodze, zgromadzenia zboża w ziarnie, obrócenia go na mąkę, naprawienia młynów zepsutych przez

Rossjan, zbudowania pieców, sprowadzenia swój ciężkiej artylerji i swych zaprzęgów, użycie zresztą tego czasu na skupienie się, uporządkowanie się, oraz żeby mieć się samym na baczeniu, i mieć na pilnej uwadze ruchy nieprzyjaciela.

Dla połączenia tego lewego skrzydła nieruchomego, i zajętego wzmocnieniem się, z prawem, które miało wkrótce być bardzo czynnym, Napoleon zalecił Miuratowi rozstawić swoją jazdę od Głębokiego do Wilejki, a żeby nie pozostawić tej jazdy bez wsparcia, kazał wzmocnić ją jedną czy dwoma dywizjami marszałka Dawu, które przybędą pierwsze na linję. Miał zamiar posunąć wkrótce w tę stronę, dla utrzymania tém ściślejszego związku pomiędzy swém lewem a prawem skrzydłem, korpus księcia Eugencjusza, który tylko co był przebył Niemen w Prenach. Ten ostatni zatrzymał się w Nowych Trokach, dla odpocznienia tam nieco i przywrócenia porządku w swych kolumnach.

Z korpusem to marszałka Dawu, zawsze najlepiej utrzymanym, najlepiej opatrzonym, najsposobniejszym do zniesienia rozprzegającego wpływu za nadto szybkich ruchów, Napoleon postanowił działać na prawem skrzydle, przeciwko wojskom, które szły okrążając Wilno. Mogły to być, jak powiedzieliśmy wyżej, resztki wojska Barklaj de Tollego samego, lub téż czoło Bagracjona: należało w piórwszym razie zachwycić je w niewolę, w drugim wstrzymać ich na drodze, i przez dzielne natarcie przyprzeć do błot Pińskich. Lekka jazda marszałka Dawu, pod rozkazami generałów Pażol i Bordessul, została wyprawioną 29 czerwca, generała Pażol po drodze z Oszmiany do Mińska, generała zaś Bordessul po drodze z Lidy do Wętkowyska. Były to dwie wielkie drogi idące z Wilna do Litwy południowej, i na których można było spotkać albo oddziały opóźnione Barklaj de Tollego, albo same wojsko Bagracjona. Generałowie Pażol i Bordessul postrzegli obydwa kolumny piechoty, artylerji, bagażów, dążące w kierunku półkołowym dla okrążenia Wilna, i idące z naszej prawej ku lewej stronie dla połączenia się z główną armją rossyjską. Spodziewali się oni jak jeden tak drugi zachwycić niejaki szczątki tych kolumn; ale potrzeba było sił większych, szczególnie piechoty, dla pozyskania większej zdobyczy.

30 wieczorem, Napoleon wysłał marszałka Dawu, ażeby z dywizją Kompan (Compans) udał się w ślad za generałem Pażol w kierunku Oszmiany; odprawił dywizję Desse (Dessaix) po drodze do Lidy, w ślad za generałem Bordessul; trzymał dywizję Moran w gotowości do wystąpienia w razie potrzeby za marszałkiem Dawu. Przyna-

glit do wyruszenia księcia Eugienjusza, który zatrzymawszy się w Nowych Trokach, po przejściu Niemna, i odbierając tam sprzeczne wiadomości, lękał się narazić na niebezpieczeństwo wyruszając w dalszy pochód zanadto prędko. Księżę Eugienjusz, posuwając się z Nowych Trok ku Oszmianie, miał w razie potrzeby dać pomoc marszałkowi Dawu, lub też zająć miejsce w linii bojowej obok Miurata, takim sposobem żeby tworzyć środek armji, i łączyć jej prawe skrzydło z lewem. Napoleon zalecił jeździe generała Gruszy, należącej do księcia Eugienjusza, wspierać jazdę generała Bordessul, i stanąć, jeśliby tego potrzeba było, pod rozkazami marszałka Dawu. Dał nadto temu ostatniemu kirassjerów generała Walans.

Jednakowoż, marszałek Dawu, z dwoma dywizjami Kompan i Desse, które miał mieć jedynie pod ręką po oddaleniu się z Wilna, nie zdołałby otoczyć Bagracjona, któremu liczone około 60 tysięcy żołnierza, a nawet sprzeczne wiadomości podawały ich liczbę na 100 tysięcy, ale pozostawało krańcowe prawe skrzydło, składające się z 75 tysięcy króla Hieronima, które wyszedłszy z Grodna i idąc za Bagracjonem z tyłu, pod czas gdy zatrzymanoby go z przodu, miało się przyłożyć do otoczenia go, albo też do przyparcia go do błot Pińskich.

Tym sposobem Napoleon, przez ten ogół ruchów, zatrzymując na straży przed Dźwiną swoje lewe skrzydło, posuwając szybko ku Dnieprówi część swojego prawego, środek zaś, po danym mu wypoczynku w Nowych Trokach, mając postawić na linii bojowej, dawał dwóm trzecim częściom swój armji czas zebrania się, i wprowadzał w działanie najwięcej kiedy trzecią część dla przecięcia odwrótu księcia Bagracjona. Niepodobna było z większą zręcznością rozporządzić ruchów ogromnej armji, i połączyć potrzebę odpoczynku z koniecznością pewnych działań zaczepnych. Co do niego samego, podczas gdy z największą troskliwością wchodził we wszystkie szczegóły administracyjne, dotyczące się jego wojsk, zajmował się też stanem Polski, co było rzeczą nagłą.

Napoleon pełen wątpliwości, nie chcąc wchodzić w nadto wielkie zobowiązania, nie wiedząc czy Polacy dopomogą mu w wywiązaniu się z nich, wahał się, jak w wielu okolicznościach stanowczych tej kampanji, przez uczucie roztrpności i postanowił nie czynić nic stanowczego, z powodu Austrii, której lękał się obrazić i Rossji, z którą nie chciał prowadzić boju na śmierć. Podzieliwszy już armję polską na wiele oddziałów, które umieścił wszędzie gdzie byli sprzymierzeńcy wątpliwi do powstrzymania, zaniechał zamiaru połączenia

Litwy z Polską, i dał jej administrację oddzielną. Potrzeba dodać, że miał do tego powód administracyjny jeden z najważniejszych. Znajdował się pośród Litwy, i tamto miał walczyć, może się zatrzymać na rok lub dwa; owoż, uczynić ją zależną od rządu umieszczonego o sto blisko mil, rządu burzliwego, spornego i nieczynnego przynajmniej w pierwszych chwilach, było to wyrzec się dostania od tej prowincji zasobów, których potrzebował i które był pewien że otrzyma administrując sam.

Napoleon dał więc Litwie administrację osobną i niezależną. Utworzył kommissję z siedmiu członków, wybranych z pomiędzy najznakomitszych panów litewskich. Trwając w zamiarze połączenia Polski z Saksonją, mianował przy tej kommissji reprezentanta, który miał być jednocześnie gubernatorem prowincji, i wybrał do spełnienia tych obowiązków hrabiego Hogendorp, oficera saskiego, którego zrobił swoim adjutantem. Cztery gubernje, Wileńska, Grodzieńska, Mińska i Białostocka, na które dzieliła się Litwa, otrzymały także każda z nich kommissje podrzędne, złożone z trzech członków i intendenta, zależnego od generała gubernatora. Urzędnicy władzy wykonawczej ustanowieni byli w każdym powiecie z tytułem podprefektów. Ten rząd litewski, tym sposobem uorganizowany, był obowiązany wziąć w swą wiedzę i strzedz własności publicznej, pobierać podatki, zaciągać wojsko, utrzymywać porządek, przywoływać do domów mieszkańców, czuwać nad tem, ażeby zbiory zboża się odbywały, przywracać bezpieczeństwo po drogach, tworzyć magazyny i lazarety. Rząd ten, umieszczony był pod bezpośrednią władzą Napoleona.

Pierwszą czynnością nowego rządu było ustanowienie siły publicznej. Uchwalił on utworzenie czterech pułków piechoty i pięciu pułków jazdy. Można było bez wątpienia zaciągnąć wojska więcej w miarę ludności Litwy, ale brakowało zasobów finansowych i oficerów. Te dziewięć pułków, tworzących w ogóle dwanaście tysięcy żołnierza, miały kosztować na pierwszy początek najmniej cztery miliony. Owoż, nie miano ani setnej części podobnej summy. Napoleon który raz wdawszy się w to śmiałe przedsięwzięcie, nie powinien był żałować żadnych wydatków, zgadzał się na postąpienie tylko czterech kroć sto tysięcy franków. Ludność miejska obawiała się rabunku i spustoszenia. Mieszkańcy miast, byli bardzo nieliczni i w biednym stanie. W ogóle zaś wszyscy, biedniejsi i bogatsi, byli zrujnowani. Przyczyny te wpływały na zmniejszenie gorliwości, lubo jej nie ni-

szczyły i rozporządzenia, jakie poczyniono, trudne już same przez się do wykonania, stały się jeszcze trudniejszymi. Powściągnięcie maroderstwa uważał Napoleon za jedną z najważniejszych rzeczy, dla zapobieżenia rozprzężeniu się armji i ubezpieczenia, a następnie sprowadzenia ludności do domów. Utworzone więc były kolumny stariej jazdy, które przebiegały okolice, dawały pomoc panom, napadniętym w ich dworach, sprowadzały do domów wieśniaków ukrywających się w lesie, brały pod straż ludzi niewinnych, lecz tylko zabłąkanych, chwyciły i rozstrzeliwały rabusiów. Kommissje wojskowe towarzyszyły tym kolumnom jazdy, i nazajutrz po ich ustanowieniu, to jest pierwszych dni lipca, osadziły one i rozstrzelały wielu Niemców, Włochów, Francuzów, na placu publicznym w Wilnie.

Nieszczęściem zło zanadto się już było rozszerzyło, i liczba 25 czy 30 tysięcy rozpierchtych, zamiast zmniejszenia, powiększała się, z powodu marszów przyspieszonych wielu korpusów armji. W 1-szym korpusie szczególnie, jakkolwiek dobrze utrzymywanym przez marszałka Dawu, pułk hollenderski, 33-ci lekki, prawie całkiem poszedł w rozsypkę, i rabował bez litości powiat Lidzki, jeden z najżyźniejszych w kraju. Dwory były pustoszone, zapasy żywności niszczone, co po przejściu kozaków, dokonało zniszczenia tego powiatu. Podprefekt Nowych Trok, udając się na swe stanowisko, był napadnięty w drodze i przybył obrany ze wszystkiego do Nowych Trok. Kurjerowie nawet przybywający z Paryża byli obdzierani na drodze. Szczęściem, kolumny konne zaczęły rozpędzać rabusiów, ubezpieczać trochę panów, sprowadzać do domów wieśniaków, ale nie mogły pochwytać żołnierzy pozostałych po drogach, którzy zagłębiali się w lasy lub przekradali się przez Niemen. Ci którzy chwyłali się tego ostatniego środka byli, zresztą, najmniej niebezpiecznemi dla armji.

Drugą niedogodnością do usunięcia po drogach, było mnóstwo oiał ludzkich i bydzących leżących pod odkrytym niebem, i zarażających powietrze, nadewszystko skutkiem nadzwyczajnych upałów, które się dały czuć od dni kilku. We Włoszech, Niemczech, krajach bardzo ludnych, jak tylko były trupy poległych w bitwie, lub zmarłych z innej przyczyny, mieszkańcy sami dbając o zachowanie zdrowego powietrza w swych okolicach, pośpieszali z ich grzebaniem. Zwyczajnie nawet, chęć obdzierania trupów, skłaniała wieśniaków do tém prędszego ich grzebania. Ale tu gdzie wsie oddalone były jedne od drugich na pięć do sześciu mil, niekiedy na dziesięć, nie myślano o tém wcale, i oprócz pewnej liczby młodych żołnierzy zmarłych ze znudzenia, głodu lub chorób, pochodzących z niepogody, ośm tysięcy

zwłók końskich zarażało powietrze. Napoleon przeto dołączył do obowiązków włożonych na kolumny przebiegające drogi, i takż obowiązek grzebania zwłók ludzkich i końskich.

Kazał wreszcie urządzić od Królewca do Wilna szereg stanowisk wojennych, gdzie miał się znajdować komendant, magazyn, mały szpital, zaprząg koni, i patrol obowiązany czuwać nad bezpieczeństwem drogi i chowaniem ciał.

Podczas gdy zajmował się temi rozlicznemi przedmiotami, nie spuszczał takż z uwagi przedmiotu najważniejszego, to jest, zapasów żywności i konwojów. Najprzód, z pomocą mularzów gwardji i marszałka Dawu, rozkazał zbudować w Wilnie piece, mogące wypiekać sto tysięcy porcji na dzień. Ponieważ brakowało cieśli do robienia rusztowań, brano ich w korpusach. Cegła, jedyny materiał, którego można było użyć w tym kraju, gdzie kamień jest dość rzadkim, znajdowała się nieszczęściem opodal od Wilna. W braku koni artylleryjskich, prawie wszystkich wyniszczonych, Napoleon nie wahał się użyć koni zaprzęgowych należących do sztabów, dla przywożenia cegły. Codziennie przybywał sam dla obejrzenia jak dalece roboty te posunięte zostały.

Budowa pieców nie była jedyną przeszkodą do zwyciężenia dla zapewnienia środków utrzymania armji w Wilnie. Zboża w ziarnie, pomimo spustoszenia dokonanego przez nieprzyjaciela, było dość obficie. Ale Rossjanie, nie mając często dość czasu dla niszczenia go, psuli przedewszystkiém młyny. Potrzeba więc było restaurować je, albo szukać takich, które pozostały w całości, dla obrócenia ziarna na mąkę. Tym czasem brano mąkę 1-go korpusu, zawsze najlepiej zaopatrzonego, z tém żeby mu ją oddać później. Co do piekarzy, dla rozpoczynania i pieczenia chleba, tych nie brakło, gdyż gwardja i pierwszy korpus miały ich podostatkami.

Napoleon zajął się potém utworzeniem wielkich magazynów, tak w Kownie i Wilnie, jak w innych miastach, które po kolei zajmowano. Postanowił nakazać w Litwie rekwizycję 80-ciu tysięcy centnarów żyta, odpowiednią ilość owsa, słomy, siana, furazu i t. d. Co do mięsa, tego miano podostatkami, gdyż prowadzono stada za wojskiem. Biegunka nawet krwawa, która zaczynała się rozszerzać, pochodziła po części ze znacznej ilości mięsa spożywanego bez soli, bez chleba, bez wina. Napoleon rozkazał takż, żeby po dostarczeniu tych pierwszych rekwizycyj, wystarano się jeszcze, już to na rachunek kontrybucji nałożonej na kraj, już za pieniądze, milion centnarów zboża.

Jeśliby zbiór zboża był obfitym i żniwo odbyło się bez przeszkody, nie było niepodobienstwem zgromadzić te ogromne zapasy.

Środki transportu, nieodbitcie potrzebne dla przewożenia tych zapasów, wymagały nowego spółdziałania potężnej woli Napoleona. Pierwsze konwoje, pod zarządem pułkownika Bast, który w wielu miejscach był zmuszony oczyszczać kanały, i któremu kosztowało wiele trudów zastosowanie statków do natury biegu wód, tylko co były przebyły przestrzeń od Gdańska do Kowna. Napoleon doznał z tego powodu prawdziwej radości. Ale pozostawało jeszcze sprowadzić te konwoje z Kowna do Wilna w górę bardzo krętej rzeki Wilji. Wymagało to czasu dni dwudziestu, prawie tak długiego jak na sprowadzenie z Gdańska do Kowna, chociaż odległość była o pięć czy sześć razy mniejszą. Napoleon kazał zgromadzić łodzie dla spróbowania, z pomocą marynarzy gwardji, przyspieszenia téj żeglugi. W razie, gdyby ta próba się nie udała, zamierzał zaniechać tego sposobu transportu, a zastąpić go przewózką lądem, którą miał powierzyć kompanji żydów polskich. Ponieważ zboża nie trudno było dostać w stronach, gdzie się znajdowano, ograniczył przedmioty transportu do mąki, oraz do tegich napojów, ryżu, odzienia, amunicji artylleryjskiej.

Urządzenie nowe zaprzęgów wojskowych, nie wydało owoców, jakich się po niém spodziewano. Stracono na przestrzeni od Elby do Niemna, połowę wozów, trzecią część koni, czwartą ludzi. Jak powiedzieliśmy wyżej, wozy *a la kontuaz* jedynie przybyły. I tych jednakże pewna część pozostała w drodze. Napoleon postanowił pozostawić w Wilnie wozy nowego wynalazku, jako zanadto ciężkie, a zabrać z sobą do Rossji tylko jaszczyki na dawny sposób robione i wozy *a la kontuaz*, ale ponieważ pociągi artylleryjskie straciły dużo koni, a amunicja wojenna zdawała się mu być potrzebniejszą niżeli chleb, bo jeżeli po wsiach można było dostać tu i owdzie żywności, to nie znalazłoby nigdzie kul i kartaczów, kazał więc użyć do artylleryi część koni zaprzęgowych. Co do wozów, które pozostały tym sposobem bez zaprzęgów, kazał w nie zaprządz woły, a gdyby niedostawało wołów, konie krajowe, rasy małej ale silnej i wytrwałej na pracę, chociaż zarażonej, podobnie jak ludzie, szpetną chorobą kołtunu. Nie szczęściem, rozkazy te były łatwiejsze do dania niżeli do wykonania, gdyż nie łatwo było dostać jarzem dla zaprzężenia wołów, podkucia dla ochronienia ich nóg, wolarzów dla ich prowadzenia.

Widzimy jakich to starań rozmaitych, jak licznych, i jak wątpliwego skutku, wymagało to zbyt śmiałe przedsięwzięcie przeniesienia

sześć kroc sto tysięcy ludzi do kraju dalekiego, który z trudnością mógł ich wykarmić, ze sprzętem wojennym niedość wyprobowanym, i z nader wielką liczbą młodych ludzi, zmieszanych ze starymi żołnierzami, równych wprawdzie im w ogniu, ale nie równych w znoszeniu trudów. Chociaż więc zakłopotany widząc zbliżka przeszkody, Napoleon był przejęty jeszcze całkiem uczuciem swój potęgi. Jakoż w istocie w kilka dni opanował Litwę i przeciął na dwoje armję rossyjską; spodziewał się wziąć w niewolę Bagracjona, albo postawić go na czas długi w niemożności działania, i pomimo przeszkód miejsca, klimatu, odległości, oczekiwał od swoich umiejętnych obrotów rezultatów, zgodnych z swą polityką i swą chwałą. Dla tego, przyjmując grzeecznie ministra Cesarza Aleksandra, pana Bałaszowa, miał mocne postanowienie nie przyjmować propozycji, które ten z sobą przywoził. Jakoż, tak dla Cesarza Aleksandra, jak dla Napoleona, nie był już czas wchodzenia w układy, i miecz jeden mógł rozstrzygnąć ten ważny spór, który zaszedł pomiędzy nimi. Przed przejściem Niemna, można się było jeszcze zbliżyć, i obrócić kilka dni na toczenie układów, gdyż Napoleon mógł się wrócić od Niemna, a Cesarz Aleksander nie byłby zmuszony wchodzić w układy z nieprzyjacielem wewnątrz swojego kraju. Ale po przejściu Niemna, honor obu stron nie pozwalał na czynienie ustępstw. Co do Napoleona, miał on jeszcze inne powody niestłuchania żadnych propozycji, najprzód porę roku, gdyż było to już w lipcu i pozostawały zaledwo trzy miesiące do działania, potem prowadząc układy danoby czas Rossjanom, już to sprowadzenia nad Wisłę wojsk z Turcji, już potężnienia się z armją Barklaj de Tollego. Napoleon więc, któremu przyszłość zakryta była jak każdemu ze śmiertelnych, miał zamiar nie słuchać bynajmniej propozycji p. Bałaszowa. Nie rozpoczynać wojny, byłoby zapewne sto razy lepiej; ale po jej rozpoczęciu, niepodobna było zatrzymać się w Wilnie, i jedno co pozostawało, było usunąć grzeecznie, nawet uprzejmie, wysłańca Cesarza Aleksandra. Niestety, Napoleon więcej uczynił i nie mógł się wstrzymać od zadrażnienia do żywego p. Bałaszowa, do czego miał nieprzewyciężony pociąg, skoro doznawał jakiego sprzeciwienia, nadewszystko kiedy wiek i powódzenie uczyniły go wolnym od wszelkiego przymusu. Wiek czyni umiarkowanym, kiedy życie było mieszaniną powodzeń i nieszczęść; upaja, zaślepia, kiedy życie było tylko długim ciągiem tryumfów.

Napoleon przyjął z początku p. Bałaszowa dość grzeecznie, słuchał go z przychylną uwagą, kiedy ten mówił mu, że Monarcha jego był bardzo zdziwiony widząc granicę rossyjską tak nagle zgwalconą, bez

oświadczenia wojny, i pod podwójnym pozorem, bardzo małej wagi, żądania paszportów przez księcia Kurakina i podawanego warunku oczyszczenia terytorjum pruskiego, wymaganego jako przedwstępne zagajenie wszelkich układów. Powiadał mu takż, że książę Kurakin był mocno zganiony, że teraz wymagano tylko od Napoleona oczyszczenia terytorjum rosyjskiego i że jeżeli Francuzi przejdą nie Wisłę lub Odrę, ale tylko Niemen, obiecywano wejść w układy ze szczerością otwartą i chęcią porozumienia się, że dwór rosyjski nie wszedł jeszcze w żadne zobowiązania z Anglją, że następnie nic nie przeszkadzało do powrócenia do dawniejszej zgody, ale w razie gdyby ten warunek przyjętym nie został, Cesarz rosyjski w obec swojego narodu przyjmował na siebie zobowiązanie, jakiegokolwiek byłyby koleje wojny, nie wchodzić w żadne układy, dopókiyby pozostał choć jeden Francuz na ziemi rosyjskiej.

Napoleon słuchał téj mowy bez gniewu, jako człowiek, który ma poczucie swój siły, i wytrwały w swém postanowieniu. Odpowiedział że zapóźno było wchodzić w jakiegokolwiek układy, i że niepodobna mu było cofnąć się za Niemen. Powtórzył to co nie raz już mówił, że się uzbroidł dla tego tylko, że się uzbrajano, że pomimo to, chciał wejść w układy, ale że Rossja nie zgodziła się na to; że zapowiedziawszy wysłanie do Paryża Pana Nesselrode, nie wspominała już więcej o tém; że nadto poleciała p. Kurakinowi wymagać ubliżającego warunku, to jest, cofnięcia się za Wisłę i Odrę; że były to rzeczy, które zaledwo można było proponować Wielkiemu Księciu Badeńskiemu; że nakoniec, dla pogorszenia tego stanu rzeczy, książę Kurakin nalegał na wydanie mu paszportów, i że p. Loryston otrzymał odmowę, gdy żądał pozwolenia przybycia do głównej kwatery Cesarza Aleksandra; że wtedy miara była przepelnioną, i wojsko francuzkie musiało przebyć Niemen.

Gdy rozmowa ta stawała się coraz drażliwszą, Napoleon przerwał ją, i pożegnał p. Bałaszowa, zaprosiwszy go pierwój do siebie na obiad.

Po zrobieniu przeglądu wojska, wrócił do mieszkania przez siebie zajmowanego, i przypuściwszy p. Bałaszowa do swojego stołu, obszedł się z nim uprzejmie, ale z pewnym rodzajem poufałości często obrażającej, tak, że zmusił go nieraz do broniienia swojego Monarchy i swojego narodu. Rozpytywał go powielekroć o Moskwie, o powierczo-wności téj stolicy, o jej pałacach, jej świątyniach, jak podróżny, który dążąc do jakiego kraju, rozpytuje tych, którzy z niego powracają. Gdy Napoleon zaczął mówić potém o rozmaitych drogach wiodących do

Moskwy, p. Bałaszow, tknięty do żywego, odpowiedział mu, że było ich wiele, że wybór ich zależał od miejsca wyruszenia, i że z pomiędzy nich była jedna, prowadząca przez Póltawę. Napoleon zwróciwszy potem rozmowę do licznych klasztorów, które znajdowały się w Polsce, a szczególnie w Rossji, powiedział że to są smutne oznaki stanu kraju, i że wskazywały cywilizację bardzo mało posuniętą. P. Bałaszow odpowiedział na to, że każdy kraj miał instytucje sobie właściwe, i co było nieodpowiedniem w jednym, mogło być odpowiedniem w drugim. Gdy Napoleon inaczej utrzymywał i dowodził, że zależało to nie tyle od miejsc jak od czasu i że klasztory niepotrzebne były w teraźniejszym wieku, p. Bałaszow, zniecierpliwiony znowu, odpowiedział, że wprawdzie duch religijny zniknął z całej prawie Europy, ale że pozostawał jeszcze w dwóch krajach, Hiszpanji i Rossji. Ta przymówka do oporu, którego doznał w Hiszpanji, i którego mógł doznać gdzieś indziej, zmieszała nieco Napoleona, który pomimo swego nadzwyczajnego rozumu, równie bystrego w rozmowie jak na wojnie, nie miał co na to odpowiedzieć. Jak nadzwyczajny ucisk wywołuje opór, tak samo umysł wyższy, który nadużywa swój wyższości, wywołuje niekiedy trafne odpowiedzi, na które, za karę, musi zamilknąć. Wszyscy ludzie roztropniejsi otaczający Napoleona, niezadowoleni byli z téj rozmowy, i lękali się jej następstw. Napoleon sam to postrzegł, i po skończeniu obiadu, odprowadził na stronę p. Bałaszowa, rozmawiał z nim z większą powagą i godnością, powiedział mu, że był gotów zatrzymać się i wejść w układy, ale pod warunkiem, że odstąpioną mu zostanie Litwa, jeżeli nie w zupełne posiadanie, to na témczasowe zajęcie podczas prowadzenia układów; że zgodzi się na pokój pod warunkiem zupełnego i bez żadnych ograniczeń współdziałania Rossji przeciwko Anglji, że inaczej byłoby to nieroztropnością z jego strony zatrzymywać się, i tracić dwa miesiące, które mu pozostawały dla otrzymania z kampanji rozpoczętej wielkich rezultatów, jakich się po niej spodziewał. Oświadczał się wreszcie z swojemi przychylnemi uczuciami dla osoby Cesarza Aleksandra, przypisywał winę nieporozumień zaszłych pomiędzy obu państwami niespokojnym głowom otaczającym tego Monarchę, pożegnał potem przyjaźnie p. Bałaszowa, i kazał mu dać swe najlepsze konie dla odwiezienia go do forpocztów.

Te grzeczności po czasie nie mogły wynagrodzić zła raz wyrządzonego. P. Bałaszow, nie powiększając nawet rzeczy, mógł przytoczyć, jeżeli tylko chciał być dokładnym, mnóstwo wyrażen, które mogły obrazić mocno Cesarza Aleksandra, i zamienić kłótnię polityczną na kłótnię osobistą. Napoleon miał później tego dowód. Tym sposobem,

choć obdarzony w wysokim stopniu sztuką ujęcia, gdy chciał sobie zadać trudu użycia jęz. nie mógł bez niebezpieczeństwa rozmawiać osobiście z ludźmi, z którymi miał do czynienia, do tyła drażliwość wszechwładztwa stała się u niego gwałtowną i trudną do poskromienia. Sławna jego rozmowa z lordem Whitworth w roku 1803 pokazywała że słabość ta oddawna była jemu właściwą: ale rozmowa, którą dopiero co opisaliśmy, z p. Bałaszowem, i ta którą miał poprzedniego lata z księciem Kurakinem, dowodziły że pod wpływem nieprzerwanych powodzeń, zło to niezmiernie się pogorszyło.

P. Bałaszow odjechał natychmiast, spotkał się jeszcze raz z Miuratem na forpocztach, znalazł go również uprzejmym, nadskakującym, naganiającym tę nową wojnę, i starającym się zyskać przychylność osobistą Cesarza Aleksandra, wówczas gdy szedł toczyć z nim bój zacięty na wszystkich polach bitw rossyjskich.

Podczas gdy Napoleon zajęty był w Wilnie czynnościami, które dopiero co opisaliśmy, wojska rossyjskie i francuzkie przedłużały swe ruchy. Szesć korpusów piechoty i dwa korpusy jazdy rezerwowej generała Barklaj de Tollego były w pochodzie ku Dźwinie; najbliższe, będące naprzeciw naszego lewego skrzydła, szły tam w prostym kierunku, drugie, zostające naprzeciw naszego prawego skrzydła, i mające wykonać ruch półkołowy w około Wilna, przyspieszały kroku, żeby nie być odciętemi przez marszałka Dawu. Kiedy narzekania przeciw planom przypisywanym generałowi Pfuhl, oraz przeciw rozłączeniu wojsk na dwie połowy, stały się gwałtowniejszemi w sztabie rossyjskim, i generał Pfuhl nie umiał odpowiedzieć na zarzuty mu czynione, Cesarz Aleksander był zmuszony ustąpić wzburzeniu umysłów, i wysłać do księcia Bagracjona, pomimo instrukcji danéj już cofania się nad Dniepr, rozkaz skierowania się co najprędzej na Mińsk, ażeby można było połączyć się z armją główną, skoro się tego potrzeba okaże.

W skutku tych rozkazów, każdy z nich szedł jak mógł najlepiej i najprędzej. Trzy korpusy Barklaj de Tollego, znajdujące się po lewej naszej stronie, to jest, Wittgiensztejna, Bagowuta i gwardji, które pierwój przebywały w Rosieniach, Wilkomiérzu i Wilnie, cofały się w kierunku Dryssy, nie spotkawszy przeszkod, mając tylko z tyłu za sobą marszałków Makdonalda, Udino i Neja. Jeden z nich tylko, jak widzieliśmy, był dość mocno uszkodzony pod Dziewałtowem przez marszałka Udino. Ruchy ich z resztą, skutkiem ich położenia i przodku, jaki mieli nad nami, dokonane zostały bez przeszkody, pomimo ściga-

nia naszej jazdy. Korpusy Tuczkowa i Szuchałowa, przebywające, pierwszy w Nowych Trokach, drugi w Olkienikach, oba po prawej stronie Wilna (po prawej względem nas), wyruszyły w pochód 27 czerwca, to jest, w wilją dnia, w którym weszliśmy do Wilna, miały więc czas do odwrótu, i mogły by uniknąć naszej pogoni przed nadciągnięciem jazdy generałów Paźol i Bordessul, oraz piechoty marszałka Dawu. Jednakże, tylna straż korpusu Szuchałowa, znajdując się w Oranach, nie mogła przebyć w porę drogi z Oszmiany do Mińska, którą szedł marszałek Dawu, i znajdowała się pomiędzy nim a Niemnem, błakając się tu i ówdzie, i starając się połączyć z hetmanem Płatowem, dla dognania z nim razem Bagracjona. Pozostawał wreszcie 6 korpus, oraz korpus generała Dochturowa, i 2 kawaleryjski generała Korffa, znajdujące się dalej od innych po prawej naszej stronie, to jest, w Lidzie, i mające dłuższą przestrzeń do przebieżenia dla okrążenia Wilna. Rozkaz cofania się wysłany do nich, równie jak do innych korpusów 26 czerwca, doszedł do nich 27, poczem niezwłocznie udali się w pochód, i szli bez odpoczynku na Oszmianę i Smorgonie. Czujny i mężny Dochturow, znany już i szacowany od naszej armji, kierował tym ruchem. Nie tracił on bynajmniej czasu, przebył 29 drogę z Wilna do Mińska, i przybył 30 do Donaszewa, pozostawiwszy tylko za sobą bagaże i tylną straż, na którą generałowie Paźol i Bordessul żwawo nacierali. 1 lipca udał się w dalszy pochód przyspieszonym krokiem, dla połączenia się z wielką armją Barklaj de Tollego.

Taki był stan rzeczy 1 lipca. Z prawej naszej strony było tylko kilka oddziałów Dochturowa, tylna straż korpusu Szuchałowa pod dowództwem generała Doroehowa, hetman Płatow z ośmią czy dzieściami tysiącami kozaków, jak jedni tak drudzy mając za jedyną ucieczkę połączyć się z księciem Bagracjonem idąc wzdłuż Niemna.

Marszałek Dawu opuściwszy Wilno dla wsparcia jazdy generałów Paźol i Bordessul, i przecięcia księciu Bagracjonowi odrotu ku Dnieprowi, szedł tak prędko jak mógł, ale jednakże nie mógł przybyć w porę dla dania pomocy generałom Paźol i Bordessul, której oni potrzebowali dla napadnięcia na korpus Dochturowa i posuwał się dalej na Mińsk, widząc dobrze wszystko co mu pozostawało czynić przeciwko księciu Bagracjonowi, którego w każdym razie oddzielono od Barklaj de Tollego.

W tym kraju lasów i błót, już samo przez się ciemnym, i którego nieliczni i mało pojętni mieszkańcy nie mogli się przyczynić do rozproszenia ciemności, krążyły najsprzeczniejsze pogłoski; już to powiadano że wojska, które przeciągały, były resztkami armji Barklaj

de Tollego, już to że były czołem armji księcia Bagracjona, który miał z sobą według jednych 80 tysięcy żołnierza, według drugich 100 tysięcy. Marszałek Dawu miał doświadczenie w swym zawodzie i stałość charakteru, które chroniły go od wady częstej i niebezpiecznej na wojnie, to jest powiększania przedmiotów. Postępując naprzód 2 i 3 lipca, aż do Wołożyna, na połowie drogi z Wilna do Mińska, zbierając z uwagą i bez trwogi wiadomości od więźniów, mieszkańców, księży, rozpoznał wyraźnie że po lewém jego rękę korpus mu się wymknął, to jest jenerała Dochturowa, po prawém zaś, tylne strażę piechoty i jazdy odcięte od swych głównych korpusów, błąkały się w lesie, gdzie można było ich zamknąć i wziąć w niewolę, idąc na spotkanie Bagracjona. Jakiemi siłami rozporządzał ten ostatni? o tém marszałek nie wiedział. Rzeczywiście Bagracjon miał około pięćdziesięciu kilku tysięcy ludzi z sobą, a gdyby się jeszcze wzmocnił tylną strażą Dorochowa, liczącą w sobie trzy tysiące piechoty, i ośmią tysiącami kozaków Płatowa, mógł wystawić do boju około 65 do 70 tysięcy żołnierza.

Marszałek Dawu, według ogólnych wskazówek, wnosił że u księcia Bagracjona musi być najmniej 60 tysięcy żołnierza, z których 40 tysięcy piechoty. W tym kraju lesistym, gdzie sztuka bronienia się, którą on znał dobrze, była tak łatwą, nie lękał się on spotkać się z 40 tysiącami rosyjskiej piechoty, chociaż mógł tylko wystąpić przeciwko nim z 20 tysiącami, licząc w to dywizję Kompan, którą prowadził sam drogą z Oszmiany, oraz dywizję Desse, na drodze do Lidy, i którą mógł drogą poprzeczną ściągnąć rychło do siebie. Po przyłączeniu tych dywizji miałby wszystkiego 24 tysiące piechoty, ale wszyscy Illiryjczycy, Anzeatczycy, Hollendrzy, nadewszystko wszyscy żołnierze młodzi, napastowani byli po drodze chorobami lub oddawali się rabunkowi. Miał więc tylko 18 do 20 tysięcy piechoty, ale najlepszego żołnierza. Jazdy miał więcej niżeli mu potrzeba było, to jest huzarów i strzelców jenerałów Pażol i Bordessul, kirassjerów Walencji oddzielonych od korpusu jenerała Nansuty i wreszcie korpus cały jenerała Gruszy odłączony do czasu od armji księcia Eugienjusza, i wysłany przez Napoleona w kierunku Grodna dla ustanowienia komunikacji z królem Hieronimem. Cała ta jazda miała zostawać pod rozkazami marszałka Dawu i mogła liczyć w sobie około 10 tysięcy kawalerzystów. W tym kraju lesistym, marszałek wolałby zapewne trzy lub cztery tysiące piechoty nad najpiękniejszą jazdę.

Posunął się jednakże na Mińsk, nie mając żadnej obawy spotkania się z księciem Bagracjonem, spodzielając się przeciwnie zatrzy-

mać go i przeszkodzić mu dostania się nad Dniepr, ale nie będąc w możności otoczenia go i wzięcia w niewolę z tak małą garstką żołnierza. Był to już zresztą ważny rezultat, przeszkodzić dalszemu jego pochodowi, gdyż tym sposobem zmuszonoby go cofnąć się do błot Pińskich, a gdyby król Hieronim, który miał przebyć Niemen w Grodnie, posunął się szybko z swojemi 70 lub 75 tysiącami żołnierza, można było mieć nadzieję zabrania w niewolę drugiej armji rossyjskiej. Marszałek Dawu uwiadomił o tém położeniu rzeczy Napoleona, oraz o swém postanowieniu przebicia się wprost do Mińska, pomimo sprzecznych wiadomości, jakie odbierał po drodze i żądał od niego posiłków, czy to na lewe jego skrzydło, przeciw zaczepnemu działaniu kolumn, które się mu wymknęły, czy to do tylnéj straży, ażeby mógł, w razie potrzeby, zatrzymać sam jeden księcia Bagracjona. Napisał jednocześnie do króla Hieronima, żeby przyspieszał kroku i wysłał oddziały ku Iwji lub Wołożynowi, punktom, w których można było podać sobie rękę, nie zaniedbywał wreszcie niczego dla uskutecznienia połączenia, które zapowiadało tak świetne korzyści.

Odważny marszałek posuwał się tym sposobem 3, 4 i 5 lipca z Wołożyna na Mińsk, potracając już to wprost o kolumnę uciekającą Dorochowa, już to spotykając po prawém rękę kozaków Płatowa, o których wieść chodziła, że byli czołem armji Bagracjona. Uważając jednakże niebezpieczeństwo zwiększające się w miarę zbliżania się do Mińska i oddalenia się od armji głównej, wysyłał coraz częstsze rekonesanse na prawo, ażeby się dowiedzieć dokładnie, czém była w istocie ta kawalerja, uwijająca się ze wszystkich stron, czy nie należałaby przypadkiem do samego korpusu Bagracjona i czy nie byłoby środka odkrycia komunikacji z królem Hieronimem. Z tych powodów, zwolnił nieco swój pochód, i zatrzymał się na półtora dnia pomiędzy Wołożynem a Mińskiem, ażeby razem mieć czas sprowadzić do siebie dywizję Desse, równie téż jazdę generała Gruszy, wysłaną na znaczną odległość, i wejść do Mińska na czele swoich sił połączonych.

Napoleon tymczasem otrzymał depezę marszałka Dawu żądającą posiłków. Żądanie to było uzasadnione, bo jeżeli z 20 tysiącami piechoty i 10 tysiącami jazdy, marszałek ten nie lękał się spotkać z podwójną liczbą wojska, w kraju dogodnym dla działań obronnych, to jednakże, mając tak szczupłe siły, musiał być ostrożnym, posuwać się naprzód powoli, wysyłać rekonesanse na prawo i na lewo, i tracić tym sposobem wiele drogiego czasu. Mając jeszcze z sobą dwie dywizje, szedłby prosto przed sobą, nie troszcząc się o to, czy się zdoła połączyć z królem Hieronimem; pospieszyłby do Mińska nie zatrzymując

się, z Mińska do Berezyny, z Berezyny do Dniepru, dopóki nie wyminął księcia Bagracjona. Po przybyciu Hieronima otoczonyby księcia georgiańskiego i zapewne uczynionyby z nim to samo co z jeneralem Mak pod Ulmem. Był to tak ważny rezultat, że warto było poświęcić wszelką inną kombinację. Ale żeby osiągnąć go z pewnością, potrzeba było żeby marszałek Dawu szedł szybko, żeby iść szybko, potrzeba było żeby szedł bez zachowania środków ostrożności, a żeby iść bez zachowania tych środków, potrzeba było mieć siły dostateczne, i nie być zmuszonym oczekiwać wątpliwego połączenia.

Napoleon zajęty wielą razem kombinacjami, zaniechał nieszczęściem przyprowadzenia tego planu do skutku. Odejęcie Bagracjona od Barklaj de Tollego zdawało się mu być rzeczą dokonaną, albo prawie taką. Otoczyć go, zabrać w niewolę, zdawało się mu być pożądanym i pięknym tryumfem, obowiązał przeto swego brata Hieronima przebyć Niemen z 75,000 żołnierza w Grodnie i myślał, że choćby się ten opóźnił dwoma lub trzema dniami, zawsze się połączy niechybnie z marszałkiem Dawu i że wtedy ci wodzowie mając sto tysięcy wojska, poradzą sobie z Bagracjonem i albo otoczywszy go w koło, wezmą w niewolę, albo porażą na głowę. Sądził więc, że uczynił dosyć z téj strony ogromnego pola bitwy, które było przedmiotem ciągłej jego uwagi. W téj chwili obmyślał kombinację, która była godną jego rozległego gienjuszu, i w skutku której Barklaj de Tolli miał popaść w jego ręce, tak jak Bagracjon w ręce marszałka Dawu i Hieronima, co mogło położyć koniec całej wojnie. Wszedłszy do Wilna 28 czerwca i obróciwszy jakie dziesiątek dni na ściąganie swych wojsk, oraz na uorganizowanie swych zaprzęgów, spodziewał się, że będzie mógł wystąpić zamtąd 9 lipca. Zamierzał więc skierować się ku Dźwinie, w stronę obozu pod Dryssą, i kiedy Udino z Nejem, mając 60,000 wojska, ściągęliby na siebie całą uwagę Barklaj de Tollego, manewrować z tyłu za nimi, zwrócić się na prawo z trzema pozostającymi dywizjami marszałka Dawu, oraz z gwardją, z księciem Eugienjuszem, z jazdą Miurata, przebyć nagle Dźwinę po lewej stronie nieprzyjaciela, naprzykład w pobliżu Połocka, w punkcie gdzie Dźwina jest bardzo łatwą do przebycia, otoczyć wielką armję rossyjską w jej obozie pod Dryssą, odciąć ją razem od dróg do Petersburga i Moskwy wiodących, i nie pozostawić jej tym sposobem innego środka ratunku, jak przebieć się lub złożyć broń. Przeciw planowi odwrotu bez pewnego oznaczonego kresu, który był widocznym u Rossjan, Napoleon nie mógł obmyślić kombinacji zręczniejszej i skuteczniejszej, a przy siłach, jakie miał w swém rozporządzeniu, przy jego

sztuce manewrowania w obec nieprzyjaciela, wszelkie podobieństwo pomyślnego skutku było na jego stronie.

W istocie, pomimo wykonanych dotąd marszów i licznych bardzo dezercyj, Udino i Nej liczyli jeszcze pięćdziesiąt kilka tysięcy żołnierza, trzy dywizje marszałka Dawu, które zatrzymano, 30 tysięcy, gwardja 26 tysięcy (po uczynioném potrąceniu, którego przyczynę wkrótce wskażemy), książę Eugienjusz 70 tysięcy, Miurat 15 tysięcy. Była to ogólna siła około dwóchkroć sto tysięcy ludzi, zawierająca w sobie to co było najlepszego w armji. Gdyby Napoleon użył 60 tysięcy dla zamaskowania swojego ruchu, pozostałoby mu 140 tysięcy dla przebycia Dźwiny po lewój stronie Barkłaj de Tollego, dla opasania go i zniszczenia. Rezultat zdawał się być pewnym i łatwo pojąć jak rozptomieniał on potężną wyobraźnię Napoleona.

Jeden tu tylko był błąd, że chciał dopiąć wszystkich celów razem. Jakoż, łatwo było przypuścić, że chcąc doścignąć Barkłaj de Tollego, wypuszczonoby z rąk Bagracjona, również, jak to mogło nastąpić, że upędzając się za Bagracjonem, wypuszczonoby Barkłaj de Tollego. Należało więc wybierać i zapewnić najprzód zniszczenie jednego, następnie zwrócić swe usiłowania do zniszczenia drugiego. Owoż, zachowując sobie dwa kroć sto tysięcy dla działania głównego, Napoleon powinien był udzielić marszałkowi Dawu dla działania podrzędnego najmniej 100 tysięcy żołnierza. Tymczasem ten nie miał więcej jak dwadzieścia kilka tysięcy, reszta zaś zostawała pod dowództwem króla Hieronima, który po przejściu Niemna w Grodnie, miał jeszcze do przebycia więcej pięćdziesięciu mil, przez kraj pełen lasów i okropnych błot, nimby się połączył z marszałkiem Dawu.

Licząc jednakże na to połączenie, Napoleon nie chciał się ogołocić z trzech pierwszych dywizyj 1 go korpusu, to jest: dywizyj jenerałów Moran, Frjan i Giudę, które cenił wyżej niżeli samą gwardję; ale chcąc przytęm dać posiłki marszałkowi Dawu, któreby mu dozwoliły utrzymać się samemu, nimby nastąpiło połączenie z królem Hieronimem, posłał jemu dywizję gwardji jenerała Klapared, składającą się ze sławnych pułków Nadwisłańskich i z ułanów czerwonych pod rozkazami jenerała Kolber. Piękne to było wojsko ta dywizja Klapared, ale utworzona w znacznej części po wejściu do Polski z nowozacieżnych, rodziła obawę, żeby się nie zmniejszyła od 6 czy 7 tysięcy, do 4 lub 5, to jest do starych żołnierzy; co do ułanów czerwonych, tych nie było więcej nad 1,700. Chociaż nieprzenoszące liczby sześciu tysięcy żołnierza wszelkiej broni, posiłki te były jednakże bardzo uży-

tecznemi, szczególniej z powodu swój wewnętrznej wartości. Napoleon nie udzielił innej pomocy marszałkowi Dawu; wysłał tylko depeszę z naleganiem do króla Hieronima, żeby, jak można, przyspieszał swój pochód, a sam przygotował się do wyruszenia 9 lub 10 lipca, ażeby rozpocząć obmyślane przez siebie działanie stanowcze przeciwko Barklaj de Tollemu.

Marszałek Dawu pewnym będąc teraz, że z dywizją Klapareda i ułanami czerwonymi zdoła zgromadzić 24 tysiące piechoty i 11 tysięcy jazdy, wiedząc także, że osłonięty jest z lewego skrzydła przez księcia Eugenjusza, nie doznawał żadnej trwogi, co mogło go spotkać w dalszym pochodzie. Opartszy się niegdyś z 22 tysiącami Francuzów, 70 tysiącom Prusaków, nie lękał się z 35 tysiącami żołnierza, spotkać się z 60 tysiącami Rossjan, w kraju usianym przeszkodami wszelkiego rodzaju, gdzie można było z tyłu za lasem, błotem, mostem zniesionym, zatrzymać całą armję.

Niemen, który z Grodna do Kowna płynie prosto na północ, zwraca się powyżej Grodna w kierunku całkiem odmiennym, gdyż od okolic Nieświża do Grodna płynie od wschodu na zachód, tworząc tysiące zakrętów. Marszałek więc Dawu, idąc na wschód z lekkim zboczeniem na południe, miał tę rzekę po prawém ręku. Oddzielony on był licznymi zakrętami jój biegu od księcia Bagracjona i króla Hieronima. Odpartszy przez silne i częste rekonesanse za Niemen jazdę nieprzyjacielską, którą ciągle postrzegał po prawém swém ręku, ścignął do siebie dywizję piechoty Desse, całą jazdę jenerała Gruszy, i posuwał się ku Mińskowi w zgęszczonych szykach. Mając około 35 tysięcy żołnierza pod swemi rozkazami, nie wahał się iść naprzód, i wszedł do Mińska 8 lipca wieczorem z swoją awangardą.

Na dobre mu to wyszło, że szedł na Mińsk tak śmiało i prędko, gdyż kozacy wyparci w porę przez naszą lekką jazdę, nie mieli czasu zniszczyć magazynów tego miasta. Marszałek znalazł tam, co było rzeczą ważną w obecnej chwili, zapas 3,600 centnarów mąki, 300 centnarów krup, 22 tysiące beczek owsa, 6 tysięcy centnarów siana, 15 do 20 kuf wódki. Znaleziono także w Mińsku piekarnię, w której można było piec 100 tysięcy porcij na dzień, oraz środki naprawienia odzienia i uprzęży. Okoliczności te były bardzo pomyślne dla marszałka Dawu, którego korpus maszerując ciągle z Kowna do Wilna, z Wilna do Mińska, nie miał dwóch dni całych odpoczynku od 25 czerwca. Marszałek pośpieszył z tego korzystać, gdyż nawet w jego wojsku, tak porządnie utrzymaném, nieporządek

doszedł najwyższego stopnia. Trzecia część jego żołnierzy pozostała z tyłu; konie były osłabione, a nadewszystko pułk hollenderski, 33-ci lekki, jak wyżej wspomnieliśmy, pozostał prawie cały z tyłu, zajęty rabunkiem. Marszałek nie był człowiekiem, co by miał łatwo przebaczać, jakkolwiek ważne powody można byłoby przytoczyć na usprawiedliwienie tych żołnierzy wyniszczonych. Zgromadził kompanje wyborowe, zrobił ich przegląd, powiedział im, że na nich to liczył w daniu dobrych przykładów, oświadczył swe zadowolenie za ich porządne postępowanie, gdyż kapitanowie mieli, z małemi wyjątkami, słuszne powody do przedstawienia względem każdego żołnierza pozostałego z tyłu, udzielił pochwał i nagród tym, którzy na to zasługiwali, ale znajdując kompanje wyborowe 33go pułku nie w zupełnym komplecie, kazał im defilować na przeglądzie z kolbami w górę obróconemi, zapowiedział im bliskie rozwiązanie pułku, skoroby się lepiej nie prowadzili i zawsze nieubłagany dla rabusiów, kazał rozstrzelać natychmiast pewną liczbę żołnierzy, którzy się byli rzucili na rabunek kilku sklepów w Mińsku.

Surowość jego, ganiona przez niektórych dowódców, pochwalana przez innych, usprawiedliwiona zresztą okolicznościami, wywarła zbawienny wpływ, ubezpieczyła mieszkańców kraju, nabawiła trwogi złych żołnierzy i nie wróciwszy sił tym z nich, którzy byli wyniszczeni, lub dobrej woli tym, którzy jej nie mieli w podobnej wojnie, obudziła uczucie powinności w ogóle wojska, w którym zepsucie zaczęło się rozszerzać z powodu złego przykładu, skłonności do rabunku, bezkarności zapewnionej w głębi lasów. Zapasy żywności znalezione w Mińsku, składały się szczęściem z maki: pozostawało więc tylko marszałkowi kazać rozczyńać i piec chleb. Zrobił zapas porcij na dziesięć dni, nakarmił owsem swoje konie i przywrócił porządek w swoim wojsku, ażeby wyruszyć wkrótce na nowy pochód.

Wszedłszy do Mińska 8 wieczorem z swoją awangardą, zgromadziwszy tam swe dywizje zaledwo 9go, dał im nieco wypocząć 10go i wyruszyłyby w dalszy pochód, gdyby położenie rzeczy w około niego nie stało się bardzo wątpliwem i nie wymagało zasięgnięcia nowych wiadomości przed pusczeniem się w dalszą drogę. Z Mińska, można było, postąpiwszy jeszcze nieco dalej, przybyć nad Berezynę i zwróciwszy nieco na prawo, stanąć pod murami Bobrujska, fortecy panującej nad przejściem Berezyny, albo też posuwając się naprzód w prostej linii, stanąć nad Dnieprem w Mohilewie. Należało wykonać jeden lub drugi z tych ruchów, więcej lub mniej przedłużony, według tego,

jak książe Bagracjon miałyby więcej lub mniej przodku nad nami. Owoż, z wiadomości zebranych od niewolników, od żydów, od księży, od panów, jednych chcących powiedzieć prawdę, ale nieznających jej z dokładnością, drugich znających ją, ale chcących o niej zamilczeć, można było wnosić, że książe Bagracjon posunął się najprzód aż do Niemna, blisko Nikołajewa, potem ścignawszy do siebie Dorochowa i Płatowa, cofnął się ku miasteczku Nieświzu, po drodze z Grodna do Bobrujska, która była drogą najprostszą dla armji Nadnieprskiej. Rzeczą więc było możliwą, zatrzymać księcia Bagracjona w samym Bobrujsku, nadewszystko, gdyby się przyłączył król Hieronim, o którym niepewne dochodziły wiadomości, ale który zresztą niebawem powinien był się ukazać. Jakoż w istocie, gdyby poszedłszy na Bobrujsk przez Ihumień, zdołano zatrzymać księcia Bagracjona przy przejściu Berezyny, wówczas, kiedy król Hieronim natarłby nań z tyłu, można było go otoczyć takim sposobem, że miałyby tylko błota Pińskie za schronienie. Przeciwnie, dążąc do Dniepru, dla przecięcia jego pochodu w Mohilewie, niepewność pomyslnego skutku powiększała się razem z odległością. Jakoż, mogło się stać, że zatrzymany w Mohilewie, generał rossyjski zstąpiłby niżej dla przejścia Dniepru w Rohaczewie i wątpliwą było rzeczą, żeby w téj odległości król Hieronim znajdował się jak raz z tyłu jego i naciskałby go zbliżka. Jednym słowem, im więcej krąg, w którym go zamknąć chciano, powiększyły się, tém więcej pozostawało punktów do wymknięcia się. Marszałek Dawu postanowił więc czekać jeszcze jeden lub dwa dni, ażeby wiedzieć co wypadło mu uczynić, zamierzając zresztą zwrócić swój pochód na Ihumień, co przedstawiało tę korzyść, że go zbliżało równie do Mohilewa jak do Bobrujska, dwóch punktów, z których albo do jednego, albo do drugiego należało się dostać.

Nieukontentowanie jego ku królowi Hieronimowi, jak zwykle się zdarza z tymi, którzy muszą oczekiwać, było nadzwyczaj wielkie, i nie zaniechał donieść o tém Napoleonowi, który w wyrażeniach gwałtownych, naganiał tę zwłokę Hieronimowi. W życiu prywatném, a więcej jeszcze w życiu wojskowém, obchodzą wiele własne kłopoty, a bardzo mało kłopoty innych. Tak właśnie postąpiono w tym razie względem króla Hieronima i jego wojska. Narzekano na ich zwłokę wówczas, kiedy żołnierze i generałowie dobywali ostatnich sił, żeby co najprędzej uskutecznić to połączenie. Ale następne przeszkody spotykały ich przy przejściu Niemna i później.

Wystąpiwszy z okolic Pułtuska, i zmuszeni iść drogą na Ostro-

lenkę i Goniądz, dla udania się do Grodna, przez kraj ubogi, gdzie należało nieść wszystko z sobą, po drogach, na których każdy ciężar większy zapadał w błoto, Polacy i Westfalczycy, poprzedzani korpusem jazdy generała Latur-Mobura, z największą trudnością dostali się do Niemna ostatnich dni czerwca. Podczas kiedy szli w kierunku Grodna, dla przejścia tam Niemna, generał Renje szedł po prawem ich rękę z Sasami, dla przejścia granicy w Białymstoku, a książe Szwarzenberg blisko z 30 tysiącami Austrjaków przybywał z Galicji do Brześcia litewskiego. Książe ten, wahał się pierwój przebyć Bug, szedł omackiem na Pruzany, i zatrzymał się tam z bojaźni spotkania przeważnych sił Tormasowa, o których więcej trzymał, niż należało.

Król Hieronim nagłony raz po raz powtarzanemi rozkazami Cesarza, umieściwszy na czele swój kolumny wyborne wojsko księcia Poniatowskiego, poświęcił więcej tysiąca koni pociągowych, ażeby przybyć co najprędzej do Grodna, i pozostawił prócz tego wielu żołnierzy po drodze, nadewszystko z pomiędzy nowo-zaciężnych pułków polskich. 28 czerwca ułani polscy stanęli pod Grodnem, i dzielnie natarli na kozaków Płatowa na przedmieściu tego miasta, leżącym na lewym brzegu Niemna, to jest: od strony, z której przybywaliśmy. Wkrótce opanowali samo to przedmieście, i porobili przygotowania do przebycia rzeki przy pomocy mieszkańców Grodna. 29 czerwca Płatow, który otrzymał rozkaz cofania się, wystąpił nagle z Grodna, i lekka jazda polska, przebywszy Niemen, zajęła to miasto, oraz zabrała wiele statków ze zbożem, które Rossjanie starali się ocalić ciągnąc w górę rzeki. Potem, bez żadnego wypoczynku, ruszyła dalej drogą do Lidy, stosownie do rozkazów głównego sztabu, ażeby utrzymywać związek z księciem Eugienjuszem, który, jak widzieliśmy, przebył Niemen w Prenach.

Król Hieronim przybył nazajutrz 30 czerwca z resztą swój jazdy, pozostawiając na jeden lub dwa dni drogi z tyłu swoją piechotę. Natychmiast zajął się przygotowaniem żywności dla swego wojska, które było całkiem strudzone, i za którym konwoje nie mogły w ślad pośpieszyć. Ogromna burza 29 czerwca, objawwszy całą Polskę, zrobiła w tej części teatru wojny, równie jak w innych, drogi prawie niepodobnemi do przebycia, spowodowała śmierć wielu żołnierzy, dezercję wielu innych i przypawiła o utratę znacznej ilości koni. Młody król Westfalski nie tracił czasu, gdyż podczas kiedy jego kolumny przybywały kolejno 1 2 i 3 lipca, nie zaniedbywał niczego, żeby je wyprawić niezwłocznie w dalszą drogę, i starał się zgromadzić pewną ilość chleba, którego nie podobna było na prędce dostarczyć, a nadewszy-

stko przewieźć. Tymczasem listy Napoleona, który nie chciał wchodzić w położenie innych, choć sam czuł całą przykrość swojego, i dla tego przedłużył swój pobyt w Wilnie, listy Napoleona dochodziły jeden po drugim króla Hieronima, i zawierały w sobie wyrzuty równie niesprawiedliwe jak upokarzające za jego opieszałość, niedbalstwo, upodobanie w zabawach. Hieronim, który widział ginących w około siebie ludzi i konie z powodu szybkich marszów, wysyłał nie mniej kolumny swoje drogą do Mińska, dając każdej z nich zaledwo jeden dzień odpoczynku, gdyż odprawiał 3go te, które przybyły pierwszego, 4go te, które przybyły drugiego, i tak następnie. Udał się sam przez Tykocin, Żołudek, Nowogródek, w pogoń za armją Bagracjona, której wyobraźnia Polaków powiększała liczbę, przypisując jej sto tysięcy ludzi.

Król Hieronim, który nie posiadał doświadczenia marszałka Dawu, ażeby rozróżnić prawdę pośród przesadzonych wieści ludu, szedł z niejaką obawą tego co może go spotkać, ale z zupełnym posłuszeństwem na rozkazy swojego brata, i nie stracił ani dnia ani godziny, zalecając ciągle generałowi Renje, który szedł równoległe do niego przez Białystok i Słonim, ażeby przyspieszał kroku i trzymał się blisko kolumny głównej. Ale książe Bagracjon szedł przodem o sześć czy siedm marszów, i nie łatwo było go doścignąć. Jakoż, generał rossyjski wystąpił 28 czerwca z Wołkowyska, na pierwszy rozkaz, który mu zalecał dostać się nad brzegi Dniepru, otrzymał w drodze drugi rozkaz, żeby się zbliżył w swym ruchu wstecznym do Barklaj de Tollego, zwrócił się wtedy na Nikołajew, dla przebycia tam Niemna, i dla okrążenia Wilna, jak to już uczynił generał Dochturow. Tam połączył się z Dorochowem i Płatowem, którzy donieśli mu że Dawu szedł tuż za niemi, i wtedy, zamiast posunięcia się na północ, zwrócił się ku południowi, dla udania się przez Nowogródek, Mir i Nieświż do Bobrujska. Chociaż obrócił dwa dni w Nieświżu na danie odpoczynku swemu wojsku, osłabionemu przez upały i marsze, mógł już wyruszyć ztamtąd 10 lipca, potrzeba więc było żeby król Hieronim przybył tam tegoż samego dnia, żeby go doścignąć. Ale było to rzeczą niepodobną. Z Grodna do Nieświża przechodząc przez Nowogródek, było blisko 56 mil, a król Westfalski, wystąpiwszy z Grodna 4go, czyniąc w ciągu ośmiu dni po siedm mil na dzień, co było rzeczą nadzwyczajną po takich drogach i śród upałów lipcowych, nie mógł stanąć w Nieświżu przed 12. Wszelka w świecie gorliwość była daremną w obec takich trudności.

Król napędzał bezustannie swoich generałów, będąc sam napę-

dzanym przez listy Napoleona. Te listy powiadały mu, że przybywszy do Grodna 30 czerwca, powinien być stanąć 10 lipca w Mińsku, i połączyć się tam z marszałkiem Dawu, na co Hieronim, tknięty do żywego odpowiedział, że wszedłszy do Grodna 30go z samą tylko awangardą, doczekał się tam swych kolumn piechoty zaledwo 2 i 3 lipca; że należało mu ściągnąć swą lekką jazdę, którą wystął był na rekonesans drogą do Lidy, że musiał przygotować potem żywność, nie mógł więc wyruszyć prędzej jak 4go; że droga usiana była trupami ludzi zmarłych od upałów, oraz przystałymi ze znużenia, i konwojami porzuconemi dla braku koni; że jazda jego żyła cudem jakimś, że piechota żywiła się mięsem bez soli, bez chleba, bez wódki, i była już, skutkiem takiego pokarmu, oraz upałów i znużenia, dziesiątkowaną przez krwawą biegunkę.

Król Westfalski prześladowany tym sposobem przez swego niewyrozumiałego brata, stanął 10 lipca w Nowogródku, gdzie znajdował się o czternaście mil od Bagracjona, który był w Nieświżu, i o dwadzieścia od marszałka Dawu, który znajdował się w Mińsku. Szedł on po siedm mil na dzień przez sześć dni, i zaiste nie można było więcej wymagać od niego. Po zbliżeniu się, urojone siły Bagracjona przyjęły mniejsze rozmiary, i zamiast stu tysięcy pokazało się, że nie ma więcej jak 60, co było jeszcze za wiele na siły Hieronima, gdyż z 30 tysięcy Polaków pozostało 23 lub 24 tysiące, z 18 tysięcy Westfalczyków 14, z 10 tysięcy jazdy Latur-Mobura 6 do 7 tysięcy, co wynosiło razem najwięcej kiedy 45 tysięcy żołnierza. Z 17 tysięcy Sasów pozostało 13 lub 14 tysięcy, i ci znajdowali się o dwa dni drogi od głównego korpusu. Król Hieronim mógł więc spotkać 60 tysięcy Rossjan z 45 tysiącami Polaków i Westfalczyków, gdyż Sasi byli za daleko od niego, żeby się mogli z nim w porę połączyć. Potrzeba dodać, że Polacy byli bardzo wycwiczeni, Westfalczycy zaś byli bez wprawy wojennej i bez energii. Pomimo to wszakże, Hieronim lękając się więcej swojego brata niżeli nieprzyjaciela, nie przestawał iść naprzód, cobykolwiek miało nastąpić.

10 lipca, lekka jego jazda, wyruszywszy z Nowogródka drogą do Mira, napędziła tylną straż księcia Bagracjona, składającą się z 6 tysięcy kozaków, 2 tysięcy regularnej jazdy i 2 tysięcy lekkiej piechoty. Jenerał Roźniecki z szczęściem pułkami, już to strzelców, już ułanów polskich, zawierającemi w sobie najwięcej kiedy 3 tysiące koni, natarł na ten dziesięcioletni korpus, walczył z największym mężstwem, wytrzymał ze czterdzieści szarż, stracił 1,500 żołnierza, z któ

rych tysiąc było rannych, i oswobodzony wreszcie został przez generała Latur-Mabura, który nadciągnął z swą ciężką jazdą.

Takie były działania króla Hieronima do 11 lipca. Marszałek Dawu nie mógł się jeszcze z nim komunikować, z przyczyn łatwych do odgadnięcia. Marszałek ten wysłał swe rekonesansy w prawą stronę aż do Niemna, nie śmiejąc jednakże go przebywać: gdyby jednocześnie król Hieronim wysłał swoje w lewą stronę, także nad Niemen, spotkanie mogłoby nastąpić. Ale książę ten, cały zajęty Bagracjonem, wysłał swe rekonesansy w kierunku zupełnie przeciwnym, to jest, w prawą stronę, śladem nieprzyjaciela. Nie było więc podobieństwa, żeby one spotkały patrole marszałka Dawu. Ze swojej strony marszałek, który znajdował się w Mińsku od 8 lipca, pełen był niecierpliwości i pisał, skarżąc się codziennie, do Napoleona, ten zaś, nie mogąc pohamować swojego gniewu, posłał swojemu bratu rozkaz, żeby wnet po dokonaniem połączenia się, stanął pod rozkazami marszałka Dawu. Zakomunikował jednocześnie ten rozkaz marszałkowi, ażeby ten mógł z niego korzystać w stosownym czasie. Nie w tém nie było nadzwyczajnego, umieścić młodego księcia, nawet noszącego koronę, pod rozkazami wojownika poświęconego w bojach: ale jeśli to rozporządzenie, czynione na początku kampanji, byłoby całkiem naturalnem, mogło się stać, po jej rozpoczęciu, uważane jako kara, powodem do przykrych zatargów, i zaszkodzić więcej sprawie, której miało przynieść pomoc.

Jakoż, bez żadnej zmiany dowództwa, tylko przy dobrej woli tak jednych jak drugich, o czém zresztą nie można było wątpić, kombinacje Napoleona mogły być przyprowadzone do skutku. Bagracjon, przebawiwszy w Nieświżu do 11 lipca, postanowił udać się na Bobrujsk, dla uniknięcia spotkania marszałka Dawu, o którym sądził że ma przemagające siły, ażeby przejść Berezynę pod zasłoną tej twierdzy i skierować się potem nad Dniepr. W tym zamiarze polecił generałowi Rajewskiemu utworzyć awangardę z 6go korpusu, a sam podjął się utworzenia arjergardy z korpusu 8 ażeby stawić czoło Hieronimowi, którego jazda stawała się zbyt natarczywą. Wystąpiwszy z Nieświża 11go, był 12go w Romanowie, a 13go załedwo stanął w Słucku. Nie mógł być przed 16tym w Bobrujsku, a potrzeba mu jeszcze było dwóch dni dla ściągnięcia pozostałych w drodze żołnierzy i przebycia Berezyny ze wszystkimi swemi zaprzęgami. Owoż Hieronim, przybywszy do Nowogródka 10go z piechotą polską, udał się niezwłocznie w drogę do Nieświża, przybył 12go do Mira, a 13go do Nieświża. Uwiadomiony o obecności księcia Bagracjona na drodze do Bobrujska, a mar-

szarka Dawu w Ihumeniu, był gotów do dalszego pochodu, i mógł stanąć 17go w Bobrujsku, to jest: kiedy książę Bagracjon znajdowałby się tam jeszcze, i przedtém nimby ten zdołałby przebyć Berezynę z całym swoim sprzętem wojennym. Marszałek Dawu ze swój strony, mając swe przednie straże blisko Ihumenia, mógł stanąć za trzy dni w Bobrujsku, to jest, przybyć tam 16go jeśli by wyruszył 13go 17go zaś jeśli by wyruszył 14go, co było rzeczą łatwą. W takim razie, kiedy marszałek Dawu zbliżyłby się do Bobrujska z lewej strony Berezyny, król zaś Hieronim stanąłby tam z prawej strony tej rzeki, pierwszy z 35 tysiącami żołnierza, drugi z 45 tysiącami bez Sasów, a z 58 tysiącami, gdyby Sasi z nim się połączyli, można było zaatakować Bagracjona, i zadać mu zupełną klęskę. Wprawdzie król Hieronim był odłączony od marszałka Dawu krainą pełną błot i lasów, przez którą komunikacje były bardzo trudne, i prawdopodobnie nie zdołanoby sobie podać ręki pierwój jak pod samym Bobrujskiem, do tego zaś czasu byliby rozdzielonemi przez całą masę wojsk Bagracjona, który mógł przy energii i zęczości rzucić się na jednego lub drugiego z dowódców francuzkich. Za to wojsko Bagracjona było wyniszczone trudami, przeciwnie, wojska marszałka Dawu i księcia Poniatowskiego były w wybornym stanie. Westfalczycy pod okiem swojego młodego króla okazywali dużo gorliwości, a Renje przybywał z Sasami, którzy stanowili takż wyborne wojsko. Można więc było w tej chwili rokować sobie najpiękniejsze nadzieje. Król Hieronim, chociaż nie miał dokładnego pojęcia o tym stanie rzeczy, istotnie jeszcze nierozjaśnionego, ale wiedząc że marszałek Dawu znajdował się blisko niego i spotkawszy niektóre z patrolów jego jazdy, napisał do niego że był w Nieświżu, gotowym będąc do wyruszenia na Bobrujsk, i wezwał go żeby się udał tam przez Ihumen, obiecując mu, i spodziewając się sam najpiękniejszych rezultatów z takowego połączenia.

Marszałek Dawu oczekiwał w Mińsku do 12go, nie ośmielając się posuwać się dalej, gdyż miał z sobą tylko dwie dywizje francuzkie piechoty. Dowiedziawszy się zresztą 13go z listu Hieronima, że ten był w Nieświżu, że można było wkrótce połączyć się pod Bobrujskiem, nie wahał się iść dalej, i postanowił wyruszyć nazajutrz 14go do Ihumenia. Odpoczynek trzech dni pokrzepił i zgromadził jego wojsko, oraz dozwolił mu napić chleba, upakować go na wozach, i przygotować wszystko do nowych przyspieszonych marszów. Razem chcąc uczynić pewniejszém spółdziałanie wszystkich sił mających się połączyć, zadowolniony wreszcie z tego, że będzie miał podwładnym swoim młodego króla, na którego nieraz miał powód uskarżać się

podczas swojego pobytu na Elbie, zakomunikował mu postanowienie Napoleona w razie połączenia się dwóch korpusów armji, i przyjmując na siebie rolę głównodowodzącego, zalecił mu, zresztą z wielkiem uszanowaniem, żeby się udał przez Nieświz i Stuck do Bobrujska, wówczas kiedy on sam uda się tam przez Ihumeń. Wskazał mu także w tym samym liście niektóre drogi poprzeczne, przez które możnaby było podać sobie rękę za pośrednictwem lekkiej jazdy.

Chociaż było cztery dni marszu dla wojska pomiędzy korpusami króla Hieronima i marszałka Dawu, nie było więcéj nad trzydzieści godzin drogi dla officerów konnych. Rozkaz marszałka wysłany rano 13 lipca, przybył 14go wieczorem do Nieświza. Król Hieronim, który był dotąd bardzo dobrze usposobiony, rozgniewał się niezmiernie czytając depesze marszałka. To stanowisko podrzędne względem dowódcy 1go korpusu, któreby mu się nie podobało nawet przed rozpoczęciem kampanji, będąc mu naznaczone jako pewien rodzaj kary, wprawiło go w rozpacz, i uważał to sobie za zbyt wielkie poniżenie. Bez wątpienia miał za co się urazić, gdyż był ofiarą niesłusznych wymagań, i skazanym, w oczach całego swojego korpusu armji, na prawdziwe upokorzenie. Ale upokorzenia są w ogólności tém, czém je czynimy sami przez sposób w jaki je przyjmujemy. Jeśli się pokazemy obrażonymi, obrażają one; jeśli zaś przyjmujemy je jako proste wymaganie stanu rzeczy, podnoszą one często zamiast poniżenia. Gdyby młody król Westfalski pośpieszył uznać prawa jakie stary marszałek miał do głównego dowództwa, i dopomógł z gorliwością do odniesienia świetnego tryumfu, podzieliłby jego chwałę, możeby dał inny obrót kampanji 1812go a tém samém możeby oszczędził swojemu bratu i swéj familji wielkiej klęski.

Jakkolwiekby, ulegając uczuciu bardzo łatwemu do wytłómaczenia, postanowił niewypowiedzieć posłuszeństwa, ale rzec się dowództwa. Niestety, ze wszystkich postanowień nie mógł wybrać szkodliwszego dla zamiarów swojego brata. Kazał przywołać szefa swojego sztabu, generała Marszan, zdał na jego ręce główne dowództwo, polecił mu wykonywanie go, nim nie nastąpi połączenie z marszałkiem Dawu, a chcąc zadość uczynić chwilowym wymaganiom, uradził z nim wysłanie Polaków o jeden marsz naprzód po drodze Stuckiej, dla podania pomocy w razie potrzeby jeździe generała Latur-Mobura, i posunięcia się dalej na drodze do Bobrujska. Ściągnął do Nieświza swoich Westfalczyków, których nie miał zamiaru wycofać z armji, zachował tylko dla swéj eskorty osobistej kilka kompanij

swojej gwardji, i zbliżył do Nieświża Sasów, którzy o dzień drogi oddaleni już tylko byli od niego. Sam udał się do Mira, potem do Nowogródka, dla oczekiwania tam na rozkazy Cesarza i powrócenia do swojego państwa, w razie gdyby te rozkazy nie były odpowiednie jego godności, jak on ją sobie pojmował. Jeden z officerów wysłany został co najprędzej do marszałka Dawu dla uwiadomienia go o postanowieniu młodego króla, i znalazł go 15go w Ihumeniu. Marszałek, otrzymawszy tę odpowiedź, nie postąpił sobie ze stałością odpowiednią swojemu charakterowi. Zamiast tego coby miał zachować dowództwo, które objął zanadto prędko, i działać energicznie, jak tego wymagały okoliczności, doznał obawy z obrażenia króla, brata Cesarza, i pośpieszył napisać do niego list pełen grzeczności, ażeby skłonić go do pozostania na czele wojsk polskich i westfalskich, zawsze jednakże pod jego rozkazami, przyrzekając mu wszelką powolność, i stawiając mu przed oczy ważną pobudkę służby Cesarza, jedynie naówczas będącą na względzie, gdyż o Francji w tedy mowy nie było. Wysłał natychmiast officera dla wręczenia tego listu młodemu królowi, i poprawiając przez swą czujność wahanie się, tak nieodpowiedne jego charakterowi, rozporządził rzeczy w ten sposób, żeby czas obrócony na wysyłanie i przyjmowanie tych korespondencij nie był całkiem stracony dla działań wojennych. Mając ciągle uwagę zwróconą na Bobrujsk, posunął dolój swą baczność, ażeby czuwać nad tem, co się działo z drugiej strony Berezyny, i zapewnić się, azali nieprzyjaciel nie myśli jój przebyć, gdyż w takim razie należało mu pośpieszyć nad Dniepr, to jest: do Mohilewa. Wysłał już był jazdę generała Gruszy do Borysowa, dla opanowania tego miasta, oraz mostu na Berezynie i znajdujących się tam magazynów. Most został ocalony, ale magazyny były poniszczone. Kazał rzucić kilka mostów na Berezynie, szczególnie w okolicach Jakszyc, i wysłał tam swe wojska 15go, ponieważ miał tym sposobem tę korzyść że był o jeden marsz dalej za Ihumeniem, a bliżej razem Bobrujska i Mohilewa. Nieszczęściem, nie jego to wojsko należało zbliżyć najprzód do Bobrujka, gdyż i bez tego było dość niedaleko tej twierdzy, ale wojsko króla Westfalskiego, które jeszcze było oddalone ztamtąd o trzy dni drogi, i którego przybycie opóźnione zostało temi pożalowania godnymi sporami, w chwili osiągnięcia rezultatu może najważniejszego z całej kampanji.

Kiedy ów list przybył do Nieświża, król Hieronim już się w nim nie znajdował; opuścił on go 16go, nakazawszy pierwój swemu wojsku powien rodzaj ruchu wstecznego, w zamiarze zresztą bardzo

chwalebny. Nieświż oddziela od Ihumenia kraina błotna i lezista, przez którą komunikacje prawie były niepodobne, wyjąwszy dla lekkiej jazdy. Należało więc, żeby połączyć się z marszałkiem Dawu, albo udać się wprost wielką drogą na Bobrujsk, uwiadomiwszy marszałka żeby się tam ze swój strony znajdował, co narażało na spotkanie zamiast marszałka, samego księcia Bagracjona, albo też, zwróciwszy w lewo, okrążyć wspomnioną wyżej trudną do przebycia krainę, pójść przez Romanów, Tymkowicze, Uzde, Dukorę, i dostać się tym sposobem do Ihumenia, co wymagało czasu najmniej cztery dni. Król Hieronim wnosząc słusznie, że plan stanowczy ale śmiały, uderzenia razem na Bobrujsk, był niepodobnym odtąd do wykonania, umyślił wysłać swe wojsko na Uzde i Dukorę do Ihumenia, co było zresztą zgodne z niektórymi uprzednimi wskazaniem marszałka Dawu i głównej kwatery. Wyprawił przeto Westfalczyków do Uzdy, Polaków zaś pozostawił w Tymkowiczach, na drodze do Bobrujska, tak że mogli dać w potrzebie pomoc jeździe jenerała Latur-Mobura, która posuwała swe wycieczki aż do bram Bobrujska. To uczyniwszy, wyjechał sam do Nowogródka.

Na drodze to do Nowogródka, 17go otrzymał list marszałka Dawu, i odpowiedział nań, że trwa w swoim przedsięwzięciu, jakowa odpowiedź mogła dojść do marszałka zaledwo 18go lub 19go. Od téj chwili, wielka kombinacja Napoleona była chybioną, gdyż należało być wszystkim razem pod Bobrujskiem 17go, a wtedy było to niepodobieństwem. Gdy tym sposobem upuszczoną była zrzeczność zatrzymania i otoczenia Bagracjona na Berezynie, wszystko co pozostawało teraz do zrobienia, było wyprzedzić go na Dnieprze, zajmwszy Mohylew. Ale wtedy rezultat nie byłby ten sam. Zatrzymawszy Bagracjona nad Berezyną, nie pozostawiano mu innej drogi do odwrotu jak ku Mozyrowi i błotom Pińskim, gdzie można było uderzyć na niego, otoczyć i wziąć z całym wojskiem w niewolę. Zatrzymując go zaś na Dnieprze, przeszkadzano mu tylko przejść przez Mohylew, ale mógł przebyć Dniepr niżej w Starym Bychowie; a gdyby nawet zatrzymano go w tém ostatniem miejscu, mógł przebyć tę rzekę niżej jeszcze w Rohaczewie, i w pierwszym razie narażonoby go tylko na stratę pięciu lub sześciu dni, w drugim zaś na stratę dziesięciu do dwunastu dni. Nie było to więc, jak spodziewano się, nadwężenie lub zniszczenie go na całą kampanję, był to rezultat korzystny, ale bynajmniej nie stanowczy.

Marszałek Dawu, nie czekając ostatniej odpowiedzi Hieronima, po otrzymaniu wiadomości o niektórych ruchach nieprzyjaciela po za

Berezyną, postanowił zaniechać połączonego działania na Bobrujsk, a iść na Mohilew, ażeby nie opuścić wszystkich korzyści za jednym razem. Wysłał więc 16go swe wojsko przez Jakszyce za Berezynę; 17go zaś wyruszył sam z resztą swojego korpusu i udał się przez Pohost nad Dniepr, w kierunku Mohilewa. Otrzymawszy w drodze listy króla Hieronima, donoszące mu o ostatecznym jego postanowieniu, postanowił wydać rozkazy do całego korpusu armji, jako niemającego już oprócz niego innego wodza. Rozkazał Westfalczykom udać się przez Uzde, Dukorę i Borysow do Orszy, ażeby postawić ich nad Dnieprem pomiędzy sobą a wielką armją, o której wiedział, że jest w pochodzie ku wyższej Dźwinie. Tymczasem, nimby przybyli Westfalczycy, co nie mogło nastąpić prędzej jak po ośmiu lub dziesięciu dniach, wysłał do Orszy jazdę generała Gruszy, dla ustanowienia jak można najprędzej związków z wielką armją. Rozkazał Polakom, na których liczył najwięcej, iść na Mohilew, przez Uzde, Dukorę i Iłumeń, obchodząc krainę błotną i lesistą, która go oddzielała od Hieronima. Była to przestrzeń wymagająca najmniej sześć dni drogi. Jeśliby mógł ściągnąć w porę Polaków, miałby pięćdziesiąt kilka tysięcy wojska, to jest, liczbę wystarczającą na zgromienie Bagracjona. Co do jazdy Latur-Mobura, zalecił jej opasać Bobrujsk i niepokoić tę twierdzę, zostając ciągle nad Berezyną i utrzymując związki z Mohilewem. Pozostawali Sasi, a na prawo od nich Austriacy, a których zobaczymy wkrótce, jakim sposobem użyci byli przez Napoleona.

Tym sposobem z kombinacji obmyślonój dla otoczenia i wzięcia w niewolę księcia Bagracjona, nie pozostawało nic, jak nadzieja zatrzymania go w Mohilewie i zmuszenia do przejścia Dniepru niżej, co znacznie opóźniało, ale nie czyniło niepodobnym połączenie się jego z Barklaj de Tollim.

Kiedy Napoleon dowiedział się o tym niepomysłnym wypadku, rozgniewany był bardzo na marszałka Dawu i króla Hieronima, ale nierównie więcej na tego ostatniego. Wyrzucał marszałkowi Dawu, że objął zanadto wczesnie dowództwo, gdyż nie nastąpiło jeszcze było połączenie obu armij, a objawszy je, że nie działał dość energicznie. Wyrzucał królowi Hieronimowi, że przyczynił się do pozabawienia go owocu jednego z najpiękniejszych jego pomysłów, i dozwolił mu powrócić do swego państwa, zatrzymawszy Westfalczyków. Nie wyrzucał samemu sobie, co byłoby słusniejszą rzeczą, że przez monarsze widzimisię, godne chyba Ludwika XIV, powierzył młodemu człowiekowi poświęcającemu się, walecznemu, ale bez doświadczenia, armję osmdziesięcio-tysięczną, potem, kiedy ten młody książe nie

popęłnit jeszcze żadnego błędu, że go strofował, upokarzał wszelkimi sposobami, jak gdyby ten był odpowiedzialnym za opór żywiółów, że potem nagle postanowił oddać go pod rozkazy marszałka, co należało było uczynić z samego początku, w interesie działań wojennych, a nie potem, za karę; że nie przewidział ani gorszących skutków takowego postępku, ani następstwa ważniejszego jeszcze, to jest, że chybionym został jeden ze stanówczych i najlepiej obmyślanych planów jego; wreszcie i to najważniejsza, że nie dał marszałkowi Dawu w pomoc jedną lub dwóch dywizij, co postawiłoby tego marszałka w możności działać niezależnie od wątpliwego bardzo połączenia się z korpusem Hieronima. Oto, czego Napoleon nie powiedział sobie, i co wskazuje w nim nie osłabienie rozumu, który był równie rozległym, równie byстрым, równie płodnym jak kiedykolwiek bądź, ale powiększenie się tego usposobienia despotycznego, dziwaczного i niepomiarkowanego, które nie ma względu równie na charaktery jak na żywióły, które postępuje z ludźmi, z naturą, z fortuną, jak z poddanymi, zanadto szczęśliwymi, że mu ulegają i nadto zuchwałemi, gdy mu nie chcą ulegać zawsze, usposobienia zgubnego i dziecinnego razem, czyniącego niejako podobnym człowieka z największym gienjuszem do dziecka, które pożąda wszystkiego co widzi, chce otrzymać wszystko czego pożąda, chce natychmiast, nie dopuszczając ani zwłoki, ani przeszkody; krzyczy, rozkazuje, unosi się gniewem lub płacze, skoro tego nie otrzyma. Było to więcćj nizeli osłabienie rozumu, było to osłabienie charakteru, zepsutego despotyzmem, i to jest prawdziwa przyczyna, którą zobaczymy wymierzającą zgubny wpływ na bieg następnych wypadków.

Chociaż nie spodziewał się już, żeby się udał obrót jego przeciwko armji Naddnieprskiej, miał nadzieję jeszcze i oczekiwał z zupełną ufnością od marszałka Dawu, że książę Bagracjon odrzuconym zostanie daleko w dół Dniepru, przynajmniej poniżej Mohilewa, co zmusiłoby drugą armję rossyjską do zrobienia znacznego kołowania i przeszkodziłoby jej przybyć w porę na pomoc Barklaj de Tollemu. Napoleon rozkazał więc marszałkowi Dawu trzymać się mocno w Mohilewie; zalecił księciu Szwarzenbergowi zbliżyć się do wielkiej armji z korpusem austryjackim, przechodząc Litwę z południa na północ przez Prużany, Słonim i Mińsk, a Sasom cofnąć się dla zajęcia miejsca Austryaków na wyższym Bugu, na granicy Wołynia i Wielkiego Księstwa Warszawskiego. Przyrzekł bowiem swojemu teściowi, że Austryjacy zostawać będą pod bezpośredniem jego dowództwem, i dla tego starał się zbliżyć ich do głównej kwatery; nadto, nie liczył dosyć

na nich, ażeby powierzyć im straż Wielkiego Księstwa, i wołał raczej, bardzo słusznie, powierzyć ją Sasom, posiadaczom Polski ówczesnej. Po zrobieniu tych rozporządzeń, zajął się całkiem wykonaniem drugiego swojego obrotu, który był daleko ważniejszym od tego, jaki dopiero co chybnym został, albowiem gdyby się udało, zwróciwszy na prawo, przemknąć się z większą częścią swych sił przed obozem pod Dryssą, wymiąć Barklaj de Tollego, obejść go przeszedłszy Dźwinę niespodzianie, ściągnąć go razem od Moskwy i Petersburga, uczyniłby niepodobnym zamiar ciągłego odwrotu, powzięty przez Rossjan, albowy zmusił ich do wykonania tego odwrotu ze szczątkami rozproszonemi, i tym sposobem mógł spodziewać się, że ujrzy wkrótce nowego Darjusza przysyłającego błagających o pokój do obozu nowego Aleksandra.

Dla skutecznienia tego wielkiego ruchu, pobyt w Wilnie był bardzo szkodliwym. Wszedłszy do tego miasta 28 czerwca, Napoleon znajdował się w nim jeszcze 16 lipca rano; ale czas ten był koniecznym dla powstrzymania dezercji w korpusach, dla ściągnięcia artylerji pozostałej z tyłu i zaprzężonej częścią koni wiozących zapasy żywności, dla uorganizowania zaprzęgów, ograniczając się na wozach najlżejszych, dla pieczenia chleba, dla zapewnienia na ośm lub dziesięć dni żywności gwardji, co było koniecznym dla utrzymania karności, nawet w tém wyborowym wojsku, dla dostarczenia głównej armji zapasów żywności, przeznaczonych korpusom, któreby nie znalazły nic na swój drodze, dla wygotowania wreszcie zaprzęgów mostowych. Chociaż ośmnaście dni było upłynęło, jedna godzina nie była straconą dla zapewnienia tych pierwszych potrzeb. Skoro to dokonaniem zostało, Napoleon, pełen ufności, oczekiwał wszystkiego od swego gienjuszu i od mężstwa swoich wojsk. W istocie, przychodziły do niego wiadomości ze świata całego. Nie można było wątpić, pomimo skrytości Turków, o zawarciu przez nich pokoju z Rossjanami, gdyż, otrzymawszy pierwój w tym względzie dumne zwierzenie się p. Bałaszowa, Napoleon był zapewniony o tém od swych agentów w Konstantynopolu. Jednocześnie też przystąpienie Bernadottego do związku z Rossją było rzeczą niewątpliwą. Napoleon mógł więc w bliskim bardzo czasie, przewidywać nadciągnięcie z prawego boku armij rossyjskich Tormasowa i Czyczagowa, a może zastąpienie Szwedów z tyłu. Z drugiej strony wprawdzie przychodziły pomysłniejsze wiadomości z Anglii i Ameryki, gdyż donoszono o śmierci p. Persewal, zamordowanego przy wejściu do Parlamentu i o przewrocie bliskim w polityce Wielkiej Brytanji, również o nadchodzącej

wojnie między nią a Ameryką. Napoleon niewiele dbał o te pogłoski z dalekich stron, niepokojące czy pomysłówne, i bardzo słusznie opierał wszystko na powodzeniu wielkich działań, jakie miał przedsięwziąć. Wysłał już był lekką jazdę gwardji pod dowództwem generała Lefebwre-Denoett dla przygotowania swego ruchu, gromadząc mąkę, stawiając piecze, zastaniając korpus pontonjerów, którzy mieli zapewnić armji przejście nie tylko rzek, ale licznych błot, pokrywających ten kraj. Za lekką jazdą Napoleon wysłał młodą gwardję pod dowództwem Mortje i starą pod dowództwem Lefebwre. Piérwsza miała się udać przez Ławaryszki, Michaliszki, Danitowicze, druga przez Świenieciany i Postawy, a obie miały stanąć w Głębokiem, gdzie Napoleon miał założyć swą główną kwaterę, naprzeciw Dźwiny, pomiędzy Drysą a Połockiem. Napoleon z tyłu za Mortje i Lefebwre wysłał rezerwę artylleryji gwardji, na którą najwięcej liczył w dniu bitwy, i zalecił prowadzić ją z wolna, ażeby nie uczynić koni niezdatnymi do dalszego pociągu. Nadto, wyprawił już był w tymże samym kierunku, ale trochę na lewo, i z tyłu za Miuratem, trzy dywizje Moran, Frjan i Giudę, które chciał mieć przy sobie, dla wykonania najtrudniejszej części swojego obrotu, to jest, najbliżej nieprzyjaciela, w miejscu, gdzie miano go obejść i otoczyć. Prócz tego porучzył Nejowi, Udino i Makdonaldowi wykonanie ruchu z lewa na prawo takim sposobem, żeby Nej z Malat poszedł na Widze, Udino z Awant na Rymszany, Makdonald z Rosien na Peniewiez, żeby szli bokiem nieprzyjaciela nie zaczepiając go, oraz wieźli z sobą chleb i mąkę, którą mogliby zgromadzić, a także prowadzili z sobą zebrane po drodze bydło. Po prawem swém ręku wreszcie, Napoleon wysłał księcia Eugienjusza z Nowych Trok na Oszmianę, Smörgonie, Wilejkę, dając mu też same zlecenia. Księżę Eugienjusz stracił był połowę swoich Bawarczyków skutkiem znużenia i krwawej biegunki, i korpus jego był już znacznie zmniejszonym. Miał on tworzyć prawe skrzydło Napoleona i przez jazdę generała Gruszy zostawać w związku z marszałkiem Dawu.

Przed opuszczeniem Wilna, Napoleon wydał swoje ostatnie rozkazy dla zapewnienia wszystkich części służby podczas swój nieobecności. Nie chcąc się pozbawić talentów, gorliwości, poczciwości pana Dariu, a mając potrzebę drugiego samego siebie w Wilnie, postanowił zostawić tam księcia Bassano, na którego poświęceniu się i pilności mógł całkiem polegać, z upoważnieniem otwierania nie tylko korespondencji dyplomatycznej, ale też administracyjnej i wojennej, do komunikowania każdemu z dowódców korpusowych, coby

należało im wiedzieć, wydawania nawet rozkazów w przedmiocie zaopatrzania armji w żywność. Zawarł z żydami polskimi umowę względem dostawiania transportów z Kowna do Wilna. Żegluga bowiem na Wilji uznana została za niepodobną do uskutecznienia, postanowiono więc odbywać transporta lądem. Liczne konwoje, które dzięki gorliwości pułkownika Bast, przychodziły codziennie z Gdańska do Kowna i przyczyniały się do zapelnienia tego miasta przedmiotami rozmaitego rodzaju, miały być odtąd przeladowywane w Kownie, dla kończenia swój drogi na Wilno lądem. W Wilnie znajdowało się tysięcy przynajmniej wozów artyllerji i zapasów żywności bez zaprzęgów. Zgromadzono je wszystkie w ogromnym parku i pod odkrytym niebem, dla zabezpieczenia ich od ognia. Napoleon rozkazał zaprzędz część ich dwoma tysiącami koni, małych lecz silnych, które marszałek Makdonald zebrał na Żmudzi. Wysłał rozkaz generałowi Bursje, pozostawionemu w Hanowerze, ażeby skupił znowu w Niemczech za jakąkolwiek cenę, o ile można najwięcej koni kawalerskich i pociągowych i wysłał je niezwłocznie do Wilna. Nakoniec chciał, żeby odpowiednio do ruchu, jaki armja czynna miała wykonać naprzód, armja rezerwowa wykonała ruch podobny. Zalecił marszałkowi Wiktorowi, który dowodził 9tym korpusem w Berlinie, ażeby się posunął na Gdańsk, marszałkowi Ozero, który dowodził 11tym korpusem, złożonym z czwartych bataljonów i pułków dezerterskich od konskrypcji, ażeby zastąpił miejsce księcia de Bellun w Berlinie. Oddziały, które Napoleon kazał formować przed opuszczeniem Paryża, miały zastąpić miejsce na granicy Francji wojsk 11go korpusu. W Wilnie samém znajdował się pod dowództwem generała Hogendorp, naznaczonego gubernatorem Litwy i zostającego pod władzą p. de Bassano, garnizon ruchomy, złożony ze wszystkich wojsk będących w pochodzie, który miał zawierać w sobie zwykle nie mniej jak 20 tysięcy żołnierza i miał mieć za punkt oparcia fortyfikacje połowe, które Napoleon kazał wykonać pod swoim okiem. Wewnątrz Wilna, piece, łoża, lazarety, którymi się tak bardzo zajmował, były już ukończone. Pieców było na wypieczenie sto tysięcy racij, łoża zaś dla przyjęcia dziesięciu tysięcy chorych; oficerowie wyznaczeni byli dla zebrania i wcielenia w pułki pozostałych w drodze, których kolumny ruchome zdołałyby schwytać. Liczba tych pozostałych dochodziła najmniej 40 tysięcy, najwięcej z cudzoziemców. Ujęto ich zaledwo dwa lub trzy tysiące; reszta zajęta była rabunkiem. Większa ich część, szczegółnie z pomiędzy Niemców, wróciła za Niemen.

Gdy wszystko było zrobione, co tylko przezorność ludzka mogła zrobić dla zapobieżenia niedogodnościom przedsięwzięcia, najbardziej śmiałego bez wątpienia ze wszystkich znanych dotąd, Napoleon postanowił odjechać w nocy z 16go na 17 lipca.

Napoleon więc wyjechał z Wilna 16go wieczorem, przebawiwszy ośmnaście dni w tej stolicy Litwy. Udał się na Święciany i przybył 18go rano do Głębokiego. Znalazł jeszcze na swój drodze wielu żołnierzy pozostałych z tyłu i wozów porzuconych. Upały nadzwyczajne miesiąca lipca nużyły niezmiernie ludzi i koni, a nadto, doznawano częstej przeszkody od zniszczenia mostów. W tych stronach błotnych i lesistych, liczba mostów była nieskończoną. Potrzebne one były nie tylko dla przebycia rzek i strumieni, ale téż wód stojących, które okrywały pola. Rossjanie poniszczyli te mosty o ile mogli, a nie można było liczyć dla poprawienia ich na mieszkańców, bardzo nielicznych tych okolic. Ztąd tedy korpus pontonjerów był ciągle bardzo zajęty, a żeby zadość uczynić swemu obowiązкови, potrzebował całego swego poświęcenia się i szlachetnego przykładu jego dowódcy, generała Eble.

Głębokie było małym miasteczkiem, zbudowanym z drzewa, jak wszystkie miasteczka tych okolic, i najgłówniejszą w niej budowlą był nie dwór, ale wielki klasztor. Napoleon rozlokował się w nim i pośpieszył, według swojego zwyczaju, przygotować tam zakład, który mógłby służyć za miejsce etapu dla armji.

Tymczasem rozmaite korpusy odbywały swe ruchy i przechodziły kolejno przed obozem pod Dryssą. Jak gdyby miano nań uderzyć, chociaż miały rozkaz, ażeby tego nie czynić. Miurata przebywszy kilka dni niedaleko Święcjan w Opsie, z jazdą generałów Nansuty i Monbrę, z trzema dywizjami marszałka Dawu, przeszedł przed obozem pod Dryssą, o kilka ml od niego i stanął naprzeciw Potocka, blisko Głębokiego, pod ręką Napoleona. Podczas tego marszu generał Sebastjani dał się zniemacka podejść jeździe rossyjskiej, która przebywszy Dźwinę dla uważania naszych ruchów, korzystała z tego, żeśmy się nie dość mieli na baczeniu i napadła na oddział generała Se-Z'onne. Ten ostatni bronił się walecznie, ale w końcu wzięty został w niewolę z kilkuset żołnierzami. Na odgłos tego zjawienia się, jazda nasza nadbiegła, natarła na Rossjan, wzięła w niewolę generała ich Kulniewa, który dowodził wycieczką i zmusiła ich do przebycia Dźwiny. Prócz tego wypadku, ruchy Miurata odbywały się stosownie do rozkazów Napoleona. Wojska żyły poczęści z tego, co z sobą niosły,

poczęści co zebrały w kraju, którego Rossjanie nie mieli czasu zniszczyć.

Nej postępował za Miuratem; wykonał on ruch podobny i stanął na lewo dywizji Moran, Frjan i Giudę. Wojsko jego idąc za wojskiem Miurata, znalazło już wsie ogołoczone ze wszystkiego, ale za to znajdowało powozy z zapasami żywności pozostawione z tyłu, i korzystało z nich dla wyżywienia się. Nie oszczędzano mięsa, którego było podostatkiem, ale należało oszczędzać chleb, którego było bardzo niewiele. Dawano żołnierzom raczej całą mięsa, a tylko pół racji chleba. Dla zastąpienia chleba kładli ryż do swojej zupy, a w braku ryżu, żyto prażone. Upały i rodzaj pokarmu spowodowały biegunkę u młodych żołnierzy, i należało się lękać, żeby ta nie stała się zarazliwą.

Po Neju szedł Udino. Ten przechodząc tuż koło Dynaburga, gdzie Rossjanie wystawili silny szaniec przedmostowy na Dźwinie, nie mógł się oprzeć chęci, pomimo wyraźnych rozkazów Napoleona, zaatakowania tych fortyfikacji, które Rossjanie wnet opuścili. Wypadek ten nie miał innych następstw i marszałek Udino stanął po kolei na lewo od Neja. Wszystkie więc te korpusy znajdowały się pomieszczone na przestrzeni kilku mil, jedno po za obozem pod Dryssą, w pobliżu którego przeszły, drugie naprzeciw niego, a wszystkie pod ręką Napoleona, który z gwardją znajdował się w Głębokiem. Marszałek Makdonald tylko zostawał w niejakiem oddaleniu na lewo, pomiędzy Poniewieżem i Jakobstadtem, osłaniając razem Żmudź, którą należało strzedz od spustoszenia kozaków i bieg Niemna, po którym szły nasze konwoje, postępując w górę tej rzeki aż do Kowna.

Ruchy zalecone na prawém skrzydle Napoleona, odbywały się z równą punktualnością. Książę Eugienjusz miał zajmować tę część linji, i utrzymywać związek z marszałkiem Dawu na Dnieprze. Zgromadziwszy swe wojsko i swe zaprzęgi w Nowych Trokach, wyruszył ztamtąd, szedł drogą Mińską do Smorgoń, potem opuścił ją i zwrócił się na Wilejkę. Jenerał Kolber, wysłany w tę stronę z ułanami czerwonemi przez marszałka Dawu, wyprzedził go tam i ocalił nieco magazynów. Książę Eugienjusz dostał tam na dwa dni żywności, co mu było wielką pomocą i przedłużał swą drogę na Dołhinow, aż do miasteczka Berezyny, leżącego u źródeł rzeki tegoż nazwiśka. W tém miejscu kanał zwany Lepelski, łączył Berezynę, która jest przytokiem Dniepru, z Ułą, będącą przytokiem Dźwiny. Można więc uważać ten kanał za połączenie morza Czarnego z Bałtykiem. Znajdowały się na nim statki i zapasy żywności, których Rossjanie nie mieli czasu zni-

szczyć. Księżę Eugienjusz pośpieszył zabrać je, a nadewszystko czuwać nad utrzymaniem żeglugi, która mogła stać się bardzo użyteczną armji. 21go miał stanąć w Kamieniu i ztąd miał tylko krok jeden do zrobienia, żeby się dostać do Dźwiny, pomiędzy Utą a Bieszenkowitzami, w miejscu, gdzie ta rzeka jest tak łatwą do przebycia, że latem można ją przebyć w bród.

Napoleon miał tym sposobem wszystkie swe korpusy pod ręką, i mógł rozporządzać blisko dwukroć sto tysiącami żołnierza, rozmieszczonego na przestrzeni kilku mil. Marsze wprawdzie zmniejszyły jeszcze liczbę ludzi zdatnych do boju; ale oprócz Makdonalda, zostającego na lewém skrzydle, oprócz Dawu i korpusu Hieronima, będących opodal na lewém skrzydle, Napoleon miał najmniej 190 tysięcy żołnierza, obecnego pod chorągwiami i najlepszego z całej armji. Mógł więc zadać cios stanowczy Barkłaj de Tollemu i w istocie robił przygotowania do przebycia Dźwiny na lewo od niego, dla obejścia go i otoczenia, według utworzonego przez siebie planu. Wszystko dotąd szło według jego chęci. Oczekiwał tylko, dla wykonania swych wielkich zamiarów, na przybycie ciężkiej artyllerji, zawsze opóźniającej się cokolwiek i spodziewał się być w możności rozpoczęcia działania 22go lub 23 lipca. Tymczasem zajmował się bardzo czynnie utworzeniem w Głębokiem etapu, opatrzonego we wszystko co było potrzebném dla armji. Znalazł tam, oprócz klasztoru, który zajmował, inne klasztory dość bogate. Sąsiedztwo kanału Lepelskiego przedstawiało także niemałe korzyści. Korzystając tedy z tych rozmaitych środków, rozkazał przygotować magazyny, lazarety, piekarnię chleba. Rozpoczęto budować dwadzieścia cztery piece, i ze wszystkiego można było wnosić, że to będzie punkt środkowy pomiędzy Wilnem a Witebskiem, bardzo dobrze we wszystko zaopatrzony.

Kiedy Napoleon uskuteczniał ten ruch, marszałek Dawu przedłużał swój, który nie mając téjże samej wagi, był jednakże bardzo ważnym, gdyż szło o zatrzymanie Bagrajona w Mohilewie i przeszkodzwszy mu przejścia Dniepru w tym punkcie, zmuszenia go do zstąpienia niżej i wykonania długiego kotowania dla połączenia się z Dnieprem i Dźwiną z wielką armją Barkłaj de Tollego. Pomyślny skutek oporu marszałka Dawu wywierał więc ważny wpływ na powodzenie obrotu Napoleona, gdyż miał opóźnić połączenie się Bagrajona z Barkłaj de Tollim i zmusić ich do połączenia się dalej i później. Gdyby marszałek Dawu miał cały korpus króla Hieronima pod ręką, nie tylko wstrzymałby Bagrajona, ale zadałby mu cios stanowczy. Niestety

ściem, wojsko króla Hieronima, jak widzieliśmy, skoro nie szło na Bobrujsk, miało sześć do ośmiu dni pochodu dla połączenia się z nim, znajdował się więc tylko z dywizjami Kompan, Desse i Klapared, oraz dywizją kirassjerów, w Mohilewie, dokąd udał się pośpiesznie dla przecięcia drogi Bagracjonowi. Reszta jego jazdy zostawioną była po lewej stronie dla utrzymania związku z księciem Eugianjuszem, a po prawej dla czuwania nad wojskiem polskim i westfalskim, będącym obecnie w pochodzie.

Co do księcia Bagracjona, ten przeszedłszy swobodnie Berezynę w Bobrujsku, nie będąc tam napadniętym przez połączone siły marszałka Dawu i Hieronima, uważał się za ocalonego, gdyż z tyłu miał dla osłony przeciw Hieronimowi twierdzę Bobrujsk, a na przedzie spodziewał się doścignąć Dniepra w Mohilewie bez doznania jakiegokolwiek bądź przeszkody. Nie spodziewał się że znajdzie tam jeszcze marszałka Dawu, a w każdym razie, zaczął nie lękać się go, będąc dość dokładnie poinformowanym o siłach tego marszałka. Jakoż 21go wieczorem, zbliżał się do Mohilewa, przebywszy tym sposobem przestrzeń oddzielającą Berezynę od Mohilewa, i licząc około 60,000 ludzi zdatnych do boju.

Marszałek Dawu, jak powiedzieliśmy, zajmował Mohilew z dywizjami Kompan, Desse i Klapared. Siły jego, zmniejszone skutkiem pochodu, były niemi także z powodu oddziałów, które musiał zostawić w rozmaitych stanowiskach. Pozostawił w Mińsku 33ci lekkiej, dla ściągnięcia tam swych żołnierzy i utrzymywania garnizonu, oraz zmuszony był rozstawić swoją jazdę na ogromnej przestrzeni, dla utrzymania związków z jedną stroną z wojskiem Hieronima, z drugą z wojskiem Napoleona. Zachował tylko pod ręką kirassjerów generała Walans z lekką jazdą generałów Pażol i Bordessul, i mógł postawić przeciwko nieprzyjacielowi 22,000 piechoty, 6,000 jazdy, to jest 28,000 żołnierza przeciwko 60,000. Ale dzięki wartości żołnierza i naturze miejsc, nie lękał się spotkać z nieprzyjacielem w Mohilewie, jak nie lękał się kiedyś spotkać z nim pod Auerstaedt. 21go wieczorem, wojsko jego miało żwawą utarczkę. Jazda lekka generała Bordessul znajdowała się na drodze do starego Bychowa, którą przybywała awangarda Bagracjona. Jeden szwadron, umieszczony w przedniej straży, był napadnięty przez korpus Płatowa, i znacznie uszkodzony. Szczęściem, pułk 85ty linjowy, stojący z tyłu, zatrzymał ogniem z ręcznej broni liczne szwadrony Płatowa, i zmusił ich do cofnięcia się. Skończyło się tylko na stracie kilkudziesięciu ludzi i koni. Ale ta żwawa utarczka zapowiadała bliskie przybycie całej armji Naddnieprskiej.

Nazajutrz rano 22go marszałek ze zwykłą swoją czujnością, udał się równo ze świtem na pole, gdzie spodziewał się stoczyć bitwę, i pilnie je rozpatrzył w towarzystwie jenerała Haxo. Droga wiodąca do Starego Bychowa, na której zaszła utarczka dnia uprzedniego, była téż drogą wiodącą do Bobrujska, która idąc pierwiej w prostym kierunku od Berezyny do Dniepru, zwracała się potem prawie pod kątem prostym pod Starym Bychowem i szła ztamtąd prawym brzegiem Dniepru do Mohilewa. Marszałek z jenerałem Haxo wystąpiwszy z Mohilewa, udali się tą drogą, otoczoną podwójnym rzędem brzozy, jak wszystkie drogi w tym kraju, i mającą Dniepr po lewej stronie, a strumień Miszowkę po prawej. Przebywszy pomiędzy Miszowką a Dnieprem przestrzeń trzech lub czterech mil, ujrzeli Miszowkę zwracającą się nagle w lewo w kierunku Dniepru, i opasującą tym sposobem swoim biegiem długi i wązki kawał ziemi, który dopiero co przebyli. W tém miejscu, gdzie Miszowka zwracała się dla wpadnięcia do Dniepru, znajdował się młyn, zwany Fatowa, i obok niego staw. Miszowka przecinała potem drogę, mając na sobie most i przy nim dość wielką budowlę, zwaną karczma Sołtanowką, następnie wpadała do Dniepru. Miejsce tym sposobem ze wszystkich stron otoczone przeszkodami, wydało się od razu marszałkowi Dawu i jenerałowi Haxo najstosowniejsem do wydania bitwy, gdyż przedstawiało największą łatwość do stawienia czoła nieprzyjacielowi, jakakolwiek byłaby jego siła i energia. Kazali tedy zrobić zawaly na moście, obwarować karczmę Sołtanowkę i młyn Fatowa, oraz przeciąć groblę, zatrzymującą wody młynu, żeby nieprzyjaciel nie mógł z niej korzystać dla przebycia rzeki. Marszałek Dawu powierzył straż tych dwóch stanowisk pięciu bataljonem pułku 85go linjowego, pod jenerałem Fryderyksem, i umieścić z tyłu, pod jenerałem Desse 108my pułk, mający służyć za rezerwę. Te dwa pułki składały całą dywizję Desse, gdyż 33ci lekki był pozostawiony w Mińsku. Marszałek ustawił swoją artylleryję jak można było najlepiej, a zresztą miejsce było dla niej dogodne, gdyż droga wiodąca do Starego Bychowa, po której Rossjanie mieli przybyć, przeszedłszy lasy, wychodziła nagle na pole otwarte, które nasze działa mogły osypywać kartaczami.

Po przedsięwzięciu tych ostróżności z czoła, marszałek powrócił do Mohilewa dla zapewnienia się, czy nie zdołanoby przebyć Miszowki po prawém jego ręku, co uczyniłoby daremny opór stawiany na moście pod Sołtanowką i we młynie Fatowa. Jakoż w istocie o milę dalej, postępując w górę téj rzeczki, leżała nad jéj brzegiem wieś Sielec, którędy nieprzyjaciel mógłby ją przebyć. Marszałek postawił tam je-

den z czterech pułków dywizji Kompan, 61szy, z silną artyllerią, która, podobnie jak pod młynem Fatowa, miała tę korzyść, że mogła strzelać z jednego brzegu na drugi i na gruncie, gdzie las świezo ściętym został. Cokolwiek dalej z tyłu Marszałek umieścił jeszcze w rezerwie dwa inne pułki dywizji Kompan, 57my i 111ty linjowe, z kirassjerami Walans dla rzucenia się na nieprzyjaciela, w razie gdyby zdobył most na Miszowce. Wreszcie, jako ostatni środek ostrożności, marszałek postawił dywizję polską Klapared z tyłu za dywizją Kompan, dla połączenia z miastem Mohilewem wojsk strzegących drogi wiodącej do Starego Bychowa. Jenerał Pażol, z swoją lekką jazdą i 25tym linjowym pułkiem, (czyli czwartym jenerała Kompan), otrzymał rozkaz czuwania nad drogą idącą z Ihumenia na Pohost, którą szedł sam marszałek z Berezyny nad Dniepr, w razie gdyby część armji rossyjskiej próbowała przejść tamtędy dla obejścia pozycji pod Mohilewem. Po dokonaniu tych energicznych i zręcznych rozporządzeń, marszałek oczekiwał z zimną krwią ataku, mającego nastąpić nazajutrz.

Jakoż, następnego dnia 23 lipca, o świcie, książę Bagracjon, zostawiwszy 8my korpus, Borosdina, na drodze Bobrujskiej, dla zasłonięcia się przeciwko ściganiu możliwemu, choć mało prawdopodobnemu króla Hieronima, posunął naprzód 7my korpus, Rajewskiego, ku mostowi pod Sołtanówką i młynowi Fatowa, z rozkazem zdobycia tych dwóch stanowisk za jakąkolwiek cenę.

Dywizja Koliubakina atakowała most pod Sołtanówką, dywizja zaś Paskiewicza młyn Fatowa. Jeden i drugi, umieszczeni na krawędzi lasu, wyprowadzili tylko na odkryte pole swą artyllerię i swych tyraljerów. Ci ostatni próbowali ukryć się za krzakami i za wszelkimi wyniosłościami gruntu. Ale tyraljerowie francuzcy, lepiej ukryci za karczmą Sołtanówką i młynem Fatowa, oraz strzelając bardzo celnie, sprawiali nieprzyjacielowi więcej szkody, niżeli jęj ponosili od niego. Artyllerja francuzka ze swęj strony demontowała co chwila działa rossyjskie. Po niejakiem czasie tęj walki nierównęj, dywizja Koliubakina chciała się posunąć na most pod Sołtanówką, ale przyjęta została takim ogniem z ręcznej broni i kartaczami, że była zmuszoną cofnąć się i powrócić do lasu.

Marszałek przybiegł na odgłos dział, a zobaczywszy że wszystko dobrze idzie od frontu, udał się na tył swęj armji, do wsi Sielca, żeby się dowiedzieć, czy atak boczny nie zagrażał mu z tęj strony. Zapewniwszy się że żadne niebezpieczeństwo tu nie zagrażało, umieścił nieco dalej na przedzie pułk 61szy, który z początku był we wsi Sielcu, i posunął takoz naprzód pułki 57my i 111ty, równie tęż kirassjerów,

postrzegając wyraźnie, że największe usiłowania nieprzyjaciela skierowane zostaną na front jego pozycji. Powrócił tedy sam niezwłocznie w tę stronę.

Jakoż Rossjanie czynili w tej chwili energiczne i ostatnie wysiłenie. Dywizja Koliubakina, wystąpiwszy w massie wielką drogą, posuwała się w ściśnionych szeregach na most pod Sołtanówką, a dywizja Paskiewicza rozwinięszy swe szyki przed młynem Fatowa, stanęła nad brzegiem grobli, pomimo silnego ognia naszej artylllerji. Jenerał Fryderyks z 85tym pułkiem, przyjął dywizję Kolinbakina ogniem z ręcznej broni tak rześistym, że ta szedłszy najprzód śmiało ku mostowi, zaczęła się wahać, wreszcie rzuciła się do odwrotu. Dywizja Paskiewicza znajdując w strumieniu przeszkodę mniej nieprzystępną, próbowała przebyć go przechodząc groblę zatrzymującą wody młyna. Na ten widok, bataljon 108go pułku, prowadzony przez officera męźnego aż do zuchwalstwa, pobiegł na spotkanie nacierających, przyjął ich z bagnetem w rękę, i zmusił ich do przejścia na powrót strumienia. Nieszczęściem, zamiast poprzestania na tej korzyści, przebył ze, swjej strony przeszkodę tak silnie bronioną, i wystąpił na odkryte pole które rozciągało się po drugiej stronie. Za ledwo stanął tam, ujrzał się być otoczonym strzałami, pochodzącemi z krawędzi lasu, przyjęty potem bagnetami, i odparty znowu za strumień, pozostawił w rękę Rossjan ze sto niewolnika, a stracił więcej jeszcze ludzi od ognia z ręcznej broni.

W tej właśnie chwili marszałek przybywał przebiegłszy tylną część swjej pozycji. Przywrócił do porządku bataljon odparty, nakazał mu kilka obrotów pod ogniem dla wrócenia mu zimnej krwi, i wysłał kawalerję lekką na kilka plutonów nieprzyjacielskich, które miały śmiałość przebycia strumienia. Potem przybliżył całą swą artylllerję, której strzały przeryznając odkrytą równinę, na której się była rozwinięła dywizja Paskiewicza, i osypując ją kartaczami, zmusiły ją do powrotu na nowo do lasu. Tym sposobem od młynu Fatowa do mostu pod Sołtanówką, Rossjanie czynili próżne usiłowania i padali w stosunku trzech lub czterech na jednego Francuza.

Jednakże dywizja Paskiewicza próbowała posunąć się dalej po naszym prawem rękę, wzdłuż Miszowki i krawędzi lasu, do wysokości wsi Sielca. Szła ona brzegiem wyrębu, ażeby być zastonioną od naszej artylllerji, i doszła tym sposobem aż naprzeciw wsi Sielca. Przednie strażę jej nawet przebyły strumień. Wołyżerowie 61go pułku rzucili się natychmiast na tych co popełnili tę nieroztropność, i zmusili ich do cofnięcia się za strumień. Potem pułk cały, przeby-

wszy Miszowkę, wszedł do lasu, i zaszedłszy z boku wyręb, którego Rossjanie zajmowali brzeg, zmusił ich do oczyszczenia pośpiesznie tej części pola bitwy. Od naszego frontu, generał Fryderyks wykonał, pomiędzy młynem Fatowa a mostem Sołtanówką, podobny obrot. Z kilką kompanjami wyborowemi przebył strumień, wkroczył do lasu niepostrzeżony, obszedł przestrzeń odkrytą, na której Rossjanie byli się rozwinęli naprzeciw młyna, i napadł na nich niespodzianie z tyłu. Nasi grenadjerowie i woltżerowie z bagnietem w rękę sprawili w ich szeregach prawdziwą rzeź, i oswobodzili tym sposobem cały front pola bitwy. Postanowiono wtedy rozpocząć zaczepne działanie. Oczyszczono z zawałów most Sołtanówkę i wystąpiono w massie na wielką drogę prowadzącą do Starego Bychowa. Idąc wpogoni za Rossjanami na przestrzeni jednej mili, postrzeżono na odkrytym polu księcia Bagracjona w pozycji z całą resztą swojej armji. Na tym nowym polu, walka, dotąd dla nas tak korzystną mogła się stać równie zgubną, jak nią była dla Rossjan nad brzegami Miszowki. Odważny Kompan, którego roztropność wyrównywała odwadze, powstrzymał zapal swych wojsk, i odprowadził ich nazad, ażeby nie narazić na szwank bitwy, która dotąd była nieprzerwanym zwycięstwem. Nie był on bynajmniej ścigany. Książę Bagracjon, przerażony stratami, które poniósł (około 4 tysięcy zabitych lub rannych pokrywało pola Miszowki) i uwiadomiony że posiłki miały nadejść marszałkowi Dawu, postanowił cofnąć się na Stary Bychów, ażeby tam przebyć Dniepr i udać się potem na Mscisław.

Tym sposobem zakończyła się ta chlubna walka, w której 28,000 żołnierza Igo korpusu zatrzymało 60,000 żołnierzy Bagracjona. Wprawdzie walczyło w niej tylko 20,000 Rossjan; ale i Francuzów nie było więcej nad 8 do 9 tysięcy, mających rzeczywisty udział w bitwie, a na 4,000 zabitych lub rannych ze strony Rossjan, Francuzi stracili zaledwo tysiąc ludzi, z których sto z 108go pułku popadło w niewolę za Miszowką. Gdyby książę Bagracjon lepiej znał miejscowość, mógłby wykonać z prawego skrzydła marszałka bardzo rozciągniętego, niebezpieczny atak z korpusem Borosdina. Ale pozostawała piechota generałów Kompan i Klapared oraz kirassjerowie generała Walans, i niełatwoby mu było przerznąć się przez podobne wojsko. Należy jeszcze dodać, że gdyby w tym dniu, 23go, książę Poniatowski miał czas, przeszedłszy przez Jakszyce, stanąć z tyłu lub z boku księcia Bagracjona, można byłoby, nawet po chybnym połączeniu w Bobrujsku, zadać cios stanowczy armji rossyjskiej. Widzieliśmy wyżej zgubne przyczyny które nie dozwoliły tego wykonać.

Marszałek Dawu użył dnia następnego na zebranie z pola bitwy swych rannych, i na zasięganie w domości o Polakach i Westfalczykach, nie chcąc przed ich przybyciem występować z tego rodzaju oszańcowanego obozu, który był dla niego tak użytecznym. Rozporządził wszystko dla wyruszenia w górę Dniepru do Orszy, ażeby się zbliżyć do Napoleona, który, jak powiedzieliśmy, czekał w Głębokiem chwili przyjaznej dla obejścia przez Połock i Witebsk armji rossyjskiej Barklaj de Tollego. Przeszkodzić księciu Bagracjonowi połączenia się z armją główną było odtąd niepodobienstwem, gdyż nie podobna go było ścigać bez końca za Dnieprem; ale opóźniono jego połączenie się z Barklaj de Tollim, i ten rezultat, lubo nie tak ważny jak ten, który spodziewano się otrzymać, wystarczał jednakże do uskutecznienia głównego planu Napoleona.

Dzień to 22gi lub najdalej 23ci tego miesiąca. Napoleon w swoim przeczornym wyrachowaniu wybrał na wykonanie swego wielkiego obrotu. Znajdował się w Głębokiem, mając po swém prawém ręku ku Kamieniowi księcia Eugienjusza, przed sobą, ku Uszczazowi, jazdę Miurata, trzy dywizje Moran, Frjan i Giudę, po lewém ręku wreszcie marszałków Neja i Udino, naprzeciw obozu pod Dryssą. W Głębokiem samém miał gwardję Cesarską. Mając więc pod ręką około 190,000 żołnierza, był gotowym przebyć Dźwinę na lewo od Barklaj de Tollego. Pomyślna utarczka marszałka Dawu była wypadkiem szczęśliwym dla uskutecznienia jego planu, ale w tymże samym czasie zaszła dziwna rewolucja w sztabie rossyjskim.

Barklaj de Tolli, jak widzieliśmy, cofnął się w kierunku obozu pod Dryssą, i ten obrót obudził nieukontentowanie w najwyższym stopniu. W niższych warstwach armji, gdzie przeważały namiętności narodowe, sam fakt cofania się przed Francuzami ranił głęboko uczucie powszechne. W warstwie wyższej, zdolnej ocenić mądrość planu ciągłego odwrótu, założenie obozu pod Dryssą zdawało się być każdemu nieroztropnością. W istocie, pomysł cofania się w głąb kraju opierał się na nadziei i prawie pewności osłabienia Francuzów długim marszem, i napadnięcia na nich kiedy będą dziesiątkowani przez znużenie, głód i zimno. Obóz oszańcowany nie przydawał żadnych korzyści do tego planu, gdyż, jak powiedzieliśmy, przestrzeń nieskończona była prawdziwem schronieniem dla Rossjan, i nie potrzebowali oni bynajmniej Torres Vedras, nie będąc przyparci do kończyny swego ładu. Ale w każdym razie, obóz nad Dźwiną umieszczony na drodze Francuzów, na początku, że tak rzec można, ich zapędu, kiedy mieli jeszcze wszystkie swe zasoby, był błędem, gdyż Napoleoni

mógł albo zdobyć ten obóz, albo obejść go, nie licząc tego, że mu było rzeczą łatwą, korzystając ze zmuszonej nieczynności głównej armji, przejść z prawej strony otworem oddzielającym źródła Dźwiny od źródeł Dniepru, i przeciąć na dwoje na resztę kampanji długą linię wojsk rosyjskich. Ruch marszałka Dawu przeciwko księciu Bagracjonowi, skupienie sił przez Napoleona w Głębokiem, wykazywały już ten zamiar jak najwyraźniej. Wreszcie, obóz sam pod Dryssą nie przedstawiał żadnego bezpieczeństwa pod względem swego obwarowania. Zwykle zasłaniają się rzeką, której przejścia chcą bronić, tu przeciwnie, umieszczono się na przedzie rzeki, opierając o nią swe tyły i swe skrzydła. Według wskazania jenerała Pfuhl, inżynierowie rosyjscy wybrali głęboką wklęsłość, którą Dźwina tworzy w Dryssie, i oparli się o nią, jak gdyby mniej dbali o uczynienie niezdobytym swego czoła, jak swych boków i tyłu. Wprawdzie starano się front tego obozu uczynić prawie nieprzystępnym przez ogromne fortyfikacje, które mogłyby uczynić daremnymi wszelkie usiłowania nieprzyjaciela. Zamknięto wklęsłość, w której się rozlokowano, pierwszą linią fortyfikacji na 3,300 sążni długości, idącą od jednego do drugiego ramienia Dźwiny. Były to zawały z drzew, szance z ziemi, bardzo trudne do przebycia, i prócz tego najeżone działami. W drugiej linii wystawiono dziesięć redut, połączonych z sobą pewnym rodzajem muru, i uzbrojonych również bardzo liczną artylleryją. Część armji rosyjskiej zajmowała te fortyfikacje, a reszta umieszczona z tyłu w głębokich massach, przedstawiała silną rezerwę. Cztery mosty miały zapewnić odwrót tej armji, gdyby była zmuszoną ustąpić ze swego stanowiska. Chociaż ten obóz mógł przedstawiać wielkie przeszkody nawet zapędowi Francuzów, rzeczą było niezawodną, że dziwnie dopomagał do obrotu Napoleona, który zamysłał obejść go i zamknąć w nim Barklaj de Tollego. Gdyby w istocie Napoleon miał czas przebyć Dźwinę i zająć z tyłu armji rosyjskiej, ciekawa rzecz, jakim sposobem mogłaby ta przejść przez swoje cztery mosty w obec dwóch-kroć sto tysięcy Francuzów.

Cóżkolwiek bądź, narzekanie armji rosyjskiej stało się powszechnem. Jedni ganili nawet pomysł cofania się przed Francuzami, drudzy pomysł tak rychłego zatrzymania się, inni zaś dozwolenie Napoleonowi posunięcia się na lewo od armji głównej, i przecięcia tym sposobem Bagracjona od Barklaj de Tollego. Wszyscy jednogłośnie przypisywali plan, który się im niepodobał, jenerałowi Pfuhl, oraz cudzoziemcom, będącym, jak zdawało się, jego współpracownikami.

Wreszcie Cesarz Aleksander, skłoniony uwagami przedstawionemi mu ustnie i na piśmie przez otaczające go osoby, zachwiał się w swém postanowieniu zostawania w obozie pod Dryssą. Zwołał radę wojenną, do której przypuścił nietylko swój własny sztab, ale sztab generała Barklaj de Tollego. Wezwał do niej takż dawniejszego ministra wojny Arakcejewą, inżyniera Miszo i pułkownika Wolzogen, powiernika generała Pfuhl. Cesarz Aleksander wyjaśniwszy ogół tego planu, poruczył pułkownikowi Wolzogen usprawiedliwić go co do szczegółów. Ten przystając na to, że pewne roboty były dość źle obmyślane, bronił jednakże utrzymania obozu pod Dryssą dowodami więcej lub mniej pozornemi. Te dowody zresztą były bezsilne w obec zarzutów, jakie wywołał plan generała Pfuhl. Skoro w istocie przyjęto plan wyrachowanego odwrotu, było to zanadto wcześnie zatrzymywać się nad Dźwiną, gdyż narażano się na napad ze strony Francuzów w chwili, kiedy ci mieli jeszcze w swém rozporządzeniu wszystkie swe zasoby; nadto, cofając się do Dryssy, pozostawiano im sposobność rozdzielenia dwóch armij rossyjskich; wreszcie, jeżeli łatwo można było przypuścić korpusy działające na skrzydła nieprzyjaciela, nie było to pobudką dostateczną do rozdzielenia na dwoje głównej masy sił rossyjskich, tak dalece że nie można było nigdzie stawić czoła nieprzyjacielowi. Chociaż te przyczyny nie były jasno wyłożone przez żadnego z członków sztabu rossyjskiego, tkwiły one niewyraźnie w umyśle każdego z nich. Jakoż, p. Wolzogen uznał sam potrzebę niezwłocznego opuszczenia obozu pod Dryssą i udania się na Witebsk dla podania ręki Bagracjonowi, z którym spodziewano się połączyć w Smoleńsku. Zdanie to zgodne z tém, czego wszyscy żądali, nie mogło znaleźć przeciwników, i jednogłośnie przyjętem zostało.

Tym sposobem, skutkiem ogólnego oburzenia, porzuconą została część systematyczna planu generała Pfuhl, zależąca na szukaniu w Dryssie tego, co lord Wellington znalazł na linji Torres Vedras. Jednakże Cesarz Aleksander nie porzucił istotnej części planu, który zresztą był planem wszystkich ludzi zdrowo myślących, to jest, cofania się wewnątrz kraju. Powierzył on wykonanie tego pomysłu generałowi Barklaj de Tollemu, nie udzielając mu jednakże tytułu głównodowodzącego, ażeby nie obrazić miłości własnej księcia Bagracjona, zostawił go tylko w charakterze ministra wojny, co czyniło mu podległemi wszystkich dowódców korpusów. Sam zaś postanowił udać się do Moskwy, i opuścić niezwłocznie główną kwaterę. Po nim wyjechał do Petersburga generał Pfuhl z dawniejszym ministrem Arakcejewem, Szwedem Armfeldem, i innemi.

Barklaj de Tolli, który pozostał sam jeden na czele wojska w charakterze ministra wojny, był ze wszystkich generałów rossyjskich najzdolniejszym do umiejętnego nióm dowodzenia. Uczony, znający gruntownie szczegóły swojego zawodu, powolny i wytrwały, był jednakże przedmiotem zawiści ze strony swych podwładnych, którzy nie chcieli uznawać w nim prawdziwój wyższości, oraz źle uważany od całej armji za systemat odwrotu, który, jakkolwiek był rozsądnym, obraził ją niezmiernie. W obecnej chwili przystąpił chętnie do planu ustąpienia z obozu pod Dryssą, posunięcia się w górę Dźwiny do Witebska, zatrzymania się tam naprzeciw Smoleńska, gdzie spodziewano się że Bagracjon przybędzie wkrótce postępując w górę Dniepru, i podania jemu ręki, przeszedłszy w potrzebie przez otwór oddzielający źródła Dźwiny od źródeł Dniepru. Przez ten ruch zagroziłby nam drogę do Moskwy, ale pozostawiłby otworem drogę do Petersburga. Ażeby zamknąć ją o ile można, postanowił zostawić w pozycji na dolnej Dźwinie, pomiędzy Połockiem a Rygą, korpus hrabiego Wittgenstejna, który z 25,000 żołnierza, mającemi być wkrótce pomnożonemi wojskiem Finlandzkim i rezerwami z północy państwa, osłaniałby ważną twierdzę Rygę, i zagrażałby lewemu bokowi Francuzów, wówczas gdy armja Naddunajska, gdyby wporę przybyła z Turcji, zagrażałaby jój prawemu bokowi.

Po wydaniu tych rozporządzeń, Barklaj de Tolli ruszył w pochód 19 lipca, i udał się w górę Dźwiny, mając piechotę swą na prawym jój brzegu, a jazdę na lewym. Ta ostatnia postępując lewym brzegiem zajmowanym przez Francuzów, mogła się niejednokrotnie z nimi spotkać; ale w każdym razie mogła przejść w bród Dźwinę, co w tój porze roku, i wyżej Połocka było rzeczą łatwą. Jenerał Dochturow miał tworzyć tylną straż. Po oddzieleniu korpusu Wittgenstejna i stratach poniesionych przez marsze, Barklaj de Tolli mógł jeszcze mieć około 90,000 żołnierza. Przyłączenie się księcia Bagracjona mogło zwiększyć jego wojsko do 150,000. Wyruszywszy 19go, szedł obu brzegami Dźwiny 20go, 21go, 22go lipca, zostając w dość znacznej odległości od Francuzów, którzy, stosownie do zamierzonego obrotu, postanowili nie zbliżać się bardzo do Rossjan.

Napoleon, który podczas działań wojennych miał oczy ciągle zwrócone na nieprzyjaciela, musiał prędko postrzedz podobny ruch, chociaż kawalerja rossyjska starała się zasłonić go, i ukryć przez rekonessanse skierowane w rozmaitych kierunkach. Zauważył wkrótce, po za bieganiną tój jazdy, ruch ku wyższej Dźwinie, który dla Francuzów był z lewa na prawo, a dla Rossjan z prawa na lewo. Z swą

nieporównaną bystrością, poznał natychmiast że Barklaj de Tolli szedł w górę Dźwiny ku Witebskowi, ażeby podać rękę Bagracjonowi, który ze swjej strony szedł zapewne w górę Dźwiny do Smoleńska. Obrót ten nietylko że nie zmuszał go do zaniechania jego wielkiego zamiaru, ale zachęcał do uskutecznienia go. Gdyby Rossjanie wystąpiwszy z obozu pod Dryssą udali się prosto w głąb Rossji, mógłby stracić nadzieję doścignięcia ich, ale skoro Barklaj de Tolli szedł w górę Dźwiny przez ruch poprzeczny, podczas gdy Bagracjon odbywał w górę Dniepru ruch podobny, mógł zawsze stanąć pomiędzy jednym a drugim, dla wykonania swojego pierwotnego planu. Marszałek Dawu zmusiwszy księcia Bagracjona do posunięcia się w dół Dniepru, powinien był stanąć pierwój od niego w Smoleńsku, i Napoleonowi pozostawało tylko postąpić samemu w górę Dźwiny, posuwając się szybko swém prawém skrzydłem dla dokonania w Witebsku tego, czego nie mógł dokonać w Połocku, to jest, przejść Dźwinę po lewém rękę Barklaj de Tollego, wyminąć go i wziąć mu tył, jeżeliby okoliczności nieprzewidziane nie stanęły temu na przeszkodzie.

Plan jego więc pozostawał jeszcze podobnym do wykonania; należało się tylko posunąć cokolwiek na prawo. Nie chciał więc odkładać nadal jego wykonania i pośpieszyłby z tém natychmiast, gdyby miał pod ręką cały swój sprzęt wojenny. Książę Eugienjusz 22go lipca był w Kamieniu, Miurat z trzema dywizjami jazdy, oddzieleniemi od pierwszego korpusu, był blisko niego cokolwiek na lewo; Nej i Udino postępowali za nimi, a gwardja szła z tyłu przez Głębokie. Napoleon wysłał całą tę masę wojsk drogą na Bieszenkowicze. Przewidując jednakże, że część sił nieprzyjacielskich mogła zostawać na dolnej Dźwinie, zalecił marszałkowi Udino przebyć tę rzekę w Połocku, odeprzeć w dół tej rzeki wojska, któreby tam napotkał, i starać się osłaniać z lewój strony wielką armję. Nie licząc Makdonalda, pozostawionego na Żmudzi dla czuwania nad Niemnem, oraz Udino, przeznaczonego do zajmowania pozycji pod Połockiem, pozostawało Napoleonowi, z Miuratem, z trzema dywizjami 1go korpusu, z Nejem, z księciem Eugienjuszem, około 150,000 żołnierza. Z prawej strony, miał znaleźć marszałka Dawu na czele swoich trzech dywizji i wszystkich sił, które składały pierwej armję Hieronima. Był więc w stanie zadać cios stanowczy Barklaj de Tollemu.

Książę Eugienjusz przebył Utę 23go i udał się z częścią lekkich wojsk do Bieszenkowicz, miasteczka położonego nad brzegiem Dźwiny, z kądem można było rozpoznać ruchy armji rossyjskiej po za tą rzeką

Na drodze do Witebska widziano przeciągającą tylną straż generała Dochturowa. Na lewym brzegu Dźwiny, który zajmowaliśmy, ukazywały się tylne straże jazdy w kierunku Witebska, i cofnęły się, ale broniąc się z większą niż zwykle uporczywością, co dawało nadzieję, że Rossjanie wreszcie wydadzą bitwę, której tak mocno żądano. Napoleon zalecił księciu Eugienjuszowi, który stanął tylko z swą przednią strażą w Bieszenkowiczach, ażeby ściągnął tam nazajutrz 24go, cały swój korpus, równie też jazdę generała Nansuty i rzucił most na Dźwinie, dla robienia rekonæssansów po drugiej stronie tej rzeki. Co do niego samego, opuścił już był Głębokie z swoją główną kwaterą, i był o połowę marszu z tyłu za księciem Eugienjuszem. Nakazał także reszcie armji wykonać ruch ogólny w tymże samym kierunku.

24go książe Eugienjusz ściągnął swój korpus do Bieszenkowicz. Podczas kiedy jazda lekka generała Nansuty, minawszy Bieszenkowicze, dążyła drogą do Ostrowna, książe wysłał swych wołyżerów wzdłuż Dźwiny, dla oddalenia ztamtąd Rossjan, których postrzegano na drugim brzegu, i kazał zbliżyć się swęj artylllerji, dla trzymania ich w dalszėj jeszcze odległości. Pontonjerowie jego korpusu, sprowadzeni na to miejsce, rzucili się śmiało w tę rzekę dla zaciągnięcia mostu. W kilka godzin most był gotowym, i wojska mogły rozpocząć przejście przez rzekę. Jazda bawarska generała Preysing, należąca do armji włoskiej, niecierpliwa przebycia co najprędzėj Dźwiny, rzuciła się bez wahania się w wodę, przebyła rzekę w bród, i pośpieszyła oczyścić drugi brzeg. Szwadrony jęj, zostające w lepszym stanie niż piechota bawarska, galopując w pogoń za Rossjanami, zasłużyła na podziwienie całej armji dokładnością i szybkością swych obrotów.

Po południu, wielki natłok koni zapowiedział obecność Napoleona. Wojsko włoskie, które go jeszcze nie widziało, powitało go głośnemi okrzykami, na które odpowiedział krótkiém przywitaniem, będąc cały zajęty przedmiotem, co go sprowadził. Zsiadł prędko z konia dla zrobienia kilku uwag dowódcy pontonjerów, potem, wsiadłszy znowu na koń przebył most galopem i pędząc w całym biegu konia za kawalerją bawarską, oddalił się na znaczną odległość od lewego brzegu Dźwiny, dla rozpatrzenia pochodu Rossjan. Chociaż, obdarzony dziwną przenikliwością, dochodził prawdy z najmniej znaczących doniesień oficerów przedniej straży, wołał zawsze, kiedy to podobna było, widzieć stan rzeczy własnemi oczyma.

Przebiegłszy przestrzeń dwóch czy trzech mil, powrócił przeświadczony, że armja rossyjska przedelfilowała cała na Witebsk, i postanowił posunąć się prędzėj i śmielėj jeszcze w tymże kierunku, aże-

by zająć miejsce przemocą, jeśliby tego potrzeba było, pomiędzy Witebskiem a Smoleńskiem, to jest, między Barkłaj de Tollim a Bagracjonem. Zalecił więc księciu Eugienjuszowi i generałowi Nansuty udać się nazajutrz, 15go, na Ostrowno. Miurat, który szedł uprzednio z jazdą generała Monbrę i trzema dywizjami Moran, Frjan i Giude, miał stanąć teraz po zebraniu się całej armji na czele jazdy i poprzedzić księcia Eugieniusza w ruchu na Ostrowno.

Nazajutrz 25go, wyruszono bardzo rano. Generał Briujer szedł przodem z siedmią pułkami jazdy lekkiej i pułkiem piechoty dywizji Delzon, 8mym lekkim. Za nim postępowali kirassjerowie Sę-Żermę; co zaś do kirassjerów generała Walans, będących dopełnieniem korpusu generała Nansuty, byli, jak widzieliśmy wyżej, przyłączeni do korpusu marszałka Dawu.

Tegoż dnia generał Barkłaj de Tolli, chcąc opóźnić pochód Francuzów walcząc z nimi o każdą piędź ziemi, umieścił przed Ostrownem 4ty korpus, Ostermana, z brygadą dragonów, huzarami Sumińskimi i baterją artylleryji konnej. Te oddziały odbywały rekonesans pomiędzy Ostrownem a Bieszenkowiczami.

Generał Pire z ósmym pułkiem huzarów i 16tym strzelców konnych, postępował drogą do Ostrowna, szeroką, prostą, wysadzaną drzewami, kiedy jednym razem na małej wyniosłości, ujrzał lekką jazdę rossyjską eskortującą artylleryję konną. Zaledwo dostrzeżono siebie z obu stron, 8my pułk huzarów i 16ty strzelców osypany został kartaczami. Generał Pire uderzywszy wtedy z temi dwoma pułkami na jazdę rossyjską, zmusił najprzód do ucieczki pułk, który zajmował środek drogi, natarł potem na drugi, który był na równinie po prawej stronie, zwrócił się następnie na trzeci, będący na równinie po lewej stronie, i rozpędziwszy wszystkie oddziały konne, które miał przed sobą, rzucił się na działa, porąbał pałaszami kanonjerów, i zabrał ośm armat. Miurat przybył przy końcu tej świetnej potyczki z drugą brygadą generała Briujer i kirassjerami Sę-Żermę. Objął następnie kierunek ruchu.

Zaledwo wstąpił na niewielką wyniosłość, u stóp której miało miejsce to pierwsze spotkanie, ujrzał opodal na równinie, korpus cały Ostermana, oparty z jednej strony o Dźwinę, z drugiej o wzgórze lasem okryte. Natychmiast poczynił rozporządzenia dla stawienia czoła tej licznej piechocie, mającej po bokach kilka tysięcy jazdy. Po lewém ręku ku Dźwinie, uszykował swe pułki kirassjerów we trzy linje. We środku umieścił ósmy lekki, mający odpowiadać na ogień piechoty rossyjskiej

i kazał go wesprzeć częścią jazdy generała Briujer. Uszykował po prawem rękę resztę swęj jazdy, składającę się z 6go pułku ułanów polskich, 10go pułku huzarów polskich i pułku ułanów pruskich. Posłał tęż oznajmić księciu Eugienjuszowi, żeby przybywał co najprędzję z dywizją piechoty Delzon.

Jeszcze te rozporządzenia nie były pokończone, kiedy dragoni Ingrji zbliżyli się dla natarcia na nasze prawe skrzydło. W jednę chwilę ta część pola bitwy została oczyszczoną i tym sposobem dało piechocie dywizji Delzon czasu do przybycia. Tymczasem dwa bataljony ósmego lekkiego pułku w szyku bojowym zajmowały środek pola bitwy i zastaniały naszą jazdę przed ogniem piechoty rosyjskięj. Ażeby się oswobodzić od nich, generał Ostermann wysłał przeciwko nim trzy bataljony oddzielone od jego lewego skrzydła. Miurat kazał natychmiast kilku szwadronom uderzyć na te trzy bataljony i zmusił ich do cofnięcia się. Nasza jazda staczała tym sposobem prawie co godzina przez cały ten dzień świetne potyczki, nim nie nadeszła piechota. Hrabia Ostermann nie ośmielając się już zaatakować naszej jazdy z frontu, kazał przez lasy posunąć się kilku innym bataljonom na prawy nasz bok, a dwóm na lewy, w tymże samym zamiarze. Miurat, który dotąd miał tylko samą jazdę, wysłał przeciwko bataljonom ukazującym się z prawego boku ułanów i huzarów. Ta jazda cudzoziemska rzuciła się w całym pędzie koni na bataljony rosyjskie, przełamała ich szyki, i zmusiła ich do cofnięcia się do lasu. Na skrzydle przeciwnem 9ty pułk ułanów, wsparty pułkiem kirassjerów, przełamał z tą samą dzielnością bataljony rosyjskie wysłane przeciw naszemu lewemu bokowi i zmusił ich do cofnięcia się.

Od kikutu godzin trwała już ta ciągła walka jazdy francuzkięj przeciwko całej piechocie rosyjskięj, kiedy przybyła wreszcie dywizja Delzon, która z resztą pośpieszała jak mogła, i na widok jej głębokich linii, hrabia Ostermann zaczął się cofać na Ostrowno. Dzień ten, który nas kosztował najwięcej 300 do 400 ludzi, przypisał Roszjan o stratę ośmiu dział, siedmuset lub ośmuset niewolnika i 1,200 do 1,300 żołnierzy ubyłych z szeregów. Jazda nasza odznaczyła się swą dzielnością, szybkością i trafnością swych obrotów, dzięki nade wszystko Miuratowi, który posiadał w wysokim stopniu trudną sztukę nie oszczędzania jęj, ale używania jęj z korzyścią.

Potyczka ta zapowiadała ze strony Roszjan zamiar opierania się dalszemu naszemu pochodowi, a może i stoczenia bitwy. Nic bardziej nie było po myśli Napoleónowi, który trwając w przedsięwzięciu przecięcia Barklaj de Tollego od Bagracjona, a nade wszystko wyminięcia

pierwszego z nich, pragnął jak najbardziej dokazać tego za pomocą bitwy, która mogłaby mu zapewnić natychmiast wszelkie rezultaty, jakich spodziewał się od umiejętnego obrotu. Zalecił więc księciu Eugienjuszowi i Miuratowi posunąć się w massie na Ostrowno i minąć nawet ten punkt, dla zbliżenia się o ile można do Witebska.

Jakoż nazajutrz, Miurat i Nej, umówiwszy się pierwój z sobą co do swych ruchów, wyruszyli trzymając się blisko jeden drugiego. Jazda lekka i dwa bataljony 8go lekkiego pułku, szły przodem, potem postępowali kirassjerowie Sę-Żermę, i nakoniec dywizja generała Delzon. Dywizja Brussje była o godzinę drogi z tyłu. Wojsko to przeszło rano przez Ostrowno, i o dwie mile za niem ujrzało nieprzyjaciela uszykowanego za wielkim wąwozem, z licznymi massami piechoty i kawalerji. Była to dywizja Konownicyna, którą Barklaj de Tolli wysłał dla wsparcia korpusu Ostermanna, i dla zastąpienia jego miejsca w potrzebie. Pole bitwy podobne było ze swego położenia do pola dnia poprzedzającego. Postępując w górę dolinę Dźwiny, mieliśmy po prawej stronie pagórki okryte lasem, we środku wielką drogę wysadzoną brzożami, przerniętą wąwozami, na których były rzucone małe mosty, a na lewo Dźwinę opisującą liczne zakręty i często w tej porze roku mogącą być przebytą w bród.

Około godziny ósmiej, na brzegu wąwozu, za którym stał nieprzyjaciel, spotkano jego tyraljerów. Lekka nasza jazda była zmuszoną do cofnięcia się i pozostawienia piechocie starania usunięcia tej przeszkody. Miurat pozostawał nieco z tyłu ze swemi szwadronami, przestając w obecnej chwili na wystaniu za Dźwinę części swoich ułanów, ażeby zrobić tam rozwiad i zagrozić bokowi Rossjan. Generał Delzon przybywszy nad wąwóz, co nas zatrzymywał, wysłał do gęstego lasu, będącego po naszym prawém ręku, 92gi pułk linjowy z bataljonem wołtyżerów 106go pułku, na lewo zaś pułk kroatów wsparty 84tym linjowym pułkiem, a zachował we środku resztę 106go w rezerwie. Artyllerja postawiona w baterję przez generała D'antuar (d'Anthouard), miała zastępować swoim ogniem atak, mający być wykonanym przez piechotę.

Podczas kiedy wojska prawego skrzydła starały się wdrzeć na wyżyny pokryte lasem pod silnym ogniem, wojska lewego skrzydła, dowodzone przez generała Hiuar (Huard), zbliżyły się do wąwozu, przebyły go i potrafiły usadowić się na płaszczynie, z której nieprzyjaciel ustąpił. Środek wykonał tenże sam ruch. Ósmy lekki pułk, artyllerja, jazda, poszły kolejno zająć płaszczynę opuszczoną przez nieprzyjacie-

la. Podczas kiedy skrzydło, złożone z pułku kroatów i 84go lekkiego, dokonywało pomyślnie swego obrotu, nie troszcząc się o to, co się działo na skrzydle przeciwném i posunęło się daleko naprzód, prawe skrzydło nie czyniło tak szybkich postępów i wysilało się napróżno dla przeniknięcia w gęstwinę lasu, bronionego przez liczną piechotę. Nasze prawe skrzydło pozostało tym sposobem z tyłu, podczas kiedy nasz środek posuwał się naprzód, a lewe skrzydło jeszcze dalej naprzód. Jenerał Konownicyn postrzegłszy to położenie, skierował przeciwko naszemu lewemu skrzydłu i naszemu środkowi wszystkie swe rezerwy i poprowadził je do silnego ataku. Pułki kroacki i 84ty, nie spodziewając się tak nagłego zwrotu, wzięte z boku, odparte zostały na wysokość środka. Miały już być nawet zepchnięte do wąwozu i nasza artylleria bliską była niebezpieczeństwa wpadnięcia w ręce nieprzyjaciela, kiedy Miurat, szybki jak błyskawica, rzuciwszy się z ułanami na kolumnę rossyjską, przełamał pierwszy bataljon i używając swoich lanc przeciw téj zmieszanej piechocie, pokrył ziemię trupami. W téjże samej chwili dowódca bataljonu Rykar, na czele kompanji ósmego lekkiego pułku, pośpieszył na pomoc naszych dział, któremi nieprzyjaciel był bliskim zawładnięcia. Eugienjusz wystął również pułk 106ty trzymany dotąd w rezerwie, dla wsparcia 84go pułku i Kroatów. Te połączone usiłowania wstrzymały masy rossyjskie, posunęły nasz, lewe skrzydło znowu naprzód, i utrzymały nasz środek. W tymże samym czasie, Miurat, Eugienjusz, Ziuno (który dowodził wojskiem włoskiem pod Eugienjuszem), pośpieszyli na nasze prawe skrzydło, gdzie jenerał Russel na czele 92go linjowego i wolyżerów 106go pułku miał wielką trudność w przewycięzeniu podwójnej przeszkody wyżyn i lasu. Ziuno stanął na czele 92go, zaelektryzował ich swą obecnością i nasze prawe skrzydło zwycięzkie, zmusiło wreszcie Rossjan do cofnięcia się.

Miurat i Eugienjusz postrzegając po za wojskiem Konownicyna inne kolumny głębokie (były to Ostermanna), na gruncie coraz więcej nierównym, lękali się, chociaż zwycięzcy, posunąć się zadaleko, gdyż nie wiedzieli, było li zamiarem Napoleona wydać bitwę ogólną. Ale jednym razem wyprowadzeni byli z téj wątpliwości okrzykami: Niech żyje Cesarz! które zapowiadały zwykle zbliżenie się Napoleona. Jakoż ukazał się on w towarzystwie swojego sztabu, powiódł wzrokiem po polu bitwy, które ujrzał okryte trupami, ale w większej liczbie rossyjskiemi niżeli francuzkiemi i rozpoznał wyraźnie zamiar nieprzyjaciela, niewydania nam jeszcze bitwy, ale stawienia za każdym krokiem silne-

go oporu dla opóźnienia naszego ruchu. Rozkazał ścigać go bez wstydzenia aż do wieczora.

Podczas téj pogoni, którą prawie nasze skrzydło zmuszone było zawsze wykonywać, utrzymując się na spadzistości wyżyn pokrytych lasem, mężny generał Russel, który musiał walczyć na każdym prawie kroku z odstępującym nieprzyjacielem, ugodzony został kulą z ręcznej broni i skonał żałowany od całej armji.

Ten drugi dzień kosztował nam 1,200 ludzi, z których 400 było zabitych, reszta rannych. Rossjanie stracili ich około dwóch tysięcy. Nie zabraliśmy w dniu tym żadnego dział, a bardzo mało niewolnika. Wojska zresztą odznaczały się największą walecznością.

Napoleon przepędził tę noc pośród przedniej straży, postanowiwszy stanąć nazajutrz rano na czele swoich wojsk, gdyż na każdym kroku położenie stawało się trudniejszym, i mogło sprowadzić ważne wypadki. Zalecił trzem dywizjom oddzielnym od 1go korpusu, oraz gwardji i marszałkowi Nejowi połączyć się z czołem wojska jak można najprędzej, ażeby być w możności stoczenia bitwy, gdyby znalazł nieprzyjaciela skłonnego do przyjęcia jéj. Bawarczykowie znużeni pochodem pozostawieni byli z tyłu w Bieszenkowiczach, dla zastaniania komunikacji z Połockiem, gdzie stał Udino, i z Wilnem, środkowym punktem wszystkich naszych zapasów i wszystkich komunikacji.

Nazajutrz o świcie, Napoleon w towarzystwie księcia Eugenjusza i króla Miurata wyruszył naprzód, ażeby porobić samemu wszystkie rozporządzenia na ten dzień. Znajdywano się bardzo blisko Witebska, którego postrzegano już wieże po lewém naszym ręku, nad brzegiem Dźwiny i u podnóża pagórka. Wąwóz oddzielał nas od nieprzyjaciela, a most, który służył do jego przebycia, był spalony. Dalej widać było równinę dość obszerną, na której liczna przednia straż, złożona z lekkiej jazdy i piechoty, gotową była do stawienia nam przeszkody w przebyciu wąwozu. W głębi wreszcie równiny dawała się widzieć mała rzeczka, wpadająca do Dźwiny pod Witebskiem, a za tą rzeczką armję rossyjską w szyku bojowym, przedstawiającą masę, mogącą zawierać w sobie 90 do 100 tysięcy żołnierza. Chciałaż ona wreszcie wydać bitwę dla przeszkodzenia nam, abyśmy nie stanęli pomiędzy nią a Bagracjonem, i nie przeszli otworem oddzielającym Dźwinę od Dniepru? Postawa jéj zdawała się to wskazywać i Napoleon wysłał natychmiast swych adjutantów jednego po drugim, ażeby ściągnąć co prędzej resztę armji. Na ten dzień należało tylko spodziewać się nowego starcia się naszej przedniej straży z tylną strażą ros-

syjską, ale na następny dzień bitwa zdawała się być niewątpliwą. Napoleon bardzo jej pragnął; armja podzielała jego chęci i jego nadzieje.

Po zbliżeniu się do wąwozu, który nas oddzielał od przedniej straży nieprzyjacielskiej, należało zatrzymać się dla postawienia mostu i przejść potem przez ten most, zresztą bardzo wązki. Napoleon stanął cokolwiek na lewo z tyłu, na pagórku, z kąd wzrok jego mógł objąć cały obszar pola bitwy. Strzelcy gwardji uszykowali się przed nim. Dzień był pogodny, słońce jaśniało w całym blasku, upał był wielki. Armja włoska tworzyła, podobnie jak dni poprzedzających, czoło naszej kolumny, razem z jazdą generała Nansuty. Dywizja Delzon, która walczyła dnia poprzedniego, ustąpiła kroku walecznej dywizji Brussje. Generał Brussje pośpieszył wyrestaurować most, co zajęło nieco czasu, poczem 16ty pułk strzelców konnych, z brygady Pire, przebył wąwóz, a za nim 300 wolyżerów 9go linjowego pułku. Oddział ten przeszedłszy na lewo u podnóża pagórka, na którym stał Napoleon, posunął się na równinę, podczas kiedy pułki generała Brussje przechodziły most. Pułki te formowały się następnie jeden po drugim w czworobok na równinie, 53ci na czele, inne po kolei eszelonami. W tymże samym czasie, generał brygady Bertran de Siwrej, z 18tym pułkiem lekkiej piechoty skierował się ku wyżynom lesistym, ciągnącym się po lewém naszym ręku.

Podczas kiedy te ruchy wykonywały się pod zastoną licznój artylerji, 16ty pułk strzelców posunawszy się zanadto na lewo, z wolyżerami 9go pułku, ściągnął burzę na swą głowę. Hrabia Pahlen wystął przeciw nim kozaków gwardji cesarskiej. 16ty pułk nie mając nikogo dla wsparcia go w napadzie, postanowił czekać, stojąc na miejscu, napadu nieprzyjaciela, powstrzymując go wystrzałami z ręcznej broni. Jakoż dozwolewszy z zimną krwią zbliżyć się szwadronom rossyjskim, dał do nich ognia gromadnie i położył trupem znaczną liczbę jeźdźców, nie tyle jednakże żeby powstrzymać ich zapęd. Był więc naciskany silnie i odparty nazad. W téjże samój chwili, większa część jazdy rossyjskiej ruszyła z miejsca i uderzyła na nasze skrzydło. Zagrażało to zgubą dla 300 wolyżerów, którzy jakby pochłonięci byli pośród tego mnóstwa szabel wzniesionych nad ich głowami. Jednakże w ściśnionych szeregach zbliżyli się do wąwozu, sformowali się w pluton pod rozkazami dwóch mężnych oficerów, kapitanów Giujar i Sawary i dawali ciągle ognia do licznych szwadronów na nich napadających. Ta chmura jeźdźców przedłużając swój ruch naprzód, przybyła prawie do podnóża pagórka, gdzie znajdował się Napoleon i zaczęła zagrażać naszej artylerji na wysokości naszych czworoboków. Ale pierwszy z tych

czworoboków, utworzony z 53go pułku linjowego wytrzymał dzielnie liczne szarże jazdy rossyjskiej i wstrzymał ich zapęd; potem posuwając się w ściśnionych szeregach, oswobodził 16ty pułk strzelców i trzystu woltyzarów pułku 9go, otoczonych całkiem tém mnóstwem nacierających. Wojsko przypatrujące się z wielkiem wzruszeniem temu widokowi, ujrzało z radością szczupłą garstkę woltyzarów wychodzących cało z tego straszliwego natłoku. Napoleon, który ciągle patrzył na to przez perspektywę, opuścił stanowisko, które zajmował, przebył wawoz i przejeżdżając mimo tych mężnych woltyzarów: Kto jesteście, moi przyjaciele? zawołał do nich. Woltyzarowie 9go linjowego pułku i wszyscy rodem z Paryża, odpowiedzieli ci waleczni młodzieńcy. Jesteście mężnemi żołnierzami i wszyscy zasłużyliście na krzyże. Powitali go wtedy głośniei okrzykami: Niech żyje Cesarz! a następnie udał się do czworoboków dywizji Brussje. Ta posuwała się na równinę, mając swą artylleryję w przedziałach czworoboków i przesładując wystrzałami z dział liczną jazdę Pahlena. Wkrótce nadciągnęły: we środku jazda Nansuty, na prawo dywizja Delzon. Rossjanie nie ośmielając się stawić czoła podobnym siłom, cofnęli się za rzeczkę Luczezę, za którą ich armja stała w szyku bojowym. Zyskano tym sposobem połowę dnia i gdyby wszystkie nasze wojska były nadciągnęły, Napoleon przyjąłby natychmiast bitwę, którą, zdawało się, że z nim stoczyć chciano. Ale miał pod ręką zaledwo niewielką część swojego wojska. Postanowił więc obrócić resztę dnia na rekonosanse, na zbadanie miejscowości, na skupienie sił. Rozpatrzywszy linję nieprzyjacielską, i naznaczywszy miejsce, które każdy z jego korpusów miał zajmować nazajutrz, powrócił biwakować pośród swych wojsk, których powodzenia dni poprzedzających i nadzieja wielkiej bitwy napętniały radością. Żołnierze nasi życzyli sobie bardzo stanowczego wypadku, jakkolwiek on byłby krwawym. Pochód ten bez osiągnięcia pewnego jakiego celu bardzo ich utrudzał. Szli śród upałów na 27 stopni Reomiura; mieli mało wódki, prawie nie chleba i jedli powiększej części same mięso pieczone bez soli. Mężni żołnierze zostając w położeniu przykrém dla nich, życzą zawsze bitwy, choćby dla odmiany tylko. Trudy pochodu przerzedziły bardzo nasze szeregi. Ostatnie potyczki kosztowały nas blisko trzech tysięcy ludzi, z pomiędzy których 1,100 lub 1,200 było zabitych, 1800 rannych. Oddzielenie się Bawarczyków osłabiło naszą armję prawie o 15,000 ludzi. Pozostawało, z dwoma korpusami jazdy generałów Nansuty i Monbrę, z armją włoską, z trzema dywizjami pierwszego korpusu, z gwardją i marszałkiem Nejem, około 125,000 i to najlepszego żołnierza. Było to aż

nadto dosyć dla zadania stanowczego ciosu Barklaj de Tollemu. Spodziewano się że to miało nastąpić nazajutrz.

Jakoż, Barklaj de Tolli powziął śmiałe postanowienie wydania bitwy. Gorkie utyskiwania jego żołnierzy, (z powodu tego ciągłego odwrotu, w którym dotąd trwał upornie), nie zdołałyby go zmusić do zmiany postępowania, gdyby przeważna przyczyna nie skłaniała go do tego. Skoroby się cofnął jeszcze nieco dalej, komunikacja między Witebskiem a Smoleńskiem zostałaby przerwana i Bagracjon, z którym się miał zejść w Babinowiczach, byłby zatrzymanym w swym pochodzie, może wziętym we dwa ognie pomiędzy Dawu i Napoleonem, a wtedy zniszczonym. Postanowił więc, jakiegokolwiek mogłoby być niebezpieczeństwo, stoczyć, z tyłu małej rzeczki Luczezy, zaciętą bitwę z temi siłami jakie miał pod ręką. Oddzielenie korpusu Wittgensztejna i długie marsze zmniejszyły jego wojsko do stu tysięcy. Trzy ostatnie dni kosztowały mu więcej siedmiu tysięcy, w zabitych, rannych lub niewolnikach. Pozostawało mu więc około 90,000 tysięcy żołnierza, ożywionego wprawdzie odwagą rozpaczy, przeciwko 125,000, pełnym odwagi, pochodzącej z ducha wojennego, posuniętego do najwyższego stopnia energii. Przedsięwzięcie było niebezpieczne; ale była to jedna z chwil, w których się nie ma co namyślać i w których należy ratować państwo, choćby z ostatecznym niebezpieczeństwem.

Zajęty więc był przez cały dzień gotowaniem się do bitwy, gdy otrzymał niespodzianie wiadomość, która musiała wywrzeć wpływ przeważny na zmianę jego postanowienia. Adjutant księcia Bagracjon, przybywszy z pośpiechem, donosił mu o potyczce pod Mohilewem i następstwach téj potyczki. Bagracjon, którego Dawu zmusił do przebycia Dniepru daleko niżéj za Mohilewem, zmuszony był zrobić daleko większy krąg dla połączenia się z Barklaj de Tollim w otworze oddzielającym źródła obu rzek. Nie przez Orszę to już, punkt najbardziej zbliżony do Dżwiny, Bagracjon spodziewał się połączyć z Barklaj de Tollim, ale najbliżej kiedy przez Smoleńsk. Taką była wiadomość, którą przynosił adjutant księcia Bagracjon. Odtąd można się było cofać dalej, bez niebezpieczeństwa chybienia połączenia obu armij za linią Dniepru i Dżwiny, i niepotrzebną było rzeczą staczać bitwę zbyt niebezpieczną, żeby osiągnąć cel, więcej oddalony zapewne, ale nie chybiony przez nowy ruch wsteczny. Oswobodzony od téj ciężającej na nim odpowiedzialności, Barklaj de Tolli powziął postanowienie wyruszenia téjże saméj nocy. 27go, późnym wieczorem, kiedy znużenie zaczynało usypiać czujność Francuzów, rozkaz odwrotu, przesłany wszystkim dowódcom korpusów, wykonany został z dziwną

zgodnością, ścisłością, w największej cichości. Pozostawiono ognie zapalone i tylną straż hrabiego Pahlena na brzegach Luczezy, ażeby oszukać całkowicie nieprzyjaciela, i cofniono się trzema kolumnami, prawą, złożoną z korpusów 5go i 6go, Dochturowa i gwardji, drogą z Rudni na Smoleńsk; środkową, złożoną z 3go korpusu Tuczkowa, przez Kołyckie na Porzecze; lewą złożoną z 2go i 4go korpusów, Bagowuta i Ostermanna, przez Janowicze na Porzecze. Ten ostatni punkt, gdzie dążyły dwie kolumny rossyjskie, był położony za małą rzeczką błotnistą i otoczoną lasem, Kasplją. Ta rzeczka, płynąc ze Smoleńska do Suraża, przegradza w pewnym sposobie przestrzeń ośmnastu do dwudziestu mil, rozciągającą się pomiędzy źródłami Dniepru i Dźwiny, i zamyka, że tak rzec można, wrota do Rossji. Stanąwszy obozem w Porieczu z główną częścią swych sił, za okolicą leśną i pokrytą błotami, zasłoniony biegiem krętym i błotnistym Kasplji, mając sposobność zwrócenia się na Suraż, brzegiem Dźwiny, lub na Smoleńsk, brzegiem Dniepru, Barklaj de Tolli mógł czekać dni kilka na połączenie się z Bagrajonem, zastępując razem drogi do Moskwy i do Petersburga. To postanowienie, powzięte z równą prędkością jak dniem przedtém postanowienie stoczenia bitwy, wykonane z rzadką dokładnością, przynosiło zaszczyt rozsądkowi i wojskowemu charakterowi generała Barklaj de Tollego, i dowodziło że pozostawiony sam sobie, doznając mniej przeciwnstwa od arystokracji wojskowej rządzącej państwem, i od namiętności ludowych rządzących armją, mógłby mądrze kierować działaniami téj wojny tak niebezpiecznej i tak trudnej.

28go lipca Napoleon, wsiadłszy na koń bardzo rano, otoczony swemi generałami, przebiegał brzegami Luczezy, gdzie spodziewał się znaleźć nowy Frydland, a nadewszystko ten pokój, którego utrzymania tak nierozważnie zaniechał, a którego żałował teraz, jak się żałuje wszystkiego co się opuszcza ze zbytnią łatwością. Pomimo świetnej powierzchowności tylnej straży, zostającej pod dowództwem hrabiego Pahlena, nie podobna było oszukać oko tak wprawne jak Napoleona, który prędko postrzegł, że Rossjanie wystąpiwszy śmiało przeciwko niemu dnia uprzedniego, ruszyli ze swego stanowiska unikając bitwy. Nieznając pobudek, które ich skłaniały kolejno do walczenia i do cofania się, mógł wnosić, że ten okaz postanowienia, którego nie mieli, i po którym nastąpił odwrót tak nagły, był tylko wyrachowaniem z ich strony dla porażenia armji francuskiej za sobą, znużenia jęj i osłabienia. Myśl ta, która zajmowała więcej jeszcze umysł jego dowódców, niżeli jego samego, zasmuciła officerów i żołnierzy. Ruszono niezwłocznie w pochód, pomimo nadzwyczajnego upału 27miu do 28miu

stopni Reomiura, starając się zebrać po drodze niektóre szczątki téj uciekającej armji, i pomimo znużenia dni poprzedzających, postępowano szybkim krokiem. Ale jazda hrabiego Pahlena, chociaż odpierała napady naszój, cofała się w końcu i ustępowała powoli przed nami.

Zaledwo przebyto kilka mil drogi, ujrzano na lewo nad Dźwina miasto Witebsk, stolicę Białorusi, mające ludności do 25,000 mieszkańców, i dość handlowe. Jeden z naszych oddziałów wstąpił do niego bez przeszkody, pędząc przed sobą tłumy kozaków, którzy jak ptaki szkodliwe, nie ustępowali nigdy, nie zostawiwszy po sobie śladów zniszczenia. Nie mieli oni czasu spalić to miasto dość piękne, ale zniszczyli głównejsze magazyny, a nadewszystko popsuli młyny. Mieszkańcy, wyjąwszy niektórych księży i kupców, puciekali za naszym zbliżeniem się, przestraszeni pogłoskami bardzo przesadzonymi o zniszczeniach jakich dokonaliśmy w Polsce, od których prawie wolnemi były miasta bronione obecnością armji, ale na które narażone były wsie oddane na pastwę rabusiów, włączających się oddzielnemi bandami.

Napoleon wstąpiwszy do Witebska dla przekonania się własnymi oczyma o ważności tego miasta, i o ilości zasobów, które mogło w sobie mieścić, zabawił tam parę godzin, objął w posiadanie pałac gubernatora, nie zbyt wspaniały, ale wystarczający dla jego prostoty zawsze wielkiej na wojnie, a potem po wydaniu nieodbitych potrzebnych rozkazów, popędził cwałem za miasto ażeby stanąć na czele swych kolumn. Upał był niezmierny, i kiedy porównamy go z dojmującym chłodem, na który armja później narażoną była, zdawał się być szyderstwem przyrody. Konie i ludzie padali po drodze, podwójnym skutkiem złego pokarmu i upału, i ci z naszych żołnierzy, którzy w towarzystwie Napoleona widzieli tyle rozmaitych krajów, nie przypominali sobie żeby oddychali w Egipcie gorętszém powietrzem, więcéj przepętnioném drobnym i duszącym piaskiem. Rzecz dziwna, wówczas gdy my pozostawialiśmy po drodze mnóstwo wlekących się, nie spotykaliśmy na niéj ani jednego Rossjanina pozostałego z tyłu, chociaż byli mniej rzeskami od Francuzów. Ale mając zawsze po drodze swojej magazyny, nie doznawali żadnego niedostatku, a nadto, powstrzymywała ich w szeregach bojaźń, albowiem wówczas kiedy nasi żołnierze pozostając z tyłu byli pewnymi że zostaną zabrani przez swych towarzyszków, ci mieli tylko na widoku być wziętymi w niewolę lub porąbanymi przez naszą jazdę, zawzięcie ich ścigającą.

Postępowano tym sposobem kilka mil śladami armji rosyjskiej,

nie znajdując ani jednego człowieka dla wybadania prawdy, Wreszcie ku schyłkowi dnia napędzono kilku pozostałych, którzy niemogli wytrzymać szybkości tego pochodu i już to z kierunku w jakim udawały się kolumny, które od czasu do czasu postrzegano z daleka z wynioslejszych miejsc drogi, już z odpowiedzi żołnierzy zebranych po drodze wniesiono, że nieprzyjaciel się cofał częścią na Smoleńsk, częścią między Smoleńskiem i Surazem, w wyraźnym zamiarze połączenia się z księciem Bagracjonem. Napoleon odbierał codziennie wiadomości o działaniach marszałka Dawu, o bitwie pod Mohilewem, o następstwach téj bitwy, o kołowaniu jakie książę Bagracjon zmuszony był uczynić, kołowaniu, które opóźniało ale nie przeszkadzało połączeniu się z Barklaj de Tollim; miał więc wszystkie wiadomości potrzebne do trafnego wnioskowania o zamiarach nieprzyjaciela. Idąc śladami Rossjan aż do końca dnia, zatrzymał się swą osobą we wsi zwanéj Haponowszczyzna. Tam naradzał się chwil kilka z Miuratem i Eugienjuszem, uznał razem z nimi nieużyteczność i niebezpieczeństwo dalszego ścigania, gdyż zamiar wyminięcia Barklaj de Tollego stał się niepodobnym do wykonania, ten bowiem musiał mieć się na ostrożności i wyprzedził był nas znacznie. Nie mogąc go wyminąć, nie można téż było przeszkodzić połączeniu się jego z Bagracjonem, który był w pochodzie za Dnieprem dla spotkania się z nim po za Dźwiną. Wszystko co podobna było uczynić, przedłużając tę pogoń, to że zmuszonoby obu jenerałów rossyjskich do uskutecznienia tego połączenia dziesięcią lub piętnastą milami dalej, a korzyść ta małej wagi nie wynagradzała niedogodności wyczerpania sił armji. Jazda była wstanie opłakanym; artyllerja z wielką trudnością postępowała za wojskiem. Napoleon obiecał więc Eugienjuszowi i Miuratowi zatrzymać się znowu, ażeby dać kilka dni wypoczynku wojskom, ściągnąć żołnierzy pozostałych w drodze, i urządzić magazyny z zapasów miejscowych, których Rossjanie nie mieli czasu poniszczyc.

Po zrobieniu tego postanowienia, Napoleon rozłączył się z Eugienjuszem i Miuratem, których pozostawił przy ich wojskach, i powrócił do Witebska tegoż samego wieczora.

Tym sposobem kombinacje jego przy otwarciu kampanji, które były z liczby najpiękniejszych jakie kiedykolwiek obmyślił, spełzły na niczém, chociaż poraził nieprzyjaciela we wszystkich spotkaniach, chociaż przyprawił go był już o stratę blisko 15,000 żołnierza w zabitych, rannych lub wziętych w niewolę, i zagarnął mu kilka jego najlepszych prowincij, jakimi były Litwa i Kurlandja. Kilka błędów w wykona-

niu przyczyniły się zapewne do tego niepowodzenia, jak naprzykład zbyt ni pośpiech w przebyciu Niemna, oraz że przed zrobieniem popłochu u nieprzyjaciela, nie przepędził raczej w Kownie czasu, który potem trzeba było przepędzić w Wilnie dla ściągnięcia armji i bagażów; że liczył wiele na połączenie się króla Hieronima z marszałkiem Dawu, że nie postawił tego ostatniego w możności ścigania samemu i otoczenia księcia Bagracjona; że przez złe obejście się z swoim młodym bratem spowodował zgubną przerwę w dowództwie, że wreszcie we wszystkich rzeczach zanadto mało miał na względzie ludzi i żywioły. Ale niezależnie od tych błędów, niepowodzenie pochodziło, jak te błędy same, z nieroztropności tej wojny, zależącej na odbywaniu z żołnierzami gwałtem porwanemi z rozmaitych krajów, i z pośpiechem zaciągniętymi do pułków, marszów bez końca, w krainach rozległych, niezbyt żyznych i zanadto mało zaludnionych, ażeby mogły dostarczyć wszystkiego co niepodobna było nieść z sobą; że lubo nie zaniechał myśleć o trudnościach tego przedsięwzięcia, lub środkach do ich zwyciężenia, ale zanadto łatwo uwierzył w skuteczność użytych środków; że działał, jedném słowem, z całym upojeniem władzy zaslepionej ciągłym powodzeniem, i uległością nieograniczoną ludów. Zauważmy jednakże, że po rozpoczęciu tej szalonej wojny, gdyby Napoleon był szaleńszym jeszcze, gdyby szedł prosto przed sobą, nie zatrzymując się ośmnaście dni w Wilnie dla ściągnięcia swych wojsk i swych konwojów, pozostawiłby bez wątpienia więcej żołnierz z tyłu, ale może też zadałby cios stanowczy z jednej strony Barklaj de Tollemu, z drugiej Bagracjonowi, i po tych zadanych klęskach możeby zdołał otrzymać pokój, któryby w każdym razie zaszczytnie uwieńczył tę pierwszą kampanję, i uwolniłby go od potrzeby szukania w głębi Rossji świetnych rezultatów dla zachowania uroku swęj sławy, zaimponowania Europie, i zaprzątnienia swych wojsk. Później mógłby ściągnąć część żołnierz pozostałych w drodze, przynajmniej silniejszych, a zresztą nie straciłby ich nigdy tyle, co miał stracić potem, ażeby gonić za zwycięstwem, które od niego ciągle uciekało. Widzimy już tutaj, jak zobaczymy i w dalszym ciągu, że ta zgubna wojna odznaczała się podwójną cechą, to jest: pomysłem lekkomyślnym i niepewnym wykonaniem, jedném słowem, nosiła na sobie piętno gienjusz, który zaczynając popełniać błędy, żałuje za nie natychmiast po ich popełnieniu, i nie dopina swego przez to samo wahanie się, które ten żal sprawia w jego działaniu. Ośmielimyż się powiedzieć? Więcej zaslepiony, Napoleon możeby dokazał swego! Potrzeba dodać jeszcze, że chociaż zdrowie jego nie było nadwężzone, działalność jego zda-

wała się być mniejszą, jeździł już częściej w powozie, niżeli konno, czy to że skutkiem upałów i wzrastającej tuszy nie umysł ale ciało jego nieco ociężało, czy to, że ogrom przedsięwzięcia przestraszał go, osłabiał wolę jego-niegdyś tak silną i tak pałającą, czy to, rzeklibyśmy na koniec, gdybyśmy podzielali więcej przesady ludzkie, że fortuna niestała lub znużona przestała wspierać jego zamiary.

Zaiste, Napoleon był jeszcze wstanie obmyślać liczne kombinacje, i jego niewyczerpany gienjusz był jeszcze pełen zasobów. Barklaj de Tolli, któremu nie zdołano przeszkodzić połączyć się z księciem Bagracjonem, i który z 90,000 żołnierza miał mieć w krótko 140,000 po połączeniu się obu armij Naddziwińskiej i Naddnieprskiej, mógł jeszcze z łatwością być zwyciężonym przez 250,000 żołnierzy, których Napoleon mógł postawić przeciw niemu po połączeniu się z marszałkiem Dawu. Barklaj de Tolli, którego nie zdołano dotąd ani podejść ani otoczyć, nie stał się od razu do tyła przezornym, żeby nie podobna było uspić jego czujności, i zadać mu jeden z tych nagłych ciosów, pod którymi upadały od lat piętnastu najwaleczniejsze armje Europy. Zdziwiająco rezultaty, które odznaczały u Napoleona początki wszystkich jego kampanij, były tylko odroczone, a tymczasem otrzymano już pewne korzyści, opanowano Litwę i Kurlandję, co większa, przewaga wojsk francuzkich nad nieprzyjacielskimi utrzymaną została w całym blasku. Można więc było wypocząć w Witebsku, bez nadto ponurych myśli; i kiedy wypoczynek, którego dozwolono sobie w Wilnie podlegać krytyce, ten który miano zrobić w Witebsku, był wolnym od wszelkiej nagany, gdyż w Wilnie, chociażby miano pozostawić na drodze jeszcze 30 lub 40 tysięcy opieszających, możliwą było rzeczą przybyć w porę, a żeby stanąć z tyłu Bagracjona, z boku Barklaj de Tollego, ale w Witebsku niepodobna było nic zrobić, chyba powiększyć, postępując dalej, krąg, który Barklaj i Bagracjon musieli opisać dla połączenia się z sobą, nie mogąc przeciąć tego kręgu z żadnej strony, i w widokach mało znaczącej korzyści, mogąc poświęcić całą armję, narażając ją obecnie na zgubę od upałów, z bojaźni żeby nie zginęła później od zimna.

Napoleon rozlokował się więc na dwanaście lub piętnaście dni w pałacu gubernatora Witebskiego z swym dworem wojskowym. Rozstawił korpusy swoje około siebie takim sposobem, żeby się mógł ustrzedz wszelkiego podejścia, żeby mógł je żywić jak można najlepiej, żeby przygotować im zapas żywności na czas przyszłego pochodu, i żeby można było skupić je w porę w punktach, w których należałoby działać. Postawił w Witebsku samym gwardię Cesarską,

przed sobą w Surażu, małym miasteczku leżącym powyżej Witebska nad Dźwiną, księcia Eugienjusza; nieco na prawo, pod Rudnią, pośród przestrzeni zawartej między Dźwiną a Dnieprzem, a za zasłoną lasów ciągnących się wzdłuż Kasplji, marszałka Neja, a przed nim, we wszystkich otworach, przez które nieprzyjaciel mógł się przedrzeć, całą masę jazdy. Z tyłu Neja, pomiędzy Witebskiem a Babinowiczami, postawił trzy dywizje Igo korpusu, które oczekiwały z niecierpliwością na chwilę wrócenia pod rozkazy wodza, surowego wprawdzie, ale surowego po ojcowsku, pod którym przywykli byli żyć i walczyć.

Jakoż marszałek Dawu posunął się był w górę Dniepru, po bitwie pod Mohilewem. Stanął obozem w Orszy, gdzie strzegł Dniepru, jak Napoleon w Witebsku strzegł Dźwiny. Rozstawił jazdę Gruszy na lewo, żeby utrzymywać związek w kierunku Babinowicz z wielką armją, a na prawo wystawił lekką jazdę generałów Pażol i Bordessul, żeby śledziła za Dnieprem ruchy księcia Bagracjona, czyniącego wielki krąg przez Mścislaw dla połączenia się z Barklaj de Tollim pod Smoleńskiem. Marszałek Dawu ścigał wreszcie Westfalczyków i Polaków, wyniszczonych jak jednych tak drugich przebyciem więcej stu pięćdziesięciu mil, od 30go czerwca do 28go lipca, w kraju trudnym do przebycia i po większej części, ogołoconym z żywności. Polacy znajdowali się w Mohilewie, Westfalczycy pomiędzy Mohilewem a Orszą. Generał Latur-Mobur, z swoją jazdą znużoną, cofał się powoli z Bobrujska na Mohilew, śledząc osobne oddziały Tormasowa. Renje, na czele Sasów, przeznaczonych do strzeżenia Wielkiego Księstwa, spotkał się w drodze z Austryjakami, będącymi w pochodzie ku wielkiej armji.

Napoleon usadowiłszy się tym sposobem na wyższej Dźwinie z gwardją i księciem Eugienjuszem, mając między Dźwiną a Dnieprem, Miurata, Neja, trzy pierwsze dywizje marszałka Dawu, i na Dnieprze samym resztę wojsk tego marszałka, nadto Westfalczyków i Polaków, zostawał w pozycji niezdobytj, i był w możności przygotowania nowych działań. Zamiarem jego było, obok zajmowania się potrzebami swych żołnierzy, przywrócić każdemu korpusowi jego kształt pierwotny, oddać znowu księciu Eugienjuszowi jazdę Gruszy, a nawet Bawarczyków, generałowi zaś Monbrę kirassjerów Walansa, oddanych do czasu pod rozkazy marszałka Dawu, wrócić temu ostatniemu trzy jego pierwsze dywizje piechoty i powierzyć mu prócz tego Iszy korpus, Westfalczyków, Polaków, oraz jazdę rezerwową generała Latur-Mobura.

Według swojego zwyczaju, Napoleon rozkazał, ażeby użyto na tychmiast zasobów, jakie kraj przedstawiał, dla zapewnienia wojskom żywności, na której im zbywało podczas pochodu, oraz przygotowania dla nich zapasu na ośm lub dziesięć dni. W Witebsku znaleziono nieco zapasów, szczególnie wina, cukru, kawy, i oddano je na użytek lazaretów. Brzegi Dźwiny były dość dobrze uprawne, a kraj za tą rzeką, tak nazwana Białoruś, od Witebska do Newla i Wieliza, przedstawiał tu i ówdzie zapasy zboża i bydła. Magazyny po większej części Rossjanie poniszczyli, ale zachowali pewną ich część, którą przewozili w tej chwili na wozach krajowych za armją Barklaj de Tollego. Jazda nasza korzystała z tej zręczności, i zabrała znaczne partje na przedzie leż księcia Eugienjusza. W Łośnie, Rudni, Babinowiczach, to jest, pomiędzy Dźwiną a Dnieprem, kędy Rossjanie tylko przeszli, a nasi dezertrowie nie mieli jeszcze czasu tych miejsc zwiedzić, pozostawały środki żywności. W Orszy, nad Dnieprem, marszałek Dawu znalazł z czego zaopatrzyć swe wojska. Za Dnieprem, z Orszy do Mścislawia, rozciągała się okolica żyzna i gdzie było wiele młynów. Niestety, były one po większej części popsute. Napoleon rozkazał naprawić je, pobudować piece, założyć magazyny, szczególnie w Witebsku i Orszy, gdzie zamierzał umieścić swoje dwa główne punkta oparcia nad Dźwiną i Dnieprem. Brakowało lazaretów, nade wszystko w Witebsku, gdzie musiano opatrywać, oprócz 1,800 rannych Francuzów, pozostałych z trzech potyczek pod Ostrownem, 500 do 600 rannych Rossjan, nie licząc w to znacznej liczby chorych. Poczciwy i biegły chirurg Larrej, prawdziwy bohater ludzkości, opatrując rannych nieprzyjacielskich, ażeby nieprzyjaciel opatrywał naszych, zadawał sobie w Witebsku nieskończone trudy dla zastąpienia miejsca sprzętów lazaretowych, które jeszcze nie przybyły. Napoleon kazał zdać na ręce jego wszystko co się znalazło lepszego po klasztorach. Korzystał nadto z obecności marszałka Dawu w Orszy, ażeby przygotować w samej Orszy, podobnie jak w Borysowie i Mińsku, lazarety sposobne do przyjęcia dwunastu tysięcy chorych.

Jeżeli cokolwiek może dać wyobrażenie o trudności działań wojennych w tak znacznych odległościach i z tak wielkimi massami ludzi, to wielkość i mnogość cierpień doznawanych przez naszych żołnierzy, pomimo wszelkich usiłowań gienjuszu dla ich zapobieżenia. Potyczki stoczone przez jazdę Poniatowskiego w Mirze, przez korpus Dawu w Mohilewie, przez wielką armję w Ostrownie, przez Udino w Dzewałtowie, i przez rozmaite korpusy w innych miejscach, ko-

sztowały nam najwięcej kiedy 6 do 7 tysięcy żołnierza zabitemi lub rannymi, a jednakże blisko 150,000 ludzi ubyło z szeregów podczas pochodu od Niemna do Dniepru i Dźwiny. Dowódcy korpusów przedstawiali z takim naleganiem Napoleonowi potrzebę wypoczynku, że ten postanowiwszy z tego powodu zatrzymać się jeszcze w Witebsku, rozkazał dla poznania całej rozciągłości zła zrobić appele we wszystkich pułkach. Poczynając ten przegląd szczegółowy korpusów od krańców lewej do krańców prawej, od marszałka Makdonalda pod Ryga, aż do generała Renje pod Brześciem, na rozciągłości więcej jak dwiestu mil, znaleziono następne smutne rezultaty. Marszałek Makdonald, który miał pod swemi rozkazami Prusaków i Polaków uorganizowanych oddawna, który najwięcej kiedy 50 mil kraju przebiegł od Niemna, i niewiele cierpiał niedostatków, poniosł zaledwo stratę 6,000 żołnierza. Z 30,000 ludzi zdatnych do boju, miał ich tylko 24,000. Marszałek Udino, który z dywizją kirassjerów Dumerka, oddzieloną od korpusu jazdy generała Gruszy, liczył około 38,000 ludzi zdatnych do boju przy przejściu Niemna, miał ich tylko najwięcej kiedy 22 do 23 tysięcy w Połocku. Przypisywał on to opłakane zmniejszenie dezercji, która się była rozszerzyła pomiędzy wojskami cudzoziemskimi, jako to: Kroatami, Szwajcarami, Portugalczykami. Pomiedzy Francuzami dezercja zdarzała się tylko między młodemi żołnierzami. Marszałek Nej, który miał pod swemi rozkazami 36,000 żołnierza na początku działań, donosił z Witebska, że nie będzie mógł więcej postawić na linii bojowej jak 22,000. Cudzoziemcy, to jest, Illirjczycy i Wirtemberczycy, byli w tym korpusie, równie jak w innych, główną przyczyną zmniejszenia rzeczywistej liczby żołnierzy. Miurat, z jazdą rezerwową generałów Nansuty i Monbrę, z 22,000 kawalerystów, miał ich tylko 13 do 14 tysięcy. Potrzeba dodać, że jazda lekka, dołączona do każdego korpusu armji, zmniejszyła się w stosunku daleko większym jeszcze, skutkiem służby utrudzającej w przednich strażach, i opieki, jaką należało bezustannie otaczać oddziały wysyłane na furaz. Przedstawiała ona zaledwo połowę swęj siły pierwotnej. Gwardja Cesarska sama nie liczyła więcej jak 27 lub 28 tysięcy ludzi, zamiast 37,000, co pochodziło ze strat poniesionych przez młodą piechotę, oraz przez lekką jazdę, ciągle używaną na rekonesansie, czynione bezpośrednio z rozkazu Cesarza, a nadewszystko z powodu niezmiernie licznych ucieczek nowozacieżnych w dywizji Klapared. Ta dywizja zmniejszyła się od 7,000 piechotnego żołnierza do mniej niż trzech tysięcy. Składając się tylko, po powrocie z Hiszpanji, z samych kadrów pułkowych, zapełnioną była potem nowozacieżnymi

młodemi Polakami, z których wszyscy albo upadli pod ciężarem trudów, albo ulegli pokusie wrócenia do domu. Tym sposobem gwardja sama, chociaż zawsze starannie utrzymywana, liczyła już dziesięć tysięcy żołnierza mniej. Stara gwardja tylko była jedynym oddziałem, który nic nie stracił.

Korpus księcia Eugenjusza liczący do 80,000 żołnierza podczas przejścia Niemna, miał ich tylko 45,000, z których około 2000 zginęło w bitwach. Okropna dysenterja, która stała się zaraźliwą pomiędzy Bawarczykami, zmniejszyła ich liczbę od 27 do 13 tysięcy. Choroba ta pochodziła z pokarmu składającego się więcej z mięsa niżeli z chleba, z wieprzowiny jedzonej bez soli, z braku wina, z wilgoci biwaków, następującej nagle po duszących upałach dziennych, nakoniec i nadewszysko z szybkich marszów, z młodego wieku żołnierzy, z ich niewielkiej ochoty do służenia. Uważano ten korpus za niebędący prawie w stanie być użytecznym i pozostawiono go w Bieszenkowiczach, gdyż każdy dzień marszu powiększał w nim tysiącami liczbę chorych (1). Dywizja włoska była korpusem, który po Bawarczykach najwięcej ucierpiał od krwawej biegunki. Gwardja włoska sama, złożona z ludzi wyborowych, nie była od niej wolną. Piękne dywizje francuzkie Brussje i Delzon lepiej zdołały wytrzymać to twarde życie marszów i niedostatków. Od kwietnia do lipca przebyły one drogę z Werony do Witebska, od morza Adrjatyckiego do źródeł Dźwiny. Straciły na polu bitwy 2,000 żołnierza pod Ostrownem, a 3,000 skutkiem znużenia, co z 20,000 zmniejszyło ich liczbę na 15 tysięcy. Miały one pod tym względem znaczną wyższość nad dywizją włoską Pino, która z liczby 11,000 żołnierza zmniejszyła się do 5,000. Korpus marszałka Dawu mniej doznał uszczerbku od innych z powodu swój wybornej organizacji. Gdyby nie miał w swych szeregach Hollendrów, Hamburczyków, Illirjczyków, Hiszpanów, poniósłby on zaledwo stratę dziesiątej części rzeczywistej liczby swoich żołnierzy. Skutkiem tego zniszczenia, a takż weielenia opornych do jego pułków, nie mógł postawić na linii bojowej więcej nad 52 lub 53 tysiące, zamiast 72,000. Korpus Hieronima, złożony z Westfalczyków, Polaków, Sasów, jazdy Latur-Mobura poniósł następne straty: liczba Polaków zmniejszyła się z 30,000 żołnierza na 22,000, Westfalczyków

(1) Rozumie się, że piszę to nie według pamiętników marszałka Sę-Syr, więcej zasmucających jeszcze od mojego opisu, ale według korespondencji codziennych dowódców korpusów. Nie ma żadnego szczegółu tego opisu, którego nie mógłbym poprzeć spisami autentycznymi i obliczeniami niezawodnemi.

z 18,000 na 10,000, Sasów z 17,000 na 13,000, jazdy Latur-Mobura z 10,000 na blisko 6,000.

Tym sposobem armja czynna, która przy przejściu Niemna zawierała w sobie czterykroć sto tysięcy ludzi zdolnych do boju, a blisko 420,000 żołnierza różnej broni z parkami, nie liczyła ich już więcej jak 255,000 wyborowych bez wątpienia, wszystkich bardzo silnych, wszystkich obecnych pod chorągwiami, ale nie dość licznych zaiste dla zapuszczenia się z nimi w głąb' Rossji. Znajdowało się wprawdzie 140,000 żołnierza w drugiej linii, pomiędzy Niemnem a Renem, oraz 50 do 60 tysięcy chorych w rozmaitych lazaretach Niemiec i Polski, i można było jeszcze z tych dwukroć sto tysięcy ludzi pozyskać znaczne posiłki. Po zostawieniu pod rozkazami marszałków Makdonalda i Udino 60,000 żołnierza nad Dźwiną, około 20,000 nad Dnieprem pod rozkazami jenerała Renje, pozostawało z armji czynnej 175,000 żołnierza do posunięcia naprzód. Potrzeba jeszcze dodać, że 30,000 Austrjaków księcia Szwarzenberga, będących naówczas w pochodzie do Mińska, miały wkrótce powiększyć tę liczbę, i że ze 140,000 rozstawionych eszelonami pomiędzy Niemnem a Renem, Napoleon mógł wybrać 30,000 dobrego żołnierza pod marszałkiem Wiktorem, dla zbliżenia ich do swój armji. Co do rezerwy powierzonej marszałkowi Ożero i rozmaitych garnizonów w Niemczech, były one potrzebne dla stawienia czoła Szwedom, niepodobna więc było ruszać ich z miejsca. Tym sposobem, nie licząc 60,000 żołnierza marszałków Makdonalda i Udino, pozostawionych nad Dźwiną i 30,000 żołnierza marszałka Wiktora, nie licząc także 20,000 jenerała Renje, pozostawionych między Bugiem a Dnieprem, oraz 30,000 Austrjaków, Napoleon miał około 175,000 żołnierza do prowadzenia z sobą, albo na Moskwę, albo na Petersburg, mając boki swe silnie zabezpieczone. Można jeszcze było bez wątpienia z tą masą dobrze uorganizowaną zadać stanowcze ciosy, ale smutną było rzeczą, po upłynieniu zaledwo miesiąca od rozpoczęcia kampanji i bez żadnej wielkiej bitwy, być doprowadzonym do tak znacznego zmniejszenia sił.

Wskazaliśmy już przyczyny tego dziwnego zmniejszenia. Ostatnie marsze dały je poznać jeszcze wyraźniej. Wojsko włoskie od marca do lipca zrobiło 600 mil, wojsko, które wystąpiło z nad Renu, 500 mil. Zebrano 150,000 koni dla ciągnięcia amunicji i zapasów żywności, ale połowa tych koni zginęła już była dla braku pokarmu i znaczna część naszych konwojów musiała być porzuconą na drodze. Niedostatek połączony z długością marszów nie dozwolił tym sposobem wielu żołnierzom, nawet dobrej woli, pilnować się swych korpu-

sów. Cudzoziemcy wszelkich narodowości, Illiryjczycy, Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy, Hollendrzy, Niemcy, Polacy, rozumiejąc z trudnością jedni drugich i mieszkańców przebywanych krajów, czyniąc z armji istną Babel, nie czując żadnego upodobania służenia razem z nami, bijąc się walecznie w naszych oczach przez miłość własną, ale zewnątrz pola bitwy nie doznając najmniejszego skrupułu, skoro byli znużeni lub osłabieni pozostania z tyłu, mając w lasach Polski bezpieczny przytułek dla ukrycia się, znikali coraz w większej liczbie. Niekórtzy z nich umierali lub gaili w lazaretach, inni zajmowali się rzemiostwem rozbojniczym, największa ich część przemykała się przez Niemcy, protegowana przez mieszkańców, i powracała do swych domów. Po cudzoziemieach, oporni i młodzi żołnierze francuzcy byli najwięcej skłonni do opuszczania szeregów, młodzi żołnierze przez demoralizację, oporni przez upodobanie w błędnem życiu. Pozostawali pod chorągwiami tylko starzy żołnierze, albo téż ci, których temperament więcej wojskowy prędzej pogodził z duchem starych wojsk, i ci tworzyli, jak już widzieliśmy, ogólną masę dwukróć pięćdziesiąt kilku tysięcy żołnierzy. Podejmując tak lekkomyślnie tę daleką wyprawę, lepijby zaiste zrobiono, gdyby wzięto z sobą 250,000 żołnierza zamiast 400,000, gdyż mianoby daleko mniej ludzi do przekarmienia, a nadto nie zalanoby kraju mnóstwem dezertarów, których postępowanie mogło stać się zaraźliwem. Był to zaiste więcej niepokojącym jeszcze zły przykład, niżeli strata materialna 150,000 ludzi, gdyż powoli ta łatwość w opuszczeniu chorągwi, dotąd obca naszym żołnierzom, pociągała za sobą wielu, którzyby o tém nigdy nie myśleli, gdyby nie mieli ciągle przed oczyma przykładów dezercji. Do zarazy przykładu łączyło się tysiąc pozornych przyczyn do oddalenia się z szeregów. Każdego wieczora wycieczka na zebranie żywności, pilnowanie ogromnej ilości bagażów, staranie o stada pędzone z tyłu armji, artyllerja polowa, którą Napoleon powierzył pułkom piechoty i która odrywała od zwykłej służby wielu wybornych żołnierzy piechotnych dla zrobienia z nich złych artyllerzystów, nakoniec upadek koni, który zmuszał iść piechotą wielu kawalerzystów, i wlec się z trudnością z tyłu korpusów, zwiększały ten niepotrzebny ogon, który się daje postrzegać zwykle po przejściu wojsk, i który wkrótce przedłuża się, psuje, staje się nawet zaraźliwym w miarę pogorszającego się stanu wojsk. Był to ten ogół przyczyn, który zajmował nadewszystko umysł Napoleona, więcej jeszcze niżeli tak znaczna liczba żołnierzy, których był materialnie pozbawionym, gdyż ściśle biorąc, z 100,000 żołnierza rozstawionego po bokach i masą ściśle spójną 150,000 drugich, prowadzoną naprzód, nie było nie-

podobieństwem zadać Roszji cios śmiertelny, ale widząc co się działo, należało się lękać, żeby liczba 250,000 żołnierzy, która mu pozostała, nie zmniejszyła się wkrótce do 200, do 100 tysięcy, a nawet mniej. Napoleon miał w pewnych chwilach smutne tego przeczucie, i używał dla zapobieżenia temu najbardziej drobiazgowych i najlepiej wyrachowanych środków. Oto te, jakich się chwycił podczas swojego pobytu w Witebsku.

Żandarmerja wyborowa, oddział niezrównany pod względem wartości żołnierzy, utrzymująca zwykle policję z tyłu armji, i składająca się z 300 do 400 kawalerzystów, zdawała się mu być niedostateczną, pomimo kolumn ruchomych, któremi ją wzmocniono, nakazał przeto przystanie z Paryża do kwatery głównej wszystkiego co pozostawało w zakładach gwardji. Naznaczył, czego był dotąd jeszcze nie uczynił, i co dowodziło smutnego stanu wojsk, dwóch inspektorów wielkiej armji, którzy pod tytułem *adjutantów majorów jeneralnych* piechoty i jazdy, obowiązani byli czuwać nad stanem obu tych armij, nad ich umundurowaniem, nad liczbą rzeczywistą ich żołnierzy, nad ich potrzebami. Powinni byli zapewniać się o sile rzeczywistej pułków w chwili każdego spotkania i zajmować się nadewszystko małemi zakładami, które armja zostawiała po drodze. Napoleon zrobił doskonały wybór dla spełniania tych dwóch obowiązków, tak pod względem czujności, jak pod względem znajomości każdej broni, to jest dla piechoty hrabiego Lobo, dla jazdy hrabiego Diuronel. Nieszczęściem, mnogość urzędów nie zaradza bardziej nadużyciom, jak mnogość lekarzy nie zapewnia wyleczenia chorych. Napoleon szukał skuteczniejszego lekarstwa przeciw szerzącemu się złemu w tym nowym wycieczku, który zamierzał uczynić w Witebsku, i co upały, niezależnie od wszelkiej innej przyczyny, uczyniłyby koniecznym, oraz w ściąganiu żołnierzy i konwojów, które zwłoka dni dwunastu lub piętnastu miała szczególnie ułatwić, jak również w zgromadzeniu nowego zapasu żywności, któryby starano się odtąd transportować tuż za armją. Zawsze w chęci obudzenia uczucia karności w swych żołnierzach, robił sam przeglądy na placu w Witebsku, który kazał powiększyć zniesieniem kilku domów drewnianych, co go zacieśniały. Tam obejrzał najprzód rozmaite brygady gwardji cesarskiej, potem korpusy które były u niego pod ręką, rozpatrując sam szczegółowo umundurowanie żołnierzy i ich broń, oraz przemawiając do żołnierzy i oficerów sposobem mogącym obudzić w ich sercach najszlachetniejsze uczucia. Na jednym z tych przeglądów, powitał generała Frjan w stopniu naczelnego do-

wódzcy grenadierów pieszych gwardji, godność wakującą z powodu śmierci generała Dorsenn, i którą chciał wynagrodzić jednego z trzech najdawniejszych generałów dywizyjnych marszałka Dawu. To powitanie miało miejsce wśród oklasków całej armji. Generał Frjan był wtedy doskonałym wzorem tych cnót wojennych powstałych za Rzeczpospolitą, nie zepsutych powodzeniami cesarstwa, i zależących na skromności, uczciwości, poświęceniu się chorągwi, głębokiej nauce zawodu, połączonej z prawdziwem bohaterstwem. Napoleon uściśnawszy w swych objęciach tego rzadkiego człowieka, którego włosy były już osiwiwały pod bronią, rzekł do niego: Mój kochany Frjan, obejmiesz to dowództwo nie pierwój jak przy końcu kampanji; ci żołnierze mogą iść sami, a potrzeba żebyś pozostał przy swój dywizji, gdzie będziesz miał jeszcze wiele usług do oddania mi. Jesteś jednym z tych ludzi, których chciałbym umieścić wszędzie, gdzie nie mogę być sam osobiście.

Napoleon nie był jedynym w armji, który postrzegł ważną przeszkodę pochodzącą ze znacznych odległości, nadewszystko w kraju źle uprawnym, dla tego że był mało zaludnionym, mając do czynienia z nieprzyjacielem, który się cofał bezustannie z potrzeby i wyrachowania. W pierwszym zapale nie wątpiono że Rossjanie będą doścignięci, a po doścignięciu pobici, ale gdy upały, zły pokarm, osłabiły nagle siły, zaczęto mierzyć przebieżone przestrzenie, niepokoje się względem tych, które zostawały jeszcze do przebieżenia, i zapytywano się z pewnym rodzajem smutku, kiedy nastąpi ten czas, że dościgną nieprzyjaciela? Był to przedmiot rozmowy generałów, oficerów i samych nawet żołnierzy. Ci Rossjanie uciekają ciągle! wołali żołnierze. Ci przebiegli ludzie, mówiło wielu oficerów, chcą nas pociągnąć za sobą, znużyć, osłabić i natrzeć na nas, kiedy będziemy znacznie zmniejszonemi w liczbie i pozhawionemi sił fizycznych. Ta ostatnia myśl rozszerzyła się w najwyższych warstwach armji, i często słyszano zapytujących siebie wzajemnie około Napoleona, czy nie byłby czas zatrzymać się, po przybyciu już do granic oddzielających dawną Polskę od Rossji, i że tak rzec można Europę od Azji, usadowienia się mocno na Dźwinie i Dnieprze, wzmocnienia Witebska i Smoleńska, wzięcia Rygi na lewo, rozprzestrzenienia się na prawo aż na Wołyń i Podole, przygotowania takż leż zimowych i oczekiwania tam z wojskiem dobrze uzbrojonem, będącem na leżach w stronach żyźniejszych, ażeby Rossjanie przyszli odbierać z bronią w rękę zabrane ziemie. W takim razie rezultat nie mógł być wątpliwym, i nie było jednego żołnierza, któryby nie był pewnym zwycięstwa.

Postrzeżenia te były trafne, a jednakże spotykały one ważne zarzuty. Napoleon, który widział wszystko, który wiedział o wszystkiem, doznawał pewnego rodzaju niecierpliwości, słysząc podobnie rozprawiających i miał po większej części słuszność za sobą, lubo nie chciał przyznać ich słowom pewnego stopnia prawdy. Zmuszony w tych stroinach wyludnionych przez naturę i wojnę przestawać ciągle ze swemi podwładnemi, będąc nawet dla nich więcej pobłażającym niż zwykle, z powodu niespokojności, jaką widział ich ogarnionych, odpowiadał na ich uwagi, których trafność sam postrzegał, przez następne głębokie rozumowania.

Najprzód, to rozłożenie wojska na leżach nie było tak łatwe jak się zdawało. Dniepr i Dźwina, które w obecnej chwili zdawały się być granicami, nie byłyby niemi za trzy miesiące. Mróz i śnieg uczyłyby z nich równiny, na których nieznaczna wklęsłość oznaczałaby tylko bieg rzek. Czémże byłyby wówczas niektóre punkta, takie na przykład jak Dyneburg, Połock, Witebsk, Smoleńsk, Orsza, Mohilow, odległe na trzydzieści lub czterdzieści mil jedno od drugich i bardzo niedostatecznie obwarowane? Jakimże sposobem bronić, przeciwko wojskom, którym zima nie stawiałaby istotnych przeszkód, przeciw łatwości transportu sannaą drogą, podobną linję leż zimowych? A tych żołnierzy francuzkich, tak żywych z natury, żywszych jeszcze przez zahartowanie w ostatnich wojnach, jakim sposobem zatrzymać, jakim sposobem natchnąć ich cierpliwością, w klimacie najprzykrzejszym w świecie, przez ciąg całych dziewięciu miesięcy, od sierpnia bieżącego roku, aż do czerwca roku następnego, nie będąc pewnym nawet przekarmienia ich przez tak długi przeciąg czasu? Przerwać w sierpniu kampanję rozpoczętą na początku czerwca!... Jakim sposobem wytlómaczyć im tę bojaźliwość, jakim sposobem usprawiedliwić ją przed Europą? A ta przyzwyczajona do naszych ciosów szybkich jak piorun, widząc nas wahających się, idących po omacku, zatrzymujących się po kilku polyczkach, chlubnych ale bez pewnego rezultatu, nie będzie patrzeć na nas okiem mniej pokorném, nie zwątpi o nas, nie będzie się może burzyć z tyłu za nami? Hiszpanja (w której wypadki niepomysłne, jak to zobaczymy wkrótce, zaczęły następować jedno po drugim), Hiszpanja nie nabawiłażby nas nowych kłopotów, które nie były zbyt niepokojącemi kiedy wielka armja zostawała pomiędzy Elbą a Renem, ale stałyby się niebezpieczniejszemi, gdyby ona pozostała na czas nieograniczony z swym wodzem pomiędzy Niemnem a Dnieprem? Rozważonoż te wszystkie trudności, i wiele innych jeszcze, o których należało pomyśleć nim się podjęto z takim pośpiechem podawać radę zatrzymania się?

Takie były zarzuty, jakie Napoleon czynił tym, którzy uważali usadowienie się na Dnieprze i Dźwinie za rezultat dostateczny kampanji, i były jeszcze inne zarzuty, o których zamilczał, chociaż je znał dobrze, bo chociaż skorszym był niżli ktokolwiek bądź, z charakteru, z przywyknienia, przez ambicję, do rzucenia się w nierozwikłane trudności, skorszym był jeszcze niżeli ktokolwiek bądź do odkrycia tych trudności, skoro się w nie rzucił, a jeśli zaprzeczał im, to nie przez niewiadomość, ale przez wstręt wyznania przed sobą samym swych błędów, przez rachunek i nieco takż przez potrzebę złudzeń, która skłania do zaprzeczania przed sobą samym rzeczy, które uznajemy sami za prawdziwe, jak gdyby zaprzeczając im, zmniejszono ich rzeczywistość. Wiedział, naprzykład, lubo nie chciał się na to zgodzić, że umysły zaczęły się oddalać od niego, nawet we Francji, że w Europie były one bardzo na niego rozjątrzone, że w wojsku, które zawierało w sobie prawdziwych jego zwolenników, znużenie spowodowało oziębłość, naganą, niedowierzanie, i że w tym stanie rzeczy mógł się tylko utrzymać za pomocą świętych czynów.

Zresztą, znał całą wartość pomysłu, szerzącego się w około niego, nieprzechodzenia granic Polski, sam nawet był gotów przystać nań i przyjąć go za podstawę swych działań, ale po wykonaniu pewnych obrotów, które myślał jeszcze uskutecznić, po odniesieniu jakiego ważnego zwycięstwa, gdyż nie tracił nadziei, że po tym powtórnym dwutygodniowym odpoczynku, wymierzy jaki wielki cios, który zachowa w całości urok jego oręża, dozwoli mu zatrzymać się na granicach Rossji, chociaż pomimo to świat i Francja nie zwątpiłyby o nim, co było dla niego rzeczą najważniejszą. Zresztą, różnaitość opinij w tym względzie nie była jeszcze zbyt uderzającą, gdyż pomimo wątpliwości ukazujących się tu i owdzie, zaufanie w nim było jeszcze zupełne pomiędzy jego żołnierzami i jenerałami, i jeżeli znużenie nabrałoby niekiedy smutku, nikt nie przypuszczał myśli o mogącej nastąpić klęsce.

Napoleon powziąwszy zamiar wykonania nowych i stanowczych działań, rozrządzał w tym celu ruchami korpusów armji, które obecnie nie brały udziału w odpoczynku w Witebsku. Widzieliśmy, że na Dźwinie rozkazał marszałkowi Udino iść wprost na hrabiego Wittgensztejna, odeprzeć go do Siebieża, po drodze idącej przez Psków do Petersburga, dla oswobodzenia lewego skrzydła wielkiej armji; że zalecił marszałkowi Makdonaldowi wesprzeć ruch marszałka Udino, posunąć się na dolną Dźwinę, opasać Dyneburg i przygotować oblę-

zenie Rygi, co miało zapewnić nietylko spokojne zajęcie Kurlandji, ale też prawdopodobnie posiadanie obu silnych punktów oparcia, Dyneburga i Rygi. Widzieliśmy także, że po prawem rękę rozkazał jenerałowi Renje z Sasami, księciu Szwarzenbergowi z Austrjakami, zamienić swe stanowiska i udać się księciu Szwarzenbergowi do Mińska, jenerałowi Renje do Brześcia lub Kobrynia, dla osłaniania Wielkiego Księstwa i zrobienia powstania na Wołyniu. Rozkazy te były obecnie albo wykonane, albo jeszcze wykonywane, w miarę okoliczności i usposobień tych, którzy obowiązani byli je wykonać.

Marszałek Udino, którego korpus zmniejszył się z 38,000 na 28,000 najwięcej, przeszedł kolejno koło Dynaburga, Dryssy, Połocka i wreszcie przebył Dźwinę w samym Połocku. Pozostawił on najprzód, z rozkazu Napoleona, trzecią swoją dywizję, złożoną z Szwajcarów, Illiryjczyków, Hollendrów, pod jenerałem Merl, w obozie pod Dryssą, dla zniszczenia fortyfikacji tego obozu, równie sławnego jak nieużytecznego. Ale ręce osłabione i pozbawione narzędzi, gdyż sprzęty inżynjerne pozostały z tyłu, nie mogły śpiesznie wykonać tego ważnego zburzenia; i widząc się daleko słabszym od korpusu Wittgensztejna, który po przyłączeniu się do niego księcia Repnina, posiadał 30,000 żołnierza, odwołał do siebie dywizję Merl. Ażeby zastosować się do rozkazu posunięcia się do Siebieża po drodze do Petersburga, wysłał 28 lipca połowę swęj lekkiej jazdy nad rzeczkę Dryssę, będącą jednym z przytoków Dźwiny, i rozstawił kolejno eszelonami swoją pierwszą i drugą dywizję z kirasejerami pomiędzy Dryssą a Połockiem. Ażeby mieć się na straży przeciw Rossjanom Wittgensztejna, przebywającym za Dryssą, w kierunku prawie równoległym z jego lewym bokiem, postawił w Łazowie resztę swojej lekkiej dywizji, i dywizję cudzoziemską jenerała Merl. 29go posunął się nieco naprzód, przebył Dryssę w bród pod Siwoczynem, posunął swą przednią straż blisko Kliastycz, umieścił swoje dwie główne dywizje nieco z tyłu, a dywizję Merl pozostawił na straży brodu pod Siwoczyną. Kilka oddziałów jazdy i lekkiej piechoty łączyło go z Połockiem.

Takie było jego położenie 29go lipca, drugiego dnia po wejściu wielkiej armji do Witebska. Tego dnia silne napady jazdy, od czoła i z tyłu jego kolumny, nie pozostawiały mu żadnej wątpliwości o zaczepnych zamiarach Rossjan. Wzięcie w niewolę dwóch officerów nieprzyjacielskich uwiadomiło go prócz tego, że hrabia Wittgensztejn, idąc w linii przekątnej ku niemu, ma uderzyć z czoła w Kliastyczach. Uważał więc że należy go uprzedzić, i posunął się do wsi i dworu

Jakubowo, przy wstępie na małą równinę otoczoną lasem. Jakoż hrabia Wittgensztejn wstąpił na tę równinę 29go rano, i zaatakował silnie wieś i dwór Jakubowo. Marszałek Udino powierzwszy obronę tego stanowiska pierwszej brygadzie dywizji Legran, postawił pułk 26ty lekki w samym Jakubowie, a 56ty linjowy nieco na lewo, w połączeniu z lasem. Zachował w rezerwie drugą brygadę, będącą pod dowództwem jenerała Mezon. Walka była bardzo uporczywą tak z jednej jak z drugiej strony. Pułk 26ty bronił walecznie wsi Jakubowo, a pułk 56ty usiłował odebrać nieprzyjacielowi brzeg lasu. Na chwilę Rossjanie wdarli się do wsi Jakubowo, a nawet na dziedziniec dworu. Natychmiast dwie kompanje 26go pułku, rzuciwszy się na nich z bagnetem w rękę, odparli ich, zabili im dwóchset czy trzechset ludzi, i tyleż prawie wzięli w niewolę. Ze wszystkich stron odparto ich z równiny do lasu. Ale na krawędzi tego lasu nieprzyjaciel miał artyllerię liczną i dobrze opatrzoną, która niedozwalała nam rozwinąć szyków, chyba chcąc działać zaczepnie i zapuścić się samym w las dla odebrania go, na jakowy trudny atak marszałek nie chciał się narazić, nie będąc pewnym co się działo z tyłu jego korpusu. Lękał się bowiem, i słusznie, ażeby wtedy kiedy się będzie bronił z czoła, nie został zaskoczony z tyłu, i odcięty od Połocka, gdzie miał swe parki i swój sprzęt wojenny. Uważał więc za rzecz roztropniejszą, cofnąć się na Dryssę, przebyć tę rzeczkę w bród pod Siwoczynem, i oczekiwać nieprzyjaciela w tej pozycji. Zbliżony do Połocka, który dywizja Merl i jazda lekka dostatecznie osłaniały, mógł zgromadzić z tyłu za Dryssą dwie dywizje francuzkie Legran i Werdje z kirassjerami, a gdyby Rossjanie probowali przebyć Dźwinę w obec jego, miał wszelkie środki, rzuciwszy się na nich, zadać im ciężką klęskę.

Obrócił dzień 31szy na uskutecznienie tego ruchu wstecznego, i stanął wieczorem po za brodem Siwoczynskim, mając rozstawionych swych tyraljerów wzdłuż Dryssy, dwie dywizje Legran i Werdje w niejakiej odległości z tyłu, kirassjerów gotowych do wsparcia piechoty, dywizję Merl na obserwacji ku Połockowi. Nasi tyraljerowie mieli rozkaz, gdyby Rossjanie przeszli Dryssę, opierać się tyle tylko, ile potrzeba było na zwabienie ich, i uwiadomić natychmiast kwaterę główną o ich zbliżeniu się. W nocy z 31go lipca na 1szy sierpnia, Rossjanie skierowali się na Dryssę, i rano 1go popełnili nieroztropność przebycia jęj. Tego właśnie czekał marszałek Udino. Jak tylko ujrzał ich rozwijających swe szyki po drugiej stronie rzeczki, wysłał najprzód przeciwko nim pierwszą brygadę dywizji Legran, a potem drugą. Rzucić się na Rossjan, odeprzeć ich, zepchnąć ich do Dryssy,

było sprawą jednej chwili. Zabito im lub raniono blisko dwóch tysięcy ludzi, i wzięto w niewolę więcej dwóch tysięcy, z częścią ich artyllarji. Dywizja Werdje, udawszy się za niemi w pogoń, przebyła takż Dryse, i uniesiona zbytnią gorliwością, posunęła się za daleko. Zabrała jeszcze wielu żołnierzy Rossjanom, ale nieszczęściem utraciła takż pewną liczbę swoich, gdy przyszło przebywać na powrót Dryse. Pomimo téj małoznaczącej korzyści, odniesionej przez Rossjan, dzień ten nie mało im kosztował stracili oni w nim cztery do pięciu tysięcy żołnierza zabitemi, rannemi, lub uwięzionemi, dni poprzedzające kosztowały im dwa do trzech tysięcy. Straciliśmy z naszej strony w tych kilku następujących po sobie potyczkach trzy do czterech tysięcy żołnierza, z których 500 lub 600 zabitych, 2,000 rannych, i kilkuset zabranych w niewolę. Utrudzenie takż pozbawiło nas pewnej liczby żołnierzy. Marszałek Udino zapewniony, że zniechęcił na jakiś czas Rossjan do napadania na niego, nie uważając się dość silnymi żeby się mógł oddalić od Dźwiny z 24,000 żołnierza bardzo zmordowanego, uznał za stosowniejsze powrócić do Połocka, gdzie miał swe parki, swą żywność, i gdzie mógł zacząć bezpiecznie i w pewnym rodzaju dobrego bytu przejścia upałów, które zmusiły samego Napoleona do zatrzymania się w Witebsku. Korzyść zostawiania o pięć lub sześć mil przed Połockiem, będąc ciągle niepokojonym z boków i z tyłu, oraz zmuszonym wyniszczać swe koniedla sprowadzania do obozu zapasów żywności z Połocka, nie warta była trudów, którą ta pozycja zaczępną miała kosztować. Jedną tylko była niedogodność opuszczenia jęj, to jest, stracenie wpływu moralnego z odniesionych korzyści. Marszałek Udino uwiadomił Napoleona co uczynił podczas tych ostatnich dni, i oświadczył mu, że jeśli mu nie udzieli odpoczynku i posiłków, zostanie w niemożności wypełnienia poruczenia, jakie na niego włożono.

Podczas kiedy marszałek Udino działał tym sposobem, marszałek Makdonald z dywizją polską Grandzan i 17,000. Prusaków, oddanych pod jego rozkazy, posunął się nad Dźwinę, i opanował Kurlandję szybkim marszem. Rossjanie cofając się, wzięci z boku przez Prusaków, ponieśli dość znaczną stratę w okolicach Mitawy, i uskuteczнили prędki odwrót na Rygę, oddając w ręce nasze Mitawę i całą Kurlandję. Był to fakt godzien zastanowienia, ta dzielność, z którą walczyli za nas nasi sprzymierzeńcy, którzy nas nienawidzili i prowadzili tę wojnę pomimowoli. Honor wojskowy, tak żywo obudzony u nich naszą obecnością, czynił ich prawie mężniejszymi w walczeniu ze strony naszej, niżeli przeciwko nam. Potrzeba dodać, że podczas kiedy

sprzymierzeńcy, należący do małych armij, jak naprzykład Bawarczy-
cy, Wirtemberczycy, Westfalczycy, deztererowali pojedynczo kiedy
mogli, Prusacy i Austriacy, wstrzymywani potężnym wpływem ducha
wojennego, który jest zawsze stosownym do wielkości armij, bynaj-
mniej nie deztererowali, będąc jednakże sposobnemi opuścić nas
w massie skutkiem odmiany w przymierzach, za nadejściem stoso-
wnej chwili.

Marszałek Makdonald przedsięwziął z Prusakami blokadę Rygi,
i na czele dywizji polskiej Grandżan zbliżył się do Dyneburga, ostró-
żnie jednakże, gdyż to miasto uchodziło za mocno obwarowane. Ale
Rossjanie nie chcąc rozpraszać swych sił, i przestając na obronie
ważnej twierdzy nadmorskiej Rygi, oddawszy pierwój szaniec przed-
mostowy Dyneburski w ręce marszałka Udino, oddali wkrótce same
miasto wojsku generała Grandżan. Odtąd zadanie marszałka Mak-
donalda było bardzo uproszczone, gdyż z dwóch miejsc obronnych
Rygi i Dyneburga, pozostawało mu do wzięcia tylko pierwsze
z nich. Ale to zadanie samo wystarczało do zatrzymania go na czas
długi, a może na cały ciąg kampanji. Jakoż zmuszony był pozostawić
w okolicach Tyłżytu i Memla, dla czuwania nad żeglugą po Niemnie
i Kurlandzkiej zatoce, oraz w okolicach Mitawy dla strzeżenia Kur-
landji 5,000 żołnierza korpusu pruskiego. Miał więc najwięcej kiedy
10,000 pod Rygą, której fortyfikacje były ogromnych rozmiarów,
i zawierały w sobie garnizon od 15,000 żołnierza. Pozostawała na-
jeszcze dywizja polska Grandżan z 12,000 zmniejszona do 8000, któ-
rój musiał użyć do pilnowania przestrzeni rozciągającej się od Rygi
do Połocka, to jest, około siedmdziesięciu mil. Cóż miał począć z tak
małą liczbą wojska, na linij tak rozległej, w obec tylu przedmiotów
wskazanych, narzuconych nawet jego gorliwości?

Pośpieszył uwiadomić główną kwaterę o swém położeniu w wy-
rażeniach roztropnych, nawet nieco ironicznych, które nie mogły się
podoobać, i które przypominały dawniejszą opozycję wojskową armji
Nadreńskiej. Oświadczył że bez przyłączenia znacznych sił nie po-
potrafi ani wziąć Rygi, ani utrzymać stałych związków z korpusem
Udino, gdyż dywizja Grandżan musiała być koniecznie oderwana od
blokady Rygi dla pozostawania na obserwacji przed Dyneburgiem, nie
można więc było nawet zbliżyć się do fortyfikacji Rygi; a eo do tej osta-
tniej dywizji, mając do zaścianiania przestrzeń siedmdziesięciu mil, zo-
stawanoby w niemożności utrzymywania swobodnej komunikacji na
tak znacznej rozległości. W takowém położeniu, najprostszą byłoby

rzeczą wymagać połączenia korpusu marszałka Makdonalda z korpusem marszałka Udino, gdyż wtedy niezawodnie Wittgensztejn byłby pobitym, a po pobiciu i odparciu daleko Wittgensztejna, Kurlandja byłaby zastonioną, Niemen oswobodzony od wszelkiej napaści, Ryga wprawdzie nie byłaby obleżoną, a tém bardziej wziętą, ale wreszcie przewaga stanowcza byłaby nam zapewnioną na lewém skrzydle naszej linii operacyjnej. Zamiast wymagania tego połączenia dwóch korpusów, które było możliwém a nawet konieczném, ale które wymagałoby ze strony marszałka Makdonalda niepospolitej bezinteresowności, gdyż byłby wtedy podwładnym marszałka Udino, Makdonald domagał się powiększenia sił, którego nie mógł żadną miarą otrzymać. Żądał szczególnież aby przyłączono do niego jedną lub dwie dywizje marszałka Wiktora, które formowano, jak widzieliśmy, pomiędzy Gdańskiem a Tylżytem. Był to sposób pewny nieotrzymania niczego.

Na drugim końcu tego obszernego teatru wojny, o sto pięćdziesiąt mil na południo-wschód, to jest, nad wyższym biegiem Bugu, zaszły pewne wypadki, które musiały pociągnąć za sobą niejaki zmiany w planach Napoleona. Jenerał Renje z Sasami musiał cofnąć się z Nieświża na Stonim, z Stonima na Prużany, dla zastąpienia Wielkiego księstwa, i opanowania później Wołynia. Książa Szwarzenberg z armją austrjacką musiał iść w kierunku przeciwnym, posunąć się z Prużan na Stonim i Nieświż, dla połączenia się z główną kwaterą, jakowe rozporządzenie było odpowiedniém chęciom Cesarza Austrjackiego, który chciał żeby jego armja odbierała rozkazy od samego Napoleona, i nieufności Napoleona, który nie myślał powierzać obrony tyłu swéj armji wojsku austrjackiemu. Jenerał Renje spotkawszy się w pochodzie z księciem Szwarzenbergiem, widział się z nim, i umówił się co do zamieszczenia straży austrjackich przez straże Saskie na lipji Bugu i Muchawca, oddzielającej nas od Rossjan. Po zachowaniu tych ostrożności, jenerał Renje przedłużał dalej swój ruch, i wysłał oddziały dla zastąpienia Austrjaków w Pińsku, Kobryniu, Brześciu.

W tym samym czasie kiedy Napoleon wchodził do Witebska, jenerał rossyjski Tormasow wyruszył wreszcie w pochód, stosownie do rozkazu jaki otrzymał zagrażania prawemu bokowi Francuzów, czego książę Bagracjon nie mógł skutecznie, będąc zmuszonym połączyć się z wielką armją rossyjską. Nim admirał Czyczagow, zajęty rozległemi planami tyczącemi się Turcji, zdołał albo wykonać je, albo wkroczyć do Polski, jenerał Tormasow na czele blisko 40,000 żołnierza, otrzymał zlecenie robienia dywersji na skrzydłach, i szedł śmiało ku wyższemu Bugowi. Rozstawił około 12,000 żołnierza od Bobrujska do

Mozyra, od Mozyra do Kijowa, ażeby utrzymywać związki z księciem Bagracjonem z jednej strony, z admirałem Czyczagowem z drugiej. Była to ostrożność przeciwko napaści, którą mogli uczynić na tył jego armji Austriacy zgromadzeni w Gallicji. Chociaż dwór Wiedeński dał zapewnienie dworowi Petersburskiemu, że jego usiłowania na korzyść Francuzów ograniczą się na wystaniu 30,000 żołnierzy księcia Szwarcenberga, jednakże generał Tormasow nie chciał posuwać się naprzód nie używszy tych ostrożności przeciwko wynikłościom polityki austrjackiej, i pozostawiając z tyłu siły, które dopiero co wymieniliśmy, posunął się z 28 blisko tysiącami żołnierza nad wyższy Bug, zagrażając Wielkiemu księztwu, które generał Renje obowiązany był bronić z 12 lub 13 tysiącami Sasów. Kozacy, lubo niezbyt straszni wojskom regularnym, rozsiewali wtedy zwykle przestach we wszystkich okolicach, gdzie się ukazali, jakoż nagłość ich pojawów, musiała zastraszać ludy pozbawione oręża. Poprzedzając o piętnaście do dwudziestu mil generała Tormasowa na Bugu, rozszerzyli oni w całej Polsce dziwny przestach. Przestach ten stał się większym jeszcze i więcej uzasadnionym, kiedy generał Tormasow sam z 28,000 żołnierza wojsk regularnych, zbliżył się do Kobrynia, jednego ze stanowisk, które Austriacy dopiero co ustąpili Sasom. Generał Tormasow, uwiadomiony przez żydów o obecności oddziału Saskiego w Kobryniu, postanowił dać znać o swém zbliżeniu się świętąm zwycięstwem nad tym oddziałem, który nieszczęściem był ogołocony ze wszelkiego wsparcia. Poszedł więc na Kobryń, który zajmował generał Saski Klengel z niewielkim swym oddziałem. Oficer ten, mężny ale nieroztropny, zamiast cofnięcia się, chciał się upornie trzymać w mieście całkiem otwartém, i gdzie mu niepodobna było się bronić. Napadnięty był, otoczony, i pomimo rzadkiej waleczności, zmuszony oddać swą szpadę generałowi rosyjskiemu. Spotkanie to, które miało miejsce 27go lipca, kosztowało Sasom około 2,000 ludzi, zabitemi, rannemi lub uwięzionemi.

Wypadek ten, dość ważny w stanie osłabienia, do jakiego doprowadzony był korpus Saski, szkodliwszym był jeszcze przez swój wpływ moralny. Sprawił on, szczególnie w Warszawie, wrażenie bardzo przykre. Zaczęto się tam skarżyć bardzo głośno, że zostawiono Wielkie księstwo bez żadnej prawie obrony, i zaczęto nalegać na p. de Pradt, ażeby obmyślił środki obrony, których ten prątał. Ten straciwszy już głowę pośród wrzasków sejmowych, nie był zdolnym oprzeć się wzburzeniu przestraszonej stolicy, i okazał mniej charakteru jeszcze od niektórych

mieszkańców Warszawy. Użył on jedyne go sposobu, który zostawał w jego mocy, to jest, napisał z jednej strony do księcia Bassano, z drugiej do generała Renje, błagając o przysłanie posiłków. Generał Renje, który miał inne poruczenie do spełnienia, niżeli bronić Warszawy, gdyż należało mu z 11,000 Sasów stawić czoło 30,000 Rossjan, odpowiedział ambassadorowi, że do mieszkańców Warszawy należało bronić samych siebie, a że co do niego, miał co innego do robienia, niżeli zajmować się ich bezpieczeństwem. Razem wysłał list do księcia Szwarcenberga, prosząc go usilnie, ażeby natychmiast zrobił ruch wsteczny i dopomógł mu do odparcia nieprzyjaciela, po czém mógłby kontynuować swój pochód do głównej kwatery, gdy tymczasem Sasi zajęliby stanowisko za błotami Pińskimi, które niedozwoliby Roszjanom posunąć się naprzód. Księżę Szwarcenberg, rychło uwiadomiony o powyższej potyczce, gdyż wieść o niej rozeszła się po całej Polsce, odpowiedział generałowi Renje że znał całe niebezpieczeństwo, jego położenia, i że pomimo rozkazów głównej kwatery, postanowił cofnąć się wstecz dla podania mu pomocy. Co do księcia Bassano, ten odpowiedział nieco z ironją na lękliwe przedstawienia p. de Pradt, a nie mogąc sam nie stanąć pod względem żądanej pomocy, przesłał to żądanie do głównej kwatery.

Napoleon źle przyjął te wiadomości, nadewszystko dotyczące się tych, co się tak łatwo dawali opanować bojaźni. Pochwalił w zupełności postanowienie, jakie powziął książe Szwarcenberg, wykonać ruch wsteczny na Prużany dla podania pomocy generałowi Renje, i umieścił nawet tego ostatniego pod rozkazami dowódcy Austrjackiego. Zalecił księciu Szwarcenbergowi, iść śmiało z 40,000 żołnierza, które miał wkrótce mieć pod swemi rozkazami, na Tormasowa, który zaledwo liczył ich 30,000 i poprzec go silnie, tak żeby się nie oparł aż na Wołyniu. Obiecał mu po spełnieniu tego poruczenia, przyzwać go do głównej kwatery, stosownie do chęci Cesarza Austrjackiego, i napisał do tego ostatniego prosząc go o przysłanie posiłków dla korpusu austrjackiego. Chociaż nie wiedział o tajemnych stosunkach zachodzących pomiędzy dworem austrjackim a dworem rosyjskim, Napoleon widział wyraźnie że nie otrzyma więcej nad 30,000 żołnierza księcia Szwarcenberga, ale chciał przynajmniej żeby te 30,000 były ciągle w zupełnym komplecie, a bez rychłych posiłków nie mogły być takimi, gdyż ponosiły one też same trudy co my. Chciał także ażeby korpus armji austrjackiej, który był obecnie zebrany w Gallicji, którego pomoc mu przyobiecano, otrzymał polecenie przyjęcia groźnej postawy ze strony Wołynia, co by zmusiło generała Tor-

masowa do okazywania się mniej śmiałym; ale nie liczył na to bardzo, i nalegał szczególnie na przysłanie posiłku od 7 do 8 tysięcy ludzi dla księcia Szwarzenberga.

Te środki wystarczały dla trzymania w pewnej odległości korpusu Tormasowa i dla przyprowadzenia go do zupełnej bezsilności, chyba że admirał Czyczagow nadsięgnąłby wkrótce i podwoił jego siły. Jakoż dość było czterdziestu tysięcy Austriaków i Sasów dla odparcia znowu generała rossyjskiego na Wołyn; ale należało utrzymać związki z temi 40,000 żołnierza, które miały zostawać o sto mil przynajmniej od Orszy, punktu, o który opierało się prawe skrzydło wielkiej armji. Napoleon zgodził się na pozbawienie się jednej z trzech dywizji księcia Poniatowskiego, która miała pozostawać na leżach pomiędzy Mińskiem a Mohilewem dla zabezpieczenia nas przeciwko nagłym napadom Kozaków, i utrzymywania związku przez oddziały kawalerji z lewem skrzydłem korpusu austriackiego.

Nasze prawe skrzydło zabezpieczone było tym sposobem, przynajmniej do pewnego czasu. Co do lewego, Napoleon przedsięwziął środki mniej skuteczne, lubo zdawały się być w obecnej chwili wystarczającymi. Zganił bardzo ruch wsteczny marszałka Udino na Połock, nie zwracając dość uwagi na stan wojsk, i zajęty wyłącznie wpływem moralnym tego ruchu, już to na Rossjan, już na Europę, która z chciwością wywiadywała się o wszystkich szczegółach tej wojny. Starał się dowieść, wedle wiadomości zasięgniętych z papierów zabranych Rossjanom, marszałkowi Udino, że hrabia Wittgensztejn nie mógł mieć więcej nad trzydzieści tysięcy żołnierza, że nie mógł zatem być strasznym dla 20,000 Francuzów wyćwiczonych, rozkazał mu więc śmiało iść na nieprzyjaciela i odeprzeć go daleko po drodze wiodącej do Petersburga. Ażeby nie pozostawić marszałkowi żadnej wymówki, postanowił posłać mu korpus bawarski, który był, jak wszyscy nasi sprzymierzeńcy, dobry w dniu bitwy, ale który niknął potem w oczach skutkiem trudów, chorób i dezercji. Napoleon nie przestawał liczyć w tym korpusie 15 do 16 tysięcy żołnierza (choć w istocie miał go tylko 13,000), i licząc w korpusie marszałka Udino 24,000, utrzymywał że z 40,000 żołnierza należało zbić na głowę Wittgensztejna. Znajdywał tém większą korzyść w umieszczeniu Bawarczyków w Połocku, że spodziewał się tém poprawić ich zdrowie, i uzupełnić liczbę ich żołnierzy odpoczynkiem i dobrą strawą. Ze wszystkich wojsk bawarskich zatrzymał tylko jazdę lekką, która nie przestała służyć pod księciem Eugeniusem, a była wybora. Z tym posiłkiem nie wątpił że oswobodzony będzie wkrótce od Wittgen-

sztejna na lewém skrzydle, tak jak spodziewał się że nim będzie wkrótce od Tormasowa na prawém, przez połączenie się księcia Szwarzenberga z jenerałem Renje. Zresztą, w jego myśli, działania, które miał wykonać z armją główną, miały wkrótce postawić w rzędzie okoliczności mało znaczących téj wojny, wypadki zasłałe na jego skrzydłach. Napoleon mając niewątpliwą nadzieję, że marszałek Udino odeprze hrabiego Wittgenstejna na Siebiez i Pskow, wnosił że marszałek Makdonald będzie mógł wkrótce potem zgromadzić swój korpus cały pod Rygą, i rozpocząć oblężenie téj twierdzy. Dla tego odmówił mu udzielenia jednéj z dywizji księcia de Belliun, którego korpusu nie chciał ruszać z miejsca, ale przyobiecał mu ją jako pomoc przypadkową, którą w potrzebie będzie mógł wezwać do siebie, a która tymczasem, umieszczona z tyłu jego wojska, przyniosłaby mu wielkie wsparcie moralne. Do tych rozumowań, które zaiste nie warte były kilku pułkami więcéj wojska, Napoleon przydał znaczniejszą niż zwykle liczbę krzyżów legji honorowéj dla Prusaków, którzy mężnie walczyli z Rossjanami.

Kiedy tym sposobem zajmował się zabezpieczeniem swych skrzydeł podczas ruchów zaczepnych jakie przygotowywał, Napoleon nie przestał czuwać nad tylną częścią swych wojsk, powierzoną marszałkowi Wiktorowi i Ożero, pierwszemu po drodze do Królewca, drugiemu po drodze do Berlina. Przez swą czynną korespondencję potrafił dostarczyć marszałkowi Wiktorowi 25,000 żołnierza piechoty, 3 do 4ch tysiący jazdy i 60 dział. Zalecił mocno temu marszałkowi, zwykle bardzo starannemu, utrzymywać karność w swém wojsku, i zamierzał przywołać go wkrótce do Wilna, ażeby mógł w danym razie, użyzyć pomocy już to marszałkowi Makdonaldowi, już marszałkowi Udino, już księciu Szwarzenbergowi. Zajął się również przyspieszeniem organizacji czwartych bataljonów i pułków utworzonych z opornych dla marszałka Ożero, oddziałów gwardji narodowéj obowiązanych zastąpić miejsce na granicach Cesarstwa wojsk ściągniętych do Berlina, pułków litewskich wreszcie, w których spodziewano się doprowadzić liczbę żołnierza do 12tu tysiący i dla których brakowało całkiem pieniędzy. Napoleon nie tracił więc czasu w Witebsku, i nie było to zresztą jego zwyczajem. Znajdował się tam już od dziesięciu dni, i oprócz tego że udzielił żołnierzom swoim potrzebnego wypoczynku, że dozwolił im przebyć w budach splecionych z gałęzi porę największych upałów, otrzymał tę korzyść, że ściągnął jeżeli nie wszystkie części artylleryi pozostałej z tyłu, przynajmniej niektóre z nich, a szczególnie że sprowadził sto dział gwardji z podwójnym zapasem ammunicyi, że zgroma-

dział 600 wozów pociągowych w Witebsku, 600 do 700 pomiędzy Kownem a Witebskiem, co stanowiło w ogóle około 1,300 wozów i dozwalało zabrać z sobą żywności na dziesięć do dwunastu dni dla masy dwukroć sto tysięcy ludzi, wreszcie dać czas księciu Eugienjuszowi przez wycieczki za Dźwinę i Dniepr, marszałkowi Dawu przez poszukiwania czynne po za Dnieprem, zgromadzić na sześć do siedmiu dni żywności, nie licząc w to pożywienia codziennego. Napoleon sam zgromadził jej prawie na dziesięć dni w Witebsku, i przeznaczał ten zapas gwardji. Marszałek Dawu przygotował prócz tego w Orszy, gdzie z początku kwaterował, w Dubrownie, dokąd się potem przeniósł, w Rassasnie, gdzie zostawała na leżach jego jazda, magazyny, piece i mosty. Z rozkazu Napoleona, rzucił w Rassasnie cztery mosty płytowe na Dnieprze. Obfitość drzewa, bieg bardzo powolny rzek, czyniły rodzaj ten mostów łatwym i bardzo użytecznym w tych stroinach, gdzie one też były w częstym użyciu.

Wszystko więc było gotowe do nowego ruchu, który tą razą miało nadzieję uczynić stanowczym. Rozważywszy głęboko działania, które można było rozpocząć w tej chwili, Napoleon wybrał to, co mu zdawało się być jedynie podobnym do wykonania, pomysł godny jego gienjuszu. W obec nieprzyjaciela, który usiłował ciągle wymykać się, dążył najprzód do przecięcia jego linii na dwoje, potem wyminięcia go, obejścia, otoczenia każdej z dwóch części tej linii, takim sposobem, żeby zniszczyć jedną i drugą, nimby mieli czas rzucić się do ucieczki. Obrót ten stał się niepodobnym od czasu połączenia księcia Bagracjona z generałem Barklaj de Tollim, połączenia, które zwiększało armję rossyjską, po stratach poniesionych przez ogień i trudy, blisko do 140,000 żołnierza. Ale było rzeczą możliwą, zaniechawszy przecięcia na dwoje tej armji, wyminąć ją jeszcze, obejść, wziąć ją z tyłu, coby ją postawiło w niemożności uniknięcia wielkiej bitwy, i zmusiłoby ją do przyjęcia tej bitwy w okolicznościach najmniej sprzyjających. Stosownie do tego planu, odpowiedniego miejscowości i położeniu, Napoleon postanowił, korzystając z zasłony lasów i błot, oddzielającej go od Rossjan, przesunąć się potajemnie przed nimi ruchem z lewa na prawo, podobnym do tego, jaki miał zamiar wykonać przed obozem pod Dryssą posunąć się z nad brzegów Dźwiny nad brzegi Dniepru, z Witebska do Rassasny, przebyć Dniepr, pójść szybko w górę jego aż do Smoleńska, opanować znięca to miasto, będące bez wszelkiej obrony, wystąpić z niego nagle z całą masą swych sił na lewe skrzydło Rossjan, którzyby zostali tym sposobem wymi-

nięci i zaskoczeni z tyłu; uzupełnić, jeśliby fortuna sprzyjała, ten ruch, i może odnowić przeciwko Bagracjonowi i Barklaj de Tollemu połączonym z sobą ten sam obrót, który chciał wykonać przedtém przeciw jednemu Barklaj de Tollemu i który wykonał niegdys z takiem powodzeniem przeciwko Melasowi i Makowi. Gdyby fortuna i tą razą nie odmówiła mu swych względów, mógł, powinien był skutecznie swój zamiar, a wtedy co za rezultaty zostałyby otrzymane! Bez wątpienia Rossja zmuszoną byłaby ostatecznie do zawarcia pokoju i berło świata dostałoby się w ręce Napoleona!

Ten ruch jednakże, lubo dobrze osłoniony naturą tego kraju lesistego i błotnego, przedstawiał jedną niedogodność, to jest, że był za nadto przedłużonym, gdyż prawe skrzydło armji, które pod marszałkiem Dawu zostawało w Rassasnie, musiało przebyć trzydzieści mil, nimby się dostało do Smoleńska, a lewe, które było z księciem Eugiejnuszem w Surazu, musiało przebyć równaż prawie przestrzeń dla zastąpienia miejsca marszałka Dawu w Rassasnie, i tylko po dokonaniu tych ruchów, można było rozpocząć obrót na lewe skrzydło nieprzyjaciela. Ale było prawie niepodobieństwem postąpienia sobie inaczej, a zresztą zastona lasów i błot, oddzielająca nas od Rossjan, była tak gęsta, Napoleon był tak zręcznym w swych marszach, że należało się spodziewać pomyślnego skutku. Można było wprawdzie skrócić znacznie tę drogę, nie przechodząc Dniepru, idąc pomiędzy tą rzeką a lewem skrzydłem Rossjan, zaniedbując tym sposobem opanowanie Smoleńska, a obchodząc bliżej nieprzyjaciela, którego chciano otoczyć. Ale tym sposobem zamiast jednej trudności, doznaliby drugiej; zamiast trudności podejścia Rossjan, mianoby trudność w nagłym odparciu ich lewego skrzydła, które tworzył w tej chwili waleczny Bagracjon, w odparciu go tak prędko, tak stanowczo, żeby reszta armji nie mogła się nam wymknąć. Napoleon, nim się zdecydował, radził się marszałka Dawu, jako najzdolniejszego do dania w tej ważnej kwestji pożytecznej rady, i jako najlepiej umieszczonego zresztą dla ocenienia położenia obu wojsk. Po wysłuchaniu go zdecydował się na ruch przydłuższy, zależący na przebyciu Dniepru, na posunięciu się w górę jego lewym brzegiem, na opanowaniu Smoleńska, na wystąpieniu z nienacką z lewego boku Rossjan, podejściu ich i wyminięciu.

Skoro ten piękny i rozległy obrót postanowionym został, Napoleon zalecił przygotować wszystko dla odprawienia rozmaitych korpusów armji od 10go do 11 sierpnia. Marszałek Dawu miał ściągnąć przez Babinowicze i Rassasnę swoje trzy dywizje, Moran, Frjan i Giu-

dę, połączyć je z dywizjami Desse i Kompan, oraz z Polakami i Westfalczykami i być gotowym z jazdą generała Gruszy do zastąpienia dróg wiodących do Rassasny i Liad, które armja miała dążyć ku Dnieprowi. Po odrzuceniu od armji polskiej dywizji Dombrowskiego, pozostawionej w Mińsku, ogół tych korpusów mógł tworzyć masę około 80,000 żołnierza, zostającego pod rozkazami marszałka Dawu. Jazda generałów Monbrę i Nansuty pod Miuratem, korpus marszałka Neja, miały wyruszyć przez Łośnę i Lubawicze na Lady i Rassasnę i przebyć tam Dniepr blisko marszałka Dawu, któremu dostarczyłyby tym sposobem posiłku z 36,000 żołnierza. Nakoniec książę Eugenjusz wyszedłszy z Suraza, gwardja z Witebska, dla przejścia przez Babinowicze i Rassasnę, miały powiększyć gwardja o 25,000 żołnierza, książę Eugenjusz o 30,000, to jest, w ogóle o 55,000 masę ogólną wojsk francuzkich, przynajmniej tę część, która była gotową do wystąpienia naprzód. Po dołączeniu do głównej armji 5 do 6 tysięcy jeźdźców generała Latur-Mobura, można było liczyć 175,000 żołnierza obecnego pod chorągwiami, z jakowemi siłami Napoleon gotował się wymierzyć cios stanowczy. Jeśli policzymy prócz tego 18 do 20 Sasów i Polaków po prawém rękę ku Dnieprowi (nie licząc Austrjaków), 60,000 Francuzów i sprzymierzonych na lewém rękę nad Dźwiną, co czyni w ogóle 80,000, znajdujemy 250 lub 255 tysięcy żołnierza pozostającego z 420 tysięcy, które przeszły Niemen. Napoleon pozostawiał w Witebsku dla strzeżenia tego punktu bardzo ważnego na Dźwinie, a razem znajdujących się w nim magazynów i lazaretów, około 6 czy 7 tysięcy wojska, złożonego z pułku flankierów gwardji, pułku tyraljerów, trzech bataljonów linjowych, i pozostałych na drodze, których spodziewano się ściągnąć. Oddziały te miały się wkrótce połączyć z armją, a zastąpione być innemi, takim sposobem, że tworzyłyby jak w Wilnie garnizon ruchomy i zawsze w dostatecznej liczbie. Lekkiej jeździe poruczonem było przebiegać okolice po obu brzegach Dźwiny dla sprowadzenia maroderów do Witebska, powiadając im że ich pułki miały wystąpić, a zatem, gdyby pozostali, zabraniby zostali przez kozaków.

Podczas gdy wszystko przygotowywano do tego wielkiego działania, Rossjanie ze swój strony przygotowywali obrót niemniej dobrze obmyślony, ale którego skutek był wątpliwym. Książę Bagracjon połączył się przez Smoleńsk z armją główną. Po stratach poniesionych pod Mohilewem i w marszach, przyprowadzał nie więcej jak 45,000 żołnierza Barklaj de Tollemu, tak, że ogół armji wystawionej przeciw Napoleonowi, wynosił około 135,000 ludzi, a może 140,000. Z planu

ogólnego, przyjętego przez Cesarza Aleksandra i zmienionego później skutkiem nastających wypadków, pozostało tylko postanowienie, przy ciągłym cofaniu się przed armją francuzką, korzystania mimochodem z błędów, jakie ona mogła popełnić. Owoż, zdawało się, że postrzeżono błąd bardzo ważny w rozproszeniu pozorném jęj leż. Widząc je poczynające się w Surazu, ciągnące się przez Witebsk, Łośnę, Babinowicze, aż do Dubrowny, przypuszczano że one są rozproszone na przestrzeni więcej jak trzydziestu mil. Nie wiedziano, że skoroby się przedarto przez zastępną lasów i błot, spotkanoby Miurata z 14,000 jazdy, mającego tuż na pomoc 22,000 piechoty marszałka Neja, co stanowiło 36,000 wybornego żołnierza, zdolnego natychmiast stawić czoło trzy razy większej sile, z któremi w kilka godzin mogło się połączyć 30,000, dywizij Moran, Frjan i Giudę; nie wiedziano, że 25,000 żołnierza księcia Eugienjusza i 30,000 gwardji, okrążyłyby z boku; że takich wojsk, takich jenerałów, rozstawionych zresztą z taką sztuką obok siebie, nie łatwo było podejść, zmieszać i zmusić do ucieczki przez nagły napad na jedną z jego leż. Jakkolwiekbydz, jenerałowie rossyjscy, którzy tworzyli raczej oligarchję wojskową, nizeli sztab podległy jednemu wodzowi, gdyż, jak widzieliśmy, jenerał Barklaj de Tolli rozkazywał tylko księciu Bagracjonowi w charakterze ministra wojny, jenerałowie rossyjscy, chociaż znajdowali bardzo rostopną myśl cofania się, dopóki dostatecznie nie osłabionoby armji francuskiej, niechętnie zgadzali się na nią i doznawali co chwila chęci wydania bitwy, gdyby tylko przedstawiła się zrzeczność po temu. Nadewszystko od czasu połączenia się obu armij, kiedy liczba żołnierzy z 90 tysięcy powiększoną została blisko na 140 tysięcy, było jednym więcej powodów do przytoczenia na korzyść projektu stoczenia bitwy. Księżę Bagracjon z zwykłą swoją porywcznością, był na czele tych, którzy chcieli walczyć. W massie wojska, gdzie nie dość oceniano wartości wyrachowanego odwrotu, nazywano tchórzami wszystkich tych, którzy mówili o dalszym cofaniu się. Dopuszczano się nawet obelg względem mężnego Barklaj de Tollego, co ten znosił z pozorną obojętnością, ale ze smutkiem wewnętrznym, tém głębszym, im więcej tajonym. Niekiedy nawet, gdy wzburzenie umysłów dochodziło aż do rzesubordynacji, był zmuszony kazać rozstrzelać niektórych śmiałków, co byli zanadto zuchwałymi w okazaniu swego nieukontentowania. Jednakże, 5 sierpnia zwołał radę wojenną, na której obecniemi byli, oprócz dwóch jenerałów głównodowodzących, Barklaj de Tollego i Bagracjona, Wielki Księżę Konstanty, jenerał Jermołow

i pułkownik Toll, jeden szef głównego sztabu, drugi kwatermistrz jeneralny pierwszej armji, hrabia de Sę-Prist, szef sztabu drugiej armji, i pułkownik Wolzogen, najznakomitszy reprezentant systematu odwrotu. Pułkownik Toll przedstawiał z żywością i tonem stanowczym jemu właściwym, pomysł kroków zaczepnych i był słuchany z zadowoleniem, jak to zwykle bywa, kiedy się mówi zgodnie z namiętnością panującą. Jenerał Barklaj de Tolli i pułkownik Wolzogen przedstawiali napróżno korzyści odwrotu, który miał na celu zwabić Francuzów w głąb Rossji i napaść na nich wtedy tylko, kiedy będą dość osłabieni, ażeby odnieść nad nimi niewątpliwą przewagę. Nie pojęto ich, czy też udawano że nie pojęto, i przyjęto ich rozumowania jak najobojętniej. Barklaj de Tolli był tylko z nazwiska cudzoziemcem, pułkownik Wolzogen był nim i z nazwiska i z pochodzenia. Dano im poznać dość wyraźnie niedowierzanie jakie obudzali, i kroki zaczepne były niezwłocznie postanowione, chociaż wbrew przeciwnie zdrowemu rozsądkowi. Jakoż było rzeczą małoprawdopodobną, ażeby Cesarz Napoleon stał się jednym razem wodzem tak nieprzezornym, iżby stanął obozem tak blisko nieprzyjaciela, nie przedsięwziąwszy środków ostrożności. Przypuszczano, że ma więcej 200,000 pod ręką, co było przesadzone; ale dość było, żeby miał tylko 100,000, mogących sobie dać wzajemnie pomoc, ażeby z 140,000 żołnierza których miano w swoim rozporządzeniu i z których najwięcej kiedy 80,000 można było skupić na jeden punkt, zostać zatrzymanym i we dwadzieścia cztery godziny po nieroztropnym ataku, być otoczonym i przywiedzionym Bóg wie do jakiej ostateczności. Ale rzadko ludzie zachowują swój zdrowy rozsądek w obec panującej opinji. Przed tą wojną, skłonność do naśladownictwa skierowała była wszystkich umysły ku odwrotowi podobnemu do odwrotu lorda Wellingtona w Portugalji; po rozpoczęciu nieprzyjacielskich kroków, namiętność narodowa zwróciła też same umysły do zamiaru wydania bitwy. Barklaj de Tolli ustąpił, i zgodzono się, że atak nastąpi 7 sierpnia, trzema kolumnami, że dwie z tych kolumn, złożone z wojsk pierwszej armji, posunie się przez wyższą Kasplję na Inkowo, przeciwko leżom Miurata, punktu środkowego linji francuzkiej, który uważano za najłabszy, a trzecia kolumna, złożona z drugiej armji księcia Bagracjona, posunie się ze Smoleńska na Nadwę, dla wsparcia napaду dwóch innych.

Jakoż 7go wystąpiono w pochód stosownie do przyjętego planu. 8go silna awangarda kawaleryjska, złożona z kozaków Płatowa i jazdy hrabiego Pahlena, zbliżyła się do Inkowa, gdzie jenerał Sebastjani leżał obozem z jazdą lekką jenerała Monbrę i jednym bataljonem pułku

24go lekkiego, należącego do marszałka Neja. Jenerał Barklaj de Tolli chciał znajdować się osobiście przy tój awangardzie, ażeby być świadkiem samemu mającego nastąpić rezultatu. Jenerał Sebastjani, obdarzony raczėj przezornością polityczną niżeli wojskową, dozwolił zbliżyć się nieprzyjacielowi nic o tём nie wiedząc i ograniczył się tylko na uwiadomieniu swojego zwierzchnika, jenerała Monbrę, że strażę jego były bardzo napastowane od dnia uprzedniego, tak, że lękał się iżby mu nie przecięto dowozu żywności. Na tę prostą wskazówkę, jenerał Monbrę nadbiegł sam, i 8go rano, chociaż chory, wsiadł na koń i był świadkiem jak 12,000 jazdy uderzyło na 3,000 jenerała Sebastjaniego. Bataljon 24go pułku, prowadzony przez dzielnego oficera, zatrzymywał dość długo swoim ogniem tę chmurę jeźdców i jenerałowie Monbrę i Sebastjani zmuszeni byli nacierać na nich więcj czterdziestu razy, w tym dniu. Wreszcie, straciwszy 400 do 500 ludzi, szczególniej kompanję całą pułku 24go, ci dwaj jenerałowie dostali się do leż marszałka Neja i znaleźli w korpusie tego marszałka wsparcie niepokonane. Rossjanie zatrzymali się. Ta próba przekonała ich, że jeżeli niektóre strażę francuzkie nie były w tój chwili na ostrożności, niepodobna było się przebić przez całą masę wojsk. Postrzegli nawet od strony Porzecz, naprzeciw leż księcia Eugienjusza, nadzwyczajną czujność, i massy znaczne wojsk, co było rzeczą naturalną, gdyż tam było dużo piechoty. To postrzeżenie naprowadziło Barklaj de Tollego na myśl, że Francuzi zmienili swe stanowisko, że się posunęli na lewo dla obejścia prawego skrzydła Rossjan ku źródłom Dźwiny i odcięcia ich od drogi wiodącej do Petersburga. Przejęty tą bojaźnią Barklaj de Tolli, który pomimowolnie czynił ten obrót, wysłał od skrzydła do skrzydła nowy rozkaz ogólny i zalecił ruch wsteczny swoim dwom głównym kolumnom, tym które bezpośrednio zostawały pod jego rozkazami, ażeby wykonać natychmiast silny rekonesans na prawo. I dobrze z tём wyszedł, bo gdyby chciał upornie przedłużać swój pochód zaczepny, otrzymałby z boku uderzenie 120,000 żołnierza idącego z nad Dźwiny, przypartyby został do 55,000 strzegących Dniepru i prawdopodobnie zostałyby zgniecione przez jednych i drugich. Co do Bagracjona, pozostawał on na drodze do Smoleńska w kierunku Nadwy.

O tych ruchach dość niewyraźnych nieprzyjaciela posłano uwiadomienie do głównej kwatery 9 sierpnia. Trudno było przeniknąć zamiar nieprzyjaciela, ale Napoleon był tak niecierpliwym wstąpienia w bój z Rossjanami, że rad był spotkać się z nimi, mniejsza o to gdzie, mniejsza o to jakim sposobem. Mając na prawo i trochę na przedzie

Miurata i Neja, w kierunku Łośny, z tyłu dywizje Moran, Frjan i Giudę, mając sam nadbiedz z księciem Eugienjuszem i gwardją, pewnym był zbitcia na głowę Rossjan i poparłszy ich ku Dnieprowi, oddania zwyciężonych w ręce marszałka Dawu, któryby ich zabierał w niewolę tysiącami. Zalecił wszystkim mieć się na baczności, i chciał czekać rozwinięcia zamiarów nieprzyjaciela, ażeby samemu przedsięwziąć swój wielki obrót. Ale gdy 9ty i 10ty sierpnia przeszły, a Rossjanie, którzy się cofali, nie dawali znaku życia, wnosił, że ruchy, które ściągnęły na siebie jego uwagę, były tylko zmianą leż, ruszył więc w dalszy pochód. Ponieważ dzień 10ty sierpnia był bardzo słotny, odbywano więc pochód 11go i 12go (1). Korpusy Miurata, Neja i Eugienjusza, trzy dywizje Moran, Frjan i Giudę, nakoniec gwardja, wyruszyły 11go rano, poprzedzane przez jenerała Eble z zaprzęgiem mostowym. Miurata i Nej przedefilowali z tyłu za lasami i błotami rozciągającymi się od Łośny do Liubawicz i przybyli nad brzeg Dniepru naprzeciw Liad. Tam zajęto się rzucającem dwóch mostów, które miały być gotowe 13go. Księżę Eugienjusz szedł za Miuratem i Nejem w odległości jednego dnia drogi przez Suraż, Janowicze, Łośnę, Liubawicze. Dywizje Moran, Frjan i Giudę udali się przez Babinowicze do Rassasny, gdzie przebyli rzekę na czterech mostach rzuconych wcześniej. Za nie-

(1) Oto rzeczywisty rozkład sił w chwili wyruszenia na Smoleńsk:

Pod Napoleonem.

Księżę Eugienjusz w Surażu	30,000
Miurata w Inkowo	14,000
Nej w Łośnie	22,000
Trzy dywizje Moran, Frjan i Giudę pomiędzy Janowiczami i Babinowiczami	30,000
Gwardja w Witebsku	25,000
	<u>121,000</u>

Pod marszałkiem Dawu na Dnieprze.

Desse i Rompan	18,000
Lekka jazda	2,000
Rlapared	3,000
Gruszy	4,000
Poniatowski	15,000
Westfalczycy	10,000
Latur-Mobur	5 lub 6,000
	<u>57,000</u>

W ogóle armji czynnej pod Napoleonem i pod Dawu 177 lub 178 tysięcy.

Jeżeli policzymy kirassjerów jenerała Walans, którzy się znajdowali z marszałkiem Dawu, potrzeba dodać 2,000 temu ostatniemu, a odjąć je od massy wojska, będącej pod ręką Napoleona, co daje tenże sam rezultat.

mi postępowała gwardja. Cała armja 13go wieczorem i w nocy z 13go na 14ty przebyła Dniepr, a nazajutrz 14go rano 175,000 żołnierza było zgromadzonych za tą rzeką, pełnych nadziei, mających Napoleona na czele, i w zupełnej ufności że idą na bliskie i stanowcze zwycięstwa. Nigdy nie widziano tylu ludzi, koni, armat, razem skupionych na jednym punkcie, bo kiedy historycy mówią o stu tysiącach żołnierza, co zresztą rzadko się trafia, nie potrzeba bynajmniej rozumieć stu tysięcy ludzi rzeczywiście obecnych pod chorągwiami, ale sto tysięcy domyślnie obecnych, co oznacza niekiedy połowę. Tu 175 tysięcy żołnierza wyżej wzmiankowanego, reszta pozostała z 420,000, było rzeczywiście pod bronią. Natłok ludzi, zwierząt, wozów wojennych był nadzwyczaj wielkim. Na pierwszy rzut oka panował tam pewien rodzaj zamieszania, ale wkrótce dawał się tam postrzegać porządek, który utrzymywała wyższa wola. Słońce osuszyło było drogi, i postępowano śród ogromnych równin, pokrytych pięknymi żniwami, po drodze wysadzonej czterema rzędami brzoż, pod niebem pogodnym ale mniej gorącym jak dai poprzedzających. Wojsko szło lewym brzegiem Dniepru, który dopięroco przebyto i którego wody niezbyt obfite w tej części jego biegu, tocząc się z wolna w łożysku krętym i głęboko wyżłobionem, mało odpowiadały wyobrażeniu, jakie armja sobie uczyniła o owym starożytnym Borystenie: znajdowano się bowiem u źródła tej rzeki, a rzeki jak ludzie są pokornymi na początku swojego zawodu. Ten rozległy ruch armji, jeden z najpiękniejszych jaki kiedykolwiek wykonano, odbył się w dniach 11tym, 12tym i 13tym sierpnia, tak że Rossjanie bynajmniej go nie postrzegli. Zajęci oni jeszcze byli szukaniem nas po omacku ze swęj prawej strony, wówczas kiedy my obeszlismy ich z lewego boku, i nie śmieli już posuwać się dalej, pomimo ich planu ataku przeciwko naszym leżom jakoby rozproszonym.

14go rano, Miurat z jazdą generałów Nansuty i Monbrę, poprzedzaną przez jazdę generała Gruszy, szedł na Kraśno. Nej postępował za nim z swą lekką piechotą. Wszystko dotąd działo się wedle życzenia. Napoleon zalecił posuwać się naprzód i iść w górę Dniepru w kierunku Smoleńska.

Niedaleko przed Kraśnem postrzeżono nieprzyjaciela po raz pierwszy. Byli to żołnierze dywizji Niewierowskiego, zawierającej w sobie 5 do 6 tysięcy piechoty, 1,500 jazdy i umieszczonej przez księcia Bagracjona na obserwacji w Kraśnem, dla zaślania Smoleńska przeciwko możebnym zamachom marszałka Dawu. Zostawiona sama jedna na lewym brzegu Dniepru, wówczas kiedy Bagracjon i cała armja

rossyjska znajdowała się na prawym, była ona w wielkiem niebezpieczeństwie. Lekka jazda jenerała Bordessul idąc razem z jazdą Gruszy, rzuciła się na nieprzyjaciela i odparła go do Kraśnego. Neż z kilku kompanjami pułku 24go lekkiego, wszedł do Kraśnego, wyparł z tamtąd Rossjan z bagnetem w rękę i ukazał się wkrótce za tém miasteczkiem. Ale dalszą drogę przerzynał wąż, na którym most był zrujnowany. Potrzeba było naprawić most, a tymczasem artyllerja musiała się zatrzymać. Jazda zwróciwszy na lewo ruszyła wzdłuż wążu, znalazła błotniste przejście które potrafiła przebyć, i pośpieszyła w pogoń za Rossjanami. Jenerał Niewierowski sformował swą piechotę w ścieśniony czworobok i siedł z nim po szerokiej drodze wysadzanój brzożami, a prowadzącej do Smoleńska i korzystał jak mógł najlepiej z przeszkody, jaką te drzewa przedstawiały atakom naszej jazdy. Korzystając z tego, że nie mieliśmy artyllerji, za każdym zatrzymaniem się dawał ognia ze wszystkich swych armat i osypywał naszych kawalerzystów kartaczami. Ale każdą razą kiedy położenie gruntu zatrzymywało ten wielki czworobok rossyjski i zmuszało go do rozłączenia się dla defilowania, szwadrony nasze korzystały ze swęj strony ze zręczności, napadały nań, przebijały się we środek, zabierały mu ludzi i armaty, nie mogąc go jednakże rozproszyć, gdyż formował się znowu wnet po przebyciu przeszkody. Ci piechotni żołnierze postępując tym sposobem w ścieśnionych szeregach, broniąc swych chorągwi i swęj artyllerji i wytrzymując ciągłe napady mnóstwa kawalerzystów, cofnęli się aż do miasteczka Korytni, uczyniwszy nam niezdatnemi do boju 400 czy 500 kawalerzystów zabitych lub rannych, ale pozostawiając w naszém rękę 8 armat, 700 do 800 zabitych i z tysiąć niewolnika. Gdybyśmy mieli naszą artyllerję i naszą piechotę, byłiby bez wątpienia pobici na głowę.

Nasza awangarda zatrzymała się przed Korytnią, gdyż korpus wojska nie minął był jeszcze Kraśnego.

Nazajutrz zrobiono krótki tylko wypoczynek, ażeby ściągnąć wszystkie swe siły. Marszałek Dawu wrócił gwardji dywizję polską Klapared, jenerałowi Nansuty kirassjerów Walansa, a wziął na powrót swoje trzy dywizje piechoty Moran, Frjan i Giude, które były bardzo uradowane że się znalazły pod rozkazami swojego dawnego wodza. Polacy, któremi dowodził Poniatowski, Westfalczycy, których Napoleon powierzył jenerałowi Ziuno, wrócili pod bezpośrednie rozkazy głównej kwatery, i zostawali na równi z armją, na jęj krańcowém prawém skrzydle. Jazda jenerała Gruszy, dopóki książę Eugienjusz, który

miął najwięcej drogi do przebycia, nie połączyłby się z armją, szła razem z awangardą Miurata i Neja.

15go postanowiono na tych dalekich brzegach Dniepru obchodzić imieniny Napoleona, przynajmniej pewną liczbą wystrzałów artyllerji. Wszyscy marszałkowie, otoczeni swemi sztabami, przybyli złożyć mu swe hołdy. Działa zagrzmiały w tójże samej chwili, i gdy Cesarz narzekał że trwoniono napróżno amunicję szacowną w odległości w jakiej zostawano, marszałkowie odpowiedzieli że to prochem zabranym u Rossjan w Kraśnem dawano z dział wystrzały wiwatowe. Uśmiechnął się na tę odpowiedź, i przyjął z zadowoleniem wiwaty armji, jako oznakę jój wojowniczego zapału. Niestety! ani on, ani jego żołnierze nie domyślali się tych straszliwych klęsk, jakie ich spotkać miały w tych samych miejscach trzy miesiące później!

Nazajutrz 16go sierpnia, awangarda otrzymała rozkaz iść na Smoleńsk, gdzie spodziewano się wejść podejściem, gdyż spotkawszy tylko dywizję Niewierowskiego, której trzecia część była wziętą w niewolę lub zniszczoną, wnoszono że to miasto nie musiało być silnie strzeżonem, a następnie że będzie mogło być opanowanem w kilka godzin. W tym kraju zbliżonym do biegunów i w tój porze roku, był już wielki dzień przed trzecią godziną rano. Jazda generała Gruszy wystąpiła przodem z piechotą Neja. Przybywszy na wzgórze panujące nad Smoleńskiem, skąd odkrywa się widok na miasto zbudowane nad brzegiem Dniepru, postrzeżono że nadzieja wzięcia go podejściem była mało uzasadnioną. Ujrzano bowiem po za Dnieprem liczne wojsko wchodzące w mury Smoleńska. Był to 7my korpus, Rajewskiego, który Bagracjon, zaczynając postrzegać nasz ruch, wysłał tam pośpiesznie. Sam on postępując przyspieszonym marszem prawym brzegiem Dniepru, którego szliśmy w górę lewym brzegiem, zdążył na pomoc starożytnemu miastu Smoleńskowi, twierdzy pogranicznej dawniejszego Moskiewskiego państwa, drogiej Rossjanom, którzy w ciągu kilku wieków bronili jój upornie przeciw Polakom.

Zaledwo Nej zbliżył się do obozu, który go oddzielał od miasta, oskoczony został kilku tysiącami kozaków będących w zasadzie, otrzymał kulę w kołnierz swojego płaszcza i oswobodzony zaledwo został z wielką trudnością przez lekką jazdę 3go korpusu. Postrzegłszy że z lewej strony część obwołu Smoleńska zamkniętą była cytadellą pięciokątną z ziemi, próbował zdobyć ją z 46tym pułkiem linjowym. Ale pułk ten, osypany gradem kul, stracił 300 czy 400 ludzi, i zmuszony był cofnąć się. Nej, nie wiedząc do jakiego stopnia miasto było przystę-

pne z téj strony, i nie chcąc z resztą narażać się na potyczkę przed nadejściem Napoleona, zatrzymał się czekając na niego. Powoli reszta 3go korpusu przybyła, i uszykowała się w linię na wzgórzach, z kąd Smoleńsk dawał się widzieć w dole. Nej stanął na lewo i blisko Dniepru z swoją piechotą, podczas gdy jazda Gruszy występowała na prawo, i szła na spotkanie znacznego korpusu jazdy rosyjskiej. Gdy zdawało się że korpus ten ma zamiar natrzeć na nas, pułk 7my dragonów rzucił się nań galopem, natarł nań dzielnie i odparł do miasta. Miurat, zawsze pośród swoich kawalerzystów, sam dawał oklaski widząc tę szarżę 7go pułku dragonów. Artylleryja konna jenerała Gruszy nadbiegłszy z swym dowódcą, równie śmiałym jak biegłym w swéj sztuce, pułkownikiem Grióa (Griois), osypała granatami szwadrony rosyjskie i zmusiła ich do cofnięcia się na przedmieścia Smoleńska.

W taki sposób użyto czasu do przybycia Cesarza i armji. Napoleon nadejść ku połowie dnia, i Nej pospieszył okazać mu obwód twierdzy, który już był obejrzał.

Smoleńsk, jak powiedzieliśmy wyżej, leży nad Dnieprem, u podnóża dwóch rzędów pagórków, ścięśniających łożysko rzeki. Stare miasto, stanowiące główną jego część, położone jest na lewym brzegu, którym przybyliśmy; nowe miasto, czyli tak nazwane przedmieście Petersburskie, leży na prawym brzegu, którym przybyli Rossjanie. Most łączy obie te połowy. Stare miasto otoczone jest dawnym murem z cegieł, grubym w podstawie na piętnaście stóp, wysokim na dwadzieścia pięć, i w pewnych odległościach opatrzonym grubemi wieżami. Rów z drogą krytą i pochyłością, dość w lichym stanie, opasywał i zasłaniał wtedy ten mur, znacznie poprzedzający naukę fortyfikacji nowożytnéj. Przed miastem i około niego rozciągały się wielkie przedmieścia, jedno zwane Krasnoe, na drodze do Kraśnego, przylegające do Dniepra; drugie w środku, zwane Mścistawskie, od nazwiska drogi przy której leżało; trzecie więcéj środkowe, zwane Rosławskie, z tegoż samego powodu; czwarte na prawo, zwane Nikolskie; piąte i ostatnie zwane Raczeńskie, tworzące kraniec półkola i przytykające do Dniepru. Ze wzgórzy, na których armja kolejno się uszykowała, postrzegano stare miasto, jego mury opatrzone wieżami, jego kręte i pochylone ku rzece ulice, piękną i starożytną katedrę bizantyńską, most łączący dwa brzegi Dniepru, dalej wreszcie nowe miasto wznoszące się na wzgórzach przeciwnych. Widziano przybywające prawym brzegiem Dniepru liczne wojska, których spieszny pochód zapowiadał, że

żołnierze rossyjscy spieszyli gromadnie na obronę miasta, które im było prawie tak drogiem jak Moskwa. Napoleon, nie mając już nadziei wzięcia podejściem Smoleńska, pocieszał się myślą że armja rossyjska wystąpi cała dla stoczenia z nim bitwy. Dość mu było na jednem wielkiem zwycięztwie odniesionem pod murami tego miasta, z następstwami, które umiał wywoływać po każdym z swoich zwycięztw. Wiedział z własnego doświadczenia, że na wojnie nie to powodzenie jest najlepszem, do którego się zmierza, ale skoro się otrzyma jedno i to znaczne, mało na tém zależy że ono nie jest te same, co było przewidziane i żądane.

W istocie, książę Bagracjon postępował spiesznie w górę Dniepru prawym jego brzegiem, ruchem równoległym do naszego, a Barklaj de Tolli, przychodząc ze swęj strony drogą poprzeczną, prowadzącą z Dźwiny do Dniepra, zaczął się ukazywać na wzgórzach przeciwnych tym, które zajmowaliśmy. Jeden i drugi uwiadomieni o zamiarach Napoleona, i zaniechawszy swego planu zaczepnego, nadciągali pośpiesznie na obronę starożytnego grodu ruskiego, a chociaż było wielką nieroztropnością wydawać bitwę w téj pozycji, oddawać Smoleńsk nie broniąc go było hańbą, którejzniesć nie mogli, chociażby mieli drogo zato przypłacić. Nie spierano się więc, idąc za mimowolnym popędem, i rozdzielono natychmiast zgodnie stanowiska, które każdy z dowódców miał zajmować. Szło tu szczególnie o dwie rzeczy, obie bardzo ważne. Pierwszą z nich, najgłówniejszą, była obrona Smoleńska. Ale w razie gdyby uderzając na Smoleńsk, Napoleon czynił tylko attak udany, tymczasem zaś przebył Dniepr w górze, co było rzeczą możliwą, gdyż rzeka ta w téj porze roku i w tém miejscu mogła być w bród przebyta, a następnie zaszedł z tyłu i odciął od Moskwy i Petersburga, narażonoby się na prawdziwą klęskę, tę właśnie, która zagrażała Rossjanom, nic o tém niewiedzącym od samego początku kampanji. Zgodzono się więc, że książę Bagracjon z drugą armją zajmie pozycję powyżej Smoleńska, nad brzegiem Dniepru, dla strzeżenia jego brodów, Barklaj de Tolli zaś bronić będzie miasta przeciwko Francuzom. To rozdzielenie sił było najnaturalniejsze, gdyż łatwiej było księciu Bagracjonowi, który przybył pierwszy, wyprzedzić znacznie resztę armji rossyjskiej, zająć stanowisko powyżej Smoleńska. Wyruszył więc niezwłocznie, i stanął z 40,000 żołnierza za małą rzeczką Kołodnią, przytokiem Dniepra. Jenerał Rajewski, który z 4tym korpusem strzegł Smoleńska przez cały dzień 15go sierpnia i rano 16go, winien był z niego ustąpić, a być zastąpionym przez

wojsko Barklaj de Tollego. Ten ostatni powierzył obronę Smoleńska 6mu korpusowi, zostającemu pod dowództwem jednego z oficerów najzdolniejszych armji rossyjskiej, jenerała Dochturowa. Przyłączył do niego dywizję Konownicyna, szczątki dywizji Niewierowskiego, która była w bitwie pod Kraśnem i uszykował resztę swojej armji z drugiej strony Dniepru, w Nowém mieście i na pobliskich wzgórzach. Francuzi w liczbie 140,000 żołnierza zajmowali wamfiteatr wyżyny lewego brzegu Dniepru (1). Rossjanie w liczbie 130,000 zajmowali wyżyny prawego brzegu, i przedstawiali jedni dla drugich widok w najwyższym stopniu zajmujący i nadzwyczajny!

Wszystko co Napoleon swoim bystrym wzrokiem mógł rozpoznać z ruchów nieprzyjaciela, było to, że armja rossyjska nadszła cała, dla bronienia miasta, które ją mocno obchodziło.

Gdy Rossjanie wreszcie się zatrzymali, Napoleon nie mógł ani się cofnąć, ani iść omackiem w obec nich, i pozostawić im korzyść zachowania takiego punktu, jakim był Smoleńsk. Mógł wprawdzie pójść w górę Dniepru, może przebyć go w bród powyżej Smoleńska, i wykonać cokolwiek wyżej swój wielki obrót. Ale z jednej strony nie miał dość czasu rozpatrzyć rzeki i zapewnić się, czy przejście było łatwem; z drugiej strony musiał wahać się przedsiębrać w obec nieprzyjaciela taki krok, nadewszystko pozostawiając w ręku Rossjan most w Smoleńsku, przez który mogli przejść każdego czasu i przeciąć jemu samemu jego linję komunikacyjną. Zdobyć Smoleńsk przed ich oczyma silnym natarciem, było więc jedynem działaniem zgodnem z jego położeniem i jego charakterem, mogącym mu przytém zapewnić przewagę oręża, której w téj chwili najwięcej potrzebował.

Napoleon uszykował niezwłocznie swe wojska w linję. Na lewo ku Dnieprowi, naprzeciw przedmieścia Kraśnego, umieścił trzy dywizje Neja; we środku, na przeciw przedmieść Mścistawskiego i Rosławskiego, pięć dywizji Dawu; na prawo, przed przedmieściami Nikolskiem i Raczęńską, Polaków Poniatowskiego; na krancowym prawem skrzydle wreszcie, śród wysokości płaszczyzny idącej wzdłuż Dniepru, masę jazdy francuzkiej. Z tyłu i we środku tego ogromnego półkola, postawił gwardję Cesarską, a na wyżynach, w miejscach najdogodniejszych, swoją groźną artylleryję, która miała osypywać strzałami pionowemi nieszczęśliwy gród rossyjski!

Korpus księcia Eugienjusza był jeszcze o trzy lub cztery mil z tyłu, w Korytni nad Dnieprem. Żiuno, obowiązany przybyć z Westfaleczy-

(1) Rsiążę Eugienjusz i jenerał Żiuno byli o kilka mil z tyłu, gdyż inaczej Francuzi mieliby 175,000 żołnierza obecnego pod bronią.

kami dla wsparcia Polaków, zabłąkał się w drodze. Ale 40,000 żołnierza, składającego te dwa oddziały, nie były potrzebne dla zgnębienia nieprzyjaciela. Cała druga połowa dnia 16go sierpnia była tym sposobem użyta przez Francuzów i Rossjan na zajęcie pozycji bez związania żwawej utarczki jak z jednej tak z drugiej strony, ciągły tylko ogień artyllerii francuzkiej sprawiał w mieście wielkie zniszczenie, i zabijał tam wielu ludzi z powodu natłoku wojsk.

Nazajutrz 17go, Napoleon wsiadłszy na koń bardzo rano, chciał rozpatrzyć obroty nieprzyjaciela i otoczony swemi jenerałami przebiegł półkole wyżyn, na których leżał obozem. Widziano wyraźnie 30,000 żołnierza Dochturowa, Konownicyna i Niewierowskiego zajmujących swe stanowiska w mieście i na przedmieściach, podczas kiedy reszta obu armij rossyjskich pozostawała nieruchomą na wzgórzach. W liczbie przypuszczeń, które Napoleon uważał za możliwe, lubo małoprawdopodobne, było to, że Rossjanie będąc panami Smoleńska, mogąc tam i nazad przejść Dniepr pod osłoną silnych murów, wystąpią dla stoczenia z nim bitwy, ażeby ocalić miasto, do którego przywiązywali tak wielką cenę. Jakoż w bok Smoleńska ku naszemu prawemu skrzydłu, była wysoka płaszczyna w dogodnym położeniu, otoczona wąwozem, i na której Napoleon zamierzał uszykować swą jazdę. Mogło się zdarzyć, że Rossjanie chcieliby zająć to stanowisko, i dla zwabienia ich tam Napoleon postanowił nie zajmować go jeszcze a jazdę swoją trzymać z tyłu. Nic zaiste nie byłoby mu tyle po myśli, jak podobne uchybienie ze strony Rossjan. Ale wydawać bitwę za Dnieprem, mając go tym sposobem z tyłu, gdyby zostali pobici, byłoby z ich strony taką niedorzecznością, że nie należało się tego spodziewać. Zresztą nie myśleli oni w téj chwili staczać bitwy, ale przelać krew za Smoleńsk, i ta ofiara przyniesiona namiętności ludowej była wszystkiem, czego można było oczekiwać od nich.

Napoleon jednakże przez dwie czy trzy godziny nie przedsiębrał nic stanowczego, chcąc się przekonać z pewnością o zamiarze nieprzyjaciela. Około niego robiono nie jedną uwagę względem trudności zdobycia szturmem Smoleńska, przeciwko trzydziestu tysiącom Rossjan, którzy się w niem zamknęli. Stu hał tych uwag nie odpowiadając na nie. Ponieważ każdy z pomysłów, które położenie wojenne może nastęrczać, zwykle był obecnym jego umysłowi, postrzegał możliwość przebycia Dniepru powyżej Smoleńska i wystąpienia niespodzianie z lewego boku Rossjan, coby mu znowu zapewniło wykonanie w zupełności jego wielkiego obrotu. Ale dla uskutecznienia bez nie-roztropności podobnego działania, potrzeba było żeby się ono odbyło

z nadzwyczajną szybkością, to jest, żeby rzeka mogła być w bród przebyta, choćby żołnierze mieli przebyć ją mając wody po pas i żeby przebywszy Dniepr, jak niegdyś Taljamento przed arcyksięciem Karolem, obeszli szybko lewe skrzydło Rossjan i wzięli ich z tyłu. W istocie nieodbitcie potrzebną było rzeczą, ażeby to działanie odbyło się jak można w najprędszym czasie, bo gdyby przyszło rzucać mosty w obec nieprzyjaciela, Rossjanie stanęliby niechybnie wielkimi masami w punkcie przejścia, i stawiliby przeszkody prawie nieprzezwyciężone postawieniu mostów, albo też wystąpiliby ze Smoleńska na nasz bok i tyły, dla przecięcia naszej linii komunikacyjnej lub wreszcie opuściliby swe stanowisko i umknęli przed nami, pozostawiając wprawdzie Smoleńsk, ale odejmując nam jeszcze zrzętność stoczenia boju. Wszystko więc zależało od tego, czy rzeka mogła być w bród przebyta powyżej Smoleńska i bardzo blisko naszej pozycji obecnej? gdyż posunąć się dalej w górę rzeki, pozostawiając z tyłu otworem punkt wyjścia ze Smoleńska, byłoby zanadto wielką nieroztropnością. Roztrząsając w swym umyśle te rozmaite okoliczności, Napoleon wysłał oddział jazdy brzegiem rzeki, dla szukania brodu. Rzeka w istocie zdawała się w tém miejscu być nie głęboką. Jednakże, czy to że rekonesans był źle wykonany, czy że nie był dalej posunięty, nigdzie nie znaleziono brodu podobnego do przebycia. Miano tedy przed sobą bieg wody powolny wprawdzie, ale nie mogący być w bród przebytym i całą armję Bagrajona stojącą w szyku bojowym na drugim brzegu. Rzucić mosty w obec nieprzyjaciela podobnie przygotowanego było rzeczą jeśli niezupełnie niemożliwą, to przynajmniej zbyt niebezpieczną, pozostało więc tylko jedno do zrobienia, to jest, opanować Smoleńsk dzielnym natarciem. Napoleon nie dał się odciągnąć od tego zamiaru niektórymi zarzutami dającymi się słyszeć w około niego, i postanowił zdobyć Smoleńsk szturmem. Przyjść z tak daleka, ażeby iść po omacku w obec Rossjan, dla oszczędzenia ludzi w boju, kiedy ich tak mało oszczędzano w pochodzie, ażeby wahać się stracić ich dziesięć tysięcy w jednym dniu, mogącym wyrzucić największy wpływ moralny, kiedy we trzech lub czterech dniach drogi tracono podwójną ilość, co tylko zniechęcało innych, nie było postępowaniem odpowiedniem jego charakterowi, ani też korzystnym w obecnym stanie wojny. Zatem dał hasło do ataku. Była wtedy dziesiąta lub jedenasta godzina ranna: Rossjanie nieruchomi nie myśleli przejść Dniepru; należało więc iść na spotkanie ich do Smoleńska, z niebezpieczeństwem przelania dużo krwi, ale z pewnością prawie zagrzebania ich dwanaście lub trzynaście tysięcy pod ruinami

starego grodu moskiewskiego i wywołania w duszach tych przejętych zapałem żołnierzy, jeśli nie zupełnego upadku na duchu, to przynajmniej silnego uczucia przestrochu.

Po wydaniu hasła, każdy oddział uderzył na Rossjan odpowiednio do miejsca, jakie zajmował. Na prawo jazda, z początku wstrzymywana, wypuszczoną była na wysoką płaszczyznę, która była niezajętą i która się rozciągała aż do Dniepru. Szwadrony generała Briujer odparły brygadę dragonów rosyjskich i zastąpiły urządzenie baterji z sześćdziesięciu dział, które Napoleon kazał ustawić na samym brzegu rzeki, dla dawania ognia do Smoleńska, jak równie wzdłuż mostu służącego za środek komunikacji dla obu części miasta, a razem ostrzeliwania brzegu przeciwnego, gdzie Rossjanie zostawali w szyku bojowym. Artylleryja nieprzyjacielska chciała odpowiadać, ale wkrótce przyprowadzoną była do milczenia.

Podczas tego przygotowawczego działania, wykonywanego z naszego krańcowego prawego skrzydła, książe Poniatowski, posunąwszy się z swoją piechotą pomiędzy prawém skrzydłem i środkiem, zaatakował dzielnie przedmieścia Raczeńskie i Nikolskie, bronione przez dywizję Niewierowskiego, i doszedł z swoim mężném wojskiem aż do czoła tych przedmieść. We środku, marszałek Dawu odparł przednie straże rosyjskie w przedmieściach Rosławlskiem i Mścislawskiem i rozpoczął silny ogień działowy przeciwko przedmieściom i miastu, które były bronione w tém miejscu przez dywizję Kownicyna i Kapcewicza. Na lewo Nej, posunąwszy się z dwoma dywizjami i pozostawiwszy trzecią w rezerwie, wysłał dywizję Marszan przeciw cytadelli, której dniem przedtém nie udało się wziąć 46mu pułkowi. Gęste krzaki nie dozwalały rozpoznać kształtu i słabości téj cytadelli, wzniesionéj z ziemi, nie opalisadowanéj, i łatwéj do zdobycia. Nej nie ośmielił się wprost uderzyć na nią, ale wkroczył do przedmieścia Kraśnego, zajętego przez dywizję Lichaczewa, i odparł ją aż do rowów miasta.

Była to chwila przeznaczona do ataku głównego, który marszałek Dawu miał wykonać przeciw przedmieściom Rosławlskiemu i Mścislawskiemu. Wielka droga rozdzielając te dwa przedmieścia i zstępując do miasta, prowadziła do bramy zwanéj Małachowską. Marszałek wysłał najprzód dywizję Moran tą drogą, dla opanowania jej, oddzielenia posuwając się nią, dwóch przedmieść jednego od drugiego, i uczynienia łatwiejszym ataku z czoła, którego one miały być przedmiotem. Pułk 13ty lekki, pod dowództwem generała Dalton, wsparty pułkiem 30tym linjowym, natarł z bagnietem w rękę na wojska nieprzyjacielskie, które zastąpiły drogę, odparł je z dzielnością

nieporównaną, opanował cmentarz, gdzie się one były usadowiły, potem, wystąpiwszy na samą drogę, pod gradem kul lecących ze wszystkich stron, przełamał wszystkie przeszkody, i w oczach armji, przejętej uwielbieniem, zagnał Rossjan aż w mury miasta. Z waleczną to dywizją Konownicyna miały do czynienia pułki 13ty i 30ty, i ustały ziemię trupami. W téjże samej chwili i trochę na lewo, dywizja Giude, prowadzona przez swego jenerała i przez samego marszałka Dawu, zaatakowała téż dzielnie wielkie przedmieście Mscisławskie, którego bronila dywizja Kapcewicza, odparła ją najprzód z bagnetem w rękę aż do wnijsia, wpadła potem za nią w samo przedmieście, pędziła ją z ulicy w ulicę, i przyparła ją tym sposobem do brzegu rowu, w chwili kiedy dywizja Moran przybywało tam ze swéj strony wielką drogą. Na prawo, dywizja Frjan opanowała z mniejszą daleko trudnością przedmieście Rosławskie i dostała się, podobnie jak dwie drugie dywizje, do samego obwodowego muru, gdzie wszystkie trzy mogłyby być osypane ogniem działowém, gdyby strzelnice dla artyllerji znajdowały się w starym murze. Z wieź tylko puszczoneo na nie nieco kul i granatów. Ale Rossjanie dużo cierpieli, gdyż odparci bagnetami aż do rowów otaczających Smoleńsk, osypywani późniéj kulami karabinowemi z bliska, mogli tylko nielicznymi bramami znajdującymi się w murze wejść napowrót do miasta.

Jednakże Rossjanie, którym Barklaj de Tolli przysłał w posiłek dywizję księcia Eugienjusza Wirtemberskiego, probowali rozpocząć zaczepne kroki, wykonywając nagle wycieczki przez bramy Nikolską i Małachowską. Książę Poniatowski, dotarłszy do bramy Nikolskiej, potrzebował całego męztwa swych żołnierzy dla odparcia Rossjan wewnątrz miasta. Podobnéjże trudności doznał marszałek Dawu przed bramą Małachowską. Miał on do czynienia z dywizją Konownicyna, oraz dywizją księcia Wirtemberskiego, z których obie z wściekłością powróciły do boju. Odparto je jednakże i zmuszono do powrotu do miasta przez bramę Małachowską, z której były wystąpiły. Jenerał Serbje tymczasem sprowadził rezerwę artyllerji gwardyjskiej, składającą się z 12 dział, które ustawiono takim sposobem że można było strzelać wzdłuż rowów na lewo i na prawo, co zmusiło Rossjan do zamknięcia się ostatecznie w murach Smoleńska. Skierowano wtedy na mur obwodowy całą, jaką miano pod ręką, artyllerję. Ale kule zagłębiając się w starym murze ceglany, nie wiele robiły mu szkody. Chwycono się tedy innego środka, i zaczęto strzelać do miasta powyżej murów, do czego użyto kilkuset armat. Każdy pocisk albo wyrzą-

dział szkody domom, albo zabijał w znacznej liczbie obrońców, skupionych na ulicach i placach publicznych.

Po sześciu godzinach tej krwawej walki, mur obwodowy, w którym nie mogliśmy zrobić wylomu, a którego Rossjanie nie ośmielali się przebyć, rozdzielił wreszcie walczących. Marszałek Dawu, zostający we środku oblegającej armji, przygotował wszystko dla zdobycia miasta nazajutrz rano, a przez całą noc osypywał je niszczącymi pociskami. Napoleon kazał mu powiedzieć, że należało zdobyć miasto za jakąkolwiek cenę, i pozostawił mu wybór środków. Jakoż nie można było, bez wywarcia szkodliwego wpływu moralnego, przyjąć na siebie roli, zwłaszcza po tylu poniesionych stratach, ludzi ze szkoda odpartych.

Marszałek Dawu, zgodnie z jenerzłem Haxo, który wystawionym będąc na straszliwy ogień, zrobił rekonessans muru obwodowego, postanowił przypuścić szturm w punkcie, który zdawał się być przystępnym, a który leżał po naszym prawém ręk, pomiędzy miejscem zajmowanym przez 1szy korpus, a miejscem zajmowanym przez korpus księcia Poniatowskiego. Był tam dawny wylom, tak nazwany Zygmuntowski, który nie był dotąd naprawionym i zamknięty był tylko nasypem z ziemi. Gdy jenerał Haxo oświadczył że pozycja ta była przystępną, marszałek Dawu udzielił jenerałowi Frjan zaszczytu prowadzenia swjej dywizji do szturm nazajutrz rano.

Noc była straszliwą. Rossjanie, czyniąc wreszcie ofiarę z tego ukochanego przez nich grodu, który im dopieroco kosztował tyle krwi, połączyli się z nami dla zniszczenia go, i podłożyli w nim dobrowolnie ogień, który my pomimo woli roznieciliśmy naszymi bombami. Z pośród ciemności ujrzano nagle wznoszące się stupy ognia i dymu. Wojsko stojące na wyżynach, było niezmiernie uderzone tym nadzwyczajnym widokiem, podobnym do wybuchu Wezuwiusza w pięknej nocy letniej (!). Przeczuwano na ten widok całą zaciętość, jaką się miała odznaczać obecna wojna, i jeśli nie trwogi, to doznano jednakże pewnego wzruszenia. Nasza liczna artyllerja dodała jeszcze nowych płomieni do tego pożaru, ażeby uczynić pobyt w Smoleńsku niepodobnym dla nieprzyjaciela.

Jakoż krew, którą tak obficie przelano z strony Rossjan, zadość uczyniła u nich honorowi, powinności, pobożności, wszystkim uczuciom, które ich skłoniły do walczenia w tym razie. Barklaj de Tolle, poświęciwszy wyrachowanie dla uczucia, wrócił wreszcie do wyracho-

(!) Wyrażenie samego Napoleona w jego biuletynie.

wania i zalecił Dochturowowi, Niewierowskiemu, księciu Eugienjuszowi Wirtemberskiemu, oczyścić Smoleńsk podczas nocy, co oni uczynili podłożywszy pierwój w nim ogień, ażeby oddać nam raczej zwapniony trup miasta, niżeli samo to znaczne miasto.

O świcie dnia następnego, kilku żołnierzy marszałka Dawu zbliżywszy się do okopu, który mieli w tym dniu zdobyć, i znalazłszy go ogołoconym z obrońców, wdarli się nań i usłyszeli rozmawiających djalektem słowiańskim po drugiej stronie, myśleli więc z początku, że wpadli pomiędzy Rossjan, ale przekonali się wkrótce że to byli Polacy, którzy wkroczyli tam przez przedmieście Raczeńskie, połączyli się z nimi i pobiegli udzielić tej pożądanej wiadomości marszałkowi. Wtedy wojsko massami posunęło się do miasta, które usiłowano ocalić przed ogniem, zagrażającym mu zupełnym zniszczeniem. Na przedmieściach znaleziono dwa lub trzy razy więcej zabitych Rossjan niżeli Francuzów, co było skutkiem morderczego ognia naszój artylllerji, oraz położenia Rossjan, znajdujących się dość długo pod odkrytym niebem pomiędzy przedmieściami a murem obwodowym. Strata z naszój strony wynosiła 6 do 7 tysięcy zabitemi lub rannemi, Rossjan zaś, według najściślejszych obrachowań, 12 do 13 tysięcy.

Spustoszenie od ognia było znaczne, głównejsze magazyny były poniszczone, a straty, nadewszystko w towarach kolonialnych, były ogromne. Mieszkańcy byli powiększej części pouciekali, a ci którzy zostali, z braku czasu lub środków do ucieczki, zostawali zgromadzeni w głównym kościele Smoleńskim, stariej katedrze architektury bizantyńskiej, bardzo wstawionej pomiędzy Rossjanami. Znajdowały się tam kobiety, starcy dzieci, przejęte trwogą, obejmujące ołtarze i zalewające się łzami. Szczęściem pociski nasze oszczędziły poważną tę budowę i nie nabawiły nas tym sposobem smutku z powodu bezpożytecznego sprofanowania świątyni. Starano się uspokoić tych nieszczęśliwych i sprowadzić ich napowrót do ich domów, które nie zostały zniszczonemi przez pożar. Ulice przedstawiały okropny widok mnóstwa Rossjan zabitych i rannych pokrywających ziemię. Czcigodny lekarz Larrej kazał ich zbierać jednocześnie prawie z rannemi francuzkami, idąc w tém za popędem swej wrodzonej dobroci, oraz trzymając się swój szlachetnej polityki pielęgowania rannych nieprzyjacielskich, ażeby nieprzyjaciel pielęgnował ze swój strony naszych. Ale zawziętość narodowa, obudzona w wysokim stopniu przeciwko nam, czyniła to wyrachowanie jego prawie bezowocnem.

Wojsko nasze, pomimo upojenia walki i zwycięstwa, doznało, wchodząc do Smoleńska, przykrego wrażenia. Przedtém, w naszych

dalekich wycieczkach podbójczych, kiedy wkraczaliśmy do miast zdobytych, mieszkańcy, po pierwszej chwili trwogi, uspokojeni wrodzoną żołnierzowi francuzkiemu uprzejmością, powracali do swych domów, których nie myśleli niszczyć, i których zapasami pospieszali dzielić się z nami. Nie było pożarów prócz tych, które nasze bomby pomimo woli wzniecały. W tej ostatniej kampanji, nadewszystko po przejściu dawniej granicy państwa Moskiewskiego, znajdowaliśmy wszędzie pustynię i płomienie, a jeśli nieliczni mieszkańcy popadali w ręce nasze, przestrach i nienawiść malowały się na ich twarzach. Widząc te płomienie, tę pustynię, te trupy walające się po ulicach, żołnierze nasi zaczęli pojmować, że nie była to jedna z tych wojen, jakich wiele widzieli, i w których przez czyny świetne i ludzkość robrajano nieprzyjaciela. Poznali że była to cięższa walka. Ale popęd do rzeczy nadzwyczajnych unosił ich i pociągał: widok Napoleona przemawiał ich zawsze zapałem, i byli w tém przekonaniu, że rozpoczęli wyprawę zadziwiającą, która miała przewyższyć wszystkie wyprawy starożytnych.

Napoleon przebiegł konno przedmieścia i miasto, wstąpił potem na jedną z wież wznoszących się na murze obwodowym ze strony Dniepru, i z której można było rozpoznać co się działo po drugiej stronie rzeki. Ujrzał Rossjan zajmujących drugi brzeg, i będących jeszcze w posiadaniu nowego miasta, ale gotujących się wyraźnie do opuszczenia go, i nie myślących bronić się jak tylko przez czas potrzebny do oczyszczenia go. Zapewnić więc przejście Dniepru było głównem zadaniem tego dnia. Rossjanie zniszczyli most, który łączył stare miasto z nowem, jednakże nie przeszkodziło to naszym śmiałym żołnierzom przebywać rzekę po naczółkach palów niezupetnie spalonych. Niektórzy z nich użyli tego środka dla strzelania na tyraljerach po za Dnieprem, ale w krótkim czasie byli odparci lub wzięci w niewolę. Cesarz rozkazał jenerałowi Eble rzucić mosty, i ten pośpieszył użyć czynnie do tego swych pontonjerów i żołnierzy marszałka Neja.

Napoleon, chociaż wszędzie miał przewagę nad nieprzyjacielem, doznawał nawet pośród zwycięstwa, nawet wśród miasta zdobytego, smutnego zawodu. Był to trzeci z jego wielkich obrotów, co się nie udawał, od czasu rozpoczęcia tej kampanji. Dozwolił ująć cało Bagracjonowi przez Bobrujsk, starał się napróżno wyminąć Barklaj de Tollego pomiędzy Połockiem a Witebskiem, a dopiero po skutecznieniu jednego z najumiejętniejszych i najśmielszych obrotów dla obejścia obu armij połączonych Bagracjona i Barklaj de Tollego, zatrzymany

został obroną Smoleńska, który lubo upadł, naraził go na stratę dwóch dni: 16go i 17go sierpnia, a miał go jeszcze narazić na stratę trzeciego, t. j. 18go. Odtąd nadzieja przejścia za Dniepr dość wczesnie żeby ominąć lewe skrzydło nieprzyjaciela, musiała być płonna, gdyż należało obrócić przynajmniej dzień jeden na rzucenie mostów, a tymczasem Rossjanie posunęliby się dość daleko, żeby się zabezpieczyć od wszelkich naszych obrotów. Napoleon wprawdzie myślał jeszcze o znalezieniu brodu powyżej Smoleńska, i porucił to marszałkowi Żiuno, który zbłąkawszy się dnia 17go sierpnia, posunął się dość daleko w górę rzeki po naszym prawém ręką. Ale nie mogło zapobiedz temu, żeby Rossjanie nie wyprzedzili nas o jeden dzień drogi, i nie mieli wtedy otworem dróg wiodących do Petersburga i do Moskwy. Napoleon powrócił więc smutny i strapiiony do mieszkania przygotowanego mu w Smoleńsku, i mszcząc się za doznany zawód, ganił wielce niezręczność jenerałów nieprzyjacielskich, którzy poświęcili, według niego, 12,000 żołnierza bez żadnego słusznego powodu. W istocie, jeśli się nie dali powodować potężnemu uczuciu, postępowanie ich nie mogłoby być usprawiedliwionem, ale starając się obronić Smoleńsk ulegli niepokonanemu popędowi, a lubo zwykle rozum jest prawdziwem światłem, za którym iść należy tak w wojnie jak w polityce, potrzeba przyznać, że serce nie zawsze w błąd wprowadza, i że Rossjanie, zatrzymując nas dwa dni przed Smoleńskiem, uniknęli, nie domyślając się tego, najniebezpieczniejszej z kombinacji ich straszliwego przeciwnika. Chociaż stracili Smoleńsk i tysiące ludzi, mniej byli zasmuceni tym rezultatem niżeli Napoleon.

Sędziowie zbyt surowi, którzy po upadku Napoleona stali się surowszymi dla niego od samej fortuny, przypisali mu niepowodzenie jego zamysłów, tak głęboko wszakże obmyślanych jak wszystkie te, które nieśmiertelnify jego gienjusz. Robili oni mu wyrzuty, których fakta wyżej przytoczone mogą okazać niejaką gruntowność. Jakoż w projekcie otoczenia księcia Bagracjona, lub odosobnienia go przynajmniej na resztę kampanji, widzieliśmy, że Napoleon nie ocenił dość dokładnie trudności, jakie położenie kraju i odległości mogły przedstawiać połączeniu się króla Hieronima z marszałkiem Dawu, że za nadto źle obszedł się z swoim młodym bratem, i oddał za mało wojska w rozporządzenie marszałka. Można mu więc przypisać po części to pierwsze niepowodzenie. W projekcie przeciągnięcia przed obozem pod Dryssą, przebycia potem nagle Dźwiny pomiędzy Połockiem a Witebskiem, dla wyminięcia Barklaj de Tollego i wzięcia go z boku, wykonanie było odpowiedniem pomysłem, i można mu tylko zarzucić

jedną rzecz, to jest, że prowadząc ciągle wojnę, nauczył jej swoich nieprzyjaciół, którzy postrzegłszy w porę grożące im niebezpieczeństwo, potrafili go uniknąć. Wreszcie, w ostatnim projekcie, przyganiano Napoleonowi, że posunął za daleko swój ruch kołowy, że posunął go aż do przebycia Dniepra dla przejścia tej rzeki na powrót w Smoleńsku; mówiono, że powinien był zatrzymać się nie dochodząc do Dniepra, pójść w górę tej rzeki prawym brzegiem, w miejscu postępowania lewym jej brzegiem, i obejść Rossjan przez Nadwę. Ale fakta okazują że on rozważył wszystkie te okoliczności razem z marszałkiem Dawu, i że po dojrzałej już rozwadze postanowił iść lewym brzegiem, którego Rossjanie nie zajmowali, co mu przedstawiało sposobność prędszego i pewniejszego ich obejścia, chociaż drogą cokolwiek dalszą. Jakoż, okazuje się z biegu wypadków, że gdyby poszedł za zdaniem przeciwnym, znalazłby w Nadwie Bagrajona bijącego się z rozpaczą, że prawdopodobnie ściągnąłby w massie Rossjan na swe lewe skrzydło, i mógłby być sam przypartym do Dniepra. Fakta więc usprawiedliwiają go tu zupełnie. Iani sędziowie jeszcze dowodzili, że w miejscu starania się obejścia Rossjan z ich lewej strony, należało starać się obejść ich z prawej, to jest, przez Witebsk i Suraz; że powinien był przeto pójść w górę Dźwiny, potem rzucić się na Rossjan z ich prawej strony, i przyprzeć ich do Dniepra. Ale mappa przekonuje że wyrachowanie jego było lepsze od wyrachowania jego krytyków, gdyż odpierając Rossjan nad Dniepr, odparł by ich na most Smoleński, przez który przeszłby bez trudności, a następnie mogliby się udać swobodnie w głąb państwa przez prowincje południowe najżyźniejsze i przedstawiające najobszerniejsze pole do ciągłego odwrotu. Obchodząc ich przeciwnie z lewej strony, odpierając ich nad Dźwinę, zapierał ich w kąt utworzony przez Dźwinę i morze, i mógł ich tam zamknąć zupełnie. Dość było do tego żeby wyminawszy wyprzedził ich na jeden lub dwa dni drogi. Ten to był ważny powód, dla którego dążył ciągle do wyminięcia z lewej, a nie z prawej ich strony, Rossjan leżących obozem nad Dźwiną. Oczéwiscie, że przyczyną zawodu jego tutaj było to, że znalazł Rossjan będących na ostróżności, oraz że spotkał dzielny opór w Smoleńsku, i winić tu należy nie jego gienjusz wojenny, ale raczej to co nazywamy jego polityką, polityką, która wiodła go do lekceważenia miejscowości, jakakolwiekby ona nie była, i do przyprowadzania ludzi do rozpaczki skutkiem chęci panowania nad nimi. Owoż miejscowość zapoznana, ludzie przyprowadzani do rozpaczki nie czém inném są jak naturą rzeczy, opierającą się zwyciężko temu, który chce jej gwałt zadawać.

Podczas gdy Napoleon wracał do Smoleńska dla zajęcia się potrzebami swojego wojska, podczas gdy nasi pontonnierowie, pomimo silnego ognia tyraljerów, pospieszali z zaciągnięciem mostów, generałowie rossyjscy zajęci byli zabezpieczeniem swojego odwrotu. Należało się im spieszyć, gdyż droga do Moskwy, idąc na przestrzeni kilku mil prawym brzegiem Dniepra, wystawioną była na wszelkie poszukiwania Francuzów, którzy w końcu mogli odkryć brody rzeki, i przejść niemi dla zastąpienia im tej drogi. Ale jeśli potrzeba mało czasu dla zdecydowania się, kiedy się działa zgodnie z ogólną namiętnością, potrzeba więcej czasu, kiedy się postępuje wbrew niej. Barklaj de Tolli, który za każdym odwrotnym krokiem ranił uczucia swojego wojska, nie pierwój jak 18go wieczorem, kiedy nasze mosty były już skończone, zdecydował się oddać ostatecznie nowe miasto w ręce Francuzów. Zalecił więc księciu Bagracjonowi posunąć się naprzód dla zajęcia punktów najważniejszych drogi Moskiewskiej, którą Francuzi mogli próbować przeciąć, i porobił rozporządzenia dla pójścia w ślad za nim z główną armją. Ta droga wiodąca do Moskwy ciągnie się wprost na wschód, gdy się przebędzie otwór dwudziestu mil, o którym nieraz wspominaliśmy, i który znajduje się pomiędzy źródłami Dźwiny a źródłami Dniepra; spotyka ona tym sposobem dwa razy zakręty Dniepra, raz w Sołowjewie, o dobry dzień drogi od Smoleńska, a drugi raz w Dorohobużu, oddalonym od niego o dwa dni drogi. W Sołowjewie droga Moskiewska przechodzi z prawego brzegu Dniepra zajmowanego przez Rossjan, na lewy brzeg zajmowany przez Francuzów. Wojsko będące w odwrocie mogło więc być tam zatrzymanem. W Dorohobużu droga dotykała Dniepra po raz ostatni, i tam, po za Użą, małą rzeczką wpadającą do Dniepra, znajdowała się pozycja, którą, uprzedzając nas, dość korzystnie było zająć. Generał Barklaj de Tolli zalecił więc księciu Bagracjonowi posunąć się natychmiast na Dorohobuż, a sam postanowił udać się do Sołowjewa, mając wyruszyć 18go wieczorem, i iść przez całą noc, ażeby tam przybyć w porę. Ale ten odwrót, łatwy dla księcia Bagracjona, który był znacznie wyprzedził resztę armji, nie był takim dla generała Barklaj de Tollego, który znajdował się jeszcze w Smoleńsku, i miał z niego wystąpić zaledwo w ostatniej chwili. Nadto droga Moskiewska, szła prawie przez dwie mile tak blisko Dniepra, że była wystawioną na nagle wtargnięcie Francuzów. Generał Barklaj de Tolli powziął więc myśl dla uniknienia tego niebezpieczeństwa udać się drogami bocznymi, które ochroniłyby go od wszelkiej napaści, i wyprowadziły go na wielką drogę po przebyciu trzech lub czterech mil, niedaleko mia-

steczka zwanego Łubino. Podzielił zatem armję, zostając pod jego bezpośrednimi rozkazami, na dwie kolumny. Jedna, złożona z 5go i 6go korpusu, pod dowództwem generała Dochturowa, oraz z 2go i 3go korpusu jazdy, z całej rezerwy artyllerii, i bagażów, miała zrobić dłuższy krąg, i przejść przez Żykolino, dla wyjścia na gościniec w Sołowjewie. Druga, złożona z 2go, 3go i 4go korpusów, oraz z 1go korpusu jazdy, pod dowództwem generał-porucznika Tuczkowa, miała zrobić mniejszy krąg, i przejść przez Krachotino i Gorbunowo dla wyjścia na gościniec w Łubinie. Jednakże generał Barklaj de Tolli, który wysłał był gościńcem tylko cztery pułki kozaków pod generałem Karpowem, lękał się żeby tego nie było za mało dla zajęcia punktu Łubina, w którym droga boczna wychodziła na gościniec, wysłał więc generał-majora Tuczkowa 3go, brata tego, który dowodził drugą kolumną, z trzema innymi pułkami kozaków, huzarami Elizabethradzkimi, pułkiem Rewelskim, oraz 20ym i 21ym strzelców. Stanowiło to około 5 lub 6 tysięcy żołnierza wszelkiej broni, którym poruczono zająć wcześniej miejsce, w którym druga kolumna więcej narażona na niebezpieczeństwo niżeli pierwsza, miała wyjść na gościniec. Wyprawił te ostatnie oddziały gościńcem i bardzo rano, co mu wyszło na dobre, jak wkrótce zobaczymy. Po zrobieniu tych rozporządzeń, wyruszył z całą armją w nocy z 18go na 19ty, pozostawiwszy pod Smoleńskiem tylną straż dowodzoną przez generała Korffa.

Ku schyłkowi dnia 18go sierpnia Francuzi dokonali roboty około swych mostów, i zaczęli przechodzić przez nie za Dniepr w nocy z 18go na 19ty rano. Nej przebył rzekę z swoim korpusem dla ścigania nieprzyjaciela, a po nim Dawu ze swoim wojskiem. Napadnięto na tylną straż generała Korffa i silnie ją poparto. Po przybyciu na wzgórze prawego brzegu miano dwie drogi przed sobą: jedna idąca wprost na północ, prowadziła przez Porzeczce i Dźwinę w kierunku Petersburga; druga przeciwnie idąc na wschód, wzdłuż Dniepru, prowadziła przez Sołowjewo i Dorohobuż w kierunku Moskwy. Widziano jak na jednej tak na drugiej drodze tylne straż nieprzyjacielskie, co było rzeczą naturalną, gdyż główna armja Barklaj de Tollego, przeznaczona do postępowania bocznemi drogami, musiała iść czas jakiś drogą Petersburską, a przeciwnie oddział generała Karpowa, wysłany drogą najkrótszą dla zajęcia punktu wyjścia w Łubinie, musiał iść prosto drogą Moskiewską. Nej niepewny, pośpieszył ku oddziałowi najbliżej znajdującemu się, który szedł drogą Petersburską, natarł nań; odparł dość daleko. Działo się to pod wsią zwaną Gedeonowo. Generał Barklaj de Tolli widząc z przestachem Francuzów tak blisko sie-

bie, i gotowych mu przeciąć drogi boczne, któremi miały przejść dwie kolumny jego armji, nadbiegł natychmiast, i zalecił księciu Eugeniujszowi Wirtemberskiemu zachować ten punkt za jakąbądź cenę, ażeby dać czas wojsku pozostałemu przejścia tamtędy. Walczono więc w tém miejscu bardzo upornie ze strony Rossjan, którzy uważali ocalenie swe przywiązane do zachowania napastowanego stanowiska, z mniejszą zaś natarczywością ze strony Francuzów, którzy nie mieli żadnego oznaczonego celu, i starali się tylko przez liczne rekonesansse zapewnić się o kierunku w jakim się udał nieprzyjaciel. Rossjanie pozostali więc panami Gedeonowa.

Ranek tym sposobem upłynął, a tymczasem Napoleon przybył, i spoglądając już to ku północy, już ku wschodowi, poznał z ruchu ogólnego wojsk rossyjskich, że odwrót miał się uskuteczyć w kierunku Moskwy. Odwołał więc marszałka Neja, który ciągle walczył na drodze Petersburskiej, i wysłał go drogą Moskiewską, zapewniając go, że jeśli pospieszać będzie, odniesie przed końcem dnia jakie świetne zwycięztwo. Posłał w ślad za nim po tejże drodze Moskiewskiej część wojsk marszałka Dawu, dla podania mu pomocy w razie potrzeby, drugą zaś część pozostawił na drodze Petersburskiej, ażeby zasięgnąć wiadomości we wszystkich kierunkach, sam tymczasem powrócił do Smoleńska, dokąd go wzywały liczne zatrudnienia. Oczekiwał dla przedsięwzięcia stanowczego kroku na rezultat rekonesansów, które jego podwładni mieli wykonać.

Marszałek Nej, z swojemi trzema dywizjami, szedł w ślad za oddziałem rossyjskim, któremu poruczono zająć punkt wyjścia w Łubinie, i zostającym, jak powiedzieliśmy, pod dowództwem generał-majora Tuczkowa 3go. Doścignął go na wysokości płaszczyźnie Walutyny, gdzie według tradycij miejscowych Polacy i Rossjanie częste boje staczali. Rossjanie znając całą ważność danego im poruczenia, opierali się mężnie, ale zostali wyparci z płaszczyzny na małą dolinę nieopodal leżącą, przebyli ją w porządnym dość szyku, wstąpili na drugą płaszczyznę, którą spotkali na swój drodze, bronili się tam z równą dzielnością, byli znowu przełamani, i cofnęli się do ostatniego stanowiska, które postanowili bronić do ostatniego. Dalej bowiem znajdował się punkt wyjścia Łubino, i gdyby jeszcze cofnęli się o krok dalej, punkt ten, w którym druga kolumna Barklaj de Tollego miała wyjść na gościniec Moskiewski, wpadłaby w ręce Francuzów. Położenie miejsca sprzyjało Rossjanom, gdyż zajęli stanowisko za błotnistym ruczajem, i na pochyłości długiej i wyniosłej, okrytej w pewnych odległościach gromadami drzew i gęstemi zarosłami. Droga szła przez

ruczaj po moście, który Rossjanie zniszczyli, potem przerzynała samą wyniosłą pochyłość idąc przekopem między dwoma okrytymi lasem wzgórzami. Jenerał Barklaj de Tolli, przywołany przez jenerał majora Tuczkowa 3go nadbiegł sam, i na widok niebezpieczeństwa, ściągnął pospiesznie w to miejsce czoło drugiej kolumny, i rozkazał tej ostatniej przybywać jak najspieszniej. To czoło kolumny składało się z oddziału artyleryji z ośmiu działami, kilku pułków grenadjerów i nieco jazdy. Umieścić strzelców na brzegu strumienia i w krzakach, grenadjerów na prawo i na lewo przekopu, postawił silny oddział w poprzek drogi, i wysłał licznych oficerów z żądaniem pomocy u oddziałów bliżej znajdujących się

Marszałek Nej stanawszy po południu przed tą trzecią pozycją, postanowił ją zdobyć. Użył do tego dywizji piechoty Razu i Ledriu i usiłował wedrzeć się na pochyłość obstawioną działami, ale nie potrafił tego dokazać. Było to rzeczywiście bardzo trudne do uskutecznienia. Dla zdobycia pozycji, należało opanować drogę zstępującą nieco na prawo do pewnego rodzaju błota, przechodzącą potem strumień po moście, który Rossjanie zniszczyli, i wznoszącą się wreszcie pośród zarośli zapelnionych tyraljerami na pochyłość obsadzoną wojskiem i artylleryją. Nej odpart wrpawdzie przednie strażę rosyjskie aż za strumień, ale dla przebycia tego strumienia, na którym nie było mostu, potrzebował znacznych posiłków. Powziął więc zamiar zarzucić pospiesznie mały most, a tymczasem posłał do Napoleona żądając pomocy. Silna kanonada zapelniała przerwę pomiędzy ranną walką a tą która miała nastąpić przy schyłku dnia.

Tymczasem Miurat, przebiegłszy okolice w rozmaitych kierunkach, nadejgnął z kilku pułkami jazdy drogą Moskiewską, i był bliskim połączenia się z Nejem. Z uno, któremu poruczono, w skutek zajmowanego przezeń dni poprzedzających stanowiska, przebył Dniepr powyżej Smoleńska, przebył go w Prudyczewie, i znajdował się z boku Rossjan. Z pięciu dywizji marszałka Dawu, dwie były w pochodzie drogą Moskiewską, z których jedna, jenerała Giude, mogła jeszcze w porę przybyć. Jakoż przybyła istotnie około godziny 5ej po południu do małego mostu, który już zarzucono, i natychmiast przygotowała się do ataku. Ale nim to nastąpiło, czas drogi był stracony, i Rossjanie znacznie zostali wzmocnieni. Barklaj de Tolli ściągnął prawie całą swoją drugą kolumnę, oprócz korpusu Bagrowuta, który się opóźnił skutkiem bitwy pod Gedeonowem. Korpusy 3ci i 4ty, to jest, Tuczkowa i Ostermanna, skoro dotarły Łubina, i ostatecznie zostały w linii bojowej z tyłu, na prawo i na lewo drogi. Jazda umie-

szczoną została opodal na lewém skrzydle, naprzeciw wsi Prudyczewa, gdzie Żiuno dopiero co przebył Dniepr. Pozycja więc stała się nadzwyczaj trudną do zdobycia, gdyż była bronioną przez 40,000 blisko żołnierza i przez silną artylleryję. Nej miał tylko rzeczywiście w swójem rozporządzeniu dwie dywizje piechoty, Razu i Ledriu, zmniejszone do 12,000 żołnierza utarczkami dnia poprzedzającego, i dywizję Giudę, która, po wzięciu Smoleńska, nie liczyła więcéj nad 8,000 bagnetów. Trzy tysiące jazdy Miurata były opodal na prawo, szukając przejścia przez błota rozciągające się wzdłuż Dniepra dla wystąpienia z lewego boku Rossjan, a 10,000 Westfalczyków marszałka Żiuno miały tyle trudności wydostania się z błot, iż było rzeczą wątpliwą, żeby mogły przybyć w porę na pole bitwy.

Przeszkody te nie zatrzymały ani marszałka Neja, ani jenerała Giudę. Ten ostatni stanął śmiało na czele swojej dywizji dla zdobycia za jakąbądź cenę rodzaju wawozu, znajdującego się po za małym mostem. Jakoż należało, jak powiedzieliśmy wyżej, przebyć błoto, przejść most pod ogniem tyraljerów kryjących się w krzakach, wdrzeć się potem na wyżynę przekopem obsadzonym z obu stron artylleryją, i wystąpić wreszcie na płaszczyznę, gdzie Rossjanie uszykowani byli w głębokich massach. Jenerał Giudę sformował swą dywizję w kolumny atakowe, gdy tymczasem marszałek Nej z dywizją Ledriu był w gotowości wspierać go, dywizja zaś Razu nacierała na nieprzyjaciela z lewéj strony, a na prawo Miurat galopując z swoją jazdą szukał swobodnego przejścia przez błota.

Po daniu znaku, Giudę rusza z swemi kolumnami piechoty, które przebywają most przy odgłosach *Niech żyje Cesarz!* i wytrzymują bez zachwiania się, z boków ogień tyraljerów, a z frontu ogień artylleryji nieprzyjacielskiej, ustawionej na wzgórzach. Przebywają one most szybkim krokiem, wstępują na wyżynę, i spotykają oddział grenadierów, który ich przyjmuje ostrzem bagnetów. Rzucają się na nich, odpierają ich, i występują wreszcie na płaszczyznę. Lecz tu nowe bataljony nacierają na nich i zmuszają ich do cofnięcia się. Mężny Giudę wiedzie ich znowu naprzód, i zacięta walka zawiązuje się wtedy pomiędzy strumieniem a podnóżem wyniosłości. Żołnierze rzucają się na siebie, chwytają się oburącz, lub walczą bronią zimną. Pośród téj straszliwéj utarczki, Giudę zsiada z konia, i ze szpadą w rękę prowadzi do boju swych żołnierzy; w tém ugodzony kulą, która mu roztrząskała nogę, pada na ręce swoich oficerów, naznaczając swoim zastępcą jenerała Żerar (Gérard). Ten oficer (1), rzadkiéj energii, obejmuje do-

(1) Jest to ten sam, którego pokolenie obecne tak słusznie uczciło tytułem marszałka.

wództwo, prowadzi swych żołnierzy znowu na nieprzyjaciela, wdziera się na wzgórze, i ukazuje się po raz drugi na płaszczyźnie. Nej wspiera go z dywizją Ledriu, i na chwilę zdają się być panami pozycji. Ale nowe oddziały Rossjan pospieszają na wydarcie im onéj, i czynią jeszcze raz wątpliwą przewagę naszego oręża.

Tymczasem Miurat nadbiega z prawej strony w zamiarze obejścia pozycji i napotyka Żiuno, który się był przeprawił przez Dniepr i oczekiwał napróżno na rozkazy, nie chcąc bez nich posuwać się dalej. Miurat przynagla go, żeby uderzył z boku na Rossjan zajmujących wzgórze, które Nej i Żerar starali się opanować z frontu. Niestety, Żiuno dręczony doskwierającym upałem, dotknięty chorobą, z której później umarł, a która była skutkiem rany odniesionej w głowę w Portugalji, Żiuno nie miał swój zwykłej dzielności. Szuka po omacku drogi przez grunt błotnisty, który go oddziela od nieprzyjaciela i stara się ułatwić sobie przejście rzucając faszyny w błoto. Miurat naciera oddzielnie na część jazdy rosyjskiej znajdującej się w pobliżu, ale nie może na tym gruncie zastąpić miejsca piechoty. Nagli o pośpiech marszałka Żiuno, krzyczy, unosi się, ale nie zdoła uczynić gruntu twardszym, albo marszałka skorszym.

Jednakże w głównym punkcie ta zacięta walka ma się ku końcowi. Barklaj de Tolli, probując ostatniego wysilenia, wysłał mężną dywizję Konownicyna na dywizje Giudę i Lebrę, dowodzone przez Żerara i Neja, ażeby wyprzeć je z płaszczyzny, którą potrafiły opanować. Żerar i Nej wytrzymują atak, cofają się na chwilę przed jego gwałtownością, ale powracają do boju, rzucają się z wściekłością na piechotę rosyjską i zmuszają ją do ucieczki. O dziesiątej godzinie wieczorem zostają wreszcie panami pozycji. Dywizja Razu łączy się z niemi, i Miurat ze swój strony, przebywszy wszelkie przeszkody, rozwija swe szwadrony na płaszczyźnie i ostatecznie zmusza Rossjan do cofnięcia się.

Ta krwawa potyczka, która pozyskała miano bitwy pod Walutynem i jest jedną z najbardziej morderczych w tym wieku, kosztowała 6 do 7 tysięcy żołnierza Rossjanom i tyleż Francuzom. Należy się cofnąć pamięcią do bitw pod Hollabrunn, Ejlau, Ebersberg, Essling, ażeby znaleźć co podobnego. Niestety, była ona bez celu, skoro nie można było zapobiedz żeby Rossjanie przeszli Dniepr w Sołowjewie i miała tylko tę korzyść, że zapewniła nam przewagę oręża.

Kiedy Napoleon dowiedział się o tém co zaszło, zdziwiony był uporczywością téj walki, i głęboko zasmucony że chybił tak pięknej zręczności zachwycenia całej kolumny armji rosyjskiej, coby udzieli-

ło wzięciu Smoleńska ważności wielkiego zwycięstwa i uwolniło go od szukania dalej świetnego tryumfu. Nazajutrz 20go, o godzinie trzeciej rano, pojechał na pole bitwy, ażeby się przekonać własnymi oczyma, jaką była bitwa pod Walutyнем i jaką mogła być, oraz wynagrodzić wojska, których sławiono energję. Na widok pola bitwy, uderzony był dzielnością, jaką wojska te musiały rozwinąć, o czém można było wnosić z liczby i miejsca poległych, jako też z położenia miejsc. Wstąpiwszy na płaszczyznę i rzuciwszy oczyma na prawo, rozgniewał się wielce na Żiuno, na powolność, którą mu zarzucano, powolność, która się przyczyniła do ocalenia Rossjan, gdyż obchodząc ich z téj strony, skróconoby niezmiernie ich opór, i zdołanoby może znaczną ich liczbę wziąć w niewolę. Ale nie powiedziano mu że droga była błotnistą i trudną do przebycia, nie przypomniáno mu, iż sam był winien, że pozostawił Żiuno bez rozkazów, miano okrucieństwo podżęgać go przeciw chorobliwej bezwładności tego starego towarzysza broni, tak że w pierwszej chwili postanowił odebrać mu dowództwo i postawić na czele Westfalczyków generała Rapp. Powróciwszy pośród zakrwawionych biwaków dywizji Giudę, kazał stanąć wojskom w okrąg, rozdał im nagrody i okazał wielkie oznaki współczucia dla mężnego generała Giudę, który był konającym. Ten znakomity generał, który od wielu lat z generałami Moran i Frjan podzielał chwałę marszałka Dawu, był, z powodu swéj bohaterskiej odwagi, swéj nieporównanéj dobroci, swojego ukształconego umysłu, przedmiotem szacunku dla oficerów i powszechnego przywiązania dla żołnierzy. Śmierć jego opłakiwaną była w armji, jako strata ogólna, wszystkich zarówno obchodząca.

Po powrocie do Smoleńska, Napoleon nie mógł się ochronić od bardzo smutnych uwag. W téj kampanji, którą uważał jako stanowczą w swoim życiu, jako ostatnią w razie gdyby była szczęśliwą, i dla której porobił tak ogromne przygotowania, gienjusz jego nie otrzymał jeszcze żadnej oznaki sprzyjania losu. Jego najpiękniejsze obroty zostały chybione, gdyż jak widzieliśmy wyżej, Bagracjon oddzielony od Barklaj de Tollego skutkiem zręcznych kombinacji, zdołał wreszcie z nim się połączyć; Barklaj de Tolli, którego miano wyminąć i obejść w Połocku, potem w Smoleńsku, wychodził dopiero w towarzystwie Bagracjona, na drogę moskiewską. Wszędzie zaiste nieprzyjaciół był mocno pobitym; był nim w Dzewałtowie w Mohilewie, w Ostrownie, Połocku, Inkowie, Krasnem, Smoleńsku i Walutynie. Zabito mu lub raniono trzy razy tyle żołnierza, co straciliśmy sami i bez żadnej wielkiej batalji, odparto go od Niemna do Dniepru

i Dźwiny, co zapewniało nam zajęcie całej dawniej Polski, z wyłączeniem tylko Wołynia. Ale zbywało dotąd orężowi Napoleona na tę piorunującą szybkość, która zwykle mu towarzyszyła i czyniła go niepokonanym, zbywało mu w chwili, kiedy ona była najpotrzebniejszą dla powstrzymania tylu nieprzyjaznych ludów, przez których ziemię należało przechodzić, tylu sprzymierzonych ludów, których wierność była nieodbitnie potrzebna. Bez wątpienia, sądząc ze zwyczajnego biegu rzeczy ludzkich, było to nie małym rezultatem, odebrać nieprzyjacielowi jego najważniejsze prowincje, zmusić go wszędzie do odwrotu, przywieść go do niemożności stawienia gdziekolwiekbyś stanowczego oporu; ale dla zwycięzcy przywykłego do zadawania ciosów zdumiewających wyobraźnię ludzką, zdawało się czegoś brakować w samych początkach tej wojny, brakować czegoś, jeśli nie istotnego, to przynajmniej świetnego, i coby utrzymało w całej świetności urok jego potęgi. Napoleon znał to dobrze, lubo się z tém nie wydawał i był tém mocno strapiiony. Lubo wszędzie zmusił Rossjan do odwrotu i pod tym względem nie pozostawiał im wyboru, widział jednakże wyraźnie że pośród wielu ruchów sprzecznych, był u nich tajemny zamiar przeniesienia wojny w głąb' Rossji. Ten zamiar, pomimo niektórych pozornych sprzeczności, które Napoleon mógł sobie łatwo wyjaśnić, był widocznym i w głównym sztabie armji, wiele osób, niespokojnych już względem charakteru tej wojny, zauważało to i zwracało na to uwagę Napoleona, kiedy ten zaczął rozmawiać z nimi o chodzie ogólnym kampanji. Ale chociaż sam nie miał pod tym względem żadnej wątpliwości, zaprzeczał tej taktyce Rossjan, którą mu wskazywano, jak się zaprzecza niebezpieczeństwu, które radzibyśmy ukryć przed samemi sobą, i nie przestawał dowodzić, że Rossjanie dla tego ustępowali, iż nie mogli działać inaczej, że byli zwyciężani, i że ich mniemana taktyka nie była czém inném jak niepodobieństwem stawienia nam czoła.

Albo nie wierzył sam, albo przynajmniej bardzo mało, temu co mówił w tym przedmiocie i widząc szeregi swojej armji rzędniejące, nawet po wystąpieniu już z Witebska, więcej skutkiem marszów niżeli ognia, pojmował dobrze niebezpieczeństwo przeniesienia wojny dalej.

Zdaje się że gdy myślał podobnie, pozostawał mu bardzo prosty środek zapobieżenia temu niebezpieczeństwu, to jest, zatrzymania się nad Dźwiną i Dnieprem, chlubienia się głośno z znacznych zaborów jakie poczynił, rozszerzenia ich nawet wysyłając generała Renje na opanowanie Wołynia, użycia jesieni i zimy na

przeniesienie w tym przeciągu czasu swych magazynów z nad Niemna do Dniepru i Dźwiny, wybrania i obwarowania swych leż, przygotowania wreszcie wszystkiego na nową kampanję, którąby odłożono do roku następnego, w którym posunięto by się jeszcze naprzód na sto mil, sto mil stanowczych, jeśliby przebyto je szczęśliwie, gdyż tą razą zaprowadziłyby one do Moskwy lub Petersburga. Myśli te, które nastęrczały się w Witebsku, musiały tém bardziej nastęrczać się w Smoleńsku, na granicy Starój Rossji, po wzięciu ważnego miasta, zdobytego orężem na dwóch połączonych armjach rossyjskich, po bitwie upornój i pomyślnój pod Walutynem i wreszcie w porze już spóźnionej roku, gdyż znajdowano się w ostatnich dniach Sierpnia.

Więcej nizeli ktokolwiekbaż w świecie, Napoleon zdolnym był sądzić w kwestji tak ważnej, tak zawikłanej i dla rozstrzygnięcia której należało wziąć w uwagę tyle względów administracyjnych, wojennych i politycznych. Zaiste w tym rodzaju wojny powolnej i metodycznej było coś nowego, co mogło podobać się jego umysłowi, coś głębokiego, co mogło razem zdumiewać jego wyobrażnię. Zresztą, zniszczenie hrabiego Wittgenstejna po lewém ręku, generała Tormasowa po prawém, wzięcie z jednej strony Rygi, z drugiej opanowanie Wołynia, odjęto by końcowi tój kampanji wszelki charakter bezwładności, bezsilności lub niepowodzenia. Ale po popełnieniu błędu przejścia tak znacznej przestrzeni przez kraje nieprzyjazne, prowadząc z sobą tylu wątpliwych sprzymierzeńców, pozostawiając na drugim krańcu Europy wojnę źle prowadzoną, wojnę hiszpańską, po popełnieniu tego błędu, Napoleon czuł go głęboko, zanadto może głęboko, teraz kiedy błąd ten był nie do poprawienia, i był mocno zatrwożonym niebezpieczeństwem tego szczególnego położenia. Powtarzał sobie z większym smutkiem to, nad czém się już był zastanawiał w Witebsku, i zapytywał siebie, co pomyślą, co przedsięwzema Prusacy, Austriacy, Niemcy, Hollendrzy, Włosi, gdy go zobaczą zatrzymującego się na całą zimę ośmio-miesięczną, zatrzymującego się przed przeszkodami, które každy będzie mógł sobie wytlómaczyć według swojego sposobu widzenia i utrzymywać że jeśli one były niepokonanemi w tym roku, będą takiemiz i na rok następny? Państwo jego nie miałoż się zachwiać całe w jego ręku, jakkolwiek ta ręka była potężną i zdołaż utrzymać w całości części tak różnorodne, tak skłonne do rozpadnięcia się? Leże te nad Dźwiną i Dnieprem, o których mu bezustannie mówiono, będąż, jak to nieraz już powtarzał, tak łatwe do ulokowania, do bronienia, do zaopatrzenia w żywność, na linji trzysta mil, od Bobrujska

do Rygi? Rzeki te pokryte lodem zimą, będąż stanowić granicę od ostatnich dni października do pierwszych dni kwietnia? Jakim sposobem jego żołnierze, dotknięci już chorobą nieznaną dotąd pomiędzy nimi, dezercją z pod chorągwi, pozostaną nieruchomymi, bezczynnymi, przez te ośm miesięcy tak przykrój i nudnej zimy? On, ich zwykły wódz, pozostanież pośród nich? Jeśli nie pozostanie, któż zdoła mieć władzę nad nimi, utrzymać ich w karbach, ubezpieczać? A jeśli pozostanie, czyż prawica jego będzie tak potężną, że z pośród tego trudnego położenia da się uczuć w Rzymie i Kadyksie?

Były to względy bardzo ważne, na które mało zwracają uwagi ci co ganią Napoleona, że nie skończył tej pierwszej kampanji w Smoleńsku, i które dowodzą, że niebezpieczeństwo tej wojny było raczej w samym przedsięwzięciu, niżeli w takim lub innym sposobie jej prowadzenia. Te uwagi wprawiły Napoleona w głębokie zadumanie, zadumanie tém posępniejsze, że nie zostawało już wtedy, jak w Witebsku, czasu do namysłu, ale należało się niezwłocznie zdecydować. Jednakże, chociaż nie pozostawało ani chwili do stracenia, pewne okoliczności mogące zająć niebawem, mogły przechylić szalę na jedną lub drugą stronę i uwolnić od własnego wyboru, który był niezmiernie trudnym, niedogodnym, niebezpiecznym, gdyż w razie złego wyboru groziła zguba prawie nieuchronna. Temi okolicznościami były: postawa nieprzyjaciela po za Smoleńskiem, skłonność jakąby on okazywał do walczenia lub cofania się, położenie generałów pozostawionych na skrzydłach wielkiej armji, marszałka Udino w Połocku, księcia Szwarzenberga i generała Renje w Brześciu, a wiodących uporczywe walki. Gdyby nieprzyjaciel zdawał się chcieć stoczyć bitwę, nie było co wahać się, należało natychmiast przyjąć wyzwanie. Gdyby marszałek Udino, lub książę Szwarzenberg i generał Renje, byli zwyciężonymi, należało im podać pomoc; jeśliby byli zwycięzcami, można byłoby swobodniej postępować naprzód.

Kilka dni wystarczyło, ażeby się dostatecznie objaśnić względem tych rozmaitych przedmiotów, i Napoleon, nie chcąc jeszcze krępować siebie, postanowił przebyć trzy lub cztery dni w Smoleńsku, dla zasiągnięcia wiadomości, jakich potrzebował i przepisania środków nieodbicie potrzebnych, w razie gdyby się miał posunąć dalej. Zalecił przeto Miuratowi i marszałkowi Dawu, dwóm ludziom najbardziej niepodobnym do siebie w całej armji, a z których każdy wpływał korzystnie na drugiego, wyruszenia w pochód, jednemu z dwoma korpuserami jazdy, drugiemu z pięcią dywizjami piechoty, dla postępowania

w ślad za nieprzyjacielem, i odkrywania o ile można najdokładniej jego zamiarów. Marszałek Nej, który był w przedniej straży od Witebska, potrzebował wypoczynku dla swych dywizyj, i zresztą był zadowolony, żeby można było polegać w tej okoliczności na jego sądzie. Napoleon rozkazał mu, po wzięciu jednego lub dwóch dni odpoczynku, iść w ślad za Miuratem i Dawu, ale trzymając się w pewnej od nich odległości. Wysłał księcia Eugenjusza cokolwiek na lewo głównej armji, ku Duchowszczyźnie, dla oczyszczenia kraju pomiędzy Dnieprem a Dźwiną i zasiągnięcia z téj strony wiadomości o zamiarach Rossjan. Dość więc było jednego dnia, żeby się cała armja zgromadziła i gotową była do waleczenia, gdyby na jej szczęście Rossjanie skłonni byli wydać bitwę. W każdym razie można było w prędkim czasie zasięgnąć dokładnych wiadomości, i gdyby bitwa tak gorąco pożądana nie mogła być stoczona, można się było cofnąć, gdyż trzy lub cztery marsze, które uczynionoby naprzód, nie mogły przeszkodzić do powrotu w razie potrzeby, i nie przyniosłyby zresztą wielkiej szkody w téj porze roku, przy środkach transportu, jakie miano jeszcze w swém rozporządzeniu.

Po wydaniu tych rozkazów, Napoleon rozlokował się w Smoleńsku, dla przedsięwzięcia środków w podwójnem przypuszczeniu, albo nowego zaczepnego pochodu, albo ostatecznego rozlokowania się na Litwie, nadewszystko dla czuwania co się działo na jego skrzydłach i podania pomocy, gdzieby tego okazała się potrzeba.

Jakoż wiadomości przychodziły co chwila z prawego i lewego skrzydła, z Brześcia i Połocka i były zadawalniające. Oto jak rzeczy miały się w tamtych stronach.

Jenerał Renje cofnął się do Słonima, żeby pójść na spotkanie księcia Szwarcenberga, któremu wysłany był, jak widzieliśmy, rozkaz odstąpienia ku Bugowi, i połączenia się z Sasami dla odparcia jenerała Tormasowa na Wołyń. Połączenie się Sasów z Austrjakami nastąpiło 3go sierpnia, i wtedy jak jedni tak drudzy pod rozkazami księcia Szwarcenberga udali się na Prużany i Kobryń, tam właśnie gdzie niepomyślny wypadek spotkał oddział saski, napadnięty zniemacka przez jenerała Tormasowa. Jenerał Renje, po swoich marszach i kontrmarszach, po wypadku w Kobryniu, który mu kosztował 2,000 żołnierza, po odkomenderowaniu prawie całej swojej jazdy do korpusu Latur-Mobura, po odesłaniu jednego pułku saskiego na Pragę (pod Warszawą), liczył nie więcej jak 11,000 żołnierza, z których 1,500 jazdy. Książę Szwarcenberg ze swój strony, skutkiem dłuższej drogi jaką od-

był, nie miał więcéj jak 25,000 Austrjaków. Ogół wojsk sprzymierzonych na tym punkcie wynosił więc około 36,000 żołnierza. Liczono go daleko więcéj u jenerała Tormasowa, ale miał on zaledwo tyleż wojska będąc zmuszonym pozostawić znaczny oddział w Mozyrzu dla strzeżenia swych tyłów. Dla tego nie zaniechał cofać się, lękając się odpokutować za swe ostatnie powodzenie klęską cięższą niżeli ta, którą niedawno zadał był Sasom. Pospieszył więc wrócić tą samą drogą na Kobryń i Pińsk, dla zastonienia się Bugiem, Prypecią i wszystkimi słynnemi błotami tych okolic.

Austrjacy i Sasi, postępując bardzo zgodnie z sobą jako Niemcy, jako ludzie wzajemnie siebie potrzebujący, opanowali mnogie ciasne przejścia, które się spotykają w téj krainie pełnéj błot i lasów, i ścigali pośpiesznie armję rossyjską. 11go sierpnia wieczorem stanęli w miasteczku zwaném Horodeczna, o kilka mil od Kobrynia, i znaleźli tam Rossjan rozlokowanych w dobrej pozycji, z widoczném postanowieniem bronicia się tam. W Horodecznie, droga Kobryńska wspinana się na wyniosłość dość znaczną, której podnóże obmywane było strumieniem błotnistym i trudnym do przebycia. Na téj to wyniosłości jenerał Tormasow zatrzymał się z 36,000 piechoty i 60 armatami. Książę Szwarzenberg i jenerał Renje rozpoznawszy trudność zdobycia téj pozycji z frontu, szukali po prawém rękę przejścia, któreby im dozwoliło obejść lewe skrzydło nieprzyjaciela. Jakoż nieco w prawo, pod wsią zwaną Podubie, było przejście prowadzące na lewe skrzydło Rossjan, ale należało tam zawsze przechodzić błotnisty strumień, i zresztą Rossjanie mieli go na oku. Jednakże nieco dalej, na pochyłości wzgórza, które należało opanować, znajdował się las niezajęty przez nieprzyjaciela, i w środku tego lasu droga boczna, wychodząca o milę dalej na gościniec Kobryński.

Jenerał Renje, chociaż mężny śród ognia, ale któremu brakowało charakteru na wojnie, był jednakże pełnym nauki i biegłym taktykiem. Odkrył on wkrótce błąd nieprzyjaciela i proponował księciu Szwarzenbergowi korzystać z tego, wkraczając niżej Podubia w las zaniechany przez Rossjan, i obchodząc tym sposobem ich pozycję. Książę Szwarzenberg pełen najlepszych chęci, co ułatwiało niezmiernie bieg wypadków, zgodził się na tę propozycję, i poruczył jenerałowi Renje dywizję austrjacką dla zapewnienia dobrego powodzenia zamierzonemu obrotowi. Przydał nawet do niéj większą część swojej jazdy, której nie mógł użyć w miejscu, gdzie się znajdował. Umówiono się, że nazajutrz rano 12 sierpnia, książę z główną częścią swych sił za-

atakuję silnie Horodeczno z frontu, dla ściągnięcia w tę stronę uwagi Rossjan, gdy tymczasem generał Renje dzielnie natrze z lewego boku dla obejścia pozycji.

Umówiwszy się tym sposobem, generał Renje wkroczył śród nocy do wspomnianego lasu, rozlokował się w nim, i o świcie wystąpił nagle na małą równinę, za którą kończyła się, zniżając się wyniosłość zajmowana przez Rossjan. Ci, z punktu wyniosłego Horodeczna, postrzegłszy wcześniej pochód Sasów, pozostawili w Horodecznie część swoich sił dla oparcia się z frontu księciu Szwarzenbergowi, a cofnęli resztę na lewy bok, dla stawienia czoła generałowi Renje. Na tej to podwójnej linii walczone przez cały dzień 12 sierpnia.

Księżę Szwarzenberg zaatakował silnie Horodeczno, ale nie mając wielkiej nadziei opanowania go, gdyż Rossjanie zajmowali wzgórze z liczną artyllerią. Jednakże Austriacy sprawili się dzielnie, jak gdyby walczyli we własnej sprawie. Na prawo, generał Renje wystąpiwszy z lasu, znalazł Rossjan uszykowanych w szubienicę, i odwróconych frontem tak z jednej jak z drugiej strony. Usiłowania jego dla przełamania ich były energiczne lecz bezpożyteczne, bo chociaż Sasi bili się również dobrze jak Polacy (z którymi łączyła ich wspólność interesu), byli ciągle wstrzymywani ogniem przemagającej artyllerii. Nawzajem, kiedy Rossjanie chcieli odeprzeć ich do lasu, generał Renje zmuszał ich do cofnięcia się na wzgórze, z których probowali zstąpić.

Przepędzono by dzień cały walcząc bez rezultatu, gdyby księżę Szwarzenberg nie przedsięwziął ataku na punkt środkowy Podubia, który był więcej zbliżony do lewego boku Rossjan. Pułk austriacki Kollaredo połączywszy się z strzelcami saskimi, poszedł wraz z nimi przez błoto, brnąc w niem po kolana, przebył je, i wdarł się na wyniosłość w chwili najzaciętszej walki Rossjan z korpusem generała Renje. Na ten widok Rossjanie zachwiali się, a generał Renje korzystając ze zrzeczności, natarł na nich dzielnie jeszcze z Sasami i dywizją austriacką oddaną pod jego rozkazy. Posunął się tym sposobem z lewego ich boku, i jednocześnie wysłał całą swą jazdę na swe krańcowe prawe skrzydło, dla zajścia tyłu nieprzyjacielowi, zagrażając tym ruchem przecięciem wielkiej drogi Kobryńskiej. Rossjanie lękając się być odciętemi, wypuścili swą jazdę na jazdę sprzymierzonych, i po kilku pomyślnych i niepomyślnych utarczkach, uznali za rzecz roztrozną, nie bronić dłużej pozycji, trudnej do zachowania. Noc sprzyjała ich odwrotowi, i przeszkodziła wojsku austriacko saskiemu użytkowania z odniesionych korzyści. Pomimo to, zwycięstwo było niezaprzeczenie

po jego stronie, gdyż oprócz zajęcia stanowiska tak gorliwie bronionego i opanowania drogi Kobryńskiej, przyczyniło Rossjanom niemało straty. Straciło ono samo około 2,000 żołnierza w zabitych lub rannych. Rossjanie stracili więcćj jak dwa razy tyle, z których 500 niewolnika (1).

Potyczka ta, gdyby umiano z nićj korzystać, dozwalała odeprzeć Rossjan na Wołyń, ścigać ich tam nawet, przeszkodzić im przynajmniej powrócić ztamtąd, w razie gdyby ich siły nie zostały podwojone przybyciem wojska z Turcji. W obecnej chwili, musiała ona uspokoić trwogę Polaków, i dostateczną była dla zabezpieczenia naszego prawego boku. Napoleon, odebrawszy o tćm wiadomość w chwili swojego wejścia do Smoleńska, doznał prawdziwćj radości, posłał armji austrjackićj w darze 500,000 franków (był to drugi dar tćjżę wartości), dołączył do tego wiele krzyżów, i napisał do Wiednia prosząc o udzielenie księciu Szwarzenbergowi buławy marszałkowskicj. Jednakże nie mógł pozostawać w złudzeniu względem istotnej siły tego skrzydła, które musiało być zmniejszone skutkiem ostatniej bitwy do 32 lub 33,000 żołnierza, prosił więc swojego teścia o nadesłanie jeszcze 3,000 żołnierza jazdy, i 6,000 piechoty, co z niektórymi posiłkami żadanymi tćż od Warszawy, mogło podnieść liczbę wojska księcia Szwarzenberga do 45,000 żołnierza, licząc w to Sasów. Nie chcąc przypuszczać, żeby Tormasow miał więcćj nad 30,000 żołnierza, uważał siłę 45,000 za dostateczną dla odparcia go na Wołyń, i oswobodzenia nawet tćj prowincji.

Wypadek ten musiał koniecznie wpłynąć na pierwsze postanowienie Napoleona, to jest, przywołania księcia Szwarzenberga do wielkicj armji, stosownie do chęci Césarza Austrjackiego i swoich własnych widoków, gdyż Polakom, nie Austrjakom, chciał powierzyć straż tyłu armji. Ale narząca księcia Szwarzenberga na przebycie najmniej sto dwudziestu mil drogi dla sprowadzenia go do Smoleńska, narząca księcia Poniatowskiego na odbycie takicjżę drogi dla odesłania go ze Smoleńska do Kobrynia, paraliżować tym sposobem przynajmniej na cały miesiąc te dwa korpusy w chwili najbardziej stanowczćj kampanji, skazywać ich na stracenie czwartćj lub piątćj części obecnego pod chorągiewami żołnierza skutkiem tych nowych marszów, byłoby rzeczą całkiem nieroztropną; zresztą, postępowanie Austrjaków

(1) M. Danilewski przypisując zwycięztwo Rossjanom, którzy utrzymali się na pozycji, powiada, że strata ich w tćj bitwie wynosiła tylko 1,300 ludzi (I. 339).

(Przyp. Tłom.)

w Horodecznem, dzielność ich przeciw Rossjanom, przyjazne ich stosunki z Sasami, zasługiwały na niejaką ufność. Nie należało wprawdzie spodziewać się po nich czynnych współdziałaczy na Wołyniu, ale można było, bez zbytniego zarozumienia, polegać na ich honorze, że strzedz będą wiernie naszego prawego boku i naszego tyłu.

Wypadki nie mniej pomyślne były na naszém lewém skrzydle, od strony Dźwiny. Marszałek Udino, po porażkach zadanych hrabiemu Wittgensztejnowi w dniach 24 lipca i 1go sierpnia, cofnął się, jak widzieliśmy, do Połocka, ażeby udzielić swojemu wojsku odpoczynku, obracć pozycję łatwą do bronienia, i mieć dogodność furazowania pod zastoną Dźwiny. Napoleon lękając się słusznie skutku moralnego ruchów wstecznych, i mając przesadzone wyobrażenie o zasobach udzielonych swym dowódcom, napisał z wyrzutami do marszałka Udino, powiadając mu, że cofając się po zwycięztwie, przyjął na siebie postawę zwyciężonego, którą należało zostawić hrabiemu Wittgensztejnowi, jako właściwszą dla niego. Wprawdzie uwaga ta była słuszną, ale niemniej prawdziwą było rzeczą, że wojsko marszałka Udino było wyniszczone, zmniejszone z 38.000 na 20,000 skutkiem pędobdów, upałów i dezercji, i że potrzebowwały spokojnego pobytu w Połocku dla odpoczynku i przeżycia. Napoleon, żeby wzmocnić marszałka Udino, wysłał mu Bawarczyków, którzy takż potrzebowali pokrzepienia po wycierpianych trudach, upałach i krwawej bieguncie. Korpus ten, który po odłączeniu od niego jazdy, zmniejszony został z 28 na 24,000 żołnierza, skutkiem chorób doprowadzony był tylko do 13,000. Po przybyciu z Bieszenkowicz do Połocka, nie był zupełnie sposobnym do czynnej służby.

Jednakże, po kilku dniach odpoczynku, równie korzystnych dla całego korpusu armji jak dla Bawarczyków, Marszałek Udino, ciągle podniecany przez Napoleona, uznał za rzecz stosowną, rozpocząć na nowo kroki zaczepne przeciw hrabiemu Wittgensztejnowi, i posunął się na lewo Połocka nad Dryssą, o kilka mil poniżej brodu Siwoczyny, gdzie kilką dniami przedtém poraził był Rossjan. Nie znajdując ich po za Dryssą, przebył tę rzekę i udał się nad Swojanę, po za którą leżało obozem wojsko hrabiego Wittgensztejna. Podczas gdy Francuzi wzmocnieni byli Bawarczykami, co podnosiło liczbę ich do 32 lub 33,000 żołnierza, z których piąta część użytą była zawsze do furazowania, Rossjanie wzmocnionemi byli takż prawie równą liczbą żołnierza. Otrzymali oni w pomoc całą załogę Dyneburską, nadto niektóre z bataljonów załadowych, trzymanych w rezerwie niedaleko wojsk czynnych dla ich kompletowania. Wszystko to mogło stanowić

10 do 12,000 żołnierza, i podnosiło liczbę wojska hrabiego Wittgenstejna do trzydziestu kilku tysięcy. Ale wojsko to, któremu na niczem nie zbywało i które nie było znużone pochodami, znajdowało się w daleko lepszym stanie niżeli nasze, chociaż ustępowało mu pod względem wojskowym. Potrzeba jeszcze dodać że się składało z samych Rossjan, wóczas kiedy w korpusie marszałka Udino była zaledwo połowa Francuzów.

Marszałek Udino, licząc w swym korpusie 32 lub 33,000 żołnierza, i wiedząc że z powodu surażowania i chorób nie będzie mógł postawić na linii bojowej więcej 25,000, niewiele polegając na wojskach sprzymierzonych, odnowił kroki zaczepne dla tego tylko że uczuł mocno ostre wyrzuty Napoleona. Przez kilka dni pozostał wzdłuż Swojany, przed obozem Rossjan, zaczepiając ich oddziałami lekkiej jazdy, i starając się wciągnąć ich do popełnienia nowego błędu, podobnego do tego jaki popełnili nad Dryssą, przy brodzie Siwoczyńskim. Ale Rossjanie nie dawali się już wciągnąć raz drugi w zasadzkę, i przez te kilka dni strzelano na siebie w rozsypce bez żadnego rezultatu, prócz straty całkiem niepożytecznej kilkuset ludzi poległych w tych zasadzkach.

Jednakże marszałek Udino, który zajął pozycję naprzód posuniętą na lewo Połocka, i posunął się na mil kilka w dół Dryssy, lękał się nie bez racji żeby Rossjanie go nie obeszliz z prawej strony, drogą z Połocka do Siebieża, która została ogołoconą z wojsk. Przebył więc na powrót Dryssę, i stanął obozem pomiędzy Łazówką a Białem, przed puszczą Gamzelewą, zasłaniającą Połock. Osłabiony znowu ostatniemi swemi marszami, mając zanadto przesadzone wyobrażenie o siłach, jakie przybyły w pomoc hrabiemu Wittgenstejn, postanowił zbliżyć się więcej jeszcze do Połocka, lękając się być odciętym od tego miasta, i stanął obozem za rzeczką Połotą. Ta rzeczka, otoczona młynami, stodołami, budowlami rozmaitego rodzaju, przerzyna wyszedłszy z lasu Gamzelewa łąki, pola uprawne, okrąża Połock i wpada do Dźwiny powyżej tego miasta. Marszałek Udino obsadził rozmaite przejścia Połoty, zostawił jednakże część swoich wojsk po drugiej stronie, dla zabezpieczenia się przeciw oddziałowi, który przeszedłszy Połotę wyżej, wystąpiłby z tyłu jego przez las Gamzelewo, i dotarłby Połocka ze strony otwartej.

Rozłokowawszy się 16go sierpnia w tej pozycji, zwołał radę wojenną dla roztrząśnienia kwestji azali należało wydać bitwę, albo też przejść Połotę i Dźwinę, ażeby stanąć pod zastoną tych dwóch rzek, mieć większą łatwość przeżywienia się i ograniczyć się obroną biegu

daleko szerszego Dźwiny. Jenerał Sę-Sir, będąc obecnym na téj radzie w charakterze dowódcy armji bawarskiéj, utrzymywał, że cale niepotrzebną było rzeczą staczać bitwę i osłabić się przez to, w razie jeśliby nieprzyjaciel nie poszedł w ślad za armją francuzką i jeśliby się nie zdawało, że ona się cofa przed nim; ale jeśliby przeciwnie szedł w ślad za nami, potrzeba mu było stawić dzielny opór, i odeprzeć go daleko, pokazując tém że się nie cofano przez bojaźń, ale skutkiem wyboru i chęci wybrania dogodniejszój pozycji. To zdanie roztropne i zgodne z sztuką wojenną miało przeciągnąć wszystkich na swą stronę, kiedy odgłos dział położył koniec wszelkim sporom i po wołał wszystkich do broni dla oparcia się Rossjanom zamierzającym przebyć Połotę. Jedna dywizja bawarska i jedna francuzka, umieszczone przed Połotą, przyjęły dzielnie Rossjan i wstrzymały ich na brzegu téj rzeczki. Noc nadchodząca nie dozwoliła dłuższego trwania téjpiérwszój potyczce.

Nazajutrz 17go marszałek Udino trzymając zawsze za nadto wiele o siłach Rossjan, i znajdując przytém swą pozycję niedosyć bezpieczną, nie był pewnym, jak miał w tym razie postąpić. Ta pozycja w istocie nie była jedną z najlepszych. Jeżeli miał z frontu dla zastony Połotę, którą nieszczęściem można było przebyć z prawej jego strony, miał z tyłu Dźwinę, walczył więc, mając małą rzeczkę przed sobą i wielką rzekę za sobą, a na téj ostatniej nie miał innego mostu jak Połocki, będący niedostatecznym środkiem odwrotu w razie przegranej. Jak zdarza się bardzo często w podobnych razach, chwycił się pośredniej drogi, to jest, silnej obrony pozycji z częścią swojego wojska, a przeprowadzenia drugiej części, równie jak parków i bagażów na lewy brzeg Dźwiny.

Skutkiem tego postanowienia rozkazał silnie bronić brzegów Połoty, podczas kiedy reszta armji przebywałaby Połock i Dźwinę. Obrona w istocie była bardzo energiczną i nie dozwoliła Rossjanom posunąć się na krok. Ale marszałek Udino został ciężko ranny, na co jego rzadka odwaga narażała go bardzo często, jenerał Sę-Sir otrzymał takż rana, lubo lżejszą. Gdy stan marszałka Udino nie dozwalał mu zachować dowództwa, jenerał Sę Sir, chociaż sam ranny, objął je niezwłocznie. Kierunek działań nie mógł być oddanym w ręce bieglejsze.

Jenerał ten zwołał główniejszych oficerów armji dla porozumienia się z nimi względem sposobu wyjścia z tego dość trudnego położenia. Z równą odwagą jak roztropnością dał uczuć niedogodności postawy czysto obronnej, i odwrotu po za Dźwinę widocznie zmuszo-

nego; okazał niebezpieczeństwo zostania wkrótce otoczonymi, niepokojonymi jak na jednym tak na drugim brzegu Dźwiny, do tego nawet stopnia, że nie można byłoby iść na furazowanie, i w dowód przytaczał przygotowania do przejścia, jakie nieprzyjaciel czynił obecnie powyżej Połocka. Proponował zatem, ażeby nazajutrz, przedłużając na pozór cofanie się, korzystać z osłoniętej miejscowości, na której walczone, dla przejścia potajemnie Dźwiny i Połoty z większą częścią wojska, napadnięcia z nienacka na Rossjan, zadania im, jeśli się uda, krwawej porażki, i wrócenia potem pod ochroną tego zwycięstwa na odpoczynek za Połock i Dźwinę. To zdanie również roztropne jak śmiałe wywoływało jeden tylko zarzut, to jest znużenie żołnierzy będących na nogach od czterech dni, walczących od trzech, mogących zaledwo znaleźć czasu do wzięcia pokarmu, i popadłych w stan słabości fizycznej istotnie zatrważający. Jednakże ponieważ generał Sę-Sir utrzymywał, że cztery godziny dostateczne mu będą dla zadania Rossjanom silnego ciosu, zgodzono się odpocząć nazajutrz rano, i rozpocząć walkę po południu. Rozłączono się tedy z postanowieniem wydania téj nowéj i ostatecznéj bitwy.

Jakoż nazajutrz 18 sierpnia, generał Sę-Sir wykonał wszystkie swe rozporządzenia, jak je był zapowiedział. Zostawił swe parki i swe bagaże na lewym brzegu Dźwiny, dokąd marszałek Udino już je był wysłał; wyprawił je nawet drogą do Uły wiodącą, jak gdyby miał zbliżyć się do wielkiéj armji posuwając się ku Witebskowi; korzystał zaś z tego udanego ruchu dla ściągnięcia blisko Połocka dywizji Werdje i kirassjerów Dumerka, potem nagle około południa kazał przejść swojemu wojsku na prawy brzeg Dźwiny, posunąć się między tą rzeką a Połotą i uderzyć niezwłocznie na Rossjan.

Wojska bawarskie i francuzkie były jakby ukryte w wąwozie Połoty, Bawarczykowie na prawo, dwie dywizje francuzkie Legran i Werdje pośrodku, a połowa dywizji szwajcarskiéj generała Merl na lewo, razem z kirassjerami Dumerka. Druga połowa dywizji generała Merl została z téj strony Połoty, dla zabezpieczenia nas przeciwko wojskom nieprzyjacielskim, któreby mogły przebyć tę rzeczkę z naszéj krańcowéj prawéj strony, i wystąpić z lasu Gamzelewa na nasze tyły.

Ze swéj strony Rossjanie byli uszykowani za Połotą, tworząc półkole naprzeciw naszéj pozycji i zostając bardzo blisko naszych przednich straży, ażeby się rzucić na nas w chwili kiedy rozpocniemy odwrót, którego byli pewni, wnosząc z ruchu naszych parków na lewym brzegu Dźwiny. Za danym znakiem cała nasza artyllerja,

tak bawarska jak francuzka, posunąwszy się szybko naprzód w liczbie sześćdziesięciu armat, osypała pociskami Rossjan zdziwionych i zmieszanych. Jakoż jazda ich nie była na koniach, piechota w części tylko zostawała w szeregach, ztąd powstało u nich na chwilę wielkie zamieszanie, dopóki każdy nie zajął swego stanowiska. Dywizje nasze korzystały z tego i poszły kolumnami atakowemi w porządku, w jakim się znajdowały, dwie dywizje bawarskie Deróa i Wrede po prawém rękę, dywizje francuzkie Legran i Werdje pośrodku, dywizja Merl na lewo, ale ta nie postępując naprzód, ażeby ściągnąć blisko Połocka prawe skrzydło Rossjan, które spodziewano się otoczyć, skoro porażonoby ich środek. Rossjanie, z początku zdziwieni, byli odparci w wielkim nieporządku, zostawiając łąki i błota pokryte swymi rannymi, których nie zdołali zabrać, i swemi działami, których nie mogli uprowadzić. Jednakże cofnąwszy się aż do swój drugiej linii, zatrzymali się, i przybrali lepszą postawę. Wtedy walka stała się żywawą i zaciętą. Po gęstych strzałach karabinowych rzucono się do bagnatów, i utarczka stała się nawet ogólną. Bawarczyce, jak większa część naszych sprzymierzeńców, uciekając z szeregów podczas pochodu, popisywali się dzielnie śród boju, walcząc z największym mężstwem. Niestety, waleczny i zacny jenerał Deróa, starzec ośmdziesięcioletni, ozdoba armji bawarskiej i jeden z najgodniejszych szacunku oficerów tego wieku, przyplacił życiem korzyści odniesione przez jego wojsko. We środku dywizja Legran rozgromiła wszystko co się jój opierało. Dywizja Werdje, której dowódzca został ranionym, okazała się godną jój towarzyszką. Jednakże druga brygada tój dywizji, w której znajdowało się wielu nowozaciężnych, zachwiała się na chwilę przed silnym atakiem Rossjan, a wtedy jenerał Mezon, który łączył z bystrym rzutem oka rzadką dzielność charakteru, pośpieszył naprawić z pierwszą brygadą uchybienie drugiej, i zmusił Rossjan do ucieczki. Zaledwo potyczka trwała od dwóch godzin a już nieprzyjaciel odparty na wszystkich punktach, był zmuszony ustąpić z pola bitwy pokrytego jego trupami i artylleryą.

W tój chwili jednakże krótka utarczka tylko co nie pozbawiła nas owoców tego zwycięstwa. Na naszém lewém skrzydle pułk dragonów rossyjskich zdoławszy przemknąć się błotnistemi ścieżkami tój okolicy, pomiędzy dywizje Werdje i Merl, posunął się daleko wewnątrz naszej linii, gdzie sprawił na chwilę zamieszanie. Jenerał Se-Sir, któremu rana nie dozwalała pozostawać na koniu, i który assistował bitwie w małym wózku polskim, znajdował się w tém miejscu. Śród natłoku przewrócony został z wózkiem i zdeptany koźmi. Gdy go podniesiono,

nie przestawał dalej wydawać rozkazów. Oddział brygady Merl, strzegący brzegów Połoty, wstrzymał dragonów rossyjskich wystrzałami karabinowemi. Kirassjerowie Dumerka uderzyli na nich z boku, porąbali część ich znaczną i tym sposobem położyli koniec temu dziwnemu wydarzeniu.

Jednakowoż wynikała ztąd strata niejaka czasu i nieco zamieszania. Lewe skrzydło złożone nade wszystko z dywizji Merl, zrobiło uchybienie posunąwszy się prawie na wysokość środka i poparłszy nazad prawe skrzydło Rossjan, które inaczej można było zachwycić pomiędzy Połotą a Dźwiną. Pomimo tego uchybienia wynikłego ze zbytku gorliwości, na całym froncie obu armij odnieśliśmy zupełną przewagę i odparliśmy nieprzyjaciela na wszystkich punktach do krawędzi lasu Gamzelewa, z kąd wystąpili przeciwko nam. Gdyby pozostawała nam jeszcze godzina dnia, i gdyby wojsko nasze było mniej znużone, moglibyśmy, ścigając ich w lesie, zabrać im wiele niewolnika i artylerji. Ale żołnierze nasi padając ze znużenia, a niektórzy z głodu nie byli w stanie postępowania dalej. Zatrzymano się więc na krawędzi lasu po świetnym zwycięstwie, które oddało w nasze ręce 1800 niewolnika, 14 armat i znaczną ilość jaszczyków; 3,000 trupów nieprzyjacielskich pokrywało pole bitwy; nasza zaś strata dochodziła zaledwo tysiąca ludzi. Główną korzyścią téj potyczki było odparcie daleko hrabiego Witgensztejna, odjęcie mu ochoty do kroków zaczepnych, przynajmniej na czas jakiś, możność użycia odpoczynku przed Połockiem, oraz bezpieczne furazowanie w takiej odległości, jak tego potrzeba wymagała. Jedyłą dotkliwą stratą była śmierć generała Deróa, którego powszechnie żałowano.

Zwycięstwo to, o którym wiadomość przyszła do Smoleńska 19go sierpnia, nazajutrz po opanowaniu tego miasta, sprawiła nie małe zadowolenie Napoleonowi, i przywiodła go wreszcie do oddania słusznosci generałowi Sę-Sir, którego stanowcze kroki zapewniły znowu nad Dźwiną przewagę naszemu orężowi. Napoleon postąpił mu łaskę marszałkowską, która się słuszenie należała jego wielkim talentom, chociaż je szpeciły wady charakteru. Porucił mu razem rozdanie licznych nagród wojskom francuzkim i bawarskim, które się odznaczały na polu bitwy, nie chciał żeby jakabądź pomiędzy niemi zachowana była różnica, i udzielił uposażenia wdowom i sierotom oficerów bawarskich takie same jak wdowom i sierotom oficerów francuzkich. Zalecił takż oddanie nadzwyczajnych honorów pamięci generała Deróa. Strata tego generała, oraz generała Giudę, były największemi,

jakie armja dotąd poniosła. Miała ona, niestety! ponieść wkrótce, jeżeli nie większe, to przynajmniej daleko liczniejsze. Rana marszałka Udino nie miała szczęściem nic niebezpiecznego, chociaż skutkiem jój musiał na kilka miesięcy zrzec się dowództwa.

Te dwa zwycięstwa, pod Hodorecznem i Połockiem, odniesione, jedno 12go, drugie 18 sierpnia, zdawały się dostatecznie zabezpieczać nasze boki, i dozwalać nam posuwać się dalej, skoroby nadzieja stanowczego zwycięstwa zabłysnęła na drodze moskiewskiej. Tak też sądził Napoleon i licząc na to, że Austriacy i Sasi zdołają na prawém skrzydle powstrzymać Tormasowa, że Francuzi i Bawarczykowie Sę-Sira zdołają na lewém zatrzymać Wittgensztejna, nie licząc marszałka Makdonalda pozostawionego między Połockiem a Rygą, nie znajdował w położeniu swych skrzydeł żadnej przyczyny do zatrzymania się, jeśliby tylko widział podobieństwo, posuwając się naprzód, albo zakończyć wojnę, albo naznamionować ją świetnym czynem. Można tylko było przewidywać jeden niepomyślny wypadek, to jest, powrót prawdopodobny generała Czyczagowa, któremu pokój Rossjan z Turkami dozwalał wziąć udział w tej wojnie. Ale 9ty korpus, to jest, księcia Belliuny (marszałka Wiktora), starannie sformowany wcześniej na wszelki podobny wypadek, przebywający w czerwcu w Berlinie, w lipcu w Tyłżycie, miał, przenosząc się do Wilna, dostarczyć szacownego zasobu na wszelki możliwy wypadek. Napoleonowi więc dla obrania ostatecznego postanowienia pozostawało tylko wziąć na uwagę to, co się działo między wielką armją zostającą pod jego ręką a wielką armją rossyjską pod dowództwem Barklaj de Tollego, będącą w odwrocie na drodze moskiewskiej. Na ten to punkt miał on oczy ciągle zwrócone, zastanawiając się nad tém czy miał pozostać w Smoleńsku dla przygotowania tam środków przezimowania, nie zważając na to, coby Europa pomyślała o tak niezwyklej powolności w ruchach, albo też czy należało dalej postępować w głąb Rossji, dla zadania przed nadejściem zimy stanowczego ciosu. Wiadomości jakie miał otrzymać od swoich dwóch dowódców przedniej straży, miały przechylić na jedną lub drugą stronę szalę, równoważące się jeszcze w tej chwili w jego ręku.

Jakoż Miurat i Dawu, jeden z swoją jazdą, drugi z piechotą, szli w ślad za wielką armją rossyjską, która się cofała po drodze moskiewskiej. Zajęli oni Sołowjowo nad Dnieprem, po kilku utarczkach z tylną strażą i pozostawiwszy innym staranie o zachowanie tego stanowiska, pospieszyli do Dorohobuża, ostatniego punktu, gdzie droga

moskiewska spotyka załamania Dniepru. Wiadomości udzielane przez tych dowódców różniły się jak ich charaktery. Waleczność świetna ale nierozważna Miurata, narażająca zbyt swą jazdę w rekonesansach, lecz za to w bitwach bardzo stosownie ję używająca, i nieszczęściem nie umiejąca ję oszczędzać i zachować na czas dalszy, była całkiem przeciwną gruntownemu i zimnemu rozumowi marszałka Dawu, który nie narażał bezpożytecznie ani życia, ani sił swoich żołnierzy, posuwał się naprzód mniej szybko nizeli inni, ale za to nie cofał się nigdy. Kiedy Miurat, zapędziwszy się lekkomyślnie, żądał na pomoc piechoty marszałka, ten przyprowadzał ją bez zwłoki, wydobywał z trudnego położenia odważnego króla neapolitańskiego, ale nie chciał nigdy powierzać mu swoich żołnierzy, których życie bardzo oszczędzał. Od kilku dni tylko szli razem, a już żwawe sprzeczki zaszyły pomiędzy nimi, w których żywość ukoronowanego wodza naszej jazdy rozbiła się o niezachwianą stałość dowódcy naszej piechoty. Ztąd tedy sprzeczne ciągle wiadomości podawali Cesarzowi.

Nieprzyjaciel, któremu dowodził w odwrocie Barklaj de Tolli, cofał się w porządku i bez trwogi, mając w tylnęj straży ilość szczipłą, ale dostateczną i należyte dobraną piechoty lekkiej, artyllerji i jazdy. Szedł on eszelonami, stawiając na każdej pozycji, gdzie mógł zatrzymać naszą jazdę, kilka dział zaprzężonych, oraz tyraljerów i broniąc ję temi środkami aż do przybycia naszej piechoty. Wtedy tylko ruszał dalej pośpiesznie, cofał się za inne eszelony równie dobrze ostosione i wypuszczał wreszcie swoją jazdę tylko w miejscach odkrytych, kiedy było podobieństwo odparcia naszej. Nic w tym sposobie działania nie zapowiadało zmieszania i trwogi, dawało poznać przeciwnie opór, który się miał zwiększać stopniowo aż do przejścia w bitwę ogólną, skoro nieprzyjaciel uzna za rzecz stosowną ją wydać. Miurat uważając tylko powierzchownie to co się działo przed nim, mając tylko na uwadze to kolejne opuszczanie stanowisk zajmowanych przez nieprzyjaciela, utrzymywał, że Rossjanie byli zdemoralizowani, i że skoro można będzie ich doścignąć, dość będzie napaść na nieb, żeby ich rozgromić, zatęm że pozostawało tylko iść szybko, żeby znaleźć na swęj drodze zręczosć odniesienia walnego zwycięstwa. Marszałek Dawu utrzymywał całkiem przeciwnie, i dowodził, że nie widział nigdy odwrotu porządnie dokonywanego, i nad którym z mniejszą łatwoscią można byłoby odnieść korzyść galopując w ślad za nieprzyjacielem. Był więc tego zdania, że nie należało osłabiać się ściąganiem Rossjan, których zapewneby nie dognano, ale napędzonoby ich wkrótce w pozycji przez nich wybranej, gdzie broniliby się do

upadłego, i gdzie, chcąc stoczyć bitwę, należało przybyć z siłami bardzo starannie oszczędzanymi. Spodziewał się więc bitwy bliskiej i krwawej, jednej z najbardziej morderczych. Pisał w tym przekonaniu do Napoleona powielekroć na dzień i zaprzeczał tém samém wszystkim wiadomościom Miurata. Jednakże ci dwaj dowódczy naszej przedniej straży byli zgodni w jednym punkcie, to jest, że spotkają wkrótce na swój drodze bitwę, łatwą do stoczenia według jednego, trudną według drugiego, ale nieuchronną według rozumienia ich obu.

Zbliżając się do Dorohobuża, postrzegli Rossjan uszykowanych do boju za małą rzeczką zwaną Uża, która po przebieżeniu gruntu mniej więcej nierównego, wpadała z naszej lewej strony w Dniepr, pod wsią zwaną Uświat. Z postawy ich, z liczby, z obszernego rozwinięcia sił, można było wnosić o gotowości ich wydania walnej bitwy. Mała rzeczka, którą należało przebyć żeby się dostać do nich, nie stanowiła ważnej przeszkody, ale miała brzegi błotniste i trudnego przystępu. Jednakże postępując nieco w górę po prawém rękę, spodziewano się obejść Rossjan, i działając z téj strony z dostatecznymi siłami, postrzegano możność odparcia ich w kąt, który Uża tworzyła z Dnieprem. Było więc w tém miejscu podobieństwo stoczenia wielkiej i stanowczej potyczki, o czém natychmiast Dawu i Miurat donieśli Napoleonowi, znajdując się w tym tylko razie jednego z sobą zdania w wiadomości, której udzielali Napoleonowi. Wojsko polskie, idące o dwie mile z prawej naszej strony, zajęło stanowisko około źródła Uży, w punkcie gdzie spodziewano się obejść nieprzyjaciela. 23go wieczorem nasza przednia straż, która wystąpiła ze Smoleńska 20go, posłała tę wiadomość Napoleonowi.

Rzeczy miały się istotnie tak, jak się domyślano. Roztropny i odważny Barklaj de Tolli, nie zważając czas długi na ubliżające mowy, których był przedmiotem, zachwiał się wreszcie w swém postanowieniu, zwłaszcza od czasu odrotu ze Smoleńska, który musiał nakazać wbrew wszystkim jenerałom rosyjskim, a w szczególności wbrew zdaniu księcia Bagracjona. Oburzenie przeciw niemu było powszechne. Jenerałowie równie jak mężowie stanu potrzebują odwagi cywilnej i powinni umieć pogardzać próżnemi mowami żołdactwa, które również często przyprawiło o zgubę wojska, jak tłuszcza zgubiła państwa wolne, kiedy jój słuchano. Dla nas Francuzów nie mogło nie zdarzyć się pomyslniejszego, jak stoczyć bitwę pod Smoleńskiem; dla Rossjan zaś nie mogło być nic nad to zgubniejszego. Ale dowódzcy armji, przysłuchując się skargom żołnierzy, a nadewszystko skargom narodu, którego palono miasta i wsie, powiadali że broniono się

ruinami, ruinami rossyjskimi i że byłoby szlachetniej i mniej szkodliwem bronić się krwią. Zapęd umysłów był tak wielki, że zapytywano z niejaką słusznością, czy pomimo wszelkiego niebezpieczeństwa stoczenia bitwy z Francuzami tak blisko ich zasobów, nie byłoby daleko większem niebezpieczeństwem dozwolić wkraść się demoralizacji do wojska i dostarczać dłużej powodów do téj pogardy dowódców, która zaczęła się wyradzać w najokropniejszą niekarność. Ta to pobudka skłoniła Barklaj de Tollego do zmiany postanowienia, i do porzucenia zamiaru odwrotu w głąb państwa, a natomiast do wydania niezwłocznie zaciętej bitwy. Skutkiem tego wysłał swojego jeneralnego kwartmistrza, pułkownika Toll, dla wybrania pola bitwy, i ten wybrał pozycję rozciągającą się za Uzą, przed Dorobobużem. Po przybyciu tam 22go, Barklaj de Tolli zmienił miejsce drugiej armji, zostając pod dowództwem księcia Bagracjona i postawił ją na lewo, tam właśnie gdzie mogliśmy obejść linję Rossjan. Cały dzień 23go zajmował się zbadaniem miejscowości, rozlokowaniem się w nią i robieniem przygotowań do bitwy. Mirat i Dawu, chociaż różnie oceniali stan moralny nieprzyjaciela, nie mylili się więc pisząc do Cesarza, że Rossjanie byli gotowi stoczyć bitwę i że jeśli zostawano w gotowości przyjęcia jęj, należało nadciągnąć w massie, ażeby walczyć ze wszystkimi swojemi siłami.

Napoleon otrzymał tę wiadomość w kilka godzin po jęj wysłaniu, gdyż, jeżeli potrzeba było trzech dni wojskom przedniej straży dla przebycia téj przestrzeni, dziesięć lub dwanaście godzin wystarczały dla kurjera. Otrzymaawszy ją, Napoleon postanowił opuścić Smoleńsk, ażeby pospieszyć na spotkanie tego wypadku stanowczego, świetnego, którego widział potrzebę dla utrzymania się na stanowisku, w jakim się postawił. Sam fakt wyruszenia ze wszystkimi swemi siłami dla pomknięcia się na kilka dni drogi od Smoleńska, rozstrzygał już w połowie kwestję, która go zajmowała obecnie, ale rozstrzygał bez wiedzy jego, gdyż pobudki do szukania téj bitwy tak pożądanej, choćby o kilka marszów, były tak silne, że nie było się czego wahać. Nie wahał się więc wyruszyć 24go z gwardją, nie rozstrzygnawszy wszakże ostatecznie kwestji, czy będzie zimować w Polsce, czy pójdzie do Moskwy. Poczył jednakże niemniej rozporządzenia jakby dla ostatecznego wyruszenia, bo choć nie był zupełnie zdecydowanym, przewidywał jednakże, że może będzie zmuszonym posunąć się dalej, a nie chciał uczynić jednego kroku naprzód nie przedsięwziawszy względem swojego tyłu środków godnych jego przeczności.

Użył już był pięciu dni w Smoleńsku na rozporządzenie zakładów wojskowych, które tworzył wszędzie kędy przechodził, i które nieszczęściem nie zawsze przyprowadzane były do końca po jego oddaleniu się. Zalecił zbudowanie dwudziestu czterech pieców, obrócenie klasztorów i kościołów na magazyny, zaopatrzenie tych magazynów zasobami krajowemi, utworzenie obszernego lazaretu zaopatrzonego we wszystkie przedmioty potrzebne, zakład nieodbitcie potrzebny, gdyż miano cztery tysiące Francuzów i trzy tysiące Rossjan do opatrywania, a ponieważ sprzęt ambulansowy pozostał z tyłu, musiano zastąpić płótno papierami starych archiwów Smoleńskich. Rozkazał jeszcze zebranie ciał poległych, których ludność rozpierzchła nie mogła zagrzebać, a których obecność na przepalonym gruncie nie tylko była obrzydliwą, ale zaraźliwą; nadto, postawienie mostu na palach w Smoleńsku, poprawienie murów tego miasta, uzbrojenie ich, i wreszcie mnóstwo innych środków równej użyteczności. Pozostawił w Smoleńsku dywizję swojej młodej gwardji pod dowództwem generała Delaborda, tego który tak zaszczytnie służył w Portugalji, nim oddziały pozostałe z tyłu nie nadciągnęłyby dla utworzenia garnizonu tego ważnego miasta. Przywołał tam te, które pozostawił był w Witebsku, gdzie miały być zamieszczone przez inne. Zmienił drogę armji, która zamiast przechodzenia miejscami, przez które sam przechodził w swym marszu, to jest, przez Głębokie, Uszacz, Bieszenkowicze i Witebsk, miała iść na Smorgonie, Mińsk, Borysów, Orszę, gdyż ta droga była krótszą. Postanowił że bataljony pochodowe, przyprowadzające rekrutów do armji, według prawideł, które oddawna był postanowił, będą się udawać tą nową linią etapów. Wydał rozkazy dla przyspieszenia ich marszu. Dywizja polska Dąbrowskiego, oddzielona od korpusu Poniatowskiego, i umieszczona w Mohilewie dla utrzymania związków wielkiej armji z korpusem austriacko-saskim, otrzymała brygadę jazdy lekkiej, ażeby mogła dalej rozszerzyć swój nadzór, i lepiej czuwać nad nową podstawą działania. Napisał do marszałków Sę-Sira i Makdonalda, którzy strzegli Dżwiny, do księcia Szwarcenberga, który strzegł niższego Dniepra, uwiadamiając ich że miał się posunąć naprzód dla wydania stanowczej bitwy, i zalecił im zastaniać dobrze boki wielkiej armji, podczas gdy starać się będzie zadać cios śmiertelny nieprzyjacielowi. Rozkazał wreszcie księciu Belliny przygotować się przybyć do Wilna, gdyż z tego punktu środkowego, 9ty korpus mógłby dostarczyć posiłków temu z naszych generałów, któryby został pobitym na jedném lub drugiem z naszych skrzydeł.

Wysławszy swoją gwardję rano 25go i rozkazawszy Nejewi po-

stępującemu za Dawu, zbliżyć się do czoła armji, księciu Eugeniujszowi, który szedł po lewém ręku przez Duchowszczynę, skierować się na Dorohobuż, wyruszył sam tegoż dnia wieczorem, i jechał całą noc z 24go na 25ty sierpnia, ażeby przybyć 25go ze wschodem słońca, i wydać może bitwę, przedmiot najgorętszych jego chęci.

Ale przybywszy na miejsce 25go, ujrzał prawie znikającą nadzieję téj bitwy, wyglądanęj z taką niecierpliwością, znikającą przynajmniej w obecnej chwili. Jakoż po pierwszym rozpatrzeniu pozycji, książę Bagracjon, który miał zajmować część jęj trudną do bronienia, gdyż znajdowałby się w punkcie, gdzie Uża mogła być przebytą, i gdzie lewe skrzydło Rossjan narażone było na obejście, znalazł ją całkiem niedogodną, i obszedł się nawet sposobem obrażającym z pułkownikiem Toll, który starał się usprawiedliwić ją przed nim. Od téj chwili bitwa była jeszcze odroczoną, z woli właśnie tego, który domagał się jęj najusilnięj. Skutkiem tego, Barklaj de Tolli powziął zamiar zdjecia obozu, i przebycia szybkim krokiem Dorohobuża dla udania się do Wiaźmy, gdzie powiadano, że znajdowała się pozycja daleko korzystniejsza.

Tym sposobem armja rossyjska, którą uważano za skłonną do wydania bitwy, jednym razem wymknęła się, tak że mogła zrodzić przekonanie, iż nigdy o nięj nie myślała. Ale sąd Napoleona był tak trafny, marszałek Dawu był tak pełen doświadczenia, że niepodobna było im w tém omylić się, i nie rozpoznać w tych zatrzymywaniach się i następujących waet po nich odwrótach, nie jakiego wahania się, ale śledzenia armji, która będąc zdecydowaną wydać bitwę, szukała tylko miejsca, gdzieby mogła ją stoczyć z największą dla siebie korzyścią. Wyrażną było rzeczą, że idąc jeszcze dwa lub trzy dni za nią, znalazłoby ją wreszcie usposobioną do zatrzymania się, i do przyjęcia bitwy, którą z nią tyle razy już stoczyć chciano. W takim stanie rzeczy, zatrzymać się dla dwóch lub trzech marszów, które pozostawały do zrobienia, nie zdawało się być rzeczą roztropną, i Napoleon przebywszy już trzy etapy oddzielające Smoleńsk od Dorohobuża, nie wahał się przebyć jeszcze trzy oddzielające Dorohobuż od Wiaźmy, gdzie prawdopodobnie można było wreszcie doścignąć armję rossyjską. Ale, ponieważ nie był człowiekiem, co by się mógł oszukać względem następstw swoich czynności, nie wątpił już o tém co miało nastąpić, to jest, o składzie okoliczności mającym go zaprowadzić aż do Moskwy (1). W Wiaźmie nie byłby jeszcze na połowie drogi ze Smo-

(1) Jest to jedna z kwestij historycznych, którą często sobie zadawano, to jest, dla czego Napoleon nie zatrzymał się w Smoleńsku i nie użył reszty téj kampanji na

leńska do Moskwy, ale byłby się już zbliżył do niej; przebyłby już większą połowę jej w Gżacku, i nie wypadło już, gdyby wygrano wielką bitwę o kilka dni drogi od Moskwy, zatrzymać się, i wyrzec się tyle chluby przynoszącego wstąpienia Francuzów do tej starłej stolicy Carów. Wyruszywszy ze Smoleńska nie będąc jeszcze zdecydowanym, zdecydował się ostatecznie w Dorohobużu, i 26go wydał rozkazy stosowne do pochodu, który się miał skończyć nie pierwój jak w samej Moskwie.

Chociaż opuszczając Smoleńsk zajął się był swoją podstawą działań, Napoleon musiał się zająć nią więcej jeszcze powziąwszy zamiar posunięcia się na tak wielką odległość. Podstawa ta, która z początku była w Gdańsku i Toruniu, potem w Królewcu i Kownie, następnie w Wilnie, zmieniała miejsce kolejno w miarę jak się przedłużał kolejno ten pochód nadzwyczajny przez Polskę i Rossję. Nowa podstawa, na której należało się oprzeć, była widocznie Smoleńsk. Tam był węzeł łączący Dźwinę z Dnieprem, i utrzymujący związek tych rzek z Wilnem i Kownem. Dla tego Napoleon postanowił wezwać tam natychmiast korpus marszałka Wiktor, złożony blisko z 30.000 żołnierza, z których jedna trzecia część była Francuzów, druga wybornego wojska polskiego, trzecia wojska Badeńskiego i Bergskiego bardzo dobrze uorganizowanego. Korpus ten, który miał być powiększony przechodami ciągłemi bataljonów pochodowych, będąc umieszczonym w Smoleńsku, gdzie odpocząłby i miałby dobrą strawę, miał być gotowym do podania wsparcia albo marszałkowi Se-Sir, albo księciu Szwarzenbergowi, w razie gdyby jeden z tych dwóch dowódców poniosł jaki uszczerbek. Napoleon był pewnym, że nietylko nie doznają klęski, ale odniosą zwycięztwa, skoro należycie użyją swych sił. W najgorszym jednak razie przypuszczał że będą przywiedzeni do sta-

przygotowanie swój drugiej wyprawy, którąby wykonał w 1813ym, jedném słowem, dla czego nie wołał odbyć tój wojny w dwóch kampanjach, zamiast w jednej. Ta kwestja ciągle roztrząsana, nie była nigdy rozstrzygnięta, gdyż nie szukano w korespondencji Napoleona, pozostałej dotąd nieznaną, pobudek, które od dnia do dnia popychały go z Wilna do Witebska, z Witebska do Smoleńska, ze Smoleńska do Dorohobuża, z Dorohobuża do Moskwy. Czytanie pilne tój korespondencji, ciekawej i zawsze głębokiej, wszystko nam wyjaśniło, i wykryło nam kolejne szczeble, po których Napoleon znalazł się zaprowadzonym aż do Moskwy. Sprobujemy w tym opisie oddać to następstwo myśli z jak największą dokładnością, i utrzymujemy że upędzając się to za bitwą, której wpływ moralny zdawał się mu być potrzebnym, Napoleon, ściągnięty ze Smoleńska do Dorohobuża, potem do Wiaźmy, Gżacka, Borodina, znalazł się nie chcąc prawie u wrót Moskwy. Raz już przybywszy tak blisko, nie mógł się wahać wejść do niej. Pozostaje pytanie, dla czego w niej bawił tak długo? Tąż samą korespondencją objaśnia nas i o tem, i opowiemy to z tą samą dokładnością, skoro przyjdziemy do tój części naszego opisu.

nu obronnego, co w jego oczach było najmniej pomyslnym z mogących się zdarzyć wypadków, i dla tego uważał korpus marszałka Wiktor jako przeznaczony do stawienia czoła wojsku mającemu powrócić z Turcji. Zdawało się mu że nie może powrócić więcej z niższego Dunaju nad 30,000 żołnierza, co było rzeczą prawdziwą, i w tym razie, czy to wojsko miało skierować się przez Wołyń ku Polsce, czy przez Ukrainę na Kaługę i Moskwę, 9ty korpus podałby nam środek stawienia im czoła, idąc w pomoc albo księciu Szwarzenbergowi, albo samej wielkiej armji. Napoleon był skłonny do wierzenia, że Rossja będąc ugodzoną w serce przez pochód na Moskwę, nie będzie myśleć o zwróceniu swych sił na kończyny państwa, i że admirał Czyczagow nie otrzyma rozkazu udania się na Kijow, ale na Kaługę. Ztąd tedy uważał stanowisko księcia Belliuny w Smoleńsku jako najlepij wybrane na wszystkie możliwe przypuszczenia. Zatem wysłał mu swe rozkazy z Dorohobuża 26go sierpnia, i dał mu instrukcje zgodne z pomysłami, które dopiéro co wskazaliśmy.

Posunął on swą przezorność dalej jeszcze. Nie chciał ażeby ten korpus rozproszony był na małe garnizony: dla zapobieżenia tej niedogodności ściągnął był już do Wilna rozmaite pułki saskie, polskie, westfalskie, anzeatyckie, pozostałe dotąd w Gdańsku i Królewcu. Rozkazał sprowadzić je wszystkie do Mińska i Smoleńska, dla zaopatrzenia nimi garnizonów i oddziałów, których się okaże potrzeba. Dla zastąpienia ich miejsca w Gdańsku, uprzednio powołał już był do tej twierdzy jedną z dywizij marszałka Ożero, zostającą pod dowództwem generała Lagranż, i całą złożoną z bataljonów pochodowych. Postanowił sprowadzić tę dywizję samą do Smoleńska, dla wzmocnienia rozmaitych korpusów wielkiej armji, zapelnienia w nich próżni mających nastąpić w skutku przyszłych bitw, i rozstawienia ich tym czasem po drodze. Dywizja ta miała być zastąpioną w Gdańsku przez inną, należącą również do korpusu marszałka Ożero, dywizję generała Hedele (Heudelet), mieszczącą w sobie jedynie czwarte bataljony. Marszałek Ożero miał być tym sposobem pozbawiony jednej z czterech dywizij, tej którą wezwanoby do Smoleńska. Napoleon miał ubytek ten wynagrodzić wojskiem, które miał zamiar sprowadzić z Włoch. Przypomnijmy sobie, że niedowierzając dworowi Neapolitańskiemu, sformował z kilku pięknych pułków francuzkich i rozmaitych oddziałów eudzoziemskich na służbie Francji, pomiędzy Rzymem i Neapolem, korpus pod dowództwem generała Grenje. Mając Miurata pod swą ręką, i nie mając się czego lękać jego lekkomyślności, myślał że armja neapolitańska, starannie uorganizowana, dostateczną będzie do

strzeżenia południa Włoch; pozostawił tam zresztą pułki Izamburga i Latur-d'Owernja, i rozkazał zgromadzić w Weronie wojska francuskie generała Grenje, dla sformowania z nich pięknej dywizji z 15,000 żołnierza, złożonej z tego co było najlepszego we Włoszech. Zalecił generałowi Grenje wyruszyć jak najprędzej do Augsburga, idąc jednakże z należytą ostrożnością, ażeby nie zapelniać dróg wlekącemi się. Korpus marszałka Ozero miał tym sposobem zyskać więcej nizeli stracił, i mieścić w sobie cztery dywizje, zawierające w sobie 50,000 żołnierza, zdanego do boju.

Tym sposobem z korpusem 50,000 żołnierza pomiędzy Berlinem a Gdańskiem, z silnemi garnizonami w Gdańsku, Królewcu, Memlu, Kownie, Wilnie, Witebsku, z dwoma korpusami marszałków Makdonalda i Sę-Sira na Dźwinie, z korpusem księcia Szwarcenberga na Dnieprze, z piękną dywizją polską w Mohilewie dla utrzymania komunikacji księcia Szwarcenberga z wielką armją, z korpusem księcia Belliuny zostającym do zupełnego rozporządzenia w Smoleńsku, i będącym w gotowości do podania pomocy temu z jego skrzydeł, które zostawałoby w niebezpieczeństwie, lub posunięcia się w ślad za nim aż do Moskwy, wreszcie z przechodem ciągłym bataljonów pochodowych, służących za garnizony we wszystkich miastach po drodze, nimby nadsięgnęli do wielkiej armji dla jej dokompletowania, ze wszystkiemi temi środkami, powiadamy, Napoleon uważał się za dostatecznie zabezpieczonego i nie sądził, żeby można było porównać postępowanie jego z postępowaniem Karola XII.

Istotnie te rozległe środki były godne jego przezorności, i zdawały się zabezpieczać go przeciw wszelkim mogącym się zdarzyć wypadkom. Jednakże jeden z nich był przedmiotem ze strony jego dowódców wielu uwag, bardzo bojaźliwie przedstawianych i nieszczęściem usprawiedliwionych późniejszymi wypadkami, to jest, środek zależący na rozdzieleniu na dwa korpusy wojska, mającego strzedz Dźwiny. Korpus marszałka Sę-Sir liczący w sobie od czasu ostatnich wypadków 20,000 Francuzów i 10,000 Bawarczyków, byłby dostatecznym może z generałem bardzo przedsiębiorczym, a nadewszystko z zapasami żywności, dla pobicia korpusu Wittgensztejna. Ale zmniejszony do 24 tysięcy a nawet mniej żołnierza, przez wysyłanie licznych oddziałów na wyszukanie żywności, umieszczony w znacznej odległości od punktów swego oparcia, w okolicach nieznanych, nie dziw, że nawet pod generałem tak zdolnym jak marszałek Sę Sir, nie mógł uczynić nic stanowczego. Marszałek Makdonald mając najwięcej kiedy 24,000 żołnierza, rozstawionego pomiędzy

Ryga a Dyneburgiem, nie mógł ani wziąć Rygi, ani utrzymywać komunikacji z marszałkiem Sę-Sir. Przeciwnie, łącząc z sobą te dwa korpusy, jak proponował marszałek Makdonald, rozbitoby Wittgenstejna, zostawanoby w możności posunięcia się za Dźwinę, rozlokowania się nawet w Siebieżu i zmuszenia tym sposobem Wittgenstejna do cofnięcia się na Psków, oraz otrzymania z tej strony stanowczej przewagi. Wprawdzie Kurlandja wystawionaby była na napady garnizonu Dyneburskiego i nie oblężonoby Rygi, którą Napoleon chciał koniecznie opanować. Ale gdyby obsadzono silnie Tylży, gdyby strzeżono dobrze biegu Niemna aż do Kowna, napady kozaków na Kurlandję nie mogłyby mieć ważnych następstw; a co do oblężenia Rygi, było rzeczą małoprawdopodobną, ażeby korpus liczący w sobie mniej jak 24.000 żołnierza, zmuszony obracać trzecią część swoich sił na wysyłanie podjazdów, był w stanie je wykonać. Oprócz tego rozporządzenia, którego zobaczymy później następstwa, i które pochodziło ze zgubnej chęci osiągnięcia wszystkich celów razem, Napoleon przedsięwziął najstosowniejsze środki, jakich okoliczności dozwalały. Przewidując trudność zapewnienia komunikacji wielkiej armji z jej tyłami, skutkiem napadu oddziałów kozackich, rozkazał, ażeby przy każdej stacji pocztowej założony był blokauz, rodzaj małej cytadelli otoczonej palisadą, mającej mieścić w sobie stu żołnierzy piechoty, dwie armaty, piętnastu kawalerzystów, magazyn, mały lazaret, konie pocztowe, kommandanta pojętnego i energicznego. Gubernatorowie: Miński, Borysowski, Orszański i Smoleński, obowiązani byli zaopatrzyć je ludźmi z swoich garnizonów i tym sposobem ani wieśniacy ani kozacy nie mogli przeszkodzić komunikowaniu wiadomości i rozkazów. Wreszcie mając zamiar, gdyby zwycięstwo i wzięcie Moskwy nie przełamały odwagi Cesarza Aleksandra, powrócić zimowac do Polski, chciał żeby już to za pieniądze, już jako rekwizycje, wybrano w Litwie i Polsce 1,200,000 centnarów zboża, 60,000 wołów, 1,000,000 beczek owsa, 100,000 centnarów siana i tyleż słomy, i żeby zgromadzono te ogromne zapasy w Wilnie, Grodnie, Mińsku, Mohilewie, Witebsku, Smoleńsku. To wystarczałoby na przekarmienie wojska więcej jak na rok i było rzeczą dość łatwą, zwłaszcza za pieniądze, dostać wszystkich tych artykułów w Polsce. Napoleon sprowadził z sobą wielki zapas pieniędzy w gotówce, a nadto miał fałszywe ruble papierowe, które bez żadnego skrupułu kazał sfabrykować w Paryżu, znajdując swe usprawiedliwienie w postępowaniu sprzymierzonych, którzy, w innéj epoce, napełnili Francję fałszywymi assygnatami.

Po użyciu wszystkich tych środków ostrożności, Napoleon opuścił Dorohobuż w następnym porządku: Miurat z jazdą lekką marszałków Dawu i Neja, z jazdą rezerwową generałów Nansuty i Monbrę, z liczną artylleryją konną tworzył straż przednią. Marszałek Dawu szedł tuż za nim, mając zawsze jedną z swoich dywizyj gotową do dania pomocy jeździe. Po Dawu szedł Nej, po Neju gwardja. Na prawo książe Poniatowski z swoim korpusem i jazdą Latur-Mobura, trzymając się o dwie lub trzy mile od wielkiej drogi, starał się wyminąć nieprzyjaciela i zasięgał wiadomości, które język używany przez Polaków i większa ludność po drogach bocznych dozwalały mu łatwiej zebrać. Książę Eugienjusz zajmował podobne stanowisko na lewem ruku i szedł o dwie lub trzy mile od wielkiej drogi, zawsze nieco wyprzedzając główną armję, ażeby wyminąć Rossjan. Poprzedzała go jazda generała Gruszy.

Potem postępowała główna kwatera z parkami artylleryji i inżynjerji, z tysiącem wozów obładowanych żywnością. Żywność ta była przeznaczoną na karmienie gwardji, którą Napoleon nie chciał przyzwyczajać do maroderstwa, oraz na zaopatrzenie w żywność samej armji w dniu, w którym należałoby zgromadzić ją dla stoczenia bitwy. Oprócz korpusu Dawu, który miał na tydzień żywności niesionej przez żołnierzy i zapasu na trzy lub cztery dni na wozach, inne korpusy musiały szukać dla siebie pożywienia w okolicach, przez które przechodziły. Jakoż spostrzeżono, że wsie były daleko mniej ogołoczone, jak wnoszono z początku, i że na drogach bocznych szczególnie, gdzie Rossjanie nie mieli czasu wszystkiego poniszczyć, pozostawała dość znaczna ilość żywności. Były to zasoby, z których korzystał książę Eugienjusz na lewo, książę Poniatowski na prawo.

Wojsko było więc oswobodzone z części swych pociągów. Prowadziło ono tylko z sobą w znacznej ilości amunicję artylleryjską, a co do zaprzęgów mostowych, ograniczyło się żelaztmem i narzędziami potrzebnymi do stawienia mostów na krokwiach. Na tej wysokiej środkowej płaszczynie, oddzielającej morze Bałtyckie od Czarnego, rzeki prawie wszystkie bliskie swego źródła, miały bieg powolny i nie były zbyt głębokie, tak że dla ich przebycia nie potrzebowano zaopatrywać się w łódzie. Pod względem przymiotów żołnierzy, w armji pozostało tylko co było najlepszego. Straciła ona od Witebska około 15 000 żołnierza w rozmaitych bitwach, szczególnie w Smoleńsku i pod Walutyną; straciła też z 10,000 w pochodzie. Pozostawiła dywizję gwardji w Smoleńsku, dywizję włoską i jazdę lekką generała

Paźół na obserwacji po drodze Witebskiej i z tych wszystkich powodów zmniejszoną była z 175,000 żołnierza na blisko 145,000. Wprawdzie nie można było nie widzieć piękniejszego. Czas był bardzo pogodny: postępowano po szerokiej i pięknej drodze, wysadzaną kilką rzędami brzoż, śród zielonych równin, a chociaż humor jenerałów był zasepiony, żołnierze szli przesądnie za przewodnictwem gwiazdy swojego wodza. Wieść już się była rozeszła że zmierzano do Moskwy. Do Moskwy! wołali żołnierze, do Moskwy!.. i postępowali za Napoleonem, jak niegdys żołnierze macedońscy spieszyli za Aleksandrem do Babilonu.

28go wojsko przybyło do Wiaźmy, pięknego miasta, dość ludnego, leżącego nad rzeką tegoż nazwiska, której mosty były zniszczone. Nie oszczędzając bardziej miast niżeli wsi, Rossjanie podpalili to biedne miasto, ale według swojego zwyczaju zrobili to pośpiesznie i w ostatniej chwili. Ztąd tedy nasi żołnierze potrafili ugasić pożar, i wyratować część domów i żywności. Pospieszili również wyrestaurować mosty. Mieszkańcy wszyscy ratowali się ucieczką, i nie powstrzymywało, ani względy ludzkości, ani względy polityki, od sposobu korzystania z kraju zawojowanego. Rozlokowywano się tedy w domach ochronionych od pożaru jak w swych własnych i używano tam bez miary, bez oszczędności, mając wyruszyć nazajutrz. Niestety, jeżeli rychło rzucono się śród płomieni dla zatrzymania ich spustoszeń, z trudnością zdołano zapobiedz ich szerzeniu się z powodu drzewa, które w Rossji jest najpospolitszym materiałem do budowli; a kiedy zdołano przytłumić pożar, żołnierze chcąc piec chleb w piecach znajdujących się w każdym domu, rozniecali przez niedbalstwo ogień, który Rossjanie podkładali z wyrachowania i który przytłumiono z potrzeby. Jednakże, chociaż z trudnością i z tysiącami niebezpieczeństw, zdołano się przeżyć, gdyż przemysł żołnierza francuzkiego równa się jego odwadze.

Według pogłosek zebranych w przedniej straży, pogłosek zresztą prawdziwych, mieliśmy spotkać Rossjan w Wiaźmie, gotowych do przyjęcia tój groźnej bitwy, na którą wreszcie się zdecydowali i którą skłonni byli wydać, skoro znaleźliby sprzyjającą do tego miejscowość. Ale Rossjanie nie uznawszy pozycji Wiaźmy za odpowiedną, zwrócili swą uwagę na pozycję pod Carewo-Zajmiszeze, leżące o dwie godziny drogi dalej, które miało przedstawiać napadającemu największe trudności. Zdawało się, że odtąd jak Barklaj de Tolli ustąpił życzeniom swojej armji wydania bitwy, mniej miano niecierpliwości sto-

azenia jęj i zadawano sobie więcej trudu w wyborze pozycji. Gmin, w obozach równie jak na placu publicznym, jest zawsze ten sam: udzielić mu tego czego żąda, jest prawie jedynym środkiem, żeby tego zaniechał. Najgorliwsi stronnicy wydania bitwy, pomiędzy innymi książę Bagrajon, nie znajdowali żadnej pozycji według swęj chęci. Nie chcieli wybrać pozycji za Uzą, nie chcieli jęj również pod Wiazmą; wybrali ją teraz aż pod Carewo-Zajmiszczę. Widzimy przez jakie koleje przechodził systemat ciągłego odwrotu, dążący do ściągnięcia nas w głąb państwa.

Zresztą dla Napoleona nie było to już kwestją, czy należało iść w ślad za Rossjanami. Powziął on już zamiar w tym względie odtąd, jak został przekonany, że Rossjanie przyjmą wreszcie bitwę; i jeden lub dwa marsze więcej dla otrzymania tego rezultatu, który w jego oczach miał być stanowczym, nie mogły być okolicznością dość ważną dla zatrzymania go. Nie był więc ani zdziwionym, ani rozjątronym, że znalazł w Wiazmie Rossjan jeszcze uchodzących, i postanowił iść w ślad za nimi po drodze do Gżacka. Jednakże w około niego smutne przeczucia zaczęły niepokoić umyły. Każdego wieczora potrzeba surażowania narażała na stratę znacznej liczby żołnierzy, a utrudzenie zabijało mnóstwo koni. Wojsko zmniejszało się widocznie, nadewszystko jazda i należało się lękać, ażeby ten systemat Partów, z którego Rossjanie chlubili się w swych biwakach, chociaż ganili generałów, którzy się go trzymali, nie był aż nadto rzeczywistym i nie wydał wkrótce pożądanych dla nich skutków. Bertje, chociaż bardzo ostrożny i który na wojnie posiadał zdrowy rozsądek, jakim się odznaczał w polityce książę Kambusere, ale który nie był dla tego śmielszym, kiedy należało głośno swe zdanie wypowiedzieć. Bertje ośmielił się przełożyć kilka uwag Cesarzowi względem niebezpieczeństw tej wyprawy zapędnej, i wykonanej w jednej kampanji zamiast w dwóch. Przedstawiał mu utrudzenie, brak żywności, osłabienie stopniowo wojska, upadek koni, a nadewszystko trudność powrotu. Napoleon, który sam znał dobrze to wszystko co mu można było powiedzieć w tym przedmiocie, ale gniewał się skoro znajdował w ustach innych osób wyrażenie myśli trujących jego umyśl, przyjął jak najgorzej uwagi szefa głównego sztabu, i zadał mu ten wyrzut dotkliwy, którego zwykł był używać przeciw każdemu, co mu robił zarzuty. — I pan takoz, pan jesteś z liczby tych, którzy nie chcą dalszej wojny! — Potém posunął się aż do zadania mu prawie obelgi, porównywając go z starą babą, mówiąc mu, że mógł, jeżeli chciał, powrócić do Paryża, i że po-

trafi obejść się bez jego usług. Bertje, upokorzony, odpowiedział mu z tajoną boleścią, oddalił się do kwatery głównego sztabu, i przez kilka dni nie chciał zasiadać u stołu cesarskiego, chociaż zwykle jadł tam zawsze.

Inny wypadek, równie godny pożalowania, miał miejsce w tymże samym czasie. Widzieliśmy jak marszałek Dawu i Miurat byli zawsze niezgodni z sobą w przedniej straży, co było skutkiem koniecznym odmienności ich charakterów. Marszałek Dawu w Wiaźmie, rozgniewany, że widział jazdę tak mało oszczędzaną przez Miurata, odmówił mu swój piechoty, nie chcąc żeby uległa temuż samemu losowi co jazda. Miurat napróżno powoływał się na to, że był królem, szwagrem cesarza, marszałek Dawu upornie stał przy swój odmowie, i przed całą armją zabronił generałowi Kompan być posłusznym królowi Neapolitańskiemu. Klótnia była tak żywą, że nie wiedziano na czém się skończy, lecz była wkrótce uśmierzoną obecnością Napoleona, który, jakkolwiek podzielał zdanie marszałka Dawu, był obrażony małą względnością tego marszałka dla krewnego cesarskiego, i wymierzył mu za to publicznie karę, stanowiąc że dywizja Kompan, przez czas kiedy będzie pozostawać w przedniej straży, posłuszną będzie rozkazom Miurata.

Wyruszone z Wiaźmy 31 sierpnia do Gżacka. Na drodze spodziewano się spotkać Rossjan w Carewo-Zajmiszcze. Po przybyciu tam, nie znaleziono ich już, równie jak w Wiaźmie, równie jak w Dorohobużu. Nie zdziwiono się tém bynajmniej i postanowiono iść w ślad za nimi, w tej pewności, że wkrótce zostaną dościgniętymi. Jakóż wszyscy znuzeni, których zbierano podrodze, donosili jednogłośnie, że miano stoczyć bitwę, i że dla wydania jej czekano tylko na posiłki mające przybyć ze środka państwa. W tymże samym dniu jazda lekka pojmała kozaka, będącego kanonjerem w korpusie Płatowa. Ponieważ zdawał się być bardzo roztropnym, Cesarz chcąc sam go rozpytać podczas marszu, rozkazał żeby mu dano konia i umieszczono go pomiędzy nim a p. Lelorn d'ildewill, tłumaczem zostającym przy głównej kwaterze. Kozak nie wiedząc w jakim znajdował się towarzystwie, gdyż prosty ubiór Napoleona nie miał w sobie nic coby go mogło naprowadzić na domysł że znajdował się w obec monarchy, rozprawiał bardzo poufnie o okolicznościach toczącej się wojny. Opowiadał wszystko co mówiono w armji rossyjskiej o nieporozumieniach generałów, utrzymywał że Płatow sam przestał być przyjacielem Barklaj de Tollego, wychwalał usługi wyświadczone przez kozaków, bez których Rossjanie, jak dowodził, byłiby już zwyciężonemi, zapewniał

że za kilka dni nastąpi wielka bitwa, że jeżeli będzie miała miejsce przed upływem trzech dni, Francuzi ją wygrają, ale jeżeli stoczona będzie później, Bóg sam raczy wiedzieć co z tego wyniknie. Dodał, że Francuzom, jak powiadano, dowodził generał Bonaparte, który miał zwyczaj bić wszystkich swoich nieprzyjaciół, ale że miano otrzymać ogromne posiłki dla stawienia mu czoła, i że tą razą może będzie mniej szczęśliwym, i t. d. Rozmowa ta, w której odbijały się sposobem najnaturalniejszym i najoryginalniejszym wszystkie wyobrażenia krążące w armji rossyjskiej, zajęła wielce i skłoniła powielekroć do uśmiechu potężnego władcę rozmawiającego z młodym kozakiem. Chcąc spróbować wrażenia, jakie obecność jego wywrze na tym synie Donu, Napoleon powiedział p. Lelorn-d'Idewill, ażeby uwiadomił go, że ów generał Bonaparte był właśnie osobą obok której jechał. Zaledwo tłumacz Napoleona odezwał się z tém, kozak przejęty pewnym rodzajem zdumienia, nie wyrzekł już ani słowa, i jechał z oczyma ciągle zwróconemi na tego zdobywcę, którego imię przeniknęło aż do niego, przez stepy wschodu. Cała jego wielomówność nagle ustała, a miejsce jęj zastąpiło uczucie podziwienia naiwnego i milczącego. Napoleon obdarzywszy go, kazał go uwolnić jak ptaka, któremu się dozwala wrócić na rodzinne pola.

Przednia straż posunęła się w tym dniu do Gżacka, małego miasteczka, dość zaopatrzonego w zapasy, szczególnież zboża i które miano czas uratować z ognia. Nazajutrz 1 września główna kwatera tam się rozlokowała. Deszcz nagły obrócił kurzawę pól moskiewskich w gęste błoto, w którym głęboko trzeba było grzęznąć. Napoleon strwożony stratami ludzi i koni, jakie ponoszono posuwając się dalej, postanowił zatrzymać się w Gżacku dwa lub trzy dni. Ponieważ zamiarem jego odtąd było iść śladami Rossjan aż do Moskwy, był pewnym ich doścignięcia chociażby u samych bram stolicy, zdecydowanych bronić ją do upadłego. Nie było więc żadnego powodu biedz co tchu dla przegonienia ich, i daleko korzystniej było przybyć liczniejszym i mniej strudzonym na pole bitwy. Zalecił zatém wszystkim dowodcom ciągnąc swych żołnierzy pozostałych, sprawdzić przez ścisłe appelle liczbę ludzi mogących być postawionemi na linii bojowej, zrobić przegląd ich broni i obliczyć amunicję, zaopatrzyć się jak zwykle za pośrednictwem maroderstwa w żywność na dwa lub trzy dni, przygotować wreszcie ciała i dusze żołnierzy do wielkiej walki, mającej wkrótce nastąpić. Zresztą ci mężni żołnierze spodziewali się jęj, wedle wszelkich wiadomości odbieranych z przednich straży i nie było potrzeby dokładać wielkich usiłowań dla ich przygotowania do nięj,

gdyż sami żądali jej gorąco i uważali ją jako mającą położyć koniec ich trudom i jako jeden z najważniejszych dni ich pełnego chwaleństwa życia.

W istocie chwila tej bitwy nadeszła, i Rossjanie postanowili stoczyć ją. Wydaliby ją nawet w Carewo-Zajmiszcze, gdyby nowa zmiana zaszła w ich armji nie pociągnęła za sobą jeszcze opóźnienia dni kilku. Przyczyna tej zmiany pochodziła z Petersburga, z pośród samego dworu rossyjskiego.

Cesarz Aleksander opuściwszy armję przeniósł się do Moskwy dla zagrania tam i powołania do broni ludu rossyjskiego przeciw Francuzom. Po przybyciu do Moskwy zwołał stan szlachecki i kupiecki dla żądania od nich dowodów rzeczywistych ich poświęcenia się monarche i ojczyźnie. Gubernatorowi Rostopczynowi poruczono to zwołanie i ten bez trudności zdołał zapalić umysły, które obecność nieprzyjaciela na drodze do stolicy napełniała pewnym rodzajem patriotycznego szału. Na widok Cesarza Aleksandra, przybywającego wzywać pomocy przeciwko obcemu najeźdźcy, łkania, okrzyki miłości dały się zewsząd słyszeć. Szlachta uchwaliła wybranie jednego człowieka z dziesięciu w swych posiadłościach; kupiectwo uchwaliło znaczne posilki pieniężne, a z tych ludzi i z tych pieniędzy miano sformować milicję, która w samej gubernji Moskiewskiej miała, jak powiadano, składać się z ośmdziesięciu tysięcy ludzi. Takowe zaciągi, niezależnie od tych, które Cesarz miał nakazać w dobrach państwa, miały być takżeo uskutecznione we wszystkich gubernjach niezajętych jeszcze przez nieprzyjaciela.

Po odebraniu tych dowodów patriotyzmu gorącego i szczerego, Cesarz Aleksander udał się do Petersburga dla przyspieszenia tam wszelkich środków, jakich wymagał ten rodzaj zaciągu w massie, i dla przewodniczenia ogólnemu kierunkowi działań wojennych. Dworzanstwo przebywające w tej chwili w stolicy składało się z starych Rossjan, których wiek zmuszał żyć w dali od obozów; rade ono było z powrotu Cesarza Aleksandra do stolicy, gdzie miał zostawać zdala od silnych wrażeń pola bitwy, nadewszystko zdala od złudzeń Napoleona, gdyż lękano się zawsze, żeby widzenie się Napoleona po przegranej bitwie, nie zawikłało go znowu w matnię polityki Tyłzyckiej. PP. Arakcejew, Armfeld, Sztajn, wszyscy doradcy rossyjscy lub niemieccy, otaczali go ciągle, i nie pozwoliliby nigdy na postanowienie niezgodne z ich widokami. Znaleźli oni jeszcze silnego swego sprzymierzeńca w osobie lorda Katkart, generała, który dowodził armją

angielską pod Kopenhagą i który przybył w poselstwie do Petersburga, po zawarciu przez Anglję traktatu pokoju z dworem rossyjskim.

Pokój ten został zawarty w jednej chwili, niezwłocznie po rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, ale nie wcześniej, jak to przyobiecwał Cesarz Aleksander panu de Loryston. Doprowadzony on był do skutku przez p. Suchtelena, reprezentującego Rossję i pana Tornton, ajenta angielskiego, wysłanego do Szwecji i warował połączenie wszystkich sił obu państw dla pomyślnego ukończenia tój nowój wojny. Lord Katkart przybył wnet po podpisaniu tego pokoju. Ambasadador ten, równie jak doradcy niemieccy i książę następca Szwedzki powtarzali, że w tój wojnie nie można będzie inaczej zwyciężyć jak przez wytrwałość; że bez wątpienia przegrana będzie bitwa jedna, może dwie, trzy, ale że dość będzie jednej wygranej dla zniszczenia Francuzów, którzy tak daleko zaszli w głąb państwa. Cesarz Aleksander, który był dotkliwie obrażony wyniosłym sposobem z jakim obchodził się z nim Napoleon od lat dwóch, oraz widoczną obojętnością, z jaką przyjmował jego propozycje pokoju, był zdecydowany, od tąd jak wojna się rozpoczęła, nie ustępować i opierać się do ostatka. Polegał on z zupełną ufnością na systemacie ciągłego odwrotu, pojmował całą jego wartość i chciał go się trzymać, nie wpadając w smutną niekonsekwencję, której poddani jego obecnie dawali przykład. Jakoż chlubiąc się codziennie z korzyści, jakie mieli odnieść cofając się w głąb państwa, i ściągając tam Francuzów, nie umieli tymczasem robić wszelkich i ofiar, jakich wymagał ten rodzaj wojny. Należało rzeczywiście poddać się pewnemu rodzajowi chwilowego upokorzenia, zależącego na ciągłym cofaniu się i narazić się na ciężkie straty, gdyż nie tylko nieszczęśliwe miasta Smoleńsk, Wiaźma, Gżack, cierpiały na tój rujnującej taktyce, ale też panowie, posiadacze dworów i wsi, położonych na drodze Francuzów, w okręgu dwunastu do piętnastu mil szerokości. W całym tym obwodzie pozostawały same tylko popioły, gdyż co potrafili ocalić z pożaru, palili potem sami przez niedbalstwo, i przez szczególną sprzecznosc, zamiast pojęcia potrzeby tych ofiar i pochwalania jeneratów, którzy cofali się niszcząc wszystko na swój drodze, narzekano na nich powiadając, że nie śmieli zajrzeć w oczy Francuzom i woleli raczej stawić przeciw nim ruiny, niżeli wylewać krew!

Tymczasem Cesarz Aleksander, zadość czyniąc opinji publicznej, zdecydował się wybrać siedmdziesięcio-letniego Kutuzowa, który był wtedy na czele milicji petersburskiej, za głównodowodzącego połączonemi armjami Bagracjona i Barklaj de Tollego, z których każdy

miał zatrzymać dowództwo sw. j. armji. Jenerał Benningsen, który był przybył razem z Cesarzem Aleksandrem do Petersburga, i który miał wielką wziętość w armji, dodany został Kutuzowemu za szefa głównego sztabu.

Jenerał Kutuzow, wnet po mianowaniu swoim na głównodowodzącego, odjechał do armji i przybycie to jego do Carewo Zajmiszcze przeszkodziło stoczeniu bitwy w t. j. pozycji. Pułkownik Toll, będący ciągle kwatremistrzem jenerałnym, znalazł w okolicach Możajska, o dwadzieścia pięć mil od Moskwy, pod wsią zwaną Borodino, pozycję dość obronną jak na kraj mało górzysty, w którym prowadzono wojnę, i jenerał Kutuzow, który, lubo nie pochwałał myśli stoczenia obecnie bitwy, był gotów jednak wydać jedną dla odmówienia później kilku, pochwalił wybór pułkownika Toll, udał się sam osobiście do Borodino i nakazał tam roboty obronne, dla wzmocnienia jeszcze pozycji t. j. sztuką. Jenerał Mituradowicz tylko co był tam przyprowadził 15,000 żołnierza z bataljonowych, rezerwowych i zakładowych, które miano wcielić w kadry armji. Około 10,000 ludzi milicji moskiewskiej nie mającej jeszcze umundurowania i uzbrojonej w piki, również tam przyszło. Posiłki te podniosły liczbę żołnierza czynnego armji rossyjskiej do 140,000 (1), znacznie przedt. osłabionej już bitwami pod Smoleńskiem i Walutyną, już nieustannemi marszami, z powodu których tyleż prawie cierpiała co my, chociaż bardzo dobrze była karmiona. Tym sposobem stanąwszy obozem w Borodino po za okopami, stary Kutuzow oczekiwał Napoleona z tą roztropną rezygnacją, która popełniając błąd, wie, że popełnia go dla tego, że jest potrzebnym, i myśli tylko jak uczynić go o ile można najmniej szkodliwym.

Te to szczegóły znane w ogóle przez Napoleona, dzięki użytkowi jaki umiał wyciągnąć ze szpiegostwa, czyniły go pewnym, że po za Gzackiem spotka armję rossyjską skłonną do wydania bitwy. Jednakże czas był tak słotny 1go, 2go i 3go września, że się czuł zachwianym na chwilę w swoim przedsięwzięciu. Wszyscy w wojsku skarżyli się na stan dróg, po których nasza artyllerja i nasze zaprzęgi postępowały przedt. z łatwością, ale które ostatnie dżdże zmieniły nagle w pewien rodzaj bagna. Konie tysiącami padały ze znużenia i głodu, jazda zmniejszała się widocznie, a co najgorsza, należało lekać się o przewóz artyllerji, co uczyniłoby wszelką bitwę niepodobną. Biwaki stawały się zimnemi i przykremi, były takż bardzo szkodliwemi dla zdrowia żołnierzy. Napoleon winił w t. j. swoich dowódców,

(1) Według M. Danilewskiego 113,000 (II. 200).

Cierpko wyrzucał on marszałkowi Nejowi, że tracił po kilkuset ludzi na dzień. Korpus tego marszałka, umieszczony pomiędzy korpusem marszałka Dawu, który był w połowie zaopatrzony w żywność skutkiem nadzwyczajnej przezorności swojego dowódcy i gwardją, której zapasy szły z tyłu na wozach, zmuszony był żywić się tem co zbierał po drodze, i osłabiał się maroderstwem tyle co przez najkrwawszą bitwę. Marszałek Nej wetując za to, wykazał ze wszelką słusznością nadzwyczajne przykrości tego długiego pochodu, i pisał do Napoleona że niepodobna iść dalej nie narażając armji na zgubę. Miurat, który miał sobie do wyrzucenia po części nieszczęścia, na które się skarżono, przyłączył się do Neja; Bertje, który nie śmiał już odzywać się, potwierdził ich dowodzenia ponurém milczeniem, i Napoleon, prawie zwyciężony, odpowiedział: Dobrze więc, jeśli pogoda nie zmieni się jutro, zatrzymamy się. Co miało znaczyć, że widziałyby w tém początek złej pory roku i powróciłby do Smoleńska. Nigdy sprzyjanie losu, które mu nastąpiło już to mgłę, w której flota jego umknęła przed Nelsonem, kiedy płynął do Egiptu, już to małą drożynę, za pomocą której obszedł twierdzę Bard, już to słońce austerlickie, nie okazałoby się tak widoczném, jak zsyłając mu wtedy trzy lub cztery dni niepogody. Los, niestety! nie sprzyjał mu już wtedy tyle, żeby miał mu sprawić podobną przykrość! 4-go września rano słońce weszło na pogodném niebie, powietrze było czyste i chłodne, zdolne osuszyć drogi w kilku godzinach. Kość rzucona! zawołał Napoleon; idźmy, ruszajmy na spotkanie Rossjan!.. I rozkazał Miuratowi i Dawu wyruszyć o południu, kiedy słońce osuszy drogi, podążając ku Grydniewu, leżącemu w połowie drogi z Gzacka do Borodina. Reszta armji otrzymała rozkaz iść w ślad za przednią strażą.

Jakoż ulegając przeznaczeniu, wyruszone i rozpołożone się na noc w Grydniewo. Nazajutrz 5 września ruszono w dalszy pochód, i postępowano ku równinie Borodino, miejsca przeznaczonego do stania się równie słynném jak Zama, Farsalja lub Akejum. Przechodzono mimo słynnego klasztoru, zwanego Kołocki, wielkiego gmachu z narożnemi wieżami, którego pokrycie z dachówki różnokolorowej odbijało od ciemnej barwy okolicznych stron. Od wielu już dni postępowaliśmy po wyniosłych płaszczynach, oddzielających wody Bałtyku od wód morza Czarnego i Kaspjskiego, a poczynając od Gzacka, zaczęto zstępować po pochyłości skąd Moskwa na lewo, Protwa na prawo, wpadają przez Okę do Wołgi, a przez Wołgę do morza Kaspjskiego. Jakoż powierzchnia gruntu zdawała się zniżać ku widnokręgowi, i pokrywać się tam pasem gęstych lasów. Niebo na pół osło-

nione lekkimi chmurami jesiennymi, nadawało tej równinie pozór jeszcze smutniejszy i dziksz. Wszystkie wsie były popalone i opuszczone. Kilku tylko zakonników pozostało w klasztorze Kołockim. Pozostawiono ten klasztor na lewo i zapuszczono się w równinę, idąc biegiem małej rzeczki w połowie wyschłej, Kołoczy, która płynęła prosto przed nami, to jest ku wschodowi, kierunku, w którym nie przestaliśmy postępować od przejścia Niemna. Tylne strażę kawaleryjskie po pewnym oporze wkrótce przełamany, rzuciły się na prawy brzeg Kołoczy i skupiły się u podnóża obwarowanego pagórka, gdzie znajdował się znaczny oddział, około 15,000 żołnierza wszelkiej broni.

Napoleon zatrzymał się dla rozpatrzenia tej równiny gdzie miał rozstrzygnąć się los świata. Kołocza płynęła, jak powiedzieliśmy, prosto przed nami, przebiegając łożysko kolejno błotniste lub wyschłe, potem pod wsią Borodino zwracała się na lewo, płynęła pomiędzy wzgórzami dość urwistymi więcej mili, i wpadała wreszcie, po tysiącnych zakrętach, do rzeki Moskwy. Wzgórza po naszym lewym ręku, u podnóża których płynęła Kołocza, zdawały się być okryte wojskiem i artylleryją. Na prawo tej rzeczki łańcuch wzgórz ciągnął się dalej, ale były one mniej urwiste, i tylko prosty wąwoz oddzielał ich od równiny. Linja armji rossyjskiej ciągnęła się wzdłuż tych pagórków: tam, ponieważ pozycja była mniej silną, fortyfikacje były znaczniejsze, i wielkie reduty uzbrojone w działa wieńczyły wynioślejsze wzgórze. Widoznem było na pierwszy rzut oka, że należało atakować Rossjan z tej strony, gdyż zamiast Kołoczy, należało tylko przebyć wąwoz. Reduty dobrze uzbrojone, które dawały się widzieć, były zapewne ważną przeszkodą, ale nie niepodobną do przewycięzenia dla armji francuzkiej.

Jednakże dla dostania się na prawy brzeg Kołoczy należało zważyć pierwszą przeszkodę, to jest, redutę więcej posunioną naprzód od innych, wzniesioną na pagórku, ku któremu cofnęła się była tylna straż rossyjska. Napoleon widział że należało ją zdobyć natychmiast ażeby się można było wygodnie rozwinąć w tej części równiny i porobić przygotowania do wielkiej bitwy. Miał on pod ręką jazdę Miurata i piękną dywizję piechoty jenerała Kompan, oddzieloną tymczasowicie od korpusu marszałka Dawu dla pełnienia służby w przedniej straży. Napoleon kazał przywołać Miurata i Kompan, i rozkazał im zdobyć niezwłocznie tę redutę, którą nazwano redutą Szewardino, dla tego że się wznosiła blisko wsi tego nazwania. Miurat z swoją jazdą, Kompan z swą piechotą, przeszli już byli Kołoczę, i znajdowali

się po prawej stronie równiny. Dzień zbliżał się już ku schyłkowi. Szwadrony Miurata zmusiły jazdę rosyjską do cofnięcia się, i oczyścili tym sposobem miejsce dla naszej piechoty. Naprzeciw reduty, którą miano atakować znajdował się mały pagórek. Generał Kompan umieścił na nim działa dwunastofuntowe i pewną liczbę wybranych tyraljerów dla zdemontowania artyllerii nieprzyjacielskiej i wybicia jej kanonjerów. Po dość żywej kanonadzie, generał Kompan uszykował pułki linjowe 57my i 61szy na prawo a 25ty i 111ty na lewo. Należało zstąpić najprzód w mały wąwóz, potem wdrzść się na pochyłość przeciwną, na której reduta była wzniesioną, i nie tylko zdobyć tę redutę, ale przełamać piechotę rosyjską stojącą w szyku bojowym po jednej i drugiej stronie. Generał Kompan prowadząc sam pułki 57my i 61szy, i powierzywszy generałowi Dupollé 25ty i 111ty, wydał rozkaz przebycia wąwozu. Wojsko nasze posunęło się krokiem szybkim i pewnym, pod ogniem rżęsim. Osłonięte w głębi wąwozu, nie było już niem, podnosząc się na wyniosłość, na której znajdowała się reduta. Wstąpiwszy na szczyt tej wyniosłości, zamieniło ono z piechotą rosyjską w ciągu kilku minut i z bardzo bliska ogień karabinowy nader morderczy. Generał Kompan, który wnosił bardzo słusznie że atak zimną bronią będzie mniej krwawym, dał hasło pójść na bagnety; ale pośród wrzawy i dymu, rozkaz jego nie mógł być dosłyszany. Ruszywszy wtedy galopem ku 57mu pułkowi, który zostawał najbliżej reduty, i dowodząc nim sam, poprowadził go ze spuszczone mi bagnetami na grenadjerów Woronecowa i księcia Meklemburskiego. Pułk 57my postępując szybkim krokiem przełamał linję nieprzyjacielską stawiając mu opór. Za jego przykładem poszedł 61szy, znajdujący się obok niego, a gdy polewém rękę pułki 25ty i 111ty uczyniły toż samo, reduta została wyminiętą przez ten podwójny ruch i popadła w nasze ręce. Kanonjerowie rosyjscy byli prawie wszyscy pozabijani na swych działach.

Ale na lewo pułk 111ty posunąwszy się za nadto naprzód, został nagle napadnięty przez kirassjerów Duky, i znajdował się na chwile w niebezpieczeństwie. Sformował się on natychmiast w czworobok, i wstrzymał gradem kul męźnych kawalerzystów, co nań napadali. Pułk hiszpański piechoty (Józefa Napoleona), należący do dywizji Kompan, pospieszył odważnie na pomoc swoich towarzyszków, ale nie miał prawie nic do czynienia, gdyż pułk 111ty potrafił sam wyjść obronną ręką. Doznał on jednakże niemałego smutku, straciwszy swoje artylleryję pułkową, składającą się z dwóch małych armatek, których cofając się dla sformowania czworoboku nie miał czasu z sobą upro-

wadzić. Był to nowy dowód niedogodności tego urządzenia, które odrywając w pułku ze stu ludzi, którzy byłiby daleko użyteczniejszemi w szeregach piechoty, niżeli zostając przy działach, których źle używali, nie umiėjąc ani posuwać ich naprzód, ani cofać w porę. Napoleon chciał upornie zatrzymać to urządzenie, pomimo jego widocznych niedogodności, dla tego tylko że uważał artyllerię jako środek najmniej kosztowny zniszczenia piechoty rossyjskiej.

Gdy ta walka krótka i chlubna, w której 4 do 5,000 żołnierza poległo z naszej strony a 7 do 8 tysięcy ze strony nieprzyjaciela, uczyniła nas panami całej równiny na prawo Kołoczy, Napoleon pospieszył uszykować tam armję. Przeznaczono do pozostania na lewym brzegu Kołoczy te tylko wojska, co jeszcze były nie nadciągnęły. Postawa Rossjan, zostających w pozycji od dwóch dni na wzgórzach Borodino, fortyfikacje któremi się byli zastanili, wiadomości udzielone przez zabranych w niewolę, wszystko zapowiadało że nastąpi wreszcie bitwa, pożądana razem od Francuzów, którzy spodziewali się osiągnąć przez to stanowczy rezultat, i od Rossjan, którzy poczytywali sobie za hańbę cofać się ciągle, i sprzykrzyli byli rujnować swój kraj szerząc w nim pożogi. Napoleon, będąc już tą razą pewnym bitwy, uznał za potrzebne, dać wojsku jeden dzień odpoczynku, jużto dla ściągnięcia żołnierzy pozostałych z tyłu, jużto dla obejrzenia dokładnie miejscowości. Oświadczył swój zamiar dowódczom korpusów, którzy dozwolili wojskom biwakować z prawego do lewego końca tej obszernej równiny, z widokiem zupełnego odpoczynku nazajutrz, i morderczej bitwy na dzień trzeci. Rozłożono wielkie ognie, których dawała się czuć potrzeba, gdyż padał deszcz drobny i chłodny, który przenikał odzienię. Tym sposobem zakończył się dzień 5go września.

Nazajutrz 6go słońce, które było zwykle dość jasnym w połowie dnia, a ostonionem chmurami tylko rankami i wieczorami, oświeciło znowu tysiące kasek, bagnetów, armat na wyniosłościach Borodino, i z zadowoleniem widziano Rossjan ciągle zostających w pozycji, i widocznie zdecydowanych do wydania bitwy. Napoleon, który biwakował na lewo Kołoczy, pośród swojej gwardji, siadł bardzo rano na koni otoczony swemi marszałkami, chcąc sam rozpatrzyć pole na którym się miał zmierzyć z Rossjanami.

Przebiegłszy je dwa razy z największą uwagą, i zsiadając często z konia dla rozpatrzenia miejsc bliżej, utwierdził się w przekonaniu powziętem od pierwszej chwili, że należało zaniechać lewą stronę, gdzie pozycja Rossjan, bardzo urwista, była bronioną od samego Borodina głębokiem łożyskiem Kołoczy, a zwrócić się na prawo, gdzie

wzgórza mniej wyniosłe były bronione przez wąwozy niegłębokie i bez wody. Wielka droga Moskiewska, po której szliśmy, idąc najprzód lewym brzegiem Kołoczy, przechodziła na prawy w Borodino, i podnosząc się na wyniosłą płaszczyznę Gorki, szła łańcuchem wzgórz w kierunku Możajska. Ta część pozycji, tworząca jej środek, była również mało przystępną jak część leżąca na lewo. Oddalając się to od Borodino, i zwracając się na prawo od Kołoczy, miejscowość zaczynała być więcej przystępną. Pierwszy pagórek na prawo od Borodina był okryty u podnóża gęstymi krzakami, zakończony u wierzchołka w kształcie dość obszernej płaszczyzny, na której znajdowała się ogromna reduta, której boki przedłużały się w kształcie okopów. Dwadzieścia jedna armat wielkiego kalibru zapełniały strzelnice tej baterji. Rossjanie nie mieli czasu jej opalisadowania, i wysokość jej, z powodu natury dość miękkiej gruntu, nie była dość znaczną. Miała ona otrzymać w pamiętnej bitwie mającej nastąpić, nazwisko wielkiej reduty. Postępując dalej jeszcze na prawo, znajdował się inny pagórek, oddzielony od pierwszego małym wąwozem, zwanym Siemienowski, gdyż na początku jego leżała wieś tegoż nazwania. Ten drugi pagórek mniej obszerny, więcej wystający od pierwszego, miał na sobie dwa strzałczany (flesze) uzbrojone w działa, a trzeci z tyłu zwrócony ku wąwozowi Siemienowskiemu. Wieś Siemienowska, leżąca przy początku wąwozu oddzielającego te dwa pagórki, była spaloną przedtém przez Rossjan, otoczona okopem, i uzbrojona w działa. Tworzyła ona pewien rodzaj wklęsłości wewnątrz linii nieprzyjacielskiej. Dalej wreszcie na prawo znajdowały się lasy, już to nisko, już wysokopiennie, rozciągające się daleko, przez które szła stara droga Moskiewska, która za wsią Ulicą łączyła się z nową drogą w Możajsku. Było rzeczą możliwą obejść z tej strony pozycję Rossjan; ale te lasy były obszerne, mało znane, i nie można było inaczej w nie wstąpić, jak czyniąc znaczne kołowanie.

Po rozpatrzeniu miejsc po kilkakroć powtarzaném, Napoleon ułożywszy swój plan, postanowił pozostawić na lewym brzegu Kołoczy tylko bardzo małą ilość wojska, wykonać atak dość silny we środku, ku Borodinowi, drogą nową Moskiewską, ażeby ściągnąć uwagę nieprzyjaciela, ale skierować swój główny napad na prawo Kołoczy, tak na pierwszy pagórek uwieńczony wielką baterją, jak na drugi opatrzony trzema strzałczanami, i wysłać w tymże samym czasie przez lasy i wielką drogę Moskiewską korpus księcia Poniatowskiego, który tworzył zawsze kraincowe prawe skrzydło armji. Zamiarem jego było wypro-

wadzić w tém miejscu się zatrważającą dla Rossjan, i nawet więcej niż zatrważającą, jeśliby atak z téj strony się udał.

Podczas gdy robił te rozporządzenia, marszałek Dawu, który dopiero co zapuściwszy się w las, dokonał dokładnego rekonesansu miejscowości i przekonał się o możności obejścia pozycji Rossjan, oświadczył Napoleonowi, że wykona z swemi pięcią dywizjami kołowy obrót, który przez lasy prowadził na starą drogę Moskiewską, obiecywał, wyszedłszy w nocy, być nazajutrz o ósmém godzinie rano z boku Rossjan z 40,000 żołnierza, odeprzeć ich ku ich środkowi, i zagnać ich w nieładzie w kął utworzony przez rzeki Kołoczę i Moskwę. Choć Kołocza była wyschlą na wielu miejscach, a Moskwa nie będąc wyschlą mogła jednak być w bród przebytą, trudnoby im było wydość się z podobnej matni, i bez wątpienia nie zdołaliby uratować ani jednego działa.

Propozycja była ponętną i miała za sobą prawdopodobieństwo pomyślnego skutku, gdyż pozycja Rossjan, prawie nieprzystępna od prawej ich strony i od środka, dostatecznie broniona od lewej baterjami, które dopiero co opisaliśmy, miała tylko łatwy przystęp od krańcowej lewej, przez las pod Utią, a ten las nie musiał być niepodobnym do przebycia, kiedy człowiek tak rozważny jak marszałek Dawu podejmował się przebyć go w ciągu nocy. Jednakże Napoleon inaczej o tém sądził. Zdawało mu się że to kołowanie będzie za nadto dalekie, że się wykona przez lasy bardzo gęste, bardzo ciemne, że przez kilkanaście godzin armja przeciętą będzie na dwie połowy bardzo oddalone jedna od drugiej, a nadewszystko że skutek tak stanowczy tego obrotu, przez samą swą korzyść, przyniesie ważną niedogodność w obecném położeniu, gdyż Rossjanie widząc że ich Francuzi obeszli, mogą opuścić swe stanowisko, a tém samém wymknęłaby się jeszcze raz zrzęchność tak pożądana stoczenia z nimi bitwy; że lepiej było okupić tę bitwę większym rozlewem krwi, ale ją otrzywać, niżeli osłabiać się bez końca upędzaniem się za nią; że nadto zamierzany obrót się wykona, ale bliżej, z mniejszem niebezpieczeństwem, przechodząc pomiędzy baterjami a krawędzią lasu, z dwoma lub trzema dywizjami marszałka Dawu, i nie narażając w gęstwinie lasu jak tylko korpus księcia Poniatowskiego; że tym sposobem osiągnięte zostaną wszelkie korzyści powyższego planu, bez żadnej z jego niedogodności.

Takie było zdanie Napoleona. Pomiędzy takimi ludzmi będącemi przeciwnego zdania, po upływie pół wieku, zdaleka od miejsc, od

okolicości, któżby śmiał wyrokować? Jakkolwiek bądź, Napoleon ułożywszy ostatecznie swój plan, naznaczył każdemu z swych dowódców zakres jego działania następnym sposobem:

Książę Eugenjusz, który od Smoleńska tworzył ciągle lewe skrzydło armji, miał sobie poruczone działać oddzielnie na lewym brzegu Kołoczy, a nawet zaleconém mu było, żeby działał z téj strony z jak najmniejszą częścią swych sił. Miał pozostawić swą jazdę lekką i gwardję włoską przed tą częścią wzgórzy, które urwistość ich i Kołocza czyniły nieprzystępnymi, i miał rozkaz wykonania z dywizją francuzką Delzon silnego ataku na Borodino, opanowania go, przebycia mostu na Kołoczy, ale nie zapuszczania się dalej i ustawienia w samém Borodino silnej baterji, która wzięłaby z boku wielką baterję rossyjską. Z dywizją francuzką Brussje i dwoma dywizjami marszałka Dawu, które mu były powierzone na ten dzień, dywizjami Moran i Giude, miał następnie zaatakować silnie wielką baterję i opanować ją za jakąbądź cenę. Marszałek Nej z dwoma dywizjami francuzkiemi Ledrii i Razu, z dywizją wirtemberską Marszan i Westfalczykami Żiuno, miał natrzeć z frontu na drugi pagórek i trzy strzałczany, które marszałek Dawu miał rozkaz zaatakowania z boku, idąc krawędzią lasu, z dywizjami Kompan i Desse. Wreszcie książę Poniatowski, rzucony na los szczęścia w głąbie lasów, miał próbować obejść pozycję Rossjan, występując przez starą drogę moskiewską, idącą na Ulicę.

Trzy korpusy kawalerji, Nansuty, Monbrę i Latur-Mobur, otrzymały rozkaz zostawania, pierwszy z tyłu za marszałkiem Dawu, drugi z tyłu za marszałkiem Nejem, trzeci wreszcie w rezerwie. Po przebyciu pochyłości wzgórzy, znajdowaneby się na wyniosłej płaszczynie bardzo dogodnej dla kawalerji, i ta miała korzystać z tego dla dokonania porażki nieprzyjaciela. Korpus generała Gruszy pozostał przy wice królu.

Z tyłu i w rezerwie uszykowane były dywizja Erjan i cała gwardja cesarska, ażeby być użytymi stosownie do okoliczności. Napoleon chcąc postawić opór przeciw redutom rossyjskim, kazał wznieść trzy baterje osłonięte szaniecami z ziemi, jedną po naszym prawém ręku przed trzema strzałczanami, drugą w naszym środku przed wielką redutą, trzecią po naszym lewém ręku przed Borodino. Sto dwadzieścia dział, wziętych głównie z rezerwy gwardji, przeznaczonych zostało dla uzbrojenia tych baterji. Napoleon, ażeby nie wydać przed nieprzyjacielem swojego planu ataku, postanowił, że dzień 6ty wrze-

śnia przepędzony zostanie w tych samych stanowiskach jakie zajmowano 5go. Miano zająć swe miejsce w linii bojowej nie pierwój, jak 7go rano i to o samym świecie. Dla ułatwienia komunikacji, generałowie Eble i Szasslu wystawili na Kołoczy pięć czy sześć małych mostów na krokwiach, które dozwalały przechodzić ją w punktach najważniejszych, nie zstępując w jej łożysko błotniste i zacieśnione. Ponieważ każdy mógł się zaopatrzyć w żywność maroderstwem dni poprzednich, nikomu nie wolno było opuścić szeregów. Po odtrąceniu ludzi straconych w drodze od Smoleńska, pozostawało około 127,000 zdolnych do boju ⁽¹⁾, rzeczywiście obecnych pod chorągwiami, wszystkich ożywionych nadzwyczajną ufnością i zapałem, i posiadających 580 armat.

Wojsko rosyjskie ze swój strony przygotowane było do dzielnego oporu i postanowiło nie opuścić pola bitwy, chyba po zupełnej prawie zagładzie. Jenerał Kutuzow wyniesiony do godności księcia za usługi wyświadczone świeżo w Turcji, miał za szefa głównego sztabu jenerała Benningsena, a pułkownika Toll za jenerałnego kwartmistrza; ten ostatni był po większej części nie tylko wykonawcą, ale doradcą jego postanowień. Pod jego rozkazami Barklaj de Tolli i Bagracjon dowodzili dalej, jeden armją naddziwińską, drugi nad-dnieprską. Jeden i drugi byli w mocnym postanowieniu przypłacić życiem, jeśli tego potrzeba będzie, Barklaj de Tolli przez bohaterskie oburzenie za niesłuszne o nim pasądzenie, Bagracjon przez zapał patriotyczny, nienawiść Francuzów, zobowiązanie przyjęte w obec armji poświęcić tysiące Rossjan, ażeby tylko wymordować tysiące Francuzów. Wszyscy oficerowie podzielali te uczucia; arystokracji rosyjskiej zależało tyleż co całemu państwu na tój wojnie, i była ona gotową przelać całą swą krew za sprawę, której się podjęła.

Rossjanie uszykowani byli w porządku następnym. Na ich prawém krańcówém skrzydle, naprzeciw naszego lewego, z tyłu za Borodino, w punkcie najmniej zagrożonym, były umieszczone: 2gi korpus Baggowuta i 4ty Ostermanna, pod naczelnym dowództwem jenerała Mtoradowicza. Z tyłu znajdował się 1szy korpus kawaleryjski jenerała Uwarowa, 2gi jenerała Korffa i nieco dalej ku krańcówej prawej stronie, kozacy Płatowa, strzegący brzegów Kołoczy do jój połączenia z Moskwą. Pułki strzelców, już to gwardji, już korpusów Baggowuta

(1) Jenerał M. Danilewski podaje liczbę wojska Napoleona pod Borodinem 66-rą 170,000; rosyjskiego zaś tylko 113,000. (Opis wojny 1812 r. II. 200).

i Ostermanna, strzegły Borodino. We środku znajdował się 6ty korpus generała Dochturowa, opierając się z prawej strony na wysokości Gorek za Borodino, z lewej strony o wielką redutę. Za korpusem Dochturowa uszykowany był 3ci korpus kawaleryjski, pod rozkazami barona Kreutza, zastępującego miejsce hrabiego Pahlena, który był chorym. Tu kończyła się pierwsza armja i dowództwo generała Barklaj de Tollego.

Tuż zaraz zaczynała się druga armja i dowództwo księcia Bagracjona. 7my korpus Rajewskiego opierał się z prawej strony o wielką redutę, z lewej o wieś spaloną Siemienowską. 8my Borodina, był z prawej strony zwrócony w tył, z powodu wklęsłości linii rosyjskiej około Siemienowska, a z lewej opierał się o trzy strzależany. 27ma dywizja pod Niewierowskim, która stoczyła bitwę pod Kraśnem, przyczyniła się do obrony Smoleńska i broniła reduty Szwardino, strzegła trzech strzależanów. Była ona w tym dniu pod rozkazami księcia Gorczałkowa z 4tym korpusem jazdy generała Siewersa. Liczne bataljony strzelców zapelniały zarośla i lasy. Milicja, świeżo przybyła z Moskwy z pewną ilością kozaków, postawioną była w Uticy. Wreszcie daleko z tyłu za środkiem, w okolicach Psarewo, stała rezerwa, złożona z gwardji, trzeciego korpusu Tuczkowa i licznej artyllerii wielkiego kalibru.

Sily armji rosyjskiej wynosiły około 140,000 żołnierza obecnego pod bronią, z których 120,000 wojsk regularnych, reszta kozaków i milicji moskiewskiej (1). Główne sily Rossjan były po ich prawém rękę naprzeciw naszego lewego skrzydła, tam właśnie, gdzie nie należało spodziewać się żadnej napaści z naszej strony, a mniejsze na lewo, naprzeciw naszego prawego skrzydła, gdzie Napoleon postanowił zwrócić swe główne usiłowania. Chociaż Napoleon nie wyjawiał w niczem swoich zamiarów, jednakże wzięcie reduty Szwardino wieczorem 5go, przejście części naszych wojsk na prawo Kolocezy, a nade wszystko natura miejscowości, nieprzystępnej za Kotoczą, od Borodino aż do Moskwy, dość zaś przystępnej ku pagórkom uzbrojonym w fortyfikacje polowe, ukazywały dostatecznie że niebezpieczeństwo dla Rossjan było z ich lewej strony, ku Siemienowskiemu, trzem strzależanom i lasowi Uticy. Zwrócono na to uwagę jeneralissymusa Kutuzowa, który był sposobniejszym kierować roztropnie kampanją, nizeli staczać wielką bitwę. Przyjął on obojętnie to przedstawienie,

(1) Ob. wyżej przypisek na str. 513.

zatrzymał upornie korpusy Ostermanna i Baggowuta w miejscach, gdzie się znajdowały, gdyż widział jeszcze wielką armję rossyjską na nowej drodze moskiewskiej i tylko oddzielił z rezerwy 3ci korpus, Tuczkowa, dla umieszczenia go w Uticy. Były to jego jedyne rozporządzenia bitwy. Zresztą, energia jego wojska miała zastąpić wszystko to czego nie czynił. Co się tycze postanowień do wzięcia na polu bitwy i wśród ognia, mógł się spuścić na dzielną wytrwałość Barkłaj de Tollego i na mężstwo natchnione Bagracjona.

Przez pewien rodzaj wzajemnej zgody, dozwolono upłynąć całemu dniu 6go września, nie dawszy słyszeć ani jednego wystrzału karabinowego. Była to cisza, ponury zwiastun wielkich burz. Francuzi użyli tego dnia na odpoczynek, na spożywanie żywności zebranej dnia uprzedniego, na przygotowanie swęj broni, na toczenie w swych biwakach rozmów, zwykłych pomiędzy żołnierzami francuzkimi, najweselszemi i najmężniejszymi może na kuli ziemskiej. Zapytywali oni jeden drugiego, który z pomiędzy nich będzie żyjącym nazajutrz, i śmieli się głośno jedząc to co złupili we wsiach sąsiednich; ale ani jeden z nich nie wątpił o zwycięztwie, ani o bliskim wejściu do Moskwy, za przewodnictwem swego niezwytyczonego i zawsze szczęśliwego wodza. Miłość chwały była namiętnością zagrzewająca ich dusze.

Całkiem różne uczucia ożywiały Rossjan. Smutni, stroskani, zdecydowani na śmierć, pokładając nadzieję tylko w Bogu, klęczeli oni, peśród tysiąca zapalonych świec, przed cudownym obrazem N. Panny Smoleńskiej, wyniesionej, jak powiadano, na skrzydłach aniołów z pożaru nieszczęśliwego miasta i w tęg chwili obnoszonej w processji przez księży greko-rossyjskich po biwakach obozu Borodyńskiego. Żołnierze padali przed nim na twarz. sam stary Kutuzow, z czapką w rękę, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, towarzyszył z swoim głównym sztabem tęg pobożnej processji. Widziano ją z naszych biwaków przy schyłku dnia i można było dostrzedz kędy szła po odbłasku goręjących świec.

Napoleon w swoim namiocie, polegając na wojennym duchu swoich żołnierzy, był pewnym odniesienia tryumfu nad gorącą wiarą Rossjan i zajmował się przedmiotami całkiem rzeczywistemi. Kończył on wydawać swe rozkazy, kazał sobie zdawać rachunek z najmniejszych szczegółów i słuchał z dziwną mieszaniną złęgo humoru i szyderstwa opowiadania o bitwie pod Salamanką, które mu czynił pułkownik Fabwje, w tym samym dniu przybyły z Arapyl. To co powie-

dzieliśmy o fałszywych ruchach naszych wojsk w Hiszpanji, o rozdziale dowództwa, które narażało marszałka Marmon na ciosy armji angielskiej, może dać pojęcie, jakim sposobem ten ostatni był przywieziony do wydania i do przegrania ważnej bitwy. Napoleon który chciał w Rossji szukać rozwiązania, jakiego nie mógł znaleźć dość prędko na półwyspie, wysłuchawszy pułkownika Fabwje, odprawił go powiadając, że nazajutrz poprawi na brzegach Moskwy błędy popełnione w Arapylach.

Pan de Bosse, prefekt pałacu, przybył tegoż samego dnia z Paryża i przywiózł Cesarzowi portret króla Rzymskiego, wykonany przez znakomitego malarza Żerar. Napoleon przypatrywał się chwilę ze wzruszeniem rysom swojego syna, kazał potem zamknąć ten portret w jego pokrowiec, potem rzucił ostatnie spójrzenie na linję stanowisk nieprzyjacielskich dla zapewnienia się że Rossjanie nie myśleli ruszać z miejsca, postrzegł z wielkiem zadowoleniem, że zostawali nieporuszeni i powrócił do swego namiotu dla użycia kilku chwil odpoczynku (1).

Cisza zupełna, milczenie głębokie panowało na téj równinie, która nazajutrz miała być teatrem najokropniejszego i najgłośniejszego widowiska. Śmiechy naszych żołnierzy, pobożne pienia Rossjan ucichły powoli i dały miejsce spoczynkowi. Jedni i drudzy spali około wielkich ogniów, które rozłożyli dla ochrony się od chłodu nocnego i od wilgotności drobnego dżdżu spadłego wieczorem.

O trzeciej godzinie rano zaczęto z naszej strony brać się do bronni i korzystać z mgły dla przejścia na prawy brzeg Kołoczy, oraz zajęcia swoich stanowisk na polu bitwy, książe Eugienjusz naprzeciw Borodino i wielkiej reduty, mając zostawać po obu stronach Kołoczy, Nej i Dawu naprzeciw trzech strzałczanów, jazda z tyłu ich, Frjan i gwardja w rezerwie po środku, Poniatowski zdala na prawo, mając iść przez lasy. Ruchy te odbyły się w milczeniu, ażeby nie ściągnąć uwagi nieprzyjaciela. Tymczasem kanonjerowie naszych trzech wielkich baterij, przeznaczonych do działania przeciw fortyfikacjom Rossjan, stanęli przy swych działach, czekając hasła, które miał wydać Napoleon, skoro wszystkie miejsca należycie zajętemi zostaną. Ten,

(1) Jenerał M. Danilewski w opisie swoim wojny 1812 r. (T. II str. 202) powiada, że sen Napoleona téj nocy był bardzo niespokojny, że po kilka razy budził się i przywoływał do siebie swojego deżurnego jenerała, rozmawiał z nim o mającej się stoczyć bitwie, o prawdopodobieństwie wygranej, rzekł wreszcie do niego: „Potrzeba wypić kielich, nalany w Smoleńsku!”

wstawszy bardzo rano, ale cierpiący na wielki katar, którego nabył w biwaku, stanął u reduty Szwardino, w miejscu, skąd mógł widzieć wszystko co się działo i być ochronionym nieco od kul, których liczba miała być znaczną w tym dniu. Miurat pełen zapалу i hańsłów, okryty płaszczem z zielonego aksamitu, z kapelusikiem z piórami na głowie, w żółtych butach, śmieszny, gdyby bohaterstwo mogło być śmiesznym, galopował przed szeregami swęj jazdy z pogodą na czole i ufnością, której udzielał wszystkim przez swą postawę wojowniczą. Chmury zasłaniały niebo, i słońce wznosząc się naprzeciw nas a nad Rossjanami, zaczęło oświecać ich linje i ukazywać się w kształcie czerwonej smugi rozciągającej się wzdłuż nad widnokregiem. Wkrótce całą swą tarczą wystąpiło nad poziom, jakby kula żelazna rozpalona w ogniu i Napoleon spozierając na swych dowódców zawołał. — Oto słońce austerlickie! — Niestety! tak, ale osłonięne chmurami!

Napoleon przygotował na chwilę bitwy odezwę krótką i energiczną. Kapitanowie każdej kompanji, dowódcy każdego szwadronu, wystąpiwszy z szeregów, kazali stanąć swym oddziałom w półkole, i odczytali głośno tę odezwę, która z zapalem przyjęta została (1).

Po ukończeniu tego czytania i po zajęciu wszystkich stanowisk, o pół do szóstej rano wystrzał armatni dany został z baterji prawęj, na ten złowrózby znak wrzawa straszliwa nastąpiła po głębokim milczeniu, a pasmo ognia i dymu odznaczyło ponuręm światłem linje obu armij. Na baterji po prawém ręku odległość uznana została za nadto wielką, przeto nasi mężni artyllerzyści, pod dowództwem jenerała Serbje, wyszli z swych okopów i stanęli niezem nie osłonięci przed trzema strzelczanami, które mieli osypać pociskami.

Podczas kiedy sto dwadzieścia armat dawały ognia na fortyfikacje Rossjan, kiedy na prawo Dawu i Nej zbliżali się do nich krokiem przyspieszonym, na lewo książę Eugienjusz kazał przeprowadzić przez Kołoczę dywizję Moran i Giudę dla poprowadzenia ich na wielką redutę, pozostawił na brzegu tej rzeczki dywizję Brussje w rezerwie, a sam z dywizją Delzon miał pójść na Borodino, miejsce gdzie Koł-

(1) M. Danilewski podaje tę odezwę w następnich słowach: „Oto tyle pożądana od was bitwa! Zwycięztwo zależy od was; ono nam potrzebne i zapewni nam obfitość, spokojne kwatery i prędko powrót do ojczyzny. Działajcie tak, jakście działali pod Austerlitz, Frydlandem, Witebskiem, Smoleńskiem, a późne potomstwo z pychą będzie mówić o waszych czynach; wskazując na was będą powtarzać: „I on był w wielkiej bitwie pod murami Moskwy!”

cza, jak powiedzieliśmy, zwracała się na lewo; i osłaniała prawe skrzydło Rossjan aż do ujścia swego do Moskwy. Książę Eugienjusz miał tym sposobem rozpocząć walkę atakiem na Borodino, ażeby pokazać przed nieprzyjacielem, że chcieliśmy wystąpić na wielką drogę moskiewską, zwaną nową drogą.

Po ukończeniu tych przygotowań, książę Eugienjusz z dywizją Dêlzon posunął się ku wsi Borodino, położonej przed Kołoczą i zajętej przez trzy bataljony strzelców cesarskiej rosyjskiej gwardji. Jenerał Płozonn na czele 106go pułku linjowego, wszedł do samej wsi, podczas kiedy inne pułki tej dywizji przechodziły po jej prawej i lewej stronie. Pułk 106ty wyparł Rossjan, popędził ich za wieś i poparł silnie ku mostowi na Kołoczy, którego nie mieli czasu zniszczyć. Uniesiony zapalem, ten pułk przebył most i szedł dalej za Kołoczę, pomimo wyraźnego rozkazu Napoleona, który nie miał zamiaru występować na wielką drogę moskiewską i chciał tylko wprowadzić w błąd nieprzyjaciela. Dwa pułki strzelców rosyjskich, 19ty i 20ty, umieszczone na tym punkcie, dały ognia tak nagle i tak rzęsiście na kompanję 106go pułku, które się posunęły za most, że zmieszały im szyki i wzięły w niewolę lub położyły trupem wszystkich żołnierzy, którzy nie mieli czasu uciec. Sam mężny jenerał Płozonn otrzymał raz śmiertelny. Ale pułk 92gi postrzegwszy niebezpieczeństwo, w jakim zostawał pułk 106ty, pośpieszył na jego pomoc pod dowództwem adjutanta pułkowego Bóasserol, przyjął w swe szeregi uciekających i zajął ostatecznie Borodino, pomimo wszelkich usiłowań Rossjan. Punkt ten nie miał już być dla nas straconym.

Po tém pierwiastkowém działaniu, książę Eugienjusz miał oczekiwać, dla zaatakowania z dywizjami Moran i Giudę, wielkiej środkowej reduty, nimby na prawo Dawu i Nej zdobyli trzy strażeczany zasłaniające lewe skrzydło Rossjan.

Jakoż marszałek Dawu, poprzedzany trzydziestu armatami, wyruszył na czele dywizji Kompan i Desse, idąc wzdłuż lasu, wewnątrz którego zapuścił się był Poniatowski. Przybywszy do krawędzi lasu po trudnych drogach, zbliżył się do tego z trzech strażeczaków, który był najbardziej posunięty na prawo, ażeby wziąć go z boku i zdobyć go nagle. Oddaliwszy tyraljerów nieprzyjacielskich posunięciem swoich, sformował dywizję Kompan w kolumny atakowe, a pozostawił dywizję Desse w rezerwie dla strzeżenia swojego boku prawego i swych tyłów. Zaledwo dywizja Kompan znalazła się na wystrzał od nieprzyjaciela, ogień straszliwy, pochodzący z trzech strażeczaków i li-

nij grenadjerów Woroncowa, powitał ją nagle. Mężny jej dowódca został obalony wystrzałem z śmigownicy. Prawie wszyscy jego oficerowie zostali ugodzonymi. Wojsko nie będąc zachwiane, pozostało na chwilę bez dowódców. Marszałek widząc ich wahających się, i dowiedziawszy się z jakiego powodu, nadbiegł dla zastąpienia miejsca generała Kompan i posłał pułk 57my na strażeczan po prawém reku. Pułk ten wszedł tam ze spuszczoneymi bagnetami i położył trupem kanonjerów rossyjskich na ich działach. Ale w téjże samej chwili kula armatnia ugodziła konia marszałka Dawu i zadała silną kontuzję samemu marszałkowi, który stracił przytomność.

Uwiadomiony niezwłocznie o tym wypadku Napoleon posłał marszałkowi Nejowi rozkaz atakowania natychmiast. Wysłał Miurata dla zastąpienia miejsca marszałka Dawu, a swojego adjutanta Rapp dla zastąpienia miejsca generała Kompan. Miurat, którego serce było wyborne, udał się pospiesznie do marszałka swego nieprzyjaciela, ale ten przyszedł już był do siebie z omdlenia i pomimo okropnych cierpień, chciał pozostać na czele swoich żołnierzy. Król Neapolitański pospieszył udzielić téj pomyślnéj wiadomości Cesarzowi, który ją przyjął z wielką radością. W téjże chwili Nej, z dywizją Ledriu na przedzie, dywizją wirtemberską z tyłu, dywizją Razu na lewo, posunął się na strażeczan prawej strony, który pułk 57my dopiero co był opanował i z wielką trudnością utrzymywał się w niém w obec grenadjerów Woroncowa. Marszałek wstąpił weń osobiście z pułkiem 24 lekkim i bronił go przeciw grenadjerom Woroncowa, powracającym po kilkakroć do ataku. Walczono tam na bagnety z nadzwyczajną wściekłością. Śmiały i szczęśliwy Nej był w samym środku rzezi jak kapitan grenadjerów. W téj chwili Niewierowski z swoją waleczną dywizją nadbiegł na pomoc grenadjerom Woroncowa i wszyscy razem rzucili się na zajętą fortyfikację, której omal co nie odebrali. Ale Nej kazał zbliżyć się dywizji Marszan i występując z nią na prawo i lewo strażeczaniu, zdołał wreszcie odeprzeć Rossjan. W tymże samym czasie wysłał dywizję Razu na strażeczan lewy i walka stała się tam równie zaciętą jak na strażeczanie prawym.

Jak tylko dały się słyszeć pierwsze wystrzały artyll-rji, książę Bagrajcn, postawiony naprzeciw dwóch marszałków Neja i Dawu, widząc się zagrożonym przeważnemi siłami, przywołał kilka bataljonów 7go korpusu Rajewskiego, umieszczonego między Siemienowskim a wielką redutą, kazał się zbliżyć grenadjerom Meklenburskim, kirassjerom Duki, 4mu korpusowi jazdy Siewiersa, oraz przywołał

dywizję Konownicyna, należąca do korpusu Tuczkowa, wysłanego ku Uticy. Nie tracił ani chwili dla uwiadomienia głównodowodzącego Kutuzowa, o tém co się działo z jego strony, ażeby przysłał mu nowe posiłki.

Z pomocą tych sił połączonych, czynił wielkie usiłowania dla odebrania dwóch strzałczanów opanowanych przez Francuzów. Nie walczone już w fortyfikacjach wspomnianych, zanadto szczupłych, żeby mogły służyć za pole bitwy, ale na prawo ich, na lewo, na przędzie, używając już to ognia karabinowego, już ataku na bagnety. Nej zajmując strzałczan prawy z dywizjami Ledriu i Kompan, które Dawu oddał pod jego rozporządzenie, nie mógł się przenieść do strzałczanu lewego, zaatakowanego i zdobytego przez dywizję Razu. Posiłki Rossjan skierowawszy się w massie na ten ostatni, zdobyły go i odparły żołnierzy generała Razu. Kirassjerowie Duki gnali ich nawet aż do brzegu wyniosłej płaszczyzny, na której wznosiły się trzy strzałczany. Szczęściem Miurat wysłany przez Napoleona na ten punkt dla wypatrzania chwili stosownej, w której mogłaby działać jazda, przybywał galopem, mając za sobą tylko jazdę lekką generała Briujera. Na widok naszych żołnierzy w odwrocie i prawie w rozsypce; zsiada z konia, zgromadza ich i wiedzie znowu naprzód. Postawiwszy ich w linii, każe im dać z bliska morderczego ognia na kirassjerów Duki, potem wypuszcza na nich jazdę lekką Briujera i tym sposobem oczyszcza wreszcie miejsce. Każe potem dać hasło do ataku i z pałaszem w ręku prowadzi sam żołnierzy Razu do fortyfikacji opuszczonej. Nasi wracają tam z wściekłością, kładą trupem kirassjerów rosyjskich na ich działach i zajmują ją ostatecznie. Podczas tych świetnych czynów Miurata, Nej mając pod swą ręką tylko jazdę lekką wirtemberską generała Beurmann, wypuszcza ją na linię Niewierowskiego i Woronkowa, odpiera je jedne po drugich i zmusza do cofnięcia się.

Dzięki tym silnym działaniom, walka została zrównoważoną na tych dwóch punktach. Miurat obejmując z tej strony razem z Nejem kierunek bitwy, rozkazał generałowi Nansuty przebyć wszelkie przeszkody miejscowe, wdrzeć się na pochyłość najeżoną krzakami i stanąć na prawo zajętych fortyfikacji, gdyż dalej miano przed sobą pewien rodzaj równiny z lekka pochyloną ku Rossjanom, gdzie jazda mogła oddać znaczne usługi. Nej mając odtąd w swém rozporządzeniu dywizje Kompan i Desse, któremi Dawu, pomimo upornego swego pozostawania wśród ognia nie mógł więcej dowodzić, poprowadził je na prawo. Połączył się tam z Westfalczykami, których miał z tyłu

za sobą i starał się podać rękę księciu Poniatowskiemu, którego zaczynano słyszeć działa po za lasem Uticy. Zyskano tym sposobem więcej miejsca rozciągając się w ukoś na prawo. Będąc panami wyżyn, mieliśmy teraz nad Rossjanami korzyść strzałów pionowych i pospieszylśmy wyprowadzić na linję nie tylko artyllerię wszystkich korpusów, ale artyllerię rezerwową, która na początku bitwy umieszczoną była w naszych baterjach z ziemi. Rossjanie odpowiadali wystrzałami nie tak dobrze kierowanemi, ale równie gęstemi, i wkrótce kanonada na tym punkcie stała się straszliwą. Gdy tak posuwano się, Nej po prawém, Miurat po lewém rękę, zbliżono się do wąwozu Siemienowskiego i miniono trzeci strzałczan który będąc obróconym w tył, łatwo wpadł w nasze ręce. Ale w tój pozycji znajdowaliśmy się całkiem bez osłony, pod wystrzałami ze wsi Siemienowskiej, oraz korpusu Rajewskiego, który zajmował drugi brzeg wąwozu i rozciągał się od wsi Siemienowskiej do wielkiej reduty.

Miurat i jego wojsko dużo od nich cierpieli. Nie mając pod ręką piechoty i postrzegając, że w tój stronie wąwóz Siemienowski nie był zbyt głęboki, Miurat kazał szefowi swojego sztabu Belljarowi sprowadzić jazdę Latur-Mobura, przebyć jój wąwóz, natrzeć na piechotę rossyjską, zahrać jój działa i powrócić nazad, gdyby uważał, że stanowisko to niepodobnym było do zachowania. Ażeby wesprzeć go w tём niebezpiecznym przedsięwzięciu, zgromadził całą artyllerię konną, zwykle zostającą przy jego jeździe i uszykował ją na brzegu wąwozu, ażeby mogła dopomagać naszym szwadronom.

Latur-Mobur stosując się do rozkazów Miurata, zstąpił z kirasjerami saskiemi i westfalskiemi do wąwozu Siemienowskiego, wdarł się na brzeg przeciwny, natarł na piechotę rossyjską, rozgromił dwa jój czworoboki i zmusił ją do cofnięcia się. Ale oddaliwszy ją tym sposobem, zmuszony był powracać, ażeby nie pozostać samemu jednemu narażonym na cały nacisk armji rossyjskiej.

Podczas tych wypadków zachodzących na prawém skrzydle przed trzema strzałczanami, książę Eugienjusz na lewém rozkazawszy przebyć rano jeszcze Kołoczę dwóm dywizjom Moran i Giudę, wysłał dywizję Moran na wielką redutę, a pozostawił dywizję Giudę u podnóża fortyfikacji, w zamiarze trzymania jój w rezerwie. Dywizja Moran, prowadzona przez swego jenerała, wdarła się szybkim krokiem na pagórek, na którym wznosiła się groźna reduta i wytrzymała z nadzwyczaj zimną krwią, ogień ośmdziesięciu dział. Postępując pośród

obłoków dymu, które zaledwo dozwalały widzieć nieprzyjaciela, ta bohatera dywizja przybyła tuż pod redutę i kiedy już była w możności natrzeć na nią, generał Bonami na czele 30go pułku liniowego rzucił się na nią z bagnietem w rękę i opanował ją, kładąc trupem lub wypierając Rossjan którzy ją zajmowali. Wtedy cała dywizja występując na prawo i lewo, odparła dywizję Paskiewicza z korpusu Rajewskiego, który znajdował się tym sposobem odparty z jednej strony przez dywizję Moran, z drugiej przez kirassjerów Latur-Mobura.

Chwila była stanowczą i bitwa mogłaby być wygraną z ogromnym rezultatem, chociaż była wtedy zaledwo dziesiąta godzina rano. We środku bowiem wielka reduta była wzięta; na prawo, trzy strzelczany były również opanowane i gdyby wykonano silny atak na wieś Siemienowską, przechodząc znacznymi siłami wóz, który Latur-Mobur przebył chwilowie, a którego korpus zniszczony Rajewskiego nie był zdolnym bronić, można było zrobić wielką dziurę w linii nieprzyjacielskiej, wpaść przez nią bystrym potokiem i dostawać się aż do Gorek za Borodino, zamknąć środek i prawe skrzydło armji rossyjskiej wówczas nieczynne, w kąt utworzony przez Kołoczę i Moskwę. Z punktu, w którym Miurat i Nej byli umieszczeni, to jest, z brzegu wąwozu Siemienowskiego, gdzie tworzyli wklęsłość w linii rossyjskiej, widzieli z tyłu korpusy Dochturowa, Baggowuta i Ostermanna; postrzegali parki i bagaże armji rossyjskiej, skupione na drodze nowej moskiewskiej, które zaczynały cofać się; doznawali więc wielkiej niecierpliwości na widok tyłu możliwych rezultatów, prawie pewnych, tak że wystarczyło pół godziny czasu dla otrzymania ich, ale też dość było pół godziny dla utracenia ich bez powrotu.

Nieszczęściem Napoleon nie znajdował się tam osobiście i nie było to jego miejsce, potrzeba przyznać, gdyż kilkudziesięciu generałów i pułkowników było już tam poległo. Cudem jakimś Nej i Miurat byli jeszcze cali i nieroztropnością byłoby, narażać na zgubę los armji i państwa. Napoleon znajdował się w Szwardino, gdzie dosięgało jeszcze wiele pocisków, a ztąd mógł lepiej widzieć ogół bitwy. Miurat i Nej żądali od niego, żeby im przysłał wszelkie posiłki, jakie tylko będzie miał w swém rozporządzeniu, nawet gwardję, gdyby nie miał innych zasobów, gdyż w niespełna godzinę, jeśli im dozwoli działać, zbiorą mu tyle laurów, ile ich jeszcze nie zdobył na żadnym polu bitwy.

Belljar przybywszy do Szwardino, znalazł Napoleona, który cierpiał na wielki katar, mniej ożywionego od jego dwóch dowódców,

mniej przeświadczonego, że można tak prędko wygrać bitwę. Dać swe rezerwy o dziesiątej rano, zdawało mu się zbyt wczesnie. Z Szwardino nie mógł widzieć tego co Nej i Miurat postrzegali bardzo wyraźnie z miejsca gdzie zostawali, i był skłonny do wierzenia że w tym dniu, jak pod Ejlau, należało robić mało obrotów, ale dawać wiele ognia z dział i że tylko artyllerią można będzie zniszczyć armję rossyjską. Z tego wszystkiego czego u niego żądano, udzielił tylko dywizji Frjan, jedynę rezerwy, która u niego pozostała oprócz gwardji. Gdyby zamiast powierzenia dwóch dywizji Dawu księciu Eugienjuszowi, który z nich niewielki mógł zrobić użytek i który z trzech jakie miał na prawym brzegu Kołoczy, pozostawiał dwie w nieczynności śród wąwozu, gdyby dał mu jedną mniej, a posłał dywizję Giudę i Frjan do Siemienowskiego, możeby z niemi Miurat i Nej potrafili rozstrzygnąć wszystko. Jakkolwiekbydz, Belljar powrócił do Miurata, napędził na drodze dywizję Frjan idącą do Siemienowska i swoim zdaniem sprawy wywołał nie jedno poruszenie niecierpliwości, nie jedno wyrażenie zanadto porywcze ze strony dwóch bohaterów tego krwawego i nieśmiertelnego dnia.

Podczas tych zmiennych kolei bitwy, Kutuzow, także oblegany był nagłącemi prośbami, ażeby zamknął swemi rezerwami dziury utworzone w jego linii. Na powtórzone żądania Barklaj de Tollego i Bagracjona oraz z porady pułkownika Toll, oddzielił z gwardji zostającą w Psarewo, pułki Litewski i Izmajłowski, kirassjerów Astrachańskich, także kirassjerów Cesarzowej i Cesarza, nadto silną rezerwę artyllerji i wysłał je ku Siemienowski. Zgodził się również cofnąć z końcowej prawej korpus Baggowuta i wysłał dwie dywizje, z których korpus ten składał się, jedną księcia Eugienjusza Wirtemberskiego, ku Siemienowski, drugą, Olsuffewa do Ulicy, ażeby wesprzeć Tuczkowa opierającego się księciu Poniatowskiemu. Nakoniec naglony przez Płatowa i Uwarowa, którzy postawieni na krańcowym prawym skrzydle armji rossyjskiej, na wzgórzach osłonionych Kołoczą, widzieli nasze lewe skrzydło odkryte i byli niecierpliwi korzystania z tego, dozwolił im przebyć Kołoczę z swą jazdą i zrobić dywersję, której skutek mógł być wielkim, będąc nieprzewidzianym. Środki te były nieszczęściem temi, jakich wymagały okoliczności, jeśli nie dla zwyciężenia nas, to przynajmniej dla przeszkodzenia nam zwyciężyć.

Tymczasem jenerałowie dowodzący na polu bitwy, dokazywali z obu stron cudów mężstwa i umiejętności. Barklaj de Tolli i Bagra-

cjon postanowili odzyskać za jakąbądź cenę wielką redutę i trzy strzałczany. Barklaj de Tolli rozkazał księciu Eugienjuszowi Wirtemberskiemu, którego dywizja była postawioną we środku, udać się natychmiast do Siemienowska dla zamknięcia otworu. W téjże samej chwili szef jego sztabu Jermołow i młody Kutajsow, dowodzący jego artyllerią, nadbiegli z pośpiechem dla uszykowania korpusu Rajewskiego, który był w rozsypce i wzięwszy od Dochturowa, stojącego w pobliżu, dywizję Lichaczewa, poszli na wielką redutę zdobytą przez dywizję Moran. Nieszczęściem, dywizja Moran tylko co straciła była swego generała, który otrzymał ciężką ranę i znajdowała się prawie bez dowódcy. Pułk 30ty linjowy, zostający w reducie, był tam pozabawiony wsparcia dwóch innych pułków dywizji, pozostawionych na lewo i na prawo i posuniętych zanadto w tył. W tymże samym czasie dywizja Giudę zostawała w wąwozie na prawo, dywizja Brussje na lewo nad brzegiem Kołoczy, obie nieczynne z winy księcia Eugienjusza, walecznego o tyle, o ile można nim być, ale nie mającego ani doświadczenia, ani gorliwej działalności, jakiej potrzeba w tych chwilach stanowczych. Na ten widok Jermołow i Kutajsow idąc na czele pułku Uży, i piechoty zgromadzonej Rajewskiego, rzucają się na pułk 30ty, który umieszczony po brzegach wielkiej reduty przez niego zdobytój, nie miał nic dla zasłonięcia się. Ten dzielny pułk, pod dowództwem generała Bonami, trzymał się z początku. Osypawszy go kartaczami, na które nie może odpowiedzieć, gdyż nie ma artyllerii, Jermołow i Kutajsow wpadają nań z bagnetem w rękę i zmuszają go uleść przemagającej liczbie. Mężny Bonami, który pozostawał w reducie na czele kilku rot, pada przeszyty kilką bagnetami. Rossjanie myśląc że to król Miurat, wydają okrzyki radości i zachowują mu życie dla posiadania tak ważnego niewolnika. W téjże samej chwili pnszczają na prawo i lewo drugi korpus jazdy generała Korffa, oraz 3ci barona Kreutza i zmuszają do cofnięcia się dwa inne pułki dywizji Moran, umieszczone po obu stronach wielkiej reduty. Ta waleczna piechota omal co nie jest już zepchniętą z wierzchołka pagórka, gdy książę Eugienjusz przybywa wreszcie na czele dywizji Giudę, będącej pod dowództwem generała Żerar od bitwy pod Walutyną. Pułk 7my lekki zajmuje stanowisko na lewo reduty, reszta dywizji na prawo. 7my lekki przybywszy w chwili kiedy kawalerja rossyjska uderzała na szczątki dywizji Moran, formuje się w czworobok, daje do kawalerzystów nieprzyjacielskich ognia z bliska i zmusza ich do cofnięcia się. Na prawo, generał Żerar z dwoma innymi pułkami swój dywizji zgromadza dywizję Moran i wstrzymuje postępy Rossjan, którzy nie

moga nas spędzić z płaszczyzny i muszą przestać na odzyskaniu wielkiej reduty. Ta odniesiona nad nami korzyść kosztowała drogo nieprzyjacielowi. Jenerał Jermołow został ciężko raniony, a młody Kutajsow zabity, co dla Rossjan było dotkliwą stratą. Tymczasem Barklaj de Tolli nadbiegłszy z księciem Eugienjuszem Wirtemberskim i znalazłszy redutę odzyskaną, postawił księcia między redutą a wsią Siemienowską dla wypełnienia próżni, którą pozostawiały dwie dywizje Paskiewicza i Koliubakina, składające korpus Rajewskiego prawie całkiem zniszczony. W tej chwili ogień był straszliwy na tym punkcie, gdyż Miurat z artyllerią wszystkich dywizji Neja i z artyllerią konną gwardji, osypywał pociskami tę przestrzeń, którą oczyścili na chwilę pałasze kirassjerów Latur-Mobura i w którą chciał się rzucić ze wszystkimi rezerwami armji francuzkiej. Barklaj de Tolli zamknawszy ten otwór piechotą księcia Eugienjusza Wirtemberskiego, zostawał tam nieporuszony, pod ogniem, jakiego nie pamiętają od lat dwudziestu prowadzonych wojen i podczas kiedy jego oficerowie padali w około niego, doznawał pewnego rodzaju przyjemności w odpieraniu tak szlachetnie oszczerstwa swych współziomków.

Bagracion ze swój strony, otrzymawszy dywizję Konownicyna, oddzieloną od korpusu Tuczkowa, nadto pułki piesze i konne gwardji, zaprzysiągł umrzeć albo odzyskać także trzy strzałczany położone po jego lewém a naszym prawém rękę. Posunął naprzód z jednej strony Konownicyna, z drugiej grenadjerów meklenburskich i przyłączył do jazdy Siewersa, do kirassjerów Duki, trzy pułki kirassjerów gwardji. Ale miał sprawę z Miuratem i Nejem, mających po lewém rękę Latur-Mobura i Frjana, po środku dywizje Razu, Ledriu, Marszan, na prawo wreszcie dywizje Kompan i Desse, kirassjerów Nansuty i piechotę westfalską. Prócz tego Miurat wyprowadził na linję jazdę jenerała Monbrę, gdyż, jak powiedzieliśmy, po przebyciu wyniosłości, znajdowano się na gruncie dość równym i z lekka pochylonym ku Rossjanom. Walka na tym punkcie stała się wkrótce zaciętą i wojownicy nasi nie pamiętają żeby widzieli kiedykolwiek coś podobnego. Dywizja Frjan, zstąpiwszy do wąwozu Siemienowskiego, przebyła go i nie zajmując ruin wsi, rozwinęła się na prawo i na lewo pod okropnym ogniem artyllerii i ręcznej broni. Mężny Frjan, widząc upadającego swojego młodego syna obok niego, kazał go wynieść i pozostał dalej pośród swojego wojska, kierując jego ruchami. Wszystkie usiłowania Rossjan nie mogły go zachwiać, ani téż zmusić go do opuszczenia stanowiska pod Siemienowskiem. W téjże samej chwili, grenadjerowie

meklenburscy i piechota Konownicyna rzuciły się z bagnetem w rękę na wojsko Neja, usiłując odebrać od niego trzy strzelczany, i kolejno, już zwyciężkie już zwyciężone, wojsko Neja broniło swego stanowiska z największą zaciętością. Jeden z Tuczkowych poległ walcząc na czele pułku Rewelskiego. Był to brat tego, który został wzięty w niewolę pod Walutyną, oraz tego, który w tej chwili bronił Utycy przeciw księciu Poniatowskiemu.

Miurat i Nej chcąc zakończyć walkę na tym punkcie, powzięli zamiar przywołać jazdę. Na prawo, kirassjerowie Sę-Zermę i Walans pod jenerałem Nansuty, wypuszczają się galopem; na lewo, kirassjerowie jenerałów Watje i Defrans rzucają się również. Ziemia drży pod stopami tych dzielnych kawalerzystów. Część jazdy rossyjskiej przełamana, druga, złożona z pułków litewskiego i izmajtowskiego, opiera się i wytrzymuje nacisk. Powstaje mieszanina; kirassjerowie rossyjscy posuwają się aż do naszych linii, odpierają ich, żaden z naszych czworoboków nie zostaje rozzerwany. Potyczka staje się morderczą i ofiary padają równie liczne jak znamienite. Monbrę, bohaterski Monbrę, najdzielniejszy z naszych oficerów jazdy, pada śmiertelnie ugodzony kulą armatnią. Rapp, który przybył stanąć na czele dywizji Kompan, otrzymuje cztery rany. Jenerał Desse opuszcza swoją własną dywizję dla zastąpienia jego i zostaje rannym także. Pozostają tylko jenerałowie brygadni dla dowodzenia dywizjami. Pośród tej rzezi, Miurat i Nej, jakby nie mogący być rannymi, pozostają cali pośród ognia. Człowiek rzadki Frjan, wzór wszystkich cnót wojennych, jedyny ze starych dowódców korpusu Dawu, który nie został jeszcze ugodzonym, gdyż Dawu otrzymał mocną kontuzję, Moran był ciężko raniony, Giude niedawno przedtém poległ pod Walutyną, Frjan pada także i zaniesionym zostaje do tegoż samego ambulansu, gdzie dają pomoc synowi jego. Miurat pośpiesza do dywizji Frjan, pozostałej bez dowódcy. Młody Hollender, jenerał Wandedem, miał ją dowodzić. Odważny, ale bez doświadczenia, pośpiesza ustąpić tego zaszczytu szefowi sztabu Galisze. Ten obejmuje dowództwo w chwili kiedy Miurat przybywa. Podczas gdy przemawiają do siebie, kula armatnia przelatuje pomiędzy nich i przecina im mowę. Niewygodnie tutaj, rzecze Miurat z uśmiechem. A jednak pozostaniemy tu, odpowiada nieustraszony Galisze. W téjże samej chwili, kirassjerowie rossyjscy uderzają w massie. Dywizja Frjan zaledwo ma czas sformowania się w dwa czworoboki, połączone z sobą całą linią artyllerii. Miurat wstępuje do jednego z nich, dowódzca Galisze do drugiego i przez kwadrans wytrzymują z najzimniejszą krwią silne napady jazdy rossyj-

skiej. Żołnierze Frjana, woła Miurat, jesteście bohaterami! — Niech żyje Miurat! niech żyje król Neapolitański! odpowiadają żołnierze Frjana.

Tym sposobem z naszej strony zajmowano, z braku czego lepszego, tę część pola bitwy, która się rozciągała od Siemienowska do lasu Uticy. Wtém wielka ofiara pada pomiędzy Rossjanami. Bagracjon zostaje śmiertelnie ugodzony i unoszą go z pola bitwy posród okrzyków boleści jego żołnierzy, którzy mieli dla niego pewien rodzaj czci bałwochwalczej. Druga armja rossyjska zostaje tym sposobem bez wodza. Wzywają Rajewskiego, ale ten nie może opuszczać szczątków 7go korpusu, który zajmuje ciągle z księciem Eugienjuszem Wirtemberskim przestrzeń pomiędzy wielką redutą a Siemienowskim. Posyłają wtedy generała Dochturowa dla zastąpienia miejsca Bagracjona.

W téj samej chwili dowiadują się u Rossjan, że książę Poniatowski, przebywszy las, opanował wzgórze Uticy, bronione przez Tuczkowa, który był pozbawionym dywizji Olsufjewa, drugiej korpusu Baggowuta, oraz że Tuczkow, starszy z trzech braci poległ, drugi już z Tuczkowych w tym dniu, tak że rodzina ta straciła trzech członków w przeciągu mniej jak dwóch tygodni. W zamieszaniu jakiego doznawano, domagano się głośno i wysłano natychmiast resztę korpusu Baggowuta, to jest, dywizję księcia Eugienjusza Wirtemberskiego, która nie przestawała zajmować pod strasznym ogniem artylerji przestrzeni prawie otwartéj pomiędzy Siemienowskim a wielką redutą.

Ta przestrzeń tak wielkiéj wagi, którą Rossjanie starali się bezustannie nam zamknąć, gdzie Rajewski stracił prawie cały swój korpus i gdzie książę Eugienjusz Wirtemberski widział dopiero co ginącą połowę swojego, była bliską otworzenia się przed nami. Los przedstawiał nam znowu zręczność pomyślną i wysyłając na ten punkt gwardję cesarską, można jeszcze było przebić się z pewnością wewnątrz armji rossyjskiéj.

Nej i Miurat posłali po raz drugi zaproponować ten obrót Napoleonowi. Ten znajdując bitwę zupełnie rozwiniętą, przyjął propozycję swoich dowódców i wydał pierwsze rozkazy dla jéj wykonania. Kazał posunąć się dywizji Klapared z młodéj gwardji i opuściwszy Szwardino, stanął sam na jéj czele. Ale w tém nagle wrzawa okropna dała się słyszeć na lewo armji, po za Kołoczą. Postrzegano z téj strony uciekających w nieładzie markietanów, woźniców; słyszano wrzaski, widziano wreszcie wszelkie oznaki popłochu. Na ten widok

Napoleon kazał wstrzymać się na miejscu swojej gwardji i puścić się galopem żeby się dowiedzieć co to było. Po jakimś czasie odkrył rzecz całą. Za zgodą Kutuzowa, dwa korpusy jazdy Płatowa i Uwarowa przebyły Kołoczę na naszym lewym skrzydle odstąpionym i rzucili się, Płatow na nasze bagaże, Uwarow na dywizję Delzon. Ta mężna dywizja, opanowawszy Borodino rano, czekała z bronią w ręku czy nie zażądata jeszcze od niej jakiej usługi. W niemożności przewidzenia dokładnie co mogło zajść z tej strony, Napoleon nie chciał ogołacać się ze swej rezerwy. Posłał Nejowi i Miuratowi wszystko co mu pozostawało z artylllerji gwardji, posunął naprzód dywizję Klappared, gotową do skierowania się, albo na prawo ku Siemienowskiemu, albo na lewo ku Borodino, a sam stał na czele piechoty gwardji, w oczekiwaniu co zajdzie na lewo Kołoczy, gdzie udał się książę Eugenjusz osobiście.

Wice-król na pierwszy odgłos tego nagłego wtargnięcia, opuścił środek i przebywszy na lewy brzeg Kołoczy, popędził w całym pędzie konia do Borodino. Ale znalazł już swe pułki sformowane w czworobok i czekające z niezachwianą odwagą nieprzyjaciela. Na widok licznych szwadronów rossyjskich jazda lekka jenerała Ornano, zanadto słaba dla opierania się ośmiu pułkom jazdy regularnej Uwarowa, cofnęła się stopniowie i w porządku ku naszej piechocie. Kroaci, którzy znajdowali się na brzegu Kołoczy i do których jazda rossyjska stanęła bokiem w swoim zbyt śmiałym ruchu, powitali ją rzęsimym ogniem. Ta jazda wtedy rzuciła się na pułk 84ty linjowy, ten który w 1809 r. stawiał tak piękny opór w Gratzu, znalazł go sformowanym w czworobok i zaczął bezpożytecznie strzelać do niego, nie ośmielając się jednakże narażać się na jego bagnety. Reszta zaczęła krążyć około pułków 8go lekkiego i 92go i po kilku obrotach cofnęła się, nie spodziewając się otrzymać żadnego rezultatu. Jakoż nie było rzeczą roztropną upornie nacierać na taką piechotę z jedną kawalerją i wszystko co można było sobie obiecywać, to zrobienie demonstracji. Jakoż zrobiono ją i opłacono stratą pewnej liczby żołnierza, już to zabitego z ręcznej broni i od kartaczów, już wziętego w niewolę przy powrocie przez naszą lekką jazdę, która porąbała pałaszami opóźnionych w przebyciu Kołoczy.

Jakkolwiek była bezowocną, ta próba kosztowała nam więcej godziny czasu, przerwała ruch gwardji, i dała Kutuzowemu, który objaśniał się powoli, czas ściągnięcia we środek korpusu Ostermanna, bezpożytecznie zostawionego na prawym skrzydle naprzeciw

naszego lewego. Poruszył nawet całą gwardję cesarską dla zamknięcia otworu tak niebezpiecznego w Siemienowsku. Z naszej strony, Nej i Miurat ujrzeli ten otwór zamykający się na nowo i w gniewie swoim nie oszczędzali Napoleona nieobecnego i zajętego gdzieindziej trudnościami, o których oni nie wiedzieli.

Nie korzystano więc i tą razą ze zręczności i to skutkiem jednego z tych zdarzeń przypadkowych, które nazywają słusznie sprzyjaniem lub niesprzyjaniem losu.

Napoleon który wysłał był marszałka Bessjer do Miurata i Neja i który dowiedział się przez tego marszałka, że środek Rossjan był znowu wzmocniony, że zamiary Miurata i Neja nie mogły już być wykonane (Bessjer utrzymywał nawet, że one nigdy wykonanemi być nie mogły), Napoleon rozkazał księciu Eugienjuszowi wykonać rzecz, która w tej chwili zdawała się mu być jedynie sposobną do zakończenia walki, to jest, opanować wielką redutę środkową, gdyż myślał nie bez racji, że po wydarciu tego punktu oparcia linii rossyjskiej, można będzie jednym lub drugim sposobem przerwać ją. Miurat miał pod ręką ogromną ilość artyllerii, najprzód całą artylleryję dywizji piechoty użytych w miejscu gdzie zostawał, potem całą artylleryję jazdy i oprócz tego baterje rezerwowe gwardji. Napoleon każe mu powiedzieć, żeby osypał kartaczami silne kolumny, co się zbliżały, potem być gotowym do wypuszczenia na nich jazdy w chwili stanowczej, gdyż miano zdobyć szturmem wielką redutę.

Ta chwila stanowcza zbliżała się wreszcie. Z jednej strony Miurat uszykował po lewém rękę, wzdłuż wąwozu Siemienowskiego, na brzegu którego dywizja Frjan ciągle się utrzymywała, masę artyllerii, którą miał w swém rozporządzeniu, a za tą artylleryją trzy korpusy jazdy generałów Monbrę, Latur-Mobur i Gruszy, czekając rozkazu przebycia wąwozu i natarcia na linje piechoty rossyjskiej. Z drugiej książę Eugienjusz, skupiwszy na prawo od wielkiej reduty dywizję Moran i Giude, sprowadził na lewą stronę téj reduty dywizję Brussje, całkiem świeżą i pałającą chęcią odznaczenia się ze swéj strony. Ta dywizja była ukrytą w wąwozie i gotową do rzucenia się za danym znakiem na okopy fortyfikacji mającej być zdobytą. Była wtedy trzecia godzina po południu. Dziewięć godzin trwała już ta okropna rzeź. Miurat i Nej ciskali ogień z dwiestu armat na środek Rossjan. Korpus Dochturowa wysłany był cały za redutę i chociaż cierpiał dużo, mniéj jednak niżeli korpus Ostermanna, zostający na odkrytém miejscu pomiędzy redutą a Siemienowskiem. W małej odległości, to jest, na

szerokość wawozu, widziano Rossjan padających secinami w korpusach Dochturowa i Ostermanna, równie jak w gwardji rosyjskiej rozwiniętej z tyłu i odbierającej strzały, które oszczędziły pierwszą linię. Miurat i Nej, którzy cudem jakimś ocalili dotąd, pełni radości widząc skutek swych wystrzałów, podwajali ich liczbę. Wnosząc, że linja nieprzyjacielska jest już dosyć zachwiana, Miurat zamierza wreszcie rozpocząć atak kawaleryjski, który się tak dobrze powiódł generałowi Latur Mobur. Wypuszcza najprzód drugi korpus jazdy, w dowództwie którego generał Kolekur, brat księcia Wicencji, zastąpił miejsce generała Monbrę. Rozkazuje korpusowi Latur-Mobur podtrzymywać drugi, a korpusowi Grusy przygotować się do wspierania jednego i drugiego. Co do jazdy generała Nansuty, widzieliśmy już że była po prawém rękę Neja. Po daniu umówionego znaku, Kolekur przebywa wawoz, występuje na jego brzeg przeciwny i rzuca się na wszystko co spotyka z pułkami 5tym, 8tym i 10tym kirassjerów. Generał Defrans dąży za nim z dwoma pułkami karabinierów. W mgnieniu oka, przestrzeń jest przebyta: niektóre resztki korpusu Rajewskiego zostające jeszcze w tej części pola bitwy, są odparte, jazda Korffa i barona Kreutza jest przełamana, i massa naszych kawalerzystów, w całym pędzie konia, mija wielką redutę. Na ten widok, generał Kolekur postrzegając za sobą piechotę Lichaczewa strzegącą reduty, rzuca się na nią nagłym zwrotem w lewo i rąbie ją na czele 5go pułku kirassjerów. Nieszczęściem pada raniony śmiertelnie. Piechota generałów Moran i Giude, umieszczona na prawo wielkiej reduty, widząc kaszkiety naszych kirassjerów błyszczące za nią, wydaje okrzyki radości i uwielbienia. Książę Eugienjusz ze swej strony, zostający po lewej stronie, staje na czele 9go pułku linjowego, tego, który dostarczył mężnych tyraljerów pod Ostrownem, przemawia do niego kilka słowami zachęty, wdziera się z nim co tchu na pagórek, potem korzystając z zamieszania walki, z gęstego dymu, wchodzi na okopy reduty i przebywa je w chwili, kiedy 5ty pułk kirassjerów rąbał pałaszami piechotę dywizji Lichaczewa. Trzy bataljony 9go pułku rzucają się z bagnętami w rękę na żołnierzy tej dywizji, biorą niektórych w niewolę, kładą większą część trupem i mszczą się tym sposobem za klęskę poniesioną rano przez pułk 30ty linjowy. Mieli się nawet pomścić za generała Bonami na dowódcy dywizji, generale Lichaczewie, ale na widok tego szanownego starca, który został ich więźniem, pozostawiają go przy życiu i odsyłają do Cesarza. Stają w szyku bojowym na brzegu reduty i są świadkami straszliwej potyczki kawaleryjskiej pomiędzy gwardją konną rosyjską, a naszymi kirassjerami.

Jakoż gwardja rossyjska konna rozwinięta całkiem, rzuca się na naszych kirassjerów i naciera silnie na nich przechodząc pod wystrzałami 9go pułku. Zmusza ich nawet do cofnięcia się. Karabinjerowie generała Defrans odpierają ją. Każdą razą kiedy posuwa się naprzód i cofa, odbiera wystrzały 9go pułku. Napastowana ogniem tego pułku, chce nań natrzeć, żeby się od niego oswobodzić, ale wstrzymana zostaje jego kulami. Kirassjerowie nasi przychodzą w pomoc 9mu pułkowi i defilując przed nim wołają: Niech żyje pułk 9ty! na co ten ostatni odpowiada: Niech żyją kirassjerowie! Jazda Gruszy naciera także, widzi swojego mężnego dowódcę obalonego wystrzałem z śmigownicy, posuwa się ciągle dalej i przybywa aż do linii piechoty rossyjskiej, uszykowanej w massie tak głębokiej, że nie można mieć nadziei przebić się w nią. Ale wszystko co się przed nią znajduje, jest zmiecione i jazda nieprzyjacielska zmuszona jest szukać schronienia za swoją piechotą.

Tymczasem pułk 9ty umieszczony sam jeden przed wielką redutą, ponosi ogromne straty. Dywizje Moran i Giudę pozostałe na prawo, podają jej wreszcie pomoc; posuwają się one za redutę, podczas kiedy Miurat i Nej, tworząc z niemi kąt, coraz dalej postępują i mijają wąwóz Siemienowski, mając prawe skrzydło posunięte naprzód. Cała nasza armja tworzy tym sposobem linię złamaną, która opasuje ognistym kątem armję rossyjską okropnie dziesiątkowaną. Ta cofa się powoli pod gradem kartaczy i opiera się wreszcie o krawędź lasu Psarewo. Nie nacierają już na nią i w oczekiwaniu ruchu stanowczego, stawia w linię artylleryję wszystkich korpusów i skierowują na nieprzyjaciela otwory trzystu armat. Pod masą pocisków, któremi go osypują, pozostaje on nieruchomy i mocno ściśnięty.

W tej chwili bitwa bez wątpienia była wygraną, gdyż wszędzie pole bitwy zostało przy nas. Na krańcowym prawym skrzydle po za lasem, książę Poniatowski po uporczywój walce zajął wreszcie stanowisko pod Utią, na starój drodze moskiewskiej; na krańcowym lewym Delzon zajmował już Borodino, a w punkcie najważniejszym, to jest, pomiędzy wielką redutą a strzałczanami, które zdobyto, trzymano główną armję rossyjską przypartą do krawędzi lasu Psarewo i ledwo oddychającą pod ogniem trzystu armat. Jednakże pozostawało jeszcze kilka godzin dnia i chociaż nie przedstawiała się już, jak dwa razy w tym dniu, zręczność wykonania obrotu stanowczego, można było nacierając na armję rossyjską po raz ostatni, z prawem skrzydłem naprzód, z massą świeżych wojsk, można było, powiadamy, ode-

przeć ją ku rzece Moskwie i zadać jej prawdziwą klęskę. Taki rezultat zasługiwał bez wątpienia na poniesienie nowych ofiar, jakiebykolwiek one być miały. gdyż po zwycięztwie przynoszącém zupełną zagładę armji rossyjskiej, wytrwałość Cesarza Aleksandra zapewneby się zachwiała. Ale do tego potrzeba było dodać gwardję cesarską całą, która liczyła w sobie około 18,000 żołnierza piechoty i jazdy, które jeszcze nie były w boju. Pozostawały na lewém skrzydle w dywizji Delzon, we środku w dywizjach Brussje, Moran i Giudę na prawém skrzydle w dywizji Desse, oddziały, które chociaż już walczyły, zdolne były jeszcze do silnego natarcia, zwłaszcza gdyby ono miało być stanowczém. Wojska, które były w połowie jeszcze znużone, mogłyby tyle dokazać co wojska świeże w téj ostatniej chwili. Co do gwardji, dokazałyby ona cudów i żądała tego usilnie. Napoleon, dla którego wysokość słońca nad horyzontem była pobudką równie silną jak nalegania jego dowódców i że tak rzec można wyrzutem, wsiadł na koń, ażeby rozpatrzyć samemu pole bitwy. Katar, którym był dotknięty, bardzo mu dolegał, ale nie tak dalece, żeby miał paraliżować jego potężną intelligencję. Jednakże okropności téj straszliwej bitwy bez przykładu jeszcze dla niego, chociaż widział je bardzo krwawe, zdziwiły jakby jego gienjusz. Nie upływała minuta, żeby nie donoszono mu o jakim z pierwszych oficerów jego armji zabitym lub ranionym. Pomiedzy poległemi byli generałowie i wyżsi oficerowie: Plozonn, Monbrę, Kolękur, Romef, Szastel, Lamber, Komper, Bessjer, Diuna, Kanuwill; pomiedzy ciężko ranionemi byli: marszałek Dawu, generałowie Moran, Frjan, Kompan, Rapp, Belljar, Nansuty, Gruszy, Sę-Zermę, Briujer, Pażol, Defrans, Bonami, Test, Gillmino. Uporczywość Rossjan, chociaż nie miała w sobie nic nadspodziewanego, miała charakter ponury i straszliwy, który napełniał duszę Napoleona dręczącami myślami, gdyż na zaszczyt natury ludzkiej powiedzieć należy, że patriotyzm zwyciężony ale ognisty ma w sobie coś, co nakazuje poszanowanie nawet najzuchwalszemu napastnikowi. Dla tego Napoleon w tym stanie wahania się tak niezwyčajnego u niego, wydawał się być trudnym do pojęcia dla tych co go otaczali, do tego stopnia, że starali się wyjaśnić to, mówiąc, że jest chorym. Nie dbając o to co o nim myśleli, przebiegł galopem linję zajętych stanowisk, zobaczył Rossjan przypartych ale ściśnionych w massie i nieporuszonych, nie przedstawiających łatwój strony do zaczepki, mogących jednakże przez ostatnie natarcie, dane w ukos, być odrzuconemi w nieładzie ku rzece Moskwie. Jednakże nie wiedziano zresztą, azali rozpacz nie weźmie przewagi nad ośmnastą tysiącami żołnierza gwardji i czy następnie

nie poświęca jej napróżno dla wymordowania kilkunastą tysiącami więcej nieprzyjaciół, a w tej odległości od swęj podstawy działania, nie zachować w całości jedyne go korpusu, który był jeszcze nietkniętym, zdawało się być Napoleonowi lekkomyślnością, której korzyści nie odpowiadały niebezpieczeństwu. Obracając się do swych głównych dowódców: Nie pozwolę, rzekł, na zagładę méj gwardji. O osmset mil od Francji niepodobna narażać swęj ostatnie j rezerwy. Miał słusznosc bez wątpienia, ale usprawiedliwiając swoje postanowienie obecne, potępiał tę wojnę, i po raz drugi czy trzeci od przejścia Niemna, opłacał zbytkiem ostrożności, nie zwykłej dlań, błąd swojej lekkomyślności. Mijając wielką drogę moskiewską i zbliżając się do Borodino, postrzegano Gorki, jedyną pozycję nieco posunioną naprzód, zachowaną przez Rossjan. Napoleon zastanowił się nad tém, czy należało ją opanować. Zaniechał tego, gdyż rezultat nie wynagrodziłby poniesionych strat. W głębi pola bitwy Rossjanie ściśnieni w massie przedstawiali obszernę pole działaniu artylllerji i zdawali się nas wyzywać. Ponieważ chcą jeszcze tego spróbować, rzekł Napoleon z okrutną obojętnością pola bitwy, zadajcie im tego. Rozkazał postawić w baterję wszystko co pozostawało z artylllerji nieużytej dotąd i od tej chwili zaczęto dawać ognia prawie z czterystu dział. Strzelano tym sposobem kilka godzin na massy rossyjskie, które uparczywie stały w linji pod tą straszliwą kanonadą, tracąc tysiące ludzi bez zachwiania się. Zabijano więc zamiast brania w niewolę! traciliśmy także ludzi, ale bez wątpienia ani szóstęj części tych, których kładliśmy trupem.

Słońce przestało wreszcie oświecać to okropne widowisko, bez przykłądu w dziejach ludzkości; kanonada zaczęła stopniowo wolnieć i każdy znużony utrudzeniem pospieszył zażyć kilka chwil odpoczynku. Nasi generałowie odprowadzili nieco w tył swe dywizje, tak, żeby zabezpieczyć ich od kul nieprzyjacielskich i stanęli u podnóża zdobytych wzgórz, mocno przeświadczeni, że Rossjanie nie pokuszą się ich odzyskać. Nasi żołnierze, którzy nie byli bynajmniej opatrzonemi w żywnosc, rzucili się w biwakach do pożerania tego co mieli i znajdowali rozrywkę w opowiadaniu sobie zadziwiających okropności, jakich każdy z nich był świadkiem. Napoleon zwięczki wszedł do swojego namiotu otoczony swemi dowódcami, z których jedni niezadowoleni byli z tego czego nie uczynił, drudzy powiadali, że miał słusznosc przestać na otrzymanym rezultacie, że Rossjanie zresztą byli zniszczonemi i że bramy Moskwy były otwarte. Ale podczas tego wie-

czora oznaki radości, uwielbienia, które miały miejsce niegdys pod Austerlitz, pod Jeną, pod Frydlandem, nie dały się słyszeć w namiocie zdobywcy.

Rossjanie i Francuzi leżeli jedni obok drugich na polu bitwy. O świcie miano przed oczyma okropny widok i można się było przekonać o przerażającej liczbie ofiar ludzkich, które poświęcono dnia uprzedniego. Pole bitwy pokryte było zabitemi i umierającymi w takiej liczbie, w jakiej dotąd nigdy jeszcze nie widziano. Rzecz okropna do powiedzenia, liczba przerażająca do wymówienia, około czterdziestu tysięcy ludzi, to jest, ludność cała wielkiego miasta, było rozciągniętych na ziemi, zabitych lub rannych. Piętnaście do dwudziestu tysięcy koni zabitych lub błakających się i wydających przeraźliwe rżenia, trzysta lub czterysta wozów artylleryjskich zdemontowanych, tysiące szczątków rozmaitego rodzaju dopełniały tego widowiska, które zasmucało serce, nadewszystko w pobliżu wąwozów, dokąd przez pewien rodzaj instynktu ranni czołgali się dla ochronienia się od nowych ciosów. Tam nagromadzeni byli jedni na drugich, bez różnicy narodowości.

Szczęściem, jeśli wolno nam wyrzec jako Francuzom to słowo niehumanne, szczęściem podział w tej liście smutnej był bardzo nierówny. Liczyliśmy 9 do 10 tysięcy zabitych, 20 do 21 tysięcy rannych to jest, 30,000 żołnierzy niezdatnych do boju (1), a Rossjanie, wedle ich własnego zeznania, blisko 60,000! Zabijaliśmy wszystko to co niegdys braliśmy w niewolę przez umiejętne obroty. Zdawało się tym sposobem że kosa śmierci zastąpiła w rękach Napoleona miejsce tego godnego podziwu miecza, który więcej ogałcał z broni, niżeli niszczył nieprzyjaciela. Czemu trudno byłoby uwierzyć, gdyby dowody autentyczne tego nie zaświadczały, mieliśmy czterdziestu siedmiu generałów i trzydziestu siedmiu pułkowników zabitych lub rannych, Rossjanie prawie tyleż, co jest dowodem energii, jaką dowódcy okazali z obu stron i niewielkiej odległości, w jakiej walczone. Po tej straszliwej walce pozostawało nam sto tysięcy żołnierza, gdyż co mogło niedostawać do tej liczby, to dopełniała dywizja włoska Pino i dywizja Delabord młodej gwardji, z których jedna i druga przybyły już po bitwie. Rossjanie nie mogliby postawić pięćdziesięciu tysięcy żołnierza w linii bojowej, ale byli oni u siebie, a my o osmset mil od

(1) Według Michajłowskiego-Danilewskiego strata Francuzów w tym dniu wynosiła do 50,000 ludzi (zob. Opis wojny 1812 r. II. 243).

naszej stolicy! Prowadzili oni wojnę z potrzeby, a my z ambicji! I za każdym krokiem danym naprzód, kiedy odurzenie chwały pozostawiało u nas miejsce rozważdź, potępialiśmy w głębi serca pełnego po- ciągu wodza, za którego oślepijącem dążyliśmy szczęściem.

Kutuzow zadowolony tēm, że nie został zniszczony, napisał do swego monarchy, że opierał się cały dzień napadom armji francu- zkiej i położył jēj trupem tyluż żołnierzy co sam stracił, że jeżeli opuszczał pole bitwy, to nie dla tego, że był sam zwyciężony, ale że chciał wyprzedzić nas dla zastonięcia Moskwy. Napisał tēż do gubernarora moskiewskiego, hrabiego Rostopczyzna, przerna- czonego zyskać wkrótce głośne imię, że stoczył krwawą bitwę dla obrony Moskwy, że bynajmniej jēj nie przegrał, że miał jeszcze wy- dać więcej bitw, że przyrzekał jak najmocniej, iż nieprzyjaciel nie wejdzie do świętego miasta, ale że było rzeczą nagłącą, iżby nadeszał mu wszystkich ludzi sposobnych do noszenia broni, nadewszystko milicję moskiewską, której liczono do 80,000, a której otrzymał naj- więcej kiedy 15,000. Rozkazał skutecznie odwrót 8 września rano, zalecając bronie Możajsk cały czas potrzebny dla przewiezienia ży- wności, amunicji i rannych mogących być przewiezionemi. Jenera- łowi Miuradowicz poruczył dowództwo swēj tylnej straży. Napoleon który był bez wątpienia zwycięzcą, doznawał jednakże pewnego rodzaju zakłopotania, opisując swój tryumf. Przedtēm miał do oznajmienia za kilka tysięcy poległych trzydziści lub czter- dzieści tysięcy niewolnika, kilkasēt armat i chorągwi zabranych. Tu nie było ani niewolników, ani chorągwi, ani armat wziętych (prócz małej liczby dział pozycyjnych znalezionych w redutach); ale sześć- dziesiąt tysięcy poległych lub umierających, należących do nieprzyja- ciela, pokrywało pole bitwy. Rzecz nadzwyczajna, w swoich biullety- nach i listach (szczególnie do swojego teścia), mniej wylicza korzyści niżeli było w istocie, czy to że nie wiedział o wszystkiēm, czy że nie śmiał wyjawić tego przed światem. Według swojego zwyczaju, bitwę tę, którą Rossjanie nazywają Borodyńską, mianował dzwicznēm i mówiącem do wyobraźni przez wiskiēm Moskwy, rzeki przechodzą- cęj o milę od pola bitwy, potēm przerzynającęj miasto Moskwę. To przewisko pozostanie jēj w potomne czasy.

Ale po kilku chwilach udzielonych wrazeniu, Napoleon myślał o następstwach, jakie należało wyciągnąć ze zwycięstwa. Wysłał na na Możajsk Miurata z dwoma dywizjami kirassjerów, z kilka dywizjami jazdy lekkiej i jedną dywizją piechoty marszałka Dawu. Ten mar-

szalek ruszył z tyłu za nim z czterema innymi dywizjami, sam jadąc w powozie, gdyż nie mógł jechać konno. Książę Poniatowski szedł jak w ciągu całego pochodu, po prawém rękę wielkiej drogi, na Węgrę, a książę Eugenjusz po lewém rękę na Rużę. Ta podwójna siła, umieszczona po dwóch bokach armji, miała za cel przełamać wszelki opór wymijając nieprzyjaciela, rozszerzyć obręb dowozu żywności i osłaniać naszych furazerów. Napoleon z korpusem Neja, który niezmiernie wiele ucierpiał, z gwardją która go nie opuszczała, pozostał jeszcze jeden dzień na polu bitwy, dla wydania tam potrzebnych rozkazów, których wymagała równie ludzkość jak pożytek armji. Obrócił najprzód na łazaret wielki klasztor Kołocki, gdyż będąc łatwym do bronięcia przedstawiał bezpieczną uchronę dla rannych, którzy nie mogli być przewiezionemi. Ci których można było przewieźć, mieli być wysłani do Możajska po opanowaniu tego miasta. Było także dużo koni lekko rannych, które łatwo było wyleczyć, wiele armat zdemontowanych, które łatwo było naprawić. Z tego powodu Napoleon kazał urządzić zakład (depo) jazdy i artylllerji we wsiach leżących w pobliżu klasztoru Kołockiego i postanowił, że Żiuno z swemi Westfalczykami pozostanie w tém smutném miejscu, dla strzeżenia szacownych pozostałości, które tam lokowano i dla zbierania w okolicach żywności, której nieszczęśliwi ranni nie byli w możności sami sobie wystarać się. Dobroczynca wszystkich cierpiących, znamienity Larréj pozostał dobrowolnie w Kołocku z większą częścią chirurgów armji. Trzy dni zaledwo mogły wystarczyć dla pierwiastkowego opatrzenia wszystkich rannych i w porze już chłodnej i dżdżystej, nadewszystko w nocy, wielka liczba rannych, musiała oczekiwać pomocy sztuki leżąc pod odkrytém niebem na słomie. Wszystko co można było dla nich uczynić to podać im trochę pokarmu, a szczególnie nieco wódki, żeby utrzymać ich siły. Nadto, Napoleon sam czuwał, ażeby robiono co można z materiałem, który zdołano sprowadzić w tak dalekie strony.

Po ukończeniu tych pierwszych i nieuchronnych zajęć, wysłał rozkazy do Smoleńska, ażeby nadesłano zapasy amunicji artylleryjskiej, które już były wyczerpane. Dano bowiem 60,000 razy ognia z armat, i wypotrzebowano 1,400,000 nabojów karabinowych. Poruczył sprowadzenie transportów nadzwyczajnych amunicji dowódcy artylllerji wielkiej armji, generałowi Laribóazjer (Lariboisière), który w téj kampanji, trudniejszej dla jego broni niżeli dla wszelkiej innej, rozwinął w wieku już podeszłym, odwagę i czynność młodego człowieka. Nie

mając już wielkich rzek do przebycia, Napoleon pozostawił w Smoleńsku swoje ciężkie zaprzęgi mostowe, a przyprowadził z sobą tylko materiał potrzebny dla rzucenia mostów na krokwiach. Dzięki temu rozporządzeniu, sześćset do ośmiuset koni pociągowych pozostało do użycia w Smoleńsku. Rozkazał użyć ich natychmiast dla przewiezienia amunicji, piechoty i artylerji. Wreszcie nakazał nowy ruch naprzód wszystkim korpusom francuzkim lub sprzymierzonym, które się znajdowały na różnych stanowiskach w Smoleńsku, Mińsku, Wilnie, Kownie, Królewcu, szczególnie wszystkim bataljonom i szwadronom pochodowym, przeznaczonym do kompletowania korpusów.

Armja przedłużała swój pochód podczas gdy Napoleon wydawał te rozkazy i Miurat przybył 8go wieczorem przed Możajsk, miasto dość znaczne, które korzystnym było zachować w całości. W miarę jak zbliżano się do Moskwy, zasoby miejscowe się pomnażały, ale żarliwość w niszczeniu ich pomnażała się takż u Rossjan. Spotykano więcej wsi kwitnących i więcej słupów ognia. Rossjanie chcąc zyskać na czasie dla przewiezienia pewnej liczby rannych i sprzętu wojennego, postawili przed wąwozem błotnistym silną arjergardę złożoną z piechoty i jazdy i postanowili bronić téj pozycji. Można było ją obejść, ale ciemność nie dozwalała postrzedz miejsca, przez które można byłoby to skutecznie i dla uniknienia zamieszania śród nocy, zatrzymano się i biwakowano na wystrzał armatni od Rossjan.

Nazajutrz 9go postanowiono wejść przemocą do Możajska i po poświęceniu pewnej liczby żołnierzy bezpotrzebnie, wstąpiono do tego miasta, gdzie było wiele magazynów zajętych płomieniem, ale gdzie większa część domów pozostała w całości. Znalaziono tam wielu rannych rossyjskich, których pozostawiono na miejscu i oddano ich pod dozór ich własnych chirurgów. Miasto zawierało w sobie zapasy żywności i budowle zdadne na drugi lazaret, co było bardzo na rękę, gdyż lazaret Kołocki nie mógł wystarczyć na pomieszczenie wszystkich rannych. Napoleon postanowił zatrzymać się osobiście w Możajsku, ażeby się wyleczyć z kataru, na który od kilku dni cierpiał i który mu dolegał nie nadwierzając w niczém swobodnego użycia jego władz. Zamialem jego było wyjechać dla połączenia się z armją, skoro ta przybędzie do bram Moskwy, ażeby tam wstąpić razem z nią albo żeby stanąć na jój czele, gdyby należało stoczyć nową bitwę. Rossjanie przedłużali dalej swój odwrot a Francuzi swą pogoń. Książę Eugienjusz ruszywszy drogą boczną na lewo, opanował Rużę, ładne miasteczko, obfitujące w zapasy, które wieśniacy zapamiętali

chcieli zniszczyć, kiedy nadciągnięto w porę dla przeszkodzenia temu. Przestrach mieszkańców, gdy się dowiedzieli o skutkach bitwy dnia 7go, doszedł najwyższego stopnia i zamienił się w pewien rodzaj wściekłości. Tak dalece wpojono w ich umysł, że Francuzi byli pewnym rodzajem dzikich straszycieli, że miotani byli koleją bojaźnią i wściekłością na samą myśl ich zbliżenia się. Dla tego straciwszy nadzieję ratowania się, chcieli wszystko poniszczyć i kiedy miano czas dognać ich, przemówić do nich, wyrwać pochodnię z ich ręki, zdziwieni byli że mieli do czynienia ze zwycięzcami ludzkimi, ale zgłodniałymi, których rozbrajano mniemane barbarzyństwo kawałkiem chleba.

Wszedłszy do Ruzy, książę Eugienjusz wypoczął tam dzień jeden i zebrał nieco żywności, której część udzielił wielkiej armji. Na prawej bocznej drodze, książę Poniatowski napotykał wszędzie też same oznaki przestachu i gniewu, też samą obfitość i też same zniszczenia, ale ponieważ potrzeba czasu do niszczenia, a tego czasu nie pozostawiano nieprzyjacielowi, znajdowano jeszcze środki utrzymania się. Tylko maroderstwo zabierało ciągle równaż liczbę ludzi, którzy opóźniali się, popadali w niewolę lub nie chcieli powracać do armji.

Kolumna główna pod Muratem przybyła 10 września do Krymskiego. Dowódca tylnéj straży rosyjskiej Miłoradowicz, chcąc korzystać z dobrej pozycji, którą upatrzył blisko źródeł błotnistych Nary, rozlokował się z oddziałami piechoty lekkiej i artylleryji za polem błotnistém, pokrytém gęstemi krzakami, dozwalajacém przystępu tylko przez wielką drogę, którą zajął znacznemi siłami. Przepędzono cały dzień na potykaniu się w około téj pozycji i stracono tak z jednej jak z drugiej strony wielu ludzi, Rossjanie, ażeby się nie cofnąć zanadto wcześniej, Francuzi, żeby nie ustać w swéj pogoni. W noey Rossjanie byli zmuszeni zdjąć oboz, pozostawiając blisko 2,000 żołnierza na placu, zabitemi lub rannemi.

11go dostano się do Kubińska, 12go do Mamonowa, 13go wrzeszcie do Worobjewa, ostatniego stanowiska przed Moskwą. Armja rosyjska zatrzymała się była pod samemi bramami Moskwy, przy rogatce zwanéj Dorogomitowską. Rzeka Moskwa, wchodząc do miasta, gdzie opisuje liczne zakręty, tworzy łuk bardzo wklęsły, otwarty ze strony drogi smoleńskiej. Armja rosyjska oparła się o niego, przypierając swe prawe skrzydło do wsi Fili, swe lewe do wzgórza Worobjewo i tworząc w pewnym rodzaju cięciwę łuku opisanego przez rzekę Moskwę. Miała ona za sobą za punkt wyjścia tylko most

rzucony na Moskwie w pośrodku przedmieścia Dorogomiłowskiego i ulice tego ogromnego miasta. Nie była to pozycja odpowiednia do stoczenia bitwy, gdyż w razie silnego natarcia, można było być odpartym w bezładzie ku mostu na Moskwie, albo ku brodom téj rzeki i łączonym w ulice, gdzie w morderczej walce narażano się na wielkie niebezpieczeństwo. Kutuzow wiedział o tém i był przekonany o niepodobieństwie wstrzymania Francuzów przed Moskwą. Ale wierny swojemu systematowi pochlebiana ciągle namiętności ludowej, którą uważał że łatwiej kierować pochlebianiem jęj niżeli rozjątrzeniem, pisał codziennie do hrabiego Rostopczyna, gubernatora Moskwy, że będzie bronić stolicy do upadłego i bez wątpienia z pomyslnym skutkiem. Dla tego było niemałe zdziwienie w Moskwie, kiedy zobaczono armję rossyjską w stanie w jakim się znajdowała, i stojącą tak blisko miasta, że nie zostawało bynajmniej miejsca do walczenia. Chociaż Kutuzow zamierzył już był sobie ocalić raczej armję niżeli stolicę, postanowił jednakże zwołać radę wojenną, dla pociągnięcia swych dowódców do udziału w ciężkiej odpowiedzialności, jaką ściągnął na siebie. Pomimo swęj przebiegłości i zwykłej slegmy, niespokojnym był słysząc okrzyki dające się słyszeć około niego i życzenia po tysiąc razy powtarzane, zagrzebać się raczej pod ruinami Moskwy, niżeli oddać to miasto Francuzom, jak małżonek, który broni od nieprzyjaciół swęj ukochanej małżonki, woli ją swemi rękoma przebić sztyletem, niżeli wystawić ją na ich obelgi. Kutuzow wiedział dobrze, że chociaż Moskwa będzie straconą, Rossja nią nie będzie, ale że przeciwnie Rossja mogłaby być straconą, gdyby wielka armja była zniszczoną i był mocno zdecydowany uniknąć tego nieszczęścia. Ale jeżeli miał odwagę powziąć postanowienie potrzebne, chociaż nieprzyjemne gminowi, nie miał odwagi przyjąć za to odpowiedzialność na siebie samego i chciał żeby ona ciążyła nad innemi jeszcze głowami oprócz jego. Przypuścił do téj pamiętnęj rady obradującej na samém wzgórzcu Worobjewo, skąd postrzegano nieszczęśliwą stolicę, którą miano oddać w ręce nieprzyjaciela, jenerałów Benningseua, Barkłaj de Tollego, Dochturowa, Ostermanna, Konownicyua, Jermołowa. Pułkownik Toll był obecnym na nięj jako kwatermistrz jeneralny. Barkłaj de Tolli, z swą zwykłą prostotą i swęm doświadczeniem praktyczném, oświadczył, że pozycja była niepodobną do utrzymania, dowodził, że zachowanie stolicy było niczém w porównaniu z zachowaniem armji i radził opuścić Moskwę, cofając się drogą prowadzącą do Włodzimierza, co miało przydać nowe przestrzenie do przebieżonych już przez Rossjan, armję rossyjską pozostawiało w zwią-

zku z Petersburgiem i dozwalało za nadejściem stosownej chwili, odnowić kroki zaczepne. Benningsen, dość doświadczony dla oceny podobnego zdania, licząc zresztą na to, że pomimo niego obrona stolicy będzie zaniechana, ale pewny, że nie przebaczą temu, który będzie doradzał opuszczenie jęj, utrzymywał, że należało raczej walczyć do upadłego, niżeli oddawać w ręce Francuzów święty gród Moskiewski. Konowicznyn, oficer mężny jak rzadko, idąc za ogólnym popędem, chciał upornej obrony, nie w miejscu gdzie zostawano, ale na stanowisku jakiego wybrano idąc na spotkanie Francuzów i uderzając na nich. Jenerałowie Ostermann i Jermołow byli tegoż samego zdania, które było zdaniem zrozpaczonego meztwa. Pułkownik Toll, poszukując kombinacji umiejętniejszych, proponował cofnąć się, udając się niezwłocznie na prawo, drogą do Kaługi prowadzącą, co stawiało armję w pozycji zagrażającej komunikacjom nieprzyjaciela, i dozwalało jęj zostawać w bezpośrednich stosunkach z żyznemi południowemi prowincjami. Jak zawsze w podobnych okolicznościach, rada ta wojenna była niespokojna, burzliwa i pełna sprzeczek. Kutuzow powstał, nie wyjawiając głośno swojego zdania, ale wymawiając następne słowa, które jakby powtarzał sam do siebie: Głowa moja niech będzie dobrą czy złą, ale koniec końców, do nięj należy rozstrzygnąć kwestję tak ważną.

Miał on już widocznie pewne postanowienie i należy przyznać, postanowienie to było godne wielkiego wodza. Ze wszystkich zdań objawionych, żadne nie było zupełnie dobre, chociaż większa część ich zawierała w sobie coś użytecznego. Stoczyć bitwę pod Moskwą, było postanowieniem nieroztropnem. O kilka mil naprzód, równie jak u podnóża jęj murów, bitwa byłaby przegrana, tylko klęska byłaby większą, mając tył oparty o mury miasta, a za jedyny środek odwrotu mając tylko most i kilka ciasnych ulic. Chcąc walczyć, należało zabarykadować się wewnątrz Moskwy, bronić wszelkich punktów wejścia do nięj, powołać do wspólnej obrony całą ludność i prowadzić upornie walkę na ulicach, jak w Saragossie, oraz postawić na drodze, po której mianoby się cofać, największą część armji. Miasto zginęłoby w płomieniach, gdyż zbudowane było z drzewa a nie z kamienia jak Saragossa, ale położonoby trupem więcj nieprzyjacioł jak w Borodinie, tracąc sami niewiele żołnierzy, co byłoby nader wielkim rezultatem. Nie było innego środka obronić Moskwy (1), który zresztą zale-

(1) Jest to zdanie księcia Eugienjusza Wirtemberskiego, który w swoich Pamiętnikach równie dowcipnych jak rozsądnych, doskonale wykazał możliwość i stosowność tego planu, jeśli by się zdecydowano wtedy poświęcić Moskwę.

żał na zniszczeniu jęj dla obronienia, ale nikt o tém nie myślał, gdyż nikt nie myślał o poświęcaniu téj stolicy i nie myślano o tém że wydawać ją Francuzom było to w pewien sposób ją zniszczyć. Nie mogąc walczyć przed Moskwą, nie chcąc jęj niszczyć dla bronienia jęj, nie pozostawało nic innego jak się cofnąć. Cofać się na Włodzimierz, jak proponował Barklaj de Tolli, było to posuwać zadaleko systemat odwrotu, którego generał Pfuhl nie posuwał dość daleko chcąc zatrzymać się w Dryssie; było to zresztą tracić środki komunikacji z południem Cesarstwa, daleko więcj obfitującem niż północ w zasoby wszelkiego rodzaju. Nie było więc nic innego do wyboru, jak odwrót w prawą stronę Moskwy (w prawą względnie do nas), co stawiało armję rossyjską w możności przecięcia komunikacji Francuzów, oraz w bezpośrednim związku z prowincjami południowemi i z armją powracającą z Turcji. Ale iść prosto w tym kierunku, jak proponował pułkownik Toll, było to ściągąć na siebie niezwłocznie Francuzów, którzy przestając na zajęciu Moskwy pewnym oddziałem żołnierzy, rzuciliby się natychmiast na armję rossyjską dla zadania jęj ostatecznej klęski; było to wyjawiać im myśl systematu odwrotu, który mia-no uskutecznić i który zależał teraz kiedy ściągnięto Francuzów tak daleko, na działaniu z ich boków, i na natarciu na nich całemi siłami, skoro będą dostatecznie osłabionemi. Jakoż mogli oni, w porę wiadomieni, odmienić swój plan, zatrzymać się i pośpieszyć na zgębienie nieprzyjaciela, któryby się wydał z podobnemi zamiarami. Był to więc plan daleko lepiej wyrachowany, cofnąć się przez samą Moskwę, oddać tę stolicę jak zdobycz, którą się rzuca przed nogi nieprzyjaciela dla zaprzątnięcia go, korzystać z czasu, który Francuzi straciliby nieochybnie na porwanie téj bogatęj zdobyczy, ażeby ujsć spokojnie przed nimi i zająć potém z boku, obszedłszy Moskwę, grozną pozycję, którą pułkownik Toll radził zająć niezwłocznie i bez żadnego kołowania. Taki należało wyciągnąć rezultat z tego co powiedziano i taki téż wyciągnął Kutuzow, z głębką przezornością zgubną dla nas, ale która jakkolwiek miała się stać dla nas szkodliwą, niemniej jednak zasługuje na uwielbienie potomności.

Zatém postanowił, że wojsko cofać się zacznie w nocy z 13go na 14ty września, że przejdzie Moskwę w cichości, unikając utarezek tylnej straży, ażeby to wielkie miasto, które chciano uratować i dla uratowania go chciano oddać w ręce Francuzów, nie było spalone przez granaty; że potém nie miało iść ani drogą włodzimierską, idącą zanadto w kierunku północnym, ani drogą Katuską, zanadto posunią

na południe, nadewszystko zanadto wykazującą tajemną myśl, jakiej się trzymano, ale drogą pośrednią, to jest Kazańską, z której łatwo było, przez niewielkie kołowanie, stanąć w kilka dni na drodze kałuskiej, będącej rzeczywiście tą, na której trzeba było działać później.

To postanowienie, jedno z najważniejszych, które kiedykolwiek przedsięwzięto i które jest jednym z głównych praw do chwasty generała Kutuzowa, skoro powziętem zostało, zapowiedziane przez niego było ze stałością, jakkolwiek nieprzyjemnymi były dla niego okrzyki wojska i jakkolwiek bojaźnią napełniały go zapędy ludności moskiewskiej.

Należało uwiadomić o tem gubernatora Rostopczyna, który nie nawidził nas z rozmaitych powodów, jako Rossjanin i jako człowiek arystokracji europejskiej. Życzyłby on, żeby poświęcono nawet stolicę dla zgubienia dwudziestu lub trzydziestu tysięcy Francuzów więcej i myślał, że po spaleniu tylu wsi, nie było żadnej słusznej przyczyny do oszczędzania Moskwy. Gdyby podano mu projekt zabarykadowania się w niej i bronienia się tam do upadłego, nie wahałby się narazić to wielkie miasto na zupełne zniszczenie. Ale ponieważ projekt ten nie był przez nikogo ani zrobiony ani podany, nie mógł o nim mówić, a co się tycze tego co zamyslał w głębi swój zrozpaczonej duszy, nie chciał się z tem zwierzać nikomu. Próżne nadzieje, które mi go łudził generał Kutuzow, rozjątrzyły go mocno przeciwko niemu i wyrażał się o nim z największą goryczą, ale nie był to już czas obwiniań, należało gotować się do ustąpienia z miasta. W nadmiarze swojej nienawiści, nie chciał ażeby ktokolwiek z Rossjan pozostał dla ozdobienia tryumfu Francuzów, dla wyświadczenia im jakiegokolwiek usługi, albo dla podania im zręczności okazania swych łagodnych usposobień w oczach zwyciężonych. Używając swojej władzy jako gubernator, nakazał wszystkim mieszkańcom ustąpić niezwłocznie z Moskwy, unosząc z sobą wszystko co zdołają i zagroził surowemi karami tym, którzy nie opuściliby miasta nazajutrz. Zresztą odmalowano w tak czarnych kolorach postępowanie Francuzów, że nie potrzeba było wielkich groźb dla przywiedzenia ludności do ucieczki za ich zbliżeniem się. Zamierzał więc oddać im miasto martwe i bez mieszkańców. Chciał on więc, chciał, nie obrachowując wszelkich następstw, nie wiedząc jaki będzie tego rezultat, oddać im, w miejscu pobytu rozkosznego, kupę popiołów, na której nie znaleźliby nic do życia i któraby świadczyła o strasznej nienawiści, jakiej

byli przedmiotem, oraz byłaby objawieniem wojny na śmierć. Ale powiedzieć komu o tym projekcie, było to uczynić go niepodobnym do wykonania, bo komuż o nim powiedzieć? Czy łagodnemu Cesarzowi Aleksandrowi, byłoby to oburzyć tego Monarchę; czy jakiemu generałowi, byłoby to zastraszyć go ciężkością podobnej odpowiedzialności; czy mieszkańcom, byłoby to obudzić gniew przeciwko sobie i okazać się im sto razy godniejszym nienawiści niżeli Francuzi. Nie powiedział więc nikomu o tém co zamierzał w głębi swęj duszy. Ale pod pozorem robienia maszyny piekielnej mającej być użytą przeciw armji nieprzyjacielskiej, zgromadził wiele materjałów palnych w jednym ze swoich ogrodów, których przeznaczenia nikt się nie domyślał. Oddalił się z Moskwy 14go rano, w ślad za armją, nie uwożąc z sobą nic z swoich bogactw i pocieszając się myślą okropnej niespodzianki, którą przygotował Francuzom. Gdy pułkownik Wolzogen spotkał go przy wyjeździe z miasta z komendą instrumentów pożarnych i zapytał w jakim celu wywoził je, otrzymał za jedyną odpowiedź: Mam moje powody... Hrabia Rostopczyn dodał potem te słowa, bez związku na pozór z pytaniem, jakie mu zadano: Co do mnie, uwożę z tego miasta tylko odzienie, które widzisz na mnie. Nie powiedział nic więcej pułkownikowi Wolzogen, który w obecnej chwili nie pojął jego myśli, ale zrozumiał ją później (1).

Armja rossyjska użyła całego wieczoru 13go, całej nocy z 13go na 14ty i część dnia 14go września, na defilowanie przez miasto Moskwę. Wojska zatrzymane na moście, który był jedynym istniejącym w téj stronie na rzece Moskwie, skupiły się na przedmieściu Dorogomilskim do tego stopnia, że się lękano starcia i można mieć z tego wyobrażenie klęski, jakaby poniesiono, gdyby przyszło przebywać miasto po straconej bitwie. Gdy natłok się zwiększał, wojsko powzięło zamiar przejść rzekę Moskwę w bród, co położyło koniec naciskowi. Kutuzow potajemnie przebył Moskwę; Barklaj de Tolly przeciwnie, pozostawał na widoku konno na czele swoich żołnierzy.

(1) Generał Michajłowski-Danilewski utrzymuje, że pożar w Moskwie nie nastąpił bynajmniej z rozkazu hrabiego Rostopczyzna, ale że ten wydalając się z Moskwy kazał tylko urzędnikowi polieji Woronenko spalić znajdujące się jeszcze w Moskwie zapasy żywności, wódki i amunicji, że stąd najprzód wszczął się pożar, potem zaś w innych częściach miasta sami mieszkańcy Moskwy zaczęli podpalać, a nawet żołnierze francuzcy dla korzystania z grabieży (Opis wojny 1812 r. t. II str. 351 i nast.).

Bezład w tej nieszczęśliwej stolicy doszedł najwyższego stopnia. Bogaci, szlachta lub kupcy, byli już pouciekali do swych majątków najbardziej oddalonych. Drudzy dowiedziawszy się o ohydnych przynusie, jaki miano wyrzucić na nich, słysząc także mówiących o pożarze przygotowanym przez Francuzów, postanowili z rozpaczą w duszy opuścić swe mieszkanie, uprowadzając z sobą swe rodziny i uwożąc co mieli najdroższego w powozach lub unosząc na swych plecach, uginających się pod ciężarem. Ludzie z gminu nie wiedząc gdzie mają się udać i jak przeżyć, wydawali straszliwe jęki i szli machinalnie za armją. Jednakże wszyscy mieszkańcy tego nieszczęśliwego miasta nie zgodzili się na ucieczkę. Niektórzy znajdując zanadto wielką ofiarę, której po nich wymagano, wiedząc że Francuzi nie palili, nie grabili, nie mordowali, że używali nawet rzadko prawa wojny w miastach opanowanych, woleli raczej żyć z zwycięzcami jakiś czas, niżeli uciekać w ślad za armją, której nie znano kierunku, drogi ani zamiarów. Pomiędzy temi ostatniemi znajdowało się wielu kupców rozmaitych narodowości, a szczególnie Francuzów, którzy nie lękali się swych współziomków. Dla tych nieszczęśliwych była jedna chwila straszliwej trwogi. 14go rano dowiedzieli się nagle, że wojsko rossyjskie występowało z władzami miasta, że ludzie z najniższej klasy oddawali się pijaństwu i grabieży. Ci nieszczęśliwi mieszkańcy, drżący w swoich domach, czekali z niecierpliwością, nim inna armja nie zajmie miejsca tej co wyszła.

Cała pierwsza połowa dnia 14go września upłynęła dla nich w tém okrutném udręczeniu, podczas gdy armja rossyjska przechodziła powoli przez ulice miasta, a jej parki, bagaże, nadewszystko ranni, przebywali je jeszcze powolniej. Jenerał Miłoradowicz dowodzący tylną strażą, widząc że potrzeba jeszcze kilku godzin dla zupełnego oczyszczenia miasta, umyślił zawrzeć słowną ugodę z przednią strażą Francuzów i uczynił propozycję, żeby się powstrzymano od wszelkich nieprzyjacielskich kroków, tak w interesie tych którzy wychodzili, jak tych którzy wchodzili, gdyż jeżeli walka się rozpocznie, był, jak powiadał, w zamiarze bronić się do upadłego, w takim razie miasto splonęłoby w krótkim czasie. Oficer był wysłany do Miurata, dla zawarcia tego rodzaju zawieszenia broni.

Tymczasem armja francuzka postępowała szybkim krokiem ku wzgórzom, z których spodziewała się wreszcie ujrzeć wielkie miasto Moskwę. Podczas gdy Rossjanie byli pełni smutku i żalu, Francuzi byli pełni radości, dumy, świetnych złudzeń. Nasza armja zmniejsza

szona na 100,000 żołnierza z 420,000, które liczone przy przejściu Niemna (sto tysięcy wprawdzie strzegło jej tyłu), wyniszczona utrudzeniem, ciągnąca za sobą znaczną liczbę żołnierzy rannych, którzy mogąc iść, woleli się trzymać armji, uczuła znikające uczucie swych trudów za zbliżeniem się do świetnej stolicy państwa rossyjskiego. W jej szeregach było dużo żołnierzy i oficerów, którzy byli pod piramidami, na brzegach Jordanu, w Rzymie, Medjolanie, Madrycie, Wiedniu, Berlinie i którzy drżeli z radości na myśl, że zwiedzą dopiero i Moskwę, najpotężniejszą ze stołecznych miast wschodu. Bez wątpienia nadzieja znalezienia tam odpoczynku, obfitości, domniemanego pokoju, przyczyniała się niemało do ich zadowolenia, ale wyobraźnia, ta władczyni ludzi, nadewszystko żołnierzy, wyobraźnia była silnie wzruszoną na myśl wstąpienia do Moskwy, po odwiedzeniu pierwszej wszystkich innych stolic Europy, oprócz Londynu, bronionego morzem. Podczas gdy książę Eugienjusz przybywając drogą Iwangorodzką, postępował na lewo armji, gdy książę Poniatowski, przybywając drogą Werejską, postępował na prawo, główna armja, z Miuratem na czele, Dawu i Nejem we środku, gwardją z tyłu, szła wielką drogą Smoleńską. Napoleon konno bardzo rano, znajdował się pośrodku swoich żołnierzy, którzy na jego widok i za zbliżeniem się do Moskwy, zapominając o wielu dniach niezadowolenia, wydawali okrzyki głoszące jego chwałę i ich własną. Pogoda była piękna, przyspieszono kroku pomimo upału, ażeby wstąpić co prędzej na wzgórze, z których miano ujrzeć tę stolicę tak głośną i tak pożądaną.

Oficer przysłany od Miłoradowicza był przyjęty jak najlepiej, otrzymał czego żądał, gdyż nie miano żadnej chęci zapalenia Moskwy i obiecano nie dać ani jednego wystrzału karabinowego, pod warunkiem, dodał Napoleon, że armja rossyjska, nie zatrzymując się ani na chwilę, przedelfuluje przez miasto.

Nakoniec stanąwszy u szczytu pagórka, armja ujrzała nagle w dole i w niewielkiej odległości, miasto ogromne, błyszczące tysiącem kolorów, ozdobione mnóstwem kopuł złoconych, świecących się w odblasku promieni słońca, mieszanię szczególną gajów, jezior, drewnianych domków, pałaców, kościołów, wież, miasto razem gotyckie i bizantyńskie, urzeczywistniające wszystko co powieści wschodnie opowiadają o cudach Azji. Klasztory opatrzone po rogach wieżami, otaczały ten wielki gród, a w pośrodku na wzgórzu wznosiła się silna cytadella, rodzaj kapitolu, gdzie się znajdowały razem świątynie Boga

i pałace Cesarzów, gdzie nad zębatami murami wznosiły się wspaniałe kopuły, noszące na sobie godło przedstawiające całą historję Rosji. Cytadella ta był to Kreml, dawna rezydencja Carów.

Na ten widok czarowny, wyobraźnia i uczucie chwały razem rozplomienione zostały i żołnierze zawołali wszyscy razem: Moskwa! Moskwa! Ci którzy pozostali u stóp wzgórza pośpieszyli nadbież; na chwilę wszystkie stopnie były zmieszane i każdy chciał oglądać wielką stolicę, do której zaprowadził nas pochód tak ryzykowny. Nie zdołano się nasycić tym widokiem osłepiającym i zdolnym obudzić tyle uczuć rozmaitych. Napoleon nadjechał także i zachwycony tём co miał przed oczyma, on który podobnie jak najstarsi żołnierze jego armji, zwiedził po kolei Kair, Memfis, Jordan, Medjolan, Wiedeń, Berlin, był głęboko wzruszony. Stanąwszy na tym szczycie wielkości, z którego miał zstępować szybkim krokiem ku otchłani, doznał pewnego rodzaju upojenia, zapomniał wszystkich wyrzutów, jakie jego zdrowy rozsądek, jedyne sumienie zdobywców, zadawał mu od dwóch miesięcy i na chwilę uwiarył jeszcze, że to przedsięwzięcie jego było wielkie i chlubne, że była to wielka i szczęśliwa lekko myślność, usprawiedliwiona wypadkami, ta pośpieszna droga z Paryża do Smoleńska, ze Smoleńska do Moskwy. Pewien swojej chwały, wierzył jeszcze w swe szczęście, a dowódcy jego, uniesieni podziwem jak on, nie pamiętając już swego częstego niezadowolenia w tej kampanji, znaleźli dla niego znowu te pochlebne oklaski, których nie śmieli mu dawać po krwawej bitwie pod Borodynem. Ta chwila zadowolenia, żywa i krótka, była jedną z najgłębiej uczutych w jego życiu. Niestety! miała ona być ostatnią!

Miurat otrzymał polecenie iść spiesznie dla zapobieżenia wszelkim nieporządkom. Jenerał Diuronel został wysłany naprzód dla porozumienia się z władzami i przyprowadzenia ich do stóp zwycięzcy który chciał przyjąć ich hołdy i uspokoić ich trwogę. Pan Denneje miał poruczenie pójść przygotować żywność i mieszkania dla armji. Miurat galopując na czele jazdy lekkiej, przybył wreszcie przez przedmieście Drogomiłowskie do mostu na rzece Moskwie. Znalazł tam tylną straż rossyjską która się cofała i chciał się dowiedzieć czy nie było pomiędzy nią jakiego oficera znającego język francuzki. Młody Rossjanin mówiący poprawnie naszym językiem, stawił się natychmiast przed królem, którego ludy nieprzyjacielskie znały tak dobrze i zapytał go czego żądał. Gdy Miurat objawił chęć swą dowiedzenia

się kto był dowódcą tej tylnej straży, młody Rossjanin ukazał na oficera z siwymi włosami, mającego na sobie płaszcz biwakowy z długim włosiem. Miurat z swą zwykłą uprzejmością podał rękę staremu oficerowi, który nie wahał się jej uścisnąć. Tym sposobem nienawiść narodowa zamilkła w obec waleczności. Miurat zapytał u dowódcy tylnej straży nieprzyjacielskiej, czy go znano. Bez wątpienia, odrzekł tenże za pośrednictwem swojego młodego tłumacza, widzieliśmy cię dosyć śród ognia, żebyśmy cię nie mieli znać. Gdy Miuratowi wpadł bardzo w oko ten płaszcz z długim włosiem, który zdawał się być bardzo dogodnym w biwaku, stary oficer zjął go z swych ramion i ofiarował mu go w darze. Miurat przyjmując dar ten z równą grzecznością z jaką mu go ofiarowano, wyjął piękny zegarek i podarował go oficerowi nieprzyjacielskiemu, który przyjął ten podarunek podobnie jak przyjęto jego. Po tych grzecznościach, tylna straż rosyjska przedesfilowała szybko dla ustąpienia miejsca naszej przedniej straży. Król Neapolitański, w towarzystwie swojego sztabu i oddziału jazdy, zapuścił się w ulice Moskwy, przebył kolejno to ubogie, to wspaniałe kwartały, pośród rzędu domów drewnianych stojących tuż jeden obok drugiego i szeregu ogromnych pałaców wznoszących się pośród obszernych ogrodów. Wszędzie widział tylko najzuppełniejszą samotność. Zdawało się, że wstąpiono do miasta martwego, którego ludność nagle znikła. Ten pierwszy widok, mogący wzbudzić podziwienie, nie przypominał w niczem naszego wstąpienia do Berlina lub Wiednia. Jednakże pierwsze uczucie przestrochu doznawanego przez mieszkańców mogło wytłumaczyć tę samotność. Wtém ukazało się nagle kilku ludzi całych drżących; byli to Francuzi, należący do rodzin obcych zamieszkałych w Moskwie i błagający w imię nieba, ażeby ich ratowano od zbójców. Starano się napróżno ich uspokoić, rozproszyc ich bojaźń i polecono im przewodniczyć wojsku do Kremla. Skoro się zbliżono do tych starych murów, rozległy się z nich wystrzały karabinowe. Ci nędznicy zajęli w posiadłość te wiekami poświęcone mury, dostali broń z arsenału i strzelali na Francuzów, którzy przychodzili położyć koniec ich anarchicznemu kilkogodzinnemu panowaniu. Rozsiekano wielu z nich pałaszami i oczyszczono Kremlin z tej tłuszczy. Ale rozpytując się dokładniej, dowiedziano się, że cała ludność ratowała się ucieczką, wyjąwszy małą liczbę cudzoziemców, albo Rossjan znających obyczaje Francuzów i nie lękających się ich obecności. Ta wiadomość zasmuciła dowódców naszej przedniej straży, którzy spodziewali się ujrzeć wychodzącą na ich spotkanie lu-

dność, którą mieliby przyjemność uspakajać, napełniać zdziwieniem i wdzięcznością. Pośpieszono przywrócić nieco porządku w kwartałach miasta i ścigać rabusiów, którzy spodziewali się dłużej cieszyć się zdobyczą.

Szczegóły te zakomunikowane Napoleonowi, zasmuciły go. Cekał on całe poobiedzie na klucze miasta, które miała mu ofiarować ludność uległa, przychodząca błagać jego łaskawości zawsze skorej do udzielenia się zwyciężonym. Ten zawód, następujący po chwili entuzjazmu, był że tak rzec można jutrenką przeciwnego losu. Nie chcąc wchodzić w nocy do tej obszernej stolicy, z której nieprzyjaciel nieubłagany zaledwo co był ustąpił i która mogła ukrywać w sobie wiele zasadzek, Napoleon zatrzymał się na przedmieściu Drogomiłowskim i wysłał tylko oddziały jazdy dla zajęcia bram miasta i utrzymania w niem policji. Było rzeczą naturalną przypuszczać że wielu rannych i łazęg znajdowało się jeszcze w Moskwie, należało więc ich wyszukać. Książę Eugienjusz na lewo, strzegł bramy wychodzącej na drogę Petersburską; Dawu we środku, strzegł bramy Smoleńskiej, przez którą przybywała główna nasza armja i rozciągnął się nawet na prawo aż do bramy Tulskiej. Jazda, która przebyła miasto, miała strzedz bram północnej i wschodniej, przeciwnych tym, przez które wchodziliśmy. Ale w niewiadomości miejsc, w jakiej zostawano, w nieobecności mieszkańców, pozostawiono wiele punktów wyjścia otwartych, przez które mogło się jeszcze wymknąć dwanaście lub piętnaście tysięcy łazęg armji rossyjskiej, których pojmanie byłoby bardzo przydatnem. Jednakże pozostało najmniej piętnaście tysięcy rannych, których Rossjanie powierzyli ludzkości Francuzów.

Armja biwakowała przez tę noc i nie używała jeszcze obfitości i wygod, jakich się spodziewała. Nazajutrz rano 15go września, Napoleon odbył swój wjazd do Moskwy na czele swych niezwycięzonych legij, ale znalazł miasto puste i po raz pierwszy jego żołnierze, wchodząc do stolicy, mieli tylko siebie samych za świadków swęj chwały. Wrażenie jakiego doznali było smutne. Napoleon przybywszy do Kremlu, pośpieszył wstąpić na wysoką wieżę Wielkiego Iwana i obejrząc z tej wysokości swoje wspaniałą zdobycz, przez którą rzeka Moskwa przepływała powoli, czyniąc w niej liczne zakręty. Tysiące ptaków czarnych, kruków i wron, tak licznych w tych krainach jak gołębie w Wenecji, latając w około szczytów pałaców i kościołów, nadawało temu wielkiemu miastu widok szczególny, zostający w sprzeczności

z blaskiem jej żywych kolorów. Głuche milczenie, przerywane tylko stąpieniem jazdy, zastąpiło miejsce życia tego grodu, będącego dniem przedtém jednym z najbardziej ożywionych w świecie. Pomimo zasnuwającej tej samotności, Napoleon znajdując Moskwę opuszczoną jak inne miasta rosyjskie, poczytywał się jednak za szczęśliwego, że ją nie zastał spalonej i nie tracił nadziei usmierzyć powoli nienawiść, która od Witebska spotykała wszędzie jego chorągwie.

Armja rozmieszczoną została po rozmaitych kwartałach Moskwy. Postanowiono że książę Eugienjusz zajmować będzie kwartał północno-zachodni, leżący pomiędzy drogami Smoleńską a Petersburską, to jest w tej stronie, z której przybył. Z tegoż samego powodu, marszałek Dawu miał zajmować część miasta rozciągającą się od bramy Smoleńskiej do Kafuskiej, to jest, cały kwartał położony na południowozachód, a książę Poniatowski kwartał położony na południow-wschód. Marszałek Nej, który przebył Moskwę z zachodu na wschód, miał się rozlokować w kwartałach leżących pomiędzy drogami Kazańską i Włodzimierską. Gwardja była naturalnie pomieszczoną w Kremlu i w jego pobliżu. Domy przepelnione były żywnością wszelkiego rodzaju. Dolożywszy nieco starania, można było obficie zaopatrzyć pierwsze potrzeby żołnierzy. Wyżsi oficerowie byli przyjęci u bram pałacowych przez liczną służbę w liberji, która na wyscigi ofiarowała im hojną gościnność. Panowie tych pałaców, nie przewidując że Moskwa przeznaczoną była na spalenie, mieli na względzie, chociaż podzielali nienawiść narodową, zapewnić opiekunów dla swych bogatych pomieszczeń, przyjmując do nich oficerów francuzkich, Rozlokowano się tedy z żywym uczuciem przyjemności śród tego zbytku, który miał trwać tak krótko. Przechadzano się z ciekawością po tych pałacach, pełnych przedmiotów najwyszukańszej rozkoszy, gdzie znajdowały się wspaniałe sale balowe, teatra prywatne, tak obszerne jak publiczne, biblioteki napelnione książkami francuzkimi najwolniejszymi z XVIII wieku, malowidłami w zniewieściałym guście Watto i Busze, wszystkie oznaki wreszcie wolnych ebyczajów, tworzące szczególną sprzecznosc z gorącą pobożnością ludu i nieugiętą energją wojska. Dziwną wydawało się rzeczą spotykać wszędzie naśladownictwo Francji w kraju, z którym prowadziliśmy tak zawziętą wojnę i mało pochlebną dla nas widzieć się szczególnie naśladowanemi w tém, co mieliśmy najmniej chwalebne.

Wyszedszy z tych wspaniałych mieszkań, nasi oficerowie błakali się z równą ciekawością pośród tego grodu, który podobnym był do

ognia wzniosło się nad gmachem obszernym, zawierającym w sobie obozu tatarskiego, usianego tu i owdzie pałacami włoskimi. Przyglądali się z podziwieniem tym kilku miastom umieszczonym jedno pośród drugiego: najprzód w samym środku, na wzgórzu i nad brzegiem rzeki Moskwy, Kreml, otoczony starożytnymi wieżami i pełen złotych kościołów; u podnóża Kremlu, pod jego opieką niejako, stare miasto, zwane miastem chińskiem (Kitaj gorod), zamykający w sobie dawny i prawdziwy handel rosyjski, to jest wschodni; potem naokoło poprzedniego, otaczające go ze wszystkich stron, miasto szerokie, przestronne, z wspaniałymi pałacami, zwane miastem Białem (Bielej gorod), potem wreszcie, otaczające w koło wszystkie trzy uprzednie, miasto zwane ziemne (Ziemiłanoj gorod), mieszanina wiosek, gajów, gmachów nowych i wielkich rozmiarów, otoczone wałem z ziemi. We wszystkich tych czterech miastach, zamkniętych jedno w drugim, wpadało w oko szczególnież kilkaset kościołów, ozdobionych kopułami, dzwonicami świadczącemi o dawnych stosunkach z Persją i Turcją, gdyż rzecz dziwna, religie walczące z sobą, naśladują przynajmniej siebie pod względem sztuki! Moskwa kilka dniami przedtém zamykała w sobie ludności od trzech kroć sto tysięcy dusz, a z téj ludności, z której pozostała szóstą zaledwo część, jedni ukryci byli po domach i nie wychodzili z nich, drudzy zostawali u podnóża ołtarzy, gdzie gorące zasyłali modły. Ulice były prawdziwemi pustyniami, gdzie dawały się słyszeć tylko kroki naszych żołnierzy.

Choć zostali posiadaczami bez podziału i w pewnym sposobie prawnemi miasta opuszczonego, nasi oficerowie i żołnierze, zawsze towarzysze, ubolewali że są tak bogatemi i że nie mogą się dzielić swemi dostatkami z samemiż temi mieszkańcami, co je opuścili. Z przyjemnością zwykle, kiedy wchodzili do jakiego miasta, spotykali oni ludność, uspakajali ją, starali się pozyskać ich życzliwość, otrzymać z rąk ich to co mogli sami wziąć i zdziwić ich swoją dobroduszością, przestraszywszy ich pierwój swoją walecznością. Samotność Moskwy, lubo była ustępstwem dobrowolnem na ich korzyść bogactw tego miasta, zasmucała ich, chociaż nie domyślali się jeszcze niczego, gdyż po wyjściu armji rosyjskiej, która jedna dotąd podkładała ogień, zdawało się że nie było się czego lękać pożaru.

Spodziewano się więc użyć przyjemności w Moskwie, znaleźć tam pokój, a w każdym razie, wygodne leże zimowe, gdyby wojna się przedłużyła. Jednakże nazajutrz po wejściu do miasta, kilka słupów

gorące napoje, które rząd przedawał na swój rachunek ludności stolicy. Pospieszono tam bez zdziwienia i postrachu, gdyż przypisywano naturze przedmiotów zawartych w tym gmachu, lub jakiej nieroztropności ze strony naszych żołnierzy, przyczynę tego cząstkowego pożaru. Jakoż zdołano stać się panami ognia i nie miano pod tym względem żadnej obawy.

Ale nagle i prawie w jednej chwili, ogień wybuchnął z nadzwyczajną gwałtownością, w zbiorze budowli, który nazywano bazarem. Ten bazar położony na północo-wschód Kremlu, zamykał w sobie magazyny najbogatszych kupców, gdzie sprzedawano najpiękniejsze materje Indji i Persji, rzadkości europejskie, towary kolonialne, cukier, kawę, herbatę i wreszcie wina kosztowne. W kilka minut pożar stał się ogólnym w tym bazarze, lubo żołnierze gwardji przybiegłszy gromadnie dokładali wszelkich starań dla powstrzymania go. Wszelkie usiłowania ich były bezskuteczne i wkrótce ogromne bogactwa tego składu towarów stały się pastwą płomieni. Spiesząc uchronić od ognia dla siebie samych te bogactwa, nie mające już właścicieli i nie mogąc ich uratować, żołnierze nasi starali się ocalić przynajmniej niejaką ich cząstkę. Widziano ich wychodzących z bazaru i unoszących z sobą sutra, jedwabne materje, wina znacznej wartości i nie myślano wcale naganiać im tego, gdyż robili uszczerbek tylko ogniowi, jedynemu panu tych skarbów. Można ich było winić o brak karności, ale nic nie było do zarzucenia ich honorowi. Zresztą, to co zostawało z ludności miejskiej dawało im przykład i brało znaczny udział w tych łupach handlu moskiewskiego. Jednakże był to tylko ogromny gmach, niezmiernie bogaty wprawdzie, ale jeden który się stał pastwą płomieni i nie lękano się bynajmniej o same miasto. Przypisywano przypadkowi bardzo naturalnemu i bardzo zwyczajnemu, zwłaszcza wśród zgiełku ucieczki, te pierwsze złowróźbe oznaki, dotąd jeszcze w szczupłych granicach zamknięte.

W nocy z 15go na 16ty września (!), widok miasta zmienił się nagle. Jak gdyby wszystkie nieszczęścia razem winne były spaść na starą stolicę moskiewską, wiatr północny powstał nagle z podwójną gwałtownością właściwą porze roku i w kraju równym, gdzie nie staje oporem wściekłości burzy. Wiatr ten dmąc najprzód ze wschodu, rozszerzył pożar w zachodniej stronie miasta, w ulicach położonych między drogą Twerską a Smoleńską i które uważane były za naj-

(!) Czyli z 3go na 4 według starego kalendarza.

piękniejsze, najbogatsze w Moskwie, to jest, w Twerskiej, Nikickiej, Poworskiej. W kilka godzin ogień gwałtownie szerząc się pośród tych budowli drewnianych, przechodził z ulicy w ulicę z przerażającą szybkością. Ujrzano go wkrótce jak ciskając w górę długie słupy, zajmował inne kwartały położone na zachód. Postrzeżono także wypuszczane w górę race i wkrótce schwymano nędzników roznoszących materje palne na końcu długich żerdzi. Przyaresztowano ich, ściągnięto z nich badania grożąc im śmiercią, a wtedy wydali straszną tajemnicę, że rozkaz wydany był przez hrabiego Rostopczyna podłożyć ogień w Moskwie, podobnie jak w prostych wsiach po drodze Smoleńskiej.

Ta wiadomość rozszerzyła w jednej chwili nie małą trwogę w armji. Nie podobna było wątpić, po dokonanych przyaresztowaniach i zeznaniach otrzymanych na wielu punktach miasta. Napoleon rozkazał żeby w każdym kwartale, korpusy znajdujące się tam na leżach utworzyły kommissje wojskowe, dla sądenia natychmiast, rozstrzeliwania i wieszania na szubienicach podpalaczy schwytaných na gorącym uczynku. Zalecił także użyć wszystkich obecnych wojsk w mieście na gaszenie pożaru. Chciano użyć pomp, ale nie znaleziono żadnej. Ta ostatnia okoliczność usunęłaby wszelką wątpliwość, gdyby pozostawała jeszcze jaka względem strasznego zamiaru wydania Moskwy na pastwę płomieni.

Prócz tego, że wszystkich środków do gaszenia ognia brakowało, wiatr, który co chwila stawał się gwałtowniejszym, obróciłby w niewecz usiłowania całej armji. Nagłym zwrotem, właściwym stronom północnym, wiatr ten zmienił kierunek ze wschodu na północo-zachód, a z nim razem potok ognia zmieniając także swój kierunek, zaczął rozszerzać swe spustoszenie tam, gdzie ręka podpalaczy nie zdołała go jeszcze zanieść. Ten ogromny stęp ognia ciskany wiatrem na pokrycia gmachów, ogarniał je w jednej chwili, powiększał się coraz w miarę przybywającego materiału, rozszerzał z płomieniem okropny huk, przerywany strasliwemi wybuchami i ciskał w dal płonące belki, które szerzyły zniszczenie tam gdzie go jeszcze nie było lub spadały jak bomby w pośród ulic. Wiejąc kilka godzin z północo-zachodu, wiatr zmieniwszy jeszcze kierunek, zaczął wiać z południo-zachodu i rozszerzył pożogę w innej stronie, jak gdyby natura znajdowała okrutną rozrywkę w rozsiewaniu kolejno na wszystkie strony ruiny i śmierci w tym grodzie nieszczęśliwym, albo raczej w naszej armji, której całą winą, niestety! było bohaterstwo, jeśli tylko Opatrzność nie chciała ukarać ją za dumne zamysły, których była mimowolnym na-

rzędziem! Pod tym nowym naciskiem wiatru z południo-zachodu, Kreml dotąd jeszcze nienaruszony, został nagle narażony na niebezpieczeństwo. Drzazgi płonące spadając pośród kłaków artylleryjskich rozrzuconych po ziemi, groziły zapaleniem ich. Więcej czterystu jaszczyków amunicji stało na placu Kremly, a arsenał zawierał w sobie kilkakroć sto tysięcy funtów prochu. Klęska zdawała się być nieuchronną i Napoleon z swoją gwardją i pałacem Cesarskim lada chwila mógł wylecieć na powietrze.

Oficerowie zbliżeni do jego osoby, żołnierze artylleryji wiedząc, że śmierć jego będzie ich śmiercią, otoczyli go i naglili głośnemi okrzykami, żeby się oddalił od tego płonącego krateru. Niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejszem: starzy artylleryści gwardji, chociaż przywykli do kanonady takiej jaką była Borodyńska, tracili prawie swą zimną krew. Jenerał Laribóazjer zbliżywszy się do Napoleona, wystawiał mu zamieszanie, którego był przyczyną i używając wpływu jakiego mu dozwalał jego wiek i jego poświęcenie się, zaklinał go, żeby pozostawił ich ratować się samym, nie powiększając ich zakłopotania niespokojnością o bezpieczeństwo jego osoby. Zresztą, wielu oficerów wysłanych do kwartałów sąsiednich donosiło, że pożar rozszerzając się coraz bardziej, dozwalał zaledwo przebiegać ulice i oddychać w nich, że należało przeto oddalić się, żeby nie być pochłoniętym w ruinaach tego miasta, na którym ciążyło jakieś przekleństwo.

Napoleon w towarzystwie kilku swoich dowódców wystąpił z Kremly, do którego armja rossyjska nie mogła mu wzbronić przystępu, ale z którego ogień wyganiał go po dwudziestu czterech godzinach pomieszkania, udał się na wybrzeże rzeki Moskwy, znalazł tam konie swe przygotowane i doznał wiele trudności w przebyciu miasta które ku północo-zachodowi, gdzie dążył, było już całe w płomieniach. Wiatr, którego gwałtowność wzrastała bezustannie, nagiął niekiedy aż do ziemi słupy ognia i pędził przed sobą gromady duszące iskier, dymu, popiołu. Okropnemu widokowi nieba odpowiadał na ziemi widok niemniej straszny. Armja przerażona ustępowała z Moskwy. Dywizje księcia Eugienjusza i marszałka Neja, wstąpiwszy dniem przedtem, cofnęły się po drogach Zwenigorodzkiej i Petersburskiej, dywizje marszałka Dawu po drodze Smoleńskiej i oprócz gwardji pozostawionej w koło Kremly dla obrony jego przeciw płomieniom, wojska nasze odstąpiły nazad, przejęte trwogą na widok tego ognia, który wzniosłszy się ku niebu, zdawał się spadać na nie, jak gdyby chciał je pochłonać. Mieszkańcy pozostali w małej liczbie w Moskwie, ukry-

ei najprzód w swych domach, nie śmiejąc z nich wyjść, wymykali się z nich dopióro, unosząc z sobą co mieli najdroższego, kobiety swe dzieci, mężczyźni swoich osłabionych wiekiem rodziców, ratując co mogli ze swych ruchomości, wydając bolesne jęki i często zatrzymywani przez zbrojców, którzy uwijali się pośród téj pożogi jak duchy złe pośród chaosu.

Nasi żołnierze prerażeni odstępowali, dopomagając niekiedy, skoro mieli czas na to, nieszczęśliwym zrujnowanym z ich powodu, ale częściej uchodząc za swemi pułkami z tego miasta, w którym napróżno spodziewali się znaleźć spokój i obfitość.

Napoleon obrał sobie mieszkanie w pałacu Pietrowskim o milę od Moskwy, na drodze Petersburskiej w środku leż księcia Eugienjusza. Cekał tam nimby się podobało téj pożodze zwolnić swą wściekłość, gdyż ludzie nie mogli nic zaradzić, czy to dla powiększenia jęj, czy dla przytłumienia. Schwytano i rozstrzelano niektórych z tych nędznych podpalaczy, którzy poddawali się karze w milezeniu i byli na szubienicach, na których je zawieszano, tylko bezpożyteczną przestroga, gdyż ich wspólnicy nie mogli już więcej podobnego zła wyrzędząć. Dość było do tego wiatru, który wyprzedzał wszelkie współdziałanie ludzkie swoją wściekłą gwałtownością.

Przez ostatni i zgubny zwrot, wiatr przeszedł nznajutrz z południo zachodu na zachód i wtedy potoki ognia zwróciły się ku kwartałom wschodnim, ku ulicom Messnickiej i Basmanniej, oraz ku pałacowi letniemu. Reszta ludności uciekła na pola odkryte rozciągające się z téj strony. Gdy pożar zaczął się zbliżać do swego okropnego przesilenia, dawał się co chwila słyszeć łoskot zapadających się gmachów. Dachy domów, których krokwie były popalone, zapadały się pod własnym ciężarem i upadały z hukiem, sprawiając wybuchy nowych płomieni skutkiem nacisku pochodzącego z ich upadku. Ozdobne fronty domów drewnianych, toczone z drzewa, spadały i zawałyły ulice swemi szczątkami. Blachy żelazne, uniesione wiatrem, upadały tu i owdzie jeszcze rozpalone do czerwoności. Niebo okryte gęstą chmurą dymu, ledwo się ukazywało przez tę zasłonę i słońce w ciągu tych dni wydawało się jakby kula krwisto-czerwona. Ani chwili w ciągu tych trzech dni 16go, 17go i 18go września, natura nie przestała być równie straszliwą w swych objawach, jak w swych skutkach.

Nakoniec kiedy cztery piątych miasta było pochłonięte, pożar zatrzymał się prawie bez przyczyny; gdyż na naszym świecie ograniczonym, zło, nawet zbyteczne, niemniej się kończy jak dobro. Deszcz

który podczas przesilenia jesiennego następuje zwykle po gwałtownym wietrze, spadł nagle na ten wulkan i nie gasząc go, zdołał go jednakże przytłumić. Z okropnej pożogi pozostało tylko ogromne żarzewie, którego deszcz szczęściem ciągly, przygasił powoli płomienie. Dały się widzieć stojące tylko niektóre mury z cegły, niektóre wysokie kominy wyszłe całe z ognia i wyglądające jak strupiałe szczątki wspaniałego niegdyś grodu. Kreml był uratowany, a z Kremlm zaledwo piąta część miasta. Gwardja cesarska nosząc wodę wiadrami i ciskając ją na dachy niektórych domów, zapobiegła ich zniszczeniu.

Do rozmaitych domów, już to w połowie, już całkiem spalonych, pospólstwo moskiewskie starało się wedrzeć i unieść stamtąd co mogło. Nie podobna było przeszkodzić naszym żołnierzom czynić toż samo na własną korzyść, dozwolono im przeto tego rodzaju rabunku, który zależał zresztą na rabowaniu pożaru. Powracali więc gromadami dla wydobyć z ognia pewnej części zasobów, które on miał zniszczyć. Wkrótce spostrzegli, że pod rozwalinami tych domów spalonych, w znajdujących się pod niemi sklepach, znajdowały się zapasy żywności, niekiedy trochę zagrzone, lecz w ogólności nietknięte i bardzo obfite w kraju gdzie panował zwyczaj, z powodu długości zimy, zaopatrywania się na kilka miesięcy. Znajdywali w znacznej ilości wymienione zboże, mięso solone, wino, wódkę, oliwę, cukier, kawę, herbatę. W wielu domach, w których ogień, nie zniszczywszy wszystkiego, nadawał jednak prawo poszukiwania, znajdowano przedmioty najwymyślniejszego zbytku, odzież, futra nadewszystko, które zbliżająca się zima czyniła bardzo pożądanemi; srebro, które nieprzezorna ich chciwość przenosiła nad odzienie i żywność, pojazdy których wartość podwajała nadzieja powrotu, wreszcie pyszne porcelany, z których śmieli się w swęj niewiadomości i tłukli je z lekceważeniem.

Wkrótce kiedy wieść o tym szczególnego rodzaju odkryciu rozeszła się pomiędzy korpusami pozostałemi zewnątrz miasta, potrzeba było i im dozwolnić udać się każdemu po kolei pobierać tę dziesięćinę z pożaru i opatrzyć się w żywność, gorące napoje, ciepłe odzienia. Postawiono strażę, dla bezpieczeństwa oficerów rannych i chorych, przy wszystkich gmachach pozostałych w całości, a resztę pozostawiono ciekawości i chciwości żołnierza, któremu przewodniczyła ludność moskiewska, znająca lepiej miejscowość i zwyczaje kraju, łatwiej przeto odkrywająca tajemne składy, gdzie można było znaleźć szacowne zapasy. Był to godzien oplakania widok, godzien oplakania i pocieszny razem, jak ta gromada żołnierzy i motłochu grzebała w dymiących się

resztkach wspaniałej stolicy, jak się przyodziewała śmiejąc się, w najdziwniejsze ubiory, jak unosiła w swych rękach przedmioty najkosztowniejsze, przedawała je prawie za bezcen tym, którzy byli w stanie je ocenić, albo tłukła je w dziecinną nieświadomości i często upijała się trunkami odkrytymi w sklepach. Ten widok dziwaczny nabierał co chwila charakteru smutniejszego jeszcze powrotem nieszczęśliwych mieszkańców, którzy byli pouciekali w chwili pożaru lub opuszczenia miasta przez ogół ludności i którzy powracali dowiedzieć się czy ich domy były uratowane, czy też spalone i czy mogli tam sobie wystarać się środków żywności. Najczęściej pozostawało im tylko płakać na ruinach swoich domostw, spalonych do fundamentów, lub też potrzeba im było bronić od rozuzdanego pospólstwa szczątków, swych zniszczonych dóbr, a nie byli silniejszymi kiedy żołnierze nasi nie przychodzili im w pomoc. Dla zabezpieczenia się od niepogody, zbierali powiększej części blachy spadłe z domów spalonych i kładąc je na żerdzie w połowie przepalone, przygotowywali tym sposobem dla siebie miejsca przytułku, w których mieli za łoża popioły swoich dawnych mieszkań. Pozostawali tam bez żadnego zasobu i musieli żebrać u naszych żołnierzy o kawałek chleba. Moskwa zaludniała się tym sposobem powoli, ale nieszczęśliwymi tonąciami we łzach. Z nimi powracało także wydając smutne krakania, tysiące kruków, których pożar był wygnął, a które obejmowały znowu w posiadłość starożytne gmachy gdzie przywykli przebywać. Do tych smutnych widoków dodać należy smutniejszy jeszcze, jeśli podobna, to jest, ten jaki przedstawiało wnętrze niektórych domów spalonych, w których armja rossyjska oddalając się pomieściła swych rannych. Ci nieszczęśliwi, nie mogąc się ruszyć z miejsca, zginęli w płomieniach.

Sceny jakie przedstawiała Moskwa były razem rozdzierające i niebezpieczne dla karności wojska, nagłą więc było rzeczą położyć im koniec. Nasi żołnierze nie byli wianami, gdyż wyrwali tylko z płomieni to co fanatyzm tam rzucił; ale nie należało dozwalać im przedłużać dalej to zajęcie, które ich uzwierzczało i przyzwyczajając ich do niszczenia podbitej ludności, chociażby nie byli jego pierwotnymi sprawcami. Zresztą te szczątki pysznej Moskwy należało ocalić, nie dla zadowolenia chciwości żołnierza, ale dla przekarmienia armji i uśmierzenia głodu nieszczęśliwych mieszkańców, pozostałych w mieście przez ufność, jaką w nas pokładali. Rozkazy więc w tym względzie były konieczne potrzebne.

Napoleon powrócił do Moskwy 19 września z sercem zasmuconem i umysłem zakłopotanym tym okropnym wypadkiem. Posunął on

swój pochód aż do Moskwy, pomimo zarzutów jakie mu gienjusz jego czynił przeciw tej lekkomyślnej wyprawie, w nadziei, że znajdzie tam pokój, jak go znalazł w Wiedniu i Berlinie; ale tu po tak strasliwym czynie nie można się było nic podobnego spodziewać. Na każdym z tych pałaców spalonych, z których pozostawały tylko poczerńałe mury, zdawało się Napoleonowi, że czyta następne wyrazy, wypisane krwią i ogniem: *Nie ma pokoju... wojna na śmierć!*

Jakoż myśli, w które był pogrążony podczas tego strasznego pożaru, były najbardziej gorzkie, najbardziej ponure w jego życiu. Nigdy w swoim długim i burzliwym zawodzie, nie wątpił o swojej fortunie, ani pod Arkol na moście, którego nie mógł przebyć, ani pod Sę-Żan d'Akr w czasie ośmiu odpartych szturmów, ani pod Marengo w chwili przegranej bitwy, ani pod Ejlau w chwili bitwy długo wątpliwej, ani nawet pod Essling. w chwili kiedy miał być wrzuconym do Dunaju. Ale wtedy po raz pierwszy ujrzał możliwość wielkiej klęski, gdyż wiedział że jest umieszczonym na szczycie gmachu niezmierniej wysokości, którego samo wstrząśnienie mogło pociągnąć za sobą jego ruinę.

Jednakże nie zastanawiając się długo nad dalszemi następstwami pożaru Moskwy, zajął się zapobieżeniem bezpośrednim jego następstwom dla ludzkości i dla armji. Wydał rozkazy najsurowsze dla ukrócenia rabunku, który się przedłużał pod pozorem ratowania z pożaru tego co on miał pochłonąć. Z niejaką trudnością zdołano odebrać żołnierzy od tego rodzaju gry hazardowej, w której za cenę niewielkich trudów, niekiedy dość wielkich niebezpieczeństw, znajdowali znacznej wartości przedmioty, a niekiedy prawdziwe bogactwa, które spodziewali się zanieść do Francji na swych ramionach; nieszczęśliwi nie wiedzieli, że niewielu z nich tylko, ogołoconych ze wszystkiego, zdoła się tam zawlec! Potrafiono jednakże położyć koniec tym nieporządkom i zastąpiono je poszukiwaniami regularnie odbywanemi, dla utworzenia magazynów i zaopatrzenia się tym sposobem w środki przebycia w Moskwie całego potrzebnego czasu. Poszukiwania odbywane wykryły wkrótce istnienie znacznych zapasów zboża, mięsa solonego, gorących napojów, szczególnie cukru i kawy, napoju pożądanego w kraju gdzie wino jest rzadkiem. Rozdzielono miasto pomiędzy rozmaite korpusa armji, prawie tak samo jak w dniu ich przybycia, to jest, że czoła ich kolumny były w Kremlu, a główne ich masy w częściach miasta przez które weszły, książę Eugienjusz pomiędzy bramami Petersburską a Smoleńską, marszałek Dawu pomiędzy Smoleńską a Kałuską, książę Poniatowski przy bramie Tułskiej, z jazdą zewnątrz niej, w pogoni za nieprzyjacielem, marszałek Nej ku wschodowi, po-

między bramami Kazaniską a Włodzimierską, gwardja jedna we środku, to jest, w Kremlu. Zachowano dla oficerów domy w całości pozostałe i obrócono na magazyny wielkie gmachy, które ogień oszczędził. Każdy korpus musiał składać w tych magazynach artykuły codziennie odkrywane, takim sposobem, ażeby można było niezależnie od dziennych racji, zgromadzić zapasy na przyszłość, czy to w razie pozostania w Moskwie na czas dłuższy, czy w razie oddalenia się z niej. Przekonano się że wystarczy chleba, mięsa solonego, wódki, żywności na kilka miesięcy, dla całej armji (1).

Ale mięso świeże, którego nie można było inaczej dostać jak mając bydło, a bydło nie inaczej jak mając furaz, trudno było mieć w pogotowiu. Przechowanie koni artylleryji i jazdy, dla których takż potrzebna było furazu, było też niemałym przedmiotem niespokojności. Napoleon spodziewał się zadość uczynić tej potrzebie rozciągając wyieczki swych przednich straży o dziesięć lub piętnaście mil w około Moskwy, dla zajęcia tak znacznej przestrzeni kraju, iżby można było dostać ogrodowin i furazu w dostatecznej ilości. Obmyślił jeszcze inny środek, to jest, zachęcenie do odwiedzania miasta włościan, opłacając ich dobrze. Ponieważ ruble papierowe były monetą mającą kurs w kraju, a kassa armji zaopatrzona była w znaczny ich ilość, której wskazaliśmy źródła, niewiadome wtedy nikomu, kazał ogłosić, że płacić będą gotówką za żywność dostarczaną do Moskwy, nadewszystko za furaz, oraz zalecił wyraźnie czuwać nad bezpieczeństwem włościan przybywających dla sprzedaży swych artykułów; kazał takż płacić żołd armji rublami papierowymi, zachowując jednakże tę ostrożność (co było czynem prawości nieuchronnym względem armji), że oficerowie którzyby chcieli posyłać swój żołd do Francji, mogli tam zamieniać na srebro, we wszystkich biurach skarbowych, te papierowe pieniądze obcego pochodzenia.

Oprócz użycia tych środków, dokonał czynu ludzkości godnego jego i armji francuzkiej, kazawszy przynieść pomoc wszystkim pogrzelcom. Dopomóżono jednym do wystawienia szczupłych domków, dano drugim przytułek w gmachach niestujących na użytek armji, i oprócz tego rozdzielano im żywność. Ale ta żywność, której potrzebowanie mogło się zwiększyć, wedle długości pobytu w Moskwie, była zanadto szacowną, żeby mogła być długo rozdawaną cudzoziemcom, po większej części nieprzyjaznym. Napoleon wołał raczej dostar-

(1) Doktor Larrej, jeden ze świadków najlepiej poinformowanych w tej mierze, utrzymuje że można było żyć sześć miesięcy zapasami znalezionemi w Moskwie.

czać pieniędzy, ażeby nabyli jój sami po za obrębem miasta i kazał im rozdawać ruble papierowe. Francuzów dawno osiadłych w Moskwie zaopatrywano we wszystko jak naszą własną armję, i ci z nich co posiadali wyższe naukowe wykształcenie, użyci byli do utworzenia témczasowej municypalnej administracji, nimby sprowadzono roduwitych Rossjan do ich stolicy.

U podnóża murów Kremlu, Napoleon miał przed oczyma obszerny gmach, który od dnia wstąpienia jego do Moskwy zwrócił na siebie jego uwagę, to jest, szpital podrzutków. Ten wspaniały szpital, zostający pod opieką Cesarzowej matki, przedmiot całej troskliwości tój monarchini, był po większej części opróżniony. Ale trudność przewózki była przyczyną, że pozostawiono tam dzieci małe, których najtrudniej było przewieźć, a którym groziło najmniej niebezpieczeństwo, gdyż nasi żołnierze chociażby w istocie byli tak okrutni jak głoszą, nie wywieraliby swego okrucieństwa na dzieciach od lat czterech lub pięciu. Kiedy wstąpiliśmy do Moskwy, tę biedne dziatki przejęte trwogą, zalane łzami otaczały swego szanownego gubernatora jenerała Tutolmina, starca o siwych już włosach. Napoleon uwiadomiony o tём posłał mu straż, która czuwała nad tym szlachetnym zakładem przed pożarem i podczas niego. Powróciwszy do Moskwy, udał się tam piechotą, gdyż dość mu było wyjść za bramę Kremlu, żeby się znajdować w tym szpitalu, który się stał, jak zobaczymy, przedmiotem jego zajęcia i jego przezornój polityki. Gubernator wyszedł na jego spotkanie do drzwi zakładu, otoczony swemi wychowañcami, którzy rzucili się na spotkanie Napoleona, całując mu ręce, chwytając za poły jego odzienia, dla podziękowania mu, że uratował ich od śmierci. Czy twoje dzieci, rzekł Napoleon do starego jenerała Tutolmina, myślały że moja armja ich porze? Przecież nie ona spaliła Moskwę. Po co nagromadzać tyle ruin? po co używać środków tak gwałtownych, które będą kosztować Rossji więcej, niżeliby jój kosztowała wojna najniebezpieczniejsza? Tysiąc milionów nie opłaci pożaru Moskwy! Gdyby zamiast tych zapędów, pozostawiono w całości waszą stolicę, strzegłbym jój jak samego Paryża, napisałbym do waszego monarchy, wszedłbym z nim w układy na warunkach słusznych i umiarkowanych i ta wojna straszliwa prędkoby się zakończyła! Ale dalecy od tego, pała, palić jeszcze będą i będą mieli, upewniam cię, wiele do palenia, gdyż nie myślę opuścić prędko ziemi rosyjskiej i Bóg raczy wiedzieć co ta wojna hędzie jeszcze kosztować ludzkości. Jenerał Tutolmin, który ganił postępki Rostopczyzna, równie jak wszyscy mieszkańcy Moskwy, przyznał prawdę tych słów, wyraził swój żal że usposobie-

nia Napoleona nie były lepiej ocenione i zdawał się napomykać, że gdyby w Petersburgu wiedziano o nich, rzeczy przyjęłyby inny obrót. Napoleon korzystając z tego napomknienia, które umyślnie starał się wywołać, zapytał u generała Tutolmina czegoby żądał dla swych dzieci, a gdy ten odpowiedział, że prosił tylko o dozwole nie wiadomości Cesarzowej matki, że wychowawcy jój są ocaleni, Napoleon chętnie na to zezwolił i obiecał mu, że za jego staraniem list ten dojdzie rąk Cesarzowej. — Mamże dodać, odezwał się generał Tutolmin, że usposobienia Waszjéj Cesarskiéj Mości są takie, jakie raczył dopiero co wyrazić? — Tak, odpowiedział Napoleon, napisz, że gdyby nieprzyjaciele, mający swój interes w poróżnieniu nas, nie stawiali na przeszkodzie pomiędzy Cesarzem Aleksandrem a mną, pokój byłby wkrótce zawartym.

List gubernatora domu podrzutków, napisany natychmiast, został wysłany do Petersburga tegoż samego dnia. W tymże samym czasie znalazł się w Moskwie człowiek, zdający się być godnym szacunku, Rossjanin pozostały w mieście, żądający pozwolenia udania się na tył armji, dla przywrócenia porządku w swjéj majątności spalonej. Był on mniej zaślepiony gniewem niżeli jego współziomkowie i opłakiwał postępek Rostopczyna, który sądząc tylko ze skutków materialnych, sprawił więcej zła Rossjanom niżeli Francuzom, gdyż ci, nawet pod dymiącemi się rozwalinami Moskwy, znajdowali jeszcze środki do życia, tamci zaś umierający z głodu błakali się po lasach. Spro wadzono go, przypuszczono do zaszczytu widzenia się z Napoleonem, rozmawiania z nim i zapewnienia się bezpośrednio o jego usposobie niach tętnących pokojem. Napoleon, który nie miał już na myśli dać téj wojnie takiéj rozciągłości jaką zamierzał w pierwszych chwilach, powtórzył to co powiedział generałowi Tutolmin, że miał zamiar pro wadzić wojnę polityczną a nie socjalną i pustoszącą; że pożary zapal one na jego drodze starał się gasić; że teatr téj wojny powinien był być na Litwie, a nie w saméj Rossji; że tam jedna lub dwie bitwy roz strzygnęłyby kwestję i że traktat nie zbyt uciążliwy przywróciłby przy mierze Rossji z Francją, a nie pozbawiłby bynajmniej jój niepodległo ści, jak to rozgłaszano dla poburzenia umysłów; że zamiast tego sta rano się nadać téj wojnie cechę niesłychanego okrucieństwa i że czas już był, w interesie ludzkości i Rossji, położyć koniec tym okrop nościom.

Rossjanin, o którym mowa, p. Jakowlew, nie zaprzeczał żadnemu z twierdzeń Napoleona, gdyż wychodząc z ruin dymiących się Moskwy, będąc świadkiem okropnych cierpień doznawanych przez nieszczęśli-

wych mieszkańców téj stolicy, zostawał w tém przekonaniu, że podobna wojna albo powinna była co najprędzej być zakończoną, albo przynajmniej prowadzoną innym sposobem. Gdy powiedział, podobnie jak generał Tutolmin Napoleonowi, że dobrze byłoby, izby dał poznać swe tętnące pokojem usposobienie Cesarzowi Aleksandrowi i że przystało zwycięzcy mówić pierwszemu o pokoju, Napoleon, który właśnie tego pragnął, zaproponował panu Jakowlew, ażeby się udał sam do Petersburga i wręczył tam na piśmie, to co słyszał z ust jego. Pan Jakowlew chętnie zgodził się na to i odjechał z listem do Cesarza Aleksandra, z listem razem grzecznym i dumnym, jakie Napoleon zwykł był pisywać, nawet w chwili oświadczenia wojny. Napoleon dał mu za eskortę oficera, dla przeprowadzenia go przez stojące po drodze oddziały wojska francuzkiego.

Oświadczenia te były szkodliwe z tego powodu, że wykrywały trudność położenia, jakiej zaczęliśmy doznawać, a ztąd skłaniały Cesarza Aleksandra do robienia tyleż kroków w tył, ile robiliśmy ich naprzód dla zbliżenia się z nim. Z drugiej strony można było być pewnym, że gdyby nie uczyniono pierwszego kroku, miłość własna, głęboko obrażona, nie dozwoliłaby temu Monarsze uczynić go samemu, i że zbytek ostrożności byłby tyleż niedogodnym dla ustalenia pokoju co zanadto wyraźne jego żądanie. Napoleon nie wahał się więc podać pierwszy téj propozycji, nie zaniedbując zresztą starań około dalszego prowadzenia wojny, która stawała się właśnie tém trudniejszą, im zdawała się być szczęśliwszą, gdyż każde posunięcie się naprzód było jedną więcej trudnością przydaną do powrotu.

Jakoż należało myśleć o dalszych obrotach, których wymagało nadzwyczajne położenie, w jakim się postawiono, przenosząc się na sześćset czy siedmset mil od granic Francji, w środek téj stolicy spalonej staréj Rossji. Ale te obroty zależały po części od obrotów nieprzyjaciela, a od kilku dni nie wiadano co się z nim stało. Generał Sebastjani, który zastąpił miejsce Miurata na czele przedniej straży, przybywszy przypadkiem do Moskwy, był zmuszony wyznać, że został oszukany przez Rossjan podobnie jak pod Rudnią. Jakoż, idąc w ślad za armją Kutuzowa, najprzód po drodze Włodzimierskiej, potem po Kazańskiej, posunął się aż nad brzeg rzeki Moskwy, która przerzyna tę drogę o ośm czy dziewięć mil od Moskwy, przebył tę rzekę w ślad za Rossjanami, i widząc ciągle przed sobą kozaków, oraz nieco jazdy lekkiej, nie czyniąc bynajmniej rozwiadów w prawo, szedł śpiesznie w kierunku południowo-wschodnim aż do Bronic,

o dwadzieścia mil przynajmniej, biorąc ciągle pozór za rzeczywistość. Przybywszy tam, poznał wreszcie że go wprowadzono w błąd, że nieprzyjaciel nie był już przed nim i doniósł o tem do Moskwy, mówiąc z otwartością, że nie wiedział gdzie go szukać. Tymczasem dowiedziano się, że dwa szwadrony pochodowe eskortujące jaszczyki amunicyyjne i dążące do Moskwy drogą Smoleńską, tą właśnie którą przyszliśmy, napadnięte zostały przez chmurę kozaków w okolicach Możajską, otoczone i zmuszone poddać się z swoim konwojem. Popłoch rozszerzył się natychmiast po całej drodze z Moskwy do Smoleńska i wołano już z niespokojnością, którą łatwo obudzić w tyle armji, że nieprzyjaciel zajął naszą drogę komunikacyjną i że odtąd mógł nam przeciąć odwrót.

Napoleon otrzymał 21go i 22go września te niepomyślne wiadomości, które zwiększyły przykre wrażenie pochodzące ze spalenia Moskwy. Uniósł się gniewem przeciw jenerałowi Sebastjani, pomimo szacunku, jaki okazywał dla niego; ale wrzaski, dąsania się nic zaradzić nie mogły.

Napoleon zalecił Miuratowi stanąć niezwłocznie na czele przedniej straży i powierzył mu korpus Poniatowskiego, jakkolwiek on był strudzony i wyniszczony, ażeby mógł z żołnierzami mówiącemi djałektem słowiańskim, dowiedzieć się łatwiej o pochodzie nieprzyjaciela. Ponieważ napady kozaków kazały się domyślać, że jenerał Kutuzow wykonał ruch boczny na prawo względem nas, ażeby zająć nam tył po drodze Kałuskiej, Napoleon polecił Miuratowi zwrócić się z południo-wschodu na południe, to jest z drogi Kazańskiej na Tulską i iść dopóty dopóki by nie otrzymał wiadomości o Kutuzowie. Nie chcąc pozostawić Miurata samego narażonego na wszelkie przypadki w szukaniu wielkiej armji rossyjskiej, wysłał przez bramę Kałuską z rozkazem iść na Kaługę, marszałka Bessjer z ułanami gwardyjskimi, jazdę jenerała Gruszy, jazdę lekką i czwartą dywizję piechoty marszałka Dawu; nakoniec wysłał nazad po drodze Smoleńskiej dragonów gwardji, dywizję kirassjerów i dywizję Brussje księcia Eugienjusza. Te trzy oddziały wojsk, rozwijając się wachlarzem z tyłu naszej armji, od drogi Tulskiej do Smoleńskiej, miały posuwać się omackiem aż dopóki by nie spotkały nieprzyjaciela, Napoleon domyślał się wprawdzie w jakim miejscu można będzie spotkać Kutuzowa, gdyż wnosił, że on jest na drodze Kałuskiej i że obrał ten kierunek z podwójnego powodu, zagrażać tyłowi naszej armji i otworzyć sobie komunikację z najżyźniejszymi prowincjami państwa. Chociaż był prawie pewien tego, żądał z niecierpliwością wiedzieć o tem nie-

wątpliwie. Nie podzielał on bynajmniej trwogi tych, którzy sądzili że jesteśmy odcięci, ale postanowił niedozwolić Kutuzowemu zajmować niebezpiecznego dla nas stanowiska z tyłu armji, oraz miał wystąpić z Moskwy dla stoczenia drugiej bitwy, w razie gdyby generał rosyjski stanął bardzo blisko nas i naszej linji odwrotu. Marszałek Dawu, którego przezorność trwożyła się na widok nieprzyjaciela dość silnego, ażeby manewrować na nasze boki, błagał Napoleona, iżby wystąpił niezwłocznie dla pobicia go i rozproszenia, poczem można byłoby spać spokojnie w Moskwie, nawet przez całą zimę, gdyby tego chciano. Napoleon był wprawdzie tegoż samego zdania, ale w takim tylko razie, gdyby nie przyszło szukać Rossjan zanadto daleko. Jakoż armja była jeszcze w Moskwie dopiero od siedmiu dni, z których cztery przepędzone były pośród płomieni, nie chciał więc odrywać jej od pierwszych przyjemności odpoczynku, chyba dla zadania stanowczego ciosu. Zostawał więc w gotowości do wystąpienia, ale nie przemieszczając jeszcze swoich głównych korpusów armji, nimby wyjaśniono tajemnicę nowego stanowiska obranego przez Rossjan.

Tymczasem, oto jakie były zamiary generała Kutuzowa, oraz ruchy wykonane przez jego armję. Zamiarem jego, występując z Moskwy, było trzymać się planu pośredniego z pomiędzy tych, które mu były proponowane i stanąć z boku Francuzów, nie kołując bardzo blisko od nich, ażeby nie ściągnąć ich sił na siebie zanadto wcześnie. Pierwszą zatem jego myślą było, po naradzeniu się z adjutantem Cesarza Aleksandra, oficerem piemontskim Miszo, ażeby się cofnąć za Okę, wielką rzekę, poczynającą się ku południowi, przechodzącą przez Orzeł, Kaługę, Kazań, przyjmującą w siebie wiele przytoków, pomiędzy innymi Moskwę i wpadającą do Wołgi w Niżnim-Nowgorodzie. Za osłoną tej rzeki, mianoby podostatkiem żywności ze wszystkich prowincji południowych, spławianej Oką z Kaługi. Ale było to oddalać się zanadto od Francuzów, pozostawiać im obszernie pole do furazowania i powiększać zbytecznie zniechęcenie armji rosyjskiej, której zdawało się, że nie dopełniła swjej powinności nie obroniwszy Moskwy. Jakoż smutek, zwątpienie, doszły do najwyższego stopnia w tej armji i widok tysięcy rodzin, które się ciągnęły za nią, jedne pieszo, drugie w powozach, nie mogły wpływać na zmniejszenie przykrych uczuć, jakie nią owładnęły. Dla tego to, stary Kutuzow, jakkolwiek był rodowitym Rossjaninem, zaczął tracić wiele na swjej popularności, podobnie jak przedtém Barklaj de Tolli. Dla odzyskania jej, starał się przez zręczne rozsiewane pogłoski rozszerzyć mnie-

manie, że nie było jego zamiarem opuszczać Moskwy, ale, że był do tego zmuszonym przez wielu dowódców armji, jak naprzykład Barkłaj de Tollego, a nawet samego Benningsena, gdyż ten ostatni, po śmierci Bagracjona, stał się ze swój strony przedmiotem jego podejrzeń. Lękając się wrażenia, jakie strata Moskwy może zrobić nade wszystko w Petersburgu, wysłał adjutanta Cesarza Miszo, dla przełożenia dworowi jego zamiarów i pobudek, oraz zyskania potwierdzenia tak jednych jak drugich.

Taki był stan rzeczy, kiedy nagle w okropnej nocy z 16go na 17, wiatr gwałtowny północno-zachodni zaniósł aż do armji rossyjskiej, obchodzącej Moskwę, huk i ponure światło pożaru. Gdy ten straszliwy widok ukazał się na widnokregu jak wybuch wulkanu, wojsko i ludność uciekająca wybiegły z swych biwaków i przywołując jedni drugich, przypatrywali się tej klęsce starej stolicy swojego kraju. Wściekłość na ten widok opanowała wszystkich. Hrabia Rostopczyn i sam Kutuzow, który nie był przypuszczony do tajemnicy hrabiego Rostopczyna, ale który się jój domyślał, pośpieszyli rozgłosić, że to Francuzi zapalili Moskwę i to posądzenie tak mało prawdopodobne, rozszerzyło się w szeregach ludu i armji z nadzwyczajną szybkością. Francuzi zapalili Moskwę! wołano ze wszystkich stron i na tę wiadomość nienawiść stała się tak płomienną jak ogromne żarzewie nieszczęsnego grodu. Ze wszystkich stron wydawano okrzyki wściekłości, ukazywano z rozpaczą słupy ognia wznoszące się z tego ogromnego pożaru i które od czasu do czasu oświecały widnokrąg cały jasnym i ponurym światłem. Żądano zemsty, chciano iść natychmiast do walki (¹). Tym sposobem Rostopczyn, który paląc Moskwę nie pozbawił nas niczego, gdyż pozostawiało nam w tej obszerniej stolicy dość dachów do schronienia, dość żywności do przekarmienia się, wykopał jednakże otchłań pomiędzy dwoma narodami, obudził przeciwko nam całą gwałtowność nienawiści narodowych, uczynił układy niepodobnemi i ożywił całą energję armji rossyjskiej, którą bezsilność pozorna jój usiłowań zaczęła zniechęcać.

(¹) Książę Wirtemberski powiada w swoich Pamiętnikach, że on i wielu innych uważało sprawę rossyjską za straconą po wystąpieniu z Moskwy, nade wszystko z powodu zniechęcenia, jakie panowało w armji, ale że widok płomieni pożerających stolicę dodał nowego zapału armji i nadzieje wszystkich tych, którzy byli przywiązani do Rossji, ożywiły się nagle. Zresztą świadectwo cudzoziemców, służących w armjach rossyjskich jest jednoznaczne pod tym względem. Wojskowo, czyn hrabiego Rostopczyna był bez żadnego wpływu; moralnie, pociągnął za sobą niewyrachowane następstwa.

Nie podobna było w tej chwili oddalać się zanadto od Francuzów i pozostawiać im swobodne pole, przy usposobieniu, jakie okazali żołnierze rosyjscy. Puszczając się drogą Kazańską aż do miasta Kołomy dla dotarcia do Oki, było to okazywać zanadto ostrożności, ostrożności zresztą niepotrzebnej, gdyż zajęci wyłącznie wydobywaniem z ruin Moskwy chleba, którego potrzebowali, Francuzi nie byli w możności iść za armją rosyjską i niepokoić ją. Dla tego Kutuzow przybywszy po drodze Kazańskiej do brzegów rzeki Moskwy, uznał za stosowne zatrzymać się tam i przedsięwziąć, począwszy z tego punktu, ruch bokowy, zamierzony przeciw armji francuskiej, to jest, nadać rozciągłość mil dziesięciu, zamiast projektowanych pierwiej trzydziestu, łukowi koła, które zamierzał opisać około Moskwy, ze wschodu na południe.

Jenerał Kutuzow korzystając z niektórych układów toczonych pomiędzy jenerałem Sebastjani a jenerałem Rajewskim, w celu uniknienia bezpożytecznych utarczek, rozkazał zgodzić się na wszystko czego chcieli Francuzi, uspić tym sposobem ich czujność i ukryć przed nimi zupełnie kierunek, jakiego miano się trzymać. Jakoż od 17 września, podczas kiedy tylna straż kawaleryjska szła ciągle powoli po drodze Kazańskiej i wiodła za sobą jenerała Sebastjaniego, główna armja zmieniając nagle kierunek, zwróciła się z południo-wschodu na południo-zachód i stanęła za Pakrą, małą rzeczką, która, poczynając się blisko drogi Smoleńskiej, zakreśla około Moskwy półkoło, podobne do tego jakie Bossjanie chcieli opisać i dla tego mogąca im służyć za linię obronną. Za tą więc rzeczką, a nie za Oką, Kutuzow stanął obozem, mieszcząc się nie na samej naszej linii komunikacyjnej, ale z boku jój i mogąc przenieść się na nią jednym marszem.

Przybywszy 18go do Podolska, Kutuzow był 19go w Krasnej Parkrze za rzeczką Pakrą. Z tego to punktu położonego całkiem na południo-zachód, bardzo blisko naszej linii komunikacyjnej, wysłał oddziały lekkiej jazdy na drogę Smoleńską dla zachwycenia naszych straży i konwojów, co było wskazówką dla Napoleona i skłoniło go do przedsięwzięcia środków jakie dopiero co opisaliśmy.

Takie było stanowisko obrane przez armję rosyjską, kiedy korpusy Miurata i Bessjera ruszone z miejsca, zaczęły jój szukać, Miurat na południo-wschód po drodze Kazańskiej, Bessjer na południe po drodze Tulskiej. Błąd jenerała Sebastjani był wkrótce wyświecony i Miurat wiedziony swoim instynktem dowódzcy przedniej straży zwróciwszy na prawo i postępując w górę Pakry, odkrył Prędko ślad nieprzyjaciela, podczas kiedy Bessjer dążąc ze swój strony więcéj na

prawo i z południa zwracając nieco na południo-zachód, przybył do Podolska, potem do Desny, gdzie napotkał główną tylną straż rosyjską pod dowództwem Miłoradowicza. Generałowie francuzcy, którzy mieli rozkaz poprzec silnie nieprzyjaciela, żeby odkryć jego zamiary, poszli śmiało na niego; Miurat który przebył Pakrę w ślad za armją rosyjską, posunął się ze swęj strony dla zagrożenia jęj zajęciem z boku.

Na widok Miurata znajdującego się już po drugiej stronie Pakry, śmiały Benningsen chciał żeby rzucono się nań i rozbito go. Ale Kutuzow, który zostawał już w niezgodzie z Benningsenem, prawdziwym jego wówczas współzawodnikiem, nie był tego zdania. Jakoż miał on do tego gruntowne powody. Nie wiedziano w obozie rosyjskim, że Miurat znajdował się tam tylko z swoją jazdą i piechotą Poniatowskiego i można się było lękać, żeby nie było tam całej armji francuzkiej. Owoż Kutuzow, licząc to wszystko co mógł zgromadzić, miał zaledwo 70.000 żołnierza wojsk regularnych i nie uważał za rzecz roztropną, będąc bliskim otrzymania nagrody za plan kampanji bolesny ale głęboki, wyrzec się jęj nagle, dla narażenia się na niebezpieczeństwo bitwy niepownej. Z Kaługi miały mu przybyć znaczne posiłki wojsk regularnych; z Ukrainy czekał wybornej dywizji starych kozaków, a tymczasem, zbliżająca się zła pora roku, niedostatek żywności, przeszkody pochodzące z znacznych odległości, powinny były przyczynić się o tyle prawie do osłabienia armji francuzkiej, o ile armja rosyjska została by wzmocnioną. Nie było więc potrzeby staczać bitwy, nimby nie nadszedł dzień, w którym stosunek sił byłby całkiem zmieniony na korzyść Rossjan. Chociaż Kutuzow zostawał w błędzie, ponieważ Miurat znajdował się tam tylko z jednym oddziałem, w teorii miał słuszność i jego myśl zasadnicza była bardzo roztropną. Postanowił zatem cofnąć się dalej po drodze Kałuskiej tak daleko, żeby uniknąć Miurata, gdyż nie pozostawało innego środka, potrzeba było albo atakować go albo unikać.

Chwyciwszy się tego ostatniego środka, cofano się jeszcze 27go, odpierając jednakże napady Miurata, który silnie nacierał na prawe skrzydło, marszałek zaś Bessjer robił podjazdy na lewém, następnych dni zatrzymano się kolejno w Woronowie, Winkowie i nakoniec w Tarutynie za rzeką Nara. Mając zamiar unikania bitwy, generał Kutuzow nie mógł zrobić nic lepszego jak cofać się dopóty, dopóki nie znalazłby pozycji dość silnej dla zatrzymania Francuzów. Nara jest rzeką poczynającą się jak Pakra blisko drogi Smoleńskiej, w oko-

licach Krymska, zagina się w około Moskwy, ale zakreślając łuk obszerniejszy niżeli Pakra i wpada już nie do rzeki Moskwy, ale do Oki. Brzegi jej są urwiste, nadewszystko z prawej strony, gdzie stanęli obozem Rossjanie, i gdzie można było uczynić pozycję prawie niezdo- bytą. Taką też chciał ją uczynić generał Kutuzow i dołożył do tego wszelkich starań. Zamierzał tam, mając podostatkiem żywności z ma- gazynów kałuskich, ściągnąć swoich rekrutów, rozdzielić ich po ka- drach, wyuczyć musztry i powiększyć swoje armję do tego stopnia, żeby mogła z korzyścią stawić czoło Francuzom. Bessjer i Miurat po- stępowali za nim aż do tego miejsca i zatrzymali się tam w postawie ludzi, którzy nie zrzekali się zaczepnych kroków, ale przytęm czekali na nowe rozkazy. Jakoż byli o dwadzieścia mil za Moskwą, prawie na drodze po której szliśmy do tego miasta i bardzo blisko Możajaska, gdzie była stoczona bitwa nad rzeką Moskwą. Posuwać się dalej mo- żna było tylko w skutek wielkiego i stanowczego postanowienia, któ- re zależało od wodza naczelnego.

Była to dla Napoleona chwila ważna, która miała rozstrzygnąć los tej kampanji i prawdopodobnie jego własny. Dla tego nie przesta- wał w głębi Kremlu rozmyślać nad środkami, jakich się miał chwycić. Narażać armję na nowe trudy dla ścigania Rossjan, bez pewności ich doścignięcia i dla jedynj korzyści stoczyć z nimi jeszcze kilka poty- czek więcej lub mniej morderczych, było dla Napoleona rzeczą wbrew przeciwną rozumowi. Piechota była bardzo zmęczoną i znacznie umniejszoną przez maroderstwo, jazda była zrujnowaną. Armja cała zaledwo była wstąpiła do Moskwy i od wstąpienia swojego zajęta prawie ciągle przytłumieniem pożaru, nie miała czasu odpocząć. Naj- więcej kiedy pięć czy sześć dni używała jeszcze prawdziwego odpo- czynku. Trzeba więc było ją oszczędzać i nie ruszać jej z miejsca, chyba w chwili przedsięwzięcia stanowczych kroków. Tymczasem pora nadchodziła przedsiębrać te kroki, gdyż miesiąc wrzesień był już upłynął, a żadna odpowiedź na propozycje pokoju nie przychodziła z Petersburga, potrzeba było myśleć albo o przezimowaniu w tej sto- licy, albo o opuszczeniu jej dla zbliżenia się do swych magazynów, do swych posiłków, swych komunikacij z Francją, to jest, do Polski.

Zimować w Moskwie było postanowieniem, na które nikt zgodzić się nie mógł, gdyż nikt nie przypuszczał, żeby można było zostawać w zupełnej bezczynności przez sześć miesięcy o dwieście mil od Wil- na, o trzysta od Gdańska, o siedmset od Paryża, z bardzo niepewnemi środkami wyżywienia armji, z widokiem zostawania obleżonemi nie tylko przez zimę, ale przez wszystkie siły rossyjskie. Opuszczyć Moskwę

dla powrócenia do Polski, było przeciwnie pomysłem odpowiadającym chęci wszystkich, wyjąwszy jednego Napoleona. Dla niego opuścić Moskwę, było to się cofać, było to wyznawać światu, że popełniono wielki błąd idąc do tej stolicy, że stracono nadzieję znaleźć tam czego szukano, z zwycięstwa i pokoju, było to zrzekać się tego pokoju, środka najprędzszego i bez zaprzeczenia najpewniejszego dla wydobywania się z trudnego położenia, w którym się postawiono zapuszczając się tak daleko, było to tracić w części, może całkiem ten urok, który czynił Europę podległą, Francję samą powolną, wojsko pełnym ufności, sprzymierzeńców naszych wiernymi, było to nie zstępować, ale spaść z ogromnej wysokości, na której się znajdowano.

Dla tego należało się spodziewać, że Napoleon chwyci się tego środka w ostatnim tylko razie; i nie tylko duma tego wielkiego człowieka nie pozwalała mu tego wstecznego ruchu, ale głębokie uczucie swojego położenia obecnego; gdyż dość było wątpliwości udzielonej światu o rzeczywistości jego sił, żeby cała budowa jego wielkości narażoną została na nagłą ruinę. Już Torres-Wedras zdawało się że wstrzymało jego potęgę na południu; ale mogła tu służyć za wymówkę jego nieobecność i znajduwanie się w Portugalji jednego tylko z jego dowódców, który jakkolwiek mógł być wielkim, nie był nim samym. Ale jeśliby spotkał na północy, tam gdzie dowodził osobicie, i na czele swoich głównych sił, nową przeszkodę, nie zaniechanoby uważać go jako ostatecznie wstrzymanego w biegu swych zwycięstw; powziętoby nadzieję zwyciężenia go, a sama nadzieja przywrócona niewolniczej Europie, mogła ją całą pobudzić do powstania z tyłu i do zalania nowego Faraona falami wojsk sprzyśiężonej Europy.

Napoleon miał więc słuszność, że się zastanawiał głęboko nad tem, jakim sposobem miał opuścić Moskwę i że nie chciał inaczej wystąpić z niej, jak z postawą nieprzyjaciela manewrującego, a nie będącego w odwrocie. W takim stanie rzeczy przedstawiało się kilka sposobów postępowania. Tak na przykład, powrót drogą Kałuską, na której znalazłoby wszelkie zasoby bogatych prowincji południowych, w której pobitooby armję rosyjską i z kąd możnaby wreszcie było powrócić przez Jelnię na Smoleńsk, mogło również wydawać się manewrem jak odwrotem. Ale ten pochód, który w gruncie zawsze byłby ruchem wstecznym, jakkolwiek chcieliby go ukryć, bo niepodobna było przezimować w Kałudze z powodu znacznej odległości tego miasta od Smoleńska, zmusiłby nas do przebycia najmniej stu pięćdziesięciu mil i naraziłby nas na wszelkie straty nierozdzielne

z przebyciem tak znacznej przestrzeni, zapewniłby nam wprawdzie korzyść spotkania i pobicia armji rossyjskiej, ale zmusiłby razem nas do prowadzenia z sobą pięciu lub sześciu tysięcy rannych, jesliby nie chciano ich zostawić na pastwę rozjątrzonego nieprzyjaciela i zbliżając nas ku naszym zimowym leżom, ściągnąłby razem Rosajan ku ich prowincjom najżyźniejszym, a nadewszystko ku posiłkom przybywającym im z Turcji. Dla tego Napoleon mało miał chęci udać się tą drogą i rozpocząć tamtędy odwrót, wolał raczej wracać wprost dawniejszą drogą, znaną już nam, na Możajsk, Wiaźmę, Dorochołuż, Smoleńsk, krótszą od Kałuskiej na jakie pięćdziesiąt mil, spustoszoną wprawdzie, ale na której konwoje żywności wyprawione ze Smoleńska mogły przybyć na nasze spotkanie do połowy drogi i na której zresztą mielibyśmy na dziesięć dni żywności zabranęj z Moskwy; na której w końcu ochraniałibyśmy wszystkie nasze bagaże swoją obecnością i bylibyśmy bardzo mało narażeni na stoczenie bitwy i na obciążanie siebie nowemi rannemi.

Ale ani jeden ani drugi z tych projektów, będących wyraźnem wyrzeczeniem się kroków zaczepnych, nie odpowiadał widokom Napoleona. W jego oczach jedynie dobrym planem był ten, który połączyłby w sobie cztery następne warunki: 1ód, otworzenia mu znowu komunikacij pewnych i codziennych z Paryżem; 2re, zbliżenia armji do jej zapasów żywności, umundurowania i ukompletowania; 3cie, zachowania w całości uroku naszego oręża; 4te nakoniec, poparcia silnie układow o pokój świeżo zagajonych. Wszystkie te cztery warunki znalazł w planie, który jego gienjusz niewyczerpany i silnie pobudzony niebezpieczeństwem położenia, był nakreślił i który był godnym tego wszystkiego co kiedykolwiek był obmyślił najgłębszego i największego. Plan ten zależał na odwrocie ukośnym ku północy, który zostając w związku z ruchem zaczepnym księcia Belluny na Petersburg, miałby podwójną korzyść zbliżenia nas do Polski i pozostawienia równie groźnemi, a zatem równie sposobnymi do prowadzenia układów. Oto szczegóły tego planu, który Napoleon zamierzył skreślić na piśmie i który rzeczywiście skreślił, jak to zwykł był czynić, kiedy chciał sobie zdać rachunek z swoich własnych myśli.

Pozostawił on, jak widzieliśmy, oprócz armji księcia Szwarzenberga na Dnieprze i armji marszałków Sę-Syra i Makdonalda na Dźwinie, korpus księcia Belluny pośrodku, który oczekiwał w Smoleńsku na dalsze rozkazy. Korpus tego marszałka zawierający w sobie 30 tysięcy żołnierza, mógł być powiększony do 40,000 przez połączenie części wojsk westfalskich, saskich, polskich, które nie miały czasu je-

sze nadszedł, oraz bataljonów pochodowych, przeznaczonych do kompletowania armji. Łatwo było posunąć ten korpus na północ Dźwiny, po drodze Petersburskiej przez Witebsk i Wielkie Łuki. Połączywszy się tam z marszałkiem Sę-Syrem i dywizją marszałka Makdonalda, liczyłby najmniej 70,000 żołnierza, gotowego do wyruszenia na drugą stolicę Rossji, miejsce obecnego przebywania rządu. Wobec tego korpusu księciu Wittgenstejnowi nie pozostawałoby nic innego jak cofać się prędko na Petersburg. W chwili kiedy książę Belluny rozpocząłby swój ruch, Napoleon z gwardją, księciem Eugienjuszem, marszałkiem Dawu, mógł cofać się ukośnie ku północy w kierunku Wielkich Łuk, idąc prawie równolegle do drogi Smoleńskiej i w odległości dwunastu do piętnastu mil od tój drogi, przez Woskresieńsk, Wołokołamsk, Zubkow, Biełoj, podczas gdy marszałek Neja idąc z swoim korpusem drogą prostą z Moskwy do Smoleńska, ochraniałby wszystkie nasze bagaże, Miurat zaś, wymykając się Kutuzowemu przez ruch na prawo, zwróciłby się na Możajsk i stanąłby razem z marszałkiem Nejem pomiędzy Smoleńskiem a Witebskiem. Po dziesięciu lub dwunastu dniach tego pochodu tak głęboko obmyślonego, wojsko byłoby następnie rozmieszczone: książę Belluny z 70,000 wojska w Wielkich Łukach, zagrażając Petersburgowi, Napoleon z 70,000 w Wieliziu, gotowy do wsparcia go, albo do połączenia się z 30,000 Neja i Miurata dla stawienia czoła Kutuzowemu, jakakolwiekby drogą przyszedł on nas szukać. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, przestrzeń ta zostałaby przebyta nimby nieprzyjaciel zdołał nas doścignąć, zatem nie byłibyśmy naciskani, nie ponieśliśmy tych strat, jakie się zwykle ponosi, kiedy nieprzyjaciel idzie w tropy za nami, nie cierpielibyśmy głodu, gdyż droga przez Woskresieńsk, Wołokołamsk, Biełoj, którą Napoleon chciał się udać, była całkiem nie-
 tkniętą, zatem dość dobrze zaopatrzoną w żywność, a Neja i Miurat na drodze Smoleńskiej, po której pierwój szliśmy, mogli prowadzić z sobą zapas żywności na 30,000 żołnierza. Nadto ściąglibyśmy Rosjan w kierunku odwrotnym ich posiłków, co naraziłoby ich na stracenie połowy tychże, nimby nas doścignęli, a cofając się do Polski, zajęlibyśmy razem stanowisko zaczepne, potrzebne do zawarcia pokoju; wyszlibyśmy tym sposobem, nie straciwszy nic ani moralnie, ani materjalnie, z przykrego położenia w jakim zostawaliśmy w Moskwie, przez jeden z najsmielszych i najpiękniejszych obrotów, jakie kiedykolwiek wykonano. Co do przezimowania, wszystko zapowiadało że przy tych warunkach byłoby ono łatwem. Magazyny nasze zgromadzone w Wilnie, mogły być w krótkim czasie sanna drogą, tak do-

godną w zimie, dostawione do Połocka i do Witebska, z kąd armja otrzymałaby swą żywność. Znaczna ilość wołów zgromadzonych w Grodnie, mając tylko do przebycia kraj przyjazny, przypędzoną byłaby bez trudności do Witebska. Następnie, za nadejściem wiosny, Napoleon używszy zimy na skupienie większych sił, byłby w możności iść z 300,000 żołnierza na Petersburg. Było rzeczą prawdopodobną, że w obec prostego zagrożenia podobnym pochodem, pokój, skoro nie byłibyśmy nazbyt wymagającemi co do warunków, zostałby podpisany, albo w przeciwnym razie opanowalibyśmy Petersburg, jakęśmy opanowali Moskwę, nie narażając się na znalezienie tej drugiej stolicy spaloną, gdyż drzewo nie było tam tak powszechnie używane do budowli jak w Moskwie i Rossjanie zapewne nie chcieliby przynieść drugiej podobnej ofiary.

Ten plan łączył więc w sobie wszystkie warunki, jakich Napoleon wymagał, to jest przywrócenie komunikacji codziennych ze środkiem swojego państwa, odprowadzenie armji do Polski, zachowanie nietkniętym uroku jego oręża i poparcie przez ruch wyraźnie zaczepny, układów pokoju, które miał zamiar prowadzić. Gienjusz jego nie obmyślił nigdy nic zręczniejszego, nic głębszego, nic bardziej podziwienia godnego. Poczęty w ostatnich dniach września, dokonany i nakreślony w dwóch czy trzech pierwszych dniach października, projekt ten po niezwłoczném rozpoczęciu działań, mógł być całkiem przyprowadzonym do skutku do 15go października, epoki, w której pogoda mogła być jeszcze piękną i rzeczywiście była taką. Wszystko więc dopomagało do zupełnego wykonania tego nowego planu, który był w pewnym sposobie natchnieniem z niebios, dla zbawienia Napoleona. Ale wszystko co obmyślił najlepszego, musiało spełznąć na niczém skutkiem fałszywego położenia w jakim siebie postawił, zapuszczając się tak daleko. Wymagając dotąd tak wiele od swych żołnierzy i od swych dowódców, zaprowadziwszy ich tak daleko i nie mając im do osiarowania w Moskwie jak ruiny, zmuszony był oszczędzać ich niezmiernie, radzić się ich więcej jak zwykle, starać się nakłonić ich dobrowolnie do swoich zamiarów, zamiast rozkazywać im stanowczo, krótko, jak to zwykł był czynić we wszystkich epokach swojego zawodu, kiedy każdy dzień sprowadzał rezultat zadziwiający i powiększał jego znaczenie. Teraz zaś, oprócz wielkiego znużenia, zaczął panować głęboki smutek, którego przyczyną był sam widok tego miasta w popiołach i tajemna trwoga, której doznawano na myśl tak wielkiej odległości od rodzinnego kraju i na tę straszną zimę rosyjską, mającą najdalej nastąpić za miesiąc. Do umysłów tak usposo-

bionych należało przemawiać nie jako pan wydający rozkazy bez ich objaśnienia, gdyż powodzenia codzienne wystarczały na objaśnienie wszystkiego, ale jako pan łagodny, prawie nadskakujący, który się razi i przekonywa raczej niżeli rozkazuje. Napoleon rozmawiał więc kolejno z każdym z swoich dowódców o tym projekcie, ale zaledwo wymówił pierwsze wyrazy, każdy z nich ganił ten nowy pochód na północ, to nowe zdobycie stolicy. Pochód na Moskwę, dla którego, w nadziei ważnego rezultatu, poświęcono wszelkie względy roztropności, bardzo źle się udał, żeby miano jeszcze chętkę rozpoczynać na nowo, zapuszczając się dalej, w porze tak spóźnionej, pochód na Petersburg.

Nie szło tu jednakże o zdobycie drugiej stolicy Rosji, ale o cofanie się ukośne ku Polsce i o umieszczenie się, jako wsparcie tylko, za korpusem, który sam był przeznaczony nie na opanowanie Petersburga, ale na zagrożenie mu, co było rzeczą całkiem odmienną i co dało miejsce potem fałszywej pogłosce o projekcie ruszenia z Moskwy na Petersburg, zrobionym jakoby wtedy przez Napoleona. Różnica była wielka, ale umysły niespokojne i zniechęcone, nie chciały jęj dopatrzeć. Jedni przytaczali zarośla, błota, jałowość prowincji północnych, które należało przebywać; drudzy przedstawiali, nieszczęściem nie bez pewnej słuszności, stan armji, osłabienie jazdy, brak zaprzęgów artylleryjskich, konieczną potrzebę dania odpoczynku ludziom i koniom, ażeby mogli odbyć znowu drogę tak długą z Moskwy do Smoleńska, konieczność także cofnięcia się przed złą porą roku i rozpoczęcia tymczasem niejakich układów, któreby mogły doprowadzić do pokoju, co było środkiem najpewniejszym wyjścia zdrowo i cało z przykrego położenia w jakim zostawano.

Napoleon postrzegł prędko, że nie należało obecnie żądać niczego od umysłów zniechęconych i zasmuconych widokiem, który mieli przed oczyma, a nadewszystko stan armji, wymagającej nieodbitie nieco odpoczynku, skłonił go do porzucenia owego projektu. Zmuszony do zaniechania, albo do odroczenia przynajmniej jednego planu, sposobnego do wydobycia go z kłopotu, wahał się z wybraniem jakiegolwiek z wielu projektów, które pierwój uważał za niepodobne do przyjęcia, jak na przykład zostania w Moskwie i przebycia tam zimy rozszerzając swe leże dla zaopatrzenia się w suraż, równie téż zostawienia garnizonu w Moskwie i udania się na zimowe leże do żyźnej prowincji Kałuskiej, z kąd przeciągnąłby lewą rękę do Tuły, prawą do Smoleńska. Ale przeciw wszystkim tym projektom zachodziły

ważne zarzuty i trudność ich uskutecznienia sprawiała, że wracał ciągle do chęci tego pokoju, który nierozważnie poświęcił swym urozczeniom panowania powszechnego, a którego życzył teraz, choć zwycięzca, tak gorąco jak nigdy żaden zwyciężony go sobie nie życzył. Pośród tych ciągłych wahań umyślił wysłać p. Kołękura do Petersburga, dla rozpoczęcia tam formalnych układów z Cesarzem Aleksandrem. Jakkolwiek przykre było jego położenie, postawa jego zwycięzcy, układającego się z Moskwą samą, miała w sobie dosyć wielkości, ażeby się mógł odważyć na krok podobny. Ale p. Kołékura który lękał się, ażeby z pod tej wielkości pozorniej nie przebijają się trudność położenia i niespodziewał się znaleźć w Petersburgu tych względów, jakich pierwój doznawał, nie przyjął tego poruczenia, dowodząc zresztą słusznie, że ono będzie bezskuteczne. Napoleon zwracając się wtedy do p. Loryston, którego skromność i zdrowy rozsądek zanadto lekcewał, poruczył mu udać się do obozu generała Kutuzowa, nie dla traktowania o pokój, ale dla oświadczenia jenerallissymusowi rossyjskiemu chęci nadania wojnie charakteru mniej okrutnego. Jenerał Loryston, biorąc za powód spalenie Moskwy, miał oświadczyć, że Francuzi przyzwyczajeni ochraniać ludy zwyciężone, oszczędzać im klęsk bezpożytecznych, mieli serce udręczone spotykając wszędzie tylko miasta popalone, ludność zniszczoną, rannych konających wśród płomieni i że przykrą było rzeczą dla ich ludzkości, zgubną dla honoru wszystkich, a nadewszystko szkodliwą dla pomyślności Rossji, przedłużać dalej podobny rodzaj wojny; że jeżeli podejmował się tego kroku, to nie dla tego, że ten rodzaj wojny wprawiał w przykre położenie Francuzów, gdyż dotąd nie zdołano im przeszkodzić do wyżywienia się, czego świadkiem była obfitość jakiej używali na dymiących się rozwalinach Moskwy; ale że widzieli ze smutkiem, że nadawano wojnie całkiem politycznej, mogącej się ukończyć przez traktat łatwy do zawarcia, charakter nieubłaganej nienawiści.

Od takowych oświadczeń do propozycji pokoju było niedaleko i wnosząc z obrotu, jaki brały rzeczy, zdawało się, że prędko można będzie rozpocząć układy. W razie gdyby go słuchano, p. Loryston miał poruczenie posunąć się dalej; miał powiedzieć, że w ostatniej kłótni więćej było nieporozumienia, niżeli prawdziwych powodów do nieprzyjaźni, nadewszystko do nieprzyjaźni zawziętej i że to nieprzyjaciele obu krajów stawali pomiędzy dwoma monarchami dla poróżnienia ich na korzyść Anglii. Miał dać do zrozumienia, że pokój będzie łatwym i że jeśli Rossja życzyć go sobie będzie, warunki jego nie

będą ciężkie. Powinien był wreszcie dotożyć wszelkich starań dla otrzymania przynajmniej témczasowego zawieszenia broni, które zapobiegłoby rozlaniu krwi, rozlaniu bezpożytecznemu w chwili obecnej, gdyż żadna z obu armij nie zdawała się być usposobioną do przedsięwzięcia czegoś ważnego. Zaiste co niżać się do podobnych kroków, jakkolwiek będąc zwyciężcą, lepiej było nie rozpoczynać wojny tak zgubnej i można powiedzieć, że p. Loryston był aż nadto zemszczonym w tej chwili za złe przyjęcie, jakie rady jego doznały w Paryżu, sześćmią miesiącami przedtém. Ale dla dobrego obywatela, zemsta wynikająca z nieszczęść jego kraju, jest więcej jedném nieszczęściem.

Pan Loryston wyruszył 4go października, uprzedziwszy pierwój generała Kutuzowa listem, że ma chęć rozmówienia się bezpośrednio z dowódcą armji rosyjskiej. W tymże samym dniu przybył do obozu nieprzyjacielskiego. Ostrożny Kutuzow, otoczony stronnikami najgorliwszemi wojny, a szczególnie ajentami angielskimi, czuwającemi nad jego postępowaniem, wahał się najprzód przyjąć osobiście p. Lorystona, z bojaźni ściągnięcia na siebie podejrzeń, jak uprzednio Barklaj de Tolli. Wysłał więc adjutanta Cesarza, księcia Wołkońskiego, dla przyjęcia i rozmówienia się z jenerałem Lorystonem w kwatrze Benningse. P. Loryston obrażony takowym postępkim, nie chciał widzieć się z księciem Wołkońskim i powrócił do głównej kwatery Miurata, powiadając że nie zgadza się rozmawiać z nikim innym jak z samym jeneralissimumem. To nagłe zerwanie stosunków zaledwo rozpoczętych nabawiło niemałej niespokojności główny sztab rosyjski. Jeżeli w szeregach niższych armji namiętność przeciw Francuzom była zawsze równie silną, w wyższych sferach zaczynało dzielić się w zdaniu, znajdując tę wojnę bardzo okrutną i bardzo rujnującą i nieuważać już Francuzów za sprawców pożaru Moskwy, uczuwano jedném słowem gniew zmniejszający się razem z krwią tak obficie wylewaną. Nie chciano więc, ażeby wszelki pokój uczyniono niepodobnym. Sami nieprzyjaciele pokoju ganili sposób obejścia się z jenerałem Lorystonem, z cale innego powodu. Znając bardzo dobrze położenie Francuzów, pojmując korzyść jaką miano w zatrzymaniu ich w Moskwie, w tej Kapui bardzo powabnej jeszcze lubo spalonej, lękając się, ażeby zerwanie tak obrażające nie ściągnęło ich pełnych gniewu i determinacji na armję rosyjską, która nie była ani wzmocnioną posiłkami, ani pokrzepioną, żałowali że tak źle postąpiono z wysłańcem Napoleona i chcieli, żeby pośpieszono za nim dla wrócenia go. Chytry Benningsen, który łączył w sobie przebiegłość ze śmiałością, sta-

rał się widziéć z Miuratem, rozmawiał z nim, korzystał ze słabości jego charakteru dla wydobycia u niego wielu zeznań godnych pożałowania i oświadczając mu zmyśloną chęć pokoju, przywiódł go do oświadczenia takowejże chęci bynajmniej niezmyślonéj i aż nadto widocznój. Zbliżenia podobne miały miejsce prawie jednocześnie na przednich strażach, pomiędzy oficerami rozmaitych stopni i ztąd wynikł pewien rodzaj zawieszenia broni ipso facto, skutkiem którego umówiono się, że generał Loryston zostanie przyjęty w kwaterze samego genera-lissymusa.

Pan Loryston udał się więc do księcia Kutuzowa i miał z nim kilka rozmów. Czy to z chęci pokoju, czy w zamiarze uspienia Francuzów, przyjęto uprzejmie ich reprezentanta i to zresztą nie kosztowało wiele generałów rossyjskich, którym grzeczność jest wrodzoną i którzy mieli dla p. Lorystona prawdziwy szacunek. Księżę Kutuzow rozmawiał z nim długo, odpowiedział zręcznie i z godnością na wszystkie jego uwagi, powiedział mu, w przedmiocie zażaleń względem sposobu prowadzenia téj wojny, że się starał o ile od niego zależało zachować jéj charakter wojny regularnéj pomiędzy narodami cywilizowanymi, że ona zachowa ten charakter wszędzie gdzie jego władza będzie słuchaną, ale że włościanie rossyjscy nie usłuchają jego głosu, i że nie było w tém nic dziwnego, iż we trzy miesiące nie można było ucivilizować ludu, który Francuzi nazywali barbarzyńskim. Odpowiedział na usprawiedliwienie się generała Lorystona względem spalania Moskwy, że co do niego dalekim był od oskarżenia o to Francuzów i że według jego zdania patriotyzm rossyjski był jedynym sprawcą téj wielkiéj ofiary, że Rossjanie woleli raczej zamienić swój kraj w popiół, niżeli oddać go nieprzyjacielowi. Co do propozycji pokoju, a nawet zawieszenia broni, generał Kutuzow wystawił siebie jako ogołconego ze wszelkiéj władzy pod tym względem i jako obowiązanego odnieść się z tém do Cesarza. Zaproponował, co było przyjętém, wysłać generał-adjutanta księcia Wołkońskiego do Petersburga, dla zawiezienia tam propozycji Napoleona i dostawienia ztamtąd odpowiedzi. Co do zawieszenia broni, niepodobna było go podpisać, ale zgodzono się, że na całej linii przednich straży przestaną strzelać, co jednakże nie będzie się rozciągało do skrzydeł krańcowych obu armij i co nie stawiało tym sposobem przeszkody napadom kozaków i furażowaniu naszéj armji.

Jakkolwiek wiele grzeczności okazywano generałowi Loryston, nie chciał on dłużej pozostać w obozie Rossjan, jakby zwyciężony

czekający pokoju, którego potrzebował, i powrócił do Moskwy dla uwiadomienia Napoleona szczegółowo o tém co sam mówił i co mu powiedziano.

Choć Napoleon nie wiele liczył na pokój od czasu tak rozpaczliwego kroku, jakim było spalenie Moskwy, od czasu szczególnie bezpożytecznych prób czynionych za pośrednictwem pp. Tutolmina i Jakowlewa, sądził jednakże, że należało poczekać dziesięć lub dwaście dni, które mówiono, że potrzebne były dla otrzymania odpowiedzi z Petersburga. Jakkolwiek wątplą była ta nadzieja pokoju, nie chciał całkiem jej tracić, tak dalece czuł jego potrzebę; a w każdym razie sądził, że to przedłużenie pobytu w Moskwie nie było czasem straconym, gdyż miało posłużyć do pokrzepienia armji. Ludzie najlepiej znający klimat tamtejszy zapewniali go, że mrozy nie rozpoczną się pierwój jak w połowie lub przy końcu listopada. Zwłoka dziesięciu lub dwunastu dni miała doprowadzić go do połowy października, sądził więc, że wyruszywszy od 15go do 18go tego miesiąca nie wyruszy zbyt za późno. Tymczasem robił przygotowania na wszelki przypadek, tak dla cofnięcia się na Smoleńsk, jak dla przepędzenia zimy w Moskwie. Zalecił Muratowi zostawać na obserwacji przed obozem pod Tarutynem, pokrzepić tam wojsko, karmiąc je jak można najlepiej i posłał mu, o ile środki transportu mu tego dozwalały, zapasy żywności wydobyte ze sklepów Moskwy. Nakazał nowy ruch naprzód, tak wojskom pozostawionym z tyłu, jak bataljonom pochodowym, przeznaczonym do kompletowania korpusów. Zalecił sformowanie dywizji od piętnastu tysięcy żołnierza w Smoleńsku, która miała się posunąć na Jelnię dla podania mu ręki, jeśliby się zwrócił na Kaługę. Wydał rozkaz księciu Belluny zostawać w gotowości do pochodu, kazał wysłać do Moskwy wszystkich żołnierzy rozpierchłych, ujętych w Wilnie, Mińsku, Witebsku, Smoleńsku, których nie wysyłano w pochód dla braku potrzebnej im broni, a których zamierzał uzbroić licznymi karabinami, znalezionymi w Kremlu. Zalecił wysyłać ich pod konwojami zdolnymi do uchronienia ich od napadów. Wydał rozporządzenie dotyczące się tych konwojów, zabronił wysyłać ich w mniejszej liczbie niżeli 1500 żołnierzy piechotnych dobrze uzbrojonych, nie licząc w to oddziałów jazdy i artyllerii, które mogłyby być do nich dołączone, zalecił im wyraźnie stawać obozem w czworobok, mając dowódcę we środku, czuwał znowu nad zaopatrzeniem w żywność za pieniądze wszystkich stanowisk po drodze i zaczął zajmować się wysyłaniem rannych. Poleciał marszałkowi Żiuno rozdzielić

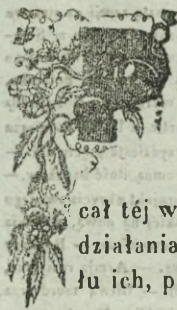
ich na trzy części, jedną tych, którzy byliby sposobnemi wyruszyć za piętnaście dni; drugą tych, dla których potrzeba było dłuższego czasu do wyjścia w pochód; trzecią wreszcie, tych, których niepodobna było ruszać z miejsca. Zabronił zajmować się pierwszymi, którzy mogli iść pieszo, oraz osłabionemi, którym należało dozwolnić umierać na miejscu, zalecił wysłanie reszty do Wilna, czy to za pośrednictwem wozów krajowych, czy też wozów pociągowych, których było około 1200 w Moskwie, a z których 200 poświęcił na ten przedmiot. W przypuszczeniu nawet, że przepędzi zimę w Moskwie, gdyż w swój niepełności Napoleon nie wyłączał żadnego przypuszczenia, przedsięwziął roboty obronne około Kremlu, kazał zniszczyć budowle przypierające do téj fortecy, uzbroić wieże armatami, opatrzyć bramy szanćami, ufortyfikować niektóre z głównych klasztorów miasta służące za magazyny, narobić z prochu znalezionego w Kremlu bomb i kartaczów, ażeby zaopatrzyć w podwójny zapas 600 armat należących do armji, czuwać jak najpilniej nad odkryciem i przechowaniem zapasów żywności, tak, żeby każdy korpus miał na pięć lub sześć miesięcy zapas chleba, soli, wódki, mięsa solonego. Ponieważ dostarczenie furazju stanowiło zawsze główną trudność, wysłał księcia Eugienjusza na drogę Jarosławską, a marszałka Neja na Włodzimierską, na odległość dwunastu do piętnastu mil, dla zajęcia, uspokojenia, zachowania znacznej przestrzeni kraju i dostania tam żywności dla bydła i koni kawalerskich. Nadto starał się zwabić włościan, płacąc gotówką i po wysokić cenie leguminę, furaz, żywności wszelkiego rodzaju. Kazał wyszukać księży, nakłonił ich do otwarcia kościołów Moskwy, obchodzenia tam obrzędów religijnych i zasyłania tam nawet modłów za swojego prawego Monarchę, Cesarza Aleksandra. Nakoniec nie dla zabawienia się, gdyż nie miał tego potrzeby, ale dla przyniesienia rozrywki swoim oficerom, nadewszystko dla dania chleba biednym Francuzom poświęcającym się zawodowi dramatycznemu w Rossji, kazał otworzyć teatru i otoczony świetnym dworem wojskowym, uczeszczał na reprezentacje teatralne, stanowiące przedtém jednę z głównych przyjemności szlachty rossyjskićj, starając się tym sposobem o ile można było ożywić martwe zwłoki nieszczęśliwćj Moskwy. Przepędzał potém noce na ułatwianiu spraw administracyjnych swojego państwa, które sztafeta przybywająca z Paryża w ośmnaście dni dostawiała mu powielekroć razy na tydzień. Niekiedy przyciągały go nagle do okien Kremlu słupy dymu, wznoszące się od czasu do czasu z pożaru niszczącego jeszcze skrycie nieszczęśliwe miasto. Pełen ufności kiedy sięgał pamięcią tylu niebezpieczeństw chlubnie przewycię-

KSIĘGA CZTERDZIESTA PIĄTA.

BEREZINA.

Stan umysłowy w Petersburgu. — Widzenia się Cesarza Aleksandra w Abo z księciem następcą Szwedzkim. — Plan działania na tył armii francuskiej, która nierozważnie posunęła się aż do Moskwy. — Posiłki wysłane a Finlandji hrabiemu Wittgenstejnowi i połączenie się armii mołdawskiej z armją wołyńską pod naczelnym dowództwem admirała Czeczagowa. — Rozkazy wydane generałom rosyjskim wyruszenia na dwie armje francuskie, strzegące Dżwiny i Dniepru, dla przecięcia wszelkiego odwrotu Napoleonowi. — Zalecenie księcia Kuluzowemu odrzucenia wszelkich układów i rozpoczęcia jak najprędzej kroków nieprzyjacielskich. — Tymczasem Napoleon, nie licząc już wiele na pokój, zatrzymanym jest w Moskwie przez swój wstręt do ruchu wczesnego, który wykazały jego słabość w oczach Europy i uczyniły wszelki układ niepodobnym. — Skłania się do projektu pozostawienia znacznej siły w Moskwie, a do wyruszenia z resztą armji na zimowe leże do żyznej prowincji Kałuskiej, z kądby podał rękę marszałkowi Wiktorowi, sprowadzonemu ze Smoleńska do Jelnii. — Podczas kiedy Napoleon zosłaje w tej niepewności, Kuluzow wzmocniwszy swe wojsko odpoczynkiem i odebraniem posiłków, napada zniemacka na Miurata pod Winkowem — Świetna potyczka, w której Miurat wynagradza swą nieostrożność mężstwem. — Napoleon rozgniewany wyrusza na Rosyjan dla ukarania ich za to podejście i opuszcza Moskwę, pozostawiając w niej marszałka Mortje z 10,000 żołnierza dla strzeżenia tej stolicy. — Odjazd 19 października z Moskwy, po przebyciu tam trzydziestu pięciu dni. — Wystąpienie wojska z tej stolicy. — Szczególny widok armji prowadzącej za sobą ogromną ilość bagażów. — Przybycie nad brzegi Pakry. — Po przybyciu na to miejsce, Napoleon robi nagle projekt ukrycia swojego pochodu przed armją rosyjską i zwodząc tę ostatnią, przejścia ze starej drogi kałuskiej na nową, dostania się tym sposobem do Kaługi bez występu i nie mając znacznej liczby rannych do przewożenia. — Rozkazy odnoszące się do tego ruchu, który pociąga za sobą opuszczenie ostateczne Moskwy. — Armja rosyjska, uwiadomiona w porę, zwraca się na Mało-Jarostawiec, na nową drogę kałuskiej. — Bitwa mordercza i ehlubna pod Mało-Jarostawcem stoczona przez armję wioską z częścią armji rosyjskiej. — Napoleon spodziewając się przebieć do Kaługi, chce wytrwać w swoim zamiarze, ale bojącej nowej bitwy, niepodobieństwo prowadzenia z sobą dziewięciu lub dziesięciu tysięcy rannych, nalgania w wszystkich jego dowódców, skłaniają go do udania się drogą smoleńską, którą armja przechodziła już idąc do Moskwy. — Zgubne postanowienie. — Pierwsze dżdże i zepsucie dróg. — Początek niezadowolenia w armji. — Trudny pochód na Małajsk i Borodino. — Głód pochodzący ze spozycia żywności zabranej z Moskwy. — Armja przebywa pole bitwy nad rzeką Moskwą. — Bolesny widok tego pola bitwy. — Rosyjanie ruszają w pogoń za nami. — Trudność jaką napotyka nasza tylna straż powierzona marszałkowi Dawu. — Napady nocne kozaków. — Zły stan naszej jazdy. — Niebezpieczeństwo, jakimu książę Eugiejusz i marszałek Dawu ulegają w ciasnym przejściu pod Carewo-Zajmiszczem. — Żołnierze nie mogący zdać óż armją z braku żywności i sił do odbywania pochodu. Tworzenie się u tylnej strazy gromady ludzi luźnych. — Poruszenie Rosyjan dla uprzedzenia armji francuskiej do Wiazmy, podczas kiedy silna tylna straż pod dowództwem Miłoradowicza przeznaczoną jest do niepokojenia jej i zbierania żołnierzy pozostających z tyłu. — Potyczka marszałka Dawu pod Wiazmą, napadniętego z przodu i z tyłu przez Rosyjan. — Marszałek ten wychodzi cało z wielkiego niebezpieczeństwa, dzięki jego

energii i pomocy marszałka Neja. — Iszy korpus osłabiony znużeniem i trudami, które miał do przeniesienia, zastąpionym jest przez 3ci korpus pod dowództwem marszałka Neja, któremu poruczono oddać zaślaniać odwrot. — Nagłe chłody i początek okropnych cierpień. — Strata koni, które nie mogą trzymać się na lodzie, i porzucenie części wozów artyleryjskich. — Przybycie do Dorohobuża. — Smutek Napoleona i jego nieczynność podczas odwrotu. — Wiadomości jakie odbiera o ruchu Rossjan na linję komunikacji i o spisku Maleta w Paryżu. — Początek i szczegóły tego spisku. — Pochód przyspieszony Napoleona na Smoleńsk. — Klęska księcia Eugenjusa przy przejściu Wopu, podczas pochodu tego księcia na Witebsk. — Łączy się z wielką armją w Smoleńsku. — Napoleon, dowiedziawszy się w Smoleńsku, że marszałek Sę-Syr zmuszony został do opuszczenia Połocka, że książę Szwarcenberg i generał Renje dali się oszukać przez admirała Czyczagowa, dążącego na Mińsk, pośpiesza przybyć nad Berezynę, ażeby nie być otoczonym. — Wystąpienie kolejnie jego armji w trzech kolumnach i spotkanie z armją rossyjską pod Kraśnem. — Trzy dni boju pod Kraśnem i oddzielenie korpusu Neja. — Pochód nadwyzwyczajny tego ostatniego dla połączenia się z armją. — Przybycie Napoleona do Orszy. — Dowiaduje się, że Czyczagów i Willgenszleju bliżej są połączenia się na Berezynie i przecięcia mu wszelkiego odwrotu. — Pośpiesza z przybyciem nad brzeg tej rzeki. — Ważne narady o wyborze punktu przejścia. — W chwili kiedy tracą nadzieję znalezienia go, cudem jakim przybywa generał Korbino, ścigany przez Rossjan i odkrywa w Studzianee miejsce, gdzie można przebyć Berezynę. — Wszystkie usiłowania armji zwrócone na ten punkt. — Gwałne podziwu poświęcenie się generała Eble i korpusu pontonierów. — Armja przez trzy dni przebywa Berezynę i w ciągu tych trzech dni toczy walkę z wojskiem chcącym go zatrzymać z czoła i niedozwolić jej przebycia rzeki i wojskiem atakującym ją z tyłu i usiłującym wrzucić do Berezyny. — Moc charakteru Napoleona, którego cały gienjusz objawia się pośród tego wielkiego niebezpieczeństwa. — Walka bohaterska i scena straszliwa przy mostach. — Armja cudem uratowana, rusza na Smorgonie. — Przybywszy do tego miasteczka, Napoleon, po odbyciu narad względem korzyści i niedogodności jego odjazdu, skłania się do opuszczenia armji potajemnie i powrócenia do Paryża. — Wyjeżdża 5go grudnia w saniach z pp. Kółkew, marszałkiem Diurok, hrabią Lobo i generałem Lefelchw-De-noett. — Po jego odjeździe, brak karności i nagłe zwiększenie się rozróżów dokonywają rozprzężenia armji. — Opuszczenie Wilna i przybycie głównych sztabów do Kółewca bez żadnego żołnierza. — Charakter i rezultaty kampanji 1812 roku. — Prawdziwe przyczyny tej niezmierniej klęski.



odczas kiedy to działo się w Moskwie, Cesarz Aleksander, po powrocie swoim do Petersburga, poświęcał tej wojnie swoje dni i noce i chociaż rzekł się kierowania działaniami wojennymi na polu, zajmował się kierunkiem ogółu ich, przygotowaniem zasobów i rozszerzeniem obrębu wojny przez przymierza.

Powiedzieliśmy już, że odmówił traktowania z Anglikami, aż do dnia zupełnego zerwania z Francją, ale że od czasu wyjazdu swojego z Wilna, to jest, po powrocie p. Bałaszowa, nie wahał się już więcej i upoważnił p. Suchtelena do podpisania 18 lipca, w obecności księcia następcy szwedzkiego i za jego pośrednictwem, traktatu pokoju Rossji z Wielką Brytanją, na warunkach najprostszych i najkrótszych, to jest, przymierza zaczepnego i odpornego, bez żadnego oznaczenia środków, które zależnie od okoliczności, miały być jak największe. Powiedzieliśmy jeszcze, że lord Katkar, który nabył w Kopenhadze

tak smutnego rozgłosu, pośpieszył natychmiast do Petersburga dla reprezentowania tam Anglii. Za staraniem tego ambassadora przygotowane i uskutecznione było widzenie się Cesarza Aleksandra z księciem następcą szwedzkim. Zabrać znajomość z Cesarzem Aleksandrem, otrzymać dowody jego zaufania, oznaki jego poważania, cesarskie jego słowo być utrzymanym na tronie szwedzkim i obdarzonym Norwegją, było najgorętszą chęcią tego księcia. Chociaż дума Cesarza Aleksandra cierpiała wiele ze zbliżenia się z podobnym sprzymierzeńcem i postrzegał dobrze różnicę, jaka zachodziła pomiędzy zawarciem przyjaznych stosunków z wielkim człowiekiem, jakim był Napoleon, a zawarciem tychże z ulubieńcem fortuny, jakim był generał Bernadotte, znajdował tak wielką korzyść w zapewnieniu sobie pomocy armji szwedzkiej, że zgodził się na to widzenie się, które naznaczone zostało w Abo, mieście Finlandji najbardziej zbliżoném do granic szwedzkich. To widzenie się tém bardziej pożądane było dla Cesarza Aleksandra, że miał w Finlandji 20,000 wybornego żołnierza, których połączenie się z korpusem Wittgensztejna mogło pociągnąć za sobą najważniejsze następstwa i które pozostawione było na północy państwa pod pozorem udzielenia pomocy w zawojowaniu Norwegji, stosownie do traktatu 24 marca, ale w rzeczywistości dla zabezpieczenia się od nagłego podejścia. Jakoż pomimo pozornych nalegań księcia następcy dla zawarcia ściślejszych związków z Rossją, biegli postrzegacze uważali niekiedy na jego twarzy jakby oznaki wahanja się, żalu, gniewu źle tajonego, nadewszystko w początkach kampanji, dość niekorzystnych dla Rossjan i słyszeli go uskarżającego się z goryczą, że nie dawano mu pomocy niezwłocznie do podbiecia Norwegji. Dla tych rozmaitych przyczyn, widzenie się było umówione i miało miejsce 28 sierpnia w mieście Abo, w obecności lorda Katkar i pod ochroną marynaki angielskiej, której statki przewiozły księcia Bernadotte z brzegów Szwecji na brzegi Finlandji. Ten ostatni po przybyciu swoim, przyjęty został z największą uprzejmością. Cesarz Aleksander, powodując się zwykłą swoją grzecznością oddał mu piérwszy wizytę, uściskał go pokilkakrotnie, przyjął jego uściśnienia, a nowy książę następcy, upojony radością, zgodził się na wszystko, czego od niego żądano. Umówiono się, że zamiast rozproszenia bezpożytecznie sił sprzymierzonych w Norwegji, prowincji, którą można będzie w każdym czasie opanować, zwróca wszystkie siły rozporządzalne w stronę, gdzie miał się rzeczywiście rozstrzygnąć los wojny, że poszła nad Dźwinę korpus rossyjski zostający w Finlandji, że armja szwedzka

przeznaczoną zostanie na wylądowanie z tyłu Francuzów, że gdy to wylądowanie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie miało miejsce w Danji, książe następca szwedzki zagarnie sam zastaw, który łatwo będzie później zamienić na Norwegję, że jedném słowem użyją sił wspólnych na zwalczenie Napoleona, gdyż to był cel istotny wojny, oraz środek pewny, dla przyszłego króla szwedzkiego, zawojowania Norwegji. Po umówieniu się względem tych przedmiotów, książe następca udzielił Cesarzowi Aleksandrowi rad najlepszych, najzgodniejszych dla nas, rad pochodzących z jego doświadczenia i tchnących nienawiścią najzawziętszą. Napoleon, mówił on do Cesarza Aleksandra, nie był bynajmniej tém, czém go bezrozumny podziw Europy chce uczynić, nie był on tym gienjuszem wojennym głębokim, powszechnym, niepokonanym, jakim podobało się wielu go sobie wyobrazać; był to tylko generał prędki, popędliwy, umiejący zawsze iść naprzód, nigdy nazad, nawet kiedy położenie tego wymagało. Z nim potrzeba było tylko mieć jeden talent, talent oczekiwania, dla zwyciężenia go i zniszczenia. Armja jego nie była już tém, czem była dawniej. Była ona pełną cudzoziemców, a nadewszystko młodych żołnierzy; generałowie, którzy nią dowodzili, byli znużeni bezustannemi wojnami i nie oprze się ona próbie, na jaką ją wystawiono, prowadząc ją tak daleko w głąb' Rossji. Napoleon zaprowadziwszy ją tam, nie potrafił jęj ztamtąd wyprowadzić, i dla otrzymania nad nim zupełnego zwycięstwa, potrzeba było tylko jednej rzeczy, to jest, wytrwałości. Przegra się jedna, dwie, trzy bitwy; potem nastąpią wątpliwe, a po wątpliwych zwyciężkie, byle umiano dotrzymać placu i nieustępować. Odejmij z tych rad to, co zdrowy rozsądek dyktował wtedy każdemu, odejmij mowę nienawiści, a wszystko nieszczęściem było prawdą.

Cesarz Aleksander przekonany pierwój o tych prawdach, przeniknął się niemi bardziej, słuchając księcia następcy szwedzkiego i rozłączyli się bardzo zadowoleni jeden z drugiego, książe następca uradowany z szacunku jaki go spotkał, Cesarz przekonany, że jakkolwiek niepewną była wiara nowego Szweda, mógł bez niebezpieczeństwa odwołać swe wojsko z Finlandji dla wysłania go do Inllant, co było najkorzystniejszym wtedy rezultatem, jaki mógł wyciągnąć z tego widzenia się. Podczas gdy toczył te układy z Szwecją, Cesarz Aleksander kończył téż układy z Turcją i przyjął jęj warunki, jakkolwiek różnemi one były od tych, które spodziewał się otrzymać. Po zrzeczeniu się kolejno Wołoszczyzny, potem Mołdawji do Seretu i nakoniec Mołdawji całej, chciał tylko ostatecznie zatrzymać Bessarabję, ażeby na-

być przynajmniej ujścia Dunaju i nalegał nadewszystko na pozyskanie przymierza Turków, w zamiarze, w którym wyżej wspomnieliśmy, nakłonienia ich do wkroczenia w prowincje Illiryjskie, może nawet do Włoch, razem z armją rossyjską. Turcy znużeni wojną, znużeni téż swojemi stosunkami z mocarstwami europejskimi i niechcąc już mieć nic do czynienia z niemi, poświęcili nieroztropnie Bessarabję, którą kilka dni cierpliwości mogłyby im zachować, ale opierali się wytrwale wszelkiemu przymierz z Rossją. Traktat pokoju już podpisany był w zawieszeniu z tego tylko powodu. Admirał Czyczagów, pełen zapału, pochopny do wielkich czynów, widząc zawiedzioną nadzieję wtargnięcia do Cesarstwa francuzkiego razem z Turkami, powziął inny zamiar, to jest, opanować samo państwo tureckie i oświadczył gotowość Cesarzowi Aleksandrowi iść prosto na Konstantynopol i zdobyć go. Śród ciągłego wstrząśnienia państw, do którego wtenczas przyzwyczajano się, spodziewał się, że ta piękna zdobycz pozostanie przy Rossji w skutek układów bliskiego pokoju. Kiedy ta propozycja doszła do Cesarza Aleksandra, był nią głęboko wzruszony; serce jego uciśnione nieszczęściami wojny, pokrzepiło się nagle, i miał już dać rozkaz do wystąpienia w ten śmiały pochód. Ale rozwaga uspokoiła wkrótce pierwszy zapęd tego Monarchy. Wspomniawszy na swoich sprzymierzeńców jawnych, Anglję i Szwecję, i na swych sprzymierzeńców tajnych, a wkrótce może otwartych, Prusy i Austryę, lękając się obrazić ich śmiertelnie wszystkich, oddalić ich nawet od siebie pusiwszy się o Konstantynopol, uważając trudność wyruszenia na tę stolicę z wojskiem liczącem w sobie najwięcej kiedy 50,000 żołnierza, nieroztropność napadania na innych, kiedy sam był napadniętym u siebie, wielką korzyść, jaką można byłoby otrzymać z tych pięćdziesięciu tysięcy żołnierza, przyłączywszy ich do 30,000 Tormasowa, dla wysłania ich na boki armji francuzkiej, wstrzymał zanadto odważnego admirała Czyczagowa, nie dając mu jednakże stanowczego rozkazu, tyle mu kosztowało to wyrzeczenie się niezgodne z jego dawnemi widokami, ale radząc mu raczej niżeli rozkazując, żeby odłożył na potem te piękne zamiary względem Konstantynopola, żeby skończył z Turkami i szedł niezwłocznie na Wołyń, gdzie był oczekiwany za kilka tygodni.

Takie były układy polityczne zawarte przez Cesarza Aleksandra, z tymi którzy mogli mu dopomódz, równie jak z tymi, którzy mogli mu stawić przeszkodę. Powróciwszy do Petersburga po widzeniu się w Abo, otrzymał tam wiadomość o bitwie nad rzeką Moskwą, a poczytując ją za wielkie zwycięztwo, posłał w nagrodę księciu Kutuzowemu łaskę marszałkowską, 100,000 rubli dla niego, po 5 rubli dla

każdego żołnierza armji i rozkazał żeby odprawiono dziękczynne modły po wszystkich kościołach państwa. Ale wkrótce potem doznał głębokiego zmartwienia na wiadomość o wzięciu Moskwy i o klęsce tego grodu świętego dla Rossjan. Wrażenie było niezmierne w całym państwie, nadewszystko w Petersburgu i w tej drugiej stolicy cesarstwa, obawa łączyła się jeszcze do boleści.

Petersburg, twór wiekopomny Piotra Wielkiego, miasto urzędników, dworu, kupców, cudzoziemców, nie było jak Moskwa sercem samém Rossji, ale raczej głową, głową pełną wyobrażeń pożyczonych z obczyzny. Z początku miasto to życzyło wojny, dopóki widziało w niej przywrócenie stosunków handlowych z Anglją, ale teraz kiedy widziało w niej długi szereg ofiar i niebezpieczeństw, odmiennego było nieco zdanie. Przypisywało ono także nieszczęścia obecne temu systematowi odwrotu nieskończonego, który sprowadził Francuzów aż do środka państwa, oskarżało generałów i mściło się za swe obawy mową pełną goryczy i gwałtowności. Generał Psuhl nie mógł pokazać się na ulicy bez narażenia się na obelgi. Generał Pauluczcy, uważany za jego przeciwnika, przyjmowany był z oznakami najprzyjaźniejszych.

Myśl, że Napoleon wyruszy wkrótce z Moskwy do Petersburga, była powszechnie przyjętą i robiono już przygotowania do wyjazdu. Wiele bardzo kosztownych przedmiotów wysłano do Archangielska i do Abo. Dzielono się w zdaniu względem postępowania, jakiego miano się trzymać. Charaktery zapalczywe chciały prowadzić wojnę do upadłego, bardziej umiarkowane przeciwnie, były tego zdania, że należało za pierwszą zrzeczością rozpocząć układy. Cesarzowa matka nawet, przestraszona niebezpieczeństwem swojego syna i państwa, zaczęła skłaniać się do pokoju, równie jak wielki książę Konstanty, który opuścił był armję po stracie Smoleńska i myślał, że należało ograniczyć się raczej na jednej z tych wojen politycznych, które kończą po dwóch lub trzech bitwach straconych, traktatem więcej lub mniej niekorzystnym, niżeli przedsiębrać jedną z tych wojen pustoszących, jaką Hiszpanie prowadzili z Francuzami od czterech lat. Co dziwniejsza jeszcze, p. Arakcejew sam, niedawno jeszcze jeden z najgorliwszych stronników wojny zaciętej, skłaniał się też do pokoju. P. Rumiancow, który milczał od czasu, jak nowe nieporozumienie z Francją zadały tak haniebnie fałsz jego systematowi i który byłby już całkiem usunięty od spraw, gdyby Cesarz Aleksander, karząc reprezentanta polityki tyłżyckiej nie zdawał się potępiać samego siebie, p. Rumiancow odzyskał głos dla przemówienia na korzyść pokoju. Jednakże okrzyki wojenne pokryły te bojaźliwe słowa pokoju, i emi-

grancji niemieccy nadewszystko, którzy przybyli szukać przytułku w Rossji i żądać od niej, żeby stanęła na czele powstania europejskiego, widząc swą sprawę bliską upadku, podwajali usiłowań i nalegań dla zachęcenia familji cesarskiej do oporu. Pan Sztejn, na ich czele, okazywał się najgwałtowniejszym i najwytrwałszym. Pośród tej walki pomiędzy nienawiścią a obawą, wzburzenie było powszechne i silne.

Cesarz Aleksander miał serce udręczone nieszczęściami obecnie niepowetowanymi Moskwy, nieszczęściami mogącemi spotkać Petersburg, gdyż nie był pewnym, że potrafi ocalić tę ostatnią stolicę, był zachwianym i możeby uległ, gdyby jego duma głęboko zraniona nie pokrzepiała go. Złożyć jeszcze raz swą broń przed tym wyniosłym sprzymierzeńcem Tylżytu i Erfurtu, który z nim obszedł się tak pogardliwie, zdawało mu się być rzeczą niepodobną. Miał on szlachetną dumę przenieść śmierć nad to upokorzenie, i powtarzał swoim zaufanym, że on i Napoleon nie mogą razem panować w Europie i że potrzeba, żeby albo jeden albo drugi zniknął ze sceny świata.

Zresztą pośród tego chaosu opinij niezgodnych, strapiony bojaźliwością jednych, obrażony prawie obelżywą gorliwością innych, znudzony zgiełkiem, usunął się z przed oczu publiczności i powziął w milczeniu postanowienie nieodzowne nieustępowania. Tajemny instykt powiedział mu, że wstąpiwszy do Moskwy, Napoleon narażał się na większe niebezpieczeństwo, niżeli na jakie narażał Rossję, a zima zresztą już niedaleka, zdawała się mu być sprzymierzeńcem, która zasłoni wkrótce Petersburg puklerzem lodu.

Po zrobieniu tego postanowienia, przedsięwziął środki, które miały być jego następstwem. Flota rossyjska stojąca w Kronsztadzie mogła wkrótce być zamkniętą lodami i stać się tym sposobem łupem Francuzów, zdecydował się przeto na przykrą ofiarę powierzenia jój Anglikom. Kazał przywołać lorda Katkar, oświadczył mu swe obawy, oraz swe nieodzowne postanowienie prowadzenia dalej wojny i dał mu tego dowód niewątpliwy prosząc o wzięcie do przechowania całej floty rossyjskiej z tém wszystkiem co miała na pokładzie, powiadając mu, że powierza ją honorowi i prawości Wielkiej Brytanji. Ambasador angielski, uradowany podobną propozycją, obiecał, że flota rossyjska będzie przyjętą z największą gościnnością w portach angielskich. Cesarz Aleksander rozkazał wyjść jój pod żagle, zabrać z sobą wszystko co miał najkosztowniejszego i udać się ku Wielkiemu Beltowi, dla wyjścia z Bałtyku za pierwszém hasłem, pod eskortą i opieką bandery angielskiej. Wiele innych przedmiotów należa-

cych do korony, szczególnie papierów państwa, zostało wyprawionych do Archangielska.

Do tych środków ostrożności przedsięwziętych na wypadek nowych nieszczęść, Cesarz Aleksander przydał wiele innych potrzebniejszych, które dążyły do zapewnienia mu zwycięstwa. Umówił się był niedawno z Szwecją co do wysłania do Infant korpusu armii generała Szejngel, który dotąd pozostawał w Finlandji. Zgodzono się, że większa część tego korpusu, przewieziona morzem z Helsingforsu do Rewla, pójdzie lądem do Rygi, dla połączenia się tam z hrabią Wittgenstejnem, co podniosłoby liczbę wojska tego ostatniego do 60,000 żołnierza. Zrobił ostateczne postanowienie co do armji admirała Czyczagowa i zrzekając się wszystkich planów utudnych, ale obecnie szkodliwych, które mu były podawane, rozkazał wyrażnie admirałowi iść na Wołyń, objąć tam dowództwo nad oddziałami generała Tormasowa, które podniosłoby liczbę jego wojska do 70,000 żołnierza i pójść w górę Dniepru dla wzięcia udziału w ruchu spółśrodkowym armij rosyjskich z tyłu wojsk Napoleona. Pomiedzy projektami jakich mu ciągle udzielał generał Pfuhl, najwięcej zajął Cesarza Aleksandra jeden, to jest, żeby działać na boki i tył armji francuzkiej, kiedy ta posunie się w głąb państwa. Ten pomysł zanadto wczesny w lipcu, kiedy Napoleon był w Wilnie, zanadto wczesny jeszcze, kiedy był pomiędzy Witebskiem a Smoleńskiem i w możności odparcia wszelkich napadów wymierzonych na jego boki, był bardzo w porę i mógł pociągnąć za sobą wielkie następstwa, w październiku, kiedy Napoleon znajdował się w Moskwie. Jakoż wtedy albo nigdy należało skierować się na jego linję komunikacji, gdyż był dalekim od punktu swego wyruszenia, wojsko, które pozostawił z tyłu, nie otrzymało nigdzie stanowczej przewagi, i gdyby hrabiemu Wittgenstejnowi, znacznie wzmocnionemu, udało się odeprzeć marszałka Sę Syr z nad Dźwiny i posunąć się pomiędzy Witebsk w otwór przez który Napoleon przeszedł w pochodzie swym do Moskwy, gdyby admirał Czyczagow, pozostawiwszy korpus naprzeciw księcia Szwarzenberga dla powstrzymania go, poszedł z 40,000 żołnierza w górę Dniepru i Berezyny, dla podania ręki Wittgenstejnowi, mogli jeden i drugi połączyć się na wyższej Berezynie i spotkać tam na czele stu tysięcy żołnierza, Napoleona powracającego z Moskwy, osłabionego długim pochodem, niepokojonego przez Kutuzowa i wziętego tym sposobem we dwa ognie.

Skłoniony do wykonania tego planu rozmowami swemi z generałem Pfuhl, zachęcany do wytrwania w nim przez swojego adjutanta Piemontczyka Miszo, Cesarz Aleksander porucił p. Czerniszew udać

się do księcia Kutuzowa dla przedstawienia tego planu na jego rozpatrzenie i zakomunikowania go potem generałowi Czyczigow, następnie wręczenia go w tymże samym celu hrabiemu Wittgenstejnowi i odwiedzania ich bezustannie jednego po drugim, dopóki nie nastąpi pomiędzy nimi zgoda dla współdziałania w wykonaniu powyższego planu. Mając podobne zamiary, Cesarz Aleksander nie mógł przychylnie odpowiedzieć na propozycje Napoleona. Jakoż skoro dowiedział się o nich, powziął mocne postanowienie niesłuchania ich. Sprawily one mu jednak żywą radość, gdyż znalazł w tém nowy dowód przykrego położenia, w jakim zaczęli znajdować się Francuzi pośród Moskwy, położenia, które mu wróżyło nie tylko ocalenie, ale tryumf Rossji. Jednakże zależało wiele na tém, zatrzymać Napoleona jak można najdłużej w Moskwie, bo gdyby wystąpił z niej zanadto wczesnie, mógłby powrócić bez żadnej szkody i z tego powodu Cesarz Aleksander postanowił zwlekać swą odpowiedź, nie dając się domyśleć jakiej ona będzie treści. W skutek projektów wyżej przytoczonych, p. Czerniszew został wysłany do obozu jeneralissymusa Kutuzowa i zakomunikował mu plan przyjęty milczenia, zwlekania, oczekiwania nadejścia złej pory roku i przygotowania tymczasem z tyłu armji francuzkiej połączenia sił przemagających. Nie było nic pod tym względem do powiedzenia, do radzenia Kutuzowemu, który lepiej niż ktokolwiekbądź w Rossji pojmował ten systemat wojny, i był zdolnym przyprowadzić go do skutku. Przyjął więc bez wahania się plan, który był potwierdzeniem jego pomysłów i prócz tego usprawiedliwieniem jego całego postępowania.

Podczas kiedy był przedmiotem tych groźnych wyrachowań, Napoleon trawił czas w Moskwie pośród zajęć, które opisaliśmy, w oczekiwaniu odpowiedzi która nie przybywała i według wahań zwyczajnych każdego umysłu niespokojnego, jakkolwiek dzielnego, już to wierzył w to czego żądał, to jest, w pokój, już to przestawał weń wierzyć, jedynie dla tego, że wierzył weń na chwilę, najczęściej tracił wszelką nadzieję zawarcia go, nie mogąc liczyć na niego po spaleniu Moskwy, tym czynie zagorzałego patriotyzmu, oraz wnosząc z milczenia Cesarza Aleksandra, który oddawna musiał otrzymać pierwsze propozycje, przesłane mu przez pp. Tutolmina i Jakowlewa. Powtarzał więc sobie, że potrzeba było coś przedsięwziąć, przedsięwziąć w prędkim czasie i czynił do tego przygotowania pierwój, nim oświadczenia przesłane 5 października feldmarszałkowi Kutuzowemu mogły otrzymać odpowiedź. Pogoda była przepyszna, powietrze czyste, łagodne. Nigdy jesień piękniejsza w naszym klimacie francuzkim

nie zdobyła we wrześniu pól Fonteneblo i Kompjen. Ale im bardziej czas ten był piękny, tém prędzej oczekiwać należało zmiany rychłej i zupełnej, tém bardziej należało myśleć o odwrócie. Żołnierze piechotni pokrzepili się odpoczynkiem i obfitą strawą, pełni byli zdrowia i ufności w siebie. Oprócz dywizji włoskiej Pino, przybył korpus księcia Eugenjusza i dywizja włoskiej gwardji Delabord, oraz pewna liczba rannych z dnia 7go, którzy się wyłoczyli z swych ran i kilka bataljonów i szwadronów pochodowych. Armja tym sposobem liczyła w sobie 100,000 żołnierza wszelkiej broni, rzeczywiście obecnego pod chorągwiami, z 600 armatami dostatecznie zaopatrzonemi. Zaczynał jenerał Larybóazjer, który stracił pod Borodynem syna zabitego w jego oczach i któremu głęboka boleść nie przeszkadzała dopełniać swych obowiązków z działalnością młodego człowieka, nie rad widział tę masę artyllerii, i wołał mieć mniej armat a więcej ammunicyi, gdyż wiedział jak dużo jój wychodziło w tej wojnie i z jaką trudnością przyszłoby transportować z sobą zapas ammunicyi odpowiedni liczbie armat. Ale Napoleon pamiętając o skutku wywartym pod Borodynem przez artyllerię, przewidując, że wkrótce zabraknie mu żołnierzy i spodziewając się zastąpić strzały karabinowe kartaczami, trwał w swoim postanowieniu. Kazał zabrać wszystkie małe konie krajowe dla ciągnięcia wozów pozbawionych uprzęży i spodziewał się z ich pomocą przewyciężyć trudności wprawiające w kłopot jenerała Larybóazjer. Wszystko więc było w dobrym stanie w wojsku, oprócz środków transportu. Podczas kiedy żołnierze byli pełni zdrowia, konie nie mając podostatków furazu, były chude, słabe i w stanie nabawiającym wielkiej niespokojności. Jazda prawie cała zostająca pod dowództwem Miurata, przed obozem pod Tarutynem, przedstawiała widok najopłakawszy. Miurat stojąc obozem na równinie, za małą rzeczką Czerniszną, niedostatecznie zastoniony na skrzydłach i niedość zabezpieczony słownem zawieszeniem broni, którego kozacy bynajmniej nie zachowywali, zmuszony był trzymać swoją jazdę zawsze w ruchu, co przy złym pokarmie, składającym się ze zgnitej słomy, służącej za pokrycie domów, przyczyniało się do jój zniszczenia. Napoleon dla podania pomocy Miuratowi, posłał mu nieco furazu i pozwolenie cofnięcia się na Woronowo, na lepszą pozycję, o siedm czy ośm mil z tyłu nieprzyjaciela. Ale Miurat przewidując ruch ogólny i bliski i nie chcąc utrudzać swojego wojska zmianą leż, z których ono zaledwo kilka dni by korzystało, pozostał w Win-kowie, naprzeciw Kutuzowa zostającego na leżach w Tarutynie.

Od 12go października, kiedy niepodobna jeszcze było otrzymać

z Petersburga odpowiedzi na propozycję wysłaną 5go, Napoleon przedziwszy dwadzieścia siedm dni w Moskwie, postrzegł że należy coś przedsięwziąć i albo oddać, jeśli miał pozostać w Moskwie, Rossjan od swoich leż, albo, jeśli miał z niej wystąpić, rozpocząć odwrót przed nadejściem złej pory roku. Rozkazał przeto odprawić wszystkich rannych, mogących być przewiezionemi, wystać przodem to, co nazywano trofeami, to jest, rozmaite przedmioty zabrane w Kremlu, zabronił żeby wysyłano cokolwiekbądź ze Smoleńska do Moskwy i zalecił, żeby się miano w gotowości w pierwszym z tych miast dla podania mu ręki w kierunku jaki wskaże. Ale myśl jedyna, zatrzymywała go jakby pomimo woli i stawała mu na przeszkodzie każdą razą, kiedy chciał zrobić jakie postanowienie. Nie była to, jak wielu sądziło, nadzieja pokoju, nadzieja której już nie miał, ale obawa stracenia przewagi zwycięstwa, rozpoczynając w oczach świata ruch wsteczny, i w tém nie powodował się bynajmniej dziecinném złudzeniem, ale głębokiem poczuciem swojego położenia. Powtarzał sobie, że pierwszy krok uczyniony nazad, będzie początkiem wyznań trudnych i niebezpiecznych, wyznań, że posunął się zanadto daleko, że niepodobna mu było utrzymać się w téj odległości, że się zawiódł, że chybił celu w téj kampanji. Ileż odstępstw, ileż myśli huntuwicznych mógł obudzić widok Napoleona dotąd niezwykniętego, zmuszonego wreszcie do cofania się! Nie mówiąc już o wymaganiach pychy, a pycha zapewne miała miejsce w uczuciach jakich doznawał, było wielkie niebezpieczeństwo w tym pierwszym kroku wstecznym. Mogło to być, w istocie, początkiem jego upadku (1).

Niepokojony grożącym mu niebezpieczeństwem, myślał ciągle nad tém, czy ma przezimować w Moskwie, czy wykonać ruch, który przybliżając go do jego magazynów, miałby pozór manewru a nie odwrotu. Zimować w Moskwie było postanowieniem nadzwyczaj śmiałym i to postanowienie miało stronników. Jeden z nich szczególnie był człowiekiem wielkiej wziętości, to jest, p. Dariu, który towarzy-

(1) Z dowodami w rękę, według korespondencji samego Napoleona i wedle znacznej liczby notatek napisanych przez niego, a objawiających prawdziwą myśl jego, podaje i utrzymuje tę prawdę, że Napoleon przeciwko przyjętej opinji, był zatrzymany w Moskwie nie tyle nadzieją pokoju, co bojaźnią stracenia swojej przewagi moralnej i wojskowej, uskuteczniając ruch wsteczny. Nicchętnie zmieniam podania przyjęte w historii, staram się być prawdziwym, a nie nowym. Dość jesteśmy nowemi przez to samo, że mówimy prawdę. Utrzymuję więc to twierdzenie względem pobudek długiego pobytu Napoleona w Moskwie, gdyż mam przekonanie i dowody że jest prawdziwem.

szyl Napoleonowi w charakterze sekretarza stanu i który mając powierzone sobie wszystkie szczegóły intendenty armji, dopełniał swoich obowiązków z gorliwością, pojętnością, działalnością odpowiednią tej wysokości i trudnej posadzie. Ten biegły administrator sądził, że łatwiejszą było rzeczą przekarmić armję w Moskwie i zapewnić tam jej komunikacje podczas zimy, niżeli odprowadzić ją zdrowo i cało do Smoleńska, drogą niepewną, jeśliby cheiano udać się nową, albo spustąszą, jeśliby cheiano powracać tą samą, którą już raz przebyto. Napoleon nazywał tę radę, radą lwa, i to pewna, że potrzeba było rzadkiej odwagi, żeby ośmielić się pójść za nią. Największa trudność nie zależała na przekarmieniu żołnierzy, jak już powiedzieliśmy, gdyż miano zboże, ryż, leguminę, wódkę i nieco mięsa solonego. Można było nawet zaopatrzyć się w mięso świeże, pod warunkiem jednakże zgromadzenia bydła przed nastaniem złej pory roku, i dostania furazhu dla przekarmienia tego bydła przez kilka miesięcy. Główna trudność zależała na przekarmieniu koni, które ginęły z głodu i których nie wiedziano jakim sposobem przekarmić, nawet w porze jeszcze niezbyt przykrzej roku. Można było wprawdzie posunąć swe leże o dwa-naście lub piętnaście mil w około, jak to już w części uczyniono, ale oprócz tego, że nie można było być pewnym, czy to wystarczy dla znalezienia potrzebnego furazu, jakim sposobem, po nadejściu złej pory roku, zdołanoby utrzymać się w tych leżach w takiej odległości, z jazdą lekką wyniszczoną i przeciwko niezliczonym tłumom kozaków, którzy już przybyli lub gotowi byli przybyć z nad brzegów Donu? Po zwyciężeniu tych trudności, pozostawała jeszcze jedna niemniej ważna, to jest, utrzymania komunikacji pomiędzy wszystkimi stanowiskami rozpołożonemi po drodze ze Smoleńska do Moskwy, zapewnienia nie tylko stosunków ich z sobą, ale zachowania po szczególe każdego z nich, gdyż jakim sposobem, nie obróciwszy ich w twierdze, osłonić je od napaści kilkunastu tysięcy żołnierza, któreby przedsięwzięły atakować je i zdobywać po kolei? Potrzeba byłoby stawiać podobne twierdze w Dorohobużu, Wiaźmie, Gzacku, Mołajsku i t. d., nie licząc wiele innych mniej ważnych ale potrzebnych; a dla uzbrojenia wszystkich tych stanowisk, zaopatrzenia ich tak w żywność jak w garnizony nie tylko stałe, ale też ruchome, zdolne pomagać sobie wzajemnie, należałoby poświęcić prawie całą armję. Pomimo wszystkich tych zabiegów dla utrzymania komunikacji, co stałoby się z Paryżem, co stałoby się z Europą, gdyby jeden dzień nie miano wiadomości od Napoleona i gdyby zostawano z nim w rozłączeniu jak niegdyś z Masseną podczas kampanji portugalskiej? Wreszcie po zwycię-

żeniu raz tych licznych trudności, cóżby zyskano na tém, za nadejściem wiosny, że się znajdowano w Moskwie? W Moskwie zostawano o 180 mil (francuzkich) od Petersburga, 180 mil drogi bezcennej, nie licząc 100 mil drogi od Smoleńska do Moskwy, co stanowiłoby 280 mil dla posiłków mających przybywać do wielkiej armji, będącej w pochodzie do Petersburga, wówczas kiedy w Witebsku naprzykład zostawanoby tylko od niego o 150 mil. Jeżeli kampanja następna zależeć miała na skierowaniu sił na drugą stolicę Rossji, lepiej było oczewiście wystąpić z Witebska, niżeli z Moskwy i nawet był to jedyny punkt wystąpienia, jaki można było obrać.

Zimowanie w Moskwie spotykało więc bardzo ważne zarzuty. Jednakże wstręt Napoleona do ruchu wstecznego był tak wielkim, że nie wyłączał przypuszczenia przezimowania w Moskwie i jakkolwiek zalecił był odprawienie rannych, mogących być przewiezionymi, ażeby być wolnym w swych ruchach, kazał fortyfikować Kreml, oczyścić plac w koło tego zamku, zastonić bramę jego szancami, rozstawić armaty na jego murach i wieżach, ści gnąć posiłki dla armji i posuwać dość daleko swe przednie strażę, ażeby zbadać zasoby kraju już co do żywności, już co do furaju.

Pośród téj przykréj niepewności, Napoleon przechylał się zawsze do wybrania pięknego obrotu, który zbliżając go do Polski przez pochód ukośny ku północy, umieściłby go z tyłu za księciem Belluny w Wielkich Łukach i nadawałby mu pozór niecofania się, ale wspierania ruchu zaczepnego na Petersburg. Niestety, każdy dzień upływający czyniąc tém bliższą zimę, sprawiał wielką odrazę w armji do pochodu na północ, a zresztą wiadomości przychodzące z południa zwracały gwałtem w tę stronę kombinacje obecnej chwili. Wówczas kiedy wszystko było w jednostajnym położeniu nad Dźwiną, kiedy Makdonald stał nadaremno przed Rygą, nie mogąc obledz téj twierdzy, kiedy marszałek Se-Syr-pozostawał nieruchomym w Połocku, nie mogąc otrzymać ze swego zwycięstwa 18go sierpnia innego rezultatu, jak utrzymanie się w swój pozycji: admirał Czeczagow przeciwnie, powracając z Turcji, po podpisaniu pokoju z Turkami, przebył Podole i Wołyń i zabezpieczony neutralnością Galicji tajemnie umówioną z Austryją, dostał się aż na brzegi Styru dla wzmocnienia Tormasowa. Zmuszony pozostawić kilka tysięcy żołnierza z tyłu, prowadził z sobą tylko 30,000, co podnosiło liczbę armij połączonych do 60,000. Objął on nad nimi główne dowództwo i zmusił Szwarzenberga i Renje, którzy obaj mieli tylko 36,000 cofnąć się nad Bug, potem za błota pińskie, ażeby zastonić Wielkie Księstwo. Ze wszystkiego tego co Na-

pooleon żądał dla księcia Szwarzenberga przysłać mu tylko łaskę marszałkowską i obietnicę posiłków od 7 do 8 tysięcy żołnierza, które nie nadchodziły. Trwoga na nowo się rozszerzyła w Warszawie, gdzie panował zamiast twórczego entuzjazmu, ogólny upadek na duchu, gdzie uważano siebie za opuszczonych od Napoleona, gdzie skarżono się, że nie przyłączył Litwy do Polski, gdzie z powodu wszystkich tych zażaleń zostawano w zupełnej bezczynności i nie posyłano ani rekrutów, ani zasobów księciu Poniatowskiemu.

W podobnym położeniu rzeczy nie można było myśleć o ruchu ku północy, gdyż byłoby to zostawić pole zanadto obszerne zamiarom admirała Czeczagowa. Pochód na Kaługę odpowiadał lepiej kierunkowi obecnemu sił nieprzyjacielskich i usposobieniu umysłów, które uspakajano wskazując im w przyszłości klimat i obfitość prowincji południowych.

Z tych wszystkich powodów, Napoleon obmyślił drogę pośrednią, zależącą na wyruszeniu przeciw obozowi pod Tarutynem, na wyparciu ztamtąd Kutuzowa, co zaiste nie miało pozoru odwrotu, odparciu go na prawo lub na lewo, zwróceniu się potem na Kaługę, ściągnięciu drogą przez Jelnię księcia Belluny, albo przynajmniej silnej dywizji zostającej w gotowości w Smoleńsku, przezimowania tym sposobem w Kałudze, śród kraju żyznego, w klimacie niezbyt surowym, mając otwartą komunikację z prawej strony ze Smoleńskiem, a z tyłu z Moskwą. Podług tego planu, Napoleon myślał zachować w swém posiadaniu Kreml, pozostawić tam marszałka Mortje z 4,000 żołnierza młodej gwardji, oraz 4,000 jazdy zdemontowanej, urządzoną w bataljony piechotne, złożyć tam cięższe zasoby wojenne, pozostawić tam rannych, chorych, łazęg, zaopatrzyć tym sposobem tego marszałka charakteru zahartowanego w dziesięć tysięcy żołnierza garnizonu, i w żywność na sześć miesięcy. Napoleon zostając w Kałudze, na łonie pewnego rodzaju obfitości, mogąc podać rękę marszałkowi Mortje, od którego byłby oddalony na pięć dni drogi, albo księciu Belluny, od którego byłby oddalony na taką samą przestrzeń po sprowadzeniu go do Jelni, znajdowałby się jak pajak pośród swęj sieci, gotowy pośpieszyć wszędzie gdzie ruch da się uczuć. Nie opuściłby nie tym sposobem, zająłby przeciwnie nowe prowincje, obierając stanowisko w kraju najpiękniejszym, najbardziej środkowym Roscji. Przypuśćmy zwycięstwo zupełne odniesione nad Kutuzowem w okolicach Tarutyna, przypuśćmy nadto zimę zwykłej surowości, a ten plan według wszelkiego prawdopodobieństwa mógłby się udać, nie licząc w to, że

gdyby chciano zbliżyć się ostatecznie do Polski, Mortje mógł wziąć żywności na dziesięć dni, wystąpić z Moskwy drogą prostą, którą pierwój szło wojsko, i powrócić spokojnie do Smoleńska, zabierając z sobą wszystkie straże po drodze i będąc zasłoniony obecnością Napoleona w Kałudze. Ta kombinacja jedna dostateczną byłaby do odciągnięcia admirała Czeczagowa ku Mozyrowi i do skłonienia go do opuszczenia swych zamiarów udanych czy rzeczywistych względem Wielkiego Księstwa.

Ten nowy pomysł, dowód niewyczerpanej płodności umysłu Napoleona, nie był tym, któryby przekładał nad inne, ale który uważał za najstosowniejszy w obecnej chwili. Gdy niewielki mróz nastąpił nagle 13go października, lubo bez nadwężenia pięknej panującej dotąd pogody, każdy uczuł, że chwila nadeszła stanowczego działania. Napoleon zgromadził swoich marszałków dla zasięgnięcia ich zdania, chociaż zwykle mało się troszczył o sposób myślenia drugich; ale w położeniu, w jakim się znajdował, każdy nabywał z wzrastającą ważnością wypadków pewnego prawa być słuchanym. Książę Eugienjusz, szef głównego sztabu Bertje, minister stanu Dariu, marszałkowie Mortje, Dawu i Nej, byli obecni na tém zebraniu. Brakowało tam tylko Miurata i Bessjera, zostających naprzeciw obozu pod Tarutynem. Piérwsza kwestja tyczyła się stanu każdego korpusu, druga środka, jakiego się chwycić należało. Stan korpusów był bardzo niezadawalającym co do liczby, gdyż korpus marszałka Dawu z 72 000 żołnierza zmniejszył się do 29 czy 30 tysięcy; korpus marszałka Neja z 39,000 do 10 czy 11 tysięcy. Książę Poniatowski liczył w swoim korpusie tylko 5,000 ludzi, Westfalczycy 2,000, gwardja nie będąc w bitwie 22,000. W ogóle z parkami armja liczyć mogła sto kilka tysięcy żołnierzy zdolnych do boju, w miejscu 175,000 składających jój siłę rzeczywistą przy wystąpieniu z Witebska, w miejscu 420 tysięcy składających ją przy przejściu Niemna. Zresztą, stan żołnierzy był zadawalającym. Byli reźwi, pokrzepieni odpoczynkiem, pełni determinacji, lubo dość niespokojni z powodu tego położenia niebezpiecznego, które rzadka ich pojętność doskonale oceniał zdołała.

Co do środka, jakiego należało się trzymać, zdania były bardzo rozdzielone. Marszałek Dawu był tego zdania, że gdy żołnierze lekko ranni powrócili do swoich szeregów, gdy korpusy były dostatecznie pokrzepione odpoczynkiem, pora już była wyruszać, że gdy droga kałuska wiodła nas w okolice żyźne i bynajmniej niespastoszone, oraz w klimat mniej surowy, nie było innój drogi do obrania. Można było

wnosić z mowy marszałka Dawu, że według niego przebawiono już zanadto długo w Moskwie. Szef głównego sztabu Bertje, skłonny często do sprzeciwiania się marszałkowi Dawu i obowiązany naturalnie bronić postanowień, które przeważały, gdyż przedstawiał główny sztab, utrzymywał przeciwnie, że pobyt w Moskwie był pożyteczny i potrzebny, że tym tylko sposobem można było pokrzepić wojska, wrócić im zdrowie i siły. Przyznał jednakże, że chwila wystąpienia nadeszła. Przyzwyczajony stosować się do opinii Napoleona i wiedząc, że przekładał zawsze drogę północną, proponował powrót na Witebsk, idąc ukośnie do drogi smoleńskiej na Woskresieńsk, Wołokolańsk, Zubkow, Biełoj. Był to plan Napoleona, ale nie było już czasu wykonać go. Marszałek Mortje, prawy ale uległy, poszedł za zdaniem Bertje, jako zwykłego przedstawiciela myśli Cesarza. Marszałek Nej, szorstki i niepodległy kiedy szedł za pierwszym swym popędem, poparł silnie zdanie marszałka Dawu, powtarzając, że zanadto długo już pozostawano w Moskwie i że należało z niej wystąpić jak można najprędzej. Mówił wiele o stanie swojego korpusu zmniejszonego do 10 tysięcy żołnierza, oprócz Wirtemberczyków, i utrzymywał, że nie pozostawało nic więcej, jak udać się na Kaługę. Książę Eugienjusz zanadto powolny i bojaźliwy, żeby mieć inne zdanie niżeli głównego sztabu, mówił to samo co Bertje. Pan Dariu przeciwnie, nie wahał się oświadczyć, że nie podzielał zdania ani jednych ani drugich i utrzymywał, że należało zimować w Moskwie. Było, według niego, w mieście żywności składającej się z ryżu i mąki, oraz gorących napojów na całą zimę. Można było, rozszerzając swe leże, zaopatrzyć się w furaz i przekarmić tym sposobem bydło i konie. Było więc rzeczą podobną uniknąć podwójnej niedogodności ruchu wstecznego i odwrotu przez strony jedne nieznanne, drugie spustoszone pierwszym przejściem, w porze bardzo spóźnionej, z żołnierzami bardzo sposobnymi do kroków zaczepnych, ale źle usposobionymi do pochodów wstecznych.

Napoleon który był tak prędkim w powzięciu zamiaru i wyjaśnieniu go, miał zwyczaj milczeć, słuchać, rozważać nad tém co mówiono, kiedy chciał zasięgnąć zdania innych. Zdaje się, że i tą razą milczał odłożył na później swe rozstrzygnięcie, jak to mu zdarzało się w jednej już okoliczności tego rodzaju.

Należało zresztą w jego niepewności szukać przyczyny tego milczenia. Chciałby on być pozostać, ale postrzegał całą trudność przeżywania się i zachowania swych komunikacji. W razie wystąpienia

wołałby pochód na północ, który miałby pozór kroków zaczepnych; ale zła pora roku, ukazanie się nad niższym Dnieprem admirała Czyczagowa, zmuszały go gwałtem skierować się na południe i pochód na Kaługę, zatrzymanie się w tej bogatej prowincji, pozostawiając garnizon w Kremlu i postawiwszy księcia Belluny w Jelnie dla utrzymania komunikacji ze Smoleńskiem, zdawało się mu być ostatecznie planem najlepiej zastosowanym do okoliczności. Skłaniał się więc do wykonania tego planu, ale niepewna nadzieja otrzymania z Petersburga odpowiedzi, jakkolwiek liczył na nią mało, powolność wysyłek z powodu braku powozów, piękna pogoda, która ciągle trwała, jak gdyby natura była współniczką Rossjan w ośzukiwaniu nas, wreszcie wstręt jaki czuł zawsze w wysokim stopniu do ruchu wstecznego, zatrzymały go jeszcze cztery czy pięć dni i miał już wydać swe ostatnie rozkazy do pochodu na Kaługę, kiedy 18go października wypadek nagły i ważny położył koniec tej optakaniej zwłoce.

Jakoż 18go, w pogodny ranek robił przegląd korpusu marszałka Neja, kiedy w tém posłyszano głucho wystrzały armatnie, w kierunku południowym, po drodze kałuskiej. Wkrótce oficer wysłany z Winkowa doniósł, że Miurat, polegając na umowę słowną zawartą z nieprzyjacielem, że w razie rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, jeden drugiego kilką godzinami uprzędzi, został napadnięty zniemacka tego rana przez całą armję rossyjską i że swoim zwyczajem wyszedł obronną ręką dzięki swojemu męztwu i szczęściu, ale nie bez straty ludzi i armat. Oto zresztą szczegóły tego co tam zaszło.

Od niejakiego czasu widziano posiłki przybywające do armji rossyjskiej i z wystrzałów ciągłych broni ręcznej łatwo można było wnosić, że stary Kutuzow wprawiał swoich rekrutów dla wcielenia ich do swych bataljonów. Pozbywszy się Barklaj de Tollego i Bagracjona, pozostawał mu jeszcze jeden niedogodny krytyk jego działań, Benning-sen, od którego starał się takóž uwolnić, a przynajmniej wpływ jego unieważnić, ażeby tém swobodniej działać według własnego natchnienia. Pomysł jego, bardzo roztropny, zależał na wzmocnieniu w cichości swojej armji, podczas kiedy armja francuzka coraz bardziej się zmniejszała, na nieczynieniu nic nagle, na nieryzykowaniu niczego z nieprzyjacielem takim jak Napoleon i na wystąpieniu przeciw niemu wtedy tylko, kiedy skutkiem klimatu pozostanie mu zaledwo jedna czwarta część jego sił. Chciał nawet oddać go zupełnie na pastwę klimatowi, tak, żeby nie prawie nie pozostało do czynienia jego żołnierzom, do tego stopnia lubił działać na pewno i tak dalece lękał się swojego przeciwnika! Rzeczy dotąd szły tak jak on sobie życzył.

Otrzymał dwadzieścia kilka pułków kozaków, wszystko starych żołnierzy, pomoc bardzo wielkiej wagi w razie ścigania nieprzyjaciela. Przybyły do niego także liczne partje rekrutów, które wcielił do swoich pułków. Wielu żołnierzy zabłąkanych lub lekko ranionych powróciło do głównej kwatery, tak, że w połowie października liczył już około 80,000 żołnierza piechoty i jazdy regularnej, oraz 20,000 wybornych kozaków. Stosownie do zamiarów Cesarza Aleksandra, nie odpowiedział nic Napoleonowi, ażeby przedłużyć pobyt Francuzów w Moskwie.

Pomimo swego postanowienia nierozpoczynania jeszcze działań, położenie Miurata musiało go znieść, gdyż jak powiedzieliśmy, Miurat znajdował się pośrodku wielkiej równiny, za wąwozem Czernisznją, prawe skrzydło mając osłonięte częścią głęboką tego wąwozu, ciągnącego się aż do Nary, ale lewe całkiem odsłonięte, gdyż z tej strony Czernisznia mając mało głębokości, nie była znaczną przeszkodą dla napadu nieprzyjaciela. Korzystając z lasu rozciągającego się pomiędzy dwoma obozami i który mógł ukrywać ruchy armji rosyjskiej, łatwo było wystąpić na lewe skrzydło Miurata, obejść go, odciąć od Woronowa i może zniszczyć jego korpus, który zawierał w sobie, oprócz piechoty Poniatowskiego, całą prawie jazdę francuzką.

Odważny pułkownik Toll obejrzawszy tę pozycję razem z jenerałem Benningsen, zapronował rozpocząć odnowienie kroków nieprzyjacielskich tém śmiałym natarciem, które gdyby się udało, Napoleon zostałby tak osłabionym, że popadłby nagle w znaczną niższość liczebną w stosunku do armji rosyjskiej. Chociaż mocno zdecydowany nie ryzykować niczego, Kutuzow zwyciężony prawdopodobieństwem pomyslnego skutku, naleganiem pułkownika Toll i obawą użyczenia Benningsenowi broni przeciw sobie, zgodził się na podawaną propozycję. W skutku tego, 17go października wieczorem, jenerał Orłow-Denisow, z wielką masą jazdy i kilką pułkami strzelców pieszych oraz jenerał Baggowut z całą swoją piechotą, otrzymali rozkaz posunięcia się skrycie przez las znajdujący się pomiędzy dwoma obozami, i wystąpienia znięcka na lewe skrzydło Francuzów, podczas kiedy główna armja rosyjska poszłaby z frontu na Winkowo.

Po ułożeniu tego planu wykonano go w nocy 17go, i 18go rano jenerał Sebastjani został napadnięty znięcka. Na naszym lewym skrzydle jazda lekka rozproszona dla zaopatrzenia się w furaz, była odpartą po za wąwóz poczynający się w Czerniszni; we środku piechota nasza, przebudzona z nagła we wsiach, gdzie stała na leżach,

rzuciła się do broni i zaczęła strzelać z ręcznej broni wzdłuż tegoż samego wąwozu Czerniszni, głębszego już w tém miejscu. Straciliśmy tam kilka dział, kilkuset więźniów, dość znaczną ilość bagażów, ale książę Poniatowski i generał Fryderyks z piechotą wstrzymali pochód Rossjan na nasz front i na lewe skrzydło znienacka napadnięte. Miurat naprawiając zawsze na polu bitwy nieostrożność swych dowódców i swoją własną, wykonał szarże kawaleryjskie tak liczne, tak dobrze skierowane, tak silne, że rozgromił jazdę Orłowa-Denisowa, rozproszył i porąbał szablami cztery bataljony piechoty. Dzięki tym cudom waleczności, dzięki takż mylnym obrotom Rossjan, którzy działali z pewnym wahaniem się, zawsze w obawie znaleźć przed sobą samego Napoleona, Miurat mógł się cofnąć bez znacznej szkody na Woronowo, zwycięzca tyleż co zwyciężony i mając w swém posiadaniu drogę do Moskwy prowadzącą. Stracił on blisko 1500 żołnierza, i położył trupem 2,000 Rossjan. Ci prócz tego ponieśli znaczną stratę w osobie mężnego generała Baggowuta, który obrażony dotkliwém wyrażeniem pułkownika Tolla, przypadł tuż pod same nasze działa i został tam zabity.

Dowiedziawszy się o tój potyczce świetnej wprawdzie, ale wykazującej niedogodność pozycji Miurata, równie tąż nieprzezorność tak jego własną jak jego dowódców, Napoleon uniósł się gniewem tak przeciw nim, jak przeciw Rossjanom, którzy nie dotrzymali umowy słownej uprzedzenia siebie wzajemnie trzema godzinami pierwój (!). Wypadało ich za to ukarać, a w takim razie, ze wszystkich kombinacji, ta która zależała na udaniu się drogą do Kaługi, zdawała się być nie tylko najlepszą, ale jędyńie możliwą. Napoleon wydał natychmiast rozkazy zmierzające do tego celu, jak o tęp już wspomnieliśmy wyżej. Książę Eugienjusz, marszałkowie Nej i Dawu, gwardja cesarska, miały po południu 18go października poczynić wszystkie swe przygotowania do wyruszenia nazajutrz rano, złożyć na wozy przeznaczone dla ich korpusów i na te, któreby się sami wystarali, żywność, jaką podobna byłoby przewieźć i która mogłaby wystar-

(1) Według p. Michajłowskiego-Danilewskiego, umowy takiej pomiędzy obu wujującami stronami bynajmniej zawartej nie było, zgodzono się tylko na to, żeby w przednich strażach nie strzelano do siebie wzajemnie bez potrzeby, zatem Miurat porażkę swoją powinien był przypisać nie wiarołomstwu księcia Kutuzowa, ale własnej swój nieostrożności. Zresztą autor ten podaje liczbę zabitych i ranionych w tęp bitwie ze strony rosyjskiej tylko 500 ludzi; Francuzów zaś wzięto w niewolę 1,500; nadto, zabrano im 38 dział, 40 jaszczków z amunicją i znaczną część czożu. (Opis wojny 1812 r. T. III, str. 231, 232). Przyp. Tłóm.

czyć na przeżywanie całej armji przez dwanaście lub piętnaście dni, potem wystąpić z Moskwy i stanąć na biwakach za bramą kałuską, ażeby można było wykonać silny marsz dnia 19go. Nie myśląc bynajmniej opuszczać całkiem Moskwy i chcąc zachować możność zatrzymania tego stanowiska, powrócenia nawet do niego w razie potrzeby, Napoleon zalecił marszałkowi Mortje rozlokować się tam blisko z 10 tysiącami żołnierza, w jakowej liczbie było 4000 młodej gwardji, 4000 kawalerzystów bez koni, reszta kawalerzyści konni i artyllerja. Rozkazał mu napełnić prochem przygotowane przedtém miny, ażeby wysadzić w powietrze Kreml za pierwszym rozkazem, zgromadzić tam tymczasem wszystko to z zapasów, oraz z ludzi rannych lub chorych, co nie mogło być jeszcze wysłane do Smoleńska. Co do rannych, którzy nie mogli ani iść, ani być przewiezionemi, kazał ich umieścić w szpitalu podrzutek, wyratowanym z pożaru i oddał ich pod opiekę zacnego generała Tutolmina, na którego wdzięczność mógł liczyć. Zalecił takż generałowi Żiuo zostawać w gotowości do opuszczenia Możajska za pierwszym rozkazem i wyruszenia do Smoleńska. Napisał do gubernatora smoleńskiego, żeby wysłał do Jelni dywizję złożoną z bataljonów pochodowych, pod dowództwem generała Baragie d'Ille, a księciu Belluny być gotowym odprawić się samemu za tą dywizją. Jednym słowem, rozporządził wszystko na wypadek albo prostego ruchu na Kaługę, z zatrzymaniem Moskwy, albo ostatecznego odwrotu na Witebsk i Smoleńsk. Po wydaniu tych rozkazów przygotował się do opuszczenia Moskwy, armja téż była gotową do wystąpienia w przekonaniu, że już nie ujrzy więcj tej stolicy.

Przepędzono całą noc na ładowaniu wozów żywnością i bagażami, i na przebywaniu zrujnowanych ulic Moskwy dla zajęcia pozycji pochodowej blisko bramy kałuskiej. Nazajutrz 19go października, pierwszego dnia tego odwrotu na zawsze pamiętnego z powodu nieszczęść i bohaterstwa, które go odznaczyły, wojsko wyruszyło w pochód. Korpus księcia Eugienjusza szedł pierwszy, korpus marszałka Dawu drugi, korpus marszałka Neja trzeci. Gwardja zamykała pochód. Jazda pod Miuratem, Polacy pod księciem Poniatowskim, dywizja marszałka Dawu pod generałem Fryderyksem, znajdowali się w Woronowie, naprzeciw tylnych straż rossyjskich. Jedna dywizja księcia Eugienjusza, oraz generała Brussje, zajęły były od kilku dni pozycje na nowej drodze kałuskiej, przechodzącej pomiędzy dawną drogą kałuską, którą szła główna armja, a drogą smoleńską. Armja przedstawiała dziwny widok. Żołnierze, jak powiedzieliśmy, byli zdrowi i mocni, konie zaś chude i osłabione. Ale tylna część armji przedsta-

wiała nadewszystko widok nadzwyczajny. Za ogromną ilością wozów artylleryjskich, których potrzeba było dla sześciuset dział obficie zaopatrzonych, szły massy bagażów takie jakich nigdy nie widziano od czasów barbarzyńskich, kiedy na całej powierzchni Europy ludy całe przemieniały miejsce, szukając nowych siedzib. Obawa żeby nie zabrakło żywności skłaniała każdy pułk, każdy bataljon do obładowania wozów krajowych wszystkiem co potrafili się wystarać w chlebie lub mące, i ci którzy zachowali tę ostrożność nie byli najbardziej obciążonemi. Inni przydali do bagażów łupy zebrane podczas pożaru Moskwy, a wielu żołnierzy napełniło nimi swe tornistry, jak gdyby ich siły mogły wystarczyć na dźwiganie razem swęj żywności i zdobyczy. Wielu officerów zabrało z sobą drążki Rossjan, i obładowało je żywnością i odzieniem ciepłym, ażeby się zabezpieczyć przeciw głodu i zimnu. Wreszcie, rodziny francuzkie, włoskie, niemieckie, które ośmieliły się pozostać z nami w Moskwie, lękając się powrotu Rossjan, wołały nam towarzyszyć, i tworzyły pewien rodzaj kolonji całej we łzach, postępującej za armją. Do tych rodzin przyłączyło się także wielu aktorów, oraz nieszczęśliwych kobiet, które żyły w Moskwie z nierządu, a lękających się zarówno gniewu mieszkańców po powrocie ich do miasta. Liczba, rozmaitość, dziwny kształt tych powozów, wózków, koczów, drążek, berlinek, ciągniomych przez ladajakie konie, obładowanych worami mąki, odzieniem, meblami, choremi, kobietami i dziećmi, przedstawiały widok dziwaczny i niepokoily swoim ogromem, gdyż zapytywano się jakim sposobem można będzie czynić obroty z podobną massą bagażów, a nadewszystko jakim sposobem bronić się przeciw kozakom. Chociaż po szerokiej drodze kałuskiej wozy szły ośmią rzędami, i ciąg ich nie był na chwilę przerwany, wystąpienie, rozpoczęte rano 19go, trwało jeszcze wieczorem. Napoleon zdziwiony, rozgniewany, zatrwożony prawie na ten widok, chciał najprzód zapobiedz téj niedogodności, ale zastanowił się że pochód, wypadki zdarzające się po drodze, spożycie codzienne pokarmów, zmniejszą wkrótce tę ilość bagażów, że bezpożyteczną więc było rzeczą zasmucać ich właścicieli surowemi środkami, które miała zastąpić w prędkim czasie sama konieczność, nadto, że w razie bitwy powozy te posłużyłyby do przewożenia rannych, i z tych powodów zezwolił każdemu zabierać z sobą co mu się podobało. Rozkazał tylko zostawić pewną przestrzeń pomiędzy kolumnami bagażów a kolumnami żołnierzy, ażeby armja mogła swobodnie czynić obroty. Sam on wystąpił z Moskwy ledwo nazajutrz, chcąc czuć osobiście nad ostatniemi szczegółami wystąpienia, i spodziewając się

w każdym razie z łatwością dognać konno ezóło armji, skoro obecność jego tam byłaby potrzebną.

W tym pierwszym dniu 19go, użytym na wystąpienie z Moskwy, nie odbyto prawie nic drogi. Po przybyciu na wzgórze panujące nad Moskwą, zatrzymano się dla rzucenia ostatniego spojrzenia na to miasto, kres ostateczny naszych bajecznych podbojów, kres pierwszy naszych ogromnych klęsk. U podnóża pagórków, na które byliśmy wstąpili, dawała się widzieć szeroka i nieskończona kolumna naszych bagażów, za niemi złożone kopuły wielkiej stolicy rossyjskiej, te przynajmniej których pożar nie pochłonał, a w głębi tego obrazu niebo najczystsze. Spojrzano raz jeszcze na te przedmioty, których nie miano już oglądać, i przedłużano dalej drogę z chęcią dostania się co najprędzej do granic Polski i Niemiec, z których przebycia przedtém cieszą się, dziś żałowano że się tak daleko za nie posunięto. Niebo zresztą było ciągle zupełnie pogodne, miano podostatkiem żywności, i żartowano sobie z nieprzyjaciela. Tego pierwszego dnia odbyto za ledwo trzy czy cztery mile drogi. Miano odbyć jęj więcej dnia następującego.

Nazajutrz 20go pogoda była ciągle piękną, i po odbyciu przyspieszonego marszu rozłożono się obozem pomiędzy Desną a Pakrą. Napoleon opuściwszy rano Moskwę, przybył w krótkim czasie do zamku troickiego, i tam widząc położenie obu armij, rozważywszy odebrane wiadomości, powziął nagle postanowienie najważniejsze. Wystąpił on z Moskwy nie w myśli rozpoczęcia odwrotu, ale z zamiarem ukarania nieprzyjaciela za podejście pod Winkowem, odparcia go za Kaługę, rozlokowania się potém w tém mieście, wyciągając jedną rękę wojskom przybyłym ze Smoleńska do Jelni, a drugą podając marszałkowi Mortje pozostawionemu w Kremlu. Na widok miejscowości i pozycji nieprzyjaciela, zmienił jednym razem swe postanowienie, z godną podziwu prędkością. Jakoż, były dwie drogi prowadzące do Kaługi, jedna na prawo, równoległa do drogi smoleńskiej, zwana drogą nową, przechodząca przez Szerepawo, Fominskoje, Borowsk, Mało-Jarosławiec, wolna zupełnie od nieprzyjaciela, zajęta przez dywizję Brussje, i przechodząca nadto przez okolice, które nie były spustoszone; druga ta, po której szliśmy, przechodziła przez Desnę, Gorki, Woronowo, Winkowo, Tarutino, i na nięj Rossjanie byli silnie rozpołożeni w obozie przygotowanym oddawna. Dla wyparcia ich ztamtąd, należało stoczyć wielką bitwę, a korzyść wygrania jęj nie odpowiadała stracie dwunastu albo piętnastu może tysięcy ludzi, i prowadzenia z sobą, albo porzucenia na drodze z dziesięciu tysięcy rannych.

Korzystniej więc zapewne było, przejść w pobliżu armji rosyjskiej nie będąc postrzeżonym od niej, ukryć przed nią swój zamiar, zwracając się nagłym zwrotem na prawo, z staréj drogi kałuskiej na nową, udać się przez Fominskoje, Borowsk, Mało-Jarosławiec, i zostać tym sposobem wolnym od napaści po oszukaniu zupełném nieprzyjaciela. Ten obrót tak zręczny, tak szczęśliwy, w razie gdyby się udał, byłby tryumfem wyrównującym najświetniejszemu zwycięztwu, i okryłby wstydem jeneralissymusa rosyjskiego, gdyż bez bitwy w jego prawie oczach dostalibyśmy się na drogę kałuską, odzyskalibyśmy nasze narażone na niebezpieczeństwo komunikacje, i opanowalibyśmy strony najżyźniejsze, jakie tylko można napotkać w tym klimacie i w tój porze roku. Ale to postanowienie pociągało za sobą inne, to jest, opuszczenie ostateczne Moskwy. Kiedy wychodziliśmy z niej dla pobicia Rossjan, dla odparcia ich dalej, droga z Moskwy do Kaługi zostawała, że tak rzec można, oswobodzoną z ich obecności, i gdyby cofnęli się na Moskwę po pobiciu ich przez nas, odwrót ich ku tój stolicy po wielkiej przegranej, nie mógł nam stawić przeszkody w utrzymywaniu z nią komunikacji. Ale unikając ich w miejscu zwyciężenia, pozostawiając ich pomiędzy Moskwą a sobą z stu tysiącami żołnierza niekniętego, nie mogliśmy już zatrzymać marszałka Mortje w Kremlu, gdyż nie podobna byłoby podać mu pomoc. Zresztą, po dwóch dniach tego pochodu, widząc ten ogrom Łagażów, będąc ściganym z boku i z tyłu przez tłumy kozaków, wyrwawszy wreszcie swe ciało, swą duszę, swą pychę nadewszystko z Moskwy, Napoleon był skłonniejszym do ostatecznego jój opuszczenia, i przywodząc do skutku swój zamiar z prędkością wielkiego wodza, tegoż samego wieczora wysłał z zamku troickiego rozkaz marszałkowi Mortje opuścić Moskwę z dziesięcią tysiącami żołnierza jemu powierzonego, wysadzenia w powietrze Kremlu za pośrednictwem min wcześniej przygotowanych, i zabrania z sobą ile można najwięcej chorych i rannych, przypominając mu, że w Rzymie dawano nagrody za każdego obywatela, którego ocalono wolność lub życie. Wskazywał mu drogę werejską jako tę przez którą mógłby się połączyć z armją, naznaczał mu termin 22go lub 23go października na zapalenie min, to jest, kiedy nasz pochód boczny byłby prawie ukończony i zalecił jenerałowi Żiuno opuścić Możajsk z ostatnimi kolumnami rannych udając się drogą do Smoleńska, którą armja miała zasłaniać swą obecnością na nowéj drodze kałuskiej.

Po wysłaniu tych rozkazów odnoszących się do opuszczenia Mo-

skwy, Napoleon zajął się wydaniem tych, które się tyczyły ruchu z lewa na prawo, jaki armja miała wykonać, ażeby się zwrócić ze stariej drogi kałuskiej na nową. Wybrał dla uskutecznienia tego ruchu drogę poprzeczną z Gorek do Fomińska przez Ihnatowo, i zalecił księciu Eugienjuszowi, który miał już część swojej jazdy i dywizję Brussje w Fomińsku, ażeby przeszedł pierwszy tą drogą, marszałkowi Dawu żeby przeszedł po nim, a gwardji żeby przeszła ostatnia. Marszałek Nej, pozostawszy w Gorkach z swoim korpusem, z dywizją polską Klapared i częścią jazdy lekkiej, miał zająć przed Woronowem miejsce Miurata, wystawiać się na pokaz przed przedniemi strażami rossyjskimi, wysyłać podjazdy ku Podolskowi, żeby dać powód do rozmaitych przypuszczeń, nawet do przypuszczenia ruchu w lewą naszą stronę, i odegrywać ten rodzaj komedji do wieczora dnia 23go, ażeby oszukiwać jak można najdłużej Rossjan, i zapewnić naszym bagażom czas do swobodnego przejścia. Po odegraniu téj roli, marszałek Nej miał w nocy 23go wyruszyć sam, dla przejścia ze stariej drogi kałuskiej na nową, wykonać marsz przyspieszony, stanąć 24go rano w Ihnatowie, 24go wieczorem w Fomińsku, 25go w Mało-Jarostawcu, co było dostatecznym ażeby ten piękny obrót został uskuteczonym.

Napoleon nigdy nie był lepiej natchnionym, ani skorszym w swoich pomysłach, i miał w tym razie wiele nadziei otrzymania powyższego skutku, prócz jednej tylko trudności, która od niejakiego czasu stawała się zwykłym kamieniem obrażenia dla wszystkich jego planów, to jest, czynienia obrotów z tak ogromną ilością ludzi i bagażów. Wielka sztuka prowadzenia wojny była ściśle przez niego zachowaną, ale wykonaniu jego zamiarów stawały na przeszkodzie ogromne rozmiary, jakie nadawał wszystkim rzeczom. Z armją taką jaką dowodził we Włoszech, albo jaką dowodził generał Moro w Niemczech, taki ruch by się udał, i byłby jednym z najwięcej przynoszących zaszczytu dla tego, który myśl tę powziął. Ale z tém wszystkiém co Napoleon prowadził za sobą, było to rzeczą niezmiernie trudną. Potrzeba dodać, że lepiejby było chwycić się tego środka w Moskwie samój, pójść wtedy nową drogą kałuską, pozostawiwszy Miurata na stariej drodze, dla oszukania tam nieprzyjaciela przez swą obecność, przybyć z główną armją do Mało-Jarostawca dwoma dniami wczesniej, i zapewnić sobie tym sposobem przejście bez bitwy po drodze kałuskiej. Ale do tego potrzeba było żeby Napoleon zdecydował się już w Moskwie samój do odwrotu, gdy tymczasem on wystąpił z niej tylko w zamiarze manewrowania, i powziął ostateczny zamiar opu-

szczenia jój tylko na widok miejscowości, uznając możliwość obrotu śmiałego, postrzegając zręczność okupienia niekorzystnego wrażenia ruchu wstecznego świetną korzyścią umiejętnego obrotu, obrotu, który bez bitwy przywróciłby mu jego komunikacje, odkryłby mu bez żadnej z jego strony ofiary stronę obfitą i dogodną do przezimowania, i wystawiłby na szyderstwo Europy nieprzyjaciela, któryby mu dozwolił przemknąć się.

Oto jakim dziwnym sposobem Napoleon skłonił się wreszcie do rozpoczęcia odwrotu i do opuszczenia, że tak rzec można, niespodzianie Moskwy, pomimo woli, skutkiem nagłego chwilowego natchnienia. Po uczynieniu téj ofiary, ofiary której wynagrodzeniem miał być pochód dziwnie śmiały i zręczny, przepędził dzień pomiędzy Troickiem a Krasną Pakrą, chcąc być obecnym przy przejściu swojej armji, która przedstawiała ciągle widok szczególny i rodzący wielką obawę z powodu mnóstwa bagażów ciągnących się z tyłu. Przy przebyciu każdego wąwozu, każdego małego mostu, który najczęściej należało naprawiać lub wzmacniać, przy przejściu każdej wsi, której należało przebywać długą ulicę, kolumny przedłużały się dla przebycia tych ciasnych miejsc, opóźniały się wkrótce w sposób zatrważający, tak że można było przewidzieć iż w razie ścigania przez niezliczoną jazdę lekką, armja narażoną będzie na wielkie niebezpieczeństwo. Zresztą, kozacy byli jeszcze trzymaní w pewnej odległości, na lewo skutkiem obecności Neja na starej drodze kałuskiej, na prawo przez zajęcie drogi smoleńskiej, i dotąd nie doznawano żadnej przykrości od ich napadów. Pogoda nie przestawała być piękną, żywności było podostatkiem, gdyż oprócz tego że miano jój nie mało z sobą, znajdowano dostateczną jój ilość we wsiach. Ale już znaczna liczba powozów porzuconych z powodu że nie można było przebyć z niemi ciasnych miejsc, albo że wojska przyspieszając swój pochód porzucały je na prawo i na lewo drogi, zawodziły przezorność tych, którzy chcieli zabezpieczyć się od potrzeb, lub chciwość tych, którzy spodziewali się zachować łupy zabrane w Moskwie.

Ponieważ korpus księcia Eugienjusza był bardzo zmęczonym 21go długim marszem wykonanym poprzeczną drogą z Gorek do Fomińska,znaczono mu dzień 22gi na odpoczynek, na ściągnięcie opóźnionych i bagażów, oraz na połączenie się z pięcią dywizjami marszałka Dawu, z którymi utworzyłby masę 50.000 żołnierza piechotnego, pierwszego w świecie, zdolnego stawić czoło jakiemubądź nieprzyjacielowi. Napoleon, przenocowawszy 21go w Ilnatowie, przybył 22go do Fomińska i wysłał nieco dalej w prawo na miasto Wereję księcia Po-

niałowskiemu, ażeby mieć bardziej zapewnioną komunikację z drogą smoleńską, którą odprawiały się wszystkie nasze partje rannych i sprzętu wojennego pod ochroną generała Żiuno.

23go książe Eugienjusz mając dywizję Delzon i jazdę Gruszy na czele, dywizję Brussje po środku, dywizję Pino i gwardję królewską włoską w tylniej straży, stanął w Borowsku. Pozostawało tylko jeden krok zrobić dla dokonania obrotu, którego myśl Napoleon powziął 20go wieczorem, gdyż w Borowsku zostawano na nowej drodze kałuskiej, właśnie na tejże samej wysokości co Rossjanie na drodze starej w obozie pod Tarutynem, a dla wyminięcia tej wysokości należało tylko opanować małe miasteczko Mało-Jarostawiec. To miasteczko leżało za rzeką zwaną Łuża, błotnastą jak wszystkie te, które przezrzucają te równiny nieznacznej pochyłości. Z rozkazu Napoleona, książe Eugienjusz kazał przyspieszyć kroku generałowi Delzon i posunąć się za Borowsk, gdzie armja przybyła dość wczesnie, ażeby wejść tegoż samego dnia do Mało-Jarostawca. Generał Delzon przybył tam bardzo późno, znalazł most na Łuży zniszczony, pośpieszył z przeprawieniem jak mógł dwóch bataljonów dla wrzucenia ich do miasta strzeżonego przez kilka niewielkich oddziałów i z saperami armji włoskiej zajął się niezwłocznie naprawieniem mostu. Nie chciał przeprowadzać całej swojej dywizji za Łuzę, dopóki most nie byłby naprawionym. Całą noc zajmowano się tą robotą.

Podczas kiedy ten piękny ruch miał być dokonany, armja rosyjska pozostawała w obozie pod Tarutynem, nie wiedząc nic jakie ją miało spotkać upokorzenie. Przypuszczała ona tylko, że Napoleon ma zamiar atakować i zdobyć Tarutyno, w odwet za podejście pod Winkowem. Jednakże gdy oddziały lekkie generała Dorochowa dały znać o obecności w Fomińsku dywizji Brussje, która zajmowała od kilku dni nową drogę kałuską, jeneralissymus Kutuzow wyobraził sobie, że ta dywizja nie miała innego celu jak połączyć wielką armję Napoleona, bardzo wyraźnie spostrzeżoną na starej drodze kałuskiej z wojskami idącymi po drodze smoleńskiej i postanowił zachwycić tę dywizję, której stanowisko uważał zanadto ryzykowne. Poruczył to generałowi Dochturowemu dowodzącemu 6tym korpusem. Generał Dochturow przybywszy do Arystowa 22go, postrzegł przed sobą znaczniejsze siły niż jedną dywizję; jednocześnie oddziały partyzantów postrzegły wojska odbywające ruch poprzeczny z Krasnej Pakry do Fomińska i uwiadomiły o tém jeneralissymusa Kutuzowa rano 23go. Ten ostatni z takowych wskazówek wniósł, że Napoleon opuściwszy

starą drogę kałuską myślał przejść na nową i obejść obóz pod Taruty-nem. Zatrzymać Napoleona w Borowsku nie było już rzeczą podobną. Nie można mu było inaczej zagrozić drogi jak udając się do Mało-Jarostawca za Łużę. Jeneraliszymus Kutuzow rozkazał więc jenerałowi Dochturowemu skierować się tam co prędzej z Arystowa, a sam pospieszył zgromadzić armję rossyjską dla poprowadzenia jej przez Letaszewkę do Mało-Jarostawca, którego posiadanie miało rozstrzygnąć koniec téj pamiętnej kampanji.

24go jenerał Dochturow przebywszy Protwę, w którą wpada Łuża poniżej Mało-Jarostawca, przybył o świcie pod sam Mało-Jarostawiec, zajęty przez dwa bataljony jenerała Delzon. Następne było położenie miejsca, na którym miano stoczyć walkę.

Mało-Jarostawiec leży na wzgórzach, u podnóża których płynie Łuża w korycie błotnistém. Francuzi przybywając z Moskwy, mieli do przebycia Łużę, potem musieli się wędzić na wzgórze i utrzymać się w Mało-Jarostawcu. Rossjanie przeszedłszy w lewo na drugą stronę rzeki, musieli tylko wkroczyć do małego miasteczka będącego przedmiotem krwawej walki mającej się stoczyć, odpręć nas za to miasteczko, zrzucić potem z wyżyn do łożyska płynącej u dołu Łuży. Jenerał Dochturow korzystając z zagięć wzgórzy, ustawił po prawém i lewém ręką baterje, które dając ognia wzdłuż mostu na Łuży, miały nas osypywać kulami, czy to podczas przebywania przez nas mostu dla wdarcia się na wzgórze, czy to w czasie zstępowania z tych wzgórzy ku mostowi.

O piątój godzinie rano 24go października zaatakował dwa bataljony jenerała Delzon czterema pułkami strzelców i wyparł je bez trudności, gdyż miał ośm bataljonów przeciwko dwóm. Jenerał Delzon, którego książę Eugienjusz gotował się wesprzeć z całym swoim korpusem, pospieszył przebyć most, wędzić się na wzgórze pod ogniem ukośnym artyllerji rossyjskiej i wejść napowrót do Mało-Jarostawca. Wkroczone tam z spuszczonei bagnetami i wyparto z tamtąd Rossjan. Jenerał Dochturow powrócił tam znowu ze swoim korpusem całym, liczącym w sobie od 11 do 12tu tysięcy żołnierza, podczas kiedy Delzon miał ich zaledwo 5 do 6 tysięcy i potrafił odeprzeć wojsko francuzkie. Mężny Delzon poprowadził je znowu naprzód ze szpadą w rękę i padł śmiertelnie raniony trzema kulami. Brat jego, służący razem z nim i kochający go jak na to zasługiwał, rzucił się na jego ciało dla wyrwania go z rąk Rossjan i padł także ugodzony kulami. Rój powstał zacięty i dywizja Delzon została znowu odpartą. Ale

książe Eugenjusz wysłał natychmiast generała Gillemino, swojego szefa sztabu, dla zastąpienia miejsca generała Delzon i nadbiegł sam z dywizją Bru-sje, ażeby odnowić bitwę, pozostawivszy w rezerwie, z drugiej strony Łuży, dywizję Pino z gwardją włoską.

Dywizja Brussje wdarła się pod straszliwym ogniem na pochyłość pokrytą trupami dywizji Delzon, wpadła do miasteczka Mało-Jarostawca, odparła z ulicy w ulicę wojsko Dochturowa i zmusiła je do cofnięcia się na równinę. Ale w tej chwili korpus generała Rajewskiego wyprzedzivszy armję rossyjską, stanął u wnijscia do miasteczka, rzucił się on natychmiast wewnątrz niego z nadzwyczajną natarczywością. Rossjanie mając swych generałów na czele, walczyli zapamiętanie dla przecięcia Francuzom tego pożądanego dla nich odwrotu na Kaługę; Francuzi ze swój strony bili się z pewnym rodzajem rozpaczv dla otworzenia sobie drogi i chociaż było ich nie więcej jak dziesięć lub jedenaście tysięcy przeciwko dwudziestu czterem tysiącom i przemagającej artylerji, nie ustępowali kroku. To nieszczęśliwe miasteczko objęte wkrótce płomieniem, przechodziło z rąk do rąk sześć razy. Walczono pośród ognia pożerającego rannych i zwapniającego ich trupy. Nakoniec po raz ostatni mieliśmy już uledz, kiedy dywizja włoska Pino, która nie była jeszcze w boju podczas tej kampanji i pałała żądzą odznaczenia się, przebyła most, wdarła się na wzgórze, wystąpiła za równinę pomimo gęstego gradu kartaczów i posunąwszy się na lewo miasteczka, potrafiła odeprzeć massy piechoty rossyjskiej. Korpus Rajewskiego rzucił się na nią; ale ona stawiała mu czoło i rozpoczęła się zacięta walka na bagnety. Mężna dywizja Pino potrzebowała wsparcia. Strzelcy gwardji włoskiej nadbiegli ze swój strony i wsparli ją dzielnie. Tym sposobem po raz siódmy Mało-Jarostawiec odzyskany przez Francuzów z pomocą Włochów, pozostał w naszej mocy. Tysiące poległych okrywało to okropne pole bitwy i zapełniało dymiące się gruzv Mało Jarostawca.

Dzień miał się ku schyłkowi, a bitwa jeszcze wrzała i nie nie zapowiadało, że punkt tak zawzięcie broniony zostanie w naszym ręku, gdyż Napoleon stojąc na przeciwległym brzegu Łuży, naprzeciw pola bitwy, mógł widzieć głębokie massy armji rossyjskiej przybywające marszem przyspieszonym. Szczęściem dwie dywizje 1go korpusu przybywały pod dowództwem marszałka Dawu i z tą pomocą miano pewność oparcia się wszelkim usiłowaniom nieprzyjaciela. Z rozkazu Napoleona dywizja Żerar (dawniejsza dywizja Giudę) posunęła się na prawo Mało-Jarostawca, dywizja Kompan na lewo i wtedy Rossjanie stracili nadzieję wyparcia nas, gdyż widzieli takóv z równiny, którą

zajmowały massy nasze żwawo postępujące, cofnęli się więc o małą miłą w tył, pozostawiając nam Mało Jarosławiec, okropny teatr rzezi, gdzie cztery tysiące Francuzów i Włochów, sześć tysięcy Rossjan leżało poległych, jedni spaleni, drudzy rozbici na miazgę kotami dział, które w pośpiechu podczas bitwy toczone były po trupach. Nie było okropniejszém nawet pole bitwy pod Borodynem około wielkiej reduity. Tu oprócz rozlewu krwi był jeszcze pożar, który dodawał okropności téj przerażającej scenie.

Biwakowano z sercem ściśnioném myśląc o tém co miało zajść nazajutrz. Napoleon leżał obozem nieco dalej za Łuzą, we wsi Horodni. Ten piękny obrót, który spodziewał się wykonać pomyślnie i który wykonałby bez wątpienia, gdyby był na czele mass mniej licznych, nie był już podobnym do skutecznienia bez stoczenia wielkiej bitwy, którą wygrałby niewątpliwie z wojskiem umiejącém walczyć w stosunku jednego przeciw trzem, ale postrzegał już od czterech dni czém mógł się stać podobny odwrót, przy nagromadzeniu tak znacznej ilości bagażów, przy napadach niezliczonej jazdy lekkiej i drzał na myśl, że będzie musiał prowadzić za armją z dziesięć tysięcy rannych. W tym dniu nagromadziło się ich już najmniej dwa tysiące, gdyż reszta albo poumieraa, albo nie mogła być przewiezioną i musiała z wielką boleścią wszystkich, porzuconą być na widowni ich chlubnego poświęcenia się. Przepędził więc tę noc na roztrząsaniu w swój potężnej głowie, pełnej już okrutnych trosk, okoliczności przyjaznych i nieprzyjaznych, tyjących się upornego marszu na Kaługę i pośpieszył wsiąść na koń 25go rano, dla obejrzenia pozycji, którą Rossjanie zajęli o milę ztamtąd. Opuściwszy wieś Horodnię, otoczony swemi głównemi jenerałami, znajdował się nad brzegiem Łuży, w zamiarze jój przebycia, gdy w tém nagle dały się słyszeć przeraźliwe wrzaski markietanów i markietanek ściganych przez chmurę kozaków, którzy w liczbie czterech do pięciu tysięcy, przeszli Łuzę na prawo od nas, z sztuczném podejściem właściwém tylko téj niezmordowanej jazdy, przebywając rzeki w pław, galopującej na stokach wzgórzy jak na równinie, równie prędkich do ukazania się jak do zniknięcia. Marzeniem ciągłym hetmana Płatowa i całej ludności kozackiej było, schwytać samego wielkiego Napoleona i zaprowadzić go więźniem do Moskwy. Byli pewni, że seciny milionów byłyby wynagrodzeniem za takiego jeńca. i tą razą, gdyby choć jeden z nich znał z twarzy tego, który obudzał w nich taką chciwość, marzenie ich byłoby urzeczywistnioném. Wypuściwszy się na prawo i na lewo, rzucili się z lancami w rękę na or-

szak cesarski i położyliby nie jednego trupem, albo wzięli w niewolę, gdyby Miurat, Rapp, Bessjer i wszyscy oficerowie głównego sztabu, nie porwali szabel do rąk i nie zaczęli walczyć w ściśnionym szeregu około Napolona, który uśmiechał się na widok tego niespodziewanego wypadku. Szczęściem dragoni gwardji postrzegli niebezpieczeństwo. Nadbiegli owątem z mężnym porucznikiem Diulak na czele, wpadli na nacierających, porąbali z nich wielu i odparli resztę ku błotnistemu łożysku Łuży, do którego ci jeźdźcy dońscy rzucili się. Zabrali oni byli kilka dział i nieco wozów z bagażami, które od nich odebrano i odegnano ich ze stratą do miejsc, z których przybyli. Od czasu wyjścia z Moskwy nie widziano ich jeszcze tak blisko, gdyż rozciągłość naszych skrzydeł trzymała ich w oddaleniu. Ale otrzymali oni byli świeże posiłki, składające się z 12,000 jeźdźców, uważanych za najlepszych w ich kraju i można było wnosić, czém się mogą stać dla nas na widok tego co miano wtedy przed oczyma. Seciny koni, które posługacze wojskowi prowadzili do napojenia, wymknąwszy się z ich rąku, biegały tu i owdzie; mnóstwo wozów artylleryjskich i z bagażami, wydobytych z parku gdzie zostawały przez noc, nagromadzonych było bezładnie na równinie; kobiety, dzieci wydawały wrzaski, było to zamieszanie równie zatrważające jak przykre do widzenia.

Napoleon udał, że go to mało obchodzi i przedłużał dalej rekonnesans, który był rozpoczął za Mało-Jarostawcem. Był zdziwiony raczej nizeli wzruszony widokiem tego okropnego pola bitwy, gdyż żaden człowiek w historii nie był świadkiem straszliwszych scen rzezi, i nie oswoił się więcéj z niémi, potem ruszył dalej dla obejrzenia z bliska armji rossyjskiej. Roztropny Kutuzow nie mając już za punkt oparcia Mało-Jarostawca, który mu odebraliśmy, lękając się nadto, żebyśmy go nie obeszli z prawej lub lewej jego strony, gdyby się upierał bronić brzegów Łuży; uznał za korzystne obrać pozycję nieco dalej, gdzie był zastłniony głębokim wąwozem i pozostawiał Francuzom, gdyby przyszli go atakować, niedogodność stoeczenia bitwy, mając Łużę po za sobą. Napoleon przebiegłszy tę miejscowość w rozmaitym kierunku i pilnie rozpatrzywszy ją w milczeniu, wówczas kiedy jego dowódczy rozpatrywali ją równie pilnie jak on, powrócił nazad, przebył Łużę i wstąpił do jednej ze stodół wsi Horodni, dla zastanowienia się nad środkami, jakich należało się chwycić i które miały rozstrzygnąć los wielkiej armji, to jest, cesarstwa.

Przedstawił tę kwestję obecnym generałom, i przypuścił ich do objawienia swojego zdania z zupełną swobodą. Trudność położenia

nie dozwalała miejsca ani zachowaniu względów, ani pochlebstwu. Czy należało upierać się, i stoczyć drugą bitwę dla przerznięcia się na Kaługę, czy też należało wprost cofnąć się na prawo ku Możajsku, dla wyjścia na wielką drogę smoleńską, która stała się naszą bezsporną własnością z powodu licznych straży zajmujących ją, i konwojów po niej przechodzących? Nikt nie wątpił że wygranoby bitwę w razie jęj stoczenia, ale należało się lękać straty ze dwudziestu tysięcy ludzi, z których dziesięć tysięcy przynajmniej rannych potrzeba byłoby zabrać z sobą lub porzucić ich. Owoż, w odległości w jakiej się znajdowano od Polski, a nadewszystko od Francji, dojść do pewnego rodzaju równości liczebnej z nieprzyjacielem, było już niebezpieczeństwem, do którego nieroztropnym byłoby przydać stratę piątęj części armji. Zależało odtąd wiele na tém. ażeby nie stracić ani jednego żołnierza napróżno. Nadto, wydać rannych na pastwę włościanom rossyjskim, nietylko było rzeczą rozdzierającą serce, ale wielkim niebezpieczeństwem, gdyż było to demoralizować żołnierza, i powiadać mu że wszelka rana wyrównywała śmierci.

Z drugięj strony, wychodzić przez ruch na prawo na wielką drogę smoleńską, było to skazywać siebie na odbycie stu mil drogi przez okolice, które armje rossyjska i francuzka obróciły już były w pustynię. Zabrano wprawdzie z sobą żywność, ale znaczną jęj część spożyto w ciągu siedmiu dni użytych na odbycie drogi z Moskwy do Mało-Jarosławca, i spożyto by zapewne resztę jęj nimby dostano się do Możajska, dokąd pozostawało jeszcze trzy dni drogi. Zmarnowano tym sposobem na odbyciu niepotrzebnęj drogi dziesięć dni i odpowiedną ilość żywności, a z temi dziesięciu dniami i z tą żywnością, można było, udawszy się wprost drogą smoleńską, zbliżyć się już bardzo do tego miasta, dostać się przynajmniej do Dorohobuża, i tam znaleźć konwoje wysłane na nasze spotkanie! wieczny przedmiot żalu, gdyby żal służył do czego, że poświęcono wyrachowaniom polityki i pychy ten postępek tak prosty, tak skromny, powrócenia tąż samą drogą, którą się przyszło!

Żalu tego każdy doznawał, ale nie była to pora do czynienia wyrzutów. Nie śmianoby nawet tego czynić, i nie godziło się. Na tęg pamiętnęj radzie odbytęj pod dachem lichęj chałupy rossyjskięj, idąc za powszechnęm uczuciem, doradzano bez ograniczenia odwrót najprędszy, najprostszy przez Możajsk i znaną już drogą smoleńską. Przyczyny jakie każdy z doradców miał na ustach, gdyż one mu tkwiły w umyśle, były: pewność osłabienia się zbytecznego w skutku wydanej bitwy śród położenia, w którém każdy żołnierz stawał się droгим,

niepodobieństwo zabrania z sobą dziesięciu lub dwunastu tysięcy rannych, nakoniec, gdyby chciano upornie walczyć dla przebicia się na Kaługę, niebezpieczeństwo widzenia nieprzyjaciela korzystającego z naszych nowych opóźnień, zwracającego się na prawo, i zamykającego nam drogę do Możajaska, ostatnią teraz naszą nadzieję ratunku. Kiedy trwoga opanuje umysły choćby najodważniejsze, to nigdy w polowie. Miano tylko jedną rzecz przed oczyma, to jest, siły rosyjskie zgromadzone w Możajsku dla przecięcia nam drogi do Polski. Jednakże nigdy nie można być odciętym z żołnierzami i oficerami takimi jakich mieliśmy, gdyż zawsze można sobie utorować drogę. Jeden z dowódców Napoleona, który z dzielnością w czynie łączył rzadką stałość charakteru, marszałek Dawu, dzieląc to zdanie że należało wyrzec się przebicia się na Kaługę, objawił jednak opinię pośrednią, to jest, że należało pójść drogą otwartą jeszcze, i która będąc położoną pomiędzy nową drogą kałuską zamkniętą przez Kutuzowa, i drogą smoleńską zamkniętą przez spustoszenie, przechodziła przez Medwin, Juchnow, Jelnię, przez strony nietknięte i obfitujące w żywność. Przy środkach żywności, można było być pewnym utrzymać w całości armję, i powrócić do Smoleńska silnemi, szanowanemi i zawsze straszniemi.

To zdanie niezbyt dobrze zostało przyjęte przez kolegów marszałka Dawu, którzy widzieli jedynie bezpieczeństwo w przejściu najkrótszą drogą, to jest, przez Możajsk, na trakt smoleński. Napoleon nie poparł go swoim głosem, jak powinien był to uczynić, gdyż nie podzielał zdania ani marszałka Dawu, ani innych swoich dowódców. Trwał on w przekonaniu że najlepiej było stoczyć bitwę, przebić się na Kaługę, i rozlokować się zwycięzko w żyznej prowincji, do której wstępu Rosjanie nam bronili z takim wysileniem. Oprócz korzyści odniesienia zwycięstwa, przywrócenia przewagi oręża, już nieco nadwzężonej, widział jeszcze korzyść zostawania w kraju bogatym, i nie wątpił o armji, dopóki ta będzie miała co jeść i gdzie się schronić. Pozostawało wprawdzie niebezpieczeństwo osłabienia siebie liczebnie, co jednak znalazłoby swe wynagrodzenie w pokrzepieniu się moralném, ale pozostawała jeszcze jedna niedogodność, której nie umiał zaradzić, to jest, pozostawienie na polu bitwy dziesięć lub dwunastu tysięcy rannych. Potrzeba powiedzieć na jego pochwałę, że jakkolwiek był przyzwyczajony do okropności wojny, trwożyła go myśl opuszczenia tyłu nieszczęśliwych, pomimo ich wołań i prośb, na drodze otwartej skutkiem ich poświęcenia się. Ach! gdyby księga przeznaczeń została otwartą na chwilę, czy to przed nim, czy przed

otaczającymi go, i gdyby można było z niej ujrzyć sto tysięcy żołnierzy umierających z głodu, zimna i utrudzenia na drodze smoleńskiej, nie wahałby się poświęcić dwudziestu tysięcy rannych dla uniknięcia drogi opustoszonej, a udania się drogą obfitującą we wszystko!

Niepewny, niespokojny, dręczony przeciwnymi widokami, jakie przedstawiała mu bezustannie jego żywa wyobraźnia, wahał się, potem nagle giestem poufałym, którego pozwalał sobie niekiedy z swemi dowódcami, biorąc za ucho hrabiego Lobo, dawniejszego generała Muton, żołnierza szorstkiego i przebiegłego, umiającego z ręcznie milczeć i mówić w porę, zapytał u niego co myślał o rozmaitych wyrzeczonych opinjach. Hrabia Lobo odpowiedział mu natychmiast i bez wahania się, że jego zdaniem należało wyjść natychmiast i najkrótszą drogą z kraju, gdzie zabawiono zanadto długo. Ta ostatnia odpowiedź, uczyniona tonem stanowczym, do reszty zachwiała Napoleona, który, nie oświadczając się wyraźnie, zdawał się jednakże skłaniać się ku opinii przeważającej. Tą razą jeszcze będąc za nadto śmiałym w rozpoczęciu tej wojny, był niedość śmiałym w sposobie jej prowadzenia. Odłożył swe rozstrzygnięcie na dzień następny. Ten czas zresztą nie był stracony, gdyż Nej, opuściwszy Gorki w nocy 23go, przeciągał w tej chwili po za główną armją, i potrzebował dwóch dni żeby stanąć na przedzie. Deszcz nagły i źle wróżący spadł w nocy z 23go na 24ty, popsuł drogi i uczynił je koniom prawie niepodobnemi do przebycia. Noc była zimną; wszystko przyjmowało na siebie powierzchowność smutną i ponurą. Rozłożono jak i gdzie można było wielkie ognie ze szczątków chałup rossyjskich, dla ochronienia się od chłodu poczynając się zimy.

Nazajutrz 26go października, Napoleon wsiadłszy na koń bardzo rano chciał obejrzeć na nowo pozycję Rossjan. Zdawali oni się cofać, zapewne dla zajęcia z tyłu lepszej pozycji, i dla skuteczniejszej obrony drogi kałuskiej. Wszystkich zdania były równie jak dnia poprzedniego za prędkim odwrotem na Możajsk. Nieszczęściem książę Poniatowski próbując przejść z Werei, gdzie się znajdował, na drogę Medwińską, w kierunku pośrednim, który doradzał marszałek Dawu, poniósł tam stratę, która nie mogła wpływać na poparcie zdania marszałka. Napoleon zrobił więc ostateczne postanowienie, i zdecydował się wrzście do powrotu niezwłocznego na drogę smoleńską, którą nie chciał się udać z początku, jako objawiającą za nadto wyraźnie jego postanowienie rozpoczęcia odwrotu. Tym sposobem, dla tego że nie chciano uczynić wyznania nieuchronnego, że nie chciano go uczy-

nić w porę, musiano go uczynić dzisiaj zupełniej, smutniej, i obok ważnych niedogodności wpływających ze straconego czasu i spożytej żywności!

Cokolwiek miano myśleć o tém, trzeba się było na to odważyć, i udać się drogą poprzeczną Werejską, która miała we trzy dni doprowadzić nas do Możajska, tak że użylibyśmy jedenastu dni na przybycie do punktu, gdzie mogliśmy stanąć we cztery. Napoleon wydał rozkazy dla rozpoczęcia tego ruchu, którego nie można było dalej zwlekać. Gwardja miała iść po przedzie z główną kwaterą, marszałek Nej, który już był przedefilował z tyłu głównej armji, miał iść za gwardją z tém co pozostawało jazdy. Potém mieli iść książę Eugieniusz i książę Poniatowski, a po nich wszystkich marszałek Dawu, którego korpus w lepszym stanie od innych, miał dopełniać roli tak trudnej i tak niebezpiecznej tylnój straży. Szczątki jazdy jenerała Gruszy, nad którą ten mężny jenerał znowu objął dowództwo pomimo swój rany, zostały przydane marszałkowi Dawu dla pomagania mu w dopełnieniu jego poruczenia.

Ruch ostateczny odwrotu rozpoczął się 26go października, i w ciągu całego tego dnia marszałek Dawu pozostawał w pozycji, dla ochronienia pochodu innych korpusów. Od téj chwili pewien rodzaj smutku opanował umysły. Dotąd mniemano że czyniono tylko obroty dla przerznięcia się przez kraje żyzne do klimatu łagodniejszego. Ale teraz nie podobna było się ludzić, i nie przyznać okrutnej prawdy. Co-fano się z musu, drogą znaną, nie obiecującą nic nowego i wróżącą samą tylko nędzę. Jednakże nie lękano się bynajmniej nieprzyjaciela, owszem żądano się z nim spotkać, i pomścić się na nim za zgubne postanowienie jakiego musiano się chwycić.

Nazajutrz 27go cała armja była w pochodzie z Mało-Jarostawca na Wereję, gwardja, jak powiedzieliśmy, na przedzie, Miurat i Nej z tyłu za gwardją. Eugieniusz za nimi, Dawu na ostatku, z obowiązkiem ochraniać ich. Ta to tylna straż szczególniej była wystawiona na największe trudy i narażoną na największe niebezpieczeństwa. Doznała ona tego w przykry sposób podczas trzech dni użytych na przejście z Mało-Jarostawca do Możajska przez Wereję. Wojska każdego korpusu wyprzedzały swe bagaże dla dostania się co najprędzej do miejsca gdzie miały przepędzić noc; mało się troszcząc o tylną częśći tych bagażów, które pozostawiały daleko za sobą. Opierało się to wszystko na tylnój straży, gdyż mając zastaniać pochód, zmuszoną była zatrzymywać się przy wszelkich ciasnych przejściach, często napra-

wiać mosty, które się nie mogły oprzeć za nadto wielkim ciężarom, pozostawać tam w pozycji pod ogniem artylllerji nieprzyjacielskiej, i pośród ciągłych podjazdów kozackich. Jazda liczna i mająca dobre konie była nieodbitie potrzebną dla dopomagania piechocie w tej przykrój służbie. Ale na trzecim marszu jazda jenerała Gruszy, będąc w ruchu cały dzień dla czuwania z tyłu i po skrzydłach, oraz będąc zmuszoną wieczorem szukać opodal dla siebie furazu, była tak zmęczoną, że marszałek Dawu lękając się zupełnego jój rozprzężenia, wysłał to co z niej pozostawało na przód swojego korpusu, i postanowił odbywać służbę tylnój straży z samą tylko swoją piechotą.

Ten odważny i staranny marszałek nie opuszczał na chwilę swych wojsk, czuwając sam nad wszystkiem, każąc naprawiać mosty, oczyszczać ciasne przejścia, niszczyć bagaże, których nie można było z sobą prowadzić, wysadzać w powietrze jaszczyki ammunicyjne, do których zabrakło uprzęży. Słyszano już odgłos ponury tych wybuchów, które zapowiadały osłabienie naszych środków transportu, i widziano drogi zapelnione temi powozami, z którymi nie chciano się rozstać występując z Moskwy, a które teraz trzeba było zostawiać na drodze, z braku środków ciągnięcia ich dalej! Była ofiara boleśniejsza jeszcze, to jest, rannych, a nieszczęściem na każdym kroku trzeba ją było ponosić. Zebrano o ile można było rannych pod Mało-Jarostawcem, pomieszczono ich na wszystkich wozach obciążonych bagażami, nie wyłączając od tego powozów należących do głównego sztabu, i marszałek Dawu zapowiedział że każe popalić wszystkie te, coby nie zachowały na sobie szacownego ciężaru jaki im powierzono. Obmyślono tym sposobem, przynajmniej na pierwsze dni, środki transportu dla tych rannych, ale mężni żołnierze tylnój straży, którzy ochraniali armję swém poświęceniem się, nie mieli nikogo dla podjęcia ich kiedy zostawali ugodzonemi, i słyszano ich wydających rozdzierające jęki, oraz błagających napróżno swoich towarzyszków żeby nie pozostawiali ich umierających na drodze, pozbawionych pomocy, lub zagrożonych śmiercią od dzid kozackich. Marszałek Dawu kazał umieszczać na łożach swoich dział tych których miał czas podjąć, ale na każdym kroku był zmuszony pozostawiać tych, których nie miano ani czasu ani środków uwiezienia, i samo żelazne serce nieugiętego marszałka było tém rozdzierane. Uwiadamił o swém przykrém położeniu główny sztab, który postępując na czele armji, niewiele troszczył się o to co się działo z tyłu. Napoleon przyzwyczajony od dawna do spuszczenia się na swych dowodzców co do szczegółów wykonania, nie mając zresztą żądanych do nakazywania obrotów, postępując tylko smu-

tnie krok w krok z swoją piechotą, widząc już wiele nieszczęść po drodze, przewidując większe jeszcze, głęboko upokorzony tym odwrotem, którego ukrycie niepodobna było, Napoleon pozostawał ciągle pośród swojego głównego sztabu, i nie chcąc sam czuwać nad tém, ograniczał się naganą marszałka dowodzącego tylną strażą, który jak powiadał, był bardzo metodycznym, i postępował bardzo powoli. Na domiar nieszczęścia, w swém rozjątrzeniu przeciwko Rossjanom, rozkazał palić wszystkie wsie przez które przechodzono. Zajęcie to należało zostawić tylnej straży, która podkładałaby ogień wtedy dopiero kiedy nie byłoby już żadnej korzyści do osiągnięcia z wsi znajdujących się po drodze, ale gdy każdy czynił sobie okrutną rozrywkę w rozszerzaniu pożogi, pierwszy korpus znajdował często w płomieniach wsie, w których mógłby znaleźć jeszcze schronienie i żywność.

Przepędzono tym sposobem trzy mozolne dni na dostaniu się do Możajska przez Wereję. Pomimo tych pierwszych trudności odwrotu, które były prawie wyłącznie udziałem 1go korpusu, ufność jeszcze była w sercu wszystkich. Po przybyciu do Możajska, miano jeszcze do zrobienia siedm lub ośm marszów dla dostania się do Smoleńska; czas lubo chłodny w nocy, był ciągle piękny we dnie, i spodziewano się że po kilku dniach cierpień znajdując w Smoleńsku odpoczynek, obfitość i ciepłe zimowe leże.

Marszałek Mortje połączył się z armją w Werei. Wysadziwszy w powietrze Kreml w nocy z 23go na 24ty, wystąpił z Moskwy z temi co mógł zabrać rannymi i choremi, z 4,000 żołnierza młoděj gwardji, 4,000 jazdy bez koni, i 2000 artylllerji, jazdy, inżynierji, które składały jēj załogę. Pozostawił w szpitalu Podrzutków kilkuset żołnierzy nie mogących być wiezionemi, których powierzył honorowi i wdzięczności zacnego P. Tutolmina. W chwili wystąpienia pojmał jeńca dość ważnego, to jest, P. Wintzingerode, który był z urodzenia Wirtemberczykiem, a którego Francja znajdowała zawsze pomiędzy swemi najczynniejszymi nieprzyjaciółmi, i który przeszedłszy do służby rosyjskiej, dowodził korpusem partyzantów w okolicach Moskwy. Spiesząc wstąpić do tēj stolicy, która sądził że jest już opuszczoną, wpadł do niēj z małą świtą, i został wzięty w niewolę razem z swoim adjutantem, młodym oficerem z rodziny Naryszkinów. Gdy ci dwaj oficerowie nieprzyjacielscy byli przyproawdzeni do głównej kwatery, Napoleon przyjął bardzo źle P. Wintzingerode, powiedział mu że on należał do Ligi Reńskiej, przeto był jego poddanym, poddanym buntowniczym, że nie był więźniem zwyczajnym, że będzie stawiony przed kommissją wojenną i podlegnie całej surowości praw. Co do młode-

go Naryszkina, Napoleon łagodnie przemówił do niego, że będąc Rosjaninem uważany będzie zarówno z innymi więźniami wojennymi, ale że należało się dziwić iż młody człowiek wielkiej familji służył pod cudzoziemcem będącym w służbie rosyjskiej. Oficerowie otaczający Napoleona, żalując ze względu na jego godność, na godność armji francuzkiej, że nie powstrzymywał lepiej wybuchów swojego gniewu, pospieszyli pocieszać P. Wintzingerode, okazywać mu swą troskliwość, podzielać z nim stół, będąc pewni że Napoleon nie weźmie im za złe że starali się naprawiać błędy, których się dopuszczał skutkiem swojego zapalczywego charakteru.

Gdy armja przybyła na wzgórze Możajka, po trzech dniach drogi, rozłożyła się na nocleg na posępném polu bitwy Borodyńskiej, i oglądając go znowu doznawała przykrych wrażeń. W kraju ludnym, nieogolonym z mieszkańców, pole bitwy bywa wkrótce oczyszczonym z smutnych szczątków, któremi zwykle bywa pokryte, ale gdy nieszczęśliwe miasto Możajsk było spalone, gdy mieszkańce jego się rozbiegli, i wszystkie wsie sąsiednie uległy temuż samemu losowi, nie pozostało nikogo dla pogrzebienia pięćdziesięciu tysięcy trupów pokrywających ziemię. Wozy połamane, działa zdemontowane, kaszkie-ty, kirysy, fuzje rozrzucone tu i owdzie, trupy w połowie pożarte przez zwierzęta, zalegały ziemię i czyniły widok jój okropnym. Każdą razą kiedy zbliżano się do miejsca, gdzie ofiary nagromadzone były w znaczniejszej liczbie, chmury ptaków drapieżnych ulatywały wydając przeraźliwe głosy, i zasłaniając niebo swojemi żałobnemi gromadami. Mróz, który się już dawał uczuć po nocach, czyniąc skrzepłemi te ciała, zapobiegał szczęściem ich szkodliwym wyziewom, ale nie zmniejszał bynajmniej okropności tego widoku, owszém powiększał ją, i dla tego uwagi, jakie ten widok obudzał, były niezmiernie bolesne. Ileż ofiar, powtarzano, i jakiż otrzymano rezultat! Spieszono z Wilna do Witebska, z Witebska do Smoleńska, w nadziei stoczenia stanowczej bitwy; upędzano się za tą bitwą do Wiaźmy, potem do Gzacka; napotkano ją wreszcie w Borodynie, krwawą, zaciętą; wkroczo do Moskwy w nadziei pozyskania owocu tej bitwy, a tam znaleziono tylko ogromny pożar! i powracano ztamtąd nie zmusiwszy nieprzyjaciela do poddania się, bez środków żywności podczas odwrotu; powracano ku punktowi z którego wystąpiono, w liczbie o połowę zmniejszonej, pokrywając codziennie ziemię szczątkami, z pewnością przepędzenia przykrój zimy w Polsce, i z nadzieją bardzo niepewną pokoju, gdyż pokój nie mógł być zapłatą odwrotu widocznie zmuszonego, i dla takiego to rezultatu pokryto ziemię pięćdziesięcią tysiącami trupów!

Smutne te uwagi czynił każdy, gdyż w armji francuzkiej żołnierz myśli tak lotnie, a często tak trafnie jak generał. Napoleon nie chciał żeby żołnierze mieli czas zastanawiać się nad tym smutnym przedmiotem, i rozkazał żeby każdy korpus bawił nie więcej jak jeden wieczór na tém nieszczęsném polu Borodyńskim. Znalaziono tam Westfalczyków, pod dowództwem biednego generała Żiuno, zawsze cierpiącego jeszcze więcej skutkiem zawodów doznanych w téj kampanji i nie mającego więcej nad 3,000, żołnierza, z 10.000, którzy byli obecnymi w Smoleńsku, z 15,000, którzy przebyli Niemen! Pódezas kiedy armja znajdowała się w Moskwie, zajmował się on strzeżeniem rannych w monasterze Kołockim, i wysłał tyle ile mógł ich do Smoleńska, za pośrednictwem wozów, których potrafił wystarać się. Ale pozostawiało ich jeszcze ze dwa tysiące do przewiezienia. Napoleon będąc zawsze bardzo troskliwym względem swych rannych, wydał rozkaz pomieszczenia ich na wozach bagażowych, i zalecił żeby każdy oficer, każdy markietan, każdy zbieg z Moskwy, który miał powóz, wziął część tego szacownego ciężaru. Chirurg Larrej, w swéj niewyczerpanéj dobroci, pospieszył wcześniéj dla udzielenia rannym w Kołocku starań, których krótki jego tam pobyt dozwalał mu im poświęcić. Kazał wywozić tych, którzy mogli być wiezionemi, udzielał innym ostatnich zasobów swéj sztuki i znalazłszy tam oficerów rossyjskich, którzy mu winni byli życie, i którzy oświadczali mu za to swą wdzięczność, wymagał od nich za jedyną nagrodę ich słowo honoru, że zostawszy za kilka godzin wolnemi i panami losu swoich towarzyszków nieszczęścia, oddadzą im to dobro, którego sami doznali od naczelnego chirurga armji francuzkiej. Wszyscy to obiecali, i Bóg sam raczy wiedzieć czy wypłacili ten dług zaciągnięty względem najlepszego z ludzi!

Tylna straż marszałka Dawu opuściła 31go rano te okropne miejsca i rozłożyła się na nocleg w połowie drogi do miasteczka Gzacka. Noc była bardzo chłodną i odtąd zaczęto już doznawać niemałéj przykrości od zmiany temperatury. Nieprzyjaciel szedł ciągle za nami z swą jazdą regularną, artylleryją mającą dobre konie i chmurą kozaków, co wszystko zostawało pod rozkazami hetmana Płatowa. Co do armji głównej, téj nie widać było. Generał Kutuzow od Mało-Jaroslawa był równie wahającym się, jak jego przeciwnik zasępionym. W swojej rzadkiej roztropności, powiedział sobie, że niewarto było narażać się na koleje krwawych bitew z nieprzyjacielem, którego chłód, utrudzenie, nędza, wydadzą wkrótce w jego ręce prawie zniszczonego, a który był zdolnym jeszcze, w razie gdyby go atakowano niepozbanionego całkiem sił, obrócić się jak dzik przyparty od

myśliczów i zadać ciosy śmiertelne nieroztropnym, którzyby ośmielili się przystąpić zanadto blisko. Wolał raczej skromnie pozostawić ocalenie swój ojczyzny czasowi, wytrwałości, niżeli pozyskać je drogą zwycięstwa chlubnego ale niepewnego, i przez to zasłużył na wdzięczność swego narodu, równie jak na pochwałę potomności. Młodzież zarozumiała i namiętna, oficerowie angielscy, którzy się byli zbiegli do jego obozu nalegali na niego, naprzykrzali się mu, żeby przedsięwziął coś stanowczego przeciw armji francuzkiej, ale on opierał się temu z odwagą więcej zasługującą na pochwałę niżeli ta, którą się okazuje na polu bitwy. Jak już powiedzieliśmy, udało się mu usunąć Barklaj de Tollego, a śmierć uwolniła go od Bagrajona. Ale pozostawał mu przebiegły i śmiały Benningsen, popędliwy Miłoradowicz, młody, pochopny do walki główny sztab, od których miał wiele do zniesienia, i uległby pewno, gdyby jego cierpliwość nie była tak wielką i tak rozważną. Na trzeci dzień po bitwie pod Mało-Jarosławcem, podczas kiedy Napoleon cofał się na Możajsk, on cofnął się na Kaługę, do miasteczka zwanego Gonzerewo, pod pozorem zasłonięcia drogi prowadzącej do Medwinu, którą zasłoniłby pewniej pozostając w Mało-Jarosławcu, ale oczewiście dla uniknięcia bitwy, od której słusznie chciał się uchylić.

Wkrótce dowiedziawszy się, że Napoleon przybył do Możajska, szedł za nim, będąc przekonany, że zamiast udania się drogą smoleńską już opustoszoną, weźmie się dalej na północ drogą idącą na Woskresińsk, Wołokołamsk, Bieloj do Witebska, o której Napoleon istotnie myślał, tworząc swój wielki plan zaczepny przeciw Petersburgowi, i którą książę Eugienjusz znalazł rzeczywiście dosyć obfitującą w żywność. Pędził się za nami tym sposobem całkiem niepotrzebnie aż pod Możajsk, czyniąc w ślad za nami zwrot na Wereję. Postrzegłszy swój błąd, cofnął się nazad i poszedł znów drogą na Medwin i Juchnow, poboczną drogi smoleńskiej, którą marszałek Dawu chciał na próżno żeby się udano. Na tej drodze zagrażał z boku pochodowi armji francuzkiej, mógł ją niepokoić w drodze, a może zająć jęj z przodu w jakimś trudnym przejściu, gdzie można byłoby ją zatrzymać. Z Juchnowa do Wiaźmy szczególniej, była tam droga dość krótka i wygodna, wychodząca na wielką drogę smoleńską w okolicach Wiaźmy. Nie było rzeczą niepodobną wyprzedzić tam armję francuzką, której pochód utrudniony był tył bagażami i stanawszy jęj w poprzek, przeszkodzić jęj iść dalej. Ale roztropny Kutuzow nie chciał upędzac się za tak wielkimi rezultatami. Byłoby to narażać się na to, że armja

francuzka przeszłaby po ciałach jego żołnierzy, wołał więc niepokoić ją ciągle, zabierając jej od czasu do czasu niektóre kolumny pozostałe z tyłu, odnosić te małe korzyści jak można najczęściej i przeprowadzać ją tym sposobem aż do Wilna, gdzie przybyłaby osłabiona, prawie zniszczona, co było taktyką pewną i nie zagrażającą żadnym niebezpieczeństwem, którą przenoślił nad każdą inną i w której postanowił wytrwać za pomocą cierpliwości, przebiegłości nawet, kiedy nie mógłby dokazać tego użyciem bezpośredniem swój władzy. Przedłużał więc dalej swój pochód w tymże samym porządku, wysławszy z tyłu za nami silny oddział jazdy i artyllerii opatrzonej w dobre konie, a sam idąc bokiem z główną armją rossyjską.

Przepędziwszy noc pomiędzy Borodino i Gzackiem, marszałek Dawu, odbywając zawsze tylną straż, stanął na nocleg w samym Gzacku. Codziennie odwrót stawał się trudniejszym, gdyż codziennie chłód stawał się dotkliwszym, a nieprzyjaciel więcej natarczywym. Z jazdy jenerała Gruszy nic już nie pozostawało. Piechota więc sama była skazaną na odbywanie służby tylnej straży i na spełnianie razem obowiązku wszelkiej broni. Należało jej często stawić czoło artyllerii koniej nieprzyjaciela, wtedy gdy nasza ciągniona przez konie osłabione, była prawie niezdolną do odbywania ruchów. Starzy piechotni żołnierze marszałka Dawu zdolali wszystkiemu wystarczyć; już to wstrzymywali jazdę nieprzyjacielską swemi bagnetami, już to rzucali się na jego artyllerię i zabierali ją, chociaż zmuszeni potem zostawiać ją na drodze, ale radzi że się oswobodzili od niej na kilka godzin. Powoli musieliśmy porzucić naszą. Zmuszonemi będąc pozostawiać na drodze albo armaty, albo jaszczyki z amunicją, wypadało raczej porzucać pierwsze, gdyż mieliśmy dwa lub trzy razy więcej armat niżeli wkrótce moglibyśmy ich pociągnąć i z nich korzystać, wówczas kiedy amunicja mogła się nam zawsze przydać. Ale armaty były trofeami, które pozostałyby w ręku nieprzyjaciela i pycha, która nas zatrzymała tak długo w Moskwie, skłoniła do wydania rozkazu zachowania armat a niszczenia jaszczyków, skoro zabrakłoby zaprzęgów. Marszałek Dawu opierał się z początku temu rozkazowi, ale potrzeba było w końcu uleść i powielekroć na dzień złowróżbe wybuchy dawały znać armji jej wzrastającą niedolę.

Drugą przyczyną smutku bezustannie odnawianego, było porzucanie rannych. W miarę jak niespokojność powiększała się, samolubstwo pomnażało się także, i nędzni woźnice, którym powierzono rannych, korzystając z nocy, rzucali ich po drodze, gdzie tylna straż znaj-

dywała ich zmarłych lub konających. Ten widok napęłniał oburzeniem żołnierzy, którzy pozostali wiernymi swym chorągwiom. Pastwiono się nad winnemi, gdy ich znalezione, ale trudno było ich odkryć pośród zamieszania, które zaczęło się upowszechniać. Napoleon rozkazał w Mało-Jarostawcu ponumerować wozy, którym ranni byli powierzeni; ale dozór, którego podobny środek wymagał, stał się niepodobnym po dwóch marszach. Widok rannych porzuconych odnawiał się na każdym kroku. Widok ten nie mógł zachować odwagi starych żołnierzy marszałka Dawu, przyzwyczajonych do surowej karności pierwszego korpusu; ale wszystko co nie było ożywione tym duchem postrzegło, że poświęcenie się było bezużytecznym i opuszczało szeregi. Tył armji złożony z jeźdźców pozbawionych koni, z żołnierzy strudzonych, zniechęconych lub chorych, idących bez broni, przedłużał się coraz bardziej. Sprzymierzeni Illiryjczycy, Hollendrzy, Anzeatczycy, Hiszpanie, należący do pierwszego korpusu, uchylali się tam od wszelkiego rodzaju obowiązków, a pomiędzy Francuzami, młodzi żołnierze, oporni, oderwani niedawno od swego błędnego życia, poszli za ich przykładem. Oddalano się z szeregów pod pozorem szukania dla siebie żywności, rzucono swój karabin, potem starano się ukryć w tłumie bez nazwiska, który żył jak mógł w tyle armji. Żołnierze tylnej straży którzy musieli czekać na tę tłuszczę w miejscach trudnych do przebycia i w biwakach wieczornych, widzieli ją coraz zwiększającą się ze smutkiem, z gniewem, gdyż powiększała ona przykrość ich położenia, i była ucieczką dla wszystkiego co nie chciało się poświęcić ogólnemu ocaleniu. Z 28,000 żołnierzy piechotnych, których jeszcze zawierał w sobie Iszy korpus wychodząc z Moskwy, pozostawało mu najwięcej kiedy 20,000 po jedenastu dniach pochodu. Surowo się obchodzić z temi co opuszczali szeregi, było rzeczą trudną przy wyjściu z Moskwy, tém bardziej potem. Marszałek Dawu kazał o tém przełożyć Napoleonowi, który nie chcąc widzieć własnemi oczyma nieszczęść aż nadto rzeczywistych, coby go wstydziły i potępiły, wolał raczej obwiniać o to charakter marszałka, zanadto drobnostkowy, zanadto wymagający według niego, i na każde z jego żądań odpowiadał rozkazem pospieszania przedź.

Dostano się tym sposobem na noc do Gżacka 31go października wieczorem. Zbliżając się do tego miasta, marszałek chciał wysłać na furazowanie w prawo i lewo drogi kolumny piechoty lekkiej, z braku jazdy i postępować zwolna dla dania tym kolumnom czasu przeszukania po wsiach i zebrania żywności, tak dla Igo korpusu, jak dla zgło-

dniałej tłuszczy, która ciągnęła się za nim. Ale jazda nieprzyjacielska pokazała się w tak wielkiej liczbie na naszych bokach i z tyłu, że nie można było ani wysłać oddziałów, ani zwolnić kroku i potrzeba było wyrzec się tego korzystnego środka, a żywić się czém kto mógł.

1go listopada, opuszczając Gżack, marszałek wiedział, że napotka we wsi Carewo-Zajmiszcze przejście trudne do przebycia, gdzie należało spodziewać się wielkiego natłoczenia. Miano przebyć małą rzeczkę błotnistą, mającą po jednej i po drugiej stronie grunt bagnisty, gdzie nie można było inaczéj iść jak po wązkiej grobli, która w prędkim czasie byłaby zatkana. Przewidując tę trudność, marszałek zaklinał księcia Eugienjusza, żeby przyspieszał kroku, obiecując co do niego, że zwolni go o ile można będzie. Pomimo tych środków ostrożności, korpus księcia Eugienjusza natłoczył się przy przejściu tego miejsca i most załamał się pod zbytнім ciężarem. Kilka wozów artyleryjskich, chcąc oczyścić drogę, sprobowało przejść w bród i szczęśliwie tego dokonało. Inne postępując za niemi, ugrzęzły w błocie i zawadzając tym, które szły za niemi, stały się przyczyną nadzwyczajnego zamieszania. Pierwszy korpus nadciągnął ku wieczorowi śród tego natłoku, który musiał ochraniać przed nieprzyjacielem, co dzień liczniejszym i więcéj uprzykrzonym, gdyż oprócz Płatowa z tyłu, mieliśmy jeszcze Miłoradowicza z boku.

W kilka minut massa jazdy, razem z liczną artylleryją, osypała strzałami tak kolumnę księcia Eugienjusza, natłoczoną w około mostu, jak dywizję 1go korpusu. Odważny Żerar, dowodzący dywizją Giudę, postawił w szyku bojowym końcową tylną straż i już to artylleryją swoją odpierał artylleryję nieprzyjacielską, już rzucał się sam na czele bataljonu na baterje nieprzyjacielskie, dla zdobycia ich lub zmuszenia do cofnięcia się. Ochraniał tym sposobem przez resztę dnia i część nocy ten rodzaj ucieczki, będąc sam wszędzie obecnym śród największego niebezpieczeństwa. Jednocześnie marszałek, już to z jenerałem Żerar, już z saperami 1go korpusu, był zajęty przewodniczeniem bitwie, odnowieniem zepsutego mostu, rzuceniem krokwi w innych punktach i wysyłaniem drogą tłumy. On, jego jenerałowie i żołnierze dywizji Żerar przepędzili tę noc na nogach, nie jedząc i nie śpiąc, wyłącznie poświęceni ocaleniu reszty armji.

Nazajutrz 2go listopada o świcie, marszałek Dawu błagał znowu księcia Eugienjusza, żeby pospieszał, ażeby stanąć 3go w Wiaźmie, gdzie Napoleon, który tam znajdował się od 31go, nalegał na przyspieszenie pochodu tylnej straży, gdyż w istocie należało się lękać, żeby

nie spotkać tam głównej armji rossyjskiej, wychodzącej drogą na Juchnow. Dzień ten przepędzony został na dostaniu się do Federowska, leżącego w niewielkiem oddaleniu od Wiaźmy. Umówiono się, że książę Eugienjusz wystąpi dnia następnego o godzinie 3ej rano. Niez szczęściem ten młody książę, obdarzony przymiotami rycerskimi, ale nie posiadający w wykonaniu swych obowiązków dowódcy ani ścisłości, ani mocy charakteru marszałka Dawu, nie potrafił wyprawić w porę swych wojsk. O szóstej godzinie rano jeszcze one nie były wyruszyły. 1szy korpus postępujący za niemi musiał czekać wyruszenia wojsk księcia Eugienjusza, oraz przejścia opóźnionych w drodze i bagażów. Mógł więc ruszyć w pochód bardzo późno. Szedł on jak najspieszniej, żeby wynagrodzić czas stracony.

O półtory mili od Wiaźmy postrzeżono nagle nieprzyjaciela po lewej stronie drogi i kule jego zaczęły spadać w środek masy rozprężonej, idącej za armją, oraz przed końcową tylną strażą. Za każdym wystrzałem artyllerji rossyjskiej podnosiły się okropne wrzaski, następowało straszne zamieszanie w tej tłuszczy bezsilnej, złożonej z żołnierzy ogołoconych z broni, rannych, chorych, kobiet i dzieci. Czwarty korpus księcia Eugienjusza, starał się popędzać ten tłum, bijąc nawet opieszających, żołnierze bowiem, którzy pozostali pod chorągwiami przypisywali sobie prawo pogardzania temi, którzy dobrowolnie lub z musu opuścili je. Nakoniec korpus księcia Eugienjusza popychając przed sobą masę, stojącą mu na przeszkodzie, zdołał przejść prawie cały, kiedy korzystając z przerwy pozostałej pomiędzy dwoma brygadami dywizji Delzon, oddział jazdy nieprzyjacielskiej rzucił się w poprzek drogi i przeciął ją. Była to jazda Wasilczykowa, która z liczną artyllerją konną stanęła na drodze, podczas kiedy jazda generała Korffa, rozwinięta na lewo téjże drogi, osypywała ją także pociskami. Tym sposobem część czwartego korpusu została odcięta i pozostawało jęj tylko przebić się siłą oręża.

Jedna brygada dywizji Delzon i reszta wojska księcia Poniatowskiego były wstrzymane tym obrotem nieprzyjaciela i odparte na czoło 1go korpusu, którego pięć dywizji postępowało w dobrym porządku, pod dowództwem samego marszałka Dawu. Ten marszałek wnosząc, że w Wiaźmie, gdzie droga juchnowska wychodziła na smoleńską, można będzie spotkać Kutuzowa z całą armją rossyjską, utwierdzony w swym domysle przez częste pojawianie się jazdy regularnej, przedsięwziął wszelkie środki ostrożności i postępował w szyku bojowym. Ze starych jego generałów Giudę był zabity; Frjan tak ciężko raniony,

że nie mógł się trzymać na nogach; Kompan był raniony w ramię pod Borodynem, a Moran w głowę. Ci dwaj ostatni jechali konno pomimo swych ran. Żerar także znajdował się ciągle przy swój dywizji. Wszyscy oni otaczając marszałka prowadzili szczątki 1go korpusu zmniejszonego do 15,000 żołnierza z 20,000, które pozostawały mu jeszcze w Możajsku, z 28,000, które miał w Moskwie, z 72,000, które miał przechodząc Niemen. Byli to wszystko starzy żołnierze, nad którymi natura tylko mogła odnieść zwycięstwo.

Mężny generał Żerar tworzący z swoją dywizją przednią straż, widząc tylną część 4go korpusu odciętą i odpartą, przyspieszył kroku i pod ogniem silnym artylerji rzucił się na działa nieprzyjacielskie dla zabrania ich. Jazda Wasilczykowa zasłaniająca je, nie czekając go, umknęła cwałem. Ale z tyłu za tą jazdą ujrzano uszykowaną do boju piechotę księcia Eugienjusza Wirtemberskiego, która miała czas przeciąć drogę, podczas kiedy piechota Olsufjewa stanęła z boku jej. Dywizja Żerar poszła przeto na dywizję księcia Eugienjusza Wirtemberskiego, którą druga brygada Delzon i resztki Polaków, umieszczone na prawo drogi, zagrażały wziąć z boku. Miłoradowicz dowodzący temi wojskami, nie ośmielił się trzymać się dłużej w tej pozycji i odprowadził dywizję Eugienjusza Wirtemberskiego na lewą stronę drogi. Przejście tym sposobem zostało otwarte. Kilka szwadronów jazdy rosyjskiej, odpartych na prawą naszą stronę i odciętych także, musiało wytrzymać, przebiegając cwałem na lewą stronę drogi, silny ogień naszej piechoty.

Druga brygada dywizji Delzon i Polacy oswobodzeni przez 1szy korpus, pospieszyli wstąpić do Wiaźmy podwojonym krokiem, ażeby przebyć rzeczkę tegoż nazwiska, rozdzielającą miasto na dwie połowy i oczyścić z natłoku drogę. Gdyby można było przebyć Wiaźmę bez walki, chętnie by to uczyniono, gdyż los rannych był godzien politowania, a moralny stan armji nie potrzebował staczać walk dla podźwignienia się z upadku. Ale nowe massy nieprzyjaciół ukazywały się co chwila z boku drogi, a główna armja rosyjska nadciągała w kierunku Juchnowa, bitwa przeto była nieuchronną i należało się przygotować stoczyć ją.

Marszałek Nej, na odgłos strzałów armatnich, zatrzymał swój korpus w chwili opuszczenia Wiaźmy, i pospieszył sam do marszałka Dawu i księcia Eugienjusza. Umówili się z sobą, że Nej stanie przed drogą juchnowską dla stawienia czoła Kutuzowemu, który istotnie przybywał z główną armją rosyjską, że Eugienjusz postawi dywizję Brussje pomiędzy Wiaźmą a korpusem Dawu, i że ten ostatni stanie

w szyku bojowym na lewo drogi, dla stawienia czoła Miłoradowiczowi. Wszystko co nie było obowiązane stanąć w linii, szczególnież dywizje Delzon i Poniatowskiego, oraz bagaże i bezorzędni otrzymali rozkaz przebycia co najprędzej mostów na Wiaźmie i wyjścia jak najspieszniej na drogę prowadzącą do Dorohobuża.

Mała rzeczka wpadająca do Wiaźmy, tworzyła obronę naturalną w okolo miasta ze strony Juchnowa. Nej stanął za tą rzeczka z dywizjami Razu i Lędriu, zmniejszonymi do 6,000 żołnierza. Postawił całą swą artylleryję w baterję i przez swą dzielną postawę natchnął odwagę swoich żołnierzy, którzy nie bez trwogi widzieli nadiągające ku nim głębokie kolumny armji rossyjskiej. Brussje utrzymywał związek pomiędzy Wiaźmą a korpusem marszałka Dawu. Marszałek ten postawił w szyku bojowym na boku drogi 3cią i 4tą dywizję pod jenerałem Kompan a za niemi mającą im służyć za wsparcie, dywizję Żerar. Moran przybywszy z 1szą dywizją, będącą pod jego dowództwem i z 2gą jenerała Frjan, oparł się prawém skrzydłem o dywizję Kompan, a tyłem o wielką drogę, którą zamknął krukami, zakrzywiwszy swe lewe skrzydło. Piérwszy korpus miał już tylko 40 armat zdolnych do użycia, chociaż musiał ich ciągnąć z sobą 127.

Miłoradowicz rozpoczął kanonadę z stu armat i osypał pociskami pięć dywizji marszałka Dawu. Nasze 40 dział odpowiadały mu przeważnie. Jakkolwiek był zapalczwym, Miłoradowicz nie śmiał natrzeć z frontu na tych dzielnych starych żołnierzy i przestał na użyciu przeciw nim swęj artylleryji. Czoło armji rossyjskiej doszedłszy do małej rzeczki zastaniającej Neja, poczęło dawać ognia z armat ze swęj strony, ale Nej odpowiedział mu natychmiast gradem kul. Pozostawano tym sposobem czas jakiś jedni w obec drugich, zamieniając z sobą gesty strzały artylleryjskie i nieprzyjaciel, który powinien był nas całkiem rozbić, gdyż był w stosunku jednego przeciw czterem, wstrzymał się jednakże od natarcia na nas. Czas już był dla nas rozpocząć odwrót, gdyż dość śmiało dotrzymaliśmy kroku armji rossyjskiej, żeby się ośmieliła silnie na nas natrzeć, a zresztą noc nadchodząca zmuszała nas do przebycia co prędzej Wiaźmy. Podczas kiedy jenerał Brussje cofał się ku temu miasteczku, jako najbliżej niego będący, pięć dywizji marszałka Dawu przeciągały także, tym sposobem, że każda linja dawszy ognia odstępowała w tył i przechodziła po za linją następną, która ze swęj strony dawała ognia, osłaniając ruch kolumn cofających się. Ruchy te odbyły się jakby na polu ćwiczeń wojskowych. Pułk 85ty należący do dywizji Desse i tworzący prawe skrzydło marszałka

Dawu, postrzegłszy, że ponosi wiele szkody od artyllerii nieprzyjacielskiej, rzuca się na nią, zabiera i uprowadza z sobą trzy działa, które dla braku uprzęży musi znowu porzucić. Jenerał Moran pozostał ostatni w szyku bojowym dla zastonienia odwrotu całego wojska. Cofnął się on także po kolei i gdy był silnie naciskany, pułk 57my zatrzymał się, uczynił zmianę frontu, poszedł na Rossjan z spuszczone mi bagnietami, odparł ich, potem ruszył znowu drogą ku Wiaźmie. Niestety była już noc; część miasta położona za rzeką Wiaźmą, którą odwrót marszałka Neja odstłonił, została nagle zajęta przez nieprzyjaciela. Napotkano go tam i potrzeba było stoczyć uporną walkę, żeby sobie otworzyć przejście. W tym zgiełku stracono dwa działa. Ponieważ były tylko dwa mosty na Wiaźmie, jeden w mieście, drugi za miastem, natłok wojsk, ciemność, ogień artyllerii sprawiały wielkie zamieszanie. Mężny pułk 57my, powtarzając swe natarcie, wstrzymał Rossjan i zabezpieczył wolne przejście.

Dzień ten kosztował nam 1,500 do 1,800 żołnierzy najstarszych i najlepszych. Ponieważ nasza artyllerja była lepiej kierowaną, nieprzyjaciel stracił przynajmniej podwójną liczbę ludzi; ale jego ranni nie byli straceni, wówczas kiedy z naszych niepodobna było uratować ani jednego. Brak zupełny opatrzenia, chłód stający się coraz bardziej dójmującym, a nadewszystko okrucieństwo włościan, przyprawiały o śmierć wszystkich, co pozostawali na drodze. Każde więc pole bitwy opuszczano z sercem udręczonem i potrzeba było uczucia honoru wojskowego w tej armji, wpływu jej jenerałów rannych dowodzących nią z ręką na temblaku, lub z głową obwinietą, żeby utrzymać w niej gotowość do poświęceń tak okrutnie wynagradzaną. Po wstąpieniu do Wiaźmy, nie znaleziono tam żadnych zasobów żywności. Gwardja i korpusy, które pierwój przeszły, wszystko spożyły. Nie pozostawało już nic z żywności zabranój z Moskwy. Rzucono się śród nocy pochmurnej i zimnej do lasu, zapalono tam wielkie ognie i przy nich pieczono mięso końskie. Żołnierze księcia Eugienjusza i marszałka Dawu, a nadewszystko ostatni, którzy od trzech dni byli ciągle na nogach, położyli się w około swych ogni biwakowych i głębokim snem zasnęli. Było już wtedy 3go listopada, od piętnastu więc dni obowiązani byli zastaniać odwrót. Stracili oni więcój połowy swych zostających pod chorągwiami żołnierzy. Napoleon postanowił, żeby użyli nieco odpoczynku i żeby Nej zastąpił ich miejsce w tylnój straży. Zresztą nie była to sprawiedliwość z jego strony, ale niesprawiedliwość. Skarżył się na to, że oni szli bardzo powoli. Zostając pośród

gwardji, idącej na czele armji, spożywającej tę trochę żywności, która zostawała na drodze, i pozostawiającej zdechlinę końską tym którzy za nią postępowali, nie widział nic co się działo z tyłu, i nie chciał nic widzieć, gdyż musiałby patrzeć z bliska na okropne następstwa swych błędów. Wolał raczej nie wierzyć im, i będąc o dwa marsze od tylnéj straży, nie postrzegając żadnej z doznawanych przez nią przykrości, ciągle uskarżał się na nią, zamiast podjęcia się samemu jéj przewodniczenia.

Nie potrzeba było wielkich pomysłów w téj chwili, ale odwagi patrzenia własnymi oczyma na zło, którego się stało sprawcą, zostawania na koniu od rana do wieczora dla dopilnowania przejścia rzek, naprawienia mostów, przeciagnienia tłumy bezorężnego, dla utrzymania swym wpływem zachwianéj władzy generałów, dla zrobienia pomiędzy nimi słusznego rozdziału trudów, zachowania ich sobie jak największej części, przytłacenia śmiercią tych trudów, jeśliby tego potrzeba było, gdyż nie było cierpienia, nie było śmierci, której nie byłby sprawcą, uśmiechania się do twarzy przygnębionych, uspakajania twarzy zapalonych gniewem, narażenia się nawet na wybuchy rozpacz, gdyż łatwo było przypuścić że się i tego straszliwe przykłądy napotka! Zamiast tego, Napoleon, nie przez słabość, ale dla uniknienia oskarżającego go widoku tego odwrotu, nie opuszczał czoła armji, i już to konno, już pieszo, a najczęściej w powozie, pomiędzy Bertje przestraszonym, a Miuratem przygasłym, przepędzał całe godziny nie odzywając się ani słowa, pogrążony w myślach smutnych, które przerywał tylko uskarżaniem się na swych dowódców, jak gdyby mógł jeszcze sprawić komu złudzenie, ganiąc innych a nie siebie!

Nie rozmawiał on był jeszcze od Mało-Jarostawca z marszałkiem Dawu, zostającym ciągle w tylnéj straży. Zobaczywszy się z nim, miał z nim spór bardzo żywy. Marszałek, chociaż przyzwyczajony do posłuszeństwa wyższej władzy, miał dumę, której żadna władza ugiać nie zdołała. Bronił on z goryczą honoru 1go korpusu. Oficerowie tacy jak generałowie Kompan, Moran, Żerar, zawsze na koniu choć ranni, nie zasługiwali na najmniejszy wyrzut. Marszałek Dawu nie bronił samego siebie, bronił tylko swych dostojnych dowódców, którym należały się same hołdy. Napoleon zamilknął, ale aż do dnia swojego odjazdu z armji, nie przemówił prawie słowa do marszałka Dawu, dla którego zresztą milczenie nie było bynajmniej karą. Ale ponieważ potrzeba dla despotyzmu popelniającego błąd ofiar, któreby w miejscu niego ściągnęły na siebie nagane publiczną, ta znakomita osoba poświęconą była tutaj, jak Massena w Portugalji. Powtarzano potem

za Napoleonem, że w tym odwrocie postępowanie tego marszałka nie było odpowiedniem jego wielkiemu charakterowi. Było to taką samą prawdą jak to że Massena był przyczyną nieszczęść armji na Półwyspie. Zastąpił on przez piętnaście dni z niezamordowaną czynnością, z wytrwałością zimną ale niezachwianą, odwrót, śród największych trudności, zbierając po drodze wszystkie ciężary, które zawadzały armji, i żyjąc tém co mu zostawiono, to jest, niczém. Wojska księcia Eugienjusza rzuciły się wprawdzie z niejakim pośpiechem do Wiazmy, w chwili kiedy oswobodzone przez 1szy korpus, pośpieszyły naturalnie przebyć ciasne przejście. Ale 1szy korpus idąc z niezachwianą zimną krwią, osłaniał wszystkich, i jeszcze mu zarzucano że się rozpręga! Było to czoło armji, opatrzone jeżeli nie we wszystko, to przynajmniej w to co pozostawało na tych polach spustoszonych, i nie mając nigdy nieprzyjaciół naciskających z tyłu, co mówiło tak o tylnej straży! Marszałek Nej, którego rozum nie wyrównywał odwadze, dopuszczał się także niektórych wyrażen tego rodzaju przeciw swojemu koledze. Miał on wkrótce sam spróbować chlubnej ale ciężkiej roli tylnej straży (1).

Napoleon przybył 5go listopada do Dorohobuża. Książę Eugienjusz przybył tam 6go, inne korpusa 7go i 8go. Dotąd zimno było przykre, dojmujące, ale jeszcze nie zabójcze. Jednym razem, dnia 9go listopada, niebo okryło się posępną mgłą i gęsty śnieg, pędzony gwałtownym wiatrem, pokrył ziemię. Pulki nasze występując z Polski podczas doskwierających upałów, idąc do Moskwy bez zamiaru tam bawienia, pozostawiły w magazynach gdańskich ciepłe odzienia, w przekonaniu, że dość będzie znaleźć je w Wilnie. Niektórzy żołnierze mieli futra zabrane w Moskwie, ale takich było niewielu, gdyż większa część ich poprzedawała swoje oficerom. Dobrze karmieni, mogliby jeszcze znieść zimno, które dochodziło zaledwie 9ciu lub 10ciu stopni Reomiura; ale żyjąc odrobiną mąki rozprowdzonej w wodzie, mięsem końskiém pieczoném przy ogniu biwaków, spijając na ziemi pod gołym niebem, musieli być okrutnie dręczeni od zimna nawet mniejszego od tego jakiego doświadczali niegdyś w Niemczech lub Polsce. Pierwszy ten śnieg, który wypadł po przejściu Dorohobuża, powiększył nadzwyczaj nędzę ogólną. Wyjawszy tylną straż, którą Dawu prowadził z niezachwianą stałością, której Nej następnie

(1) Książę Eugienjusz Wirtemberski, jeden z najbezsronniejszych historyków obcych, powiada, z powodu skarg marszałka Neja na 1szy korpus: *Ale Nej nie był podówczas w pozycji śliskiej swajego kolegi.* Książę Eugienjusz Wirtemberski napomyka tu o przejściu przez Wiaznę.

przewodniczył z energją pełną odwagi i zdrowia, której żadne cierpienie przezwyciężyć nie mogło, uczucie obowiązku zaczęło znikać w wojsku. Działa tylko nieprzyjacielskie mogły na chwilę przywracać honor, godność, odwagę tym żołnierzom wyniszczonym. Wszyscy ranni byli porzucani, i żołnierze sprzymierzeni, których nie wymieniamy tu korpusu, obowiązani eskortować niewolników rosyjskich, pozbywali się ich rozbijając im głowy kolbami karabinów. Ktokolwiek był dotknięty tą zarazą egoizmu tak ogólnego, tak smutnie uderzającego w wielkich klęskach, myśląc tylko o sobie, opuszczając szeregi dla szukania żywności, powiększał tłum błędny i bezorężny, który dochodził przy wystąpieniu z Dorohobuża do 50,000 ludzi, licząc w to zbiegów z Moskwy i wiozących bagaże. Więcej dziesięciu tysięcy żołnierzy zmarło już na drodze. Pozostawało zaledwo pięćdziesiąt tysięcy ludzi pod bronią. Cała jazda, wyjąwszy gwardyjską, była bez koni. Wszelako pozostawały już trzy marsze do Smoleńska. Po przybyciu tam, spodziewano się znaleźć magazyny, żywność, mury ufortyfikowane. Ta nadzieja pokrzepiała serce żołnierzy. Smoleńsk! Smoleńsk! wołano ze wszystkich stron. Liczono mile, godziny. Nigdy po burzy port nie był tak gorąco pożądanym.

Ale w Dorohobużu nieprzyjemne wieści doszły Napoleona, wieści o niepomysłnych działaniach wojennych na skrzydłach, o dziwnych wypadkach we Francji, gdzie rząd był zuchwale napastowany, gdyż, jak zwykle powiadają, nigdy nieszczęście nie przychodzi same jedne.

Na obu skrzydłach armji plany nieprzyjaciela zupełnie wyszły na jaw. Admirał Czyczagow, połączywszy się z Tormasowem z 30,000 blisko żołnierza, i zastąpiwszy jego miejsce w dowództwie obu połączonemi armjami, rozpoczął kroki zaczepne we wrześniu przeciw księciu Szwarzenbergowi i generałowi Renje, dowodzącemi bardzo zgodnie, ale bez wielkiej energii korpusem austriacko-saskim. Nowy generał rosyjski poparł przed sobą, z linji Styru na linję Bugu, obu generałów sprzymierzonych. Ci nie mając więcej jak 35,000 żołnierza, to jest, 25,000 Austriaków i 10,000 Sasów, nie uważali za rzecz stosowną narażać się na bitwę, której przegrana odkryłaby prawą stronę wielkiej armji, i zatrwożyłaby Warszawę już tak skłonną do popłochu. Cofnęli się więc do Brześcia, i szukali schronienia w zwykłym swoim przytułku, za błotami pińskimi. Nie zasługiwali oni w tém na żadną naganą. Generał Renje nie mógł być bardziej przedsiębiorczym niżeli książę Szwarzenberg, a ten ze swęj strony nie był bardzo w stanie więcej uczynić niż uczynił. Nie było to z jego strony zdradą, ani nawet oziębłością, ale nadzwyczajną ostrożnością. Mając powie-

rzony sobie los armji złożonej z 30,000 Austrjaków, zmniejszonej już do 25,000 skutkiem strat poniesionych, zakładał swój honor wojskowy i swą powinność obywatelską na jój zachowaniu, i starał się o to pilniej może niżeli o zrobienie jój użyteczną. Traktowany przez Napoleona z nadzwyczajną dobrocią, wdzięczny jemu, niezdolny do zdradzenia go, nawet w połowie, miał to tylko na celu, żeby się nie dać pobić, i chociaż był pewnym zaszczytnego znalezienia się swego wojska śród boju, wiedział, że ono jest tak obojętnem dla sprawy, którą mu poruczono bronić, że nie chciał zanadto wiele wymagać od niego. Wzmocniony posiłkami 10,000 żołnierza, których potrzebował, mógłby się okazać śmielszym, ale rząd austriacki postanowiwszy trzymać się w pewnych zakreślonych granicach, wedle umowy potajemnie zawartej z Rossją, nie miał chęci powiększać swego współdziału w wojnie. Co najwięcej, zgodzał się na dopełnienie trzydziesto-tysięcznego korpusu posiłkowego, udzielonego Napoleonowi, zasiłkiem pięciu do sześciu tysięcy żołnierza. Miał on wprawdzie w Galicji armję, którą mógłby wysłać na Wołyn, ale ściągnąłby do Galicji Rosjan, względem których obowiązał się nie przechodzić granicy, dopóki sami jój nie przeszli; i to właśnie nazywał dość otwarciem *neutralizacją Galicji*, jakowe położenie rzeczy chciał nadal utrzymać.

To usposobienie rządu wystarczyłoby samo, gdyby nawet wypadki wojenne nie przyczyniły się do tego, żeby uczynić księcia Szwarzenberga nadzwyczaj ostrożnym. Dowiedziawszy się że posiłki w liczbie 6,000 żołnierza dawno zapowiedziane, nadszły wreszcie, pozostawił generała Renje za błotami pińskimi, i poszedł podać rękę tym posiłkom, które szły na Zamość. Otrzymawszy je, powrócił przez Brześć połączyć się z generałem Renje, który ze swj strony czekał na dywizję francuzką liczącą w sobie 12 do 15 tysięcy żołnierza, zostającą pod dowództwem generała Diuriut (Durutte), oddzieloną od korpusu Ożero, i złożoną z bataljonów ściągniętych z wysp Walkerenu, Re, Bell-it. Napoleon oddzielił tę dywizję od korpusu Ożero, licząc na zamieszczenie jój w Niemczech przez pyszną dywizję Grenje, przybywającą z Włoch. Książę Szwarzenberg otrzymawszy 5 do 6,000 posiłków, generał Renje będąc bliskim otrzymania ich w liczbie 12 do 15 tysięcy, mieli zostawać na czele pięćdziesięciu kilku tysięcy żołnierza, a zatém w możności oparcia się sześćdziesięciu tysiącom admirała Czyczagowa. Ale podczas kiedy marnowali czas na ruchach bez związku idąc na spotkanie, jeden Austrjaków nadszły od Zamościa, drugi Francuzów przechodzących przez Warszawę, admirał Czyczagów stosując się do instrukcji przysłanych mu przez cesa-

rza Aleksandra za pośrednictwem P. Czerniszewa, pozostawił generała Sakięna z 25,000 żołnierza naprzeciw generałów sprzymierzonych, a sam poszedł z 35,000 na wyższą Berezynę, ażeby podać rękę hrabiemu Wittgensztejnowi, który miał polecenie odeprzeć marszałka Sę-Syr z nad brzegów Dźwiny, i wystąpić na spotkanie armji mołdawskiej. Najprostszą było rzeczą iść w ślad za admirałem Czyczagowem, ale książę Szwarzenberg i generał Renje, nie mogąc odkryć zamiarów tajnych Rossjan, nie wiedzieli co przedsięwziąć, pomiędzy Sakięnem, którego mieli przed sobą, a Czyczagowem, o którym powiadano że poszedł drogą do Mińska. Pośród tej niepewności, dozwolili admirałowi dokonać swojego ruchu.

Oto co P. Bassano donosił Napoleonowi o działaniach lewego skrzydła, od strony Wołynia i niższego Dniepru. Rzeczy szły jeszcze gorzej na prawém skrzydle, to jest, na Dźwinie wyższej i niższej. Marszałek Makdonald pozostając przez miesiące wrzesień i październik nieczynnym w okolicach Dyneburga z dywizją polską od 7 do 8 tysięcy żołnierza, chcąc osiągnąć dwa cele, z których żadnego nie dopiął, to jest, zasłonić oblężenie Rygi, i utrzymać komunikacje z marszałkiem Sę-Syr, odwołany został ku niższej Dźwinie dla wsparcia Prusaków przeciwko wojsku finlandzkiemu, wysłanemu do Inflant wedle układów Rossji ze Szwecją. Wyrzucony ostatecznie od tego czasu za obręb działań wielkiej armji, został skazany, jak tego się lękał, na długą nieczynność.

W Połocku samy rzeczy brały nie lepszy obrót. Wojsko finlandzkie przewiezione na okrętach do Rewla, straciwszy nieco ludzi podczas burzy na morzu, po wylądowaniu swoim udało się do Rygi, wsparło generała Essena w wycieczkach, które odciągnęły marszałka Makdonalda nad niższą Dźwinę, i posunęło się później w górę tej rzeki w liczbie 12,000 żołnierza, pod dowództwem generała Szejngiel. Wittgensztejn wzmocniony temi posiłkami, oraz kilką oddziałami milicji, które podniosły liczbę wojska jego do 45,000, postanowił rozpocząć kroki zaczepne, ażeby zmusić marszałka Sę-Syr do oczyszczenia Połocka, oraz podać rękę admirałowi Czyczagowemu, na wyższej Berezynie. Stosownie do planu przysłanego z Petersburga, hrabia Szejngiel miał przebyć Dźwinę poniżej Połocka, dla niepokojenia marszałka Sę-Syr z tyłu, i ułatwienia tym sposobem działania bezpośredniego przygotowanego przeciwko niemu.

W obec nieprzyjaznych kroków, któremi był zagrożony, marszałek Sę-Syr mając wielką trudność w dostaniu żywności przez miesiące wrzesień i październik w kraju zrujnowanym przejściem wojsk

wszelkich narodowości, żądając napróżno z Wilna zapasów, których brak środków transportu nie dozwalał mu przysłać, nie mógł pokrzepić swojego korpusu, ani uzupełnić go. Drugi korpus marszałka Udi-no nie miał w sobie więcej nad 15 do 16 tysięcy żołnierza, z których 12,000 Francuzów, i około 4,000 Szwajcarów lub Kroatów. Bawarczycy, których liczba zmniejszyła się do 3,000, otrzymali nieco rekrutów, które ich liczbę podniosły do 5 lub 6 tysięcy. Marszałek Sę-Syr liczył więc najwięcej kiedy 21 do 22 tysięcy żołnierza przeciwko 45 tysiącom, z których 33,000 miały wprost nań natrzecé, a 12,000 miały przebyć Dźwinę poniżej Połocka, i wziąć go z boku. Szczęściem marszałek Sę-Syr był człowiekiem umięjącym sobie doradzić, zostawał w pozycji wcześniej już przez siebie zbadanej, miał dobrych żołnierzy, wybornych oficerów, i postanowił upornie bronić swego stanowiska.

Miasto Połock położone, jak powiedzieliśmy, w kącie utworzonym przez Połotę i Dźwinę przy ich zbiegu, było opasane fortyfikacjami połowemi dość przydatnemi do obrony. Na lewo, Połota ochraniając czoło pozycji i większą część miasta, miała nad brzegiem rozstawione reduty uzbrojone; na prawo, w otworze kąta utworzonego przez dwie rzeki, fortyfikacje ziemne zostały wzniesione, i wojska mogąc się przenosić szybko z jednego frontu na drugi, były w możności stawić wszędzie czoło. Marszałek Sę-Syr umieścił na lewo za fortyfikacjami Połoty najłatwiejszemi do bronienia, dywizję szwajcarską i kroacką, a na prawo, ku otworowi kąta, tam gdzie atak mógł mieć najwięcej powodzenia, dywizje francuzkie Legran i Mezon, zdolne do stawienia czoła nieprzyjacielowi znacznie przemagającemu w liczbie. Bawarczycy byli po drugiej stronie Dźwiny, z jazdą którą wysłano opodal, dla obserwowania i wstrzymania wojska finlandzkiego, które miało zaatakować nas z boku, kilka mostów wewnątrz Połocka miały służyć do przejścia armji w razie odwrotu przymuszonego. W tej to pozycji marszałek Sę-Syr czekał śmiało dwóch ataków, któremi był zagrożony.

16go i 17go października nieprzyjaciel posuwał się stopniowo ku naszym pozycjom, i wreszcie 18go rano odważnie natarł na nie.

Hrabia Wittgensztejn, którego młody oficer, zdolny i pełen ognia, przeznaczony później do odegrania wielkiej roli, generał Dybicz, był doradcą, wysłał najlepszą i najliczniejszą część swojego wojska na nasze prawe skrzydło, ku otworowi kąta utworzonego przez Połotę i Dźwinę. Zamiarem jego było ściągnąć wszystkie nasze siły ku tej

stronie najprzystępniejszej naszej pozycji, i kazać potem opanować księciu Jaszwilowi z resztą armji, Połotę ogołoconą z wojsk.

Jakoż Rossjanie wystąpiwszy śmiało na prawe nasze skrzydło, zbliżyli się nie wiedząc o tém do baterij umieszczonych w Struwni, które zasłaniały część odkrytą miasta. Należało przypuścić ich blisko nie dając ognia, ażeby osypać ich później kartaczami, kiedy nie mieliby już czasu się cofnąć. Ale artylerzyści bawarscy zostający przy tych baterjach, w skwapliwości swojej, dali ognia za nadto wczesnie, tak że Rossjanie ostrzeżeni posunęli się z większą ostrożnością niżeli tego życzyć należało dla otrzymania pomyslnego skutku z naszego obrotu. Jednakże zwrócili się bez wahania się ku stronie miasta, której Połota nie zasłaniała. Ale dywizje Legran i Mezon rozwinęły się i poszły na nich śmiało. Dywizja Mezon nadewszystko, więcej narażona niżeli dywizja Legran, dotrzymywała kroku chociaż oskoczona ze wszystkich stron, i odparła w końcu nieprzyjaciela na znaczną odległość. Dywizja Legran wsparła ją dzielnie, i Rossjanie wszędzie byli powstrzymani i odparci. Marszałek Sę-Syr nie trwożąc się zbytecznie o prawe swe skrzydło, miał tę ostrożność że nie osłabił zbyt lewego, i dobrze na tém wyszedł, gdyż książe Jaszwil występując ze swęj strony, rzucił się na reduty wzniesione wzdłuż Połoty. Gdyby mu dozwolono zbliżyć się aż do podnóża tych fortyfikacij, zniszczonoby go ogniem samych redut. Ale Szwajcarowie, podobnie jak Bawarczycy, grzesząc zbyteczną skwapliwością, rzucili się na Rossjan z bagnetami w rękę, i odpierając ich, sparaliżowali działanie naszęj artylllerji, stanąwszy tuż pod redutami. Prócz tego, poświęcili dużo ludzi dla rezultatu, któryby otrzymały same nasze działa. Jednakże na tym punkcie, podobnie jak na tamtym, armja hrabiego Wittgensztejna została odpartą ze stratą trzech do czterech tysięcy ludzi. Strata z naszęj strony zaledwo połowę tego wynosiła.

Gdyby hrabia Szejngiel nie zagrażał z tyłu, marszałek Sę-Syr mógł się uważać za bezpiecznie usadowionego nad Dźwiną. Ale korpus finlandzki przebywszy Dźwinę postępował w górę jęj lewym brzegiem dla połączenia się pod Połockiem z częścią sił Witgensztejna. W obec tego niebezpieczeństwa, marszałek Sę-Syr wzmoenił Bawarczyków pod jenerałem Wrede, oddziałami wziętymi z każdęj z jego trzech dywizij, i postawił ich w możności oparcia się hrabiemu Szejngiel. Jakoż, 19go, po żwawęj utarczce, korpus finlandzki był zmuszony cofnąć się. Ale przed podwójnym atakiem na obu brzegach Dźwiny, który mógł być odnowionym z większą zgodnością i natarczywością, nadewszystko od czasu jak obie armje nieprzyjacielskie, przybywszy

na tę samą wysokość, mogły komunikować się z jednego brzegu na drugi, nie było roztropną rzeczą upornie trzymać się w tej pozycji, i marszałek Sę-Syr postanowił opuścić Połock w nocy, dla cofnięcia się w należyty porządku za Ulę, którą kanał Lepelski, jak widzieliśmy, łączy z Berezyną. Występując, wojska nasze zadały okropną rzeź Rossjanom, którzy zanadto pośpiesznie wpadli pomiędzy ruiny spalonego miasta Połocka.

Dni następnych przedłużaliśmy nasz odwrót, generał Wrede stawiając czoło hrabiemu Szejngiel, marszałek Sę-Syr hrabiemu Wittgensztejn, w nadziei spotkania księcia Belluny na Ule.

Jakoż ten po długim wahaniu się czy miał wystąpić przeciw admirałowi Czyczagowemu, przybywającemu z południa, czy przeciw generałom Wittgensztejnowi i Szejngielowi przybywającym z północy, zdecydował się wreszcie po wypadkach pod Połockiem pośpieszyć na północ, dla podania pomocy marszałkowi Sę-Syr. Nieszczęściem znajdując się nie już w Witebsku ale w Smoleńsku, skutkiem nowego rozporządzenia, które zmieniło drogę armji, miał dość znaczną przestrzeń do przebycia ażeby stanąć w Leplu. Marszałek Sę-Syr, ciężko raniony w ostatnim dniu pod Połockiem, musiał rzec się do wództwa, które marszałek Udino, niezupełnie jeszcze wyleczony z swęj rany, objął znowu z chwalebna gorliwością.

Tym sposobem przy końcu października dwie armje, jedna mająca około 35,000 żołnierza, druga 45,000, pierwsza umknąwszy przed księciem Szwarzenbergiem, druga odpierając przed sobą 2gi korpus, były bliskie podania sobie ręki na wyższej Berezynie, i zamknięcia nam odwrotu z 80,000 żołnierza. Połączenie się tylko i zwycięstwo marszałków Udino i Wiktora mogło odwrócić to groźne niebezpieczeństwo.

Mieliśmy więc znaleźć Smoleńsk ogołocony z silnej pomocy 9go korpusu, a nawet z dywizji Baragie-d'Illje, którą Napoleon wcześniej do tego przygotowawszy, ściągnął do Jelni, kiedy myślał o pochodzie na Kaługę. Wprawdzie później odwołał ten rozkaz, ale już było za późno, i dywizja Baragie-d'Illje, będąc już w drodze, mogła wpaść w sam środek armji Kutuzowa. Tym sposobem okoliczności nabawiająca trwogi mnożyły się ze wszystkich stron przed stopami Napoleona. Obfitość, którą miano znaleźć w Smoleńsku nie była taką jakiej się spodziewano. Ponieważ żegluga wewnętrzna z Gdańska do Kowna nie mogła być przedłużoną aż do Wilna, kompanja transportów została utworzoną, dzięki czynnym zabiegom P. Bassano, która przewoziła dziennie 1500 centnarów z Kowna do Mińska, przez Wilno.

Ale zastosowano te środki transportu tylko do gorących napojów i do amunicji wojennej, w tój pewności, że zboże znajdzie się na Litwie. Jakoż znaleziono je w istocie, skutkiem znacznych rekwizytów, ale dzierżawcy litewscy nie mieli upręży, czy tóż nie chcieli jój dostarczyć, w nadziei, że zboże u nich pozostanie dla braku środków przewózki, zdołano więc zgromadzić część tylko zboża i maki potrzebowanych do Wilna, Mińska, Borysowa, Smoleńska. Ponieważ woły mogły same drogę odbywać, mięsa nie tyle brakowało. Ale najwięcej jeśli armja mogła mieć żywności na 7 lub 8 dni w Smoleńsku, na 15 w Mińsku, na 20 w Wilnie. Jednakże chodząc koło tego z gorliwością, można było zaopatrzyć się w żywność na czas daleko dłuższy. Obecnie zapewnione były środki wyżywienia się tylko na pierwsze dni.

Ta więc nadzieja obfitych leż zimowych na Litwie nie była tak bliską do urzeczywistnienia się jak sądzono. Wprawdzie wiadomém to było tylko samemu Napoleonowi, ale nie mogło to przyczynić się do rozweselenia go w smutkach, które go oblegały. Wkrótce miał on odebrać gorsze jeszcze wiadomości. Francja, którą zostawił tak spokojną, tak uległą, tylko co nie została zaburzona, może nawet wydarła z pod jego panowania przez szaleńca, zuchwałego awanturnika, którego kilkogodzinne powodzenie dowodziło, jak dalece we Francji zależało wszystko od życia jednego człowieka, życia bezustannie zagrożonego nie sztyletami, ale kulami.

Od kilku lat trzymano w więzieniu paryżkiem dawniejszego oficera, generała Male (Malet), szlachcica, rodem z Frank-kontuaz, republikanina zapalonego i szczerzego, ukształconego jak wielu ludzi z jego epoki i jego urodzenia w szkole J. J. Russo, będącego przedtém generałem rzeczypospolitéj i nie mogącego darować Napoleonowi, że ją przyprawił o zgubę. Panowanie jednej myśli czyni człowieka szalonym, albo zdolnym do nadzwyczajnych rzeczy, a często wywołuje oba rezultaty razem. Myślą jedyną napełniającą umysł generała Male było, że naczelnik państwa prowadząc ciągle wojnę, musiał nie dziś to jutro poiedz od kuli, że za rozszerzeniem tój wieści prawdziwej albo nawet zmyślonej, łatwo byłoby znieść wszelkie władze i skłonić naród do przyjęcia innego rządu, gdyż osoba Napoleona była wszystkim, ludźmi, rzeczami, prawami, instytucjami. Pod wpływem tój wyłącznej myśli wynajdował ciągle w swym umyśle środki podejscia władz wieścią zmyśloną o śmierci Napoleona, obwołania nowego rządu i przyprowadzenia do stóp tego rządu narodu znużonego despotyzmem, milczeniem i wojną. Już w 1807 i 1809tym myślał na chwilę o urze-

czywistnieniu swego urojenia i gdy niektóre zwierzenia się, konieczne czy też nie, wprowadziły policję na ślad tego co zamierzał, wsadzono go do więzienia. Był on od tego czasu więzionym w Paryżu. Będąc więźniem, oddał się całkiem swęj wyłącznej myśli i widząc Napoleona w Moskwie, powiedział sobie, że to była pora albo nigdy, spróbować wykonania swojego planu, ale tą razą nie przypuścił nikogo do swęj tajemnicy, czerpał wszystko z siebie, z siebie jednego, i okazał w swém postępowaniu nadzwyczajną śmiałość. Przeniesiony do szpitala blisko bramy świętego Antoniego, zabrawszy tam znajomość z księdzem umiejącym równie dochować tajemnicy i ożywionym temiż samemi uczuciami co on, umyślił roznieść pogłoskę o śmierci Napoleona, nie wydając się przed nikim z tém wymyślonym przez niego kłamstwem, sfabrykować fałszywe rozkazy, fałszywą uchwałę senatu, i na mocy tęj wymyślonej uchwały, odnawiającej jakby rzeczpospolitę, udać się do koszar, wyprowadzić ztamtąd pułk, z tym pułkiem pójść do więzienia dla uwolnienia ztamtąd wielu wojskowych więzionych naówczas, jak naprzykład jenerała Lahori, dawniejszego szefa sztabu jenerała Moro, jenerała Gidal, obwinionego o niektóre stosunki z Anglikami, wystąpienia z temi jenerałami, schwywania wszystkich ministrów, zwołania do ratusza miejskiego pewnej liczby ważnych osób, uważanych za mało sprzyjających rządowi i obwołania tam rzeczypospolitęj. Chociaż plan swój głęboko obmyślił i zastanawiał się nad wszystkiemi szczegółami wykonania, pozostawały jednak rzeczy, które zostawił odłogiem, czy to że zbyt pospiesznie działał, czy że się zdał na los, który w połowie musi mieć udział we wszystkich wielkich przedsięwzięciach, pod warunkiem jednakże nie spuszczenia się zbyt na niego.

Przy pomocy księdza, którego sobie przybrał za towarzysza, wybrał dwóch młodych ludzi, dość nieświadomych, ale bardzo odważnych, nie posiadających jego tajemnicy i przeznaczonych do służenia mu za adjutantów. Z ich pomocą dostał w miejscu bliskiem od łazaretu, w którym się znajdował, mundurów i pistoletów. 22go października, w tym samym dniu kiedy Napoleon czynił obroty około Mała-Jarosławca, za nadejściem nocy, wymyka się oknem ze swego łazaretu (ksiądz który mu dopomagał swém piórem, wymknął się przedtém), dąży do mieszkania, gdzie go czekali dwaj młodzi ludzie, ubiera jednego z nich za adjutanta, sam przywdziewa mundur jenerała, powiada im, że Napoleon zabity 7go października w Moskwie, że senat zebrawszy się w nocy uchwalił przywrócenie rzeczypospolitęj i pokazawszy fał-

szywe rozkazy starannie przygotowane w swoim więzieniu, udaje się do koszar Popękur, gdzie znajdowała się dziesiąta kohorta gwardji narodowej, pod dowództwem starego oficera powołanego z reformy. Ten, nim postawiony był na czele swojej kohorty, służył czas jakiś w Hiszpanji i bardzo zaszczytnie. Nazywał się Sulje (Soulier). Jenerał Male każe go obudzić, staje sam u jego łózka, zapowiada mu, że Napoleon nieżyje, zabity w Moskwie wystrzałem z pistoletu 7 października, że senat zgromadził się potajemnie, zawyrokował przywrócenie Rzeczypospolitej, mianował jenerała Male dowódcą siły publicznej w Paryżu i udając, że on nie jest jenerałem Male, ale jenerałem Lamott, jednym z jenerałów dowodzących w Paryżu, powiada że przychodzi z wyższego rozkazu wziąć 10tą legję i zaprowadzić ją na rozmaite punkta stolicy, dla spełnienia różnych poruczeń. Dowódzca Sulje, przerażony tą wiadomością, nie przypuszczając w swęj prostocie żeby mogła być wymyśloną, boleje nad tém, ale oświadcza swą gotowość być posłusznym. Wstaje z postania, zwoluje kohortę, udziela jej na podwórzu koszar wiadomości przyniesionej przez mniemanego jenerała Lamott, wiadomości przyjętej ze zdziwieniem, ale bez niedowiarstwa, tak ona zdawała się być wszystkim prawdopodobną, a niektórym przyjemną, gdyż w kohortach znajdowali się dawniejsi oficerowie republikańscy przywołani znowu do służby, oraz wielu żołnierzy, którzy niechętnie porzucili swe domy, zadość uczyniwszy już powielekroć wszystkim prawom konskrypcji. Wszyscy posłusznemi są bez najmniejszego podejrzenia, bez żadnego w świecie zarzutu.

Jenerał Male, mniemany jenerał Lamott, prowadzi ich do więzienia la Fors przededniem, przyzywa dozorcę więzienia, pokazuje mu rozkaz uwolnienia jenerałów Lahori i Gidal, otrzymuje ich uwolnienie skutkiem téjże samej łatwowierności, przywołuje ich, opowiada im ściskając ich wielką wiadomość, oszukuje ich podobnie jak innych, świadkiem jest ich radości, którą udaje że podziela, pokazuje im dekreta senatu i wskazuje im tryb postępowania, jakiego mają się trzymać. Gidal ma pójść zachwycić ministra wojny, Lahori ma udać się do ministra policji, schwytać go, zaprowadzić do więzienia Konsjerżery, podczas kiedy on, Male udawszy się do głównego sztabu miejskiego, przyaresztuje jenerała Hiule. Hasłem danym jest palnięcie w łeb każdemu, co by nie chciał być posłusznym rozkazom senatu, o których rzeczywistości Gidal i Lahori nie mają najmniejszego podejrzenia. Male bardzo słusznie przekonany był, że współnicy oszukani nie będą się wahać i wykonają jego zlecenia z dobrą wiarą,

która wszystkich za sobą pociągnie. Male używa jednego ze swych młodych ludzi dla posłania do prefekta Sekwany Froszo, fałszywych dekretów senatu, i zlecenie przygotowania ratusza miejskiego, gdzie ma się zebrać rząd tymczasowy. Drugi ajent improwizowany generała Male spieszy do jednego z pułków garnizonu, z rozkazem pułkownikowi strzeżenia oddziałami tego pułku wszystkich rogatek Paryża, tak, żeby nikt przez nie nie mógł wyjść ani wejść.

Po ułatwieniu na prędce wszystkich tych rzeczy, w celu przyprowadzenia do skutku tego podejścia Paryża uspięnego, udano się do księcia Rovigo w chwili kiedy dzień zaczynał świtać. Minister policji przepędziwszy noc na pisaniu depeszy, surowo zalecił żeby go nie budzono. Generał Lahori na czele 10tój kohorty, wpada do jego pałacu, wybija drzwi jego pokoju, wbiega po strzaskanych podwojach i przejmując go zdziwieniem swém nagłym ukazaniem się. Służył on przedtém razem z księciem Rovigo i zostawał z nim w przyjaznych stosunkach. — Poddaj się bez oporu, rzecze do niego, gdyż kocham cię i nic ci złego zrobić nie chcę. Cesarz nie żyje, cesarstwo jest zniesione i senat przywrócił rzeczpospolitę. — Książę Rovigo odpowiada generałowi Lahori że chyba oszalał, że list Cesarza odebrany tegoż jeszcze wieczora zadawał fałsz jego twierdzeniu, że wiadomość ta jest fałszywą i że on jest sprawcą albo narzędziem oszukanstwa. Lahori równie przeświadczony o prawdzie swoich słów jak książę Rovigo o prawdzie swoich, utrzymuje, że to co mówi jest prawdą; książę Rovigo przeczy temu. Lahori rozkazuje wtedy, żeby go aresztowano. Książę Rovigo stara się wyprowadzić z błędu żołnierzy, ale ci uważają za rzecz naturalną, że aresztowany robi zarzuty, a zresztą same stanowisko, jakie zajmuje, nie dozwala, żeby mu dawano wiary. Lahori według otrzymanych instrukcyj, powinien był zastrzelić księcia Rovigo, nie czyni jednak tego, ale spieszy do Gidala, który znajdował się niedaleko ztamtąd, dla naradzenia się z nim. Gidal idzie z nim razem. Obaj trwają w swém uprzedzeniu, ale nie chcąc odbierać życia dawniejszemu koledze, nakazują milczenie księciu Rovigo i nie wyrządzając mu nic złego, odsyłają go do Konsjerżery, gdzie już prefekt policji był zaprowadzony takimże samym sposobem.

Dotąd wszystko szło dobrze; ale aresztowanie księcia Rovigo opóźniło nieco przyaresztowanie ministra wojny, a ze swój strony generał Male traci czas w mieszkaniu generała Hiule, kommandanta placu Paryża. Przybywszy do niego z oddziałem téjże samój kohorty, znajduje go w łóżku, każe mu wstać, używa z nim tychże samych wy-

biegów, które już z innemi tak dobrze się powiodły, znajduje go łatwo wierzącego wiadomości o śmierci Napoleona, ale niechęącego wierzyć co do odnowienia rzeczypospolitej uchwałą senatu i otrzymuje za odpowiedź wezwanie do pokazania swych rozkazów. Jenerał Male, ściślej trzymający się swojego planu niżeli jego improwizowani wspólnicy, odpowiada jenerałowi Hiule, że zakommunikuje mu je w jego gabinecie, idzie z nim do tego gabinetu i tam obala jenerała wystrzałem z pistoletu zbliiska wymierzonym. Male wychodzi potem, udaje się do szefa głównego sztabu Duse, powtarza mu to samo co powiedział innym, donosi mu nadto, że mianowany został jenerałem i wzywa go do zdania mu natychmiast dowództwa placu. Czy to że czyn gwałtowny, którego jenerał Male dopiero co się dopuścił, osłabił jego postanowienie, czy że pierwsze niedowierzenie spotkane w tym dniu zachwiało go, okazał mniej stałości z tym szefem. Waha się, traci czas i ośmiela niewiarę, której nie usuwa natychmiast twierdzeniem bezwzględniem lub nowym wystrzałem z pistoletu. Drugi oficer placu, zwany Labord, nadchodzi, przypomina sobie rysy jenerała Male, domyśla się natychmiast że to jest spisek śmiało uknowany, przywołuje urzędnika policji, który właśnie znał jenerała Male i który był obecnym przy przeprowadzeniu go z jednego więzienia do drugiego. Ten urzędnik policji będąc pewnym, że ten jenerał jest jednym z podległych jego władzy, zapytuje go dla czego i jakim sposobem opuścił więzienie, wprawia go w kłopot, w zamieszanie i odejmuje mu całą przewagę, jaką miał nad swoim oddziałem. Male chce wtedy użyć swój broni, ale rzucają się na niego, wiążą mu ręce i oddają go pod areszt w obec jego oddziału wahającego się i zaczynającego wierzyć, że go oszukano. Pochlebia sobie jeszcze, że jego wspólnicy dadzą mu pomoc, ale w miejscu nich nadchodzą żołnierze gwardji cesarskiej, którzy uwiadomieni, pospiesznie nadbiegają, oswobodzają sztab placu z jego napastników i wiążą tych, którzy sami przyszli wiązać.

W godzinę książe Rovigo jest wypuszczony na wolność, prefekt policji takoz i każdy z nich obejmuje znowu kierunek spraw swojego urzędu. Co najdziwniejsze z tego wszystkiego co dopiero opisaliśmy, że prefekt Sekwany, przybywszy ze wsi o świcie, odbierając ze wszystkich stron wiadomość rozszerzoną w ratuszu miejskim, nie domyślał się bynajmniej że była wymyślona i zaczął urządzać żądane apartamenta, powoli wprawdzie, nie dla tego żeby wątpił, ale że miał mało upodobania w rządzie republikańskim, który zdawało się, że miał nastąpić po cesarstwie. Niemniej zadziwia i to, że dowódzca

pułku, któremu poruczono strzedz rogatek, usłuchał i wysłał oddziały dla zajęcia ich.

Było za ledwo południe, kiedy wszystko się zakończyło, kiedy rzeczy zostały przywrócone do dawnego stanu, władze po chwilowym przerwaniu swych czynności, na nowo je rozpoczęły i Paryż, dowiadując się o tój szybkiej przemianie scen, przechodził z bojaźni, której mu udzielały zawsze próby tych, których nazywano *terrorystami*, do ogromnego śmiechu z policji nienawidzonej i tak łatwo zniecka podchwyconej. Żeby każdy inny minister był schwytany, mniejsza jeszcze; ale sam minister policji! oto z czego się nie można było dosyć naśmiać, nabawić, nagadać, i bojaźń poprzedziwszy śmiech, nastąpiła po nim takż, gdyż przedstawiały się smutne uwagi nad podobnym stanem rzeczy.

Tyle łatwowierności w przypuszczeniu rozkazów najdziwaczniejszych, tyle posłuszeństwa w ich wykonaniu, oskarżały nie ludzi, zawsze łatwych do oszukania i tak skorych do posłuszeństwa, kiedy do niego przywykli, ale rząd Napoleona, pod którym takie rzeczy mogły się dziać. Pod tym rządem tajemniczym, wymagającym posłuszeństwa biernego i ślepego, gdzie człowiek jeden łączył w swojej osobie rząd, konstytucję, państwo, gdzie ten człowiek narażał codziennie los Francji i swój własny w bajecznych przedsięwzięciach, naturalną było rzeczą uwierzyć w jego śmierć, po przypuszczeniu jego śmierci szukać pewnego rodzaju władzy w senacie i pozostawać dalej posłusznym biernie, bez roztrząsania, bez sporu, gdyż odzwyczajono się wtedy od pomyślenia, od znoszenia jakiego sprzeciwienia się. Nie zwiedzionoby podobnemi środkami państwa swobodnego, gdyż tysiące opponentów spotyka się na każdym kroku w kraju, gdzie każdy człowiek rozumie i zastanawia się nad tem, co powinien czynić. Znajdował się jednakże następca Napoleona, a o nim ani pomyślano nawet!

Nie było więc kogo obwiniać, prócz istniejącego rządu, ale policja i władza wojskowa lękając się żeby Napoleon nie pociągnął do odpowiedzialności jedną lub drugą za ten dziwaczny wypadek, chciały żeby z roztrząśnienia faktów wyszło, na jaw jój własne usprawiedliwienie a potępienie jój współzawodnicy. Policja nie odkryła tego spisku, a władza wojskowa dopomagała mu z taką łatwością, że to mogło ujsć za pewien rodzaj porozumienia się. Obie one jednakże nie były bynajmniej winne. Policja nie mogła odkryć co było w głowie jednego człowieka, a naturalną było rzeczą, że władza niższa wojsko-

wa uwierzyła rzeczy tak podobnej do prawdy jak śmierć Napoleona. Pierwsza więc nie była niezręczną, ani druga niewierną, ale z bojaźni być oskarżonym, należało oskarżać. Zresztą minister policji i minister wojny nie lubili siebie wzajemnie. Księżę Feltru miał wszystkie pozory przemawiające za nim, księżę Rovigo miał wszystkie pozory przeciwko sobie, a przecież rzeczywistość ani u jednego, ani u drugiego nie odpowiadała pozorom. Księżę Rovigo szukał prawdy, na odkryciu której wiele mu zależało, a skutkiem jego poszukiwania było uniewinnienie wszystkich, wyjąwszy jednego tylko generała Male. Księżę Feltru chciał widzieć wszędzie współników tego generała, ażeby policja zdawała się być winną, że ich nie odkryła, kiedy byli w tak wielkiej liczbie. Pod podobnym rządem, takie zajścia musiały wywrzeć zgubny wpływ na los oskarżonych. Rząd złożony z ministrów, wielkich dygnitarzy obecnych w Paryżu, zebrał się pod prezydencją arcykanclerza Kambasere i roztrząsał jak należało w tym razie postąpić. Arcykanclerz, posiadając sztukę łagodzenia zwaśnionych, neutralizowania opinij sprzecznych, co jest zgodnem ze zdrowym rozsądkiem ale nie zawsze ze sprawiedliwością, skłonił obradujących do naznaczenia komisji wojskowej, przed którą miało być stawionych więcej dwudziestu obwinionych. Rzeczywiście jeden tylko był winny, gdyż oprócz zamachu politycznego, który generał Male usiłował dokonać, obalił prawie nieżywego u nóg swoich jednego człowieka, który szczęściem nie umarł z zadanej rany. Ale generałowie Lahori i Gidal, którzy wzięli wprawdzie dobrowolnie udział w jego zamiarze, lecz wzięli go po udzieleniu im wiadomości fałszywej, której uwierzyli, rozkazów wymyślonych, które za ważne uznali, nie byli winni ani przed Bogiem ani przed ludźmi. Byli to wprawdzie oficerowie stopnia wyższego i bardzo podejrzani, mieli już udział dawniej w zamachu stanu, niech i tak będzie; ale jeżeli względem nich mogła zachodzić jaka wątpliwość, mogłaż być jakakolwiek względem dowódcy 106j kohorty, kommandanta Sulje, mężnego oficera, który dowiedział się ze smutkiem o śmierci Napoleona, uwierzył temu i okazał się posłusznym? Co się tycze jego, kara i kara taka jak śmierć, była wielką niesprawiedliwością! A jednakże został skazany na nią z trzynastą innymi oskarżonymi. Policja domagała się odroczenia kary dla niego, które było potrzebnem dla dalszego ciągu śledztwa. Odroczenie to zostało odmówione. W ciągu pięciu dni czterestu nieszczęśliwych było aresztowanych, sądzonych, skazanych i dwunastu egzekwowanych.

Takie były dziwne wiadomości, które doszły Napoleona w Dorohobużu. Były one zaiste w stanie zasmucić go, gdyż te co przybywały z armij musiały go niepokoić mocno względem jego odwrotu, te zaś co przybywały z Paryża, odkrywały mu wszystko to, co było nietrwałego w jego nadzwyczajnej potędze. Co najwięcej uderzyło Napoleona w tych ostatnich wiadomościach, to łatwość, z jaką każdy wierzył, słuchał pod jego panowaniem, a nadewszystko to zupełne zapomnienie o jego synie! — Ale jakże, wołał powielekroć, nie myślano wcale o moim synie, o mojej żonie, o ustawach cesarstwa! — I każdą razą kiedy wydawał ten okrzyk zdziwienia, wpadał w swe ponure zadumanie, o którego goryczy można było wnosić z posępnego wyrazu jego twarzy.

Sprawiedliwszy względem nieszczęśliwych, których niedawno zamordowano, niżeli ci co ich tak lekkomyślnie skazali, zapytał u generała Larybóazjer, który znał zostając przy Moro wszystkich generałów rzeczypospolitej, kto to był ten Lahori. Mężny oficer, odpowiedział zacny dowódzca artyllerii, oficer bardzo wielkiej zasługi, któryby dobrze służył W. C. Mości, gdyby go nie starano się najgorzej Mu przedstawić, któryby Mu służył podobnie jak generał Eble, którego takoz starano się uczynić mu podejrzanym, i którego W. C. Mość mozesz codzień oceniać charakter i talenta. — Masz słuszność odpowiedział smutnie Napoleon, ci głupcy, dozwoiliwszy się podejść, starają się usprawiedliwić w oczach moich, rozstrzeliwając ludzi tuzinami.

Zresztą Napoleon miał coś pilniejszego do czynienia jak zajmować się tym spiskiem, wypadkiem przelotnym, bez innych następstw dla niego, jak rzucenie ponurego światła na jego położenie polityczne; potrzeba było wydawać rozkazy rozmaitym korpusom armji, których współdziałanie było nieodbycie potrzebném dla zapobieżenia połączeniu wszystkich sił nieprzyjacielskich z tyłu naszój armji, połączeniu, którego bardzo należało się już lękać i które mogło nas doprowadzić do haniebnój przegranej, a może nawet uczynić Napoleona więzieniem Cesarza Aleksandra!

Napoleon kazał panu Bassano napisać do księcia Szwarcenberga i generała Renje, ażeby przestali chodzić omackiem pomiędzy Brześciem a Słonimem, żeby dozwolili tam pozostać korpusowi Sakienu, który nie mógł być bardzo niebezpiecznym dla Warszawy, że zresztą wkrótce rozbija go tém pewniej, im będzie śmielej postępować, a iść

bez odetchnienia w pogoń za admirałem Czyczagowem, gdyż obecność tego generała rosyjskiego nad Berezyną, to jest, na linii odwrotu wielkiej armji, mogła być bardzo szkodliwą. Napisał do księcia Belłuny zalecając mu natychmiast połączyć się z marszałkiem Udino; rozkazał obu im iść na Wittgensztejna, którego przewyższali w ilości i jakości wojsk, poprzec go silnie za Dźwinę, odnieść nad nim stanowcze zwycięstwo, uwolnić tym sposobem wielką armję od stoczenia z nim bitwy, gdyż ona była nadzwyczaj znużoną, (Napoleon nie śmiał powiedzieć zrujnowaną), pośpieszać nadewszystko, gdyż mogło się stać że ich pomoc będzie takż potrzebna przeciw Czyczagowemu. Napisał do Wilna, żeby sprowadzono z królestwa jedną z dywizji marszałka Ożero, tę która już była przeprowadzoną do Gdańska, i która z rąk generała Lagranż przeszła w ręce generała Łóazon. Dywizja Diuriutt, wysłana do Warszawy dla wzmocnienia generała Renje, była równie jak dywizja Łóazon, oddzieloną od armji Ożero, a obie te dywizje miały być zastąpione przez dywizję Grenje, sprowadzoną z Włoch, i liczącą w tej chwili do 18,000 żołnierza.

Napoleon zalecił prócz tego panu Bassano, który rozwijał w Wilnie największą czynność administracyjną, wysłać do rozmaitych miejsc zapasowych armji, to jest, do Mińska, Borysowa, Orszy, Smoleńska, wszelką żywność, wódkę, odzież, konie, w takiej ilości jaką tylko można będzie dostać. Zalecił kupię 50,000 koni, za gotowe pieniądze, w Niemczech i Polsce. Generał Bursje, komendant miejsc zapasowych jazdy w Hanowerze, miał wyruszyć natychmiast dla dokonania tej kupi, jeśli by można było ją skutecznie.

Napoleon, po wystaniu tych rozkazów, udał się do Smoleńska zalecając marszałkowi Nej, który miał zastąpić odwrot żeby wstrzymać o ile można pochód nieprzyjaciela dla dania pozostałym w drodze czasu połączyć się z armją. Zalecił księciu Eugienjuszowi porzucić w Dorohobużu drogę smoleńską, a udać się drogą idącą do Duchowszczyzny, którą ten książę już był przechodził, która przedstawiała niejaki zasoby żywności, i z której można było zasłonić pozycję Witebska, zagrożoną w tej chwili przez Wittgensztejna. Jeśli by ta twierdza była w niebezpieczeństwie, książę Eugienjusz miał się tam udać, i rozlokować się w niej, gdyż Witebsk ze Smoleńskiem miały tworzyć dwa punkta oparcia dla naszych leż.

Napoleon opuścił Dorohobuż 6go listopada. Cała armja wystąpiła z niego takż 7go i 8go. Zimno dotkliwsze dało użuć znowu zapomnienie godne pożalowania odzieży zimowej, i inne równie zgubne, to jest, podków dla koni. Pora, w której wyruszono w pochód, pe-

wność, jaką miano występując powrotu przed złą porą roku, wyjaśnia to podwójne opuszczenie. Nasi nieszczęśliwi żołnierze szli przybrani w najrozmaitszą odzież, wyratowaną z pożaru Moskwy, nie mogąc zabezpieczyć się od zimna na 9 lub 10 stopni, a przy każdym wstępowaniu pod górę, konie nasze artylleryjskie, z powodu ślizgawicy, nawet po podwojeniu i potrojeniu uprzęży, nie mogły wciągnąć dział nawet najmniejszego kalibru. Bito ich, raniono do krwi, padały one z pokaleczonemi kolanami, i nie mogły przewyciężyć przeszkody, będąc pozbawione sił i środków utrzymania się na lodzie. Porzucano jaszczyki, tak że nie miano już prawie amunicji; wkrótce potrzeba było porzucać armaty, trofea które nasza mężna artylleryja oddawała w ręce Rossjan z boleścią w duszy, i ze wstydem na czole. Liczba wozów zmniejszyła się znacznie tym sposobem, i codziem więcej ich jeszcze porzucano na drodze, gdyż konie padały z utrudzenia. Z resztą temi końmi żywiono się. Za nadejściem nocy rzucano się na konie upadłe, rąbano je pałaszami, pieczono mięso ich przy ogromnych stosach drzew ściętych, pozerano je, i zasypiano przy tych ogniskach. Jeżeli kozacy nie przerwali spoczynku drogo okupionego, przebudzano się będąc niekiedy w połowie spieczonemi, niekiedy zagrząźniętymi w błocie, gdy śnieg i lód rozpuścił się od gorąca. Nie wszyscy jednakże powstawali, bo skoro temperatura spadała niżej 10ciu stopni, wielu padało ofiarą natężonego w nocy chłodu. Reszta ruszała dalej rzuciwszy zaledwie okiem na nieszczęśliwych, których pozostawiano zmarłych lub umierających w biwaku, i którym nie można było przynieść żadnej pomocy. Śnieg pokrywał ich wkrótce, a lekkie tylko wyniosłości oznaczały miejsce, gdzie leżeli ci mężni żołnierze co padli ofiarą szalonego przedsięwzięcia.

Podczas kiedy Napoleon z gwardją cesarską, z korpusem marszałka Dawu, z jazdą idącą pieszo, i z tłumem łazęg, zwiększającym się coraz skutkiem opuszczenia szeregów, lubo śmierć go przerzadzała, szedł na Smoleńsk, mając w tylnej straży marszałka Neja, księżę Eugeniusz udał się drogą do Duchowszczyzny. Miał on z sobą sześć do siedmiu tysięcy żołnierza uzbrojonego, licząc w to gwardję królewską włoską, resztę jazdy bawarskiej, która zachowała swe konie, artylleryję jeszcze mającą uprząż, wielu łazęg, i pewną liczbę familij uciekających, które się przyłączyły do armji włoskiej. Po przybyciu przy schyłku pierwszego dnia, 8go listopada, pod dwór Zazele, gdzie spodziewano się znaleźć nieco zapasów i przytułek na noc, nastął mróz bardzo silny. Artylleryja i bagaże wstrzymane nagle zostały

u podnóża góry, której przebyć żadną miarą nie mogli. Ślizgawica była tak wielką, że nie podobna było wciągnąć na górę najmniejszych ciężarów. Wyprzągłszy konie z pod większych armat dla podwojenia i potrojenia zaprzęgów, zdołano wciągnąć na górę działa mniejszego kalibru, ale należało rzec się wciągnięcia dwunasto-funtowych, składowających rezerwę. Kanonjerowie straciwszy cały dzień i dokazawszy tak mało, byli wycieńczeni s m i i ich konie, oraz upokorzeni że musieli tym sposobem opuścić swą ciężką artylleryję. Podczas kiedy na próżno ostatnich sił dobywali, Płatow idąc w ślad za nimi z swemi kozakami i lekkimi armatkami ciągnionemi na saniach, nie przestawał dawać do nich ognia. Pomiędzy innemi generał d'Autuar był ciężko raniony, tak że nie mógł dalej dowodzić artylleryją armji włoskiej. Miejsce jego zastąpił pułkownik Grióa (Griois), mężny oficer, skromny i znakomity, którego zniszczenie jazdy generała Gruszy, w której służył, pozostawiło bez obowiązku.

Przepędzono smutną noc w dworze Zazelu. Nazajutrz 9go wyruszone wczesnie dla przebycia Wopu, małej rzeczki, która w miesiącu sierpniu upłynionym przedstawiała tylko stróżkę wody toczącej się w korycie prawie wyschlém. Dopiero zaś płynęła korytem szerokiém, głębokiém na cztery stóp przynajmniej, tocząc z sobą pełno błota i kry. Pontonjerowie księcia Eugienjusza wyprzedzili armję, całą noc przepędzili na budowaniu mostu, i zniebni, umierający z głodu, zawiesili swą pracę na kilka godzin, z zamiarem rozpoczęcia jej na nowo i skończenia swój roboty po tym krótkim odpoczynku. Ale o świcie najskwapliwsi z tłumu bezorężnego zaczęli się cisnąć na most jeszcze nieskończony. Skutkiem gęstej mgły, która nie dozwalała rozpoznać wyraźnie przedmiotów, tłum sądząc że most stoi gotowy, postępuje za temi którzy weszli nań pierwsi, skupia się za nimi, wkrótce niecierpliwi się widząc ich nie postępujących dalej, gniewa się, popycha, i zrzuca do wody mętnej i zmieszanej z lodem tych, którzy się puścili tą drogą bez wyjścia. Wraski nieszczęśliwych zrzuconych do rzeki, dają znać wreszcie tłumowi dalszemu o stanie mostu, cofają się więc i patrzą z rozpaczą na tę rzekę zdającą się być niepodobną do przebycia. Kilka plutonów kawalerji, które zachowały swe konie, probuje przebyć ją w bród, i po niejakiem czasie znajduje w istocie miejsce kędy przechodzą mając wody po łęki swych siodeł. Piechota rusza wtedy za nimi, i wchodzi do tego samego potoku bystrego i toczącego z sobą ogromne kawały lodu. Przechodzi tym sposobem prawie cała, i stanawszy na drugim brzegu, pośpiesza rozło-

żyć ognie dla ogrzania się i wysuszenia. Tłum bezorężny próbuje po kolei przebyć strumień: jedni przebywają go szczęśliwie, drudzy padają żeby się więcej nie podnieść. Żołnierze chcą jednocześnie przeciągnąć artylleryję na drugi brzeg. Potroiwszy zaprzęgi przeprawiają przez strumień pierwsze działa, ale dno jego coraz więcej wyłobnia się, zapada, bród staje się głębszym, woda sięga coraz wyżej, i kilka dział pozostaje zagrzążniętych w piasku. Bród zostaje wtedy zawalonym, i przejście staje się niepodobnym. Nieszczęśliwi jadący na małych wózkach rossyjskich, i którzy nie mogli jeszcze przebyć rzeki, widzą z rozpaczą zwiększającą się przeszkodę do tego stopnia, że niepodobna jęj przewyciężyć. W téjże samėj chwili trzy do czterech tysięcy kozaków nadbiega wydając okrzyki. Wstrzymani ogniem tylnėj straży, nie śmieją zbliżyć się na odległość swoich dzid, ale z dział swoich umieszczonych na saniach puszczaają kule na tłum przerażony, rozbijają powozy z bagażami, i rozszerzają okropną twogę. Książę Eugeniuusz nadbiega dla uspokojenia nieco tego tłumu strwożonego, ale nic dokazać nie zdoła. Biedne markietanki, kobiety Włoszki lub Francuzki, uciekające z Moskwy, uściskają swe dzieci i płaczą na brzegu tego strumienia, do którego nie ośmielają się wstąpić, gdy tymczasem odważni żołnierze, pełni ludzkości, biorą na ręce te dzieci, brną przez strumień i powracają po dwa lub trzy razy dla przeniesienia na drugi brzeg tych rodzin zalanych łzami. Ale co chwila tumult się wzmacza, trzeba się wyrzec tych szacownych bagażów z których zbiegowie z Moskwy żyli, i z których oficerowie dostawali jeszcze niejaki zapasy. Wtedy żołnierze na widok téj zdobyczy mającej się dostać w ręce kozaków, rozechwytuja ją bez szkrupułu. Każdy zabiera z sobą co może w oczach tych nieszczęśliwych rodzin przejętych boleścią, które widzą znikające ostatnie swe środki wyżywienia się. Kozacy sami chcąc mieć udział w zdobyczy, zbliżają się dla grabieży; odpędzają ich bagnetami lub kółbami, wpośród straszliwego zamieszania.

Ten opłakany wypadek, który nazwano klęską nad Wopem, i który był poprzednikiem innėj klęski podobnego rodzaju, sto razy okropniejszej, zatrzymał armję włoską aż do nocy. Zatrzymano się na drugim brzegu, rozłożono ognie, wysuszono odzienia, zastanawiano się z goryczą nad nędzą, która ich spotkać miała, i nazajutrz wyruszono znowu drogą do Duchowszczyzny. Wszystkie bagaże, cała artylleryja, wyjąwszy siedm lub ośm dział, były stracone. Tysiące nieszczęśliwych rannych lub wpadłych w wodę, przypłaciło życiem ten pochód całkiem bezużyteczny, jak to wkrótce zobaczymy.

Dnia 10go listopada wojsko przybyło wreszcie do Duchowszczy-
ny. Było to małe miasteczko, dość zamożne, gdzie już armja włoska
żyła wygodnie w miesiącu sierpniu poprzedzającym, kozacy je zajmo-
wali. Wygnano ich ztamtąd bez trudności, gdyż ta lekka kawale-
rja, skora do grabieży i do ucieczki, nie stawiała nigdy silnego opo-
ru i szła tylko śladem naszych kolumn. Miasteczko Duchowszczy-
na było puste, ale nie spalone i dostatecznie opatrzone w żywność.
Znaleziono tam mąkę, kartofle, kapustę, mięso solone, wódkę, i co
także ważną było rzeczą, domy dla schronienia. Ten nieszczęśliwy
korpus użył tam nieco odpoczynku, pokrzepił się nieco pokarmem,
a nadewszystko znalazł przytułek, którego był pozbawionym odda-
wna, co wszystko przyniosło mu wielką ulgę.

Kosztowało go wiele porzucić tak wygodne schronienie. Książę
Eugienjusz naradziwszy się z swoim sztabem, uznał za rzecz stoso-
wną, nimby się odważył wyruszyć do Witebska pośród chmury nie-
przyjaciół, zasięgnąć wiadomości, i dowiedzieć się czyby przypadkiem
nie podano pomocy temu miastu już straconemu dla nas. Wysłano
więc kilkunastu Polaków dla zebrania wiadomości, a tymczasem do-
zwolono odpoczywać korpusowi w Duchowszczyźnie.

Przepędzono tam dzień 10go oraz 11go listopada, w stanie, który
mógłby się nazwać pomyślnym, gdyby smutne przeczucia nie oble-
gały bezustannie umysłów najmniej przewidujących. Nie można się było
nic pewnego dowiedzieć; jednakże według niektórych wiadomości
zebranych przez Polaków, można było wnosić prawie z pewnością, że
miasto Witebsk było zajęte przez nieprzyjaciela. Niepodobna było
wtedy narażać się na pochód tak daleki, i myśl połączenia się z wielką
armją idąc prosto na Smoleńsk podobała się wszystkim. W tém okrop-
nym położeniu starano się trzymać razem, gdyż rozłączenie było
prawdziwem powiększeniem nieszczęść. Ażeby zyskać jeden marsz,
wyruszono w nocy z 11go na 12ty, zapaliwszy pierwój to biedne mia-
steczko drewniane, które jednakże wielką nam pomoc przyniosło.
Postępowano tym sposobem przez dwie mile przy blasku tego poję-
pnego ogniska, które barwiło krwistém odcieniem sosny pokryte
śniegiem.

Przedłużano pochód przez całą noc i część dnia 12go, przy ciągłym
ściganu ze strony kozaków, i rozlokowano się wieczorem jak można
było w nędznej wsi, dla przepędzenia pod dachem nocy z 12go na 13ty
listopada. 13go rano wyruszono znowu w drogę, i o południu postrze-

żono z wyżyn ciągnących się nad Dnieprem, wśród równin oślepiającej białości, wieże Smoleńska. Stracono w drodze swoje bagaże, swą artylleryję, z tysiąc ludzi, ale widok Smoleńska, który zdawał się być prawie na granicy Francji, sprawił prawdziwe wzruszenie radości! Nie wiedziano, niestety! co miano tam znaleźć.

W ciągu tychże samych dni 9go, 10go, 11go i 12go listopada, wielka armja przedłużała swój pochód z Dorohobuża do Smoleńska, zawałając drogę ciałami ludzi i koni, oraz wozami porzuconemi i ciesząc się myślą pokrzepiającą wszystkich, że znajdą w Smoleńsku żywność, odpoczynek, schronienie, posiłki, słowem wszystkie środki odzyskania siły, zwycięstwa i tej chlubnej wyższości, której używano przez lat dwadzieścia. Podczas kiedy czoło armji postępowało nie mając za sobą zawziętej pogoni nieprzyjaciół, ale pod niebem, które było największym ze wszystkich nieprzyjacielem, tylna straż pod dowództwem marszałka Neja staczała na każdym kroku uporne walki, dla powstrzymania bez artylleryji i bez jazdy Rossjan, obficie zaopatrzonych we wszelką broń. W Dorohobużu, marszałek Neja upornie bronił miasta, spodziewając się utrzymać w niem przez dni kilka, i dać tym sposobem czas wszystkiemu co się wlekle z tyłu, ludziom i bagażom, dostać się do Smoleńska. Ten człowiek rzadki, mający duszę energiczną przy żelaznym zdrowiu, który nie doznawał nigdy ani utrudzenia, ani najmniejszego eierpienia, który kładł się pod gołem niebem, mógł spać lub nie spać, jeść lub nie jeść, u którego osłabienie ciała nie wpływało nigdy na zmniejszenie odwagi, który był najczęściej pieszo, pośród swoich żołnierzy, nie poczytując sobie za ubliżenie zgromadzić ich pięćdziesięciu lub stu, prowadzić ich samemu jak kapitan piechoty pod gradem kul i kartaczy, zawsze spokojny, pogodny, uważający siebie za niemogącego być ranionym, zdający się być istotnie takim, i nie uważając za ujmę swęj godności, kiedy w u-tarczkach co chwila zdarzających się, brał karabin z rąk żołnierza konającego, i strzelał z niego do nieprzyjaciela dla pokazania że nie ma zatrudnienia niegodnego marszałka, skoro ono jest użytecznym. Bez litości dla innych również jak dla siebie, własną ręką budził często ospałych, wstrząsał nimi, zmuszał ich do ruszania w drogę, wyrzucał im ich tchórzostwo (choć tchórze w chwili obecnej byli często bohaterami dnia poprzedzającego), nie doznając wzruszenia na widok rannych upadających w około niego, i błagających go żeby kazał ich wynieść z pola bitwy, odpowiadając im z ofuknieniem że on sam miał tylko swe nogi do przenoszenia się, że oni dzisiaj byli ofiarami wojny,

że on może być nią jutro, że umierać od kuli lub na drodze było rzemiosłem żołnierskiem. Nie każdemu dano być człowiekiem żelaznej wytrwałości, ale każdemu wolno być surowym dla innych, skoro kto jest najprzód i przede wszystkim surowym dla siebie! Utrzymując się przez cały dzień, potem przez drugi w Dorohobużu, marszałek cofnął się kiedy Rosjanie, przeszedłszy Dniepr po prawém jego rękę, zagrozili mu otoczeniem i wzięciem do niewoli. Zwrócił się wtedy ku drugiemu przejściu Dniepra, w Sołowjewie, bronił go również i o kilka mil od tego miejsca, na równinie Walutyny, którą trzema miesiącami pierwój pokrył trupami, dotrzymywał jeszcze upornie kroku. Po przybyciu tam nie pozostawało nic więcej jak wstąpić do Smoleńska. Jakóż wszedł do niego, ale ostatni, i uczyniwszy wszystko co mógł dla opóźnienia pochodu nieprzyjaciela.

Każdy korpus, w porządku w jakim szedł, zbliżał się po kolei do Smoleńska; każdy z nich tam niestety! miał doznać okrutnego zawodu. Napoleon, przybywszy pierwszy, wiedział dobrze że nie było w tém mieście ogromnych magazynów, na które liczone, ale mając w niem na ośm lub dziesięć dni żywności, spodziewał się ściągnąć pod chorągwie żołnierzy rozpierchnionych, każąc rozdzielać żywność tylko w kwaterze głównej każdego pułku. Po ściągnięciu ich, miał uzbroić ich karabinami znajdującemi się w Smoleńsku. Wszedłszy do Smoleńska na czele gwardji, rozkazał żeby nie wpuszczano więcej nikogo prócz niej; kazał jej wydać żywność i naznaczyć mieszkanie znajdujące się do rozporządzenia. Tłum łązeg wlekący się z tyłu, widząc wzbronionym sobie wstęp do tego miasta, przedmiotu wszystkich jego nadziei, był przejęty rozpaczą i gniewem, a gniew ten zwrócony szczególnież został przeciw gwardji cesarskiej, dla której, jak mówili, wszystko się poświęca. Wprawdzie nieodbita potrzeba utrzymania w niej karności usprawiedliwiała pierwszeństwo jakie jej oddawano w rozdzieleniu zapasów. Ale ta gwardja, która w tej kampanji wyświadczyła tak mało usług, i którą niszczone w drodze nie chcąc jej niszczyć w ogniu, nie pozyskiwała tyle wdzięczności żeby mogła nakazać milczenie zazdrośnym. Po łązegach, gdy starzy żołnierze Igo korpusu, których nie oszczędzano ani na jeden dzień, połączyli się z tłuszcą bezoręzną tłoczącą się u bram Smoleńska, i zaczęli narzekać głośno pomimo całej swój karności, należało wyrzec się zakazów próżnych i niezdolnych do zapobieżenia zupełnemu już prawie rozprężeniu armji. Obfitość tylko, odpoczynek, bezpieczeństwo, mogły wrócić żołnierzom siłę fizyczną i moralną, godność, uczucie karności. Tłum wpadł więc gwałtem w ulice Smoleńska, i rzucił się na maga-

zyny. Strażnicy tych magazynów, którzy odsyłali zgłodniałych do głównych kwater ich pułków, obiecując im że tam będzie rozdzielaną im żywność, byli osypani obelgami, jednakże uwierzono im i usłuchano w pierwszej chwili. Ale nabłakawszy się tu i owdzie, po tém miejscu zrujnowaném i pełném zamieszania, gdy żołnierze nie znaleźli nigdzie miejsc, w których miała być rozdawana przyobiecana im żywność, powrócili nazad, zaczęli wydawać buntownicze okrzyki, rzucili się na magazyny, wybili w nich drzwi, i poczęli je rabować. Rabują magazyny! rozległ się okrzyk ogólny, okrzyk przerażenia i rozpacz. Każdy spieszył tam, żeby wyrwać jaką cząstkę, z której mógłby żyć. Zdołano wreszcie przywrócić nieco porządku, i ocalić cokolwiek dla korpusów księcia Eugeniusza i marszałka Neja, które nadszły bijąc się ciągle, i zastaniając miasto przeciw oddziałom nieprzyjacielskim. Otrzymali oni takż żywność, i mogli użyć nieco odpoczynku nie pod dachem, ale na ulicach, zabezpieczeni nie od zimna, ale od nieprzyjaciela. Jednakże nie podobna było dalej się łudzić: armja, która sądziła że znajdzie w Smoleńsku obfite zapasy żywności, odzienia, mieszkania, posiłki i ochronę od nieprzyjaciela, i która nie znajdowała tam nic z tego wszystkiego prócz żywności, postrzegła prędko że potrzeba będzie wyruszyć może nazajutrz i rozpocząć na nowo ten nieskończony pochód, bez przytułku wieczorem dla odpoczynku, bez chleba dla zaspokojenia głodu, staczając bezustannie walki, z siłami wyczerpanemi, prawie bez broni, i z okrutną pewnością, po otrzymaniu rany, stania się łupem wilków i sępów. Te widoki na przyszłość wprawiły armję całą w prawdziwą rozpacz; ujrzała się ona w głębi otchłani, a jednakże nie wiedziała jeszcze o wszystkiém!

Po przybyciu do Smoleńska, Napoleon otrzymał wiadomości daleko smutniejsze jeszcze, niżeli te, które go doszły w Dorohobużu. Jenerał Baragie d'Ilje posunąwszy się, wedle rozkazów otrzymanych z głównej kwatery, z dywizją swoją po drodze do Jelni, wystawszy przednią straż pod jenerałem Ozero, wpadł w środek armji rossyjskiej, i czy to dla braku czujności, czy (co podobniejsza do prawdy) że położenie nie dozwalało ocalić się inaczej, stracił brygadę Ozero, liczącą w sobie 2,000 żołnierza. Powrócił on do Smoleńska z resztą swojej dywizji. Napoleon, którego własne jego błędy powinny były uczynić pobłażającym dla błędów kogo innego, nakazał jenerałowi Baragie d'Ilje rozkazem dziennym powrócić do Francji, dla oddania swojego postępowania pod sąd kommissji wojennej. Podczas gdy ta nieszczęśliwa dywizja, zbanbiona tym rozkazem dziennym, więcéj niżeli postępowaniem, które jój zarzucano, powracała do Smoleńska,

Napoleon odbierał wiadomości, że armja Czyczagowa posuwała się coraz dalej, że zagrażała Mińskowi, ogromnym magazynom, które tam mieliśmy, a nadewszystko linji odwrotu armji; że książę Szwarzenberg, już to chcąc iść w ślad za Czyczagowem, już lękając się pozostać z tyłu Sakiena, tracił czas na bezpożytecznym wahaniu się i nie postępował dalej; że książę Belluny (marszałek Wiktor) znalazł nad Ułą drugi korpus oddzielony od Bawarczyków, zmniejszony skutkiem tego oddzielenia do 10,000 ludzi, że sam miał zaledwo 25,000, co czyniło w ogóle 35,000 żołnierza, że dwaj marszałkowie Wiktor i Udino odtąd połączeni, powiększając sobie siły Wittgensztejna, lękając się stoczyć stanowczą bitwę, będąc nie zupełnie z sobą zgodni, ograniczając się na marszach i kontrmarszach pomiędzy Leplem a Siennem, nie odparli, jak to wypadało uczynić, rychtém zwycięstwem Wittgensztejna i Szejngiela za Dźwinę. Czyczagów i Wittgensztejn posuwali się więc szybkim krokiem, byli już nie więcej jak o 30 mil jeden od drugiego, co czyniło 15 mil do przebycia dla każdego, rozdzieleni tylko będąc armją marszałków Udino i Wiktora, którą mogli pobić lub ominąć, i połączywszy się w końcu nad wyższą Berezyną, na wysokości Borysowa, mogli postawić przeciwko nam ośmdziesiąt tysięcy żołnierza! A wtedy cóżbyśmy poradzili ze szcztakami armji, pomiędzy Kutuzowem z tyłu, Czyczagowem i Wittgensztejnem z przodu? Ten pochód przeto, który po wyjściu z Moskwy rozpoczął się obrotem zaczepnym, który zamienił się później w odwrot z początku dumny, później smutny, udręczony, bolesny, mógł zakończyć się klęską niesłychaną, może niewolą wodza i żołnierzy, jak jednego tak drugich będących panami świata szczęścią miesiacami przedtém.

Jednakże naglącą było rzeczą chwycić się jakiegokolwiek środka. Pozostać w Smoleńsku było niepodobieństwem. Zaledwo można było przeżyć siedm lub ośm dni zbożem i mięsem, które się tam znajdowały. Potrzeba więc było koniecznie iść dla przeżywienia się dalej w głąb' Polski, a nadewszystko za tę Berezynę, na której dwie armje rossyjskie gotowały się przeciąć nam odwrot. Potrzeba było iść na nie z podniesionym orężem, wysłać z jednej strony Udino i Wiktora na Wittgensztejna, rzucić się z drugiej strony mimochodem na Czyczagowa, rozgromić go i potém pójść rozlokować się pomiędzy Mińskiem a Wilnem, mając punkt oparcia na Niemnie. Ale chcąc to wszystko przyprowadzić do skutku, nie należało tracić ani chwili, nie należało bawić ani dnia więcej w Smoleńsku.

Napoleon znajdował się tam z gwardją cesarską od 9go listopada; drugie korpusy weszły tam były kolejno 10go, 11go, 12go, 13go. Postanowił wyjść ztamtąd 14go z oddziałami przybytymi 9go, a wysłać 15go, 16go i 17go te, które przybyły 10go, 11go i 12go. Było to brakiem przezorności nieodpowiednim jego gienjuszowi i który daje się wytłómaczyć tylko złudzeniem, w jakim zostawał pod względem armji Kutuzowa. Ta armja ucierpiała takż i z 80,000 żołnierza wojsk regularnych (nie licząc kozaków), zmniejszoną została do 50 tysięcy skutkiem bitew pod Mało-Jarosławcem i Wiaźmą, utrudzenia i chłodu. Ścięła ona dotąd nas przednimi strażami, złożonemi z wojsk lekkich, przestając na niepokojeniu nas, pogorszeniu naszego stanu, zbieraniu po drodze łazęg, ale bez zamiaru, jak zdawało się, prócz w Wiaźmie, stania nam w poprzek dla zagrodzenia drogi. Stary Kutuzow rad z tego, że widział nas ginących po jednym, nie chciał narażać się na skutki naszej rozpacz, starając się nas zatrzymać. Nie zakładał on swęj chwały na pobiciu nas, ale na zniszczeniu. Powiedział księciu Wirtemberskiemu te godne uwagi słowa: „Wiem że wy, młodzi ludzie, ogadujecie starego (tak on nazywał siebie), że macie go za bojaźliwego, za nieczynnego... ale jesteście za młodzi, żeby sądzić o tém. Nieprzyjaciel cofający się, jest straszniejszym niżeli wam się zdaje, i gdyby się odwrócił, żaden z nas nie mógłby stawić czoła jego wściekłości. Gdybym go tylko doprowadził zrujnowanego do Berezyny, cel mój będzie osiągnięty. Oto, do czego jestem obowiązany względem mojęj ojczyzny i tego dokażę.“ Ale przy całej swęj roztropności, wiedział że należy coś ustąpić namiętnościom armji i liczyć coś na losy cesarstwa, które mogły zresztą oddać w ręce jego Napoleona w takiem przejściu, gdzie z łatwością można byłoby go zniszczyć jednym ciosem. Nie zrzekał się on tego całkiem, ale nie było to celem głównym jego pochodu. Szedł on za nami z boku, po drodze we wszystko obfitującęj, niepokojąc nas oddziałami lekkimi Płatowa i Miłoradowicza, gotów, skoroby mógł nas wyprzedzić gdziekolwiek, nie stanąc nam w poprzek, coby zmusiło nas przebić się siłą, ale uderzyć na nas silnie z boku i odciąć jaki kawałek naszej długięj kolumny.

Napoleon, jak się to zdarza zawsze w położeniach nadzwyczajnych, doznawał kolejno zwątpienia i ufności, surowości i pobłażania względem samego siebie i domyślając się bojaźni, jaką sprawiał Kutuzowemu, czerpiąc ztąd pociechę dla siebie, zanadto w to ufając, nie przypuszczał nigdy, że znajdzie go na swęj drodze od Smoleńska do Mińska. Lękał się on tylko na tęg drodze połączenia się Czyezago-

wa z Wittgensztejnem, a oczekiwał ze strony Kutuzowa ledwo jakiego poptochu w tylnéj straży. Z tego to powodu, mając z tyłu i z lewéj strony wielką armję rossyjską Kutuzowa, nie myślał nawet o tém, żeby postawić między nią a sobą Dniepr i przedłużyć swój odwrót na Mińsk prawym brzegiem téj rzeki. Wolat raczej udać się znaną już drogą lewego brzegu, prowadzącą ze Smoleńska do Orszy, którą był przyszedł i która była najlepszą i najkrótszą. Z tego takóž powodu nie wyruszył w jednéj massie, co uczyniłoby odwrót bezpieczniejszym i dozwoliłoby rozbić Kutuzowa, gdyby ten mu stanął na drodze. Mogąc postawić jeszcze, mamy powiedzieć, niestety! 36,000 żołnierza uzbrojonego przeciwko 50,000 Kutuzowa, byłby w stanie utworzyć sobie drogę. Ale nie przypuszczając, żeby to mogło nastąpić, i spiesząc przebyć sześćdziesiąt mil oddzielających go od Borysowa na Berezynie, myślał, że wysławszy 14go tych, co przybyli 9go, 15go tych co przybyli 10go; 16go i 17go tych co przybyli 11go i 12go, da każdemu z nich czasu odpocząć, trochę się zreorganizować, odzyskać nieco sił, a żeby wystąpić w lepszym stanie na spotkanie armji mołdawskiej, jedynego nieprzyjaciela o którym myślano w obecnej chwili! Nieszczęsne złudzenie, które tylko co nie stało się dla nas zgubném, które okupiliśmy wielkimi stratami, i które skwapliwa dążność dostania się co najprędzej do Borysowa, może jedynie wytłómaczyć w człowieku tak wielkich zdolności, jakim był Napoleon!

Porobił on wszystkie stosowne do tego rozporządzenia. Przybyło do armji kilka bataljonów i kilka szwadronów pochodowych, należących po większej części do dywizji Baragie d'Ille, którą spotkał tak nieszczęśliwy traf na drodze do Jelni. Kazał je umieścić w kadrach, co przywróciło nieco siły rozmaitym korpusom. Korpus marszałka Dawu był tym sposobem powiększony do 11tu lub 12tu tysięcy żołnierza, marszałka Neja do pięciu tysięcy, księcia Eugienjusza do sześciu tysięcy. Pozostawało zaledwo tysiąc ludzi u Żiuno dowodzącego Westfalczykami i 700 lub 800 u księcia Poniatowskiego dowodzącego Polakami. Gwardja, którą tak oszczędzano, żeby ją widzieć ginącą po drogach, liczyła nie więcej jak 10 do 11tu tysięcy żołnierza pod bronią. Resztki jazdy nie zawierały w sobie nad 500 kawalerzystów mających konie. Najwięcej przeto kiedy idąc w massie można było postawić 36 lub 37 tysięcy żołnierza uzbrojonego przeciw Kutuzowemu. Reszta armji, liczącej sto kilka tysięcy przy wystąpieniu z Moskwy, szła z tyłu w rozprzężeniu, albo zginęła w drodze. Napoleon w skutek powtarzanych przedstawień dowódców artyllerii, zgodził się wreszcie na poświęcenie części swoich armat, i zastosowanie ich

liczby do ilości amunicji, mogącej być transportowaną. I tak, marszałek Dawu, który miał jeszcze swoją artyllerię prawie całą i który potrafił przyprowadzić aż do Smoleńska 127 armat na 11 do 12 tysięcy żołnierza zostającego pod chorągwiami i uzbrojonego w jego pięciu dywizjach, miał amunicji zaledwo na 30 armat. Ograniczył się więc na liczbie 24ch armat odpowiednio zaopatrzonych. Toż samo zrobiono w innych korpusach. Uprząż była rozdzieloną pomiędzy zachowane powozy.

Po zreorganizowaniu nieco swojej armji, Napoleon kazał powtórnie zalecić księciu Szwarzenbergowi ścigać natarczywie admirała Czyczagowa, żeby napaść na niego z tyłu, nimby się rzucił na nas, a marszałkom Udino i Wiktorowi, żeby się zwarli mężnie z Wittgensztejnem, dla oddalenia go przynajmniej od Berezyny, jeżeli nie można było go odrzucić za Dźwinę. Wyruszył potem ze Smoleńska 14go rano z gwardją, wysławszy przodem jazdę pieszo pod jenerałem Sebastjani i mając z tyłu znaczną część bagażów armji. Postanowiono, że książę Eugienjusz wyruszy nazajutrz 15go i będzie się starał wyprowadzić przodem całą masę bezoreźnych, 16go marszałek Dawu wysławszy przodem artyllerię i parki, tak że mało co ciężarów zostawiał za sobą, miał takoz opuścić Smoleńsk i wreszcie marszałek Nej otrzymał rozkaz wystąpić z niego tegoż samego dnia, wysadziwszy pierwój w powietrze opasujące to miasto mury. Umówiono się, że nie będą prowadzić z sobą dalej kobiet, które ciągnęły się za armją od Moskwy, gdyż z powodu zimna, bliskości nieprzyjaciela, niebezpieczeństw mających się napotkać, więcej było ludzkości oddać je w ręce Rossjan. Do ostatniej chwili Napoleon chcąc uratować ze Smoleńska wszystko co można było, a nadewszystko zniszczyć zupełnie jego fortyfikacje, rozkazał marszałkowi Nej nie wydalać się pierwój, nim rozkazy, które otrzymał, nie będą w zupełności wykonane, i naznaczył mu termin do 17go; zgubne postanowienie, które kosztowało życie wielu żołnierzom, najlepszym z armji.

Napoleon jak widzieliśmy, wyruszył w drogę 14go listopada rano. Wysłano już przodem wielu ludzi niepotrzebnych, wiele wozów, mających na sobie zbiegów i chorych, a gdy mróz stał się jeszcze silniejszym (ciepłomierz Reomiura spadł na 21 stopni), wielu z nich padło jako ofiarą (1). Droga pokryta była ciałami ludzkimi wyglądającami

(1) Tak utrzymuje P. Larrej, który nosząc ciepłomierz zawieszony w dziurce od guzika, jest jedynym świadkiem naocznym, którego twierdzenia względem temperatury panującej w tym pamiętnym odwrocie, zasługują na wiarę.

z pod śniegu. Napoleon z gwardją stanął na noc w Korytni, na połowie drogi ze Smoleńska do Kraśnego, znalazł tam nieprzyjaciela i zmuszony był zamknąć się w kościele dla bronienia się tam, nim nadciągnięto mu z pomocą. Nazajutrz 15go, Napoleon wyruszył z Korytni rano, przybył wieczorem do Kraśnego, oswobodził generała Sebastjana, i dowiedział się z przykrem zdziwieniem, że Kutuzow, nie ograniczając się tą razą na postępowaniu obok nas, zbliżał się do Kraśnego z całemi swemi siłami, czy to dla przecięcia nam drogi, czy dla odcięcia przynajmniej części naszej długiej kolumny. Wtedy to przyszło mocno żałować tego pochodu oddzielnemi partjami, który pozostawiał ogon armji o trzy dni od jego czoła, i przedstawiał nieprzyjacielowi środek prawie pewny odcięcia nam takiej części jaką zechce. Chociaż znajdowało się już tylko 36 lub 37 tysięcy żołnierzy mających broń na ramieniu, każdy z tych żołnierzy pozostałych wiernemi rozprzężonej już karności, wart był tyle co dwóch lub trzech nieprzyjacielskich. Gdy zaś Kutuzow nie miał więcej nad 50,000 ludzi pod bronią, nie licząc kozaków, można byłoby łatwo się przebić, gdyby postępowano w jednej massie; a ponieważ zwykły powód rozciągania się w pochodzie, to jest, przeżywienie się, nie mógł mieć miejsca w kraju zupełnie zniszczonym, gdzie pierwsi przybywający spożywali szczupłe resztki, i gdzie drudzy żywili się mięsem końskiem, można było iść wszystkim razem, postępować prócz tego prawym brzegiem Dniepru, który nie będąc wszędzie ścięty lodem, przedstawiał jeszcze ochronę niejakię wagi.

Napoleon postrzegł to zapóźno, gdyż oczekiwał tylko ze strony Kutuzowa niejakich napaści na tylną straż, a nie ataku regularnego. Uwiadomiony wreszcie o grożącym niebezpieczeństwie, stał się bardzo niespokojnym względem losu wszystkiego co za nim postępowowało. Znalazłszy niektóre resztki zapasów w Kraśnem, które było jednem ze stanowisk etapowych armji, postanowił przebawić tam najmniej do następnego dnia 16go, dla podania ręki swoim dowódcom postępującym eszelonami z tyłu i bardzo zagrożonym przez pozycję, jaką generał Kutuzow był zajął.

Jakoż jeneralissimus rossyjski, chociaż nie chciał, jak tego się domyślał Napoleon, przeciąć nam całkiem drogi i wywołać tym sposobem z naszej strony wysilenia rozpacz, nie wyrzekł się jednak zamiaru zabrać nam jaką ważną zdobycz, i korzystając ze spoczynku, którego musieliśmy użyć w Smoleńsku, stanął przy ciasnem przejściu pod Kraśnem, położonem na połowie drogi ze Smoleńska do Orszy. Oczewiście chciał odciąć i zabrać nam część naszej armji. Ciasne

przejsie pod Kraśnem gdzie on stanął, zależało na moście rzuconym przez wąwóz dość szeroki i głęboki, którym płynęła Łośmina, dla połączenia się z Dnieprem o dwie mile od Kraśnego. Należało idąc ze Smoleńska, przebyć most i wąwóz, znajdując się w pewnej odległości od Kraśnego. Nieprzyjaciel dozwolewszy umyślnie przejść pierwszjej części naszej armji i otworzywszy jój wolny wstęp do Kraśnego, mógł łatwo naciskając ją połową swych sił i zajmując resztą ich brzeg wąwozu, zachwycić kilka naszych kolumn idących z tyłu.

Napoleon przepędził ranek 16go będąc bardzo niepokojnym o księcia Eugenjusza, który wyruszywszy ze Smoleńska 15go i mając nocować w Korytni, powinien był ukazać się przed Kraśnem 16go około południa. Książę ten mając z sobą wielu ludzi bezorężnych i prowadząc prócz tego z sobą prawie wszystkie parki artyllerji, już to gwardji, już 1go korpusu, przybył nad brzeg wąwozu Łośminy z 6,000 żołnierza. Znalazł tam korpus Miłoradowicza, który z częścią swych sił stanął wzdłuż drogi, a drugą ją zagroził. Za Miłoradowiczem dawały się postrzegać inne kolumny piechoty i jazdy, otaczając w głębokich masach miasteczko Kraśno. Sam ten widok wystarczał na wystawienie na jaw położenia i na wskazanie że nieprzyjaciel dozwolewszy, przez zręczne wyrachowanie, przejścia gwardji cesarskiej i Napoleonowi, przeciął komunikację dalszym korpusom, z zamiarem wyraźnym bronić im upornie przejścia. Jenerał Ornano sprobował posunąć się naprzód z niektórymi szczątkami jazdy, został odparty pomimo swych usiłowań i swój waleczności. Pozostawało tylko utorować sobie drogę z orężem w rękę. Książę nie wahał się chwycić tego środka. Postawiwszy dywizję Brussje na lewo drogi, dywizję Delzon na samem drodze, szczątki wojska włoskiego, Polaków i Westfalczyków z tyłu, rzucił się z wawo na linję nieprzyjacielską. Ale Rossjanie mieli oprócz korzystnej pozycji, ogromną artyllerję dobrze rozstawioną i osypali nas kartaczami. Zawsze bohaterska, dywizja Brussje posunęła się na lewo drogi pod zabójczym gradem kartaczy, postanowiwszy zdobyć z bagnetem w rękę baterje nieprzyjacielskie. Jednakże będąc napađniętą przez chmurę kawalerzystów, sformowawszy się dla ich przyjęcia w czworobok i stawiając im długo czoło, zmuszoną była wreszcie cofnąć się i zbliżyć do głównego korpusu. Mniej jak w godzinę, z trzech tysięcy ją składających postradała ona dwa tysiące żołnierza, gdyż tak polegli jak ranni byli zarówno straceni, musiano bowiem w nagrodę ich poświęcenia się, oddawać w ręce nieprzyjaciela tych wymienionych żołnierzy armji włoskiej.

Zdawało się być rzeczą niepodobną przebić mur żelazny, który

stawili nam Rossjanie; potrzeba było myśleć o otwarciu sobie innej drogi. Gdy oficer Kutuzowa przybył wzywając z wielkiem uszanowaniem księcia do poddania się, ten odprawił go z wyniosłością, powiedziawszy mu, że należało przygotować się do walki, a nie do zbierania niewolników. Potem książę umówiwszy się z swemi jenerałami, postanowił użyć wybiegu, który przedstawiał niejaką nadzieję pomysłnego skutku. Zależał on na tém, żeby pozostawić dywizję Brussje na linii dla udania nowego ataku na lewe skrzydło od strony wzgórzy ciągnących się wzdłuż drogi, dostać się na równinę leżącą po prawej stronie wzdłuż Dniepra i przejść tym sposobem potajemnie w kierunku Kraśnego pod zastoną nocą, która wltój porze roku poczyniała się między czwartą a piątą godziną po południu. Szczątki dywizji Brussje miały opłacić życiem ten obrót, ale można było liczyć na poświęcenie się tego bohaterskiego oddziału.

Ku schyłkowi dnia książę Eugienjusz posunąwszy naprzód na lewo tę nieszczęśliwą dywizję Brussje tak, żeby ściągnąć na nią uwagę nieprzyjaciela, przeprowadził w głębokiem milczeniu i korzystając z nierówności gruntu, resztę swojego korpusu w kierunku Dniepra, potrafiwszy tym sposobem ukryć się przed okiem Rossjan. Dywizja Brussje wystawiona tymczasem na strzały armatnie i bez nadziei uratowania siebie, stawiała mężnie czoło śmierci lub niewoli prawie pewnej.

Podczas gdy kolumna księcia Eugienjusza zmykała po śniegu, bez innego odgłosu jak padnięcia żołnierza osłabionego utrudzeniem lub potknięciem się pośród tego pochodu nocnego, spotkała nagle oddział wojsk lekkich Miśoradowicza, któremu światło księżycy odkryło nasz obrót. Szczęściem oficer polski korpusu Poniatowskiego, umiający po rusku, i korzystając ze znajomości tego języka z rzadką przytomnością umysłu powiedział oficerowi rossyjskiemu, żeby milczał i oddalił się, gdyż korpus który chciał zatrzymać, był oddziałem Miśoradowicza, wykonywającym obrót około Kraśnego. Dostano się tym sposobem po dwóch godzinach pochodu do Kraśnego, pozostawiwszy jednakże więcej dwóch tysięcy poległych lub rannych na drodze, równie jak resztki dywizji Brussje, które mogły być tylko uratowane przybyciem marszałków Dawu i Neja.

Napoleon spotkał swojego syna przysposobionego z pewnym rodzajem radości zmieszanej z troską i bezpieczny już względem niego, zaczął się mocno niepokoić o losie oczekującym Dawu i Neja pozostałych z tyłu. Gdyby dwaj marszałkowie szli razem, nie byłoby się czego bardzo o nich lękać, gdyż połączeni z sobą tworzyliby masę

od 17 do 18tu tysięcy żołnierza najlepszej piechoty, a która zostając pod dowództwem Dawu i Neja, nie mogłaby sprawiać żadnej obawy, żeby była zatrzymaną lub wziętą w niewolę przez Kutuzowa. Ale wedle wydanych rozkazów, Dawu miał przybyć sam jeden nazajutrz, a Nej sam jeden na trzeci dzień. Należało więc dwa dni czekać, dwie batalje stoczyć, nimby się połączono, a ztąd narażonym być na ogromne straty, na okropne niebezpieczeństwo. Nowy przedmiot boleści, a szczególnie żalu, że przyjęto podobny systemat pochodu. Ale im więcej Napoleon miał sobie do wyrzucenia, że nie opuścił Smoleńska w massie, albo że nie poszedł prawym brzegiem Dniepru, tém mocniej postanowił czekać w Kraśnem przybycia dwóch marszałków, cobykolwiek miało nastąpić i stoczyć bitwę, gdyby tego potrzeba było dla otworzenia im drogi. Napoleon narażając się na bitwę ogólną mógł ją przegrać; mógł nadto, odkładając na dwadzieścia cztery godzin swoje wystąpienie z gwardją, popaść w niewolę; ale są przypadki, w których śmierć sama jest lepszą od kroku ostrożnego, jakkolwiekby zajmowano stopień i nawet z powodu tego stopnia. Napoleon wyszedłszy z tego stanu odrętwienia, w którym pozostawał przez kilka dni, odzyskawszy jednym razem całą wielkość swojego charakteru, nie wahał się i wziął się do wykonania swego zamiaru z szlachetną dzielnością. Gwardję tę, którą tak starannie pielęgnował, postanowił poświęcić całą, gdyby tego potrzeba było, dla połączenia się z swemi dwoma dowódcami i było to przygotować sobie najlepszą wymówkę, że nie użył jęj pod Borodynem.

Plan jego był prosty. Miał on wystąpić z Kraśnego nazajutrz z swoją gwardją, nie drogą prowadzącą do Orszy, a idącą w kierunku jego odwrotu, ale drogą do Smoleńska, po której cofał się nazad i którą mieli przybyć Dawu i Nej. Zamierzał rozwinąć na płaszczyźnie z tyłu Kraśnego, wzdłuż której ciągnął się wąwoz Łośminy, młodą gwardję po lewej stronie, starą po prawej i czekać tam w szyku bojowym pod ogniem trzystu armat, ukazania się marszałka Dawu. Jazda gwardyjska była postawioną dalej na lewo, na równinie wzdłuż Dniepru, którą książę Eugienjusz się przemknął; to co pozostawało z jazdy opatrzonej w konie (około 500 żołnierzy) uszykowaném zostało na drugim końcu, to jest na prawo za Kraśnem, dla strzeżenia drogi prowadzącej do Orszy. Wojsko księcia Eugienjusza okropnie zmęczone, miało, strzedz Kraśnego, odpocząć tam i posilić się tém co pozostawało z magazynu znajdującego się w tém mieście. Gdy wieczorem tegoż samego dnia Rossjanie zajęli pozycję we wsi Kutkowo, leżąc

bardzo blisko Kraśnego i gdzie można było dozwolnić pobytu nieprzyjacielowi, Napoleon kazał zdobyć ją z bagnietami w ręku pułkowi młodej gwardji, która pomściła się na wojsku hrabiego Ożarowskiego za straty poniesione w tym dniu. Położono trupem wszystko co nie miało czasu się cofnąć.

Nazajutrz rano 17 listopada, Napoleon pieszo, gdyż konie nie mogły się utrzymać na gołoledzi, ustawił sam swoją młodą i starą gwardję w szyku bojowym pod ogniem dział nieprzyjacielskich i mógł przekonać się z odgłosu wystrzałów karabinowych, że marszałek Dawu się zbliża. Jego obecność, jego determinacja, jego szlachetna zimna krew, wielkość niebezpieczeństwa, zalektryzowały wszystkich serca.

Marszałek Dawu przyprowadziwszy swe dywizje na noc do Kórrytni, sam udał się w nocy konno po drodze wiodącej do Kraśnego, gdyż ze zwykłą swoją czujnością, chciał zapewnić się własnemi oczyma o naturze niebezpieczeństwa jemu zagrażającego. Był pewnym, że to niebezpieczeństwo jest niemałe, wnosząc z kanonady, którą słyszał w ciągu dnia i od której książę Eugienjusz tyle straty poniósł. O milę przed wąwozem Łośminy, napotkał nieszczęśliwą dywizję Brussje zmniejszoną do 400 żołnierza, z 3,000 które liczyła jeszcze występując ze Smoleńska, całkiem odciętą od Kraśnego i spoczywającą na śniegu, gdzie razem zmieszani leżeli polegli, ranni i żyjący. Jenerałowie Larybóazjer i Eble znajdowali się tam takż z resztkami parków artyllerji, czekając nimby ich nie oswobodzono.

Na ten widok marszałek zrobił rychło postanowienie przebić się nazajutrz i ocalić z orężem w ręku nietylko swój korpus, ale i to wszystko co pozostawało z kolumny księcia Eugienjusza. Miał on tylko cztery z swoich pięciu dywizji, gdyż 2ga, dawniejsza dywizja Frjan obecnie dywizja Rykar, oddaną została marszałkowi Nejowi dla wzmocnienia tylnej straży. Cztery te dywizje zawierały w sobie około 9,000 żołnierza, blisko 10 tysięcy z temi co znajdowali się na drodze, wnosił więc, że nie nie zdoła mu przeszkodzić przebić się z podobną siłą, skoro pójdzie śmiało przeciw przeszkodom jakimkolwiek bądź stawionym mu na drodze.

Na krótki czas przededniem posunął naprzód swoje cztery dywizje, uszykował je w kolumny ściśnione i nie mając z sobą artyllerji, która z rozkazu Napoleona wysłaną była przodem, zalecił swojemu wojsku uderzyć bagnietami na nieprzyjaciela i nie wystawiając się na ogień, otworzyć sobie drogę walką zapaśniczą. Potém ruszył na czele dywizji Żerar, która miała uderzyć pierwsza.

Kutuzow ułatwił, nie wiedząc o tém, jego zamiar. Sądząc że Napoleon znajduje się na drodze do Orszy, posłał część swoich sił pod generałem Tormasowem dla przeszkodzenia mu powrotu do Kraśnego, rozlokował resztę pod księciem Galicynem około Kraśnego, a pozostawił tylko Miłoradowicza wzdłuż Łośminy dla przecięcia drogi smoleńskiej.

Cztery dywizje marszałka Dawu stosownie do otrzymanego przez nie rozkazu, rzuciły się na nieprzyjaciela w ściśnionych kolumnach. Wojsko Miłoradowicza przyjęło ich silnym ogniem karabinowym, ale zatrwożone ich gwałtownym naciskiem, nie czekało uderzenia na bagnety i cofnęło się na bok drogi. Dywizje marszałka Dawu przybyły tym sposobem prawie bez szkody do brzegu wąwozu Łośminy, znalazły tam młodą gwardję czekającą na nich, zajęły jej miejsce, stanęły po obu stronach wąwozu, jedno na prawo naprzeciw gwardji, drugie na lewo w poprzek drogi smoleńskiej, ażeby podać rękę tym co pozostali z tyłu. Szczątki dywizji Brussje zostały tym sposobem ocalone, razem z parkami, które się z nimi były połączyły.

Ale ksiązę Galicyn, który z 3cim korpusem i drugą dywizją kirassjerów, miał poruczenie wstrzymywać wojska rozwinięte na płaszczyźnie pod Kraśnem, Miłoradowicz, który z drugim i 7 korpusami, oraz większą częścią jazdy rezerwowój, miał poruczenie iść bokiem kolumn francuzkich idących ze Smoleńska, połączyli swe siły dla zaatakowania gwardji i dywizji Dawu, stojących w szyku bojowym po prawej i lewej stronie wąwozu. Mieli oni artylleryję silną i osypali kulami naszych żołnierzy mocno ściśnionych, nie mogąc ich zachwiać. Była mała wieś zwana Uwarowo, położona nieco na przedzie półkola utworzonego przez gwardję i cztery dywizje Dawu, z kąd ogień Rossjan bardzo nam dokuczał. Młoda dywizja Rogie rzuciła się na tę wieś i zdobyła ją z bagnetem w rękę. Rossjanie posunawszy się w massie odebrali ją; gwardja odebrała ją znowu Rossjanom, tak, że pokryto ją po kolei ciałami francuzkiemi i rossyjskiemi. Ksiązę Galicyn posłał kirassjerów Duki dla natarcia na tyraljerów młodej gwardji. Ci stanawszy w czworobok pod okiem męznego Mortje, odparli wszystkie szarże kirassjerów. Ale ksiązę Galicyn zwróciwszy wielką liczbę armat zaprzężonych przeciwko jednemu z czworoboków, obalił jeden z kątów jego kartaczami, i gdy kirassjerowie rossyjscy wdarli się przez ten wylom, nasi bohaterscy tyraljerowie rozerwani musieli cofać się pospiesznie, pozostawiwszy ziemię pokrytą trupami swoich.

Dywizja Moran pospieszyła natychmiast zająć ich miejsce i zaślonić ich. Tymczasem inne dywizje marszałka Dawu, dopełniając

półkola około Kraśnego, wstrzymywały przez swą śmiałą postawę dalsze kroki nieprzyjaciela nie ośmielającego się ich atakować.

Potrzeba było jednakże przedsięwziąć cokolwiek, rzucić się na Rossjan, żeby ich rozgromić lub też cofnąć się wewnątrz Kraśnego, żeby uniknąć niepotrzebnej straty ludzi. Ale gdy generał Tormasow rozpoczął swój ruch około Kraśnego dla przecięcia drogi do Orszy, Napoleon postrzegłszy to, nie śmiał przedłużać swojego śmiałego zamiaru trzymania się w Kraśnem, wówczas kiedy można było być odciętym od Orszy, jedynego mostu, który miano jeszcze na Dnieprze i być przywiedzionym do złożenia oręża. Ale zacząć cofać się, było to prawie z pewnością poświęcić marszałka Neja, gdyż nie można było przypuścić, żeby marszałek Dawu naprzykład, mógł pozostać jeden w Kraśnem oczekując na marszałka Neja, kiedy wszyscy razem zaledwo się tam mogli utrzymać. Można było postępować powoli przez kilka godzin jeszcze, dla podania ręki Nejowi, ale potrzeba było albo pozostać wszystkim w Kraśnem, albo wystąpić ztamtąd wszystkim, pod karą stracenia tego coby tam pozostawiono i wykonania rzeczy bezpożytecznej zatrzymując się tam przez dzień 16ty i 17ty. Napoleon jednakże, nie chcąc rzec się ani zręczności dostania się do Orszy w porę, ani wydać rozkazu opuszczenia marszałka Neja, środka okrutnego, którego odpowiedzialność mógł on jeden wziąć na siebie, wydał rozkazy dwuznaczne, które nie były godne ani jasności jego umysłu, ani dzielności charakteru i które wystawiały na jaw całą okropność położenia, w którym siebie postawił. Rozkazał gwardji wyruszyć, przyłączył do niej dla wynagrodzenia strat, które dopiero co była poniosła, dywizję Kompan, pozostawił tym sposobem marszałka Dawu z trzema dywizjami tylko, gdyż dywizja Rykar pierwiej już była oddzieloną, rozkazał marszałkowi Dawu zastąpić miejsce marszałka Mortje najprzód około Kraśnego, potem w samym Kraśnem, trzymać się tam jak można najdłużej, oczekując na marszałka Neja, ale pójść jednakże w ślad za marszałkiem Mortje, jakowy rozkaz dwuznaczny narzucając 1mu korpusowi dwa obowiązki niezgodne z sobą, to jest, połączenia się z Nejem i nierozłączenia się z Mortje, ścigał na ten korpus pierwszy co do sławy, poświęcenia się, bohaterstwa, karności, równie jak co do porządku w szyku bojowym, ciężką odpowiedzialność opuszczenia marszałka Neja. Szlachetniej byłoby ze strony Napoleona, żeby wziął na samego siebie tę odpowiedzialność, gdyż on jeden był w stanie ją podjąć.

Zastąpienie młodej gwardji trzema dywizjami pozostającymi mar-

szalkowi Dawu uskutecznione było nie bez wielkiej trudności. Trzeba było czynić obroty bez artylerji na płaszczyźnie pod Kraśnem, pod wystrzałami więcéj jak dwiestu armat i pod ciągłemi szarżami licznéj jazdy rossyjskiéj, potém kolejno defilować lub zatrzymywać się dla utworzenia czworoboku, niekiedy isć z bagnetem w rękę na działa nieprzyjacielskie dla oddalenia ich i na ostatek cofać się kolejno eszelonami wewnątrz Kraśnego. Dywizje Moran, Żerar, Fryderyks utrzymywały z 5,000 żołnierza nacisk 25,000 i pokryły ziemię trupami nieprzyjacielskiemi. Pułki 30ty linjowy i 7my lekki, cierpiąc dużo od artylerji rossyjskiéj, rzuciły się na nią z bagnetami, zabraty jéj działa i oswobodziły się tym sposobem od jej ognia. Trzy dywizje 1go korpusu powróciły do Kraśnego nie będąc rozbitemi. Jednakże dywizja Fryderyksa, będąca na krancowém prawém skrzydle, cofając się ostatnia, została oskoczona przcz kawalerję nieprzyjacielską. Pułk 33ci lekki, hollenderski, który pozostawiał wiele do życzenia pod względem karności, sformował się w czworobok, opierał się wytrwale zapalczywym szarżom jazdy rossyjskiéj, ale w końcu został rozbity i w części rozsiekany pałaszami.

Tym czasem Napoleon cofał się pospiesznie drogą z Kraśnego do Orszy. Mógłby znaleźć ją zagrodzoną, gdyby Kutuzow dowiedziawszy się wreszcie że on jeszcze był na téj drodze, nie uległ pewnemu rodzajowi słabości i nie odwołał Tormasowa, którego z początku postawił był w poprzek téj drogi. Napoleon mógł więc przejść z gwardją pod strasznym wprowadzie ogniem, ale bez spotkania nieprzewyiężonej przeszkody. Lecz w miarę jak każdy korpus przechodził drogą, widziano kolumny Tormasowa kolejno posuwające się naprzód i zatrzymujące się, jakby oczekujące na rozkaz zamknięcia nam ostatecznie drogi, którą zresztą osypywały swemi strzałami. Na ten widok wołano w naszych szeregach, że należało ruszać, gdyż wkrótce nie można będzie przejść. Marszałek Mortje, który występował z Kraśnego odpierając napady jazdy nieprzyjacielskiéj, postrzegłszy grożące niebezpieczeństwo, kazał uprzedzić o swoim wystąpieniu marszałka Dawu i nagiął go do udania się w ślad za nim, gdyż nie było chwili do stracenia. Noc się zaczynała, kule sypały się na Kraśno, zamieszanie doszło najwyższego stopnia. Trzy dywizje, które pozostawały marszałkowi Dawu i nie miały nawet w sobie pełną 5,000 żołnierza, bez artylerji, domagały się, żeby nie poświęcano ich bezpotrzebnie na śmierć nieuchronną lub na niewolę. Marszałek Dawu zastosował się przeto do rozkazu, który w téj chwili jedynie mógł być wykonanym, to jest, isć w ślad za marszałkiem Mortje. Marszałek Nej wprowadzie zostawał

w tym razie opuszczonym; ale czyjaż była wina, jeżeli była jaka, kiedy nie tego, który zamiast wystąpić w massie ze Smoleńska, defilował kolumną długą na trzy marsze? Marszałek Dawu czekał aż do zapadnięcia nocy, czy nie usłyszy wystrzałów od strony Smoleńska, ale marszałek Nej wyruszywszy ze Smoleńska zaledwo 17go rano, mógł stanąć nie pierwój jak 18go wieczorem przed Kraśnem. Opóźniać się aż do tego czasu, było to, nie ocaliwszy marszałka Neja, narażać trzy dywizje 1go korpusu na niewolę lub wyćpienie. Marszałek Dawu udał się więc drogą do Lad, niepokojony bezustannie niezliczoną jazdą i zmuszony odwracać się na każdym kroku dla stawienia jój czoła. Napoleon i stara gwardja zatrzymały się w Ladach. Mortje i Dawu biwakowali w odkrytym polu i jak mogli, pomiędzy Kraśnem i Ladami. Nazajutrz czoło armji postępowało w kierunku Dubrowni, tylna część w kierunku Lad, wszyscy pomimo egoizmu właściwego wielkim klęskom, przerażeni losem, jaki oczekiwał marszałka Neja.

Straciliśmy w tych dniach 16go i 17go z pięć tysięcy ludzi, poległych lub rannych, zarówno straconych dla armji, nie licząc 6ciu do 8miu tysięcy pozostałych w drodze. Postradaliśmy prócz tego większą część bagażów, armat i jaszczków porzuconych. Ale największa strata, którą byliśmy zagrożeni, była to strata całego korpusu marszałka Neja, oraz dywizji Rykar, do niego przyłączonej. 17go rano wysadziwszy w powietrze wieże Smoleńska, zagrzebawszy w ziemi lub wrzuciwszy do Dniepru całą artyllerię, której nie można było uprowadzić z sobą i wystawszy przodem największą część tych żołnierzy, którzy przywykli iść w rozprzężeniu, marszałek Nej wyruszył ze Smoleńska, spodziewając się mieć nieprzyjaciela z tyłu, nawet z boków, gotując się do stawienia mu dzielnie czoła, ale nie przypuszczając bynajmniej że miał ich spotkać na swój drodze, jak mur żelazny niepodobny do przebiccia. Marszałek Dawu wystął wprawdzie do niego 16go wieczorem z Korytni uwiadomienie o niebezpieczeństwie zagrażającym 17go; ale ponieważ nieprzyjaciel stanął pomiędzy nimi, wszelka komunikacja była przeciętą, co było wielkim nieszczęściem, gdyż uprzedzony w porę, Nej mógłby wystąpić ze Smoleńska prawym brzegiem Dniepru, i odbywając pochód w nocy, dostać się może do Orszy, nimby Rossjanie uwiadomieni, zdołali przejść rzekę po łodzie, nie wszędzie jeszcze mocnym. Utwierdzony przeto w swém zwykłym zaufaniu brakiem dokładnej wiadomości, marszałek Nej wyruszył 17go jak było naznaczono, przybył do Korytni tegoż dnia wieczorem, w chwili kiedy główna armja zmuszoną była opuścić Kraśno, słyszał wystrzały i nie dziwiąc się temu bynajmniej, przygotował się do prze-

bycia przeszkody nazajutrz jak to już byli uczynili jego koledzy. Był pewnym, że tam gdzie inni przeszli, on także przejść zdoła. Nazajutrz 18go wyruszył do Kraśnego.

Dywizja Rykar stanęła pierwsza w obec nieprzyjaciela. Przyzwyczajona nie iść omackiem, dowodzona przez oficera znakomitego, który chciał wyjść z niełaski w jakiej zostawał od czasu bitwy pod Oporto, poszła śmiało na nieprzyjaciela. Rossjanie byli uszykowani w jednej massie na brzegu wąwozu Łośminy, mając na przedzie potężną artylleryję. W jednej chwili nieszczęśliwa dywizja Rykar była osypana kulami i straciła większą część swych ludzi. Czekala ona na marszałka Neja, który nadbiegłszy i zobaczywszy niebezpieczeństwo, nie wahał się na chwilę i sformował cały swój korpus, równie jak dywizję Rykar w kolumny atakowe dla rzucenia się na linję nieprzyjacielską i przebicia się przez nią.

Po sformowaniu się niezwłoczném kolumn, pułk 48my umieszczony na końcu prawego skrzydła, miał po przebyciu wąwozu, rzucić się na Rossjan z bagnetami i starać się odeprzeć ich na lewo drogi. Reszta korpusu miała pójść za jego przykładem i zwróciwszy się na lewo, odrzucić Rossjan na stronę, a samym ruszyć ku Kraśnemu. Nigdy wojsko lepiej kierowane nie wytrzymało z większą dzielnością podobnego ognia. Kolumny Neja osypane zostały kartaczami skoro się ukazały nad brzegiem wąwozu. Wstąpiły one do niego i wdarły się na stronę przeciwną, ciągle pod gęstym gradem kartaczy, nie mogąc być wstrzymane w swym zapędzie. Potrafiły nawet zabrać kilka dział nieprzyjacielskich. Ale wystawione na ogień stu armat, przyjęte bagnetami, zepchnięte zostały w głąb wąwozu i odparte do miejsca z którego ruszyły. Widok kolumn rossyjskich ciągnących się jedna za drugą, gdyż cała armja Kutuzowa tam się znajdowała, nie pozostawiał żadnej nadziei. Siedm tysięcy żołnierzy, z których w godzinę pozostało tylko cztery tysiące, nie mogło bez wątpienia przebić się przez pięćdziesięcio-tysięczną armję ustawioną w szyku bojowym. Marszałek Nej zaniechał więc tego, ale nie myśląc bynajmniej zdać się i oddać swą szpadę Rossjanom. Środek którego się miał chwycić, narażał wprawdzie na zgubę wielu jego żołnierzy, może nawet wszystkich, ale ocalał tym sposobem honor armji i swój własny. Nie wahał się więc. Postanowił czekać końca dnia, w pewném oddaleniu od nieprzyjaciela, potem korzystając z cieniów nocy przejść Dniepr i ująć prawym brzegiem, co mógłby uczynić w samym Smoleńsku, gdyby był w porę uwiadomionym. Nieszczęściem nie można było inaczej prze-

być Dniepru jak po lodzie, który pomimo wielkiego mrozu, możeby nie dotrzymał pod ciężarem kilkotysięcznego wojska. Marszałek Naj z swém zwykłym zaufaniem, zdawał się nie mieć żadnej wątpliwości względem stanu rzeki i gdy jeden z jego oficerów chciał mu pod tym względem zrobić uwagę, odpowiedział porywczo, że Dniepr powinien być zamrznięty, że znaleziono go takim, że wojsko przejdzie po lodzie lub inaczej, ale zawsze przejdzie, mniejsza o to jakim sposobem.

Rossjanie nie domyślając się o tém co on zamierzał i widząc go oddalającego się na wystrzał działowy, byli pewni, że nazajutrz pojną go w niewolę i chcieli zostawić mu czasu do rezygnacji, ażeby oszczędzić samym sobie niepotrzebnego rozlewu krwi. Wystali do niego wieczorem parlamentarza, dla przedstawienia mu jego krytycznego położenia i uwiadomienia go, że 80,000 żołnierza (mieli ich tylko 50,000 i to było aż nadto dosyć) zagradzało mu drogę, że zostawał przeto bez żadnego środka ratunku i że powinien myśleć o kapitulowaniu, że zresztą ze względu na waleczność jego żołnierzy i jego samego głośną sławę, udzielone zostaną warunki, na jakie wszyscy oni zasłużyli. Marszałek nie raczył nawet odpowiedzieć parlamentarzowi i z bojaźni żeby jego powrót nie udzielił nieprzyjacielowi jakiego światła, zatrzymał go więźniem, powiadając mu, że chciał go mieć za świadka odpowiedzi, którą gotował się uczynić księciu Kutuzowemu. Wieczorem, gdy ściemniało, zgromadził wszystkich co się mogli jeszcze utrzymać na nogach, wszystkich co zachowali jeszcze jakąkolwiek siłę moralną i fizyczną, pozostawiając niestety! ziemię pokrytą swojemi trupami, rannemi, wszystkimi temi, których siły były do ostatka wyczerpane. W cichości skierował się ku Dnieprowi. Śród pomroki nocnej, w ogólném zamieszaniu lękano się omylić względem kierunku, jakiego należało się trzymać i wpaść pośród biwaków nieprzyjacielskich. Mały strumień zamrzły, który oczewiście musiał wpaść do Dniepru, służył za przewodnika. Postępowano jego biegiem i tym sposobem dostano się do brzegu rzeki. Szczęśliwy traf losu, na który zasługiwało bohaterstwo marszałka i jego żołnierzy! Dniepr był zamrznięty, chociaż nie bardzo mocno, tyle jednak, że można było przejść z ostrożnością i próbując na każdym kroku mocy lodu, po którym postępowano. W niektórych miejscach znajdowały się szpary. Rzucono przez nie deski i zdołano tym sposobem dostać się na drugi brzeg.

Co do artylllerji i wozów z bagażami, przebycie było trudniejsze. Kilka armat z ich jaszczkami, kilka wozów z bagażami przeszło. Po-

zostawiono resztę rzeczy i ludzi, mało troszcząc się o tych co nie mogli postępować razem i starając się tylko ocalić tych, co mieli postanowienie iść bez odetchnienia i aż do wyczerpania sił. Marszałkowi szło o ocalenie swojego honoru, oraz honoru jego korpusu, a nie o życie swoich żołnierzy.

Po przebyciu Dniepru wzięto się na lewo i postępowano wzdłuż rzeki w kierunku Orszy. Miano piętnaście do szesnastu mil do przebycia przez kraj nieznany, a zatem ani chwili do stracenia. Wstąpiono do pierwszej wsi po drodze pełnej kozaków, ale śpiących. Pozabijano ich i ruszono dalej. 19go rano o świcie, idąc ciągle co tohu starczyło, postrzeżono znowu kozaków z broku, ale jeszcze w małej liczbie i niewiele na nich zważano. Około południa napotkano wsie, których mieszkańcy strwożeni porzucili naszym żołnierzom zgłodniałym nieco zapasów, które ci spiesznie spożyli. Zaledwo pokrzepili się tym posiłkiem, kozacy nadbiegli, tą razą w znacznej już liczbie, pod dowództwem samego Płatowa, mając z sobą jak dni poprzedzających artylleryję na saniach. Wprawdzie siły te nie były w stanie rozbić czworoboków naszych odważnych żołnierzy, ale narażały na stratę czasu i ludzi, gdyż potrzeba było zatrzymywać się niekiedy dla sformowania się w czworobok, odpierać kawalerzystów nieprzyjacielskich, potem ruszać dalej i w tych zwrotach pozostawiano zawsze albo rannych, albo całkiem osłabionych z utrudzenia. Ku schyłkowi dnia opadła taka masa nieprzyjaciół i otoczyła tak dalece, iż zdawało się, że droga jest przecięta. Jednakże rzucono się do lasu ciągnącego się wzdłuż Dniepru, i broniono się tam nad brzegiem wąwozu aż do nocy. Za nadejściem nocy postępowano na los szczęścia przez te lasy, rozpraszano się często i przyspieszano kroku, doznając okropnej niespokojności. Około północy, skupiwszy się razem za pomocą wystrzałów, dostano się do wsi, gdzie znaleziono nieco żywności. O drugiej godzinie rano wyruszono ztamtąd, ażeby przebyć w tym dniu 20tym kilka mil pozostających jeszcze do Orszy. Nie zważając na utrudzenie tych, którzy już byli pozbawieni sił pochodem dnia 18go i 19go, wyruszono w dalszą drogę w nadziei przewyciężenia ostatnich trudności, jeśliby jak dnia poprzedzającego nie miano z tyłu innego wojska jak kawalerzystów Płatowa, chociażby w znacznej liczbie.

Około południa miano nieszczęściem do przebycia ogromną równinę, na której oddziały Płatowa znaczniejsze niż dnia poprzedzającego rzuciły się na naszą piechotę z liczną artylleryją. Marszałek Nej

sformował natychmiast resztki swojego wojska w dwa czworoboki, umieścił we środku tych czworoboków niektórych biednych łazęg, którzy się trzymali jego kolumny, niektórych żołnierzy, którzy nie mogli iść dalej inaczéj jak porzuciwszy swą broń i wytrzymał z nimi ataki powtarzane kozaków, którzy mieli za punkt honoru przełamać nieliczną garstkę piechoty francuzkiéj. W tym razie mogli się spodziewać tego dokazać, zważając na małą liczbę naszych żołnierzy i na znaczną ilość swoich, oraz na wielką sławę jaką zjednaliby, gdyby się im udało wziąć w niewolę albo przebić przynajmniej dzidą marszałka Neja. Jednakże skutek zawiódł ich oczekiwanie. Znamienity marszałek pokrzepiał odwagę swych żołnierzy, gotowych po wielkroć rzucić broń ze znużenia i rozpacz, gdyż nie widać było jeszcze Orszy. Odparty kozaków i położywszy z nich wielu trupem, dostało się do wsi, gdzie znaleziono przytułek i gdzie posiłono się nieco pokarmem. Marszałek posłał jednego Polaka z wiadomością do Orszy o swym cudownym odwrocie i z prośbą o posiłki. Wyruszono w dalszą drogę po południu, i ku wieczorowi wreszcie zbliżono się do Orszy. Będąc o milę od tego miasta, ujrzano z pewnym rodzajem niewypowiedzianej trwogi kolumny wojsk. Byliż to Francuzi czy też Rosjanie? Marszałek zawsze pełen ufności i licząc na wiadomość, którą przestał do Orszy, nie wahał się postąpić dalej i posłyszał mówiących po francuzku; był to książę Eugienjusz i marszałek Mortje, którzy wyszedłszy z trzema tysiącami żołnierza, spieszyli na pomoc swojemu koledze, z którym się rozłączono z takim smutkiem i zgryzotą. Rzucano się wzajemnie w objęcia, uściskano się z wylaniem i w całej armji był tylko jeden okrzyk podziwienia dla bohaterstwa marszałka Neja.

Z sześciu do siedmiu tysięcy ludzi przyprowadzał najwięcéj kiedy tysiąc dwieście, umierających ze znużenia i niezdolnych być użytecznemi przed pokrzepieniem się moralném i fizyczném; ale powracał z honorem, ocaliwszy siebie, swe imię, swą osobę tak potrzebną dla armji. Napoleon, który opuścił był Orszę dnia dwudziestego, dowiedziawszy się we dworze Baranach, gdzie się zatrzymał, o tym niespodzianym powrocie, zadrział z radości, gdyż oszczędzono mu tym sposobem zbyt przykrego upokorzenia, wyznania przed Europą, że marszałek Nej został więźniem Rosjan! Napoleon miał słabość rzucić na marszałka Dawu winę opuszczenia marszałka Neja. Istotną winą w tych nieszczęśliwych dniach było wyruszenie

ze Smoleńska w trzech partjach oddzielnych, o dwadzieścia cztery godzin drogi jedna od drugiej i dostarczenie tym sposobem nieprzyjacielowi środka zabierania codziennie jakiej części armji francuzkiej; a jeżeli ostatniego z tych smutnych dni popełniono błąd w opuszczeniu marszałka Neja, to błąd ten pochodził od samego Napoleona, który zamiast pozostania jeszcze na dzień jeden w oczekiwaniu na tylną straż i uchodzenia wszystkim razem, wydalł się z Kraśnego, pozostawivszy marszałka Dawu z 5,000 żołnierza, bez żadnej armaty, prawie bez nabojów, więcej narażonego na niebezpieczeństwo niżeli w dniu poprzednim, przywiedzonego albo wyruszyć natychmiast, albo złożyć broń i mającego wreszcie rozkaz iść w ślad za Mortje. Zresztą Napoleon nie miał w tej okoliczności nic sobie do zarzucenia, bo gdyby nie opuścił Kraśnego, armja cała wzięta byłaby w niewolę; lecz w takim razie nie powinien był zrzucić odpowiedzialności na nikogo wyłączenie za to postanowienie i powinien ją być zaliczyć do odpowiedzialności ogólnej za tę okropną kampanję. Zamiast tego, czy to w chęci uniewinnienia siebie, czy to ze zgrzytliwego usposobienia powiększającego się skutkiem okoliczności, oświadczył pod względem postępowania marszałka Dawu nagane, którą każdy śród boleści jakiej doznawano, oraz skutkiem przyjemności zawsze wielkiej ubliżenia sławie dotąd bez skazy, starał się co najprędzej powtarzać i rozsiewać. Rozповідаjąc więc o tym przerażającym odwrocie, powtarzano, że marszałek Dawu opuścił marszałka Neja, ale że ten wyratował się jakby cudem jakim. Drugie tylko z tych twierdzeń było prawdziwe. Napoleon, jak to już wyżej powiedzieliśmy, rzucił mimochodem swoich pierwszych dowódców jakby na ofiarę losom: próżne ofiary! On, on tylko jeden mógł wkrótce przebłagać te losy, słusznie rozgniewane za tyle szalonych przedsięwzięć.

Te dni kosztowały armji prawdziwej, to jest tej, która dźwigała jeszcze broń, od dziesięciu do dwunastu tysięcy żołnierza poległego, rannego lub wziętego w niewolę; kosztowała siedm do ośmiu tysięcy łązęg i wiele bagażów massie bezoreźnej. Znajdowało się w Oresy najwięcej, kiedy 24,000 żołnierza uzbrojonego i około 25,000 bezoreźnych. Była to połowa tego wojska co wyszło z Moskwy, a ósma część tych 420,000 żołnierza, które przebyły Niemen. Co do Ressayn, jeżeli rezultat był wielkim dla nich, chwala nie była zbyt wielką, gdyż z 50 do 60ciu tysięcy żołnierza zaopatrzonego we wszystko, a szczególnie z artyllerją potężną, z pozycją jaką zajmowali w Kraśnem, powinni byli, jeżeli nie zatrzymać całej armji, przynajmniej zabrać więk-

szą jej część i gdyby po przejściu Napoleona z księciem Eugenjuszem, stanęli byli w massie pomiędzy Kraśnem a marszałkiem Dawu, ten ostatni byłby wzięty w niewolę z całym korpusem, a po nim podobnegoż losu doznałby marszałek Nej. Ale uderzając na nas codziennie z boku niewielkimi siłami, cofając się za pierwszym natarciem z naszej strony, dozwolili armji francuzkiej ratować się częściami, a w ostatnim dniu dopuścili nawet wymknąć się marszałkowi który powinien był wpaść w ich ręce. Nie zebrali innych trofeów, jak wielu naszych żołnierzy poległych lub rannych od ich gęstych strzałów, oraz znaczną liczbę łazęg, których łatwo było zabierać secinami, odtąd jak nędzą pozbawiła ich broni. Liczba jednych i drugich była już niestety! bardzo wielką. Były to rezultaty ważne zapewne i dotkliwe dla nas, ale nie były to cuda sztuki wojennej zasługujące na pochwały jakie im oddawano. W tych działaniach była jednakże zasługa, jedyna, ale rzeczywista, ostrożność ciągła jeneralissymusa Kutuzowa, który licząc na klimat i zimę, nie chciał rozlewać dużo krwi i nie ryzykować choćby dla otrzymania najświetniejszych korzyści. Ale w tej myśli nawet, powinien był lepiej oceniać zdobycz, którą zamierzał schwyć: powinien był upatrzeć część naszej długiej kolumny, którą chciał odciąć, odciąć ją śmiało i zabrać, dozwoliwszy przejść reszcie. Jego ostrożność bardzo chwalebna bez wątpienia, ze względu na całość kampanji, było w ciągu tych dni, które mogły być stanowczemi.

Jakkolwiekby, Napoleon opuściwszy Kraśno, miał nocleg 17go w Ladach, 18go w Dubrownie, 19go w Orszy. W tém ostatniem miesiącu znajdował się most na Dnieprze i gdyby Kutuzow zabiegł był nam drogę w tym punkcie, zamiast oczekiwania na nas w Kraśnem, rzeczą było do prawdy podobną, że nie wydobylibyśmy się z tej przepaści, gdyż nie moglibyśmy przebyć Dniepru tak łatwo jak wąwozu Łośminy i ta rzeka zresztą nie była jeszcze tak mocno zamarzłą nade wszystko w okolicach Orszy, gdzie miała dwieście sążni szerokości, ażeby można było przejść ją po lodzie. Napoleon rad, że się znajdował wreszcie w miejscu bezpiecznym i opatrzonym w żywność, gdyż w Orszy były magazyny obfitujące we wszelkie zapasy, próbował na nowo zebrać swych rozpierchłych żołnierzy, za pomocą regularnego rozdawania żywności. Oddział żandarmerji wyborowej, który był świeżo przybył, użyty został do utrzymania policji na mostach, do zniewalania każdego namową lub siłą do łączenia się z swemi korpusami. Ci dzielni żołnierze przyzwyczajeni do poskramiania niepo-

rządków zachodzących z tyłu armji, nie widzieli nigdy nic podobnego. Byli oni t \dot{e} m całkiem przerażeni. Wszystkie ich usiłowania były daremn \acute{e} . Groźby, obietnice rozdawania żywności w korpusach, nie nie pomagało. Żołnierze osobno w \acute{a} łasający się, uzbrojeni lub nie, znajdowali rzecz \acute{a} wygodniejsz \acute{a} , a nawet bezpieczniejsz \acute{a} , zajmować się samymi sobą, tylko samymi sobą, nie narażać się dla ocalenia innych na zostanie rannymi, co było toż samo co być zabitemi, a po zrzuceniu raz jarzma honoru, nie chcieli juź go znowu na siebie przyjmować. Pomiędzy żołnierzami rozprzężonemi niektórzy zachowali sw \acute{a} broń, ale jedynie dla bronienia się przeciw kozakom i dla zajmowania się t \acute{e} m łatwiej grabież \acute{a} . W miarę jak odwrót przedłużał się przyzwyczaili się do tego nędznego życia i uorganizowali się w gromady pochodowe, żyjące z własnego przemysłu, korzystające z eskorty korpusów uzbrojonych nie oddając im nigdy najmniejszej usługi, opierając się, jeżeli się starano odprowadzić ich do ich pułków, chcąc używać sw \acute{e} j broni tylko przeciw kozakom lub ich towarzyszom, łupiąc, grabieżąc po bokach drogi, albo na sam \acute{e} j drodze, wioząc sw \acute{a} zdobycz na wozach, przyczyniających się do przedłużenia kolumn, niszcząc tyleż co spożywając, a cz \acute{e} sto nawet dla ogrzania się podkładając ogień pod domy zajmowane przez oficerów lub rannych, z których wielu zginęło tym sposobem w płomieniach; do tyła jest potrzeb \acute{e} m jarzmo karności dla tych istot, u których rozwinęto instynkt siły, ażeby j \acute{e} y nie nadużywali i nie stawali się prawdziwemi dzikimi zwierzętami! Pomiędzy temi upartemi maroderami, znajdowało się wielu dawniejszych opornych, a bardzo mało starych żołnierzy, gdyż wi \acute{e} ksza cz \acute{e} ść tych ostatnich pozostawała i umierała pod chorągwi \acute{a} . Za temi silnemi jeszcze żołnierzami ciągnął się tłum ludzi słabej kompleksji, postępujący bez broni, będący ofiar \acute{a} wszystkich, tak nieprzyjaciela jak swych towarzyszw \acute{y} , ciągnący się i żyjący wedle możności, pokrywający drogi lub biwaki swemi ciałami wyniszczonemi i w sw \acute{e} m ostatecznym wycięczeniu zaledwo broniący się przeciwko śmierci. W ogólności byli to najmłodszy, najmniej niesworni, ostatni wzięci z pośród swych rodzin przez konskrypcję.

Ta zaraza moralna dotknęła nawet gwardję. Napoleon zwołał ją dla przemówienia do ni \acute{e} j, dla przypomnienia j \acute{e} y uczucia obowiązku, powiedział j \acute{e} y że ona była ostatni \acute{e} m schronieniem honoru wojskowego, że do ni \acute{e} j nadewszystko należało dać przykła \acute{d} i uratować tym sposobem resztki armji od rozprzężenia, któr \acute{e} m była zagrożona; że jeżeli gwardja dopuści się tak \acute{o} ż t \acute{e} j winy, b \acute{e} dzie ona winniejsz \acute{a} od wszyst-

kich innych korpusów, gdyż nie będzie miała za wymówkę zaspokojenia potrzeb, te bowiem zapasy, które jeszcze zostawały do rozporządzenia, były wyłącznie dla niej zachowane; że mógłby użyć kar i kazać rozstrzelać pierwszego z swych starych grenadierów, co by się oddalił z szeregów, ale że wolał liczyć na ich dawne cnoty wojenne i otrzymać w skutku ich poświęcenia się, nie bojaźni, danie dobrego przykładu, jakiego od nich wymagał. Na te słowa, starzy ci żołnierze, niekiedy niezadowoleni, ale zawsze wierni swym obowiązkom, wydali okrzyki zgody, a co ważniejsza, zrobili postanowienie zachowania najściślejszej karność, co zresztą nie było dla nich żadną nowością, gdyż oprócz tych co polegli, prawie cała reszta starej gwardji pozostawała w szeregach. Z sześciu tysięcy żołnierzy składających ją przy przejściu Niemna, pozostawało jeszcze przy życiu około 3,500 ludzi. Inni zginęli z utrudzenia lub zimna, bardzo mało na polu bitwy. Prawie żaden z nich nie opuścił szeregów. Młoda gwardja dziesiątkowana przez ogień nieprzyjacielski i utrudzenie, po części takż przez opuszczenie chorągwi, liczyła jeszcze 2,000 żołnierza, dywizja Klapared 1,500. Ci ostatni byli szczątkami starych pułków nadwiślańskich. Znajdowało się jeszcze pomiędzy jazdą téjże gwardji kilkuset kawalerzystów mających konie. Kawalerzyści bez koni szli za korpusem w dość dobrym porządku. Wojsko marszałka Dawu mogło jedno liczyć w sobie równą prawie ilość żołnierzy.

Napoleon postrzegszy niedogodność długich szeregów wozów z bagażami, postanowił, że miały być spalone wozy, któreby nie miały na sobie rannych lub rodzin uciekających, oraz które nie należały ani do artyllerii ani do inżynierji. Pozwolił zostawić tylko jeden powóz dla siebie i dla Miurata, oraz po jednym dla każdego z marszałków dowodzących korpusami i kazał spalić bez litości wszystkie inne. W gorliwej chęci zachowania artyllerii chciał, pomimo roztropanych przedstawień jenerała Eble, ażeby zniszczono dwa zaprzęgi mostowe, składające się z łodzi wieszonych na wozach. Te zaprzęgi pozostawione były w Orszy podczas pochodu do Moskwy i liczyły w sobie 500 do 600 koni silnych i dobrze utrzymanych. Jenerał Eble był przekonany, że z piętnastą tylko temi łodziami możnaby było zarzucić most, który w pewnych razach mógłby być bardzo użytecznym i wymagałby do pociągu nie więcj jak trzecią część koni rozporządzalnych. Ale Napoleon rozkazał zniszczyć wszystkie te łodzie i w skutek nalegań jenerała Eble dozwolił tylko zabrać materiał potrzebny na postawienie mostu na krokwiach. Korrespondencja wojenna Napoleo-

na ołomnóstwo szacownych dokumentów zostało wtedy razem zniszczonych. Te usiłowania przywrócenia jakiego porządku w armji, równie jak poprzednie, były daremne. Żołnierze mając jeszcze przed sobą długą drogę do przebycia, wiele cierpień do zniesienia, dalecy byli od zmienienia sposobu postępowania. Potrzeba było długiego spoczynku, bezpieczeństwa, obfitości, sąsiedztwa nienadwerężonych korpusów, ażeby zniewolić ich do powrócenia pod jarzmo karności. Zabronienie rozdawania żywności innym żołnierzom prócz tym którzy zostawali pod chorągwiami, mogło trwać zaledwo kilka godzin. Po kilku chwilach ściślej straż żaden magazyn nie mógł zostawać zamkniętym przed zgłodniałemi, gdyż w przeciwnym razie wywołano by grabież. Zresztą ponieważ nieprzyjaciel się zbliżał, ogień miał zniszczyć to co trzeba było zostawić, a zatem zamiast niszczyć, wolano raczej rozdać Francuzom, których cierpienia jedynie przywiodły do przekroczenia swych obowiązków.

Czterdzieści ośm godzin przepędzonych w Orszy położyły więc tylko do udzielenia odpoczynku i pokrzepienia nieco pokarmem ludzi i koni, co już nie małą było rzeczą, oraz do zaprzęgnięcia artyllerii, z której zachowano jeszcze ze sto armat dobrze zaopatrzonych i wreszcie do odetchnienia przed rozpoczęciem na nowo tego okropnego odwrotu. Ale karność nie zyskała nic na tém. Rozprzęgnięcie armji było jedną z tych chorób, które nie mogą ustać, chyba z śmiercią korpusu dotkniętego.

W Orszy, wiadomości smutniejsze jeszcze od tych jakie dotąd był otrzymał, doszły Napoleona. Książę Szwarzenberg ostatecznie wyprzedzonym został przez admirała Czyczagowa na wyższej Berezynie. Książę ten miotany już to obawą pozostawienia z tyłu Sakiena, mogącego iść wprost na Warszawę, już obawą postawienia Czyczagowa w możności dostania się nad wyższą Berezynę, stracił kilka dni nim się zdecydował, a tymczasem Czyczagow poszedł przez Stonim na Mińsk. Dla obrony Mińska znajdował się tam generał Bronikowski, z jednym bataljonem francuzkim, oddziałem jazdy francuzkiej, jednym z nowych pułków litewskich, oraz piękną dywizją polską Dąbrowskiego, pozostawioną z tyłu dla strzeżenia Dniepru. Generał Dąbrowski, zmuszony rozdzielić swe wojsko na kilka oddziałów i mając zresztą od księcia Belluny rozkaz zostawania w gotowości do wystąpienia na Mohilew, nie chciał połączyć się z generałem Bronikowskim dla obrony Mińska, co zmniejszyło siły tego ostatniego do 3,000 bli-

sko żołnierza. Jenerał Bronikowski straciwszy za miastem oddział z 2,000 żołnierza, po części z winy nowego pułku litewskiego, który rzucił broń, zmuszony został opuścić Mińsk. Na zaopatrzenie tego miasta w zapasy, p. Bassano dołożył był wszelkich swoich starań. Tracono więc z nim jeden z głównych punktów drogi wiodącej do Wilna i możność przekarmienia armji najmniej przez miesiąc. Połączywszy się więc z sobą ale już za późno, jenerałowie Bronikowski i Dąbrowski ruszyli do Borysowa nad wyższą Berezyną. Ale mając w swém rozporządzeniu nie więcej jak 4 do 5ciu tysięcy żołnierza, skutkiem strat poniesionych przez jednego, a oddziałów pozostawionych w Mohilewie przez drugiego, nie byli w możności bronięcia skutecznie mostu borysowskiego, a skoro ten most na Berezynie popadłby w ręce Czyczagowa, droga zostałaby całkiem zamkniętą dla wielkiej armji, która zmuszoną byłaby iść w górę Berezyny aż do jej źródła. W tym nawet razie narażoną byłaby na spotkanie Wittgensztejna, straszniejszego jeszcze od Czyczagowa, wedle wiadomości świeżo udzielonych przez jenerała Dod de la Briuneri. Wiadomości te były niemniej smutne jak poprzedzające.

Napoleon liczył na to, że marszałkowie Udino i Wiktor, o których wnosił, że musieli mieć do 40,000 żołnierza, poprą przed sobą Wittgensztejna i Szejngiela, odrzucając ich za Dźwiną i przyprowadzą następnie nad Berezynę te 40,000 zwyciężkiego wojska, tak jak Szwarzenberg i Renje mieli przyprowadzić ze swjej strony 40,000 zostających pod ich dowództwem, po pobiciu Czyczagowa. Zgromadzonoby tym sposobem 80,000 żołnierza, z którymi można byłoby zadać silny cios Roszjanom przed końcem kampanji. Ale wszystkie te nadzieje były omylne, tak co do wojska nad Dźwiną, jak co do wojska nad Dnieprem. Najprzód po drugiej bitwie w Połocku, która pociągnęła za sobą oczyszczenie tego ważnego miasta, jenerał bawarski Wrede oddzielił się od 2go korpusu i pozostał z swemi pięcią czy sześcią tysiącami Bawarczyków pod Głębokiem. 2gi korpus, nad którym marszałek Udino znowu objął dowództwo, został tym sposobem zmniejszony do 10ciu tysięcy żołnierzy wyniszczonych. Książę Belluny z trzema dywizjami 9go korpusu, osłabiony dokonaniem przez niego marszami, miał zaledwo 22 do 23 tysięcy. Obaj marszałkowie nie liczyli przeto więcej w ogóle jak 32 lub 33 tysięcy żołnierzy. Gdyby wystąpili z nimi przeciwko Wittgensztejnowi i Szejngielowi, którzy nie mieli więcej jak 40,000 od czasu ostatnich potyczek, mogliby ich pobić. Ale Wittgensztejn zajął pozycję za Ułą, tworzącą jak powiedzieliśmy, po-

łączenie Dźwiny z Dnieprem, za pośrednictwem kanału Lepelskiego i Berezyny. Dwaj marszałkowie próbowali zaatakować Wittgenstejna w silnej pozycji pod Smoliancami, stracili 2,000 żołnierza nie zdoławszy go ztamtąd wyprzeć, co zmniejszyło ich wojsko do 30,000 najwięcej i nie ośmielali się przedsiębrać dalej cokolwiek bądź stanowczego, lękając się narazić na stratę korpusu, który był jedynym zasobem Napoleona. Gdyby działali z większą zgodą i determinacją, możeby mogli przedsięwziąć coś ważniejszego, ale to pewna, że ich położenie było trudne, a ich wahanie się łatwe do wytłómaczenia. W skutku nalegań generała Dod, po krótkim rozłączeniu połączyli się z sobą, ażeby działać wspólnie i czekali w Czerei, o dwa marsze na prawo od drogi, którą miał iść Napoleon, na dalsze jego rozkazy. Dla otrzymania to tych rozkazów generał Dod przybył do niego, przelożywszy mu pierwój ze wszelką dokładnością co się działo nad brzegami Dźwiny.

Jeżeli przypomniemy sobie miejsca uprzednio opisane, pojmniemy łatwo jakie było w tej chwili położenie Napoleona. W pobudzie swoim do Moskwy przeszedł on przez otwór rozciągający się od źródeł Dźwiny do źródeł Dniepru, pomiędzy Witebskiem a Smoleńskiem. Idąc tam, miał Dźwinę po lewem rękę, a Dniepr po prawem; przeciwnie powracając, miał Dniepr po lewem, a Dźwinę po prawem rękę, i znajdując się w Orszy, przebył już otwór znajdujący się pomiędzy Smoleńskiem a Witebskiem. Ale dalej, Dźwina i Dniepr znajdowały się w pewnym sposobie połączone z sobą za pośrednictwem nieprzerwaney komunikacji wodnej, składającej się już to z kanałów już z rzek, a mianowicie Uły, która jest przytokiem Dźwiny, kanału Lepelskiego łączącego Ułę z Berezyną i nakoniec Berezyny samęj, wpadającej do Dniepru powyżej Rohaczewa. Potrzeba więc było przebiec się przez tę drugą linję. Na lewo miał teraz Napoleon Czyczagowa, będącego panem Mińska i ogromnych magazynów znajdujących się w tém mieście, oraz gotowego opanować most w Borysowie na wyższej Berezynie. Na prawo widział Wittgenstejna i Szejnię gotowych do korzystania z pierwszego mylnego obrotu marszałków Udino i Wiktora, dla dostania się idąc wzdłuż Uły nad wyższą Berezynę i podania ręki Czyczagowemu. Nakoniec miał z tyłu Kutuzowa z wielką armją rosyjską. W takowym stanie rzeczy wielkie było niebezpieczeństwo narażenia się na zupełną zagładę, a mało nadziei ocalenia. Jednakże pośród wszystkich tych trudności Napoleon doznał pociechy, dowiedziawszy się, że korpusy Udino i Wiktora,

choć bardzo osłabione skutkiem potyczek, marszów i zimna, liczyły jeszcze 25,000 żołnierza, ożywionego najlepszym duchem, pełnego karności, i mogącego z tém co mu pozostawało jeszcze żołnierzy uzbrojonych, utworzyć w jego ręku siłę 50,000 żołnierza, która zręcznie kierowana mogła być pewnym rodzajem młota wojennego, którym by mógł kolejno uderzać tych co by się ośmielili za nadto zbliżyć do niego. Potrzeba było wprawdzie używać go z wielką zręcznością, ale w tym względzie można było polegać na nim, gdyż nikt nie mógł dorównać mu w sztuce manewrowania spółśrodkowie pomiędzy nieprzyjaciółami oddzielnie działającymi, a po chwili zmieszania i osłabienia odzyskał on był całą energję swych potężnych władz.

Pomimo okropności tego położenia, spodziewał się on jeszcze wyjść z kłopotu przez ostatni, i świetny może tryumf. Nie naganiając tego co się stało, rozkazał generałowi Dod udać się do obu marszałków, zalecić marszałkowi Udino posunąć się natychmiast, ruchem poprzecznym z prawa na lewo, z Czerei do Borysowa, ażeby wesprzeć Polaków i pomódz im utrzymać most na Berezynie; marszałkowi zaś Wiktorowi pozostać na prawo, naprzeciw Wittgensztejna i Szejngiela, wstrzymać ich, oraz nabawić trwogi żeby wielka armja nie zwróciła się przeciwko nim, i wygrać tym sposobem na czasie dla dostania się do Berezyny. Gdyby te instrukcje, jak należało wnosić, zostały dokładnie wykonane, gdyby Czyczagow nie dopuszczony był do Borysowa przez Udino, a Wittgensztejn był powstrzymany przez Wiktora, można było przybyć w porę nad Berezynę, przebyć ją połączywszy się z Wiktorem i Udino, odebrać Mińsk i jego magazyny, których Czyczagow mógł zaledwo małą część spożyć, połączyć się z Szwarckenbergiem, mieć tym sposobem w swoim ręku 90,000 żołnierza, a zatem być w możności rozbicia jednej lub dwóch z trzech armij rosyjskich, i zakończyć zwycięstwem kampanję świetną aż do Moskwy, pełną klęsk od Mało-Jarostawca, ale przeznaczoną może do stania się świetną a nawet tryumfalną przy końcu. Choć stał się niedowierzającym pod względem sprzyjania losu, Napoleon nie tracił nadziei podźwignienia się w ostatniej chwili, i odsyłając generała Dod okazał na swęj twarzy promień zadowolenia. Późem wyruszył niezwłocznie z Orszy do Borysowa.

20go listopada, przybył z Orszy do dworu Baran. 21go był w Kochanowie, 22go wyruszył do Bobra. Powietrze, chociaż bardzo zimne jeszcze, stało się nagle łagodniejsze. Ale niewiele na tém zyskano. Z ogromnych brzoź, ciągnących się wzdłuż drogi, spadały kroplami rozpuszczony śnieg i lód, któremi były okryte, i żołnierze szli po bło-

cie wystawieni na wilgotność, która czyniła chłód tém bardziej przenikającym. Co do wozów artylleryjskich, te z wielką trudnością dawały się ciągnąć po tém błocie w pół zamarlém. Tym sposobem pomimo niedogodności surowej temperatury, wolanoby raczej grunt twardy, rzeki zamarlé, teraz nadewszystko kiedy pierwszym staraniem było iść co najprędzej. Ale zaczęto już z rezygnacją znosić nieszczęście, i postępowano pod jego ciosami, jak się postępuje na spotkanie nieprzyjaciela osypującego nas gradem kartaczy.

Po przybyciu 22go z południa do Totoczyna, Napoleon otrzymał depeszę z Borysowa, udzielającą mu najokropniejszej ze wszystkich wiadomości, to jest, że jenerałowie Bronikowski i Dąbrowski, po upornej obronie szanцу mostowego na Berezynie w Borysowie, po odparciu kilku ataków, straciwszy 2 do 3 tysięcy żołnierza, przyprawwszy nieprzyjaciela o stratę przynajmniej równą, zraniwszy lub położywszy trupem oflicerów bardzo znakomitych, szczególniej jenerała rossyjskiego Lamberta, zmuszeni byli cofnąć się za miasteczko Borysów, i opuścić most na Berezynie. Zostawali oni na wielkiej drodze, którą szła armja francuzka, o półtora marszu na przedzie. Znajdywano się tym sposobem o kilka mil od nieprzyjaciela przegradzającego nam drogę na Berezynie, bez żadnych środków przebycia téj rzeki. Jakim bowiem sposobem można było zarzucić most, w braku potrzebnych do tego materjałów, nadewszystko w braku czasu, mając na lewo Czyczagowa zwycięzkiego, który mógł łatwo zniszczyć nasze prace około mostu; na prawo Wittgensztejna, który nie zaniechałby uderzyć na nas z boku podczas usiłowań naszych przebycia rzeki, z tyłu wreszcie Kutuzowa, który według wszelkiego prawdopodobieństwa miał natrzeć na nas z tyłu, podczas kiedy inni jenerałowie rossyjscy atakowaliby nas z frontu i z boku! Nigdy nie znajdowano się w położeniu okropniejszym, nadewszystko jeżeli porównamy to położenie ze stopniem świetności na którym zostawano podczas przejścia Niemna w Kownie, w miesiącu czerwcu upłynionym. Co za straszliwy upadek w ciągu pięciu miesięcy!

Napoleon, otrzymawszy tę depeszę, zsiadł z konia, przeczytał ją ze wzruszeniem, którego na zewnątrz bynajmniej nie okazał, postąpił kilka kroków ku ogniom biwacznym rozłożonym na wielkiej drodze, i postrzegłszy jenerała Dod, który powrócił był ze swego posłannictwa do marszałków Udino i Wiktora, rozkazał mu zbliżyć się. Zaledwo jenerał zbliżył się, Napoleon, patrząc na niego oczyma, których wyrazu z niczém porównać nie można było, wyrzekł do niego te tylko słowa: *Oni tam są...*, co się odnosiło do rozmów uprzednich jenera-

ła z cesarzem, i miało znaczyć: Rossjanie są w Borysowie.— Napoleon potem wszedł do chałupy wiejskiej, i rozłożywszy na stole mapę Rossji, zaczął roztrząsać z jenerałem Dod środki wyjścia z tego położenia prawie bez ratunku. Napoleon był smutny, ale nie przygnębiony. Niekiedy słuchał z uwagą mówiącego, niekiedy zdawał się być nieprzytomnym, słuchał nie słysząc, patrzył nie widząc, potem zwracał się do rozmawiającego z nim i do przedmiotu rozmowy. Dozwoлил jenerałowi Dod, obdarzonemu umysłem silnym chociaż skromnym, wyjawić pierwszemu swe zdanie. Jenerał znał bieg Berezyny, po której obu brzegach ciągnęły się błota na kilka tysięcy sążni szerokości, i utrzymywał przed cesarzem że nie ma co myśleć przebieć się w Borysowie samym, gdyż Rossjanie spalą zapewne most w tém mieście, jeśli nie zdołają go obronić, ani téż poniżej Borysowa, gdyż okolice postępując w dół Berezyny były coraz lesistsze i błotnistsze. Nietylko znalazłoby zniszczone mosty na wodach biejących, ale daleko dłuższe i trudniejsze do przebycia na błotach. Przeciwnie, postępując w górę Berezyny, ku punktowi jej połączenia się z Ułą, w okolicach Lepla, napotkanoby miejsca, gdzie ta rzeka płynęła po piaskach, w łożysku nie głębokiem, i przebyłoby ją mając wody po pas. Jenerał Dod utrzymywał że 2gi korpus, do którego należał, nie doznawał żadnej przeszkody w swych ruchach. Radził więc cesarzowi zwrócić się na prawo, połączyć się idąc w górę Berezyny z Wiktorem i Udino, rozbić korpus Wittgensztejna, i wyjść potem na drogę prowadzącą do Wilna przez Głębokie.

Napoleon, pomimo tego co mu mówiono, nie chciał jeszcze zaniechać swojego zamiaru udania się drogą Mińską, najpiękniejszą, najlepiej zaopatrzoną, na której pewnym był połączenia się, oprócz z Wiktorem i Udino, którzy znajdowali się niedaleko, z księciem Szwarcenbergiem i Renje, i mógł tym sposobem skupić w swém ręku siłę od 90,000 żołnierza. Zrobił on dwa zarzuty przeciwko propozycji jenerała Dod: najprzód długość zboczenia oddalającego go od Wilna, i narażającego go tym sposobem na to żeby był uprzedzonym tam przez Rossjan, i powtóre, spotkanie prawdopodobne w tym kierunku Wittgensztejna i Sztejngiela, których Wiktor i Udino nie mogli razem pokonać. Jenerał Dod odpowiadał że prawdopodobnie można będzie uniknąć obu jenerałów rossyjskich, że zresztą nie będą oni mieli około źródeł Berezyny pozycji tak łatwej do bronienia jak nad brzegami Uły, i nie ośmielią się stawić czoła, skoro zobaczą Napoleona połączonoego z marszałkami Wiktorem i Udino. Zresztą, przy roztrząsaniu téj kwestji, Napoleon który nie potrzebował żeby mu odpowiadano, gdyż

wcześniej odpowiadał już sobie na wszystkie trudności jakie przedmiot ten przedstawiał, rozpatrywał mapę rozłożoną przed nim, nie słuchając prawie słów generała Dod, śledził palcem bieg Berezyny, potem Dniepru, i napotkawszy wzrokiem Pułtawę, zawołał nagle: Pułtawa! Pułtawa! potem przestawszy przeglądać mapę, i przebiegając szczyptą izdebkę, w której toczyła się ta rozmowa, powtarzał ciągle: Pułtawa! Pułtawa!..... nie patrząc na rozmawiającego z nim, nie zwracając nawet na niego uwagi. Generał Dod, przejęty wskrós nadzwyczajnym widokiem, milczał i spoglądał z boleścią i zdziwieniem na tego nowego Karola XII, sto razy większego niż tamten, ale niestety! sto razy takież nieszczęśliwszego, i w tej chwili poznającego wreszcie swoje prawdziwe przeznaczenie. Tym czasem przybyli Miurat, książę Eugienjusz, Bertje, i generał Żomini, który będąc gubernatorem prowincji w ciągu kampanji, nabył równie jak generał Dod dokładnej znajomości miejsc, i był w stanie dać pożyteczną radę. Generał Dod, przez skromność, uznał za stosowne oddalić się, i wyszedł tak że Napoleon, ciągle roztrągniony, nie postrzegł tego nawet. Ujrzawszy generała Żomini, Napoleon powiedział do niego: Kiedy kto nie doznawał nigdy klęsk, muszą one być wielkie jak jego losy..... — Potem chciał zasięgnąć zdania generała. Ten dzieląc co do jednego punktu zdanie generała Dod, sądził że niepodobieństwem było przebyć Berezynę poniżej Borysowa, ale znajdując za nadto długiem, za nadto utrudzającym, dla armji już osłabionej, iść w górę Berezyny dla przebycia tej rzeki blisko jej źródeł. Sądził, według wiadomości zebranych na miejscu, że możliwą było rzeczą przejść wprost poniżej Borysowa, i wyjść na drogę idącą na Smorgonie, najkrótszą dla dostania się do Wilna, i najmniej spustoszoną przez wojska bojujące. W skutku okazało się potem że to zdanie było bardzo roztropnem. Napoleon, nie mówiąc nic przeciwko temu, gdyż zaledwo słuchał, zdawał się cofać nagle myślą do czasów swych najświetniejszych działań, i skarżąc się na wszystkich, chodząc i mówiąc z wielkiem ożywieniem, odezwał się wreszcie, że gdyby wszystkie serca nie były przejęte trwogą (a wymawiając te wyrazy zdawał się spoglądać na głównych dowódców otaczających go), mógłby wykonać bardzo piękny obrót, to jest, posunąć się w górę ku wyższej Berezynie, jakto mu doradzał generał Dod, i zamiast szukania tylko przejścia, rzucić się na Wittgensztejna, pobić go, zabrać w niewolę. Dodał że gdyby powracając do Polski po wielkich nieszczęściach, przyprowadził z sobą armję rossyjską zabraną w niewolę, Europa oddałaby sprawiedliwość Napoleonowi, wielkiej armji i losom cesarstwa! Gdy jego wyobraźnia

zapalała się w miarę tego jak mówił, upiększał tysiąciami szczegółami czyniącemi prawdopodobnym to przypuszczenie, którym pocieszał swe nieszczęście obecne. Jenerał Żomini odpowiedział na to tylko, że ten piękny obrót mógłby być wykonanym bez wątpienia, ale we Włoszech, w Niemczech, w krajach gdzie znajdowano wszędzie czém się przeżywić, oraz z armją zdrową i silną, której długi niedostatek nie osłabiłby zupełnie. Mógłby dodać, ale nie była to pora po temu, że ten co znajduje charaktery bez potrzebnej mocy, sam się najczęściej przyczynia do odjęcia im téj mocy, nadużywając ich poświęcenia się, i podobnym jest do nieroztropnego jeźdca, który zbytecznym utrudzeniem zabił konia służącego mu do jazdy!

Napoleon nie więcój sobie ważył uwagi, które mu robiono, niżeli świetne marzenia, któremi się przed chwilą zajmował, i które były tylko wstępniem przygotowaniem do prawdziwego postanowienia, jakiego potężny jego umysł miał powziąć. Plan jego w istocie był zrobiony z tym taktem, z tą przezornością, zawsze niemylną, skoro smutne zapędy nie obłąkiwały go, a niebezpieczeństwo było bez wątpienia zbyt wielkiem, żeby się strzedz wszelkiego błędu. Przejść na lewo, poniżej Borysowa, zdawało się mu być rzeczą niepodobną po wysłuchaniu jenerała Dod. Przejść na prawo, powyżej Borysowa, było to nakładać zbytnie drogi, narażać się na uprzedzenie siebie w Wilnie, i co do tego punktu podzielał zdanie jenerała Żomini. Przejść prosto przed sobą dla udania się najkrótszą drogą do Wilna, takim sposobem żeby wyprzedzić tych coby mu zagrażali z boku i z tyłu, było najlepszym, najroztropniejszym przedsięwzięciem, lubo najskromniejszym. Ale trudności zachodziły niemałe, gdyż potrzeba było, albo odebrać most borysowski od Rossjan, albo rzucić inny w pobliżu, pomimo wszystkich nieprzyjaciół ściskających nas zbliska, mało zaś było prawdopodobieństwa żeby można było dokazać jednego lub drugiego, chyba żeby los równie sprzyjał Napoleonowi jak w najpiękniejszych dniach jego życia. Nie tracił jednakże nadziei, i postanowił ruszyć wprost przez Berezynę, kazać natrzec silnie marszałkowi Udino na Borysow dla odebrania tego punktu, a gdyby tego nie dokazał, szukać przejścia w pobliżu.

Posłał instrukcje odpowiednie marszałkowi Udino, który przybywał właśnie na nasze prawe skrzydło, i udał się sam do Bobr dla czuwania osobiście nad wykonaniem swych rozkazów. Chęć uniknienia niewoli tak dla siebie jak dla całej armji, wróciła mu całą działalność jego dawniejszą; przestawał być cesarzem dla stania się jenerałem.

Miałże on odzyskać razem z swojemi przymiotami swe szczęście? Nie było to rzeczą pewną, ale możliwą.

Jakoż zdawało się że w téj chwili fortuna zmordowana ciągłym prześladowaniem, zsyła mu wreszcie cudowną pomoc dla wyratowania go od ostatniego upokorzenia. Widzieliśmy że marszałek Sę-Syr, po oczyszczeniu Połocka, oddzielił od 2go korpusu generała Wrede dla postawienia go przeciw Szejngielowi, i że ten generał bawarski, skutkiem własnej woli czyli téż składu okoliczności, odosobnił się całkiem od 2go korpusu, i zostawał w okolicach Głębokiego. Zatrzymał on był przy sobie dywizję jazdy lekkiej generała Korbino, złożoną z 7go i 20go pułku strzelców, oraz 8go pułku ułanów, jakowej dywizji 2gi korpus bardzo żałował i dopominał się jej usilnie. Wystąpiwszy z Głębokiego 16go listopada dla połączenia się z 2gim korpusem, generał Korbino przechodził kolejno przez Dołhinów, Pleszczonice, Ziemin, tuż blisko Borysowa, i wpadł pośród oddziałów nieprzyjacielskich, które admirał Czyczagów wysłał naprzód dla utrzymania komunikacji z Wittgensztejnem na wyższej Berezynie. W liczbie tych oddziałów znajdował się jeden od 3000, kozaków, pod dowództwem adjutanta Czerniszewa, którego cesarz Aleksander wysłał kolejno do Kutuzowa, Czyczagowa, Wittgensztejna, dla zakomunikowania im słynnego planu działania z tyłu Napoleona, i zniewolenia ich do zgodnego postępowania. Adjutant Czerniszew, opuściwszy Czyczagowa, który był na prawej stronie Berezyny, postępował w górę téj rzeki, i szukał miejsca do przebycia jej dla dostania się do Wittgensztejna będącego na lewym brzegu, i nakłonienia go do wspólnych usiłowań przeciw Napoleonowi, znajdującemu się także na lewym brzegu. W drodze zdarzyła się mu pomyślna zręczność uwolnienia generała Wintzingerode, posyłanego do Francji jako niewolnika, a razem trafem mniej szczęśliwym dla niego spotkał się w drodze z generałem Korbino. Generał ten, który pod bardzo prostą powierzchownością, łączył w sobie wielką przebiegłość z rzadką odwagą, nie stracił głowy, chociaż miał nie więcej jak 700 koni, odegnał razami pałasza następujących nań kozaków, i zbliżył się aż pod Borysow, do którego Rossjanie już byli weszli. Znajdując Rossjan przed sobą w Borysowie, i pozostawivszy ich dniem przedtém z tyłu za sobą, nie widział innego sposobu wydobycia się z kłopotu, jak przebyć Berezynę, i pójść na spotkanie wielkiej armji, przy której znalazłby bezpieczny przytułek. Nie wątpił o tém że chcąc się sam wyratować, wyratuje ją także, i że w osłabieniu, w jakim znajdowała się jej jazda, 700 koni będzie dla niej ważną pomocą. Poszedł więc wzdłuż prawego brzegu

Berezyny powyżej Borysowa, szukając sposobnego do przejścia brodu, kiedy postrzegł wychodzącego z wody wieśniaka polskiego, który tylko co był przeszedł rzekę, i który wskazał mu naprzeciw wsi Studzianki, o trzy mile powyżej Borysowa miejsce, gdzie konie mogły przejść mając wody po krzyże. Berezyna, mając wodę ciemną i błotnistą, toczyła z sobą grube kawałki lodu. Jenerał, pomimo grożącego niebezpieczeństwa, sformował swą jazdę w kolumnę ścieśnioną, wszedł do wody i przebył rzekę straciwszy ze dwudziestu ludzi uniesionych krą. Szczęśliwy że pokonał tę przeszkodę, dopadł cwałem do Łosznicy, potem do Bobr, gdzie spotkał marszałka Udino przeryniającego poprzecznie drogę smoleńską w Bobrach i dążącego do Borysowa. Jenerał Korbino złożył rapport swojemu marszałkowi, i połączył się potem z drugim korpusem, do którego należał. Następnie marszałek Udino, rzuciwszy się nagle na Borysow, zachwycił tam i otoczył przednią straż hrabiego Pahlena, wziął pięćset do sześciuset niewolnika, położył trupem lub ranił prawie równą liczbę żołnierzy, zabrał kilkaset wozów z bagażami, zajął miasto, i zwrócił się potem na most, który Rossjanie, uciekając w pośpiechu, spalili, straciwszy nadzieję go obronić. Borysów był więc w ręku 2go korpusu, chociaż położenie nasze przezto nie polepszyło się, gdyż most na Berezynie był spalony; ale odkrycie nadspodziewane jenerała Korbino udzieliło promyka nadziei, i marszałek Udino wystął tego jenerała do cesarza znajdujacego się wtedy w Bobrach.

Napoleon znał i lubił braci Korbino, z których starszy zabity został obok niego pod Ejlau. Przyjął tego jakby posłańca nieba, rozpytywał go czas długi, kazał mu opisać szczegółowie miejscowość, wyjaśnić dokładnie możność przebycia rzeki w Studziance na prostych mostach na krokwiach, i postanowił natychmiast zrobić próbę. Odesłał niezwłocznie jenerała Korbino do Udino, z rozkazem rozpoczęcia bez zwłoki i bardzo potajemnie przygotowań do przebycia rzeki w Studziance, powyżej Borysowa, ale czyniąc na pozór oznaki jakby chciano przejść poniżej tego miasta, tak żeby oszukać Czyczagowa, i odwrócić jego uwagę od prawdziwego punktu, w którym chciano przejść. Jakoż nie było to dosyć znaleźć jakby cudem miejsce, w którym, dzięki niewielkiej głębokości Berezyny, most na krokwiach wystarczał do jéj przebycia, potrzeba jeszcze było żeby praca podjęta około jego postawienia pozostała tak długo niepostrzeżoną przez nieprzyjaciela żeby miano czas przeprowadzić na drugą stronę rzeki siły sposobne do zatrzymania wojska Czyczagowa, chcącego przeciwieć się przejściu. Napoleon kazał nawet marszałkowi Udino rozsiać w wojsku pogłoskę, że miano

przebyć rzekę poniżej Borysowa, ażeby ściągnąć tam tłum łazeg i omylić tém łatwiej nieprzyjaciela, co jedno mogło nas uratować.

Jenerał Korbino opuściwszy Napoleona 23go listopada bardzo późno, pośpieszył do marszałka Udino, i ten nazajutrz 24go stosując się do rozkazów, które dopiero co otrzymał, zrobił zalecone oznaki przejścia powyżej Borysowa, potem korzystając z nocy i lasów ciągnących się nad Berezyną, posłał potajemnie jenerała Korbino z temi co miał przy sobie pontonjerami dla rozpoczęcia robót około mostów w Studziance. Była to rzecz niemiała i trudna do zrobienia, gdyż należało znaleźć drzewo przygotowane albo przygotować je samym, zwiesić je, ustawić w wodzie, wszystko to w obec przednich straży Czyczagowa, który po stracie Borysowa, pozostał na drugim brzegu i miał straże rozstawione aż naprzeciw Studzianki. Było więc sto podobieństw niepowodzenia przeciwko jednemu lub dwóm pomyslnego skutku.

Tym czasem Napoleon przeniósł się 24go do Łosznicy, na drodze do Borysowa, z zamiarem przybycia nazajutrz 25go z gwardją do Borysowa, dla utwierdzenia Rossjan w myśli, że chciał przejść rzekę poniżej tego miasta, wówczas kiedy postanowił przeciwnie przejść ją wyżej, to jest w Studziance i udać się potajemnie do tego ostatniego miejsca za pośrednictwem drogi poprzecznej. Wysłał do marszałka Dawu, który od bitwy pod Kraśnem tworzył znowu tylną straż, rozkaz przyspieszenia kroku, ażeby przebyć co prędzej Berezynę w razie gdyby zdołano przygotować środki jej przebycia, ale przedewszystkiem wysłał jenerała Eble z pontonjerami i potrzebnym materiałem prosto do Studzianki dla wykonania budowy mostów, którą pontonjerowie 2go korpusu za ledwo mogli rozpocząć.

Chwila nadeszła, w której zacny jenerał Eble miał uwienczyć swój zawód, usługą nieśmiertelną. Z materiału, który Napoleon kazał zniszczyć w Orszy, uratował on sześć jaszczyków, zamykających w sobie narzędzia, ćwieki, ankry, wszelkie żelaztvo wreszcie potrzebne do budowy mostów na krokwiach, oraz dwa statki kowalskie. Te kilka wozów, mających dobrą uprząż, mogły odbyć drogę pospiesznie. W swęj głębokiej przezorności, jenerał Eble zachował dwa wozy węgli, ażeby można było ukuć na miejscu sztuki, którychby brakowało. Pozostawało mu z jego korpusu czterystu pontonjerów wyprobowanych, nad któremi miał nieograniczoną władzę. Eble i Larrej byli to dwaj ludzie zacni, których cała armja nie przestawała szanować i słuchać, nawet kiedy wymagali od nich rzeczy prawie niepodobnych.

Jenerał Eble wyruszył więc 24go wieczorem z Łosznicy do Borysowa z swojemi czterystu ludźmi, a za nim biegły jenerał Szasslu (Chasseloup), który miał jeszcze pod sobą pewną liczbę saperów, ale bez żadnych już materiałów, i który był godnym towarzyszem znakomitego naszego naczelnika pontonjerów. Postępowano całą noc, dostano się do Borysowa 25go o godzinie 5ej rano, pozostawiono tam oddział dla robienia omylnych przygotowań przejścia poniżej tego miasta i wyruszono potem przez błota i lasy w górę rzeki, w kierunku na prawo do Studzianki. Dostano się do tego miejsca nie pierwój jak po południu 25go. W niecierpliwości swojej, Napoleon chciał żeby mosty postawione już były 25go wieczorem. Było to rzeczą niepodobną, ale mogły one być gotowe 26go pracując przez całą noc, co miano mocne postanowienie wykonać, chociaż zostawano w pochodzie dwie nocy i dwa dni poprzedzające. Jenerał Eble przemówił do swoich żołnierzy, powiedział im, że los armji zostawał w ich rękę, natchnął ich swojemi szlachetnemi uczuciami i otrzymał od nich obietnicę nieograniczonego poświęcenia się. Potrzeba było, śród zimna, które stało się nagle bardzo dotkliwe, pracować w wodzie całą noc i cały dzień następny, pośród ogromnych kawałów lodu, może pod kulami nieprzyjaciela, bez chwili odpoczynku, mając zaledwo czas przełknięcia, zamiast chleba, mięsa i wódki, trochę buljonu bez soli. Pod temi warunkami tylko armja mogła być wyratowana. Wszyscy ci pontonjerowie obiecali to swemu jenerałowi i zobaczymy zaraz jak dotrzyмали swojego słowa.

Pontonjerowie, których był wysłał marszałek Udino, przygotowali byli już kilka krokwi, ale nie mieli oni tego doświadczenia co pontonjerowie jenerała Eble i należało rozpocząć na nowo robotę. Jenerał Eble miał do pomocy oficerów godnych uczestniczenia w jego dziele, szczególniej szefa sztabu Szapell i pułkownika artyllerii Szapini. Nie mając czasu ani ścinać drzew, ani ich ociosywać, udano się do nie-szczęśliwej wsi Studzianki, rozebrano jój domy, zabrano drzewo, które zdawało się być sposobném do budowy mostów, ukuto żelaztwo potrzebne dla powiązania go i za ich pośrednictwem zbito pewną liczbę krokwi. O świcie dnia 26go zostawano w gotowości do ustawienia tych krokwi w łożysku Berezyny.

Napoleon przybywszy z Łosznicy do Borysowa i przepędziwszy noc we dworze Starym Borysowie, nadbiegł konno cwałem do Studzianki 26go rano, ażeby być obecnym przy postawieniu mostów. Stಾನąwszy tam z swemi dowódcami Miuratem, Bertje, Eugienjuszem,

Kołąkurem, Diurokiem, którzy wszyscy mieli wyraz największej nie spokojności na twarzy, gdyż w tej chwili szło o to, czy pan świata będzie nazajutrz niewolnikiem Rossjan, przypatrywał się pracującym i nie śmiał naglić ludzi, którzy na głos swojego zacnego generała dokładali wszelkich sił swoich i pojętności. Nie dość że trzeba było śmiało zanurzać się w wodzie pełnej kry dla ustawienia tam krokwi, należało jeszcze kończyć tę trudną robotę w obec nieprzyjaciela, którego postrzegano strażę na przeciwnym brzegu. Czy to była tylko mała garstka kozaków, czy też cały korpus wojska? Czy miano tylko pewną liczbę jeźdźców do przepędzenia, czy też całą armję do odparcia w chwili przejścia? Taką była wątpliwość, którą należało objaśnić. Marszałek Udino miał przy sobie adjutanta równie zręcznego jak pojętnego, obdatzonego prócz tego rzadką odwagą. Ten adjutant, szef szwadronu Żakmino (Jacqueminot), wzięwszy z sobą kilkudziesięciu kawalerzystów, z których każdy miał za sobą z tyłu woltżera, rzucił się konno do Berezyny. Przebywszy ją częścią w bród, częścią w pław, dostał się do drugiego brzegu najeżonego kawałami lodu, które utrudniały bardzo wystąpienie na brzeg. Przewycięzył on te trudności, wpadł do małego lasku zajmowanego przez kozaków i wyparł ich ztamtąd. Widać tylko było bardzo małą liczbę nieprzyjaciół i szef szwadronu Żakmino przywiózł Napoleonowi tę pomyslną wiadomość. Należało jednakże wziąć niewolnika dla dowiedzenia się dokładniej czego miano lękać się lub spodziewać. Odważny Żakmino przebył znowu Berezynę, wziął z sobą kilku kawalerzystów determinowanych, rzucił się na straż rossyjską grzejącą się około wielkiego ogniska, wziął w niewolę podoficera i przyprowadził go do małego lasku, gdzie pozostawił swój oddział. Tam zmusiwszy go żeby wsiadł z tyłu za nim na koń i przebywszy na nowo Berezynę, stawił go u stóp Napoleona. Rozpytano się niewolnika i dowiedziano się z radością łatwą do pojęcia, że Czyczagow z główną częścią swych sił był pod Borysowem, zajęty mniemanym przejściem Francuzów powyżej tego miasta i że w Studziance był tylko oddział wojska lekkiego.

Należało pośpiesznie korzystać z tego szczęśliwego zbiegu okoliczności. Ale mosty nie były jeszcze gotowe. Odważny Korbino kazawszy swój brygadzie wziąć z sobą na koń pewną liczbę woltżerów rzucił się do Berezyny, przebył ją, jak to już raz był uczynił, dostając niekiedy dna rzeki, niekiedy płynąc, a niekiedy też będąc unoszonym pędem wody. Po przebyciu łożyska rzeki, pokonał trudności jakie przedstawiał brzeg najeżony kawałami lodu i rozlokował się w lesie który miał nam służyć za punkt oparcia. Brakowało mu artylerji, Na-

pooleon zastąpił ten brak rozstawieniem na lewym brzegu ze czterdziestu armat, które miały strzelać z jednego brzegu na drugi po nad głowami naszych żołnierzy, z niebezpieczeństwem uszkodzenia im. Ale w położeniu, w jakim się znajdowano, niepodobna było zważać na zachodzące niedogodności. Po ukończeniu tego pierwszego działania, można było mieć nadzieję, że się pozostanie panem prawego brzegu, dopóki mosty nie będą ukończone i armja cała po nich nie przejdzie. Gwiazda Napoleona zdawała się nowym światłem zabliskać i jego jenerałowie co go wtedy otaczali, powitali ją z uczuciem radości, którego nie doznawał od dawna.

Wszystko zależało teraz od ustawienia mostów. Postanowiono rzucić ich dwa o sto sążni odległości, jeden na lewo dla wozów, drugi na prawo dla pieszych i jezdnych. Stu pontonjerów wszedłszy do wody, zaczęli ustawiać krokwie, za pomocą małych płytów urządzonych na ten cel. Woda marzła, i w około ich ramion, rąk, nóg, ścinała się w lód, który przyczepiając się do ciała, sprawiał dotkliwie boleści. Cierpieli nie skarżąc się, nie zdając się nawet czuć tego, tak ich gorliwość była wielką. Rzeka miała w tém miejscu nie więcej jak pięćdziesiąt sążni szerokości i wystarczało 23 krokwie na każdy most dla połączenia obu brzegów. Ażeby można było przeprowadzić co najprędzej wojsko na drugi brzeg, połączono wszystkie swe usiłowania około mostu na prawo, to jest, tego który był przeznaczony dla jeźdźców i o pierwszej godzinie po południu był on już gotowym. Napoleon sprowadził do Studzianki korpus marszałka Udino, a miejsce jego w Borysowie zastąpiły nadsciągające wojska. Niezwłocznie kazał przejść na drugi brzeg dywizjom Legran i Mezon, kirassjerom Dumerka, składającym drugi korpus i przyłączył do nich resztki dywizji Dąbrowskiego, co wszystko stanowiło około 9,000 żołnierza. Przetoczono z wielką ostrożnością dwie armaty po tymże moście i zaopatrzone w te środki Udino, zwróciwszy się nagle na lewo, rzucił się na oddział piechoty lekkiej, którą jenerał Czaplac, dowodzący przednią strażą Czyczagowa, przyprowadził na ten punkt. Walka była zaciętą, ale krótką. Położono trupem dwiestu żołnierzy nieprzyjacielskich i zajęto pozycję, w której można było dogodnie osłaniać przejście. Miano jeszcze czas, korzystając naleyście z końca tego dnia 26go i nocy następnej, przeprowadzić tyle wojska, żeby można było stawić czoło Czyczagowemu. Wprawdzie potrzeba było najmnieję dwóch dni, ażeby armja cała po zebraniu się do Studzianki mogła przejść po obu mostach, a przez dwa dni Czyczagow mógł zgromadzić w punkcie przejścia wszystkie swe siły dla przeszkodzenia nam przeprowadzenia re-

szy wojska. Wittgenstejn ze swęj strony, który znajdował się równie jak my na lewym brzegu, mógł rozbić Wiktora i rzucić się na nasz bok prawy, podczas kiedy Kutuzow natarłby na nas z tyłu. W takim razie zamieszanie musiałoby być straszném i należało się lękać, żeby dzieło przejścia nie zamieniło się w zupełną klęskę. Jednakże połowa niebezpieczeństwa była już szczęśliwie pokonaną i można się było spodziewać, że druga połowa również szczęśliwie pokonaną zostanie.

O czwartej godzinie po południu drugi most był skończony i Napoleon osobiście dyrygował przejściem na prawy brzeg wszystkich wojsk nadciągających. Sam on pozostawał na lewym brzegu, ażeby być jednym z ostatnich w przebyciu mostu. Jenerał Eble, nie pozostawiając sobie ani chwili odpoczynku, pozwalał kłaść się na stómie połowie swoich pontonjerów, ażeby mogli kolejno zmieniać siebie w trudnym obowiązku strzeżenia mostów, utrzymania na nich porządku i naprawienia ich w razie jakowego zepsucia. W dniu tym przeprowadzono gwardję pieszą i to co pozostawało z gwardji konnej. Następnie zaczęły przeciągać wozy artylleryjskie. Nieszczęściem most po lewém rękę zaczął się chwiać pod ogromnym ciężarem furgonów, które następowały bez przerwy jedne po drugich. W pośpiechu nie miało czasu ociosać drzewa służącego za pomost. Użyto do tego prostych kraglaków, które przedstawiały powierzchnię nierówną, a dla zmniejszenia trzęsienia wozów, założono wkłęsłości mchem, konopiami, stómą dachową, wszystkiém, co można było dostać we wsi Studziance. Ale konie rozrzucały swemi nogami ten rodzaj podściółki i gdy podskakiwanie wozów stało się gwałtowniejszém, krokwie stojące na gruncie mniej twardym podały się, pomost zaczął się wychylać i o 8ej wieczorem trzy krokwie obaliły się, pociągając z sobą włożysko rzeki znajdujące się wtedy w tęg części mostu wozy.

Trzeba było powołać znowu do roboty naszych bohaterskich pontonjerów i wprowadzić ich do wody, która była tak zimną, że po rozbiciu na nięj lodu, znowu się nim pokrywała. Potrzeba było rozbijać lód siekierami, pogrążyć się w wodzie i ustawiać nowe krokwie w głębokości sześć do siedmiu stóp, niekiedy do ośmiu, w miejscach gdzie most się załamał. W innych miejscach głębokość wody była od czterech do pięciu stóp. O jedenastej godzinie wieczorem most już był naprawiony.

Jenerał Eble, który trzymał połowę swych ludzi czuwających, kiedy druga połowa spała (on sam czuwał ciągle), kazał sporządzić krokwie do zmiany, w razie jakowego znowu przypadku. Skutek okazał jak podobna ostrożność była potrzebną. O drugiej godzinie w nocy

trzy krokwie podały się jeszcze na moście po lewej stronie, którym przechodziły wozy i nieszczęściem w pośrodku rzeki, tam gdzie woda miała głębokości od siedmiu do ośmiu stóp. Potrzeba było znowu wziąć się do pracy i tą razą wykonać tę trudną robotę pośród ciemności. Pontonjerowie drżąc z zimna, umierając z głodu, nie mogli dłużej wytrzymać. Szanowny generał Eble, który nie był jak oni młodym i nie pokrzepił się był odpoczynkiem, cierpiał więcej od nich, ale górował nad nimi siłą charakteru i zachęcał ich do wytrwania. Odwoływał się do ich obietnic, wskazywał im pewność zguby armji, jeśli nie zdołają naprawić mostu, usłuchano cnotliwego głosu jego. Wzięto się do roboty z nadzwyczajną gorliwością. Generał Loryston, który wysłany był przez Cesarza dla dowiedzenia się o przyczynie tego przypadku, ścisnął wylewając łzy ręce generała Eble, powiadając mu: Dla Boga, spieszcie się, gdyż to opóźnienie grozi nam ostatniem nieszczęściem. — Stary Eble, nie okazując najmniejszej niecierpliwości na te nalegania, choć zkażnąd posiadał szorstkość właściwą duszom silnym i dumnym, odpowiadał mu łagodnie: Widzisz co robimy... i powracał nie napędzać swoich ludzi, którzy tego nie potrzebowali, ale zachęcać ich, dyrygować, a niekiedy, pomimo swjej starości, pograżać się samemu w tej wodzie zlodowaciałej, którą młodzi ludzie zaledwo znieść mogli. O szóstej godzinie rano (27 listopada) most powtórnie był zreparowany i przewożenie sprzętu artylleryjskiego znowu rozpoczęte.

Most po prawej stronie nie mając do zniesienia podobnych wstrząśnień, nie przestał na chwilę być użytecznym i cała prawie massa ludności bezorędnj mogłaby przejść przezeń w nocy z 26go na 27my listopada. Ale zęceni przytułkiem znalezionym w stodołach wsi Studzianki, oraz pewną ilością słomy i żywności, pozostali po większej części na lewym brzegu. Chociaż mróz, który się był znowu powiększył, nie był dostateczny dla zatrzymania wody bieżącej, jednakże ściał lodem wszystkie błota w pobliżu rzeki, co było bardzo na rękę, gdyż inaczej niepodobna byłoby ich przebyć. Rozłożono więc na pokrytych lodem błotach tysiące ogniów i nie chcąc szukać gdzieindziej biwaków mniej wygodnych, dziesięć do piętnastu tysięcy ludzi rozpołożyło się na lewym brzegu niechcąc go opuścić, tak że niedbałość pieszych uczyniła nieużytecznym most po prawej stronie, wówczas kiedy dwa przypadki nastale jeden po drugim uczyniły nieużytecznym most po lewem rękę, w ciągu nocy z 26go na 27my listopada, jakowej straty drogiego czasu miano później gorzko żalować!

Rano 27go Napoleon przebył mosty z tém wszystkiem co należa-

ło do kwatery głównej i rozlokował się w małej wsi zwanéj Zawniki, na prawym brzegu, z tyłu za korpusem marszałka Udino. Cały dzień był on na koniu dla przyspieszenia przejścia rozmaitych oddziałów armji. To co pozostawało z 4go korpusu (księcia Eugienjusza), z 3go (marszałka Neja), z 5go (księcia Poniatowskiego), z 8go (Westfalczyków), przeszło w tym dniu. Było zaledwo po dwa tysiące ludzi w każdym z dwóch pierwszych; po pięćset lub sześćset w każdym z dwóch drugich korpusów, to jest po dwieście lub trzysta ludzi zbrojnych na pułk, którzy wytrwali ze swemi oficerami przy orłach, starannie przez nich strzeżonych, jako rękęmię ich honoru. Rozprzężenie wojska od Kraśnego uczyniło straszliwe postępy skutkiem zwiększającego się utrudzenia, będącego przyczyną, że wielu żołnierzy, nawet bardzo dobrej woli, pozostawało z tyłu, a raz opuściwszy szeregi, postępowało machinalnie wśród ogromnej trzody ludzi bezorężnych.

Ku schyłkowi dnia przybył 1szy korpus ze swoim dowódcą marszałkiem Dawu, który od Kraśnego objął znowu dowództwo tylnéj straży. Był to jedyny korpus, który zachował nieco powierzchowności wojennéj. Nieśmiertelna dywizja Frjan, nazwana później dywizją Rykar, zginęła prawie cała pod Kraśnem i szczątki jej szły w bezładzie za pierwszym korpusem. Cztery dywizje pozostające liczyły w sobie trzy do czterech tysięcy żołnierza, ale uzbrojonego, uszykowanego około swych chorągwi i prowadzącego z sobą artyllerię. Marszałek Dawu smutniejszy jak zwykle, doznawał pewnego rodzaju oburzenia wewnętrznego, widząc armję przyprowadzoną do takiego stanu. Żeby był mniej uległym, wybuchnąłby bez wątpienia z swym gniewem. Pochlebcy, którzy wśród tego okropnego położenia nie stracili jeszcze odwagi pochlebiania, przedstawiali Napoleonowi smutek marszałka jako słabość i wynosili pod niebiosa dobre zdrowie, wyborny humor marszałka Neja, którego wytrwałość na wszelkie nędze była w istocie zadziwiającą. Ażeby się przypodobać Napoleonowi w téj chwili, potrzeba było nieczuć ani zimna, ani głodu, ani potrzeby snu, ani pokazywać po sobie śladu choroby! Nieszczęściem było wielu takich, których zdrowie nie mogło się zastosować do tego rodzaju pochlebstwa.

9ty korpus, to jest, marszałka Wiktora, cofał się powoli przed Wittgensztejnem, opierając się mu na każdym kroku i zastaniając sobą wielką armję. Zajął on stanowisko pomiędzy Borysowem i Studzianką, tak że mógł zastaniać obie te pozoje. Przewidywano że przejście przez rzekę nie będzie zbyt niepokojoném w ciągu pierwszych dwóch dni, to jest, 26go i 27go, gdyż na prawym brzegu Czyczagow nie znając prawdziwego punktu przejścia, zwrócił swe siły

poniżej Borysowa, a na lewym brzegu Wittgensztejn i Kutuzow nie mając czasu połączyć się z sobą, nie naciskali na nas z bliska. Należało wnosić, że przejście będzie mniej spokojnem 28go, że Czyczagow lepiej poinformowany zaatakuje nas silnie na brzegu, na który zaczęliśmy występować i że Wittgensztejn z Kutuzowem nadciągnąwszy wreszcie z naszego boku i tyłu, zaatakują nas równie silnie na brzegu, który opuszczaliśmy. Napoleon wnosił słusznie że dzień stanowczy będzie następny 28my, że Czyczagów będzie się starał zepchnąć czoło naszej kolumny do Berezyny i że Wittgensztejn z Kutuzowem dołożą wszelkich starań dla zepchnięcia tam tyłu jój. Nie dopuszczając się już tu błędu popełnionego w Kraśnem, to jest, odwrotu partjami, postawił ocalić się lub zginąć wszystkim razem, rozkazał przeto marszałkowi Udino przejść pierwszemu, Nejowi i gwardji po nim, dla wstrzymania Czyczagowa. Wiktorowi zaś zasłaniać koniec przejścia z 9tym korpusem. Dokładając ciągle wszelkich starań, żeby oszukać Czyczagowa, zalecił marszałkowi Wiktorowi pozostawić w Borysowie dywizję francuską Partunno, zmniejszoną już przez marsze i potyczki z 12 tysięcy żołnierza do 4,000. Z dywizją polską Żyrar i niemiecką Dendels, nie liczącemi w sobie więcej nad 9,000 żołnierza razem i 700 do 800 kawalerzystów, marszałek Wiktor miał zasłaniać Studziankę. To tylko pozostawało z 24,000 żołnierza, z którymi ten marszałek opuścił Smoleńsk dla połączenia się z Udino nad Utą. W miesiąc pochodu w kilku potyczkach, 10 do 11 tysięcy ludzi zginęło. Zresztą, postawa tych co pozostali była wyborna i widząc przybywającą wielką armję, której sława niedawno była przedmiotem ich zazdrości, byli przejści liściami i zapytywali u tych żołnierzy przygnębionych, którzy stracili prawie swą dumę skutkiem nędzy, jakie klęski mogły ich przyprowadzić do takiego stanu? — Będziecie wkrótce takimi jak my! odpowiadali smutnie zwycięzcy Smoleńska i Borodyna na ciekawe zapytania swych młodych towarzyszków.

Napoleon uzupełnił swe rozporządzenia na dzień 28my, którego się tak obawiano, rozkazując marszałkowi Dawu, ażeby wnet po przejściu posunął się drogą wiodącą na Ziembin do Wilna, żeby nie być uprzedzonym przez kozaków w wielu ciasnych przejściach téj drogi ciągnącej się przez lasy i błota.

Dzień 27my był więc użyty na przebycie Berezyny i na przygotowanie się do rozpaczliwego oporu. Tegoż samego dnia trzeci wypadek zdarzył się o drugiej godzinie po południu, na tymże samym moście po lewej stronie. Był on wkrótce naprawiony, ale gdy pojazdy nadciągały w wielkiej liczbie z tyłu za korpusami i nagromadzały się

przy moście, niezmiernie trudno było zmusić ich do przebywania mostu kolejno. Żandarmerja wyborowa i pontonjerowie napróżno usiłowali utrzymać porządek i siłą tylko przemocy można było coś doka-
zać z temi ludźmi przejętymi wskrós bojaźnią.

Nie bez słusznego powodu naciskano się i nie spieszo no jeszcze dosyć, nadewszystko na moście przeznaczonym dla pieszych, gdyż chwila ostatecznego niebezpieczeństwa zbliżała się. Nieprzyjaciel czy oszukany, czy nie mogąc przybyć w porę, opatrzył się wreszcie i nadciągał pospiesznie. Nie pospieszwszy nam przeszkodzić rzucenia mostów, miał natrzeć na nas w chwili, kiedy nie skończywszy jeszcze przejścia przez nie, byliśmy rozdzieleni na obu brzegach Berezyny. Szczęściem Czyczagow omylił się zupełnie względem miejsca mającego nam służyć za punkt przejścia. Przybываяc drogą mińską i mając sposobność przekonać się własnemi oczyma o usiłowaniach, jakie czyniliśmy dla zaopatrzenia się w żywność w tym kierunku, musieliśmy uważać Borysow i Mińsk za punkta, przez które Napoleon miał starać się dostać się do Wilna. Obecność księcia Szwarcenberga blisko tej drogi utwierdziła go bardziej jeszcze w tej myśli, że Napoleon uda się tą drogą dla połączenia się mimochodem z armją austriacko-saksońską. Dodajmy jeszcze, że Kutuzow uwiadomiony przez szpiegów, że armja francuzka ma się udać drogą do Mińska, dał mu znać, żeby się miał na ostrożności ze strony Borysowa i poniżej. Dla Czyczagowa, który nie był w zbyt przyjaznych stosunkach z Kutuzowem, od czasu jak zastąpił jego miejsce na wschodzie, ostrzeżenie takie było wielkiej wagi. W razie gdyby się omylił z Kutuzowem, miał gotową wymówkę. Nie miałby jej, gdyby się omylił sam jeden. Wreszcie oznaki przejścia robione z rozkazu Napoleona powyżej Borysowa, były ostatnim powodem wprawiającym go w błąd, i gdy generał Czapllic doniósł admirałowi o przygotowaniach jakie postrzegał w Studziance, Czyczagow uważał te przygotowania jedynie prawdziwe, za proste oznaki przeznaczone do omylenia go. Tym sposobem nie mieliśmy go na swoim karku ani 26go ani 27go, gdyż on całe siły swoje miał skupione poniżej Borysowa. Jednakże kiedy oddziały lekkie Czapllica postrzegły wyraźnie przejście armji wieczorem 26go i rano 27go, dowódca armji wschodniej wyszedł wreszcie z błędu i postanowił atakować nas silnie na prawym brzegu. Ale nie chcąc tego przedsiębrać bez współdziałania dwóch innych armij rossyjskich znajdujących się na lewym brzegu, pospiesznie skomunikował się z niemi i umówił się na dzień 28my dla przypuszczenia ataku energicznie i jednocześnie.

Główne swoje siły miał obrócić na punkt przejścia wybrany przez Francuzów, starać się zepchnąć do Berezyny wszystko co już ją przebyło, podczas kiedy Kutuzów i Wittgensztejn mieli dołożyć wszelkich starań dla zepchnięcia do niej wszystkiego co jeszcze nie pośpieszyło jej przebyć. Ażeby utrzymać związek pomiędzy temi ruchami, Czyczagow umyślił przeprowadzić swoje tylną straż po szczątkach spalonego borysowskiego mostu, i otworzyć tym sposobem sobie komunikację z Kutuzowem i Wittgensztejnem. Mógł on rozporządzać około 30 lub 32 tysiącami żołnierza, z których 10 lub 12 tysięcy było jazdy, co nie przynosiło zbyt wielkiej korzyści na gruncie, na którym miano walczyć. Co do Kutuzowa i Wittgensztejna, oto jakie było ich położenie. Kutuzow, który sądził że dopełnił wszystkiego co do niego należało, gdy zniszczywszy prawie całkiem armję Napoleona pod Kraśnem, oddał ją w ręce dwóch armij rosyjskich Naddźwińskiej i Naddnieprskiej, który zresztą nie miał najmniejszej chęci przyczynienia się do sławy Czyczagowa, i widział swych żołnierzy wyniszczonych, zatrzymał się na Dnieprze, w Kopysiu, ażeby dać nieco odpoczynku swoim wojskom, i lepiej je urządzić, gdyż one były takż w stanie bardzo nędznym. Przesłał więc na wysłaniu za Dniepr Płatowa, Miłoradowicza i Jermołowa z przednią strażą wynoszącą około 10,000 żołnierza. Wojsko te, po przybyciu do Łosznicy, gotowe było działać wspólnie z Czyczagowem i Wittgensztejnem dla zniszczenia armji francuzkiej. Co do Wittgensztejna, ten równie jak Szejngiel idąc w ślad za korpusem Wiktora, znajdował się z tyłu tego ostatniego, pomiędzy Borysowem i Studzianką, z trzydziestą tysiącami żołnierza, gotów uderzyć całemi swemi siłami na Wiktora dla wrzucenia go do Berezyny. Było więc około 72,000 ludzi zdatnych do boju, nie licząc 30,000 pozostałych z tyłu z Kutuzowem, którzy mieli rzucić się z tyłu na 12 czy 13 tysięcy żołnierzy Wiktora, a z frontu na 9,000 marszałka Udino, i 7 do 8 tysięcy gwardji. Eugienjusz, Dawu, Żiuno, będąc w pochodzie na Ziembin, nie mogli podać im pomocy, tak że 28 czy 30 tysięcy żołnierza, rozdzielonego na obu brzegach Berezyny, obarczonego czterdziestu tysiącami bezorężnych, mieli wkrótce do walczenia z frontu i z tyłu z 72,000 żołnierza, podczas tak trudnej przeprawy przez rzekę.

Ta straszliwa walka rozpoczęła się 27go wieczorem. Nieszczęśliwa dywizja francuzka Partuno (Partouneaux), najlepsza z trzech dywizji Wiktora, otrzymała rozkaz od Napoleona trzymać się jeszcze cały dzień 27 mypod Borysowem, dla wstrzymania i omylenia Czyczagowa. W tej pozycji, oddzieloną ona była od głównego swego korpusu znajdującego

się pod Studzianką, przez trzy mile lasów i błót. Należało więc lękać się żeby nie była odcięta przybyciem wojsk Płatowa, Mitoradowicza i Jermołowa, którzy szli w ślad za nami wielką drogą z Orszy do Borysowa. Ten smutny wypadek, tak łatwy do przewidzenia, nastąpił rzeczywiście, i przednia straż Mitoradowicza, chcąc się połączyć na drodze prowadzącej z Orszy z Wittgensztejnem i Szejngielem, stanęła pomiędzy dywizją Partuno będącą pod Borysowem, a dwoma dywizjami Wiktora, mającemi poruczenie zasłaniać Studziankę. Nieszczęśliwa dywizja Partuno była więc odcięta, chyba że postępując wzdłuż lewego brzegu Berezyny, przez lasy i błota, potrafiłaby połączyć się z korpusem Wiktora drogą, którą marszałek Udino udał się dniem przedtém dla dostania się do Studzianki. 27go wieczorem, generał Partuno postrzegł w jakimś położeniu zostaje, które co chwila groziło większém niebezpieczeństwem. W chwili kiedy został oskoczony na drodze idącej z Orszy, ujrzał z drugiej strony zbliżające się wojsko Czyczagowa, które starało się przebyć Berezynę po szczątkach mostu w Borysowie. Oprócz niebezpieczeństwa, które mu groziło, zawadzało mu kilkanaście tysięcy bezorężnych, którzy w przekonaniu że przejście nastąpi poniżej Borysowa, zgromadzili się tam z swemi bagażami, i oczekiwali napróżno budowy mostów, których nie stawiano. Dla oszukania tém pewniej nieprzyjaciela, oszukano ich samych, i mieli być poświęceni z dywizją Partuno straszliwój konieczności wprowadzenia w błąd Czyczagowa. Gdy niebezpieczeństwo zostania opasanemi stawało się co chwila widoczniejszém, a kule sypały się ze wszystkich stron, bezład, zamieszanie doszły najwyższego stopnia, i trzy małe brygady generała Partuno, chcąc stanąć w szyku bojowym dla bronienia się, zostały jakby zalane kilkunastu tysiącami nieszczęśliwych, którzy wydając wrzaski cisnęli się w ich szeregi, i przeszkadzały wszelkim obrotom. Kobiety stanowiące część kolumny bagażów, przestraczem swym i wrzaskiem dodawały okropności tój scenie. Generał Partuno postanowił jednakże przebić się, i wyszedłszy z Borysowa, mając po lewém ręku Berezynę, po prawém wzgórze Starego Borysowa, starał się przejść przez labirynt lasów i błót, oddzielających go od Studzianki. Sformowawszy swe brygady w kolumny, postępował śmiało, zdeterminowany otworzyć sobie drogę lub zginąć. Miał on tylko 4000 żołnierza przeciw 40000. Trzy brygady, mając za sobą tłum przestraszony, przeszły z początku kawał drogi, ale osypane z frontu ogniem całej artyllerji rosyjskiej, zostającej na wzgórzach, oskoczone z tyłu niezliczoną kawalerją, poniosły ogromne straty. Generał Partuno, zostając przy brygadzie idącej po prawej stronie, naj-

bardziej narażonej na ogień, chciał wyprzedzić inne, wziął się za nadto na prawo, został oddzielony wkrótce od swoich dwóch innych brygad, był oskoczony, i prawie całkiem zniszczony. Nie ustępował jednakże; nie chciał się poddać pomimo wielu wezwań, i nie przestawał walczyć. Jego dwie brygady po lewej stronie, oddzielone od niego, poszły za jego przykładem, lubo nie otrzymały jego rozkazów. Nieprzyjaciel, będąc sam osłabionym, zwolnił ogień ku północy, będąc pewnym że zabierze w niewolę aż do ostatniego człowieka tę garstkę mężnych, którzy upornie chcieli wyginąć co do jednego. Spodziewał się że rozpaczliwe położenie skłoni ich do kapitulowania, i oszczędzi mu większego rozlewu krwi. O świcie 28go, generałowie rossyjscy wezwali znowu do poddania się generała Partuno, stojącego na śniegu z 400 czy 500 żołnierzami swojej brygady, przedstawili mu że zostawał bez żadnego ratunku, że napróżno tylko naraziłby na śmierć kilkuset żołnierzy, których jeszcze miał z sobą; z rozpaczą więc w duszy poddał się, czyli raczej był wzięty. Dwie inne brygady które o tém uwiadomiono, złożyły broń, i Rossjanie zabrali około 2000 niewolnika, resztki czterech tysięcy kilkuset żołnierzy tej dywizji. Jeden tylko bataljon, złożony z 300 ludzi, potrafił przemknąć się śród ciemności po nad Berezyną, i dostać się do Studzianki. Kozacy zebrali potem jeszcze z kilka tysięcy bezorężnych którzy uszli cało z tej rzezi.

Słyszano w Studziance, podczas tej okropnej nocy, wystrzały karabinowe i armatnie, które się rozlegały od strony Borysowa. Napoleon był niespokojnym, a więcéj jeszcze marszałek Wiktor, gdyż z miejsca w którym zostawał mógł lepiej ocenić niebezpieczeństwo swojej głównej dywizji, i był przekonany że rozkaz pozostania w Borysowie był ostrożnością niepotrzebną, a zatém okrutną, gdyż po dokonaniem przejściu 26go, a szczególnie 27go, nie podobna było utrzymać dłużej w błędzie nieprzyjaciela, narażano się więc na stracenie bez korzyści 4000 żołnierza, którzy mogliby być wielką pomocą dla armji. Ale taki nawał nieszczęść nas obarczał, że zaledwo czuliśmy nowe, które nas co chwila spotykały. Przepędzono tę noc w okropnej niespokojności, a nazajutrz 28 rano, kiedy nastąpiło milczenie zapowiadało nam klęskę poniesioną przez dywizję Partuno, ogień rozpoczął się na obu brzegach Berezyny, na prawym przeciw naszym wojskom, które już przeszły rzekę, na lewym przeciw tym, które zastaniały resztę przechodzącego tłumu. Wtedy musiano myśleć tylko o obronie. Ogień działowy i karabinowy stał się niezmiernie silnym, i Napoleon, przebiegając bezustannie konno z jednego punktu na drugi, dowiady-

wał się jużto czy Udino stawiał czoło Czyczagowemu, już czy Eble utrzymywał w całości swe mosty, już czy Wiktor wreszcie, który się łamał z Wittgenstejnem, nie był zepchnięty w zlodowaciałe nurty Berezyny, razem z tłumem, który nie zdołał przebyć téj rzeki.

Chociaż ogień był straszliwy na wszystkich punktach, i zabierał tysiące ofiar, które musiały wszystkie konać na tém nieszczęsném polu bitwy, jednakże jak na jednym, tak na drugim brzegu stawiono skuteczny opór. Jenerałowie rossyjscy, jak widzieliśmy, umówili się z sobą uderzyć na Francuzów na obu brzegach Berezyny, i zepchnąć ich wszystkich razem, jeśli się uda, do téj rzeki. Ale szczęściem takiej doznawali obawy z powodu obecności Napoleona i wielkiej armji, że chociaż mieli za sobą wszystkie korzyści położenia i liczby, działali z największą ostrożnością, i nie naciskali na nas z tą siłą, która mogłaby sprowadzić zupełną naszą zagładę.

Marszałek Udino toczył bój od rana z wojskami Czaplica i Pahlena, wspartemi resztą sił Czyczagowa, i oddziałem Jermołowa, który, dla połączenia się z nimi przebył Berezynę po szczątkach poprawionych mostu Borysowskiego. Pole, na którém walczono, zwało się folwarkiem Bryllowskim, leżało na prawym brzegu, na tejże samej wysokości co Studzianka na lewym, i pokryte było lasem sosnowym, w którym poczynione były liczne wyręby. Drzewa ścięte pokrywały jeszcze ziemię. Pole to więc bitwy było sposobniejsze do potyczek tyraljerskich, niżeli do wielkich ataków linjowych, co było okolicznością bardzo przyjazną dla naszych żołnierzy, równie pojętnych jak walecznych. Marszałek Udino, z dywizjami Legran i Mezon, z 1200 kirassjerami jenerała Dumerka, i 700 kawalerzystami lekkimi jenerała Korbino, toczył uporną walkę w tym lesie, miejscami bardzo gęstym, a miejscami mającym obszerne wyręby. Była to walka tyraljerów jedna z najzaciętszych, z najbardziej morderczych, całkiem na korzyść naszych żołnierzy. Jenerałowie Mezon, Legran, Dąbrowski, dyrygując swemi wojskami z równą zręcznością jak dzielnością, jużto napełniając las chmurą tyraljerów, już uderzając bagnetami, kiedy mieli więcej wolnego miejsca, zaczęli wreszcie posuwać się coraz dalej, i odparli Czaplica i Pahlena na główny korpus Czyczagowa. Marszałek Udino który, zawsze nieszczęśliwy w ogniu, był równie przedkim w narażeniu swojej osoby jak gdyby nigdy nie był ranionym, otrzymał ranę, i wyniesiony został z pola bitwy. Jenerał Legran był również ugodzony kulą, i Nej, z rozkazu Napoleona, pospieszył dla zastąpienia miejsca Udino. Napoleon przyłączył do 2000 blisko żołnierza, pozostającego w korpusach Neja i Poniatowskiego, 1500 żoł-

nierzy legji nadwisańskiej pod dowództwem Klapared. Trzymał w rezerwie Mortje z 2000 żołnierza młodej gwardji, Lefebwra z 3500 staréj gwardji, i około 500 kawalerzystów, ostatni szczątek swoich grenadjerów i strzelców konnych.

Obecność Neja wystarczała dla ożywienia serc, które oddalenie się zmuszone Udino i Legran przejęło smutkiem. Mając za sobą generała Klapared, i prowadząc szczątki swojego korpusu, zwrócił się najprzód dla podania pomocy dywizjom Mezon i Legran, potem pomógł im odeprzeć czoło armji Czyczagowa do głównego jéj korpusu. Pole więcéj odkryte w tém miejscu, dozwalało ataków linjowych. Nej zalecił Dumerkowi być gotowym z kirassjerami natrzeć z prawéj strony, i ustawił swoje kolumny piechoty takim sposobem że mógł uderzyć sam na bagnety, czy to pośrodku, czy na lewo. Tymczasem skierował silny ogień artyllerji na massy rossyjskie oparte o część najgęstsza lasu. Dumerk, niecierpliwy korzystania ze zręczności, postrzegł na prawo sześć czy siedm tysięcy Rossjan staréj piechoty (téj która walczyła od trzech lat z Turkami), wspartych linją kawalerji i przygotował się uderzyć na nich. Ażeby zabezpieczyć swe boki podczas trwania boju, postawił swą jazdę lekką na prawo, czwarty pułk kirassjerów na lewo, potem puścił 7my pułk linjowy na piechotę rossyjską, i stanął w gotowości do wsparcia go z 14ym pułkiem. Pułkownik 7go pułku kirassjerów, Diubóá, (Dubois) przemówił do swych żołnierzy, powiadając im, że ocalenie armji zależało od ich odwagi, co było rzeczą widoczną dla nich, i rzucił się cwałem na piechotę rossyjską utworzoną w czworobok. Natarcie było tak gwałtowne, że pomimo gęstego ognia karabinowego, czworobok został przebitym i dozwolił wstępu naszym kawalerzystom. Ci wtedy rzuciwszy się na przełamanych żołnierzy, zaczęli przebijać ich swemi długimi szablami. W teje samej chwili Dumerk nabiegł z 14ym pułkiem kirassjerów dla przeszkodzenia linjom rossyjskim sformowania się znowu, podczas kiedy 4ty pułk wstrzymywał na lewo jazdę nieprzyjacielską, a jazda lekka wstrzymywała ją na prawo. Zabrano tym sposobem około 2000 niewolnika, oprócz tysiąca blisko ludzi przebitych pałaszami. Nej, ze swéj strony, posunął swą piechotę naprzód. Bohaterski Mezon zsiadłszy z konia, porwał za suzję, rzucił się na nieprzyjaciela na czele swych żołnierzy, przełamał Rossjan, i zmusił ich do cofnięcia się w gęstwinę lasu. Nej, który kierował obrotami wojska, kazał przedłużyć pogoń do końca lasu Stachowa, na połowie drogi z Brylla do Borysowa. Tam przed wąwozem rozdzielającym obie armje zatrzymał się, i utrzymywał kanonadę przez resztę dnia. Ale nie było żadnego

niebezpieczeństwa z téj strony, i wygrana została przy nas. Nieprzyjacieli stracił oprócz trzech tysięcy niewolnika, około trzech tysięcy poległych lub rannych.

Ta pomyslna wiadomość, rozszerzona z tyłu armji, wywołała oklaski młodej i staréj gwardji, które od téj chwili mogły być użyte dla podania pomocy z drugiéj strony Berezyny, w razie gdyby nagłe niebezpieczeństwo tam zagrażało. Bój toczył się tam zacięty, gdyż Wiktor, z 9 do 10 tysiącami żołnierza, obciążony 10 czy 12 tysiącami łązég, i mnóstwem bagaży, stawiał tam czoło blisko czterdziestu tysiącom nieprzyjaciół.

Szczęściem, na tym lewym brzegu Berezyny, którego potrzeba było bronić jak można najdłużéj przed opuszczeniem go ostatecznie, pozycja sprzyjała obronie. Marszałek Wiktor zajął stanowisko na brzegu wąwozu dość szerokiego, który ciągnął się aż do Berezyny, i postawił tam dywizję polską Żyrar (Girard), oraz dywizję niemiecką i hollenderską Berga. Prawém skrzydłem zasłaniał Studziankę, i bronił mostów; lewém opierał się o las, którego nie miał dość sił zająć, ale przed którym umieścił 8000 kawalerzystów, co mu pozostawiali, i którzy zostawali pod dowództwem jenerała Furnje (Fournier). Z swoją artylleryją dwunastofuntową skierował na Rossjan ogień poważny i morderczy, i tym sposobem potrafił ich wstrzymać.

Attakiem, który od świtu stał się bardzo żwawym, kierował jenerał Dybicz, szef głównego sztabu Wittgensztejna. Po silnéj kanonadzie, jenerał rossyjski, chcąc oswobodzić się od lewego skrzydła Francuzów, złożonego z jazdy Furnje, atakował ją licznymi szwadronami, które będąc umieszczonemi na początku wąwozu, nie miały wielkich przeszkód do przebycia dla natarcia na nas. Jenerał Furnje szarżując z swojéj strony z największą dzielnością, zdołał odeprzeć jazdę nieprzyjacielską, chociaż trzy lub cztery razy liczniejszą od naszéj, i potrafił wreszcie odegnąć ją za wąwóz. W tymże samym czasie strzelcy piechotni rossyjscy, atakując nasze prawe skrzydło, zstąpili w głąb wąwozu, zasadzili się w krzakach, i podali możność jenerałowi Dybiczowi ustawić silną baterję, która strzelając po za nasze prawe skrzydło, dosięgała mostów, do których massa łązég i bagażów cisnęła się z przestraczem.

Marszałek Wiktor, który się lękał z téj strony o swoja linję, gdyż powinien był szczególniej bronić mostów, wypuścił kilka kolumn piechoty dla odparcia baterij rossyjskich, podczas kiedy na drugim brzegu Berezyny, gwardja cesarska, postrzegłszy grożące niebezpieczeństwo, ustawiła kilka armat dla zbicia artylleryji nieprzyjacielskiéj.

Wypuszczano tym sposobem przez kilka godzin z jednego brzegu na drugi grad kul, bardzo blisko mostów, na które padała część pocisków rosyjskich.

Nie mamy potrzeby opisywać jakie straszliwe zamieszanie wyinkłó wtedy pomiędzy temi, którzy zaniechali przebyć mostów, albo temi, którzy przybyli za późno dla korzystania z nich. Jedni i drudzy nie wiedząc że jeden most przeznaczony był dla pieszych i dla kawalerzystów, drugi dla wozów, cisnęli się z wściekłą niecierpliwością na oba mosty. Ale pontonjerowie postawieni na czele prawego mostu, obowiązani byli odpychać wozy, i wskazywać im most na lewo, położony o sto sążni niżej. Gdyby tu tylko szło o utrzymanie porządku, można byłoby zwolnić zakaz, ale zachodziła tu nieuchronna konieczność, gdyż most po prawej stronie był niezdolny do dźwignia powozów. Nieszczęśliwi, zmuszeni cofać się nazad, musieli z największą trudnością przebijając się przez kolumnę ich naciskającą, i usiłowania ich wybicia się z tłumu, znajdując opór w usiłowaniach tych co chcieli jak najprędzej przybyć do mostu, sprowadzały straszną walkę. Ci którzy potrafili wydobyć się z tego starcia się dwóch prądów przeciwnych, rzuciwszy się w bok, znajdowali tam drugą masę również ściśnioną, tę co zdążyła na most przeznaczony dla powozów. Skwapliwość tych co chcieli dostać się do mostów była tak wielką, że wkrótce cała ta masa stanęła na miejscu nie mogąc się poruszyć. Kule nieprzyjacielskie padając w środek jęj, czyniły w niej okropne brzozy, i wywoływały krzyki przerażenia u biednych kobiet, markietanek lub zbiegłych z Moskwy, które znajdowały się w powozach z swojemi dziećmi. Ścisano się, deptano, wstępowano na tych, którzy byli za nadto słabi żeby się utrzymać na nogach, i tratowano ich swemi nogami. Ścisł był tak wielkim że żołnierze konni zostawali w niebezpieczeństwie być zaduszonymi razem ze swojemi końmi. Tu i owdzie konie rozbrykane, rzucały się, wierzgały, rozpędzały tłum, i robiły na chwilę cokolwiek wolnego miejsca obalając na ziemię mnóstwo nieszczęśliwych. Ale wkrótce masa ścisłała się znowu, chwiała się i wydawała bolesne krzyki pod kulami: (*) widok okropny, mogący uczynić nienawistną i na zawsze obrzydłą tę bezrozumną wyprawę.

Zacny generał Eble, którego ten widok rozdzierał serce, chciał przywrócić nieco porządku, ale napróżno. Zostając przy wstępie na

(*) Piszę to według opisów rękopiśmiennych, znajdujących się w moich rękach, i godnych wszelkiej wiary.

most starał się przemawiać do tłumu, wyrwać z niego przynajmniej najbliższych, i ułatwić im środek przejścia, ale tylko uderzeniami bagnetów można było zniewolić do słuchania, i wyrwawszy niektóre ofiary, kobiety, dzieci lub rannych, dozwoić im przejścia przez most. Ten rodzaj oporu, jaki stawiali jedni drugim przez zbytek skwapliwości, był przyczyną że ani połowa nie przeszła tych, którzy mogliby korzystać z mostów. Wielu znudzonych walką rzucało się do wody, inni wpełnięci tam byli od tłumu, starali się przebyć w pław, i topili się. Drudzy, chcąc przejść po lodzie, załamywali się na nim, unosili się czas jakiś na powierzchni wody, i porwani wreszcie byli prądem. Ten okropny zgiełk, trwając przez cały dzień, nietylko że się nie zmniejszał, ale coraz się wzmagał, według tego jak walka pomiędzy Wiktorem a Wittgenstejnem stawała się zawziętą.

Wiktor, który w tym dniu okazał najszlachetniejszą odwagę, widząc że może być przełamanym na prawém skrzydle, coby sprowadziło straszną klęskę blisko mostów, postanowił spróbować zapalczego ataku przeciw środkowi armji nieprzyjacielskiej. Rzucił najprzód kolumnę piechoty w wąwoz, podczas kiedy generał Furnje przypuszczał żwawy atak na lewo. Gdy straszny ogień z czterdziestu armat przywitał naszych pieszych żołnierzy, rozproszyli się oni w krzakach wąwozu, ale nie uciekając, rozbiegli się na tyraljerów, utrzymywali się mocno, podali się nawet naprzód. Korzystając ze zręczności, marszałek Wiktor puścił nową kolumnę, która rzuciła się w wąwoz, wdarła się na brzeg przeciwny nie rozdzielając się, natarła na linję rossyjską i zmusiła ją do cofnięcia się. W teje samej chwili generał Furnje wykonywając ostatnią szarżę kawalerji, wsparł ten ruch i uczynił go stanowczym. Od téj chwili artyllerja rossyjska odparta, przestała sprawiać popłoch na mostach ciskając tam swe kule.

Ale generał Dybicz nie chcąc być uważanym za pobitego, uszykował znowu swoją linję trzy razy liczniejszą od naszej, przypuścił nowy atak i odparł nas za wąwoz, który pozostał jednakże granicą pomiędzy dwoma armjami. Szczęściem noc nadeszła, i rozdzieliła wkrótce walczących zupełnie znudzonych. Z 700 do 800 koni, generałowi Furnje pozostało zaledwo 300; marszałek Wiktor z 8m do 9ciu tysięcy pieszego żołnierza, miał pozostałych zaledwo 5000; i ze wszystkich tych mężnych żołnierzy, Hollendrów, Badeńczyków, nade wszystko Polaków, pełnych poświęcenia się, którzy będąc rannymi mogli być jeszcze ocaleni, żaden nie mógł być zabrany z pola bitwy, z powodu braku środków transportu. Rossjanie wystawieni w znaczniejszej massie na naszą artyllerję, ponieśli stratę od 6 do 7 tysięcy

żołnierza. Ta podwójna bitwa na obu brzegach Berezyny kosztowała więc 10 do 11tu tysięcy żołnierza Rossjanom, nie licząc 3,000 niewolnika zabranego przez jenerała Dumerka. Ale ranni ich byli ocaleni, wówczas kiedy nasi byli wcześniej oddani na ofiarę, a z nimi także oddani na ofiarę pozostali w drodze, którzy nie mieli już czasu przebyć Berezyny.

Nadejście nocy sprowadziło nieco spokojności do tego miejsca rzezi i zamięszania. Chociaż zaledwo uszli okropnej klęski i to jakimś cudem, gdyż potrzeba było przebyć rzekę na wpół zamarzlą (co przedstawiało największą trudność) uchodząc od trzech ścigających armij, chociaż tył naszej kolumny był jeszcze otoczony od nieprzyjaciela, żołnierze nasi cieszyli się jakby prawdziwym tryumfem, tryumfem krwawym i bolesnym, opłaconym okrutnemi ofiarami, ale zawsze tryumfem, gdyż 28,000 żołnierza rozdzielonego rzeką i walczącego przeciwko 72,000, powinno było być całkiem zabranych w niewolę! Przeprawa więc nasza, jakkolwiek nieszczęśliwa, cudem jakimś nie stała się ostateczną klęską.

Wojsko to pojmoowało i nawet w tém nieszczęściu, którego stratę materjalną podzielaliśmy z Rossjanami, Napoleon zdawał się odzyskiwać wielkość swojego przeznaczenia, jeśli nie swój potęgi. Nazajutrz jednakże potrzeba było znowu rozpoczynać nie już cofać się, ale uciekać. Jakoż potrzeba było uratować z rąk nieprzyjaciół 5,000 żołnierza pozostającego marszałkowi Wiktorowi, oraz jego artyllerię, parki i o ile można było najwięcej nieszczęśliwych, którzy nie zdołali jeszcze poprzedzających dni przebyć mostów. Napoleon rozkazał marszałkowi Wiktorowi przejść na prawy brzeg Berezyny wieczorem i w nocy, zabrać całą swoją artyllerię i przeprowadzić większą część bezorężnych, którzy pozostawali jeszcze na lewym brzegu.

Szczególny stan był téj ludności przejętej bojaźnią! Dopóki działa grzmiły, wszyscy chcieli przebyć mosty co najprędzej i skutkiem zbytnej skwapliwości, nie mogli ich przebyć. Kiedy z nadejściem nocy artyllerja umilkła, myślano tylko o niebezpieczeństwie zbytniego nacisku, którego dotkliwych skutków w ciągu dnia doświadczone; oddalano się od tego okropnego widoku, jaki przedstawiało miejsce przejścia, żeby, jak mówiono, ustąpić kroku niecierpliwszym, tym sposobem, że trudność teraz zachodziła w zmuszeniu tych nieszczęśliwych do przebycia mostów przed spaleniem ich, gdyż należało je zniszczyć koniecznie nazajutrz, jeśli chciano wyprzedzić cokolwiek nieprzyjaciela.

ale pierwszą rzeczą do zrobienia było oczyszczenie przystępu do dwóch mostów od mnóstwa ludzi i koni zabitych od kul lub uduszenia, oraz od połamianych wozów i przeszkód rozmaitego rodzaju. Było to w języku pontonjerów, zrobienie rozkopu pośród ciał i szczątków wozów. Jenerał Eble z pontonjerami przedsięwziął tę robotę równie trudną jak bolesną. Podejmowano trupy i odrzucano je na bok, wciągano wozy na mosty i wrzucano je potem z pomostu do rzeki. Pozostawała jednakże massa ciał zawałających przystęp do obu mostów. Potrzeba więc było torować sobie drogę po tych trupach, pośród ciał i krwi ludzkiej.

Wieczorem od godziny dziewiątej do północy, marszałek Wiktor przebył Berezynę umknąwszy przed nieprzyjacielem zanadto znużonym, żeby mógł myśleć o pogoni. Przeprowadził swą artylleryję przez most po lewej stronie, swą piechotę przez most po prawej i oprócz rannych, oprócz dwóch armat, potrafił przeprowadzić wszystkich swych żołnierzy i swój sprzęt wojenny na prawy brzeg Berezyny. Po dokonaniem przejścia, ustawił swą artylleryję w baterję dla powstrzymania Rossjan i przeszkodzenia im przebycia mostów w ślad za nami.

Pozostawało kilka tysięcy bezoreźnych lub zbiegów, którzy jeszcze nie przebyli mostów, którzy w ciągu dnia zanadto skwapliwie chcieli je przebyć, a wieczorem nie chcieli zupełnie, albo przynajmniej nie pierwój jak nazajutrz. Napoleon rozkazawszy zniszczyć mosty o świcie, kazał powiedzieć jenerałowi Eble i marszałkowi Wiktorowi, żeby użyli wszelkich środków dla znaglenia tych nieszczęśliwych do przejścia. Jenerał Eble udał się sam do ich biwaków w towarzystwie kilku oficerów i zaklinał ich, żeby przebywali co prędzej rzekę, zapewniając ich że zniszczy niezwłocznie mosty. Ale wszystko to było napróżno. Leżąc na słomie lub na gałęziach około wielkich rozłożonych ogni, pożerając kawały mięsa końskiego, jedni z nich lękali się zbytniego nacisku, szczególniej w nocy, drudzy straty biwaku, nie będąc pewni dostania drugiego. Owoż, w ówczesnym stanie temperatury, noc bez odpoczynku i ognia, było to samo co śmierć. Jenerał Eble kazał spalić kilkanaście tych biwaków dla pobudzenia do ruchu tych upornych, zdrętwiałych od zimna i znużenia, ale to było bez skutku. Noc więc już upływała, a ci nieszczęśliwi ani myśleli korzystać z istnienia mostów, które miały być za chwilę zniszczone.

Nazajutrz 29go o świcie, generał Eble otrzymał rozkaz spalenia mostów o siódmej godzinie rano. Ale jego szlachetne serce, równie ludzkie jak odważne, nie mogło się na to zdecydować. Kazał położyć wcześniej pod pomostem materiały palne, ażeby za pierwszym ukazaniem się nieprzyjaciela można było rozniecić ogień, a tym czasem żeby pozostali z tyłu mieli czas do przebycia mostów. Będąc jeszcze na nogach przez całą noc, która już była szóstą, wówczas kiedy jego pontonjerowie używali codziennie nieco odpoczynku, był ciągle obecnym przy przejściu, starając się przyspieszać je i posyłając do tych, którzy się opóźniali z zapowiedzeniem, żeby się spieszyli. Ale za nadjeściem dnia nie potrzeba już było ich pobudzać i przekonawszy się za późno o potrzebie rychłego przejścia, zaczęli się naciskać niezmiernie. Jednakże przechodzono ciągle, ale nieprzyjaciel był już na wzgórzach naprzeciw leżących. Generał Eble, który wedle rozkazów otrzymanych z głównej kwatery, powinien był zniszczyć mosty najpóźniej o siódmej godzinie, zwlekał aż do ósmej. O ósmej powtórzono rozkazy, widok nadciągającego nieprzyjaciela, wszystko nakazywało mu nie tracić ani chwili więcej. Jednakże ponieważ artylllerja marszałka Wiktora znajdowała się tam dla powstrzymania Rossjan, stanął sam u wstępu na most i zatrzymywał ręce pontonjerów, chcąc ocalić jeszcze, jeśliby to podobna było, nieco ofiar. W téj chwili dusza jego tak dobra, chociaż tak szorstka, mocno cierpiała.

Wreszcie przeczekawszy aż prawie do dziewiątej, kiedy nieprzyjaciel się zbliżał przyspieszonym krokiem i kiedy mosty mogłyby tylko służyć dla Rossjan, gdyby zwlekano dalej, wydał, z udręczoném sercem i odwracając oczy od tego okropnego widoku, rozkaz podłożenia ognia. W jednéj chwili słupy dymu i płomieni ogarnęły oba mosty i nieszczęśliwi będący na nim rzucili się w rzekę, żeby nie zginąć w płomieniach. Z pośród tłumu, który nie był jeszcze przeszedł, podniósł się nagle głos rozpaczy: widziano z drugiego brzegu ich płacz, ich giesta konwulsyjne. Ranni, biedne kobiety wyciągały ręce do swych współziomków, którzy pomimo woli musieli się oddalić i opuścić je. Jedni rzucali się w rzekę, drudzy biegli na most w płomieniach, każdy wreszcie dobywał ostatnich sił, żeby uniknąć niewoli wyrównywającej śmierci. Niewiadomo czy to było sześć, siedm lub ośm tysięcy osób, mężczyzn, kobiet, dzieci, wojskowych lub zbiegów, markietanów lub żołnierzy armji, którzy pozostali tym sposobem w ręku Rossjan.

Armja oddaliła się głęboko zasmucona tém widowiskiem, a nikt

nie był więcéj zasmuconym jak szlachetny i odważny Eble, który poświęciwszy swą starość na ocalenie wszystkich, mógł się nazwać zbawcą wszystkiego co nie zginęło lub nie złożyło broni. Z liczby pięćdziesięciu kilku tysięcy zbrojnych lub bezorężnych, którzy przeszli Berezynę, nie było ani jednego, któryby nie był winien życia albo wolności, jemu lub jego pontonjerom. Ale większa część pontonjerów, którzy pracowali w wodzie, opłacili już byli tę wielką usługę, albo mieli ją opłacić swém życiem; i generał Eble sam nabawił się choroby śmiertelnej, której wkrótce padł ofiarą.

Takim był ten słynny wypadek przejścia Berezyny, jeden z najtragiczniejszych w historii. Rossjanie strwożeni wielkim imieniem Napoleona, lękając się przeciąć mu drogę, chcąc tylko mu zabiedz całą masą swoich sił, pozostawili mu czasu znaleźć przejście, rzucić tam mosty i przebyć rzekę. Napoleon winien był dziwnemu trafowi przybycia Korbino, roztropności i odwadze tego generała, szlachetnemu poświęceniu się generała Eble, rozpaczliwemu oporowi Wiktora i jego żołnierzy, energii Udino, Legrana, Mezona, Zajączka, Dumerka, Neja i wreszcie swojej przezorności trafnej i głębokiej, która mu wnet wskazała czego się miał trzymać, Napoleon winien był że uniknął po krwawej scenie, najbardziej upokarzającej najdotkliwszej klęski. Ten tragiczny koniec uwieńczył godnie tę straszliwą kampanję i nieszczęśliwy z własnej winy, Napoleon pozostawał zawsze wielkim! Powinien był więc dziękować wszystkim, gdyż w tym dniu więcéj niżeli wśród swych najświetniejszych zwycięstw, był obowiązany swym generałom, swym żołnierzom, a nawet swym sprzymierzonym. Jednakże powinszowawszy Wiktorowi 28go wieczorem, cudów waleczności dokonanych przez niego w tym dniu, cierpko mu wyrzucał nazajutrz 29go, gdy się dowiedział, o nieszczęściu jakie spotkało dywizję Partuno, przypomniał mu przeszłość, czas darmo stracony wzdłuż Uły na fałszywych obrotach i opłacił zbyteczną surowością największą usługę, jaką Wiktor kiedykolwiek mu wyrządził. Jednakże nieszczęście generała Partuno, jeżeli pochodziło z czyjej winy, to tyle przynajmniej z jego własnej co z marszałka Wiktora, gdyż chciał przedłużyć fałszywą demonstrację pod Borysowem dłużej niżeli potrzeba było. Wiktor nazajutrz po godnym uwielbieniu swém poświęceniu się, oddalił się z sercem zasmuconém.

Potrzeba było jednak iść dalej i iść nie tracąc ani chwili dla dostania się przez Ziembin, Pleszczenice, Ilję, Mołodeczno, na drogę Wileńską, na którą wychodzono w Mołodecznem. Od punktu gdzie

przebyto Berezynę aż do Mołodeczna należało przebywać drogi ciągnące się wśród lasów błotnistych, pełne grobel lub mostów na kilkaset sążni długich. Trzy takowe mosty były do przebycia pomiędzy Berezyną a Pleszczenicami, gdzie Rossjanie podłożywszy ogień, mogli łatwo zatrzymać całą armję. Mieli oni przednią straż złożoną z kozaków, wspartą oddziałem regularnej jazdy w Pleszczenicach, którą dowodził jenerał rossyjski Łanskoj. Ta przednia straż nie uczyniła szczęściem nic, coby mogła ona uczynić. Zajętą ona była obleganiem w jednej ze stodół w Pleszczenicach, marszałka Udino ciężko ranionego i mającego z sobą zaledwo pięćdziesięciu żołnierzy eskortujących oficerów ranionych w dniu 28ym. Odważny marszałek trzymając się ledwo na nogach, bronił się dzielnie z temi co go otaczali, przeciw licznym swoim napastnikom i sam z pistoletami w ręku, strzelał przez otwory zrobione w ścianach téj budowli. Armja przybywając oswoodziła tak jego samego jak jego towarzyszków nieszczęścia i rozproszyła kozaków.

Dzięki téj niedbałości przedniej straży rossyjskiej, armja cała mogła przebyć bez przeszkody mosty tak długie na drodze prowadzącej z Ziembina do Mołodeczna i minąć szczęśliwie wszystkie najtrudniejsze przeprawy. Marszałek Nej zastąpiwszy miejsce marszałka Udino w dowództwie 2go korpusu, znalazł podwładnego dowódcę godnego siebie, w jenerale Mezon (Maison), równego mu co do mocy zdrowia, dobrego humoru, odwagi i łączącego do wszystkich przymiotów żołnierza rzadką roztropność wojskową. Jenerał Legran, który dowodził jedną z dwóch dywizyj francuzkich drugiego korpusu, został ciężko rannym, przeto jenerał Mezon łączył w swém ręku dowództwo nad 3,000 żołnierza pozostającymi z drugiego korpusu, który zawierał w sobie 39,000 ludzi przy otwarciu kampanji. Nej i Mezon żyli z sobą w ścisłej zgodzie. Przebywszy mosty ziembińskie, pokryli je faszynami, które zapalili i gdy jazda nieprzyjacielska tam nadbiegła, znalazła tylko kupy dymiącego się popiołu na wpół zamarzłych błotach.

Zaledwo nazajutrz 30go tylna straż przybyła do Pleszczenic, oskoczona tam została przez żołnierzy jenerała Płatowa, który dowodził oddziałem ścigających. Przy wstępie do téj wsi zrobił się taki natłok, że marszałek Nej i jenerał Mezon przez czas jakiś nie mogli odbywać żadnych ruchów, ani działać swą artylleryją. Potrafiwszy wreszcie przywrócić niejaki porządek, znaleźli w szeregach nie więcej jak 1,000 żołnierza, reszta pomięszczała się z tłumem bezorężnych. Mróz, który był na czas krótki zelżał przed przejściem Berezyny, zwiększył się

znowu i ciepłomierz Reomiura z 11stu czy 12stu spadł na 18, 19 i 20 stopni. W miarę tego zwiększyły się cierpienia i żołnierze nie mogli prawie utrzymać się na nogach. Widok rannych, których nie myślano zabierać z sobą, odejmował resztę odwagi żołnierzom i nie dziw, że ci korzystali z chwili zamieszania dla uchylenia się od obowiązków, które ciążyły tylko na ostatnich co pozostali pod chorągwiami. Marszałek Nej i generał Mezon nie stracili przytomności, stawili czoło nieprzyjacielowi i wsparci przez 1,200 czy 1,500 Polaków, którzy przybyli na to miejsce, potrafili odeprzeć Rossjan.

Uwolniono się, dzięki tym energicznym usiłowaniom, od jazdy nieprzyjacielskiej na dwa lub trzy dni, ale mróz doszedł 24ch stopni i strata ludzi stawała się coraz większą. Biwaki pokryte były temi, którzy się nie przebudzali więcej, albo którzy się przebudzali z członkami odmrożonemi i zostając w niemożności iść dalej.

4go grudnia czoło armji przybyło do Smorgoń, tylna straż do Mołodeczna. Tam była żwawa i zacięta potyczka pomiędzy Rossjanami a tylną strażą dowodzoną przez Neja i Mezon. Do jazdy Płatowa przyłączyła się dywizja Czapllica. Mezon i Nej nie mieli więcej nad 600 do 700 żołnierza, ale przytém dość znaczną resztę artyllerii 2go korpusu, którą dotąd ciągnięto z sobą, lecz której niepodobna było, ze względu na stan koni, ciągnąć dalej. Nej i Mezon postanowili użyć tam ostatniej swojej amunicji i zrobić okropną rzeź z Rossjan dla pomśzczenia się za nasze codzienne straty. Osypali kartaczami jazdę Płatowa i piechotę Czapllica i zatrzymali ich długo pod Mołodecznem. Marszałek Wiktor, który wyprzedził Neja i Mezona do Mołodeczna i znajdował się tam z czterema tysiącami żołnierza pozostałymi z 9go korpusu, złączył się z nimi i pomógł im do odparcia Rossjan. Ci ponieśli znaczną stratę i zabrali nam tylko oddzielnie idących żołnierzy, których nieszczęściem zabierali codziennie secinami. Ta ostatnia potyczka zapewniła nam jeszcze kilka dni wytchnienia.

Ale przybywszy tam, Nej i Mezon nie mając już więcej nad 400 do 500 żołnierza, nie mogli już spełniać obowiązków tylnej straży. Poruczone one zostały marszałkowi Wiktorowi z Bawarczykami generała Wrede, którzy po długim rozdziale przyłączyli się znowu, pozbawieni już po większej części czterech tysięcy nowo-zaciężnych otrzymanych w poprzedzającym miesiącu.

000. Napoleon przybywszy do Smorgoń i sądząc, że zadość uczynił swojemu honorowi pozostając aż do chwili w której haniebna niewola już jęj nie groziła, postanowił wreszcie przywieść do skutku zamiar,

który powziął przed kilku dniami i z którym zwierzył się tylko przed p. Dariu ustnie, przed p. Bassano na piśmie. Zamiar ten podlegający wielu zarzutom, zależał na odjechaniu z powrotem do Paryża. Pan Dariu zawsze oddany ze stałością swym obowiązkom i nie poczytując za cnotę ciągłego sprzeciwiania się, ale mając sobie za obowiązek mówić prawdę, kiedy ta była użyteczną, utrzymywał przed Napoleonem, że armja zginie do szczytu, jeśli ją opuści. P. Bassano, który nie miał za bódźca swoich niebezpieczeństw osobistych dla wyrzeczenia podobnegoż zdania, gdyż nie zostawał w szeregach armji, położył wielką zastługę w obecnym położeniu, napisaniem do Napoleona długiego listu radząc mu żeby pozostał. Przekładał mu w nim, że spisek jenerała Male nie wywołał we Francji żadnego ruchu, że umysły były więcej uległe niżeli kiedykolwiekbądź, (co było rzeczą prawdziwą, jeśli szło o uległość materialną), że będą go słuchać z Wilna tak samo jak z Tivillerjów, że bez jego obecności armja do reszty by się rozprzęgła i że rozprzężenie zupełne téj armji będzie największą z klęsk, jakie by mogły zakończyć tę kampanję. Za ostatnią pobudkę p. Bassano przytaczał Napoleonowi, że jego obecność na czele wojska powstrzyma Niemcy i nie dozwoli im rzucić się na nasze szczytki. Żadna z tych przyczyn nie trafiła do przekonania Napoleona, a niektóre z nich nawet wywołały skutek zupełnie przeciwny temu jakiego po nich oczekiwał p. Bassano.

Napoleon sądził, że armja była bliższą swego rozprzężenia, niżeli się chciał przyznać do tego, nawet przed panem Bassano, uważając przeto złe prawie za spełnione, miał tylko na widoku niezbezpieczeństwo znajduwania się z szczupłą garstką żołnierzy wyniszczonych, niezdolnych do żadnego oporu, o czterysta mil od granicy francuzkiej, mając z tyłu Niemców bardzo skłonnych do powstania. Owoż zapytywał samego siebie co się z nim stanie, oraz z Cesarstwem, gdy Niemcy zrobią tę uwagę, że stawiając przeszkodę powrotowi jego do Francji, zniszczą jego potęgę z jego osobą i gdy po zrobieniu téj uwagi, powstaną z tyłu dla zamknięcia drogi do Renu jemu i szczytkom, któremi dowodził. Wtedy wszystko było stracone i wojna skończyłaby się w dni kilka jego niewolą. Owoż, przywracają wolność Monarsze takiemu jak Franciszek I., który ma dla zastąpienia go następcę przez wszystkich uznawanego, ale detronizują człowieka, jakkolwiek on byłby wielkim, który wyniesiony skutkiem rewolucij na tron, na którym się nie urodził, na którym świat nie przywykł go widzieć, ma, zamiast następcy powszechnie uznawanego, współzawodników często przywoły-

wanych głosem publicznym, gdyż swojemi błędami przyczynił się do ich popularności. Powiększając nawet sobie ten rodzaj niebezpieczeństwa z właściwą mu żywością umysłu, Napoleon chciał co prędzej opuścić swą armję, nadewszystko odtąd jak po przejściu cudownym Berezyny, punkt honoru nie nakazywał mu pozostawać na czele wojska. Lękał się żeby po nagłym rozpowszechnieniu wieści o jego klęsce, o której dotąd jeszcze nie wiedziano, umysły nie doznały takiego wstrząśnienia, że powrót jego stałby się niepodobnym i żeby na swojej drodze nie znalazł tysiące rąk podniesionych dla zatrzymania go. Chciał więc przedtém nim nieszczęścia, które go spotkały, będą znane, albo nim zdołają im uwierzyć, przemknąć się w towarzystwie czterech osób zaufanych, Kolękura, Lobo, Diuroka, Lesebwr-Denoett, przebyć Polskę saniami, Niemcy pocztą, tak jedną jak drugie bardzo potajemnie i przybyć do Tiuillerjów nie będąc nawet oczekiwanym przez swoją żonę. Wiedział że kiedy Europa dowie się o jego klęsce, ale równo z tém i o powrocie jego do Paryża, zastanowi się dobrze nim się rzuci do oręża, a w każdym razie znajdzie go na czele sił znacznych pozostających Cesarstwu i będzie mogła opłacić drogo chwilową swą radość.

Były zapewne bardzo ważne powody do myślenia w ten sposób, dość ważne, żeby nie zważać na ciżbę stronników, która nazwałaby ten odjazd z armji ucieczką. Jednakże były inne powody do postawienia przeciwko tamtym, które nie dorównywając im może, miały jednak swą ważność. Z uporeczywością Masseny lub flegmą Moro, można byłoby jeszcze wyciągnąć jaką korzyść z obecnego położenia, i znaleźć wreszcie kres, gdzie można byłoby zatrzymać Rossjan, i zebrać szczątki armji. Jakoż miano jeszcze licząc w to gwardję, korpusy Dawu i Wiktora, 12,000 żołnierza noszącego broń, za któremi ciągnęło się blisko 40,000 bezorężnych, mogących wręcić pod chorągwie, skoroby im dostarczono żywności, przytułku, odpoczynku, bezpieczeństwa. Jednakże żeby ci co opuścili szeregi stali się znowu żołnierzami, potrzeba było na to jednego lub dwóch miesięcy. Ale tymczasem, te 12,000 żołnierza, co zachowali swą broń, miały się połączyć między Mołodecznem a Wilnem z 6000 Bawarczyków, w Wilnie samém z 9000 Francuzów pod dowództwem Lóazon (Loison), z 2ma brygadami od 7 do 8000 Polaków i Niemców pod dowództwem Franczeski i Kutar, i oprócz tych korpusów uorganizowanych, z kilką szwadronami i bataljonami pochodnemi liczącemi w sobie około 4000 żołnierza, nadto z 6000 Litwinów, co wszystko stanowiłoby 33,000 żołnierza, które razem z resztkami wielkiej armji, mogły stawić pewny opór nie-

przyjacielowi, licząc około 45,000 żołnierza skupionego i dobrze uzbrojonego. Na prawo miano Szwarcenberga z 25,000 Austriaków, Renje z 15,000 Francuzów i Sasów wybornych, to jest 40,000 żołnierza, które nie zaniechałyby przybyć, skoroby otrzymały rozkaz połączenia się z główną armją. Nakoniec na lewo miano Makdonalda, 10,000 Prusaków, którzy nie ośmieliliby się opuścić armji francuskiej, dopóki ta sama siebie by nie opuściła, oraz 6000 Polaków, którzyby takż pozostałi wiernymi. Możliwą przeto rzeczą było zgromadzić jeszcze w Wilnie 45,000 żołnierza, gdyby tylko nie posyłano ich umierać na drogach, wysławszy ich na spotkanie wielkiej armji, nadto 40,000 na prawo od Wilna, i 15,000 na lewo, którym potrzeba było ośm do dziesięciu dni dla połączenia się w ogólném miejscu zebrania. Z tyłu, w Królewcu, była dywizja Hedele z korpusu Ożero (Augereau), licząca w sobie 15,000 Francuzów. Pozostawała druga dywizja marszałkowi Ożero, mająca też samą liczbę żołnierzy, oprócz wielu oddziałów pochodowych, i wreszcie korpus Grenje, który niedawno przedtém przebył Alpy z 18,000 żołnierza starego wojska włoskiego; Ożero mógł więc zajmować Berlin z 30,000 żołnierza, Hedele zapełniać przestrzeń między Berlinem a armją swojemi 15,000, a Napoleon zgromadzić sto tysięcy około Wilna, z których połowę w samym Wilnie (1). Owoż, Rossjanie nie mieli więcj wojska. Pozostawało około 50,000 żołnierza Kutuzowemu, 20,000 Wittgenstejnowi i tyleż prawie Czyczagowemu. Sakien po nieszczęśliwych potyczkach, które stoczył ze Szwarcenbergiem i Renje, jak zobaczymy wkrótce, nie miał 10,000 żołnierza pod bronią. Ogół więc wojska wynosił najwięcej kiedy 100,000 żołnierza, wybornego wprawdzie, ale nie lepszego bez wątpienia od żołnierzy Napoleona, i niewiele co więcj skupionego, gdyż Wittgenstejn i Czyczagow razem z przednią strażą Kutuzowa, mogliby zaledwo zgromadzić pod Wilnem 40,000 żołnierza, a Napoleon był w możności wystawienia przynajmniej tyleż. Przypusćmy żeby bitwa wygraną była pod Wilnem, a pod wpływem tego zwycięstwa zdołanoby weielić w istniejące korpusy trzydzieści do czterdziestu tysięcy bezoreżnych i mianoby znowu silną armję, zdolną powstrzymać Rossjan, czekać na posiłki przychodzące z Francji, i czerpać z Polski znaczne zasoby. Gdyby musiano późnij cofnąć się nad Wisłę, dla zbliżenia

(1) Nietylko że nie powiększyłem tych liczb, ale nawet je zmniejszyłem, wyjąwszy je z korespondencji samego P. Bassano, który posyłał codziennie Napoleonowi spisy wojsk przechodzących przez Wilno. Liczbę wojsk jenerałów Szwarcenberga i Renje, wyjąłem z korespondencji tych jenerałów, którzy zapewne tłumacząc się ciągle z tego że nie otrzymywali wielkich rezultatów, nie powiększaliby środków z których zarzucano im że nie robili odpowiedniego użytku.

się do tych posiłków, dla zmniejszenia sobie zbytnej odległości, a powiększenia ich dla Rossjan, cofniętoby się z sto tysiącami żołnierza, utrzymując w posłuszeństwie Niemcy, i mając za sobą oddziały przybywające z Francji. Napoleon, stając się znowu zwycięzcą po doznanej klęsce, byłby równie słuchanym od wszystkich z Wilna jak z Paryża. W Wilnie znajdowało się na 25 lub 30 dni żywności w zbożu, 10,000 wołów przybywających ze wszystkich części Litwy, i znaczna ilość wódki. W Kownie były znaczne zapasy odzienia, ammunicyi i żywności. Wreszcie u obywateli polskich zboże i mąkę, które rekwizycje władzy wojskowej u nich zgromadziły, a które z braku transportów nie mogły być dostawione. Sanna droga ułatwiłaby środki ich dowozu. Można więc było przeżyć w Wilnie, a cofnąwszy się nawet za Niemen, Stare Prusy za pieniądze dostarczyłyby wszystkiego czegooby potrzebowano.

Nie oddając armji na zupełne rozprzężenie, które się w nią wkładło, możliwą było rzeczą utworzyć jeszcze przeważną siłę z mnóstwa ludzi ściągniętych do Polski w miesiącu czerwcu upłynionym, i rozpoczynając z niejaką nadzieją powodzenia walkę, która tą razą stałaby się konieczną. Potrzeba było na to mniej téj przeczności politycznej, której Napoleon miał zanadto mało przed rozpoczęciem wojny a zanadto wiele odtąd jak ta wojna wzięła niepomyślny obrót.

Jednakże można było wiele mówić za i przeciw temu projektowi z równą gruntownością, a dla skłonienia się do kroku uważanego przez nas za możebny, potrzeba było bodźca uczucia moralnego, który skłoniłby do przeniesienia nawet straty tronu nad opuszczenie armji, którą narażono na taką klęskę. Gdyby tylko zachodziło niebezpieczeństwo życia (a tego nawet nie było), Napoleon był do tyła dobrym żołnierzem że nie wahałby się narażić się na nie z armją prawie zniszczoną z jego powodu; ale być zdetronizowanym, a co gorsza, zostać więźniem Niemców, było dla Napoleona rzeczą do niezniesienia, i dla tego zaraz w Smorgoniach zrobił postanowienie odjechania.

Potrzeba było żeby ktoś zastąpił jego miejsce, a zastanowiwszy się nad tém, znalazł tylko jednego, który miał dosyć wysoki stopień, żeby go słuchano, był nim król neapolitański. Książę Eugenjusz był roztropniejszy, wytrwalszy i nabył w tych dniach nieszczęśliwych wysokiego szacunku u wszystkich ludzi uczciwych w armji, ale był on zdolnym słuchać Miurata, Miurat zaś nie był zdolnym słuchać go bynajmniej. Pomiędzy marszałkami, Nej, chociaż okrył się chwałą, nie miał potrzebnej powagi, a Dawu stracił ją odtąd jak Napoleon dał sam hasło do jego oczernienia. Zostawiając szefa głównego sztabu

Bertje Miuratowi, Napoleon chciał umieścić przy nim doradcę roztropnego, pracowitego, będącego w stanie powstrzymać go i wyręczać w nieznanomości szczegółów. Nieszczęściem szef głównego sztabu był całkiem zdemoralizowany, i zdrowie jego było prawie zupełnie zrujnowane. Nieszczęścia jakie świeżo wycierpiał, zniszczyły jego ciało i mocno nadwerzęły jego wysoki rozum. Chciał on odjechać z Napoleonem, i potrzeba było temu ostatniemu użyć całej swój surowości dla skłonienia go żeby pozostał. Zgodził się wreszcie na to z swą zwykłą uległością, ale z głębokim smutkiem: gdyż jego rzadki rozsądek nie wskazywał mu nic więcej jak nowe i straszniejsze klęski po odjeździe Napoleona.

5go grudnia wieczorem, po przybyciu do Smorgoń, Napoleon przywołał do siebie Miurata, Eugienjusza, Bertje, swoich marszałków, oznajmił im o swém postanowieniu, które ich zadziwiło i napędziło smutkiem, ale którego nie śmieli naganiać, lękając się jeszcze swego pana zwyciężonego, i znajdując zresztą bardzo gruntownymi powody, które przytaczał, gdyż powiadał im że we dwa miesiące przyprowadzi im 300,000 żołnierza posiłków, i że on jeden mógł wydobyć z Francji takie zasoby. Był prócz tego więcej ujmującym niż zwykle, przemawiał do każdego bardzo przyjaznymi słowy, nawet do marszałka Dawu, z którym się tak źle obchodził podczas téj kampanji, i starał się tym sposobem za pomocą grzeczności wyjednać zgodzenie się, jakowe wątpił żeby mogły wywołać ważne powody jakie przytaczał. Posunął nawet pochlebianie im do tego stopnia, że sam siebie obwinał, powiadając że wszyscy popełniali błędy, tak on sam jak jego podwładni, że zabawił zanadto długo w Moskwie, że się dał uwieść długim trwaniem pięknej pogody i chęcią zawarcia pokoju; że rzeczywistą przyczyną niepowodzeń jakich doznano, była zbyt wczesna i surowa zima; że to było nieszczęściem raczej niżeli błędem, że nadto potrzeba być pobłażającym jednym względem drugich, że należy sobie wzajemnie pomagać, kochać się, i nabierać ufności; że ukaże się wkrótce pośród nich na czele potężnej armji, i że zalecał im tymczasem wspierać się wzajemnie, i okazywać wierne posłuszeństwo Miuratowi. Powiedziawszy to, uściskał ich, co mu się może nigdy przedtem nie zdarzyło, wsiadł do sań, a za nim Kolękur, marszałek Diurok, hrabia Lobo, jenerał Lefewr-Denoet, i wyruszył w noc, pozostawiając swych dowódców uległych, prawie przekonanych, ale w głębi przestraszonych i pozbawionych nadziei.

Największa tajemnica miała być zachowaną aż do dnia następnego, ażeby żadna wiadomość o jego odjeździe nie mogła go wyprze-

dzie, w miejscach przebywania zachowując najściślejsze inkognito. Przed wyjazdem napisał 29ty biuletyn, tak sławny potem, w którym mówiąc po raz pierwszy o odwrócie, przyznawał się do części nie-szczęść, których nie podobna było całkiem zaprzeczać, kładł je na rachunek zimy, i upiększał opisanie swych klęsk piękną i nieśmiertelną sceną przejścia Berezyny.

Kiedy nazajutrz 6go grudnia dowiedziano się w armji o odejździe Napoleona, zdumienie było wielkie, gdyż z nim znikala ostatnia nadzieja. Jednakże wiadomość ta zrobiła tylko wrażenie na ludziach zdolnych do rozwagi, i u takich wiele przyczyn przemawiało za środkiem, którego Napoleon się chwycił. Co do pospolitego żołnierza, uczucie tak było przytępione u niego, że wrażenie nie było takiem, jakie mogło być w każdej innéj okoliczności. Postępowano więc machinalnie dalej, chcąc przybyć co najprędzej do Wilna, jak miesiącem przedtem chciano przybyć co najprędzej do Smoleńska. W Wilnie obiecywano sobie dostać żywności, której istotnie mniej cokolwiek brakowało odtąd jak znajdowano się na Litwie, a nadewszystko przytułku, odpoczynku, i wojska uorganizowanego dla wstrzymania pogoni Rossjan. Ale każdy dzień zwiększał cierpienia tego pochodu. Po opuszczeniu Mołodeczna, mróz stał się jeszcze tęższym, i cieplomierz spadł do 30stu stopni Reomiura. Życie musiałyby zagasnąć nawet w ciałach zdrowych, tém bardziej w ciałach wyniszczonych utrudzeniem i niedostatkiem. Konie prawie wszystkie popadały; co do ludzi, ci umierali secinami na drodze. Postępowano przycisnąwszy się jedni do drugich, w gromadzie zbrojnej lub bezoreźnej, w odrętwiałém milczeniu, w głębokim smutku, nie mówiąc słowa do siebie, nie spozierając na nic, idąc jedni za drugimi, a wszyscy idąc śladami przedniej straży, która szła sama gościńcem prowadzącym do Wilna, wysadzany w szędzie drzewami. W miarę jak postępowano, mróz działając na najłabszych, odejmował im najprzód wzrok, potem słuch, następnie przytomność, a w końcu, w chwili konania, się poruszania się. Wtedy zaledwo padali na ziemię, deptani nogami tych, którzy szli po nich, jakby po trupach obcych im ludzi. Najsilniejsi w obecnej chwili byli po kolei najłabszemi nazajutrz, i każdy dzień zabierał nowe pokolenia ofiar.

Wieczorem w biwaku umierali oni z innéj przyczyny, to jest, z nieostroznego obchodzenia się z ogniem. Chcąc co najprędzej się ogrzać, wielu z nich zbliżało do ognia swe zdrętwiałe od zimna członki. Ponieważ gorąco rozkłada zwykle szybko ciała, których pierwiastek żywotny nie ochrania, gangrena okazywała się natychmiast na nogach, rękach, na twarzy nawet tych, którzy z wielką niecierpliw-

ści zbliżali się nieostrożnie do ognia. Uratowani byli ci tylko, którzy ciągłym chodem, pokarmem użytym w mierze, pewną ilością wódki lub jakiego ciepłego napoju, utrzymywali cyrkulację krwi, albo którzy mając końce członków zdrętwiałe, przywracali im życie nacierając je śniegiem. Ci którzy nie używali tych środków, znajdowali się sparaliżowanymi rano w chwili opuszczenia biwaku, albo na całym ciele, albo na jakim członku, gdzie gangrena nagle się okazywała. Inni, szczęśliwsi na pozór, umierali pośród niespodziewanej pomyślności. Jeśli naprzykład znaleźli gdzie stodołę dla spędzenia tam nocy, rozkładali w niej wielkie ognie, zasypiali, dozwolali szerzyć się ogniewi, i nie pierwój się przebudzali aż kiedy dach w płomieniach zapadał na nich. Liczono dużo zginionych skutkiem podobnego rodzaju wypadków, których zdawało się najmniej należało się spodziewać.

Do tych mnóstwa ofiar przydane zostały bez potrzeby inne, które prędzej jeszcze zgon swój znalazły, niżeli te których opisaliśmy los godzinie oplakania. Napoleon pozostawił wyjeżdżając instrukcje bardzo niedokładne, tak był przygnębiony klęskami, które go dotknęły, i temi które mu zagrażały jeszcze. Zalecił on, ażeby zaraz po przybyciu do Wilna, zgromadzić armję, nakarmić ją, wprowadzić do niej lepszy porządek, i cofnąć się potem nad Niemen, gdyby nie można było trzymać się nad Wilją. Nieszczęściem nie wydał żadnych rozkazów względem 25,000 blisko żołnierza, znajdującego się w Wilnie, i których ocalenie zależało od starania jakieby miano nieprzemieszczając ich daremno. P. Bassano i gubernator litewski, wiedząc że wielka armja ściganą jest natarczywie przez Rossjan, nie wiedząc nadewszystko z własnego doświadczenia czém wojsko mogło stać się w cztery lub pięć dni marszu w ówczesnej porze, wysłali do Smorgoń, w najlepszych z resztą chęciach, wybór wojska znajdującego się w Wilnie, mianowicie dywizję francuską Łoazon, brygady Kutar i Franczeski, jazdę Neapolitańską, i jazdę pochodową. Byli to wszystko młodzi ludzie, bardzo zdolni dobrze się bić, jak tego świeżo dowiodła dywizja Diurrutt posłana generałowi Renje, ale niezdolna znieść przez dwie pory cierpień, które znosiły od dwóch miesięcy nieszczęśliwe resztki powracające z Moskwy. Wyszędzszy z koszar ogrzanych do dwunastu lub piętnastu stopni, i przeszedzszy do zimna na 30 stopni, byli wskróś przejęci chłodem, i w kilka dni wyginęli prawie wszyscy.

Armja po opuszczeniu Mołodeczna, napotkała ich jednych w Smorgoniach, drugich w Oszmianie, dobrze odzianych, dobrze nakarmionych, a jednakże zmarłych z nagłego przeziębienia. Z litością spozierała ona na ich trupy, pomimo odrętwiałej nieczułości w jaką popa-

dła. Ośm lub dziesięć tysięcy tych nowo-przybyłych zmarło w pięć czy sześć dni. Neapolitańczycy nadewszystko, sprowadzeni z tak daleka dla odbycia pierwszej swój próby na wojnie pod niebem rossyjskiem, padli pierwsi ofiarą tego pochodu. Najmniej poszkodowani stracili tylko swe konie. Tym sposobem zmarnowaną została część ostatnich posiłków, których można byłoby użyć dla powstrzymania nieprzyjaciela, i zreorganizowania armji.

Wreszcie po długim pochodzie, po długich cierpieniach, po zasłaniu dróg ciałami swoich, ten tłum znękanym, wynędzniałym, wyniszczonym, okrytym łachmanami, mający na swych mundurach nadzwyczajniejsze odzienia, futra męzkie i kobiece zabrane z Moskwy, materje zwalane i popalone, gunie końskie, wszelkie przedmioty, jedném słowem, jakich mógł się sobie wystarać; tłum ten przybył 9go do bram Wilna. Sprawili to tym sercom, które zdawały się być odtąd nieczułymi na wszelkie wrażenia, ostatnie uczucie radości: Wilno! Wilno!... powtarzali wszyscy. Zdawało się im że odpoczynek, obfitość, bezpieczeństwo, życie wreszcie, znajdą w tej szczęśliwej stolicy Litwy, gdzie, jak głoszą, powtarzano z upodobaniem, przezorność Napoleona miała zgromadzić ogromne zapasy. Nie było ich tam zaiste tyle jak mówiono, ale znajdowało się więcej niżeli potrzeba było na zaspokojenie pierwszych potrzeb armji i dodanie jej sił dla dostania się w lepszym porządku nad Niemen. Na widok murów tego miasta, tłum zapominając że brama nawet najszersza byłaby ciasnym przejściem dla tylu ludzi, chcących przejść przez nią razem, a szczególnie dla tylu bagażów, które jeszcze prowadzono z sobą, nie myślał nawet o tém, żeby szukać wstępu do miasta przez kilka wejść. Postępowano machinalnie za czołem kolumny i natłoczono się wkrótce u bramy, przez którą prowadziła droga ze Smoleńska, duszono się tam, bito, zabijano jak na mostach na Berezynie. Przez dwadzieścia cztery godzin trwał ten sam natłok, ta sama trudność wejścia, z powodu nadzwyczajnej skwapliwości dostania się do miasta. Wkrótce, podobnie jak w Smoleńsku, usiłowania władzy dla przywrócenia porządku w korpusach, wywołały gorszy bezład. Żądano chleba, mięsa, wódki, nadewszystko przytulku i nie miano chęci stosować się do rozporządzeń urzędników odsyłających do pułków, które już nie istniały i z których pozostawało zaledwo po kilku oficerów idących razem około chorążego, który sam najczęściej miał zwiniętą swą chorągiew i włożoną do tornistra, dla ocalenia jej. Rzucono się znówu na magazyny dla zrabowania ich. Żołnierze którzy mieli z sobą nieco pieniędzy, widząc kawiarnie, szynki, oberże, magazyny różnego rodzaju wśród ludności przyjaznej,

która bynajmniej nie uciekała, rzucili się do nich dla kupienia tego czego potrzebowali, przestraszyli swoim wrzaskiem tych, którzy mogliby im tego dostarczyć, sprawili że zamykano wszystkie te miejsca gdzieby się mogli byli posilić, a widząc zamykające się je nawet przed ich pieniędzmi, zaczęli wybijać drzwi. Wilno było wkrótce wystawione na rabunek. Gdyby wojsko pod wodzem silnej woli i przezornym stało wcześniej w gotowości dla utrzymania porządku, gdyby w miejscach, do których łatwy był przystęp, żywność była wcześniej przygotowaną dla najbardziej niecierpliwych, zapobieżonoby temu zamieszaniu. Ale po odjeździe Napoleona nikt nie rozkazywał i nikt nie słuchał. Miurat nie był zdolnym równie do wydawania rozkazów, jak do zjednania sobie posłuszeństwa.

Armja przybyła kolejno 8go i 9go grudnia. Kilka dni odpoczynku były bardzo potrzebne dla naszych żołnierzy wyniszczonych i łatwo byłoby użyzyć im je, gdyby nie narażono bezpożytecznie na zgubę po drogach wojsk świeżych zostających w Wilnie, nadewszystko gdyby wysłano w porę do księcia Szwarcenberga i do generała Renje rozkazy, które oni byli w możności i w usposobieniu wykonania. Jakoż książe Szwarcenberg otrzymawszy pięć do sześciu tysięcy ludzi posiłków, powrócił do Stonima, a generał Renje posunął się ku Narewu, dla podania ręki dywizji Diuriutt, przybywającej z Warszawy. Ten ostatni spotkał na drodze generała rossyjskiego Sakiena, wydał bitwę i zadał mu krwawą porażkę. Książę Szwarcenberg uwiadomiony w porę, przypadł z boku na Sakiena, natarł na niego ze swjej strony i przyczynił się niemało do odparcia go w nieporządku ku Wołyniowi. Te pomyślne potyczki, które kosztowały Sakienowi 7 do 8 tysięcy żołnierza, miały tę niedogodność że stoczone zostały daleko od Berezyny i od punktu stanowczego kampanji; ale miały tę korzyść, że stawiły Sakiena na czas jakiś po za obrębem teatru wojny, a ztąd zapewniały bezpieczeństwo z tyłu księciu Szwarcenbergowi i Renje, którego oni potrzebowali dla posunięcia się naprzód; i gdyby od 19go lub 20go listopada mówiono im otwarcie, gdyby nie ograniczano się donoszeniem im, jak to czynił p. Bassano, że wszystko szło dobrze w wielkiej armji, że cesarz powracał zwyciężąc z Moskwy, gdyby powiedziano im przeciwnie że armja była ściganą, że okrutnie ucierpiała od ostrój pory roku, że jej powrót do Wilna mógł się tylko skutecznieć pod warunkiem silnej pomocy, bez wątpienia książe Szwarcenberg, powodując się, pomimo swjej bojaźliwości, swą prawością osobistą, przyspieszyłby swój pochód i mógłby być razem z generałem Renje w Mińsku przed 28mym listopada, w Wilnie przed 10tym grudnia. W takim

razie z wojskiem znajdującem się w Wilnie, mianoby ze sześćdziesiąt tysięcy żołnierza, a 72,000 ze szczątkami wielkiej armji. Owoż Rosjanie nie mogliby nigdy tyle wojska zgromadzić. Ale gdy Napoleon odjechał nie wydawszy rozkazów, gdy p. Bassano, który za nim wkrótce wyjechał, nie sądził się upoważnionym do zastąpienia jego miejsca, książe Szwarzenberg, równie jak generał Renje, skazani byli na daremne oczekiwanie pomiędzy Słonimem a Nieświżem, nie wiedząc co czynić, nie wiedząc czemu wierzyć, wśród pomyslnych wiadomości przychodzących od Francuzów, a przeciwnych całkiem, udzielanych im przez Rossjan. Widzieliśmy że korpus bawarski generała Wrede, dywizja Lóazon, oraz brygady Kutar i Franczeski, wysłane z łona obfitości i przyjaznej temperatury na spotkanie wszelkich okropności tego odwrotu, zostały zachwycone mrozem i całkiem prawie zniszczone. Wilno było więc zupełnie otwarte i nie było żadnego podobieństwa bronienia się tam przeciwko trzem korpusom nieprzyjacielskim, które się zbliżały.

Od czasu przejścia Berezyny, jeneralissimus Kutuzow pozostawivszy swą główną armję z tyłu dla objęcia najwyższego dowództwa nad połączonemi armjami rossyjskiemi, zalecił Wittgensztejnowi pomasnąć się na Wilno przez Świenciany, Czyczagowemu pospieszyć tam drogą przez Oszmianę i wysłał wreszcie, ale powolniej, swoje własne wojsko na Nowe Troki, dla zapobieżenia połączeniu się Szwarzenberga z Napoleonem. Bez wątpienia nie miał on w ogóle 80,000 żołnierza zdanego do boju i nie mógł zgromadzić więcej nad 40,000 tysięcy w jednym punkcie, dla wydania bitwy. Ale skoro Wilno było odkryte, przednia straż z pięciu lub sześciu tysięcy żołnierza dostateczną była do rzucenia tam popłochu. Ta przednia straż składała się z kozaków Płatowa i piechoty Czaplica.

Ze strony Francuzów nie było ani jednego korpusu, któregoby zostały jakie szczątki. 1szy korpus (Dawu), 2gi (Udino), 3ci (Nej), 4ty (książe Eugienjusz), 9ty (Wiktor), do reszty się rozprzęgły w tych ostatnich dniach, pod wpływem mrozu bezustannie zwiększającego się i pochodu bez wytchnienia. U bram Wilna marszałek Wiktor, który ostatni spełniał obowiązek tylnej straży, ujrzał się wkrótce bez żadnego żołnierza. Każdy szedł grać się, posilać się gdzie mógł, a szczególniej starał się uniknąć ran, które wyrównywały śmierci. Zostało przy życiu najwięcej kiedy 3000 żołnierza z dywizji Lóazon i może tyleż z gwardji cesarskiej. Wszyscy jenerałowie ranni czy zdrowi, nie mając komu rozkazywać, rozeszli się każdy w swoją stronę; i Miurat pośród tego zamieszania strwożony odpowiedzialnością, która cią-

żyła na jego głowie, lękając się o swoje królestwo na widok tego ogromnego rozbicia, które się rozpoczęło w jego oczach, doznając mało pomocy ze strony Bertje chorego i przestraszonego, Miurat z głową nadwerżoną, nie wiedział co począć ani co rozkazywać.

Ale nieprzyjaciel nie dał mu nawet czasu wahać się. Szczątki armii przybyły jak powiedzieliśmy 8go i 9go grudnia i tłoczyły się po ulicach Wilna, grabiąc magazyny żywności i odzienia, kiedy 9go wieczorem Płatow ukazał się z swemi kozakami u bram miasta. Na odgłos pierwszych wystrzałów, zamieszanie i bezład doszły najwyższego stopnia. Tylnéj straży ani śladu już nie było. Jenerał Łóazon, który jeden miał nieco wojska w swém rozporządzeniu, nadbiegł z 19tym starym pułkiem dokompletowanym w większej części nowozaciężnemi i stanął za miastem. Marszałek Nej, który pozostawał bez dowództwa, ale który obejmował je wszędzie gdzie było niebezpieczeństwo, na co się chętnie zgadzano, stary Lefebwr odzyskując w niebezpieczeństwie swoją dawniejszą energję, przebiegali ulice Wilna, wołając żeby się rzucano do broni i starając się zgromadzić nieco uzbrojonych żołnierzy dla poprowadzenia ich przeciw nieprzyjacielowi. Widok bolesny i godzien rzewnéj litości przedstawiała ta wielka armja przyprowadzona do takiej nędzy skutkiem bezrozumnych przedsięwzięć! Wreszcie wstrzymano kozaków, ale na kilka godzin tylko i każdy wtedy myślał o ucieczce. Miurat tak waleczny na polach Borodyna, Miurat nie mogący być rannym, którego się żadna kula nie tknęła, dotknięty nagle chorobą ogólną, poszedł za przykładem swojego pana i nie chcąc żeby Rossjanie mieli u siebie króla więźniem, tak jak Napoleon nie chciał żeby nim mieli Cesarza, przeniósł się na przedmieście Wileńskie, rozciągające się po drodze do Kowna. Udał się tam, żeby mógł wyruszyć jeden z pierwszych. Puścił się w drogę w nocy 10go, powiadając że udawał się do Kowna, gdzie dołoży starań, ażeby zgromadzić armję po za Niemnem. Nie potrzeba było zresztą wydawać rozkazów, żeby każdy przygotował się do drogi. Wyruszono w nieładzie, jeden w tę stronę, drugi w ową, pozostawiając nieprzyjacielowi ogromne magazyny wszelkiego rodzaju, a co godniejsze było pozostałości znaczna ilość rannych i chorych, jednych pomieszczonych w szpitalach, drugich złożonych u mieszkańców, gdzie chirurg Larrej przez te dwa dni starał się ich umieścić, wreszcie dwanaście do piętnastu tysięcy żołnierzy wyniszczonych, którzy woleli raczej stać się niewolnikami Rossjan, niżeli przedłużyć ten pochód zabójczy śród mrozu na 30 stopni, bez przytulku w nocy, bez chleba w dzień. Stracono jeszcze w tém nagłym wystąpieniu 18 do 20 tysięcy żołnie-

rza, których łatwo było ocalić. Cała noc 10go użytą była na uciekanie z Wilna przed kozakami niecierpliwemi dostania się tam. Wystrzały tych co wchodzili napełniały przestrachem to nieszczęśliwe miasto.

O milę za Wilnem, drugie niemniej smutne widowisko przedstawiało się oczom uciekających. Wzgórza (zwane Ponarskie) przerzynające w tém miejscu drogę prowadząca do tego miasta i które sześciu miesiącami przedtém nasze szwadrony zwyciężkie przebyły cwałem ścigając Rossjan, pokryte były gołoledzią i przedstawiały powozom przeszkodę prawie niepodobną do przewyciężenia. Wozy, na których umieszczono oficerów rannych lub chorych, jaszczyki artylleryjskie, wreszcie furgony z kasą, które p. Bassano, ażeby nie wydać się zanadto wczesnie z niebezpieczeństwem położenia, zatrzymał jak można najdłużej w Wilnie, tłoczyły się u stóp wzgórza. Woźnice przejęci bojaźnią na odgłos wystrzałów, krzyczeli, okładali razami swoje konie, nie szczędząc okropnych przekleństw. Konie nie mogąc się utrzymać na lodzie, ślizgały się po nim i padały z kolanami pokrzwawionemi, podczas gdy armaty, porzucone w połowie góry, gdyż niepodobna było wciągnąć je wyżej, staczały się nazad po pochyłości i rozbijały wszystko co spotykały na swój drodze. Po kilku godzinach zgiełku i tych bezowocnych usiłowań, musiano przeciąć szleje koniom i porzucić kosztowne przedmioty nagromadzone u podnóża góry. Zginęło tam jeszcze dużo rannych i chorych. Furgony z kasą zawierały w sobie dziesięć milionów w złocie i srebrze. Kassjer bardzo dbały w wypełnieniu swych obowiązków, potrafił uratować niektóre z tych furgonów, ale musiał porzucić większą ich część na rozchwytnie żołnierzom. Znaleźli się nieszczęśliwi, którzy czując się orzeźwionemi na ten widok, mieli odwagę obciążać siebie złotem i srebrem. Ale rozchwytawszy furgony, dawali tysiąc franków srebrem za sto franków w złocie, gdyż ciężar odejmował całą wartość monecie, którą trzeba było dźwigać z sobą. Tam pozostało wiele trofeów z Moskwy i dużo chorągwi zabranych nieprzyjacielowi. Noc mijała kiedy kozacy nadbiegli i położyli koniec grabieży Francuzów.

Dni 10ty, 11ty i 12ty były użyte na przebieżenie dwudziestu sześciu mil (francuzkich), oddzielających Wilno od Kowna, i szczątki armji napłynęły do tego ostatniego miasta 11go i 12go grudnia. W jakimże stanie, w jakim ogołoceniu, w jakim zamieszaniu przebywano ten Niemen zamarzyły, który sześciu miesiącami przedtém przebyto przy najpiękniejszej pogodzie, w liczbie czterech kroć sto tysięcy żoł-

niezła piechotnego, 60 tysięcy jazdy, z 1,200 armatami, z przepychem nieporównanym! Każdy co nie był pozbawionym jeszcze czucia wśród tego mrozu na 30 stopni, musiał porównać stan swój obecny z ówczesnym i żałować się łzami. Niemen był pokryty lodem, mosty które na nim postawiliśmy i obwarowaliśmy je mocnymi szancami, nie były już środkiem wyłącznym przebycia rzeki i kozacy przebyli już ją byli cwałem. Nie można więc było myśleć o zatrzymaniu się w Kownie, równie jak w Wilnie, skoro Niemen w tej porze roku nie przedstawiał prawdziwej linii obronnej. Opróżnić magazyny, to jest, grabić je, był jedyny sposób korzystania z pobytu w tym mieście. Rzucono się na nie z pewnym rodzajem wściekłości. Były one daleko lepiej zaopatrzone niżeli Wileńskie, gdyż żegluga wewnętrzna z Wisły do Niemna przeniosła tam, dzięki czynnemu udziałowi generała Bast, wszystkie zasoby Gdańska. Nasi nieszczęśliwi żołnierze zbiegali się nadewszystko do magazynów wódki, szukając w ogrzaniu wewnętrznym środka przeciw zimnu zewnętrznemu i tym sposobem zabijali się z niecierpliwości odzyskania życia. Ulice w jednej chwili pokryte zostały beczkami rozbitymi, oraz żołnierzami konającymi z przemarznięcia i przepicia się.

12go grudnia rano, Miurat przywołał marszałków, księcia Bertje i p. Dariu dla naradzenia się jak miano dalej postąpić. Wszyscy dowódcy oświadczyli że nie było ani jednego żołnierza w korpusach, że pozostawało tylko ze 2,000 żołnierza w dywizji Lóazon i 1,500 w szeregach gwardji, z których 500 najwięcej było zdolnych do dania ognia z fuzji. Miurat, którego zmienny charakter okazywał naprzemian dla Napoleona już miłość, już nienawiść, i który w tej chwili nie mógł mu przebaczyć że narażał na niebezpieczeństwo korony familji Bonapartych, dał się słyszeć ze skargami przeciwko panu, którego bezrozumna, jak mówił, ambicja pograżyła ich w przepaść. Wszystkie serca podzielały te uczucia, ale jedni wstrzymywani jeszcze bojaźnią, drudzy, jak Nej, pocieszając się w obecnym nieszczęściu chwalebą nabytą w tej kampanji, inni wreszcie, jak Dariu, znajdując dziwnym, że ludzie którzy najwięcej korzystali z ambicji Napoleona byli pierwsi w uzalaniu się na nią, przyjęli skargi Miurata milczeniem lub naganą. Dawu szczególnie, który miał wstręt instynktowy tak do przymiotów jak do wad króla Neapolitańskiego i który toczył z nim był gwałtowne spory, przywiódł go do milczenia powiadając, że jeżeli ambicja Napoleona powinna była znaleźć naganiaczy w armji, to nie w osobie tych z jego dowódców, których porobił królami, że zresztą w obecnych okolicznościach należało mieć tylko jeden przed-

miet na względzie, to jest, jak się wyratować, nie przyczyniając się dawaniem złego przykładu do niekarność wojsk. Gdy ta scena, która objawiała stan umysłów, nie pociągnęła za sobą żadnych następstw, zajęto się tém co miano przedsięwziąć. Powierzono za wspólną zgodą marszałkowi Nejowi obronę Kowna, oraz kierunek ostateczny odwrotu. Miał on dla dania czasu tłumowi uciekających do opuszczenia miasta, bronić Kowna przez dwie pory, ze szczątkami dywizji Lóazon, kilką oddziałami wojsk Ligi Nadreńskiej, a potem cofnąć się na Królewiec, gdzie miał połączyć się z nim marszałek Makdonald, który ze swéj strony cofał się z pod Rygi na Tylzyt. Co do smutnych szczątków armji, uznano za rzecz niepodobną zgromadzić ich gdzieindziej jak nad Wisłą, to jest, za linją, za którą nie byłaby więcej ściganą. Postanowiono że kadry, mając w sobie po trzydziestu lub czterdziestu oficerów na pułk, oraz kilku podoficerów niosących chorągwie zgromadzą się, gwardyjskie w Gdańsku, 1go i 7go korpusów (Dawu i Westfalczyków) w Toruniu, 2go i 3go korpusów (Udino i Neja) w Marjenburgu, 4go i 6go (księcia Eugienjusza i Bawarczyków) w Marjenwerder, 5go (Polaków) w Warszawie i że odsyłać się będą ku tym punktom zebrania żołnierze rozproszeni po drogach. Marszałek Nej żądał ażeby dla zrobienia ostatecznego wysilenia pod murami Kowna, przydano mu do pomocy jenerała Żerar (Gérard), na co się zgodzono.

Po obmyśleniu tych środków, wszyscy wyruszyli do Królewca. Nej i Żerar pozostali jedni w Kownie dla wstrzymania kozaków. Nej postawił w szańcach wzniesionych przed mostami na Wilji i Niemnie kilka oddziałów niemieckich, a wzdłuż zamarzłych łożysk Wilji i Niemna, których należało bronić bez pomocy jakiegokolwiek fortyfikacji obronnej, resztki dywizji Lóazon, szczególnież stary pułk 29ty, który, jak powiedzieliśmy wyżej, dokompletowany był młodemi żołnierzami. 13go rano kozacy ukazali się z swą artylleryją ciągnioną na saniach. Stanęli najprzód przed mostem na Niemnie od drogi Wileńskiej i dali ognia z armat ku czołu mostowemu. Żołnierze niemieccy księstw Reuss i Lippe, przejęci panicznym strachem, nie chcieli ani słyszeć o obronie, rzucili broń i zagwoździli swe armaty. Oficer, który nimi dowodził, palnął sobie w łeb z rozpaczy. Na odgłos pochodzący z téj strony, Żerar i Nej nadbiegli i biorąc żołnierzy za ręce, zaklinając ich żeby się zatrzymali, chwytając sami fuzje i strzelając z nich dla ośmielenia ich, potrafili zatrzymać z nich niektórych. Widząc to, dwiestu kozaków zsiadło z koni i z karabinami w ręku posunęło się ku czołu mostowemu. Żerar i Nej prawie pozostali sami, kiedy w tém adjutant marszałka Neja, Riumini, przyprowadza oddział 29go

pułku, który ogniem swoim wstrzymuje kozaków i zmusza ich do cofnięcia się. Marszałek Nej sądzi, że uratował Kowno i w uniesieniu radości uściska generała Żerar. Ale wkrótce Niemcy rozbiegają się, żołnierze 29go pułku pociągnięni przykładem i widząc niepodobiestwo bronienia Kowna z kilkuset żołnierzami, rozchodzą się takż powoli, tak że przy schyłku dnia (13), Nej i Żerar nie mają więcej przy sobie jak 500 do 600 żołnierza i 8 do 10ciu armat z dywizji Lóazon. Broniąc się przez cały ten dzień i dozwolewszy ując cało większej części bezoreężnych, zamyślają wreszcie wyruszyć sami w nocy, z temi kilkuset wiernemi żołnierzami, którzy przy nich pozostali. Byli oni jeszcze w stanie oprzeć się przynajmniej jednemu napadowi kozaków. Około północy, przekonawszy się że wszystko co mogło iść wyruszyło przed nimi, probowali wdrzeć się na te wzgórza, na których 24go czerwca błyszczwały w promieniach słońca sztandary armji przed przebyciem Niemna. Ale gołedź podobnie jak przy wyjściu z Wilna, wstrzymała ostatnie wozy z bagażami i artylleryją, oraz kilka furgonów, ostatnie resztki kassy. Taż sama scena, też same wysilenia, też same wrzaski jak u stóp góry Ponarskiej i też same daremne usiłowania! Na domiar nieszczęścia, kilkudziesięciu kozaków przebywszy Niemen po lodzie, wdrapało się z boku na wzgórze i zagrażało odcięciem drogi. Na widok tego nowego niebezpieczeństwa, 500 do 600 żołnierzy Neja i Żerara rozbiegło się w ciemności, szukając każdy swojego ocalenia tam, gdzie je spodziewał się znaleźć. Marszałkowi i generałowi Żerar, którzy pozostali prawie sami z kilku oficerami, nie pozostawało nic więcej jak myśleć o bezpieczeństwie osobistém, zwróciwszy więc na prawo, udali się brzegiem Niemna dla ukrycia się przed nieprzyjacielem, wzdłuż jego łożyska ścieśnionego i pokrytego grubym lodem. Wstąpili potém cali i zdrowi na drogę wiodącą z Gumbina do Królewca i oddali tym sposobem ostatnią i jedyną usługę, jaką mogli wyświadczyć, gdyż w ogromie téj klęski było to niejakiém wynagrodzeniem ocalenie tych dwóch ludzi.

Od téj chwili nie było już ani jednego korpusu zbrojnego i odwrót dokonał się małemi partjami, uciekającemi przez pokryte śniegiem równiny Polski przed nieustającą pogonią kozaków. Ci pędziwszy jeszcze mil kilka za Niemnem, wrócili na linję téj rzeki, której armje rosyjskie zwyciężkie ale wyniszczone i zmniejszone do dwóch trzecich części, nie śmiały przebyć.

W Królewcu zgromadziły się główne sztaby i stara gwardja. Na 7,000 żołnierza, których stara gwardja liczyła na początku kampanji, pozostawało jój 5,962 przy wystąpieniu ze Smoleńska. Z tych 5,962

żołnierzy straciła w drodze ze Smoleńska do Królewca 528 ludzi zabitych lub rannych, których nie można było zabrać, 1,377 o których wiadano że zmarli z utrudzenia lub głodu, 2,586, o których wnoszono że zmarli lub pozostawszy w drodze wzięci zostali w niewolę, to jest, w ogóle wybyło z starej gwardji od Smoleńska 4,491, pomiędzy któremi 528 tylko poległych w boju. Zostawało przy życiu 20go grudnia 1,471, z których 500 zaledwo sposobnych do trzymania furji w ręku. Spisy tych strat złożone były przez marszałka Lefebwr głównemu sztabowi i był to jeden tylko korpus, któremu rozdawano regularnie żywność! Z młodej gwardji nie pozostało ani jednego żołnierza.

W Królewcu znajdowało się jeszcze w łazaretach około 10,000 ludzi, z których mała część była rannych, reszta chorych. Pomiedzy temi ostatnimi, jedni mieli członki odmrożone, drudzy dotknięci byli pewnym rodzajem zarazy, którą lekarze nazywali gorączką z przeziębienia, i która była nadwyzczaj zaraźliwą. Bohaterski Larrej, chociaż wyniszczony utrudzeniem i cierpieniami, pospieszył do tych łazaretów dla pielęgowania chorych i dostał tam téj zgubnej zarazy, z której omal co nie umarł. Bohaterstwo jakiegokolwiek bądź rodzaju, jest pociechą w wielkich klęskach. Pocięchy téj nam nie zabrakło; wyrównywała ona wielkości naszych nieszczęść. W Królewcu pośród tłumy nieszczęśliwych oplatających śmiercią ambicję Napoleona, albo własną niewstrzeźliwość, zmarli niektórzy mężowie godni nieśmiertelnej pamięci, szczególaie dwaj, to jest, jenerałowie Larybóazjer i Eble. Pierwszy osłabiony trudami, znoszonemi z rzadką wytrwałością pomimo podeszłego wieku, ale szczególaie niepocieszony po śmierci syna zabitego w jego oczach w bitwie pod Borodynem, umarł z zarazy panującej w Królewcu. Dano mu za następcę znakomitego Eble w naczelném dowództwie artyllerji. Ale ten szlachetny starzec, dotknięty sam chorobą śmiertelną nad Berezyną i odtąd upadając coraz na siłach, skonał we dwa dni po dowódcy, którego zastąpił miejsce. Ze stu pontonjerów, którzy na jego rozkaz zanurzyli się w wodzie Berezyny dla budowania mostów, pozostawało dwunastu. Z trzyestu innych, pozostawała zaledwo czwarta część.

Z boleścią piszemy ten nekrolog armji, ale potrzeba żeby wieley ludzie i narody wiedziały, co kosztują szalone przedsięwzięcia i co kosztowało obecne, zaiste jedno z najbardziej szalonych i najbardziej morderczych, jakie kiedykolwiek powzięto. Starano się często porachować straty Francji i jej sprzymierzeńców w wyprawie rosyjskiej, rachunek straszny i niepodobny do wykonania! Jednakże można zbli-

żyć się do prawdy, nie spodziewając się jej całkiem wykryć. Armja cała przeznaczona do działania od Renu do Niemna, liczyła w sobie 612,000 żołnierza i 150,000 koni, a z Austriakami 648,000. Z tych, 420,000 przebyło Niemen. Później przyłączył się do nich 9ty korpus (marszałka Wiktora) mieszczący w sobie 30,000 żołnierza, oraz dywizja Lóazon od 12,000, dywizja Diuriut od 15,000, niektórzy sprzymierzeńcy i pewna liczba bataljonów pochodowych w liczbie 20,000 i wreszcie 36,000 Austriaków, co czyni masę ogólną wojska, które przebyło Niemen, 533,000 żołnierza. Pozostało pod księciem Szwarzenbergiem i jenerałem Renje około 40,000 Austriaków i Sasów cofających się powolnie od Bugu do Narewu, 15,000 Prusaków i Polaków pod marszałkiem Makdonaldem, usiłujących dostać się do Niemna i nieco żołnierzy poosobno idących, dążących przez równiny Polski ku Wiśle. Z tych żołnierzy poosobno idących, zebrano potem jakie 30 czy 40 tysięcy. Niedostawało więc 438,000 żołnierzy, z których Rossjanie mieli u siebie w niewoli około 100,000. Takim sposobem 340,000 zginęło? Szczęściem nie! Liczba pewna żołnierzy, której nie można dokładnie oznaczyć, opuściła szeregi zaraz na początku kampanji i wróciła przez Polskę i Niemcy w rodzinne strony, ale bez przesady można powiedzieć że blisko 300,000 ludzi zginęło tak na polu bitwy, jak z głodu i zimna. Iluż z tej liczby samych Francuzów przyniesionych zostało w ofierze? Pochlebcy Napoleona we wszystkich czasach, gdyż miał on ich na tronie i pozbawiony tronu, żyjący i umarli, pochlebcy chcieli nas pocieszać, powiadając że sprzymierzeńców Francji jako ofiar było więcej w tej liczbie 300,000 niżeli nas, co jest fałszem widocznym, gdyż Francuzi stanowili więcej jak dwie trzecie części armji. Lecz odrzucmy tę niegodną pociechę i uważajmy za Francuza każdego sprzymierzeńca poległego za nas!

Po dokonaniu tego smutnego rachunku, cóż mamy powiedzieć o przedsięwzięciu samém? jakiz sąd wydać, któregooby nie wydał już przedtém zdrowy rozsądek narodów?

Co do przedsięwzięcia, nie albo prawie nie nie mogło mu zapewnić pomyślnego skutku. Niemylnosc nawet postępowania nie naprawiłaby istotnej jego wady. Z błędami jakie popełniono, i które po większej części wypływały z zasady samej przedsięwzięcia, pomyślny skutek był bardziej jeszcze niepodobnym.

Najprzód, politycznie uważając, nie było ono potrzebném Napoleonowi: przedłużając z wytrwałością wojnę w Hiszpanji, jakkolwiek wojna ta była niewdzięczną, poświęcając na nią wyłącznie swe siły i swe pieniądze, rozstrzygnąłby kwestję europejską, a rzekając się

prócz tego niektórych nabytków w ziemi bardziej uciążliwych niżeli użytecznych, otrzymałby bez wątpienia pokój powszechny. Przypuszczając nawet że ta rachuba byłaby mylną, i że przed zawarciem powszechnego pokoju Rossja miała nieodbitcie połączyć się jeszcze raz z Anglją, nie potrzeba jej było uprzedzać, należało zostawić przy niej winę napadu, czekać jej na Wiśle, gdzie mianoby dla walczenia z nią 300,000 ludzi zdatnych do boju na 500,000 żołnierza wyprowadzonego w pole, wówczas kiedy nad rzeką Moskwą miano ich zaledwo 130,000 na więcej jak 600,000 które ruszyły w pochód. Ale szukać Rossjan u nich, zamiast czekać ich nad Wisłą, był to jeden z największych błędów w historii, i ten błąd był owocem nie wady umysłów u Napoleona, ale skutkiem zapędu jego gwałtownego charakteru, który nie umiał ani użyć cierpliwości ani czekać.

Jeżeli więc to przedsięwzięcie było szalonem w zasadzie, było więc takiem jeszcze zważając na stan w jakim Napoleon znajdował się w 1812ym pod względem sił wojennych: Nie miał on już starych żołnierzy z pod Austerlitz i Frydlandu; żołnierze ci poginęli albo mieli poginać w Hiszpanji. Było ich jeszcze nieco w korpusie Dawu, w niektórych starych dywizjach Neja, Udino i Eugienjusza; nieszczęściem przepełniono nad miarę ich szeregi nowo-zaciecznemi, sprowadzonemi gwałtem pod chorągwie, z których jedni byli silni, ale niekarni, drudzy karni, ale za nadto młodzi; i w te stare szeregi tym sposobem osłabione, pomieszczono jeszcze sprzymierzeńców, którzy nas nienawidzili, którzy się bili bez wątpienia, ale opuszczali szeregi, skoro znajdowali zręczność po temu. Nie z taką to gromadą bez spójności należało rozpoczynać podobne przedsięwzięcie. Lepiej było mieć z sobą 300.000 starego żołnierza, takiego jakimi byli żołnierze marszałka Dawu, niżeli 600,000 które prowadzono z sobą, gdyż zachodziłaby tylko połowa trudności w ich przekarmieniu, a karmiąc ich dobrze, zatrzymanoby ich pod chorągwiami. W 1807, z wyborne mi żołnierzami, zaledwo nie poniesiono klęski że się zapędzono aż do Niemna: probować w 1812ym iść dwa razy dalej, z żołnierzami, którzy o połowę byli mniej warci od tamtych, było to narażać się na klęskę niechybną. I tu przekonywamy się widocznie, że Napoleon posunął do ostateczności swój ambitny systemat, zależący na deptaniu uczuć ludów siłami wszelkiego rodzaju, zebranemi na pręde, i niedoskonale uorganizowanemi. Zostawano więc pośród największych trudności, i użyto ostatecznych środków dla ich odwrócenia. Ściągnięto na siebie zemstę Hiszpanów, którzy przyprawiali o zgubę najlepszą część naszych wojsk, obudzono skrytą nienawiść Niemców,

i po tém wszystkiém zapędzono się w odległe strony dla wywołania rozsiewającej pożogi Rossjan. Przeciw temu buntowi serc w całej Europie, buntowi skrytemu lub jawnemu, stawiono żołnierzy zaledwo zaciągnionych do wojska, zaledwo skupionych w jedną masę, mieszaninę różnych narodowości potajemnie nieprzyjaznych sobie, które honor powstrzymywał tylko w chwili walki, ale które gotowe były do opuszczenia szeregów, skoro honor im tego dozwalał. Dodawać tym sposobem do trudności przezwyćżenia nienawistnych uczuć, ogromne przestrzenie do przebycia, z siłami nie potężniej skupionemi w miarę trudności, ale przeciwnie tém słabiej spojonymi im trudności te były większe, było to zgromadzać w jednym przedsięwzięciu wszelkie rodzaje złudzeń, jakie tylko despotyzm upojony szczęściem mógł sobie utworzyć! Było to przygotowywać sobie prawie niechybnie najstraszliwszą z klęsk!

Istotnym więc błędem było samo przedsięwzięcie. Poszukiwać błędy wykonania, które mogły się jeszcze przyczynić do błędu głównego, na małoby się zdało, gdyż prawie wszystkie te błędy wykonania wypływały z błędu głównego, jak następstwa wypływają nieuchronnie z swęj zasady.

I tak, prawda że Napoleon wszedłszy do Rossji 24go czerwca, stracił ośmnaście dni w Wilnie, ośmnaście dni bardzo drogich; że wystawszy Dawu przeciw Bagracjona, nie udzielił mu sił potrzebnych, w myśli zachowania samemu sobie massy przeważnej dla zgnębienia niezwłocznie Barklaj de Tollego; że przybywszy do Witebska stracił jeszcze dwanaście dni; że wystąpiwszy z Witebska dla obejścia obu armij rossyjskich połączonych w Smoleńsku, wahał się może za nadto pójść w górę Dniepra aż za Smoleńsk, co bez wątpienia zapewniłoby mu pożądaný rezultat; że zamiast zatrzymania się w Smoleńsku, wiedziony potrzebą odniesienia świetnego zwycięztwa, pociągnął w ślad za armją rossyjską w zbyt odległe strony, które miały stać się dla niego zgubnemi; że podczas wielkiej bitwy nad rzeką Moskwą pożałował swęj gwardji, co mu nie dozwoliło zadać ostatniego ciosu armji rossyjskiej; że wszedłszy do Moskwy, widząc się tam otoczonym pożarem, czując potrzebę wyjścia stamtąd, i nakreśliwszy plan obszerny i głęboki dla powrócenia nad Dźwinę przez Wielkie Łuki, nie umiał przezwyćżyć oporu swoich dowódców; że widząc niebezpieczeństwo pozostawania w Moskwie, pozostał tam przez pychę, żeby nie wyjawić światu, że zmuszony był do odwrotu; że poświęcił temu uczuciu czas drogi, któryby mu wystarczał na ocalenie siebie; że wyszedłszy z Moskwy, nie chcąc jęj opuszczać, i obmyśliwszy sposób

obejścia armji rossyjskiej w Mało-Jarosławcu, dla dostania się do pięknych okolic Kalugi, nie umiał w tém wytrwać, i ustąpił jeszcze tą razą zniechęceniu swych dowódców; że wreszcie zmuszony uciekać po téj smutnej drodze Smoleńskiej, zaniechał starania około odwrotu, i nie uczynił nic osobiście dla zmniejszenia jego nieszczęść; że w Kraśném przeszedł partjami, zamiast przejść w massie, i stracił tam cały korpus marszałka Neja, oprócz samego marszałka, prawie wszystko to co pozostawało z wojska księcia Eugienjusza, część gwardji i korpusu marszałka Dawu; nakoniec, że uratowany cudem na Berezynie, zaniechał, opuszczając armię, korzystać ze zręczności zgromadzenia jej szczątków, i z temi szczątkami uderzenia na Rossjan, prawie tyleż osłabionych co my, i zadania im straszego ciosu, któryby wynagrodził poniesioną klęskę. Wszystko to jest niezapreczenie prawdą, ale ci którzy chcą widzieć w tém gienjusz Napoleona przyćmiony lub osłabiony, i którzy nie widzą tam błędu głównego, który ukazuje się i urozmaica się do nieskończoności, oraz systematu samego posuniętego do ostatniego kresu, wydają sąd mylny o téj ogromnej klęsce. Zaiście, kiedy Napoleon posuwając się na Wilno, przecinał armję rossyjską na dwie połowy, kiedy postępując cichaczem najprzód z Wilna do Witebska, potem z Witebska do Smoleńska, dwa razy bliższy był wyminięcia i obejścia tejże armji, kiedy pośród ruin Moskwy obmyślał ruch na Wielkie Łuki, który chociaż wsteczny, pozostawał zaczepnym, i wyprowadzał z Moskwy nie osłabiając go, kiedy wybierał tak trafnie punkt przejścia na Berezynie, któż miałby prawo utrzymywać, że dziwna pojętność Napoleona była osłabioną? Przeciwnie, można utrzymywać, że nie popełnił ani jednego błędu, któryby nie wynikał koniecznie z samego przedsięwzięcia. I tak, kiedy tracił czas w Wilnie, w Witebsku, to dla zgromadzenia swoich żołnierzy rozpierzechnionych i strudzonych długim pochodem, i prawdziwym błędem nie było to czekanie na nich, ale zaprowadzenie ich tak daleko; jeśli nie dawał dość wojska marszałkowi Dawu dla pokonania Bagracjona, i zabezpieczenia drogi Barklaj do Tollemu, to dla tego że liczył na połączenie sił, które natura miejscowości czyniła prawie niepodobnym, i przedsięwzięcie samo miało wielki udział w jego błędzie; jeżeli w Smoleńsku nie zatrzymał się, to było całkiem winą samego przedsięwzięcia, bo jeżeli niebezpieczną rzeczą było iść do Moskwy, niemniej niebezpieczną było zimować w Litwie, mając rzeki zamarzałe za granicę, Europę pełną nienawiści za sobą, i zaczynającą wątpić o niezwyćżoności Napoleona; jeżeli nad rzeką Moskwą nie śmiał dawać swojej gwardji, która była jedyną jego rezerwą, to nale-

ży obwiniać takżę przedsięwzięcie, którego zaczynał pojmwac szaleństwo, i które jednym razem czyniło go bojaźliwym, za karę że był za nadto śmiałym; jeżeli w Moskwie pozostał zanadto długo, to nie przez próżną nadzieję otrzymania pokoju, ale z powodu trudności wyznania swego przykrego położenia przed Europą, zawsze gotową przejść z uległości do oporu; jeśli wahał się w obec swoich dowódców, czy to podczas ruchu projektowanego na Wielkie Łuki, czy to podczas ruchu na Kaługę, to dla tego że wymagając od nich przedtęm za wiele, nie ośmielał się potęm wymagać od nich rzeczy istotnie potrzebnych; jeśli w odwrocie nie okazał tęg działalności i energii, któręj dał tyle dowodów, to dla tego że uczucie głębokie swojej winy paraliżowało jego energję. Człowiek mniej przenikliwy, mniej trafnie sądzący o błędach tak innych ludzi jak swoich własnych, mniej byłby przygnębnym, mniej doznawałby żalu, lepiej naprawiłby swój błąd. Jestto karą gjenjuszu, że czuje swe błędy więcęg niżeli mierność, i więcęg od nięg jest karanym w głębi swojego sumienia. Wreszcie jeżeli odjechał ze Smorgoń opuszczając swą armję, to dla tego że zanadto przewidywał, że powiększał nawet sobie następstwa bezpośrednio swojej klęski, i sądził że nie zdoła im zapobiedz gdzieindziej jak w Paryżu. We wszystkiém tęg niesłusznie uważanoby go za osłabionego pod względem umysłu lub charakteru, gdyż takim nie był, i dowiódł tego wkrótce na licznych polach bitw; potrzeba go widzięc takim jakim był, to jest, przygnębnym ciężarem swojego błędu, i jeżeli można odkryć jakie omyłki szczegółowe, które się nie odnoszą do błędu głównego, w ogóle działań wszystko pochodzi od niego, czyli od tego charakteru nieporządnego, który skłonił Napoleona do popełnienia go, i wtedy cała klęska nie może być przypisaną przypadkowi, ale przyczynie moralnęg, co daleko więcęg jest nauczającém i godniejszym Opatrzności, naszemu najwyższemu Sędziemu, naszemu najwyższemu rozdawcy nagród i kar w tęg i przyszłęg życiu. Według nas, potrzeba widzięc w tych tragicznych wypadkach nie takie lub inne uchybienie w sposobie działania, ale wielki błąd że poszedł do Rossji, i w tym błędzie widzięc większy jeszcze, że chciał wszystkiego dokazywać nad światem, przeciwko prawu, przeciw uczuciom ludów, bez względu na uczucia tych, których należało zwyciężyć, bez względu na rozlew krwi tych, z którymi należało zwyciężyć, jedném słowem, obłęd gienjuszu nieznającego ani wędzidla, ani sprzeciwieństwa, ani oporu, obłęd gienjuszu zaślepionego despotyzmem. Żeby być prawdziwym, żeby być pożytecznym, nie potrzeba poniżać Napoleona, gdyż jest to poniżać naturę ludzką, chciaęc poniżać gienjusza;

potrzeba go sądzić, potrzeba go pokazywać światu, z prawdziwemi przyczynami jego błędów, dawać go za nauczający przykład narodom, naczelnikom państw, naczelnikom wojsk, okazując czém się staje gienjusz pozostawiony sobie samemu, gienjusz kierowany, obłąkany samowolnością. Nie potrzeba żądać innej nauki od tej straszliwej kłęski. Należy zostawić temu, który tak nieszczęśliwie pobłądził, jego wielkość, która się przyczynia do wielkości nauki, i która dla ofiar pozostawia przynajmniej wynagrodzenie chwały.

Koniec Tomu Siódmego.

SPIS RZECZY

w tomie VII^{ym} zawartych.

KSIEGA CZTERDZIESTA PIERWSZA.

S O B Ó R.

Strona

Przyjście na świat króla Rzymskiego 20 marca 1811. — Odroczenie obrzędu chrztu do miesiąca czerwca. — Rozmaite okoliczności, które w tym czasie zasmucają Francję i tłumią wybuchy radości publicznej. — Podwojenie nieufności względem Rossji, przyspieszenie uzbrojenia i surowość konskrypcji. — Kryzys handlowy i przemysłowy spowodowany mnogością wyrobów fabrycznych i zakłóceń w prawach celnych. — Liczne bankructwa fabrykantów przędzy i tkanin bawełnianych, sukna, materij jedwabnych, rafinerji i t. d. — Pomoce udzielone przez Napoleona handlowi i przemysłowi. — Do tych przyczyn przykrego położenia łączą się zamieszki religijne. — Usiłowania Papieża i części duchowieństwa dla zapobieżenia administracji tymczasowej dyccezji. — Intrzygi po kapitulach dla przeszkodzenia im udzielenia nowym prałatom charakteru wikariuszów kapitulnych. — Listy pasterskie Papieża do kapituł Paryża, Florencji i Asti. — Przypadek odkrywający te listy. — Uwieszenie p. d'Astro; wygnanie gwałtowne p. Portali z Iona Rady Stanu. — Surowość przeciw duchowieństwu i poddanie się kapituł opornych. — Napoleon widząc zagrażające niebezpieczeństwo odszczepieństwa, zamierza zwołanie soboru, i zebranie się jego naznacza w miesiącu czerwcu, na dzień chrztu króla Rzymskiego. — Dalszy bieg interesów zagranicznych przed nastąpieniem chrztu i soboru. — Napoleon odbiera portfel interesów zagranicznych księciu Radorskiemu i powierza go księciu Bassano. — Odjazd p. Lorystona dla zastąpienia w Petersburgu p. Kółkura. — Zwłoka naumyślna w jego podróży. — Rozmowy Cesarza Aleksandra z pp. Kółkurem i Lorystonem. — Cesarz Aleksander widząc, że uzbrojenia dotknęły Napoleona, wyjaśnia ich początek i obszerność, oraz stara się przekonać, że one nastąpiły później, a nie poprzedziły uzbrojenia Francji. — Jego chęć szczera pokoju, ale przytém niezmiennie postanowienie zatrzymania się względem blokady lądowej na środkach pierwój przez niego przyjętych. — Napoleon z uczynionych przez Cesarza Aleksandra objaśnień wnosi, że wojna jest nieuchronną, ale nastąpi nie pierwój jak za rok. — Obraca przeto więcj czasu na swe uzbro-

jenia i nadaje im większe rozmiary. — Robi wszelkie przygotowania dla rozpoczęcia wojny na wiosnę 1812 roku. — Zamiary i kierunek jego dyplomacji przy rozmaitych dworach europejskich. — Stan dworu Wiedeńskiego od czasu małżeństwa z Marją Ludwiką; polityka Cesarza Franciszka i p. Metternicha. — Prawdopodobieństwo przymierza z Austrią, jego warunki, stopień jego szczerości. — Stan dworu Pruskiego. — Król Fryderyk Wilhelm, p. Hardenberg, i ich niespokojność i ich polityka. — Danja i Szwecja. — Gorliwość Danji w popieraniu blokady łądowej. — Zła wiara Szwecji. — Państwo to korzysta z pokoju udzielonego przez Francję dla stania się pośrednikiem handlu przemysłowego. — Skład towarów w Gottenburgu, przeznaczony dla zastąpienia takiegoż składu na Helgolandzie. — Trudności odnoszące się do następstwa tronu. — Śmierć następcy tronu przysposobionego przez króla Karola XIII, pozostawia następstwo wakujące. — Liczne stronnictwa w Szwecji, i ich rozmaite widoki pod względem wyboru następcy tronu. — W swém zakłopotaniu, rozmaite stronnictwa jednoczą się nagle na korzyść księcia Ponte-Korwo (marszałka Bernadotte), spodziewając się tym pozyskać przychyłość Francji. — Napoleon obecny wyborowi, pozwala księciu Ponte-Korwo przyjąć go. — Zaledwo przybywszy do Szwecji, nowo-wybrany chcąc poclebić ambicji swoich przyszłych poddanych zamierza pojąć Norwegję, i podaje Napoleonowi propozycję ułatwienia mu jęj zawojowania. — Napoleon, wierny Danji, odrzuca tę propozycję. — Usposobienie ogólne w Niemczech, w chwili kiedy zdaje się przygotowywać wojna powszechna na północy. — Obok stawienia w gotowości swych armji i zawierania przymierzy, Napoleon zajmuje się czynnie sprawami wewnętrznymi. — Chrzcziny króla Rzymskiego. — Wielkie uroczystości z tego powodu. — Przygotowania do soboru. — Poludki, które skłoniły do zwolania raczej soboru narodowego niżeli powszechnego. — Rwestje mające być przedstawione na jego rozstrzygnięcie. — Wszystkie je zamykają w jednej, to jest w kwestji potwierdzenia kanonicznego biskupów. — Przed zebraniem się soboru wysłani są trzej prałaci do Sawony w celu porozumienia się z Pijusem VII i ażeby można było przedstawić soborowi takie tylko wnioski, które przyjęte zostały przez stolicę ś. — Prałaci temi są: arcybiskup Turski (de Tours), biskupi Nantski (de Nantes) i Trewski (de Trèves). — Podróż do Sawony. — Przyjęcie jakiego doznają od Papieża. — Pijus VII udziela dozwoleńia pośredniego systematowi przedstawionemu co do potwierdzenia kanonicznego, a odracza urządzenie ogólne spraw kościoła do chwili, kiedy mu wróconą zostanie jego wolność i jego rada. — Powrót trzech prałatów do Paryża. — Zebranie się soboru 17 czerwca. — Usposobienia rozmaitych stronnictw składających sobór. — Ceremonjał, mowa przy otwarciu i przysięga wierności stolicy ś. — Prałaci wnet po swém zebraniu się ożywieńi są wspólném uczuciem politowania dla nieszczęść Pijusa VII i tajemnego wstępu dla despotyzmu Napoleona. — Bojaźń ich powstrzymuje. — Pierwsze posiedzenie soboru. — Projekt adresu w odpowiedzi na posłanie Cesarzkie. — Trudności jego redagowania. — Na posiedzeniu, na którym roztrząsają ten adres, umysły się zapalają i jeden z członków podaje wniosek udania się w komplecie do Sę-Klu dla domagania się uwolnienia Papieża. — Prezydujący wstrzymuje to

poruszenie zawieszając posiedzenie. — Przyjęcie adresu po licznych poprawkach i odmówienie Napoleona przyjęcia go. — Rola pośredników przyjęta przez pp. Diuwożę, biskupa Kantskiego i Barsala arcybiskupa Turskiego. — Niezręczność i pycha kardynała Feska. — Kwestja główna, to jest potwierdzenia kanonicznego, oddana jest do rozpatrzenia kommissji. — Rozliczne zdania w Ionie tej kommissji. — Pomimo usilowań p. Diuwożę, większość członków skłania się przeciw prawomocności soboru — Napoleon rozgniewany chce rozwiązać sobór. — Nakłaniają go do czekania ostatniego rezultatu. — P. Diuwożę skłania kommissję do przyjęcia za podstawę wniosków przyjętych przez Papieża w Sawonie. — Zdanie to przyjęte z początku, nie jest zatwierdzone ostatecznie jak z odwołaniem się na nowo do Papieża, które każe się domyślać nieprawomocności soboru. — Rapport przedstawiony przez biskupa Turnejskiego, obudza burzliwą scenę w soborze i oznaki prawie huntownicze. — Napoleon rozwiązuje sobór i odsyła do Węsen biskupów Gandskiego, Tróaskiego i Turnejskiego — Prałaci przestraszeni chcą wchodzić w układy. — Zbierają poosobno ich zdania, i gdy się przekonano o większości, zwołują znów sobór na 5go sierpnia. — Zgromadzenie to wydaje dekret zgodny prawie z tém, czego od niego żądano, ale z odwołaniem się do Papieża, które jednak nie pociągało za sobą nieprawomocności soboru. — Nowa deputacja kilku kardynałów i prałatów do Sawony, dla otrzymania przystąpienia Papieża do działań soboru. — Napoleon znużony tą kłótnią religijną, zmierza tylko do pozbycia się prałatów zgromadzonych w Paryżu i do korzystania z deputacji wysłanej do Sawony dla otrzymania potwierdzenia dwudziestu siedmiu biskupów nominowanych a nie potwierdzonych. — Mając umysł całkiem zaprzątnięty zbliżającą się wojną na Północy, pochlebia sobie, że zostawszy jeszcze raz zwycięzcą, świat cały ulegnie jego przewadze. — Nowe objaśnienia z Rossją. — Rozmowa Napoleona z księciem Kurakinem wieczorem 15 sierpnia. — Rozmowa ta pozostawia małe nadzieje pokoju i skłania Napoleona do czynniejszego jeszcze zajęcia się przygotowaniem. — Odprawienie czwartych i szóstych bataljonów. — Użycie sześćdziesięciu tysięcy opornych, których zmuszono do pełnienia służby. — Sposób nagięcia ich do karności wojskowej. — Skład czterech armij przeznaczonych na wojnę rossyjską i przygotowanie rezerwy dla Hiszpanji. — Podróż Napoleona do Hollandji i do prowincji nadreńskich. — Plan obrony Hollandji. — Obecność Napoleona służy za pretekst do skupienia w jedno miejsce ciężkiej kawalerji i do wysłania jej nad Elbę. — Szttyflowanie ułanów. — Przegląd wojsk przeznaczonych na wojnę rossyjską. — Pobył w Wezelu, Kolonji i miastach nadreńskich. — Sprawy rozliczne, któremi Napoleon zajmuje się w przejeździe. — Układ z Prusami. — Poseł francuzki odwołany ze Sztokolmu. — Ciąg dalszy i koniec pozorny kłótni religijnej. — Przyjęcie przez Pijusa VII dekretu soboru, z pobudek niezupełnie odpowiednich życzeniu Napoleona. — Ten ostatni przyjmuje przystąpienie Papieża, ale bez pobudek i odsyła do swoich dyceezji prałatów, którzy składali sobór. — Powrót jego do Paryża w listopadzie i pilność jego w załatwieniu wszystkich spraw wewnętrznych, ażeby nie pozostawić nic w zawieszeniu przed wyprawą rossyjską

KSIĘGA CZTERDZIESTA DRUGA.

TARRAGONA.

Strona

Dalszy ciąg wypadków na półwyspie. — Powrót Józefa do Madrytu i warunki, pod którymi powraca. — Stan Hiszpanji, znużenie umysłów, podobieństwo ich poskromienia udzielając niejakich zasiłków pieniężnych Józefowi i dosyłając mu nowych wojsk. — Położenie krytyczne Badajozu po bitwie pod Albuera. — Pośpiech marszałka Marmon, następcy Masseny, do dania pomocy tej twierdzy. — Pochód tego marszałka, połączenie się jego z marszałkiem Sultem, i oswohodzenie Badajozu po odważnej obronie ze strony zasługi. — Nastąpione w krótkim czasie rozłączenie się obu marszałków. — Marszałek Sult udaje się dla poskromienia band powstańców andaluzyjskich, marszałek zaś Marmon staje z wojskiem nad Tagiem, z kąd może według okoliczności podać pomoc albo Ciudad-Rodrigo albo Badajozowi. — Lord Wellington po niepowodzeniu swoim pod Badajoz, zmuszony chorobami udać się na leże letnie, ale z zamiarem napadnięcia na Badajoz lub Ciudad-Rodrigo, w razie chybnego poruszenia wojsk francuzkich. — Działania w Aragonji i Katalonji. — Jenerał Siusze (Suchet), któremu powierzony zarząd niższej Katalonji i części sił tej prowincji, przენosi się pod Tarragonę. — Pamiętne oblężenie i wzięcie tej ważnej twierdzy. — Jenerał Siusze wyniesiony do godności marszałka. — Odebranie Figiery, na chwilę zajętej przez Hiszpanów. — Gdy lord Wellington czyni przygotowania dla oblężenia Ciudad-Rodrigo i zbliża się pod tę twierdzę, marszałek Marmon opuszcza brzegi Tagu we wrześniu, i połączywszy się z jenerałem Dorsennem, który zastąpił miejsce marszałka Bessjera w Kastylii, idzie na Ciudad-Rodrigo i zaopatruje go w żywność. — Wielkie niebezpieczeństwo wojska angielskiego. — Dwaj jenerałowie francuzcy, ściślej z sobą połączeni, mogliby mu zadać okropną klęskę. — Koniec spokojny lata w Hiszpanji i postanowienie powzięte przez Napoleona zdobycia Walencji przed zimą. — Wystąpienie marszałka Siusze 15 września i pochód jego przez królestwo Walencji. — Opór Sagontu i próżne usiłowania zdobycia szturmem tej fortecy. — Jenerał Blake, chcąc dać pomoc Sagontowi, wydaje bitwę wojsku francuzkiemu. — Zwycięstwo pod Sagontem odniesione 25 października 1811. — Poddanie się Sagontu. — Marszałek Siusze, chociaż zwycięzca, nie ma dość sił dla wzięcia Walencji, i żąda posiłków. — Napoleon każe zdążyć ku niemu wszystkim wojskom rozrządzalnym w Hiszpanji, pod dowództwem jenerałów Kaffarellego, Rella i Monbrena. — Otoczenie i wzięcie Walencji 9 stycznia 1812 z pomocą dwóch dywizyj, przyprowadzonych przez jenerała Rella. — Bezżyteczność poruszenia zaleconego jenerałowi Monbre, i pochód tego ostatniego aż do Alikantu. — Lord Wellington korzystając ze skupienia około Walencji wszystkich sił rozporządzalnych Francuzów, pospiesza opasać Ciudad-Rodrigo. — Zdobywa tę twierdzę 19 stycznia 1812, nim marszałek Marmon zdołał jej dać pomoc. — Niesłuszne wyrzuty czynione marszałkowi Marmon. — W tymże czasie Napoleon w miejsce posyłania nowych wojsk do Hiszpanji, odwołuje ztamtąd swoją gwardję, Polaków, połowę dragonów i pewną liczbę czwartych bataljonów. — Sprowadza marszałka Marmon od Tagu nad Du-

ro, wkładając na niego wyłącznie obowiązek bronienia północy Półwyspu przeciw Anglikom.—Korzystając z tych okoliczności, lord Wellington pośpiesza do Badajozu i zdobywa tę twierdzę szturmem 7 kwietnia 1812, pomimo bohaterkiej obrony ze strony załogi.—Z Ciudad-Rodrigo i Badajozem upadają dwa przedmurza granic Hiszpanji przeciw Anglikom.—Napoleon, gotując się do wyprawy rosyjskiej, mianuje wreszcie Józefa naczelnym dowódcą wszystkich wojsk na Półwyspie, pozostawiając mu siły niedostateczne i rozproszone.—Rys wypadków w Hiszpanji podczas lat 1810 i 1811, oraz pierwszych miesięcy roku 1812 142

KSIEGA CZTERDZIESTA TRZECIA.

PRZEJŚCIE NIEMNA.

Dalszy ciąg wypadków na Północy. — Powodzenie Rossjan nad Dunajem usuwając wszelki pozór słabości z ich strony, skłania Cesarza Aleksandra do wysłania p. Nesselrode do Paryża, dla załatwienia po przyjacielsku sporu zachodzącego z Francją. — Na te wiadomość, Napoleon nie życząc sobie tego posłannictwa pokoju, obchodzi się z księciem Kurakinem z nadzwyczajną oziębłością, i okazuje względem posłannictwa p. Nesselrode usposobienie, które zmusza Rossję do zaniechania go. — Ostatnie i ogromne przygotowanie wojenne. — Wielkość i rozkład sił zgromadzonych przez Napoleona. — Wyruszenie wszystkich jego wojsk na jedną linię rozciągającą się od Alp do ujść Renu i postępujących ku Wiśle. — Ostrożności jego dla przebycia nieznacznie aż nad Niemien, uprzedzając Rossjan w zajęciu Polski i starych Prus. — Rozkaz dany p. de Loryston traktowania zawsze o pokoju, i wysłanie p. Czerniszewa do przełożenia Cesarzowi Aleksandrowi, że idzie tylko o układy wsparte zbrojną demonstracją. — Przymierza polityczne Napoleona. — Traktaty wspólnego działania z Prusami i Austryją. — Układy dla zawarcia przymierza ze Szwecją i Portą. — Starania dla sprowadzenia wojny między Ameryką i Anglią i prawdopodobieństwo dokazania tego. — Ostatnie rozporządzenia Napoleona przed opuszczeniem Paryża. — Położenie wewnętrzne Cesarstwa; głód, finanse, stan umysłów. — Położenie rzeczy w St. Petersburgu. — Przyjęcie przez Cesarza Aleksandra posłannictwa p. Czerniszewa. — Oświecony względem zamiarów Napoleona ruchami armji francuzkiej, i traktatami przymierza zawartemi z Prusami i Austryją, Cesarz Aleksander postanawia wyjechać do swojej głównej kwatery, utrzymując zawsze, że jest gotów prowadzić układy. — Dowiedziawszy się o tym wyjeździe Napoleon, rozkazuje nowe poruszenie swoim wojskom, wysyła p. de Narbon do Wilna, dla złagodzenia wrażenia, jakie ten ruch musiał wywołać; i opuszcza Paryż 9 maja 1812, w towarzystwie Cesarzowej i całego dworu. — Przybycie Napoleona do Drezna. — Zgromadzenie się w tej stolicy prawie wszystkich panujących stałego ładu. — Zdumiewający widok potęgi. — Napoleon, uwiadomiony, że książę Kurakin żądał swych paszportów, daje polecenie p. de Loryston użycia nowych wybiegów z Cesarzem Aleksandrem dla opóźnienia kroków nieprzyjacielskich. — Fałszywe nadzieje co do Szwecji i Turcji. — Za-

miary względem Polski. — Wysłanie p. de Pradt jako posła francuzkiego do Warszawy. — Powrót p. de Narbon do Drezna, po spełnieniu jego posłannictwa w Wilnie. — Rezultat tego posłannictwa. — Po upłynieniu miesiąca maja, Napoleon opuszcza Drezno i udaje się do swojej głównej kwatery. — Okropne cierpienia ludów przygnębionych przechodem naszych wojsk. — Napoleon w Toruniu. — Ogromny sprzęt wojenny i nadzwyczajne rozwinięcie głównych sztabów. — Środki Napoleona dla zaradzenia temu. — Przyjęcie uczynione przez niego marszałkowi Dawu i królowi Miuratowi. — Pobyt jego w Gdańsku. — Obszerny systemat żeglugi wewnętrznej dla przetransportowania naszych zapasów wojennych wewnątrz Litwy. — Przybycie do Królewca. — Zerwanie ostateczne z Bernadottem, w skutek wiadomości otrzymanych ze Szwecji. — Oświadczenie wojny Rosji z powodów całkiem nieuzasadnionych. — Plan kampanji. — Przybycie nad brzegi Niemna. — Przejsie tej rzeki 24 czerwca. — Sprzeczność zamiarów Napoleona w 1810, z działaniami jego w 1812. — Smutne przeczcucia! . . . 237

KSIEGA CZTERDZIESTA CZWARTA.

M O S K W A.

Napoleon robi przygotowania do pochodu na Wilno. — Rozporządzenia jego w Kownie dla zapewnienia posiadłości tego miasta i przeprowadzenia linii komunikacyjnej wodą. — Ruchy rozmaitych korpusów wojska francuzkiego. — Gdy się zbliżono do Wilna, przybywa do głównej kwatery p. Bałaszow, wysłany przez Cesarza Aleksandra dla ostatecznej próby wejścia w układy. — Pobudki, które skłoniły do tego kroku. — Cesarz Aleksander i jego sztab. — Opinia panująca w Rosji względem sposobu prowadzenia tej wojny. — Systemat cofania się wewnątrz kraju, przedstawiony przez generała Pfuhl. — Zdania generałów Barklaj de Tollego i Bagracjona względem tego systematu. — Dowiedziawszy się o zbliżaniu się Francuzów, Cesarz Aleksander skłania się do cofnięcia się nad Dźwinę do obozu pod Dryssa, i do wysłania księcia Bagracjona z drugą armją nad Dniepr. — Wejście Francuzów do Wilna. — Burze letnie podczas pochodu wojska do Wilna. — Pierwsze katusze. — Wielu żołnierzy zaraz od początku kampanji nabiera przywyknienia do rabunku. — Trudność pochodów i zaopatrzenia się w żywność, skłania Napoleona do przedłużenia pobytu w Wilnie. — Niedogodności tego pobytu. — Wówczas gdy Napoleon zatrzymuje się dla zebrania żołnierzy rozpierchłych i udzielenia swym konwojom czasu do przybycia, wysyła marszałka Dawu na prawo, dla ścigania księcia Bagracjona, oddzielenego od głównej armji rossyjskiej. — Uorganizowanie rządu litewskiego. — Tworzenie magazynów, budowanie pieców, ustanowienie policji po drogach. — Widzenie się Napoleona z p. Bałaszowem. — Działania marszałka Dawu na prawém skrzydle Napoleona. — Niebezpieczeństwo, na jakie narażonych zostaje wiele kolumn rossyjskich, oddzielonych od głównego korpusu swej armji. — Kolumna generała Dochturowa zdołała się wycofać, inne odepchnięte aż do armji księcia Bagracjona. — Pochód śmiały marszałka na Mińsk. — Postrzegłszy że zostaje w obec wojska Bagracjona, dwa lub trzy razy liczniej-

szego od jego korpusu, marszałek ten żąda posiłków.—Napoleon, który zamierza uderzyć na Barklaj de Tollego z największą częścią swych sił, odmawia marszałkowi Dawu potrzebnej pomocy, i chce zastąpić ją przyspieszeniem połączenia króla Hieronima z tym marszałkiem.—Pochód króla Hieronima z Grodna na Nieświż.—Zwłoka pomimowolna z jego strony.—Napoleon rozgniewany, umieszcza go pod rozkazami marszałka Dawu.—Król Hieronim obrażony opuszcza wojsko.—Strata kilkunastu dni, podczas których Bagracjon uskutecznia swój odwrót.—Marszałek Dawu spieszy za nim w pogon.—Potyczka pod Mohilowem.—Bagracjon cofa się za Dniepr.—Zajęcia Napoleona podczas tych ruchów marszałka Dawu.—Po uorganizowaniu środków wyżywienia się i pozostawieniu w Wilnie większej części swoich zaprzęgów, artylllerji i zapasów żywności, robi przygotowania do wyruszenia przeciw głównej armji rosyjskiej pod Barklaj de Tollim.—Odjazd Napoleona do Głębokiego.—Piękny plan zależący na wystąpieniu Dawu i Hieronima przeciw Bagracjonowi i wystąpienia przeciw Barklaj de Tollemu ruchem z lewa na prawo, ażeby wyminąć Rossjan i wziąć im tył.—Pochód wszystkich korpusów armji francuzkiej defilujących przed obozem pod Dryssą dla udania się na Połock i Witebsk.—Rossjanie w obozie pod Dryssą.—Opór ich głównego sztabu przeciw planowi przepisywanemu generałowi Pfabl i wydalenie się z obozu Cesarza Aleksandra.—Udanie się jego do Moskwy.—Barklaj de Tolli opuszcza obóz pod Dryssą i zwraca się na Witebsk, idąc po za Dźwiną w zamiarze połączenia się z Bagracjonem.—Napoleon stara się uprzedzić go do Witebska.—Szereg walk pomyślnych przed Ostrownem i za niem.—Świetna waleczność wojsk francuzkich i rosyjskich.—Na chwilę spodziewają się bitwy, ale Rossjanie uchylają się od niej dla zajęcia stanowiska pomiędzy Witebskiem a Smoleńskiem i połączenia się z księciem Bagracjonem.—Znużenie wojsk z powodu zbyt rychłych upałów, nowa strata ludzi i koni.—Napoleon ubieżony w Smoleńsku, i straciwszy nadzieję przeszkodzenia połączeniu Bagracjona z Barklaj de Tollim, skłania się do nowego wypoczynku na dni piętnaście dla zebrania żołnierzy pozostałych po drodze, sprowadzenia swych koni i artylllerji, i oczekiwania przejścia upałów.—Pobyt jego w Witebsku.—Rozłożenie wojsk około tego miasta.—Starania jego tyczące się armji, zmniejszonej już od czterech do stu tysięcy, od czasu przejścia Niemna.—Działania na lewem skrzydle.—Marszałkowie Makdonald i Udino, obowiązani działać nad Dźwiną, mają, jeden blokować Rygę, drugi wziąć Połock.—Korzyści odniesione 28 lipca i 1 sierpnia przez marszałka Udino nad hrabią Wittgenstejnem.—Napoleon, dla udzielenia nieco wypoczynku Bawarczykom napastowanym przez krwawą biegunkę, i dla wzmocnienia marszałka Udino, posyła ich do Połocka.—Działania na prawem skrzydle.—Napoleon, po złączeniu się z nim marszałka Dawu i części wojsk króla Hieronima, poleca generałowi Renje z Sasami i księciu Szwarzenbergowi z Austryjakami, strzedz biegu niższego Dniepru i stawić czoło generałowi rosyjskiemu Tormasow, zajmującemu Wołyń z 40 tysiącami żołnierza.—Porobiwszy te rozporządzenia i dawszy nieco odpoczynku swym żołniercom, Napoleon rozpoczyna działania zaczepne przeciwko wielkiej armji rosyjskiej, składającej się oddział z wojsk

połączonych Barklaj de Tollego i Bagracjona.—Piękny pochód z lewa na prawo w obec armji nieprzyjacielskiej, dla przejścia Dniepru poniżej Smoleńska, zachwycenia tego miasta, zajścia tyłu Rossjanom i przyparcia ich do Dźwiny. — Kiedy Napoleon działał tym sposobem przeciw Rossjanom, ci zamysłają o rozpoczęciu zaczepnych kroków.—Strwożeni ruchami Napoleona i lękając się o Smoleńsk, odstępują ku temu miastu dla ocalenia go. — Pochód Francuzów na Smoleńsk.—Pomyślna potyczka pod Kraśnem.—Przybycie Francuzów pod Smoleńsk.—Ogromny zbiór wojsk przed tém miastem.—Atakowanie i wzięcie Smoleńska przez Neja i Dawu.—Cofanie się Rossjan na Dorohobuż. — Spotkanie się marszałka Neja z częścią tylnéj straży rosyjskiej. — Krwawa bitwa pod Waluty-nem.—Śmierć jenerała Giude. — Smutek Napoleona z powodu nieudania się jednego po drugim najpiękniejszych jego pomysłów. — Trudności jakie przedstawia miejscowość i niesprzyjające okoliczności w tej kampanji. — Wielka kwestja do rozstrzygnięcia, czy należy się zatrzymać w Smoleńsku dla przezimowania na Litwie, czy też iść naprzód dla zapobieżenia niebezpieczeństwom politycznym, któreby się mogły zrodzić z przedłużenia wojny. — Przyczyny za i przeciw.—Kiedy się namyśla, Napoleon dowiaduje się że jenerał Sę-Sir, zastąpiwszy miejsce marszałka Udino rannego, odniósł 13 sierpnia zwycięstwo nad armją Wittgenstejna pod Połockiem: że jenerałowie Szwarzenberg i Renje, po rozmaitych kolejach, odnieśli pod Horodeczną 12 sierpnia, drugie zwycięstwo nad armją wołyńską, że marszałek Dawu i Miurat, ścigając wielką armję rosyjską, znaleźli tę armję na pozycji za Dorohobużem, gotową, jak zdawało się do wydania bitwy. — Po otrzymaniu téj ostatniej wiadomości, Napoleon wyrusza ze Smoleńska z resztą armji, ażeby wszystko zakończyć wielką bitwą.—Przybycie jego do Dorohobuża. — Cofanie się armji rosyjskiej, której wodzowie wahają się, czy mają wydać bitwę, czy też cofać się niszcząc wszystko na swéj drodze. — Pochód ich na Wiaźmę.—Napoleon wnosząc że wydadzą wreszcie bitwę, i spodziewając się rozstrzygnąć los wojny w jednym dniu, rusza na ich ściganie i rozstrzyga tym sposobem ważną kwestję, która trzymała w zawieszeniu jego umysł. — Rozkazy wydane na skrzydła i do wojsk z tyłu zostających na czas kiedy wyruszy w pochód. — 9ty korpus pod dowództwem marszałka Wiktora, sprowadzony z Berlina do Wilna, dla osłonięcia tyłu armji; 11ty pod marszałkiem Ożero, powołany do zamieszczenia 9go w Berlinie. — Pochód wielkiej armji na Wiaźmę.—Widok Rossji. — Liczne pożary wszczęte ręką Rossjan na całej drodze ze Smoleńska do Moskwy. — Podniesienie ducha publicznego w Rossji i niezadowolenie tak w armji jak w narodzie z powodu planu zależącego na cofaniu się i niszczeniu wszystkiego przed Francuzami. — Niepopularność Barklaj de Tollego, i wysłanie starego jenerała Kutuzowa dla zastąpienia jego miejsca. — Charakter Kutuzowa i jego przybycie do armji. — Chociaż przychylający się do systematu obronnego, skłania się stoczyć bitwę pod Moskwą. — Wybranie pola bitwy pod Borodinem na brzegu rzeki Moskwy. — Pochód armji francuzkiej z Wiaźmy na Gżack. — Z powodu kilku dni niepo-godnych Napoleon waha się czy ma się cofnąć czy ścigać armję rosyjską. — Powrót pogody skłania go, pomimo zdania główniejszych wodzów armji, do

przedłużenia swego pochodu w głąb' Rossji.—Przybycie 5 września na obszer-
ną równinę Borodino.—Wzięcie reduty Szwardino 5 września wieczorem.—
Odpoczynek 6 września.—Przygotowania do wielkiej bitwy.—Przyczyny, któ-
re skłoniły do odrzucenia tego projektu.—Plan ataku z czoła, zależącego na
zdobyciu szturmem redut, o które Rossjanie się opierają.—Duch wojenny Fran-
cuzów, duch religijny Rossjan.—Pamiętna bitwa nad rzeką Moskwą, stoczona
7 września 1812.—Okropny widok.—Dla czego bitwa ta nie była stanowczą?—
Rossjanie cofają się na Moskwę.—Francuzi ich ścigają.—Rada wojenna złożo-
na przez generałów rossyjskich dla zdecydowania czy mają stoczyć nową bi-
twę, czy też oddać Moskwę Francuzom.—Kutuzow skłania się do opuszczenia
Moskwy, przebywa miasto i cofa się po drodze do Kazania.—Przybycie Fran-
cuzów pod Moskwę.—Pyszny widok tej stolicy i uniesienie naszych żołnierzy
na widok jój z wyżyn Worobiewo.—Wejście do Moskwy 14 września.—Mil-
czenie i samotność.—Ukazywanie się miejscami ognia w nocy z 15go na 16ty.—
Straszliwy pożar tej stolicy.—Napoleon zmuszony ustąpić z Kremlu i schronić
się do zamku Petrowskoje.—Boleść, jaką mu sprawia pożoga Moskwy.—Widzi
w tém postanowienie pełne rozpachy, wyłączające wszelką myśl pokoju.—Po
pięciu dniach pożar zostaje uśmierzony.—Widok Moskwy po pożarze.—Cztery
piątych miasta zniszczone.—Ogromna ilość żywności zaalezionej w sklepach
i utworzenie magazynów dla armji.—Myśli miotające duszą Napoleona w Mo-
skwie.—Poznaje niebezpieczeństwo zatrzymania się w niej, i chciałby przez
pochód ukośny na północ, połączyć się z marszałkami Wiktorem, Sę-Sir i Mak-
donaldem, przed Dźwiną, ażeby tym sposobem rozstrzygnąć podwójne zadanie
zbliżenia się do Polski i zagrożenia Petersburgowi.—Złe przyjęcie, jakie ten
głęboki pomysł otrzymuje ze strony jego dowódców; i zarzuty oparte na stanie
wojska, zmniejszonego do stu tysięcy.—Podczas kiedy Napoleon waha się,
postrzega że armja rossyjska wycofała się i zajęła pozycję po prawej jęgo
stronie, na drodze wiodącej do Kaługi.—Miurat wysłany dla ścigania jój.—
Rossjanie zatrzymują się w Tarutino.—Napoleon widząc się w niedogodnym
położeniu, wysyła generała Loryston do Kutuzowa dla zagajenia układów.—
Przebiegłość Kutuzowa udającego, że przyjmuje te propozycje, i zawarcie
ustnego zawieszenia broni 350

ESIĘGA CZTERDZIEŚCIA PIĄTA.

B E R E Z Y N A.

Stan umysłowy w Peterburgu.—Widzenie się Cesarza Aleksandra w Aho
z księciem następcą Szwedzkim.—Plan działania na tył armji francuzkiej, któ-
ra niezawodnie posunęła się aż do Moskwy.—Posiłki wysłane z Finlandji hra-
biemu Wittgenstejnowi i połączenie się armji moldawskiej z armją wołyńską
pod naczelnym dowództwem admirała Czyczagowa.—Rozkazy wydane jenera-
łom rossyjskim wyruszenia na dwie armje francuzkie, strzegące Dźwiny i Dnie-
pru, dla przecięcia wszelkiego odwrotu Napoleonowi.—Zalecenie księciu Kutu-
zowemu odrzucenia wszelkich układów i rozpoczęcia jak najprędzej kroków

nieprzyjacielskich. — Tymczasem Napoleon, nie licząc już wiele na pokój, zatrzymanym jest w Moskwie przez swój wstręt do ruchu wstecznego, który wykazałby jego słabość w oczach Europy i uczyniłby wszelki układ niepodobnym. — Skłania się do projektu pozostawienia znacznej siły w Moskwie, a do wyruszenia z resztą armji na zimowe łące do żywniej prowincji Kałuskiej, zładby podał rękę marszałkowi Wiktorowi, sprowadzonemu ze Smoleńska do Jelni. — Podczas kiedy Napoleon zostaje w tój niepewności, Rutuzow wzmocniwszy swe wojsko odpoczynkiem i odebraniem posiłków, napada znienacka na Miurata pod Winkowem. — Świetna potyczka, w której Miurat wynagradza swą nieostrożność męstwem. — Napoleon rozgniewany wyrusza na Rossjan dla ukarania ich za to podejście i opuszcza Moskwę, pozostawiając w niej marszałka Mortje z 10,000 żołnierza dla strzeżenia tój stolicy. — Odjazd 19 października z Moskwy po przebyciu tam 35 dni. — Wystąpienie wojska z tój stolicy. — Szczegółoy widok armji prowadzącej za sobą ogromną ilość bagażów. — Przybycie nad brzegi Pakry. — Po przybyciu na to miejsce, Napoleon robi nagle projekt ukrycia swojego pochodu przed armją rossyjską i zwodząc tę ostatnią, przejścia ze starej drogi kałuskiej na nową, dostania się tym sposobem do Kaługi bez wystrzału i nie mając znacznej liczby rannych do przewożenia. — Rozkazy odnoszące się do tego ruchu, który pociąga za sobą opuszczenie ostateczne Moskwy. — Armja rossyjska, uwiadomiona w porę, zwraca się na Mało-Jarosławiec, na nowęj drodze kałuskiej. — Bitwa mordercza i chlubna pod Mało-Jarosławcem stoczona przez armję włoską, z częścią armji rossyjskiej. — Napoleon spodziewając się przebić do Kaługi, chce wytrwać w swoim zamiarze, ale bojażú nowęj bitwy, niepodobieństwo prowadzenia z sobą dziewięciu lub dziesięciu tysięcy rannych, nalegania wszystkich jego dowódców, skłaniają go do udania się drogą smoleńską, którą armja przechodziła już idąc do Moskwy. — Zgubne postanowienie. — Pierwsze dżdże i zepsucie dróg. — Początek niezadowolenia w armji. — Trudny pochód na Możajsk i Borodino. — Głód pochodzący ze spożycia żywności zabranęj z Moskwy. — Armja przeżywa pole bitwy nad rzeką Moskwą. — Bolesny widok tego pola bitwy. — Rossjanie ruszają w pogoń za nami. — Trudność jaką napotyka nasza tylna straż powierzona marszałkowi Dawu. — Napady nocne kozaków. — Zły stan naszęj jazdy. — Niebezpieczeństwo, jakiemu ksiączę Eugienjusz i marszałek Dawu ulegają w ciasnym przejściu pod Carewo-Zajmiszczem. — Żołnierze nie mogący zdążyć za armją z braku żywności i sił do odbywania pochodu. — Tworzenie się u tylnej straży gromady ludzi luźnych. — Poruszenie Rossjan dla uprzedzenia armji francuzkiej do Wiaźmy, podczas kiedy silna tylna straż pod dowództwem Miłoradowicza przeznaczoną jest do niepokojenia jej i zbierania żołnierzy pozostałych z tyłu. — Potyczka marszałka Dawu pod Wiaźmą, napadniętego z przodu i z tyłu przez Rossjan. — Marszałek ten wychodzi cało z wielkiego niebezpieczeństwa, dzięki jego energii i pomocy marszałka Neja. — 1szy korpus osłabiony znużeniem i trudami, które miał do przeniesienia, zastąpionym jest przez 3ci korpus pod dowództwem marszałka Neja, któremu poruczono odłąd zasłaniać odwrót. — Nagłe chłody i początek okropnych cierpień. — Strata koni, które nie mogą trzymać się na lodzie i po-

rzucenie części wozów artylleryjskich. — Przybycie do Dorobobuża. — Smutek Napoleona i jego nieczynność podczas odwrotu. — Wiadomości jakie odbiera o ruchu Rossjan na linję komunikacji i o spisku Maleta w Paryżu. — Początek i szczegóły tego spisku. — Pochód przyśpieszony Napoleona na Smoleńsk. — Kłeska księcia Eugienjusza przy przejściu Wopu, podczas pochodu tego księcia na Witebsk. — Łączy się z wielką armją w Smoleńsku. — Napoleon, dowiedziawszy się w Smoleńsku, że marszałek Sę-Syr zmuszony został do opuszczenia Połocka, że książę Szwarzenberg i generał Renje dali się oszukać przez admirała Czyczagowa, dążącego na Mińsk, pośpiesza przybyć nad Berezynę, ażeby nie być otoczonym. — Wystąpienie kolejne jego armji w trzech kolumnach i spotkanie z armją rossyjską pod Kraśnem. — Trzy dni boju pod Kraśnem i oddzielenie korpusu Neja. — Pochód nadzwyczajny tego ostatniego dla połączenia się z armją rossyjską pod Kraśnem. — Trzy dni boju pod Kraśnem i oddzielenie korpusu Neja. — Pochód nadzwyczajny tego ostatniego dla połączenia się z armją. — Przybycie Napoleona do Orszy. — Dowiaduje się, że Czyczagów i Wittgen-sztejn bliscy są połączenia się na Berezynie i przecięciu mu wszelkiego odwrotu. — Pośpiesza z przybyciem na brzeg téj rzeki. — Ważne narady o wyborze punktu przejścia. — W chwili kiedy tracą nadzieję znalezienia go cudem jakimś przybywa generał Korbino, ścigany przez Rossjan i odkrywa w Studziance miejsce, gdzie można przebyć Berezynę. — Wszystkie usiłowania armji zwrócone na ten punkt. — Godne podziwu poświęcenie się generała Eble i korpusu pontonjerów. — Armija przez trzy dni przebywa Berezynę i w ciągu tych trzech dni toczy walkę z wojskiem chcącym go zatrzymać z czoła i niedozwolić jéj przebycia rzeki i wojskiem atakującym ją z tyłu i usiłującym wrzucić do Berezyny. — Moc charakteru Napoleona, którego cały gienjusz objawia się pośród tego wielkiego niebezpieczeństwa. — Walka bohaterka i scena straszliwa przy mostach. — Armja cudem uratowana rusza na Smorgonie. — Przybywszy do tego miasteczka, Napoleon, po odbyciu narad względem korzyści i niedogodności jego odjazdu, skłania się do opuszczenia armji potajemnie i powrócenia do Paryża. — Wyjeżdża 5 grudnia w saniach z pp. Kolękur, marszałkiem Diurok, hrabią Lobo i generałem Lefebwr-Denoett. — Po jego odjeździe, brak karności i nagłe zwiększenie się mrozów dokonywają rozprzężenia armji. — Opuszczenie Wilna i przybycie głównych sztabów do Królewca bez żadnego żołnierza. — Charakter i rezultaty kampanji 1812 roku. — Prawdziwe przyczyny téj niezmiernéj klęski



T.7

26604/2